

Biblioteka Sejmu Śląskiego

4620

1906 14.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

Ogólnego zbioru Tom 264.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1906. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

4620. 1906. 4

II



30.000

X-14365	
4620	II 4.
/ 1906	

PROBLEMAT AGRARNY

w guberniach wielkorosyjskich i u nas.

Na istniejącem ustosunkowaniu własności oparły swą egzystencję miliony ludzi, raptowna więc zmiana tych stosunków, jak np. wywłaszczenie wszystkich właścicieli powyżej normy pracy jest podcięciem normalnej egzystencji znacznej części społeczeństwa, ujemnie wpływającem na warunki gospodarcze całego ogółu. A jednak, jak są stany fizyczne, wymagające operacyi, tak mogą być stany gospodarcze, zawierające historycznie narastające niedomagania o tyle chorobliwe, że wymagają operacyi. Zwolennicy wywłaszczenia w Rosyi mogą twierdzić, że wobec głodów peryodycznie nawiedzających centralną i wschodnią Rosyę, tam wywłaszczenie jest operacją niezbędną, jakkolwiek bolesną, przyczem, wobec panującej tam „obszczyzny,⁴“ jest środkiem urosłym z pojęć ludu. Na razie nie analizując, czy i o ile uzasadnionym jest ów pogląd, musimy zwrócić uwagę na to, że prowincye dawnej Rzeczypospolitej, owej całkiem odrębnej od Rosyi indywidualności historycznej, przez szereg wieków ulegającej pojęciom rzymskiego prawa, z ludnością o zakorzenionych pojęciach własności indywidualnej, nie mogą być odpowiednim gruntem do reform ekonomicznych, dokonywanych nie metodą zachodu, lecz wschodu. Następnie należy pamiętać, że warunki uwłaszczenia w ciągu lat kilkudziesięciu olbrzymi, bezpośredni wpływ wywierają na stosunki agrarne.

Całkiem inaczej odbywało się uwłaszczenie w ziemiach Polski historycznej i w Królestwie, a całkiem inaczej w Rosyi. W Rosyi właściwej rząd miał do czynienia ze szlachcicem rosyjskim, który wedle trafnego określenia pewnego publicyisty rosyjskiego, jest urzędnikiem w szlafroku. Wyższy zaś dygnitarz ro-

syjski owych czasów był „szlachcicem w mundurze.“ Reformy włościańskie należało dokonać, gdyż tego wymagała konieczność państwowa, warunki rozwoju finansów państwowych. Ale dokonując reformę, szlachcic w mundurze pamiętał o swym towarzyszu urzędniku w szlafroku. Nie nie stracić, a nawet zarobić na reformie, było dążnością szlachty rosyjskiej, przychylnie przyjętą przez rząd.

Komisya redakcyjna reformy włościańskiej ustanowiła dwie normy nadziału: maksymalną, powyżej którego odcinano ziemię, znajdującą się we władaniu chłopą, i minimalną, dla której uzupełnienia dodawano mu ziemi, gdy jej nie posiadał w dostatecznej ilości. Przyczem właścicielowi ziemi nadano prawo likwidować wszelkie stosunki ze swymi włościanami, ustąpiwszy im bez wykupu jedną czwartą maksymalnej normy nadziału; takie nadziały prawo nazwało *darowiznami* (darstwienymi), utarła się jednak nazwa, nadana przez życie samo „żebracze.“ Takie nadziały spotykamy w rdzennej Rosyi, w ilości dosyć znacznej; ze względów politycznych niepozwolono na nie w ziemiach Polski historycznej.

Właściciel ziemski miał prawo zachować jedną część dawnego szlachecko-chłopskiego obszaru, chociażby przez to naruszone zostały ustanowione minimum i maximum gruntów nadziałowych. Owóż im lepsza była ziemia, tem bardziej obcinali właściciele ziemscy rozmiar gruntów chłopskich. W 20 guberniach centralnego czarnoziemiu, wielko i małorosyjskich z 14,8 mil. dzies. z których korzystali chłopci przed uwłaszczeniem, po uwłaszczeniu otrzymali 11,5 mil. dzies. czyli mniej o 22%. W 14 nieczarnoziemnych guberniach wielkorosyjskich zamiast uprzednich 12,60 mil. dzies., otrzymali chłopci 12,45, o 450,000 dzies., czyli o 3—4% mniej. W guberniach małourodajnych, gdzie ziemia nie posiadała znacznej wartości, właściciele ziemscy chcąc otrzymać znaczniejszą indemnizacyę, ustąpili swym chłopom większą ilość ziemi, niż za czasów pańszczyźnianych, np. w gub. Petersburskiej otrzymali chłopci o 10%, w gub. Permskiej o 15% ziemi więcej.

W 24-ch guberniach opłaty wykupowe były wyższe, aniżeli dochód z gospodarstw; opłaty te przewyższały dochód według znanego statystyka Jansona: ¹⁾

Gub. Nowogrodzka:	w większych gospodarstwach	.	180—210%	
"	"	w małych	"	. 275—565%

¹⁾ Nie mając pod ręką Jansona, cytujemy powyższą tablicę z pracy p. Ludwika Cybulskiego: „Przyczyny upadku rolnictwa i głodów w Rosyi“ — str. 121.

Dla gub.	Moskiewskiej	205
„	„ Twerskiej	252
„	„ Smoleńskiej	220
„	„ Kostromskiej	240
„	„ Pskowskiej	213
„	„ Włodzimierskiej	276
„	„ Wiackiej	200

Ustawa 19-go lutego 1861 r. nazywa chłopów, którzy wyszli z zależności poddańczej, tymczasowo obowiązwanymi chłopami, pozostawiając pewne zobowiązania włościan względem dawniejszych dziedziców. Ziemię, przyznaną na własność dziedzica, a będącą w posiadaniu chłopą, ten ostatni wykupywał i wykup znosił wszelkie powinności ostatniego względem pierwszego.

Równoległe wydana była ustawa o wykupie, która głosiła, że „drogą operacji wykupu, rząd oddaje pod nabywane przez włościan grunta określoną sumę z rozłożoną na długi termin opłatą.“

Wykup następował na mocy ugody dobrowolnej między właścicielem ziemskim i chłopami (art. 20); wykup obowiązywał chłopów na żądanie właściciela ziemskiego (art. 32). W pierwszym wypadku wynagrodzenie właściciela ziemskiego zależało od umowy i mogło przewyższać zapomogę rządu; w drugim wysokość indemnizacji określała rozmiar wykupu.

Dla określenia rozmiaru sumy wykupu i opłat wykupowych obliczano „*wykupną*“ w sposób następujący: roczny czynsz, ustanowiony właścicielowi ziemskiemu za nadział pozostawiony chłopom, kapitalizował się po 6% rocznie, czyli mnożył się przez $1\frac{2}{3}$. Z obliczonej w ten sposób sumy, właściciel ziemski otrzymywał 80%, gdy włościanie nabywali pełny dział, 75%, gdy nabywali działu zmniejszone.

Bodźcem do domagania się wykupu ze strony właścicieli ziemskich było ich odłużenie. Z 892,1 mil. sumy wykupowej zatrzymano na spłatę długów w bankach rządowych i prywatnych 316,7 mil., 575,3 wypłacono papierami wartościowemi 5 i $5\frac{1}{2}$ %. Pomimo, że wykup był dla właścicieli ziemskich w rdzennej Rosyi dogodnym, jednak jeszcze w 1888 r. liczono tam spory zastęp „*tymczasowo zobowiązanych włościan*“; zobowiązania ich zlikwidował manifest koronacyjny Aleksandra II.

Innej polityki względem sprawy włościańskiej przy uwłaszczeniu trzymał się rząd w ziemiach Polski historycznej. Miał tu do czynienia ze szlachtą obcą mu pod względem narodowym, z przedstawicielami innych tradycji politycznych. Z natury rzeczy musiał próbować oprzeć się na chłopie, częstokroć etnogra-

ficznie nie-polskim, a nawet na terytorium zwartego osiedlenia polskiego, niemal neutralnym politycznie wobec wypadków 1863 r.

Na mocy ustawy z 13/1 marca 1863 r. wykup powinności był obowiązującym w 9 guberniach litewsko-ruskich. Powstanie polskie zmusiło rząd dokonać nadziału z możliwymi udogodnieniami dla włościan. Oddawano dawne działy włościan na mocy inwentarzy z 1847 r., przez co zwiększano je znacznie. W rezultacie chłopi Wołynia, Podola, Ukrainy, gub. Wileńskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej otrzymywali przy usamowolnieniu znacznie więcej ziemi, niż jej posiadali za czasów pańszczyźnianych. Chłopi gub. Mińskiej przy nadziale otrzymali 8 dziesięcin na „duszę“, gdy uprzednio mieli po 5,7 czyli więcej o 40%. Chłopi gub. Witebskiej i Mohyłowskiej otrzymali w całości swe dawne nadziały.

Jeszcze bardziej różniła się droga rozwoju, którą szły stosunki włościańskie Królestwa Polskiego i Konstytucya Księstwa ze swą zasadą „znosi się niewola“ zniosła już w 1807 r. poddaństwo chłopskie. Między 1807 a 1846 r., kiedy zostało wydane prawo, zakazujące wcielać grunta chłopskie do folwarcznych, wytwarzał się proletaryat bezrolny. Stał się on naturalnym materiałem ludzkim dla przemysłu powstającego w okresie od 1815—30 r. Zwolnione tempo gospodarczego rozwoju kraju po zniesieniu konstytucyi Królestwa Polskiego, nie dało możności przemysłowi miejskiemu pochłaniać bezrolnych Królestwa. Powstanie 1863 r. usiłowało zrealizować sprawę uwłaszczenia włościan. Dwoma ważnymi momentami w danej sprawie były: uchwała Towarzystwa Rolniczego z lutego 1861 r. o uwłaszczeniu chłopów na wniosek Tomasza Potockiego i dekrety Rządu Narodowego z 22 stycznia i 21/9 marca 1863 r., nadające chłopom pańszczyźnianym grunta, które były w ich posiadaniu i znoszące wszelkie powinności pańszczyźniane.

11 kwietnia i 2 czerwca wydane zostały dekrety, zawierające sankcyę karną za niewypełnienie. Wskutek tych rozporządzeń włościanie od czerwca 1863 r. faktycznie nie odbywali pańszczyźny. Miało to decydujący wpływ na ukaz 1864 roku, dotyczący uwłaszczenia włościan.

Ukazem 1 marca 1864 r. chłopi polscy uznani zostali niezwłocznie za zupełnych właścicieli ziem, będących w ich posiadaniu. W prawie rozporządzalności swymi nadziałami zostali tymczasowo ograniczeni następującymi dwoma postanowieniami: 1) dom i budynki nie mogły być sprzedawane lub zastawiane odrębnie od ziemi, 2) brać w zastaw i nabywać osady włościańskie mogą tylko włościanie. Komitet rządzący wprowadził oprócz tego przepis, zakazujący dzielenia gruntów chłopskich przy podzia-

łach familijnych na części poniżej 6 morgów. W 1891 r. te postanowienia tymczasowe uznane zostały za prawo stałe.

W sprawie zamiany szachownic w majątkach, jeszcze nie urządzonych kolonialnie, i zniesienia serwitutów, ukaz 1864 r. obiecywał określić, przy jakich okolicznościach, niezależnie od woli stron, ziemie mogą być wymieniane i serwituty znoszone na żądanie jednej tylko strony, ale prawo odpowiednie nie zostało jeszcze wydane po dziś dzień.

Gdy sprawa wykupu powinności rozpatrywana była w Komitecie, Milutin zwrócił uwagę na to, że chłop Królestwa Polskiego od początku powstania nie odbywał dziedzicowi powinności i nie płacił żadnych opłat. Uważano więc za stosowne uznać ów stan faktyczny za stan prawny i przyznać chłopom grunta nadane im na własność przez dekrety Rządu Narodowego, nie wymagając wykupu. Na wynagrodzenie zaś właścicieli ziemskich (indemnizacja) podwyższono podatek gruntowy tak na ziemiach drobnej, jak i wielkiej własności. Jest to różnica zasadnicza między reformą włościańską w Królestwie a Cesarstwie.

W 1863 r. w Królestwie Polskiem z 3,613,212 osób ludności wiejskiej było 1,338,827 bezrolnych. W tej liczbie 119,444 rodzin (548,000 osób) komorników, posiadaczy drobnych działków, niekorzystających z ukazu 1864 r. Reforma 1864 r. zaopatrywała ich w ziemię i zwiększała działki przez dodanie gruntów, które, według danych komisji włościańskich, uprzednio były w posiadaniu chłopskiem. Grunta tej kategorii szły również na nadział dla innych bezrolnych. Oprócz tego 9,829 rodzin bezrolnych otrzymało nadział ze skarbowych gruntów Królestwa. Po reformie włościańskiej pozostało jednak przeszło 70,000 rodzin bezrolnych.

Dalszy rozwój stosunków agrarnych w Królestwie, na Litwie i Rusi z jednej strony, we właściwej Rosyi z drugiej, był związany nierozdzielnie z warunkami uwłaszczenia i wogóle historycznymi warunkami tych krajów.

Warunki polityczne państwa rosyjskiego, skrzepowanie wszelkich zrzeczeń, samopocy kulturalnej, skrzepowanie oświaty przepisami policyjnego państwa w Królestwie, na Litwie i Rusi, były o wiele cięższe, niżeli w Rosyi, kraje te bowiem nietylko znajdowały się pod presją absolutyzmu, ale cierpiały ucisk narodowy, były też pozbawione organów samorządu lokalnego — ziemstw, które w każdym razie pracowały dla rozwoju oświaty w Rosyi i robiły coś nie coś dla podniesienia kultury materialnej ludności wiejskiej. Pomimo to postęp rolnictwa w Rosyi oraz zmiany w stanie gospodarczym ludności w centrum były bardziej niekorzystne, niż

na kresach. Tu się wylania waga warunków historycznych, które dały jednemu krajom własność indywidualną, drugiem — obszczyzny, oraz warunki uwłaszczenia.

Jednym ze wskaźników dobrobytu ludności, czyli raczej stosunku jej sił gospodarczych do ciężaru podatków, jest stopień zaległości podatkowych owej ludności.

		% stosunku zaległości do podatku					
		1881-85	1886-90	1891-95	1896	1897	1898
Gub.	Północne	52 $\frac{0}{0}$	27 $\frac{0}{0}$	25 $\frac{0}{0}$	41 $\frac{0}{0}$	33 $\frac{0}{0}$	30 $\frac{0}{0}$
„	Nadbałtyckie	13 $\frac{0}{0}$	31 $\frac{0}{0}$	33 $\frac{0}{0}$	64 $\frac{0}{0}$	57 $\frac{0}{0}$	64 $\frac{0}{0}$
„	Północno-Zachodnie	12 $\frac{0}{0}$	6 $\frac{0}{0}$	4 $\frac{0}{0}$	9 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	8 $\frac{0}{0}$
(Litewsko-Białoruskie)							
„	Południowo-Zachodnie	7 $\frac{0}{0}$	15 $\frac{0}{0}$	5 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$	7 $\frac{0}{0}$
„	Przemysłowe	39 $\frac{0}{0}$	41 $\frac{0}{0}$	76 $\frac{0}{0}$	80 $\frac{0}{0}$	82 $\frac{0}{0}$	86 $\frac{0}{0}$
„	Centralno-Czarnoziemne	32 $\frac{0}{0}$	42 $\frac{0}{0}$	122 $\frac{0}{0}$	127 $\frac{0}{0}$	161 $\frac{0}{0}$	177 $\frac{0}{0}$
„	Wschodnie	71 $\frac{0}{0}$	114 $\frac{0}{0}$	236 $\frac{0}{0}$	201 $\frac{0}{0}$	190 $\frac{0}{0}$	232 $\frac{0}{0}$
„	Południowe	34 $\frac{0}{0}$	40 $\frac{0}{0}$	21 $\frac{0}{0}$	15 $\frac{0}{0}$	10 $\frac{0}{0}$	8 $\frac{0}{0}$
„	Małoruskie	18 $\frac{0}{0}$	37 $\frac{0}{0}$	32 $\frac{0}{0}$	31 $\frac{0}{0}$	30 $\frac{0}{0}$	27 $\frac{0}{0}$

Dane, zebrane z badań t. zw. Komisji centrum (Komisya, która badała przyczyny upadku centrum rosyjskiego) dla Litwy i Rusi. Dane, dotyczące się Królestwa, rozpatrzymy osobno.

Zwiększenie (+) albo zmniejszenie (—) ilości dzies. ziemi nadziałowej i dokupionej na 1000 ludności wiejskiej w 1895 r. w porównaniu z 1875 r.:

Grupy gubernij	Nadziałowej	Dokupionej	Razem	%
Północne	— 58	+ 275	+ 217	+ 8
Nadbałtyckie	+ 331	+ 368	+ 699	+ 120
Północno-Zachodnie	— 429	+ 132	— 297	— 18
Zachodnio-Południowe	— 302	+ 34	— 268	— 26
Przemysłowe	— 330	+ 146	— 183	— 10
Centralno-Czarnoziemne	— 342	+ 27	— 315	— 20
Wschodnie	— 369	— 347	— 816	— 23
Południowe	— 688	+ 140	— 498	— 24
Małorusyjskie	— 182	+ 81	— 101	— 8
Przeciętnie	— 334	+ 30	— 304	— 16

Przyrost ludności w Królestwie oraz Litwie i Rusi wskutek lepszych warunków uwłaszczenia był dosyć znaczny w ciągu lat 20 od 1858—1878 r., okresu, którego przeszło $\frac{3}{4}$ przypada na dobę po uwłaszczeniu.

Przyrost ludności w gub. Kowieńskiej 24%
 „ „ „ Wileńskiej 36,2

Przyrost ludności w gub. Grodzieńskiej	32
„ „ „ Witebskiej	35
„ „ „ Mohylewskiej	31,6
„ „ „ Mińskiej	34

(Statistika wremiennaja, serya III, oddział 10, 1886 r., str. 113 i następane).

Przyrost naturalny w Królestwie od 1862 — 1873 r. wynosił w Królestwie 22,5 i w pierwszym 20-stuleciu po uwłaszczeniu dochodził do 50%. Tymczasem gubernie środkowej Rosyi dały od 6,6% przyrostu naturalnego (gub. Jarosławska) do 14% (Kałuska). Gubernie wielko i małosyjskie od 16% (Tulska) do 27 (Chersońska i Woroneska). Wogóle statystyka centralnego komitetu wykazuje, że między przyrostem ludności włościańskiej w Rosyi, a warunkami uwłaszczenia, istniał w ciągu całego dziesięciolecia nader ścisły związek.

Znaczniejszy przyrost ludności w ziemiach Polski historycznej pogorszył stosunek ludności do ziemi nadziałowej w Królestwie, Litwie i Rusi w stopniu znaczniejszym, niż w Rosyi rdzennej. Wykazują to tablice zamieszczone.

Ilość nadziałowej ziemi w stosunku do ludności wszędzie się zmniejszała w stosunku do ziemi, tylko w gub. Nadbałtyckich widzimy wbrew przeciwne zjawisko; pochodzi to stąd, że w kraju Nadbałtyckim był dobrowolny wykup gruntów, który trwał dziesiątki lat. Rzecz charakterystyczna, że w kraju Nadbałtyckim widzimy też największy przyrost ziemi dokupionej, nie-nadziałowej. Powyższe fakty wyjaśniają nam, że projekty rosyjskie unarodowienia ziemi, państwowego zapasu i t. p. — nie są popularne w kraju Nadbałtyckim. Pod względem przyrostu ziemi, gub. południowo-zachodnie zajmują przedostatnie miejsce, poniżej ich stoją tylko gub. Centralno-Czarnoziemne. Różne trudności, jakie były stawiane ludności katolickiej południowo-zachodniego i północno-zachodniego kraju przy zakupie ziemi, bezwarunkowo ujemnie wpływały na przyrost własności chłopskiej. Postęp jednak rolnictwa na Litwie i Rusi był znaczniejszy stosunkowo, niż w innych prowincjach państwa, i stosunek ludności rolnej do ilości produktów rolnych, polepszył się w pierwszych prowincjach, pogorszając się w Rosyi rdzennej.

Wykazują to następujące tablice Komisji centralnej.

W tablicy poniższej przyjęto ilość zebranego zboża i kartofli na 1000 ludności wiejskiej, przyczem 3 pudy kartofli przyjęto za pud zboża. Dla okresu od 1861 — 65 r. przyjęto przypadającą ilość zboża za 100, dla innych stosunek przedstawia tablica.

Grupy gubernij	1861-65	1866-70	1871-75	1876-80	1881-85	1886-90	1891-95
Północne . . .	100	82	93	85	89	100	94
Nadbałtyckie. .	100	87	81	85	85	95	102
Półn.-Zachodnie.	100	97	104	115	122	127	120
Poł.-Zachodnie .	100	113	113	123	143	131	129
Przemysłowe. . .	100	85	80	80	79	91	79
C.-Czarnoziemne	100	98	101	87	79	82	67
Wschodnie . . .	100	119	105	94	109	86	100
Południowe . . .	100	124	117	122	123	147	184
Małorosyjskie .	100	109	98	106	101	100	107
	100	102	99	93	95	95	93

Najznacznieszy postęp rolnictwa wykazują gub. Południowo-Zachodnie 129 i Zachodnie 120; ustępują one tylko gub. Południowym, których rolnictwo rosło, jak na drożdżach, dzięki uprzemysłowieniu tego kraju. Postęp ziem Polski historycznej bez Królestwa, nie jest uwarunkowany rozwojem przemysłu, ten ostatni przejawia się na Wołyniu i Podolu, tylko przez rozwój cukrowni. Ale są to kraje włości indywidualnej, gdy tymczasem „obszczyzna“ rosyjska z jej peryodycznym podziałem gruntu, usuwa chęć wszelkich inwestycji rolnych.

Otrzymawszy przy nadziale mniej ziemi, niż jej posiadał przed uwłaszczeniem, chłop rosyjski dla zastosowania pracy swej udziałowej w rolnictwie i swego inwentarza, dla tego, aby móżdź wyżyć wraz z rodziną, dzierżawił gruntu dworskie. „System przejściowy, utrzymujący w zależności włościan od dworów w formie odrabiania za ziemię uwłaszczoną, podał myśl przeniesienia tych odrabiań na ziemię dzierżawioną“—czyni słuszną uwagę p. Z. Cybulski, 136 str.

W 183 powiatach gubernij ziemskich, włościanie dzierżawia 10,183 tys. dzies. ziemi. Koryszew na mocy tych danych szacuje ilość dzies. dzierżawionych przez chłopów na 50 mil. dzies. dla całego państwa, popełniając tutaj błąd właściwy ekonomistom rosyjskim, wyprowadzanie wniosków dla całości państwa na mocy danych z gubernij rdzennie rosyjskich. U współczesnych zwolenników wywłaszczenia przymusowego, spotykamy bardzo często tendencyjną przesadę w cyfrach gruntów dzierżawionych przez chłopów, gdyż fakt ten ma dowodzić potrzeby proponowanej reformy agrarnej.

Komitety gubernialne o potrzebach rolnictwa, które w 1902 r. były powołane przez rząd, udzielają w gub. rosyjskich wiele uwag sprawom dzierżaw. „Całe wsie powstają na ziemiach dzierżawionych“—czytamy w protokołach Komitetu Orenburskiego (str. 51). „Pozbawienie dzierżawców ziemi, którą oni w ciągu wielu lat

dzierżawia, może wtrącić ich w nędzę, wywołać zupełną ruinę (Komitet Połtawski 740, Samarski 392). Niemniej dogodna dla dzierżawców, najbardziej szkodliwa dla rolnictwa, gdyż prowadząca do eksploatacji gruntów, dzierżawa roczna, zdaniem Komitetów jest w Rosyi rozpowszechniona najwięcej. Komitet gubernialny Saratowski wykazuje, że cechą charakterystyczną dla gub. Saratowskiej jest krótkoterminowość dzierżawy; względnie długoterminowa dzierżawa dogodniejszą jest (kilkoletnia) dla dzierżawców i kosztuje od krótkoterminowej o $\frac{2}{5}$, $\frac{1}{2}$ i $\frac{1}{3}$ taniej. W powiecie Sudżańskim przeważającą formą dzierżawy jest płaca od dzies. na jeden zasiew.

Ceny dzierżaw częstokroć są zbyt wysokie. W gub. Połtawskiej, wedle prof. Manułowa, dzierżawy przynoszą stratę (?), chłopi dzierżawią ziemię, gdyż nie cenią swej pracy. W powiecie Orłowskim dzierżawiona ziemia daje 360,369 rb. dochodu brutto; jeżeli odjąć od tego 245,871 rb. czynszu dzierżawnego, pozostaje 114,498 rb.

Bogatsi z włościan często dzierżawią za gotówkę, a już zawsze dzierżawią taniej, niż biedniejsi — powiada p. Z. Cybulski ¹⁾, przytaczając dane statystyki ziemstw gub. Saratowskiej i Woroneńskiej, wykazujące, że włościanie gospodarujący na ziemi:

do 5-ciu	dzies.	płacą za 1 rok dzierżawy	. .	rb.	7 kop.	20
"	15	"	"	"	"	5 " 92
"	25	"	"	"	"	5 " 62
"	50	"	"	"	"	4 " 69
wyżej	"	"	"	"	"	3 " 37

„Cyfry powyższe stwierdzają — pisze Z. Cybulski — że w miarę, jak zmniejsza się majątkowa odpowiedzialność dzierżawcy, a z drugiej strony zwiększa się u niego potrzeba do dzierżawienia ziemi, właściciel ziemski zmusza go do opłacania wyższej dzierżawy. Oprócz tego bogatsi z włościan wydzierżawiają większe przestrzenie ziemi za niższą opłatą, a mając wszystkich w „mirze“ zależnymi od siebie, oddzierżawiają sąsiadom mniejsze działki po cenie podwójnej.

Oddawanie ziemi w dzierżawę, daje możność obywać się właścicielowi ziemi bez inwentarza roboczego.

Z 11,000 majątków, zastawionych w banku szlacheckim polowa nie miała inwentarza własnego zarówno roboczego, jak i użyt-

¹⁾ Z. Cybulski — Ibidem 137.

kowego, a ziemię uprawiali włościanie okoliczni. Jest to fakt charakterystyczny dla rolnictwa rosyjskiego.

W Rosyi wielki właściciel ziemski, którego majątek znajduje się w dzierżawach włościańskich i uprawiany jest za pomocą inwentarza włościańskiego, ma z ziemi rentę, którą mógłby pobierać z kupienia listów indemnizacyjnych, gdyby nastąpiło wywłaszczenie z odpowiednim odszkodowaniem. *Jest to ważny moment ekonomiczny, wyjaśniający stosunek wielu ziemców do zamierzonej reformy agrarnej w Rosyi.*

Odłożenie własności wielkiej w Rosyi jest znaczne. W r. 1886 dług właścicieli ziemskich wynosił 539,600,000 rb. Stworzono wówczas specjalny bank szlachecki, w którym procent z amortyzacji został w 1897 r. obniżony do 4 od sta. Dług szlachty w bankach państwowych rósł w sposób następujący:

w 1886 r.	68 mil. rb.
„ 1892 „	267 „ „
„ 1895 „	351 „ „
„ 1897 „ przeszło.	400 „ „

W tym samym czasie i w bankach rosyjskich dług właścicieli ziemskich wzrósł z 556 mil. rb. do 697 mil. rb.

Do 1-go stycznia 1896 r. właściciele ziemscy wszystkim bankom winni byli razem 1,236 mil. rb., co na jedną dzies. wynosiło 28 rb. W guberniach centralnych odłożenie sięga połowy wartości ziemi (w gub. Kurskiej — 69,51 rb. na dzies. w gub. Tulskiej, Orłowskiej, Tambowskiej i Woroneskiej — 51—46). Gdy tymczasem w Królestwie Polskiem i kraju Nadbałtyckim odłożenie nie sięga $\frac{1}{2}$ wartości. Majątków zastawionych jest procentowo w tych krajach więcej niż w Rosyi, ale odłożenie, wywołane tam częstokroć względami produkcji, zwiększa wartość majątkową. W Rosyi właściwej tylko nieznaczny odsetek szlachty zajmuje się rolnictwem. Stosunek szlachty rosyjskiej do ziemi świetnie scharakteryzował p. Z. Cybulski:

„Tu szlachta nigdy nie reprezentowała interesów rolnictwa, o ile w różnych kwestyach rolnych głos jej był decydującym, zawsze wychodził ze środowiska szlachty, pozostającej na służbie państwowej i opinia jej zawsze była zabarwiona kolorem tego ministerjum, w jakim się służyło. W tej chwili urzędnik państwowy zapominał, że był jednostką składową pownej prowincyi w państwie, a nawet że był obywatelem kraju. Nigdy więc szlachcie nie bronił interesów rolnictwa i zapewne nie będzie ich bronił nigdy, bo nawet przypuszczając, że kiedyś może nastąpić zcentralizowanie interesów rolniczych w rękach samych rolników, że

z ich głosem państwo będzie się liczyło, to i w tej przyszłości od szlachty, pomimo jej najlepszych chęci, niepodobna oczekiwać niczego; ona tu zawsze ziemi unikała, jej tradycje mało związane są z ziemią, dla dokładnego zaś zrozumienia interesów rolnictwa, należy nie tylko samemu być rolnikiem, lecz trzeba odziedziczyć po dawnych pokoleniach instynkt odczuwania potrzeb warstwy rolniczej. Do wyrobienia tego instynktu tamuje drogę stała nieobecność na wsi właścicieli średnich i większych, którzy nie prowadzą wcale swego gospodarstwa; z liczby średnich właścicieli 58,4%, zaś z większych 86,5% gospodaruje przez dzierżawców, ci zaś, którzy mają gospodarstwo własne, lecz sami są w niem nieobecni, w średnich posiadłościach stanowią 7,9%, zaś w wielkich 45,2%. Tak znaczny odsetek właścicieli ziemskich woli zajmować się służbą państwową, aniżeli pracować na roli¹⁾.

Wyzbywanie się ziemi w Rosyi przez szlachtę, jest zjawiskiem, które zaznaczali wielokrotnie ekonomiści rosyjscy. Od 1863 r. do 1899 r. ilość ziemi szlacheckiej zmniejszyła się w Rosyi z 32 mil. dzies. do 54 mil. dzies.

Wszystkie fakty powyższe czynią zrozumiałym projekt agrarny typu zakreślonego przez kadetów w Rosyi. Odłożenie ziemi ułatwia proces kredytowy indemnizacyi; to, że szlachta rosyjska rolnictwem się nie zajmuje, że się wyzbywa chętnie ziemi, osłabia opór, którą ta reforma napotyka. Ale wyjaśniając ów projekt one go nie usprawiedliwiają i pomimo bowiem odłożenia wielkiej własności w Rosyi, papiery indemnizacyjne w razie przymusowego wywłaszczenia zwiększyłyby przepelniony papierami wskutek pożyczek rynek pieniężny o jakie 4 miliardy rubli, przez co papiery te stałyby o kilkadziesiąt procent poniżej kursu i rzuciłyby w otchłań nędzy wszystkich zadłużonych właścicieli ziemskich, pogarszając byt innych, wnosząc długotrwały zamęt we wszystkie sfery życia gospodarczego. Rok rocznie 3¼ mil. dzies. ziemi właścicieli prywatnych (nie włościańskiej nadziałowej) rzuca się na rynek, z których 1 mil. dzies. kupują chłopi. Otóż ów fakt mówi, że swobodny obrót ziemi może być czynnikiem reformy agrarnej w Rosyi typu europejskiego, że nie jest i tam niezbędne przymusowe wywłaszczenie. Państwo mogłoby tam skorzystać z podaży ziemi szlacheckiej, z odłożenia szlachty w banku szlacheckim, nabywać grunta przez bank włościański dla prowadzenia planowej akcji parcelacyjnej, tworzenia gospodarstw żywotnych,

¹⁾ Z. Cybulski—Przyczyny upadku włościan i głodów w Rosyi, str. 93.

zdolnych być nosicielami kultury rolnej. Przymusowe wywłaszczenie jest tam zbyt szkodliwe.

Przymusowe wywłaszczenie jest operacją chirurgiczną gospodarstwa narodowego. Usprawiedliwić je może konieczność — zasada *salus respublica*. Otóż takiej konieczności politycznej niema, gdyż idea wywłaszczenia wielkich posiadaczy a uwłaszczenia chłopów, jakkolwiek mobilizuje masy do walki, ale walka ta jest bardziej rozkładową, niż twórczą politycznie. Pierwszą jej fazą — palenie dworów, drugą — wzajemne podpalanie chat, spory o ziemię, gdzie jako argumenty wystąpią widły i topory; trzecią — rozrost sfery działania administracji rządowej. Głody, zda się, wskazują na konieczność ekonomiczną wywłaszczenia jednych, uwłaszczenia drugich. Setki miliony rubli, miliony żyć ludzkich, kosztowały Rosyę głody w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Są one symptomem choroby ekonomicznej znacznej strefy państwa. Jeżeli potrzebna jest taka operacja chirurgiczna dla uleczenia tej strefy, jak przymusowe wywłaszczenie, pocóż tę operację rozpościerać na inne prowincje państwowe, ranić ich organizmy gospodarcze. O ile jednak wywłaszczenie wielkich posiadłości byłoby środkiem skutecznym na głody, pozostaje kwestyą sporną, wobec tego, iż wielokrotnie skonstatowano, że w latach wielkich nieurodzajów, jak 1891, 1897, gdy urodzaj na gruntach chłopskich spadał do jednej trzeciej, urodzaj wielkich gospodarstw spadał maximum o jedną trzecią, najczęściej mniej. Wspominaliśmy, jak stronią od rolnictwa wielcy posiadacze ziemi w Rosyi, pomimo to urodzaj na ich ziemiach przeciętnie jest o 20% wyższy od włościańskiego i różnica byłaby większa, gdyby niemal połowę przestrzeni wielkiej własności nie stanowiły w Rosyi małe gospodarstwa.

W wydajności najcenniejszego zboża, pszenicy, różnica między ziemią szlachecką i chłopską jest jeszcze znaczniejsza; dla pierwszej przyjmują przeciętną 80 p. na dzies., dla drugiej 50 — 60 p. Wywłaszczenie więc i nadział obniżyłyby produkcję zbożową Rosyi na setki mil. pudów, co zaciężyłoby dotkliwie tak na konsumpcyi ludności miejskiej, jak na bilansie handlowym i płatniczym Rosyi.

Gdyby źródłem niedomagań chłopów był brak ziemi, to można by mówić, jako o właściwym leku, o wywłaszczeniu wielkiej własności i uwłaszczeniu. Można byłoby tylko zastanawiać się z Czuprowem i Kaufmanem, czy to lekarstwo jest ilościowo dostateczne. Lecz brak ziemi w Rosyi jest względny. W Rosyi wszędzie się skarżą na brak ziemi. „Skargi te, powiada Jermolow, rozlegają się i w Północnym Kaukazie, w stanicach kozac-

kich, gdzie po 20 i więcej dzies. przypada na dorosłego mężczyznę. Dają się słyszeć one i w Syberyi, gdzie dawno osiedli Sybiracy z niechęcią patrzą na przybywających kolonistów. Skarżą się też i w gub. Permskiej i Ołonieckiej, gdzie spotykamy nadziały po 40 dzies. które są utylizowane w nieznaczonej tylko części¹⁾. Otóż poczynając od krańców wschodnich Rosyi Europejskiej i jej ziem azyatyckich—krajów o rzadkiej ludności, wielkich obszarach, którymi rozporządza ludność włościańska, przechodząc do ziem centralnego czarnoziemiu lub przemysłowych, wszędzie istnieje w Rosyi względny brak ziemi, względne przeludnienie w rolnictwie. Ziemi brak przy kontynuowaniu dawnych systemów rolnictwa. Mało jest przeciętnych 23,8 dzies. na gospodarzkę dla gub. Ufimskiej, która nie przeszła jeszcze do nawożenia pól, jak również mało 9,9 dzies. w gub. Włodzimierskiej, 9,3 w Penzeńskiej, która nie może rozstać się z trójpolówką.

Zwiększenie natężenia rolnictwa w Rosyi na gruntach drobnej własności, równałoby się zwiększeniu ziemi włościańskiej. Postęp rolnictwa nie jest rzeczą łatwą, wymaga odpowiedniej polityki ekonomicznej ze strony państwa, wymaga odpowiedniej akcyi ze strony organów prowincjonalnych, bardziej znających potrzeby lokalne, wymaga nie zarządów biurokratycznych, ale samorządów prowincjonalnych. Otóż ponieważ postęp rolnictwa jest z natury rzeczy sprawą lat wielu, wypełnionych odpowiednią pracą, więc zdaniem większości publicystów rosyjskich dla niezwałcznego ratowania chłopu trzeba dać mu ziemię, nadział uzupełniający. Byłoby to poniekąd słusznem, gdyby chłopci w Rosyi na ogół mieli ziemi w ilości nie dozwalającej zaprowadzenia postępu rolnego. Tak jednak nie jest.

Chłopi mają przeciętnie na gospodarzkę	desiatyn
W centralnym czarnoziemnym pasie	9,2
We wschodnich i południowo-wschodnich.	24,3
Centralnych nieczarnoziemnych	9,3
Nadjeziornym (Petersburska, Pskowska, Nowogrodzka, Ołoniecka)	17,3
Przyuralskich	17,4
Północnych	14,6
Małoruskich (Charkowska, Poławska, Czernihowska)	7,6
Noworosyjskich	9,9
Białoruskich	10,5

¹⁾ Jermolow. Nasz poziemielnyj wopros.

	desiatyn
Litewskich	11,0
Południowo-Zachodnich	5,9
Królestwo Polskie	6,2

Otóż prowincye dawnej Rzeczypospolitej, do Rosyi należące, nie posiadają na ogół na gospodarkę chłopską więcej ziemi; przeciwnie, Królestwo i kraj południowo-zachodni ma ziemi znacznie mniej, grunta ich, z wyjątkiem tylko południowo-zachodniego kraju, pod względem urodzajności naturalnej stoją znacznie niżej od centralno-czarnoziemnych, małorosyjskich i południowo-wschodnich gub., jednak nie przedstawiają obrazu tego upadku ekonomicznego, co tamte kraje, (upadku gospodarczego nie przedstawia też Nowo-Rosya).

Wprawdzie przeciętna liczba nie jest częstokroć typową liczbą, może ona być wynikiem grup gospodarczych bardzo różniących się wzajem od siebie. W 36 rdzennych rosyjskich guberniach liczone w okresie uwłaszczenia 677,222 tak zw. „darstwienników“, którzy otrzymali $\frac{1}{4}$ nadziału i przestrzeń ich ziemi wynosiła 502,378 des. Obecnie ilość ich szacuje Jermołow na 1 milion. Jest to kategoria najbardziej potrzebujących pomocy włościan. Włościan, którzy otrzymali od $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ wyższego nadziału w 35 $\frac{1}{2}$ gub. Rosyi liczy się 921,726 dusz rewizyjnych, posiadających 1,530,000 dzies., t. j. mniej, niż 2 dzies. na „duszę rewizyjną.“

Istnieje więc liczna kategoria włościan małorolnych, których byt jest szczególnie ciężkim. Sprawą ich winny zająć się odpowiednie organy publiczne. Jakie będą metody polityki ekonomicznej, zastosowane w tych guberniach, to ich rzecz. W każdym razie tu warunki miejscowe, pojęcia prawne ludności, jej tradycye historyczne—wszystko to winno być uwzględnione. Stąd też *nie unifikacyjne centralne organy państwowe, ale fragmenty państwowe, samorząd prowincyi, powołany do życia ze względów na potrzebę reform ekonomicznych, są tu najodpowiedniejszymi organami.*

Wspominaliśmy wielokrotnie, że ziemie Polski historycznej, jako nie znające na ogół własności gminnej, nie znające tych wad uwłaszczenia przy zniesieniu pańszczyzny, które rozpowszechniły się w Rosyi, wskutek wpływu szlachty rosyjskiej, rozwijają się pod względem gospodarczem znacznie prawidłowiej i *nie potrzebują tej operacji chirurgicznej, która stanęła na porządku dziennym w Rosyi*, a której skuteczność może być kwestyonowaną. Ziemie b. Rzeczypospolitej, posiadane obecnie przez Rosyę, składają się z trzech typów gospodarczych: krajów południowych, jakbyśmy je nazywali, południowo-zachodnich według terminologii rosyjskiej,

sześciu gubernij litewsko-białoruskich, które nazwiemy Litwą historyczną i Królestwa Polskiego. Kraje te różnią się stopniem ekonomicznego rozwoju i gęstością zaludnienia.

Królestwo liczy 74 na wiorstę kw.

Południowe kraje 58 " "

Litwa 40 w litewskich i 26 w białoruskich gub.

Kraje te dają znaczniejszy przyrost naturalny, niż państwo rosyjskie:

Południowe 2,84%

Litewsko-Małoruskie 2,10%

Królestwo 1,70%

Państwo rosyjskie 1,38%

Przyrost ten jest wynikiem szczęśliwego stosunku cyfry urodzeń do śmiertelności, zwłaszcza mniejszej śmiertelności.

Z krajów tych tylko Królestwo uważane jest za przemysłowe, kraje południowe posiadają tylko jedną gałąź przemysłu związaną z rolnictwem, jak: cukrownictwo, gorzelnictwo i t. p. Litwa historyczna jest wyłącznie krajem rolniczym.

Cukrownictwo południowego kraju przedłuża znacznie sezon pracy rolnej, stwarzając zarobek dodatkowy dla włościan. Zarobek na polach wielkiej własności przy burakach jest tak znaczny, że desiatyna ziemi buraczanej wielkiego właściciela daje chłopu więcej zarobku, niż jego desiatyna na działce.

Kraj południowy, to kraj fortun magnackich, olbrzymich latyfundiów. Są one pod względem gospodarczym zbyteczne, gdyż majątki 500 dziesięcinowe są już całkiem dostatecznie wielkie, aby być pionierami kultury rolnej i dostarczać buraków cukrowniom. Gospodarki około 500 dzies. są w kraju tym produkcyjne i żywotne, stąd przeważają tu dzierżawy znacznych rozmiarów. Wskutek znacznej ilości gospodarstw wielkich, klasa oficjalistów wiejskich jest w kraju tym bardzo liczna.

Likwidacya latyfundiów na rzecz znaczniejszych dzierżawców, stworzenie obok nich drobniejszych folwarków, polepszenie bytu włościan przez komasacyę gruntów, zniesienie szachownic, parcelacya pól dalszych, zniesienie podatku rolnego od małej własności (do 10 desiatyn) i ustanowienie postępowego podatku rolnego wzrastającego w miarę obszaru, w celu pobudzania do parcelacyi latyfundiów i dalszych pól folwarcznych, najczęściej gorzej uprawnych—oto reformy, które by mogły przynieść rzetelną korzyść temu krajowi.

Część tych reform może być wywołana przez akcyę ratunkową właścicieli ziemskich wobec projektu wywłaszczenia. Ważnem

jest tu zwiększenie ilości właścicieli ziemskich, począwszy od średniej do wyższych kategorii drobnej własności dla stworzenia liczniejszego zastępu, któryby mógł przeciwdziałać akcji wywłaszczenia. Oprócz tego właściciele latyfundiów winni pamiętać, że, gdyby przyszło wywłaszczenie ogólne, oni, nawet przy otrzymaniu indemnizacji, stracą jakieś 60—70% wartości swego funduszu, już to wskutek t. zw. „słusznej oceny,” już przez niski kurs tych listów indemnizacyjnych. To też przelewanie własności na dzierżawców i oficyalistów na dług, zabezpieczone zastawem, jest dla nich rzeczą dogodną. Następnie należy powołać do życia instytucję kredytową, długoterminowego kredytu amortyzacyjnego dla spłaty zastawów prywatnych.

Reformy podatkowe dla ulżenia jednym formom własności, a usunięcia niepożądanych, mogłyby być najlepiej zaprowadzone przez samorząd lokalny, wyposażony w odpowiednią kompetencję podatkową.

Projektowane zaś uwłaszczenie przymusowe, ustanowienie norm spożywczych lub norm pracy własności ziemskiej, byłoby klęską ekonomiczną dla tego kraju, gdyż obniżyłoby jego kulturę gospodarczą, pozbawiłoby go produkcji cukrowniczej. Kraj stałby się widownią nędzy i musiałby się wyludnić.

Pod względem kultury rolnej Litwa historyczna stoi o wiele niżej od kraju południowego. Jest to kraj, gdzie panuje jeszcze trójpolówka, tylko ze względu na staranniejszą uprawę rolną, lepsze umierzwianie pól, używanie nawozów sztucznych, większego rozpowszechnienia się pługów i ulepszonych narzędzi rolnych, kultura rolna tego kraju jest wyższa, niż w centralnych guberniach Rosyi.

Postęp gospodarczy Litwy historycznej jest wprost wynikiem jej dziejowej tradycji, tej kilkuwiekowej kultury rolnej, która zapoczątkowywała się i rozwijała pod wpływem polskim, posiadkowaną polską kolonizacją rolną.

Od uwłaszczenia włościan tego kraju, reformy pomyślanej dla stanu włościańskiego, cała polityka ekonomiczna państwa, nie uwzględniła jego interesów. Przyływ z Królestwa kolonistów Polaków, nosicieli wyższej kultury rolnej, był zatamowany. Prawo zabraniające kupna ziemi Polakom, nie tylko przybyłym z Królestwa, ale zamieszkałym od szeregu pokoleń w tym kraju, tak dalece ujemnie wpływało na obrót ziemią, że typową jej sprzedażą była tylko przymusowa sprzedaż na licytacji. Szedł najczęściej na sprzedaż majątek zrujnowany, nabywca dewastował go ostatecznie, trzebił lasy, częstokroć parki i ogrody. Włościanin katolik

był skrepowany w nabywaniu ziemi, potrzebował uprzednich starań, świadectw administracyi, której agentów musiał opłacać. Oprócz tego prawo stawia chłopu normę 60 dzies., po za którą nie może on nabywać ziemi.

„U nas najczęściej sprzedaż majątku dokonywuje się drogą sprzedaży przymusowej „z licytacyi“—czytamy w pracach Komitetu miejscowego gub. witebskiej (wyd. w 1903 r. w języku rosyjskim str. 38).

Kraj ten był i jest pozbawiony odpowiednich instytucyj kredytowych.

Tylko właściciele Rosyanie mogli korzystać z taniego kredytu banku szlacheckiego.

„Przyczyniłoby się u nas bardzo do stania kredytu długoterminowego, — czytamy w referacie Komitetu gubernii Wileńskiej, — prawo otwierania u nas Towarzystw Kredytowych ziemskich na wzór istniejących w Królestwie i banków miejscowych typu gubernij nadbałtyckich. Te instytucye kredytowe, działające na zasadach wzajemności, dostarczają swym dłużnikom pożyczki na warunkach, znacznie korzystniejszych, niż nasze akcyjne banki ziemskie. Np. Wileński bank ziemski przy pożyczkach, wydawanych na 61²/₁₂ roku pobiera procentów 5,75, przy pożyczce 66-letniej opłata mniejsza się o $\frac{1}{2}\%$ i stanowi 5,25 rocznie, do tego należy dodać nadmierne kary przekroczeń terminowych, dochodzące do 12% i wydatki na pokrycie opłat stemplowych. Dłużnicy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie całkiem z innych warunków pożyczek korzystają; tu pożyczki wydawane są na termin znacznie krótszy, na lat od 31 $\frac{1}{2}$ do 38, pomimo to procent, który otrzymuje Towarzystwo razem z amortyzacją dochodzi 5,5, tak że na korzyść banku dłużnicy nie płacą nic, gdy w Wileńskim opłata ta wynosi pół % rocznie, kary za przekroczenia terminu, w Warszawskim dochodzą tylko 6%. Nie mniej dogodnym jest Kreditverein Kurlandzki.

Żadnych melioracyjnych instytucyj, w rodzaju biura ulepszeń rolnych w Dorpacie, zorganizowanego przez bank ziemski libawski, Litwa historyczna nie zna. Bardzo częste były wypadki, że drogi kredyt bankowy bywał tam przez ziemian zmarnowany, użyty jaknajnieprodukcyjniej.

Będąc pozbawione samorządu, wszystkie gubernie Litewsko-Białoruskie, jak i kraj południowy, są pozbawione dróg podjazdowych. Według obliczeń inżyniera Wulferta, gubernia wileńska płaci za przewóz po swych nędznych drogach gruntowych 4,620,000 rb., gdy tymczasem przy przeobrażeniu ich w drogi bite, transport

jej produktów kosztowałyby 1,248,648 rb., czyli wydaje zbyt wiele 2,371,352 rb. Taryfa kolejowa rosyjska, zmniejszająca się w miarę odległości, stwarza uciążliwą komunikację dla prowincyi wyższej kultury rolnej przez przerzucanie na ich rynki wewnętrzne zboża z prowincyi o bardziej rozciągniętej kulturze. Odczuwa to boleśnie Królestwo Polskie, skarży się też na to Litwa historyczna: „Do Wilna — czytamy w referacie Wileńskiego Komitetu gubernialnego — przywozi się z naszej gubernii około 200 pudów zboża, tymczasem gubernie innych stref dostarczają tu przeszło milion pudów. To przepełnienie rynków miejscowych obcem zbożem — zjawisko ogólne dla całego naszego kraju — tłumaczy się tem, że dzięki rozwojowi sieci kolei żelaznych i niższym taryfom na przewóz zboża do wewnętrznych naszych gubernij, rozwinęło się ostatnimi czasy na kresach wschodnich zaorywanie nowych pól, przyczem produkcya odbywająca się najpierwotniejszymi, a więc najtańszymi sposobami, opłaca się, dzięki naturalnej urodzajności gleby. U nas przeciwnie, jakość ziemi jest daleko gorszą, a wyższe pod względem kultury rolnej gospodarstwo wymaga znacznych nakładów. Koszt produkcyi puda żyta kosztuje w gub. Wileńskiej 54,1 kop., przewóz po kolei żelaznej na przestrzeni 50 wiorst 1,47 kop., od 50 — 150 w. — 4,41 kop. razem więc od 55,48 kop. do 58,57 kop.; w gub. Tulskiej produkcya puda żyta kosztuje 25,1 przewóz puda na przestrzeni od 1650 — 1750 w. 24,92 kop. razem więc 50,92 kop.

W kraju przemysł młynarski rozwija się nader słabo, gdyż szkodzą mu taryfy rosyjskie. Istniejąca jednakowa co do rozmiaru taryfa przewozowa dla zboża w ziarnie i mąki, jest środkiem sztucznym, ustanawiającym premium dla poparcia młynów Rosyi wschodniej. Przy zmieleniu żyta odchodzi około 30%, przy zmieleniu pszenicy około 25% otręb, dla których taryfa przewozowa obniżona o 2—3¼ kop. od puda, zależnie od przestrzeni. Przy porównaniu więc przewozu zboża i mąki okazuje się, iż przewóz jednego puda mąki w ziarnie kosztuje o ⅓—1¼ kop. taniej, niż przewóz puda mąki w ziarnie, a ponieważ za zmielenie puda mąki pobiera się na Litwie 5—7 kop., stąd premium młynarskie Rosyi wschodniej wynosi od 10—21% dochodu brutto młynów litewskich¹⁾.

Rzadka stosunkowo ludność, brak kredytu, brak dróg podjazdowych, słabo rozwinięta i nielicząca się z potrzebami kraju sieć kolejowa — wszystko to stanowi szereg okoliczności nieprzyjaznych

¹⁾ Prace komitetów miejscowych o potrzebach przemysłu rolnego. Gub. Wileńska 1905 r. (w jęz. rosyjskim).

dla uprzemysłowienia kraju. Dodajmy do tego zakaz, który ciążył do roku zeszłego na Polakach, co do kupna ziemi pod miastami i do dziś ciąży na Żydach (Polacy jak wiadomo otrzymali w kwietniu roku zeszłego prawo nabywania ziemi od Polaków) — jednym słowem na tych, którzy są nosicielami kapitału kraju, a zrozumiałą jest rzeczą, jak utrudnionem było na Litwie powstawanie fabryk po za miastami.

Istnienie serwitutów i szachownic ciąży do dziś dnia na postępie rolnictwa tego kraju, wszystko to konserwowano ze względów politycznych.

Nie posiadając rozwiniętego przemysłu rolnego, Litwa posiada niewielką ilość gospodarstw znaczniejszych. Majątki są podzielone na małe stosunkowo folwarki, których znaczna część znajduje się w dzierżawie szlachty zagonowej, ale już bezziemnej. Poszczególne dzierżawa wynosi od 50 — 200 dzies., które dzierżawca uprawia przy pomocy własnej rodziny oraz parobków.

Gdy wywłaszczenie przymusowe w kraju południowym dałoby największy zastęp poszkodowanych w oficyalistach wiejskich, w gubern. Litewsko-Białoruskich główny zastęp poszkodowanych stanowiliby dzierżawcy. Tu jednak przeobrażenie znacznej ilości dzierżawców we właścicieli zastawianych folwarków, wypłacających bankowi o 10 procent powyżej tego, co dziś oni płacą, jako czynsz dzierżawczy — byłoby łatwiejszem, gdyż znaczna stosunkowo ilość takich klientów bankowych zmniejszyłaby jego ryzyko. Dzierżawy są tu wycenione, ale moment psychiczny gospodarzenia na własnym gruncie uczyniłby wydajniejszą pracę dzierżawcy i dałby mu możliwość uiszczenia rat z amortyzacyi. Powstała dla regulacyi stosunków agrarnych instytucya kredytowa musiałaby nie posiadać lichwiarskich cech wileńskiego banku kredytowego ziemskiego.

W ciągu ostatnich lat 40-tu na Litwie historycznej społeczeństwa właściwie nie było. Wszystko było rozatomizowane. Była praca jednostkowa dla zapewnienia sobie i swej rodzinie dobrobytu, ale nie było pracy społecznej, polityki ekonomicznej zrzeczeń dobrowolnych, organów samorządnych. Obecnie kraj osiągnąć to musi, co winno zwiększyć tu skuteczność pracy tak rolnika, jak i przemysłowca.

I oto, kiedy okres wydajniejszej pracy jednostek, przez możliwość pracy społecznej, wydaje się już blizkim, odgłosy zamieszek agrarnych w Rosyi mącą stosunki tego kraju.

Chłopi t. zw. gubernij Zachodnich, pomimo przeszkód stawianych im przez krępujące prawodawstwo wyjątkowe, nabywali grunta.

Tak w gub. Wileńskiej		Zwiększyła się przeźreni gruntów	W tej liczbie kupionych przy pomocy banku włośc.	
1)	1863—83	70		
	1883—95	157,2	26,9	17,11
	1896—99	30,5	16,2	53,11
		<hr/> 257,7	<hr/> 43,1	
2)	Grodzieńska			
	1863—83	50,9		49,51
	1883—95	82,0	40,6	
	1896—99	36,3	22,5	61,98
3)	Kowieńska			
	1863—83	49,1		12,98
	1883—95	84,1	10,9	
	1896—99	20,4	5,6	21,21
4)	Witebska			
	1863—83	47,0		
	1883—95	741,4	51,9	29,76
	1895—99			
5)	Mińska			
	1863—83	40,7		
	1883—95	284,4	138,0	48,52
	1895—99	123,2	95,9	77,84
6)	Mohilewska			
	1863—83	56,6		
	1883—96	361,3	207,9	57,54
	1891—99	77,7	73,7	94,75

Bank włościański został otworzony 1883 r., stąd tylko w dwóch następnym okresie włościanie korzystali z jego pożyczek.

Zbyt jednak drogi był kredyt tego banku, zbyt wadliwa polityka jego, aby się mógł stać skutecznym czynnikiem reformy agrarnej. Tu potrzebną byłaby instytucja inna, oparta o samorząd kraju.

Rozwijając się gospodarczo, pomimo ciężkich warunków ludność włościańska t. zw. Zachodniego kraju, nie potrzebuje rewolucji agrarnej dla bardziej pomyślnego rozwoju, ale normalnych warunków politycznych, szerokiego samorządu krajowego i lokalnego.

Kraj ten nie jest bynajmniej przeludnionym i jego emigracja na Syberję, jest objawem anormalnym. W 1900 r. prze-

siedliło się na Syberję 15,078 rodzin, z których wróciło napowrót 6,750¹⁾).

Kraj ten może przyjąć nawet pewną ilość kolonistów, blizkich jego ludności, będących nosicielami wyższej kultury rolnej. Gdy koloniści ze wschodu, wdrożeni do kultury mniej natężonej, mogą zwiększyć przeludnienie tego kraju; koloniści z Królestwa, przyczyniając się do podwyższenia kultury rolnej, mogą przeciwdziałać względnemu przeludnieniu kraju.

Pionierami i nauczycielami rolnictwa na Litwie historycznej była ludność Polski etnograficznej, od wieków gęściej zaludnionej, utrzymującej żywsze stosunki z Europą Zachodnią. Dziś znaczniejsze uprzemysłowienie i wyższy stopień ekonomicznego rozwoju Królestwa, uwarunkowany jest nie tylko w dwójnasób gęstszą ludnością, ale i takimi faktami historycznymi ostatniej doby, jak zniesienie poddaństwa 1807 roku, czyli o kilkadziesiąt lat przedtem niż na Litwie, stuletniem niemal działaniem Kodeksu Napoleona, okresem odrębności prawnopństwowej Królestwa od 1815-31 r., z którego spuścizny korzysta Królestwo po dziś dzień, nakoniec, bogatymi pokładami węgla w pobliżu granicy zachodniej. Zaprowadzenie cła w złocie w 1876 r. przy upadku kursu rubla, spowodowanego wojną turecką, masowe wydalenie Żydów z Rosyi w 1891 r. – wszystko to było czynnikami przemysłowego rozwoju Królestwa, czyli raczej jego części, leżącej po lewej stronie Wisły.

Rolnictwo Królestwa pozostaje pod wpływem dwóch czynników: przemysłowy rozwój kraju stwarza centra dostarczające rynków zbytu na nabiał, warzywa i inne produkty rolne; z drugiej strony znajduje się Królestwo pod presją konkurencji rolnictwa rosyjskiego, konkurencji odległych kresów Rosyi wschodniej, które rzucają, dzięki taryfom kolejowym, zboże swej ekstensywnej kultury na rynek Królestwa. Widzimy tu ten sam czynnik, na który uskarża się Litwa i Białoruś.

Prócz tego znaczniejsze oddalenie Królestwa od portów bałtyckich kieruje eksport zbożowy Królestwa ku Niemcom, stąd cła agrarne Niemiec bardziej ciążą nad rolnictwem Królestwa, niż nad rolnictwem rosyjskiem, które wysyła swe produkty przez morze Bałtyckie do Anglii.

We wszystkich guberniach prawego brzegu Wisły, z wyjątkiem łomżyńskiej, ludność wiejska przez ostatnie lat 40-ci wzra-

¹⁾ Wileński Komitet powiatowy str. 77.

stała prędzej od miejskiej. Od 1872 do 1897 r., w ciągu lat 25-ciu, ludność Królestwa powiększyła się z 6,528,017 do 9,455,943, czyli o 2,927,926 głów. Ludność miejska podniosła się o 1,930,000 głów, czyli nastąpiło zgęszczenie ludności wiejskiej, gdy w Niemczech, pomimo nawet znacznego przyrostu ludności, miasta nie tylko pochłaniały całkowity przyrost, ale zmniejszyły także absolutne cyfry ludności wiejskiej. W Niemczech od 1881—90 przy ogólnym rocznym przyroście 1,07% ludność miejska podniosła się z 14,790,000 do 23,243,000 głów, gdy wiejska spadła z 26,219,352 do 26,175,241.

Posiadając gęstą ludność rolną (ludność rolna Królestwa wynosi 50 na klm. kw., Francji 45), Królestwo musiałoby prowadzić nateżony system rolnictwa, ale temu jak widziliśmy, przeciwdziałała przynależność tego kraju do Rosji. Kolonizacya rolna Królestwa na Litwę historyczną, na Wołyń spotykała zakazy władzy, (szczególniej usilne było parcie ludności Królestwa na Wołyń, ale temu położyły kres rozporządzenia Komitetu ministrów).

Z konieczności więc chłopci Królestwa dali znaczną emigracyę na stałe do Ameryki w 1889 r., z konieczności też dają stałą emigracyę zarobkową do Niemiec, Danii i Stanów Zjednoczonych, objaw podobny daje się zaobserwować w Galicyi. Stajemy się jakby piątym stanem ludów Ameryki i Europy, nie mogąc pracy naszego ludu zastosować na jego terenie historycznym, nie mogąc stworzyć tam dla niego odpowiedniego warsztatu pracy.

Rozszerzając sferę zastosowania pracy chłopskiej, parcelacya jest objawem dodatnim pod względem gospodarczym.

Parcelacya nie rozpoczęła się nazajutrz po uwłaszczeniu. „Chłopi, powiada M. Bloch, jeszcze nie opatrzyli się w nowem położeniu i przysłuchiwali się pogłoskom o nowych nadziejach. Z drugiej strony, właściciele ziemscy nie mogli odrazu przystąpić do uregulowania gospodarstw własnych, do ostatecznego załatwienia powinności i serwitutów.“ Budowa dróg żelaznych w szóstym i siódmym dziesięcioleciu, dostarczając zarobku ludności włościańskiej, daje jej pewną ilość gotówki na kupno ziemi. Wówczas to rozpoczyna się parcelacya. Podaż majątków wielkiej własności do parcelacyi, wywołaną została z początku potrzebą regulowania interesów po uwłaszczeniu; następnie okres depresyi cen, wywołany konkurencyą amerykańską, był w Królestwie, jak wszędzie, bodźcem do parcelacyi. Środków na parcelacyę dostarczał po części Bank Włościański, po części emigracya zarobkowa chłopów do Niemiec i Ameryki.

Ogółem po uwłaszczeniu nabyli chłopci w Królestwie 917,767 dzies. zwiększwszy przestrzeń swych gruntów z 4,590,325 dzies.

do 5,507,092. Przeszło dwie trzecie dokupionej ziemi przypada na ostatnie dziesięciolecie. Od 1894 — 1904 r. dokupili chłopi 636,594 dzies., gdy w ciągu uprzedniego trzydziestolecia ogółem 281,178 dzies. ziemi.

Stosunek gruntów nadziałowych do kupionych przedstawia się, jak następuje:

	Nadziałowej	Kupionej	Razem
W gub. Warszawskiej . . .	602,493	140,032	742,527
„ Kaliskiej . . .	399,118	123,871	522,989
„ Kieleckiej. . .	384,032	79,409	403,441
„ Łomżyńskiej. . .	632,782	147,868	780,650
„ Piotrkowskiej . . .	466,421	97,173	583,594
„ Płockiej . . .	269,793	44,060	313,953
„ Siedleckiej . . .	502,326	91,374	593,700
„ Suwalskiej . . .	613,202	11,663	624,765

Przeciętnie włościanie nabyli 20% ziemi nadziałowej. Najwięcej w gub. Radomskiej, przeszło jedną trzecią przestrzeni gruntów nadziałowych, następnie w Kaliskiej 31%, najmniej w Suwalskiej 2%, stosunkowo mało w Łomżyńskiej 10%; w pozostałych sześciu guberniach blisko przeciętnej normy. Znaczna stosunkowo ilość dokupionej ziemi w gub. Kaliskiej jest wynikiem emigracyi zarobkowej. Mały udział w emigracyi zarobkowej z gub. Suwalskiej nie jest główną przyczyną nieznacznej ilości dokupionych tam gruntów chłopskich. Jest to gubernia o znaczniejszym niż inne procencie własności chłopskiej; gdy w innych guberniach Królestwa własność chłopska zajmuje około 50% przestrzeni, w gub. Suwalskiej wynosi 70%. W gubernii tej włościanie otrzymali najznaczniejsze nadziały, po 12 dzies. na gospodarza, gdy przeciętnie w innych gub. po 7 dzies. Znaczna ilość majoratów, powstałych z naduń po 1831 r. generałom i pułkownikom rosyjskim, w gubernii Suwalskiej zmniejsza ilość ziemi dostępnej dla parcelacyi.

Obecne zarobki chłopskie w przemyśle, a szczególnie emigracya zarobkowa, jest ważnym czynnikiem kupna gruntów, kredyt odgrywa też pierwszorzędną rolę w kupnie ziemi przez chłopów. Wskutek jednak wadliwości banku włościańskiego z pomocy jego korzysta tylko część włościan przy kupnie ziemi. Od chwili bowiem otwarcia banku włościańskiego w Królestwie 1890 r. do 1903 r. włącznie przy pomocy banku włościańskiego nabyli chłopi Królestwa 353,709 dzies., t. j. zaledwie czterdzieści kilka procent kupionej w tym okresie ziemi; wydane było 75,475 pożyczek, kupno ziemi dokonane było 179,000 ruży, z których przeszło dwie trzecie przypada na okres istnienia banku włościańskiego.

Braki banku włościańskiego, nieprzystosowalność ustawy jego do naszych warunków, drożyzna tego kredytu, formalistyka biurokratyczna tej instytucji, czyniąca kredyt ów dla chłopów jeszcze droższym—wszystko to uprawnia przypuszczenia, że w razie otwarcia krajowej instytucji parcelacyjnej, proces parcelacji może być w kraju znacznie przyspieszony.

Znaczna ilość włościan, nabywających ziemię w Królestwie Polskiem zarysowuje w umyśle chłopów kupno ziemi, jako rzecz naturalną, pożądaną, z samej natury stosunków wynikającą. Wobec czego polityka agrarna kraju winna oprzeć się na procesie dobrowolnego kupna i sprzedaży ziemi, parcelacji; uwłaszczenie, dodatkowy nadział, pokrewny pojęciu „obszczynika,” znającego peryodyczne podziały gruntów gromadzkich i wzdychającego do wciągnięcia do tych podziałów gruntów wielkiej własności—jest czemś całkiem obcym pojęciu prawnemu chłopów naszych.

Proces parcelacji przy odpowiedniej polityce kredytowej i podatkowej, może oddać ziemię w ręce chłopskie. Z danych zebranych przez Blocha o parcelacji w znacznej części Królestwa okazuje się, że parcelacji ulegają w znacznie mniejszym stopniu majątki mniejsze, a majątki magnackie nie ulegają jej wcale. Na dobra od 60—600 morgów przypada 21 parcelacyj, od 600—1500—4 $\frac{1}{2}$, od 1500—3000—1,2 $\frac{1}{2}$. Dla zachowania niezależnej inteligencji wiejskiej byłoby pożądanem, żeby przeciwnie, parcelowały się latyfundiya, a nie pół średnia własność ziemska.

Majątki większe można łatwo wciągnąć do parcelacji przez ustanowienie opodatkowania ziemi w zależności od obszaru, postępowo wzrastającego ze wzrostem obszaru. Otóż należałoby ustanowić minimum własności ziemskiej wolne od podatku, tem minimum mogłyby być grunta do 10 morgów; grunta do 300 morgów mogłyby zachować dawną normę opodatkowania, grunta od 300 do 500 powinny być opodatkowane o 10 $\frac{1}{2}$ wyżej; każde sto morgów płaciłoby zwiększający się podatek ziemski, tak żeby własność ziemska ponad 2000 morgów tylko przy wyjątkowej kulturze rolnej dawała zyski. Minimum wolnego od dodatkowego podatku gruntu mogłyby być zwiększone, w razie, gdy kultura rolna w majątku jest związana z przemysłem lub daje znaczne zarobki stałym czy sezonowym robotnikom.

W Królestwie według danych centralnego Komitetu statystycznego około 1,5 przestrzeni należy do 288 właścicieli, stanowiących grupę posiadaczy powyżej 4,000 morgów. Otóż bez presji podatkowej lub przymusowego wywłaszczenia, grunta tych właścicieli nie pójdą na zaspokojenie „głodu ziemi” warstwy wło-

ściańskiej. Systemem polityki ekonomicznej europejskiej jest użycie systemu podatkowego, jako czynnika podatkowego, jako czynnika polityki ekonomicznej; systemem azjatyckiego despotyzmu jest wywłaszczenie, nie liczenie się z prawami jednostki. System pierwszy zwiększa obrót gruntowy, jest źródłem, zwiększającym dochody państwowe; system drugi wprowadza zamęt w stosunki gospodarcze kraju i rujnuje finanse państwa. Sejm w Warszawie może wybrać tylko metodę pierwszą; Duma petersburska okazała wielką skłonność do drugiej.

Wobec tego, żeśmy nie zabezpieczeni od narzucenia nam metody wschodniej przez Dumę petersburską, musimy jeszcze zatrzymać się nad pytaniem, czy ze względu na ilość gruntów mogą nasi bezrolni i małorolni być uwłaszczeni do normy umożliwiającej istnienie rodziny włościańskiej niezależnie od zarobku. Normę tę przyjmujemy przeciętnie na 10 morgów.

Po za własnością chłopską, wynoszącą 5,508,092 dzies. istnieje w Królestwie drobna własność (do 60 morgów) szlachty zagonowej, 651,740 dzies. i ziemi osadników miejskich 202,307. Tak więc drobna własność Królestwa wynosi 6,325 tysięcy. Następnie 153 dzies. zajmuje terytorium miast; 3,261 tys. średnia i większa własność szlachecka, 650 tysięcy—ziemia należąca do skarbu państwa. Grunta rządowe stanowią 1100 tysięcy dzies., lecz ponieważ składają się przeważnie z lasów, tylko 10% mają przestrzeni odpowiedniej do parcelacji. Z ziemi właścicieli prywatnych wypadnie około 35% potrącić na lasy i nieużytki, przestrzeń więc ich parcelacyjna równa się 2500. Ogółem więc cała powierzchnia Królestwa, mogąca być rozparcelowana, nie przechodzi 2600 dzies. (5200 morgów).

Osad poniżej 10 morgów według danych warszawskiego biura statystycznego jest 491,644 na gruntach nadziałowych, posiadają one 2,670,036 morgów ziemi; przy uzupełnieniu obszaru tych gruntów do 10 morgów, winny byłoby posiadać 4,916,440 czyli należałoby dać 2,246,404 morgów.

Osad na gruntach nabytych przez włościan od osób innego stanu i nieposiadających 10 morgów jest 131,561, brakuje im do 10 morgowej normy 646,670. Wreszcie 19,707 osadom drobno-szlacheckim poniżej 10 morgów brakuje 67.352.

Potrzeba więc byłoby na uzupełnienie ziemi małorolnych osad: $2,246,040 + 646,670 + 67,312$ razem 2,959,386. Jeżeli dodamy do tego potrzebę uzupełnienia ziemi małorolnych mieszczan, trudniących się rolnictwem, to otrzymamy sumę powyżej 3 mil. morgów.

Rachunek nasz uwzględnił tylko osady i 491,6 tys. chłopów małorolnych na gruntach nadziałowych, 131,5 tys. chłopów małorolnych na gruntach nie nadziałowych i 19,8 tys. drobnej szlachty, ogółem 642,4 tys. osad. Rodzin we wsi jest więcej niżeli osad, gdyż w osadach mieszkają rodziny jeszcze nie oddzielone. Wobec tego, że prawo zakazuje działów poniżej 6 morgów, w osadach poniżej 10 morgowych znajduje się znaczna ilość rodzin nieoddzielonych. P. Wład. Grabski przyjmuje, że liczba osad jest wyższą od liczby rodzin o 0,4. Wobec tego, że w osadach mieszkają i bezrolni, którzy stanowią odrębną kategorię, przyjmujemy ilość małorolnych o 0,2 większą od ilości osad. Liczba więc rodzin 642,4 tys. wynosi $642,4 + 128,4 = 760,8$ tys. Owe 128,4 tysiące rodzin wymagałyby też dla nadziału 1,284 tysięcy morgów.

Przeszło więc 4,285 tys. morg. potrzeba na uzupełnienie ziemi dla chłopów małorolnych. Dla nadziału bezrolnych pozostało około 1 mil. morg.

W 1897 r. Królestwo liczyło 191,271 rodzin i 37,038 osób pojedynczych bezrolnych. Otóż przez sam przyrost naturalny nastąpić musiało zwiększenie się liczby bezrolnych o jakie 15% czyli do 225 tysięcy. Oprócz tego stosunki prawno-ekonomiczne Królestwa sprzyjają zwiększeniu się ilości bezrolnych. Po uwłaszczeniu bezrolnych było nie więcej nad 70 tys. rodzin, po latach trzydziestu kilku liczba ich wzrosła do 191 tysięcy rodzin; wzrastała więc szybciej, niż ludność Królestwa. Na zwiększenie ilości bezrolnych wpływa kodeks napoleoński, wymagający równych działów dla rodzeństwa i zakaz dzielenia gruntów na działki poniżej 6 morgów. Insytucji kredytowej, która by dostarczała włościanom kredytu długoterminowego, ułatwiającego opłaty familijne i umożliwiającego kupno ziemi tym członkom rodziny, którzy zrzekli się swych części w dziedzictwie rodzicielskiem, in natura—Królestwo nie posiada. Ilość rodzin bezrolnych na wsi po za rzemieślnikami, robotnikami fabrycznymi i handlującymi, a więc bezrolnych trudniących się rolnictwem, należy szacować na przeszło 300,000 rodzin. Dla obdzielenia ich po 10 morgów ziemi potrzeba byłoby 3 mil. morgów, czyli, że Królestwo posiada 2 mil. morgów deficytu.

Eksperyment agrarny, zalecany przez ekspozyturę kadetów rosyjskich i naszą demokrację postępową, jest niewykonalny ze względu na obszar i zaludnienie Królestwa. Oprócz tego, im wyższą jest kultura rolna kraju, tem więcej inwentarza wymaga jego gospodarstwo. Stąd dla stworzenia pomyślnie prosperujących drobnych gospodarstw w razie nadziału, należałoby zużyć setki milionów na udzielenie inwentarza dla nowostworzonych i zwiększo-

nych nadziałem gospodarstw. Zwiększa to trudność operacji finansowej, której wymagałaby reforma agrarna.

W *projekcie reform agrarnych*, wydanym przez Demokrację postępową czytamy: „Przestrzeń jednostki gospodarczej, odpowiadającej potrzebom rodziny włościańskiej, nie może być dziś niższą niż 10 morgów, podnosząc się wyżej w miarę mniejszej urodzajności gleby. Gospodarstwa takie powinny być racjonalnie urządzone i zaopatrzone w budynki. Nadzór nad nimi i pobieranie odpowiedniej opłaty dzierżawnej winno być powierzone gminie, która, znając swych członków, łatwiej będzie mogła je oddawać w odpowiednie ręce i jako zainteresowana pilnie nad nimi czuwać“ (str. 9). Jest to zaprowadzenie „obszczyzny“ na naszym gruncie. Już nie realizacja, ale samo propagowanie u nas projektów podobnych wnosi zamęt ideowy. Towarzyszy im agitacja strejkowa po wsiach, mająca na celu zdeorganizowanie rolnictwa naszego, jak akcja strejkowa w ciągu lat ostatnich dezorganizowała nasz przemysł. Akcja strejkowa, agitacja agrarna zwiększa u nas antagonizm między posiadaczami ziemskimi a najemnikami, między wielo i małorolnymi chłopami. Proces ten podważa i paraliżuje proces unarodowienia się naszego chłopą, co zmniejsza szanse osiągnięcia możliwości usamodzielnienia kraju, prowadzenia własnej polityki ekonomicznej.

Choroby gospodarki społecznej Rosyi, jej patologiczne stosunki agrarne w gub. Saratowskiej, Samarskiej i innej zarażają nasz grunt miazmatami chorób społecznych i politycznych.

WL. STUDNICKI.

PAMIĘTNIK.

(*Strofy liryczne*).

25.

Nazywają mnie dokoła osobą „społeczną“, a Maryan orzekł nawet, że jestem tylko społeczniczką i „nie więcej.“ A ja czuję, że stworzona do miłości, że urodzona „grande amoureuse“, bardziej niż Giulietta, bardziej, niż George Sand... Stworzona jestem do namiętności tragicznych, do uczuć, o których historia pisze...

Miłości, o miłości...

Różo królewska, i czaro woman,
Bramo rajów utraconych,
Mocy, której królestwo
Jest bez granic...
Oto całe moje jestestwo
Wrywa się ku tobie
I nie wyrzeknie — za nie! za nie!...

Kochać chcę... Chcę miłości tytanicznej, gromowej... ognia, który począł się w niebie... wzruszeń nie z tego świata... Zajrzeć przez uchylone zawory tam... na dno otchłani, gdzie się wąż w uścisku Życie i Śmierci...

To jakieś chorobliwe rozszerzenie serca, którego zappełnić nie może ani miłość nieszczęśliwa, ani wyczerpana praca społeczna, ani ustawiczne kontrolowanie siebie i zjawisk świata.

I choćby Orecki miał mi wymyślać od „romantyczek,” powtarzam :

Serca zbyt wielkie są jako ule zbyt wielkie :
Miód ich zapelnąć nie może... stają się gniazdem jaszczurek...

W dali, jako konieczność logiczna, majączy mi samobójstwo...

26.

Burza dojrzeła.

Precz z liryzmem! z wzdychaniami gołębiemi! Stoimy u progu zdarzeń, których zmierzyć niepodobna. Któż odgadnie, co się kończy? Któż się ośmieli powiedzieć, co się zaczyna?

Lecą głuche wieści, jak strwożone gołębie przed burzą.

Słowo jest rozkazem, Słowo niewidzialne, wypadłe niewiadomo z czyich ust... Patrzymy, czy z zakrętu ulicy nie nalućną zastępy orężne, hufy o tarczach złocistych, proporce rozwiane.

Czekamy...

27.

Lawina górską, potok wezbrany, spiętrzone morze!

Zrywa tamy, pędzi, druzgocze, huczy, zalewa doliny i miasta.

Któż zmierzył siłę wodospadu? Któż obliczy rozpęd wulkanu?

Z łona ziemi, z wnętrzości milczenia wybuchły moce spletań. Aż w niebo bije krzyk—nie, nie krzyk: szął, ogień, rozpacz. „Wolności!...”

I stało się to, stawało... pod mojem okiem... Zatapiałam się w burzy własnych myśli, męczyłam, tłukłam. A koło mnie płynęła Wiekuistość... Nieśmiertelna pieśń odradzającego się życia... Wyteżam wszystkie siły ducha, aby zrozumieć chwilę obecna, ogarnąć jej doniosłość. I określić swój do niej stosunek.

Jeżeli miałam zdolności pisarskie, depczę je dzisiaj. Drę papiery, smutne świadectwo niedoszłych wlotów Pogazowych. Niech wyschnie na popiół myśl bezpłodna! Niech umiera we mnie „ja” wyolbrzymione. Chcę odtąd tworzyć w najcięższym materiale: w życiu. Tobie służyć, o Życie!... Na początku był Czyn, nie Słowo... I Czyn będzie wiecznie...

28.

Ruina — pogrom — zniszczenie... Kartagina zburzona, Jerozolimie, na której gruzach siedzą nieszczęsne... Więzienia przepelnione... Strzały dzikie... Krew dokoła... Krew... Ciała młodzieńcze, kwiaty wiosenne, stratosowane przez wściekłą przemoc...

Zgarniano je kupami, kładziono na wozy... I szły te wozy żałobne, nieskończone, kryjomo po nocy.

O Jeruzalem, o Kartagino... Gdy tarany oblężnicze biły o mury miast, a niewiasty obcinały warkoczce na cięciwy do łuków — nie płynęły łzy tak gorzkie, jak z ocz tych matek, którym nie wolno nawet pogrzebać dziecka...

Mroki... Mroki... i ten sam bat...

Ocalała z pogromu, patrzę błędniemi oczyma. Co ja tu robię? Czy nie powinnam iść tam, gdzie jeszcze coś uczynić mogę? W dziewiczych mózgach dzieci szczeplić ziarna przyszłości...

29.

Ostatni wieczór w Warszawie.

Wszyscy w komplecie: Władzia, Bolek, Maryan... małżeństwo: student i studentka z Paryża.

Uroczyście podają im herbatę w jednej szklance i dwóch stoikach od musztardy.

— Ostatnia to już herbata, którą pijecie u mnie!

— Wyjeżdżasz? — pyta sennie Władzia.

I Maryan podniósł głowę.

— Wracam do Zalesia. Tam jeszcze można coś robić... I może to jedyne, co można...

— To prawda... — odpowiada bezdźwięcznie.

Widzę! każdemu z nas zwała się na piersi zhora stupudowa. Ssie nas zwątpienie, rozpacz.

Władzia skubie coś przy rękawie. Maryan przegarnia nerwowo czuprynę, małżeństwo studenckie milczy. Bolek tylko zachował równowagę ducha. Układa w myśli plan nowego dramatu. Regularnie co miesiąc popełnia dramat...

Nikt nie usiłuje mnie wstrzymać. Każdy z nas w tym światku ma swoją rolę i nie wolno mu jej rzucić — pod infamią!

Idziemy jeszcze na spacer, „na ostatni spacer.“

Nazajutrz, niewyspana, rozbita, z zimnem wskroś ciała, z szumem w głowie, przyjechałam...

30.

Szmat sinej ziemi, upstrzonej połaciami śniegu tającego. Chały w dymach... pas bagien... lasy drzemiące...

Znów Zalesie...

Chodzę i patrzę... Wszystko tak samo... Jestem sobą dawną... skromną, nauczycielką wiejską...

Więc istotnie to było? ja, proch marny, ocierałam się o wielkich ludzi i na własną rękę marzyłam o nieśmiertelności?

Opadły złote pióra.

Jak sen, przeniknęły zdarzenia gorączkowe; dnie, niosące coraz coś nowego. Wpadłam w ocean Lodowaty, w ocean ciszy. Wszystko, jak gdyby skostniało. Bajka o śpiącej królewnie. Nie przyszedł jeszcze czarodziej, pocałunek nie zbudził do życia tych pól, stęgłych w równe skiby, wierzb o krętych konarach...

„Sobą dawną?...“

Nie. Już ja nie ta, co stąd wyjechała. Między tamtą nieśczęśliwą dziewczyną, rzuconą w najsmutniejsze warunki życia i szamocącą się w nich rozpaczliwie—a mną obecną, stanęło coś... Widzę serdeczną, jasną twarz Maryana... on nauczył mnie patrzeć, majaczy mi się nowe oświecenie... Czuję rozszerzenie kąta widzenia.

Orecki mówił, że tworzyć trzeba w męce... że tylko twórczość, podlana męką, ma wartość wieczystą... Oto ja dziś, całą męką zbłąkanej duszy, chcę wyorać skarb, znaleźć wyroczne słowo życia...

Boję się spojrzeć po za siebie... Dwadzieścia sześć lat... Czyż można to przekreślić jednym zamachem ręki?... Przysłowie uczy: „lepiej późno, niż nigdy...“ Maryan dodałby, że trzeba mieć odwagę niszczenia rzeczy złych i chybionych... Lecz mnie porywa żal i trwoga wobec ćwierćwiecza zmarnowanego...

A jednak — trzeba...

Panie Rzeczyckie dąsały się trochę za mój postępek z ciotką, ale nie trudno je udobruchać. Palila je zresztą ciekawość, jak tam było w Warszawie. Pan Wiktor wita mnie koleżeńsko i na powitanie pokazuje piękne, białe zęby młodego wilczka.

— Nie włącz mi w drogę, bo... — mówi ten uśmiech.

Człowieku, gdybyś wiedział, jakem daleka od wtrącania się w twoje sprawy!... Pełna smutku jestem, bo doznaję wrażenia, że zgubiłam siebie...

31.

Dręczy mnie przykry problemat.

Jaki jest stopień mojej użyteczności społecznej?

Na tej „placówce,“ jak mówi Maryan, kołując, niby mara błędna, wygłaszam mechanicznie pewniki wiedzy centralno-urzędowej.

Dusze dzieci? Rozwijanie ich? Ha! ha! ha! Jak sięgnę pamięcią, widzę się sztywną, niechętną, tłumiącą złość wewnątrz-ną. Patrzyłam w twarze, jak w maski nie nie mówiące. Brak

mi zawsze było klucza do tych światów zamkniętych. Maryan mówi, że dusze — to kwiaty, które trzeba wziąć w ciepłe dłonie i rozwijać do słońca. Tak... ale za to, wprost z placówki, można się przejechać... daleko...

Zresztą, tchórzostwo — to też wymówka przed samą sobą. Osłaniam nią ranę wstydliwą, wieczną bolączkę duszy mojej. Ową niezdolność czynu, niemoc twórczą, nieumiejętność życia...

Dlaczego tak?

Jest w tem wszystkim feler, brak jakiś, coś, co poprawić należy. Nie wiem, nie rozumiem, gdzie błąd, ale go czuję. Maryan (uważam, że pomału stał on się dla mnie wzorem, który cytuję we wszystkich wątpliwościach natury ogólnej) otóż Maryan i jemu podobni widzą przedewszystkiem społeczeństwo i potem pytanie: jaka moja tu służba? Ja widzę najpierw siebie i pytam się: jaki *mój* stosunek do społeczeństwa?

Wszędzie *ja* i *ja*.

Czy nie tu leży źródło? Roślina wybujowała nienormalnie jestem. Lata spędzone samotnie, na wpatrywaniu się w duszę swoją, wyrobiły we mnie ten chorobliwy przerost indywidualizmu! Teraz dopiero uczę się strychnulcem ścinać bezlitośnie główki kwiatkom mej „wyższości.“

Zdławić raz marzenia bezsensowne i śmieszne ambicje. Wyrwać z korzeniem samouwielbienie... nie admirować, niby Narcyz, szlachetności własnej...

Trzeba być ofiarną dla celu... nie dla procesu ofiarności...

32.

Nastrój liryczny...

Chodzę po bagnach, pod parasolem, przez który przesiąka plucha. Naokoło łązy, rozwieszzone na tumanach. Po niebie przepływają widziadła o rozpostartych szatach. Kędyś, w głębi, zrywa się wiatr przelotny... Leci szelest, niby skrzydło komara po lutni napiętej... Szarość niewyczuwalna, duchowa prawie... Malaryczna poezja tego zakątka kuli ziemskiej.

Dreczy mnie tęsknota. Czuję w sobie obecność uczucia jakiegoś, którego nie umiem nazwać po imieniu. Czegoś brak i czegoś za dużo. Powiedziałabym: nastrój twórczy... ale nie wiem, co tworzyć. Nie widzę obrazów konkretnych. Przypomnienie czegoś, co nie było. Platon, jak mi się zdaje, nazywa to „ideami wrodzonymi.“

Może i nie Platon. Wszystko, com kiedykolwiek wiedziała, przybladło, rozwiało się wskroś przestrzeni. Duchem jestem. Błą-

dzę w tej szarości setki, tysiące lat... Kształty pokoleń i ludów mijają, jak cienie za zasłoną. Przenika mnie zrozumienie, że cała wiedza, budowle logiczne, umiejętności, wznoszone mozolnie, to ułamki, znaki chińskie, dobrowolna umowa, jak w teatrze, by krawiec żółtego papieru uważać za księżyc...

W jaki kryształ czysty zakląć porywy rozpierzchłe?

W jakiej stali hartowanej odlać dobre chęci?

Błądzą... Szukam... Ostatniego wyrazu życia...

33.

Kobiety szczęśliwe nie mają podobno historii.

Dodają: i kobiety pracujące.

Nie wiem, ile już dni czy tygodni przeszło. Cała żyję w pracy. Od rana do wieczora... Życia nie starczyłoby... Do czegokolwiek się wezmę, widzę skrzywienie, które trzeba poprawić, ugor, który trzeba obsiać. Jestem jako rolnik, któremu otwarto zagrodzone dotąd obszary. Myślę: czy ja ślepa dotąd byłam?...

Siedziałam trzy godziny u starej Gdalakowej. Kobieta chora i jak palec, samotna. Syn ożenił się i zapomniał o niej. Postępując, opowiada mi historię życia, a raczej historię jednego nieprzerwanego mozołu i sześćdziesięcioletniej walki z głodem. Patrzyłam w twarz jej zmarszczoną, w podłogę z udeptanej gliny, w łatanie szmaty, suszące się nad kominem, gdzie tlał węgielek... Dzień po dniu wyrastał przedemną obraz tego żywota „na komornem,” gdzie w jednej izbie gnieździło się sześćcioro dzieci i piętnaście kur...

Uderzyła mnie tragiczna różnica moich niedoli wzdychających od czarnej, prostej brutalnej nędzy...

— Pięcioro dzieci pochowałam... pani moja... pięcioro dzieci...

Dzieci... te miniatury Boskie, wdeptane w błoto... przyszłość, która marnieje, wydając ledwie jedno ziarno na sto...

Ogarnia mnie żałość bezdenna, ból palący...

Wieczorami okrażają mnie te małe bosonogie figurki. Rzne ad hoc spreparowane wykłady freblowskie, do których przygotowuję się po lekcjach szkolnych. Wiem, że połowa słów mych przepada, bo więcej je zajmuje błyszczący samowar i różowy wazonik na stole. Poszturchują się i udzielają sobie uwag półgłosem. Ale to nic!... „Trzeba kochać,” mówi Maryan. Nie wiem, czy Kocham... ale wiem, że jestem zadowolona...

Oto cię widzę już, drogo służby... I tym gościńcem iść chcę — aż do śmierci...

Z nadejściem lata myślę urządzić gimnastykę. Umizgnę się do pana Rzeczyckiego o kąpiele. Może jakieś warsztaty ręczne... Słowem, moc projektów, aż po nocach spać nie mogę, przeglądając wszystko, co jeszcze zostaje do zrobienia...

34.

Wysłałam przed dom. Słyszę, sanki jadą. Myślę: „do dworu.“ Nie, minęły wjazd do dworu. Jadą dalej, wprost ku szkole. Stały. Wskoczył... Maryan.

Zdumienie... radość... okrzyk... cała fala wspomnień na widok twarzy tej... I zaraz myśl chłodna:

— To nie dla ciebie... Pewno z jakąś misją społeczną...

— Dzień dobry, panno Stachno!... Czy śmiertelnik znajdzie gościnne przyjęcie pod tym dachem oświaty ludowej i przepisów naczelnika straży ziemskiej?

Całował mnie po rękach, aż musiałam szepnąć: „Memento Tomaszowa.“

— Zawsze żyje zacna Tomaszowa? A teraz—herbaty, i proszę mi pokazać królestwo swoje... o, moja księżniczko zaklęta...

Zalesie śliczne dziś było. Lasy, drzewa, płoty oprószyła kiść srebrna. „Sadzity mróz,“ jak mówi Tomaszowa, rysował desenie na błędnym niebie; gałązki rzeźbiły się, niby w marmurze wykute. Ogród w kwiatkach lecącego śniegu iskrzył się pąkami białymi. Wizyta śniegową... Marzenie z lodu... Wszystko powlokła patyna czaru.

— Po co pan przyjechał nareszcie?

— Do pani.

— To jest, jako do tłoczni, która w beznózgie główiny dzieciaków i t. d.

— No, skłamałbym, gdybym twierdził, że nie mam w torbie paru funtów bibuły, a w sercu pewnego planu... Ale po za tem, przyjechałem do pani..

Samowar szumił na stole. Cisza... Cisza... Najzupełniejsza idylla...

— Czyż tu nie tysiąc razy lepiej, niż w hałasie warszawskim, między srokami i szpukami, powtarzającymi cudze frazesy?...

Opowiada.

Władzia lata po zebraniach i konspiruje. Bolek układa nowy dramat, a płodność jego przeraża wszystkich reżyserów i dyrektorów teatralnych. Małżeństwo studenckie wybiera się z powrotem do Paryża. Orecki...

— Cóż Orecki?...

— Zawarł pakt z żoną. Przestała go szpiegować, a on za to wraca na obiad do domu.

Słuchałam, jak we śnie. Więc nic się nie zmieniło. Ludek idzie dalej swą ścieżyną. Jaka ja już daleka od tego...

W moją chmurną ciszę snów i pracy wtargnął, niby okrzyk życia... Jak dziecko, niewytrzeźwione z drzemki, przecieram oczy...

Wieczorem zebraliśmy się u Jędrzeja.

Jedna odezwa — i cała wieś napłynęła. Maryan utrzymuje, że dziesiątki lat klauzury biurokratycznej i tyrania różnych naczelników wyrobiła w ludzkie to poszanowanie dla „papieru.“ Ale mnie się zdaje co innego.

Taki papier, co spada Bóg wie skąd, to coś nadzwyczajnego, nadzmysłowego... Kto wie, co on reprezentuje... Może jakąś siłę, trudną do ogarnięcia myślą?...

Patrzyłam na twarze zasłuchane, skupione, brązowe od słońca. Nieruchomość figur kamiennych. Niekiedy, gdy Maryan, uniesiony zapałem, opuścił grunt realny, zajechał zbyt wysoko, po jednych lub dwojgu ust przewinał się uśmiech niedowierzania. Dusze te, nienawykłe do spekulacyi, a pełne zdrowego, chłopskiego rozumu, z niestychną przenikliwością chwytają niemożliwość.

Uśmiechy te były, jakby przelotne błyski słońca po masce ze śpiżu. Gąsły wnet w ogólnem skupieniu i powadze.

To milczenie jest jak jezioro... spokojne, ciche a bezdenne...

Kto zgadnie, co się tam kryje... w głębi otchłani...

Maryan zdumiewał mnie. Gdzież się podział uczestnik wieców, „inteligent“ operujący terminami naukowymi!... Wychodził z niego jakiś inny człowiek, serdeczny kum, prostoliniujny twór ziemi!... Wypowiedziałam mu swoje uwielbienie. Zdziwił się. Alboż on udaje? Nie, taki jest rzeczywiście; co mówi, mówi z głębi duszy.

Zrozumiałam.

To jest credo jego, treść życia, konieczność, w tkanki cieleśne wzrosła. To jest człowiek silny, który *żyje* w idei.

Wobec jego prostoty i siły i ja nie rozumiem już dawnych moich buntów i ropaczy, rozłamu pragnień i obowiązków. Zaczynam wierzyć, że to naprawdę było tylko urojenie nerwów, za które Maryan gniewa się i gromi mnie energicznie. Wstyd mi za siebie. Obrażam go w najgłębszych ukochaniach, w najczulszem rozumieniu życia... Zdejmuje mnie cześć i trwoga...

— Niech mi pan wybaczy... Wiem teraz, że naprawdę pa-
sożył i nie wzięcej...

— Nie, panno Stasiu... Pani jest idealną istotą, tylko warunki życia spaczyły panią... Ale to powierzchowne zбочzenie; zrobimy z pani dzielnego człowieka!... A ja się cieszę podwójnie, bo...

— Bo co?

— Bo nas to zbliży... — rzekł cicho.

Znów mój pokój, cisza, i denerwująca ciasnota przestrzeni... Oczywiście, wyjechały na widownię moje ręce — i odwieczna prawda, że są miłe i słodkie...

I stało się tak, że Tomaszowa weszła uroczyście z tacą i szklankami, gdy Maryan klęczał przedemą i całował...

35.

Skandal...

Wieść rozleciała się i powraca, wyogromniona w plotkach. Państwo Rzeczycey lodowato wypowiedzieli mi dom. Pan Wiktor okrutnie błyska zębami. Nawet Tomaszowa mnie opuściła.

Włómaczyć się? Waleczyć z hydrą zjadających języków?

Nie mam ani ochoty, ani uzdolnienia.

Podałam się do dymisyi.

Fatalność!... Teraz, kiedy gorącym sercem wrastam w to wszystko, kiedy mi się drogą staje izba bielona i moja w niej praca...

Napisałam do Maryana o ratunek. Odpowiedział natychmiast. Ma dla mnie posadę, tymczasem nieświeatną, ale z czasem może znajdzie się coś lepszego. I w końcu ofiaruje mi serce i rękę.

Naturalnie! Po tem, „co zaszło...”

Stanowilibyśmy to, co w naszych kótkach nazywa się małżeństwem sympatycznym. Ludzie garnęliby się do nas. A my? Dużo zrozumienia wzajemnego... i wspólne cele...

Ale nie chcę.

Z Zalesia usunę się za tydzień. Co będzie dalej, nie wiem. Przyszłość moja, to biała karta, na której życie wykreśli granice, lądy i morza...

Tymczasem czytam po całych dniach.

Zaczynam odczuwać rozkosz czytania. Ten jej rodzaj był mi dotąd nieznanym. I cieszę się, jakby cieszył się malarz, wynalazłszy nową barwę. Zdobywam kopalnie wrażeń i czuję rozszerzenie się całej istoty u źródeł czystych i głębokich...

36.

Pod przyciskiem leżą bruliony mych dawnych utworów, szpargały, zabazgrane słowami bez związku... Świadectwo długich, mo-

notomnych godzin, niezapełnionych niczem... Chwil, kiedy umysł domaga się strawy, wyobraźnia — podniety, siły wyładowania.

A zzewnątrz nie przychodzi nic... nic...

I duch kona w pustce bez końca.

O ileż mi lepiej teraz... Zbliżam się do jakiegoś punktu wyniosłego, skąd, jak ze strażnicy, widok rozległy na przestwo-ry życia...

Przerzucam moje archiwa.

Listy od przyjaciółek i koleżanek... Co parę lat inne nazwiska, inne stosunki...

Ludzie na drodze naszej zapalają się i gasną.

Dzieciństwo... Byłam dzieckiem brzydkim i nieśmiałym. Pamiętam uwagi przyjaciółek mej matki, które, w przeświadczeniu, że bąk czteroletni nie zrozumie, śmiały się ze mnie. Nazywano mnie głupią, bom była mlecząca, zahukana i nie recytowałam bajeczek...

A ja czułam już wtedy zimną, przenikliwą świadomość...

O, jakbym ukarała je teraz za cierpienia dziecka, za to, że truty świeżą, wrażliwą, przejrzytą duszę...

One to może pierwsze rzuciły zarzewie nienawiści i ambicyi, i „wypaczyły drogę,” jak mówi Maryan...

37.

Jestem już na nowej siedzibie.

Dom stary, poklasztorny, mury grube, okna podobne do strzelnic. Dołem ogród o wiekowych, rozłożystych drzewach. Wieczorami, po sklepionych kurytarzach ściele się iście klasztor-na cisza.

Instytucya, w której spełniam obowiązki nauczycielki, jestto ochrona dla dzieci wyrobników, utrzymywana sumptem bogatych, a dobroczynnych dam. Oprócz mnie jest tu dozorczyńni pani Szelska. Rola jej jest raczej freblowska, ale że najlepiej lubi prze-siadywać w kuchni i pietrusić różne przysmaki, więc na mnie spada ciężar bawienia dzieci.

Wezoraj powiedziałam:

— Moje dzieci, dziś nie będziemy śpiewały chórem, ani grały w komórki do najęcia, tylko róbcie co wam się podoba. Krzyczcie, dokazujecie, jak w domu.

Dzieciuki wytrzeszczyły oczy i nie ruszyły się z miejsca. Dla ośmielenia ich wyszłam z pokoju. Jedno, drugie, zaczęło się kręcić, próbować tężyzny swej... nareszcie rozhulały się z takim animuszem, że aż pani Szelska przybiegła z kuchni.

— Cóż to za wrzask piekielny? Panno Stanisławo!... — zawołała z wynówką, pokazując mi guzy i sińce, któremi już młodzię zdążyła się ozdobić.

Objasniłam ją, że zabawa, w której dziecko spełnia automatycznie wolę opiekunki, nie jest zabawą.

Ale pani Szelska postawiła stanowcze veto. Ona jest odpowiedzialna tutaj. Wychowuje dzieci, chwala Bogu, od lat dziecięciu, o żadnej pedagogii nie słyszała i słyszeć nie chce, a wszystkie opiekunki są z niej zadowolone. Dowodem — książki...

Może to i prawda, że przy moim systemie zabaw, porządek okazały się mniej wzorowy...

Bawimy się więc w „komórki do najęcia“ i tym podobne gry towarzyskie. Wieczorem dzieci zjadają posiłek, zdejmują sukienki, przywdziewają swoje łachmany i wracają do domu... Skąd nazajutrz przyniosą faunę we włosach i bogaty słownik przekleństw.

A ja stoję i patrzę za nimi.

W niezgłębione mroki smutku...

38.

Opędzić się nie mogę od opiekunek, które przybiegają o każdej porze dnia, wtrącają się do lekcyj, dają mi wskazówki. Ale mam i znajomości sympatyczne. Pierwsza z nich to panna Marta, niewiasta „partyjna.“ Wysoka, ładna, wesoła. Wpada z piosnką, rozwija się z szat, a w miarę tych czynności, sypią się z niej, niby z puszek Pandory, druki różnych formatów, w ilości, zdolnej wybrukować ulicę Marszałkowską i wysadzić z posad piramidę egipską. Przytem mówi; wyrazy „dyrektywa“, „egzekutywa“ lecą z ust jej, dźwięczne, jak perełki. Ma ładne oczy niebieskie i powiada, że chciałaby wyjść za męża, ale nie żadne tam miłostki dekadence, tylko proste, zdrowe małżeństwo, i dziesięcioro dzieci, które się wychowuje na obywateli i bojowników!...

Odchodzi, a mnie przez całą noc brzęczy w uszach: „Dyrektywa.“ „Egzekutywa.“ „Dyktatura.“

Drugi — to pan Stanisław Horski, lekarz ochrony.

Człowiek, pływający w teorii. Przez cały dzień czyta. Czyta, aż do pęknięcia głowy. O życiu t. z. rzeczywistości tyle ma pojęcia, ile mu dostarcza co rano, wraz z bułkami, stróżka, ucieleśniająca w umyśle jego nudną, ale nieukniomą prozę egzystencyj. Lubię go, kiedy zaczyna mówić. Ślini się, połyka wyrazy, by nadążyć za potokiem myśli, nie patrzy na nikogo: pewna jestem, że choćby patrzył — nie widzi. Oczy mętne zwraca gdzieś ku tajemnym ośrodkom duszy. Czuje się w nim nieprzebraną krynicy my-

śli. I zawsze oczekuje się, że powie coś—coś niesłychanego, coś piorunującego...

On zaś, najczęściej urywa nagle, jakgdyby pod przebłyskiem jasnowidzenia: „nie warto.“ Macha ręką, twarz mu martwieje. Siedzi jak kłoda, aż do chwili, kiedy nowa myśl rozjaśni umysł, zelektryzuje, podnieci... Wtedy zrywa się, jak z księżycy spadły, zaczyna mówić prędko, urywkowo...

Prócz tego ma suchoty i stale przymiera głodem.

Lubię go za tę obojętność dla życia, za dziecinną nieświadomość spraw codziennych, za podarte buty i pięcioletni kapelusz, za charakter jagnięco dobry, przy którym burzliwe hasła rozbrzmiewają ze szczytną śmiesznością... Podzartowujemy też z niego... zresztą, tylko dla zwyczaju, bo szanujemy go wszyscy za niepospolitą wiedzę. On wie o tem — może i nie wie. Uśmiecha się i myśli o czem innem. Wydaje mi się czasem, że patrzy na ochronę, na dzieci, na mnie, i nie widzi nas wszystkich, zatopiony w abstrakcyach.

Przylatuje Władzia, cała w czerni i tajemnicach, zawsze gdzieś spieszy, zawsze brak jej czasu... Z nią lata Bolek, o tyle wściekły społecznik obecnie, o ile przedtem był nietzscheanistą i chmurną jaźnią...

Dalej krąży w przestrzeni małżeństwo studenckie, wiecznie wyjeżdżające do Paryża i nie mogące wyjechać...

Czasami zdaje mi się, że ci wszyscy ludzie mrowią się po powierzchni ziemi, jak osobniki, dotknięte lekkim obłędem. Gonią za majakami, krzyczą frazesy bezładne z pianą na ustach, biją się o nic...

Mania przybiera niekiedy formę ostrego szału, gdy się zetkną ludzie dwóch odmiennych partyj...

A ja?

Ja jestem obca.

Nie należę do tej, ani do tamtej, ani do żadnej partyi. Nie mogę się wkoleić w łożysko życia partyjnego. Nie lubię kłótni, swarów. Bierność mej natury każe mi marzyć o spójni, harmonii... I myślę pokryjomu, jakby to jednak ładnie było, gdyby wszyscy ludzie podali sobie ręce, jak bracia...

Zatapiam się w pracy, aby uciec od tego.

39.

A z tem wszystkim pusto, pusto, pusto!...

Gdy wchodzę wieczorem do pokoju, cisza szepece do mnie: nic... nic... nic...

Siadam przy oknie, na ogród. Kwiecień niesie na skrzydłach tehy słodkie i wabiące. Księżyc przezierny z za gałęzi, powleka ludzi i rzeczy pozłotą czaru. Na jakimś dachu szkli się, niby tafla jeziora, niby zwierciadło innego, lepszego świata... Drzewa, jak duchy, strząsają opony, stają półkolem... gdyby tanecznice rozchichotane... Chciałabym polecieć na łąki, unurzać się w rosie, w młodziuchnej runi traw, pić wilgotne tehy rozbudzonej ziemi... W obliczu tej wiosny coś okrutnego mnie szarpie. Coś porywa, gna!.. Duszno!.. Ciasno!.. Kołuję po pokoju, jak z wierz w klatce. Dławię się!.. Zedrzeć, zniszczyć wszystkie tamy sztuczne, mądre słowa rezygnacyi...

Do niego!.. Do niego!..

Nie zapomniałam... Przez tyle lat... Tęsknię, jakem tęskniła... Do niego... do tego śmiesznego maniaka, co złamał mnie i siebie... Do niego, który w głupim osłepieniu przypił się do szychu życia, ulepił sobie bożyszcze z fałszywych wartości i nie śmiał być wolnym.

Oh, ty...

Czemu uczyniłeś gruz i próchno z tego, co mogło kwitnąć, jak róża? Coś uczynił ze mną i z sobą? Czemu nie umiałeś przeżyć?... Ach, czemu nie umiałeś żyć!...

Wiosna...

Co rok powtarzające się misteryum i zawsze jednako cudowne.

Niepohamowany pód życia, *fiał* zbudzonej ziemi, przemożny zew twórczy, który rozpala tysiące kształtów i burw, zahaftowuje białą kanwę ziemi zgłoskami najpiękniejszej gwary... Gdzie do niedawna było szaro i smutno, śmieje się ruch i wesele. Przewodowny pocałunek życia...

Radabym mieć sto gardeł i harf tyleż, by sławić uroki twe, o wiosno...

40.

Marta przyszła w mej nieobecności, zobaczyła te grzechy literackie i wydrwiwać mnie zaczęła.

— Szpargały! Głędzenie!.. Nie dziś pora na to! Dziś trzeba zjednoczyć się w pracy, wyteżyc siły wszystkie do czynu!..

— Wy stoicie zawsze na poziomie rewolucyi francuskiej. Reszta historii przeszła dla was bez śladu.

— Teraz i bazgraczo przysięgli, moja Stasiu, ciskają precz bibułę i biorą się do roboty. Wiecie o tem? Czyn jest osiã wszechrzeczy. On rodzi myśli, on rodzi życie, on rodzi filozofię. I czyn będzie wiecznie!

Odwrociła się i odedrzwii raz jeszcze powtórzyła z naciskiem:
— Czyn będzie wiecznie...

Upokarzam się przed tym wyrokiem. Rośnie w duszy mej
pieśń czynu...

O przyszłości, przyszłości!...

Ogromna, nieobjęta, wzywana!... Stań się! Jakież będzie
kształt twój? Jakie zgłoski wypiszą historię dni nowych? Ja-
kie nieznanne, otchłanne siły ducha wybuchną z kryjówek? Jakie
nowe słońca przerodzą świat i nowe byty powołają?

Czekam. Drzę. Nad słuchuję odpowiedzi... Drgan na dźwięk
każdego dzwonka. Wbijam w przychodnia wzrok pytający:

— Co przynosisz?...

Nikt nie nie mówi. Wydaje mi się, że nosi w sobie tajemni-
cę, która jeszcze nie dojrzała. Słowo tai się jeszcze w czelu-
ściach... Gdyby mi ktoś rzekł dzisiaj, że to urojenie, że życie
jest takie same, jak przed laty dziesięcioma, że pod powłoką nie
kryje się nurt wezbrany — nie uwierzyłam! nie uwierzyłam!
nie uwierzyłam!...

Ja czuję... Ja wierzę w to, że życie niesie coś niesłycha-
nego...

41.

Dziś raniutko, przed siódmą, wpadł Maryan, zabłocony, ob-
darty, po kolana unurzany w szarym mule.

— Niech mi pani przyniesie szczotkę do czyszczenia! prę-
dko! żeby służba nie widziała!...

W milczeniu doprowadzaliśmy tualetę jego do stanu popra-
wności, wymaganej przez urzędy policyjne miasta Warszawy.
Musiał się rozebrać do tej operacyi. Ha, żeby to pani Szelska
widziała!

Zaczęłam nalegać, żeby na drugi raz wziął mnie ze sobą.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo, bo... Najpierw, tam koło ściśle zamknięte, a po drugie...

— Co po drugie?

— Czy to się tak gładko idzie cztery wiorsty w nocy, gdy
dokoła krążą patrole!

— Odkądże ta troskliwość o całość społeczniczek?

— Pani jest dla mnie więcej, niż społeczniczką...

Poruszyłam głowę. Ah, te wspomnienia!...

Trzeba go było wyprowadzić ostrożnie. Na schodach za-
trzymał się.

— Stasiu, Stachno... Więc nic? Dalej nie?...

— Dalej nic.

— Nie chcesz wyjść za mnie?

— Nie.

— Ha, niewiasto z kamienia!

Wzruszył ramionami, zmartwiony trochę, ale czyż społecznik może się martwić taką drobnostką, jak wianek grochowy?

— W każdym razie, rzucił już z dołu, niech pani drzwi na noc nie zamyka, bo ja częściej może będąc musiał oczyszczać się z grzechów nocnych...

Zazdroszczę mu tego życia czynnego i pełni wrażeń.

A zawsze strona dekoratywna... Takie to moje społeczeństwo!..

Bolek wyrobił mi tłómaczenia w jakiejś księgarni. Piszę we wszystkich wolnych godzinach. Maluczko, a stanę się bardzo bogata i może urzeczywistnię moje marzenie od lat: podróż do Włoch...

42.

I znów krew... Ofiary nieprzeliczone... Ścięte pokłosa, dzieci, starcy, młodzież... Najszlachetniejsze, najczystsze ziarno!...

O ziemio, krwią przesiąkła... O ziemio męczeńska... Jakież skarby ofiarności! Jakież nieprzebrane źródło bohaterstwa! Jakież żywołności jest organizm, z którego tyle krwi wytoczyć można — a on żyje...

Biorę gazety, rzucam z przerażeniem. Krew... krew... Policya rani robotników, robotnicy policję, wojsko strzela do przechodniów, spiskowcy rzucają bomby na wojsko, nożowcy rabują sklepy, socjaliści rzną nożowców, rzezimieszkowie biją terrorystów, terroryści — rzezimieszków... Kołowrót dymiący śmiercią... wszędzie strzały, mordy, krew...

Komu to potrzebne i na co!...

Wytworzyła się stała rubryka zabitych. Pięćdziesiąt trupów nikogo nie dziwi. Człowiek przemienia się w głuchą i ślepą maszynę, której nie wzrusza ryk kanonady i trzask walących się domów...

Co będzie dalej? Jak się powikłają jeszcze te straszne stosunki, gdzie człowiek dla człowieka jest zwierzyną?

Marta szaleje. Nozdrza jej rozdymają się, jakgdyby wietrząc krew. Wygląda, jak Napoleon, liczący narody ujarzmione. Każdy zabity stójkowy przyprowadza ją o paroksyzm radości.

— Na Boga... — szepnęłam. — Cóż ten człowiek winien?

— W jego osobie karze się system.

— Budzicie hyenę, drzemiącą w każdej duszy ludzkiej... Rozpalacie pożogę, której nie zdołacie ugasić! Dzięki wam, życie stanie się jedną areną, gdzie czyhać będziemy na siebie z pazurami!...

— Paradna z was istota... Może litować się będziecie? o duszyczko sentymentalna!...

Marta mówi niezłomnie, terroryzuje mnie apodyktycznością. Opuściłam głowę. Cóż ja znaczę! Każdy jest mądrszy, bystrzejszy, wymowniejszy odemnie, każdy więcej czytał i ma więcej cytat w zapasie, niż ja tytułów książek... ja, głupia, nauczycielka wiejska... Wiem. W historii niema sentymentalizmu. Przez ciąg dziejów przeplątuje się wiekuiście jedna i ta sama zwrotka: biada zwyciężonym... Ale jednak... Ale jednak...

Tak mi smutno...

43.

Byłam z Martą w teatrze, oczywiście, na najwyższem piętrze, pod sufitem. W krzesłach zobaczyłyśmy Oreckiego z żoną. Osoba nie pierwszej już młodości, ale odświeża się sztucznie. Cała we fiokach, uśmiechach, przymileniach. Rozmawiała z dwoma panami, siedzącymi o rząd dalej. Co chwila obracała się do nich ze śmieszna minanderyą czterdziestoletniej naiwności. Aż mnie wstyd brał za nią.

Obok niej siedział Orecki, chmurny, jak noc.

Spotkaliśmy się przy wyjściu z teatru. Subtelnie drwiący uśmiech przewinął mu się po ustach.

— A te dwie gwiazdy skąd tutaj?

— Z paradyzu! — odparła Marta.

Wyraził zdziwienie iż dotąd nie wiedział, że ja jestem w Warszawie.

Milczałam, pozwalając im wdawać się w skombinowane spiski co do jakiejś sprawy.

— Zatrzymają się panie chwilkę? Tylko odprowadzę legalną połowę do ogniska domowego.

— Byle niedługo.

— Oh, mnie jeszcze pilniej, niż paniom!

Czekałyśmy w kawiarni.

— Nie rozumiem takiej Oreckiej! — mówiła Marta. — Ja na jej miejscu plunęłabym mu w gębę i i poszła, gdzie mnie oczy poniosą.

— A miłość?

— Miłość? Gdzie mnie policzkuje dzień po dniu? Toż dla niej samej lepiej byłoby przecierpieć raz i niech się skończy!...

Orecki wpadł rozpromieniony.

— Służę paniom.

Marta jest wysoka i bardzo przystojna. Nasz Demostenes bynajmniej nie jest obojętny na takie cechy. Ja szłam w milczeniu, chmurna, zmknięta w sobie. Zwykła powłoka moja dni codziennych...

Odprawdziliśmy Martę, a że do ochrony mojej daleko, zaproponował dorożkę.

— Co się pani dzisiaj stało? — spytał, pochylając się nademną.

Szukał rąk moich, ścisnął mocno, podniósł do ust. Oburzyło mnie to. Tak bez wstępu? Po półrocznem niewidzeniu? Jakież ma prawo!...

Zaczął mówić o sobie, o swojej przyszłości...

Świat go uważa, i — co gorsza — on sam się uważa czasem za skończonego... A jednak czuje, że nie wypowiedział się jeszcze, że jeszcze może coś dać światu...

I rozwijał projekty gorączkowe.

Nagle rzekł:

— Ucieknijmy zagranicę.

Poruszyłam głową z uśmiechem lekceważenia.

Nalegał:

— Ucieknijmy. Jak dwa ptaki przecinać będziemy Europę wzdłuż, wszerz... Hiszpania, Grecya... gdzie pani zechce... choćby biegun północny!... Potem? Ach, co myśleć o potem? Życie chwilą — oto najwyższa mądrość życia!

— Szaleć?... — szepnęłam wpatrzona w odległe majaki duszy.

— Szaleć... Czy potrafiłaby pani życie stawić na kartę? Ach, nie zna mnie pani jeszcze... Dla jednej sekundy gotówem umrzeć. Jedziemy na kolej... Dobrze?

Szukałam ucieczki od tych słów kuszących, od oczu, wbitych we mnie z żelazną wolą hipnotyzera.

— A działalność społeczna?

— Co mi społeczeństwo!.. Mam odwagę powiedzieć głośno, że mnie to nie obchodzi... Teraz, kiedy wrzenie sięga zenitu, kiedy spławy rozpalone są do białości, kiedy namiętności społeczne przeradzają się w fanatyzm... Nic mnie to wszystko nie obchodzi!.. Mam jedno życie—jedno tylko życie—i chcę wysączyć je do dna... Bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa...

— Takiś to społecznik, bracie... — myślałam z ostrym żalem.

W półmroku ostra twarz Oreckiego, jego szept namiętny, oddech palący tuż nademną—wydawały mi się, jak Mefisto-kusiciel. Przed zamgloną świadomością błyskały, jak sztangi żelazne, te wyrazy:

— Maryan... Orecki... Iluż ich będzie jeszcze?...

— Wszyscy jesteśmy erotomani... snuło mi się po myślach, niby ostatnia zwrotka ulatującej pieśni. On... ja... my wszyscy... Wypełniamy życie pogonią za wrażeniami, nie łudząc się ani na chwilę. Oboje szukamy w sobie lekarstwa na chorobę chroniczną—zapomnienia... Potrzeba nam co czas pewien wrażeń silnych, wstrząsających... Morfinizm myśli...

Ucichłam.

Wpadłam do domu, przycisnęłam głowę rękami. Strząsnąć! Zapomnieć!... Obmyć się w jakiejś krynicy czystej... Zrzucić wszystko, jak szaty zbutwiałe...

— Wszyscy jesteśmy erotomani... chichotał mi chochlik jakiś posępny na dnie serca. I takie to nasze społeczeństwo...

44.

Maj... Słońce... Upały...

Przez otwarte okno mej klasy wpada zapach bzu i płochliwe, okrągłe cienie liści, ruszanych wiatrem.

Chodzę, jak mara, siedzę na lekcjach rozbita, z sińcami pod oczyma. Prawie nie słyszę, co mówią do mnie.

Pani Szelska radzi mi na wieś wyjechać.

— To wiosna... — mówi. — Ja, jak byłam młoda, to mnie tak nieraz przecie rozbięło na wiosnę, że ani węz, rady dać sobie nie mogłam. Mówię pani od serca, jak matka. Na wieś... a potem za męż...

Zdaje się, że sama ma zamiar postąpić podług ostatniej recepty. Zamysłła się tajemniczo, odbiera listy, które drze zaraz...

Służąca moja chodzi z zapuchłymi oczyma. Jest tu w grze jakiś pan Wincenty.

Któręgoś wieczoru odwiedziła mnie Władzia. Wzdycha i wzdycha... Jest po słowie z Bolkiem, ale nie mogą się pobrać, bo nie mają utrzymania.

Miłość tu... Miłość tam...

Zaprawdę, ona jest osnową wszystkiego, ona przepaja wszystko!...

W tej olbrzymiej fali erotycznej ja tylko chodzę wytrącona, wykolejona...

Dokąd mam iść?

Czuję znów to, co niegdyś...

Pęd nieprzeparty pcha ludzi ku sobie. Ludzie parami idą przez życie. Osobniki samotne wyglądają dziwnie i dziko.

Orecki zasypuje mnie listami.

„Jak dwa duchy... W przestrzeni... Tylko... Bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa...⁴

Z początku darłam listy... Przychodzą coraz nowe... Codzienn...

45.

Jadę.

Chcę raz w życiu zaznać upojenia ruchu, zachwytu bezgranicznego, jak wtedy, w noc pochmurną w Zalesiu, gdy miałam towarzyszyć pani Rzeczyckiej... Raz w życiu wyjść poza normy—prawkłowość—równe i odmierzone koleje... Być, jak gwiazda—daleka — bezinienna — w przestrzeni... Życie koczownicze, przemożne, ruchome... O rozkoszy!... Żadnego z tych drobiazgów codziennych, które wżerają się w duszę...

... I przyjdzie koniec tej miłości naszej,
Ostatnie iskry wytleją w popiele,
Pusta oziębłość rozgości się w ciele,
A żądę zmora przesytu wystraszy...

Zorza uniesień, dusz wezbranych święto
Zagaśnie w szarej przędzy powszedniości...
W wyziębłym ciele pustka się rozgości,
Jak w wykłoszonej niwie, którą zżęto.

Co damy sobie? Jakie talizmany
Na długą drogę i na dzień powszedni,
Za raj prześniony wspólnie i wyłkany?...
A może z siebie odarci i biedni
Z zimnem i wrogiem pójdziemy obliczem
W dwie świata strony — by sobie być — niczem...

Co tam... Bez tchórzostwa!... jak mówi Orecki...

Wieczorem.

Szłam do sklepu po ostatni sprawunek na drogę. W ogrodzie Suskim przesunęła się koło mnie wysoka postać.

Żona Oreckiego.

Nie zna mnie. Szła z zupełnem zaniedbaniem, patrząc gdzieś przed siebie. W tem zgnębieniu pierzchała sztuczna, głupia zalotność, która Oreckiego do pasy doprowadza, a z kobiety tej czy-

ni pośmiewisko wszystkich. Patrzyłam na nią i wzroku oderwać nie mogłam od głębokiej, bolesnej zmarszczki na czole.

Uderzyła mnie myśl:

— Tę zmarszczkę wyźłobiłaś może ty...

I z błyskawiczną szybkością rozwijać się zaczęły myśli, jedne z drugich. Czemu się zbliżam do niego? Co nas ciągnie? Czy go choć Kocham? Nie. Czy on mnie kocha? Nie. Przyciągamy się i odpychamy naprzemian, gramy w kota i mysz... turniej dwóch dusz rozpróżnionych...

...I przyjdzie koniec tej miłości naszej,

Ostatnie iskry wytłęją w popiele...

Dlaczego więc?...

Zbudził się we mnie głos prostej, elementarnej uczciwości, bez sofizmatów. Marta mówi wprawdzie, że dla tej kobiety byłoby lepiej, żeby ją ktoś uwolnił od męża, obelg i poniżeń. Ale nie idzie o tę kobietę... co mi do niej... Idzie o mnie...

Nie chcę abym ja to czyniła. Nie! nie! nie!...

Wiem, że Orecki będzie piorunował na mój sentymentalizm, połowiczność, na to, że nie jestem człowiekiem, że zaledwie powiedziałam: „bez zastrzeżeń i bez tchórzostwa,“ już tchórzę i już się zastrzegam... Znam na pamięć całą tę litanię. Ale uciekam od niego od siebie, uciekam, nim się dowie, nim zdoła mnie dogonić... Uciekam w świat...

46.

Góry, doliny, wsie, miasta, wieżyce kościelne, rozwłócone nad dachami chmury dymów, kominy fabryczne, okratowane przęsła mostów, wiszary skalne, kurytarze z kamienia, tunele, *almy*, przełęcze, stare zamki na szczytach...

Jadę, jadę...

W uszach mam szczepek i grzechot pędzących wagonów. W ustach smak dymu i kurzu. Oczy mnie bolą od przelatujących widoków, od nadmiaru obrazów, od tysiąca twarzy, co przemijają, wchodzą i wychodzą... Przymykam powieki, znużona. Pędzę na skrzydłach pociągu, który rwie, gwiżdże, jęczy...

Nad wieczorem przyjechałam na małą stację Mori. Zapadał mrok cichy, bezszelestny, owijał góry łagodne, białe wille, wynurzone do połowy z gajów cyprysowych... Mgły wysuwały się, niby z niewyczerpanego tygla... Widma gór rozplynęły się w obłoku liliowym, przejrzystym... Wjechaliśmy w olbrzymią kotlinę, na której dnie, wśród rozmiecionych głazisk, drzemie małe, zielo-

ne, jak szmaragd lago di Loppio... Dokoła poszczerbione strażnice, wieże strzaskane, złomy druidyczne, rumowiska kamieni, niby ślady jakichś zapasów Tytanicznych, gdy namaszczeni oliwą półbogowie przerzucali się blokami stupudłowymi... Skamieniała groza... zwałiska jakiegoś Colosseum Gigantów...

— Jestem we Włoszech... — szeptałam, otwierając oczy szeroko, drżąc, jakby w obawie, że ten sen zbyt piękny rozwieje się za chwilę...

Gwiazdy nad dymiącymi szczytami... W powietrzu zapach nieznanym mi kwiatów... Gąszcze trzcin przebłyskują iskrami złotymi... To robaczki świętojańskie... Zdaje się że całe powietrze błyska... Po płotach z kamienia wiją się róże. Niedziela. Na każdej stacyjce wsiadają i wysiadają tłumy. „Ciao!...“ leci ku odjeżdżającym. Dziewczęta bez kapeluszy, o bajecznych oczach, z bukietami w ręce, wpadają, śmieją się, przekomarzają z konduktorami. Wagon wypełnia nawoływanie: „S'è divertito?“ „Molto!...“ Ktoś rzucił gałązkę pachnącego pnącza „il biancospino.“ Podejmuję ją, przyciskam do twarzy...

Jestem we Włoszech...

47.

Arco. Stacja klimatyczna w kotlinie górskiej. Gmachy, na których wypisano wołowemi literami: *Stabilimenti di cura per sole, luce, aria ed elettricità...*

Długie szpalery krzewów południowych, palmy, youki, oleandry rozłożyste, magnolie oblepione kwiatem wielkim, jak talerze, róże... ach, takich róż nie widziałam nigdy jeszcze! Pokłady, nawalnia, potop!... białe, różowe, szkarłatne, żółte... kwiat na kwiecie, wiszą na murach, pełzają po grzędach, cisną się jedne na drugie... kwitną, przekwitają, rozsypują płatki dokoła...

I ani żywej duszy...

Sezon się skończył. Angliicy znikli. W willach pozapuszczano okiennice, *stabilimenti* zabite na głucho, plac tenisowy zarósł chwastem i perzem. Lampy żarowe zlewają światło na puste aleje...

Tylko między gotykami cyprysów zerwie się czasem wicher przelotny, zmiecie parę garści wonnych...

Siedzę na ławce.

Na niebie nawisły chmury ołowiane. Rozbijają się o cypłe, rwą na strzepy nad czołem starego zameczyska. Drobną deszcz pada melancholijnie, od niechcenia... spadną dwie, trzy krople leniwe... Czasami... Niekiedy...

Pusto, cicho, niby na jesieni, u nas, gdy wszystko zamiera i gaśnie. Ale u nas wtedy łąki są zwarzone, drzewa bezlistne i wszystko łąka gloszę o śmierci. A tutaj róże kwitną, ziemia chce żyć!... Czekam, czy z długich wiaduktów alej nie wypłyną strojne postacie, nie zaszeleści jedwab, nie rozebrzini śmiech wesoły... Czekam... patrzę...

Godziny płyną...

Zamek na skale owinał się cały w opony strzępiaste. Od stacyi przypłynął świst: odszedł ostatni pociąg do Mori... ostatni ślad życia w tej pustce zamarłej. Wlokę się w głąb mrocznych cyprysów, pod obłokiem mżącego deszczu, samotna, jak duch pokutujący...

48.

Kołyszę się w łodzi, nad wodą błękitną, drżącą, ruchomą, skier świetlistych pełną... Rozkołysane, przelewne fale... Marzenie z szafirów... Sieć srebrna, w której przebłyskują klejnoty turkusów... W słońcu toń jest błękitna, jak tęsknota, w dali ciemnieje najczystszy lazurem. Wiatr porusza, ożywia wody, zapala ogień migotliwe...

Patrzę w szczyty okoliczne, przepowiadam sobie leniwo:

— Monte Baldo... Monte Stibo... Monte d'Oro... Monte San Giovanni... Colle Brionne...

Góry przesłania leciutki opar rozgrzanej wody. Na pochyłościach leżą wille między winnicami. Okolica dzika, snutna. Nagie skały dźwigają się wprost z jeziora, ponure głązy wiszą, jak groźba. Wielkim trudem i kosztem wykuta została nad brzegiem „*strada del Ponale*“

Tu i tam jakieś wsie, miasteczka nawpół zrujnowane, poczerniałe, biedne...

Gdzieś, w mgłach złotych, majączy Malcesine, otoczone gajami oliwnymi i tarasami cytryn...

I śnieżny, rozrzepotany żagiel barchetty...

Tam już Włochy...

Przewoźnik mój, jak wszyscy tu, w Rivie, jest Włochem, ale poddanym austryackim. Jak wszyscy współziomkowie, nienawidzi Niemców. *Tedeschi* — to nieznośny naród, który co wiosnę wali się po wandulsku do Rivy, ale trzeba go znosić, bo ma *dannari*. Tedesków można, a nawet należy, ze skóry obdzierać. Tedeski nie pozwalają śpiewać hymnu Garibaldiiego i sądzą za to do kozy... Ale... niechno polityka się zmieni... My jesteśmy

Włosi, my nie chcemy służyć w wojsku austryackiem. *Fuori d'Italia, fuori o stranieri!*... ¹⁾

Z pomiędzy skał wypada pęd rzeźwego powietrza. Signor Georgi przykłada palec do ust ze znaczącym, skupionym uśmiechem.

— Senti? È Paria d'Italia!...

Powiew z Włoch! Ziemia obiecana! Wrota raj utraconego...

Już wyłania się Riva z arkadami nadbrzeżnych gmachów, z wysoką starą basztą.

Placyk nad jeziorem cichy, pusty. O tej porze roku pierzchyły mizerackie dusze, poszukujące kuracyi „słońcem, światłem i powietrzem.“ Na ławkach ziewają oficerowie austriacycy z miną wygnańców. Czasem zjawi się turysta, należący do klubu alpejskiego, lub młoda para w podróży poślubnej. On w tece podręcznej szkicuje krajobraz, sutymi dawkami ultramaryny zaznaczając żywe, rozbełkotane fale. Ona korzysta z wolnej chwili i pracowicie smaruje *Ansichtskarte*. Potem odchodzą, bardzo zadowoleni z podróży i z siebie.

Na piasku wylegują się marynarze, ćmiąc fajeczki. Słońce pełga po ich twarzach miedzianych i niekonicznie białych koszulach...

Dopiero po obiedzie zaludnia się, przychodzą Włoszki o cudownych oczach i brudnych rękach, niby robiąc robotę, a w rzeczywistości samej rajując całymi godzinami, bez przestanku, bez umęczenia. Koło nich uwijają się czarne, jak dyabły, *bambini*, umorusane, nieznośne, krzykliwe... krzykliwsze chyba od wszelkich dzieci świata.

Wracam do domu.

Mieszkam przy rodzinie włoskiej, w wysokiej kamienicy, pośrodku zaułka, cuchnącego kwaśnem winem. Rodzina składa się z matki, czterech sióstr i brata. Jest jakby na zawsze zmiążdżona nieszczęściami familijnemi, które miały być wielkie, ofiarowana na dół smutną i beznadziejną...

Pytałam jednej z signorin, czy chciałaby za mąż wyjść? Odparła, że dość już przeszła krzyżów w życiu.

— Ależ małżeństwo nie zawsze jest krzyżem. Może być i szczęściem...

Otworzyła oczy. Czy tak? Nie wiedziała...

Wszystkie cztery marzą o Italii, której nie znają. Słowa; *Venezia, Firenze, Roma* wymawiają z żarliwością uniesienia pobo-

¹⁾ Z hymnu Garibaldiiego.

znego. Brat był raz w Medyolanie; za powrotem, z głębi serca, wezbranego patryotyzmem, krzyknął: „Evviva l'Italia! Evviva il Garibaldi!...” i za to siedział trzy dni w kozie... One nie były nigdy, bo nie mają pieniędzy.

Wszystkie cztery za to mają suchoty.

Wieczory są ciche, smutne. W nielicznych kawiarniach pustki. Czarnookie Rivanki, ujawszy się pod ręce, spacerują po dwie, po trzy, bez kapeluszy, jak na wsi.

Największe ożywienie jest jeszcze przy stacyi, gdy przychodzi pociąg z Mori. Lampy łukowe oblewają światłem dziedziniec, gdzie się uszeregowali wystawcy hotelowi w beznadziejnem oczekiwaniu gości.

Teatru niema. Jest wprawdzie gmach, ale nie dają w nim przedstawień, bo największy dochód nie pokrywa kosztów...

Smutno... bezgranicznie smutno...

Ta miejscowość nie jest zdrowa... Wszystkie Rivanki są blade, przejrzyste, jak papier, zdaje się, że kropli krwi w nich niema. Obey przyjeżdżają tu po zdrowie... wypili widać wszystkie soki żyzne z tej ziemi — i dla swoich już ich nie starczyło... Mgły kłębią się nad jeziorem... Wille mrocznieją między kolumnami cyprysów. Cienie gór mającą złowrogo i mnie, com się nasłuchiwała opowiadań signora Georgi'ego i moich signorin, zdaje się, że to jakaś ciężka prawica, wisząca nad miastem...

49.

Naprzeciwno mnie, przez uliczkę, mieszka szewc. Widzę go przez cały dzień, schylonego nad kopytem. Pracuje i śpiewa:

O Mimi, tu piu ne torni...

Rozbita na echa, piosnka powraca do mnie... Na placu, na jeziorze, w odgłosach górskich... Grano tu niegdyś *Cyganeryę* i cała Riva ją śpiewa, aż mi się dusza rozdziera...

Idę kamienistą ścieżką pod górę.

Od niewidocznych ogrodów, płyną zapachy róż, lip, magnoli... egzotyczne, upajające, jak senne wspomnienie lepszych bytów... Po murach pną się winorośle...

Przed oświetlonym tarasem hotelu „Sole d'oro“ stoi śpiewak w łodzi. Wiem, że śpiewa dla pieniędzy, dla marnych paru groszy, ale ten głos ciepły, egzaltowany łączy mi wyciska z oczu.

Idę coraz wyżej, coraz szybciej, naprzekór sobie, naprzekór urokom, które są już dla mnie szyderstwem — żalem — przeszłością...

Siadam pod kruszącą się basztą Skaligerów. Wyłomy patrzą czarnemi czeluściami. Het, w dole, Riva jaśniej, poznaczona kwadracikami świateł. Białe drogi do Arco, do Torbole. *Viale Dante* wysadzona kwitnącemi magnoliami...

Lampy łukowe ślą wgłąb wody drżące, wyłamane smugi...
Notti sul Garda! Noce na Gardzie! Są pod tym tytułem walce marzące — i nowele egzotyczne, canzoni i kurty pocztowe. Z po za Monte Baldo wyłania się pomału księżyc, welony mgieł opadają z przyczółt górskich, świetlistość rozpełza się po wodzie, płoną błyskawice... Gdzieś, pośrodku topieli, rozjarzył się wielki krąg zwierciadlany. Drobne światełka tańczą dokoła, gonią się z chichotem. I kędyś, w powietrzu drży piosenka:

... O Mimi, tu piu ne torni ...

Przeklęta muzykalność włoska! Przeklęty kraj melancholii!
 Może to dusze dziewic tutejszych, które mrają powoli w ciemnych izbach starych domostw... Może to ich niewypłakane tęsknoty... A może to ja przyniosłam w sobie ten smutek śmiertelny?... przebiegam miasta — góry — doliny — a on za mną... I próżno uciekać będę... On pójdzie za mną wszędzie...

Ukrywam twarz w rękach.

... I nigdy już nie wrócą mi
 Wiosenne sny, młodzieńcze łzy...
 I nigdy drzeć nie będzie pierś
 Jak w te pamiętne szczęścia dni...

Czyż nigdy na jawie nie doznam takiego wniebowzięcia, takiego zachwytu zupełnego, jak wtedy, w Zalesiu? w marzeniu?... Kraino cudu i słońca!... Czemu mnie smutkiem poisz? Czemu nie mogę oderwać się od wszelkiego, pozostawionego na tantym brzegu?... Niosę w sobie słowo żałoby, które omracza wszystko dokoła. Odemnie się cienie na tej ziemi kładą. Brak jakiś czuje, minus niewypełniony. Tylko łzy mam w oczach... i tęsknotę, tęsknotę...

50.

I znów uciekam od samej siebie. Z parostatku na pociąg, z pociągu na statek... Tułam się, a ze mną ta massa uczucia niepotrzebnego, którego niema oddać komu. Gdy mi się zaczyna czynić źle, gdy widzę, że poprzez uroki nieba i ziemi przeziera stare, chroniczne zło — „rachunek!..“ Za godzinę już mnie niema...

Przejeżdżałam, jeziora ciche, tarasy róż i wawrzynów, wieńce bluszczu nad zamarłymi willami. Szumiały mi gaje eukaliptusów... Jarzyła się flotylla płomienistych gwiazd jeziora... Przez wodę leciały do mnie dzwony wioski San Giovanni... Przejeżdżałam wody, zielone od roślinności, wiszącej po górach, zamknięte kondygnacjami gór granatowych, lapisowych, sinych,—coraz bledszych, mgławszych, rozwiejszych... Patrzyły na mnie czarne wnętrza Gandryi.

I znów niósł mnie parowiec po uśniechniętym szafirze, między białymi i różowymi miasteczkami, gdzie wyrastają dwa cudowne bukiety tych wód: Itola Madre i Itola Bella...

Rzucałam róże w wodę świetlistą i płonąca. Patrzyłam w pomarańczowy smug zachodu za tarasami gór. W bardzo pogodne dnie widać daleki szczyt, uwieńczony śniegiem! Simplon, Sempione. Nazwy dzwonią, jak muzyka... Otom we Włoszech... Marzenie zlewa się z rzeczywistością... moje stare, odwieczne marzenie... A ja, w kraju magnolii, mam wizje krwi w oczach i smutek śmiertelny w sercu.

I gna mnie coś. Z ludzi spotykanych, z miejsc widzianych, utworzyła się jakaś mozaika mglista. Widzę wszystko, jak w obłoku.

Lecę... lecę... nie wiem, dokąd...

51.

Nad wodą świetlistą i bezdenną...

Dokoła olbrzymy granitowe, o czołach z lodowców... Mała, słoneczna wioska szwajcarska przy wielkiej drodze Święto-Gotardzkiej, łączącej Włochy z Europą środkową. Powozy, samochody, rowery, piesi wędrowcy z tobołami na plecach i koszturami w dłoni... Od rana do nocy! Aż oczy bolą i w głowie się mąci.

Siadam na stacyi. Koło mnie przepływają fale wszystkich nacji świata. Anglicy, Niemcy, Francuzi, wystrojeni, jak do wyjazdu na corso. Stada Amerykanek, każda z Baedekerem, Kodakiem, lunetą i ręczną walizką. Istna wędrówka narodów! Najrozmaitsze gwary, typy południowe, oliwkowe cery, oczy dzikie i płomienne...

Pociąg wpada, wędłania te pstre, różnojęzyczne fale; z tunelów przybiegają jego gwizdki rozpaczliwe. Na pustej stacyjce zostaje zawiadowca i ja.

I tak co godzinę. Słowa niema do kogo przemówić, bo każdy jedzie gdzieś dalej, dąży dokądś, spieszy się...

„Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
 Stoi, cichości pełna i kolorów
 Tella kaplica...“

U podnóża jej siedzę na zrębie kamiennym. Nademną lipa aż do wody opuszcza gałęzie, oprószone złotym kwiatem. Woda zielono-szafirowa drga, jak żywa, wstrząsa się, chybotce, wyłamuje w garby, przelewa przez samą siebie, rozplywa z pieśnią wiekuistą plusku i szumu. Parowce suną, jak rybitwy srebrne, a za nimi wstęgi światła — zórz — połysków... Na dalekich szczytach lodowych gra słońce...

W tem samym miejscu siedział przed pół wiekiem genialny poeta z najukochańszą kobietą. I dla niej rwał żywe, bolesne włókna serca i wił z nich przedzę cudowną. Dziś... To, co było skargą, tęsknotą, szaleńcem, czyta na zimno jakiś „literat,“ szukający wzorów, jakaś znudzona pensyonarka, której zadano ćwiczenie...

Blednie słowo wobec życia. Najpotężniejsze, najgenialniejsze słowo jest tylko formą kruchą i przechodnią... Należałoby tworzyć poemat w materiale trwalszym, wiekuistym: w czynie...

...Jezioro kotęsało się od brzoza do brzoza, rozfałowane, niosąc na sobie łuskę błyszczącą, i cienie od szczytów górskich, i złote uśmiechy słońca, i igrzyska wód żywych. Osłonecznione lasy mieniły się, jak wzdęte nurty zielono-złote. Senność płynęła od gór — od borów — od wody...

Wszystko przeszło... wszystko...

Tylko miłość trwa. Ta sama miłość... Ludzie udarowani od losu i ludzie po za nawias życia wyrzuceni, w ogólnej treści żyją tak samo. Rozmaitość w powszechności, powszechność w rozmaitości... Jednakie etapy życia: urodzenie i śmierć. Jednaką fatalność... Bo wszystko się powtarza — tylko życie coraz nowe wyrazy podstawia pod te same pojęcia...

I zaczęły się winać wspomnienia...

Jak to już dawno, gdy chodziliśmy pod rękę przez cieniste aleje Łazienek i jedno niebo mieli w sercu. Jak bardzo odsunęliśmy się od siebie... Z kochanków płomiennych staliśmy się obcymi...

Ja błędzę samotnie z kraju do kraju. Ty... Nie wiem, gdzie jesteś, nie chcę wiedzieć... O miły, miły, najmilszy...

Jakże to się stało? Jak to się stać mogło?...

Daleko jesteś, a pełno tu ciebie... Słyszę głos twój w plusku fal, w szumie borów na reglach niedostępnych... Twoja-m na zawsze. Przyjdź. Razem patrzeć będziemy w odmęt lazurowy,

w płomieniste róże, w obłoki mew, podobnych do dalekich żaglowców. Z ust swych pić będziemy pieśń życia... Bez ciebie nie ma dla mnie życia...

...I nigdy już nie błysną mi
Te słodkie łzy, te twórcze łzy,
W których śpiżowy dźwięczy grom...
Jak za minionych szczęścia dni...

I nigdy już nie zabrzną śmiech,
W gędzących sto rozdzwonion ech...

Drzę, nad słuchując... Umieram z żalu... Nie umiem żyć bez ciebie... Nie umiem, nie mogę. Przyjdź!... Po co takie usztywnienie życia, dobrowolne odarcie z harmonii, czaru, rozkoszy... O, drogi mój...

Po dniu upalnym i złotym nadchodzi wieczór. Gasną szczyty, fale i liście. Bładym korowodem wynurzają się mgły z wądołów. Mgły wiotkie, liliowe... Po świetle błędzą po wodach, a mrok czyha na nie, goni je, dusi...

Chłód płynie od lodowców niewidzialnych. W mroku olbrzymięją harde głowy kolosów górskich. Po grzbietach ich świecą wieńce płomieni. Ogromne hotele jaśnieją jak latarnie. Wskroś lasów przedziera się wagon, niby długa lizska, nabijana światłkami...

Rzeczywistość jest za piękna... niepodobna opisać jej słowem, bo słowo staje się banalne, jak symbol zużyty — wobec tej poezji realnej i wiecznotrwałej... Zakrywam twarz, dusi mnie łkanie, szlocham głośno, rozpaczliwie. Wezbrana fala uczucia porywa mnie, wchłania, zalewa...

52.

Jadę królewskim szlakiem złota i szmaragdów, pod bramą z tęczy, rozpiętą od chmur do chmur... Z tęczy pędzących potoków... Zachód obrywa róże z wieńca zórz krwawych i miecie w wodę, palą się żagwie złote w głębokościach, za statkiem ociekają łzy rubinowe i płomienne. Roziskrzyła się dal, niby kraina mistyczna...

Na statku tłumy. Niedziela. Wracają pary kochanków do miasta. Koło mnie stoi dziewczyna w stroju berneńskim: biała koszula, gorset aksamitny, srebrne gwiazdy i sznury... Uśmiecha się... Młody chłopak z fajką w ustach szepece jej ciągle coś do ucha...

I ja niegdyś byłam kochana...

Dusza moja wtedy, niby kwiat do słońca, rozwierała się do zrozumienia i objęcia cudu... Dziś zamknięte wierzeje królewskie... Nie rozumiem, nie wiem...

I nigdy już nie błysną mi
Te święte łzy, te twórcze łzy,
I nigdy już nie zadrga pierś,
Jak za minionych szczęścia dni...

Przeszło. Suchem okiem patrzę w obrazy czarodziejskie. Wyrosła we mnie twarda obojętność... Pół Europy przebiegłam, szukając zapomnienia. I nie zapomniałam... Tylko w sercu, na miejscu dawnych uniesień, rozgościła się sucha, grobowa pustka... Znarnowałam życie... Ze wszystkich kwiatów jego wyziera ku mnie śmierć...

Zdaleka już, całe w błyskach, ogniach i łunach, jarzy się miasto... Na jasnym wybrzeżu muzyka...

Myślę:

Czemu gna mnie pustka po świecie? Czemu jest ona i jakie jej imię? Co jej treścią? Najpierw była tęsknota... Teraz już nie tęsknota... Po za jedną twarzą ukochaną widzę dziesiątki, setki twarzy innych... W echa głosu jego wplątują się głosy inne, ochryple, rozpaczliwe... Odpycham gazety... a przecież drżącą ręką szukam rubryki jednej i tej samej... Patrzę, czyja krew znów oblała kamienie uliczne... jakie życia poszły na ofiarę... W pośród uroków nieba i ziemi krzyczy we mnie głos jakiś obcy, nieznany, imperatyw kategoryczny, echo stron dalekich... Czuję w sobie dominujący nakaz, który mi powtarza: „Nie tak... Nie tak... Nie tak...”

53.

Jestem w Paryżu.

Wmęczam w siebie ogólniki, które wypada mówić w tych okolicznościach: „Oto stolica świata, ognisko nauki, sztuki i cywilizacji, ziemia historii, wielka zbiorowość, gdzie idee krążą w powietrzu.”

Chodzę, potrącana i ogłuszona. W głowie mi się kręci od dzwonek, gwizdów, trąbek, krzyków, nawoływań. Ktoś rzuca mi w przelocie jakieś słowo, przystaję zmieszana, oglądam się... Dopiero po chwili miarkuję, że to uwaga żartobliwa, wybryk dobrego humoru galijskiego.

I wlokę się dalej.

Dławi mnie coś, jakgdyby te miliony domów zamknęły mi na wieki horyzont świata i nie miały już wypuścić z objęć kamiennych.

Przysiadłam na jakiejś ławce.

W ogrodach bez życia sterczą obłuskane gałęzie kasztanów. Poschłe, zczerniałe liście wiszą, czyniąc wrażenie organizmu przedwcześnie zniszczonego. Z wiecznie zachmurzonego nieba płynie duszność i upał. Unoszą się kłęby kurzu, dymu i sadzy. Wyziewy ohydne... Od dzielnic fabrycznych nadjeżdżają furgony, brzydki, obładowane, cicho turkocące...

Wydaje mi się, że miasto to — to wrzód olbrzymi, co się położył na ziemi i ssie ją. Wszystko pożera, nic za to nie dając...

A, prawda... Oddaje „sztukę, naukę, cywilizację...“

Zwiedzam muzea, ziewam nad szpargałami chińskimi, nad posążkami Buddy, nad pirogami Botokudów, nad czerepami, mumiami. Mijam zakurzone torsy bez głów, ręce, nogi, szczątki nosów i zbroje.

Wlokę się pomiędzy olbrzymiami płótnami. Oczy bolą od złocien, barw i połysków. Przed „Moną Lisą“, przed Boticellim tłumy, bo obrazy te zaznaczone są gwiazdką w Baedekerze. Nb. Boticelli tylko w ostatnich wydaniach Baedekera. Ci, co mają egzemplarze stare, mijają go, nie zatrzymując się.

Patrzę na kopistki. Legion ich. Wdrażają oczy we wzory, wynisławiają się całym umęczeniem duszy w tajemnicę cudzej twórczości... Myślę: „I tu zachodzi nieporozumienie.“ Czy nie należałoby raczej zniżyć do życia, patrzeć w życie... i tworzyć? Czy życie nie jest jedyną prawdą i jedynym celem? Ale sztuka, to kraina odrębna. „Odrębność klasowa“, powiedziałabym, posługując się analogiami z innej dziedziny. Świat barw, linii, światłocieni, niema z życiem, jako takim, nic wspólnego. Nic nie tłumaczy, nic nie objaśnia. I dlatego mijam go zimna i idę dalej, zapatrzona w czarne pyłajniki mej duszy.

Na placu Bastyli stałam godzinę.

Tu lud własną ręką zburzył ostoję przemocy, zdobył ostatni szaniec starych porządków świata i otworzył drogę dla nowego życia...

Ziemia historii...

Patrzę dokoła. Jadą fiakry, omnibusy, śmigła Metropolitan... Ruch spokojny, uregulowany, daleki od płomieni rewolucyj... Jakże fatalność prze ludzi, aby się poświęcali dla przyszłości, nieznaney i nieobliczalnej?

Siadłam na koziół omnibusu, pierwszego lepszego i takjechałam przez Paryż. Zmierzech brudny, mglisty, rozwiesił się nad miastem, po przez łzy deszczu tyskały nudnie lampy uliczne. Mokre chodniki leżały, jak łachmany błotne przed stopniami sklepów. Kawiarnie i restauracje, teatry, cyrki, rozjarzone od świateł, wchłaniały wciąż, to wyrzucały fale ludzi. Pod rozpiętymi parasolami mknęły sylwetki, dążące gdzieś, śpieszące. Ja tylko jedna wlokłam się bez celu, bez racyi, bez potrzeby. Uderzyło mnie raptem poczucie strasznego osamotnienia. Nigdy ostrzej nie wystąpiło, niż teraz, wśród gromad ludzkich, rozbawionych w wieczór niedzielny. Widziało mi się, że gdybym upadła teraz i konała — taki wesoły Francuz mruknąłby swoje: „O, la, la!” i poszedł dalej, nie oglądając się. Czułam przepaść między tym tłumem płochym, dowcipnym, ekspansywnym, całym nazewnątrz rozszalałym wolnością — a mną, płonką niw szarych i stroskanych, cichą, sentymentalną, przyuczoną od dziecka kryć się i maskować...

I czułam jeszcze żelazną spoistość gromad ludzkich i obcość ich dla samotników, jak dla żywiołu przeciwnego, wrogiego, wykluczającego je...

Wśród społeczeństwa trzeba żyć w rodzinie...

Zacząłam biedz do hotelu, byle się łudzić, że i ja mam cel, dom, przystań... Czuję się, jak stara, zdezelowana maszyna, która na każdy impuls odpowiedzieć może już tylko bolesnym skrzypem. Wszystko we mnie niszczało, obwisało, rozprzęgło się. Biegłam do swego pokoiku na piątym piętrze, nie patrząc na nic...

Raptem rzuciło mi się w oczy coś znajomego, rysy niezapomniane, zawsze obecne w duszy...

Stałam, przygwożdżona do miejsca.

Uciec, czy zostać?... Sen, czy jawa?... Ukochany, jedyny, wzywany łzami bólu, obfędu... Dziś właśnie, w takie straszne dziś...

...Stał i patrzył na mnie.

— Stałma tu?... — spytał cicho, jakby przypuszczając, że to, co widzi i mówi, to sen tylko...

— Ja tu...

— I dziś dopiero się widzimy...

Patrzyliśmy w milczeniu na siebie.

Postarzał, pochylił się, zrzędlę włosy, zmarszczone czoło mówiło o wielkiem zmęczeniu. To człowiek już skończony...

Mnie łzy się kręciły.

Człowieku, coś uczynił ze sobą!...

I ze mną...

Tak mi żal... Za ciebie i za siebie...

— Stachna... Jak to już dawno... ach, jak dawno!.. Powiedz, od kiedy tu bawisz? jak ci się Paryż podoba?

Zaczęłam mówić o kulturze, ognisku nauki i sztuki, mówiłszy oboje, przesadzając się w wykrzyknicach: „rozkoszne, wspaniałe miasto!“ A potem spojrzeliśmy sobie w oczy—i unilkliśmy...

I poznaliśmy, że trawi nas jeden i ten sam smutek... Ze oboje wyrzuceni jesteście rozmachem jakichś śmig potężnych... oboje — rozbitkowie na przeolbrzymiej puszczy... Ze przeżera nas strach przed obcością nieznaną i bolesne poczucie samotności... że z tym milionowym organizmem nie wiąże nas nic, że gdy ustaną płatne i określone stosunki z gospodynią, sklepikarzem i t. d., jesteście sami, samotniejsi, niż na wyspie bezludnej... Że ta krynica, otwarta i bezdenna, obojętna jest, jak Fatun... Że tu przyjść trzeba silnym i zdobywczym, mając zęby tygrysa, a człowiek chwiejny i zbolący trawić się będzie sam w sobie, aż zginie...

Weszliśmy do jakiejś kawiarni... Jak niegdyś... Siedliśmy przy sobie, okrążeni hałaśliwą przeraźliwie, obcą tłuszcą...

Opowiadał mi, niepytany, o sobie.

— Nie żyję tak, jakbym chciał. Życie poszło na prawo, a ja na lewo, nie umiem wyplątać się z pęt musu. Może to bezwładność... Potoczyłem się w tę stronę, to i toczę...

Przetarł czoło.

— Ale ty, Stachno... mów mi o sobie... Nawet nie bardzo się zmieniłaś...

Milczałam.

Tyle razy w marzeniach, zaklinałam go, przekonywałam, szalałam... Teraz, na jawie, wydawało mi się wszystko, co by powiedzieć można, zbyt dalekie — dalekie — minione...

W dziwnym jasnovidzeniu widziałam przyszłość jego, jak na dłoni. Przenikało mnie zrozumienie nawskroś życia, nietylko z mego stanowiska; ze wszystkich stron... Jakgdybym patrzyła z gwiazdy polarnej...

Wiem, że gdy byłam sztuczna, stylizowana, chytra i zaborcza—szalał za mną... A gdy miłość uczyniła ze mnie dziewczynę prostą i wierną, o sercu bijącym tylko dla niego, przestał mnie kochać...

Wiem, że i dziś może odzyskałabym miłość jego, gdybym przywdziała tę maskę...

Ale nie chcę. Gdybym ruchem palca mogła zmienić przyszłość — nie zmieniłabym...

Niech się stanie, co się ma stać...

— Zmęczony jestem, Stachno — szeptał. — Nie chcę już walczyć. Potrzeba mi spokoju... Chciałbym się ożenić. Cóż ty na to?

— Powinieneś... to będzie najlepiej dla ciebie.

Ten ból głuchy... czy we mnie? Nie... We mnie, lecz i po za mną. Gdzieś nieskończenie daleko... Za stu zatrzaśniętymi z jękiem podwojami...

— Powinieneś... — powtórzyłam. — To będzie najlepiej dla ciebie.

On patrzył we mnie.

— Jaki ja głupi... jaki ja może kolosalnie głupi... Czuję, że przy tobie jest szczęście, a brnę gdzieś indziej — i zagrzęznię bez powrotu...

Wziął mnie za rękę. Odsunęłam go.

Zwolna wracaliśmy do domu.

— Czy daleko mieszkasz, Stachno?

— Nie. Tutaj.

— Naturalnie, zawiadomisz mnie, kiedy cię można odwiedzić, prawda? Oprowadzę cię po Paryżu...

— Do widzenia tedy.

— Do widzenia Stachno.

Wiedziałam, że to pożegnanie na wieki...

Kocham jeszcze, ale kocham miłość moją, nie tego człowieka...

Marzenie wydeło, wyogromniło do chimerycznych rozmiarów miłość tę, i teraz, przy tworze egzaltowanych zadum moich, rzeczywistość wydała się widmem bladym, bezkrwistym.

Patrzę i szepeczę ze zdumieniem:

— Ty żeś to, bohaterze mego obłądu?...

54.

Jesienna glossa...

Wielki ogród Tuilleries przeredzony i poczerniały. Lecą liście z drzew, niemasz łabędzi na wodzie, niemasz róż na krzewach. Wiatr dzwoni żulośnie. Złowieszcze podmuchy idą w północy, a w nich kostnieje każdy promyk słońca.

Wielki chłód garnie mnie w swe ramiona.

Czynię testamenty życia. Istniałam przecież na powierzchni ziemi i lepiej, czy gorzej, ale odegrałam pewną rolę. Ludzie stykali się ze mną, wchodzili w sferę myśli mych i czynów. Więc musi w tem wszystkim być jakaś racja — logika — sens moralny...

O Boże, znaleźć słowo życia...

...Szukając słowa tego, jakby we śnie
Idę przez życie — i wciąż w dal spoglądam
Wyteżonemi oczyma boleśnie...

Jak przez sen idę po życiowej glebie...
Idę przez życie — i wciąż szukam siebie...

Widzę okiem ducha całą moją Odyseję.

Życie realne zdawało mi się grube, cuchnące, obmierzłe. Zamknęłam się w pałacu marzeń, w cieplarni, gdzie kwitną dziwne storczyki nadmiernie wybujających indywidualności. I sama stałam się jak storczyk, daleki od życia...

Ale teraz spada odurzenie. Skończyłam z tkliwością, nie mam ochoty wpatrywać się dalej w duszę własną tylko. Potrzeba mi życia!.. życia!.. Pragnę żyć na ziemi, z jej bólami i troskami, z jej rozkoszą i pięknem!..

Poemat pisać czynem, tworzyć w życiu!..

I pierzchnie może zmora dni i nocy, zmora podróży, zmora mego istnienia: pustka... Ucichnie srogi głos nakazu wewnętrznego, który dotąd szeptał mi tylko: „nie tak...“ „nie tak...“ „nie tak...“

55.

Na bulwarze Ś-go Michała spotkałam nagle — Martę. Zdziwiłyśmy się bardzo, zaczęły się całować.

— Wy tu? skąd? Mówiono, że gdzieś po Włoszech błądzicie?

— Byłam i we Włoszech.

— Przyjechaliście zapewne na studia?...

— Zapewne.

— A ja tu już tkwię kawał czasu. Przyjechałam porozumieć się co do dalszego programu działania... Ale! czy też wiecie o Oreckim?

— Nic nie wiem.

— Baba przejęła wasz list pożegnalny... były sceny, awantury... Szczęście, że tak daleko, bo by wam chyba oczy wydrapała...

— Za cóż tak mnie nienawidzi?

— Bała się, że Jasiulek drapnie za wami... Cóż chcecie! to kwestya bytu dla niej!

Rozumiem.

To już nie romanse, ideały; to groziło porwaniem żywiciela, stanowiska społecznego, wszystkiego, bez czego ta kobieta byłaby zerem... I jej sztuczną, wysiloną kokieterę rozumiem... Idzie

o przykucie męża za jakąbądź cenę. Toć to kwestya żołądka, tragicznie palący interes życiowy...

Rumieniec oblewał mnie jak ukrop.

I ja miałabym... O, wyjść obronną ręką z brudu życia...

Bądź spokojna, niewiasto, o dobro swoje, ze wszystkim, co jego jest...

— Nieświetnie wyglądacie — rzekła Marta. — Ot, wyszlibyście za Maryana. Chłopiec szczerzy, jak złoto... i czuje chroniczną słabość do was...

— Nie chcę...

Wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, doprawdy. Moje marzenie, to wyjść za mąż i mieć dużo, dużo dzieci.

Nieraz dawniej zastanawiałam się, skąd to żarliwe pragnienie w Marcie. Teraz rozumiem. W każdym człowieku tkwi potrzeba twórcza.

Umysł Marty jest ustawicznie w stanie wrzenia. Coraz nowe historye tam się rodzą. Teraz znów są demonstracye. Biega po wiecach, zebraniach, wciągnęła i mnie w ten chaos i odmęt. Wre walka stronnictw, krzyżują się najszaleńsze projekty, kipi ruch niesłychany, oczywiście, ruch języków... Ludzie kołowacizny dostali z zakładaniem kółek, przelicytowują się wzajemnie w obietnicach i głośno brzmiących frazesach. Żeby mieć pojęcie o takim kołowrocie, trzeba samemu wejść między tłum bezkrytyczny, który słucha i tej i owej partyi i rozważa: „który program przyniesie więcej korzyści realnych.“ (Wyrażenie nie moje, lecz żywcem ściągnięte z jakiegoś pismka politycznego).

Rej wodzi Marta.

Potrzeba twórcza ciska tą kobietą, zdwaja energię, czyni ją wszędy obecną. Tu przemawia, tam agituje, jeszcze gdzieindziej miota gromy. Nie zgadzam się z nią zawsze; widzę coraz większy rozłam między nami. Zagrzeźła w doktrynie, w czterech kątach sekty, nie dostrzega życia, wszechstronnego życia. Ale pomimo to, zazdroścę jej. Moim bólem obecnym jest bezpartyjność. Nie umiem iść drogą stałą, nie zdolna-m do życia gromadnego. Wprost nie wiem, gdzie iść i do kogo się przyczepić...

I znów, jak niegdyś, czuję... że wszystko kupi się, łączy w pary, każdy szuka swej połowy. Tylko ja jedna — sama jestem na świecie.

Ja i moja praca... porzucona praca w Zalesiu...

56.

Meeting...

Przemawia Marta, rozgorączkowana i drżąca. Trzeba cisnąć krew ofiarną w twarz kolosowi kamiennemu gwałtu i przemocy. Zatopić go we krwi... I jeszcze krwi... i jeszcze!... Spełnimy nowe ofiary, oddamy tysiące żyć i jeszcze tysiące!... Aż zdławimy przemoc, zwyciężymy!...

A wtedy!...

Powstaje „towarzysz,” gwiazda partii, dyktator.

— Będziemy silni, będziemy dyktowali prawa. Staniemy na straży naszych interesów klasowych i t. d., i t. d.

Słuchałam ze zdziwieniem, z przykrem zdziwieniem.

Toż są ludzie, walczący za „równość, wolność, braterstwo?”

Czyż inaczej przemawiali wszyscy mocarze świata?

„Silny jestem, więc narzucam moje interesy reszcie śmiertelników. Mojem będzie panowanie...”

Zawsze „panowanie.” Czyż nigdy nie wyplączemy się z terminologii przemocy? Prawda, mówi socjologia, że popęd samozachowawczy pcha jednych do wyzyskiwania drugich. Ale... ale...

Jeśli tak, to po co krew się leje? po co zaludniają się mury więzień, po co po tundrach i tajgach rozproszone kości?

Idea... życie gotowałam poświęcić dla idei. Ale jeśli to ma być ciasna doktryna garści ludzi...

Marta woła: „Działać będziemy terrorem, nie szczędźmy krwi, kosztem ofiar kupmy przyszłość.

Wygłąda, jak Napoleon w przededniu bitwy. Zdawało mi się, że na twarzy jej widzę luny czerwone, że cuchnie krwią, jak rozjuszona pantera.

Spytałam cicho:

— Kto wam pozwolił czynić te ofiary?

— One same się czynią — odparła. — Tylko was, zagrzeszyłych w kanonach myślenia burżuazyjnego, przeraża wielki ruch wolnościowy!

— Bo ten ruch wolnościowy jednych, jest pętaniem drugich.

— To walka klas, nieunikniona konieczność historyczna.

Przeczytajcie tylko parę książek...

Byłam już rozgrzana, na cały głos wołałam:

— O tak, wy tylko czytać umiecie, wy, *inteligencya*, mechaniczni przeżuwalcy cudzej mądrości i dla zdań, wyuczonych z książek, szafujecie setkami żyć cudzych!... Wy, którzy ani jednej sekundy nie poświęciliście na myślenie twórcze!

— Sentymentalizm w polityce!.. A to coś nowego! Od was się pocznie nowa rasa ducha, programy łez i ślamazarstwa!

Krzyczałam:

— Pycha, pycha was rozpiera!.. Chcecie być na czele, chcecie kierować ruchem, upajacie się własną wielkością. Wy, inteligencya, prowodyrowie!.. Wyście umieli rzucić hasło głodu znękanym i wynędzniałym tłumom, a czy sami byliście głodni? Czy widzieliście wpadłe szczęki, policzki zzieleniałe, oczy obłąkane gorączką?... Krwi ofiarnej!.. A czy widzieliście wpoprzek ulicy trup dziecka z rozkrzyżowanemi rękami, starca, dogorywającego pod razami nahałek, żonę, wyjąca, jak hyena, nad zwłokami męża? Idźcie na ulicę, stańcie sami z odkrytą piersią, przeciw kulom! O, nie!.. wy przednie duchy, władcy mocarni, bohaterowie!.. w kawiarniach paryskich!..

Z kilku stron dało się słyszeć sykanie. Zagorzalcy patrzyli na mnie z oburzeniem, „towarzysz“ uśmiechał się drwiąco. Powstałam, i skierowałam się ku wyjściu.

— Idź dalej pisać pamiętniki! — pogonił za mną śmiech Marty. — Z bibułowego życia zostanie — bibuła!..

„Z bibułowego życia zostanie bibuła.“ Ale ja nie do bibuły wracam. O nie!.. dawno już pozostały za mną grzechy szparłowania.

Nie mogę żyć z wami... może dlatego, że wyście mocne duchy, umiejące świat do kolan sobie kłonić, że w tym pochodzie zwycięskim depeczęcie prochy, nie widząc ich; ja zaś prochem jestem i w imię prochów protest podnoszę.

Dość burzenia, dość dzikiej nienawiści. Dość krzyku z pianą na ustach. Pragnę harmonii... Chcę widzieć gmach, dźwięgający się zgruzów. Obłąkanej negacyi przeciwstawić twórcze słowo życia.

— Sentymentalizm! — zachichocze Marta.

Może. A może to tylko głos zwyczajnej, nie naukowej dobroci?

Ty, Marto, jesteś niewiasta uczona, masz swoją partycję, i tyśiące argumentów książkowych na zwalczanie mnie. Ale ja walczyć z tobą nie będę. Nie należę do żadnej partycji. Sama, samusiółka na całym świecie...

A teraz rachunki ze sobą...

Pracowałam, jak z łaski i wdychałam do niebieskich migdałów. Twierdziłam głośno, że miernota, ale na dnie duszy

przeświadczona byłam, że jestem „stworzona do wielkich przeznaczeń.“ Przeglądam pamiętnik... w jednym miejscu widzę: „Potrzeba mi całopaleń, ofiarności, uczuć wiekopomnych.“ Szukałam wielkości gdzieś po za mną, gdzieś w krainie wzlotów Ikarowych... a to tak łatwo. Chcieć za wiele, a nie znalazłszy, odziać się w smutek rezygnacyi i pogardliwość do „życia cuchnącego.“ Modna maska: artyzm, dusza wyższa... Zawsze strona dekoratywna. Gdziekolwiek zajrzę do pamiętnika: „ja mądra, ja głupia, ja smutna, ja nieszczęśliwa...“ wiekuiście ja i ja...

O, nie tak, nie tak!...

Precz z bolączkami, z szamotaniem się w pętach, z klątwą nieudolności życiowej! Trzeba zejść w niziny, na samo dno istnień ludzkich, ale nie w rękawiczkach i kaloszach „by się nie zabłócić...“ bez zastrzeżeń, bez panicej o *ja* i *nie-ja*. Wmyśleć się w myśli ich, uchwycić na gorąco tajemnicę duszy, wziąć ją „w miękkie dłonie i rozwijać, jak kwiat...“ Bez programów i bez partyi. A raczej z jednym programem czystej miłości...

Nic dla siebie nie oczekując... Nic...

Zaszyję się gdzieś w kącie, podobny do Zalesia. A choćby w samym Zalesiu. Dlaczegożby nie tam właśnie, w miejscu, gdzie błądziłam, nie rozpocząć nowej drogi?

Marta... Orecki... Jakby wichur ich zmiotł. Patrzę spokojnym wzrokiem istoty, wyniesionej po nad to wszystko. Zgasnicie, jak świeczki, przyszłość przejdzie po was, doktrynerzy. Nowa frazeologia zabije starą. Tylko to zostanie, co nie jest ogniem żywiołowym, lecz czystym płomieniem twórczym — praca w imię życia...

Praca odczyszczona z pierwiastków samolubnych. Tak żyć trzeba. I będę! Oto ostatni wyraz, którego szukała tak długo...

A te strofy spisywane w ciężkie i posępne chwile życia, przeszedł—Tobie, coś był całą moją przeszłością...

Na pamiętkę, żem niegdyś cię — — —

Patrzę spokojnie i widzę już, na końcu drogi, przystań ostateczną... Obym w minutę pożegnania mogła powtórzyć słowa — Milтона, jak mi się zdaje:

— Ten jest prawdziwym poetą, czyje życie było poematem.

MARION.

CIAŁA PROMIENIOTWÓRCZE

i

rozpad atomów.

Co przed kilku laty pisałem o „atomie elektrycznym“ w „Bibliotece Warszawskiej,“ uczyniło mnie mimowolnym jej dłużnikiem, wymaga to bowiem teraz znacznego już uzupełnienia. Sprawy tam poruszone rozwinęły się osobliwie, wysunęły się na tło przednie nauki i wygórowały tak wysoko, że odsłoniły widnokreśli rozległe, zgoła nowe i nieprzewidywane.

Jeżeli jednak obowiązkiem jest piszącego dokończyć, co zaczął, nie jest bynajmniej obowiązkiem czytelnika pamiętać, co przeczytał. To niech mnie usprawiedliwi, że pewnych przypomnień uniknąć mi tu niepodobna.

Atomy elektryczne poznaliśmy najpierw, jako najdrobniejsze cząstki elektryczne z atomami materialnymi, chemicznymi, związane w „jonach,“ występujących przy rozkładach chemicznych, działaniem prądu elektrycznego powodowanych, ale ukazały się nam i w stanie bardziej swobodnym, jako „elektrony,“ w promieniach katodowych zwłaszcza. Promienie te, doniosłego w nauce znaczenia, nie przebiegają zapewne żywo w pamięci naszej, ale zabłysną w niej niezawodnie, skoro przytoczę, że są rodzicami bezpośrednimi promieni Röntgena, których odkrycie w grudniu r. 1895 tak powszechne i żywe wzbudziło zajęcie.

Przypominamy sobie teraz, że promienie katodowe powstają przy wyładowaniu elektrycznym w rurze Geisslera, gdy rozrzedze-

nie w niej powietrza doprowadzone zostaje do kresu, jaki za pomocą najdokładniejszych pomp rtęciowych osiągnąć można; wybiegają z katodu czyli z bieguna ujemnego, rozchodzą się po liniach prostych, a w punktach, gdzie uderzają o szklaną ścianę rury, wznecają jej świecenie czyli fluorescencję. Jak widzieliśmy, ze wszystkich szczegółów tego zjawiska zdać sobie można sprawę najlepiej, jeżeli przyjmujemy, że promienie katodalne złożone są z elektronów, z cząstek niesłychanie drobnych, o wiele mniejszych aniżeli atomy materji zwykłej, a rozbiegających się z prędkością olbrzymią, przypadającą między $\frac{1}{5}$ a $\frac{1}{3}$ szybkości światła, co czyni około 60 tysięcy kilometrów na sekundę. Promienie Röntgena pochodzą od promieni katodalnych bezpośrednio, rozbiegają się bowiem na zewnątrz rury Geisslera z tych jej punktów, które fluoryzują pod działaniem promieni katodalnych; pojmować można, że tak szybko biegnące elektrony, gdy uderzają o ciało stałe, wznecają falę elektryczną i rozsyłają ją w przestrzeń, jak pocisk potracający o zawadę wytwarza falę głosową w powietrzu. Hypoteza taka daje się dobrze pogodzić z promieniami Röntgena, których własności będziemy mieli sposobność w dalszym ciągu przypomnieć.

Odkrycie zdumiewających tych promieni Röntgena dało podnieść do badań pokrewnych. Nasunął się przedewszystkiem domysł, że powstawanie zagadkowych tych promieni wiąże się w ogólności z objawami fluorescencji; starano się więc dojść, czy różne ciała, które mają własność świecenia, gdy są światłem naturalnem oświetlone, mogą również wysyłać pewnego rodzaju promienie niewidzialne. W kierunku tym prowadzone doświadczenia fizyka francuskiego Henryka Becquerella zostały powodzeniem uwieńczone. Poddawał badaniom mianowicie związki uranu, znanego pierwiastku chemicznego, występującego w kilku minerałach; wystawiał je na działanie promieni słonecznych, a następnie w izbie zaciemnionej mieścił je na płycie fotograficznej, papierem osłoniętej. Tą drogą okazało się, że rzeczywiście sole uranowe są źródłem promieni przedzierających się przez papier lub cienką blachę metalową i wywierających wpływ na płytę fotograficzną. Oczekiwana jednak łączność nowych tych promieni z objawami fluorescencji nie ujawniła się bynajmniej, też same bowiem działania otrzymał Becquerel przy użyciu przetworów uranowych, które poprzednio zgoła oświetlone nie były i przez czas dłuższy w ciemności pozostawały, a tem samem nie fluoryzowały zgoła, nie świeciły. Becquerel więc odkrył nowy rodzaj promieni, promienie uranowe czyli promienie Becquerela, a uran okazał

się ciałem „radioaktywnem,“ to jest „promieniotwórczem.“ Nie pozostał wszakże jedyną w rodzaju swoim substancją, wkrótce bowiem okazał Curie wraz z żoną swoją, panią Skłodowską-Curie, a współcześnie z nimi i profesor G. C. Schmidt w Erlangen, że podobnież zdumiewającą własność wysyłania promieni bez żadnej podniety posiadają także związki innego jeszcze pierwiastku, toru mianowicie.

Wiadomo, jak wielki rozgłos zyskały dalsze poszukiwania obojga małżonków Curie, które im zjednały wielką nagrodę Nobla. Pani Skłodowska-Curie przeprowadziła przegląd systematyczny wszystkich znanych pierwiastków chemicznych i przekonała się, że prócz uranu i toru żaden inny pierwiastek nie ujawnia podobnych działań, dających się przy pomocy jej przyrządów wykryć. Okazało się przytem, że niektóre minerały uranowe okazują działanie silniejsze aniżeli sam uran, a w szczególności tak zwana uranowa ruda smołowa, znajdująca się w Jachimowie (Jachimstal) w Czechach, która promieniotwórczą swą działalnością trzy lub cztery razy nad czystym uranem góruje; można tedy było przypuszczać, że w rudzie smołowej prócz uranu znajduje się inna jeszcze, silniej radioaktywna substancja. Domysł był słuszny; z rudy smołowej dobyli małżonkowie Curie pierwiastek bajecznych własności, któremu nadali nazwę rad (radium). Z jakimi walcząc przychodziło tu trudnościami, pojmiemy łatwo, gdy zważymy, że z tysiąca kilogramów smoły uranowej zdołano wydobyć zaledwie czwartą część grama, czyli pięćdziesiątą część tuta chloru radu. Smoła uranowa jest najobfitszem, dotąd znanem źródłem radu, ale i w niej, jak widzimy, zawiera się w ilości nader skąpej, tworzy bowiem zaledwie część cztero-milionową ogólnej jej masy; należało stopniowo wydzielać z niej części coraz bardziej zalecające się silną działalnością promieniotwórczą, by wreszcie szukaną substancję w zupełnej zdobyć czystości. Pani Skłodowska-Curie osiągnęła istotny rekord analizy spektralnej, który najczulsze dotychczasowe metody stokrotnie przewyższa.

Prócz radu wykryła pani Skłodowska nadto inny jeszcze pierwiastek promieniotwórczy, który na cześć swej ojczyzny nazwała polon (polonium), a do tej grupy przybył jeden jeszcze pierwiastek, podobnież własności posiadający, aktyn (actinium) odkryty przez Debiernę'a. Z tych trzech nowych pierwiastków najlepiej znany jest rad, chociaż w stanie elementarnym dotąd otrzymać go nie zdołano; posiadamy go jedynie w związku z chlorem lub bromem, ale ciężarem swym atomowym i właściwem swym widmem cechuje się dokładnie, jako pierwiastek odrębny.

Ciała promieniotwórcze objawiają swą obecność jedynie wysyłaniami przez siebie promieniami. Promienie te są niewidzialne, ale o istnieniu ich świadczą sprowadzane przez nie zjawiska: wywołują świecenie ciał fosforyzujących lub fluoryzujących, gdy na nie padają; wywierają wpływ na płytę fotograficzną, a wreszcie rozpraszają ładunki elektryczne. Powietrze jest w zwykłych warunkach izolatorem, ciała naelektryzowane chroni od utraty ich ładunku; pod wpływem promieni, o których mowa, staje się przewodnikiem i rozbraja ciała naelektryzowane. Do dochodzeń tych wystarcza zwykły elektroskop. Do pręta metalowego, zakończonego w górze gałką, przyczepione są dwa listki cienkiej blachy złotej lub glinowej, które dla osłony od prądów powietrznych osadzone są w naczyniu szklanem, gdy górna gałka zewnątrz niego wyziera. Jeżeli kulka ta w jakikolwiek sposób naelektryzowana zostaje, chociażby tylko przez dotknięcie potartą laską laku, ładunek elektryczny udziela się także prążkom złotym lub glinowym, które tedy wskutek wzajemnego odpychania rozsuwają się między sobą, a jeżeli przyrząd dokładnie jest wyrobiony, czekać potrzeba godzinę albo dłużej, zanim nastąpi wyraźne zbliżenie się listków, wskazujące ubytek ładunku elektrycznego. Inaczej się dzieje, jeżeli w pobliżu elektroskopu umieścimy jakikolwiek przetwór radu: listki opadają i zbiegają się szybko, ładunek elektryczny niknie prawie natychmiast. Jeżeli zamiast prostego takiego elektroskopu odwołamy się do elektrometru bardzo dokładnego, mamy przyrząd mierniczy, który dla wykazania drobnych śladów substancji promieniotwórczych tysiąc razy jest czulszy, aniżeli wszelkie inne znane metody analizy fizycznej lub chemicznej. Prędkość, z jaką rozprasza się ładunek elektryczny przez rozmaite przetwory, daje miarę stopnia ich promieniotwórczości, a tą drogą poznano, że dany ładunek elektryczny w jednakich warunkach pod wpływem czystego chlorku radu ulega nieledwie milion razy szybszemu rozproszeniu, aniżeli przez działanie jednakiej ilości uranu metalicznego.

W wielu razach ważną pomoc przy dochodzeniach tych daje metoda fotograficzna, dozwala bowiem śledzić kierunek rozbiegających się promieni, a ponieważ płyty na działanie promieni przez czas dowolnie długi wystawiać można, otrzymujemy skutki widoczne i w tych nawet razach, gdy natężenie promieni zbyt jest słabe, by się natychmiast ujawniło.

Wspomnieliśmy też, że promienie ciał promieniotwórczych pobudzają świecenie ciał mających własność fluoryzowania; tem się tłómaczy, że chlorek radu jaśniej w ciemności, jakby roba-

czek świętojański, wysyłane bowiem przez bryłkę taką promienie wywołują własną jej fluorescencyę. Gdy na skroni lub na oku zamkniętem kryształ taki umieścimy, oko wypełnia się światłem, wszystkie bowiem jego części, a zwłaszcza soczewka, pod wpływem promieni radu świecić zaczynają.

Podobnie, jak promienie Röntgena, tak też i promienie radu przedzierają się w niejednakiej mierze przez metale, kości, mięśnie, dla tego też chciano je zamiast promieni Röntgena stosować do otrzymywania obrazów różnych części ciała ludzkiego, które chirurgii i w ogólności badaniom lekarskim tak wielkie oddają usługi; w takim razie byłyby zbyteczny cały zbiór potrzebnych do tego przyrządów. Okazało się jednak, że do celu tego nie są przydatne, przez rozmaite bowiem tkanki ciała ludzkiego przenikają z jednaką prawie mocą, powstające więc stąd obrazy nie okazują różnic dosyć wyraźnych w szczegółach budowy wewnętrznej przedmiotów badanych. Wywierają nadto wpływ szkodliwy na ciało ludzkie, a prawie wszyscy badacze, którzy z radem mieli do czynienia, pomimo wszelkich ostrożności, ulegli bolesnym następstwom tych wpływów. Gdy ponad drobną bryłką trzymany przez kilka minut palec, doznaje on silnego zapalenia skóry, które się z trudem leczy. Doświadczenia te zwróciły uwagę, czyby promieniami radu nie dało się zwalczyć złośliwych nowotworów, jak raka i wilka, ale to dotąd do rezultatów stanowczych nie doprowadziło.

Promienie radu zresztą nie są jednorodne, podobnie jak promienie światła wysyłanego przez słońce lub przez ziemskie nasze płomienie. Oko bezpośrednio różnic tych nie dostrzega i otrzymuje wrażenie jednolite, ale gdy wiązka światła słonecznego lub jakiegokolwiek innego przebiega przez pryzmat, składające ją promienie różnobarwne odchylają się w niejednakowej mierze od pierwotnego swego kierunku i ukazują się w widmie rozdzielone między sobą.

Podobnie dzieje się z promieniami radowymi; pryzmat wprowadzie usług swych nam tu odmawia, zastępuje go jednak magnes, promienie te bowiem ulegają wpływowi magnesu, ale w niejednakowy sposób; gdy przebiegają między biegunami magnesu, część ich jedna pozostaje względem niego obojętna i zachowuje pierwotny swój kierunek prostolinijny, część druga skręca w jedną stronę, ku jednemu biegunowi, część trzecia wreszcie odchyła się w stronę przeciwną. Za przykładem Rutherforda, któremu najstarsze w rzeczy tej badania zawdzięczamy, nadajemy trojakim tym promieniom nazwę promieni α , β i γ .

Promienie α zachowują się, jak dodatnio elektrycznie naładowane cząsteczki wielkości atomów chemicznych, które ze znaczną szybkością przez rad są wyrzucane. Mają słabą tylko zdolność przenikliwości, przedzierać się nie mogą nawet przez papier, a w powietrzu zatrzymywane są przez warstwę o kilku zaledwie centymetrach grubości. Promienie β są to cząsteczki o wiele drobniejsze, naładowane ujemnie; pod każdym względem wyrównują promieniom katodowym, a w tych drobnych cząsteczkach odnajdujemy znane nam elektrony. Promienie γ wreszcie odpowiadają promieniom Röntgena, przedzierają się nader łatwo przez przegrody i poza płytą ołowianą grubości dziesięciu centymetrów wywierają jeszcze działania fotograficzne. Różne spostrzeżenia prowadzą do wniosku, że promienie γ w podobny sposób wytwarzane są przez promienie β , jak promienie Röntgena rodzą się z promieni katodowych; są to więc objawy wtórne, powstają przez uderzanie promieni β o zawady stałe, przedewszystkiem o cząstki samychże ciał promieniotwórczych.

Zdumieni stajemy wobec substancji tak osobliwej, zięjącej wciąż samodzielnie promieniami bez żadnej podnieoty zewnętrznej, ale zdumienie nasze wznaga się jeszcze, gdy poznajemy, że kryształ chlorku radu jest także ustawicznym źródłem ciepła, posiada temperaturę wyższą aniżeli otoczenie jego. Dokładne doświadczenia wykazały, że jeden gram radu wywiązuje w ciągu godziny 104 ciepłostki, co znaczy, że wytwarzaniem w ciągu tego czasu ciepłem mógłby gram wody o jeden stopień ogrzać. Tak samo działają i inne ciała promieniotwórcze, chociaż w słabszej mierze; jeden gram tlenku uranu w ciągu całego roku wywiązuje zaledwie 0,032 ciepłostki. I ilość ciepła przez rad dostarczanego wydawać się może drobną, ale zważmy, że idzie tu o gram tylko; kilogram radu wystarczyłby do ogrzania izby w ciągu całej zimy, a wobec tego jakżeż słabą przedstawia się skuteczność zwykłych naszych materiałów opałowych. Co większa, gdybyśmy w końcu zimy zasób nasz radu na wadze umieścili, nie dostrzeglibyśmy żadnego zgoła ubytku, żadnej zmiany; byłby to znowu kilogram i takąż samą wysyłałby ilość ciepła.

Objaw ten uderza swą zagadkowością, wydaje się sprzeczny z całym fundamentem wiedzy przyrodniczej. Gdy płonie węgiel, zużywa się przytem; przeobrażenia chemiczne, jakim ulega, są źródłem ciepła, energii wywiązującej się przy jego paleniu, ale skądżeż rad czerpie niewyczerpny zasób swej energii. Widzieliśmy, że kryształ taki rozsypa nieprzerwanie trojacie promienie, wytwarza wciąż ciepło w ogromnych ilościach, a pomimo to naj-

czulsze nasze metody, najdokładniejsze przyrządy nasze nie wykazują w nim żadnego przeobrażenia, żadnego ubytku. Niespodziany ten objaw urąga przecież zasadzie zachowania energii, która nad przyrodą całą panuje. Od połowy minionego stulecia pojmujemy, że zasób energii w przyrodzie pozostaje stale jednaki, energia nie wytwarza się z nicości, ani się w nicłość rozwiewa. Z przeobrażeniami jedynie spotykamy się energii; wszystkie sprawy przyrody i wszystkie czynności nasze na zmianach jej form polegają tylko, ogólny jej zasób we wszechświecie niezmienny zawsze pozostaje. A teraz zasadzie tej, która jest podstawą wszelkich naszych pojęć o przyrodzie, przeczy drobna bryłka radu, rodzi energię bez żadnej utraty równoważnej, bez nakładu widocznego.

Niezłomność tej zasady, tak naczelnie panującej w nauce, wydała się przez chwilę naruszona. Niepewność jednak nie trwała długo; zbiegły się szczęśliwie liczne i różne badania, by rozproszyć pomroki ścielące się w dziedzinie nowo-odkrytej. Niespodziane te zjawiska nie po to przybyły, by bankructwo nauki dotychczasowej sprowadzić, nie zachwiały bynajmniej zasadą zachowania energii, ale raczej ujawniły nowe jej źródła, dotąd przed wzrokiem naszym utajone, nieprzewidywane zgoła, a miliony razy sowitsze, aniżeli wszystkie jej zasoby dotychczas poznane i zbadane, które zdołaliśmy do usług naszych zmaglić.

Gdy chemik w pracowni swej ciała przemacza, gdy związki jedne w inne przetwarza, przekształca jedynie układ atomów, nadaje im nowe uporządkowanie w cząsteczkach, które się z nich składają. Poznaliśmy, jak cząsteczki budują się z atomów i jak się na atomy rozszczepiają, oznaczyliśmy ilości energii, które się przy przeobrażeniach tych oswoadzają lub wiążą. Pierwiastki jednak chemiczne i ich atomy pozostawały nietknięte, opierały się wszelkim zamachom. Świat przedstawia się nam zbudowany z pewnej, ograniczonej liczby ciał elementarnych, odrębnych między sobą; pierwiastki chemiczne są to substancje niedające się już dalej rozkładać; atomy usprawiedliwiają swą nazwę jako niezdziałki, których już rozszczepiać niepodobna.

Mnożyły się jednak skazówki, że odrębność pierwiastków chemicznych nie jest tak bezwzględnie stanowcza, jak wydawało się twórcom chemii nowoczesnej; ujawniało się coraz silniej pomiędzy nimi pokrewieństwo, które upoważniało domysł, że dzisiejsze nasze pierwiastki chemiczne składać się mogą z niewielu jedynie pierwiastków rzędu wyższego, a może powstały i z jednej

tylko substancji pierwotnej, ¹⁾ ale poglądy te nie miały poparcia doświadczalnego, żadnem dostrzeżeniem istotnem poprzeć się nie dawały; atomy w pojęciach naszych były to zawsze najdrobniejsze cząstki materji, dalej już niepodzielne.

Stan ten rzeczy zmienił się jednak. W elektronach poznaliśmy teraz utwory od atomów mniejsze, tysiąc przeszło razy drobniejsze aniżeli atom wodoru. Dały się uchwycić w promieniach katodowych, występują w mnóstwie innych objawów, wyrrywają się i z ciał promieniotwórczych. Zkądżeż się w nich biorą, jak tam powstają? Czyż nie można przyjąć, że atomy tych ciał promieniotwórczych są w pewnym stopniu rozkładu i rozpadają się na swe części składowe? Może więc w elektronach odkryliśmy substancję pierwotną, we wszystkich ciałach zawartą, z której świat cały jest zbudowany? Pomysł ten podjął szczególnie fizyk amerykański Rutherford i rozwinął nową teorię dezintegracji czyli rozpadu atomów, która w krótkim czasie zyskała potwierdzenie całym szeregiem odkryć nowych i faktów niespodzianych.

Przedewszystkiem w teorii tej rozpadu atomów znajduje rozwiązanie zagadka, która najcięższy nam szkopuł nastęrczała, pytanie, skąd ciała promieniotwórcze niewyczerpany zasób energii swej biorą. Pojmujemy teraz łatwo, że źródło jej tkwi w dokonywających się w łonie atomu procesach. Gdy rozpada się budowa tak ścisła, jaką niewątpliwie jest atom, który przecież opiera się wszelkim usiłowaniom naszym do jego rozbicia zmierzającym, oswobadzać się muszą niezmierne ilości energii, wielokroć potężniejsze, aniżeli przy zwykłych naszych działaniach chemicznych, gdy w grę wchodzi jedynie cząsteczki, molekuly, zbiorowiska atomów, słabszem daleko wiązaniem ze sobą spojone. Samo odrywanie się elektronów radu rodzi energię jego, wyzwala ją raczej.

Zapewne, zaprzeczyć nie można, że do pojmowania takiego wyobrażenia nasza z wysiłkiem zaledwie nagiąć się może. Każdemu elektronowi przypisać przecież winniśmy pewną w przestrzeni rozciągłość, która obliczyć się daje, jeżeli przyjmujemy jakąkolwiek postać oznaczoną, formę kulistą najłatwiej. Rachunek w tym razie uczy, że promień takiej bryłki kulistej wynosi zaledwie trylionową część milimetra, a w tak skupionym ładunku elektrycznym istnieć mają siły niezmierne, które zmierzają do zerwania części oddzielnych. Są tu trudności pewne, które dalsze dopiero badania rozjaśnić zdołają. Jak niegdyś umysł ludzki sto-

¹⁾ Ob. „Szkice przyrodnicze“ (1893 r.): „O naturze pierwiastków chemicznych.“

pniewo zaledwie oswajał się z niezmiersonymi wymiarami wszechświata, tak teraz z mozołem również wdzierać się musi do światła atomów, by wyczytać prawa rządzące ruchami tych drobiazgow niepojętych.

Ponieważ każdy pierwiastek chemiczny cechuje się właściwym sobie widnem linijsnem, co znaczy, że w stanie świecącym oznaczone drgania świetlne wysyła, każdy przeto atom stanowi musi układ niezmienny. W sposób najprostszy możnaby atom pojnować, jako pewien system planetarny, do najdrobniejszej skali zredukowany, złożony z dodatnio naładowanej bryły centralnej i krążących dokoła niej elektronów ujemnych, jak ziemia i pobratymcze jej planety po drogach przepisanych wiecznie słońce obiegają. Układ jednak taki dla wysyłanej przez elektrony energii nie mógłby się utrzymywać statecznie i niezmiennie; należy przeto odwołać się do układu, w którym elektrony pozostają we względnym wzajemnie spoczynku, ale i z wyobrażeniem takim trudno się pogodzić. Podobne pomysły są jednak przedczesne; zbyt mało jeszcze o elektronach wiemy, by wewnętrzną strukturę atomów odgadywać. Spodziewać się wszakże można, że jak dziś chemik rozmaitym układem atomów w cząsteczkach różnaitości związków tłómaczy, tak z czasem z liczby i ugrupowania elektronów wyjaśnią się odrębne cechy różnych pierwiastków. Tymczasem wystarczać nam musi świadomość, że atom nie jest cząstką niepodzielną i zachodzą w nim działania wewnętrzne, wskutek których oddzielać się od niego mogą cząstki drobniejsze. Widzieliśmy, że rad wysyła promienie α , β i γ ; są wszakże substancje promieniotwórcze, które wysyłają same tylko promienie α lub β , albo też te ostatnie w towarzystwie promieni γ . Być wszakże może, iż promieniowanie takie jest pozorne tylko, powstawać bowiem mogą promienie α , obdarzone szybkością tak powolną, że nie są w stanie wywierać działań nam znanych. Z niektórych doświadczeń wnosić można, że ciała promieniotwórcze wysyłają zarazem promienie α i β w ten sposób, że na każdą cząsteczkę α przypada jedna cząsteczka β . Wypływa to w szczególności z doświadczenia J. J. Thomsona; gdy bryłka radu umieszczona została w osłonie ołowianej, dostatecznie grubej, by wszystkie promienie pochłanianiu ulegały, osłona ta nie przybrała zgola ładunku elektrycznego; przeciwne elektryczności cząstek składających promienie α i β zobojętniły się tu wzajemnie, cząstki te zatem w jednakich wybiegaly ilościach.

Nie zagłębiając się zresztą w szczegóły niedostatecznie jeszcze rozjaśnione, zwróćmy się do najważniejszych wniosków teoryi

rozpadu atomów. Gdy atom danego pierwiastku rozsyła elektrony, traci składowe swe części i nie może zachować poprzedniego swego ciężaru atomowego, nie może tedy pozostać atomem tego pierwiastku i przejść musi w atom pierwiastku innego. Teorya zatem rozpadu atomów prowadzi bezpośrednio do wniosku, że pierwiastki nie są to ciała niezmiennie, ale przeobrażać się mogą w inne; ciała promieniotwórcze są to pierwiastki w stanie przeobrażenia pozostające. Domysł ten Rutherforda okazał się w samej rzeczy słuszny. Ramsay i Soddy wykazali, że emanacya radu przeobraża się w hel (helium).

Co powiedzieliśmy o wysyłaniu promieni przez ciała promieniotwórcze, nie wyczerpuje to jeszcze wszystkich ich osobliwych właściwości. Gdy bryłka radu umieszczona jest na dnie naczynia szklanego w izbie zaciemnionej, dostrzegamy wyrwywającą się z niej mgłę słabo świecącą, która zwolna naczynie całe wypełnia, a w naczyniu zamkniętem żywość jej blasku przez kilka dni wciąż się wzmacza. Jeżeli jaśniejącą tę mgłę zdmuchniemy, przebieg rozpoczyna się na nowo, aż naczynie znowu poprzednim blaskiem błyszczy. Z radu przeto wywiązuje się ustawicznie wypływ pewien, emanacją nazwany.

Na emanację tę nie działają najsilniejsze odczynniki chemiczne, nie porywają jej kwasy ani alkalia, nie ulega temperaturze żaru, siły elektryczne i magnetyczne wpływu na nią nie wywierają. W temperaturze jednak bardzo niskiej, wynoszącej około -150° , gdy emanacya jest oziębiona powietrzem ciekłym, skrapla się i osiada na ścianach naczynia. Wnętrze naczynia traci wtedy swój blask, a jaśnieją jego ściany. Jest więc emanacya radu substancją lotną, która wysyła promienie α , pobudzające powietrze do świecenia i nadające jej własność przewodnictwa. Z tych tylko własności można było gaz ten wykryć, ilości bowiem, jakie dałyby się wydobyć z niewielkich zasobów radu, które posiadamy, są znikomo drobne. Ramsay i Soddy przytaczają, że z 60 miligramów radu w ciągu czterech dni otrzymali $\frac{1}{50}$ milimetra sześciennego emanacyi czystej, z powietrzem niezmiśzanej, zatem objętość, nie-dosięgającą nawet dziesiątej części główki szpilkowej.

Zebrana w rurze zatopionej, z której inne gazy starannie usunięte zostały, świeci początkowo bardzo żywo. Po upływie dni kilku blask słabnie, a po kilku tygodniach gaśnie prawie zupełnie. Emanacya radowa niknie przeto stopniowo, a w jej miejsce znajdujemy ślady gazu innego, który tam poprzednio niewątpliwie nie istniał; świadczą o tem badania widmowe. Nowym tym gazem jest hel (helium) pierwiastek chemiczny ztąd pamiętny, że dawno

znany był w atmosferze słonecznej, gdy później dopiero, przed niewiele laty, odkryty został w powietrzu naszym i w kilku minerałach ziemskich. Jesteśmy tu więc świadkami przeobrażenia radu w helium, zamiany pierwiastku jednego w inny zupełnie; poznajemy objaw, którego nikt poprzednio nie obserwował, który niemożliwym się zgoła wydawał.

Cały proces rozpadania się radu został dokładniej zbadany i dalej wysłedzony. Emanacja, wywiązująca się z radu, rozszczepia się na helium i na część pozostałą, nazwaną rad *A* (radium *A*), z którego powstaje rad *B*, z tego ostatniego zaś rad *C*, i dalej kolejno rad *D*, rad *E*, aż cały ten ciąg przeobrażeń znajduje zakończenie swe w substancji oznaczonej nazwą rad *F*. Wszystkie te ogniwa pośrednie, od radu *A* aż do radu *F*, znane są tylko z własności swych promieniotwórczych; nikt ich nie widział, nikt nie zważył. Możemy je jednak wyodrębnić jedne od drugich, a to według wysyłanych przez nie promieni oraz według czasu ich istnienia czyli trwania ich życia.

Emanację radu, jak widzieliśmy, poznajemy ze świecenia powietrza, w którym się rozpościera, wysyła słabo tylko przedzierające się przez przegrody promienie α obdarzone ładunkiem elektryczności dodatniej. Jeżeli w emanacji tej pozostawimy przez czas pewien, przez kilkanaście godzin, jakiegokolwiek ciała, staje się ono także promieniotwórczem, skąd możnaby sądzić, że na powierzchni jego osiadają ślady tej emanacji. Substancja wszakże tak nagromadzona nie jest już tą samą emanacją, promienie jej bowiem zachowują się odmiennie, przenikają łatwo przez zawady i poza grubą nawet ścianą działają na płytę fotograficzną. Nastąpiło tu już zatem przeobrażenie, w miejsce emanacji pierwotnej mamy przetwór dalszy. Różna trwałość życia świadczy również, że mamy tu z rozmaitemi do czynienia substancjami. Przez trwanie życia danej substancji promieniotwórczej rozumiemy przeciąg czasu, w ciągu którego działalność jej obniża się do połowy, a doświadczenie nauczyło, że każda z tych substancyj zawsze z jednaką szybkością przeobrażenie swe odbywa. Tak rad sam zmniejsza się o połowę w ciągu jakiego tysiąca lat, gdy emanacja jego zmianie takiej ulega w ciągu czterech dni, a dalszy stopień tych przeobrażeń, substancja, o której mówiliśmy, zalecająca się silnie przenikliwymi promieniami, rad *C* mianowicie, ubywa do połowy w ciągu 28 minut tylko. Różnice, jak widzimy, są tu bardzo znaczne; dla radu *D* trwałość taka życia wynosi lat 40, dla radu *E* — rok jeden.

Gdy badacz ma przed sobą nową substancję promieniotwórczą, rozpatruje rodzaj wysyłanych przez nią promieni, oznacza stopień ich działalności, poczem, po upływie pewnego czasu powtarza swe doświadczenia; z dostrzeżonego ubytku wyprowadzić może określoną wyżej trwałość życia, a tem samem rozstrzygnąć, czy substancya badana rzeczywiście jest nowa, czy też znana już z poszukiwań poprzednich. Tą drogą zdołano ująć wszystkie metabole, czyli wszystkie stopnie przeobrażeń pośrednich od radu do radu F' , wykryć cechujące ich promienie i ich trwałość życia oznaczyć.

Wspomniany wyżej rad D z tego względu zwraca na siebie uwagę, że prawdopodobnie identyczny jest z substancją poprzednio odkrytą, której dano nazwę radołowiu. Ostateczny wreszcie stopień tego rozpadu, rad F' , posiada trwałość życia 143 dni i jest prawdopodobnie identyczny z odkrytym przez panią Skłodowską polonem, dla którego okres ten czyni 140 dni; podobnie nadto, jak rad F' , nie posiada i polon promieniotwórczych produktów rozpadu. W każdym razie należy polon ten do najlepiej znanych pierwiastków promieniotwórczych, jakkolwiek dotąd nie oznaczono dokładnie jego ciężaru atomowego, ani nie wykryto jego widma. Posiadany go dotąd w ilościach niesłychanie drobnych; z całych milionów kilogramów substancji pierwotnej zdołano kilka ledwie miligramów wydzielić. Jest on zapewne ogniwiem kresowem szeregu ciał silnie promieniotwórczych. Ponieważ substancya, która z rozpadu jego powstaje, własności promieniotwórczych już nie posiada, mogła się w ciągu długiego czasu nagromadzić w znacznych ilościach i jest zapewne pierwiastkiem znanym; jesteśmy pod tym względem skazani jeszcze na domysły, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa rozpada się polon na bizmut lub ołów. Przemawia za tem wzgląd, że ołów bardzo często występuje w minerałach promieniotwórczych.

Gdy polon stanowi kres całego ciągu tych przeobrażeń, nie jest bynajmniej rad pierwszym ogniwiem szeregu, ale sam jest również produktem rozpadu. Pochodzi od uranu, który jest rodzicem (parent element) wszystkich pierwiastków promieniotwórczych. Całego przebiegu tych przeobrażeń od uranu do radu wysledzić dotąd nie zdołano; znany zaledwie pierwszy stopień rozpadu uranu, tak zwany uran X , ale wiemy, że rad zawsze uranowi towarzyszy, a to już samo świadczy o takim jego pochodzeniu. Nadto we wszystkich minerałach zbadanych stosunek ilościowy radu i uranu jest jednaki, na jedną część radu zawsze milion części uranu przypada. Według teoryi rozpadu atomów zdumiewająca ta łączność prosto się tłumaczy. Zachodzi tu jakby równowaga ruchoma:

Z uranu wytwarza się w danym przeciągu czasu tyleż radu, ile radu rozpada się w tymże czasie. Rad posiada działalność promieniotwórczą milion razy potężniejszą, aniżeli uran i w tymże samym stosunku prędszej się rozszczepia. Gdy jedna część radu przeobrażeniu ulega, dla jej zastąpienia potrzeba miliona części uranu, a stąd w minerałach dostatecznie starych, by się już do równowagi takiej ułożyć zdążyły, utrzymuje się stosunek stateczny radu do uranu, jeden do miliona.

Ciała promieniotwórcze nie utrzymują się niezmiennie, tworzą się i giną, bytowanie ich jest wiecznem powstawaniem i ciągłą zagładą. Ze smołowej rudy uranowej wydzielić możemy polon dziś i po latach całych; oba te przetwory niczem między sobą różnić nie będą, ale polon po latach dobyty nie będzie to już dzisiejszy, ten bowiem rozpadł się już dawno, a natomiast odpowiednia jego ilość rozwinęła się z radu. Jak polon z radu, tak rad rodzi się z uranu, chociaż nie ujawniły się nam jeszcze wszystkie ogniwa tego przejścia stopniowego.

Uran tylko jeden już się nie odradza, ubytek jego pozostaje nienagrodzony. Jest prostoplastą całej genealogii pierwiastków, przodka jego nie znamy. Cóż więc nadaje mu ten charakter odrębny, skąd zdobywa naczelne stanowisko w całym tym osobliwym rodowodzie? Odpowiedź nasuwa się łatwo, uran bowiem jestto pierwiastek o najwyższym ciężarze atomowym, który wyraża się liczbą 238 (w porównaniu z atomem wodoru, przyjętym za jedność). Uran tedy przedstawia się nam, jako pierwiastek zbudowany z największej ilości elektronów, które jakby z przymusem tylko w łączności tej się utrzymują i najłatwiej ze związku wyrrywają, a z rozpadu tego powstający rad ma już ciężar atomowy mniejszy, wyrażający się liczbą 225.

Co się tyczy aktynu, który został współcześnie z radem i polonem odkryty, stanowisko jego w rzędzie ciał promieniotwórczych nie jest jeszcze wyjaśnione, nie znamy bowiem jego ciężaru atomowego; p. Godlewski zestawił wprawdzie szereg substancyj pochodnych z aktynu, ale własnej jego łączności z uranem nie znamy. Do pierwiastków promieniotwórczych należy, jak pamiętamy, i dawniej już znany tor, którego ciężar atomowy czyni 232; przypada mu zatem miejsce pomiędzy uranem i radem, a według tego należałoby oczekiwać, że występuje w minerałach, zawierających uran i rad. Zdarza się to rzeczywiście, ale nie zawsze, a brak ten wymaga jeszcze wyjaśnienia. P. Godlewski wykazał również kilka stopni od toru pochodzących, ale odstęp toru od uranu nie jest zapewniony.

Ostatniem ogniwem przeobrażeń radu, jak widzieliśmy, jest polon. Ciężar jego atomowy nie został również dotąd oznaczony, zapewne jednak przypada około 210. Powstający prawdopodobnie z polonu ołów, którego ciężar atomowy jest 207, już do kategorii tej nie należy. Wypływa stąd, że ciężkie jedynie atomy, co najmniej o ciężarze około 210, posiadają jeszcze własności promieniotwórcze. Są to układy niestateczne, które łatwo w formy trwalsze przechodzą. Ciała promieniotwórcze przetrwały jako zabytki dawno ubiegłego, młodzieńczego okresu dziejów ziemi, gdy tworzyły się dopiero składające ją masy. Pierwiastki natomiast pozostałe, o atomach lżejszych, przedstawiają się nam jako substancje wykończone ostatecznie, które dobiegły już do kresu swych przeobrażeń i utrzymują się w stanie niezmiennym. Ale tu budzi się wątpliwość, czy podział taki pierwiastków chemicznych na dwie kategorie odrębne istotnie jest usprawiedliwiony; być może, iż atomy lżejsze są także promieniotwórcze lubo w stopniu daleko niższym, w mierze tak słabej, że działania ich wymykają się dostrzeżeniom naszym. Czyż przypuszczeniu temu wręcz zaprzeczać możemy dlatego tylko, że przyrządy nasze objawów tych nie wykazują? Wiemy przecież, że własności materji są powszechne, stopniem tylko natężenia wyróżniają się w rozmaitych ciałach. Dopóki w posiadaniu naszym był tylko zwykły, odwieczny magnes, ulegało mu żelazo jedynie i kilka jeszcze pokrewnych mu metali; odkąd jednak rozporządzamy potężnemi elektromagnesami, wiemy, że wszystkie w przyrodzie ciała posiadają własności magnetyczne, chociaż w stopniu miliony i setki milionów razy słabszym, aniżeli stal i żelazo.

Według tego nic nie stoi na przeszkodzie przypuszczeniu, że promieniotwórczość jest ogólną własnością materji, ilościowe tylko różnice są niezmiernie wielkie. Przemawiają za tem nawet pewne spostrzeżenia. Tak poznano, że elektroskop w naczyniu ołowianem osadzony szybciej traci ładunek swój elektryczny, aniżeli podobny przyrząd w naczyniu cynkowem, co by wskazywało, że ołów obficie wysyła promienie, które jonizują powietrze, czyli czynią je przewodnikiem elektryczności. Znani nadto badacze elektryczności atmosferycznej, Elster i Geitel, wykazali, że w powietrzu zawsze występuje pewna emanacja promieniotwórcza; wykryli ją zarówno na szczytach gór, jak i na dnie kopalń głębokich w ilości zmiennej, zależnej od warunków w atmosferze panujących, od wysokiego i niskiego jej ciśnienia, od stanu jej pogody, od rozproszonego w niej pyłu, od deszczu i śniegu. Wszystkie też źródła zawierają emanację radową, która obficie zwłaszcza występuje

w cieplicach znanych z leczniczych swych własności. Toż samo tyczy się torfowisk, a być może, że uzdrawiające zalety kąpieli torfowych zostają w związku z ich działalnością promieniotwórczą. Przemawia za tem i to spostrzeżenie dawne, chociaż nieraz zaprzeczane, że wody mineralne skuteczniejsze są u samych źródeł, aniżeli rozsyłane daleko w butelkach.

Skoro wszystkie źródła sprowadzają z głębi ziemi emanację promieniotwórczą, a ślady jej wykazać się dają i w wodach podskórnych, wnieść stąd należy, iż w łonie ziemi mieści się ognisko działalności promieniotwórczej; szeroko może rozpowszechniony jest w niej rad lub inne pierwiastki pokrewne, które z dostępnych nam minerałów tak skąpo zaledwie wydzielać możemy. Zagadka wnętrza ziemi nie jest dotąd rozstrzygnięta; czyż być nie może, iż do utrzymywania panującego tam żaru, przyczynia się i ciepło wciąż przez rad wywiązywane.

Ale też sama uwaga odnieść się daje i do słońca. Według powszechnie dziś przyjmowanej hipotezy źródło ciepła słonecznego wypływa z ciągłego kurczenia się potężnej tej bryły; ubytek ciepła, które słońce tak obficie na wszystkie strony rozsyła, wynagradza się ciepłem, wywiązującym się ustawicznie skutkiem zagęszczania składających je gazów. W odległej jednak przyszłości, gdy skutkiem procesu tego wzmoże się znacznie gęstość bryły słonecznej, nie będzie mogło dokonywać się tak prawidłowe skupianie, a wtedy ilość ciepła, wysyłańego przez słońce, zmniejszy się znacznie, przy zmniejszonej zwłaszcza powierzchni promieniującej. Na podstawie podobnych rozważań przypisuje W. Thomson słońcu nie więcej nad jakie dwadzieścia milionów lat działalności w czasach ubiegłych i pięć do sześciu milionów lat w przyszłości. Tego rodzaju obliczenia dają się odnieść i do ziemi, a z nich wypływa, że od czasu wytworzenia się skorupy ziemskiej, upłynęło nie więcej nad dziesięć milionów lat. Rachunki te Thomsona, charakteru zresztą bardzo hypotetycznego, nie przypadły do gustu geologom i biologom, którzy potrzebują okresów znacznie dłuższych, by w nie wtłoczyć uzasadnione swe pojęcia o powolnem kształtowaniu się powierzchni ziemi i stopniowem rozwoju istot żyjących. Odkrycie radu przychodzi w porę, by nieporozumienie to usunąć, jeżeli bowiem zasób jego w ziemi tak ogromne ilości ciepła wytwarza, nie potrzebujemy odwoływać się wyłącznie do procesu zagęszczania, by zeń wszystką ilość traconego ciepła wyprowadzać. Zasób energii świata przez odkrycie radu zubożać się w pojęciach naszych, a stąd słońcu zarówno jak i ziemi przypisywać możemy w przeszłości i w przyszłości długotrwałość większą znacznie.

Długością okresów rozwoju ziemi geologowie rozporządzać mogą swobodnie.

Mimoходом nadmienimy tylko, że spostrzeżono znaczną analogię pomiędzy właściwościami promieni wysyłanych przez ciała promieniotwórcze a objawami komet i na tej podstawie próbowano już oprzeć nową teorię tych ogoniastych ciał niebieskich, niedawno tak zagadkowych, a i dziś jeszcze nie rozjaśnionych stanowczo we wszystkich swych szczegółach. Czy nowa teoria zdoła rozjaśnić pozostające jeszcze wątpliwości, nie wiemy dotąd. Z obszarów więc niebieskich zstąpmy raczej do względów, które nas tu na ziemi bliżej dotyczą.

Jeżeli promieniotwórczość i wiążący się z nią rozpad atomów jako powszechną własność materii uznajemy, to odradzają się przed nami dawne rojenia alchemików o transmutacji metali. Skoro pierwiastki ulegać mogą przeobrażeniom, jeżeli z jednych inne się rodzą, dlaczegożby mrzonką miało pozostać dobywanie złota z metali pospolitszych, dla czego nie możnaby srebra w złoto zamieniać? Zapewne zadanie to i dziś jeszcze przebłyska nam w dali niedostrzegalnej, ale już jaśniej ująć się daje. Pojmujemy teraz, że łatwiej przyszłoby zamieniać złoto w srebro, aniżeli urzeczywistnić przeobrażenie przeciwne srebra w złoto, złoto bowiem posiada wyższy ciężar atomowy, atomy jego mają budowę bardziej zawiłą, złożone są z większej ilości cząstek elementarnych. Wdzieliśmy zaś, że rozszczepianie atomów łączy się z wywiązywaniem olbrzymiej energii, tak iż sam przeto nakład energii zużyć potrzeba, by przeobrażenie w odwrotnym kierunku sprowadzić, czyli z danego pierwiastku otrzymać inny o wyższym ciężarze atomowym, a to przy dzisiejszych naszych środkach zdobywania energii wymagałoby niewątpliwie wydatków, przechodzących znacznie wartość produktu zamierzonego. Natomiast nie wydaje się rzeczą niemożliwą zamiana w złoto ołowiu, gdyż jestto metal o wyższym ciężarze atomowym.

Nowe odkrycia sprowadziły nas na grunt rojeń fantastycznych, ale zdobywcze, jakie nauka w ostatnich latach osiągnęła, usprawiedliwiają nadzieje najśmielsze. Wiemy i to, że każde odkrycie naukowe otwiera też nowe drogi technice, wydziera się poza ściany pracowni badacza i znajduje zastosowanie praktyczne. Nic nam nie przeszkadza łączyć się nadzieją, że powstaną z czasem fabryki wyrabiające złoto, ten utęskniony przedmiot najgorętszych pożądań naszych. Gdyby jednak kiedykolwiek stać się to mogło, nie cenny ten metal byłby głównym celem wytwórczości, ale oswobodzająca się przy tem energia.

Widzieliśmy, jak obfitem źródłem energii jest rad, a trwałość jego życia oceniać można na kilka tysięcy lat. W ciągu tego czasu jeden gram radu wywiązałby tysiąc milionów ciepłostek, które, w pracę zamienione, wystarczyłyby do dźwignięcia wielu milionów kilogramów na milę w górę, gdy gram wodoru, najskuteczniejszego naszego materiału opałowego, w tlenie spalony, dostarczyłby tylko trzydzieści cztery tysiące ciepłostek, trzydziestotysięczną zaledwie część ciepła, wytworzonego przez takąż samą ilość radu. Potęga energii, rozbudzającej się przy rozszczepianiu atomów innych, tegoż samego zapewne byłaby rzędu wielkości.

Gdy kiedykolwiek zdoła człowiek procesy atomowe opanować, gdy potrafi rozbijać atomy, jak dziś wodę na składowe jej pierwiastki, na tlen i wodór rozkłada, władza jego nad siłami przyrody stanie się potężniejszą, zasoby energii, które mu do rozporządzania staną, powiększą się tysiąckrotnie, przestanie go gnębić widmo wyczerpania węgla, które mu się teraz w niedalekiej stosunkowo już przyszłości ukazuje. Czy cel ten wielki osiągnąć potrafi, czy zdoła pokonać trudności i przeszkody, którymi najeżona będzie droga do zwycięstwa, tego nie wiemy, ale to wiemy, że nie odstraszą badaczy od ciągłego pochodzenia, a znajomość ciał promieniotwórczych, wynurzająca się dotąd z zawiązku dopiero, szybko rozwijać się będzie.

STANISŁAW KRAMSZTYK.

Aktualność czy sztuka?

Z tem pytaniem teatry nasze rady sobie jakoś dać nie mogą. Postawił je scenie polskiej w Warszawie moment dziejowy i dla tego na odpowiedź długo zapewne trzeba będzie czekać. W innej chwili, w normalnych warunkach, publiczność, zwykle sceptyczna wobec kwestyj akademickich, przechyliłaby się bez ceremonii, z zupełnym spokojem, idąc tylko za własnem upodobaniem, na jedną lub na drugą stronę; dziś nie skłania się na żadną — poprostu niema jej w teatrze, a wszelkie dylematy rozstrzyga za nią... stan wojenny i związane z nim zachęty do interesowania się sztuką. Wytwarza się stąd charakterystyczna sytuacja, która byłaby nawet zabawną, gdyby tak dotkliwie nie dawała się uczuć wplątany w nią fatalnie pracownikom naszych teatrów. Oto ten sam rząd, który odstrasza publiczność od rządowych teatrów, niema czem płacić artystów, grających tam przed pustemi ławkami. Tego rodzaju kłopoty biurokracyi nie zwykły nikogo rozczulać; z chwilą jednak, kiedy zaczynają wpływać na kierunek dramatu i komedyi, muszą zaniepokoić każdego, kto gruntowne, artystyczne przekształcenie naszego teatru uważa za jedno z ważnych ogniw w łańcuchu wyczekiwanych reform. Finanse teatrów doprowadzono do takiego stanu, że nikomu już nie chodzi o repertuar; wszyscy natomiast wielkim głosem wołają: „pieniędzy!“ a nieszczęśliwy kierownik ma być tym cudotwórcą, któremu każą z próżnego malewać. Probuje więc ostrożnie; przykłada delikatnie rękę do pulsu publiczności i bada lęklwie neurasteniczną jej wrażliwość na rozmaite literackie i nieliterackie podniety. A gdyby tak dawka historycznej mikstury? Wszak zdarzało się po niej lekkie przyspieszenie tętna i wykwit na obliczu obiecującego rumieńca? Złudzenie, niestety! Wszystko trwa krótko, a potem po-

wraca apatya. A możeby wstrząsnąć organizm palącą kwestyą społeczną? Daremny eksperyment — nerwy zupełnie nie reagują. Więc chyba poezya w homeopatycznym rozcieńczeniu, jakiś łagodny, nieszkodliwy surogat Szekspira? Gdzie tam! Spazmatyczne ziewanie — i na tem koniec. A w kasie ani grosza.

— Więc któż ty jesteś nareszcie — woła z załamaniem rękami zrozpaczony reżyser, zwracając się do publiczności — czego chcesz, fantastyczna, nieuchwytna istoto; czem cię przyciągnąć, czem zająć można; jak do ciebie trafić: czy aktualnością, czy sztuką?

A fantastyczna, nieuchwytna istota w odpowiedzi na te desperackie wykrzykniki idzie do teatru... Nowości.

Nie łatwiejszego, jak cisnąć na nią za to gromy potępienia; trudniej nierównie uzasadnić kondemnatę. Fantastyczną, nieuchwytną, płochą nawet istotą bywa wszelka, zwłaszcza warszawska publiczność; ale czy taką była w danym wypadku? czy to, czem ją usiłowano „przyciągnąć“, „zająć“, miało istotnie siłę atrakcyjną, moc zainteresowania? czy przemawiająca do niej ze sceny aktualność dała jej wrażenia przeżywane poza sceną, a sztuka, która pokusiła się unieść ją ponad tragiczną rzeczywistość, czy miała po temu poetyczne skrzydła?

Warto się nad tem zastanowić przed wydaniem wyroku na lekkomyślność widzów; może też po refleksyi inaczej, sprawiedliwiej wypadnie podział odpowiedzialności.

I.

Zacznijmy tedy od spraw społecznych — te najnatarczywiej domagają się dziś głosu; a wśród nich najdonośniej krzyczy... kwestya żydowska, która też wystąpiła na scenę w „Messyaszowych czasach“ Szaloma Asza. Czy wystąpiła istotnie, jako kwestya? W intencji autora — może nie; we wrażeniach publiczności — niezawodnie. Można nawet powiedzieć, że im mniej było intencji u autora, tem uporniej narzucała się widzowi; stąd nieporozumienie między sceną i widownią, decydujące w znacznym stopniu o losach sztuki p. Asza. Młody autor, Żyd, śledzi, z gorącą dla swych współbraci miłością, ewolucye duszy żydowskiej w czasach, które nazywa „messyaszowemi“, bo się w nich iście mają jakieś zapowiedzi, od wieków z pokolenia na pokolenie przekazywano, jakieś nadzieje przyjsia wybawcy, zesłanego przez

Jehowę dla wyswobodzenia Żydów z wszechświatowej niewoli. Patrzymy na najrozmaitsze tej duszy wcielenia w trzech generacjach, związanych węzłami jednej rodziny, którą zgromadził u siebie sędziwy patryarcha, aby synom, córkom i wnukom oznajmić, że ostatnie dni długiego już żywota pragnie spędzić w Palestynie i tam do wiecznego snu się ułożyć na ziemi i wśród moglił praojców swoich. Że każdy osobnik z pośród liczego potomstwa Reb Chunena jest w pewnym, mechanicznym związku z jakąś określoną społecznością, o tem dowiadujemy się więcej z afisza niż od członków plemie rozrodzonej familii; a już nie absolutnie nie wiemy o stosunku danego indywiduum do środowiska, wśród którego żyje. Autor zdawał się rozmyślnie unikać postawienia swych bohaterów na gruncie społecznego antagonizmu, lub choćby poprostu współżycia. Do zamieszkiwanego przez Reb Chunena zakątka w Kazimierzu nad Wisłą nie zabłąkał się ani jeden chrześcijanin; p. Asz wprowadził nas pod dach żydowskiej rodziny, tej rodziny o specyficznym charakterze, która nie niema wspólnego ani z ustrojem społeczeństwa, ani z organizmem państwa i jest tylko wyrazem rasy, rozsądnikiem gatunku. Można w tej gromadce spotkać stołecznego, w wielkomiejskim stylu aferzystę; i drobnego kupca małego miasteczka; i niemieckiego geszefciarza; można z niej wyróżnić sylwetki szwajcarskiego studenta i krakowskiej kursistki; można się nawet natknąć na socjalistę, wskazującego odrazu sposobem w jaki pije herbatę, skąd rodem jego socjalizm; ale te znamiona na psychologicznym naskórku w indywiduach, które nie są indywidualnościami, w temperamentach, które nie są charakterami, rozplywają się w atmosferze rodowej przynależności, odsłaniającej tylko w przebłyskach różne rysy jednej, zbiorowej, rasowej duszy. O to, jak ta dusza reaguje na otaczające ją warunki życiowe, nie chodziło widocznie autorowi wcale; wpatruje się natomiast rozmarzonymi oczami poety w stosunek jej do wspólnego całemu plemieniu żydowskiemu ideału. Wszystkie trzy akty sztuki niczem innem nie są wypełnione, tylko momentami tego stosunku w rozmaitem oświetleniu uczuć i myśli jej bohaterów; zdawałoby się więc, że ideał sam przedstawi nam się jasno w całej syntetycznej pełni. Tymczasem nie potrafi uprzytomnić go w jakiejś określonej, o życie zaczepionej formie, nawet najstarszy piastun tradycyi—Rabi Chunen. Jest-że to zresztą tradycya w tem znaczeniu, jakie jej aryjskie ludy nadają? I czy niema więcej złudzenia niż treści w tych wycieczkach umysłów i serc żydowskich ku historii, która przez dziwną transpozycyę czasu i przestrzeni, zamiast streszczać w sobie sumę tego,

co niegdyś było, staje się źródłem nowych marzeń o tem, co kiedyś będzie i dla semitów dzisiejszych oznacza nie przeszłość, lecz przyszłość.

Od tej wątpliwości trudno się obronić, słuchając ekstatycznych słów patriarchy przy pożegnaniu jego ze swoimi u roгатki, która w drodze do Syonu symbolicznie dzieli rodzinę na takich, co staną z tej i na innych, co znajdują się z tamtej strony ideału. Mniejsza o kupczących terażniejszością, w rodzaju Borucha vel Bernarda, albo Wuj-Kana, których targ dnia powszedniego odciąga od wędrówek w fantastyczne krainy; ale wszakże najszlachetniejszy z wnuków Reb Chunena, Andrzej, powtarza ustawicznie: „czem ja jestem, do kogo należę, dokąd mam dążyć? nic mi nie dał ojciec, nic mi nie dała matka; co ja mam kochać?“ I w tych powracających rytmicznie strofach dźwięczy taki dojmujący smutek, taka bolesna tęsknota, odzywają się nuty takiej rozedrganej pragnieniem miłości, że ta pieśń elegijna, śpiewana jakby na śmierć nienarodzonej jeszcze ojczyzny, zdaje się płynąć z głębi serca samego twórcy „Messyaszowych czasów.“

Pod takim zaś wrażeniem publiczność inną zgoła przybiera w obec utworu postawę, niż zapewne zamierzył poeta. „Kwestya“ na skrzydłach marzeń oderwana od życia, traci dla widza charakter „społeczny;“ urasta natomiast do rozmiarów zagadnienia wszechkulturalnego. „Czas działania: wczoraj, dziś, jutro“ objaśnia autor—i publiczność z konieczności rozciąga wyobraźnię tę wskazówkę poza granice czasu i przestrzeni. Staje przed nią problemat już nie rasy, nie narodu nawet, tem mniej jakiegoś usankcyonowanego prawnie wyznania, lecz pewnego umysłowego kierunku, odrębnego ustroju psychicznego, który w historycznem żydostwie najpotężniejsze znalazł urzeczywistnienie. I w miarę, jak poeta wymyśla się i wczuwa w swoją wizję, wsłuchany w dźwięki mistycznej muzyki, dolatującej ze szczytów Syonu do brudnej, żydowskiej roгатki; w miarę, jak grzmia w tej muzyce coraz donośniej prorocтва tajemniczych przewrotów, a wędrówce sposobiący się w drogę ku „ziemi obiecanej“ słyszą naokoło siebie odgłosy boju i zwycięstwa — jednocześnie widz uprzytomnia sobie wizję innego Żyda, który w młodych latach odebrał sobie życie, może dlatego, że również nie wiedział „czem jest, do kogo należy, dokąd ma dążyć i co ma ukochać.“

„Żydostwo w naszych czasach wspięło się na szczyty, na jakich nie stało od czasów Heroda. Żydowskim jest duch współczesności wszędzie, gdzie nań tylko spojrzymy; żydowskim jest czas majlatwowieńszego anarchizmu, czas bez poczucia prawa,

bez zmysłu państwowego; czas etyki płciowej i najpłytszej ze wszystkich historyzofij—materyalizmu dziejowego; czas kapitalizmu i Marksizmu; czas, w którym historia, życie, wiedza zredukowane zostały do ekonomii i techniki, a początek sztuki wprowadzono z igraszek zwierząt; żydowskim jest czas, w którym geniusz uznano za formę obłądu, a który nie posiadał ani jednego wielkiego artysty, ani jednego wielkiego filozofa; czas najskąpszy w oryginalność, a najzawzięciej uganiający się za oryginalnością; czas, który zamiast ideału dziewictwa stworzył kult „pół-dziewic“ i tem się wślawił, że celebrowanie obrządków seksualnych uznał za obowiązek, nie dla tego, żeby jak Grecy, Rzymianie zapomnieć się w bachanalii, ale żeby się w niej odnaleźć i treścią jej pustkę własną wypełnić.“

Tak mówi Otto Weininger.

I żeby nic nie brakowało do następczącej się uparcie paraleli, autor „Płci i charakteru“ kończy swoją charakterystykę wróżbą, wysnutą z ciemnego, głuchego a jednak rozpaczliwie pewnego w duszy semickiej poczucia, że coś się w łonie Żydostwa stać musi, co będzie tragedją Żydostwa. „Jak niegdyś, przed wiekami—prorokuje ten genialny Żyd—znajdzie się ludzkość powtórnie w konieczności wybierania między Żydostwem a chrześcijaństwem, między interesem i kulturą, między gatunkiem a osobnikiem, między bezwartością a wartością, między życiem przyziemnem a górnem, między nicością a bóstwem. Takie są dwa krańcowe bieguny — *trzeciego królestwa* niema.“ A moment historyczny nastanie wraz ze zjawieniem się oczekiwanego Messyasza, zbawiciela, „który z Żydostwa wyszedłszy Żydów od Żydostwa wyswobodzi.“

Która z dwóch wizyj i kiedy się ziści; czy i jak obie spotkać się mogły w marzeniach o „messyaszowych czasach,“ to oczywiście należy do tajemnic z jednej strony grobu, z drugiej — żywej duszy poety. Nie dla wdzierania się w te tajemnice zestawilem tu widzenia zmarłego i żyjącego; szło mi o określenie z samej możliwości tych zestawień, nastroju publiczności wobec sztuki p. Asza. Nastrój musiał być do pewnego stopnia oporny; wytwarzały go nie tylko niedopowiedzenia w narzucającem się, może mimo woli poety, zagadnieniu ogólnej kultury, ale w pracy do twórczej, na którą autor skazał widza, wplątawszy w ten problem bądź co bądź polskich Żydów. Publiczność dostosowywała ich sama, na własną rękę, prawie przemocą wyobraźni do polskich stosunków; i oto, ilekroć zdawało jej się, że myślą dopełnia autora, rozpraszady jej złudzenie westchnienia szwajcarskiego studenta: „czem ja jestem, do kogo należę, dokąd mam dą-

żyć? Nic mi nie dał ojciec; nic mi nie dała matka; co ja mam kochać?”

To wrażenie stałoby się niewątpliwie rozstrzygającym, gdyby nie jedna w sztuce postać, dająca odpowiedź na najważniejsze pytania desperata. Młodziutka wnuczka Reb Chunena, Justyna, w Krakowie kształcona, wie czem jest — jest Polką; wie do kogo należy — należy do społeczeństwa polskiego; wie dokąd ma dążyć — do narodowych ideałów polskich. Nic jej nie dał ojciec, nic jej nie dała matka — ale jej wszystko dało powietrze, którym oddychała, ale jej wszystko powiedziały echa wielkiej przeszłości, wśród których błędziła na Wawelu, dumiała w Łobzowie, rozpałmiętywała w Kaźmierzu. Więc też wie, co ma kochać — kocha Polskę. Zabłąkana w dwudziestym wieku Esterka łaknie królewskiej miłości nie koronowanego kochanka, ale umęczonego narodu i z tej miłości zwierza się przed starą Żydówką Ruchlą w scenie, która sama jedna wystarcza, żeby w autorze „Messyaszowych czasów“ odsłonić poetę.

Dla czego ta poezya szczerą, głęboko odczuta spłynęła na kobietę; dla czego kobieta jest nosicielką jedynej idei, przemawiającej do publiczności językiem życia i wszystkich jego cierpień, radości, pragnień i nadziei? Wygląda to znowu, jakby argument popierający wywody Weiningera o kobiecości żydowskiej psychyki, zwłaszcza, że jest coś miękkiego, niewieściego nie tylko w rozkwilonych wyrzekaniach studenta, ale i w hallucynacyjnych uniesieniach syońskich pielgrzymów, zwłaszcza nadto, że „messyaszowe czasy“ mają także w życiu swoją historję, której straszne konwulsje odczuwamy na sobie. Pan Asz oszczędził nam na scenie widoku historyczki; czy jednak przez to ustalił własny stosunek do dwojga swoich bohaterów; czy dał nam możność wyrzeczenia dokąd się przechyla: ku szwajcarskiemu studentowi, czy też ku krakowskiej studentce?

Nie mamy prawa domagać się takiego wyznania wiary od autora, który może nie myśląc o „sensie moralnym“ chciał poprostu przedstawić dzisiejszą duszę żydowską w rozmaitych jej odmianach; ale w takim razie autor nie może mieć pretensyi do publiczności, jeżeli dla niej pytania wnuka Chunenowego wierniej tę duszę streszczają, aniżeli odpowiedzi jego wnuczki. Nie może tembardziej, że gdyby nawet w intencji p. Asza szlachetne uczucia kursistki miały ją wysunąć na pierwszy plan, przeszkodziła temu gra panny Pawłowskiej, która to sprawiła, że na czoło obrazu wystąpiły właśnie wszystkie dźwigające antytezę postacie, doskonale grane przez pp. Śliwickiego, Bednarczyka, Szymanowskie-

go, Rolanda, Szoberta, Wostrowskiego i Wilczyńskiego. Miały więc „Messyaszowe czasy“ z racyj społecznych mniej przedstawić, niż na to zasługiwały; ale zostawiły po sobie artystyczne wrażenie utworu, zapowiadającego niepośledni talent.

Nie można tego powiedzieć o trzyaktowym dramacie Filipa Langmanna p. t. „Bartel Turaser;“ niewiadomo bowiem co przed dziewięciu laty, kiedy go poraz pierwszy w Niemczech przedstawiono, mógł właściwie zapowiadać i trudno dziś zrozumieć jakiego gatunku wrażeniami zdołał podówczas wywołać i przez krótką chwilę podtrzymać pewien rozgłos.

Był dramatem proletaryatu — i ta jego metryka literacka posłużyła mu dawniej za jedyną zapewne kwalifikację na scenach niemieckich. U nas uznano go za aktualność—temu też zapewne zawdzięczał przemijającą gościnność w repertuarze teatru warszawskiego. Tam i tu długo ostać się nie mógł w zetknięciu z dwoma potężnymi współzawodnikami: w ojczyźnie—z Gerhardem Hauptmannem; w Warszawie — z życiem.

„Tkacze“ przez pewien czas nikomu spać nie dawali. Nie mówię oczywiście o „oburzonych,“ którzy, w imię „zagrożonego ustroju społecznego,“ zakazem policyjnym podnieśli, nawet w powściągliwych, entuzjazm dla tej genialnej kreacji; mam na myśli tych, którym ten nastrój pewnych odłamów publiczności wciskał pióro do ręki, mnożąc w niepokojący sposób zastęp naśladowców. Fala wszelakich imitacyj zalała wtedy rynki literacko-teatralne; sukcesy zaś różnych przedrzeźniaczy dowodziły przede wszystkim, jak mało, jak źle rozumiano samego Hauptmanna. Pisarze niewątpliwie utalentowani: Langman, Adamus, Heyermanns, zdobywszy się zaledwie na blade, niezdolne do życia plagiaty, próbowali prześcignąć arcywzór, już to wprowadzając „bohatera,“ już znowu „ożywiając akcję“ lub też realizując na scenie jakiś „światopogląd.“ Bohatera zwłaszcza brakowało publiczności, a nawet krytyce. I mało komu mieściło się to w głowie, że w tragedji wdzierającego się na scenę dziejów „czwartego stanu“ bohaterem, który zaczyna w oczach naszych „robić historję,“ jest tłum; że wywyższył „Tkaczów“ nad wszelkie teatralne bohaterstwa właśnie brak herosa; że w prawdziwym dramacie pulsuje sercowem tętnem *fatum*, los nieunikniony, nieprzeparła siła, postępująca się, jak narzędziem, czynami ludzkimi — a w „Tkaczach“ głód jest tą siłą, w obec której, zapominając o innych poza nią potęgach życiowych: o inteligencji, o fantazyi, o mocy twórczej, o woli świadomej, nie widzi się przed sobą nic więcej prócz chaosu i żywiołowej, rozpaczą na oslep gnanej ciżby. I w tem tkwi prze-

dziwny zmysł dramatyczny Hauptmanna, który, odgradziwszy się rozmyślnie od reszty świata, w zakątku, gdzie patrzył na narodziny socjalizmu, z artyzmem wielkiego realisty, obywa się bez „rozszerzonych widnokręgów“ i bez socjalistycznej tezy, zostawiając mdłym naśladowcom swoim pokusy „kwestyi robotniczej.“

Ze słabością kuszonych nie liczyło się snąc kierownictwo repertuaru w naszych teatrach; natomiast wydawała mu się widocznie siłą atrakcyjną sama „kwestya,“ bo innym motywem trudno byłoby objaśnić wystawienie dramatu Langmanna.

— Na porządku dziennym zatargi z dyrektorami i majstrami w fabrykach; naokoło strejki; wszędzie ostra walka pracy z kapitałem; trzeba coś w tym guście dać na scenie, teatr powinien iść za prądem; scena, która w kwestjach społecznych wszędzie wyprzedza życie, nie może dać się przescięgnąć życiu.

Tak zapewne rozumowała reżyserya; takie prawdopodobnie było jej wyrachowanie. I rachuba omyliła, zwłaszcza gdy spróbowała oprzeć się na konkurencyi z życiem. „Bartel Turaser“ zaledwie zdążył przemknąć się przez scenę.

Przy ocenie tego faktu, bądź co bądź charakterystycznego, wypadnie z góry usunąć wszelkie motywy literackie. Większość publiczności tutejszej nie zna dwóch najpotężniejszych dzieł, z którymi porównałyby mogła bezkrwisty utwór Langmanna: nie widziała na scenie ani „Tkaczów“ Hauptmanna, ani „Ponad siły“ Björnsona. Nie akademicki zatem spór o wyższość bohatera nad tłumem, lub tłumem nad bohaterem wpłynął na jej postawę wobec „Turasera,“ ale otaczający ją żywy dramat, przy którym zblednąć musi wszystko, co jest tylko literaturą i co potęgą twórczą nie przekształca życia na wielkie dzieło sztuki.

Nie brak nic w tym dramacie. Jest nieosobistym — odpowiada więc w pewnej mierze i w pewnych formach Hauptmannowskiemu ideałom. Poza działającymi massami stoi, wytwarza rozpaczliwe sytuacje i prze do tragicznych katastrof niewidzialna a niemniej impulsywna siła — nędza, przybierająca w pewnych momentach postać głodowego widma; gra namiętności, dziczących w miarę rozwoju „akcyi,“ snuje się w krwawych scenach z pozorami odmetu, bezładu, w gruncie rzeczy z tajemniczą jakąś, straszną konsekwencyą. Ponad wszystkiem zaś unosi się teza, którą życie ma dopiero skryształizować, a która streszcza się w tej chwili w parafrazie słynnego zagadnienia z doby wielkiej rewolucyi francuskiej: „czem jest dziś „stan czwartny?“ — niczem; czem chce być jutro? — wszystkiem.“

I tu zatem, jak przy „kwestyi żydowskiej,“ rozszerzają się w stosunku do sceny widnokreśli społeczne; tylko tam odsuwał je w dal, może mimowolnie, poeta; „kwestję robotniczą“ rozpięra poza ramy teatru i na wyżyny wszechludzkiej kultury dźwiga — życie, za którem dopiero literatura będzie musiała podążać. Lubliński w swoim „Bilansie modernizmu“ zauważył, że błędem jest mniemanie, jakoby „Tkacze“ byli dramatem współczesnego ruchu socyalnego; dziś bowiem już nie sam głód jest tego ruchu sprężyną, jak go po mistrzowsku uobecniał Hauptmann w swoich obrazach niedoli robotniczej na Szląsku w czwartym dziesiątku zeszłego stulecia, zamykając poniekąd seryę poetów tej niedoli: Tomasza Hooda, Jerzego Sanda, Eugeniusza Suego, Wiktora Hugo, Heinego i Freiligratha. Fizyognomia antagonizmu społecznego, stanowiącego duszę dramatu proletaryatu, zmienia się istotnie w najnowszych czasach; przybývają jej wyrazistsze rysy, zacieśniające potrochu żywiołowe cechy tego zagadkowego oblicza; odzywają się różniczkowane już z zamętu instyktów uczucia. Bohaterów jeszcze niema; ale już od szarej, bezimiennej masy odrywają się uosobione w żywych postaciach bodźce psychologiczne socyalnych przeciwieństw. W drugiej części dramatu „Ponad siły“ Björnson wprowadza do domu pracodawcy wcielenie miłości, kobietę, wychowawczynię jego dzieci, gdy jednocześnie brat jej w fabryce, otumaniony podszeptami nienawiści klasowej, przygotowawszy zgubę zgromadzonych na naradę przeciw robotnikom fabrykantów, grzebie ich pod gruzami wysadzonej w powietrze willi. Zakończona zbrodnią tragiczna walka nienawiści z miłością, otwiera w epilogu, może bez intencji autora, zatrwajające na przyszłość horyzonty. Pracodawca, ocalony cudem z katastrofy, nawrócił się ku humanitarnym uczuciom, niewiadomo jednak czy pod wpływem miłości, czy pod brzemieniem strasznych kalcetw, jakich przy wybuchu stał się ofiarą. Miłość złamana, miłość bezwładna — oto symbol nadchodzących czasów. Żyją wprawdzie dzieci kaleki, chowane zdrowo pod jej skrzydłami; ale nowe pokolenie jeszcze nie wyrosło, a tymczasem na scenie terażniejszości nienawiść szaleje.

Tego szaleństwa jesteśmy właśnie świadkami; to jest najnowsza postać dzisiejszej tragedyi proletaryatu. Twórcą jej — życie; widzem i przymusowym aktorem jednocześnie — społeczeństwo; bohaterem — bo występuje już w tej fazie bohater — figura nowa, wcielająca dojrzałą niby ideę socyalizmu — agitator. Ten bohater stoi, właściwiej mówiąc — kryje się poza tłumem; indywidualnego niema nic w jego obliczu, które lubi być bezosobowem

i przerażać ekspresją żywiołowości. Ale od siły żywiołowej odbiegliśmy już daleko; kierownika jej, działającego świadomie, celowo, wyczuwamy na każdym kroku, wtedy nawet, wtedy szczególnie, gdy przedrzeźniając kataklizmową potęgę, używa czynów ludzkich za narzędzie; gdy inscenizuje pod bezpieczną osłoną rozmaniętnionych przez siebie mas sztuczne zbiorowe heroizmy. W przebiegu tego dramatu sprawdza się niewątpliwie spostrzeżenie S. Lublińskiego, że chodzi tu już nie o „nagi głód,“ lecz o wyładowanie energii dźwigającego się z nizin „czwartego stanu;“ o ile jednak ta energia ma być według autora „Bilansu“ twórczą, jakie kryje w sobie „wizyonerskie nadzieje przyszłości“ — na to patrzymy wszyscy. I kiedy każdy dzień przynosi nam dantejskie obrazy spustoszeń materialnych i moralnych, zezwierzęcenia natury ludzkiej, orgii znieprawionych instynktów; gdy wrażliwość naszych nerwów zdaje się wyczerpywać do ostatka, wtedy mamy się zainteresować losami Bartela Turasera!

Któż w rezultacie jest ten Bartel Turaser i dla czego właściwie mamy się nim zajmować? Człowiek bardzo nieszczęśliwy i bardzo nudny, bo namiętnie lubi mówić o swoim nieszczęściu. Z gruntu uczciwy, stanął jednak, przyciśnięty nędzą, w kolizji ze swoją uczciwością, jako jedyny świadek w sprawie sądowej, wytoczonej znenawidzonemu majstrowi, od którego mógł uwolnić fabrykę zeznaniem prawdy, a którego z nanowcy żony ocalił kłamstwem za pieniądze, potrzebne na ratowanie chorego dziecka i na chleb dla całej rodziny. Wyrzuty sumienia, cofnięcie fałszywego zeznania z dobrowolną pokutą w więzieniu za krzywoprzysięstwo — oto wszystko. Słowem zamiast Hauptmanna — Anzengruber.

Gdzież tu więc poza psychologią bohatera w nieustającym rozsnuwaną monologu, owa aktualność, która miała usprawiedliwić reżyseryę? gdzie wyraz chwili bieżącej, „kwestya robotnicza?“

Jest tego wszystkiego po trochu w drugim akcie sztuki Langmanna; jest i wiec strejkujących robotników; i rozdawnictwo zebranych zapomóg z kasy strejkowej wygłodzonym biedakom; i uchwała pokonanych nędzą o zaprzestaniu bezrobocia; — jest nawet coś więcej, bo sensacyjna, z za kulis dolatująca wrzawa pościgu robotników za oskarżonym o zdradę Turaserem. I może na publiczności, śledzącej te sceny w normalnych warunkach, wywarłyby one jakieś wrażenie; ale dziś nie tylko fikcja wygląda bezbarwnie wobec rzeczywistości, lecz zostawia widzowi tyle zimnej krwi, że może postawić zapytanie: w jakim artystycznym związku znalazł się ten cały akt z resztą akcyi i z dramatem psychologicznym, odgrywającym się w sumieniu bohatera; czy i w ja-

kiej zależności pozostawał strejk od sprawy majstra, zagrożonego kryminałem; dla czego się rozpoczął, dla czego ustał, o ile stosunek wezwanego przed sąd majstra do robotników był wyrazem stosunku do nich samego pracodawcy i o ile wytwarzał pewien typ „kwestyi robotniczej?“ Wiemy już ze zwięzłego przytoczenia treści „Bartela Turasera,“ że niema tam odpowiedzi na te pytania i że reżyserya, nie troszcząc się ani o jedno, ani o drugie, dała się poprostu zahypnotyzować luźnemu w dramacie epizodowi strajkowemu. Hypnoza nie podziałała na publiczność, mimo zręczną charakterystykę gromady robotniczej i ruchliwą tego epizodu inscenizacyę, mimo bardzo dobrą grę zbiorową, na tle której wyróżniły się plastycznie pojedyncze role, interpretowane z życiem przez pp. Bednarczyka, Siemaszkę, Brydzińskiego i Wojdąłowicza oraz przez panie Barszczewską i Pichor.

II.

Wobec obojętności widzów dla kwestyi społecznych, zwrócono się znów do ich patryotyzmu z ryzykowną tym razem pretensyą, żeby sankcyonował na scenie taki motyw „dziejowy,“ jak romans Napoleona I z panią Walewską. Patryotyzm znalazł się w dość kłopotliwej sytuacji, której treścią zdawało się być takie mniej więcej rozumowanie:

— Widzieliście wielkie początki Polski za Kazimierza; widzieliście wspaniały wysiłek narodu podźwignięcia w sejmie czteroletnim upadającej ojczyzny; patrzyliście na to, jak sztuka z równym zapałem pod hasłem odrodzenia pracowała; zajął was nawet rozpustnik Węgierski w chwilach, gdy mu przez głowę lekkoducha przelatała myśl naprawy Rzeczypospolitej; mieliście przed oczami cnoty, unieścież spojrzeć na grzechy.

— Dobrze, odpowiadał patryotyzm, ale mi pokażcie takie grzechy mojego narodu, w których wielkości tkwi tragizm, godny twórczego gniewu poety i artysty. Nie zadrzę przed Targowicą, wtrącającą Polskę w przepaść; z odrazą wejdę do alkowy, w której pani Walewska „ratuje Polskę.“

Tak mówił patryotyzm i... zaglądał dość często do tej alkowy. Nie obwiniajmy go. Szukał tam przecież nie pani Walewskiej; szukał bożyszcza, nieobalonego przez stuletnie nawalnice—szukał Napoleona. Wiek wkrótce upływa od zjawienia się w Warszawie zwycięzcy z pod Jeny. To prawie aktualność, a wobec

bliskości pamiętnej rocznicy, takoby tam zważał na to, że wielki cesarz obchodził się z kobietą, jak „mały kapral?“ Widzieć go w aureoli tryumfów, wkraczającego na ziemię polską; patrzeć, jak na zanku królewskim przygotowuje epepeę legionów i glorię 1809 roku; śledzić błyski geniuszu, rozdzierające chmury, zawisłe nad przyszłością świata—czyż to nie wystarcza? Między karczmą w Jabłonnie a numerem w hotelu Angielskim w Warszawie, sporo jeszcze wody w Wiśle przepłynie; tymczasem ten budowniczy nowej Europy w naszych oczach gra o wielką stawkę z historią i, niby karty w rękę, tasuje lądy, morza, ludy, narody, państwa. Przez krótką chwilę my jesteśmy w grze jego atutem. I zapominając kto wygrał a kto przegrał, wołamy, jak Faust czarami odmłodzony, wyciągając ręce do tej chwili: „zatrzymaj się! jesteś tak piękna!“

Romans? Czemużby nie? Zdarzają się takie epizody w życiu geniuszów. Tem gorzej dla tych, którzy w epizodzie widzieli moment, choćby niedłuższy nad oka mgnienie, naszej porozbiorowej historii; którzy go do godności dziejowej dźwignęli. Takim go snąć ujrzał powieściopisarz Gąsiorowski, takim się widocznie wydawał inscenizatorowi powieści, panu Nikorowiczowi, skoro wykroił z niej aż pięć aktów, zaludnionych maryonetkami o głośnych nazwiskach i zdążających przez zajazdy, pałace, salony do owej słymej poczekalni przed gabinetem Napoleona, gdzie zapracowany cesarz na wiadomość o przybyciu pani Walewskiej, odrzekł niecierpliwie: „niech czeka!“ a znalazłszy się z nią sam na sam zakomenderował krótko i dobitnie: „Rozbieraj się!“

Nadając temu sam na sam całą dobitność plastyki scenicznej, pan Nikorowicz może powołać się na pierwowzór powieściowy p. Gąsiorowskiego, a p. Gąsiorowski ma niewątpliwe prawo uważać za dostateczną osłonę dla tej sceny bez osłon — historię. Tak — ów żołdacki wstęp do amorów Napoleona jest podobno autentyczny, o ile może być o autentyczności mowa tam, gdzie z natury sytuacji brakować musiało świadków i gdzie zainteresowani nie mogli być wielomówni. Cóż stąd zresztą, choćby sama najprawdziwsza prawda narzuciła się nam w teatrze? Wszak do podobnego gatunku autentyczności mogłoby rościć pretensję, jeszcze jaskrawsza wersja, zapewniająca, że zapuły erotyczne potężnego mocarza, przerwał paroksyzm epilepsji, której jakoby Napoleon podlegał. Czy byłoby to dostatecznym powodem do pokazania na scenie wielkiej choroby?

Więc psycho-fizjologia, czy też fizyo-psychologia wielkiego człowieka? Zapewne — i to mogłoby nas zainteresować, gdyby

doświadczenie nie odbywało się na preparacie, którego widok musi być dla nas przykry, gdyby przedmiotem eksperymentu nie była Polka. Jednocześnie z „Panią Walewską“ grano w Filharmonii „Piękną Mursylianę“, sztukę Bertona, osnutą na historyi spisku Cadoudala przeciwko Napoleonowi. I tam patrzyliśmy na żołnierskie zalecanki pierwszego konsula; ale korsykański jego temperament budził tylko uśmiech, dla tego, że przedstawił go Francuz ze zwykłą zręcznością w manipulowaniu wybuchowym erotyzmem, a przede wszystkim dla tego, że nie nas nie obchodził przedmiot obcesowego flirtu Napoleona.

Tu inaczej. Tu kochanka cesarza nazywa się pani Walewska, co zresztą mogłoby nam być także obojętnem, gdyby nie rola, jaką temu polskiemu nazwisku przeznaczono w stosunku z wszechpotężnym twórcą nowożytnych dziejów. Na tę rolę dwójako można spojrzeć: pod kątem etycznym i ze stanowiska polityki praktycznej. Etyka jest sprawą osobistą pani Walewskiej i jej męża; wtrącać się do niej nie mamy prawa i o tyle tylko liczyć się z nią wypadnie, o ile postawiono ją na gruncie walki z niemoralnie narzuconą powinnością względem szarpanej ze wszystkich stron ojczyzny. A na tym gruncie, im piękniej, szlachetniej przedstawi się kobieta, instynktem przeczuwająca całą brzydotę suggestyjonowanego w ten sposób obowiązku i pasująca się rozpaczliwie z rozbudzonem już uczuciem, tem szpetniej wydać się musi i owa polityka i ci, co pod jej hasłem występują w charakterze ruffianów. Pan Nikorowicz nie chciał zapewne wywoływać tego rodzaju wrażeń; ale logika i psychologia faktów silniejsze były od intencji inscenizatora, który zdobył dla pani Walewskiej sympatyę widzów kosztem takiej postaci, jak marszałek sejmku czteroletniego, *Arystydes polski*, Stanisław Małachowski, imieniem Polski wzywający uczciwą kobietę do cudzołóstwa. Może ukłęknięcie w ostatnim akcie cesarza u nóg sponiewieranej przedtem metresy, zadowolni tych, którym podobny tryumf Polki wystarcza; widz szukający czegoś więcej prócz anegdoty, wolalby, żeby Napoleon nie miał prawa powiedzieć pani Walewskiej w odpowiedzi na jej orędownictwo za Polską:

— Mówisz to, co ci podyktował Małachowski!

Dla jednych więc, trzeci akt ze sceną stręczycielstwa, decyduje o całości wrażeń; inni chcieliby sztukę zamknąć aktem czwartym, gdzie Napoleon szepce, schylony nad zemdloną po upokorzeniu Walewską: „jaka piękna!“ Jeszcze innym podoba się hold ujarzmionego rzekomo kochanka w akcie piątym; dla teatru rozstrzygu — kasa, którą „Pani Walewska“, jako tako zasilła, dzie-

ki dobrej grze panów: Nowickiego, w roli Napoleona, Rapackiego, przedstawiciela męża Walewskiej i Wostrowskiego, w roli Ornana, jak również pani Przybyłko, uplastyczniającej subtelnie tytułową postać.

„Pocałunek“ Ludwika Döczyego miał trzy przedstawienia. Najgorzej więc o tej *komedyo-bajce* zaświadczyła publiczność a z nią naturalnie kasa. Co ma na to powiedzieć krytyka, dla której dochód nie może być argumentem, a nawet postawa publiczności niekoniecznie stanowi o wartości utworu? Zwłaszcza, że z drugiej strony i fakt wynagrodzenia przed trzydziestu pięciu laty „Pocałunku“ przez węgierską Akademię nie wiele dowodzi. Akademia jest stosunkowo młoda; młodszą jeszcze jest w Węgrzech literatura dramatyczna; obie musiały być płocze, kiedy o „Pocałunek“ chodziło. Wschodnie pochodzenie Węgrów tłumaczy dostatecznie twórczą ich siłę w dziedzinie liryzmu, powieści, romansu i objaśnia też względną słabość w utworach scenicznych. Gdy poeci, romansopisarze oddawna już tworzyli trwałe dzieła, Muza dramatyczna odzywała się w Węgrzech zaledwie dziecięcym gwarzeniem przedrzeźniającem francuskich romantyków i Scribego. Dopiero z rozpoczęciem doby dualizmu teatr węgierski zaczyna być zajmującym: przechodzi zaś zwykłe fazy ewolucyjne literatury narodu walczącego o wolność. Najprzód patryotyzm usiłuje wykazać, że w języku narodowym można wyrazić najszlachetniejsze idee; potem dramat historyczny wskrzesza najświetniejsze momenty z dziejów ojczystych; wreszcie „młodzi“ wprowadzają na scenę tezy społeczne. Przedstawienie „Proletaryuszów“ Csikego w r. 1880 staje się epoką w historii teatru węgierskiego, a rozszerzony w pojęciu typ „proletaryusza“ występuje na różnych szczeblach społecznych w utworach pisarzy zapatrzonych w arcy-wzór Csikego.

Sześćdziesięcioletni dzisiaj Ludwik Döczy znalazł się wówczas w gronie młodych ze swoją sztuką społeczną „Mieszane pary.“ Zdaje się jednak, że młodość jego nie długo trwała, a dojrzewanie wyraziło się w szybkim tempie kariery. Po ukonstytuowaniu się gabinetu Andrassego, widzimy Döczyego sekretarzem prezesa ministrów w biurze prasy, skąd ciska seryą gwałtownych artykułów przeciwko Tiszy, przywódcy opozycji i zyskuje w ten sposób zaufanie hrabiego Andrassego. W r. 1871 podąża za premierem do Wiednia i uprzyjemnia sobie *otia* międzypolityczne tworzeniem tragedyi „Ostatni prorok“ i przekładem pierwszej części „Fausta.“ Z tej też doby datuje „Pocałunek“ i laur Akademii.

Laur ozdobił głowę młodzieńca. Dóczy miał wtedy lat 26; a jednak nie czuć w „Pocałunku“ tej twórczej młodości, która w każdym poetyckim wzlocie odradza się na nowo. Jest coś spokojnie, możnaby nawet powiedzieć solidnie zrównoważonego w tej komedyi-bajce, niby rozbujanej po fantastycznych krainach, gdzieś w dalekiem sąsiedztwie Szekspirowskiego królestwa, kędy w noc letnią pływają elfy i krasnoludki, przekomarzając się z rozkochanemi parami i wikłając je psotnie w rozkoszną komedię pomyłek. Ale to bujanie przypomina tu raczej prozaiczną huśtawkę z jej wzbijaniem się w górę i spadkami na dół, aniżeli sen poety z cudnemi nadzmysłowemi wizjami. Wygląda to, jak zabawka, nie jak natchnienie, coś w rodzaju *garden-party*, w której arystokratyczne towarzystwo goni się po ogrodzie, szuka, gubi, znów odnajduje, na nowo się kryje w pościgu za pocałunkiem, przeskakującym z jednych ust na drugie niby rakietą *lawn-tennisa*. Wszystko naturalnie odbywa się w dobrym tonie, z pewną wytwornością, nawet z tą odrobiną dystygowanej poezyi, na jaką mogą sobie pozwolić wysokie sfery, zwłaszcza, gdy reżyseruje młody, elegancki radca ministerjalny i w maskaradowej inscenizacji miejsca, czasu daje wszystkim idealną swobodę na szczęśliwom pograniczu między mityczną Arragonią, a legendową Nawurrą.

Więc Adolar, przyrodni brat Sewera, króla Nawarry, intrygą odsunięty od jego oblicza, postanawia przekonać go podstępem, że surowa moralność, skazująca na banicyę dwoje kochanków za niewinną pieszczotę, zachwieje się przy pierwszym pozamałżeńskim pocałunku. I krążąc z odmienioną maską na dworze brata, dokonywa swego. Marzenie o pocałunku, niby subtelna trucizna, rozprzega surowość obyczajów nawarskich i wspina się nawet po stopniach tronu aż do królewskiego stalla, odgrywającego bezwiednie scenę miłosną, w której, dzięki przebraniu, zmrokowi wieczornemu i podnieconej wyobraźni, mąż i żona, nie poznawszy się wzajem, jak para amantów, sięgają platoniecznem pragnieniem po owoc zakazany. Gdy wszystko wyszło na jaw, zawstydzony król ścisła ze skrucłą małżonką, tuli do piersi pokrzywdzonego brata, przebacza pocałunek ułaskawionym kochankom. Cnota nie będzie już cholpliwą, z czego cieszą się wszyscy, nie wyłączając Akademii węgierskiej, która pierwszą nagrodą premiuje ministerjalnego poetę.

Wyobraźmy sobie teraz publiczność warszawską wobec tej komedyo-bajki i pomyślny, co ją tam właściwie zająć miało? czem spodziewano się trafić do jej myśli, serca, albo do jej artystycznego zmysłu? Czy wdziękiem w rysunku fantastycznych postaci?

Czy swobodną grą komedycznych motywów, krzyżujących się kapryśnie w urojonych przestworach? Czy pierwiastkiem ludzkim, drgającym pod chimeryczną psychologią bohaterów tej baśni? Wszystkiego tego brakuje w „Pocałunku,” wszystko to zaś składa się na owo coś nieokreślonego, nieuchwytnego, co duszę rozkosznie muskać powinno technieniem poezji, a co w bajce Döcziego jest tylko sztucznym jej grymasem. Nie takiej poezji trzeba widzowi z ostatniej doby. Przemówcie doń albo tragizmem, któryby sięgnął głębiej niż fizyczne przerażenie aktualności i wstrząsnął grozą nie samo tylko ciało; albo porwijcie ukołysanego rozwiewnemi widzeniami tak wysoko, żeby tam stracił z oczów wszystko, czem go rzeczywistość hypnotyzuje aż do hallucynacji, żeby potworna zhora z nizin pierzchła przed tęczą wizją szczytów.

Jestto może w repertuarze „przełomowym“ kwadratura koła—ale rozwiązać ją trzeba, pod grozą rozpadnięcia się teatru polskiego, od którego nie ocala go chyba takie utwory, jak „Odsiecz Wiednia“ Wincentego Rapackiego.

Nie chcąc tu pominąć nowości, wystawionej w chwili, kiedy trzeba było zakończyć niniejsze uwagi, zmuszeni jesteśmy poprzestać na pobieżnej tylko wzmiance o premiowanym utworze autora „Wita Stwosza.“ Czynimy to zresztą z tem czystsze sumieniem, że „Odsiecz“ należy do kategorii widowisk, na których scharakteryzowanie utarła się, zupełnie słusznie, definicya „malowniczych obrazów.“ Malowniczość jest rozumiana w tem określeniu przedewszystkiem jako efekt dekoracyi, kostiumu, oświetlenia, zręcznego układu grup, migotliwej ruchliwości tłumów: słowem, jako muzyka barw z odpowiedniemi urozmaicheniem tempa i rytmów, do której literat dorabia libretto. Takim librettem jest przedstawiona niedawno nowość p. Rapackiego. Powtarza się w niej typ literacki „Obrony Częstochowy;“ te same psychologiczne motywy: religia i miłość ojczyzny, tylko rozszerza się arena bohaterstwa i ze zmianą miejsca akcji i odpartego wroga, można by zmienić tytuł na „Obronę Chrześcijaństwa.“ Czy ten rozrost tematu wpłynął na podwyższenie w autorze poetyckich wzlotów? Zewnętrznie tak. Dość spojrzeć na afisz, na wydłużony w nim spis figur historycznych i niehistorycznych, ażeby się przekonać, jakie p. Rapacki zamierzył ogarnąć horyzonty. Ale jak zwykle w takich razach, sama właśnie rozległość widnokręgów utrudnia ich ogarnięcie, które w praktycznym urzeczywistnieniu wygląda niby rami, obejmujące żywe obrazy. Czego tam niema w tych ramach! Więc Wilanów, gdzie Jan III sadi drzewka, a panowie

niemieccy błagają go, aby ratował Wiedeń; więc namiot wielkiego wezyra z baszami, janczarami, haremem i narada wojenna nad sposobami pokonania Sobieskiego; więc obozowe sceny na Kahlenbergu z obrządkiem pasowania na rycerza królewicza Jakóba i z nieuniknionym kawiarzem wiedeńskim, Kulczyckim, a potem pogrom Turków i śmierć branki Kanienieckiej; wreszcie spotkanie pod murami Wiednia króla Jana III-go z cesarzem Leopoldem i na zakończenie powrót z wyprawy osiwiatego w bojach miecznika kowelskiego z synem Stanisławem, na którego we łzach oczekuje Hanna Konarska, ku uciechu stęsknionych za miłością widzów. Jest tedy na co patrzeć w tych sześciu obrazach; ze słuchaniem tylko rzecz się ma trochę inaczej. Mówią tam wprawdzie wszyscy; ale właśnie dla tego, że mówiących jest taka mnogość, mogą rzucać tylko ogólniki obojętne, lub informacye, potrzebne autorowi, bądź jako wiązadła luźnej akcji, bądź też, jako rysy powierzchownej charakterystyki. Do tej rozproszonej z natury rzeczy gadatliwości sylwetek, tłoczących się w obrazach, przybywa wielomówność naczelných bohaterów, rozprawiająca w długich, bardzo długich tyradach dwa przewodnie motywy, o których już wspominałem. Liryzm patryotyczny i religijny jest tu oczywiście nieunikniony i o rozlewność jego, mimo średni gatunek, sprzeczać się trudno; gorzej z konsyderacyami politycznymi, budującymi *ex post* psychologię naczelných figur, sztucznie dźwigającymi, na przykład, posągową postać wojownika-bohatera na piedestał statysty. Te właśnie rozmyślenia możnaby z korzyścią dla całego widowiska znacznie skrócić; a wtedy — kto wie? może przy „malowniczej“ (wyrażenie uniwersalne i tu przydać się może) grze pp. Leszczyńskiego, Rapackiego, Ładnowskiego, Frenkla, Wojdałowicza i pani Barszczewskiej; przy barwnej wystawie i zręcznej reżyserii p. Śliwickiego „Odsiecz Wiednia“ przypomni kasy szczęśliwe czasy „Obrony Częstochowy.“ Bo doszło dziś do tego, że i krytyka do kasy kierować musi swoje aspiracye, widząc chwiejącą się w podstawach materialnych samą egzystencyę teatrów warszawskich, patrząc na upokarzające istotnie współzawodnictwo pierwszej sceny polskiej z estradą w Filharmonii, około której gromadzą się liczne stosunkowo zastępy zaciekawionej publiczności.

III.

Nie trzeba się łudzić; konkurencja, głucha, na obie strony nierówna, a po obu stronach zacięta, istnieje ciągle, mimo, że jej zewnętrznie nie widać, mimo, że się może do niej współzawodnicy nie przyznają. Na niebezpieczeństwo tej rywalizacji zwracalem już na tem miejscu uwagę w roku zeszłym, kiedy może nie zdawano sobie z niego sprawy w naszym dramacie; dziś jest ono o tyle groźniejszym, że losy teatrów warszawskich, o których umiastowieniu różne krążą wieści, stają się coraz bardziej zagadkowe; że dezercya artystów, w tej chwili wzmożona niewypłacalnością administracji, wycieńcza personel dramatyczny; że zresztą niepewność jutra działa rozkładowo na chory oddawna organizm artystyczny, a instytucję całą popycha poprostu do upadku. Tymczasem Filharmonia krząta się — po swojemu prawda — ale się krząta.

Pod względem ruchliwości, inicjatywy — złej, czy dobrej — ale zawsze inicjatywy, nie się tam od przeszłego roku nie zmieniło; na sezonie dramatycznym odbijają się tylko fazy, przez jakie przechodziła dyrektywa produkcyj muzycznych. Rozpoczęła Filharmonia rok temu od prowadzenia sceny trybem symfonii, usiłując urozmaicony repertuar ożywiać zgranym dobrze zespołem, bez pomocy solistów. Gdy ubytek kilkorga zdolnych artystów nadwerczył ten zespół, zwrócono się do wypróbowanego w koncertach sposobu: do popisów wirtuozów aktorstwa — i przesunęli się przez scenę pp. Kamiński, Zelwerowicz, Feldman, pani Siemaszkowa, a ostatnio ukazała się tam panna Mrozowska. Wspominam o tem oczywiście nie jako o usprawiedliwionej artystycznie metodzie kierowania teatrem; chodzi mi poprostu o charakterystykę zapobiegliwości Filharmonii w zestawieniu z kancelaryjną, ciężką, powolną działalnością kierownictwa warszawskiej sceny. Koncerty solowe nie zawsze udawały się Filharmonii: p. Kamiński na przykład zawiódł zupełnie, jako Rabagas, wykazawszy w tej roli brak inwencji i niedostateczne pogłębienie typu; panna Mrozowska nie zrozumiała poprostu Hildy w „Budowniczym Solnesie“; ale niemniej publiczność poznała „Rabagasa“ Wiktoryna Sardu, zobaczyła pierwszy raz fragment autoanalizy Ibsena i zaznajomiła się z jednym z dzielniejszych utworów literatury rosyjskiej, z „Intrzną posadą“ Ostrowskiego, w której p. Kamiński stworzył interesujący, samodzielnie pomysłany typ łapownika.

Wogóle, wprowadzenie na deski Filharmonii, dzięki aktorowi-wirtuozowi, repertuaru rosyjskiego, miało jedną dobrą stronę: zbliżyło w oczach widzów niezbyt jeszcze dawną przeszłość społeczności rosyjskiej ku chwili bieżącej i niewtajemniczonym rozjaśniło w wielu punktach dzisiejszą, tragiczną aktualność. Mam tu na myśli nietylko satyryczną charakterystykę tych złowrogich dusz, które doprowadziły Rosyę do obecnej, rozpaczliwej sytuacji, jak raczej ukazanie się i koleje dodatnich postaci idealistów, którzy mieli o przyszłości jej stanowić. Nie widać ich jeszcze w „Rewizorze“ Gogola, w atmosferze łapownictwa, gdzie okrada się ojczyznę wesoło, z pogodnym przeświadczeniem o spełnianej powinności; zjawiają się już w „Intratnej posiadzi“ Ostrowskiego, w „Mieszczanach“ Gorkiego i... piją wódkę, która im daje odwagę spoglądania w głąb przepaści, dzielącej rzeczywistość od nieokreślonych filozoficzno-społecznych aspiracyj; w „Zmartwychwstaniu“ występuje oderwany od wszelkiej rzeczywistości przedstawiciel ewangelicznego, wszechludzkiego ideału miłosierdzia i przebaczenia; a Student i Nauczycielka Gorkiego przemawiają językiem ostatniej chwili, w którym już pojęcie Rosyi, jako ojczyzny, jest czemś beztreściwym, niezrozumiałem dla najmłodszego pokolenia. Istna geneza i ewolucyjne przygotowanie przewrotu, odbywającego się w naszych oczach. Studium p. t. „Społeczeństwo rosyjskie i bohaterowie w jego literaturze“ byłoby teraz na dobie; zanim jednak ktoś podejmie to wdzięczne i nauczające zadanie, interesującą była niewątpliwie sceniczna jego ilustracja, choćby w średniej, czasem nawet w bardzo słabej grze, zdekompletowanej trupy łódzkiej.

Nieudane próby zanotować zresztą trzeba nietylko w interpretacji; zdarzały się i w samym repertuarze: dość przypomnieć okaleczony przez cenzurę fragment „Wesela“ Wyspiańskiego; niefortunną przeróbkę „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza; chybiłą pod względem dramatycznym inscenizację „Chłopów“ Reymonta; wszystko to jednakże, nawet te niepomyślne eksperymenty, obok których godzi się zresztą wspomnieć przedstawienie komedii Korzeniowskiego „Wąsy i peruka;“ odegranie francuskich sztuk „Po-jedynek“ Lavedana, „Instynkt“ Kistenmaekera, włoskiej komedii „Cierpki owoc“ Roberta Bracco, japońskiego dramatu „Terakoya“ Takeda Izumo — wszystko, powtarzam, bez względu na to, czy i w jakim stopniu się powiodło, dowodziło przynajmniej jednego: że Filharmonia usiłuje pociągnąć czemś publiczność.

I udawało jej się to często, a udawało się w dwojakim kierunku: materyalnie, co powinno było zmartwić administrację tu-

tejszych teatrów, gdy wręczona jej obowiązkowa szósta część dochodu z przedstawienia w Filharmonii przewyższała całkowity dochód wieczorowy z teatru Wielkiego; i moralnie, co znów musiało boleśnie dotknąć kierownictwo naszej sceny, kiedy sztuki rosyjskiej w Filharmonii słuchało więcej osób, aniżeli sztuki polskiej w teatrze dramatycznym. Nad tą przestrogą trzeba pomyśleć głębiej i zastanowić się poważniej. Możliwy ją zbywać łatwemi, taniemi oskarżeniami publiczności w takim tylko razie, gdyby konkurentowi dało się zarzucić płochą, bezwartościową literaturę; ale widzieliśmy, że tak nie było; widzieliśmy, że ta publiczność, której nieobecność w teatrach letnim i Wielkim próbowano motywować wyłącznie grozą stanu wojennego, śmieje się chętnie w Nowościach i nie cofa się przed rozmyśleniem w Filharmonii. Gdzieindziej zatem poszukać wypadnie przyczyny pustek w naszych teatrach; a gdzie?—o tem zbyt szeroko i zbyt często wypowiadaliśmy się na stronicach „Biblioteki,” żeby podejmować na nowo trud powtarzania zawsze tych samych wywodów, tych samych argumentów. Czas, ażeby je rozważyli nareszcie ci, którzy, jeżeli nie z innych, wyższych pobudek, to przynajmniej z własnego, dobrze zrozumianego interesu, powinni się zorientować, że chwila jest decydująca, że się wobec nich, z nimi razem waży losy sceny polskiej.

W. BOGUSŁAWSKI.

SOKOLNICKI i KRUKOWIECKI.

Epizod historyczny z lat 1813 — 1816.

(ZE ŹRÓDEŁ ARCHIWALNYCH).

2. *General brygady Krukowiecki, będąc 18 października 1813 r. pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, przebył bez rozkazu wały Loessnigu i ulokował się w pobliżu Probstheyda przy boku gwardyi Napoleona.*

Dowody:

a) Zeznanie, które składa osobiście generał Krukowiecki w odpowiedzi na pytanie 5 w śledztwie, i w której uprzedzając pytanie 6, mówi:

„Będąc pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, nie miałem sobie powierzonego żadnego posterunku.“

Tu opowiada, że manewrował korpusem, rozwijając eszelonami wojska w odległości 150 kroków od siebie.

Oto jego własne słowa:

„Przybywszy na wyżynę tamy, której nazwa jest mi nieznaną, zatrzymałem się stosownie do otrzymanego rozkazu za pośrednictwem jednego z adiutantów sztabu generała dywizyi i przez którego oświadczyłem generałowi, że według jego rozkazu brygada zatrzymała się, lecz że była w położeniu bardzo niekorzystnem, mając od frontu wzgórze widok zasłaniające, a które, w razie potrzeby, uczyniłyby atak utrudnionym, nakoniec, że w razie cofania się nagłego, miałbym poza sobą moczary przecięte tamą wązką i mało wyniesioną. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi na przed-

stawienia moje, sam ruszyłem naprzód, skąd mogłem obserwować szarżę wykonaną przez generała brygady Kwaśniewskiego etc.“

Tu następuje opowieść bitwy, którą ów generał miał wytrzymać przeciw przemożnym siłom nieprzyjacielskim i przeciw baterji nań skierowanej. Dalej tak się wyraża:

„Straciwszy w krótkim przeciągu czasu oficera i 40 żołnierzy i nie mając żadnego środka do odparcia nieprzyjaciela, byłem zmuszony opuścić to stanowisko *bez rozkazu*, przebyć tamę z moją brygadą gęsiego przez moczary, zając postereunek na wywyższeniu i odeprzeć nieprzyjaciela, gdyby ten chciał na tę tamę się przedostać.“

b) Zeznanie pułkownika Jabłkowskiego w odpowiedzi na pytanie 6:

„Nie wiem, czyli generał Krukowiecki cofnął się poza tamę (*digue*), lecz widziałem wszystkie regimenty jazdy kolejno zaangażowane, z wyłączeniem brygady generała Krukowieckiego, którego spostrzegłem około godziny 2 po południu po raz pierwszy, ulokowanego obok gwardyi Napoleona.“

c) Zeznanie kapitana Valentina w odpowiedzi na pytanie 2:

„Szarża wykonana przez generała Sokolnickiego mocno była zdziwiona, że 18 brygada nie przybywa. Nic nie wiem o treści rozkazów danych w dniu owym, wiem tylko, że dowódca szwadronu Różycki był wysłany do 18 brygady.“

d) Zeznanie kapitana Lewickiego w odpowiedzi na pytanie 3:

„Nie widziałem 18 brygady podczas akcji 18-go rano i spostrzegłem ją dopiero w chwili, gdyśmy wykonali odwrót po południu dla zajęcia posterunku.“

e) Zeznanie szefa szwadronu Różyckiego w odpowiedzi na pytania 12 i 13:

Odpowiedź na 12 pytanie:

„Wydąłem głośno, imieniem generała dywizyi Sokolnickiego, generałowi Krukowieckiemu rozkaz zajęcia posterunku na skrzydle prawem. Zastałem brygadę w pobliżu tany, nieznaney mi nazwy, w pewnem oddaleniu od nieprzyjaciela, gdyż nie dotarła jeszcze do tany i na kwadrans drogi od korpusu.“

Odpowiedź na pytanie 13:

„Nie spełnił rozkazu, tłumacząc się, że miał przed sobą wzgórze, a tamę poza sobą. Nie mógł więc ani natrzeć na nieprzyjaciela, ani też cofnąć się bez niebezpieczeństwa.“

3. *General brygady Krukowiecki opuścił w nocy 19-go a ranej 20-go nad ranem bez rozkazu posterunek przy Schkeitbar i wyruszył na Lützen.*

Dowody:

a) Zeznanie generała Krukowieckiego w odpowiedzi na pytanie 9:

„Nie ruszyłem 19 października 1813 r. do Lützen, lecz otrzymawszy od generała Sokolnickiego dowództwo regimentu Krakusów, manewrowałem, stosownie do rozkazów tegoż generała, na lewym jego skrzydle i przybyłem do Knautnauendorf, stąd wyprawiłem dwóch dezertersów austriackich, pojmanych przez Krakusów, o których generał dywizyi wzmiankuje. Otrzymawszy następnie rozkaz ruszenia do Schkeitbar, udałem się tam, stosownie do polecenia, i umieściłem brygadę obok 3 regimentu Houlanda. O 1-ej po północy kazałem wojskom stanąć do broni, według rozkazów generała Sokolnickiego i oczekiwałem jego przybycia na czele brygady. Widząc, że nie przybywa, udałem się do księcia Sułkowskiego, by uznać powody opóźnienia pochodu. Przybyłem 20 dopiero o 8 rano do Lützen, jak się to szczegółowo wyjaśnia w relacyi, podającej powody, które mnie do tego znaglily.

„20 października ruszyłem w pochód z innymi brygadami w porządku przepisany w wigilię dnia poprzedniego wieczorem i wskazanym mi w Schkeitbar przez gen. Sokolnickiego.

„Według tego rozkazu, pochód miał się rozpocząć o 1 nad ranem. Wojsko było na koniach. Uprzedziłem o tem generała Sokolnickiego, który spał jeszcze lub odpoczywał, jak sam twierdzi. Otrzymaliśmy od niego rozkaz drugi, by korpus wyruszył dopiero o 5-tej godzinie. Udałem się wówczas z pułkownikami: Siemiątkowskim, Kosseckim, Oborskim, Dwernickim i z majorem Rzuchowskim do generała dywizyi, księcia Sułkowskiego, prosząc go, by przedstawił generałowi Sokolnickiemu, iż zachowując dłużej posterunek wspomniany, narazimy się na spotkanie z nieprzyjacielem, które, z uwagi na wyczerpanie ludzi i koni i brak piechoty, będzie nie tylko niekorzystnem dla nas, lecz narazi naszą sławę, której przydaliśmy blask nowy pod murami Lipska, i pozabawi ją znaczenia, niezbędnego narodowi nawet w rozbitkach armii polskiej.

„Wysłałem jednocześnie oficera do odszukania generała dywizyi Dąbrowskiego w Murkranstädt lub w Lützen. Przybył wreszcie generał Sokolnicki o godz. 3-ej i po długich debatach, wydał pewne zarządzenia i nakazał pochód.

„Podczas drogi otrzymałem od oficera, wysłanego do gen. Dąbrowskiego, wiadomość, że tenże generał ruszył do obozu Napoleona, który już opuścił Lützen, wskutek czego posłałem swego adjutanta Cichockiego, by uprzedził generała Sokolnickiego o tem, że się z dywizją swoją połączę. Jakoż ruszyłem na Lützen, wyprzedziwszy brygadę, by wiedzieć, gdzie ma się ulokować. Odstęp czasu między mojem przybyciem do Lützen, a przybyciem całego korpusu nie wynosił nawet kwadransa. Po upłynieniu tego czasu korpus przybył na tenże teren, gdzie umieścił swoją brygadę, szukając generała Dąbrowskiego.“

b) Zeznanie pułkownika Morawskiego w odpowiedzi na pytanie 5:

„Nie przypominam sobie wyrażenia się generała Sokolnickiego. Wszystko, cokolwiek pamiętam, odnosi się do tego, że generał był zdziwiony nieobecnością brygady gen. Krukowieckiego.“

c) Zeznanie kapitana Valentina w odpowiedzi na pytanie 13:

„Wiem tylko, że w chwili, gdy prowadziłem Austryaków do króla Neapolitańskiego, spotkałem nad ranem brygadę 18 maszerującą ku Lützen; zdaje mi się, że z tą brygadą byli i Krakusy.“

d) Zeznanie kapitana Lewińskiego w odpowiedzi na pytanie 12:

„Nic nie wiem o rozporządzeniach, wydanych w tej mierze. Przypominam sobie tylko, że przybywszy z generałem Sokolnickim na stanowisko, gdzie winna była być 18 brygada, nie zastałem tam ani owej brygady, ani Krakusów.“

e) Zeznanie kapitana Wężyka w odpowiedzi na pytanie 18:

„Generał Sokolnicki miał zamiar zaskoczenia batalionów. W tym celu opuścił swój obóz nadedniem, lecz nie zastał już ani brygady generała Krukowieckiego w miejscu, gdzie znajdować się miała, ani batalionów austriackich, lecz tylko rozniecone ognie biwakowe.“

Odpowiedź na pytanie 22:

„Przybywszy rychlej do Lützen, musiał rychlej tam pomaszerować; sądzę, że zrobił ów ruch bez otrzymanego rozkazu, na co się generał Sokolnicki użalał.“

Zeznanie pułkownika Dwernickiego w odpowiedzi na pytanie 13:

„Wsiadliśmy na koń 20 października po północy. Zaraportowano to generałowi Sokolnickiemu. Przysłał rozkaz, by wojska ruszyły w pochód o 5 rano. Generał Krukowiecki udał się z kilkoma pułkownikami i innymi wyższymi oficerami z przedstawieniem generałowi księciu Sułkowskiemu niebezpieczeństw, na które się naraża korpus, jeśli pozostanie dłużej na tem stanowisku. Wy-

słał równocześnie oficera na trakt główny Lützen, dla powzięcia wiadomości o tem, gdzie się generał Dąbrowski mógł znajdować. Z powrotem od generała Sułkowskiego generał Sokolnicki przybył między 3 a 4 rano i pomaszerował z korpusem. W tejże chwili przybył również oficer wysłany w celu dowiedzenia się o pobycie gen. Dąbrowskiego z wiadomością, że tenże generał znajduje się w głównej kwaterze Napoleona w Lützen, którą miał opuścić na-
zajutrz. Otrzymawszy ów raport, generał Krukowiecki uprzedził gen. Sokolnickiego, że się złączy ze swą dywizją, a myśmny pomaszerowali do Lützen. Przybywszy do tej miejscowości o 7 rano, brygada ustawioną została w polu, a w pół godziny później cały korpus przyłączył się do nas i stanął obok nas.“

Komisya rozpoznawcza uważa, jako niedostatecznie udowodnione oskarżenia następujące:

4. *Ze general bryg. Krukowiecki usiłował namówić żołnierzy, by nie walczyli, starając się obudzić w nich wątpliwości, co do celu, dla którego dotąd krwó przelewali.“*

Zdaje się, że to oskarżenie stwierdzają zeznania:

Pułkownika Morawskiego w odpowiedzi na pytanie pierwsze:

„Szeznano w obozie, począwszy od Lipska, aż do chwili, gdy Napoleon do nas przemówił.

„Szeznania owe spowodowane były niepewnością co do dalszego postępowania, zbiegiem okoliczności i nierozważnemi mowami niektórych wojskowych wszystkich stopni, a ponieważ należy przywieść to, co najbardziej na to wpłynęło, oświadczam, że było niem zachowanie się generała Krukowieckiego, który się udał rankiem 20 października 1813 r. ze swą brygadą do Lützen.

„Podwładni, nie znając pobudek tego marszu, oceniali go rozmaicie, lecz co najbardziej niekorzystnie wpłynęło — to kłótnia między generałami Sokolnickim a Kwaśniewskim, z powodu, że miała miejsce wśród białego dnia, przed frontem wojsk.“

Zeznanie kapitana Wężyka w odpowiedzi na pytanie 25:

„Od 19 do 20 były szemrania między oficerami. Sądzone, że generał Krukowiecki miał w tem udział, lecz w tej mierze z nim nie rozmawiałem.“

Zeznanie pułkownika Oborskiego w odpowiedzi na pytanie 7:

„Słyszałem szemrania między wojskiem, wywołane częścią przez burzliwe zachowanie się generała Krukowieckiego.“

Odpowiedź tegoż na pytanie 8:

„Zdaje mi się, że postępowanie i szemranie generała Krukowieckiego do tego zmierzały celu.“

Zeznanie majora Starzyńskiego w odpowiedzi na pytanie 11:

„Większość wojskowych była zdania generała Krukowieckiego, by nie iść za Ren.“

Zeznanie kapitana Starzyńskiego w odpowiedzi na pytanie 11:

„Wiem, że generał Krukowiecki dał się słyszeć z tem, że nigdy nie był w legionach i że nigdyby w nich być nie chciał. Wielu wojskowych tegoż samego było zdania.“

Zeznanie pułkownika Kosseckiego w odpowiedzi na pytanie 15:

„Nie mam żadnej wiadomości o tem, by generał Krukowiecki wywołał szemranie między wojskiem, przeciwnie, oświadczam, że ów generał czynił wszystko możliwe dla podtrzymania ducha wojska. Jako dowód przytaczam, że regimenty 2 i 4 kawaleryi, tworzące 18 brygadę, były najsilniejszymi po przebyciu Renu.“

Zeznanie pułkownika Dwernickiego w odpowiedzi na pytanie 14:

„Wiem, że było szemranie w korpusie, spowodował je zgon księcia Poniatowskiego i postanowienie króla Saskiego, by pozostać w Lipsku. Generał Krukowiecki najsilniej działał na uspokojenie rozdwojonych umysłów.“

Zeznanie tegoż w odpowiedzi na pytanie 17:

„Tryb myślenia generała Krukowieckiego podczas odwrotu z Lipska aż nad Ren w położeniu bardzo krytycznem, w którym się znajdowaliśmy, sprawił dobre wrażenie na umysłach wojskowych, stanowiących 18 brygadę. Dowodem tego jest, że brygada ta nie rozpadła się i porządek w niej podczas pochodu na Ren.“

Odpowiedź tegoż pułkownika na pytanie 18:

„Odbywszy całą kampanię z r. 1813 pod rozkazami generała Krukowieckiego miałem sposobność stwierdzić, że dowodził z honorem i brawurą swymi podkomendnymi, że ich podtrzymywał własnym przykładem i zachętą do spełniania rozkazów starszyny wojskowej.“

Komisya śledcza uznaje nadto, że wszyscy inni świadkowie badani w tym przedmiocie, nic o tem nie donieśli i dla tego uważa, że zeznania przywiedzione w stwierdzeniu tak ważnego oskarżenia zupełnemi nie są, wobec czego oskarżenie przytoczone pod № 4 uważać należy *za niedostatecznie udowodnione*.

Komisya śledcza uznaje niemniej, jako niedostatecznie udowodnione oskarżenia:

Że generał Krukowiecki, zbliżywszy się do drzwiczek karety Napoleona, prosił go, by naczelne dowództwo po zgonie księcia Poniatowskiego powierzonom było księciu Sułkowskiemu.

Wszyscy świadkowie, głównie zaś generał dywizyi książę Sułkowski, pułkownicy: Morawski, Siemiątkowski, Oborski, major Starzeński, kapitanowie: Valentin, Wężyk i Starzyński, którzy zeznali, że generał Krukowiecki prosił Napoleona o powierzenie dowództwa naczelnego księciu Sułkowskiemu, nie byli obecni przy rozmowie Napoleona z gen. Krukowieckim i że ten ostatni nic im o tem nie wspominał, lecz że oparli swoje zeznania na opowieści od innych słyszanej.

Prawdą jest, że pułkownik Jabłkowski w odpowiedzi na pytanie 10 zeznał:

„Przybywszy do Lützen, zastałem tam brygadę gen. Krukowieckiego, która tam wcześniej pomaszzerowała. Wkrótce potem, generał Krukowiecki, stanąwszy na froncie oddziału, zgromadził oficerów wyższych i rzekł do nich, że na jego przedstawienie Napoleon oddał dowództwo ks. Sułkowskiemu.“

Ponieważ generał Krukowiecki twierdzi, iż będąc pytany przez Napoleona, rozpoczął od wymienienia generałów Dąbrowskiego i Sokolnickiego i zaprzecza, aby uczynił w tej mierze jakieś przedstawienie, Komisya rozpoznawcza uznaje zeznanie pułkownika Jabłkowskiego, jako niedostateczne.

Obelgi wydrukowane w broszurze są wyszczególnione pod № 3.

Pierwsza, pod lit. *a*, która uważa generała Krukowieckiego za dezertera austriackiego, niczem nie jest popartą.

Generał Krukowiecki odpiera tę obelgę listem, który gotów przedstawić, pochodzącym od wielkiego szambelana cesarza austriackiego i wzywającym go na audyencyę u tego Monarchy, jak również kopią swego uwolnienia, którą ma wkrótce pozyskać od feldmarszałka Colloredo, do którego się w tej mierze zwracał.

Obelga lit. *b* wyrażona jest przez gen. Sokolnickiego w słowach:

„Należało się spodziewać kroków jeszcze gwałtowniejszych po człowieku, którego zły duch wyprowadzał zawsze ze szranek (*qu'un mauvais esprit a conduit de tout temps hors de sa sphère*)“

Generał Sokolnicki zobowiązuje się w piśmie, adresowanem do Komisji d. 31 maja, dowieść tego zarzutu, gdyby na to nastawał generał Krukowiecki.

Obelga lit. c, w której gen. Sokolnicki, mówiąc o krzyżu komandorskim, którym generał Krukowiecki ozdobionym został, pisze:

„Generał Krukowiecki intrygował w celu pozyskania krzyża komandora, otrzymawszy niedawno krzyż oficerski. Pozyskał go. Czyny wymienione powyżej świadczą o tem, jak nań zasłużył.“

Nie jest to uzasadnione z uwagi, że wiadomo Komisji, iż generał Krukowiecki otrzymał krzyż oficerski pod Smoleńskiem i że niewiadomo jej za co generał pozyskał krzyż komandorski.“

*

*

*

Odpowiednio do wyżej wyluszczonego faktów, Komisja śledcza uznaje, że generał Krukowiecki winien być oddany pod Sąd wojenny.

1. Za samowolne opuszczenie dywizji generała Dąbrowskiego.

2. Za uchybienie karności w tem, że będąc pod rozkazami generała Sokolnickiego podczas dnia 18 października, przebył tamy Loessnigu, zamiast maszerować po prawem skrzydle korpusu, stosownie do otrzymanego rozkazu i podczas dnia 19 t. m., gdy opuścił bez rozkazu posterunek przy Schkeitbar.

Komisja śledcza uważa niemniej za swój obowiązek zwrócić uwagę Waszej Książęcej Mości na okoliczności, towarzyszące pomienionym uchybieniom generała Krukowieckiego, stosownie do grawaminów wyluszczonego pod lit. B i C i że Komisja nie uważa za dostatecznie udowodnione:

1. Że generał Krukowiecki pociągnął za sobą przykładem własnym i manową część brygady 18-ej.

2. Że ten generał, czyniąc ów ruch pozostawił generała dywizji z samą eskortą i Krakusami na froncie, gdyż 17 brygada tam się znajdowała.

3. Że niebezpieczeństwo było groźnem i że było koniecznością użyć brygady 18, gdyż szarża brygady 17 okazała się wystarczającą dla odparcia nieprzyjaciela i zabrania mu armat.

4. Nakoniec, że ruch uczyniony przez gen. Krukowieckiego przy opuszczeniu posterunku pod Schkeitbar, zniweczył plan pojmania w niewolę trzech batalionów austriackich. (Zeznanie kapitana Wężyka w odpowiedzi na pytanie 18.)

Zdaje się z uwagi na zeznanie majora Celińskiego, że owe bataliony nie znajdowały się z tej strony rzeczki.

Co zaś dotyczy generała Sokolnickiego, Komisya rozpoznawcza uznaje również, iż winien być on oddany pod Sąd wojenny za to:

1. Ze nie ukarał na miejscu opornego oficera i nie oddał go pod sąd wojenny przy pierwszej sposobności.

2. Ze użył wyrażen obelżywych i uwłaczających honorowi oficera, mówiąc o uchybieniach spełnionych przez generała Krukowieckiego.

Komisya śledcza uważa wreszcie za swój obowiązek zwrócić uwagę Waszej Książ. Mości na samą broszurę, a raczej na jej wydanie.

Broszura ta nosi tytuł: *Dziennika historycznego* czynności wojskowych, a zawierając w sobie materyał gotowy dla historii epoki, przekaże przyszłym pokoleniom i uchybienia wojskowe lub też przykład niekarność jednego z oficerów, któraby w każdej innej okoliczności przeminęła bez śladu.

Wprawdzie gen. bryg. w usprawiedliwieniu swoim z d. 15 kwietnia, zaadresowanem do Komisji, przytacza, że wydawnictwo owej broszury było mu nieznanem i że nikogo doń nie upoważniał. Powołuje się w tej mierze na zeznanie urzędowe drukarza, złożone w Paryżu na żądanie pułkownika Alphonsa.

Gen. Sokolnicki zeznaje, że zredagował ów Dziennik na rozkaz gen. Dąbrowskiego, że Dziennik ów mógł być tylko napisany w języku francuskim z uwagi, że to było zalecone przez rząd francuski, że kopię Dziennika wręczył ministrowi wojny francuskiemu, drugą zaś—Napoleonowi, na skutek rozkazu tegoż ustnie wydanego, trzeci zaś egzemplarz wręczył pewnej osobie prywatnej, w celu „by mógł się w danym razie usprawiedliwić przed marszałkami i generałami francuskimi, z którymi byłem w stosunkach zażyłszych, podczas przebywania przy Napoleonie, którzy, widząc mnie wyróżnionym przez swego Monarchę bardzo byli zdziwieni wypadkiem tak niezwykłym, iż naczelne dowództwo nad armią polską odjętem zostało temu, pod którym zjednało sobie nieśmiertelną sławę. Czyż taka okoliczność nie jest odbiciem ukrytej zbrodni? podczas gdy byłem tylko ofiarą śmiałka, co wyzbyć się usiłował z pęł karność“ etc.

Gdy jednak deklaracya drukarza paryskiego świadczy jedynie o tem, że pułkownik Alfons nie miał żadnego udziału w wydawnictwie rękopisu i że nie o generale Sokolnickim nie wzmiankuje, powołanie się owego generała na zeznanie drukarza jest najzupełniej bezzasadnem.

Jeżeli więc generał Krukowiecki zdoła udowodnić, że generał Sokolnicki kazał bądź sam wydrukować ów dziennik lub też, że porучzył komu innemu to zadanie, lub wreszcie, że wiedział o publikacyi—w takim wypadku generał dywizyi Sokolnicki musi ponieść za to odpowiedzialność.

W taki sposób, spełniwszy rozkaz Waszej Ks. Mości, Komisya śledcza będzie szczęśliwą, jeśli zdołała wyjaśnić prawdę faktów, tak jak tego pragnęła i że tym sposobem zadanie swoje, do którego była powołaną, spełniła.

Dan w Warszawie na posiedzeniu Komisyi rozpoznawczej, 7 sierpnia 1815 r.

(Podp.) Kurnatowski, gen. brygady, Hauke, gen. dywizyi, Krasieński Izydor, gen. dywizyi, Zajączek, gen. dywizyi, prezydujący.

Audytor generalny Krysiński.

Do wyroku dołączył generał Julian Sierawski swoje *voluntarium separatum* tej osnowy:

„Jestem zdania Komisyi, której miałem zaszczyt być członkiem, iż sprawa gen. Krukowieckiego, winna być oddana pod rozpoznanie Sądu wojennego, z uwagi, że każdy wojskowy musi podlegać karom przez prawo ustanowionym, nawet za cień nieposłuszeństwa.

„Z tem wszystkiem zauważywszy, że wiele z zarzutów, uczynionych generałowi Krukowieckiemu, nie zostało dostatecznie udowodnionych i że wyrażenia obelżywe użyte przez gen. Sokolnickiego przeciw całej armii polskiej nie zostały należycie przez Komisję uwzględnione, nie dzielę opinii tejże Komisyi w tym punkcie, tem więc, że obelgi pomienione były wynikiem złośliwości i niesprawiedliwości, aktem zemsty i nienawiści przeciw jednemu człowiekowi skierowane, z powodu nieotrzymania naczelnego dowództwa.“

V.

Protest Krukowieckiego przeciw procedurze Komisji śledczej. — Prośba jego do Cesarza. — Opinia W. Księcia Konstantego.

Wiadomość o uchwalonej przez Komisję śledczą opinii w sprawie zwołania Sądu wojennego, przyjął generał Krukowiecki, pozornie z zadowoleniem, lecz pragnąc zabezpieczyć swe prawa w obec możliwości zastosowania do owego sądu przepisów nowo wprowadzonej do armii procedury, uznał za konieczne zwrócić się raz jeszcze do W. Księcia Konstantego z prośbą o wyłączenie w tej sprawie przepisów procedury dawnej wojennej, jako, zdaniem jego, bardziej pilnującej praw podsądnego.

Prośba ta zredagowana w dniu 2 września 1815 r. opartą była na następujących motywach:

1. Że fakta, będące podstawą oskarżenia, wydarzyły się za procedury dawnej.

2. Że broszura generała Sokolnickiego wydrukowaną została w czasie, gdy obowiązywały poprzednie prawa wojskowe.

3. Że pierwsza skarga gen. Krukowieckiego, cesarzowi Aleksandrowi podana, również zaszła pod rządem dawnej procedury. Wreszcie:

4. Że żadne prawo nowo ogłoszone mocy wstecznej mieć nie może.

Popart generał Krukowiecki swoją prośbę innemi jeszcze pobudkami, mianowicie:

a) Że według zasad procedury dawnej Sąd wojenny jest publicznym i że się odbywa pod kontrolą publiczności.

b) Że przy takim Sądzie funkcjonuje komisarz cesarski pilnujący, by żadna samowola do rozpraw sądowych stosowaną nie była.

c) Że według procedury dawnej sąd odbywa się szybciej i rychlej się kończy.

„Sądu wojennego—objaśnił proszący—nie domagał się Rząd, lecz sam pokrzywdzony, ma przeto prawo żądać, by Sąd ów odbył się w warunkach przez prawo dawniejsze określonych.

„Zwracam się przeto z niniejszą prośbą do Waszej Cesarzewiczowskiej Mości—tak zakończył proszący—w tem przekonaniu, że uczucie wrodzone sprawiedliwości nakaże mu zapomnieć o następstwach porywczosci mojej, już okupionej pięćmiesięcznym więzieniem.“

W odpowiedzi na tą prośbę W. Książę Konstanty, tegoż dnia 2 września zawiadomił gen. Krukowieckiego o zwołaniu Sądu wojennego w sprawie zarzutów, podniesionych przeciw niemu w broszurze gen. Sokolnickiego, przyczem zakończył swoją odpowiedź nieoczekiwanem oświadczeniem, „iż z chwilą, gdyś się, Panie generale, poważyl ubliżyć mi (apostrofa do zajścia w Łazienkach), nie mógłbym już być ani sędzią, ani arbitrem w sprawie Twojej, dla tego zaleciłem generałowi dywizyi, Sierakowskiemu, by rezultaty obrad Sądu wojennego przedstawił bezpośrednio pod uznanie Jego Cesarskiej Mości.“

Jakkolwiek jednocześnie W. Książę Konstanty polecił wypuścić z więzienia generała Krukowieckiego, gdy jednak tenże dowiedział się od szefa sztabu generalnego, Tolińskiego, że W. Książę nie zaniechał żalu do niego z powodu zajścia w Łazienkach, generał Krukowiecki w prośbie z dnia 3 września 1815 r. starał się o przedjednanie naczelnego wodza, używszy do tego, jako protektorów generałów: Ożarówskiego i ks. Sułkowskiego.

„Błagam Waszą Ks. Mość o tą łaskę z wynurzeniem najgłębszych uczuć mego poważania i skruchy, gdyż nie podobna mi oswoić się z myślą zastępowania nadal na niełaskę Wodza, któremu radbym okazać w każdej chwili gotowość do poświęcenia się Jego usługom.“

Podanie to pozostało bez uwzględnienia. Natomiast generałowie: Zajączek, Dąbrowski i Wielhorski w raporcie z d. 5 września 1815 r., otrzymawszy od W. Księcia tekst podania gen. Krukowieckiego z wyłączeniem powodów, dla których tenże domagał się zastosowania do Sądu wojennego przepisów procedury dawnej, szczegółowo za i przeciw powody te rozebrali i przyszli do przekonania, że sprawa Krukowieckiego, jakkolwiek podlega osądzeniu według przepisów dawniejszych, lecz Sąd sam winien być złożony według form ustanowionych w dniu 31 marca 1815 r. przez Komisję wojskową.

Opinię taką zatwierdził W. Książę, o czem w dniu 6 września 1815 r. baron Mohrenheim zawiadomił generała Krukowieckiego.

Nie zadowolili się taką decyzją generał Krukowiecki i w dniu 7 września wystosował do W. Księcia jeszcze jedno podanie, w którym upraszał o przedstawienie swego zażalenia cesarzowi, motywując między innymi konieczność zastosowania do sprawy zasad dawnej procedury i dawnego sądu następującymi konsyderacyami:

„Ze w sprawach, w których wojskowy stopnia niższego wnosi skargę na swego zwierzchnika, wszyscy zwierzchnicy stanowią

jego przeciwników naturalnych i dlatego nie mogą być uważani za sędziów bezstronnych.

Że trzej generałowie dywizyjni, będąc za czasów legionów polskich towarzyszami i zażyłymi przyjaciółmi generała Sokolnickiego, mogą być stronnymi w sprawie, w której skarżący obwionym jest o to, iż nie chciał być legionistą i nie chciał iść za Ren.

Że niechęć trzech generałów przeciw podsądnemu jest oczywistą.

Że generał Zajączek był już prezydującym w Komisji rozpoznawczej, generał Dąbrowski stawał jako świadek przez generała Sokolnickiego powołany, z Wielhorskim zaś miał podsądny zatargi za rządów poprzednich.

Że przytaczane przez generałów motywa o korzystniejszych jakoby warunkach procedury nowej dla podsądnego, są nie do przyjęcia, ze względu, iż ów podsądny nie pragnie żadnych faworów, lecz wymiaru sprawiedliwości bezwzględnej, którą Monarcha rozkazał na prośbę podsądnego w sprawie tej zastosować.

Niezależnie od powyższego podania generał Krukowiecki w d. 17 września 1815 r. wręczył baronowi Meller-Zakomelskiemu, zamianowanemu czasowym wodzem naczelnym armii polskiej przez Ks. Konstantego i w tym charakterze mającym nadzór nad czynnością Sądu wojennego, memoriał z żądaniem wyłączenia z grona kompletu sądującego generałów: Sierakowskiego i Wielhorskiego, pierwszego za groźby wyrzeczone z powodu zajścia w Łazienkach, drugiego z powodu zatargów, jakie miał z podsądnym za Rządu poprzedniego. Te powody, oraz niezachowanie formalności dostarczenia podsądnemu kopij wszelkich dokumentów piśmiennych Komisji rozpoznawczej przedłożonych, zmuszają podsądnego do żądania, by Sąd na dzień 18 września 1815 r. wyznaczony, odroczeniu uległ, do czasu pozyskania decyzji monarszej, o którą podsądny w podaniu swem uprasza.

Żądanie takie w dniu 19 września 1815 roku zakomunikował generał Meller-Zakomelski W. Księciu Konstantemu z nadmienieniem, że z powodu nie stawienia się w dniu ubiegłym do Sądu generała Krukowieckiego, Sąd ten posiedzenia swe czasowo odroczył. Wyjaśnił również generał Meller-Zakomelski, że wyłączenie generałów Sierakowskiego i Wielhorskiego ze strony podsądnego jest oparte na przepisie prawa, gdyby zaś zastąpienie wyłączonych członków Sądu przez innych, jak np.: przez generała ks. Giedroycia, Chłopiczkiego i Krasińskiego, uległo również zarzutom ze strony podsądnego, w takim razie należałoby skompletować Sąd przez

generałów rosyjskich, a to z uwagi, że służąc jednemu monarsze, choćby w armiach oddzielnych, mogliby ci ostatni być poczytywani za służących jednej armii (que servant le même Souverain les deux armées, quoique ayant chacune un état distinct, peuvent être regardées comme n'en servant qu'une).

Poparł owo przedstawienie generał Krukowiecki usilną prośbą o przedłożenie całej sprawy w obecnej jej fazie cesarzowi i o puszczenie w niepamięć niechęci, wywołanej zajściem w Łazienkach, już dostatecznie odcierpianą karą odpokutowanem.

Oto prośba generała Krukowieckiego Tronowi złożona:

„Najjaśniejszy Panie!

„Ofiara kilku nieprzyjaciół, którzy, korzystając ze swoich rang i urzędów, mają łatwy dostęp do Jego Cesarz. Mości W. Ks. Konstantego, a nadto, korzystając z niechęci Jego, którą chwilo-wa moja porywczosć na mnie ściągnęła, starają się zgubić mnie nastawianiem, by wyrok w sprawie mojej zapadł według form nowych, odwołując się Najjaśniejszy Panie do Twej sprawiedliwości, w przeświadczeniu, że powstrzymać raczysz wybuchy namiętności moich nieprzyjaciół i żądzy ich zemsty z chwilą, gdy o istotnym stanie rzeczy będziesz objaśniony.

„Pozwól Najjaśniejszy Panie, bym u stóp Tronu Twego złożył wyjaśnienie treściwej mojej sprawy, od jej początku aż do dnia dzisiejszego, wraz z pobudkami, zniewalającemi mnie do żądania dawnej procedury.“

Tutaj wyłuszcza gen. Krukowiecki znany nam już stan sprawy, aż do chwili, gdy pod zagrożeniem Sądu wojennego za nieposuszeństwo proszący zmuszonym był poddać się śledztwu Komisji rozpoznawczej, przeciw której zwraca się z oskarżeniem o stronność w postępowaniu.

„Pozwoliła Komisya—pisał Krukowiecki—mieć oskarżycielowi adwokata w czasie śledztwa, wbrew prawu, które tylko pod-sądnemu obrońcę mieć pozwala.

„Nakazała mi oczyścić się z zarzutów, zadając mi szereg pytań, podczas gdy prawo mieć chce, by oskarżyciel jedynie dowodził swoich zarzutów.

„Komunikowała wszystkie swoje głosy oskarżycielowi, a obrońca tegoż, obecny przy zeznaniach świadków, wyciągając korzyści z moich zeznań, zadawał im podchwytliwe pytania, podczas gdy noty i objaśnienia generała Sokolnickiego mnie komunikowanemi nie były, a wiadomość o nich dochodziła moich obrońców jedynie uboecznie.

„Prezydujący zadawał świadkom pytania jawnie zmierzające do uznania mnie za winnego.

„Nie uwzględnił wyłączenia generała Izzydora Krasińskiego przemennie żądanego, pomimo że ów generał, zastąpiony przez generała Kamienieckiego, mając ze mną poufną o sprawie rozmowę, wrócił wbrew prawu do Komisji w zamiarze szkodenia pod sądnemu.

„Gdy po czterech miesiącach Komisya zakończyła wreszcie swoje prace okazało się najdowodniej, że miałem powód obawiać się następstw zastosowania do mojej sprawy procedury nowej, albowiem:

1. Komisya ta zamiast zaproponowania oskarżycielowi, by zarzuty swoje jeden po drugim udowodnił, pomieszała je w taki sposób, że wyjaśnienie ich mogłoby się dla mnie okazać zgubnem.

2. Nie uwzględniła nadto Komisya wszystkich obelg, skierowanych przez gen. Sokolnickiego przeciw mnie w obelgach do armii polskiej zwróconych.

3. Wbrew protestowi jednego ze swych członków, usunęła z pod uwagi Jego Cesarzewiczowskiej Mości zeznania świadków na moją korzyść złożone.

W tem miejscu generał Krukowiecki obszernie uzasadnia różnice między dawną a nową procedurą wojskową i powtarza wielokrotnie już przedtem wyluszczoną prośbę o nakazanie Sądowi, by uszanował prawa podsądnego przez powołanie do Warszawy wszystkich świadków i oczne między nimi stawienictwo, co wymiar sprawiedliwości przyspieszy i oprze na podstawie niewzruszonej wyjaśnienia istotnej prawdy.

„Składając honor swój—kończy gen. Krukowiecki—u podnóża Tronu Waszej Cesarzsko-Królewskiej Mości mam nadzieję, że go zachowam nietykalnym, by móżdż jeszcze krew przelać za najlepszego i najwspaniałomyślniejszego z Monarchów.“

Dopiero w dniu 9 listopada 1815 roku przedstawił W. Książę Konstanty uwagi nad zarzutami gen. Krukowieckiego w memoryale obszernym cesarzowi przesłanym, w którym po wyluszczeniu źródła sprawy, zapoczątkowanego skargą Krukowieckiego przeciw generałowi Sokolnickiemu w Wiedniu cesarzowi podaną, Wielki Książę był zdania, że o ile generał Krukowiecki jako oskarżyciel dowiódłby gen. Sokolnickiemu dopuszczenia się w broszurze *Journal historique* potwarzy, w tym wypadku oskarżony musiałby ponieść karę prawem ustanowioną; wzajemnie zaś, gdyby gen. Sokolnicki dowiódł słuszności swoich zarzutów, generał Krukowiecki

musiałby być ukaranym za wprowadzenie w błąd cesarza fałszywym przedstawieniem stanu rzeczy.

„Taką jest—pisał W. Książę—zdaniem mojem sytuacja w danej sprawie pod orzeczenie Sądu poddanej. Lecz zanim Trybunał zastosuje prawo do występku, należy rozstrzygnąć o ile ów występki należycie jest uzasadniony, a w tej mierze niedostateczna jest oprzeć się wyłącznie na reklamacyi oskarżyciela, gdyż przed orzeczeniem winy podsądnego słuszność i sprawiedliwość nakazują przedewszystkiem określić stopień winy i okoliczności zwiększające lub zmniejszające tę winę.

„Ta myśl przewodnia kierowała uchwałą Wielkiego Księcia i komitetu wojskowego w ustanowieniu Komisji rozpoznawczej, w celu określenia przedewszystkiem *pubudek*, które wywołały zarzuty generała Sokolnickiego, wyłuszczone w broszurze.“

Następuje opis biegu czynności Komisji rozpoznawczej i protestów generała Krukowieckiego przeciw niektórym sędziom i punktów inkryminowanych, wyszczególnionych w znanym już nam raporcie Komisji, poczem Wielki Książę pisze:

„Proces wszczęty przez generała Krukowieckiego redukuje się w ten sposób do *skargi o potwarz*. Prace Komisji rozpoznawczej wyjaśniły pobudki, któremi się generał Sokolnicki w wydaniu broszury kierował. Rozbiór zasad skargi o *potwarz* i zastosowanie praw odnośnych do wypadku udowodnienia owej skargi, należec mogą jedynie do Trybunałów zwykłych.

„Jeżeli zamiarem Cesarza i Króla jest oddanie orzeczeniu Sądu wojennego przestępstwa generała Krukowieckiego, jakkolwiek owo przestępstwo spełnionem zostało w czasie, gdy nie mógł ubliżyć on powadze praw Jego Cesarsko-Królewskiej Mości i gdy generał Krukowiecki należał z racyi swoich obowiązków służbowych do Monarchy obcego, wroga Monarchii (naszej), nie może być wątpliwem, że musi uleść karze surowej, bez względu na to, czy Sąd, przed który będzie powołany, ustanowionym zostanie według zasad dawnej lub nowej procedury wojskowej, już z racyi tej, że Sąd wojenny z natury rzeczy musi stosować prawo do występku.

„Wyroki jego nie są nigdy motywowane, gdyż po przeprowadzeniu śledztwa, skazanie zawisłem jest jedynie od wewnętrznego przeświadczenia i sumienia sędziów.“

Po wyliczeniu objekcyj generała Krukowieckiego przeciw procedurze Komisji rozpoznawczej, pisze dalej Wielki Książę:

„W trakcie instrukcyi sprawy w Warszawie, lub przedtem, zwrócił się generał Krukowiecki do Sądu I instancyi w Paryżu

ze skargą przeciw generałowi Sokolnickiemu o potwarz, lecz ten ostatni, mimo swego niestawienia i nie przedstawienia dowodów, *uwolniony został od odpowiedzialności, natomiast generał Krukowiecki skazany został na koszt procesu.*

„Wyrok ten, jakkolwiek szczegółowo nie wymotywowany, jest w zgodności z rezultatem dochodzeń Komisji rozpoznawczej.

„Naprawdę przeto zastania się generał Krukowiecki formalnościami procedury francuskiej, gdyż o ile, jak to wykazano wyżej, wołą Najjaśniejszego Pana było zastosowanie prawa do występkę, nie można żadną miarą racjonalnie przypuścić, by jakkolwiek bądź procedura mogła uwolnić wojskowego, przekonanego o niekarność i nieposłuszeństwo w chwili wojny z nieprzyjacielem.

„Kodeks francuski, opierając się na prawie z 21 Brumaira roku V stanowi w takim wypadku *karę śmierci.*

„Dopuszczając nawet dziś, że dowody nagromadzone przeciw gen. Krukowieckiemu, mniej są przekonywujące, aniżeli są niemi w rzeczywistości, dostatecznym byłoby przypomnieć sobie postępek jego w Łazienkach, gdy ubliżając generałowi Sokolnickiemu, ubliżył wszystkim generałom obecnym wyższym, marszałkowi Barclay de Tolly i nakoniec Wielkiemu Księciu.

„Z drugiej strony, jeżeli generał Sokolnicki oczyścił się z zarzutu potwarzy, zasługuje niemniej na nagana za ubliżenie przyzwoitości formą, jaką nadał swoim oskarżeniom, którą gniew i niepodobieństwo zwołania Sądu wojennego wobec rozprzężenia się korpusu polskiego, mogły mu być podyktować.

Opinia Wielkiego Księcia:

„Po dokładnem ocenieniu okoliczności, wyłuszczonej w zdaniu sprawy z procesu, wytoczonego przez generała Krukowieckiego generałowi Sokolnickiemu, mając na uwadze:

Skargę bezzasadną podaną Jego Cesarsko-Królewskiej Mości przez generała Krukowieckiego, przestępstwo niesubordynacji i nieposłuszeństwa, udowodnione mu w zeznaniach świadków złożonych przed Komisją rozpoznawczą, naganny jego postępek w czasie obiadu w Łazienkach.

Mając z drugiej strony na uwadze: formę nieprzyzwoitą nadaną przez generała Sokolnickiego słusznym zarzutom, uczynionym generałowi Krukowieckiemu, ośmielam się zaproponować Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, aby generał Krukowiecki wydany został ze służby, jako niezdolny do pełnienia obowiązków z tą służbą skojarzonych, z zasad powyżej przytoczonych.

Aby nadto generał Sokolnicki surową otrzymał naganaę za ublizienie broszurą swoją obowiązkom towarzyskim i służbowym.

Wynurzając tę opinię u stóp Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, pozwalam sobie odwołać się do łaskawości Twojej względem generała Sokolnickiego, który posiwiat zaszczytnie w karierze wojskowej czynami niezrównanego męstwa i talentów, mogących być jeszcze korzystnie użytowanemi w usługach Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości.

Konstanty.

VI.

Głos generała Sokolnickiego. — Suplika jego do cesarza Aleksandra.

Jak dotąd słyszeliśmy jedynie głos generała Krukowieckiego, głos z natury rzeczy stronny, bo podnoszony w sprawie osobistej, z namiętnością i temperamentowi podsądnego, i pobudkom zemsty nad przeciwnikiem właściwą. Ważną zatem jest obrona i wzajemna skarga ze strony generała Sokolnickiego podniesiona w chwili, gdy już wszystkie formalności proceduralne były na ukończeniu i pozostawało na ich podstawie ferować wyrok nieodwołalny w obliczu historyi przeciw człowiekowi i wojownikowi, który, zdaniem autora broszury inkryminowanej, naruszył obowiązki żołnierza i Polaka, w najkrytyczniejszym momencie walki narodów pod Lipskiem.

Głos ten odezwał się w dniu 9 listopada 1815 r., w chwili uroczystego wjazdu cesarza Aleksandra I do Warszawy, odbytego po raz pierwszy od wskrzeszenia Królestwa i nadania mu konstytucyi.

Pamiętniki z owych czasów malują nam tę chwilę barwami entuzjazmu narodowego. Wszędzie wznoszono bramy tryumfalne na przyjęcie wysokiego Gościa, lecz Aleksander nie życzył sobie grać roli tryumfatora-zwycięzcy i bramy te pominął. Widniały na owych bramach napisy zapożyczone z Virgilego i Horacyusza: *Expectate veni, Sacra suosque tibi commendant Troja*, lub też:

*Hic ames dicit
Pater atque princeps,*

lecz nie zwracał na nie uwagi Król, pragnąc jedynie przedstawić się w roli konstytucyjnego monarchy, oddanego szczerze losom

narodu, dźwigniętego z upadku i powołanego do życia udzielnego w granicach uświęconych traktatem wiedeńskim.

Wśród festynów, wyprawionych na cześć Gościa przez arystokratyczne rody Zamoyских, Potockich, Lubomirskich i Mostowskich, Aleksander I, zwracając się do otaczającego go grona dam, wygłaszał słowa pełne łaskawości i nadziei:

— Kocham i szanuję Wasz naród. Gdy się między Wami znajduję, czuję się w moim żywiole. Co zamierzyłem, dokonam. Ufności tylko i cierpliwości, a *będziecie mieli Polskę całą*, z całą waszą narodowością, jakiej sobie życzycie. Chociaż jestem potężny, nie wszystko mogę, mam trudności do pokonania; lecz przy Boskiej i waszej pomocy, spełnię wasze i moje nadzieje!“ (Kozmian, III, 71)

Z takiej to chwili powszechnego uniesienia i zgaśnięcia gwiazdy Napoleona przed wzrokiem byłych wodzów i żołnierzy wielkiej armii, skorzystał generał Sokolnicki, by przypomnieć naczelnemu wodzowi Konstantemu zasługi swoje bojowe w kampaniach odbytych przed kilkoma laty przedtem pod chorągwią księcia Józefa, a zakończonych przy jego czynnym udziale pogromem armii austriackiej i zdobyciem połowy niemal Księstwa Warszawskiego i przypomnieniem owych czynów niezrównanego męstwa przeciwstawić swoje stanowisko dwuznacznej roli generała Krukowieckiego, rozegranej podczas napoleońskich bojów pod Lipskiem.

„Mości Książę! — pisał Sokolnicki do Konstantego. — Wjazd uroczysty Jego Cesarsko-Królewskiej Mości do Stolicy Jego Królestwa jest wypadkiem zbyt wielkiej wagi, by nie obudzić w sercach jego nowych poddanych uczuć niezrównanego zapału. Każdy uważa za swój obowiązek spłacić Mu dań miłości, wdzięczności i wierności. Heż świętszem winno być to uczucie dla tego, którego Monarcha przeznaczył dla spełnienia zadań szczególnych. Lecz jakże mogą liczyć na zjednanie sobie Jego łaskawości, jeśli nie mam przekonania wewnętrznego, że zdołałem zatrzeć w Jego ojcowskiem sercu wrażenia nieprzychylnie, które upór i okrutna złośliwość starały się w Nim przeciwko mnie zaszezepić?

„Nie, niepodobna mi się o tem przekonać, dopóki słowo prawdy z ust Jego Dostojnego Brata niebędzie w tej mierze wypowiedzianem. Wasza Cesarzewiczowska Mość dała nam dostateczną świadomość o prawości Jej uczuć szlachetnych, by nie wątpić, że udzieli swej opieki żołnierzowi, który posiwiaty w bojach, nigdy obowiązkom swoim nie ubliżył, nigdy nie zdradził swoich zasad i który może się pochlubić tem, że zdobył własnym rozmachem połowę niemal niniejszego Królestwa Polskiego.

„Czyż więc może ścierpieć, by go bezkarnie pociągał przed Trybunały zagraniczne, obrażał w gazetach i wyzywał w miejscach publicznych człowiek, który się zbezczeszczył w obliczu całej armii, który ukuł broń ze swej pychy i samochwalstwa, a którego cała karyera wojskowa zaznaczyła się czynami niekarności i zachwalstwa, zarówno godnemi pogardy, jak i zasłużonej kary.

„Na tej to podstawie, Mości Książę, pozwalam sobie przedstawić łaskawej uwadze Waszej skargę, którą racz złożyć w moim imieniu Najjaśniejszemu Panu, mojemu Monarsze.

„Nie trudząc Waszej Książęcej Mości zbytęcznem powtarzaniem znanych Mu już okoliczności sprawy, mam zaszczyt prosić o pozwolenie dodania do nich niektórych jeszcze uwag, wynikających z istoty rzeczy, wywołanych nagłością, a zasługujących, zdaniem mojem, na to, by o nich miał Najjaśniejszy Monarcha należytą wiadomość:

1. Jakkolwiek nie leżałoby to w zamiarze Najjaśniejszego Pana zastosować skutek wsteczny do przestępstw służbowych uprzednich, chociaż generał Krukowiecki sam się poddał karalności za nie, niemniej jednak skandal wywołany przezeń wytoczeniem, bez mej wiedzy, przeciwko mnie procesu w Sądzie poprawczym paryskim lub też we Wiedniu przez wprowadzenie w błąd Najjaśniejszego Pana, bądź wreszcie w Warszawie prowokowaniem mnie podczas festynu publicznego z pogwałceniem uszanowania winnego krwi Cesarskiej, szarpaniem mojej czci po gazetach i wyłączeniem pod błahemi pozorami najszanowniejszych sędziów — czyż, powtarzam, nie należy mi spodziewać się, że te ostatnie fakta będą przedmiotem najczujniejszej rozważgi?

2. Zwrot, jaki nastąpił w sprawie generała Krukowieckiego, nabrał tak gromkiego rozgłosu, że zwraca na siebie uwagę powszechną. Mniej tutaj chodzi o los jednostki, aniżeli o poszanowanie należne prawom wojskowym. Jestże to prawda, czy kłamstwo? Jestże to lojalność, czy intryga? Jestże to niewzruszoność zasad, czy też ich zanik zupełny? Jestże to skromność czy też zarozumiałość? Sąż to wreszcie usługi istotne, czy też uroszczenia zuchwałe, które odniosą tryumf? Oto pytanie, które zadaje sobie każdy członek armii i Narodu. Pytanie to właśnie nastęrcza się nieodzownie i domaga odpowiedzi.

Ośmieliłem się napomknąć o *zdobyciu*. Jestto prawda faktyczna, a intryga zmusza mnie do jego przypomnienia wbrew mojemu nawyknienu.

Odwołuję się w tej mierze do wszystkich moich kolegów, którzy przyjmowali udział w kampanii galicyjskiej 1809 roku.

Niech powiedzą, czy bez mężnego oporu przednich placówek Raszyna, bez zwycięstwa wywalzonego pod Grochowem, bez wzięcia na bagnety przyczółka mostu pod Górą, bez zdobycia i obrony zaciętej Sandomierza — zmusilibyśmy Austryaków do opuszczenia Księstwa Warszawskiego, przez nich zajętego? Czy zdobylibyśmy Galicyę i ocalili armię bez rozmachu tego przedsięwzięcia, któremu jedynie moja energia i moja odwaga osobista zapewniły powodzenie?

Nie przenikając losów przyszłych, bardzo to jest prawdopodobnem, że utraciwszy armię Księstwa Warszawskiego, pomimo zwycięstwa pod Wagram, nie byłoby być może mowy o Polsce.

Jakoż, z przekonaniem powiedzieć to mogę, że publiczność jest zainteresowana w rozwiązaniu tej sprawy i podczas gdy intryganci obiecują sobie wkrótce widzieć we mnie nowego Belizaryusza, ja spokojny i ufający w sprawiedliwość Monarchy, w Jego dobroć i w dobroć mojej sprawy, mam nadzieję, że prawda odniesie zwycięstwo.

Cesarz Aleksander i Jego państwo są w apogeum swojej chwały i potęgi, podczas gdy Justynian był na schyłku lat swoich, a państwo jego ku ruinie się chyliło.

3. Jedyne wyrażenie, co prawda, co do którego Komisya rozpoznawcza nie znalazła dowodów dostatecznych i na którym intryga opiera swą baterię najgłówniejszą, jestto wyrażenie o *dezercyi*. Lecz już miałem zaszczyt oświadczyć Waszej Ks. Mości, że (nie korzystając bynajmniej z orzeczenia Trybunału paryskiego, który to oskarżenie nie uznał za potwarze), sposób w jakim tego wyrażenia użyłem, dowodzi jasno, iż nie miałem bynajmniej zamiaru zarzucenia tego przestępstwa generałowi Krukowieckiemu, lecz przypomniałem jedynie termin, którym on sam się bronił dla usprawiedliwienia swej niezaradności wobec Austryaków. Otóż ta ostatnia udowodnioną została w zupełności, a generał Krukowiecki, pomimo swych przyrzeczeń i zabiegów, nie dostarczył dotychczas dowodu, że opuścił służbę austryacką, jako człowiek honoru.

Oto są uwagi, które śmiem przedłożyć łaskawej rozprawce Waszej Ks. Mości, w przekonaniu, że raczy ocenić ich istotną wartość, a byłym się uważał za najszczęśliwszego z poddanych mojego Monarchy, jeśliby one zyskały Jego ojcowskie względy, a zalecenie mnie w tej mierze Waszej Książęcej Mości starczyłoby mi za tytuł honoru.

Racz przyjąć Mości Książę wynurzenia najgłębszego mego uszanowania.

Warszawa, 9 listopada (28 października) 1815 r.

Generał dywizyi *Sokolnicki*.

A oto suplika generała Sokolnickiego do cesarza Aleksandra:

„Wśród powszechnej radości, obudzonej we wszystkich sercach przybyciem Waszej Cesarskiej Mości do Stolicy Jej nowego Królestwa, moje serce tylko w żałobie, nie wiedząc, czy zdołało przytłumić w ojcowskiem sercu Monarchy uczucia niechęci obudzone przeciw mnie przez intrygantów.

Od chwili, gdym usłyszał od Jego Cesarzewiczowskiej Mości Wielkiego Księcia Konstantego, że Wasza Cesarska Mość w błąd co do mej osoby wprowadzony zostałeś, już nawet potem, gdy mnie raczyłeś przeznaczyć wyróżniające stanowisko, cofnąłem się od świata, aby ukazać się w nim dopiero po zwycięztwie zupełnem prawdy. Jej to jedynie zaufałem, pozostawiając intrygantom otwarte pole do działań podstępnych. Wpółśród marzeń moich o szczęśliwości Ojczyzny, którą dobrodziejstwami swemi Najjaśniejszy Panie obdarzyć raczyłeś, a której od lat trzydziestu już służę z oddaniem, powroźdzeniem, rezygnacją i bezinteresownością, często myślałem o losie Belizaryusza.

Odwoluję się do Dostojnego Brata Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, który może poświadczyć, jakim było moje zachowanie się w trakcie procedury niesprawiedliwej, gdy zbrodnia na wszystko się ważyła, by zatuzszować i przeinaczyć fakty sprawdzone i obalić zasady porządku i sprawiedliwości. Pod osłoną tego to Książęcia, który dał dowód najwyższej Swej bezstronności, korzę się u stóp Tronu Waszej Cesarskiej Mości, błagając o uwzględnienie tych właśnie zasad i prawdy.

Inni Monarchowie, nie Wasza Cesarska Mość, widzieliby być może w kroku moim objaw dumy, lecz śmiem mieć nadzieję, że Ty, Najjaśniejszy Panie, uznasz w nim tylko odbicie tego uczucia, które daje sumienie czyste, a które jest wynikiem bezgranicznej ufności w zalety najpotężniejszego i najwspaniałomyślniejszego Monarchy, jakim Opatrzność obdarzyła ludzkość.

Racz, Najjaśniejszy Monarcho, przyjąć wyraz najgłębszego uszanowania i czei od najwierniejszego poddanego.

Generał dywizyi

Sokolnicki.

Warszawa, 28 października (19 listopada) 1815 r.

VII.

Monita Krukowieckiego. — Ponowna jego prośba do tronu. — Cesarz porucza Nowosilcowowi rozpatrzenie sprawy. — Udział ks. Adama Czartoryskiego w tej czynności. — Trzy projekty wyroku. — Potępienie Krukowieckiego. — Nagana udzielona Sokolnickiemu. — Zgcn generała Sokolnickiego.

Przeciągała się sprawa Krukowieckiego do końca grudnia 1815 r. bez rezultatu stanowczego. Widocznie członkowie Komisji rozpoznawczej nie ze wszystkiem uznawali zarzuty podnoszone ustawicznie ze strony podsądnego za niesłuszne, jeżeli wbrew przepisom proceduralnym, zdobyli się na krok niepraktykowany i przed oddaniem sprawy pod rozpoznanie Sądu wojennego ze znaną już nam opinią własną, cały aparat, wraz z dowodami w śledztwie zebranemi, oddali pod decyzję cesarza Aleksandra.

Skorzystał z tego kroku Krukowiecki i w dniu 28 grudnia 1815 r. podał do tronu prośbę, przy załączeniu obszernego memoriału analitycznego, zbijającego punkt za punktem wszystkie zeznania niekorzystne świadków i wywody członków Komisji.

Prośba Krukowieckiego brzmiała:

„Najjaśniejszy Panie! Dowiedziawszy się, że papiery, odnoszące się do mojej sprawy, mają być przedłożone Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości, pozwalam sobie załączyć memoriał z błagalną prośbą o jego odczytanie, zanim Wasza Cesarska Mość postanowi raczy w kwestyi Sądu wojennego, który winien zawyrokować w tej nieszczęśnej sprawie.

„Memoriał pomieniony zawiera wierny obraz sprawy i tego wszystkiego, cokolwiek w niej zaszło od chwili, gdy się Waszej Cesarsko-Królewskiej Mości podobało przychylić się do prośby mojej o ustanowienie Sądu wojennego dla ocenienia mojej niewinności i zdemaskowania potwarcy.

„Staralem się być ile można treściwym i dlatego pominąłem przytoczenie zeznań świadków i dowodów usprawiedliwiających. Błagam jedynie Waszą Cesarsko-Królewską Mość o uwzględnienie przedewszystkiem tekstu polskiego, gdyż przekonałem się naocznie, że przekład jest niewierny i na moją niekorzyść.

„Błagam Waszą Cesarsko-Królewską Mość, by, czytając ów memoriał, raczył zapomnieć o wykroczeniu, jakiego się dopuściłem względem Jego Cesarzewiczowskiej Mości i mieć na względzie, że służyłem w armii, która pomimo surowości regulaminu swego, nie podlegała takiej, jak inne armie, karności, albowiem

podczas całego przeciągu czasu jej bytowania, Rząd nigdy owego regulaminu nie stosował.

„Byłbym szczęśliwy, gdyby kara, jaka mnie spotkała, i skrucha, którą za pośrednictwem moich przyjaciół i w liście do Jego Cesarzewiczowskiej Mości ujawniłem, posłużyły do zatarcia w pamięci Waszej Cesarskiej Mości rankoru, postępkiem mym wywołanego.

Racz przyjąć Najjaśniejszy Panie etc.

Hrabia Krukowiecki,
gen. brygady.

Warszawa, 28 grudnia 1815 r.

Memoryał Krukowieckiego w rzeczy samej jest obszerny i drobiazgowy. Nie przytaczamy go tutaj ze względu, że zawiera fakty z poprzedniej opowieści wypadków dokładnie nam już znane i że obraca się przeważnie około tezy, że jedynie Sąd wojenny na podstawie i według form dawnej procedury winien przystąpić do wyrokowania w tej sprawie.

Dowiadujemy się przy tej sposobności, że memoriał ów i wszelkie poprzednie przez Krukowieckiego przedstawione były pióra Ludwika Osińskiego, który, jak się to z treści owych relacyj okazuje, dobrze językiem francuskim władał i pięknie w tym języku wypisać się umiał.

Zbyteczną prócz tego podawać osnowę memoriału Krukowieckiego, ze względu, że odparcie przytoczonych w niej grawaminów mieści się w raporcie senatora Nowosilcowa w dniu 11 stycznia 1816 r. cesarzowi złożonym, z którego dowiadujemy się, że cesarz porучzył Nowosilcowowi zadanie krytycznego rozbioru zarzutów Krukowieckiego i że Nowosilcow do udziału w tej pracy zaprosił księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.

Oto w jaki sposób zadanie powyższe spełnione zostało:

„Najjaśniejszy Panie!—pisał Nowosilcow do cesarza.—Stosownie do rozkazów Waszej Cesarskiej Mości rozpatrzyłem z drobiazgową uwagą powierzone mi papiery, dotyczące sprawy między generałem dywizji Sokolnickim a generałem brygady Krukowieckim. Wasza Cesarska Mość była świadkiem rozgłosu i pogłosek sprawą tą wywołanych. Sądziłem się w obowiązku usunięcia ich ogniwi, wykazaniem tym, którzy się skarżyli, że skargi ich pozbawione są wszelkiej podstawy i że droga postępowania w sprawie tej obrana najzupełniej była prawidłową.

Dla dojścia do tego celu zaproponowałem księciu Adamowi Czartoryskiemu, jednemu z tych, co mniemali, że generał Kruko-

wiecki był skrzywdzony przez Komisję rozpoznawczą, by rozważnie a spokojnie ocenił osnowę zarzutów, które ów generał sądził się być w prawie do podnoszenia, a które wielu popierało, nie znając gruntownie ich źródła.

W następstwie czego przeszliśmy wszystkie po kolei, jeden za drugim. Uczynię wzmiankę o tych jedynie, które wydają się być najznamienniejszemi.

1-szy zarzut: Że Wasza Cesarska Mość na prośbę generała Krukowieckiego przyzwoliłeś na Sąd wojenny, nie zaś na Komisję rozpoznawczą, że owa Komisya przyswoiła sobie prawo stanowienia o ważności zarzutów przeciw niemu skierowanych. Otóż dowiodłem księciu i on się ze mną na to zgodził, że zarzut ów był wręcz dziecinny. Każdy Sąd wojenny rozpoczyna się z konieczności od śledztwa. Czy to ostatnie prowadzi się przez radę, zamiast przez pojedynczego osobnika, którym w danym wypadku byłby audytor generalny, to w żadnym razie za uchybienie poczytanem być nie może, ani też dać powód do zażaleń. Przeciwnie, jest to cecha oczywista różnicy i faworu z pobudek czysto wyjątkowych. Działo się to podobnie we Francyi, gdy uważano, że sprawa zbyt jest ważną, by ją audytorowi generalnemu jedynie powierzyć można. Co się tycze opinii Komisji śledczej o zasadności oskarżeń, dziwi tylko, że sprawa tak prosta, jak sformułowanie konkluzyi przy końcu raportu lub opinii, mogła dać powód do niezadowolenia. Audytor generalny nawet bez asystencyi Komisji nie mógłby uczynić inaczej, kończąc swój raport, jak tylko wyłuszczeniem swego poglądu na zasadność oskarżeń.

2-gi zarzut: Generał Krukowiecki utrzymuje, że Komisya śledcza była stronnicza i w zupełności po stronie generała Sokolnickiego, że nie trzymała się form, przeinaczała wyrażenia zarzutów, przytoczonych w broszurze, że niegodnie postąpiła, usuwając z przed oczu W. Księcia zeznania świadków korzystne dla pod sądnego, a których treść obalała jakoby te, które Komisya śledcza uznała za dostateczne dla jego potępienia, wreszcie, że raport Komisji, złożony w języku francuskim, nie odpowiadał zupełnie oryginałowi polskiemu. Wszystkie te twierdzenia należało sprawdzić w aktach oryginalnych. Poleciłem je przedstawić sobie przez audytora generalnego. Sprawdziliśmy wszystko w komplecie trzech i wtedy książę Czartoryski zmaglonym był przyznać, że nie znalazł nic opuszczonego, nie nieprawidłowego i że przekład francuski był w doskonałej zgodności z oryginałem polskim.

3-ci zarzut: Że się go chce zmusić wbrew wszelkiej słuszności do poddania się Sądowi wojennemu, złożonemu i urządzonemu

stosownie do nowych prawideł, podczas, gdy czyny zarzucone mu w broszurze Sokolnickiego, sama broszura, rozkaz, który przedstawił w sprawie ustanowienia Sądu wojennego, pochodzący od Waszej Cesarskiej Mości — wszystkie one miały miejsce w epoce, gdy obowiązywały dawna procedura i dawne prawa. Książę Czartoryski był również zdania, że znaczyłoby to zostawić mu wolne pole do skarg, nieprzyzwoleniem, by Sąd wojenny ustanowiony był według dawnych zasad procedury.

W rzeczy samej, kwestya, czy Sąd wojenny winien być ustanowiony według nowych lub starych reguł przedstawia się z dwójakiego punktu widzenia. Jeśli ją uważać za łaskę przyznaną wskutek prośby generała Krukowieckiego i jeśli dopuścić, że owa Komisya nigdyby bez jego prośby nie była powstała, nie podobna zaprzeczyć, że ma on prawo nastawać na to, by otrzymał to, czego żądał, mianowicie — Sąd wojenny, którego skład znany mu był z praw w tej mierze obowiązujących.

Lecz jeśli z drugiej strony zważyć na pobudki jego prośby, która zmierzała do rozpatrzenia jego postępowania i ukarania go, ile zawinił według całej surowości praw, władza wojskowa, widząc z raportu Komisji śledczej, że postępowanie jego nie chroni go od zarzutów, pociąga go z własnej inicjatywy i niejako z urzędu przed Sąd wojenny.

W tym wypadku, akeya jego dobrowolna i prawo reklamowania, by Komisya uformowana była według form dawnych—znoszają się.

W następstwie obu powyższych motywów pozwalam sobie przedłożyć Waszej Cesarskiej Mości *dwa projekty wyroków odmiennych*.

Pierwszy ustanawia procedura Sądu wojennego, według form nowych. Jestto ów, który Jego Cesarz. Mość Wielki Książę czytał i, jak się zdaje, nie zgañił.

Drugi w artykule 4 opiewa, że będzie złożony według zasad dawnego prawa. Niewątpliwie, to ostatnie rozporządzenie ma tę dodatnią stronę, że położy koniec wszelkim szemraniom, jakkolwiek los wypadnie dla generała Krukowieckiego, pomimo, że taki Sąd zapowiada mniejsze szanse uwolnienia, aniżeli by to miało miejsce przy zastosowaniu form nowszych. W pierwszym wypadku można być uniewinnionym absolutną większością głosów; w drugim — dosyć jest, by dwaj najmłodsi członkowie uniewinnili pod sądowego, gdyż w razie równości głosów Prezydujący obowiązany jest przechylić się na korzyść oskarżonego. Otóż z uwagi, że w tej sprawie dwoma najmłodszymi członkami byłiby generałowie

brygady, oczywista jest, że generał Krukowiecki miałby szansę być sądzonym przez siebie równych rangą. Lecz jest to już następstwo uporu, że się nie radzi rozumu, ani interesu osobistego i że generał Krukowiecki, pomimo korzyści namacalnych, nastaje na to, by Sąd wojenny według zasad dawnych był ustanowiony.

Gdy jednakże nie trudno przewidzieć, że ani jeden z owych projektów nie zadowoli w zupełności zasad sprawiedliwości i nie pogodzi roszezeń stron obu, gdyż przyjmując pierwszy, nie uchyla się skarg Krukowieckiego, a przyjmując drugi, nadaje mu się szerokie pole do przeciągania sprawy szykanowaniem procedury, którą będzie chciał koniecznie nawrócić do form dawniejszych, ilekroć to znajdzie odpowiedniem dla siebie, dla tego byłoby do życzenia, w sprawie, która powstała przed epoką, w której Wasza Cesarska Mość pozyskał panowanie nad krajem tutejszym i ze względu na zarzuty, które nie mogły ubliżyć interesom Waszej Cesarskiej Mości, aby, mówię, sprawiedliwość Waszej Cesarskiej Mości nie ściagała przewinień zaszytych poprzednio, lecz by zachowała charakter najzupełniej bierny, a jedynie działała wtedy, gdy do tego będzie zmaglona formalnie.

Z tych to zasad ułożyłem trzeci projekt dekretu, który tu rozwadze Waszej Cesarskiej Mości przedłożyć sobie pozwalam. Zdaje mi się, że ten ostatni mógłby uchylić niedogodności obu pierwszych, gdyż jeśliby generał Sokolnicki uznał za właściwe powtórzyć urzędownie swoje zarzuty przeciw generałowi Krukowieckiemu, nie będąc do tego zmaglony, jak w projektach pierwszych to jest przepisaniem, byłaby to nowo rozpoczęta akcyja, co do czego nie byłoby już mowy o formalnościach, według których Sąd postąpić winien.

W przypadku zaś, gdyby ani jeden, ani drugi nie chcieli akcyi rozpocząć, sprawa się zakończy i nie oprze na tych samych motywach oskarżenia (*chefs d'accusation*). Używam tego wyrażenia, dla odróżnienia tej sprawy od dwóch innych, nie mających nic wspólnego z niniejszą, a która będzie mogła być następnie podniesioną, raz—z powodu ubliżenia Wielkiemu Księciu, drugi raz—z powodu obrazy przyczynionej generałowi Sokolnickiemu, jakkolwiek generał Krukowiecki twierdzi, że już za nią pięćmiesięcznem odpokutował więzieniem. Lecz nie jest to prawem winowajcy stanowić o karze, na jaką zasłużył.

Zarówno zachowaniem jest wyłącznie Waszej Cesarskiej Mości ocenić w Swej wysokiej rozwadze, o ile człowiek, który się do tego stopnia zapomniał wobec swych przełożonych, może zasługiwać na dalsze utrzymanie go w służbie wojskowej.

Załączając przy niniejszem memoryał generała Krukowieckiego, złożony mi dla przedstawienia go Waszej Cesarskiej Mości wraz z listem, a których nie przyjąłem, jako nie uprawniony do ich przyjęcia w imieniu własnem, mam zaszczyt pozostawać z najgłębszem uszanowaniem i czecią

Waszej Cesarskiej Mości

najwierniejszym sługą

M. Nowosilcow.

Warszawa, 31 grudnia (11 stycznia) 1815, 16 r.

Oto osnowa projektów wyroku:

Projekt Nr. 1. Wskutek raportu złożonego Nam w sprawie generała dywizyi Sokolnickiego z generałem brygady Krukowieckim, zważywszy:

Że generał Krukowiecki domagał się od Nas Sądu wojennego dla rozpatrzenia jego postępowania z powodu zarzutów, uczynionych mu w broszurze, do której autorstwa generał Sokolnicki się przyznał.

Że śledztwo wyprowadzone przez ustanowioną przez Nas Komisję specjalną ustaliło zasadność oskarżeń przeciw generałowi Krukowieckiemu podniesionych co do tego:

a) Że własnowolnie opuścił dywizyę generała Dąbrowskiego.

b) Że ubliżył obowiązkowi karności, będąc pod rozkazami generała dywizyi Sokolnickiego, przejściem pozycyi Loessnigu w d. 18 października 1813 r., zamiast maszerować po prawej stronie, stosownie do otrzymanego w tej mierze rozkazu, i opuszczeniem bez rozkazu 19 t. m. posterunku przy Scheitbar.

Zważywszy co dotyczy generała Sokolnickiego, że Komisya śledcza ustaliła jego uchybienie w tem, że nie ukarał na miejscu nieposłusznego oficera i nie oddał go pod Sąd wojenny przy pierwszej sposobności, — że użył wyrażen obelżywych i obrażających honor oficera przytoczeniem uchybień, popełnionych przez generała brygady Krukowieckiego, w broszurze pod tytułem: *Journal historique*, drukowanej w Paryżu w r. 1814 pod inicjałami Al. A., szefa batalionu inżynierów.

Zważywszy nakoniec, że broszura obrażająca nie powinna kursować między publicznością i być przez Rząd tolerowaną.

Rozkazaliśmy i rozkazujemy:

Art. 1.

Procedurę przeprowadzoną przez Komisję śledczą dołączyć do procesu, jako dowód i odwód (*comme pièce tout à charge, qu'à décharge*).

Art. 2.

Wzbronić przez policję sprzedaży broszury pomienionej i wycofać ją z obiegu wśród osób prywatnych.

Art. 3.

Zobowiązać generała Sokolnickiego, autora oskarżeń przeciw generałowi Krukowieckiemu podniesionych, do sformułowania tych oskarżeń urzędownie i stosownie do obowiązków służbowych, przedstawić je władzy odnośnej.

Art. 4.

Bezzwłocznie po złożeniu owego aktu, ustanowić za pośrednictwem Brata Naszego W. Księcia Konstantego Sąd wojenny, który postąpi według form, jakie istniały w epoce zdania raportu Komisji śledczej. Równocześnie wręczoną będzie generałowi Krukowieckiemu kopia zeznań generała Sokolnickiego z pozostawieniem odpowiedniego czasu na przygotowanie obrony.

Art. 5.

Na wypadek orzeczenia kary, Sąd wojenny zastosuje prawa uprzednie.

Art. 6.

Co się tycze wynagrodzenia cywilnego, któregooby generał Krukowiecki mógł domagać się od generała Sokolnickiego, będzie miał generał Krukowiecki prawo odwołać się do sądów zwykłych.

Projekt Nr. 2. Powtarza wszystkie motywa poprzednie, w art. 4 wszakże czyni zmianę w tem, że „Sąd wojenny w zastosowaniu się do dawnych praw № 29 art. 8 będzie złożony z generała dywizyi lub dowódcy naczelnego, z dwóch dowódców batalionów, kapitana inżynierji i kapitana artylerji.“

Projekt Nr. 3. Również powtarza znane zasady i motywa, lecz w art. 3 rozporządza, że „w Sądzie wojennym procedura i śledztwo wyprowadzone przez Komisję śledczą będą dołączone, jako dokumenty na dowód, jako i na odwód.“

*

*

*

Na tem kończą się dokumenty w sprawie generała Krukowieckiego, zachowane w aktach Nowosilcowa. Jaki był rezultat Sądu wojennego i czy w ogóle Sąd wojenny się odbył? niewiadomo.

Wiadomo jedynie, że dnia 23 września 1816 r. podczas rewii wojsk na placu Saskim ułan, stojący na rogu dziedzińca, puściwszy się z otrzymanym rozkazem w cwał, wpadł z rozlukanym rumakiem na generała Sokolnickiego, zwałił go z konia i trupem na miejscu w obecności W. Księcia Konstantego położył.

Zgon walecznego generała niewątpliwie wpłynął na zatamowanie biegu sprawy przed Sądem wojennym.

Pozostał jedynie w aktach stanu służby generała Krukowieckiego ślad, że dnia 1 stycznia 1817 r. usunięty został ze sztabu dywizyi, lecz „liczył się w armii.“

W takim też charakterze, jako pozostający w służbie czynnej, pełnił gen. Krukowiecki obowiązki wojskowe przez cały okres istnienia Królestwa Kongresowego. Działalność jego jako gubernatora wojennego po wypadkach listopadowych i jako uczestnika rokowań przy kapitulacyi Warszawy, nie wchodzi w ramy niniejszego opowiadania.

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Felicyan Rops.

Dziwną jest dola niektórych artystów. Niezrozumieni, nieodczuci wloką za sobą koncept czyjś, zdanie gapia, sąd głupca, które im za charakterystykę i za życia i po zgonie starczyć musi. Przylgnie to, jak oset, i na całym dziele twórcy piętnem niezatartem się kładzie.

Z nazwiskiem Rops'a w niepodzielnym związku, dla wielu bardzo, pozostaje rozwiązłość, skowyt miłośnych rozkoszy, erotyzm upajający, rozhlukany, a przewrotny. Nie znając lub poznawszy go niedostatecznie, radzi widzimy w artyście tym indywidualność, jaką był markiz de Sade w literaturze, Gille de Rays w życiu. Nakół Ropsowskiej twórczości weszyny *odor di femina*, otumaniający i mocny.

Wielbiciele Rops'a, nawet ci *de la première heure*, podporządkowując wielką osobistość mistrza swoim koncepcjom artystycznym, werbując go ku ołtarzom ich własnym bogom wystawionym—zmnniejszają dzieło jego. Ropsowi wprost „zbiega się“ dusza od tych przyjacielskich dociekań i kureczy wartość i rozległość jego sztuki.

Huysmans, Barbey d'Aurevilly widzą w nim katolika, walczącego z dajmonem wszeteczeństwa; Demolder, Rebell — spadkobiercą flamandzkiego geniusza zniszczeniowości przyziemnej Jordaens'a, jowialności Uilenspiegel'a, gruboskórnego mistycyzmu Breughel'a.

Rzecz ciekawa—iż wszyscy potrosze rację mają.

Tylko że pierwsi o początkowych kreacyach Rops'a, jędrnych, może mniej głębokich, ale równie jarych, równie wibrujących siłą żywotności i prawdy, zapominają—drudzy zaś o tym ostrym tonie demonizmu, który późniejsze dzieła jego cechuje.

Twórczość Rops'a rozłamuje się na dwie fazy: z początku rysuje, co widzi—później oddaje, co czuje. Rozszerza mu się wtedy myśl twórcza, pogłębia; i późniejszy Rops upodobia się dawniejszemu tylko tą niesłychaną czułością na najlżejsze meandry formy, na najdrobniejsze odcienia, tą skrupulatnością w podpatrywaniu najniklejszych wyrazów uczucia, lub nastroju. Zawsze jest i pozostaje wielkim zmysłowcem, jak wszyscy niemal z rasy jego, jak cała plejada mistrzów niderlandzkich. Zmysłowość aż bucha kłębamii u Rops'a, i nią a przez nią synem ich jest i spadkobiercą, ale kropla krwi madziarskiej¹⁾ dała mu ten pęd wściekły, zaostrzyła, rozpałała plemienną dobroduszość i flegmę.

W pierwszym okresie Rops jest panteistą, zasłuchanym i zapatrzonym we wszystko, co żyje, rusza się, łśni, barwi, wabi, ma mi, śmieszy, zastrasza. Wówczas — zaiste — jak majstrzy rodzimi, szukał oczami wokoło siebie, a nie w sobie patrzył; przedstawiał powab zadomowiony wnętrzy flamandzkich, ziemi swej typy, które czarowały go pięknem swojskiem, bawiły groteskowością lub budziły litość ciepłą, uczucie czułości, jakie dla smutku, biedy, starości ma serce każde. Szła myśl Rops'a po ziemi rodzinnej i na niej i z niej zrodziły się dzieła magistralne, jak *l'Enterrement au Pays Wallon*, *l'Experte en dentelles*, *l'Oncle Claes et la tante Johanna*, *la Laitière enversoise*, *Oude Katę (Obieraczka kartofli)* i tyle, tyle innych.

W akwafortach tych i litografiach czuć lekki wpływ Courbet'a; chłopci przypominają nieco suche, twarde, chropowate, jakby z grudy czarnoziemu ulepione, smutne typy Millet'a. Nie ujmuje to ani wartości, ani nawet oryginalności kreacyom Rops'a. Umiał on zawsze pozostać sobą. Reminiscencye te zresztą—może bardziej literackie, niżeli plastyczne: w modzie wówczas był typ „przywiązanego do gleby“, niewolnika czarnej macoszej ziemi. I Rops też poczył biedy i znoju oblókł zdrowe parobczaki flamandzkie.

W tym charakterze stworzony jest *Semeur*. W pustkowiu—piachy, głazy, bodziaki, gdzieśgdzie garbi się nizki jałowiec, jeżą budyle suche; smagłe, supłowate, smętne chłopisko sieje równym, miurowym ruchem ziarno, które nie wzejdzie.

Kocha Rops pustkowią tę i nieużytki, kocha wzgórza piaszczyste Flandryi, osiadłe ciężko wzdłuż wybrzeży morskich. O zachodzie słońca przyciąga go ich sypkie złoto; podczas pluty mami go szary welon obłoków, kiedy otulone nim wybrzeża cicho drzeć się zdają, kołysanką fal usypiane.

¹⁾ Dziad Rops'a z Węgier był rodem.

Kocha Rops morze, kocha namiętnie, płomiennie, atawistycznie, po barbarzyńsku—powiem—jak kobietę umiłowaną, pożądaną, niezbędną. Tylko Swinburn tak zmysłowo, cielesnie morze wielbił.

Dla nich obu prawdą się staje myt Wenery, z kłębów i piany morskiej wyszłej. Rops wszakże jeszcze szaleniej, *płciowo* je poprostu miłuje; widzi w niem te wszystkie uroki, jakimi kochanka upaja i pęta¹⁾.

Oto jedna strona umysłowości, sentymentu i *eo ipso* siły twórczej Rops'a, jedna postać jego talentu.

A oto druga.

Ma lat z górą trzydzieści. Osiedla się w Paryżu, i Paryż uderza mu do głowy. Upija się jego atmosferą, ową atmosferą nagrzaną do białego użyciem, myśleniem, tworzeniem, gdzie idee i sensacje, niby pyłki złociste mieniają się i wibrują. Subtelne jego nerwy wyczuwają wszystkie dreszcze wielkiego miasta. W kuźni tej wykuwa się i jego myśl. Tu, w tem ognisku nowymi elementami duch jego się użyżnia. Upija się paryżanką, chciały ją posiadać, zrozumieć, przeniknąć. Wydaje mu się ona po zdrowych, silnych dziewczkach Flandryi lalką, którą nazywa: „*un composé de carton, de taffetas, de nerfs et de poudre de riz*“²⁾. Wejrzawszy gruntowniej, znajduje w niej takie składniki, jakich indziej nie widział, ni spostrzegł. W paryżance stopniowo odkrywa „*une vraie femelle, une concubine rêvée*“³⁾. Daje mu ona miłość-szał, jak wkrótce da miłość-grzech i ból.

Jest Rops w tym okresie życia, w tym wieku, kiedy mężczyzna traci na żywiołowej sile, a zyskuje na wyrafinowaniu, imaginationsi, kiedy uściski komplikują się, miłość zaprawia papryką szalonych a płonnych pożądań nowego, nieznanego.

Po miesiącach miodowych następuje przesyć, czczość, rozczarowanie i żal do kobiety; i tu—na przywianek—daje jej w utworach swych demonicznych Koronę z Siedmiu Grzechów uwita, Aureolę czarną szatańską wybranki.

Widzi już ją Rops i przedstawia, jako żywioł destrukcyjny, wystanek piekieł, zwierze jadowite, nagie i sprośne, służebnicę i zausznicę czarcią, jako czarę szaleju śmiertelnego pełną, jak

¹⁾ Patrz list do Demolder'a, wydany w broszurce o Rops'ie: „*Rops*“ Demolder. Paris, 1894. 8-o.

²⁾ Ibidem.

³⁾ Ibidem.

wieczystą pokusę, przez szatana na zgubę i pohybel świata zesłaną.

Otóż tu Huysmans, Barbey d'Aureville mają prawo Rops'a uważać za swego, bo w nim panteista, obserwator realnych objawów wszechhytu błędnie, niknie coraz bardziej, a natomiast zjawia się mistyk, głęboki, katolicki mistyk, który, zachowując wszystkie swe dawne zalety, tworzy szereg arcydzieł, gdzie wyzdana lubieżność fosforem satanicznym się powleka i lśni próchnem, jak te ogniki, mamiące nad moczarami.

W Ropsie, niedawno jeszcze święcącym po pogańsku świat, życie, radość—ocknął się katolik, a z nim zmartwychpowstały dawne wierzenia, zapomniane, wyblakłe, ale jak jeszcze mocne! o jak silnej woni kadzideł, o jak donośnej nucie dzwonów i śpiewów liturgicznych, szeptanych modłów i egzorcyzmów! Zapomniane strachy i marzenia z kolegium jezuickiego *Notre Dame de la Paix* ¹⁾, widma stare i pokuszenia odżyły, wypęzły z zakątków duszy, migły, drżące, występne a słodkie i rzuciły się chmarą na plansze Ropsowskie.

*

*

*

Według tradycyi, a bodajże z racyi osobistego sentymentu demonicznego — Rops zespala w spięciach wszetecznych piękno kształtów kobiecych z ohydą fantastycznych tworów. Ale ze wszystkich demonografów, ze wszystkich wizjonerów wyodrębnia go niezwykle poczucie miary, równowagi, logiki form ludzkich, ogromne zrozumienie żywotności i harmonii. Dziwotwory Rops'a są pełne prawdopodobieństwa i możliwości istnienia, żywe, powiedziećby się chciało—prawdziwe, a jakkolwiek piękne (a może dla tego) urodą „sui generis,“ zabobonną trwogą mrowiące.

Potworem wszakże najokropniejszym w galeryi Ropsowskiej jest ostatnia kochanka i wierna—juskokoścista Śmierć. Śmierć czuła się chytra we wszystkich utworach Rops'a, śmierć dziwna: podła i zmysłowa. Nie wyziera ona z wieczności progów, nie nicosć ma ona za sobą, ale katusze ciągłych, wiecznych i nigdy niezaspoko-

¹⁾ Około Namur. Tam się Rops wychowywał.

jonych wszeteczeństw, gryzących pożądań, wciąż odradzających się pragnień.

Mors erotica! Śmierć, która jeszcze ściska, kąsa całusami, wpija się w ciało, ssie, zabija rozkoszą i wielkiem cierpieniem w rozpaczliwym spaźmie namiętności.

Potężne to i płomiennie dzieła — te plansze Rops'a; palą się w nich ciała na żuzle, drgają przeklęte i sprośne w ciągłym hekowisku, bez wytchnienia, ulgi, ni zadowolenia. Jątrzy się tam ciągły głód miłosny, wysiłka z nich żądza, jak ropa, z nigdy niezagojonej rany. W okowach lubieżnych wiją się pod chłostą zmysłów, w pożarze chuci, wyteżone—jak ciężkiwy—nerwy, skurczone i wykrzywione mięśnie. Erotyzm rzy, ryczy, wyje, staje się dopustem, kłatwą, plagą, rozpaczą.

Od kobiet Rops'a gibkich, mających siłę stalową, zwinność i urodę panter, a jak one groźnych, idzie już wprost lęk, jak przed czymś nieskończeniem niebezpiecznym, nieczułem, a ponętnym, wabnym i nieprzewyciężonym. Tu kobieta ukazuje się już nie jako zwykła wszetecznica, uciechy nierządu niosąca, ale jako Sukkub, jako wampir, jako duch zła i ciemności. Jest ona siłą nieomal kosmiczną: pali—niby ogień, zastrasza—niby grom, mami—jak otchłań bezdenna. A na ziemię zesłał ją szatan, by zwiększyć państwo swe mroczne, aby ziemię pod swe panowanie zagarnąć.

Myśl tę dał Rops w przejrzystej alegoryi — *Satan semant l'ivraie*:

W pomroce i ciszy nocnej, ponad Paryżem, krótkim i pozornym letargiem snu i spokoju zaskoczonym — olbrzymi siewca. Wsparł rozkraczone w łęk nogi na dachach i wieżach, panuje nad miastem niemem i bezbronnem, zamyka je—jak klanrą—okrakiem swym wielkoluda i w posiadanie bierze. Gestem szerokim siewcy lub kosiarza rzuca w dół, w mrowisko ludzkie, zła nasienie występne i zgubne, zarodki cierpienia, zbrodni, nienawiści w postaci larw kobiecych i masek. Ma ich masę całą w zanadru opończy. Rozpyła je, rozwiewa i wie, jaki to plon przyniesie siew jego piekielny. Uśmiecha się sardonicznie, ślepie mu się skrzą z radości i palą w twarzy kościstej.

Plansza ta jest wspaniała, patetyczna, okrutna, wymowna nielitościwie; może ona służyć za introdukcję i niejako komentarz do części demonograficznej dzieł Rops'a.

Według niego dyabeł nietylko lubieżną zmorą męczy ludzkość i nęka. Inne także gzy-trucicielki brzęczą natrętną pokusą koło uszu ludzkich. Nietylko czuje Rops przyłgnięcia płowe rozkoszy seksualnych, nietylko błyski piekła namiętności; oblegają

fantazyę jego wszystkie nałogi bezcenne, wszystkie chuci, które w palenisku wielkiego miasta gorzeją.

W akwafortcie tak tragicznie intensywnej, że, ujrzawszy ją raz, zawsze ją masz w pamięci — inny grzech śmiertelny artysta zobrazował.

Oczami omglonemi pijaństwem, pełnemi rozmarzenia i halucynacyi, patrzy na cię maska blada bladością siną, ręciovą.

To *la Buvreuse d'Absinthe*. A w niej — skondensowane pijaństwo, skryształizowany pijaczy szal. To absynt sam ujęty w symbol i syntezę, absynt zielony, trawiący, trutka na ludzi, pokrzyk obłędu, jad zabijający, jak cykuta. Karta ta, to „Delirium Tremens“ wcielone w postać kobiety.

*

*

*

Kiedy artysta dochodzi do takiej mocy dramatycznej, do takiej poczui i wyrazistości — niemasz już miejsca na nierząd lub nieobyczajność.

U Rops'a napięcie zmysłowe jest tak silne, iż część erotyczna zanika i traci łączność z instynktem rozrodczym.

Dzieła pod wpływem mózgowego podniecenia zrodzone, nie mogą być i nie są prostymi afrodyzyakami, jak niektórzy mniemają. Myśl tak chucią przesiąkła z racyi właśnie swego bajecznego natężenia, nie jest wynikiem zwykłej histeryi umysłowej, ale zdaje się być raczej istnym poszeptem szatańskim, wielkim biblijnym grzechem.

Patrząc na te karty, skłonni jesteśmy wierzyć, że spłodził je nie powszedni fizyologiczny popęd płciowy, choćby nawet rozpaczliwie wyegzaltowany, ale duch zła, który kłębi się w mózgu, kusi, kazi intelekt i — jak wielkim zakonnikom — każe widzieć, czuć i pożądać aż do boleści, cierpieć męki piekielne w bezsilnej walce z marą lubieżną.

Oczywista, iż tak Rops czuł i myślał, bo w planszach jego kobieta ukazuje się — zgodnie z wizjami świętych kościoła, kuszeniami nawiedzanych, według pojęcia katolickiego, według idei manicheistycznej — jako element zły, srogi, gubiący na wieki wieków duszę, niszczący myśl świętą i wielkie zadanie ludzkości.

Zadziwiającem jest u Rops'a to poczucie świętości *à rebours*. Jego dziewczki szalone są równie mistyczne, jak niebiańskie dziewice Fra-Angelico, Memling'a, Roger'a van der Weyden'a.

Te saturnalie, luperkalia Ropsowskie są istnemi „mszami czar-nemi,“ gdzie dyabeł ogłasza się Bogiem i gdzie na cześć jego wielkie się misterya czynią. Tam wtedy niewiasta hostyą się staje, bujne jej włosy za korporał służą; a ten, co do komunii owej idzie, niebaczny — ten wiekuiście zgubiony i w doczesnem życiu i w przyszłym.

Tak przedstawia Rops kobietę i chuć. To nie jowialne, tłuste żarty rozwydrzonego klechy, nie pperfumowane kreacye bu-duarowe Boucher'a, Fragonard'a, ani tokowiska japońskie, ni lubieżna a zdrowa zmysłowość świata antycznego, uosobiona w Wenerach i Priapach, to wizya straszliwa, bolesna—aż do rozkoszy, rozkoszna—aż do bólu samotników w Tebaidach, to jakby krwią opite tańce Herodyady, kurcze ostatecznego cierpienia i upojenia najwyższego.

To też ów rys mistyczny, niezaprzeczenie istniejący, nana-calny u Rops'a, nie pozwala go przyrównać do innego genialnego zmysłowca—Rodin'a (jak to niektórzy czynią)¹⁾, lub mniej jeszcze do pogańskiego czysto talentu Clodion'a.

U Rodin'a kobieta jest nagą — u Rops'a tylko *obnażoną*. Z umysłu pozbawia on ją godności i czystości wstydlivej, jakie ma ciało nagie. Ta Ropsowska półnagość lubieżniejszą jest nieskończenie, potężniejszą demonicznym przywdziękiem, niżeli kształty człowiecze bez obłonek, w całej swej powadze i surowej krasie.

*

*

*

Indywidualność Rops'a tak wielka, szczególnie w późniejszych fazach twórczości, talent jego tak odrębny i mocny sprze-ciwia się wszelkim filiacjom ścisłym. Dla podkreślenia wszelako jego osobowości, dla uwypuklenia wizerunku jego, przytoczyć na-leży analogij kilka, zaznaczyć pobratymczość z innymi twórcami.

¹⁾ Patrz: Hugues Rebelles — „Trois Artistes étrangers.“ Paris 1901, w 16-cu.

Owoż jest parą umysłów, które wpływ może niejaki na niego miały, ale w literaturze szukać ich należy, nie w plastyce.

Zresztą, jak na dnie retorty rozmaite czynniki i odczynniki, łącząc się i zlewając, dają ciało nowe o innych właściwościach, różne kolorem, smakiem i siłą — tak i w myśli twórczej Rops'a wszystkie elementy, poza jego istotą i w niejże czerpane, stopiły się w całość oryginalną i własną. U nikogo Rops długu nie zaciągnął. Zapatrzył się na niejedno, zasłuchał, zamyslił i dał później dzieło piętnem swego geniuszu naznaczone.

Prawdą jest, że w owym czasie, kiedy był poetą rzeczy realnych, zbliżka ujrzanych, czerpanych z otoczenia — czarem intymnym zbliża się do mistrzów północy: i Cranach'a starego, i Breughel'a częśćka w nim była drobna — ale mistrze nawet musnęli mu po wierzchu tylko duszę.

W drugiej fazie, zaskoczony nowemi sensacyami, opętany szałem czaru niewieściego i zlekty jego potęgą, gdy tworzyć poczyna cykl *Les Sataniques* lub ilustruje Barbey'a d'Aureville, Péladun'a, kiedy daje dzieła siarczyste i groźne, albo jak w *Théâtre Gaillard*, *Point de Lendemain* odtwarza pożogę ciał w skureczach pożądań i chuci rozpalonych podnieceniem, w smutnej delectacji uścisków, zaś spopielenych później, złamanych, rozbitych, napół trupich, a niemasyconych i łaknących jeszcze, łaknących ciągle, łaknących po zgonie, w grobie, piekle, wszędzie i zawsze, kiedy z gwałtownością heroiczną daje orgie zmysłów i kształtuje kobiety, które zdają się być inkarnacją ognia piekielnych, a wydobywszy je z serca, duszy, uczucia, rzuca istoty te w objęcia ludzi — wtedy Rops wysługuje się temu sentymentowi, religijnemu prawie, jaki właściwym jest całemu szeregowi czcicieli a wrogów mistycznych kobiecego czaru.

Usiłują oni, a Rops wraz z nimi, pogardzać kobietą — nieczystem naczyniem grzechu, złorzeczą jej, a kołowacieją za jej uściskiem, wielbią ją, jak opętańcy.

Oni to Rops'owi są bratnimi duszami. A więc: Swinburn, a więc Baudelaire, Barbey d'Aureville, a więc wszyscy ci, co widzą w kobiecie przynętę, którą Szatan-Zło na ziemię został gwoli walce z Bogiem-Dobrem; przyczynę pierwotną grzechu, mozołu, umęczenia i niedoli rodu Adamitów wyklętych; wieczny zawód i gorzkie rozczarowanie i żalność.

Ale jak Rops im daleki, jak zawsze wiernym sobie pozostaje — widać, kiedy ilustruje dzieła jednego z nich, jednego z tych pokrewnych mu poetów, jak np. d'Aureville'ego. Raczej transkrypcjami, a nie ilustracyami rysunki te nazwaćby należało. I tak —

w planszy do znanego opowiadania *le Bonheur dans le crime* ¹⁾, nie poszczególne wypadki oddaje, ale pojęcie szczęścia w zbrodni, pełnego szczęścia, bez wyrzutów natur silnych, do radości iście stworzonych.

Na piedestale—głowa Gorgony, której pukle gadzinowe oplą-
tują parę, zacałowaną na śmierć i życie. Odwróceniem tyłem, zle-
pieniem uściskiem, on w nią ustami się wpija, ślepy, nieczuły, głu-
chy na wszystko, co nie jest kochaną kobietą, ona niebaczna na
świat cały, nie pomna na wszystko, co nie jest pocałunkiem, pie-
szczotą. Blask od nich bije radośny, promienieją szczęściem zu-
chwale. U stóp postumentu czołga się postać kobiety, zawadzająca
krzykiem śmiertelnej rozpaczy. Kona ona tam, na dole, nieszczęs-
na, kiedy Oni, na wzniesieniu błogości, nieprzystępni, Przeznacze-
niu nawet urągać się zdają; ręce jej, w szpony skurczone, napró-
żno zahaczyć się pragną, tarza się w bólu zazdrośna, w męce
bezsilnej, tem wścieklejsza, tem marniejsza, że katuszy jej nikt
nie widzi.

Oto jak szeroko pojął Rops anegdotę Barbey'a d'Aurevilley.

Ta właśnie niezależność dumna od myśli przez innego zro-
dzonej, to rozumienie tematu na swoją modłę—pozwalalo artyście
zdobyć pracami swemi dzieła mniej nieraz, niż średniej miary.
Bo Rops nie jest ilustratorem — powtarzam — ale twórcą „par ex-
cellence,“ a ilustracye jego są raczej genialnymi „waryacyami na
temat,“ aniżeli ściślemi interpretacyami.

Stąd pochodzi, iż taki *Dictionnaire érotique* Delvau'a szczyli
się naczelną kartą Rops'a; stąd jeden z najpoważniej, najgłębiej
pomyślanych rysunków jego—na czele Péladan'a *Le Vice Suprême*.

W planszy tej (*Finis latinorum*)—z trumny pół-otwartej mo-
gилna Salome, kościotrup kobiecy, w falbany, fatałaszkę i błyskot-
ki ustrojona, wygląda, łasi się, wachluje i mizdrzy; z pod ugiętej
kokieteryjnie spódnicy widne są piszczele w jedwabno pończochy
obciągnięte, z po pod stanika zaś — wegetacya krogów i żeber,
ostrych, jak ościec rybi.

Z kobiety nie już nie zostało okrom chęci wiecznej, nie-
śmiertelnej skusić i zwabić. Obok niej obezgłówny, a wyfra-
czony lubieżnik własną głowę, niby Ś-ty Dyonizy, pod pachą trzy-
ma, i, sprośny, straszny, złowrogi, wdzięczy się jeszcze i koper-
czaki stroi.

Jak w „Tańcach Śmierci“ średniowiecza, jak u Holbein'a,
jak u wszystkich mistyków, którzy Żądze, Grzech i Karę z nich

¹⁾ *Les Diaboliques* — Barbey d'Aureville. Paris, 1883, w 16-cc.

płynącą malowali — u Rops'a po całym dziele jego satanicznem, szkielety-symboli zgonu się przewijają; stroi on je odziewkiem, z lalacznie zdartym, muska, krasi.

A że ostateczności zawsze się za dłonie dzierżą, że Śmierć z Życiem w jeden węzeł się splata — w planszach Ropsowskich tuż przy rozkoszy wykwita cierpienia kwiat piołunowy, pocałunek jest bliskim kłosa, spazm ekstazy miłosnej — konwulsjom ciężkich agonij, zaś łożnica małżeńska upodobnia się śmiertelnym łożom.

Rozkosz u Ropsa nie śmieje się, łaskotliwa, ale płacze, szlocha, łka, skomle; torturą jest ona u niego; przekleństwem jest bezsilna miłość; okowami są czarta uściski i pieczyoty bałanutnych ramion kobiecych.

Miał prawo Rops wyrzec, pokazując jedną ze swych akwafort o takiej wściekłej już sile erotyzmu, że opisać jej niepodobna: „*n'est ce pas que le côté erotique disparaît?*”⁴ W tej karcie bowiem (a i w innych zarówno) duch wszeteczeństwa rozkiełznany, bezecny a wyniosły, jest prawie że obezcieleśniony.

Nie zwierzę, zadawałające potrzeby swe, wiję się w nich, ale *Dusza*, która cierpi, łaknie ideału, a tonie w gnojówce, gore w jałowych i nieenych płomieniach lubieżności, ginie oplwana, zbrukana i nędzna.

Każnią jest miłość ziemską według mniejszego światopoglądu Rops'a, plagą — kobieta, co w wieczystej uległości szatanowi, mocy jego służy, dla niego, pana swego, świat zaprzepaszcza i *ad majorem Satani gloriam* gubi kochanie czyste, boskie, nieskalane w nawałnicach zmysłowych dreszczów.

Rops nienawidzi kobietę nienawiścią, która jest jeszcze namiętnem wielbieniem. O niej tylko śni i myśli. A dziwne niewieście postaci, poznaczone — niby plamami grynszpanu — sińcami piekielnych pocałunków, po których ślad pozostaje, jak po razach chłosty biczownika; istoty o twarzach mroźnych a namiętnych, pustych, bezmyślnych, gdzie wyuzdana rozpusta łączy się z delikatną, subtelną pięknoscią; samki te, faunie, ponętne, magnetyczne a okrutne, dające bez uczucia uściski szalone, ostateczne, śmiertelne — jak jad, niezapomniano — jak utracone na zawsze szczęście, uściski, co rajem są i męką; afrodytyczne motyle-kobiety tarrantelą plugawej Miłości i Śmierci wciąż mu po głowie krążą.

Prowadzi je w tan ta *Dane au cochon* [Πορνωπάτης], a ją znów wiedzie ośleplą, bezwolną świnia spaśna, sprośna i głupia.

Rops credo swe wypowiedział właśnie w tej planszy (Porkratos), która tak oto wygląda:

Wzdłuż po krawędzi gżemsu marmurowego idzie ruda, wspa-
niała kreatura, giętka, mocna a wytworna: idzie goła, a nie naga,
bo bezczelnie zachowała pończochy swe długie, zdobne pantofelki
i kapelusz. Idzie. A przed nią na różowej tasiemce—jak pies na
sznurku — *wieprz*. Ślepa jest ta gamratka, bo bielmem na oczach
jej się kładzie opaska. Nic nie widzi, nie czuć nie musi, daje się
wieść przez bydlę nieczyste, nikczemne, plugawe. Stąpa cicho, skra-
dać się zdaje, jak zła myśl, mamiąca, łakoma, ciekawa, a amorki,
symbolizujące miłość prawdziwą, pierzchają zasromione i trwożne.

Kreacye te Rops'a jedyne są w sztuce. Siostrani im nie są
ani pijane namiętnością i winem bachantki klasyczne, ani boginie
i dziewice Gustawa Mareau z kwiatem lilii, lotusu, lub głową
ściętą w rękę, ni limfatyczne szurgoty Toulouze-Lautrec'a. Nie
z tego gatunku, nie z tej rasy są lubki Ropsowskie. Nie lilia im
za berło, ale phallus służy; nie perły, dyamenty i rubiny je zdo-
bia. Łzy im ludzkie za brylanty stają, krople krwi—za purpuro-
wy klejnot rubinu. Z otchłani dyabelskich one rodem; zrodziły
je opary, które nad kostnicą, lupanarami, turmą lub śmietniskiem
bujają, a które wiecher cuchnący miłośnie zapłodnił. Pieszczoty
ich płonne, spięcia ich jałowe, gorzkie i zgubne — tylko szaleń-
stwo z nich się poczyna, tylko boleść, srom i żałość z nich się kluje.

Szaleństwo i Nierząd — to bliźniąt dwoje, mówi nam Rops
w swej akwaforecie *La Prostitution et la Folie dominant le Monde*:

Po pod łękiem niebios, nasadzonych gwiazdami, depcą kulę
ziemską plecami wsparte, spojone: Szaleństwo, w postaci koźlono-
giego trefnisia i Nierząd, zobrazowany przez ladacznicę o obliczu
bestyjalnem, o grzywie, skudłonej na oczy, o nozdrzach, węszą-
cych szal, występek, bezecne karesy, o ustach szerokich, rozziąja-
nych krzykiem łajdackim. Wyje, jak pies na księżyc, lży, uraga
gwiazdom, a może i Temu, co gwiazdy te rozsiał. Brzydka ona,
a urocza, pospolita, a rasowa, nieledwie wykwinтна. Stare, po-
błażliwe, dobrotliwie uśmiechnięte, ojcowskie Szaleństwo obnaża
ją po uda, ukazuje jej powaby, rajfuruje, stręczy, zachęca.

Nie braknie w dziele Rops'a i tych koncepcyj, już ściśle z de-
monologii katolickiej czerpanych, jak np. ta *Czarownica*, ulatująca
po przez mroki nocne hen! daleko na Łysą Górę, na gody weselne
z kochankiem — Belzebubem. Wywróconą, omdlałą na myśl przy-
szłych rozkoszy Sabbatu, podtrzymuje bies rogaty, druh jej i družba.

W Rops'ie, zda się, pokutuje duch zakłęty egzorcyistów z epo-
ki „Epidemii Czarownic,“ duch mnichów wylekłych, mamrocących
wybladłemi usty: „vade retro Satanas!“ — kiedy ich nawiedzało
marzenie, bijących w dzwon na trwogę w chwilach, gdy dusza

słabła, a ciało praw swych się domagało. Dla nich za całą filozofię życiową „memento mori“ starczyło. Żyli — by umrzeć! Ich myśl to i wiarę parafrazuje wiele plansz Ropsowskich. Ta np. karta grobowa:

W trumnie, całunem zasłanej, leży ona: kobieta, młodość, piękno, życie. Nad nią schylona do dzikiej pieszczoty — Śmierć. Zaszyla się Kostusia pazurami w łono białe, kościotrupie usta swe, jak ssaki pijawcze, w brzuch po jelita wraziła lubieżnie. Pod pocałunkiem tym Oblubienica, hoża, kraszy pełna, w konwulsjach szczęścia i zgrozy oddaje się Kochankowi swemu cmentarnemu. Plansza nosi tytuł: *Mors et Vita*.

Życie i Śmierć! Te dwa krućce streszczają całe dzieło Rops'a. Szuka on wszędzie kontrastów Początku i Końca, alternatyw błogości i mąk, kojarzeń radości i pokuty, aliażu nierządu i szaleństwa, logicznego następstwa chuci i nieuleczalnej tęsknoty. W tragizmie wiecznych głodów niezaspokojonych — karę widzi wszeteczeństwa. A w złem, które nad światem króluje — dzieło Szatana, Pana czarnych zastępów, Monarchy czeluści piekielnych.

Bo Rops, jak Barbey d'Aureville, wierzy w dyabła. Są oni współwyznawcami: jedną i tę samą religię mają, jeden i ten sam strach. A wstęp do *Diaboliques* Barbey'a mógłby być zarówno przedmową do demoniczno-zmystowych dzieł Rops'a.

W przedmowie owej mówi ten „moralista chrześcijański“ (jak siebie nazywa d'Aureville), że „wierzy w Szatana i jego wpływ na świat cały, nie sztydzi z mocy jego, ale opowiada o chytrych jego podszeptach, żeby dusze czyste zastraszyć i ostrzedz.“

Taka też jest wiara, taka idea i taki gest twórczy Rops'a.

*

*

*

Pyszny to, dumny artysta, pewny siebie, świadomy swego niezwykłego talentu. Wie, iż jest jednym z paru mistrzów XIX stulecia, którzy rozumieli i oddać umieli formy ciała ludzkiego, w całej jego prawdzie i bogactwie, a potrafili plastycznie odtworzyć lęk, mozól, frasonek myśli ludzkiej na bezdrożu.

Znający wartość swą — Rops pogardza tymi, co dzieła jego na siedm spustów radzi zawrzedć, jako niemoralne, „nieprzyzwoite“, sprośne.

W królewskiej dewizie: „*aultre estre ne veulx*,“ niby w więzy z kości słoniowej, zamyka duszę swą i za pawęż, za herb mu

i godło to służy, kompensatą mu jest za długie lata zapoznania. Jak z dzieł jego, tak i z listów pięknych, bystrych, głębokich, skrzączących się dowcipem i werwą, o stylu błyskotliwym i barwnym, wyziera ta sama wyniosła pogarda, ta sama obojętność na łatwy poklask snobów, na powodzenie u handlarzy, na uznanie akademickich bonzów.

Rops pozostawił 600 akwafort, 300 litografij, co ze stanami (états), których nieraz jest po trzy, cztery przed planszą ostateczną, przedstawia pracę wielką, dorobek, jaki niewielu artystów przyniosło światu.

Dodać należy, że niektóre *vernis nous* — wykończone, jak obrazki Brawer'a, lub Mieris'a, jak akwaforty Callot'a. Pod lupą widzisz dopiero ómę całą wykwintnych, filigranowych szczegółów, wypieszczonych twarzyczek lilipucich, figurynek o formach i wyrazach skończenie doskonałych. Na płaszczyźnie niewiekszej, niż paznogieć — masz rój amorków, satyrków, elfów, bogunek. A zawsze całość góruje nad detalem, idea opanowuje i owłada materją.

Akwaforty Rops'a w szarej tonacyi, rzadko mają te kontrasty świetlne plansz Rembrandta'a lub Goi. Subtelne one a proste, rysunek w nich i ustrój pewny, jasny, powiem — klasyczny. Nie szuka Rops efektów gwałtownych światłocienia, ale tworzy harmonię spokojną, a niewypowiedzianie wabną. Czernie, zniuansowane dają pełną gamę: od tłustej, gęstej czerni — aż do półtonu krepy przejrzystej. Równowaga cieni i światła, tłumikiem jakby złagodzonych — niezwykle piękna i miła.

W pierwszej manierze rylec Rops'a siepie tło siekanką rysów, — później rylec ten łagodzi się, staje nieledwie penzlem delikatnym, zachowując wszakże energię i siłę narysu, czystość i pewność linii. Technika Rops'a razem prosta i wyszukana, malarzka — bo plansze jego zdają się być nasiąkłe kolorem, rzeźbiarska — dzięki zupełnej pozytywności kształtu.

*

*

*

Felicyan Rops — to wielki poeta, głęboki i bujny, zmysłowy a mistyczny, a także (kto wie?!) może i morulista wielki, bo ukazał, iż za węglem szalu — *szaleństwo*, na dnie rozkoszy — *boleść*, a po obłądnych uciechach ciała — *przesyt, czczość i żal*.

JAN TOPASS.

55 PSALMODYA POLSKA⁶¹

Wespazyana Kochowskiego.

Jak po chorobie nieraz ciało zdwojonych sił nabiera, zmysły odzyskują dawną lub nawet większą jeszcze sprężystość, a w żyłach tętni krew pragnieniem nowych czynów, tak po najbardziej nieudalym utworze, po „Niespłonionym Krzaku“¹⁾ duch Kochowskiego z zakolebanej równowagi artystycznej twórczości ozdrowiał, a zaostrzony smak estetyczny i spotężniała moc natchnienia w braterskiem współdziałaniu ukuły koronę jego poetyckiej działalności, krystalizując się w najpiękniejszym dziele całego życia.

W roku 1695 ukazał się „Trybut Należny Wdzięczności Wszystkiego Dobrego Dawcy Panu Bogu albo Psalmodya Polska za Dobrodziejstwa Boskie dziękująca. Przez iedną Nayliższą Creaturę r. 1698 napisana, a do druku 1695 podana. W drukarni Jansney Góry Częstochowskiej.“

Pewne poważne okoliczności pozwalają jednak przypuszczać, że „Psalmodya“ nie powstała w jednym roku, lecz przez szereg lat, a dopiero gładząca ręka ostatecznego wykończenia nadała im dzisiejszy kształt formalny. Rok 93 będzie wprawdzie rokiem napisania niektórych psalmów, ale dla innych będzie właśnie datą ostatecznego obrobienia. Tak psalm V, który w pobieżnym szkicu wylicza królów polskich, zatrzymuje się przy abdykacji Jana Kazimierza i biada nad Polską, pogrążoną w grubej żałobie, bo nie zrodziła jeszcze króla;²⁾ znak niepochybny, że powstał w roku 1669. Tak psalm VII zdaje się do tego samego odnosić czasu,

1) *Rubus incombustus*, 1693.

2) Psalm V, str. 11, w. 12 od dołu (Edycya Turowskiego).

ponieważ technie aż nadto atmosferą zbliżoną do rokoshu Lubomirskiego i chwilą, w której poeta ciosał „Kamień świadectwa.“¹⁾ Tak psalm VIII niewątpliwie powstał także w tym roku, bo nie w innym „snopek—herb Wazów—unknął z pola polskiego.“ Tak psalm IX, przez omyłkę druku mówiący o elekeji z roku 1672, z największą pewnością ma na myśli Michała Wiśniowieckiego, skoro powiada: „Radujcie się mężowie polscy, że ze krwi własnej otrzymaliście pana, którzy, obierając cudzozienców, *dotądście sami siebie niegodnymi berła sądzili.*“²⁾ Tak psalm XV, skarżący się boleśnie na inwazyę turecką, pisany jest po stracie Kamieńca, a przed zwycięstwem chocimskim, o którym wśród grobowego nastroju nie wspomina, czyli więc przed listopadem roku 1673. Psalm XXI znówu dziwi się komecie z r. 1680 tak żywo, że trudno przypuścić powstanie psalmu w późniejszym czasie. Cały cykl psalmów, opiewających wyprawę wiedeńską (XXII, XXVI, i XXX—XXXII), prawie się widzi, jak współcześnie rośnie pod świeżym wpływem wypadków. Inne zaś, między poprzednie wplecione, nie mają według wszelkiego prawdopodobieństwa chronologicznego porządku; nie da się przynajmniej wytoczyć żadnego poważniejszego argumentu przeciw mojej hipotezie, mnie zaś w sukurs idą pochopnie różne refleksye. Naprzykład psalm XVI, któryby wypadł według powyższych obliczeń na czas po stracie Kamieńca, a przed zjawieniem się ognistej komety, jest hymnem pochwalnym na cześć N. P. Maryi, a zarazem kwintesencją „Ogródu panieńskiego;“³⁾ czyliż więc nie jest naturalnym wniosek, że współcześnie wypłynął z pod pióra, a więc w latach 1674—76? Oto dalej psalm XX, dziękujący za dobrodziejstwa boskie, jakie poetę spotkały, przedewszystkiem cieszy się z tak długo naprzóżno, a z utęsknieniem oczekiwanego syna, nie płacze zaś jeszcze po żonie. Narodziny syna przypadły w 1674, zgon żony w 1677, lub w 1678 roku; dlaczegoż psalm nie miałby być błyskiem natychmiastowego uniesienia radości po spełnieniu marzeń tembardziej, że tak szczęsnego zdruzenia poeta nigdzie w szatę poezyi nie oblekł? Mielibyśmy nawet przerwę, odpowiadającą abdykacyi,

¹⁾ W obronie Lubomirskiego napisany w r. 1666 wyd. w r. 1668. Patrz Psalm VII, w. 3—9.

²⁾ L. Dziama (Psalmodya Polska. Kraków, 1896. Sprawozd. gimnazjum św. Jacka) chce koniecznie odnieść ten psalm do elekeji Jana III. Żadną miarą! Przed nim był już jeden Piast: Wiśniowiecki.

³⁾ „Ogród Panieński“ 1681.

o jakiej poeta w dodatku do „Dzieła Boskiego“¹⁾ wspomina, to jest porzucenia poezji na szereg lat, może z powodu śmierci pierwszej żony, a z pewnością z powodu gorącego zajęcia się pisaniem historii.²⁾ Ta przerwa przypadłaby między psalm XX a XXII. Wprawdzie wyłom w niej robi psalm XXI o komecie, powstały w 1680 roku, ale współcześnie ożywienie poetycznego ducha³⁾ jest zrozumiałe, skoro w tymże roku Kochowski przygotowywał do druku „Chrystusa“ i „Ogród paniński.“ Powrót do twórczości artystycznej w XXII psalmie z tych samych wypływa pobudek, co w „Dziele Boskiem,“ mianowicie oniemiały posąg Memnona, wschodzące słońce sławy wiedeńskiego zwycięstwa, przesyciło dźwięk rodzącymi promieniami. Końcowe psalmy wreszcie mają smutny nastrój, spowodowany chorobą i przecuciem bliźkiej śmierci poety, zbliżającego się do wielkiego klimakteryku,³⁾ są więc najbliższe daty, uwidocznionej w tytule, czyli roku 1693. Pierwszy tylko psalm, jakby wstęp do całości stanowiący, może jest w ostatnim czasie napisany; ale właśnie ten jego introdukcyjny charakter, przypuszczalnie z rozmysłem nadany, zalecał go do wysunięcia na czoło. Porządku on zatem nie burzy. Rozumiem dobrze, że przytoczone refleksye nie są niezbitymi dowodami;⁴⁾ lecz popierają tylko hipotezę chronologicznego układu, która zbudowana jest na kościecu politycznych psalmów. Hipoteza ta zaś tem jest podobniejsza do prawdy, że jest jedynem rozwiązaniem zagadki, czemu w „Psalmodyi“ zmieszano rozmaite materye, a nie rozgatunkowano ich według podobieństwa treści.

Reasumując powyższe wywody, snujemy wniosek: psalmy powstały między 1669 a 1693 rokiem i w genetycznie chronologicznym porządku weszły w książkę.

Wydanie „Niespłoniętego krzaku“ w r. 1693, tudzież ciężka choroba, wypełzła w kołtun, trapiąca dolegliwie poetę według skarg z XXXIII psalmu—były zapewne przyczyną, dla której dopiero w 1695 roku „Psalmodya“ ukazała się w druku. Dłużej zaś Kochowski zwlekać pewnie nie chciał, gdyż jak miecz Danokleasa wisiała nad nim groźba śmierci w klimakterycznym roku ży-

¹⁾ Dzieło Boskie Wiednia Wybawionego, 1684.

²⁾ Klimakterów.

³⁾ Klimakter: okres 7 lub 9 lat. Wielki klimakteryk $7 \times 9 = 63$ rok.

⁴⁾ W psalmie XIII, któryby wypadł na r. 1671 jest mowa, że autor starcem—według mojej hipotezy miał, pisząc ten psalm, dopiero lat 38. Tę sprzeczność tłómaczę wyglądem późniejszym w 1693 r.

cia, a łatwo pojętą może być chęć oglądania duchowego dziecka, zanimby Parka nie żywota przecięła.

Pierwszą myśl napisania „Psalmodyi“ podało zapewne rozczytywanie się w psalmach Dawida i trenach Jeremiasza—powiada Leszek Dziama, który zadał sobie trud zestawienia miejsc zapożyczonych przez Kochowskiego.¹⁾ Nad każdym psalmem położył poeta jako motto wiersz z Dawida, tylko trzeci zaczyna się cytatem z Jeremiasza. Tymi wierszami w polskiem tłumaczeniu otwierał następnie psalmy, w których osnowę wplatał i inne wyciątki z Dawida, zachowując wiernie pisownię Wujka. Mimo tego jednak i mimo licznych reminiscencyj z pisma świętego, uważać można i trzeba „Psalmodyę“ za dzieło nawskroś oryginalne. Od Kochanowskiego począwszy, suty szereg poetów tłumaczył i przerabiał Dawidowe psalmy, a więc i Grochowski, i Miaskowski, i Gawiński i wielu innych; nikomu natchnienie nie poddało myśli oryginalnego naśladowania w ten wysoce artystyczny sposób. Kochowski, zwłaszcza w psalmach patryotycznych, jakby tylko u królewskiego śpiewaka zaczerpnął nastroju, a w drogę szedł sam. Tak psalmy VIII i X wprost odbiegają od motta, inne, jak XIV i XVIII idą równolegle, ale i samodzielnie. Do hebrajskich mistrzów dołączyło się dwóch polskich kaznodziej, Piotr Skarga i Szymon Starowolski, którego „Lament“²⁾ miał w 1696 roku dać tytuł jednemu z wierszy Kochowskiego. Wziął on od nich częścią ton wyrzutów, czynionych polskiemu społeczeństwu z powodu grzechów publicznych i prywatnych, częścią rozpamiętywanie nieszczęść, Polskę spotykających, i łask, któremi ojczyzna obsypuje swych synów, częścią chęć nawrócenia dyssydentów.³⁾

Kiedy wsłuchując się w majestatyczną muzykę „Psalmodyi“, nie mogę oprzeć się uczuciu głębokiej czci dla duszy, z której, jak z cudownych organów, płyną poważne dźwięki kołyszących sercem melodyj. Widzę, jak ona powoli dąży drogą życia i jak raz w raz gasną w niej ognie ziemskich namiętności. Natomiast inne, dziwnie piękne światło poczyna rość z tlejącego zarzewia, aż przesycawszy ją do cna, wybiega z niej w żywych promieniach

¹⁾ Sprawozd. gimn. św. Jacka w Krakowie 1896, str. 12. Rzecz Dziama jest bardzo słaba. Obliczenia co do genezy nie wytrzymują krytyki. Wartość jedynie ma kwestya wpływów na „Psalmodyę.“

²⁾ „Lament strapionej Ojczyzny.“ Wyciągi Piotrowickie A. E. Koźmiana. Wrocław, 1842, str. 57 i nast.

³⁾ Patrz też Dziama str. 19—21.

i kładzie się błyszczącemi płamami na całym, otaczającym ją świecie. Zamienia się ta dusza zwolna w nieskazitelny kryształ, a wszystkie rzeczy, jakie się w niej odbijają, nabierają najpiękniejszego kolorytu czystej miłości. Kiedyś, za młodych lat poety, wabiły go i czarowały ziemskie ułudy. Teraz pod tężejącym powiewem religijnego uczucia strząsnął z siebie jadłowite żądze, jak pod tchnieniem silnego wiatru drzewo strząsa gąsiennice. Oto czuł, że mieszkanie jego duszy jest próchniejącym statkiem, do którego wielką wagę przykładał, a który niósł go na groźne skały grzechu. Jakby za karę, żre go choroba i odbiera swobodę umysłu. Rośnie w nim więc bez przeszkody pogarda dla wszelkich złud światowych i niczem niewzruszona obojętność dla ziemskich bogactw, a dusza jego zanymka się wewnętrznem życiem pragnień, jak się perłowa zamyka koncha.

„Byłem w kolebce dzieckiem, teraz starością pochylony chodzę; nie widziałem nigdy, aby sprawiedliwego Bóg opuścił, albo złośnik dobrze skończyć miał.“¹⁾ On nie tylko wierzy, ale nawet wie już, że tak jest; doświadczenie długoletniej wędrówki ułożyło się w wiarogodne świadectwo i zabiło resztę niepokoju zwątpienia, jak stwierdzenie winy odbiera życie zbrodniarzowi. Jakoż dusza poety położyła się z pokorą u stóp Boga. Oto On jest początkiem i końcem wszystkiego, jest jedynem szczęściem i niezawodzącą ostoją; człowiek sam sobie złego przyczyni, w stosunkach ludzkich rozstrzygającym pierwiastkiem samolubna korzyść, z grzechu zysku żadnego, ziemia kolece powabem róży osłania. Fala religijnego uczucia wozbrała w niepohamowaną rzekę i zalała wszystko. Do duszy weszła wiara z nadzieją i rozgościła się w niej wielmożnie. Optymizm nie zdołał wprawdzie zupełnie zniszczyć czarnego poglądu na świat, ale pewna pogoda wewnętrzna rozwiązała ręce dobroćliwości. Oczy starca zaczęły się uśmiechać łagodnie do ludzi, witał każdego przebaczeniem najgorszych względem siebie win, a miłosierdzie zamieszkało w jego domu. Nawet na publiczne grzechy nie umiał się gniewać, strofował je tylko, przestępnym tłumacząc wielkość ich przewinień. Ile razy obejrzał się w przeszłość, tylekroć spostrzegał niezliczone łaski, jakimi go Bóg obsypał. „Miejże w nazwisku bogacza Boga: ja go w złotej mierności szukam i tą drogą do Niego przejść usiłuję.“ I tak się też stało. Bóg nie odmawiał mu szczęśliwych chwil i miernego dostatku, a dobre serce poety nie znało miary wdzię-

¹⁾ Psalm XIII.

czności. Ale tymczasem coraz bardziej obracało się ku przyszłości, aż myśl coraz uporczywiej zapatrywała się w grób i pozagrobowe życie. Ufnosć w miłosierdzie Boże obiecywała, że niebo nie zauknie się przed nim; czasem jednak zdejmował go lęk, czy nie grzeszy zbytnią nadzieją i w takich razach z niepokojem oglądał się w przeszłość, aby zrobić rachunek sumienia. Litość nad samym sobą wypędzał precz, z przerażeniem mierzył rozmiar swoich grzechów i z największą pokorą bił się w piersi, błagając o zmiłowanie. Lecz Boża łaska napępiała go wtedy, jak słońce ziemię napępia jasnością i rozpraszała mrok lęku.

Oto są nastroje duszy, w jakich powstała część psalmów. Najsilniej i ostatecznie dźwięczy wśród nich nuta porywającej wdzięczności za hojne dobrodziejstwa niebios. Ale jest jeszcze jeden nastrój, który niemile ma razić: nastrój zabobonu. W bardzo nawet religijnych umysłach ówczesnej Polski zabobon potrafił dla siebie zdobyć bodaj małeńki kącik: i dziś można obserwować podobne zjawisko. Kochowski z pewnością owładnięty był duchem epoki; chcę go jednak obronić przed przesadnymi zarzutami. Przedewszystkiem niema w tem nic zasadniczo okropnego; zabobon bowiem tego rodzaju nie wpływał na osłabienie religijnej wiary, a kto wie nawet, czy jej w prostych nie umacniał sercach. Kochowski czuł, że wyroki Opatrzności są niezbadane i stanowcze wyraził przekonanie, że sztuczki wróżbitów wobec tego pozostają bezsilne.¹⁾ Inna rzecz z wnioskami, wysnutymi z dziejów. Owóż sądził, że życie pojedynczego człowieka i historia ludów upoważniają do przypisania szczególniejszego znaczenia liczbom siedem i dziewięć. Dzisiejsza nawet medycyna nie przeczy zasadniczemu przemianom ciała w siedmioletnich okresach. Daleko idące wnioski, dziś wydają się śmieszne, wówczas były charakterystyczne, wogóle są omyłką. Kochowski uległ pospolitemu błędowi, ale ani szkodliwym, ani fatalnym, ani absolutnie bezrozumnym, ani pogańskim nie był jego zabobon.²⁾

¹⁾ Psalm XXVII, str. 47, w. 11—12.

²⁾ Właściwie nie powinno się nawet tej wiary jego nazywać zabobonem, bo nie polegała ona przecież na idyosynkrazji, pochodzącej z instynktu, ani też na tradycyjnej, a nie popartej doświadczeniem ani rozumowaniem, obawie w złe skutki pewnych cyfr lub znaków. Przeciwnie: była wyrozumowaną, jakkolwiek mylnie; była niby opartą na obserwacji, jakkolwiek pobieżnej; była niby wnioskiem wysnutym z dziejów człowieka i ludzkości, jakkolwiek wnioskiem fantastycznym.

Religijne uczucie zmieszało się w duszy poety tak ściśle z uczuciem patryotycznym, jakby między nimi nastąpiło chemiczne połączenie, a amalgamat ten przepoił drugą część psalmów. Jest w nich upomnienie złych synów ojczyzny,¹⁾ rozpamiętywanie ciosów, jakie biły w Polskę, groźba kar w braku poprawy, ale przedewszystkiem jest znowu porywająca wdzięczność za dobrodziejstwa, któremi Bóg obdarza Polskę i gorące uniesienie miłości połączonej z zachwytem dla ojczyzny.

Pierwiastki tego zachwytu tkwią we wszystkich władzach duszy Kochowskiego, obejmowały go czarującymi splotami i jako poetę, i jako katolika, i jako człowieka, i jako szlachcica.

Oto pod Wiedniem z pobliskich wzgórz lotem pędzi husary, łopocą skrzydła, furkają proporce, Boże! cokolwiek spotkają, rozbijają w puch! W wyobraźni poety lecą niby białe orły.²⁾ Jak nie miłować tych ludzi sercem prostych, wielkich męstwem i te niwy, które im są kolebką! Przecież i Bóg mówi: „Jam jest zwierzchnością nad dziedzictwem mojem, a jako serc ludzkich prostotę, tak i pól sarmackich równiny zdawna ukochałem.“³⁾

„Prawą wiarą powstała Polska; a uszanowanie kościoła uczyniło jej znaczną między narody reputacją.“⁴⁾ Wielkie, potężne, pełne chwalebnej przeszłości państwo! A nie zawahało się oddać swojej korony Jagielle, hyle Litwę nawrócić z błędnej drogi pogaństwa: „Woleliśmy poddać się w obcą rękę, żeby tylko przyczynić poddaństwa Chrystusowi.“⁵⁾ Pierś katolika i Polaka rozpierają szlachetne uczucie dumy i miłości.

Dla człowieka, ceniącego swą godność i dla szlachcica, żaden kraj na świecie nie mógł mieć tego uroku, co Polska. Gdzie taka równość i taka swoboda? Gdzie państwo, któreby nigdy nie wyciągało zaborczej ręki? Króla u nas „nie żywot niewieści, albo marna kolebka na tronie posadzi; ale wola Boga zastępów przez głosy mnogiego rycerstwa panem uczyni.“⁶⁾ Z krwi własnej możemy sobie obrać władcę. W żadnym też innym państwie niema „balsamu wolności,“⁷⁾ jak w Polsce „veto,“ którego zresztą

¹⁾ Spokojnym tonem, jak czasem Skarga.

²⁾ Psalm XXIV i XXXI.

³⁾ „ VII.

⁴⁾ „ V.

⁵⁾ „ V.

⁶⁾ „ IX.

⁷⁾ „ XI.

nie powinno się używać, jeno je mieć nietykalnem zapewnieniem swobody. ¹⁾

Pod szczególną opieką Bożą zostaje Polska. Bóg uczynił sobie z niej „winnicę Chrystusową“ ²⁾, czasem „chociaż poniży, znowu podniesie głowę“ ³⁾ jej i uczyni, „że w szyderstwie zostaną, którzy nad nią przewodzić usiłują.“ Oto właśnie posłał Jana III, aby „nademdloną dźwignął“ ⁴⁾. A potem „uprzedził go natchnieniem, aby upadłe dźwigał chrześcijaństwo“ ⁵⁾, więc w zdrowiu jego zdrowie całej Europy spoczęło ⁶⁾ i Polska stać się miała Dawidem narodów ⁷⁾. Jakoż stała się istotnie i Bóg dał świadectwo jasne, że uważa ją za naród wybrany.

Te są pierwiastkami miłości Kochowskiego i wysokiej czci dla ojczyzny. Wierzy on w specjalną misję Jana III, wierzy, że Polacy są narodem wybranym. Czy zadał sobie pytanie, na co? Jakie ich posłannictwo? Czy dał jasną odpowiedź? Właściwie nie. Według Kochowskiego Bóg otoczył Polskę szczególną opieką przede wszystkim *nie w jakimś celu, ale z pewnego powodu*, za pilnie przechowaną wierność, za gorliwą służbę. Następnie zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że przywilej łaski Bożej obowiązuje do dalszej służby i do gromienia wrogów kościoła. Ale choć wierzył w posłannictwo, choć Polskę Dawidem narodów gotów był nazwać, choć podawał *przyczyny* wyboru, nie podał *celu*; stąd w rozwoju idei mesyanicznej jest korzeniem i pędem, nie jest kwiatem.

Psalmi podzielić można na trzy części ⁸⁾. Jedne są ściśle osobiste, drugie patryotyczno-polityczne; wśród mieści się trzecia grupa o podkładzie ogólnoludzkim.

Do grupy osobistej należą psalmy: IV, XVII, XX, XXVIII, XXXIII, XXXIV, XXXV. Na pograniczu między tą a ogólnoludzką grupą stoją psalmy II, III i XII, które wprawdzie także powstały pod wpływem osobistych refleksyj, ale mogą być i do innych ludzi zastosowane, jako błagalna lub korna modlitwa.

¹⁾ Psalm XI.

²⁾ Psalm XXXVI.

³⁾ Psalm XIV.

⁴⁾ Psalm XXVII.

⁵⁾ Psalm XXII.

⁶⁾ Psalm XXXV.

⁷⁾ Psalm XXII.

⁸⁾ Psalmów jest 36; tyle, ile liryk w każdej księdze „Niepróżnującego próżnowania.“

Do grupy ogólnoludzkiej należą psalmy: I, XIII, XVI, XVIII, XIX, a dalej VI, X i XXI, które jednak już z myślą o Polsce są pisane. Przejściem do następnej grupy jest psalm XXIX, drugą swoją częścią wręcz do niej należący.

Do grupy patryotyczno-politycznej należą psalmy: VII, XI, XXVII (z przewagą pierwiastku politycznego) i V, VIII, IX, XIV, XV, XXII, XXIII, XXIV, XXV, XXVI, XXX, XXXI, XXXII, XXXVI (z przewagą pierwiastku patryotycznego).

Charakter psalmów jest rozmaity. Psalmi osobiste są albo dziękczynne (IV, XX, XXVIII), albo korne (III, XII, XXXIII, XXXIV), albo błagalne (II, XVII), albo modlitwne (XXXV). Psalmi ogólnoludzkie mają odmienny ton. Są dwa pochwalne (I, XVI), jest jeden z zabarwieniem polemicznym (VI), inny z odcieniem błagalnym (X), ale i te dwa ostatnie i wszystkie inne (XIII, XVIII, XIX, XXI, XXIX) przedewszystkiem mają oczywiście ton refleksyjno-moralny. Psalmi patryotyczne dzielą się na dziękczynne (V, IX, XXVI), tryumfalne (XXXI, XXXII), błagalne (VIII, XV, XXII, XXIII) i modlitwne (XIV, XXIV, XXV, XXX, XXXVI); polityczne zaś są znowu refleksyjno-moralne (VII, XI, XXVII).

Rzadko jednak zdarzy się psalm, w którymby utrzymany był ten sam charakter od początku do końca. Większość wygląda jak kolorowy marmur, przerźnięty grubą żyłą jednofarbną, albo jak chryzolit z ośrodkiem jednolitą dominującym barwą, obok której wiją się inne załamanyimi kregami.

W dziękczynnych psalmach osobistych poznajemy skromność pragnień poety, co chętnie poprzestaje na małym umie. Bóg dał mu „mierny strumyczek do napoju“ spłacheć ojczyznej ziemi, a nie pozwolił, by był kłutwą albo sądową kondemnatą obłożon (IV). Więc skoro mu na niczem nie schodzi, skoro pociechę z syna mieć może (XX) i skoro odebranie pierwszej żony cnotą i dobrocią drugiej zostało nagrodzone (XXVIII)—niemasz kresu uniesieniom wdzięcznego serca.

Ale wśród kwiatów szczęścia czołga się wąż smutku. Kiedy zawiodły płochy ziemskie pragnienia, to zarazem w nagiej szpetocie stanęła przed oczyma jego sumienia długa wstęga grzechów. Więc w kornem rozmodleniu zaczyna wyznanie win, świadectwo własnej nicości daje (III) i w publicznej spowiedzi oświadcza, że zaparcie się Boga pociągnęło, jak pierwsze ogniwo, łańcuch następnych czynów (XII). Nie czas kryć się z pochopnością do złego i próżnością w młodych latach: „Bo gdy rozmyślał przeszłe dni młodości mojej, przypominam, że tam włosów piększenie nie

mogło być bez obrazy Bożej i zgorzenia bliźniego. Za to teraz zrosły się w kupę, jako strąki bobu rozkwitłego.“ Choroby zwały się nań, ale to zasłużona kara za grzechy (XXXIII); oby tylko te doczesne utrapienia zwały się szalę przewinień i oby w przyszedłym życiu zbawienia zaświtało słońce (XXXIV).

Już raz gorliwie błagał o pomoc w powstaniu z grzechów (II), ale wówczas śmierć była daleko. Kiedy zaś teraz wartkimi przybliżyła się krokami, kiedy choroba wysssała siły ciała, a równocześnie w duszy sumienie chmurą wyrzutów burzę niepokojów wzniciło, kiedy nietylko ludzie w ogóle, lecz nawet rodzina i krewni okazali się samolubami, poczuł, jak zobojętnienie dla rozkoszy świata powleka ciemnym kirem wszystko dokoła, a światłem jaśniej wyłącznie Bóg; więc cały przemienił się w błagalną modlitwę o zgon, jaki pobożni ludzie miewają (XVII). A gdy zdawało mu się, że Parka ujęła już nożycami nić jego żywota, wówczas napisał „Testament katolicki“ w pełnem nadziei oczekiwaniu chwili, w której przyjdzie owa światłość i ogarnąwszy duszę jego, na łono wieczności przeniesie (XXXV).

Ten piękny psalm zamyka pierwszą grupę osobistą. Drugą rozpoczyna „Wyznanie niepojętej wszechmocności Boskiej“ (I). Trąca on strunę pochwalnego hymnu: „Zaprawdę, wielceś mądry i mądrze wielki.“ I kiedy potęgę Bożą śpiewa, wtóruje na cześć Bożej Matki napisanym psalmem (XVI), który sam więcej wart, niż cały „Ogród panieński.“

Lecz są ludzie, co nie wierzą tak, jak on, i na potępienie się skazują; ku dyssydentom tedy twarz obraca (VI). „Klasztorny zbieg“ (Luter) i „Niezdrowy warchoł“ (Kalwin) ciągnął ich w przepaść piekła, więc i przekonywa i perswaduje, żeby do prawdy prawego kościoła się nawrócili.

Tymczasem jednak i inne zło pociąga jego moralizatorskie pióro, a przedewszystkiem serce, któreby cnotę wokół widzieć chciało. Przekupstwo sędziów, wykrety prawne gromi w X i XVIII psalmie. Bez sprawiedliwości runie Rzeczpospolita, toteż o mądrość dla sądzących, o bezwzględność w sądzeniu, o słusność w udzielaniu nagród błaga Boga z całej siły (doskonały psalm X). Zarazem „krótkie szczęście złych a pewną zgubę i zatraconie opowiada“ i kare i napomina, że krótką trwałość doczesnych dóbr płaci się wieczną niedolą, a cnota, poniewierana i biedna, właśnie po nagrodę do niebios podaży (XIII). Ubogim i utrapionym miłosierdzie trzeba okazywać, co się zaś im ofiaruje, to Bóg w dwójnasób wróci, jeszcze łaskę i opiekę swą doda. „Widziałem w stoku wody strumień i pomyśliłem, że to jest podobieństwo jałmużny,

którą kto daje potrzebnemu; ona też wzajem czyni, żeby nie był dający potrzebnym. A jak nie wiem, skąd w źródle wody dostaje; tak się i dziwuję, że ze źródła wszyscy czerpią, a strumień z niego niezmnieszony płynie“ (XIX).

Potem zastanawia się poeta nad ostrzegawczymi znakami, jakie Bóg zsyła, zanim ukarze (XXI). Lecz nad wszystkie znaki wznosi się sumienie, nieusłowny stróż wewnętrzny, który ozwie się zawsze, ilekroć dusza w grzech popadnie. Kochowski nad grobem ¹⁾ stojąc, nie obawia się nikogo, prócz Boga i wysłuchawszy tajnego głosu prywatnego i publicznego sumienia, bez osłonek liczy występki i winy. Bogacze unieśli się pychą złota, kobiety pychą piękności, kapłani nie pełnią należycie obowiązków.

„Rada i Senat, cymbał głośny i śpiża brzęcząca, kształtują wota, żeby ich słyszano; mówią, żeby swoje przewieść; kontrowertują, żeby co wytargować.

„Rycerstwo znikczemiało, męża walecznego nie pytaj; a żołnierz, pod dachem siedząc, jakby nie słyszał płaczu w niewolę zabranego pospólstwa.

„Masz Boga w sercu, kto sfałszował monetę? kto podatki nienależycie zabiera? i tą krwią z ubogich wyciśnioną, siebie i dom swój bogaci.

„Po miastach luszytk ustawiczny i stroje zbyteczne, a pospólstwo drań aż do czopa, żeby były zbyt kom nakłady“ (XXIX).

Tak piękny psalm przewodzi nas do trzeciej grupy, patryotycznej.

Idą najpierw trzy o politycznym podkładzie. Jeden z nich, bardzo dobry, wykazuje niemoc zagranicznych panujących, którzy chcą Polskę i wolność Polaków zgubić w czasie elekcji (VII). Drugi „Na mieszania i rozrywania sejmów“ potężnie karci prywatną (XI). Trzeci ostrzega, że jeśli Polacy się nie poprawią, czeka ich nieszczęście w klimakterycznym 1700 roku. Zatracono obyczaj przodków, „a co przedtem mówiono, że więcej skrzypek na smyczek, prządka na wrzeciono, niż husarz na kopią weźmie; to teraz słuszniej rzec, że więcej mający za pieniądze kupi, niż odważny żołnierz krew lejący wysłuży.“ Biada, gdyby tak dalej zostało! (XXVII).

Dziękczynnie rozpoczyna psalm V, który tonem skargi, stylem, z daleka Krusińskiego przypominającym, przechodzi chwałę pełną historię Polski. Potem poeta dziękuje za to, że ojczyzna

1) Według własnego przekonania.

może królów z własnej krwi obierać i że Bóg ich naznacza (IX), potem w tryumfalne uderza dzwony za zwycięstwo wiedeńskie (XXVI) ¹⁾, potem „Potrzebę parkańską z Turkami przypomina“ (XXXI) i znowu „Wyjście wojsk polskich z Węgier“ tryumfalnym opiewa hymnem (XXXII) ¹⁾. Czasem ręce składa do gorącej modlitwy. Śliczna jest „Prośba o dobrego pana podczas interregnum“ (VIII). To znów jego „cytra obraca się w smutek, napój w truciznę“ i wylicza nieszczęścia, jakie waliły się na Polskę (XIV), albo słucha „Lamentu kościoła Bożego na inwazyę turecką“ (XV). Oba te psalmy są bardzo piękne. Dwoma modlitwami towarzyszy wyjeżdżającemu Janowi III pod Wiedeń (XXII i XXIII), w formę modlitwy też ujmuje opis bitwy (XXV) i powitanie cesarza z królem (XXX).

Wreszcie prześlicznie zamyka psalmodyę „Wyznaniem opieki Boskiej nad koroną polską“ (XXXVI).

Zanim Kochowski napisał psalmy, odbył długą drogę przez pole religijnej twórczości. Oprócz licznych liryków cztery ²⁾ utwory większych rozmiarów dostatecznie o tem świadczą. Ale nigdy nie uchwycił właściwego tonu, zawsze rozbijał się nieszczęśliwie o formę, którą wprawdzie na pozór zręcznie pokonywał, w istocie jednak obrabiał z mozołem. Niezaprzeczoną miał łatwość techniczną, z dziwnym jednak brakiem przezorności utrudniał sobie nad siły zadanie przez chorobliwą systematyczność. Zarazem próbował domięszać pierwiastek epicki, na którego właściwe rozprowadzenie brakowało mu talentu. Skrepowany wystruganemi z góry ramkami, miarą zdolności, nie pozwalających na epickie przedsięwzięcia i formą wiersza, dobieraną mało szczęśliwie, dopiero w „Psalmodyi“ rozpętał się całkowicie i uchwyciwszy po długim zarzuceniu poezyi właściwy ton dla religijnego natchnienia i właściwą formę, wzniósł się na niedotkniętą polską stopą wyżyny. Nie znaczy to wcale, jakoby przerósł wszystkich poetów, jacy go poprzedzali. Ale jest to stwierdzeniem faktu, że podążył w kierunku dotąd przez nikogo nie obranym i że w tym kierunku doszedł bardzo daleko. Przykładowo, podobnego „Psalmodyi“, nie potrafiłaby wykazać nawet cała literatura europejska do końca XVII wieku ³⁾.

W psalmach położyły się obok siebie, jak się barwy tęczy kładą, najbardziej narodowe pierwiastki poezyi polskiej. Głęboką

¹⁾ Wspaniale.

²⁾ Różaniec. Chrystus cierpiący. Ogród panieński. Rubus.

³⁾ Nehring: Studya literackie. „W. Kochowski.“ Poznań, 1884.

religijność, patryotyzm moralizujący i dumny, rycerskość i zamiłowanie do polityki, kaznodziejstwo nawet nie u księży, dydaktyzm z dobrem powszechnem na oku, wreszcie lekki wiew mistycyzmu — znalazły dobitny w nich wyraz. Kochowski jest następcą Skargi, ale w pierwszym rzędzie jest poprzednikiem mesyanicznego ruchu, zaczętego przez Brodzińskiego i Mickiewicza. Nie spoglądał w daleką przyszłość, bo zbyt przeszłością a przedewszystkiem współczesnością był zajęty. Lecz dobitnie wypowiedział trzy prawdy, że *Polska jest narodem wybranym, że Bóg ją za przeszłość specjalną opieką otacza i że w walce z Turkami jest ona Dawidem narodów.*

Forma psalmów może nie być uważana za wyjątkowe arcydzieło; musi być jednak uznana za twór rzetelnej piękności. Wielka prostota chwyta się sere czytelników i ujmuje je miłymi splotami. A przecież forma jest bajecznie kwiecista! Kochowski w poetycznej wyobraźni każdą myśl widział rozciągniętą w obraz, w jego duszy każde uczucie przedmiot swój malowało farbami. Ton archaiczny, ton świątyni gotyckich zdaje się zmuszać do przypuszczenia, że psalmami, zanim je napisał, modlił się Kochowski w krakowskich kościołach. Pojęcia zamieniały się w żywe istoty i otaczały go głośnym chórem: stąd Psalmodya zaroła się od personifikacyi. Podniosłość nastroju musiała być niepospolicie wysoka, skoro wtłoczone w jego naturę wyobrażenia szkolne o potrzebie klasycznych domieszek, jeśli poezya ma być rzetelna, i rozkapryszone zamiłowanie do makaronu w prozie — jakby nie istniały wcale. Psalmi nie zostały zmałowane żadną niestosownością, żadnym cudacznym pomysłem. Słowa obcego pochodzenia są akurat w takiej ilości, że czytelnika przyzwyczajonego, chociaż trochę, do języka XVII wieku, nie razią zupełnie; bez nich nie da się przecież pomyśleć współczesnego utworu.

W niektórych zwrotach, w porównaniach zwłaszcza, jest barok, ale najlepszego gatunku. Linia analogii wydłuża się i skręca w misterne gzygzaki, które posiadają wiele uroku, choćby się wołało prostotę odrodzenia. Na „Psalmodyi“ w sposób łatwo zrozumiały odbił się wpływ poezji biblijnej, a więc specjalny rodzaj wschodniego baroku. „Zwydrzałbym był bowiem większemi dostatkami obłożony i jako szkapą zbytnim wytuczony obrokiem, wierzgałbym przeciw Zakonowi“ ¹⁾. Jeszcze drastyczniejszy przykład jest w psalmie XXV: „Pogrom zwierzę trzcinne i rozpeczę zgromadzenie byków między krowami; a parchowaty kozieł, roz-

¹⁾ Psalm IV.

czosnąwszy kopyto, niechaj nam dalej pozorem straszny nie będzie.“ Dobitność i plastyczność porównań jest w ogóle niezrównana. „Ciało wala się w błocie nieprawości, jako wieprz tyjąc młótem rozkoszy“¹⁾. Rozkosz odbiega „żal i ból na umyśle, jako osa żądło zostawując“²⁾. Dzięki ochrzczeniu Litwinów mamy z „przeciwników przyjaciół, jako latorośl w pniak wolności przez wiarę wszczepiona“³⁾. Ponieważ na Polskę runęli postromni, „kurczymy się jak skóra od ognia, albo krew zbiegająca się ku sercu.“

Gra słów tak przedtem fatalnie ulubiona, teraz „quantum mutata ab illa!“ „Miejże w nazwisku bogaczu Boga...“ — jakże doskonale użyta! Metafory, w „Ogrodzie“ rozpuszczane, jak cukier w wodzie, tu są co krok piękniejsze. Psalmi wyglądają jak kwiecista łąka. Moznaby się spierać, czy mała różnolitość zdań nie osłabia uroku, ale jest ona niemal jedynym chwastem. Rozumowanie i dowodzenie także bywa słabsze; poeta zsuwa w rząd raczej pewniki, ażeby zadziwiły i porywały ogromem i potęgą prawdy. Obrazy w opisach nie zahaczają się wzajem o siebie w długie pasmo, lecz wyglądają, jak klucz rozciągniętych żórawi, płynących odosobnionemi plamami po niebie. Modlitewny bieg myśli, widzeń i uczuć, modlitewne nastroje i modlitewne tony stały się kanwą, na której artystyczna ręka poety wyszyła „Psalmodyę polską.“

D-R STANISŁAW TUROWSKI.

¹⁾ Psalm II.

²⁾ Psalm III.

³⁾ Psalm V.

JAN GADOMSKI.

Kula mordercza przecięła pasmo dni człowieka, który stał na jednej z wybitniejszych placówek naszego życia publicznego i zarówno talentem znacznym, jak i pracą wyjeżoną, służył krajowi i współziomkom wiernie, oddanie, z pożytkiem.

Zginął ś. p. Jan Gadomski, redaktor *Gazety Polskiej*.

Urodzony w r. 1859 w Warszawie, z ojca Jakóba i matki Barbary ze Zbierzechowskich, Jan Gadomski kształcił się początkowo w Siedlcach, a następnie w Warszawie, gdzie ukończył gimnazjum realne. Studya wyższe odbywał w Petersburgu i w Krakowie, gdzie na wydziale filozoficznym otrzymał poważne przygotowanie w zakresie nauk literacko-historycznych, prawnych i społecznych. Wykształcenie to uzupełnił jeszcze podróżami po Francji, Niemczech i Austrii.

Wrodzony temperament pchnął go wczesnie na niwę pracy publicystycznej. Już w r. 1880, a więc jeszcze jako słuchacz uniwersytetu, zaczął Gadomski drukować pierwsze swoje artykuły w krakowskiej *Reformie*, na której czele stał podówczas Tu-deusz Romanowicz. Szczerze demokratyczny i głęboko patryotyczny kierunek tego pisma, który, obok Romanowicza, reprezentowali Adam Asnyk i Mieczysław Pawlikowski, znalazł w Gadomskim gorącego i śmiałego rzecznika. Tam, w otoczeniu ludzi światłych i zdających sobie sprawę z powagi i znaczenia, jakie posiada słowo drukowane, umocnił młody publicysta swoje przekonania i nabrał wiary w budzący się talent własny.

Talent ten w niedługim czasie miał też zabłysnąć nietylko w dziennikarstwie, ale i w literaturze pięknej.

W kilka lat po powrocie do Warszawy, w r. 1886 nazwisko Gadomskiego stało się głośne. Było to po konkursie dramatycznym im. Wojciecha Bogusławskiego.

Z konkursu tego wyszedł *Larik* — utwór niewątpliwego talentu i szczerego natchnienia poetyckiego. Pisany podniosłą, pełną ognia, piękną i porywającą prozą, *Larik* pod osłoną allegoryi historycznej, osnutej na tle walki starożytnych Celtów z Rzymianami, niósł społeczeństwu polskiemu hasła, które szeroko oddźwiękiły w narodzie, szukającym wskazań na ciężką i trudną chwilę dziejową. Poznano odrazu Rzymian i poznano Celtów, a popularność *Larika* była tak duża, że kiedy pomysłowy księgarz ówczesny, ś. p. Teodor Paprocki, rzucił w świat tanie 10-cio groszowe wydanie poematu, cenzura uznała za stosowne i potrzebne zabronić nadal książkowych wydań tego dzieła i nie dopuściła go na scenę.

I nie mogło być inaczej. Słowa *Larika*, pełne miłości dla ziemi ojczyściej, przepojone uwielbieniem wolności, krzepiące nadzieją, smagające bezsilny smutek i zwątpienie — nie mogły brzmieć ze sceny polskiej w okresie największego jej ucisku.

„Święty kawałku wolnej ziemi! — wołał *Larik*. Na twoich polach rozwiązane usta do mowy, która z serca płynie. Na twoich polach rozwiązana wola do czynów dobrych, których pragnie dusza. Na twoich polach człowiek tak się czuje, jak ptak w powietrzu, jak ryba w wodzie, jak dzika koza na górskiej wyżynie, jak wszelka czuła istota w żywiole, który przez wolę bogów był jej dany, aby jej słabość wspierał...“

A tymczasem na polach tej ziemi, której poeta niósł przez słowa swego bohatera otuchę — usta były zakneblowane, to, co kryło się w sercu, musiało być ukryte głęboko, wola do dobrych czynów była związana i więzy te były tak mocne, że rychło siłę ich poczuł na sobie pisarz, zrywający się do szerszego i swobodnego lotu.

Umilkł.

Oczekiwano po nim nowych dzieł, nowych objawień natchnienia twórczego, które, zdawało się, że Gadomski posiada w stopniu, wiele wróżącym. Być może, że je posiadał, ale nie umiał i nie chciał tamować ich bezpośredniości, nie godził się na dobrowolne zniesienie lotu, na zamknięcie duszy w klatkę — więc milczał.

Staął natomiast do pracy znużonej, nieopłatnej, codziennej, jako publicysta, w tem przekonaniu, że idąc za tym pługiem i obsiewając rolę zdrowem ziarnem, będzie miał mniej rozgłosu i sławy, ale więcej świadomości spełnionego obowiązku.

Zaciągnawszy się w poczet współpracowników *Gazety Polskiej*, najpoważniejszego dziennika politycznego w ostatniem ćwierćwieczu, pracował Gadomski w tem piśmie za redakcyi Lea i Dyoniziego Henkiela, pisując przez szereg lat przeglądy polityczne i artykuły krytyczne. Dziennikarstwo pochłonęło go zupełnie.

Nazwisko jego znikło z horyzontu literackiego. Szerszy ogół dowiedział się o Gadomskim ponownie dopiero wówczas, kiedy w r. 1898, po zamknięciu *Gazety Polskiej* przez władze administracyjne i po rozwiązaniu poprzedniej redakcyi, stanął on na czele odnowionego pisma, jako jego wydawca i redaktor.

Tu zaznaczył swoją ruchliwość, przedsiębiorczość i pomysłowość zarówno w kierunku wydawniczym, jak i wewnątrz-organizacyjnym.

Bezpłatne dodatki książkowe zjednały mu w szybkim czasie znaczną ilość czytelników, a dbałość o utrzymanie *Gazety* nie tylko na dawnym jej poziomie literackim i publicystycznym z czasów Henkiela, Sienkiewicza, Bogusławskiego, Krajewskiego i innych, ale także o rozszerzenie jej wpływów i zainteresowanie ogółu podnoszonemi przez nią kwestyami w postaci zgrabnie przedsiębranych ankiet, że wspomniemy konkurs cnoty i bojkot towarów niemieckich — postawiły go w rzędzie najlepszych współczesnych redaktorów polskich.

W tym czasie nakładem redakcyi *Gazety Polskiej* wyszło też kilka dzieł istotnie cennych, świadczących o tem, że Gadomski nie tylko był pomysłowym przedsiębiorcą, ale dbał również i o korzyść umysłową swoich rodaków.

Należy tu przedewszystkiem *jedyna*, obszerna, po polsku wydana *Historja Sztuki* Springera w wybornym przekładzie Kazimierza Broniewskiego, a dalej *Historja wieku XIX-go* i *Opis ziem, zamieszkałych przez Polaków*.

Działalność Gadomskiego w całym tym okresie z konieczności musiała być ściśle zastosowana do warunków. Ucisk polityczny kępował życie kraju na całym jego obszarze, a przedewszystkiem kępował to, co dotyczyło piśmiennictwa. Klęszcze cenzury zaciskały się coraz mocniej, a w walce o myśl wolną wyczerpywały się siły nawet najwytrwalszych bojowników. Dopiero dwa lata ostatnie przyniosły pewne zmiany. Powiał wiatr inny. Osłabiona przez wojnę japońską i zdyskredytowana przez biurokratyczne rządy budowa państwa rosyjskiego zaczęła trzeszczeć i pękać, a przez utworzone w niej szczeliny przedarły się pierwsze promienie słońca lepszej nadziei.

Padły one i na ziemię Polską, wobec czego życie przytłumione i zmartwiałe zaczęło się powoli budzić. Atmosfera stawała się lżejszą, płuca zaczynały nabierać powietrza...

W tej atmosferze można już było mówić „mową, która z serca płynie,“ tą mową, którą tak pragnął przemawiać autor Larika.

I wtedy to Gadomski stanął po raz drugi przed swoim społeczeństwem i stanął takim, jakim był istotnie — mądrym, utalentowanym, miłującym kraj pisarzem i obywatelem.

Udział jego w komisji senatora Kobeki, referat wygłoszony na posiedzeniu tej komisji w sprawie wolności prasy polskiej, gorące przemówienia, jakie wygłosił w obronie słusznych i niezaprzeczonych żądań narodu — zwróciły na niego oczy wszystkich i od tej pory rosło zainteresowanie się tem, co mówi i pisze redaktor *Gazety polskiej*.

W całym blasku zajaśniał jednak talent Gadomskiego dopiero wówczas, kiedy po dniu 30 października roku zeszłego, dreszcz wstrząsający przebiegł Polskę, a prasa pozyskała istotną możność otwartego przemówienia.

Wówczas to na łamach *Gazety Polskiej* ukazał się znamienny artykuł Gadomskiego, rozpoczynający się od słów „Pękły żelazne okowy.“

Artykuł ten był początkiem całego szeregu innych, które odtąd zjawiały się niemal codziennie i coraz lepiej odsłaniały oblicze Gadomskiego, jako publicysty.

Był to czujny, ostrożny, przewidujący szermierz idei narodowej.

Stanowisko jego było narodowe i demokratyczne, ale niezależne od stronnictwa, które te dwa hasła ma wypisane na swoim sztandarze. Bezpartyjność pozwalała mu krytycznie patrzeć na wszystko, co przynosiła z sobą chwila tak brzemienna w wypadki, busolą zaś wśród zrywającej się burzy były dla niego interesy ogólnonarodowe, interesy kulturalne Polski, w której odrodzenie wierzył i którą pragnął dźwignąć nie drogą konwulsyj rewolucyjnych, ale drogą rozwoju pokojowego i wyczerpanej pracy pokolenia, na wyższy, należny jej, szczebel rozwoju ekonomicznego, społecznego i narodowego.

Stąd wynikało jego żywe starcie się ze stronnictwami lewicy i stąd pochodzi, że w obozach skrajnych zarzucano mu niejednokrotnie wsteczność i obskurantyzm.

Gadomski rzucając sobie rękawicę przyjął i wystąpił w szranki w pełnym uzbrojeniu. I nagle pióro jego błysnęło jak najostrzejszy floret, a poważny i rozważny głos jego zabrzmiał donośnie.

Uczciwy, posiadający siłę przekonania, odwagę cywilną, talent i wprost niezwykle zdolności dyalektyczne, jako polemistą, zajął Gadomski w publicystyce polskiej ostatniej doby miejsce pierwszorzędne. Argumentacja jego była zawsze tak zgrabna, logika tak niewzruszona, krytycyzm tak głęboki, że w obozach przeciwnych nie umiano odeprzeć jego ataków tą samą bronią. Miotano się więc i rzucano z pianą na ustach na pisarza, który nigdy nie wyszedł z równowagi i nigdy nie dał się unieść namiętności. Forma, jakiej używał Gadomski w polemikach, była zawsze formą człowieka kulturalnego, umiejącego nawet w gniewie i słusznem oburzeniu zachować miarę i takt. Obalał on przeciwnika nie erudycją w zakresie nauk społecznych i politycznych, nie bronią, dobytą z arsenału teorii i doktryn, ale „zdrowym rozumem,“ trzeźwością poglądów, jasnym formułowaniem myśli i żelazną konsekwencją słów, które umiał liczyć i ważyć, choć ich nie dobierał, choć nie starał się o ich szczególny dźwięk i błyskotliwość.

Przeciwnik wszelkich „odruchów“ w życiu i w polityce, Gadomski pierwszy zwrócił uwagę na niebezpieczny kierunek, jaki przybrała po manifestie 30 października agitacja stronnictw skrajnych i wskazywał na zbytnią pochopność, z jaką na lep tej agitacji szły nie tylko masy ludu roboczego, ale i pewne odłamy inteligencji polskiej. Ostrzegał przed anarchią, a stając gorąco w obronie istotnej wolności, przeprowadził odrazu ścisłą linię demarkacyjną pomiędzy rewolucją, zawierającą w sobie pierwiastki twórcze, a niszczącą i dezorganizującą życie anarchią. Strejki ekonomiczne, a zwłaszcza polityczne, rujnujące przemysł krajowy, a nie zapewniające ludowi żadnych zdobyczy pozytywnych, miały w nim surowego sędziego i przeciwnika wówczas, kiedy opinia większości, bałamucona wypadkami chwili, godziła się na taką metodę walki.

Widząc następnie nędzę robotnika, terror partyjny, walki bratobójcze, pierwsze próby „wywłaszczania,“ pierwsze napady na kasy rządowe i oceniając trafnie z jednej strony atmosferę okresu przełomowego i istotną dążność partji wywrotowych, z drugiej zaś — psychikę ciemnego tłumu wyrostków, zaciągniętych pod sztandar rewolucyjnych organizacyj bojowych — postawił odrazu trafną dyagnozę choroby społecznej, która ogarnęła obecnie kraj cały i taką ciężką, krwawą chmurą zawisła nad nim.

I jeżeli w ostatnich czasach proces otrzeźwienia zaczął wśród wielu odłamów naszego apolitycznego społeczeństwa szybko postępować naprzód, to jest w tem niewątpliwie znaczna zasługa

Gadomskiego, który pierwszy do tego otrzeźwienia nawoływał, bił w dzwon alarmowy i starał się zwalczać rozkład, przeciwstawiając mu pracę czynną i wyteżoną, której sam był zwolennikiem.

W ostateczny tryumf tej pracy wierzył on równie mocno, jak wierzył w lepszą przyszłość Polski, w lepszą przyszłość swojego narodu, w którego siły ufał bezwzględnie.

Nieprzyjaciel osłabiającego duszę zwątpienia, szukający oparcia dla swojej nadziei nawet w najdrobniejszych, dodatnich faktach życia codziennego, był Gadomski, jako publicysta, siewcą zdrowych, krzepiących idei, które nie odrywając się zbyt wysoko od ziemi, wskazywały ludziom ich powszednie, ale ważne i niezbędne do wypełnienia obowiązki.

Zszedł z pola przedwcześnie i z wielką szkodą dla społeczeństwa, w chwili bowiem tak ważnej, jak obecna, był nie tylko pożytecznym, ale niezbędnym. Przytem talent jego publicystyczny w nowych warunkach zaczął się rozwijać tak szybko i tak obiecująco, że jako *pisarz polityczny*, Gadomski w przyszłości byłby stanął niewątpliwie w szeregu najzasłużeńszych, posiadał bowiem wszystkie do tego warunki.

Z. D.

ROZMAITOŚCI.

Zjazd niemieckich socjalistów w Mannheim.

(Socialdemokratischer Parteitag).

Pomimo głośnych zapowiedzi organów socjalistycznych, że tegoroczny zjazd w Mannheim da nowe świadectwo siły stronnictwa i wywrze wpływ na wewnętrzną i zewnętrzną politykę państw europejskich — Zjazd ten w rzeczywistości wykazał istniejący już w niemieckim obozie socjalistycznym rozłam i, jak wyrażają się niektóre organy prasy, „okrył się śmiesznością,“ chcąc pogodzić powstałe w łonie stronnictwa, zasadnicze różnice poglądów na cele i taktykę partii, oraz usiłując wynaleźć dla swych postanowień sztuczne formułki, któreby wszystkich zadowolniły.

Aby zrozumieć należycie przebieg i znaczenie interesujących pod wielu względami obrad Mannheimskich, trzeba uprzytomnić sobie skład niemieckiej partii socjalistycznej, a także wypadki ostatniego roku.

Obóz socjalistyczny w Niemczech składa się z dwóch grup oddzielnych: organizacyi robotniczej (syndykaty „Gewerkschaften“), której zadaniem jest walka ekonomiczna o polepszenie warunków bytu robotnika i organizacyi partyjnej, t. j. zarządu partii dla prowadzenia walki politycznej, wyborczej i parlamentarnej; w skład pierwszej organizacyi wchodzi robotnicy, w skład drugiej — ludzie swobodnych profesyj, inteligenci, dotychczasowi przywódcy ruchu socjalistycznego; pierwsi są ludźmi praktyki, dążącymi do celów najbliższych, utylitarnych; drudzy — więcej teoretykami doktryny, sięgającymi myślą i czynem w dalszą przyszłość. Długi czas obie organizacye działały zupełnie zgodnie, t. j. syndykaty robotnicze szły ślepo za komendą zarządu, czyli sztabu partii; w miarę je-

dnak rozwoju syndykatów, zaczęły występować na jaw różnice interesów obydwóch grup i syndykaty, które stanowią teraz, li-
czebnie i materalnie, rzeczywistą siłę partyi, zażądały, aby cała
taktyka partyi odpowiadała ich interesom ¹⁾. Różnice szczególnie
uwidatniły się w ciągu roku przeszłego i przyjęły nawet ostrą
formę, wskutek niedyskrecyi, popełnionej przez gazety: „Einig-
keit“ — organ anarcho-socyalistów i „Vorwaerts“ — organ socyal-
demokracji, które ogłosiły drukiem pewne dokumenty partyjne
charakteru konfidencyonalnego.

Rozumiejąc dobrze, że oddzielenie się syndykatów robotni-
czych byłoby politycznem samobójstwem partyi, zjazd Mannheim-
ski dokładał wszelkich starań, aby złagodzić powstałe niesnaski,
dając żądaniom syndykatów możliwe zadośćuczynienie i wynajdy-
wał dla swych postanowień takie formułki, w których mogłyby
się pomieścić sprzeczne z sobą rezolucye syndykatów robotni-
czych i organizacyi partyjnej. W rezultacie pojednanie nastąpiło,
pozornie zapanowała zgoda, ale czy na długo — przyszłość poka-
że, bo jak mówią Niemcy: „Verständigung und Zusammenbleiben
sind nicht dasselbe.“

Główną przyczyną niezgody jest kwestya ogólnego bezrobo-
cia (Massenstreik); jedni bowiem z niemieckich socyalistów trzy-
mają się zasady, że „Generalstreik ist Generalunsinn,“ drudzy
przeciwnie, uważają taki strajk za wykonalny i w niektórych wy-
padkach, pożyteczny.

Zjazd syndykatów robotniczych, w Kolonii, w maju 1905 r.,
wystąpił w swej rezolucyi jasno i stanowczo przeciw myśli ogóln-
nego bezrobocia o charakterze politycznym i przeciw ogólnemu
świętowaniu 1-go maja, zalecając organizacyom robotniczym ener-
gicznie przeciwdziałać podobnej propagandzie, którą usilnie od
pewnego czasu prowadził w berlińskich lokalnych organizacyach
robotniczych znany anarcho-socyalista D-r Friedeberg. Rezolucya
Kolońska nie podobała się wielu członkom partyi i wywołała
ostre z ich strony zarzuty przeciw kierownikom i taktyce syndy-
katów; tak np. znana i u nas niestety Róża Luxemburg, w jednym
ze swych publicznych wystąpień, wyraziła się, że ta rezolucya
świadczy o „selbstgefällige Borniertheit der Gewerkschaftsführer
in Köln.“ Prawdopodobnie pod wpływem wypadków w Rosyi,
widzianych zdaleka, myśl ogólnego bezrobocia zyskiwała coraz

¹⁾ Do syndykatów należy obecnie w niemieckiem państwie około trzech
milionów robotników.

więcej zwolenników w kołach niemieckich socjalistów; na dorocznym zjeździe partji w Jenie, w jesieni 1905 r., stała się przedmiotem ożywionej dyskusji i znalazła tu w większości zebranych przychylnę uznanie. Nie tylko radykalni członkowie, ale i sam osiwiasty przywódca partji, August Bebel, wygłosił gorącą mowę, w której dowodził celowości i skuteczności ogólnego bezrobocia, w danych okolicznościach. Pod wpływem ogólnego nastroju i wygłoszonych mów, Zjazd w Jenie powziął rezolucję, że uważa zastosowanie w szerokich rozmiarach ogólnego bezrobocia w danym wypadku, jako jeden z najskuteczniejszych środków walki dla obrony przeciw zamachowi na prawa klasy robotczej (prawo wyborcze i prawo związków), lub też dla zdobycia nowego zasadniczego prawa. Ważnym w tym razie był nie tyle tekst rezolucji, ile sam fakt widoczny, że myśl, a więc do pewnego stopnia i projekt ogólnego politycznego bezrobocia w Niemczech, zostały przez Zjazd przyjęte.

Wobec sprzeczności dwóch rezolucji: Kolońskiej i Jeńskiej, zarząd partji, z Beblem na czele, odbył w d. 21 stycznia 1906 r. poufną konferencję z ogólnym zarządem syndykatów (General-kommission der Gewerkschaften), w celu możliwego wyrównania owej sprzeczności; następnie w lutym 1906 r. miało miejsce w Berlinie zwykłe zebranie zarządów syndykatowych robotniczych, na którym omawiano także powstałe nieporozumienie i przyjęto do wiadomości tłumaczenie Bebla, dane na poufnej konferencji, że zarząd partji nie ma zamiaru propagować ogólnego bezrobocia politycznego, lecz przeciwnie, w miarę swych sił, będzie się starał do niego nie dopuścić. To tłumaczenie Bebla, jak i protokóły innych obrad poufnych, zostały, bez wiedzy osób zainteresowanych, ogłoszone w organach partyjnych; wywołały naturalnie u wielu silne rozgoryczenie i dały powód do namiętnej między członkami stronnictwa polemiki.

W takich warunkach rozpoczął się zjazd w Mannheimie; miał on przed sobą trudne zadanie pogodzenia wszystkich: z jednej strony radykalnych anarcho-socjalistów i znajdujące się pod ich wpływem lokalne organizacje robotnicze, z drugiej — umiarkowane syndykaty robotnicze; jednocześnie musiał ratować zachwianą przez nietakt Bebla powagę Zarządu partji i nakoniec nie dać się partji rozpaść na oddzielne grupy.

Pierwszy krok na drodze kompromisów i pojednania zrobił sam Bebel: Mannheimskie jego przemówienia różniły się treścią, a jeszcze bardziej swym tonem, od gorącej mowy, wygłoszonej przed rokiem w Jenie. Na wstępie zaznaczył, że poglądy jego

w kwestyi ogólnego strejku pozostały bez zmiany, musi przytem objaśnić, że chociaż przemawiał w Jenie z żywieniem (mit Begeisterung) za strejkiem zasadniczo, to jednak z żadnego jego słowa nie można było wywnioskować, żeby głosował za ogólnym strejkiem już w najbliższym roku; przeciwnie, zdaniem jego, urzeczywistnienie takiego strejku możliwem jest tylko przy istnieniu w masach odpowiedniego nastroju (Massenstreikstimmung), a nastroju tego niepodobna sztucznie wywołać; nauką pod tym względem jest przykład Rosyi, gdzie w sierpniu r. b. przywódcy partyi socjalistycznej większością $\frac{2}{3}$ głosów zdecydowali ogólne bezrobocie; nie udało się ono jednak, gdyż większość robotników i organizacyj robotniczych nie chciała do niego przystąpić. Każdy rozsądny człowiek przyzna, mówił dalej Bebel, że grupa 400.000 politycznie zorganizowanych „towarzyszy,” jakich liczy obecnie niemiecka partya socjalistyczna, bez współdziałania przewodników i członków syndykatów robotniczych, jest za słabą, aby oprzeć się militarnej potędze państwa, które rozporządza pięciu milionami bagnatów i w razie zamierzonego bezrobocia uciekłoby się do nadzwyczajnych środków (np. Kriegsrecht); zresztą, w państwie tak dobrze zorganizowanem, i tu zabrzniała w mowie Bebla nuta patryotyczna, istnieją inne skuteczne sposoby walki politycznej i ekonomicznej. Z tych powodów Bebel nie zgadza się z tymi, którzy myślą, że ogólne bezrobocie można w każdej chwili zaszcenić, lecz utrzymuje w dalszym ciągu, że ogólne bezrobocie pozostaje, jako skuteczny środek obrony, na przypadek zamierzonego przez rząd pogwałcenia kardynalnych praw klasy robotczej.

Pojednawcze przemówienia Bebla spotkały opozycję ze strony radykalnych odłamów partyi; wystąpiła przeciw Beblowi Róża Luxemburg, zaprawiona na naszym gruncie w fantastycznej i bezmyślnej propagandzie strejkowej i w swym zapale posunęła się do wypowiedzenia zdania, że ogólne bezrobocie powinno być propagowane i przeprowadzane nawet wtedy, kiedy nie można liczyć na jego powodzenie; zdanie takie jednak u rozważnych Niemców nie znalazło uznania i posłuchu.

Przemawiał także za celowością ogólnego strejku stary, nieprzejeđnany doktryner partyi Kautsky (Principienreiter, jak go nazywają), którego literackie prace są u nas teraz tak usilnie tłómaczone; występował on ostro przeciw syndykatom robotniczym, zarzucał im neutralność polityczną i żądał, aby dotychczasowe ich statuty, noszące charakter praktyczno-uitylitarny, zostały zmienione w duchu socjalno-demokratycznym; jako argument, dowodzący konieczności takiej zmiany, przytoczył przykład

angielskich Trade-Union'ów, które zdaniem jego znajdują się w stanie bezczynności i zupełnej stagnacyi, bo nie są socjalno-demokratycznemi; przykład niezbyt przekonujący, gdyż w rzeczywistości angielskie organizacje robotnicze przedstawiają teraz siłę znacznie większą od niemieckich, jakkolwiek działalność ich niepodoba się Kautsky'emu.

Natomiast wszyscy przedstawiciele syndykatów robotniczych, ich główny kierownik Legien, a także znany rewizjonista D-r David, w swych przemówieniach, w myśl rezolucyi Kolońskiej, dowodzili bezcelowości i szkodliwości ogólnego bezrobocia i dopominali się zupełnego odrzucenia przez zjazd zapadłej w Jenie rezolucyi.

Debaty z obydwóch stron były gorące, wypowiedziano sobie nawzajem dużo zarzutów; w końcu jednak rozważa wzięła górę i drogą wzajemnych ustępstw ułożono rezolucyę, którą zjazd znaczną większością zaakceptował. Rezolucya zaznacza, że, pomimo zewnętrznych pozorów, nie ma sprzeczności w wewnętrznej treści rezolucyj zjazdów w Kolonii i w Jenie i że ogólne bezrobocie należy uważać, jako „ultima ratio,“ do której klasa robocza może się uciec, w odpowiednich warunkach i za wspólnem postanowieniem zarządów partyi i syndykatów robotniczych, dla obrony zagrożonych swych praw, jako to: prawa wyborczego, lub prawa związków. Ponieważ ewentualność taka nie jest do przewidzenia w warunkach życia państwa niemieckiego — tem samem znika w praktyce możliwość i potrzeba strejku i z tego względu na powyższą formułę rezolucyi mogli się zgodzić nawet przeciwnicy ogólnego bezrobocia, jakimi są w Niemczech przedstawiciele syndykatów robotniczych.

Druga rezolucya, powzięta na zjeździe Mannheimskim, dotyczyła się stosunku syndykatów robotniczych do zarządu partyi; rezolucya stwierdza przedewszystkiem, że syndykaty są instytucją nieodzownie potrzebną dla polepszenia socjalnych warunków bytu klasy roboczej, uznaje następnie, że syndykaty są nie mniej konieczne, jak i zarząd partyi, i że obydwie te organizacje powinny działać zgodnie, za wspólnem porozumieniem i w końcu oświadczą, że dla osiągnięcia jedności celu i akcji, pożądanem jest, aby działalność syndykatów robotniczych była przejęta duchem socjalistycznym i że obowiązkiem każdego „towarzysza“ jest działać w tym duchu. Rezolucya została przyjęta prawie jednogłośnie.

*

*

*

Zjazd tegoroczny w Mannheim był bardzo liczny; stawilo się nań do 7,000 towarzyszy i towarzyszek, a w tej liczbie 400 delegatów rozmaitych stowarzyszeń. Ponieważ poprzednio odbyła się także w Mannheimie konferencya kobiet-socyalistek, element kobiecy na zjeździe był tym razem silnie reprezentowany. Obrady trwały od 23 do 29 września. Honorowymi gośćmi, którym ustępowano pierwszego miejsca, byli rosyjscy i polscy socjaliści, między nimi Róża Luxemburg, otoczona aureolą przeżytych w Polsce i Rosyi prześladowań i cierpień; liczni jej przyjaciele nie zaniedbują żadnej sposobności dla reklamy, przechodzącej rzeczywistą wartość i znaczenie w partyi tej działaczki i teraz zgotowali jej owacyjne przyjęcie na pierwszym posiedzeniu zjazdu. Po otwarciu zjazdu, towarzyszka Zetkin zwróciła się do Rosyan z serdeczną przemową, zapewniając ich o sympatyj i pomocy ze strony niemieckich socyalistów; w imieniu Rosyan odpowiadała dziękując towarzyszka Bałabanowa (Ormianka); mówił także przedstawiciel rosyjsko-polskiej partyi terrorystycznej, Rotter, tłumacząc taktykę partyi. Nakoniec, przy zamknięciu zjazdu, na wniosek Bebla, zjazd jednogłośnie postanowił wyrazić uznanie rosyjskim rewolucyonistom w ich walce o wolność i udzielać im nadal pieniężnej pomocy i moralnego poparcia: podczas obrad zjazdu była także kilkakrotnie mowa o tem, że w razie zamiaru rządu niemieckiego interwencyi zbrojnej do spraw wewnętrznych Rosyi, partya wszystkimi środkami będzie się starała przeszkodzić wykonaniu podobnego zamiaru.

Oświadczenia powyższe nie są platoniczne; dowodzi tego odczytane na zjeździe sprawozdanie roczne zarządu, z którego się okazuje, że z kasy niemieckiej partyi socyalistycznej wypłacono już rosyjskim partyom rewolucyjnym półmiliona marek subsydium. Sprawozdanie konstatuje również powiększanie się liczby członków stronnictwa, pomyślny stan kasy i znaczny rozwój prasy socyalistycznej, zyskującej coraz większe koła czytelników.

O socyalistach można powiedzieć tak, jak o rządzie, że każdy naród ma ich takich, na jakich zasługuje; pomimo wyrażen sympatyj i zapewnień o wspólności celów, istnieje w rzeczywistości duża różnica między rosyjskimi i niemieckimi socyalistami. Ci ostatni złożyli na zjeździe w Mannheimie dowód wyrobienia politycznego i umiarkowania; są oni bowiem z natury swej i wychowania dalecy od rewolucyjnych zapędów, mają poszanowanie tradycyi, porządku, pracy i prawa; w dodatku, pomimo wszystkiego, pozostają w swej masie, niemieckimi patryotami, z serca i z rozumu. O patryotycznych uczuciach ogółu niemieckich socyalistów

świadczy wypadek, jaki miał miejsce na ostatnim zjeździe; D-r Liebknecht, syn jednego z twórców partyi, zwrócił się do zjazdu z wnioskiem założenia specjalnego biura dla antimilitarnej propagandy w wojsku; po przemówieniu Bebla, dowodzącem niestosowności i szkodliwości takiego biura, zjazd wniosek Liebknechta odrzucił; nie zechcieli więc niemieccy socjaliści pójść śladem Francaza Hervé.

Wobec tych danych, można twierdzić, że normalny rozwój niemieckiej partyi socjalistycznej, takiej, jak się ona wyrobiła na gruncie niemieckim, nie zagraża ani przyszłości niemieckiego narodu i państwa, ani też postępowej ewolucyi jego społecznego ustroju; niebezpieczna kwestya ogólnego bezrobocia, po sformułowaniu przez zjazd Mannheimski, straciła zupełnie praktyczny charakter i została przesunięta do sfery socjalistycznych utopij.



PIŚMIENNICTWO.

D-r. STANISŁAW KUTRZEBA. Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Historja ustroju Polski w zarysie*. Lwów, 1905.

W krótkiej przedmowie autor zaznacza, że brak podręcznika, któryby przedstawiał historję ustroju państwa polskiego, daje się odczuć oddawna. Nie mogą już dziś wystarczyć ani prace Lengnicha, Skrzetuskiego, pisane jeszcze za czasów bytu państwa polskiego, ani też dzieła Bandtkiego, Hoffmana i Huppego, wcześniejsze od długiego szeregu rozpraw i monografij, które rozjaśniły w ostatnich dziesiątkach lat tak znakomicie te dzieje. Z podręczników historii polskiej, ostatni, który w pełnej mierze uwzględnił także i rozwój wewnętrzny państwa, „Dzieje Polski w zarysie“ prof. Bobrzyńskiego, oddawna już jest wyczerpany, a pisany był lat temu dwadzieścia kilka. Inne zaś późniejsze, bądź kwestję ustroju traktują tylko ubocznie, nie wyczerpująco, bądź też o ile im więcej poświęcają miejsca—to przecież dają raczej tylko zbiór wiadomości z tego zakresu, niż pogląd na warunki i stopnie rozwoju. Że pomimo tego braku dotąd nauka polska nie zdobyła się na całokształt historii ustroju, przyczyn tego szukać należy w bardzo znacznych trudnościach. Podręcznik musi się opierać na pracach przygotowawczych, monograficznych, a choć tych prac jest już dziś dużo i to w części doskonałych, to przecież jeszcze niema opracowania szeregu kwestyj pierwszorzędnej wagi, a nawet w najważniejszych poglądach (np. na genezę ustroju społecznego) niema teoryi, któraby ogólnie była przyjęta.

Z trudności owych autor dobrze sobie zdawał sprawę, zabierając się do ogłoszenia powyższego krótkiego zarysu. Że mimo nich przecież tej roboty nie zaprzestał, niech usprawiedliwieniem będzie wielka potrzeba takiego zarysu, tak silnie dająca się odczuć, a kto wie, jak jeszcze długo trzeba będzie czekać, nim badania

monograficzne ogarną wszystkie, niejasne dotąd kwestye. Autor spodziewa się, że jego próba zachęci innych, więcej powołanych od niego, do ponownego opracowania przedmiotu, do naprawienia tych błędów, które się znajdują w jego pracy. W przedstawieniu rzeczy kierował się autor dwoma względami: by dać całość równomierną, i by, o ile można, przedstawić tylko to, co już dziś w nauce zostało uznane i przyjęte. By dopiąć pierwszego z tych celów, autor przerobił, opracował źródłowo wszystkie te kwestye, które dotąd nie są dostatecznie zbadane. Oczywiście podał z tych badań tylko rezultaty. By jaknajmniej być zmuszonym podawać kwestye dotąd niedostatecznie opracowane, starał się autor skreślić tylko główne zarysy, jaknajkrócej. Stąd też tak nie wielki rozmiar książki w stosunku do wielkości przedmiotu. Mimo to cały szereg poglądów, często zasadniczego znaczenia, jest wyłączną własnością autora; było to jednak rzeczą nieuniknioną. Historya ustroju nie może być zlepkim wiadomości, musi przedstawić rozwój życia i jego form, musi ten rozwój tłumaczyć.

Rozmyślnie przytoczyłem głównejsze myśli z przedmowy autora, albowiem one przekonywują czytelnika, że autor, pisząc podręcznik dla inteligentnych sfer, pojmował należycie zadanie i przygotował się do jego wykonania gruntownie. Przedstawiając ustrój dawnej Rzeczypospolitej polskiej przeciętnie inteligentnemu czytelnikowi, autor oparł się na niezawodnym materiale naukowo-monograficznym i unikał niczem nie ujętych hipotez i frazeologicznej historyozofii. Autor ujął historję ustroju Polski od połowy X-go wieku aż do r. 1795 w jeden udatny i wyraźny obraz. Ponieważ jednak w ciągu tego czasu doznawał ustrój państwowy Polski ważnych zmian, przeto konieczną było rzeczą dla jaśniejszego przedstawienia rozwoju państwowo-konstytucyjnego polskiego, podzielić go na pewne okresy. Że jednak zmiany w ustroju zwykle nie są gwałtowne i nie zawsze też schodzą się, o ile chodzi o różne działy życia społecznego czy państwowego, nie można kłaść, jako granicy, okresów ścisłych dat, lecz trzeba je ogólniej zaznaczyć. Uwzględniając takie charakterystyczne cechy epok w dziejach ustroju Polski, dzieli je autor na pięć okresów, z których ostatni jest właściwie tylko początkiem okresu przerwanego przez upadek państwa. Okresy są następujące: 1) Okres wstępny — do połowy X wieku, t. j. do powstania państwa polskiego. Jest to okres organizacyi rodowej. 2) Okres I-szy prawa książęcego, do wydania pierwszych przywilejów na rzecz społeczeństwa w końcu XII wieku. 3) Okres II-gi organizacyi społeczeństwa, do śmierci Kazimierza Wielkiego (1370) i przywileju Ko-

szczyckiego (1374). 4) Okres III-ci, stanowy, do unii lubelskiej (1569) i pierwszego bezkrólewia (1572). 5) Okres IV-ty Rzeczypospolitej szlacheckiej, do reform, rozpoczętych w czasie ostatniego bezkrólewia (1764). 6) Okres V-ty reform, nieskończony, przerwany przez upadek państwa r. 1795. Obraz ustroju państwa polskiego przedstawił autor jasno, gruntownie, z należytym ustosunkowaniem rzeczy zasadniczych do szczegółów. Uwagi historyozoficzne nie są przeciążone pierwiastkami hipotetycznymi i przemawiają do przekonania. Jednym słowem podręcznik autora należy uznawać za rzecz udaną, odpowiadającą zadaniu i opartą na gruntownej znajomości przedmiotu. Ponieważ *Historia Ustroju Polski* ukaże się niewątpliwie w niedalekiej przyszłości w nowych wydaniach, przeto pozwolę sobie uczynić kilka drobnych uwag, które autor może uznać za stosowne uwzględnić. Przedewszystkiem we wszystkich dawniejszych podręcznikach prawa państwowego, czy też w nowszych monografiach państwowo-prawnych, spotykamy się z twierdzeniem: że miasta królewskie w XII w. przestały posłować na sejmy ordynaryjne i tylko na sejmach konwokacyjnych, elekcyjnych i koronacyjnych spotkać się z nimi było można aż do końca istnienia państwa polskiego. To samo, co autor utrzymuje, pisałem i ja w „*Konfederacyi i Rokoszu*,” powtarzając poglądy Lengnicha, Skrzetuskiego i następnych prawników. Studium wszakże Rymana p. t. „*Udział Krakowa w sejmach i sejmikach Rzeczypospolitej*“ (Rocznik krakowski Tom VII), skłoni prawdopodobnie historyków prawa państwowego polskiego do ustępstwa na rzecz miasta Krakowa, który do ostatka wysyłał posłów na sejmy ordynaryjne. Drugim drobnym szczegółem, którym autor zatarał specjalnie polski stylistyczny charakter, jest to mianowicie iż naszemu przywilejowi: *neminem captivari permittemus nisi jure victum*, powtórzonemu przez konstytucyę Ks. Warszawskiego (1807) i konstytucyę Królestwa Polskiego (1815), autor nadał brzmienie angielskie: *neminem captivabimus nisi jure victum*. Jeszcze bardzo drobny zarzut ośmielę się uczynić autorowi, a mianowicie, że niedostatecznie ocenił doniosłość reform indywidualnych miejskich, rozpoczętych w 1733 r. przez miasto Poznań, a następnie, że o komisjach *Boni ordinis* za Stanisława Augusta nie uczynił żadnej wzmianki. W komisjach *Boni ordinis* (dla Warszawy była już komisya B. ord. w r. 1764) istnieje dowód niezbity, jak wcześniej przemyślał Stanisław August o reformach dla stanu miejskiego, a następnie jak gorliwie się stan szlachecki do nich przykladał.

Jedną uwagę historyzoficzną autora uważałbym za niezupełnie przekonywającą. Mianowicie ten ustęp, w którym autor oświadcza, że okres absolutyzmu nie był konieczny dla rozwoju Polski, nie on jeden tylko mógł ją poprowadzić naprzód. Te same rezultaty, które osiągnęły inne państwa przez okres absolutyzmu, mogła Polska uzyskać na innej drodze, przez dalszy rozwój praw społeczeństwa. W wyrażonem przez autora przypuszczeniu widzę bardzo mało prawdopodobieństwa i ów dalszy rozwój, niby sam z siebie i przez się, społeczeństwa wydaje mi się bardzo problematycznym. Nie chodzi tu bynajmniej o erę absolutyzmu dla Polski, bo wtedy, gdy absolutyzm mógł zapobiedz anarchii Rzeczypospolitej, mocarstwa ościenne byłyby go w interesie własnym nie dopuściły, ale nie o absolutyzm w tym wypadku chodzi, tylko o monarchizm dziedziczny, który, jak nam tego Anglia przykładem, zdołał utrzymać równowagę między stanami i nałożyć reprezentacyi państwowej należyty hanulec. Bez silnego, dziedzicznego monarchizmu rozwój praw społecznych przechylałby się zawsze więcej lub mniej w stronę uprzywilejowanych, co czyniłoby organizację państwową zbyt słabą wobec mocarstw sąsiednich.

W Bibliografii, jaką autor podał na końcu pracy, dostrzegam drobne braki. Ponieważ jednak autor w podręczniku swym uwzględnił i prace, których nie uważał za stosowne wymienić, przeto zaznaczam, że nie podejrzewam autora, aby prace monograficzne, wymienione przezemnie, były mu nieznane, tylko uważam, że należało je przytoczyć dla tego, że swego czasu zdobyły sobie zasługę uzupełnienia w mniejszym lub większym zakresie historii ustroju państwa polskiego. Do takich prac znamienitych należą przedewszystkiem: 1) Hoffmana: Listy o rządzie w Polsce, drukowane niegdyś w Przeglądzie poznańskim, następnie tłómaczone na niemiecki przez Weissenhorsta, a w końcu wyzyskane obficie i potajemnie przez Huppego. 2) Dzieło Krasieńskiego o reformacyi w Polsce, które ukazało się po angielsku i po niemiecku. 3) Dzieło Lubowicza o reformacyi w Polsce, przynoszące nieco nowych źródeł i chwalone przez prof. Pawińskiego. 4) Lengnich'a niemieckie dzieło, poświęcone historii prawnej miasta Gdańska. 5) Budanova, o niemieckiem prawie na Litwie i w Polsce. 6) Halbana, niemieckie studjum o prawie magdeburskiem w Polsce. Następnie, jeżeli autor przytoczył Kojalowicza: „Lublińskaja unija na lublińskom sejmie,“ to uważałbym za nieodzowne wymienić: 7) Działyńskiego, wydanie Dyaryusza sejmu unii. I dzieło 8) Lubawskiego, p. t. Sejm litewsko-ruskij (po rosyjsku), uważam również za nie-

zbędne do zapoznania się ze stosunkami prawno-państwowemi dawnej Polski.

Historya ustroju Polski w zarysie d-ra Kutrzeby jest pierwszym podręcznikiem w literaturze polskiej, który odpowiedział należycie zadaniu. Podręcznik powyższy jest w stanie zainteresować inteligentnego czytelnika i gruntownie go pouczyć o przeszłości polityczno-prawnej dawnego państwa polskiego.

A. R.

FRANCISZEK MORAWSKI. „Z Zachodnich kresów.“

Przed kilku tygodniami ukazała się w Krakowie, nakładem spółki wydawniczej książka p. Franciszka Morawskiego „Z zachodnich kresów“ omawiająca wielkopolskie stosunki. Wzięliśmy ją do ręki z zainteresowaniem, ciekawi coby z tej krainy smutku i przygnębienia, nowego jeszcze napisać można, a przeczytaliśmy jednym tchem, pociągnięci charakterem szczerości i bezparcyalności zarazem, który bije ze wszystkich jej kartek. Miałoby się ochotę napisać w nagłówku tej książki motto jednej z Maupassant'owskich powieści „simple vérité.“ W rzeczy samej to prosta prawda, tak prosta, że wydawałoby się niemal mogło, iż każdy widziećby ją i opisać potrafił i dopiero po zastanowieniu spostrzeżga się, jak bystrego oka było potrzeba, by tę prawdę tak pochwycić, uprościć i uwydatnić.

Na tom ten spory składają się artykuły rozmaitych rozmiarów i treści, pisane stylem zawsze lekkim i jasnym, czasem wprost wesołym, nigdy pedantycznym, ani nudnym. Niekiedy jednak ten charakter pogodny dzieła nabiera tragicznego zabarwienia. Nie żeby autor wstępował na koturny i uroczystym przemawiał tonem, nie, zawsze ta sama trzeźwość wyobraźni, ta sama prostota wyrażen, ale przedmiot sam uchwycony jest w swej wewnętrznej rdzennej dramatyczności. Otwieramy tom, natrafiamy zaraz na pierwszej kartce na istną perłę ścisłej obserwacji i artystycznej syntezy. Idziemy z autorem w odwiedziny do poznańskiego nauczyciela ludowego, jednego z rzadkich Polaków, którzy się na tem stanowisku utrzymać zdołali. Czytując tę krótką opowieść, rozumie się lepiej, jak po długich wywodach, ducha pruskich zaborów. Pozory zachowane znakomicie, naukowa rzekomo obiektywność humanitarna lubi nosić maskę, dobrobyt może się krzewić, cywilizacya widoczna. Lecz pod tym pokostem wstrętna kryje się rze-

czywistość. Spekulowanie na najniższych instynktach ludzkich święci tu tryumfy. Kto nie może tać i udawać, kto ma odwagę swych przekonań i gorące serce nosi w piersi, ten nie jest godny piastować urząd państwowy, ten niech zawczasu się usunie, by nie być brutalnie usuniętym. Szpiegowani na każdym kroku, lekceważeni przez zwierzchników, a pogardzani nieraz przez podwładnych, nauczyciele polscy w Prusiech przejść muszą wpierw przez szkoły obłudy i tchórzostwa, zanim powierzone im będzie wychowanie przyszłych obywateli kraju. Jesteśmy zaprawdę niepoprawnymi utopistami politycznymi. Mimo kolonizacy i hakatyzmu, mimo Wrześni i wydałań, znajdują się jeszcze, zwłaszcza w innych zaborach, admiratorowie i zwolennicy pruskiego systemu, bodaj czy nie pruskiego rządu. Ci niech przeczytają książkę z kresów zachodnich, a ochłoną chyba z niewczesnych uniesień. Widzimy tu w rozmaitych rozdziałach rozmaite przejawy germańskiego ducha. Raz będzie to *Pocziwy Niemiec*, wzorowy ojciec, czuły mąż i rządzny gospodarz, ciułający dla rodziny grosze z subwencji rządowych za objawianie niemieckich uczuć, który mimo strachu jaki w nią budzi rozszalały antagonizm narodowy, mimo sentymentalizmu i pocziwości, idzie z musu, choć niechętnie, za germanizacyjną falangą. Albo znowu *Mój przyjaciel hakatysta*, tajny agent kolonizacyi, czyż nie doskonały w swej pogardzie dla polskiego hrabiego, który przed laty kilkudziesięciułożył na jego wychowanie lub w swym liryzmie nad tą krainą ukochaną, która niebawem zakwitnąć ma jak makiem czerwonymi domkami pruskich kolonistów. A w *Testamencie krwi* inną znowu widzimy stronę niemieckiej duszy. Nie jest ona nam mniej wroga, ale przynajmniej sympatyczniejszą trochę od poprzednich. Zbrojne junkiorstwo pruskie, ta kasta zawsze uderzyć gotowa, posłuszna i sprawna, rozumująca tylko nad tem, jak skoczyć na łup i kły weń zapuścić, to niezbędna awangarda krętej dyplomacyi i ekonomicznej zachłanności. Przesuwają się nam przed oczami różnorodne typy i różne epizody, poznajemy kraj i ludzi. I przekonujemy się, że wiele dawnych pojęć o Niemcach i o nas samych wymaga rewizyi i odnowienia. Świat społeczny i polityczny nie mieści się już w tradycyjnych ramach. I jedno przebija coraz wyraźniej, to, że nie przemogą rządowe systemy, ani materyalne środki przeciw trwałemu dążeniu uświadomionego ustroju narodowego

„Die fremden Eroberer kommen und gehen
Wir gehorchen aber wir bleiben stehen.“

Materya może tworzyć tylko materję, ducha nią nie stworzysz. To też miliony pruskie przeciw nim samym się obracają. Rzucając swym niemieckim poddanym złoconą przynętę, rząd obudził w nich nienasycony tylko głód złota, który pokusie zrobienia dobrego interesu, oprzeć się już nie może. Powstał też wśród nich nowy typ lojalności, patriotyzm opłacany, smutny objaw słabości ludzkiej, ale i dowód zarazem, jak niskim w swych pobudkach i środkach jest obecny germanizacyjny kierunek.

Jednakże nietylko ciemne kartki widzimy w dziele pana Morawskiego, są i wesole i podnoszące ducha. *Król chłopów wielkopolskich*, patron kótek włościańskich, to postać tak tradycyjnie piękna a tak nowożytna zarazem, że w niej upatrywać można niejako symbol przyszłego społeczeństwa polskiego.

Już teraz Wielkopolska tem tylko się trzyma, że ma więcej od Niemców miłości do ziemi, do języka, do sprawy. Widzimy w książce „Z zachodnich kresów“ cały arsenał broni germanizacyjnej. Od stowarzyszenia ku „obronie“ Niemczyzny, od wojska mającego wytworzyć w rekrucie polskim bierne w obec rządu posłuszeństwo, aż do bibliotek i muzeów nęcących bogactwem naukowych i wytwórczych skarbów, nie braknie żadnego środka, który umysł ludzki stwarza, by pełnać bezbronnego Polaka w objęcia pruskiego opiekuna. Brakuje tych, które stwarza serce. Już książę Maurycy Saski twierdził, że w Polsce kobiety tylko umieją być mężczyznami, a Bismarek lubił nazywać Polaków kobiecym narodem. Otóż w ogniu ta kobiecość okazała się odporniejszą niż przewidywali nasi wrogowie. Gruba ręka rządowa czuje się bezbronną tam, gdzie spotyka się innego rządu. Sercem prawem można wiele zrozumieć, można walczyć i zwyciężać. To też miło jest odczuć jego drgania tam, gdzie tak często spotykamy tylko suche rozumowanie lub retoryczny ogólnik. W książce „Z zachodnich kresów“ czuć wyraźnie mimo rzeczowości tonu, że sprawy, które się autorowi nasuwają pod pióro, bolą go lub cieszą głęboko, że odziedziczył po dziadku jenerale-poecie Franciszku Morawskim nietylko bezpartyjny umysł, który wśród burz literackich pisał niegdyś spokojny i wesoly list „Do klasyków i romantyków,“ ale że wziął po nim zarazem i gorącą miłość kraju, która w tak urocze barwy ubrała „Dworzec mego dziadka.“ Niech książka niemiejsza posłuży za przykład, jakiem w obecnych warunkach patriotyzmu polskiego powinno być hasło: „Suaviter in modo, fortiter in re.“

JAN LEMAŃSKI. *Nowenna czyli Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu.*
Warszawa—Lwów 1906. Książnica Polska.

Autor *Nowenny* gotów jest wybaczyć ludziom wiele rzeczy ludzkich, nie znosi jednak głupoty, która zawsze największą wy-
rządzała światu krzywdę, bo najbardziej smakowała w lepkiem błocie niedołęstwa i apatyi. Ona też — ta głupota — jest atmosferą, w której najlepiej czuje się *prawdziwe*, tępe filisterstwo współczesne.

Lemański dostrzega je wszędzie, na całym obszarze życia, we wszystkich jego dziedzinach. Mikroby tego filisterstwa, jak mikroby malaryi, zatrująją dziś społeczeństwo od góry do dołu. Wszędzie, gdzie zjawi się jaki taki dostatek materyalny, choroba wkracza przez drzwi otwarte. Dusza ludzka zasypia lub idzie w ką, a hasło

„Używajmy dóbr miluchnie
Aż circumferencya spuchnie,“

rozlega się od urządzonego z przepychem salonu burżuazyjnego, aż do skromnego „ogródka,“ gdzie

. . . gra wiolonczela,
Zdrój wódek. Szampan strzela,
Używa ludźk wesela . . .

Poeta nie zjawia się jednak wśród tego rozbawionego i żąd-
nego uciech zmysłowych tłumu, jako wysłannik „armii zbawie-
nia“ lub kwakier, dźwigający biblię pod pachą. Przeciwnie, on śmieje się razem z tym tłumem i śmieje się tak dyskretnie, że chwila-
mi czytelnik może nawet nie poznać, że to śmianie się *z nim ra-
zem* jest jednocześnie gorzkim, sarkastycznym wyśmiewaniem jego wad i przywar, jest bolesnym żartem z tego życia, które powie-
działo sobie

„Byt jest krótki. Wierz tej tezie!
Zamiast w głupiej tkwić ascezie,
Żyj, używaj, ile wlezie!
Nie znieprawiaj dni goryczą!
Nie peroruj moralniezo,
Nie kłam enót, gdy żądze ryczą!
Młodyś? użyj. Dziad? klep pacierz . . .“

Lemański żartuje ze wszystkiego — nawet z samego siebie. Wszystko rzuca na ogień swoich żywych, czasem kunsztownych, a czasem wprost żartujących sobie ze sztuki rymotwórczej *tercyn*

i z jakąś piekielną werwą podaje nam jedno danie za drugim. Całe życie, jak w kalejdoskopie, przesuwa się przez *Nowennę* i grzmi w tych jednorymowych tercynach dziwnym, niemal histerycznym chichotem.

A jednak, kiedy się książkę odłoży na bok, ten śmiech milknie odrazu. Budzą się natomiast wrażenia i refleksje zupełnie poważne. Odczuwa się, że „dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu“ są tylko jednym, wielkim wołaniem o *duszę*...

Dajcie człowiekowi duszę, obudźcie ją z odrętwienia, wyprowadźcie ją z zatęchłej atmosfery współczesnego życia społecznego, towarzyskiego, rodzinnego, pozwólcie jej iść na jasne łąki, gdzie pełno kwiatów o zadziwiającej budowie kielichów i o zawrotnym zapachu, gdzie niebo jest pogodne, słoneczne, ciche, gdzie króluje wielka, wspaniała, kojąca Natura.

Dajcie człowiekowi duszę, która by umiała rozmawiać z Bogiem, piąć się ku szczytom poznania, gnać się ku pięknu, rozlanemu we wszechświecie, ku tajemnicy, przemawiającej do niej głosem nocy gwiazdzistych, szeptem zbóż, rozkołysanych na łąnie, pogwarem lasów dalekich.

Dajcie człowiekowi duszę, zdolną kochać i cierpieć, umiejącą prawdziwie czuć i zrywać się do lotów górnieszych.

A wtedy zobaczycie, jak się życie całe odrodzi, jakimi pójdzie drogami, jak otrząśnie się z błota, i przekonacie się, że

. . . „ludów powaga
Rośnie, gdy się w nich duch wzmaga“ . . .

Z. D.

Kronika miesięczna.

Pogrom Siedlecki. — Wzrost anarchii. — Porozumienie stromictw. — Kultura naszych miast. — Towarzystwo opieki nad pamiątkami historycznymi i zabytkami sztuki polskiej. — Biblioteka publiczna.

Ciężkie chmury, jakie zawisły nad krajem, ani na chwilę nie zostały przebite przez jaśniejszy promień. Przeciwnie—padł z nich nowy piorun.

W Siedlcach rozegrała się krwawa tragedia, przenosząca swojemi rozmiarami wszystko, co działo się dotychczas. Pod hasłem walki z rewolucjonistami odbył się tam pogrom ludności spokojnej i niewinnej. Życie miasta ubogiego, nie odznaczającego się ani w dziedzinie handlu, ani w dziedzinie przemysłu, zostało sparaliżowane na długo. Dobytek ludzki uległ zniszczeniu. Przez trzy dni wzdłuż ulic grzniały nieustannie salwy karabinowe, a od czasu do czasu towarzyszył im huk armat, które wytoczono dla burzenia domów.

Dzienniki były przepełnione wstrząsającymi opisami, na których podstawie łatwo było sobie odmalować całą grozę położenia nieszczęśliwych siedleczan. Nie powtarzamy tu rzeczy znanych, tembardziej, że o tego rodzaju wydarzeniach trudno jest sądzić na chłodno. Historia dopiero oceni je właściwie i potępi winnych. Dziś można jedynie powiedzieć, że dzieje ludzkości znają wogóle mało podobnych tragedij.

Mimowoli też przypominają się wieki średnie—nieszpory Sycylijskie, noc św. Bartłomieja i rzezie miast, zdobywanych przez nieprzyjaciela. Ale tamto wszystko działo się w epoce tryumfu siły nad prawem, w epoce barbarzyńskiej w porównaniu ze zdobyczami cywilizacji nowoczesnej. Wówczas nie śniło się jeszcze nikomu o „prawach człowieka,“ a dziś—upłynęło już z górą sto lat

od chwili, kiedy te prawa zostały proklamowane przez Wielką rewolucję francuską.

Prawda, że pogrom siedlecki przypadł na czas wznagającej się na całym obszarze państwa anarchii, ale—czyż usprawiedliwia to postępowanie władz wojskowych, które, zgodnie z intencją rządu centralnego, przede wszystkim powinny dbać o to, aby ludności spokojnej, pracowitej, nie przykładającej ręki do działań wywrotowych—zapewnić bezpieczeństwo życia i mienia. A wśród ofiar katastrofy nie brak kobiet i dzieci, które żadną miarą nie mogły być związane z ruchem anarchistyczno-rewolucyjnym i niczem nie zagrażały ani całości państwa, ani porządkowi ustroju społecznego.

Tragedya Siedlecka wywołała też panikę na całym obszarze Królestwa, bo *hodie mihi, cras tibi*. Powstały też na tem tle potworne pogłoski o pogromach w Radomiu, w Częstochowie, w Brześciu Litewskim, w Będzinie, nawet w Warszawie. Wśród ludności żydowskiej uczynił się popłoch i mnóstwo rodzin opuściło miasta, wyjeżdżając za granicę lub na wieś.

Przedsiębiorczość, która jest dźwignią handlu i przemysłu, musi w takich warunkach upadać. Nikt nie ma odwagi myśleć o interesach, skoro nie jest pewien swojego jutra. W ten sposób wytwarza się tylko atmosfera, która jeszcze bardziej będzie sprzyjała anarchii i tak już rozwielenionej nad wszelki wyraz.

Bo rzecz dziwna. Wszystkie stany wyjątkowe, ochrony wzmocnione, obostrzenia, stosowane tak szczerze w ostatnich czasach, ogromnym ciężarem spadły na ogół i fatalnie odbiły się na całokształcie naszego życia, a w niczem nie przeszkodziły rozwojowi anarchii.

Przeciwnie — im większe są obostrzenia tem śmielszy i bezczelniejszy charakter przybierają wystąpienia bandytów i opryszków, którzy żartują sobie nawet z zaprowadzonych niedawno sądów polowych.

Ten środek ostateczny, do którego uciekł się rząd przed kilku tygodniami, bynajmniej nie przyniósł z sobą pożądanego spokoju.

W chwili, kiedy to piszemy, w kraju wykonano już kilkanaście wyroków śmierci i niema dnia, żeby sądy nie rozpatrywały nowych spraw, których wynik będzie niewątpliwie taki sam, a jednocześnie nie ma dnia, któryby minął bez rozlewu krwi, bez napadu, grabieży, rozboju.

Warszawa jest w tej chwili gniazdem opryszków. W ciągu ostatnich kilku tygodni działalność ich przybrała rozmiary wprost nadzwyczajne, a spryt, z jakim potrafią unikać policyi, zdumiewa.

Najczęściej uchodzą bezkarnie, a w rzadkich wypadkach, kiedy spotykają się z policją oko w oko—walczą z nią przy pomocy browningów i... nieraz zwyciężają.

Nadto działają zawsze na pewno, jakby na podstawie szczegółowo zebranych informacyj o tem, kto, kiedy, gdzie i jaką sumę pieniędzy będzie miał przy sobie. Każę to przypuszczać, że bandytyzm organizuje się i ćwiczy specjalnie do swego straszego rzemiosła—tu—w naszym mieście, pod boki władz i w groźnej atmosferze stanu wojennego, który nie przeszkadza mu w niczem, zwracając się całym swoim ostrzem przeciw spokojnej ludności, wziętej w ten sposób, jakby we dwa ognie.

Położenie staje się tem poważniejsze i tem większą budzące zgrozę, że to, co działo się do niedawna w miastach, co było niemal wyłącznym przywilejem dwóch wielkich ognisk naszego życia — Warszawy i Łodzi — rozlewa się teraz szeroką falą na całą prowincję.

Nie tak dawno jeszcze temu prowincya była spokojna. Mieszkańcy jej, którzy chwilowo znajdowali się w Warszawie, opuszczali ją chętnie i z upragnieniem wracali do domu, gdy bowiem w mieście dławiała ich atmosfera, u siebie, na wsi, czuli się bezpieczni. Nawet okres usiłowanych strejków rolnych nie wywołał tam zbyt wielkiego zamętu, nie zatrzymał życia i nie wprowadził do niego czynników rozkładowych. Praca szła normalnie i spokój przerywało chyba zjawienie się jakiego agitatora „uświadamiającego“ lud i podburzającego go przeciw właścicielom większej własności, „pragnącym powrotu pańszczyzny,“ lub — co zdarzało się częściej — wiadomości o krwawych wypadkach w Warszawie mających ciszę dworu wiejskiego.

Nagle zmieniło się wszystko. Prowincję objęła trwoga.

Bandyci, których ilość wzrasta z dnia na dzień, przez ciągły dopływ nowych sił, rekrutujących się czy to z odpadków zdemoralizowanych „bojowców“ socyalistycznych, czy z mętów, które w każdym wielkim mieście zawsze są poddostatkiem, a w chwilach takich, jak obecna, staczają się szybko na samo dno—nie pozostali na Warszawie i Łodzi, ale zaczęli zapuszczać się w głąb kraju.

Kilkanaście dworów wiejskich uległo napadowi i rabunkowi.

Bandy, składające się z kilkadziesiątu ludzi, nocą zjawiały się nagle pod oknami, a skrepowawszy poprzednio służbę w czworakach, wpadały do dworów i pod grozą śmierci rozpoczynały poszukiwania pieniędzy i kosztowności, a zagrabiwszy, co się dało, znikwały bezkarnie.

Straż ziemska przybywała na miejsce wypadku już po wszystkim i rozpoczynała pościg, który żadnych nie dawał wyników.

W ten sposób wieś polska — i to zarówno dwór jak i chata włościańska — wydane zostały na łup opryszkom, zwłaszcza, że władze, jak dotąd, nie chcą słyszeć o zorganizowaniu samoobrony obywatelskiej i bardzo skąpo wydają pozwolenia na broń palną.

Nie dziw też, że pod wpływem tego, co dzieje się obecnie, obywatelstwo ziemskie zaczyna przenosić się na stały pobyt do miast, lub wyjeżdża zagranicę, aby tam doczekać się przesilenia i nastania doby spokojniejszej.

I znów przypominają się wieki średnie... Drogi, pełne zbójców, napady nocne, grabieże, rozboje i zbrodnie, których nie ma końca i które tworzą już tak przerażająco długi łańcuch, że w jego piekielnych oplotach przyjdzie nam zginąć, jeżeli dotychczasowa metoda rządów wewnętrznych nie ulegnie zmianom zasadniczym, to znaczy, jeżeli społeczeństwo nie otrzyma możliwości zorganizowania na własną rękę walki z anarchią.

Że zaś jednym ze środków takiej walki jest niewątpliwie *życie*, płynące normalnym swoim potokiem, to pracowite, wytwórcze życie, które swoim ładem i porządkiem przeciwstawia się rozkładowi, więc zasadniczym postulatem chwili jest przywrócenie temu życiu jego form dawnych przez zniesienie krępujących je ograniczeń i zarządzeń.

Stan wojenny, jak zaznaczyliśmy już powyżej, ani na jotę nie zmienił panujących w kraju stosunków. Okazał się on i okazuje zupełnie bezsilnym w walce nie tylko z anarchią polityczną, ale i z anarchią społeczną, tamuje natomiast swobodę działania tych czynników społecznych, które pragną i mogłyby działać na pożytek kraju i narodu.

Pod tym względem opinia wszystkich naszych stronnictw i partyj, z bardzo małemi uchyleniami, jest prawie jednolita.

To, co stronnictwa narodowe mówiły już oddawna, staje się teraz coraz jaśniejszem nawet dla stronnictw lewicy, sympatyzującej z rewolucją rosyjską, a tem samem tolerującej, pod hasłem walki o prawa ludu, szerzącą się anarchię, jedyny dotychczasowy produkt tej walki.

Spostrzeżono mianowicie, że fala podniosła się za wysoko i że naród zagrożony jest obecnie w najwyższych dobrach swoich — w całym kulturalnym dorobku, opartym na pracy długich wieków. I dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą, że jeżeli stan taki potrwa dłużej — to kulturze polskiej grozi zniszczenie, a epoka, która mogła się stać epoką odrodzenia narodowego, będzie dla nas no-

wem, ciężkiem doświadczeniem i znów, zamiast pełnać nas naprzód, zatrzyma w rozwoju.

Świadomość tego niebezpieczeństwa staje się coraz wyraźniejsza i do coraz szerszych kół przenika.

Walka z anarchią i z rozkładem—oto hasło, pod którym zaczynają się skupiać i porozumiewać ze sobą stronnictwa.

Bardzo poważne rokowania wzajemne rozpoczęły już między sobą grupy narodowe.

Czy wyłoni się z tego koncentracja, jak chcą jedni, czy tylko chwilowy kompromis i porozumienie, co do metod działania w pewnych kierunkach—tego w tej chwili przesądzać nie można. Samo jednak dążenie do porozumienia się, do omówienia różnic programowych i taktycznych, jest już objawem pomyślnym i zasługującym na podkreślenie.

Rokowania toczą się obecnie pomiędzy trzema stronnictwami—Stronnictwem polityki realnej, Spójnią i Demokracją narodową. Ewentualnie za przyszłego sojusznika uważać można i nowo kreowaną Polską Partję Postępową (P. P. P.), która jest narodową frakcją Demokracji Postępowej, oddzieloną od niej jeszcze przed wyborami, jako „Związek Demokratyczny.“ Partya ta w ogłoszonym świeżo swoim wyznaniu wiary akcentuje bardzo mocno swój lojalny stosunek do ojczyzny i tem przeciwstawia się Demokracji Postępowej. Poza tem polityczno-społeczny jej program, aczkolwiek okrywa się czerwonym płaszczem „radikalizmu polskiego“ jest w gruncie rzeczy programem umiarkowanym, ewolucyjno-pokojowym, który ma wiele rzeczy wspólnych z programami partyj narodowych już istniejących.

Na uboczu trzyma się jeszcze dotąd jedynie Demokracja Postępową, która tak nieszczęśliwie zapisała się w pamięci ogółu przez niefortunny swój sojusz przedwyboreczy. Od tej pory lawiruje ona ciągle i nie ma odwagi odstąpić swojej fizyognomii istotnej. Z jednej więc strony rzuca się z pianą na ustach na „polski nacjonalizm“ Narodowej Demokracji, z drugiej—toleruje i popiera rozwijający się w ostatnich czasach bardzo jaskrawo „nacjonalizm“ żydowski. Jednocześnie kokietuje ciągle z Polską Partją Socjalistyczną i mimo ciągłych afrontów, jakie z tej strony ją spotykają, wyraźnie dąży do tego, aby ją *tam* uważano za cichego współnika. Nie przeszkadza to wszakże tej samej partyi stać na gruncie interesów burżuazji i bronić zdawkowych hasel postępu, służący przeżywającemu się liberalizmowi.

Cokolwiekby jednak nastąpi — chwila obecna w układzie i organizacyi naszych stronnictw politycznych odegra rolę decydu-

jącą i można mieć nadzieję, że przyszłe wybory do Dumy Państwowej, jakie, według pogłosek ostatnich, mają się odbyć jeszcze w grudniu r. b., odbędą się już pod hasłem, wspólnem wszystkim stronnictwom narodowym, stojącym na gruncie autonomii kraju i pragnącym jego uspokojenia i wyrwania z otchłani anarchii.

I dla tego rokowania, jakie toczą się obecnie, mają doniosłość niepospolitą, od ich wyniku bowiem zależy stworzenie i ustalenie kierunku naszej polityki wewnętrznej na pewien dłuższy okres czasu.

Doba fermentu i walki stronnictw, nietyle o zasady, ile o drobne różnice metodyczne, powinna się skończyć. W okresie tej walki nauczyliśmy się niewątpliwie wielu rzeczy, poznaliśmy swoje siły wzajemne, złe i dobre strony. Czas więc na przyjęcie tego hasła, jakie zawsze i wszędzie prowadziło do zwycięstw: „maszerować oddzielnie, uderzać razem.“

Stronnictwa muszą być i muszą się różnić, ale konieczne jest porozumienie pomiędzy nimi, konieczne chwilowe zawieszenie broni tam, gdzie niebezpieczeństwo jest wspólne i gdzie cel wspólny polega na odwróceniu tego niebezpieczeństwa.

Miejmy nadzieję, że prawda ta stanie się prawdą, uznaną przez wszystkie partie i stronnictwa i że działając wspólnie, potrafią one uratować kraj od ostatecznej ruiny i upadku, ku którym pchają go obłąkane umysły rewolucjonistów *quand même* i — niedołęstwo rządu.

*

*

*

Do jakich rezultatów doprowadziła kraj nasz czterdziestoletnia gospodarka biurokracyi rosyjskiej świadczą wymownie *nawet* cyfry „urzędowe,“ zebrane i opracowane przez Centralny Komitet Statystyczny.

Oto garść tych cyfr, którym dobrze jest przyjrzeć się w przededniu spodziewanego samorządu.

Liczba ogólna miast w Królestwie Polskiem wynosi 121, w tem 10 miast gubernialnych i 67 powiatowych.

Względnie do gęstości zaludnienia, miasta te grupują się w sposób następujący: miast z ludnością powyżej 100,000 jest dwa—Warszawa i Łódź,—z ludnością od 20,000 do 100,000 — sie-

demnaście, małych miasteczek z ludnością od 3—20,000 osiemdziesiąt cztery i osad miejskich z ludnością poniżej 3,000 mieszkańców — siedemnaście.

Przeważają więc znacznie miasta mniejsze.

Pod względem narodowościowym w miastach rzuca się w oczy znaczna przewaga ludności żydowskiej, aczkolwiek nie brak i takich miast, w których przeważa ludność polska.

Liczba ogólna miast z przeważającą ludnością żydowską wynosi 86 czyli 80%, z przeważającą ludnością polską 34 czyli zaledwie 28%. Najjaskrawiej pod tym względem wyglądają ziemie: suwalska, siedlecka, radomska, lubelska i łomżyńska.

Statystykę ludności rosyjskiej w miastach Królestwa, dane Komitetu przedstawiają w sposób następujący: w trzech miastach— w Chełmie, Hrubieszowie i Dubience liczba ich dochodzi do 20%, w siedmiu miastach jest Rosyan powyżej 10%, w dziesięciu od 5% — 10%, w pięćdziesięciu dziewięciu od 1 — 5%, w 37 poniżej 1%, w czterech zaś miastach, w Kraśniku, Dąbrowie, Przedborzu i Staszowie—Rosyan nie ma wcale.

Z danych, które charakteryzują gospodarkę miast naszych, pozwolimy sobie przytoczyć najwymowniejsze.

Oto ogromna większość miast Królestwa Polskiego jest jeszcze oświetlona naftą. Elektryczność posiadają tylko miasta: Radom, Częstochowa, Sosnowice i Zawiercie. Z miast gubernialnych najgorzej oświetlone są Suwałki, gdzie jedną latarnię od drugiej dzieli przestrzeń 69 sążni, najlepiej Warszawa, gdzie przestrzeń ta wynosi 12 sążni i Piotrków — 17.

Nie o wiele inaczej przedstawia się i sprawa wodociągów. Oprócz czterech miast gubernialnych Warszawy, Łomży, Lublina i Płocka, oraz pięciu miast pomniejszych, posiadających urządzenia wodociągowe, pozostałe miasta czerpią wodę wprost z rzek i studni. Kanalizację, odprowadzającą ścieki, posiadają tylko Warszawa, Płock, Brześć Kujawski, Końskie i Zamość, w pozostałych zaś miastach praktykowana jest dotąd wywózka nieczystości, dokonywana przeważnie w sposób bardzo pierwotny, nie uwzględniający najkardynalniejszych wymagań higieny.

Sprawa szpitalnictwa przedstawia się już wprost rozpaczliwie. Szpitali brak jest więcej niż w połowie zaludnionych punktów kraju, mianowicie w 58-iu miastach!

Co się zaś tyczy pomocy lekarskiej wogóle, to mieszkańcy Królestwa mają ją zapewnioną w sposób bardzo nierównomierny, bo kiedy w Warszawie 1 lekarz przypada na 750 mieszkańców, w Suwałkach przypada 1 na 3096!

Tramwaje dotąd zaprowadziło u siebie 8 miast, hoteli brak jest w 34 miastach, zgoła żadnych zajazdów niema w 18 miastach, a w tej liczbie nawet w 5-iu powiatowych.

Wszystko to jednak jest jeszcze niczem w zestawieniu ze statystyką t. zw. instytucyj kulturalnych.

Z cyfr, zgromadzonych przez Komitet, dowiadujemy się, że w 53 miastach niema zupełnie żadnych czytelni ani bibliotek, a w liczbie miast pod tym względem upośledzonych, znajduje się jedno z najludniejszych miast gubernialnych — Lublin.

Zakłady naukowe wyższe były tylko w dwóch miastach w Warszawie i w Puławach.

Zakłady naukowe średnie istnieją: męskie w 32 miastach i żeńskie w 23. Szkół średnich w miastach Królestwa jest ogółem męskich 64, żeńskich 30. Szkoły niższe w liczbie ogólnej 90 posiadają wszystkie miasta, szkoły niedzielne istnieją w 68 miastach.

Oto obraz, który bez wdawania się w szczegóły, może napędzić poważną troską obywateli, rozumiejących potrzebę rychłego podźwignięcia kraju na wyższy stopień kultury.

Jakież ogrom pracy czeka przyszłe rady miejskie! Trzeba budować szkoły, zakładać szpitale, ogrody miejskie, zaprowadzać oświetlenie, kanalizację, wodociągi, wiercić studnie, otwierać czytelnie, tworzyć biblioteki, słowem rozpoczynać pracę kulturalną niemal od samego początku.

Czterdzieści lat ubiegłych, to dla rozwoju naszych miast lata stracone niemal zupełnie. Wiele z nich nie tylko, że nie poszło wcale naprzód, ale cofnęło się, w wielu z nich pokasowano dawne szkoły, dawne stowarzyszenia, które do tej pory byłyby się rozwinięły i działalnością swoją krajowi korzyść przyniosły.

Puścizna, jaką rady miast samorządnych otrzymują po magistratach, jest wprost opłakana. Dość jest narysować sobie w wyobraźni przeciętne nasze miasto prowincjonalne i porównać je z takim samym miastem w Niemczech, aby dojść do smutnego wniosku, że jesteśmy w ogonie kultury i że trzeba nielada wysiłków, abyśmy w ciągu kilku dziesiątków lat mogli zaspokoić choćby tylko najpierwsze potrzeby.

A jeżeli tak jest w miastach, które bądź co bądź, jako większe skupienia ludzi, miały większą łatwość w cywilizowaniu się, a nadto w niejednym wypadku korzystały z linii kolejowych (na 121 miast 58 leży przy kolei), będących, jak wiadomo, ważnym czynnikiem w rozprowadzaniu kultury, to o ileż smutnej wygląda wieś polska, odbita od świata, nie posiadająca nawet dróg do-
brych i zamknięta w granicach bardzo pierwotnych potrzeb.

I tu samorząd, o ile zostanie wprowadzony w ramach, jakich mamy prawo spodziewać się, i powoła do pracy czynniki społeczne — będzie miał rozległe przed sobą zadania do spełnienia. I tu trzeba będzie zaczynać od samego początku — od rozrzucenia wsi polskiej, od budowania chałup, od krycia ich dachówką ogniotrwałą, słowem od tego, co gdzieindziej zdołało się już dawno zestarzeć, a u nas jest dopiero nadzieją idącej przyszłości...

Do tego jednak, aby społeczeństwo mogło z całym zrozumieniem rzeczy zabrać się do oczekującej je pracy i pracy tej podjąć — potrzebne jest należyte przygotowanie, to znaczy z jednej strony rozejrzenie się w tem, co jest do zrobienia najpilniejszego — z drugiej zapoznanie się z najpraktyczniejszymi metodami działania i z całą obszerną literaturą naukową samorządu lokalnego.

Odsunięci od życia publicznego przez długie lata, skrępowani w inicjatywie, niedopuszczani do rządzenia sobą, — zostawiliśmy odłogiem całą tę dziedzinę, dziś więc, kiedy ona otwiera się przed nami, nie możemy stąpać po omacku, ale musimy uzbroić się w wiedzę odpowiednią, która uchroni nas od pomyłek i wskaże najwłaściwsze drogi, prowadzące do upragnionego celu.

Obywatele miejscy i ziemscy powinni to mieć na uwadze i starać się zawczasu o rozszerzanie i pogłębianie swoich wiadomości teoretycznych z zakresu gospodarki miast i samorządu wiejskiego, aby z chwilą, kiedy powołani zostaną do działalności praktycznej, mieli oczy otwarte na wszystko i umieli się łatwo w sytuacji zorientować.

*

*

*

Pamiętki naszej przeszłości historycznej, tudzież zabytki naszej sztuki i kultury były u nas narażone na dwojakie niebezpieczeństwo. Z jednej strony rząd rosyjski dążył świadomie do ich niszczenia i usuwania z przed oczu narodu, z drugiej — ignorancja i lekkomyślność jednostek z pośród społeczeństwa polskiego nieświadomie do tej akcji niszcycielskiej przykładały rękę.

Zwracaliśmy na to uwagę niejednokrotnie, jeszcze w tych czasach, kiedy rzeczy po imieniu mazywać nie było można. Byliśmy też zawsze wyrazicielami tej części opinii, która domagała się oddawna założenia u nas instytucji, powołanej do czuwania

nad tem, co zostawiły nam w spadku po sobie wieki ubiegłe, wieki wysokiej kultury, do jakiej naród nasz doszedł. Puścizna ta nie jest nadzwyczajnie bogata, kraj bowiem, który przez takie przeszedł nieszczęścia, wiele musiał stracić. Wojny, pożary, grabieże, konfiskaty — wszystko to obracało zamki i pałace w ruinę, gotując zniszczenie tym dziełom sztuki, które znajdowały tam schronienie. Część ich przepadła zupełnie, część została zrabowana, resztki zamożniejsze rody wywiozły za granicę. W kraju pozostało niewiele — tęp jednak cenniejsze jest to wszystko, co ocalało, co zdołaliśmy dotąd przechować i co mamy obowiązek przekazać w całości pokoleniom następnym.

Dokładna inwentaryzacja tych zabytków oraz rozciągnięcie umiejętnej pieczy nad nimi, jest też pierwszorzędnej wagi obowiązkiem kulturalnym, jaki dziś ciąży na nas.

Dokonać tego może tylko instytucja, specjalnie do tego powołana. I taka instytucja właśnie powstała. Jest nią związane świeżo z inicjatywy mec. Powichrowskiego „Towarzystwo opieki nad historycznymi pamiątkami i zabytkami sztuki i kultury polskiej.“

Instytucja zakreśla sobie zadanie szerokie. Przedewszystkiem zajmie się ona wyszukaniem rozproszonych po kraju i zarejestrowaniem odnalezionych pamiątek i zabytków. Następnie będzie je gromadziła drogą kupna, darowizn i zapisów, tak, aby mogła z czasem stworzyć własne muzeum.

Dalej Towarzystwo będzie zabezpieczało od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi ruiny polskich zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczenie historyczne, archeologiczne lub artystyczne, tudzież będzie przedsięwzięło wszelkie środki, zapobiegające uszkodzeniu ich i zagładzie.

Nadto jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa będzie mogło być skutecznie odnawianie zabytków historycznych nieruchomości, czy to prywatnych, czy też publicznych, miejskich i kościelnych.

Dalsze plany Towarzystwa stanowią: nabywanie na własność nieruchomości pamiątek i zabytków, lub też wyjednywanie u rządu wywłaszczenia ich na użytek publiczny; pomieszczenie na domach i miejscach, upamiętnionych wydarzeniami dziejowymi lub pobytom znakomitych mężów, tablic z odpowiednimi napisami; mianowanie na całym terytorjum swej działalności t. j. wszędzie, gdziekolwiek znajdują się pamiątki i zabytki sztuki i kultury polskiej — korespondentów, działających z ramienia i dla celów T-wa; urządzenie w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczytów i pogadanek bądź w ograniczonym kole swych człon-

ków, bądź dla szerszych kół publiczności; wydawanie własnego czasopisma lub obranie jednego z istniejących już organów prasy za swój specjalny organ, w którym T-wo pomieszczać będzie prace naukowe swych członków, dotyczące zabytków i pamiątek, oraz poryadyczne sprawozdania ze swej działalności; wreszcie utrzymywanie stosunków z polskimi i zagranicznymi Towarzystwami i instytucjami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

Jak widzimy jest to szeroki zakres działania, zupełnie odpowiadający potrzebom w tym kierunku, możliwy jednak do urzeczywistnienia tylko przy istnieniu odpowiednich funduszków, to znaczy przy należytem poparciu materialnem T-wa ze strony całego społeczeństwa.

Członkiem T-wa powinien zostać każdy, komu drogie są pamiątki i zabytki naszej przeszłości. Nie powinno być w kraju takiej okolicy, gdzieby wiadomość o Towarzystwie nie dotarła i gdzie nie znalazłaby się jednostka, popierająca jego cele i dopomagająca mu w pracy. Uczynić to tem łatwiej, że składki członkowskie nowego T-wa są stosunkowo niskie. A więc członkiem założycielem jest każdy, kto na cele T-wa złoży jednorazowo przynajmniej 100 rb., członek protektor płaci rocznej składki przynajmniej 10 rb., a członek zwyczajny tylko *rubla* rocznie. Na tych *członkach zwyczajnych* T-wo byt swój oprze z łatwością, jeżeli staną oni do apelu zwartym szeregiem i stworzą zastęp tak liczny, jaki stworzyć powinni.

*

*

*

Życie przeciwstawia się anarchii przez swoją moc twórczą i dzięki tej mocy pierwiastek ładu i porządku musi zwyciężyć. Niedołęstwo rządu, opaczne środki, których się on chwytą w walce z rozkładem, zwycięstwo to odsuwają, pomimo to wszakże, nawet w ciężkich warunkach obecnych, praca, która prowadzi nas do lepszej przyszłości, rozwija się i posuwa naprzód.

Niema prawie dziedzin, którą inicjatywa ludzi, miłujących prawdziwie swój kraj i naród, pozostawiłaby nietkniętą. Wszędzie znać ruch wzmożony, wszędzie usiłowania w kierunku twórczym.

Długie lata ucisku cofnęły nas, lub zatrzymały w rozwoju normalnym. Byliśmy społeczeństwem, pozbawionem niemal wszyst-

kiego i dziś czujemy braki na każdym kroku. Zapełnić je — oto zadanie pokolenia, któremu sądono żyć w dobie przełomu i rzucać podwalinę pod gminach przyszłej pomyślności narodu.

Pomyślność ta zależy jednak przedewszystkiem od *światła*. Dla tego też hasła oświaty znalazły oddźwięk najszerszy i zgrupowały ogromną ilość ludzi, chętnych do pracy i ofiar, dokoła Macierzy Szkolnej. Dla tego też wszelkie projekty, czy dotyczą one instytutu pedagogicznego im. Orzeszkowej, czy kursów naukowych, czy ochron wiejskich — spotykają się z poparciem ogółu.

Między innymi i zawiązujące się *Towarzystwo biblioteki publicznej* ma na celu zdobycie jednego z ważnych środków szerzenia kultury.

Brak biblioteki — naprawdę publicznej i zasobnej w książki ze wszystkich działów nauki, oddawna dawał się Warszawie we znaki.

Stolica kraju, — główny ośrodek jego ruchu umysłowego — posiada dotąd jedynie bibliotekę uniwersytecką, która już przez to samo, że jest uniwersytecką, nie może zaspokoić potrzeb inteligentnego ogółu. Jak wiadomo bowiem, biblioteki uniwersyteckie, są przedewszystkiem bibliotekami dla profesorów i studentów, normują więc swoje zbiory potrzebami poszczególnych katedr i to w tych wyłącznie kierunkach, w jakich dany profesor pracuje, co przy współczesnej specjalizacji wiedzy upośledza pewne działy jednej i tej samej nauki na rzecz innych. Dalej — profesorowie uniwersytetu warszawskiego w przeważnej swojej liczbie nie odznaczali się ani szerokimi horyzontami, ani zbyt wielkim zapalem do wiedzy. Jako urzędnicy, wykładali to, co zawiera program, nauki jednak naprzód nie popychali, a stąd mało zwracali uwagi na to, czy ich „warszaty“ są w porządku. I nie koniec na tem. Uniwersytet warszawski, który był raczej narzędziem polityki rusyfikacyjnej, niż wyższą szkołą w istotnem rozumieniu rzeczy, wielu katedr nie posiadał, a stąd są całe gałęzie wiedzy, które przez nikogo na tym uniwersytecie nie były uprawiane, a więc nikt nie dbał o gromadzenie książek odpowiednich.

Największą jednak przeszkodą, tamującą zbliżenie się do tej biblioteki społeczeństwa polskiego, obok wspomnianego już jej charakteru urzędowo-rosyjskiego, jest ograniczona ilość godzin, w ciągu których biblioteka funkcjonuje. Jest ona mianowicie otwarta jedynie od 10 rano do 3-iej po poł., i rzecz naturalna, że cały zastęp ludzi, którzy w tym czasie pracują na chleb, nie może korzystać wcale z księgozbioru naukowego, zamkniętego nadto na siedem pieczęci podczas feryj Wielkanocnych, Bożego Narodzenia i długich wakacyj letnich.

Obok biblioteki uniwersyteckiej istnieją wprawdzie w Warszawie dwa jeszcze bogate księgozbiory: ordynacyi Zamoyskich i ordynacyi Krasińskich, ale są one bibliotekami prywatnemi i rzecz zrozumiała, że właściciele pozwalają tam pracować jedynie uczonym specjalistom. Nadto oba księgozbiory mają bardzo cenny i bogaty materiał w dziedzinie historyczno-literackiej, zaś nauki przyrodnicze, społeczne i ekonomiczne są tam z natury rzeczy reprezentowane słabo.

Tymczasem właśnie w dziedzinie tych nauk w ostatnich latach ruch wznógł się bardzo i prawdopodobnie nadal w jeszcze szybszem tempie wzmagać się będzie.

Stworzenie więc wielkiej ksiąźnicy, która byłaby dla wszystkich dostępna, a nadto posiadałaby dzieła z zakresu wszystkich nauk ważniejszych—ma dla Warszawy znaczenie niepoślednie.

Jeżeli dziś praca naukowa nie rozwija się u nas należycie, to winna jest temu nietylko szkoła rosyjska, która myśl naukową celowo zabijała w swoich uczniach, ale i brak odpowiedniego warsztatu do takiej pracy.

Warsztatem takim jest zaś *dobra biblioteka* i od niej zależeć będzie w niemałym stopniu przyszłość naszego ruchu naukowego.

Przed rokiem podaliśmy na tem miejscu wiadomość o zamiarach p. S. Smolikowskiego, który bogate zbiory swoje pragnął umieścić w specjalnie na ten cel zbudowanym gmachu i oddać je na użytek publiczny. W tym celu został już nabyty obszerny plac przy zbiegu ulic Pięknej, Mokotowskiej i Kruczej i gdyby nie czasy niezwykłych wstrząśnień, jakie przeżywamy, być może, że budowa gmachu byłaby już rozpoczętą. W każdym razie jest to rzecz, która prędzej czy później będzie urzeczywistnioną. Należałoby więc, aby Towarzystwo biblioteki publicznej porozumiało się przedewszystkiem z p. Smolikowskim, a kto wie, czy jego usiłowań nie da się połączyć z usiłowaniami grona osób, występujących obecnie z inicjatywą stworzenia wielkiej biblioteki publicznej. Gdyby porozumienie do skutku nie doszło, w takim razie społeczeństwo będzie miało do spełnienia zadanie o wiele trudniejsze i większych wymagające środków, ale nie zawaha się zapewne przed żadną ofiarą, aby cel upragniony osiągnąć. Znajdą się niewątpliwie hojni ofiarodawcy, którzy bądź wezmą na siebie skompletowanie poszczególnych działów biblioteki, bądź przekażą jej własne zbiory, bądź wreszcie wesprą Towarzystwo środkami materialnemi.

Tą drogą Warszawa za lat kilka może mieć nowe ognisko pracy umysłowej, odpowiadające jej potrzebom wielostronnym i dostępne nietylko dla uczonych zawodowych, ale i dla tego szerszego koła inteligencji, która zajmuje się nauką o tyle, że pragnie wiedzieć o tem, co się w jej świecie dzieje. Nadto przyszła biblioteka publiczna powinna mieć także obszerną czytelnię *popularną*, zaopatrzoną nawet w czasopisma bieżące, tak, aby każdy obywatel mógł tam wejść i znaleźć odpowiedni dla siebie pokarm duchowy.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO WYŻSZYCH KURSÓW NAUKOWYCH W WARSZAWIE. —
Od dawna brak wyższej uczelni polskiej w Warszawie, był najdotkliwszym niedostatkim kulturalnym, jaki wytworzyły anormalne warunki kraju. Dziś brakowi temu, chociaż w części, zapobiega nowa instytucya, nosząca powyższy tytuł. Kursa naukowe zorganizowane zostały, dzięki energicznej pracy kilku jednostek i rychło się rozwinęły. Już w roku zeszłym miały miejsce wykłady w dwóch sekeyach: technicznej i przyrodniczej. Teraz utworzyła się sekeya humanistyczna i z dniem 1 października, wszystkie trzy oddziały, obejmujące całokształt nauk, zaczęły funkcyonować. Powodzenie, jakim się cieszyły wykłady przyrodnicze w roku zeszłym, każe się spodziewać, że i teraz społeczeństwo odniesie się życzliwie do instytucyi i licznemi zapisami da możność utrzymania nadal i coraz to szerszego rozwijania tego pierwszego polskiego prywatnego uniwersytetu w Warszawie.

Towarzystwo Kursów Naukowych, bo tak oficjalnie brzmi jego nazwa, dla wypełnienia głównego swego celu: rozpowszechniania wiadomości naukowych wśród szerszych warstw społeczeństwa, urządzać zamierza: oprócz systematycznych wykładów naukowych z dziedziny językoznawstwa, historii, literatury, sztuki, prawa, ekonomii i nauk społecznych, filozofii, pedagogiki, nauk matematycznych, przyrodniczych i technicznych,—jeszcze konwersatorya naukowe na tematy z powyższych dziedzin, ćwiczenia praktyczne w pracowniach naukowych Tow. Kursów Nauk. lub w innych instytucyach, prace seminaryjne i wycieczki naukowe.—Podział nauk na humanistyczne, przyrodnicze i techniczne, przyjęty w wykładach K. N., nie odpowiada przyjętym dotąd w uniwersytetach klasyfikacyom na wydziały, jest jednak o wiele racjonalniejszy, bo odpowiada najbardziej rozpowszechnionym klasyfikacyom umiejętności, co do których nie stosują się uniwersytety, jako instytucye dawniej powstałe.

W seceyi humanistycznej na semestr 1-szy zimowy 1906/7 ogłoszono następujące wykłady:

A. Językoznawstwo. 1. Wstęp do językoznawstwa ogólnego, p. *K. Appel*. 2. Rozwój języka polskiego, p. *A. A. Kryński*. 3. Ojaśnienie za-
bytków języka polskiego, p. *A. A. Kryński*. 4. Fizjologia mowy na podstawie
polszczyzny, p. *T. Benni*. 5. Wykład naukowy języka francuskiego, p. *K. Appel*.
6. Język angielski, p. *T. Benni*.

B. Historia. 1. Dzieje kultury pierwotnej, p. *L. Krzywicki*. 2. Hi-
storia słowian od czasów najdawniejszych do końca X wieku, p. *K. Wachowski*.
3. Seminaryum historyczne, p. *K. Wachowski*. 4. Dzieje Polski do r. 1296, p. *St.*
Kętrzyński. 5. Dzieje Polski od 1296 do 1505, p. *Z. K. Kochanowski*. 6. Dzieje
Litwy i Rusi w epoce Jagiellonów, p. *J. Jakubowski*. 7. Seminaryum history-
czne, p. *J. Jakubowski*. 8. Czasy Saskie, p. *Wł. Konopczyński*. 9. Wielka re-
wolucya francuska równolegle ze współczesną historją Polski (1788—1804),
p. *T. Korzon*. 10. Dzieje Księstwa Warszawskiego, p. *J. Bojasiński*. 11. Histo-
rya polityczna Europy 1814—1834 r., p. *M. Sokolnicki*.

C. Nauki pomocnicze historyczne. 1. Dyplomatyka ogólna
ze szczególnem uwzględnieniem polskiej, p. *St. Kętrzyński*. 2. Ćwiczenia z pa-
leografii, p. *J. Kochanowski*.

D. Teorya i historia literatury i sztuki. 1) Historia
sztuki i archeologia, p. *W. Trojanowski*. 2. Złoty wiek literatury staropolskiej,
p. *Ig. Chrzanowski*. 3. Wskazówki do badań hist. liter., objaśnianie autorów
XVI w., p. *Ig. Chrzanowski*. 4. Wskazówki do szkolnego nauczania hist. i lit.
polskiej oraz do wypracowań, p. *Ig. Chrzanowski*. 5. Prądy literatury zachodnio-
europejskiej w drugiej połowie XIX st., p. *Władysław Jabłonowski*.

E. Prawo i ekonomia społeczna. 1. Prawo polityczne i kon-
stytucye współczesne, p. *Br. Bouffal*. 2. Prawo handlowe, p. *K. Duśin*. 3. Sa-
morząd i autonomia, p. *H. Konic*. 4. Nowoczesna polityka kryminalna, p. *E. Rap-
paport*. 5. Historia prawa karnego polskiego, p. *M. Handelsman*. 6. Ekonomia
polityczna, p. *Wł. Studnicki*. 7. Rozwój historyczny teoryj ekonomicznych,
p. *St. Bukowiecki*.

F. Filozofia. 1. Wstęp do filozofii, p. *Wł. M. Kozłowski*. 2. Filozo-
fia Kanta, p. *J. Lewkowicz*. 3. Seminaryum (z filozofii Kanta), p. *J. Lewkowicz*.
4. Filozofia współczesna, p. *Wł. M. Kozłowski*.

Na seceyi fizyko-matematycznej ogłoszono następujące wykłady:

A. Przedmioty matematyczne. 1. Wstęp do analizy, p. *T. Sier-
piński*. 2. Analiza algebraiczna (ciąg dalszy), p. *S. Dickstein*. 3. Geometrya ana-
lityczna przestrzeni, p. *L. Zarzecki*. 4. Geometrya analityczna płaszczyzny,
p. *L. Zarzecki*. 5. Kurs matematyki dla przyrodników, p. *S. Dickstein*. 6. Teo-
rya liczb, p. *T. Sierpiński*. 7. Rachunek nieskończoności, p. *S. Dickstein*.

B. Przedmioty przyrodnicze. 1. Biologia ogólna dla nowowst.,
p. *J. Sosnowski*. 2. Biologia ogólna c. d., p. *J. Sosnowski*. 3. Fizjologia (ner-
wy, mięśnie, zmysły), p. *J. Sosnowski*. 4. Embryologia porównawcza, p. *J. Tur*.
5. Zoologia dla nowowst., p. *J. Tur*. 6. Zoologia c. d., p. *J. Tur*. 7. Botanika.
Morfologia, p. *Z. Wójcicki*. 8. Botanika. Ćwiczenia z morf., p. *Z. Wójcicki*.
9. Botanika. Anatomia dla nowowst., p. *Z. Wójcicki*. 10. Mineralogia, p. *Z. Wey-*

berg. 11. Geologia dynamiczna, p. *J. Lewiński*. 12. Paleontologia, p. *J. Lewiński*. 13. Fizyka (ciepło i część światła), p. *S. Kalinowski*. 14. Chemia nieorganiczna, p. *T. Miłobędzki*. 15. Chemia organiczna cz. II, p. *J. Bielecki*. 16. Antropologia zoologiczna, p. *K. Stołyhowo*. 17. Antropologia etniczna, p. *L. Krzywicki*. 18. Logika, p. *A. Mahrburg*. 19. Psychologia dla nowowst., p. *A. Mahrburg*. 20. Psychologia c. d., p. *A. Mahrburg*.

Na seceyi technicznej ogłoszono wykłady:

A. Ogólne. 1. Uzupełniający kurs matematyki średniej, p. *K. Bagiński*. 2. Rachunek różniczkowy i całkowity, część I-sza, p. *Z. Straszewicz*. 3. Rachunek różniczkowy i całkowity, p. *Z. Straszewicz*. 4. Geometrya analityczna, p. *Czopowski*. 5. Mechanika techniczna, p. *Radziszewski*. 6. Geometrya wykresna, p. *Faterson*.

B. Specyalne. 1. Części maszyn, p. *Lisiecki*. 2. Technika ciepła, p. *Okolski*. 3. Zarysy elektrotechnik, cz. II: maszyny, przyrządy i instalacje, p. *Požaryski*. 4. Próby materyałów budowlanych: wykład i zajęcia praktyczne, p. *Szczeniowski*. 5. Wytrzymałość materyałów teoretyczna, p. *Obrębowicz*. 6. Termodynamika, p. *Czopowski*. 7. Statyka budowlana I: ustroje statycznie wyznaczalne, p. *Grabowski*. 8. Statyka budowlana II: ustroje statycznie niewyznaczalne, p. *Grabowski*. 9. Zeszkłady żelazne w zastosowaniu do budownictwa, p. *Jenike*. 10. Konstrukcyje budowlane, p. *Domaniewski*. 11. Formy architektoniczne, p. *Heurich*. 12. Kompozycya architektoniczna, pp. *Marconi* i *S. Szyller*. 13. Historia architektury średniowiecznej, p. *Dziekoński*. 14. Statyka wykresna z ćwiczeniami, p. *Miłkowski*. 15. Kolejnictwo, p. *Wasintyński*. 16. Geologia, p. *Kontkiewicz*. 17. Krystalografia, p. *Sioma*. 18. Mineralogia, p. *Sioma*. 19. Technologia chemiczna ogólna, p. *B. Miklaszewski*.

Towarzystwo K. N. składa się z Zarządu, do którego wchodzi pp.: Chelchowski Kazimierz, Chuzanowski Ignacy, Drzewiecki Piotr, Eberhardt Julian, Kryński Leon, Natanson Józef, Osuchowski Antoni, Ruśkiewicz Tomasz i Świętochowski Andrzej. Zarząd zajmie się sprawami administracyjnymi i organizacyjnymi. Poza tem jest Rada naukowa, składająca się z osób, wykładających na kursach. Dzieli się ona na trzy seceye, które zajmują się sprawami naukowymi i pedagogicznymi, wchodzącymi w zakres specyalności każdej seceyi. — Faktycznie jednak, wobec niemożności zwolywania pełnej Rady naukowej wszystkich jej członków, naukowymi sprawami Towarzystwa zarządza prezydum złożone z przewodniczącego Rady naukowej (*S. Dickstein*), sekretarza (p. *Z. K. Kochanowski*) i prezesów i delegatów od poszczególnych seceyj, mianowicie: z seceyi humanistycznej, jako prezes *T. Korzon*, jako delegat *A. Kryński*; z seceyi fizyko-matematycznej, jako prezes *S. Dickstein*, zastępujący go wiceprezes *Jan Lewiński*, i jako delegat *Mahrburg*, z seceyi zaś technicznej przewodniczący jej inż. *K. Obrębowicz*.

Członkiem Tow. K. N. zostaje każdy, kto zechce płacić 10 rs. rocznie i zostanie przez Tow. przyjęty.

F. P.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD HISTORYCZNYMI PAMIĄTKAMI I ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY POLSKIEJ. Kiedy na całej powierzchni Europy czynione są usiłowania ochrony zabytków przeszłości i ich naukowego opracowania, kiedy sama Galicya ma dwa grona konserwatorów zabytków: wschodnie i zachodnie, (oprócz Komisji Historji Sztuki przy Akademii i Towarzystwa Miłośników Krakowa), tu, w Królestwie, nie było dotąd ani jednego organu naukowego, któryby roztaczał opiekę nad wpadającymi w ruinę zabytkami, naukowo je opracowywał. Dotychczasowa zaś opieka państwowa spełniała w tym kierunku tylko rolę złej macochy. To też uważać należy za wielką zdobycz kulturalną i naukową, pozwolenie zorganizowania w Warszawie tak ważnej instytucji, bez której żadne społeczeństwo, przeszłość kulturalną mające, już dziś się nie obywa. I mieć należy nadzieję, że nawet wśród zawieruchy politycznej piękna myśl inicjatorów Towarzystwa w społeczeństwie naszym uszanowaną zostanie i należyte znajdzie poparcie. Według ogłoszonej drukiem ustawy Towarzystwo (nie wiemy, jaką alfabetyczną kombinację sobie wybierze T. O. N. H. P.), ma na celu zabezpieczanie i chronienie zabytków sztuki kultury polskiej od uszkodzeń i zagłady. W tym celu Towarzystwo 1) wyszukuje i inwentaryzuje pamiątki i zabytki polskiej sztuki i kultury; 2) gromadzi pomienione zabytki drogą kupna, darowizn, zapisów i t. p.; 3) otacza opieką, zabezpiecza od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi ruiny zamków i baszt, pomniki, domy starodawne i wszelkie budowle, mające znaczenie historyczne, archeologiczne lub artystyczne, i przedsięwzięcie wszelkie środki, zapobiegające uszkodzeniu ich i zagładzie. Nadto odnawianie zabytków artystycznych i pamiątek historycznych nieruchomości, czy to prywatnych czy też publicznych, miejskich i kościelnych, jedynie za wiedzą i opinią Towarzystwa skutecznym być może; 4) nabywa na własność nieruchomości pamiątki i zabytki, lub też wyjednywa u Rządu wywłaszczenie ich na użytek publiczny; 5) pomieszcza na domach i miejscach upamiętnionych wydarzeniami dziejowymi lub pobytem znakomitych mężów tablice z odpowiednimi napisami; 6) mianuje na całym terytorjum swej działalności, gdzie się okaże potrzeba, korespondentów, działających z ramienia i dla celów Towarzystwa; 7) urządza w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych odczyty i pogadanki bądź w ograniczonym kole swych członków, bądź dla szerszych kół publiczności; 8) prenumeruje fachowe czasopisma i gromadzi dzieła celom Towarzystwa odpowiednie, dla użytku Zarządu i członków Towarzystwa; 9) wydaje własne czasopismo, lub obiera jeden z istniejących już organów prasy za swój specjalny organ, w którym Towarzystwo pomieszczać będzie prace naukowe swych członków, dotyczące zabytków i pamiątek, peryodyczne sprawozdania ze swej działalności i poszczególnych swych członków oraz sprawozdania z ogólnych Zgromadzeń Towarzystwa; 10) utrzymuje stosunki z polskimi i zagranicznymi Towarzystwami i Instytucjami, których cele są pokrewne celom Towarzystwa.

Członkowie założyciele wnoszą po 100 rb., protektorowie po 10 rb., zwyczajni po rublu. Zarząd składa 15 członków, z których 9 ma być fachowców.

Jedynym brakiem, jaki w ustawie dopatrujemy, to brak prawa, któreby pozwalało Towarzystwu zabraniać nawet właścicielom dowolnych przebudówek, gdy ci z nieumiejętnością do takowych przystępują. Mijmy nadzieję, że

z czasem i ten konieczny dla dopięcia celów Towarzystwa warunek przyznany mu zostanie.

F. P.

N O W E K S I A Ź K I.

— TEKI A. PAWIŃSKIEGO T. VII. Księgi sądowe brzesko-kujawskie (1418—1424), opracował i wydał *I. K. Kochanowski*. Warszawa, 1905. 8-o, str. XXI + 631.

Jak wiadomo po ś. p. Pawińskim pozostało wiele rękopisów, częściowo przygotowanych do druku i czekających na odpowiednie opracowanie. Z materiałów tych wydano dotąd sześć tomów, z których 3 zawierają księgi sądowe łączyckie, dwie „kwitancye“ Aleksandra i Kazimierza Jagiellończyka, a jeden dyaryusz sejmowe: 1581, 1681 i 1726. Obecnie ukazał się siódmy z kolei tom, w którym opublikowano księgę brzesko-kujawskich zapisek sądowych z lat 1418—1424, (właściwie połowę tej księgi, gdyż całkowita obejmuje lata od 1418 po 1430). Nie jest to najdawniejsza księga brzesko-kujawska. Jest ona właściwie czwartą z kolei. Archiwum główne w Warszawie posiada trzy dawniejsze, z których najstarsza zawiera podobno zapiski sięgające dalej w przeszłość, bo aż do 1381 roku. Zwyczaj, przystępując do ogłaszania drukiem zapisek sądowych, wydawcy zaczynają od najdawniejszych — usprawiedliwia się więc we wstępie p. Kochanowski ze swego wyboru i tłumaczy go brakiem wiadomości o dawniejszych księgach w „Tekach Pawińskiego.“ — W przyszłości zamierza on ogłosić i te najdawniejsze pomniki prawa i wewnętrznych dziejów ziemi kujawskiej. Obecnie z wielką skrupulatnością, uwzględniając wszystkie „szykany wydawnicze,“ ogłasza zapiski od 1418 — 1424, t. j. za przeciąg lat sześciu. W obszernej przedmowie wyjaśnia on przyjętą przez siebie metodę wydawniczą. I tu za zasługę wydawcy poczytać należy, że nie zastosował do swego wydawnictwa dość ogólnie przyjętego zwyczaju streszczenia zapisek. Każde bowiem streszczenie wnosi element subiektywny do wydawnictwa i zacieśnia rany jego późniejszej użyteczności, gdyż w przyszłości zjawić się mogą kwestye dziś zgoła w nauce nie przewidziane. Drugą wielką zasługę wydawcy i dowód ogromnej jego pracowitości, stanowią świetne indeksy. Nie mówię już o indeksie osobowym, który przedstawia wielkie trudności, znane tylko osobom z wydawnictwami podobnemi mającym do czynienia, wskazać należy na wielce wyczerpujący indeks rzeczowy, dzięki któremu każdy badacz, czy to historyk, czy prawnik, w labiryncie 4072 zapisek łatwo będzie się mógł zorientować. Mamy nadzieję, że po wydaniu tomu 4-tego zapisek brzesko-kujawskich, autor, włożywszy tyle tak mozolnego trudu w świetne opracowanie zapisek 1418—1424, zechce zużytkować ten pozyskany zasób znajomości lokalnych stosunków, a także wyzyskać swoje doświadczenie w technice wydawniczej tak świetnie w tym tomie uwydatnione, aby corychlej przystąpić do ogłoszenia najdawniejszych ksiąg brzesko-kujawskich, które wraz z już ogłoszonym tomem stanowią mogą nieoceniony materiał historyczny, prawny i obyczajowy.

Nie bądźmy jednak zbyt wymagającymi: to, co tom niniejszy zawiera, jest już bardzo wiele. Zresztą nie posiadamy pewności, czy najdawniejsze księgi wiele się różniły od ogłoszonej teraz drukiem. Autor we wstępie wyraża zdanie, że przy konserwatyźmie wieków średnich, okres jednego pokolenia, parę dziesiątków lat, nie mógł uwydatnić na tle właściwego materiału dziejowego różnice poważniejsze.

Praca niniejsza została chlubnie odznaczona przez Kasę Mianowskiego, jako najlepsze dzieło związek z historią mające, a ogłoszone przez Królewiana w przeciągu lat 1903, 1904, 1905, do czego przywiązana jest nagroda Rb. 600.

F. P.

— ANTYKWARYAT POLSKI w Warszawie pod firmą *Hieronim Wilder i Sp.* wydał pierwszy swój katalog p. t. *Historja Polski*. Katalog ten obejmuje 1109 numerów. Dobór dzieł historycznych tutaj zebranych, oraz dokładne jego opracowanie, chlubne daje świadectwo Antykwaryatowi, który stawia sobie zadanie „zapobiegania butwieniu naszych druków i obrazów oraz nie wypuszczania rzeczy cenniejszych poza granice kraju,“ a poza tem obiecuje uskutecznić w miarę możności przedruki dzieł rzadkich, odbitki rycin nieznanych, a przedewszystkiem udostępnić uczonym naszym źródła swoje i obce, zbieraczom zaś ułatwić gromadzenie poszukiwanych rzeczy.

Główny zrab Antykwaryatu Polskiego stanowią jak dotąd: dublety bib. Ord. Krasieńskich, bib. Ord. Zamojskich, księgozbiór dr. Stan. Krysińskiego, gen. A. hr. Tolstoja i niedawno zmarłego lingwisty prof. Ant. Kaliny. Poza tem dublety biblioteki Ossolińskich we Lwowie zasilą wkrótce Antykwaryat kilkumastu tysiącami tomów.

Pora, w której założono tak potrzebną dla nauki instytucję w Warszawie, jest może niezbyt dla jej rozwoju odpowiednia, trzeba jednak wierzyć, że założyciele czasy złe przetrwają i nie zrażą się małym zainteresowaniem, jakie dziś budzi wśród ogółu ich praca.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— CZASOPISMO LEKARSKIE. Lipiec. Sierpień. St. Markiewicz (Warszawa): Uwagi dotyczące organizacji ochrony zdrowia i pomocy lekarskiej w różnych grupach zawodowych;—St. Ronthaler (Warszawa): Badanie słuchu w szkołach;—W. Jasiński (Łódź): Przyczynki do kazuistyki ropni miednicowych u dzieci;—J. Brudziński i H. Trenkner (Łódź): Przyczynki do leczenia płonicy surowicą przeciwpłonieczą (z 11 rysunkami);—H. Nowak (Częstochowa): Zasady walki ze śmiertelnością niemowląt (dokończenie);—Korespondencye;—Tow. Lekarskie prowincjonalne;—Kronika.

— NOWINY LEKARSKIE. Sierpień. Zembrzusi (Warszawa): W sprawie operowania w przypadkach ran postrzałowych czaszki z uwieczgnięciem kuli w mózgu;—J. Hornowski (Warszawa): O znaczeniu inoskopii przy rozpoznawa-

niu cierpień jamy brzusznej;—Dział sprawozdawczy;—Ruch w Towarzystwach;—Przegląd polskiej prasy lekarskiej;—Odcinek;—Rozmaitości.

— OGNISKO. Lipiec. W. Załęski: Kwestya robotnicza i socyalizm;—M. Rej, R. Wrzesień: Szadzka, nowela;—Z. Różycki: Jasne dusze, wiersz;—M.: Bunt wojskowy podczas rewolucyi. Ze wspomnień dziejowych;—Dramat w Klondyke;—Or-Ot: Pieśń o dziejach naszych, wiersz;—Polowanie z aparatem fotograficznym na krokodyla, przełożyła H. O.;—B. Rogaczewski: Wrażenia z wycieczki po Szwajcaryi;—D. K.: Z bajek dalekiego wschodu, nowela;—Myśliwy bez rąk;—M. Koblane: Niezwykłe przygody Lupina;—Pod słońcem afrykańskim w Abisynii;—Fr. Galiński: Łów pereł, wiersz;—Dzieje deputowanego, nowela, z franc. Med.;—E. Żmijewska: Sprawy kobiece;—Duchy i widma;—Rozmaitości.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. T. III. Zesz. 2. Wrzesień i październik. Al. Brüekner: Próbkę najnowszej krytyki historycznej, dokończenie;—X. Władysław Sześciński: Rzekoma bytność legatów Leona IX, Papieża, na Rusi w r. 1054;—Maryan Goyski: Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej przez Władysława Opolczyka i pierwsze lata sporu (1391—1399). Szkice historyczne (2. Tytuł prawny posiadania i legalność zastawu. 3. Wojna i dalsze mactwa), ciąg dalszy;—Władysław Smoleński: Szkice z dziejów szlachty mazowieckiej (Sprawa drobnej szlachty w XVIII w.);—M. Sokolnicki: Generał Michał Sokolnicki a drugi legion naddunajski (1790—1802), (1. Sprawa legionowa. 2. Wojna nad Renem);—A. Kraushar: Z tajnego archiwum senatora Nowosilcowa. (Lojalna historia Rzymu profesora Zimserlinga). Kartka z dziejów szkolnictwa za Królestwa Kongresowego (1819—1824);—Szymon Askenazy: Przegląd dziejów wewnętrznych Rosyi (1815—1830), dokończenie;—N. Michałowicz: O prawie przyzwalania krewnych na pozbywanie nieruchomości w Wielkopolsce aż do ustawodawstwa Kazimierza Wielkiego (2. Przedmioty prawa przyzwalania), ciąg dalszy;—Stefan Gorski: Towarzystwo naukowe plockie;—Sprawozdania: Henri Hauser: 1 Przegląd najnowszej historyografii francuskiej (ostatnie pięćdziesiąt lat), dokończenie.

— PRZEWODNIK ZDROWIA. Sierpień. Kąpiel powietrzno-słoneczna i jej znaczenie dla zdrowia naszego;—Sposoby zabezpieczenia mleka od kwaśnienia i przepisy zdrowotnego obchodzenia się z mlekiem;—Głosy z koła czytających: Dziecko zatrute medycyną!—Przestrogi i Rady;—Rozmaitości;—W dodatku: O krzyżującej niedorzeczności i strasznej szkodliwości szczepienia ospy.

— WIADOMOŚCI PASTERSKIE. Sierpień. Ks. A. Szymański: O szczególniejszych zadaniach katolicyzmu w Polsce;—Ks. F. Klein: Dawniejsze i dzisiejsze naznaczanie biskupów;—Ks. A. Orchowski: Duszoznawstwo w pracy kapłańskiej;—Zagadnienia teologiczno-pasterskie;—Prawo i liturgia;—Trybuna wolna;—Piśmiennictwo.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — NAUKI SPOŁECZNE.

BEBEL AUGUST: Antysemityzm i socjalizm w Niemczech. Przekład Zofii Libkind-Lubodzieckiej. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 46.

HERZEN A., DR.: Wiedza a obyczajność. (Słowo do młodzieży męskiej). Odczyt wygłoszony w Genewie i Lozannie przez ... Opatrzono wstępem prof. dr. Adolfa Harnaka i prof. dr. Fr. Brentano, spolszczył E. J. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 43.

KAUTSKY KAROL: Etyka w świetle materialistycznego pojmowania historii. Szkic. Bibl. Naukowa. Warszawa, 1906. 8-o, str. 150.

KOPYCIŃSKI ADAM, KS. DR.: O sakramencie pokuty. Według zasad św. Alfonsa i innych znakomitych autorów. Opracował ponownie ... Wydanie nowe. Przemyśl, 1905. Skł. gł. w księg. „Kron. Rodz.“ w Warszawie. 8-o, str. XVI + 535.

KS. PRAWDZIC: Lud a duchowieństwo. Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 136.

RENOUVIER K.: O obowiązkach społecznych człowieka i obywatela. Z nowego wydania, ogłoszonego z notatką o Karolu Renouvier. Przez J. Thomasa. Przetłóżył Konrad Drzewiecki. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 220.

STERN L.: Materyalizm dziejowy i teoria nadwartościowa Karola Marxa (w wykładzie popularnym). Przetłóżył A. T. Warszawa, 1906. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 47.

H I S T O R Y A.

BERG MIKOŁAJ, PROF.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. № 444, 445. 8-o, cz. V str. 131, cz. VI str. 131.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom IX. Zeszyt VII. Od Karczewsey—Karpowie. 4-o, str. od 241 do 280.

KAREJEW M., PROF.: Podręcznik historii nowożytnej z mapami historycznymi. Przekład z ostatniego wydania oryginału dokonany z upoważnienia autora przez Wł. Bukowińskiego. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. głów. w księg. E. Wende i S-ka. 8-o, str. VII + 328.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Dwa szkice historyczne z czasów Stanisława Augusta. Biblioteka Dzieł Wyborowych № 389 i 390. Warszawa, 1905. 8-o, str. 124 + 120.

KUMANIECKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW: Cechy rękodzielnicze w Krakowie. Osobne odbicie z zeszytu IX statystyki m. Krakowa. Kraków, 1906. 8-o, form. duży, str. 37.

MORAWSKI SZCZESNY: Aryanie polscy. (Z 8 rycinami.) Lwów, 1906. Nakł. autora. Kraków, Skł. gł. Gebethner i Sp. 8-o, str. XXVII + 564.

POWSTANIE NARODU POLSKIEGO 1830 — 1831 r. W świetle krytyki mocarstw europejskich. Z rękopisów przełożył na język polski Kraków, 1906. Nakł. „Wydawnictwa pism politycznych.“ 8-o, str. 144.

RAKOWSKI KAZIMIERZ, DR.: Powstanie Poznańskie w 1848 roku. (Z mapką i 4-ma podobiznami dokumentów w tekście).

SCHERR J.: Z krwawych dni (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego I K. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Wybor. № 443. 8-o, str. 131.

WIPPER R., PROF.: Historia wieków średnich w zarysie. Z mapami historycznemi. Przełożył Stefan Ehrenkrentz. Warszawa, 1907. Wydawn. St. Kucharskiego. „Biblioteka Naukowa.“ 8-o, str. 379.

HISTORIA LITERATURY.

BIBLIOTEKA ZAPOMNIANYCH POETÓW I PROZAIKÓW POLSKICH XVI—XVII W. Zeszyt XXII. Listy brata do siostry. (Kardynała Denhoffa do wojewodziny Kątskiej) 1686 — 1697. Warszawa, 1905. Wydał Teodor Wierzbowski (z zapomogi Kasy Mianowskiego). 8-o, str. 32. — Zeszyt XXIII, Jerzego Dzieciuszyckiego, Traktat o elekeyi królów polskich z r. 1707. Warszawa, 1906. 8-o, str. 21.

GRABOWSKI TADEUSZ DR.: Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce (1550—1650).

JABŁONOWSKI WL.: Dwaj wieley patryoci włoscy (Giuseppe Mazzini i Giuseppe Garibaldi). Odbitka z „Myśli Polskiej.“ Warszawa, 1906. Nakł. „Myśli Polskiej.“ Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 40.

TENŻE: Gorkij Maksym. (Szkic literacki.) Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 54.

NITOWSKI JAN: Zarys historii literatury polskiej. Napisał . . . Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 246.

NOWACZYŃSKI ADOLF: Oskar Wilde. Studium. Aforyzmy. Nowele.

WIERZBOWSKI TEODOR: Komisya Edukacyi Narodowej, 1773—1794. Zeszyt 7. Raporty szkoły wydziałowej poznańskiej, składano Szkole Głównej w latach 1777—1789. Z zapomogi Kasy Mianowskiego. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 8 o, str. 235.

PRAWO. — EKONOMIA POLITYCZNA.

B. G., A. S. i C. G.: Tablica porównawcza współczesnych konstytucyj Anglii, Australii, Francji, Belgii, Holandyi, Niemiec, Prus, Austro-Węgier, Szwajcaryi, Włoch, Hiszpanii, Portugalii, Serbii, Rumunii, Grecyi, Danii, Szwecyi, Norwegii, Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., Japonii. Warszawa, 1906. Skł. główny w księg. G. Centnerszvera i Sp.

GRUŻEWSKI BOLESŁAW: Sądownictwo królewskie w pierwszej połowie rządów Zygmunta Starego.

SOMBART WERNER: Fryderyk Engels 1820—1895. Karta z dziejów rozwoju socjalizmu. Warszawa, 1907. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 61.

TENŻE: Kwestya robotnicza w przemyśle. Z upoważnienia autora przełożył Bohdan Wasiutyński. Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 180.

WASIUTYŃSKI BOHDAN: Administracya lokalna Królestwa Polskiego (1807—1905) wobec samorządu ziemskiego.

F I L O L O G I A.

BENNI TYTUS: Spostrzeżenia w dziedzinie polskiego sandhi. Odbitka z III-go tomu „Materiałów i Prac komisji językowej Akademii Umiejętności w Krakowie“ 1905.

N A U K I P R Z Y R O D N I C Z E.

LOEB JACQUES, prof. fizyologii w Chicago. Wstęp do fizyologii i psychologii porównawczej. Przekład z wydania niemieckiego, uzupełniony podług wydania angielskiego, d-ra Zygmunta Szymanowskiego. Słowo wstępne Adama Mahrburga. Z ilustracyami. Nakład Księgarni Naukowej. Warszawa, 1906. 8-o, str. 238.

ROSTAFIŃSKI JÓZEF, DR.: Botanika na biologicznej podstawie. Kurs II. Ogólny. Z tablicą barwną i 416 rycinami w tekście. Wydanie trzecie. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 200.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

ANDRZEJEW LEONIDAS: Kn gwiazdom. Dramat w czterech aktach. Przełożyła z rosyjskiego Campo. Warszawa, 1907. Nakład Księg. Powszechnej. 8-o, str. 117.

BYTKOWSKI ZYGMUNT: Ines de Kastro. Dramat w czterech aktach. Lwów, 1906. Nakładem księgarni H. Altenberga. Skł. główny w Warszawie E. Wende i Sp. 8 o, str. 163

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Gady. Powieść z XIV w. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 422.

LEMAŃSKI JAN: Ofiara królowy. Powieść fantastyczna. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 195.

ROGOWICZ WACŁAW: Proscenium. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, form. podł., str. 147.

RÓŻNYMI SZLAKI: Noworocznik literacki młodzieży kijowskiej. Z przedmową Kazimierza Przerwy Tetmajera. Kijów, 1906. Skład głów. w księg. L. Idzikowskiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 4-o, str. 164.

RÓŻYCKI ZYGMUNT: Pocałunki. Poczye. Serya III. Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbrandów i S-ów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 4-o, form. mały, str. 91.

VOSS RYSZARD: Willa Fakowieri. Przekład M. Łaganowskiej. Tom I i II. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. № 446, 447. 8-o, tom I str. 131, tom II str. 160.

WROŃSKI HENRYK: Rozbrzaski. Warszawa, 1906. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 111.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BARANIECKI MARYAN A.: Krótka arytmetyka z wielu zadaniami w dwu częściach. Napisał ... Część druga. Wydanie drugie. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 134.

BERGER HUGO: English prose reader. Wypisy angielskie dla zakładów naukowych komercyjnych i technicznych oraz do użytku domowego z dodatkiem krótkiego zarysu historii literatury angielskiej, poezyi, geografii Anglii, zbiór listów handlowych i prywatnych. Warszawa, 1906. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa.

BUILE, DR.: Na czem opiera się wychowanie. Opracował Józef Mukłanowicz. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 276. 16-o, str. 67.

FELDBLUM M., DR.: Algebra elementarna. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszczer. 8-o, str. VI + 500.

GALLE HENRYK: Wypisy polskie. Część wstępna. Z 40-ma obrazkami. Warszawa, 1906. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 256.

JESKE AUGUST: Gramatyka języka polskiego. Wyłożył (w wydaniu 1-ym i 2-im) ... Wydanie jedenaste podług pisowni autorów „Wielkiego Słownika języka polskiego.“ Opracowali Pl. Łag. i Zb. Kam. Wydanie III-cie było zalecone przez Ministerjum Oświaty. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 200.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Krótka gram. polska. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 106.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Przenośnie mowy potocznej. Cz. I. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 297. 16-o, str. 228.

OSTERLOFF WALDEMAR: Biblioteka autorów niemieckich dla średnich zakładów naukowych z objaśnieniami i słownikiem niemiecko-polskim. Ułożył ... Tom I. Bajki. Opracowane podług Fryderyka Lehmensika. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 24 + słownik str. 17.

— Tom II. Uriel Akosta. Dramat w pięciu aktach Karola Gutzkowa. 8-o, str. 86 + słownik str. 79.

— Tom III. Dziewica Orleńska. Romantyczna tragedia Fryderyka Schillera. 8-o, str. 152 + słownik str. 45.

— Tom IV. Robinson Kruzoe. Opracowany podług Fryderyka Lehmensika. 8-o, str. 78 + słownik str. 38.

— Tom V. Opowiadanie o wojnie Trojańskiej. Opracowane podług Nes-selta. 8-o, str. 23.

TENŻE: Kurs metodyczny nauki języka niemieckiego. Ułożył ... Stopień IV. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 168.

— Stopień V. Warszawa, 1906. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 201.

SPRAWY SZKOLNE I WYCHOWAWCZE: Odczyty wygłoszone w wydziale wychowawczym Warszawskiego Towarzystwa Hygienicznego. Serya pierwsza. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 163.

THOMAS STANISŁAW: Teorya arytmetyki. Ułożył ... Część II ułamki zwyczajne i dziesiętne (do zadań części III-ej). Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 107.

TENŻE: Zbiór zadań arytmetycznych. Część III. Zadania na ułamki zwyczajne (do teoryi arytmetyki cz. II-ej). Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 102.

M E D Y C Y N A. — H Y G I E N A.

BĄCZKIEWICZ JAN, DR.: Jak ochraniać dzieci od chorób zakaźnych. Napisał ... Aprobowane przez Radę Towarzystwa Hygienicznego. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 329. 16-o, str. 95.

COMBY JULES: Podręcznik chorób dzieci. Tom III. Choroby układu nerwowego. Choroby mięśni. Choroby narządu krążenia. Choroby narządów moczopłciowych. Choroby narządów zmysłów. Choroby skóry. Choroby płodu. Z IV przejrzanego i uzupełnionego wydania spolszczył dr. Józef Zawadzki. Bibl. lek. rok IV. Tom XIV. Warszawa, 1906. Nakł. Bibl. lekarskiej. 8-o, str. 385 + V.

FOREL AUGUST, dr. medycyny, filozofii i praw b. prof. psychiatryi. Zagadnienia seksualne, roztrząsane ze stanowiska nauk przyrodniczych, psychologii, higieny i socjologii. Przełożone z niemieckiego przez d-ra Władysława Witwickiego, doc. uniw., prof. Tadeusza Witwickiego i prof. Witolda

Schreibera. Lwów, 1906. Nakład Księgarni Polskiej B. Połanieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, tom I str. 470, tom II 425, z licznymi rysunkami na 6 tablicach.

PUBLICYSTYKA.

Ch. I., ks.: Bezrobocie rolne w oświetleniu najświeższych doświadczeń. Napisał ... Przedruk z „Mazura.“ Płock, 1906. 8-o, str. 38.

KAUTSKY KAROL: Kwestya rolna w Rosyi. Z niemieckiego przetłómaczył L. Skarżyński. Wyd. Heleny Gorskiej. Kijów, 1906. 8-o.

SZECH ANTONI: W sprawie Mankietnictwa. Kraków, 1906. 8-o, form. podł., str. 30.



Epikureizm i altruizm.

ROZPRAWA ETYCZNA.

I. Z a ł o ż e n i e.

Zasadnicze zagadnienie etyki, jako nauki krytycznej o powinnościach człowieka, czyli o zasadach należytego postępowania, w odróżnieniu od etyki opisowej, zaznaczającej poprostu tylko rzeczywisty stan postępowania ludzkiego, sprowadza się do rozwiązania kwestyi: czy ostatecznym motywem oraz celem mego działania, wogóle życia mego, ma być moje własne dobro, czy też dobro innych, mego otoczenia? A że bezwzględna jednostronność w jednym lub drugim kierunku jest niemożliwą z powodu bezpośredniej łączności jednostki z szerszym ogółem, przeto owo zagadnienie zasadnicze daje się najwłaściwiej sformułować w pyta- niach: czy *głównym* motywem i celem mego działania ma być moje własne dobro, czy też dobro innych? i w jakim stosunku do siebie pozostawać winny te dwa zasadnicze kierunki postępowania?

Bezwzględna dbałość wyłącznie o własne dobro okazuje się niemożliwą już dla tego, że moje osobiste zadowolenie zależy bardzo często od stanu, w jakim się znajduje me otoczenie, a więc zmuszony jestem nieraz mieć na oku dobro innych, aby osiągnąć własne dobro. Narzuca się tedy pytanie: czy mam dbać o dobro innych tylko o tyle, o ile tego wymaga me własne dobro, czy też, w razie potrzeby, własne dobro mam przynieść w ofierze dla do- bra innych?

Z drugiej strony, nie można i dobra innych uznać za jedyny i wyłączny motyw oraz cel postępowania etycznego, gdyż nie mo-

gę się przyczynić do dobra innych, nie wyrobiwszy się odpowiednio w tym względzie, nie przyswoiwszy sobie niezbędnych do tego środków. Człowiek, nie troszczący się o swą czerstwość fizyczną, o swe zdrowie, lub zaniedbujący uzdolnienia swej duszy, przy najlepszej chęci nie może innym służyć należycie. Podobnie rozrzutnik niegospodarny pozbawia się środków robienia dobrze innym w sposób właściwy. Więc znowu nasuwa się pytanie: czy mam dbać o siebie tylko w celu, aby się wyrobić do służenia innym? czy też mam myśleć o sobie przedewszystkiem, a dobro innych usunąć na plan dalszy?

Różne szkoly w dziejach etyki dochodzą do różnych, nawet do wprost przeciwnych, odpowiedzi na powyższe pytania zasadnicze. Te przeciwległe odpowiedzi oznaczam tutaj mianem *epikureizmu* i *altruizmu*, przyczem jednak nie mam na oku ściśle historycznego znaczenia tych nazw, lecz, w celu rozbioru i krytycznej oceny odnośnych zasad etycznych, nadaję tym nazwom znaczenie przeważnie praktyczne, odpowiadające bardziej życiowemu rozwojowi owych zasad, aniżeli ich teoretycznemu urobieniu.

Teorya etyczna, uznająca za główny motyw i cel postępowania ludzkiego, dobro jednostki działającej, nosi zazwyczaj miano *egoizmu*. Znalazła ona zwolenników już w czasach najdawniejszych, a mianowicie wśród filozofów greckich. Sofiści, Cynicy, Epikurejczycy i inni bronili tej teoryi. Atoli jej najbardziej konsekwentny wytwór napotykanymy u *Muxa Stürnera*, który wprost powiedział („Jedyny i jego własność,“ 1845, wyd. 3-cie 1900), że jednostka niema zgoła żadnych obowiązków ani względem jakiegóś Istoty wyższej, ani względem jakichś idej, ani wreszcie względem innych ludzi, lecz z natury rzeczy ma na oku wyłącznie samą siebie, gdyż wszystko na świecie po to tylko istnieje, aby służyło celom jednostki, jaźni.

W życiu praktycznem egoiści nie kierują się jednak abstrakcyjnymi teoryjami, lecz dążą do pewnych, określonych celów, wśród których naczelnę miejsce zajmuje osobiste zadowolenie. *Epikur* określił też ten cel bliżej jako *rozkosz*, przyczem atoli nie myślał wyłącznie o zadowoleniu zmysłów, lecz mówił zarazem o rozkoszach *duchowych*, którym nawet oddawał pierwszeństwo przed zmysłowemi. Czynił to wszakże zawsze z punktu widzenia egoizmu, dowodząc, że rozkosze duchowe powodują większą przyjemność niż zmysłowe. Więc do nich się zwracał nie dla ich wyższej, wewnętrznej wartości, lecz tylko dla tego, że były mu przyjemniejsze. Nie dziw, że wobec takiej zasady w ocenie różnych rozkoszy, każdy epikurejczyk miał prawo wybrać sobie rozkosze,

które mu sprawiały największą przyjemność, bez względu na ich znaczenie etyczne. Wskutek tego w rozwoju szkoły epikurejskiej z czasem pierwsze miejsce zajęli zwolennicy rozkoszy zmysłowych i zdyskredytowali pierwotną naukę mistrza.

W późniejszych czasach, a mianowicie pod koniec 18-go wieku *Jer. Bentham* nadał zasadzie epikurejskiej charakter socyalny, dowodząc, że celem ludzkiego postępowania powinno być możliwie największe szczęście (rozkosz, zadowolenie) możliwie największej liczby ludzi. Przytem opierał się również na motywach egoistycznych, dowodził bowiem, że dążąc do zaznaczonego celu, jednostka dba najlepiej o swe własne szczęście (zob. jego „Deontologię“ wydanie pośmiertne, 1834).

Termin *altruizm* dosłownie oznacza oddanie się innym (od *alter* = inny, drugi). *Auguste Comte* nadał mu prawo obywatelstwa w nowszej literaturze etycznej. Ale zasada, oznaczona tem mianem, znana jest oddawna. Znalazła ona swój wyraz najwznioślejszy w miłości braterskiej pierwszych chrześcijan oraz w ich śmierci męczeńskiej za wiarę. Ze stanowiska teologicznego rozwinięli też tę zasadę wyrzeczenia się siebie dla innych, dla Boga i bliźnich, zarówno pierwsi autorzy i Ojcowie kościoła chrześcijańskiego, jak i liczny zastęp jego przedstawicieli aż po nasze czasy.

Na polu etyki filozoficznej podnosili tę zasadę już angielscy moralisci 17 i 18-go wieku, szczególnie *A. Smith*, *A. Shaftesbury* i inni, wykazując znaczenie etyczne uczuć sympatycznych. Nawet *Dawid Hume* oraz późniejsi utylitaryści, uznający pożytek za najwyższy cel postępowania ludzkiego, uwzględniają doniosłość etyczną uczuć sympatycznych, jako podstawy dla oceny, co jest pożytecznem dla innych.

Najdobitniejszą atoli formę teoretyczną altruizmu przedstawia w nowszych czasach etyka *J. G. Fichtego*, który domaga się, aby jednostka życiem swoim przynosiła siebie w ofierze dla dobra ogółu. On to powiedział: „Jedna tylko jest cnota, a nią jest zapomnienie o sobie, jako osobie, i jeden tylko jest występki, a nim jest myślenie o sobie“ (zob. jego „Zarysy współczesnego wieku,“ 1806). Jestto zasada wprost przeciwna Stirnerowskiej, choć Stirner, wynosząc do najwyższej potęgi jaźń i nadając jej znaczenie bezwzględne, znajdował się pod wpływem subiektywizmu Fichtego, tylko, że ten miał na myśli jaźń powszechną, wszystko obejmującą, Stirner natomiast sprowadzał wszystko do jaźni jednostkowej i nie uznawał po za nią żadnego ogółu. Za nim poszedł *Fr. Nietzsche*.

W niniejszej rozprawie pragnę z jednej strony dać charakterystykę, o ile można życiową, powyższych zasadniczych kierunków etyki, a z drugiej strony ocenić krytycznie ich porównawcze znaczenie dla prawidłowego rozwoju działalności ludzkiej.

2. Charakterystyka epikureizmu.

Znam dobrze osobistość, która może służyć za typ epikureizmu w szlachetniejszym pojęciu jego zasad egoistycznych. Wniknięcie w psychologię tej osobistości zapoznało mnie bliżej i głębiej z tym kierunkiem etycznym, aniżeli to uczynić mogły rozprawy teoretyczne znakomitych przedstawicieli zasady osobistego zadowolenia, jako ostatecznego celu postępowania. Prawda, że zasada ta uwydatnia się życiowo w sposób rozmaity, zależnie od przyrodzonego i nabytego usposobienia różnych osobistości. To też osobistość, o której mówię, posiada również odcień indywidualny w swej dążności do zadowolenia; ale ten odcień staje się żywym wyrazem owego nastroju epikurejskiego, który korzysta z czynników wyższej, intelektualnej kultury, nie tracąc przez to nic na swym charakterze egoistycznym. Z tego stanowiska mój dobry znajomy jest okazem ciekawym, budzącym szczególne zajęcie przy charakterystyce epikureizmu życiowego.

Pan N. jest człowiekiem poważnym, ale o nastroju dość lekkim, czasem nawet wesołym. Nie widziałem go nigdy głębiej stroskanym, nawet i wtedy nie, gdy mi opowiadał o swych kłopotach finansowych. A są one często bardzo dotkliwe. Jako przemysłowiec ma wiele rozmaitych zobowiązań, a interesa jego znajdowały się nieraz w stanie krytycznym. Długi atoli mało go niepokoją. Powtarza on przy danej sposobności żartobliwie słowa owego dłużnika, który zagadnięty, czy może spać spokojnie, mając tyle długów, odpowiedział: „Ja sypiam spokojnie, ale dziwię się, że moi wierzyciele nie cierpią na bezsenność.“ Bo też w samej rzeczy żadne zobowiązania finansowe nie skłaniają pana N. do zmiany w czemkolwiek swego zwykłego a wygodnego trybu życia, do wyrzeczenia się choćby jednego kieliszka wina, które musi mieć codziennie przy obiedzie i to w gatunku wyborowym.

Stosunki rodzinne pana N. także nie są różowe. Ma syna i córkę. Syn z zacięciem modernistycznym lekceważy ojca, a przytem domaga się naturalnie środków do życia hulaszczego nad stan. Każdy inny ojciec wobec takiego syna miałby codziennie

powód do gniewu i zgryzot. Pan N natomiast nie irytuje się nigdy; robi, co uważa za konieczne, bez naruszenia swych interesów i swego spokoju, a nie wdaje się z synem w żadne dyskusje nieprzyjemne.

Córka również nie wyrobiła się według życzeń ojcowskich. Jest artystką-malarką i przy danej sposobności zaręczyła się za plecami rodziców z artystą-malarzem, nie będącym w możności założenia własnego domostwa. Matka boleje nad tym stosunkiem; pełna jest obaw o los ukochanego dziecka i ma poważne do tego powody. Ojciec natomiast bez wszelkich wzruszeń oświadczył, że nie może łożyć na przyzwoite utrzymanie dwóch rodzin, i już więcej o tę sprawę się nie kłopotuje. Wszelkie perswazyje matki i córki puszcza mimo ucha, nie tracąc ani na humorze, ani na apetycie, a ten ma zawsze dobry i zaspakaja w sposób wybredny, choć nie razi swem smakostwem.

Żonę kocha, bo jest dobrą dla niego, dba bez szemrania o jego rozliczne potrzeby, bardzo zresztą wygórowane, nadto szanuje jego zdrowy sąd o rzeczach, jego spokojne usposobienie i zawsze się stosuje do jego życzeń. Z jego strony natomiast nie spostrzegłem nigdy najmniejszego dowodu wdzięczności lub uznania, a tem mniej jakiegokolwiek usłużności dla żony. Wszystko przyjmuje od niej dobrodusznie, jako przynależną powinność, za którą odplaca się jedynie najzwyczajniejszą monetą konwencyonalnej grzeczności.

Takim też jest w stosunku do znajomych i przyjaciół, a ma ich dużo, bo swą miłą jowialnością jedna sobie ludzi. Dla każdego jest uprzejmy, z nikim o nic się nie spiera, nikomu się nie narzuca swoją wyższością, choć jest zakochany w sobie. Lubi dobre towarzystwo, uczęszcza chętnie na zebrania gościnne, ale u siebie sprowadza je do niezbędnego minimum. Grywa w oznaczony dzień tygodniowo w winta w kółku zaufanych; pali wyborne cygara, umie zająć towarzystwo opowiadaniem bądź przygód własnych i obcych, bądź anektod, dowcipów, dykteryjek zabawnych. Przytem unika jednak staramie wszystkiego, co może budzić czyjekolwiek niezadowolenie, gdyż celem jego jest zawsze przypodobać się słuchaczom i zjednać sobie ich uznanie. Dla tego też nie dotyka nigdy kwestyj drażliwych, religijnych, politycznych, filozoficznych, mogących wywołać sprzeczności, choć posiada wyższe wykształcenie i czytuje z zajęciem książki poważne. Mówiąc płynnie, z zacięciem retorycznym, lubi słyszeć samego siebie, a na przemówienia innych nie zwraca zbytnej uwagi.

Z najbliższymi przyjaciółmi mówi głównie, i to zazwyczaj drobniostkowo, o samym sobie, o swym zdrowiu, swych interesach, swych planach na przyszłość i t. p. Wynurzenia natomiast przyjaciół co do ich spraw nie zajmują go wcale; znudzony przerywa je też prędko słowami uspakajającymi, traktując wszystko, co ich dotyczy, jako bagatele, nad którymi nie warto łamać sobie głowy.

Usługi, mniejsze lub większe, często bardzo doniosłe, przyjmuje od każdego chętnie, ale się nigdy nie zdradza z tem, że mają dla niego wagę istotną; załatwia je też zawsze kilkoma uprzejmymi frazesami, gdyż wywdzięczenie się podobnemi usługami wcale mu nawet na myśl nie przychodzi.

W sztuce wyłudzenia, w razie potrzeby, tego rodzaju usług, przy pomocy retoryki i zręcznego pochlebstwa, jest mistrzem wielkim. Gdy wszelako, wskutek zbyt częstego przyjmowania grzeczności, lub nawet dobrodziejstw, czuje się zobowiązany do pewnego rewanżu, wynajduje zawsze jakiś mały, niekosztowny prezencik, który budzi zajęcie osoby interesowanej i zadawała ją, zwłaszcza wobec wytwornej uprzejmości dawcy, podnoszącej wartość najskromniejszych upominków. Wogóle pięknemi słówkami i dobrym tonem wynagradza gdzie tylko może to, co mu inni wyświadczyają, nawet poniesione dla niego nieraz bardzo dotkliwe ofiary materialne. Estetyka odpowiada jego usposobieniu, schlebia jego miłości własnej, więc rad jest, że przy jej pomocy może sobie oszczędzić wydatki na innych, nieuszczuplając środków dla możliwie pełnego zaspokojenia wymagań przyjemnego dobrobytu.

Jako członek społeczeństwa, p. N. cieszy się dość szerokiem uznaniem. Należy do grona dobrze wykształconych przemysłowców, przyswoił sobie z łatwością znajomość zarówno techniczną, jak i handlową swego przedsiębiorstwa, a to go utrzymuje na wysokości i nadaje mu poważane stanowisko w kole współtowarzyszów pracy. Pomimo to nie trudzi się nigdy nad siły, lecz umie zręcznie dobrać sobie ludzi, pracujących za niego i wyzyskać ich zdolności możliwie tanim kosztem. To też sprawani swego zawodu zajmują się tylko o tyle, o ile to nie narusza jego spokoju i nie zmusza do odstąpienia od miłych nawyków.

Z tego też powodu nie przyjmował nigdy żadnego stanowiska społecznego, choć go niejednokrotnie wybierano na członka tej lub owej komisji lub na rzeczownika spraw zawodowych. Zawsze się tłumaczył skromnie brakiem odpowiedniego uzdolnienia oraz czasu.

Wszelkich stowarzyszeń dobroczynnych, składek i t. p. unika skrętnie. W wypadkach żądań naturalnych w tym kierun-

ku, oświadczają znowu z całą grzecznością, że jest zwolennikiem teoryj ekonomicznych, potępiających działalność filantropijną, jako podkopującą samodzielność ludzką i zachęcającą do próżniactwa. Samopomoc i praca, oto według tych teoryj jedyne środki, zdolne zapobiedz nędzy klas ubogich. „Przecież i my, przemysłowcy, mówili, sami sobie radzić musimy we wszelkich kłopotach, i my się obchodzimy bez towarzystw dobroczynnych i obcej pomocy.“

W stosunku do swych oficyalistów i młodszej braci robotniczej p. N. jest wogóle, jak to nazywają: „dobrym,“ t. j. nigdy nie dopuszcza się żadnej względem nich szorstkości, niepokojącej bez celu obie strony. Z tem wszystkiem trzyma się i tutaj zaznaczonych zasad ekonomicznych, wielce wygodnych. Przedewszystkiem dalekim jest od najmniejszej nawet ofiarności na rzecz kościoła, szpitali, szkół lub innych instytucyj społecznych. Do obowiązkowych w tym względzie podatków nie dodaje nigdy ani szeląga. Podobnież nie myśli o przyłożeniu rąk do podniesienia dobrobytu i oświaty czy to włościan, należących do jego folwarku, czy to robotników, pracujących w jego zakładach przemysłowych. Wszystko, co w tym względzie robi, sprowadza się do pięknych słów, któremi przy danej sposobności zachęca przedstawiciele tych niższych warstw społeczeństwa do samopomocy, domagając się, aby przecie sami wzięli się do roboty w tym kierunku.

Gdy się przekonywa, że urzędnik lub robotnik nie przynosi mu należytej korzyści, wszystko jedno, czy z powodu niedbalstwa, czy też z powodu słabości zdrowia, oddał go z całą życzliwością pod pozorem, że musi robić oszczędności lub też pod jakimkolwiek innym pretekstem, niewskazującym właściwej przyczyny; często nawet poleca takich ludzi na inne miejsca, dowodząc, że przy zmienionych warunkach będzie im lepiej. A że nadto, z obawy utraty dobrego oficyalisty lub robotnika dla zbyt skromnego wynagrodzenia, sam, w razie potrzeby, podwyższa im płacę, przeto budzi nawet tu i owdzie szczerą wdzięczność dla siebie. W ten sposób z wielką umiętnością, dbając o swój interes, nie naraża się na nieczyją niechęć. To też uchodzi zazwyczaj wśród klas robotniczych za lepszego chlebobawcę, aniżeli wielu innych, ponoszących nieraz wielkie ofiary na korzyść ogółu robotników.

Pan N. jest wreszcie i dobrym patriotą... w słowach. Ładnie mówi o ojczyźnie i jej przyszłości. W gruncie rzeczy jednak sądzi, że i ona sama sobie radzić musi bez jego czynnego udziału. Cóż też mógłby dla niej zrobić? Do jakiegokolwiek służby publicznej nie wdrożył się nigdy, więc ma słuszność, że się od

niej wymawia brakiem wyrobienia. Ale i czasu niema, bo przywykł każdą chwilę, wolną od niezbędnych zajęć w swoim interesie, poświęcić myśleniu o sobie i swej wygodzie.

Nadto wszelka służba publiczna na korzyść ogółu, społeczeństwa, ojezyny, pociąga za sobą ofiary moralne i materyalne; ofiarę ze spokoju i codziennych nawyknień; ofiarę w nagłych wypadkach z dobrobytu, zdrowia i życia nawet. Tymczasem on od bardzo dawna, a mianowicie od chwili samodzielnego zastanowienia się nad sobą, postanowił o nikogo i o nie się nie troszczyć, tylko wyłącznie o swój spokój i swoją przyjemność, i to mu się wyśmienicie udawało przez całe życie bez narażenia się komukolwiek. Skądże teraz miałby się puścić na burzliwe morze polityki, przyłączyć się do jakiejś partii, stać się z jednej strony przedmiotem nienawiści i pogardy przeciwników, a z drugiej przeciwdziałać im z nadzwyczajnym wysiłkiem energii w celu urzeczywistnienia pewnego ideału politycznego, zdobycia dla ojezyny dóbr, niezbędnych dla jej bytu i rozwoju? To wszystko w samej rzeczy przekracza uzdolnienie i wyrobienie takiego szanownego męża, jakim jest pan N., więc nie dziw, że to wszystko uważa dla siebie za niemożliwe i że nikt też czegoś podobnego od niego wymagać nie myśli.

Była chwila w życiu pana N., w której miałem sposobność wniknąć w podkład filozoficzny jego postępowania. Gdy pewnego razu bronił zaznaczonych zasad ekonomicznych, żądałem od niego otwartego wyznania, czy się kieruje w swym stosunku do ludzi pewną teorią etyczną, czy też zadawała się w tym względzie instynktem, bezpośredniem poczuciem oraz zdrowym rozsądkiem? Otóż wtedy powiedział mi, że niegdyś z jakiejś historii filozofii zapoznał się w ogólnych zarysach z zasadami etyki Epikura i Benthamu i że te tak przemawiały do jego przekonania, iż przyjął je za podstawę swego postępowania w życiu. „Bo też, dodał, w samej rzeczy, gdy każdy dbać będzie o swoje dobro i swe zadowolenie, nie tracąc niepotrzebnie ani sił, ani czasu na staranność o innych, wtedy wszystkim lepiej będzie.“

Zarzuciłem, że przecież często człowiek sam sobie radzić nie może przy najlepszej chęci, np. gdy jest chory, lub kaleka, lub gdy nie stoi na odpowiedniej stopie kultury. Czyż w takich razach nie należy przyjść mu z pomocą, jak to czynimy z dziećmi, póki nie staną na własnych nogach?

„Co do dzieci, odpowiedział, to racya, że zmarniałyby bez pomocy matek, które też od natury obdarzone są przywiązaniem do potomstwa i dla niego robią, co mogą. Ale co do dojrzałych

ludzi, to muszą sami sobie radzić, bo troska o nich doprowadziła-by zdrowych, normalnych do zaniedbania własnego dobra, a przez to stan ogólny ludzkości pogorszyłby się tylko. Natura powinna być w tym względzie naszą mistrzynią. Ileż to kwiatów ginie na drzewie bez celu, a te, w których się owoc zawiązuje, czyż wszystkie dojrzewają? Moc ich opada, inne robak toczy, psują się, gniją, i ostatecznie tylko mała cząstka dojrzewa zdrowo i przynosi pożytek człowiekowi. Z jakiej racyi mielibyśmy się opiekować kwiatem opadłym, wogóle tem, co ani sobie, ani nikomu żadnego pożytku przynieść nie może? Co zdrowe i warte istnienia, samo zwalcza wszelkie przeszkody i dobija się własnymi siłami dobrobytu, szczęścia. W świecie ludzkim nie może być inaczej, i tutaj panują te same prawa rozwoju, postępu, życia.“

Zagadnięty, czy jest zwolennikiem naturalizmu, skoro z natury czerpie wzory dla swego postępowania, dla etyki? czy nie uznaje żadnego bytu wyższego ponad byt zmysłowy, fizyczny przyrody? odpowiedział, że niegdyś wierzył wprawdzie w Boga, a gdy się zajmował historią filozofii, przypuszczał, że musi istnieć we wszechbycie jakiś czynnik duchowy, odpowiadający naszej samowiedzy i naszemu rozumowi. Wkrótce atoli „nauka współczesna“ doprowadziła go do przekonania, że innego bytu nad byt przyrody niema, że wszelkie poglądy, uznające jakiś byt wyższy, czy to w samej przyrodzie, czy to poza przyrodą, są wytworem „nienaukowej metafizyki,“ a więc nie zasługują na wiarę. „Zresztą, dodał, niech się o to filozofowie i metafizycy ze sobą spierają. Dla mnie wszystko jedno, do jakich ostatecznie dojdą wyników. Wiem niewątpliwie, że raz tylko tu na ziemi żyję i że nie mam żadnego racjonalnego powodu nie dążyć do możliwie przyjemnego przepędzenia życia, do zadowolenia samego siebie pod każdym względem, a więc nie mam też powodu ponosić jakiegokolwiek ofiary ze swego dobrobytu na korzyść innych. Tej też zasady trzymam się w swym stosunku do ludzi. Nie ubliżam nikomu, nikomu nie szkodzę, ale też o nikogo się nie troszczę, a urządzam się tak, aby mnie było zawsze możliwie dobrze.“

Na dalsze pytanie, czy taki stosunek do otoczenia, wogóle do świata, zadawala go, czyni go istotnie szczęśliwym, przyznał się otwarcie, że im bardziej postępuje w lata, tembardziej przejmują się marnością istnienia, dochodzi do przesytu wszelkimi rozkoszami życia, staje się pesymistą. „Bo przecież, dodał, ostatecznie całe to życie z pogonią za tak zwanem szczęściem do niczego nie prowadzi i nie zgoda nie warte. Natura jest niełitościwą; jednostka żyje i ginie bez celu—oto wszystko...!“

Po takich wyjaśnieniach już go dalej nie indagowałem. Widać, że jego etyka pozostaje w ścisłym związku z jego ogólnym, naturalistycznym poglądem na świat, a od tego poglądu, przy danych warunkach, nie podejmuję się go odprowadzić. Zresztą pan N. nie chce się wcale wliwać w dalszą dyskusję co do zasad swego ogólnego na świat poglądu. Na argument, że ścisłe wyniki nauk przyrodniczych nie zgoła nie orzekają o pochodzeniu „ducha,“ a więc świadomej siebie myśli, rozumu z czynników fizycznych, stanowiących jedyną podstawę przyrodoznawstwa—daje wymijającą odpowiedź, że w szczegóły wchodzić nie może, bo nie jest specjalistą. Zresztą rozbiór tej kwestyi nudzi go widocznie, gdyż wymaga natężenia umysłu, przekraczającego zwykłe jego nawyknięcie. To też w ostateczności zasłania się ciągle na nowo „współczesną nauką,“ której „wyniki“ przyjmuje po dyletancku, bez rozbioru krytycznego ani zasad samej „nauki,“ ani treści owych rzekomych „wyników.“

3. Charakterystyka altruizmu.

Przedstawiciele ścisłe przeprowadzonego altruizmu nie tak łatwo napotkać w życiu codziennem, jak praktycznych egoistów i epikurejczyków. Dążność nie tylko do samozachowania, ale i do samozadowolenia jest w samej rzeczy przyrodzoną człowiekowi, jak i zwierzętom, a wyrzeczenie się tej dążności na korzyść innych, jest objawem wyjątkowym i świadczy zawsze o przewyżczeniu pewnych bezpośrednich popędów natury.

Prawda, że człowiekowi, podobnie jak zwierzętom, właściwe są i pewne uczucia sympatyczne, stanowiące przyrodzony podkład altruizmu. Miłość macierzyńska jest w tym względzie objawem najwybitniejszym. Pozostaje ona w ścisłym związku z celem przyrody zachowania gatunku, jako dopełnienie indywidualnego samozachowania. Z tem wszystkiem samozachowanie i popędy egoistyczne są u większości istot niewątpliwie silniejsze od zwykłego rozwoju uczuć sympatycznych. Dla tego też najwyższe objawy altruizmu, w szczególności ofiara z życia na rzecz innych, należą do rzadkości i są wytworem kultury etycznej, opartej na przeświadczeniu, że jednostka nie jest ostatecznym celem swej działalności, lecz tylko środkiem dla urzeczywistnienia celów, mających wartość wyższą, ogólniejszą. Rzadkością są również i ludzie, którzy choć nie ponoszą śmierci dla innych, jednak zapomi-

nają o tyle o sobie i swem zadowoleniu, że w całym swem życiu czyni są głównie dla dobra innych. Przypatrzmy się bliżej jednemu z takich okazów etycznych.

Pan X. jest człowiekiem skromnym; niczego od nikogo dla siebie nie wymaga. Nawet w stosunku do podwładnych i służby, woli nieraz sam zrobić ich robotę, aniżeli wystąpić z przykrymi dla nich zarzutami lub zapędzać ich do pracy. Zawsze znajduje dla nich jakieś usprawiedliwienie, zawsze jest wyrozumiałym, pobłażliwym, delikatnym, choć ich niedbałość sprawia mu często przykrość wielką. Ale niema o to długo urazy; zapomina wogóle łatwo złe doznanawane od innych, gdyż o sobie mało myśli.

Równie skromnym i niewymagującym jest w całym sposobie życia. Smakoszostwa nie rozumie; wina i innych trunków nie używa, nie pali też cygar, ani w karty nie grywa. Puszczenie grosza z dymem, wydanie go na drogie śniadanka lub inne zbytki, wreszcie marnowanie czasu na bezcelowe rozrywki—miałby sobie za grzech wobec tylu niezaspokojonych potrzeb innych ludzi i wogóle społeczeństwa.

Nie jest jednak p. X. ascetą nietowarzyskim, zamkniętym w sobie lub jakimś odludkiem, mizantropem. Przeciwnie, jest filantropem w całym znaczeniu tego słowa, szczerym, serdecznym. Nie szczędzi grosza na cele dobroczynne, a nadto z nieklamanaą życzliwością przyjmuje każdego, kto się do niego zgłasza, czy to w interesie jakim, czy o radę lub w potrzebie, i to bez względu na stan osób. Dla ubogich i małych jest nawet zazwyczaj bardziej uprzejmym, niż dla bogatych i wysokich. To też niema prawie dnia, w którymby go nie nachodzono z jakimiś postronnymi sprawami, często zupełnie osobistymi, szukając jego pomocy lub wskazówek. Nigdy nie jest niecierpliwym z tego powodu; dla każdego okazuje się uczynnym; niemal nikomu spełnienia prośby odmówić nie może. Sprawia mu to dużo kłopotów i niepokoju, ale zajmuje się ohochoz obcemi sprawami, jak swemi, bez różnicy.

Na zwykłe zabawy towarzyskie p. X. nie uczęszcza wprawdzie zbyt chętnie, ale lubi natomiast zebrania poważne, na których dyskutować można nad dobrem bądź narodu wogóle, bądź ludu, robotników i innych warstw społecznych. Sam często zaprasza do siebie grono dobrych znajomych w celu narady nad palącemi kwestyami chwili. Studyował w swoim czasie gruntownie nauki społeczne, zapoznał się też w Niemczech, Francyi i Anglii z warunkami prawidłowego rozwoju różnych instytucyj publicznych, a zajmując obecnie wyższe stanowisko w jednej z takich

instytucyj krajowych, czynny jest energicznie w kierunku przeprowadzenia niezbędnych reform dla dobra tej instytucyi. Zarazem bierze gdzie i jak może życzliwy udział i w innych instytucjach, wspierając ich kierowników swą radą i doświadczeniem bez wszelkiej zawiści. Wybierany często na różne urzędy honorowe do towarzystw dobroczynnych i instytucyj społecznych, spełnia swe obowiązki z rzadką sumiennością, nie mniej ściśle i skrupulatnie, aniżeli obowiązki wynagradzane przez chlebobawców. Przyczynia się też przez to niemało do postępu odnośnych spraw publicznych.

Rodzina i warunki jej bytu żywo go zajmują. Jest czułym mężem i troskliwym ojcem. Najlżejsza słabość jednego z członków rodziny, niepokoi go bardzo. Zwykle w takich wypadkach sam idzie do doktora, żeby go objaśnić, co do stanu chorego i zaprosić, aby przybył. Wychowanie dzieci, ich nauka, los i przyszłość leżą mu na sercu bezustannie. Nie brak mu z tego powodu trosk i zgryzot poważnych. A że i w urzędowaniu oraz służbie społecznej doznaje również nieraz przykrych przeżyć wskutek ściśłości, z jaką wykonywa swe obowiązki, przeto prawie nigdy zobaczyć go niemożna w usposobieniu wesołym, ze swobodną myślą. Zawsze coś go korci, choćby nawet sprzeczka uliczników, w której dopatruje się braku kultury społecznej; zawsze ma powód do narzekania na coś, to na samowolę władz, to na brak poszanowania nawet dla takich praw, które instytucje społeczne lub różne towarzystwa same sobie nadają; to na te lub owe nieprawidłowości w życiu codziennem, to wreszcie na tak częste odstępstwa od normalnego i rozumnego postępu spraw ludzkich.

Podstawą jednak wszelkich tego rodzaju utyskiwań i skarg jest dla niego pewien ideał etyczny stosunków społecznych, którego urzeczywistnienie uznaje za warunek wszelkiego postępu. Przyczynienie się zaś do tego postępu wedle możliwości ma za swój najwyższy obowiązek. Nie szczędzi też ofiar, ani czasu i sił, aby obowiązek ten spełnić zawsze i wszędzie zgodnie ze swem przekonaniem.

W odradzającym się życiu politycznem kraju p. X. uczestniczy z wielką energią. Przy każdej sposobności wygłasza poglądy swoje na potrzeby kraju i niezbędne środki ich zaspokojenia. Tu swoboda i samorząd są jego ideałami. Choć nie jest literatem z powołania, chwyta jednak za pióro, aby jasno i dobitnie uzasadnić swe zapatrywania i usprawiedliwić je nawet w oczach przeciwników, których mu nie brak wobec stanowczości, z jaką występuje w obronie swej partyi.

Przeciwników jednak nigdy nie dotyka osobiście, nie hańbi ich, lecz rozbiera wszechstronnie jedynie ich zasady i zbija je dowodami rzeczowemi. Z polemiki jego przeziara zawsze duch pojednawczy oraz optymistyczna nadzieja, że wobec wspólnej miłości ojczyzny, argumenty jego zdołają przekonać najzawziętszych nawet wrogów. Sam do tego stopnia przejęty jest prawością swych przekonań, do tego stopnia zajęty rzeczą, o którą mu idzie, bez wszelkich względów osobistych, że wcale nie przypuszcza, aby przeciwnicy mogli w najgorętszym nawet sporze zajmować inne stanowisko.

Rzecz naturalna, że taka łatwowierność bywa zazwyczaj zawiedziona, ale żadne rozczarowanie nie zmieniło jego taktyki polemicznej, ani nie zdołało podkopać jego zaufania do dobrej woli przeciwników, aż w końcu nowe usiłowania w kierunku obopólnej zgody na gruncie rzeczowym wywołały uśmiech szyderycy nawet wśród jego własnego obozu.

Powyższy obraz działalności pana X. należy dopełnić stosunkiem do osobistego zadowolenia, jakie mu przynosiła. Otóż rzadko doznawał on zupełnego zadowolenia, niezmałoczonej przyjemności, bo rzadko urzeczywistniały się w sposób pożądaný jego najlepsze usiłowania dla dobra czy to narodu, społeczeństwa, czy to tej lub owej instytucji, czy to wreszcie tej lub owej jednostki. Zawsze czegoś brak było do pełnego osiągnięcia jego zamiarów i pragnień. Raz stawał na przeszkodzie niedostatek środków materialnych, innym razem niechęć i zła wola ludzi — a to go gryzie boleśnie, bo wszelkie zawiedzione oczekiwania bierze żywo do serca.

W pewnych kołach społecznych ma wprowadzić p. X. wielkie wzięcie; uznano szczerze jego wyrzeczenie się siebie dla służby publicznej i podnoszono jego wielkie zasługi na tem polu. Ale to nie może mu sprawiać zbyt wielkiego, osobistego zadowolenia, gdyż z drugiej strony jest przedmiotem tem zawziętszej nienawiści i wzgardy licznych nieprzyjaciół, zazdrosnych o każde jego powodzenie. Więc nigdy nie doświadcza spokoju, nie zapomina o swych zajęciach i złączonych z niemi kłopotach, nie oddaje się swobodnie przyjemnościom życia w rodzinie lub towarzystwie. Ciagle coś ma na głowie, coś go niepokoi, bądź własne interesa, bądź sprawy domowe, społeczne, polityczne, lub nawet prywatne znajomych i przyjaciół.

Jeden z najbliższych powierników pana X., obeznany dobrze z jego działalnością, dowodził mu niejednokrotnie, że napróżno

się męczy i dręczy, napróżno przynosi w ofierze samego siebie, całe swe życie, swój spokój, nawet dobrobyt i zdrowie.

— Przecież, mówił, człowiek ma też obowiązki względem samego siebie, a spokój, wypoczynek, wyczas należą mu się po natężonej pracy obowiązkowej. Ty zaś pracujesz i w czasie wolnym od zajęć obowiązkowych; ciągle bez należytego wytchnienia czynny jesteś; prawda, że poświęcasz się dla dobra innych, ale nad siły swoje, z wyrzeczeniem się tego wszystkiego, co nadaje życiu wartość prawdziwą, co jest niezbędnem, aby się czuć zadowolonym, szczęśliwym.

— Nasze pojęcie obowiązku, odparł, różni się, jak widzę, zasadniczo. Co ty nazywasz czynnością nadobowiązkową, moją działalność społeczną i polityczną, mam troskę o sprawy innych, szukających mej pomocy — ja mam za najprostszy obowiązek mego istnienia. Czyż obowiązki nasze sprowadzają się tylko do pracy, wynagradzanej pieniądze bądź przez państwo, bądź przez naszych chlebodawców? Według mego przekonania samo istnienie nasze wśród pewnego otoczenia nakłada na nas obowiązek przyczyniania się, według możliwości, do rozwoju i dobrobytu tego otoczenia. Jesteśmy jego członkami, tworzymy wraz z niem jedną całość, ustrój; a jak w organizmie każdy narząd spełnia pewną funkcję na korzyść całości, tak też każdy członek rodziny, społeczeństwa, narodu, ludzkości, czynnym być winien, według swych sił i swego uzdolnienia, dla dobra szerszego ogółu, gdyż tylko w takim razie spodziewać się można prawidłowego rozwoju oraz postępu spraw ludzkich. Wartość istotna bytu i życia każdej jednostki nie polega na jej własnem zadowoleniu, lecz na tem, czy działalnością swoją przyczynia się do dobrobytu całości, w której skład wchodzi. Z takiego punktu widzenia czynię tylko to, co do mnie należy, nic więcej, a że przytem nie mam spokoju i wyrzekam się tak zwanych przyjemności życia, to jest rzeczą naturalną i inaczej być nie może, bo gdybym o sobie myślał głównie, wtedy zaniedbałbym najprostszych swych obowiązków względem innych.

— Wszystko to dobrze, odrzekł przyjaciel, ale przecież z drugiej strony życie, pozbawione zadowolenia, nie jest normalnem i pociąga za sobą osłabienie sił do wytrwałej, twórczej pracy, więc o swoje zadowolenie zawsze dbać potrzeba, choćby dla tego, że bez niego służba dla dobra innych nie może się rozwinąć w sposób należyty.

— Masz słuszność, mój drogi, ale zapominasz, że nie brak mi tego zadowolenia, o którym mówisz, nie brak nawet wielkich, prawdziwych rozkoszy. Zwycięstwo prawdy nad fałszem, porządku nad nieładem, dobra powszechnego nad egoizmem jednostek

i stronnictw — oto źródło mych rozkoszy. Prawda, że źródło to nie płynie zbyt obficie, ale wystarcza, aby pokrzepić me siły bardziej, niż wszelkie inne przyjemności życia, nadto podtrzymuje ono mą wiarę w postęp i w ostateczne urzeczywistnienie ideałów rodu ludzkiego.

Na dalszy zarzut przyjaciela, że dobro społeczeństwa, narodu, ojczyzny jest pojęciem zbyt ogólnikowym, rozumianem różnie przez różnych ludzi, że zatem cele naszej działalności powinny mieć charakter bardziej konkretny, szczegółowy, odpowiada p. X., że właśnie takimi konkretnymi sprawami się zajmuje, że ma zawsze na oku pewne, szczegółowe zadania odnośnie do tej lub owej kwestyi politycznej, tej lub owej instytucyi społecznej, tych lub owych potrzeb różnych jednostek. Jak odpowiedni narząd organizmu spełnia zawsze pewną, szczegółową funkcję, a my tylko szereg takich funkcyj uogólniamy, sprowadzając go do wspólnego mianownika, tak również i działanie człowieka w stosunku do otoczenia ma za przedmiot zawsze pewne, szczegółowe potrzeby tego otoczenia i dąży do ich możliwie pełnego zaspokojenia. Ogólników tu niema żadnych, lecz jest życie realne w całej mnogości i różnaitości swych składowych czynników. Należyte uwzględnienie każdego z nich i ich organiczne zespolenie w rozwoju społeczeństwa — oto cel, którego urzeczywistnienie powinna mieć na oku każda jednostka, stojąca na wysokości kultury etycznej.

Zwracano panu X. też niejednokrotnie uwagę na to, że wyrzeczenie się siebie dla innych nie jest wcale logicznie uzasadnionem, bo przecież jednostki są sobie równe, a więc dbałość każdej o własne dobro ma zasadniczo toż samo znaczenie, co dbałość o dobro innych, a jest nadto umotywowaną przyrodzonym popędem istot żyjących.

Takim argumentem przeciwstawia znowu swój, jak mawiał, organiczny pogląd na zasady etyki. Przeznaczeniem jednostki, dowodził, jako organu otoczenia, ogółu, jest służenie temu ogółowi, a z tego wynika obowiązek wdrażania się w tę służbę, wyrobienia się w tym kierunku. Etyczna doskonałość jednostki polega właśnie na tem, aby swoją służbę dla ogółu pełniła obojętnie z możliwie wszechstronnem rozumieniem swych zadań. Jej własne zadowolenie nie może, ani też nie powinno być *motywem* jej działania, lecz może być conajwięcej jego *skutkiem, wynikiem*. Ale tego skutku nikt niema prawa oczekiwać po każdym, poszczególnym czynie dla dobra ogółu, lecz może go się spodziewać jedynie, gdy osiągnie doskonałość w swej działalności ma korzyść in-

nych, gdy urzeczywistni swe właściwe przeznaczenie, jako cząstki odpowiedniej całości. Wtedy, gdy całość, ogół, dzięki pracy i poświęceniu jednostek, stanie się ustrojem wzorowym, prawidłowo rozwijającym się, natenczas jednostka, jako cząstka takiej całości, znajdzie zaspokojenie należyte wszystkich swoich potrzeb oraz zupełne zadowolenie osobiste w wykonywaniu swych funkcyj. Będzie to skutek zjednoczonej pracy wszystkich na korzyść ogółu.

Inaczej się rzecz przedstawia przy egoistycznych, a cóż dopiero epikurejskich dążnościach jednostek. Jeżeli każda jednostka dba tylko o siebie i sobą tylko jest zajęta, natenczas wywiązuje się nieodzownie rozprzężenie całości, zjawia się walka wszystkich przeciwko wszystkim, podkopująca prawdziwe zadowolenie każdej z osobna. Jest to stan pierwotny, wynikający z braku kultury etycznej, z panowania surowych popędów egoizmu nad rozwojem uczuć sympatycznych. Wraz atoli z postępem życia społecznego i kultury etycznej, jednostka dochodzi do zrozumienia swych zadań w ustroju otoczenia i poświęcając się tym zadaniom z wyrzeczeniem się egoizmu, doskonali, uszlachetnia samą siebie i osiąga, jako dar ogólnego porządku rzeczy, to, czego żadną egoistyczną działalnością osiągnąć nie może — zadowolenie wewnętrzne z udoskonalenia samej siebie oraz ogółu, do którego należy.

Jako podstawę tych zapatrywań, wyznawał p. X. pewien religijno-filozoficzny pogląd na świat, z którym łączyła się ściśle etyka, kierująca jego postępowaniem w życiu. Rozumiał on dobrze, że gdyby istnienie człowieka ograniczało się wyłącznie życiem zmysłowym; gdyby nie było we wszechbycie żadnego czynnika rozumowego, przewyższającego siły fizyczne przyrody, natenczas łączność jednostki z ogółem, pozbawiona podkładu moralnego, byłaby bardzo luźną, a dążność do udoskonalenia etycznego jednostki, oraz wyrzeczenia się egoizmu na korzyść ogółu, nie miałyby racji bytu. Wszelkie ideały etyczne sprowadzałyby się w takim razie do czezej frazeologii, rozchodzącej się z realnymi siłami fizycznej przyrody, jako jedyne go czynnika wszechbytu. Siły te zapanowałyby ostatecznie nad życiem tak jednostki, jak i ogółu ludzkości, i obróciłyby w niwecz wszelkie dążności duchowego wyrobienia człowieka, a więc i jego kultury etycznej.

Pogląd ten rozwijał bardziej szczegółowo w sposób następujący.

Etyka, mówił, wraz z logiką i estetyką są objawami umysłowego życia człowieka, przewyższającymi na każdym kroku czynniki czysto fizyczne przyrody zmysłowej. Jak zasad logiki lub estetyki nie możemy zaczerpać ze zmysłowych danych, doty-

czących myślenia ludzkiego i sztuki,—gdyż faktyczny stan nie odpowiada zazwyczaj owym normom, które człowiek uznaje za obowiązujące dla swego prawidłowego działania,—tak również i etyka nie zadawała się bezpośrednimi popędami zmysłowemi, lecz kieruje się wymaganiami rozumu; nie ogranicza się tem, co *jest*, lecz ma na oku to, co być *powinno*.

Ludzie popełniają co chwila sprzeczności logiczne, ale z tego nie wynika, abyśmy pomimo to nie mieli wymagać wyłączenia wszelkich sprzeczności z naszego myślenia, aby nauka nie dążyła do zjednoczenia swych badań w całość bezsprzeczną.

Z tej wyższości racjonalnych czynników nad sensualistycznymi wypływa ów krytycyzm rozumu ludzkiego, który rozbiera własne swoje czynności i ocenia je nie ze zmysłowego (sensualistycznego), lecz z rozumowego (racjonalnego) punktu widzenia. Ten zaś punkt widzenia może mieć istotne znaczenie dla nas i daje się usprawiedliwić jedynie na podstawie uznania samoistności naszego życia umysłowego, wogóle pierwiastku duchowego w świecie. Tylko jeżeli wśród świata zmysłowego istnieje świat umysłowy, świat wyższy, w stosunku do którego przyroda jest jedynie środkiem pomocniczym dla urzeczywistnienia celów rozumu, tkwiącego we wszechbycie; to znaczy, jeżeli byt fizyczny nie jest pierwiastkiem górującym i bezwzględnie panującym nad duchem, lecz zależnym od niego—tylko wtedy dążności życia umysłowego, a więc i udoskonalenie etyczne człowieka, mają podkład realny, mogą być uznane za zgodne z faktycznym porządkiem świata. W przeciwnym zaś razie, bez samoistnego istnienia czynników racjonalnych w świecie, wszelkie dążności umysłu ludzkiego do piękna, prawdy i dobra, wszelki idealizm ducha, a więc i usiłowania na polu etyki, wszelkie służenie ogółowi z wyrzeczeniem się popędów egoistycznych — miałyby charakter utopij, niedających się urzeczywistnić, bo sprzecznych z realnym porządkiem rzeczy o charakterze wyłącznie fizycznym.

W jaki sposób pojmować będziemy tę zasadę samoistnego życia umysłowego we wszechbycie, dowodził dalej p. X.: czy ją sprowadzimy do istnienia Boga, Twórcy świata; czy też przyjmiemy ją za Rozum powszechny świata, kierujący jego rozwojem; czy wreszcie dojdziemy w tym względzie do jakiegokolwiek innego poglądu idealistycznego—są to odrębne kwestye, domagające się osobnych dociekań. Dla należytego usprawiedliwienia etyki o charakterze racjonalnym, przewyższającym bezpośrednio dane zmysłowego bytu człowieka, wystarcza uznanie wogóle samoistnej, rozumowej zasady wszechbytu, górującej nad bytem fi-

zycznym przyrody. Jedynie wiara w rozum wszechświata, w panowanie duchowych jego czynników, oraz w ich bezpośrednią łączność z bytem i rozwojem umysłowym człowieka, zdolna jest podtrzymać jego energię etyczną w walce z egoizmem i wpoić w niego poczucie obowiązku względem prawdziwego dobra swego otoczenia.

Solidarność jednostki z otoczeniem, praca i ofiarność dla jego dobra, jest wytworem moralnego rozwoju osobistości ludzkiej, opartego na przeświadczeniu o rozumowych czynnikach bytu i życia. W przeciwstawieniu do takiej osobistości, człowiek, jako jednostka fizyczna, ma na oku wyłącznie samego siebie i nie poczuwa się do żadnej ofiarności na korzyść innych. To też wszyscy altruści, którzy poświęcają się dla dobra swego otoczenia, przynosząc w ofierze dla niego swój egoizm, oddając się dążnościom bezinteresownym do poznania prawdy, urzeczywistnienia piękna i dobra, a przytem trzymają się jednak naturalistycznych poglądów na świat z zaprzeczeniem wyższych, rozumowych czynników bytu — wszyscy oni podlegają rażącej sprzeczności między swoją praktyką życiową a swymi teoretycznymi zapatrywaniami. Oni działają w duchu wiary w istotną wartość dóbr idealnych, które mi pragną obdarzyć ludzkość; tymczasem, według ich naturalistycznego poglądu na świat, owe dobra, dla których przynoszą ofiarę z samych siebie, pozbawione są właściwie wartości, gdyż nie są ugruntowane w realnym porządku świata. Z punktu widzenia tego naturalistycznego porządku, osobnik niema żadnego powodu wyrzekać się przyjemności zmysłowego życia dla dóbr utopijnych, niemających podstawy w danym stanie rzeczy.

Altruści tego rodzaju, kończył p. X., są lepsi w praktyce życiowej, niż ich teorye. Ich postępowanie na korzyść innych można tylko wytłómaczyć, jako wynik czy to dobrego wychowania moralnego w duchu idealistycznym, czy to odziedziczonego rozwoju uczuć sympatycznych, urobionych pod wpływem poglądu na świat, uznającego samoistne znaczenie życia umysłowego tak w człowieku, jak we wszechbycie wogóle. Zawsze altruizm, jako zasada etyczna, wiąże się wewnętrznie jaknajściślej z uznaniem moralnego porządku świata, przewyższającego jego porządek fizyczny.

4. Ocena porównawcza epikureizmu i altruizmu.

Charakterystyka ogólna dwóch przeciwległych zasad postępowania w życiu, obejmuje najgłówniejsze dane do porównawczej oceny odnośnych kierunków etycznych. Zabierając się jednak do tej oceny, musimy sobie przede wszystkim zdać jasną sprawę z punktu widzenia, z którego oceny tej dokonać mamy. Rzecz naturalna, że nie możemy z góry stanąć na stanowisku ani jednej, ani drugiej z tych zasad, gdyż w takim razie wyprzedzilibyśmy wyniki oceny krytycznej przed jej rozpoczęciem. Więc jakie stanowisko zająć powinniśmy, aby oceny dokonać możliwie ściśle, krytycznie i naukowo?

Wszelki rozbiór bezstronny przeciwległych poglądów, podobnie jak i uznania lub zaprzeczenia jednej i tej samej zasady — musi mieć za podstawę pewne wspólne czynniki, wchodzące w skład każdej ze stron porównywanych ze sobą. Bez takiego „tertium comparationis,” każda strona byłaby do tego stopnia wyodrębnioną, że porównanie stałoby się zasadniczo niemożliwem. Cnoty np. i barwy zielonej wcale ze sobą porównać nie możemy, a więc okazałaby się i bezsensowną ich porównawcza ocena krytyczna. Jakie tedy czynniki stanowią wspólną podstawę zaznaczonych, przeciwległych kierunków postępowania etycznego i mogą nam służyć za punkt wyjścia dla ich porównawczej oceny?

Pytanie to obejmuje ostateczne zasady wszelkiego wogóle postępowania etycznego i nagli do głębszego wniknięcia w te zasady, jako wspólne wszelkim bez wyjątku kierunkom etycznym. Musimy tedy przede wszystkim bliżej określić te zasady ogólne bez względu na ich szczegółowe urobienie w tym lub owym poglądzie.

Wszelkie postępowanie człowieka jest objawem jego życia umysłowego, a mianowicie najprzód pewnego bezpośredniego ustroju duszy, pewnych *uczuć*, budzących rozliczne potrzeby oraz popędy do ich zaspokojenia; następnie świadomego ujęcia tych potrzeb, przy pomocy *myślenia*, jako celów postępowania; wreszcie pewnej energii życiowej, czyli *woli*, dążącej do urzeczywistnienia owych celów w sposób odpowiedni.

Jako taki objaw życia umysłowego, postępowanie etyczne podlega z jednej strony ogólnym prawom życia i jego rozwoju, a z drugiej przedstawia pewne szczegółowe cechy, któremi postępowanie etyczne wyróżnia się od wszelkiego innego postępowania.

Te kwestye musimy tu wyjaśnić choć w najogólniejszych zarysach, aby z ich punktu widzenia dojść do porównawczej oceny owych dwóch przeciwległych kierunków postępowania.

Charakter *etyczny* postępowania polega zasadniczo na zastosowaniu działania do pewnych norm, uznanych przez działającego za obowiązujące dla siebie. Gdzie niema takich norm, ani poczucia zależności od nich, tam postępowanie ma charakter bezpośredni i dokonywa się, że tak powiem, samo przez się bez właściwej samodzielności ze strony działającego, a więc bez cech etycznych.

Z tego okazuje się, że postępowanie etyczne jest wynikiem rozwoju umysłowego w dwóch kierunkach: raz w kierunku uświadomienia norm czyli zasad obowiązujących człowieka, a następnie w kierunku zastosowania woli i działania do tych norm. W obydwóch tych kierunkach ujawnia się też dalszy rozwój etyczny, pociągający za sobą coraz wyższy stopień kultury etycznej. Z jednej strony człowiek dochodzi do coraz samodzielniejszego uświadomienia zasad swego postępowania, a z drugiej przywyka do coraz ściślejszego zastosowania swych działań do tych zasad. Wraz z rozwojem umysłowym człowieka rozwijają się też te czynniki etyczne jego postępowania i nadają życiu ludzkiemu coraz większą wartość.

Tu narzuca się jednak pytanie dalsze: na czym polega sam ten rozwój tak życia umysłowego wogóle, jak i szczegółowo zaznaczonych współczynników etycznych?

Poglądy myślicieli na istotę rozwoju są bardzo rozmaite, zdaje się atoli, że wszystkie dają się sprowadzić do zdania, że rozwój wogóle polega na przejściu od pierwotnych, prostych związków i stosunków w stan bardziej złożony, zawikłany, wogóle na rozszerzeniu, pomnożeniu oraz różniczkowaniu tak warunków, jak objawów życia przez jego łączność z coraz nowemi i odmieniami czynnikami. W ten sposób i rozwój życia umysłowego uwydatnia się w zbogaceniu jego treści i w wytworzeniu coraz bardziej urozmaiconych związków życiowych. Im to bogactwo treści jest większe, im związki i stosunki bardziej złożone i urozmaicone, tem życie umysłowe znajduje się na wyższej stopie rozwoju. Mamy tedy tutaj ścisłą zasadę do porównania różnych objawów i do orzeczenia, który z nich przedstawia wyższy stopień rozwoju, a zatem ma i odpowiednie wyższe znaczenie w ogólnym postępie spraw ludzkich. Z tego też stanowiska zabieram się do porównawczej oceny *epikureizmu* i *altruizmu*.

Na podstawie podanej charakterystyki nie trudno się przekonać, który z owych kierunków jest prostszy, uboższy, ciasniejszy pod względem treści życiowej.

Epikureizm jest wprawdzie objawem wyższym, bogatszym, bardziej złożonym, niż prosty egoizm pierwotnego człowieka. Ale w gruncie rzeczy jego zasada postępowania jest równie ciasną i ubogą. Epikurejczyk zna wprawdzie i rozkosze wyższej kultury, życia rodzinnego, towarzyskiego, literatury, sztuki i t. p. Z tem wszystkim jednak te wyższe objawy nie zajmują go same przez się, lecz tylko o tyle, o ile mu przynoszą przyjemność, o ile są mu osobiście miłe i nie wymagają zbytniego nateżenia sił umysłowych. Nie oddaje się im tedy dla ich wewnętrznej wartości, lecz ceni je wyłącznie, gdy przy ich sposobności osiąga zadowolenie. Środek ciężkości jego działania sprowadza się zawsze tylko do jego jednostkowego bytu; tylko w nim widzi ostateczny cel swego postępowania, więc też nie przynosi żadnych ofiar na korzyść rozwoju owych wyższych objawów życia, lecz posiłkuje się nimi wyłącznie z egoistycznego punktu widzenia.

Poznanie prawdy, ukształtowanie piękna, urzeczywistnienie tego, co sam uznaje za dobre—są to cele „idealne“, które go nie skłaniają do wyrzeczenia się zwykłych przyjemności życia. Oddanie się tym celom bez wszelkich względów osobistych, jest mu zupełnie obcem, niezrozumiałem. Wyrzeka się też spokojnie wszystkich tych celów, gdy pociągają za sobą jakiegokolwiek niedogodności lub wymagają ofiary z miłych nawyknień. Jażń swoją stawia ponad wszelkie „idealy“ i zajmuje się ich treścią jedynie o tyle, o ile sprawiają mu pewną przyjemność. Bezinteresowność zaś w jakimkolwiek kierunku, uznanie jakiegokolwiek treści idealnej dla niej samej, przekracza jego nastrój osobisty i nie powoduje jego działania. Zakres tedy motywów, zaprzętających jego umysł, jest nader szczupły i sprowadza się jedynie do jego jednostkowego bytu.

Taż sama ciasnota umysłowa ujawnia się w stosunkach epikurejczyka do innych ludzi, oraz do rodziny, społeczeństwa, narodu, państwa. I w tych stosunkach nie może się wznieść na stanowisko bezinteresownego zajęcia się swoim otoczeniem dla niego samego, lecz we wszystkim, co go otacza, widzi jedynie środek dla zaspokojenia swych osobistych dążeń. To też świat wszechludzki jest mu w gruncie rzeczy obojętny, chyba, że daje mu powód do niemiłych poruszeń—a wtedy go nienawidzi—albo że z niego zaczerpać może podniety do zaspokojenia swych pragnień—co go robi łaskawszym dla niego.

Nawet w zakresie stosunków rodzinnych nie pielęgnuje uczuć sympatycznych. W rodzinie widzi jedynie instytucję, mającą na celu jego osobistą wygodę i nic więcej. Zajmuje się nią tylko z konieczności; najmniejsza dla niej ofiara jest mu ciężarem nieznośnym, natomiast żywi przekonanie, że obowiązkiem jej członków jest służenie i dogadzanie jemu wedle możliwości.

W sprawach społecznych, politycznych, dobroczynnych, religijnych, wymagających zazwyczaj pewnej ofiary z osobistych wygod i przyjemności, nie bierze czynnego udziału. Zajęcie się nimi nadwiera jego spokój, więc niema powodu im się poświęcić. Wskutek tego żyje wprawdzie w społeczeństwie, ale nie ze społeczeństwem, wśród narodu, ale nie dla narodu. Wyzyskuje kulturę, postęp wszelkiego rodzaju na swoją korzyść, ale nie przyczynia się do podniesienia kultury, do postępu na jakimkolwiek polu ludzkiej działalności. Jest tedy pasożytem na ciele ludzkości, wysysającym jej soki żywotne, nie przykładając się w zamian za to niczem do przyspożenia jej zasobów.

Z powyższego okazuje się, że w każdym epikurejczyku, postępującym konsekwentnie według swych zasad, ujawniają się dwie wady organiczne pod względem umysłowym, wynikające z braku rozwoju i kultury odnośnych czynników psychicznych.

Pierwsza wada wypływa z braku rozwoju i kultury uczuć sympatycznych.

Współczucie jest jednym z najszlachetniejszych objawów duszy. Rozwinięte w sposób należyty, staje się łącznikiem moralnym między jednostką i otoczeniem, a przez to bogaci umysł całym szeregiem wzruszeń, stosownie do stanu, w jakim się to otoczenie znajduje. Epikurejczyk zaś przytłumia w sobie najpiękniejsze nawet zarodki współczucia, zamiast je rozwijać i pielęgnować. Wskutek tego ogranicza swe życie umysłowe głównie poczuciem samego siebie i myślą o sobie. Nic nie porusza głębiej jego stwardniałego serca; nic go nie wyprowadza z sobkostwa w szerszy świat, nie robi z niego uczestnika doli i niedoli innych. Zakres jego zajęć staje się coraz mniejszym i ogranicza się w końcu tylko kalkulacjami osobistymi. Zamiast tedy postępowego rozwoju uczucia przy pomocy poruszeń sympatycznych, widzimy w nim coraz większy zanik tego rodzaju poruszeń, a wskutek tego przerywa się też coraz więcej jego związek moralny z otoczeniem.

Drugą wadą, łączącą się z powyższym zanikiem uczuć sympatycznych, jest osłabienie zmysłu dla rzeczowego rozpatrywania jakiegokolwiek sprawy, dla przedmiotowej rozważki. Będąc zajęty

tylko sobą, zadowoleniem swoich rozlicznych pragnień i zachcianek, epikurejczyk wdraża się stopniowo do bezwzględego subiektywizmu i w końcu traci zupełnie zdolność traktowania jakiegokolwiek przedmiotu niezależnie od swych spraw osobistych, z obiektywnego punktu widzenia. Dzięki temu i myślenie jego staje się jednostronnem, połowicznem, nie wnika w rzecz samą w sobie, co wymaga natężonej uwagi oraz oderwania się od samego siebie, lecz przesuwa się tylko po powierzchni przedmiotów, a ocenia je jedynie w związku ze swemi rachubami osobistemi.

Z tego wynika, że miłość prawdy dla prawdy jest mu zupełnie obcą. Ponieważ zaś wszelkie badanie prawdy, wszelki postęp nauki, zależy od wyrobienia przedmiotowych czynników myśli ludzkiej, właśnie od miłości *prawdy dla prawdy, przeto epikurejczyk nie zdobywa się na poważną pracę w tym kierunku, lecz zadawała się zazwyczaj lekkim deklamatorstwem nad najpoważniejszymi kwestyami i to zazwyczaj z tendencją dogodzenia swym osobistym zachciankom.

Wada ta występuje też na jaw jaknajwyraźniej w naturalistycznym poglądzie na świat epikureizmu. Ciasnota tego poglądu pozostaje w ścisłym związku z brakiem prawidłowego rozwoju dodatnich czynników życia umysłowego. Wskutek jednostronnego wywyższenia nad miarę własnego jednostkowego bytu, nie dziw, że dla epikureizmu niema w całym świecie nic wyższego nad ten byt jednostkowy. On tylko posiada świadomość i rozum, przejmuje się swemi stanami, pozostały zaś świat jest głuchy i niemy, sprowadza się jedynie do gry ciemnych sił fizycznych, stanowiących jego istotę, a działających naturalnie bez rozumu i celu.

Zależności swojej od jakiegokolwiek wyższego duchowego pierwiastku wszechbytu, oraz związku z nim, epikurejczyk nie uznaje, bo to sprzeciwiałoby się jego sobkostwu, nakładałoby na niego obowiązek stosowania się do porządku rzeczy, od niego niezależnego, a więc ograniczenia swej dążności dogadzania wyłącznie samemu sobie. Jego ciasny indywidualizm nie może się wznieść na stanowisko ogólniejsze, uniwersalne, uznające ducha powszechnego, jako źródła bytu jednostek, jako czynnika, żyjącego w nich i domagającego się ich zjednoczenia z celami wszechświatowemi, przekraczającemi nieskończenie szczypty zakres indywidualnych potrzeb i dążności. To wszystko są wymagania, nie licujące z egoistycznym nastrojem epikurejczyka. Więc woli temu wszystkiemu zaprzeczyć, albo przynajmniej wszystkie te „trudne,“ „metafizyczne“ kwestye pozostawić w zawieszeniu i postępować w życiu tak, jakgdyby on był najwyższym czynnikiem

bytu, bez żadnych obowiązków dla kogokolwiek, prócz dla samego siebie.

Pod względem etycznym, taki nastrój epikurejski jest również objawem wstecznym. Zamiast głębszego uświadomienia sobie norm postępowania, co jest wynikiem prawidłowego rozwoju kultury etycznej, epikurejczyk dochodzi konsekwentnie do zaprzeczenia wszelkich norm, domagających się w czemkolwiek ograniczenia jego osobistego zadowolenia na korzyść celów ogólniejszych. Stosuje się on do zwyczajów rodzinnych i towarzyskich, uwzględnia wymagania społeczne, podlega prawom obowiązującym, nie z poszanowania dla nich, z powodu ich istotnej wartości, lecz wyłącznie dla tego, że odstępstwo od nich pociągałoby dla niego złe skutki. To nie są tedy dla niego normy, do których stosować się winien dla ich doniosłości etycznej, lecz tylko konieczne ograniczenia jego swobody, którym nolens volens poddać się musi, jak to czynić musi również i odnośnie do porządku fizycznego świata. Właściwą zaś normę, regulującą jego postępowanie, uznaje wyłącznie w dogadzaniu samemu sobie i w posilkowaniu się całym swym otoczeniem, jako środkiem do osiągnięcia tego celu. Norma etyczna sprowadza się tu do minimum, a więc też z tego stanowiska mowy być nie może o dalszym postępowym rozwoju etycznym.

Jakże odmiennie przedstawia się altruizm pod wszystkimi powyższymi względami!...

Zaznaczono już powyżej, że altruizm, jako zasada postępowania etycznego, jest objawem rozwoju uczuć sympatycznych, będących główną podstawą moralnej łączności jednostki z jej otoczeniem. A choć całej etyki ze stanowiska psychologicznego oprzecz niepodobna wyłącznie na tych uczuciach, jak to czynił *Adam Smith* w swej „Teoryi uczuć moralnych,” 1759, gdyż niezależnie od osobistej sympatyi uznanie obowiązujących norm działania jest niezbędnym warunkiem nastroju etycznego—co w sposób niezbity dowiódł *Kant* w swej „Krytyce rozumu praktycznego,” 1788—to jednak nie ulega wątpliwości, że rozwój uczuć sympatycznych jest jednym z najpotężniejszych współczynników kultury etycznej.

Rygor prawa moralnego, podobnie jak i praw logicznych, ma charakter obiektywny, narówni z prawami przyrody, gdyż tkwi w samej organizacyi psychicznej człowieka, a więc nie zależy od sympatyi lub antypatyi jednostki. Wymagania jego atoli tracą na swej surowości i urzeczywistniają się w sposób etyczny, gdy jednostka przeniknięta jest duchem sympatyi dla przedmiotu

działania i wykonywa ochoczo, z własnego popędu, owe wymagania prawa moralnego. To też bliższe wniknięcie w istotę uczuć sympatycznych, a więc i altruizmu, w przeciwstawieniu do egoistycznego epikureizmu, stanowi jedno z najważniejszych zadań etyki naukowej. Dotkniemy tego zadania tutaj w najogólniejszych zarysach.

Psychologia zajmuje się w nowszych czasach nie mało uczuciami sympatycznymi; pomimo to nie doszła do ostatecznych wyników, określających ściśle istotę tych uczuć. Sądzę, że punktem wyjścia w tym względzie powinna być analiza najprostszych objawów, jakie napotykaemy w stosunkach małżeńskich i rodzinnych.

Miłość wzajemna mężczyzny i kobiety jest wprawdzie pierwotnie popędem fizyologicznym, wspólnym człowiekowi i zwierzętom. Ale popęd ten jest właśnie sam przez się wyrazem braku zadowolenia każdej strony z samej siebie i szukania dopełnienia w obopólnym zjednoczeniu. Tu już tedy czynnik jednostkowy, egoistyczny ustępuje bezpośrednio pierwszeństwa czynnikowi altruistycznemu, a to służy za punkt wyjścia do dalszego rozwoju tego ostatniego, a nawet często do jego zupełnego zapanowania nad egoizmem. Dla tego też miłość małżeńska, wraz z rozwojem psychicznym, przybiera w człowieku odcień idealny i staje się często oddaniem się jednej strony na korzyść drugiej, dla niej samej, bez wszelkiej egoistycznej rachuby, z ponoszeniem często bardzo dotkliwych ofiar z osobistego dobrobytu, z życia nawet.

Toż samo widzimy i w miłości macierzyńskiej. Fizyologicznie tkwi ona niewątpliwie w zupełnym zjednoczeniu matki z dzieckiem przed jego wydaniem na świat. Przywykły do tego zjednoczenia, matka i po narodzinach dziecka nie odrywa się od niego, nie przeciwstawia się jemu, lecz odczuwa bezpośrednio swoją łączność z niem; żyje nie dla siebie, ale dla niego. Też same czynniki działają i odnośnie do stosunku dziecka do matki. Jego przyleganie do niej, a następnie przywiązanie jest również wynikiem pierwotnego, życiowego zjednoczenia dziecka z matką. W tym wypadku, jak i w poprzednich, dążność altruistyczna wytworza nowe ukształtowanie się stosunków etycznych, jakim jest *rodzina*.

Już z tych kilku przykładów okazuje się, że altruizm polega zasadniczo najprzód na poczuciu pewnych niedostatków odosobnionego, jednostkowego bytu, jako części szerszej całości, nie całości w sobie, a następnie na szukaniu odpowiedniego dopełnienia w otoczeniu i oddaniu się jemu dla niego samego bez rachuby

samolubnej, w celu brania udziału w życiu i rozwoju szerszej, doskonalszej całości.

Jasną jest rzeczą, że te czynniki altruizmu bogacą umysł całym szeregiem nowych motywów i rozszerzają coraz bardziej zakres działania osobnika po za jego byt jednostkowy. Ujawnia się tedy tutaj źródło odśrodkowego postępu w nieskończoność. Najrozlicniejsze przedmioty, treścią swoją, same przez się, budzą w tym kierunku zajęcie osobnika i rozwijają coraz bardziej zdolność jego do wyrzeczenia się siebie dla tych przedmiotów, uznania ich wyższości, oddania się im na usługi i przyczynienia się przez to do dobra szerszych zakresów otoczenia.

Prócz rodziny zawdzięczają tym czynnikom altruistycznym swe istnienie i coraz pełniejszy rozwój najrozlicniejsze formacje towarzyskie, społeczne, państwowe, ogólnie ludzkie, humanitarne. I religia, uznanie i oddanie się Istocie Najwyższej, wypływa z tego źródła. Żywotność wszystkich tych objawów opiera się nie na rachubach egoistycznych, ani na „umowach,“ ani na gwałcie lub bojaźni, lecz na owych dążnościach altruistycznych, dzięki którym osobnik oddaje się bezinteresownie ogólniejszym, wyższym formom życia, jako cząstka większej całości, jako członek pełniejszego ustroju.

Że tak jest istotnie, że tylko tchnienie prawdziwego, szczerego altruizmu podtrzymuje i rozwija owe wyższe objawy, a dążności egoistyczne, jednostkowe pociągają za sobą ich rozstrój, upadek — o tem, niestety, świadczy w sposób przerażający przeżywany przez nas straszny stan anarchii, w którym jednostkowa samowola wyrzeka się wszelkich szlachetniejszych poruszeń altruistycznych, a ma na oku wyłącznie samą siebie.

A gdy z drugiej strony widzimy, że tylko chętne i zarazem ofiarne zrzeszenie się jednostek w imię wyższych zadań, przeciwdziała skutecznie takiemu rozstrojowi i zaszczenia w społeczeństwie nowe życie — natenczas wątpić nie można o twórczej sile altruizmu w przeciwstawieniu do destrukcyjnych czynników egoizmu. Smutne przejścia chwili obecnej i oparte na nich doświadczenie powinnyby raz przecie przekonać o tem zwolenników doktryn egoistycznych. Ale, niestety, przejmując się swemi teoriami, przesadnym indywidualizmem, egoiści nie chcą zrozumieć, że systemat kopernikański ma swe zastosowanie i w etyce, że świat nie obraca się około człowieka, że jednostka nie jest punktem środkowym ruchu powszechnego, lecz przeciwnie, że człowiek, jednostka ciąży ku wyższemu światu i w ruchu około niego spełniają swe przeznaczenie.

Wspólnie z odśrodkowym kierunkiem dążności altruistycznych rozwija się w umyśle ludzkim i zmysł przedmiotowy, ograniczający nadmierny rozwój subiektywizmu. W miejsce poglądu wyłącznie podmiotowego na sprawy ludzkie i świat wogóle, ustala się w osobniku coraz bardziej obiektywny punkt widzenia, wyzwalający się z drobnostkowych względów indywidualnych, a mający na oku, wedle możliwości, rzecz samą w sobie, niezależnie od tendencji, upodobań i niechęci osobistych. Piękno dla piękna (sztuka dla sztuki), prawda dla prawdy (nauka dla nauki), dobro dla dobra (enota dla enoty)—oto wyniki nastroju altruistycznego, w którym osobnik zużytkowuje swe siły i zdolności, jako środki dla urzeczywistnienia celów, uznanych za bardziej wartościowe, niż przyjemności bytu indywidualnego.

Na tem stanowisku jednostka poczuwa się jako przynależna do wyższego świata ducha i z własnego popędu, bez zewnętrzniego nacisku, często wśród trudnych lub niebezpiecznych warunków, z narażeniem swego dobrobytu, życia nawet, wyrzeka się osobistych celów, aby wedle możliwości swojej przyczynić się do urzeczywistnienia najwyższych ideałów doskonałości. A chociaż pełne ich osiągnięcie wśród danych warunków życia jest niewątpliwie utopią, to jednak praca w tym kierunku podnosi ducha ludzkiego na coraz wyższy szczebel rozwoju i daje rękojmię dalszego, nieskończonego postępu.

W ten sposób dążności altruistyczne łączą się ściśle z szerokim poglądem na świat, jako ustroju, w którym osobnik jednostkowy stanowi cząstkę składową, organ, żyjący życiem całości, przeniknięty jej duchem i pełniący w niej pewne funkcje dla dobra ustroju powszechnego. W tym też związku z całością tkwią zasadnicze normy postępowania osobnika, normy etyczne, do których zastosować się musi, jeżeli chce stanąć na wysokości swych zadań życiowych i urzeczywistnić cel swego istnienia.

Z powyższych danych okazuje się, że altruizm zawiera w sobie daleko więcej zasobów żywotnych, niż egoizm; że kierunek odśrodkowy postępowania, dążący do celów, leżących poza bytem jednostkowym, ma przed sobą daleko szersze pole działania, daleko bogatszą w czynniki etyczne przyszłość, niż egoistyczny kierunek dośrodkowy, choćby nawet urozmaicony najwytworniejszym epikureizmem. Altruizm, jak słońce, promienieje na wszystkie strony w nieskończoność, przed nim stoi otworem świat cały; w najdalsze i najciemniejsze jego zakątki wnosi on światło, ciepło i życie. Egoizm, natomiast, jako zwrot osobnika ku samemu sobie, kureczy i ścieśnia coraz bardziej pole działania człowieka;

nikomu niczem nie służy, pozostawia w ciemności i zimnie swe otoczenie. Pod jego wpływem marnieją bezpłodnie największe zdolności jednostkowego bytu, bo ześrodkowując swą działalność w kierunku zwrotnym, czysto subiektywnym, słabną w monotonii tego kierunku.

Tak tedy porównawcza ocena owych dwóch przeciwległych kierunków postępowania ludzkiego, wypada stanowczo na korzyść altruizmu. Na podstawie tej oceny nie można wprawdzie potępić bezwzględnie dążności, mających na celu samozachowanie oraz dobro, zadowolenie osobnika działającego. Zwolennicy teorii egoistycznych, jak np. *Herbert Spencer* („Zasady etyki,“ przekład polski, 1884), wykazali jasno, nawet do przesady, doniosłość egoizmu, jako czynnika przyczyniającego się do wszechstronnego rozwoju jednostki ludzkiej, jako jednostki. Ma też słuszość ten myśliciel, gdy mówi, że „troskliwość o samego siebie, powodująca zdrowie i wesoły nastrój umysłu, jest dobrodziejstwem dla drugich, gdyż szczęście i smutek są zaraźliwe.“ Ale zasadnicza kwestya etyczna w tej sprawie nie polega na wykazaniu doniosłości życiowej jednego i drugiego z powyższych kierunków postępowania, w ich odosobnieniu od siebie, lecz na tem, który z tych kierunków ma mieć przewagę w postępowaniu, t. j. jakim duchem człowiek przejąc się winien w swej działalności? czy altruizm, czy też egoizm i epikureizm mają być jego przewodnikami na drodze życia?

Rozwiązanie tej kwestyi na korzyść altruizmu, jako czynnika, będącego z jednej strony wytworem wyższej kultury etycznej, a zawierającego z drugiej strony daleko bogatsze zasoby rozwoju na przyszłość, nie pociąga za sobą bynajmniej wymagania, aby osobnik przejmował się ascetyzmem i wyrzekał się wszelkiej dbałości o zaspokojenie swych potrzeb i osiągnięcie możliwie pełnego zadowolenia ze swego życia i działania. Tu idzie o nastrój zasadniczy, który przeniknąć winien nawet tego rodzaju dążności; idzie o to, czy ze stanowiska etycznego mogą one być uznane za górujące i ostateczne, czy też żądać należy, aby się podporządkowały pod wyższe dążności altruizmu i w ich duchu rozwijały własne swe zasoby?

Tu właśnie dochodzimy do określenia wzajemnego do siebie stosunku owych dwóch przeciwległych kierunków postępowania ze zaznaczonego już powyżej stanowiska *organicznego*. Osobnik jest organem, narządem w ustroju otoczenia, członkiem jego. Ażoby mózdz spełnić swe funkcye w sposób należyty, musi się rozwiniąć wszechstronnie i ześrodkować w sobie odpowiedni zasób sił fizy-

cznych i moralnych. Cel zaś ten osiągnąć może tylko dbałością o zachowanie życia i jego prawidłowy rozwój, oraz o zaspokojenie swych rozlicznych potrzeb, zarówno fizycznych, jak moralnych. Ma tedy każdy osobnik i pewne obowiązki względem samego siebie, które sumiennie spełniać winien.

Będąc atoli tylko narządem szerszego ustroju, a nie samoistnym pełnym ustrojem, osobnik nie może i nie powinien mieć na myśli zaspokojenia swych potrzeb, jako jedyne i najwyższego celu swej działalności. Wartość i znaczenie organu polega na funkcji, jaką spełnia w organizmie, więc też zaspokojenie potrzeb osobnika służyć winno tylko za środek, podniecający jego żywotność, dodający mu siłę i świeżości do wykonania czynności, jakie wynikają z jego cząstkowego stanowiska w ustroju otoczenia, jako całości.

Nad wszelkimi tedy dążnościami jednostkowymi, nad zadowoleniem i przyjemnościami osobnika, górować winna w nastroju jego dbałość o dobro wyższe, ogólniejsze, owej całości, w której skład wchodzi. Tylko ta dbałość stanowi o jego istotnej wartości w ustroju czy to rodziny, czy społeczeństwa, narodu, państwa, ludzkości, wreszcie bytu w ogóle; tylko ochocze i prawidłowe spełnianie ciążących na nim czynności w tym ustroju, a więc *obowiązków*, nadaje jego działaniu charakter etyczny i wynosi go wysoko ponad marność bytu jednostkowego, jako oderwanego od szerszej całości.

Organ sam w sobie wzięty nie ma racji bytu; tylko w ustroju organicznym nabiera odpowiedniego znaczenia. Podobnie i jednostka, żyjąca tylko w sobie i dla siebie, nie posiada rzetelnej wartości, jest nikłą cząsteczką, pyłkiem, rozdmuchiwanym na wszystkie strony przez huragan czasu, bo nie ma oparcia o byt stały, niezmienny w swej istocie, postępujący naprzód ku celom życia powszechnego. Tylko, wdrażając się w służbę tych celów powszechnych, jednostka wrasta w ustrój swego otoczenia, bytu w ogóle, staje się jego członkiem, a przez to przyswaja sobie czynniki jego nieskończonego rozwoju, bierze udział w tym rozwoju i spełnia przez to swe właściwe przeznaczenie.

W miarę coraz ściślejszego zjednoczenia się z ustrojem powszechnym i coraz sprawniejszej działalności na korzyść jego postępu, jednostka dosięga zarazem i coraz większego zadowolenia z siebie, coraz pełniejszej szczęśliwości. Ale taki wynik jej altruizmu nie jest bynajmniej objawem przez nią przewidywanym i nie dla niego poświęca się ona dobru powszechnemu. Ona czyni co do niej należy, spełnia swą funkcję bezinteresownie, bez

względu na swój własny dobrobyt, w przeświadczeniu, że służba około szerszych zakresów bytu jest obowiązkiem, wypływającym z jej istnienia, z jej sił żywotnych i zdolności. Jedyne dzięki porządkowi moralnemu świata, działalność w tym kierunku pociąga za sobą ostatecznie dla jednostki działającej zadowolenie wewnętrzne, z góry jednak przez nią nie zamierzone, lecz wynikające z poczucia coraz ściślejszej łączności z szerszemi kręgami bytu, wreszcie z samą jego Istotą. To poczucie przynależenia do większej całości, do ustroju o niewyczerpanych siłach żywotnych podnosi osobnika, odnawia ciągle zasoby jego indywidualnego bytu i dodaje odwagi do coraz większego poświęcenia rachub egoistycznych na korzyść dobra innych, powszechnego. Przeciwwstawia się to poczuciu nędzy moralnej i przesytu, jakie z natury rzeczy jest udziałem egoisty, nawet przy największej wybredności epikurejskiej.

Wiadomo, że teorye egoistyczne usiłują wyprowadzić i najwyższe objawy altruistycznego poświęcenia z czynników samolubstwa, a mianowicie z zadowolenia, jakie działającemu sprawiają takie czyny poświęcenia. Więc dowodzą, że mając na oku to własne zadowolenie, altruista oddaje się przedmiotowi swej miłości, pieści go, pracuje dla niego, przynosi mu nawet, w razie potrzeby, w ofierze życie swoje.

Wszelkie atoli tego rodzaju wywody altruizmu z czynników egoistycznych polegają na pomieszaniu właściwych motywów altruistycznego działania z jego wynikami, jego przyczyn ze skutkami.

Osiągnięcie celu jakiegokolwiek czynu pociąga za sobą z natury rzeczy uczucie zadowolenia bez względu na motywa czynu. Bandyta czuje zadowolenie, gdy uchodzi bezkarnie ze zdobyczą swoją, ale motywem jego czynu nie było osiągnięcie tego zadowolenia, lecz osiągnięcie samej zdobyczy, naturalnie, o ile można, bez wszelkiego dla siebie niebezpieczeństwa. W podobny sposób i czyn poświęcenia, gdy cel swój osiągnął, ma za skutek uczucie zadowolenia. Czyż ratujący tonącego nie ma być zadowolonym, gdy mu się uda wyrwać wodzie ofiarę? Czyż koniecznie musi czuć niezadowolenie z powodu swego czynu, aby egoista nie posądzał go, iż zaryzykował życie swoje dla uratowania życia bliźniego, nie z miłości ku niemu, lecz jedynie dla tego, że mu czyn taki przyjemność sprawia? Przecież jasną jest rzeczą, że nie miał nawet czasu na tego rodzaju kalkulacje; to też one nie mogły być wcale przedwstępnym motywem jego czynu. Widział, że człowiek tonie i wskoczył do wody, mając na myśli jego uratowanie i nie zgoła innego. Udało mu się cel osiągnąć, więc się

naturalnie z tego raduje, ale nie w przewidywaniu tej radości wskoczył do wody.

Nie mogąc, wobec takich objawów, zaprzeczyć faktyczności bezinteresownego czynu altruistycznego, teorye egoistyczne usiłują takowy wyprowadzić z czynników samolubnych przy pomocy przystosowania się do warunków bytu, nawyknienia, dziedziczności i innych współczynników rozwoju. Dziś, mówią, człowiek etycznie wychowany uznaje swoją łączność z innymi osobami oraz przynależność do szerszego ogółu i poświęca się im często bez rachuby egoistycznej. Ale stało się to możliwem tylko wskutek kultury społecznej, która rozszerzyła widnokrąg umysłowy osobnika i wpoila w niego przekonanie, że dobro innych i ogółu jest warunkiem jego własnego dobra. Więc według tego altruizm w gruncie rzeczy nie może się wyrzec swej genezy egoistycznej; sprowadza się on z tego stanowiska do tak zwanej „kooperacji egoizmów.“

W tym duchu mówi Spencer (l. c.): „Dla osiągnięcia największej sumy szczęścia, każdy powinien być więcej egoistą niż altruistą.“ Ale z biegiem rozwoju społecznego, altruizm staje się „rozkoszą współzuciową, która doświadczającego jej nie kosztuje, a jest bezpłatnym dodatkiem do jego przyjemności egoistycznych“... „Dopóki przewyższają cierpienia, mówi dalej, dopóty nie jest rzeczą pożądaną, aby każdy człowiek gorący brał udział w świadomości innych; lecz ze wzrostem przewagi przyjemności, uczestniczenie w świadomości bliźnich stanie się zyskiem rozkoszy dla wszystkich.“

Nie trudno spostrzedz, że taki *epikurejski* altruizm, dążący do powiększenia własnej przyjemności przejęciem się przyjemnościami innych, jest w gruncie rzeczy najprostszym egoizmem i nie daje się urzeczywistnić na tym „padole płaczu,“ gdyż pomimo najświetniejszego postępu stosunków społecznych, zawsze cierpienia różnego rodzaju i śmierć ze swymi smutnymi skutkami istnieć będą na ziemi. Nadto, skoro nie jest „rzeczą pożądaną“ brać udział w *cierpieniach* bliźnich, natenczas byłoby logiczniej nie mówić wcale o altruizmie, aniżeli odraczać jego działalność aż do owego nieprawdopodobnego czasu, gdy rozkosz powszechna zapana na ziemi.

Wreszcie, taki egoistyczny charakter altruizmu nie daje się wcale pogodzić z jego pierwotną samoistną naturą, różną zasadniczo od egoizmu. Sam Spencer wyznaje, że „własna ofiara nie mniej jest pierwotną od samozachowania.“ Więc jest rzeczą naturalną, że altruizm rozwija się wraz z kulturą etyczną, że tak powiem, z własnych zasobów, a nie w zależności od czynników egoizmu.

Można i należy uznać, że w człowieku obok altruizmu ujawnia się i egoizm; można nawet zaznaczyć, że dotąd dążności egoistyczne przeważają faktycznie u większości ludzi; ale pomimo to nie ma żadnych danych do wyprowadzenia altruizmu z motywów egoistycznych. Z egoizmu może się wskutek rozwoju wywiązać tylko coraz bardziej wyrafinowany egoizm, jak o tem świadczy epikureizm. Ale z niego nigdy powstać nie może altruizm, jako kierunek postępowania o motywach i dążnościach wprost przeciwnych. Egoizm jest kierunkiem psychicznym dośrodkowym; altruizm—odśrodkowym; niepodobna ich tedy sprowadzić do wspólnego mianownika. Tylko ciasny sposób myślenia egoisty podkłada altruizmowi swoje małostkowe motywy, bo nie może się przejąć jego nastrojem, ani wznieść na stanowisko, uznające zasadniczy związek jednostkowego bytu ze swem otoczeniem, ze światem w ogóle, jako wielkim ustrojem wszechbytu.

HENRYK STRUVE.

POBYT KOŚCIUSZKI i NIEMCEWICZA

w Ameryce ¹⁾

(w latach 1797 i 1798).

Poszukiwania w zbiorach rękopisów w Stanach Zjednoczonych dostarczyły mi szeregu dat, dotyczących powtórnej podróży Kościuszki do Ameryki, odbytej w towarzystwie Niemcewicza, po uwolnieniu obu z więzień petersburskich. Daty te, chociaż ścisłe i niewątpliwej autentyczności, dawały tylko wytyczne punkta do zobrazowania usposobienia Kościuszki, jego zamiarów, przyjęcia, jakiego doznał od ludzi rozmaitych stronniectw, i wrażenia, jakie wywierał.

Obecność przy nim tak pilnego pamiętnikarza, jakim był Niemcewicz, stanowiłaby wyjątkowo pożądaną dla biografa Kościuszki okoliczność, gdyby nie smutne oświadczenie samego Niemcewicza, że obszernie notatki do pamiętnika, spisywane przez niego podczas podróży morskiej i pobytu w Ameryce, oddane komuś na przechowanie, zginęły bezpowrotnie ²⁾.

Jakież była radość piszącego, gdy nie zrażony tem oświadczeniem, po długich poszukiwaniach, w rozmaitych księgozbiorach krajowych i zagranicznych, natrafił nareszcie w jednej z bibliotek na rękopis, który, mylnie zaetykietowany w katalogu, okazał się właśnie owemi oplukanemi przez Niemcewicza notatkami

¹⁾ Z niowydanych dokumentów.

²⁾ Podróż przez Szwecję i pobyt w Anglii są, jak wiadomo, wydrukowane. Również i druga podróż po Ameryce, w latach 1807—8, odbyta przez samego Niemcewicza.

z pierwszej podróży po Ameryce. Niestety, brakowało w nim pierwszego zeszytu, obejmującego podróż morską, a paroletnie poszukiwania jego dotąd nie odniosły skutku. Mamy więc tu lukę pomiędzy „Podróżą do Szwecyi i Anglii“ a pobytem w Filadelfii (w kilka dni po przyjeździe), od którego zaczyna się znaleziony rękopis. Lukę tę częściowo zapełniamy z innych źródeł; również i opowieść Niemcewicza uzupełniamy niektórymi ze znalezionych w Ameryce dokumentów.

Z obszernego pamiętnika Niemcewicza (pisanego w przeważnej części po francuzku, gdzieniegdzie tylko pod koniec zwracającego się ku polszczyźnie) dajemy załedwie szereg wyciągów i to z pierwszej jego części, obejmującej wspólny pobyt z Kościuszką, a zamykamy ustępy te wyjazdem Kościuszki. To, co zostaje jeszcze, stanowi materiał pośrednio tylko interesujący biografa Kościuszki (jako obraz miejsc, gdzie był czynnym i portrety ludzi, z którymi miał do czynienia), lecz bardzo jeszcze ciekawy tak dla życiopisu Niemcewicza, jako też i ze względu na zawarty w nim obraz rodzącego się nowego państwa i narodu, tak dziś wybitne stanowisko zajmującego w cywilizacji Zachodu. Mamy nadzieję wydać w swoim czasie cały ten pamiętnik, a może, jeśli los przyjazny pozwoli, z odnalezionym pierwszym zeszytem.

Niemcewicz nie był ani głębokim myślicielem, ani w ogóle człowiekiem zdolnym do zrozumienia psychologii takiej duszy, jak kościuszkowska. To też wiadomości, bezpośrednio dotyczące Naczelnika, są nad wyraz szczupłe, jak na człowieka, który nieodstępował go niemal na chwilę. Znajomość charakteru Kościuszki pozwala domyślać się, że, prócz rosnącego odosobnienia między nim a Niemcewiczem, przyczyną tej powściągliwości mógł być formalny zakaz wzmianek o nim, wydany przez Naczelnika, zakaz wytłómaczony ujawnioną wielokrotnie podejrzliwością ówczesnego rządu amerykańskiego względem ludzi demokratycznych przekonania¹⁾. Natomiast, jako obserwator chciwy nowych wrażeń i skrupulatnie, niemal drobiazgowo je notujący, daje Niemcewicz bogate

¹⁾ W *Życiu Jeffersona* przez Randall'a czytamy: „On (Kościuszek) dzielnie służył Stanom Zjednoczonym podczas ich walki rewolucyjnej a doznał gojącego uznania ze strony Waszyngtona; lecz nie zabezpieczyło to go od obrażających napaści ze strony przeciwników republikanizmu, a zwłaszcza zgnióstego (foul-mouthed) Cobbet'a. Sądzono nawet, że był jednym z tych, przeciw którym skierowane było „prawo o cudzoziemcach.“ (Randall. *Life of Jefferson*, 1858. T. III, str. 445).

to, na którym biograf-psycholog może już rozwijać uczucia i myśli, z jakimi przyjinować mógł Kościuszko wrażenia, odbijające się w duszy Niemcewicza, jak w płytkiej i gładkiej szybie wodnej; kreśli miejsca, ludzi i drobne wypadki, wśród których wypadło żyć obu, a między owymi ludźmi byli i tacy, z którymi blisko i długo żył Kościuszko w czasie swej służby amerykańskiej. Dlatego też nie wahamy się zaliczyć świeżo odkrytych pamiętników Niemcewicza do najciekawszych z tych, jakie po sobie zostawił.

*

*

*

* Nie mamy — jak rzekliśmy — szczegółów, dotyczących podróży morskiej. Zastąpić je winniśmy kilku listami, zaznaczającymi pożegnanie z Anglią i polecenia do Ameryki.

Posłem amerykańskim w Londynie był wówczas Rufus King; o jego życzliwym udziale w ułatwieniu wyjazdu Kościuszki do Ameryki świadczą dwa następujące listy Kościuszki: jeden urzędowy, pisany po francusku w Londynie, do osoby posła, drugi przyjacielski, po angielsku, do Kinga, jako dobrego znajomego, datowany z Bristolu, które niżej przytaczamy:

KOŚCIUSZKO DO R. KINGA.

„Le Général Kosciuszko a l'honneur de remercier Son Excellence Monsieur l'Envoyé des États Unis de l'Amérique de toutes les peines qu'il a eu la bonté de se donner pour lui procurer un bâtiment faisant voile pour l'Amérique. Son ami, M. Niemcewicz, aura l'honneur de faire sa cour à Son Excellence demain vers le midi; il sera l'interprète des sentiments de reconnaissance et de vénération que le Général Kosciuszko lui a voués pour la vie.“

Le 3 juin 1797. 1)

1) General Kościuszko ma zaszczyt dziękować Jego Ekscelencyi p. Posłowi Stanów Zjednoczonych Ameryki za wszystkie trudy, które łaskawie podjął dla dostarczenia mu statku, płynącego do Ameryki. Przyjaciel jego,

KOŚCIUSZKO DO R. KINGA.

Bristol, 16 czerwca 1797.

„Panie!

Z wielkiem zadowoleniem odpowiadam na ostatni list pański, będąc w stanie przy tej sposobności wyrazić gorące podziękowania za wszystkie kłopoty, które przedsięwziąłeś podczas mego pobytu w Londynie. Twoje wspaniałomyślne serce nie zakreśliło sobie granic i nie przestałeś się opiekować mną w Bristolu i w Ameryce¹⁾. Zostaję więc jak najserdeczniej Ci obowiązany, a to tem bardziej, iż na to nie zasłużyłem. Bądź przekonany o mej wечно trwałej wdzięczności dla Ciebie i o zaszczycie, do jakiego będę się zawsze poczuwał, kreśląc się z wielkim szacunkiem i przywiązaniem Twym powolnym sługą.“

T. Kościuszko.

„P. S. Byłem specjalnie proszony przez p. Van der Horst, konsula amerykańskiego i jego uprzejmą rodzinę, abym przyjął mieszkanie w ich domu, gdzie traktowano mię czulej, niż gdybym był członkiem ich rodziny. Nie możesz, Panie, wyobrazić sobie, jaką troskliwość i przyjacielską staranność okazywano mi. Martwi mię bardzo, iż nie jestem w stanie wykazać im stopnia wdzięczności, odpowiadającego moim uczuciom z tego powodu i dorównującego ich czułości dla mnie. Bądź tak łaskaw podziękować im za mnie.

Będę miał zaszczyt pisać do Ciebie z Filadelfii, dokąd udaję się z kapitanem Lee, ze względu na to, że statek jego jest dogodniejszy dla człowieka w mojem położeniu²⁾. Pójdę za Twą radą i będę czynił wszystko, cokolwiek mi nakazesz.

Przyjmij jeszcze raz moje szczerze i pełne szacunku dzięki³⁾.

p. Niemcewicz, będzie miał zaszczyt złożyć szacunek Jego Ekszelleneyi jutro około południa; będzie on tłumaczem uczuć wdzięczności i czci, które General Kościuszko żywić dla niego nie przestanie przez całe życie.

3 czerwca 1797.

1) Posyłając mu listy polecające do osób, o których niżej będzie mowa.

2) Nie potrzebujemy przypominać czytelnikom, że wskutek ciężkich i niezależonych ran z pod Maciejowic, Kościuszko nie mógł wcale chodzić.

3) *Life and Correspondence of Rufus King* by Charles King. N. York. 1895. T. III, str. 188—189.

List ten był odpowiedzią na przesłany przez Kinga list polecający do Jana Jay'a, gubernatora w Nowym Yorku. List ten znaleźliśmy w innym zbiorze korespondencyj. Brzmi on tak:

RUFUS KING DO J. JAY'A.

London, 10 czerwca 1797.

„Drogi Panie!

Mam zaszczyt przedstawić Ci Generała Kościuszkę. Spędzi on pewien czas w N. Yorku, a mając wszelkie tytuły do szacunku i poważania, doświadczy, nie wątpię o tem, wszelkich objawów życzliwości i troskliwości, jakie tylko mogą mu być okazane.

Generałowi towarzyszą dwaj jego współrodacy i przyjaciele z których jeden, p. Julian Niemcewicz, jest prawdopodobnie jego krewnym. Pozwalam sobie polecić jego i ich Twemu szacunkowi i Twej przyjaźni, oraz pozostają z zupełnym szacunkiem,

Drogi Panie,

Twym powolnym i wiernym sługą,

*Rufus King*¹⁾.

O entuzjazmie, z jakim przyjmował Kościuszkę lud amerykański, świadczy następująca krótka relacya, którą znaleźliśmy w rzadkich bardzo egzemplarzach dzienników ówczesnych.

„Następującą ważną wiadomość przedrukujemy z dziennika filadelfijskiego pod datą 19 b. m.:

„Na statku Adriana, pod kapitanem Lee, przybyłym tu wczoraj z Bristolu, przyjechał jako pasażer ów słynny Obronca Praw Ludzkości, odważny lecz nieszczęśliwy Kościuszko, Generał polski, w towarzystwie dwóch polskich panów (gentlemen). Gdy statek przybił do portu, dowódca garnizonu, będąc poinformowany, że generał-weteran znajduje się na nim, powitał go salwą federalną²⁾; gdy zaś spuszczone kotwicę, dowódca fregaty spuścił szalupę, kierowaną przez 8 dowódców statków i podjechał, aby przyjąć generała i odwiedzić go na ląd. Przy wylądowaniu powitano go potrójnym wiwatem a składając dalsze dowody szacunku po-

¹⁾ *The correspondence and Public Papers of John Jay.* Putnam and Sons N. York, 1893. T. IV.

²⁾ T. j. tyle strzałów armatnich, ile jest stanów w Związku (jak wówczas—16). Salwa federalna jest jedyną prerogatywą prezydenta Związku.

wszechnego dla tego wielkiego charakteru, obywatele obstawali przy tem, by zawieźć go własnoręcznie do jego mieszkania...“¹⁾

Nie probujemy oddawać uczuć, z jakimi Kościuszko przyjmował to przywitanie według form przepisanych dla osób stojących na czele narodów, te objawy czci i sympatyji ludu, witającego w nim nie tylko i nie tyle szermierza o jego niepodległość, ile obrońcę „Praw Ludzkości.“

Z dwóch towarzyszków Kościuszki, jeden, Libiszewski, jako muzyk, znalazł niebawem zajęcie w orkiestrze teatralnej w Filadelfii z opłatą 10 dolarów tygodniowo (jak dowiadujemy się z pamiętnika Niemcewicza) i prawdopodobnie zaraz zamieszkał osobno: nie wspomina bowiem o nim później Niemcewicz, a z listów Kościuszki, które niżej przytoczymy, widać, że nie odbywał z nim podróży do White'a i Gates'a.

Wśród osób, które znalazł Kościuszko w Filadelfii, znajdował się doktor Benjamin Rush, osobistość bardzo wybitna i znana w owym czasie, z którą prawdopodobnie spotykał się Kościuszko podczas wojny o niepodległość. Pod jego to kierunkiem młodzież ówczesna ćwiczyła się w szpitalach do zawodu lekarskiego; on był organizatorem pomocy lekarskiej podczas wojny, był także i gorącym patriotą i szczerym republikaninem, przyjacielem Gates'a i stałym jego korespondentem. On to namówił Kościuszkę do opuszczenia Filadelfii wobec grasującej tam żółtej febry. Jako powaga lekarska, obejrzał rany Kościuszki i dał stwierdzoną przez następujące wypadki prognozę w liście do Gates'a, datowanym z Filadelfii 3 września, którego ustęp odnośny przytaczamy.

D-r RUSH DO GATES'A.

Filadelfia, 3 września 1797.

„Mój drogi przyjacielu!

Sławny nasz przyjaciel, Kościuszko, opuścił to miasto przed kilkoma dniami. Jest on obecnie mile i gościnnie ulokowany u generała White'a w Brunswicku. Wszystkie rany jego są uleczone. Jedna z nich w okolicy łędźwiowej pozostawiła w stanie paralitycznym biodro i nogę. *Czas przyczynił się cokolwiek do przywró-*

¹⁾ „The Daily Advertiser“ New York. Niedziela, 21 sierpnia, 1797 r. W Bibliotece publicznej w Bostonie. Tłum istotnie wyprzął konie z powozu Kościuszki i pociągnął go przez miasto.

*cenia ruchów. Nie tracę nadziei, iż jest już zdolnym do chodzenia*¹⁾. Będzie jednak zawsze kulą—to i cóż? Posługując się starą grą wyrazów, rzec można, że „każdy krok, który uczyni, będzie mu przypominał o jego patryotyzmie i odwadze.“

Nie wątpię, iż złożysz mu szacunek w Brunswick. Jakbym rad był widzieć wasze pierwsze spotkanie! Dusza jego pełna żywych drgnień dla przyjaźni. Kocha nawet imię Twoje...“

Namowy Rusha, zaproszenia White'a i Gates'a — dawnych przyjaciół i towarzyszków boju—skłoniły Kościuszkę do opuszczenia zakażonej przez żółtą febrę i wyludnionej Filadelfii. Pamiętnik Niemcewicza zaczyna się od ostatnich dni pobytu w tem mieście. Jemu też oddajemy głos dla dalszej opowieści.

Z PAMIĘTNIKA NIEMCEWICZA.

29 sierpnia.

„Przed opuszczeniem Filadelfii miałem przyjemność ujrzeć jej ciało prawodawcze zgromadzone. O 11-ej zrana gubernator udał się do lokalu senatu, gdzie połączone były obie izby. Zająwszy miejsce prezydującego senatu, wygłosił mowę, w której zdał sprawę z położenia rzeczypospolitej w Pensylwanii, jej finansów, środków zabezpieczających, które przedsięwzięto przeciw zarazie, wówczas panującej. Przytoczył powody, dla których nie dał zgody swej na ostatni dekret legislatury, polecił troskliwości obu izb przepisy, które należało uczynić, zwłaszcza zaś szkoły i wychowanie wogóle. Przemówienie jego było jasne, proste i poprawne, bez wszelkich ozdób retorycznych, takie, słowem, jakie powinni wygłaszać urzędnicy, nie potrzebujący ani wzruszać, ani pochlebiać namiętnościom.

Wygląd zgromadzenia, chociaż nie miał nie imponującego, był jednak szanowny. Senatorowie zajmowali pierwsze rzędy, reprezentanci za nimi, wielki stół mieścił się przed biurem prezydialnem, na którym znajdowały się ustawy praw i wiele papierów. Przy nim dwóch służących. Wszyscy byli w codziennem odzieniu i bez szpad. Było to zgromadzenie ludu nowego, nie zepsutego przez zbytek, złożone z rolników o białych włosach, z kwaków

¹⁾ Podkreślamy te zdania, na które wypadnie nam powołać się niżej, gdy będzie mowa o uzdrowieniu, niby cudownem, Kościuszki.

i t. d., lub tak przynajmniej wyglądające. Ci, którzy znają bliżej kraj, twierdzą, że zepsucie rozpowszechniło się już w znacznej mierze, przeważnie w wielkich miastach, i że istota nie odpowiada tej powierzchownej prostocie, którą podziwiamy u przedstawicieli.

Po ukończeniu mowy gubernator pożegnał Zgromadzenie i oddalił się. Przedstawiciele natychmiast opuścili salę senatu i zeszli na dół do swojej własnej. Mieszczą się oni podobnie, jak i na górze, w półkolu; każdy ma krzesło i pulpit; speaker (przewodniczący) ma trybunę nieco wzniesioną, a niżej mieści się sekretarz. Jeden z członków zrobił kilka uwag o odmowie przez gubernatora swej sankcyi, inni odpowiedzieli mu, że postępował zgodnie z prawem, które mu zaręczała konstytucya.

Woźny ogłosił przybycie sekretarza rzeczypospolitej. Kratki otworzyły się, przybyły wszedł, ukłonił się przewodniczącemu, powiedział o przedniocie swojej misyi. W taki to sposób gubernator komunikuje się z obu izbami. Po oddaniu papierów przewodniczącemu, oddalił się. Przeczytano projekt prawa, nakazującego podatek dziesiątego dolara dla pomocy ubogim. Obrano komitet z pięciu członków dla traktowania z lekarzami, obejrzenia szpitali i t. d. Po przeczytaniu projektu do prawa speaker bierze go i pyta się:

— Does the house agree to the resolution? (Czy izba przyjmuje postanowienie?)

Powtarza zapytanie to dwukrotnie. Milczenie jest znakiem zgody; speaker mówi wówczas:

„Prawo zostało przyjęte“—i oddaje je sekretarzowi izby. Przenoszą je następnie do senatu, a jeśli ten się zgadza, odsyłają do gubernatora; podpis gubernatora nadaje projektowi sankcyę i czyni go prawem. Jeśli gubernator nie zgadza się, odsyła go do izby ze swemi uwagami. Jeśli potem $\frac{2}{3}$ obu izb zażądają tegoż dekretu, staje się on prawem, pomimo niezgody gubernatora. Przedmiot debatów nie był bardzo doniosły, a wszystko odbywało się z największym spokojem. Senat zakomunikował także izbie posłów propozycyę, którą tam wniesiono, a mianowicie, czy nie byłoby roztropnem, wobec panującej epidemii, odroczyć dalsze posiedzenia, zwłaszcza, że nie było nic ważnego na porządku dziennym i że zbliżał się czas nowych wyborów. Zawieszono więc posiedzenie bez oznaczenia terminu nowego zgromadzenia. Przed opuszczeniem sali skarbnik udzielił każdemu z obecnych przekaz do skarbu. Każdy z obecnych członków otrzymuje po trzy dolary za każdy dzień, kiedy był obecnym w izbie, a prócz tego wypłacają mu się koszta podróży. Tegoż wieczora spotkałem kilku

członków izby, wracających do domu z małą walizką w trokach. Cokolwiek będą mówili, dopóki kraj ów będzie miał przedstawicieli, podróżujących w ten sposób, nie potrzebuje obawiać się przepukstwa ani tyranii.

Warto może zaznaczyć, że generał Mifflin, gubernator Pensylwanii, zdumiewająco podobny jest do naszego Zakrzewskiego.

Przez cały czas naszego pobytu, żółta febra, debaty nad jej przyczyną, dysputy lekarzy co do sposobu jej leczenia, odezwy rządowe, brutalne kłótnie dzienników, trapiły Filadelfię w sposób okrutny. Alarm był jeszcze większy, niż samo zło. 36.000 mieszkańców opuściło miasto. Ulice były puste, a pustką tę przerywały tylko pogrzeby. D-r Rush namawiał Kościuszkę, aby odjechał; generałowie White i Gates, dawni jego przyjaciele, naglili go częstymi listami, aby przyjechał do nich. Zdecydowaliśmy się więc opuścić miasto.

Nowy Brunswick oddalony jest od Filadelfii zaledwie na 65 mil, co stanowi, licząc cztery mile angielskie na jedną polską, $16\frac{1}{4}$ naszych. Z trudnością wynajęliśmy powóz parokonnny za 32 dolary czyli 16 dukatów. Gorzej jeszcze było, gdy wypadło płacić za mieszkanie i życie. Zgodzone było po 10 dolarów za każdego z nas, a 5 za służącego tygodniowo. Mr. Johnson znalazł jednak sposób kazać nam zapłacić 50 dolarów za 12 dni. Można z tego sądzić o nadzwyczajnej drożyznie w kraju.

Opuściliśmy Filadelfię w środę o 6-ej zrana.

Nie można poznać kraju lub mieć pretensję do dokładnego jego opisanie, przebiegając go w karetkce pocztowej. Ograniczę się więc do wrażeń, których doznałem od ogólnego jego wyglądu lub od niektórych przedmiotów poszczególnych.

Uprawa, budynki, wszystko przypomina, że kraj ten niedawno został zaludniony przez ludzi ucywilizowanych. Wszystko jest nowe, wszystko, zdaje się, datuje od wczoraj. Drogi nie są jeszcze utrzymywane przez rząd, a zły lub dobry ich stan zależy od pory roku.

Miasta składają się przeważnie z jednej ulicy mniej lub więcej długiej. Widziałem w nich warszlaty rzemieślnicze i sklepy z produktami pierwszej potrzeby. Pospolitem jest też zjawiskiem, że właściciele gruntów mieszkają w miasteczku i codziennie udają się do swych ferm, bardzo mało odległych.

Dokoła Filadelfii dają się widzieć liczne wille, przeważnie drewniane, o architekturze lekkiej i wytwornej. Wszystkie są na biało pomalowane i mają zielone żaluzye, co nadaje im wesóły wygląd. Nie widać tu, jak w Anglii, owych pięknych ogródków,

pełnych kwiatów, ziół i krzewów, których rozmaicie cieniowana zieloność sprawia tak miłe wrażenie na oko; nie widać również owej wielkiej staranności w utrzymaniu. Wszystko tu zdaje się zmierzać jedynie ku korzyści. Niema parków, domy otoczone są trawnikami, które przechodzą w pola, pokryte zbożem, gryką lub innymi roślinami siewnami.

Dają się jednak widzieć z przyjemnością zdumiewające szybkością postępy pracy i zapobiegliwości ludzkiej. Wszystko tu jest dziełem jednego stulecia; cofając się dalej wstecz, nie widzimy nic w wyobraźni, prócz pustyni i dzikich. Nie widać tu, jak w Europie, świątyń, wieżyc, ruin dawnych zamków gotyckich, pomników, które przenoszą nas w minione wieki i odtwarzają doby barbarzyństwa, feudalizmu, wszystkich stopni, przez które u. nysł ludzki przejść musiał, zanim doszedł do tej doskonałości, jaką obecnie dostrzegamy, zarówno w zakresie rządu, jak i umiejętności. Podróżny przebywa tu tylko w teraźniejszości, gdy tymczasem w Europie tysiączne przedmioty przenoszą go do przeszłości; znajduje tam daleko obszerniejsze pole dla wspomnień i słodkich marzeń. W odległości dziesięciu mil przejeżdżaliśmy przez Francfort, małe miasteczko, zawierające 60 domów, a rozrzucone nad przejrzystą rzeczułką. Most przez nią przerzucony, jest dosyć ładny i mocny; wszystkie domy nowe i drewniane. Dalej zatrzymaliśmy się w *Washington Tavernie*, aby popasać nasze konie. Spotkaliśmy tam rodzinę, którą żółta febra wygnała z Filadelfii, a która znalazła tu przytułek. Oberżysta nikiemnie korzysta z ich rozpaczliwego położenia, każąc sobie płacić po 50 piastrow 1) na tydzień, jedynie za użycie dwóch małych pokojów, nie licząc w to życia.

Jechaliśmy dalej do Bristolu przez krainę płuską, usianą fermami. Pola ich pokryte były kukurydzą więcej niż jakim innym zbożem. Wśród pszenicy i gryki sadzają tu grusze, brzoskwinie, a zwłaszcza jabłonie; w zimie bowiem jabłecznik jest zwykłym napojem w tym kraju, jak woda z rumem w lecie. Olbrzymie i prastare lasy, które pokrywały kraj ten całkowicie przed przybyciem europejczyków, ustąpiły teraz miejsca gajom. Nie są to już puszcze, lecz małe, przyjemne laski, las czarny, jak u nas nazywają. Nie spotykałem wcale jodeł; zdaje się, że zastępują je tu cedry. Najbardziej pospolitem drzewem jest dąb. Naliczają tu do dziesięciu jego gatunków: jedne są podobne do naszych, in-

1) Zapewne dolarów.

ne mają liście dłuższe, wązkie i ząbkowane. Najpospolitszem po dębie drzewem jest kasztan. Wszystkie te drzewa są oplecione girlandami dzikiego wina.

Na obiad przybyliśmy do Bristolu, małego miasta, leżącego na wyniosłym brzegu Delawaru. Jeśli kraj, któryśmy przebiegali dotychczas, całkowicie pokryty kukurydzą i drzewami owocowymi, zamykającemi zewsząd widnokrąg, nie daje nigdzie przerwy, przez którą oko mogłoby zajrzeć w dal, jeśli kraj ten jest zbyt nieprzeładowany, a przez to ponury, to nie może równać się piękności i wesołości położenia Bristolu.

Delavar płynie tu w całym majestacie; jest bardzo szeroki, a wody jego jasne i przejrzyste. Miasto Burlington, rzucone po drugiej stronie w państwie Nowym Jersey' u, ożywia ten krajobraz bogaty, rozległy i urozmaicony.

Kilka statków po 60 tonn znajdowało się w przystani. Byli to przeważnie podróżni z Filadelfii, szukający, jak i tyłu innych, przytułku na wsi. Mocno żałowałem, że się rozminął z p. Clife, który opuścił tę miejscowość tegoż poranka. Mieliśmy natomiast towarzystwo konsula hiszpańskiego, doskonałego gawędziarza, który znajdował, że niema kraju wolniejszego i szczęśliwszego od Biskajii. Jedliśmy obiad z dawnym dostawcą żywności podczas rewolucyi. Opowiadał nam o rozmaitych niepowodzeniach, których doświadczył, zwłaszcza, gdy gwałtowny wiatr zatrzymał go razem z trzystu wołami, uniemożliwiając przebycie Delawaru. Obiad bez wina kosztował nas dwa dolary.

Przebyliśmy Delavar w Trenton, stolicy Jersey, sławnej dzięki zwycięstwu, które odniósł tu Washington nad Hessami, a które podniosło ducha i odwagę Amerykanów, przygnębionych tyłu niepowodzeniami.

Od Trenton Delavar przestaje być spławnym. Pośpiech przeszkodził nam obejrzeć katarakty, które są tego przyczyną.

Princetown wyróżnia się tylko swoim kollegium, którego gmach, dosyć obszerny, wzniesiony został przed rewolucyą.

W nocy przybyliśmy do Kingstown, miasteczka, liczącego około dwudziestu domów. Zamieszkaliśmy w oberży bardzo dobrze utrzymywanej przez rodzinę holenderskiego pochodzenia, która jednak zupełnie zapomniała język ojczysty. Naprzeciw mieści się dosyć okazały dom; objaśniono mnie, iż należy on do starożytnego marynarza, który przez trzydzieści lat narażając się na przygody, powziął wreszcie rozumne postanowienie używania w spokoju owoców swej pracy. Mieliśmy dobrą kolacyę i dobry nocleg, płacąc za wszystko 1½ dolara.

Nazajutrz, 31 sierpnia, wyruszyliśmy w dalszą drogę a o dziesiątej przybyliśmy do Nowego Brunswicku, gdzie stanęliśmy w domu generała White.

Położenie miasta jest bardzo niskie; samo miasto dosyć znaczne w stosunku do warunków kraju. Oddalone od większych miast, a otoczone dosyć ludną i żyzną niejścowością, dostarcza ono środków spożywczych po cenach niższych niż gdzieindziej. Rzeka Raritan, spławna dla statków do 60 tonn, stanowi dogodną drogę wodną. Wpada ona w morze u Amboy w 9 milach od Nowego Brunswicku. Amboy nie mogło nigdy stać się miastem handlowem; zbytnia bliskość Nowego Yorku stała temu na przeszkodzie. Cały więc handel państwa Jersey odbywa się przy pośrednictwie Nowego Yorku lub Filadelfii. Kraj wszakże musi być żonny, a rolnictwo kwitnąć, wszędzie bowiem widać ziemię dobrze uprawną, wzrastające szybko miasta i mieszkańców używających dobrobytu.

Cały ten kraj obfituje w rudy żelazne; ziemia wszędzie ma kolor ciemno-czerwony; znaleziono nawet bardzo dobre rudy miedziane. Lecz brak rąk i drożyzna pracy stoją na przeszkodzie ich eksploatacyi. Dopiero wówczas, gdy będzie więcej rąk, niż potrzebuje ich uprawa ziemi, nadmiar ludności zwróci się do przemysłu.

Chwila ta zdaje się jest jeszcze bardzo odległa: człowiek, tu, podobno, przekłada rolnictwo nad inne zajęcia, lub też woli być właścicielem, niż zarabiać na życie innym sposobem, chociażby bardziej zyskownym. W miarę tego, jak zaludnia się jedna dzielnica, nadmiar jej mieszkańców szuka miejsca dla osiedlenia w krajach jeszcze nieuprawnych. Północ i Zachód ofiarują mu pustynie, które, pomimo przyływu emigrantów z Europy przez długi czas jeszcze nie zostaną zaludnione. Mimo to wszystko jest tu obecnie siedm kopalni żelaza i dwie huty, wytapiające 400 tonn żelaza łanego i 540 kutego. W stronę ku morzu kopiąc na głębokość 50 stóp, natrafia się na *salt-marsh* t. j. grunt błotnisty i słony; często znajdują się w nim olbrzymie muszle ostrzyg oraz szkielety mamutów.

Dom generała White mieści się na wzgórzu i jest nieco oddalony od miasta. Generał ten, połączywszy się z oszustem, utracił znaczną część swego majątku. Mówią, że obecnie utrzymuje się z majątku żony. Zły stan majątkowy uczynił go ponurym melancholikiem z człowieka wesolego i towarzyskiego, jakim był dawniej. Smutek zatruwa mu szczęście rodzinne. Ferma jego jest dosyć zaniedbana: otrzymuje z niej zaledwie tyle, ile potrzebuje

na utrzymanie rodziny i niewolników. W domu jego nie widać tego porządku, który panuje zwykle w Ameryce. Wszędzie daje się dostrzedz duch niezadowolenia i zniechęcenia.

Pani White, urodzona w Charlestown w Karolinie Południowej, chociaż ma już lat blisko 30, co stanowi wiele w tym kraju, może uchodzić za piękną. Ma ona oczy czarne, tak piękne i tak duże, jak tylko mieć można. Świeci z nich ognisty temperament południa. Jest wielkiego wzrostu i pełna, co nie szpecąc jej, nadaje jej wiele majestatyczności. Jedyne jej córka ma pięć lat. Jest to dziecko rozpieszczone, jak większość dzieci w Ameryce. Można czasem usłyszeć ją mówiącą do matki:

— You damned witch! (przeklęta wiedźma).

Najmniejsza niedyspozycja jej stanowi nieszczęście całego domu. Zapytano raz panią White: gdyby miała do wyboru jedno z dwu nieszczęść, stracenia męża lub córki, które by wolała?

— Zachować córkę — odpowiedziała bez wahania, nie krepując się obecnością męża.

Trudnem wydaje się do uwierzenia, że jedyny ogier, którego posiada generał, przynosi mu więcej, niż cała jego ferma. Zapłacił za niego 1800 dolarów, a wynajmuje sąsiadom po 10 dolarów dla pokrycia klacz. W ciągu roku zdarza się to 100 razy lub więcej, przynosząc mu przeszło 1000 dolarów. Miał jeszcze drugiego ogiera, którego sprzedał za 2000 dolarów.“

3 września.

„W niedzielę byłem na mszy w kościele presbyteryjańskim. Nagość świątyni protestanckich nigdy mi się nie podobała. Kult ich pozbawiony jest wszystkiego, co potrafi o serce, lub działa na zmysły; brak tu muzyki ¹⁾ i wszelkiej wystawności. Pastor wykonywa niezliczone miny (*simagrées*) z oczyma zamkniętymi i nawpół drżącym, nawpół natchnionym głosem wymawia: „módlmy się,“ poczem zaczyna modlitwę własnego układu, zwykle mślącą psalmy, lecz daleką od ich podniosłej i wzruszającej prostoty. Śpiewają następnie psalm, dalej idzie nowa modlitwa i kazanie. Wszystko to trwało blisko trzy godziny. Kazanie było treści bardziej metafizycznej, niż moralnej. Nie wiem, czy sam kaznodzieja dobrze je rozumiał.

¹⁾ Zapewne spowodowany ubóstwem parafii małomiasteczkowej. Piękna muzyka i śpiewanie chóralne hymnów stanowi zwykły składnik nabożeństwa presbyteryjańskiego (*przyp. wydaw.*).

W Brunswicku, jak i wszędzie w Ameryce, nie widać nędzy; każdy bowiem, kto chce pracować, ma zapewniony zarobek w takiej ilości, by mu starczyło na życie i może jeszcze odkładać. Nie widziałem w kościele ani jednej osoby, nietylko w łachmanach, jak u nas bywa, lecz nawet źle ubranej ¹⁾. Równość, ustanowiona przez prawo, utrzymuje się tylko o tyle, o ile może i powinna być utrzymana, t. j. że prawo dla wszystkich jest równe. Bogactwo i urząd dają pewne wyróżnienie, t. j., osoby należące do tych klas, a zbliżone przez wychowanie i zamożność żyją z sobą, mało stykając się z resztą. Jednak w życiu potocznem wszyscy są na stopie zupełnej równości. Najuboższy farmer, parobek, nawet służący, nigdy nie stoi z otwartą głową przed zamożnym. Wszyscy mówią sobie „pan“ (Sir).

Wbrew prawom wszakże i obyczajom, próżność, chęć odznaczenia się i wyniesienia ponad bliźnich, ujawnia się nawet i tu. Ponieważ niema tytułów, jak: książę, hrabia, baron, zachowano tytuły szarż, które noszono podczas rewolucyi; mówi się więc: generał, pułkownik, major lub w zarządzie cywilnym: gubernator, sędzia, doktor taki a taki.

Głównymi osobistościami w Brunswicku są: generał White, pułkownik Bayard, sędzia Peterson i adwokat ²⁾. Rodziny ich są spokrewnione i żyją z sobą. Kolejno zapraszają jedni drugich na obiady i herbaty. Byłem na jednym z takich przyjęć. Oto z czego składał się obiad: dwa lub trzy kapłony pieczone z sosem na maśle z ostrygami i t. d.; rostbeef, jagnię gotowane, ryba lub szynka. Na drugie danie: puddig lub tort migdałowy, blamangé lub konfitury. Później zdejmują obrus i podają owoce, migdały, rodzynki, kasztany i wino. Piją zdrowie prezydenta, wice-prezydenta ³⁾ i kongresu. Damy opuszczają towarzystwo, a panowie zostają gawędząc całemi godzinami i wypijając toasty. Następnie przechodzą do pań i piją razem kawę lub herbatę.“

Opuszczamy tu parę stronice, poświęconych uwagom nad rewolucyą (a raczej streszczeniu jej przebiegu), wywołanym przez czytanie dzieła Ramsay'a, z którym wówczas poznał się

¹⁾ Nie zaprzeczając uogólnieniu wypowiedzianemu przez Niemcewicza, zaznaczyć wszakże wniósłmy, że najbiedniejsze klasy w Ameryce zwykle do parafii nie należą, gdyż kościoły utrzymywane są kosztem parafian.

²⁾ Nazwisko nieczytelne.

³⁾ Pierwszym był wówczas Adams, drugim Jefferson; należeli do przeciwnych sobie stronnictw.

Niemcewicz. Przechodzimy do wzmianki o wizycie u pastora, doktora Beach.

„Dom p. Beach jest bardzo prosty i bardzo wiejski. Zamiast ogródka otacza go prawdziwy las drzew brzoskwiniowych, grusz i jabłoni. Udaliśmy się do niego z poręcznikiem Both'em i widzieliśmy gałęzie drzew brzoskwiniowych, które ułamały się pod ciężarem owoców, zaścielając ziemię. Rodzina pastora składa się z trzech panien dorosłych; wszystkie zdawały się bardzo szczęśliwe ze swego odosobnienia.“

Do czasu owego pierwszego pobytu w domu White'a należą dwa następujące listy Kościuszki do Gates'a, który, wbrew przewidywaniom i ubocznej nawet wskazówce Rush'a, nie odwiedził Kościuszki w Brunswicku — może na przeszkodzie stały ku temu stosunki jego z Whitem.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

1 września, 1797.

„Drogi Generale!

Jestem w domu pani White, po ucieczce z Filadelfii. Mam zamiar odwiedzić Ciebie i z góry czuję wielkie zadowolenie z możliwości uściskania Cię jeszcze raz. Szczęścia tego nigdy nie spodziewałem się. Bądź łaskaw złożyć mój szacunek swej pani. Musi ona być bardzo uprzejmego usposobienia ¹⁾, gdyż kochana jest przez wszystkich, kto tylko zna ją tu. Nie zapomnij także o moich dawnych przyjaciółach i znajomych.

Z szacunkiem i poważaniem zostaje, Kochany Generale, Twym najpokorniejszym i najpowolniejszym sługą.

T. Kościuszko.

Nowy Brunswick, 1 września. ²⁾

¹⁾ Słowa te mogłyby nasunąć przypuszczenie, że Kościuszko nie znalazł zony Gates'a. Tak jednak nie było. Za czasów Rewolucyi amerykańskiej należał do „rodziny“ (t. j. kółka wojskowego) Gates'a i odbywał podróż razem z nim i jego żoną.

²⁾ Autograficzna korespondencja Gates'a w Tow. Historycznem w Nowym Yorku. Tom XXI, № 50.

Drugi list służy zapewne za replikę na odpowiedź Gates'a, której brulionu nie znaleźliśmy wśród jego papierów. Oto jego brzmienie:

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

(Adres: *Rose-Hill, w pobliżu N.-Yorku.*)

„Mój drogi Generale!

Jeśli znasz dobrze moje serce, powinienesz spodziewać się, że nieuniknienie złożę szacunek Tobie i domowi Twemu, a w tym właśnie celu wyruszyłem z Filadelfii tą drogą. Mam zamiar wyjechać za trzy dni od Generała White'a, udać się do Ciebie i zabawić tam tydzień; chyba że wypuścisz na mnie psy swoje i wyrzucisz mnie gwałtem z domu.

Doskonale pamiętam o wszystkim, czem jestem Ci obowiązany; a szacunek, poważanie, cześć i przywiązanie zbyt głęboko wrażyły się w mojem sercu, abym nie usłuchał głosu uczuć tych i nie czuł wspólnie z obywatelami tego kraju wdzięczności za Twe wielkie zasługi podczas wojny.

Mam tylko jednego przyjaciela i jednego służącego z sobą: z taką to armią będę atakował dom Twój, lecz natychmiast poddam się Twemu dobremu, gościnnemu i przyjacielskiemu sercu. Mój najgłębszy szacunek Twej Pani. Zatrzymuję się na tem, abys nie stał się zazdrosnym o mnie.

Twój szczery przyjaciel i najpokorniejszy sługa“

T. Kościuszko. 1)

Wiść o przyjeździe Kościuszki rozniosła się szybko po Ameryce i doszła do trzeciego z weteranów wojny o niepodległość a blizkiego przyjaciela Kościuszki i Gates'a, na równi z nimi gorącego republikanina, Jana Armstronga, mieszkającego znacznie dalej na północ, nad rzeką Hudson. Był to wśród owego blizszego kółka republikanów z czasów wojny umysł przeważnie literacki. Napisał parę życiorysów dla druku, które odznaczają się ławnością stylu i umiejętnością opowiadania; listy jego świadczą również o talencie literackim i znacznem czytaniu.

1) Papiery Gates'a w N.-Yorskiem Towarzystwie Historycznem, T. XXI, № 51. Datę listu łatwo określić z daty wyjazdu podanej przez Niemcewicza: list był pisany na trzy dni przed wyjazdem, więc 6-go września.

Dowiedziawszy się — może z przytoczonego wyżej „Daily Advertiser“ — o przybyciu Kościuszki do Filadelfii, pisał do Gates'a pod świeżem wrażeniem tej wiadomości (26 sierpnia) list, z którego odnośny ustęp przytaczamy, jako charakterystykę uczuć, które żywili dla Kościuszki młodszy koledzy i przyjaciele:

ARMSTRONG DO GATES'A.

„Bardzo żywo obchodzi mię przyszły los Kościuszki. Powinniśmy usłać mu łoże z róż wśród nas. Mam nadzieję, że Filadelfia nie zawładnie nim całkowicie, a jeśli jego zamiarem jest (jak to przypuszczam) życie czynne, nie znam miejsca lepiej do tego przydatnego, jak brzegi tej rzeki. Znajdzie wśród nas przyjaciół, którzy go kochają, lud, który go podziwia, piękną okolicę i łatwy dostęp do skarbów literatury, wygod życia i przyjemności wielkiego miasta, jeśli jego życzenia tam go zaprowadzą.

„Niezawodnie pisałeś już do niego, a zapewne będziesz jeszcze pisał. Wspomnij mu o mnie jaknajgoręcej, powiedz mu, jak byłbym zachwycony, gdybym go mógł widzieć gdziekolwiek, a zwłaszcza na brzegach mego Eufratesa, gdzie, podobny do *Candida*, siedzę i filozofuję bez *Panglossa*, myśląc niekiedy o tym świecie, jako o najlepszym, niekiedy zaś, jako o najgorszym z możliwych.

„Gdym dowiedział się o jego niewoli, o jego ranach, a przypomniałem sobie jego cnoty i jego odwagę, myśląc, że nic nie będzie w stanie obronić go przeciw wściekłości i nieżyczliwości Fortuny, sądziłem prawie, że wszyscy byliśmy w błędzie, i że, podobnie jak *Katonowi*, przeznaczono nam było wykryć błąd w ostatniej chwili życia. Lecz teraz, gdy te własne rany i nieszczęścia wróciły go nam, zaczynam być egoistą i nie tak źle myślę o okolicznościach, które zmierzały ku temu skutkowi, by nas połączyć znowu.“ ¹⁾

Wróćmy teraz do opowieści Niemcewicza.

„Opuściliśmy Brunswick w sobotę, 9-go września, udając się do Generała Gates'a. Przebyliśmy kraj płaski, uprawny i zaludniony w ten sposób, jak droga z Filadelfii. Springfield, Elizabethtown i Newark są małemi miasteczkami, przez które idzie

¹⁾ Papiery Gates'a, T. XXI. № 49.

droga, a o których pomówię obszerniej za powrotem. Po przebyciu słonych bagien i tamy, ciągnącej się na kilka mil, przybyliśmy bardzo późno w nocy do Hoboken. Zastaliśmy zajazd przepelniony marynarzami i innymi włóczęgami; wszyscy byli podochoceni i w świetnym humorze. Towarzystwo to tańczyło w izbie na dole; dostrzegłem, że taniec był zupełnie podobny do tańca naszych żydów. Musieliśmy obejść się bez kolacyi, gdyż wszystko było spożyte; spaliśmy w bardzo złych łózkach, a nazajutrz zapłaciliśmy bardzo drogo.

„W niedzielę zrana, 10-go września, widok pięknej rzeki Północnej ¹⁾ i wieżyc Nowego Yorku wynagrodziły mię cokolwiek za złą gościnę. Przebyliśmy rzekę w łodzi żaglowej przy sprzyjającym wietrze i przyptywie. Kosztowało to 10 szylingów. Jest to dosyć drogo; lecz przynajmniej ludzie, którzy was wsadzają i wysadzają razem z powozem i rzeczami (co nie mało wymaga pracy) nie żądają napiwków, jak w Europie, a zwłaszcza we Włoszech. La bona manzia i Trinkgeld są prawie nieznanne w Ameryce. Wyładowaliśmy powyżej nowego więzienia unikając w ten sposób kłopotu przejazdu przez miasto. Przejechaliśmy jeszcze ze dwie mile drogi okolonej willami i ogrodami. Wreszcie wskazano nam bramę domu generała (Gates'a ²⁾) i niebawem znaleźliśmy się przed pięknym frontem, ozdobionym kolumnami korynckimi, tworzącemi perystyl mieszkania generała.

„Na progu spotkał nas zwycięzca z pod Saratogi. Jest to staruszek, mający lat 75, dosyć rzeźwy jeszcze, grzeczny i bardzo wesoły, jak na swój wiek.

„Prócz bitwy pod Camden, szczęście sprzyjało mu przez całe życie. Urodzony w Anglii był przez długi czas w służbie angielskiej. Podczas rewolucyi oddał się z zapałem sprawie amerykańskiej i od początku został generałem. Przy zawarciu pokoju prócz pensyi ³⁾ i gruntów udzielonych mu przez kongres, otrzymał jeszcze od Wirginii znaczny obszar ziemi. Ze sprzedania tego wszystkiego uzyskał spory kapitał; ożenienie się z panią Gates zwiększyło jeszcze ten majątek.

¹⁾ T. j. Hudson.

²⁾ Willa jego mieściła się tam, gdzie obecnie jest róg 2-ej avenue i 24 ulicy.

³⁾ Wskutek ubóstwa skarbu amerykańskiego podczas wojny, wielu oficerów nie pobierało pensyi, którą im wypłacono po zawarciu pokoju skapitalizowaną.

„Posiadanie takiej żony jest prawdziwym skarbem dla tego starca. Jest ona kobietą pięćdziesięcioletnią o twarzy jeszcze przyjemnej i najszcześniejszego usposobienia. Ona sama tylko mogła uprzyjemnić niedomagania i smutki tak późnego wieku. Gdy widzi się, jak żyje z sobą ta para, gdy słyszy się żarty, drobne kłótnie i zazdrości, ujawniające się między nimi, zdaje się, że to jest pierwszy rok pożycia dwudziestoletniego małżeństwa.

„Generał Gates nie mniej szczęśliwym jest w swoich sprawach pieniężnych. Ferna, którą dzierżawi, odległa jest o trzy mile od Nowego Yorku; zawiera ona blisko 200 akrów ziemi, wspaniały dom, wirydarz, ogród owocowy i jarzyny, łąki i t. d. Należy ona do niejakiego Krügers'a, kupca bardzo bogatego, a uważającego, że nie jest nim dosyć. Chciwość spekulacyjna skłoniła go do najgorszego z możliwych handlów. Licząc na wiek podeszły generała Gates'a, a przypuszczając, że i żona jego niedaleką jest grobu, wydzierżawił im grunta w posiadanie dożywotnie za 5,000 dukatów. Jakież było jego zdumienie, gdy następnie ujrzał panią Gates, mającą wówczas zaledwie lat 40 i w najlepszym zdrowiu. Państwo Gates korzystają z domu i gruntów już od 7 lat. Zatrzymali dla siebie tylko wirydarz, ogród i łąkę na 6 krów i 3 konie; resztę wydzierżawiają za sumę blisko 300 funtów, tak, iż dawno wrócili włożony kapitał. Mają człowieka, który prowadzi całe ich gospodarstwo za 200 dolarów rocznie i środki pożywienia w naturze. Reszta obsługi składa się z murzyna, kucharki i służącej murzynki. Wszyscy są wolni, gdyż generał dał wolność wszystkim swym niewolnikom.

„Podczas całego czasu pobytu u generała Gates'a mieliśmy niezliczone wizyty w godzinach popołudniowych. Niepodobiestwem dla mnie jest spamiętać wszystkie te osoby; wymienię tylko niektóre z nich.

„Widzieliśmy z tuzin Liwingstonów, płci męskiej i żeńskiej, między innymi Edwarda i Jana, których żony są bardzo piękne (zwłaszcza ostatniego). U nich to po raz pierwszy widziałem w Ameryce europejski sposób prowadzenia domu: piękne powozy, wspaniałe konie, służdy w liberyi, słowem, cały zbytek wcale nie demokratyczny.

„Liwingstonowie tem są w państwie Nowego Yorku, czem Potoccy w Polsce, t. j. rodziną bardzo liczną i posiadającą obszerne majątki. Zapewniano mnie, że mają do 600 dzierżawców, osiadłych na ich gruntach i zależnych od nich. Można się domyśleć, że mają przewagę przy wyborach. Są oni w zawziętej nieprzyjaźni z obecnym gubernatorem Nowego Yorku, p. Jay, a ponie-

waż jest on dobrze widziany przez rząd, wystarcza to, aby Liwingstonowie byli w opozycyi ¹⁾.

„Odwiedzała nas także liczna rodzina Stuverson'ów ²⁾, panny Broom, panna Johnson, siostrzenica p. Smitha z Baltimore, pani Winnings z Delaware, młoda osoba, bardzo przystojna, bardzo interesująca, śpiewająca, rysująca i t. d., a przy tych wszystkich zaletach, mająca męża rozpustnego, spędzającego życie ze swemi murzynkami i zaniedbującego żonę; wreszcie panna Nickolson.

Za sąsiadów mieliśmy państwo Vilette. Pani Vilette jest słynną szachistką, rozumna i wykształcona, lecz trochę zanadto lubi miasto, jak na żonę kwakra. Mąż jej bardzo dobry, przywiązany w wysokim stopniu do żony i do swego ogrodu, który uprawia własnymi rękami.

„Drugim sąsiadem jest p. Brigide, gaduła, bufon i błazen.“

Opuszczamy opisanie N. Yorku i wizytę z Gates'em do klubu wigów.

„Klub w Hale Gate ³⁾ nie był jedynem miejscem, dokąd zawiózł mnie generał Gates, udając się do miasta; wizyty i chęć otrzymania nowin nie były jedynemi pobudkami naszej podróży; udaliśmy się także na miasto po mięso, ryby, jarzyny. Patrzalem na tego szanownego starca, zakupującego własnoręcznie prowizye, z większym szacunkiem, niż na szamerowanego marszałka rosyjskiego, dającego posłuchanie gromadzie umundurowanych lokajów.

¹⁾ Jest to jedno z tych objaśnień, które często spotykamy u Niemcewicza, a które cechują jego umysłowość: nie dostrzegając głębszych przyczyn, wymyśla płytkie. Gates, Liwingstonowie i całe stronnictwo, do którego należeli, byli republikanami i demokratami; partya zaś, która wybrała Waszyngtona, a zwłaszcza ówczesnego prezydenta, Adams'a, miała aspiracye monarchiczne, a w każdym razie konserwatywne. Niechęć więc do Jay'a pochodziła z różnicy przekonań politycznych, lecz nie odwrotnie. Dla tej samej przyczyny usuwał się i Kościuszko od ludzi, należących do stronnictwa Adams'a, czego Niemcewicz nie umiał sobie wytłómaczyć, jak tylko dziwactwem i mizantropią, coraz bardziej w ten sposób oddalając się duchowo od Naczelnika.

²⁾ Czy nie Staiwesant?

³⁾ Nazwa ta („Furtka Piekielna“) zapożyczona od burzliwego wyjścia, znajdującego się na końcu East River — cieśniny, oddzielającej Long Island od lądu. (*Przyp. wyd.*).

Opuściliśmy z wielkim żalem dom generała Gates'a i jego uprzejmej żony. Z niemałym trudem usadowiliśmy na łodzi generała Kościuszkę, a uściskawszy jeszcze raz gen. Gates'a, który nas odprowadził do brzegu rzeki Północnej, przeprawiliśmy się pomyślnie przez rzekę. Rychło przebyliśmy szosę przeprowadzoną przez pewne towarzystwo wśród słonego bagna a ciągnącą się na milę polską. Siamo z tych łąk jest bardzo surowe; bydło żywi się niem, w braku lepszego; używają go także do nawozu. Bagna te ciągną się bardzo daleko i widać je jeszcze około Elizabethtown, również jak po drodze do Brunświku od strony rzeki Raritan. Między New arkiem a Nowym Jorkiem, na przestrzeni dziesięciu mil przebywa się dwie rzeki Passaik. Obie mają wodę bardzo przejrzystą i są spławne dla małych statków. Do przeprawy służyły dwa bardzo ładne mosty.

„Newark jest wesołym miasteczkiem, mającym kilka ładnych domów. Bliskość Nowego Jorku spowoduje niezawodnie szybki jego rozkwit. Z tamąd jest tylko 6 mil do Elizabethtown, dokąd przybyliśmy o południu.“

Opuszczamy bardzo ciekawy i charakterystyczny opis Elizabethtown i towarzystwa jego. — Tu później po wyjeździe Kościuszki, osiadł Niemcewicz i ożenił się.

Kościuszko skorzystał z tego przystanku w podróży, aby przesłać kilka dziękczynnych słów Gates'owi.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

„Drogi Generale!

Nie mogę się uspokoić, dopóki nie wynurzę chociaż części zobowiązań, jakie winienem Twej dobroci i gościnności, której doświadczyłem w domu Twoim. Gdyby życzenia moje mogły odpowiedzieć uczuciom mego serca, byłbyś najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Wierzaj mi, że wdzięczność moja nie wstrzyma się nigdy przed żadną sposobnością jej okazania oraz przekonania Cię, o moim zupełnym szacunku i przywiązaniu.“

Twój najpokorniejszy i najpowolniejszy sługa

T. Kościuszko.

Elizabethtown, na Lewis River.

(Notatka Gates'a o odbiorze na odwrotnej stronie: 3 października 1797).

Dalej kontynuuje Niemcewicz:

„Przebywszy trzy tygodnie w Elizabethtown (użyłem ten czas na polowanie, czytelnictwo i na odwiedzanie towarzystwa) opuściliśmy to miasto 20 października udając się do Brunświck; jest to miejsce, którebym chętnie obrał za przytułek dla siebie. Położenie jego jest piękne i zdrowe, towarzystwo równe; nie ma ani kłótni, ani plotek. Domy Brackersów Livingstonów, prezydenta Dayton'a są interesujące. Zresztą można przyjemnie spędzać wieczory w domach francuzkich. Poznałem tylko rodzinę Massonów; lecz w Elizabethtown liczą do 120 Francuzów obojej płci, wszyscy pochodzą z kolonij. Wreszcie zaletą Elizabethtown jest jego bliskość do Nowego Jorku: wodą można tam zajechać w 1½ godziny.

„W Brunświku stanęliśmy znowu w domu generała White'a, którego rodzina była po dawnemu gościnną i uważną. Bayardowie i Pattersonowie byli po dawnemu uprzejmi a miasto również smutne, jak i za pierwszego pobytu.“

Opuszczamy tu znaczne ustępy. Przechodzimy do spotkania z prezydentem, który wówczas podróżował. Mieszkańce Brunświku zajęci byli przygotowaniami do jego przyjęcia.

„Obrany został, pisze Niemcewicz, komitet dla przygotowania przyjęcia; prezydent i wiceprezydent jego, mieli utrzymywać porządek przy stole oraz przywitać najwyższego urzędnika państwa. Kilka wieczorów poświęcono na omówienie tej ważnej sprawy. Wreszcie p. Adams przybywa, lecz na dwie godziny przed oznaczonym czasem. Nic nie było przygotowane: to też widzieliśmy milicję pieszą i konną przebiegającą po mieście, urzędników wkładających peruki na wywrót, elegantów przybiegających z napół spiętymi trzewikami. Strzał armatni powitalny dał się słyszeć w półgodziny po tem jak p. Adams, dobrze się rozgrzał przed kominkiem.

Wkrótce jednak wszystko się uporządkowało i zrównoważyło. O pierwszej byłem przedstawiony p. Adams. Siedział on u kominka razem z p. Malcolmem, swoim sekretarzem prywatnym, młodzieńcem dwudziestoletnim, i czytał gazetę. Ujrzałem przed sobą niewielkiego i okrągłego człowieczka w stroju czarnym, z głową mocno upudrowaną i z hircapem. Twarz jego wydała mi się dobroduszną i uczciwą, nie pozbawioną jednak odrobiny złośliwości. Przyjął mnie grzecznie, rozpytywał o generała Kościuszkę i o Lafayette'a.

„Przeszedłem następnie do drugiego pokoju, gdzie zastałem odpowiednika p. Adams w osobie pani Adams. Mała, krótka, sku-

piona, oskarżona jest o straszną zbrodnię: powiadają, że się różuje. Prawdę mówiąc, jeśli nie ma powabnej powierzchowności, ma unysł bystry i wykształcony. Towarzyszyła jej tylko siostrzenica i służąca.

„O drugiej pułkownik Nelson, obrany na przewodniczącego całego ceremoniału, przybył razem z generałem White'em i reprezentacją obywateli do mieszkania prezydenta. P. Nelson przeczytał w imieniu wszystkich obywateli mowę, pełną wyrazów przywiązania do konstytucyi i najwyższego urzędnika w kraju. P. Adams przeczytał odpowiedź swoją; pomówił z tym i owym, uściśnął każdemu rękę i wszyscy odeszli.

„O trzeciej ta sama ceremonia, aby go zaprosić do sali jadalnej. Udał się tam w towarzystwie tłumu obywateli i ze trzydziestu milicyantów w mundurach. Przywitano go pochylając sztandary. Stół nakryty był na sześćdziesięć osób: roastbeefy, indyki i t. d. w odpowiedniej proporcyi.

„W środku obiadu p. Gass, mężczyzna wysoki na 6 stóp, a przeszło siedmdziesięcioletni, garbarz z zawodu a gaduła z nawyknięcia, opuścił miejsce swoje na przeciwległym końcu stołu, zbliżył się do szczytu jego, gdzie siedział prezydent, a odsuwając generała White'a, który siedział przy nim, przysiadł do p. Adamsa i bawił go najniemożliwszemi tłustemi opowiadaniem. Prezydent śmiał się a spoglądając na olbrzymi wzrost swego współbiednika, rzekł do niego:

— „Powinieneś Pan być urodzić się w państwach króla pruskiego; byłbyś ozdobą jego gwardyi.“

— „Gdybym miał być drugą osobą w jego królestwie, nie chciałbym tam być urodzonym, odrzekł garbarz.“

— „Ani ja, chociażbym miał być tam pierwszym, rzekł prezydent.

„Po skończonej uczcie zaczęły się toasty, zawczasu przygotowane przez komitet. Wygłaszają ich tyle, ile jest stanów, t. j. 16. Większa ich część zawiera wyrazy uczuć i życzenia o utrzymanie praw, konstytucyi, wolności, pokoju, rolnictwa, handlu i t. d.

„Po oddaleniu się prezydenta, wypito jego zdrowie i szereg weselszych toastów. Wesołość stała się szumną i uczta trwała do godziny 10-ej.

„Prezydent i pani Adams przybyli wieczorem do generała White'a na herbatę“).

*) Tu zapewne nastąpiło unikane przez Kościuszkę spotkanie się z Adamsem, który nie mógł być miłym Naczelnikowi, jako twórca „Prawa o cudzo-

„Nazajutrz oboje odjechali bardzo wczesnie. Cały ich ekwipaż składał się z dwóch powozów wygodnych, lecz prostych. Jeden służący towarzyszył im konno. Ze trzydziestu milicyantów konnych odprowadziło ich, również jak i wszyscy zamożniejsi obywatele w powozach przejechali z nimi połowę drogi do Kingstown; tu ustanowiono się w szereg i prezydent mógł pożegnać każdego z osobna. Generał White i ja odprowadziliśmy go do samego Kingstown.“

„Nazajutrz, jeśli się nie mylę, 20 listopada, wziąłem pocztę, aby udać się do Filadelfii w celu znalezienia mieszkania dla generała Kościuszki.

„Przybyłem do Filadelfii w niedzielę z rana i ulokowałem się na 2-ej ul. Północnej w brudnej i lichej oberży pod nazwą „Eagle and Harfe“ (Orzeł i harfa).

„Przy pomocy doktora Rush znalazłem mieszkanie tak małe, tak oddalone i tak tanie, jak mi nakazywały moje instrukcje. Byłem obecny na otwarciu Kongresu, które poniżej opisuję.“

Przed opuszczeniem Nowego Brunświku, Kościuszko jeszcze raz pisał do Gates'a.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

Nowy Brunświck, 27 listopada.

„Mój drogi Generale!

Byłoby to urazą dla uczuć moich, gdybym nie napisał do Ciebie, opuszczając to miejsce i nie przesłał Ci gorących podziękowań za przyjaźń okazaną mi pod Twym dachem zarówno jak i pani Gates. Przesyłam jej moje pełne szacunku pocałowania. Jutro wyjeżdżam do Filadelfii i mam nadzieję odebrać tam list Twój, stwierdzający Twe dobre zdrowie i życzliwość dla mnie.

ziemcach i buntownikach.“ Korespondent „Moniteur'a“ paryskiego, który spotkał Kościuszkę przy jego wylądowaniu w Bajonii i słyszał od niego wiele szczegółów, nadmienia, że Kościuszko nie przyjął zaproszenia Waszyngtona, z Adamsem zaś widział się tylko na umyślnie przygotowanym spotkaniu. List ten ogłosiłem w artyk. p. t. *Podróż Kościuszki do Paryża w r. 1798.* („Świat Kobiety“ № 15 z r. 1906).

Mój głęboki szacunek dla Pani Gates a moje najlepsze życzenia i pozdrowienia dla wszystkich moich znajomych.“

Twój przyjaciel nazawsze

T. Kościuszko.

Wracamy do pamiętników Niemcewicza.

„28 listopada.“ Z wielkim żalem opuściliśmy spokojny i gościnny dom p. White'a i przybyliśmy nazajutrz do Filadelfii. Zamieszkaliśmy pod № 172 na 3-ej ulicy Południowej, u pani Relf, w bardzo małym domku, gdzie mieszkali wspólnie studenci medycyny i młodzi rzemieślnicy. Taniaś skłoniła nas do tego wyboru. Generał miał mały pokój, w którym nie mógł przyjąć więcej od 4-ch osób naraz. Ja zaś miałem jeszcze mniejszy, a że nie był opalany, sypiałem tylko w nim. Było to bardzo niedogodne dla mnie; nie snutniejszego nad brak własnego kąta; zmuszony byłem włóczyć się po ulicach lub czyhać na chwilę, kiedy się znajdzie wolny stoliczek w parlorze, gdzie mogłem pisać lub czytać. Zaledwie miałem czas rzucić na papier kilka bezładnych notatek o tem, co widziałem.“

Opuuszczamy opisanie Filadelfii i towarzystwa miejscowego a przechodzimy wprost do święcenia urodzin Waszyngtona i odwiedzin wodza indyjskiego Małego Żółwia u Kościuszki.

„22 lutego obchodzono dzień urodzin Waszyngtona. Zrana już wszystkie statki były ozdobione flagami; dano salwę całej artylerji.

„P. Adams, obecny prezydent, był zaproszony na uroczystość. Lecz dotknięty tem, że jego poprzednika, już nie pełniącego urzędu, fetują i poważają więcej niż jego samego, będącego na stanowisku prezydenta, odpowiedział natychmiast kierownikom uroczystości, kartą pełną złego humoru, oświadczając, że nie przyjdzie. Rys ten maluje dostatecznie człowieka małego, zazdrosnego i unoszącego się...“

„Uroczystość odbyła się w cyrku. Jest to gmach okrągły, okropnie pomalowany od stóp do szczytu Burwy jego szare i czarne pochłuniły całkowicie światło setki świec, zawieszonych na żelaznych obręczach. Stroje pań z przewagą bieli i piór, chociaż bardzo eleganckie, niekorzystnie się przedstawiały w tym szarym pomroku. Orkiestra mieściła się na estradzie w środku. Sznury przeciągnięte od niej dzieliły obwód na ośm odcinków. W przegrodach tych tańczono. Nikt nie był skrępowany, ale nikt nie był wesóły. Jedna tylko ambasadorowa portugalska miała na

sobie brylanty. Ładniejszy blask wszakże miały oczy pani Law, z domu Custis, wnuczki pani Waszyngtonowej.

„Mały Żółw, wódz indyjski, zajmował łożę. Ubrano go w mundur amerykański z wielkimi epoletami. Był, zdawało się, bardzo zadowolony z widowiska. Jest to człowiek bardzo rozumny; poglądy jego są zdrowe i poprawne; żadnej przewrotności—owocu błędnej półwiedzy.

„Przybył tu, aby traktować z rządem o linii granicznej, którą miano poprowadzić i o innych rzeczach, dotyczących jego narodu — *Miansów*. Głównym punktem, na który nalega, jest zobowiązanie się rządu amerykańskiego do zakazu pod najsurowszemi karami przywozu spirytualij dla Indyan. Zna dobrze fatalne skutki ich użycia, niemniej jak obłudną politykę białych, podtrzymującą między nimi niezgodę, wciągającą ich do swoich kłótni, zbestwiającą ich napojami, posługującą się słowem wszelkimi środkami w celu utrzymania ich w nieuctwie i stopniowego ich wyniszczenia.

„Doskonale zdaje sobie sprawę z wyższości stanu ucywilizowanego, a wyższość ta zasmuca go nawet.

— „Nie mówcie mi, rzekł, o waszej wyższości, jeśli nie chcecie dostarczyć mi środków, przy których pomocy naród mój mógłby osiągnąć te same korzyści.“

„Przyszedł odwiedzić generała Kościuszkę i ofiarował mu *tomahawk*, rodzaj małego toporka, które wyrabiają Anglicy. Kościuszek podarował mu w zamian swoją burkę. Wódz dostrzegł okulary i jak się zdawało bardzo pragnął je posiadać. Nie nie mogło dorównać radości jego, gdy Kościuszek podarował mu je. Nie mógł zrozumieć jak się to dzieje, że przedmioty powiększone są przez szkła, ani też nasycić się rozkoszą oglądania ich w ten sposób.

— „Dałeś mi nowe oczy, wołał. Była to jedyna chwila, w której wydał mi się nieco dzikim. Inni Indyanie: Cziksasowie i sześć Narodów¹⁾ przybyli również do Filadelfii. Lecz we wszystkich względach różnili się wielce od Małego Żółwia. Rząd opatrywał ich we wszystko podczas ich pobytu.

Tegoż samego dnia Kościuszek, zapewne otrzymawszy jakąś wiadomość od Gates'a przez kogoś z przybyłych na uroczystość pisł do niego, co następuje:

¹⁾ Taką nazwę przybrały złączone plemiona Indyan z okolic wielkich jezior. Podczas powstania przeciw Anglii, Indyanie sześciu Narodów stali po stronie Amerykanów.

KOŚCIUSZKO DO GATES'A.

Filadelfia, 22 lutego.

„Mój drogi Generale!

Gdybym był poinformowany, że listy moje mogą Ci sprawić przyjemność ¹⁾, byłbym z pewnością pisał do Ciebie często i wyrażał to, co czułe serce, przepełnione przyjaźnią i szacunkiem, wypowiedziałyoby memu rozumowi.

Gen. Armstrong pisał mi o farmie w jego sąsiedztwie. Odpisałem mu, że jadąc do wód w Saratodze chętnie ją obejrzę; lecz wiesz, że na tym świecie nie możemy być niczego pewni. Z pism zapewne wiesz o uregulowaniu mej sprawy z Kongresem ²⁾. Rzecz sama mówi za siebie i nie wymaga dalszych komentarzy. Zdaje się, myślisz razem ze starym dobrym Katonem: gdyby to i owo — stanowisko honorowe jest prywatną posiadą.

P. Garnet ³⁾ ma wiele miłych zalet; jestem więc niecierpliwy poznać jego panią. Eliza nie odpowiedziała na mój list; żądam więc, abys ją ukarał trzema pocałunkami, pod warunkiem wszakże, aby twoja żona była obecną przy tej czynności, inaczej będę zazdrosny. Dobrej, czulej i litościwej p. Gates pragnę być przypomnianym. Składam jej dzięki za wszystko, czem jestem jej obowiązany i przesyłam jej pełne szacunku pozdrowienie. Co do Twego przyjacielskiego zaproszenia, jeśli to będzie w mojej możliwości i na mojej drodze, uczynię sobie zaszczyt wstąpienia do twojego domu i uściśnięcia twej dłoni. Lecz w każdym razie usłyszysz coś więcej ode mnie.

Z zupełnym szacunkiem
Twój serdeczny przyjaciel

T Kościuszko ⁴⁾.

¹⁾ Ta delikatna aluzja każe domyślać się, iż Kościuszko nie zastał w Filadelfii spodziewanego listu od Gates'a.

²⁾ Mowa tu o odbiorze zaległego i skapitalizowanego żołdu z czasów wojny o niepodległość.

³⁾ Rodzina Garnetów żyła dobrze z Gates'ami. Córka ich (Sybella), przyjaźniła się z młodziutką Garnetówną, dzieckiem jeszcze. O ile można sądzić z listów, jest to, zdaje się, wymieniona niżej „Eliza.“ Kupili oni w tym czasie farmę w pobliżu N. Yorku.

⁴⁾ Papiery Gates'a. T. XXI. № 62.

Ton tego listu i mgliste aluzycy w nim zawarte, każą domyślać się, że zamiar powrotu do Europy już kiełkował w umyśle Kościuszki. Musiał już z pism wiedzieć o organizacyi Legij polskich, jeśli go jeszcze nie doszły listy. Pierwotnym zamiarem (wynikającym zdaje się z rady Rush'a) była podróż do źródeł mineralnych w Saratoga, projektowana na wiosnę; do niej to robi alluzycę Kościuszko w liście swoim. Obok tego obaj przyjaciele jego od pierwszych dni po jego przybyciu, zajęci byli upatrywaniem dla niego farmy sądząc, że resztę dni poświęci spoczynkowi i pracy wiejskiej. Już w listopadzie (13-go) Armstrong pisał do Gates'a: „Przyjechał on (Kościuszko) w zbyt spóźnionej porze roku, aby można było coś uplanować o przyszłym urzędzeniu. Plan, o którym nadmieniasz w poprzednim liście (Brockholst'a) nie jest już do wyboru; lecz gdyby nawet był do urzeczywistnienia, niechętniebym polecał innemu to, co pod żadnym względem nie podobą się mnie samemu. Bardzo prawdopodobnie będziemy w stanie ulokować go o wiele korzystniej na wiosnę. Będę miał na oku dwie lub trzy miejscowości, które w ciągu zimy będę mógł dostarczyć naszemu przyjacielowi, jeśli mu się podobają; jeśli nie—pertraktacye można będzie zawiesić.“

W tym samym liście jednak nadmienia Gates o pogłosce, według której Kościuszko ma udać się na zimę na południe za rzekę Potomak. Stosując się do tej to pogłoski, Kościuszko polecił Niemcewiczowi udać się na południe po jego tajnym wyjeździe, niby jadąc wład za nim.

Przechodzimy teraz do tych ustępów pamiętników Niemcewicza, w których przyszedł prezes Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie, skromnie wyraża swoje zdumienie z powodu obrania go na członka Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii, a następnie opisuje pożegnanie swoje z Kościuszką.

„Po powrocie¹⁾ dowiedziałem się przez pośrednictwo doktora Scandelli, że zostałem obrany na członka Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii. Wiadomość ta bardziej zdziwiła mię niż ucieszyła, a każąc mi zastanowić się nad sobą, upokorzyła mię raczej niż podniosła. Przypomniałem sobie ze smutkiem zarówno powierzchniowe wykształcenie, które otrzymałem, jak i niedostate-

¹⁾ Z Burlington, dokąd jeździł razem z doktorem Scandellą odwiedzić Loganów, gorących zwolenników rewolucyi francuzkiej. Było to w kwietniu r. 1798.

czność wysiłków własnych ku jego uzupełnieniu w następstwie wiadomościami rzeczywiście użytecznemi. Cóż ja umiem? mówiłem sobie. Trochę historyi, podróży, belletrystyki; mam trochę wiadomości o sztuce. Są to tytuły do obrania mnie na członka niewielkiej kolacyi ludzi światowych. Lecz zostać członkiem Towarzystwa filozoficznego, towarzystwa zajmującego się jedynie naukami ścisłemi i użytecznemi—do tego nie mam najmniejszego prawa. Jeśli jestem filozofem, to chyba w tem znaczeniu, że jestem ubogi; że od 20 lat walczę z wszelkimi niepowodzeniami, nie ulegając im.

.....

4 maja¹⁾ „Byłem tego wieczora na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego. Prezydent jego p. Jefferson, zakomunikował nam kilka listów nadesłanych z rozmaitych części Związku donoszących o znalezieniu kości mamutów lub innych nieznanych zwierząt. Listy te przekazano osobnej komisji. Dyskutowano następnie nad rozmaitemi przedmiotami naukowemi.

Towarzystwo to założone zostało w r. 1750, liczy ono przeszło 200 członków Amerykanów i cudzoziemców, zresztą pomówię o tem innym razem; dziś pilno mi przejść do przedmiotu niezwykłego.

Gdy wróciłem o 10-ej i pół wieczór z tego posiedzenia, Stanisław Dąbrowski, służący Generała, powiedział mi, że pan jego życzy sobie widzieć mnie.

Gdyśmy się znaleźli sami, oto jakie niezwykle usłyszałem zwierzenie:

— „Musisz mi dać słowo honoru p. Niemcewicz, że nikomu nie powtórzysz tego, co ci powiem i że uczynisz to, o co cię proszę.“

— „Nie zażadasz odemnie nic nieuczciwego?”

— „Nie; mogę ci zaręczyć.

— „A więc słucham.

— „Wyjeżdżam tej nocy do Europy sam jeden, zostawiam dla służącego 100 dolarów; zwolnisz go jutro; zostawiam ci 200 dolarów; rozporządzać będziesz prócz tego mojem odzieniem i na-

1) Wrażeniu swoje opisywał Niemcewicz zwykle raz na kilka dni. Nie powinien się więc czytelnik dziwić, że pomimo daty 4 maja stojącej w nagłówku, opowieść obejmuje wypadki z kilku dni.

czyniem, które jest u d-ra Rush¹⁾). Skamieniały ze zdumienia wobec tej wiadomości, która spadła na mnie jakby z chmur, chciałem, gdy nieco ochłonełem z wrażeń, dowiedzieć się o przyczynach tej podróży. Odpowiedziano mi, że niewiedziano, ani dokąd, ani po co się jechało.

„Przedstawiłem niebezpieczeństwa, na które się narażał, jadąc tak sam w tego rodzaju podróż; chciałem, aby się zastanowił. — Nakazano mi milczenie.

— „Jeśli nic nie może cię oddalić od tego zamiaru, wolę niż widzieć cię puszczającego się samowolnie w tym stanie zdrowia twego, zauknąć na wszystko oczy i ofiarować się na towarzysza.

— „To niemożliwe.

— „A więc proponowałeś i żądałeś odemnie, abym tu przybył, po to jedynie, by mię zostawić samego na tej ziemi, tyłu morzami (sic) oddzielonej od ojczyzny. Taki więc dowód zaufania i przyjaźni dajesz mi? Mówisz mi o wyjeździe swym zaledwie na kilka godzin przed urzeczywistnieniem zamiaru, który miałeś już może w chwili wyjazdu! Czyżbyś sądził, że cię zdradzę?...

— „Nie, nie, ale...

— „Cóż tu pomyśla o tak dziwnem zniknięciu?

— „Proszę cię, opowiedz wszystkim, że wyjechałem do wód w Wirginii. Za trzy dni opuścisz Filadelfię i udasz się w tamtą stronę, jakby w celu połączenia się ze mną.

— „Ładne mi dajesz zlecenia: mam kłamać tu i objeżdżać kraj cały, aby jeszcze kłamać. Ach! w jakież kłopotliwe położenie mię stawiasz! Sam, bez przyjaciół, bez środków... Nie, nie wezmę nic z tego, co mi zostawiasz...

„Zanosiło się na scenę; nie była to chwila właściwa dla jej rozpoczęcia. Zamilkłem.

„Zawołałem służącego (nie powiedziano mu nic, ani o tem, co zamierzano uczynić, ani co mu zostawiano; cały ten kłopot pozostawiono mnie); kazano przynieść tłumok, wrzucono do niego trochę rzeczy; powiedziano mi, iż pragną spocząć...

„Oddaliłem się zbyt wzruszony wszystkim, com usłyszał, abym mógł zmrużyć oko. O pierwszej w nocy wyszedłem i chodziłem po ulicach, oddając się mojej boleści i najsmutniejszym rozważaniom; o 4-tej zrana nadjechał zakryty powóz, a w nim p. J(effer-

¹⁾ Mowa tu o serwisie srebrnym ofiarowanym Kościuszcze przez miasto Bristol w Anglii, gdy zatrzymał się w niem, w przejeździe do Ameryki.

son). K(ościuszko) zajął miejsce ¹⁾ nie uściskawszy mnie. Pomimo jego postępowania myśl o tem, że rozstajemy się może na zawsze; myśl o niebezpieczeństwach, na które się narażał w jego położeniu i bez żadnej pomocy—wycisnęła mi łzy... Śledziłem oczyma powóz tak daleko jak mogłem. Obrano drogę przeciwną tej, która prowadziła do portu. Nie wiem, dla kogo przedsięwzięto ten środek ostrożności, gdyż wszyscy spali jeszcze. Dowiedziałem się następnie, że udano się łądem aż do Newcastle, gdzie oczekiwali statek.

„Oto więc sam jestem, opuszczony na tej obcej ziemi, bez środków, zapomniany przez swoich. Nie w stanie jestem ani wrócić do siebie, ani tu osiąść, ani nawet znaleźć środków egzystencji! Gdy w Petersburgu błagano mię, abym jechał, czy mogłem się spodziewać, że tak się rzecz skończy? Zgodnie z instrukcją powiedziałem służącemu, że jest wolny; powiedziałem, co mu zostawiono. Był on dotknięty i wołał o zdradę (sic):

— „Więc po to kazano mi aż tu przyjechać! Należy mi się pensya za dwa miesiące, a mam zaledwie 80 dukatów na powrót i w nagrodę za tak ciężką służbę.“

— „Nie przyjacielu; przeznaczono ci sto dolarów a dwieście dla mnie; oddam ci wszystko, oto 300 dolarów, nie chcę ani grosza dla siebie.

Opierał się on, nie chcąc pozostawić mię bez środków, a czynił to w dobrej wierze. Ja nalegałem; oddałem mu pieniądze i wzięłem pokwitowanie. Napisałem do K(ościuszki) kartkę następującej treści:

„Oddałem wszystkie pieniądze, któreś mi pozostawił, Twemu służącemu; załączam pokwitowanie. Kazałem zapakować wszystkie Twoje rzeczy i odzienie i odesłałem do p. J.(effersona). Nie tknę także srebra. Przyjaźni, nie opłaca się pieniędzmi; wymaga ona wzajemności i zaufania. Nie doznałem jej z Twojej strony. Żegnaj. Oby los Twój był tak szczęśliwy, jak mój jest godzien litości.“

„Ten wyjazd nagły, a tak tajny i ukryty, wywołał powszechne zdumienie. Osypano mię pytaniami, kłamałem tysiąc razy dziennie. Co pomyślą o mnie, gdy z czasem wszystko się ujawni! Po co ta tajemnica? Jak w tych czasach podejrzeń i nieufności

¹⁾ Zaniósł go służący na ręku, jak widoczne z jednego listu Niemcewicza do Jeffersona.

wytłómaczą sobie ów tajemniczy wyjazd i nasze rozstanie i moją tu obecność...

„Dni następne spędziłem, pakując jego rzeczy, przenosząc je i gotując się do wyjazdu.“

.....

Nie mamy powodu wątpić o szczerości wynurzeń tych¹⁾, pisanych pod świeżym wrażeniem, a nie przeznaczonych do czytania dla kogokolwiekbądź, które podajemy w dokładnem tłumaczeniu, zachowując tajemniczość nawet w tym poufnym pamiętniku otaczającą imię Kościuszki, którego by nie wymieniać, autor posługuje się przeważnie bezosobową formą lub inicjałami. Zresztą niewątpliwej autentyczności dokumenta stwierdzają najzupełniej to, co pisał Niemcewicz.

W Archiwach Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie odnaleźliśmy autografy listów Niemcewicza do Jeffersona, pisanych wkrótce po tym wypadku i prasowe kopie odpowiedzi na nich Jeffersona. Malują one stan umysłu Niemcewicza podczas tej podróży, którą przedsięwziął spełniając zlecenie Kościuszki.

27 maja pisał poeta nasz z Federal City²⁾

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

Wśród niepokoju i obaw, których doświadczasz, myśląc o losie przyjaciela, narażonego na niejedno niebezpieczeństwo, zechcesz może dowiedzieć się, co się dzieje z tym, który od tylu lat był towarzyszem jego niedoli i jego podróży: spieszę zadość uczynić twej ciekawości w tym względzie.

Stosując się do instrukcyi generała K(ościuszki) obrałem drogę na Południe, jakby jędąc wślad za nim. Byłem w Baltimore, a od 15 dni bawię w Federal City, w domu p. Law³⁾. Wszędzie osypywano mię pytaniami, nie wiem jak się wywiązałem; wiem tylko, że zawód kłanicy (dla tego kto nie jest doń przyzwyczajony)

¹⁾ Jak podał w wątpliwą treść i w tym wzmiankę w *Pamiętniku czasów moich*, p. Korzon w swojej biografii Kościuszki.

²⁾ Tak nazywało się miasto owo w chwili jego założenia, nazwę obecną nadano mu dopiero po śmierci Waszyngtona.

³⁾ Ożenionego z panną Custis, wnuczką pani Waszyngtonowej. Tam poznał się Niemcewicz z Waszyngtonem i został zaproszony do Mount Vernon.

jest również trudny, jak i upakarzający. Bądź jednak pewnym, że tajemnica jest ściśle przestrzegana, nikt nie domyśla się prawdy: jedni sądzą, iż jest naprawdę w drodze do wód, inni wyobrażają sobie, żeśmy się pokłócili i rozłączyli. Wreszcie pisano tu z Filadelfii, żeś go porwał i schował w Monticello¹⁾ Jesteś więc oskarżony o porwanie i gwałt, staraj się oczyścić, jak możesz.

Generał Waszyngton z żoną był w mieście, aby odwiedzić wnuczki swoje, p. Peters i p. Law. Byłem mu przedstawiony; przyjął mię bardzo grzecznie, pytał o zdrowie g(enerała) K(ościuszki), ze współczuciem, lecz był wogóle bardzo powściągliwy a nierównie mniej ciekawy i badawczy niż się spodziewałem.

Pomimo dobroci i gościnności swoich gospodarzy, nie mogę bez niedyskrecyi bawić u nich zbyt długo. Lecz gdzie udać się i jak? Nie nie wiem. Nie chciałbym przejeżdżać przez Filadelfię, ani tam mieszkać (jak pierwotnie zamierzałem). Dopóki kongres będzie tam trwał, a obawiam się, że posiedzenie to potrwa długo, mój pobyt w tem mieście wywołałby plotki i podejrzenia bez końca. Jestem naprawdę w położeniu godnem pożałowania. Serce moje zranione do żywego, umysł niespokojny i wzruszony, nie mogę ani zostać tu, ani tembardziej tu osiąść, ani też wrócić do domu (sic), aby oddać się w ręce swoich stróżów więziennych (despoci są tak podejrzliwi).

Wyjechałem z Europy nie urządziwszy spraw swoich jedynie po to, by towarzyszyć choremu przyjacielowi i pielęgnować go; krewni moi i przyjaciele nigdy nie mogli wyobrazić sobie, iżbym się znalazł w tem położeniu, w jakim jestem obecnie. Chciałbym zatrzeć w pamięci nawet wspomnienie tego obejścia, którego doświadczyłem; lecz niestety, nie tak łatwo zapomnieć, jak milczeć.

Przebacz mi Panie te skargi mimowolne, jesteś jedynym, przed kim wyrwały się one; jedynym przed kim śmiem mówić o swem położeniu i o swych zamiarach. Zanim otrzymam wiadomości i pomoc z domu, postanowiłem zwiedzić cokolwiek Amerykę, zarówno w celu rozerwania się, jak i po to, by nie tracić czasu daremnie. Chciałbym pojechać aż do Bostonu. Czy nie byłbyś łaskaw pożyczyć mi na to 150 albo 200 dolarów? Obiecuję zwrócić je w jesieni, a bardzo rad będę przywieźć ci dług mój osobiście. Przebacz mi Panie śmiałość tego kroku; powody, którychbyś zapewne nie zgañił, przeszkodziły mi prosić kogo innego o tę usługę. Trudno mi było wynurzać się przed kimkolwiek; lecz

1) Wiejska rezydencja Jeffersona.

wobec szacunku i przywiązania, które budzisz we wszystkich, co mają szczęście znać Ciebie, nie zdziwisz się, że budzisz w nich także zaufanie. Przyjmij wyrazy szacunku od tego, kto ma zaszczyt być Panie i t. d.

Julian Niemcewicz.“

„Jeśli będziesz łaskaw odpisać mi adresuj mi do domu Tomasza Law w Federal City. Nie zapomnij zwłaszcza dać mi wiadomości o G(enerale) K(ościuszko), skoro tylko usłyszysz cokolwiek o nim; powinien już być blizkim celu swej podróży. Bardzo prawdopodobne, iż znajdzie się na poczcie w Filadelfii kilka paczek listów adresowanych do G-ła Koś. Bądź łaskaw otworzyć je, gdyż niezawodnie znajdują się w jego kopercie listy dla mnie, a w tym wypadku błagam Cię, abyś mi je przysłał“¹⁾.

Nie znaleźliśmy odpowiedzi na ten list w brulionach Jeffersona, lecz widzimy z następnego listu Niemcewicza, że pieniądze żądane były mu natychmiast przesłane. Już 9-go czerwca bowiem odpisuje Jeffersonowi z Mount-Vernon, gdzie bawił jako gość Waszyngtona, dziękując mu za przesyłkę. Oto jest brzmienie tego listu:

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

„List Pański otrzymałem dopiero wczoraj; zechcesz mi więc wybaczyć opóźnienie mojej odpowiedzi. Racz przyjęć podziękowanie za sumę 200 dolarów, którą zechciałeś łaskawie mi pożyczyć; list ten posłuży za pokwitowanie, gdyż nie wiem, jak uczynić to w formie należytej; mam nadzieję w krótkim czasie uiścić się z długu; otrzymałem od moich krewnych z Polski wieści, donoszące mi, że pewna pomoc pieniężna ma mi być wysłana niezwłocznie. Zachowam na zawsze wspomnienie tego dowodu przyjaźni i dobroci z Twojej strony; bez Pana nie wiem, co bym miał począć; postawiłeś mię w możności ujżenia kraju, który tak zasługuje na poznanie.

„Zostałem zaproszony przez Gła Waszyngtona, abym go odwiedził; udałem się do niego z rodziną p. Law. Wyjeżdżamy pojutrze²⁾. Opuszczę natychmiast Federal City, aby udać się do Frederickstown, do Lankaster, Bethlehem, stamtąd wrócę do Filadelfii,

¹⁾ Rękopisy Jeffersona. Ser. 2, Tom 63, fol. 16.

²⁾ W rzeczywistości zabawił Niemcewicz w Mount-Vernon do 14 czerwca.

zatrzymam się tam tylko na jeden dzień i mam nadzieję zastać Cię jeszcze, jeśli nie, postaram się złożyć Ci szacunek w Monticello.

„Wypadki w Europie, zdaje się, zbliżają się do rozwiązania; scena zdaje się zostanie przeniesiona do Egiptu, co sprawia mi wielką przyjemność: gdyby zdążono go podbić i wygnać Turków z Europy, widzę wszelką możliwość, iż dając z tej strony kompensaty domowi austriackiemu i Rosyi, zniewolą ich do oddania Polski i moja biedna ojczyzna zmartwychwstałaby jeszcze.

„Czytałeś zapewne w dziennikach, że szablą, którą Klub Whigów w Anglii dekretował dla G-ła K(ościuszki), przybyła na statku Adriana pod kapitanem Lee. Ponieważ Gł. K(ościuszko) będzie rad zachować ten dowód szacunku ogólnego, będzie ci niezawodnie wdzięczny, jeśli będziesz łaskaw wziąć go z rąk kapitana Lee i udzielić mu miejsca obok innych rzeczy, które zechciałeś zachować dla niego. Mam nadzieję, że już przybył szczęśliwie do portu, a niecierpliwy jestem ujrzeć nadzieję tę stwierdzoną¹⁾. Bądź pewien Panie, że wdzięczność moja może dorównać szacun-kowi, który mam dla Twoich cnót. Mam zaszczyt i t. d.

Julian Niemcewicz²⁾“

Odpowiedź Jeffersona ułożona jest w następujących wyrazach:

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Filadelfia, 14 czerwca 1798.

„Kochany Panie!

„List pański z d. 9 b. m. w tej chwili dopiero został mi wręczony, tak iż zaledwie mam czas odpisać z pierwszą pocztą. Z listu Pańskiego widzę, że prawdopodobnie ominie mię przyjemność ujżenia Cię. Wyjeżdżam stąd we środę 20-go w południe przez Georgetown a 22-go będę w Georgetown, który zapewne już wcześniej opuścisz.

„Odobrzałem dziś szablę dla G-ła Kościuszki i oddałem na przechowanie godnej zaufania osobie. Kapitan Lee, który mi ją

¹⁾ Kościuszko przybył do brzegów Francji dopiero 28 czerwca. W tym czasie, gdy przebywał ocean, Bonaparte, otoczony wielką tajemniczością, płynął po morzu Śródziemnem do Egiptu.

²⁾ Rękopisy Jeffersona, ser. 2, tom 63, fol. 18. Oba te listy pisane po francusku, odpowiedź Jeffersona — po angielsku.

wręczył, nadmieniał, iż ma list dla Ciebie z Anglii, który mi jutro przyniesie. Zostawię go na opiece mego gospodarza, p. Francis, aby go zatrzymał, póki się po niego nie zgłosisz lub przyślesz.

„Bardzo mi przykro, że tak późno odebrałeś mój list, gdyż musiało to wywołać pewne niemiłe uczucie. Wysłałem go pierwszą pocztą po otrzymaniu Pańskiego. Będę liczył na przyjemność ujżenia Cię w Monticello. Zbliżająca się godzina poczty zmusza mię do zakończenia listu wyrazami wielkiego szacunku i przywiązania, kochany Panie, etc.

T. Jefferson)

Następujące listy zawierają szczegóły bardziej bezpośrednio związane z wyjazdem Kościuszki; są to niejako ostatnie echa epizodu, któremu poświęciliśmy ten artykuł: wspólnej podróży i niezyczelivego rozstania się obu przyjaciół.

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA.

„Panie!

„Jestem wreszcie z powrotem z mojej wycieczki na Wschód. Byłem w Bostonie i Portsmouth, stamtąd przez góry udałem się do Albany, skąd po rzece spuściłem się do N. Yorku. Wszędzie paliło mnie słońce, a gdzieś tam obdzierali yankesi. Zatrzymałem się przez dni kilka u kanclerza Livingstona i u generała Armstronga. Poprzedził mię tam p. Dawson i znalazłem tych panów poinformowanych o wyjeździe G(ła) K(ościuszki²) i o miejscu jego przeznaczenia. Tajemnica jest w dobrym ręku; nie jestem więc o nią niespokojny; lecz jakież było moje zdziwienie, gdy, po przybyciu do Elizabethtown, znalazłem miasto to przepelnione najniedorzeczniejszymi bajkami. Opowiadano mi, że major Touzard przejeżdżał tędy przed dziesięciu dniami i stanąwszy u prezesa Daytona twierdził, iż widział list pisany z Wirginii a zawierający wiadomość, że G(ał) K(ościuszko) opuścił kraj ten sam jeden i w największej tajemnicy, że przypuszczano lub też w liście tym powiedziano było, iż udał się do Irlandyi dla objęcia komendy nad powstańcami. Wszystko to jeszcze ująć może; lecz jakież było moje oburzenie i moje zdumienie, gdy dowiedziałem się, iż major Touzard miał zuchwałość twierdzić, jakoby runy

1) Rękopisy Jeffersona, ser. 1. Tom 7 fol 241.

2) W liście tylko inicjały.

i smutny stan kaleki i inwalida w jakim znajdował się generał, były tylko farsą, udawaniem oraz, że widziano go chodzącym w New Castle.

„Odrzuciłem oszczerstwo to jako niedorzeczne i krzywdzące dla charakteru generała, zapewniając wszystkich tych panów, że w dzień jego wyjazdu na wody, widziałem go jak zwykle, zanieśionego do powozu przez służącego.

„Nie mniej wszakże prawdą jest, że niedorzeczne te bajki dały tu powód do plotek i przypuszczeń, które ranią mię i upokarzają. Obawiam się, że jeszcze gorzej dzieje się w wielkich miastach; dla tego też jestem zdecydowany trzymać się od nich zdala. Nic nie otrzymałem od rodziny swojej, co zwiększa jeszcze smutek mego położenia. Błagam Pana, wybac mi, że nie mogę dotąd uiścić się z długu swego; mam nadzieję, iż wkrótce to nastąpi i wówczas będę w stanie uczynić pielgrzymkę swoją do Monticello. Co do chwili obecnej zdecydowany jestem spędzać swój czas między Brunświckiem a Elizabethtown; krajobrazy tu piękne, życie tanie, a jak mówią Włosi: *Il primo bisbiglio di chiudere una volta passata*. Będę mógł tu żyć zapomniany i spokojny, dopóki obowiązek mój nie powoła mnie do kraju lub stracona nawsawsze nadzieja nie każe mi osiąść tu. Jeśli doktor Bache i p. Maclure są u Pana, proszę przypomnieć mi ich panięci. Nie wiem co się stało z doktorem Scandellą. Jeśli ma Pan jakie wiadomości o Podrózniku¹⁾ i jeśli zechcesz napisać mi parę słów o nim, proszę adresować do pani Bache, żony doktora. Niedawno miałem od niej wiadomości: jest w dobrem zdrowiu na wsi u ojca. Filadelfia jest zupełnie wyludniona; ulice porosły trawą; zostało w niej zaledwie 10,000 mieszkańców a codziennie stu z nich umiera; połowę tego w Nowym Yorku. Jeśli potrzebne są ofiary dla gniewu bożego, dla czego nie objawia się on raczej w Rosyi, Austryi i w Prusach!

„Zechciej przyjąć, Panie, zapewnienia o mojem przywiązaniu i moim szacunku.“

J. U. Niemcewicz.

Elizabethtown, 3 września 1798.

(Notatka Jeffersona:
otrzymany 27 września²⁾).

¹⁾ Kościuszcze.

²⁾ Rękopisy Jeffersona. Ser. 2. Tom 63, fol. 8.

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Monticello, 30 listop. 98.

„Kochany Panie!

Wskutek uszkodzenia naszej poczty, listy z północy przychodziły w ogóle bardzo późno bieżącego lata; lecz pański opóźnił się niezwykle, tak iż w czasie, gdy go otrzymałem, miałem nadzieję widzieć Cię tu; wskutek tego nie odpisałem zaraz po jego otrzymaniu; gdy jednak spóźniona pora roku pozbawia już nadziei w tym przedmiocie, czynię sobie przyjemność donieść o jego odebraniu. Miałem również nadzieję ujrzeć tu p. Maclure'a; lecz i on nie przybył do nas. Nie mam dotąd listów od naszego przyjaciela Generała Kościuszki, lecz dowiaduję się z dzienników, iż przybył pomyślnie do kraju, w którym nawet stojący u władzy oddają należny hołd jego czystej i republikańskiej gorliwości¹⁾. Jakkolwiek obojętni byli niektórzy dla jego zasług w naszym kraju, mogę Cię zapewnić, że ogół moich współrodaków ma największą cześć i przywiązanie dla jego charakteru. Ten stan²⁾, czułby się szczególnie szczęśliwym, gdyby on zechciał obrać go za miejsce swego pobytu.

Gdyby wybuchła wojna między Austryą a Francją, powziąłbym wielką nadzieję, że Twoja ojczyzna zajmie miejsce na mapie ziemskiej, a są wszelkie powody do umiennania, że wojna nastąpi. O tym przedmiocie i o innych będę miał przyjemność usłyszeć Twoje zdanie w Filadelfii, dokąd udaję się za dwa tygodnie. Pozwól mi tymczasem prosić Cię o to, byś się nie troszczył z powodu nadmienionej w Twym liście zaległości i przyjmij zapewnienia szczerzego szacunku, z którym i t. d.

T. Jefferson³⁾

JEFFERSON DO NIEMCEWICZA.

Filadelfia, 16 stycznia 1799.

„Drogi Panie!

List pański, który odebrałem w Monticello, był tak długo w drodze, że spodziewałem się ujrzeć Pana u nas niebawem po

¹⁾ Ob. korespondencje w „Moniteurze“ paryskim, które przytoczyliśmy w wymienionym artykule (Świat Kobiety № 6 z r. b.).

²⁾ Wirginia, do której należał Jefferson.

³⁾ Rękopisy Jeffersona w Waszyngtonie. Ser. 1. Tom 7, fol. 258.

jego odebraniu. Widząc wszakże, że następuje spóźniona pora roku i tracąc nadzieję na urzeczywistnienie tych oczekiwań, pisałem do Pana adresując list do p. Maclure'a. Mam nadzieję, iż doszedł Pana. Po przybyciu do Filadelfii, otrzymałem list od G-ła Kościuszki, przywieziony przez p. Gerry'ego. W nim zawierał się list dla Pana. Obawiając się powierzyć go poczcie, utrzymałem go przez dni kilka, dopóki nie trafiła mi się sposobność przez jednego pana, którego znam, a który miał przejeżdżać przez Elizabethtown i zaręczył mi, że niezawodnie doręczy list Panu. Bądź co bądź jestem niecierpliwy usłyszeć od Pana samego, że doszedł rąk pańskich również, jak mój z Monticello. Listy Generała do mnie są krótkie i dotyczą jedynie niektórych spraw jego w tym kraju a nadmieniają tylko ogólnikowo o dobrem jego zdrowiu. *Z innych źródeł dowiaduję się, że może chodzić* ¹⁾.

Miałem nadzieję ujrzeć Pana tu i wciąż ludzę się nadzieją, że nie dasz przeminąć sesji Kongresu bez odwiedzenia Filadelfii i przekonać się, że uprzedzenia Twoje dla północnej części naszego kraju nie przeszkodzą Ci przybyć i przyjrzeć się, czem jesteśmy na południu. Będzie ku temu niebawem nowa pobudka, gdyż państwo Bache przenoszą się w kwietniu lub maju w moje sąsiedztwo. Bądź tak łaskaw, daj mi znać przy pierwszej sposobności o nadmienionym liście i przyjmij moje przyjacielskie pozdrowienie i szacunek.

T. Jefferson ²⁾

NIEMCEWICZ DO JEFFERSONA ³⁾

Elizabethtown, 19 stycznia 1799.

„Panie!

„Dopiero na początku bieżącego tygodnia miałem przyjemność odebrać list pański z d. 30 listopada (cały czas przeleżał on na poczcie w Brunświku). W dwa dni później pewien pan przejeżdżający z Filadelfii, zostawił dla mnie list od generała Kościuszki. Gdy miałem donieść o otrzymaniu obu, otrzymałem uprzejmy list pański z d. 16 b. m. Proszę przyjąć, Panie, najgorętsze dzięki za wyrazy przyjacielskie, któremi mię zaszczycaasz. *Kartka (Generała) Kościuszki zawierała tylko pozdrowienie, ujęte*

1) Nasze podkreślenie.

2) Rękopisy Jeffersona w Waszyngtonie, Ser. I. Tom 7, fol. 261.

3) Ten i wszystkie późniejsze listy Niemcewicza pisane są po angielsku.

w czterech wierszach bez żadnej wzmianki o jego zdrowiu, jego tajemniczem i cudownem wyzdrowieniu ¹⁾ lub jakichkolwiek sprawach, bądź prywatnych, bądź publicznych.

Chociaż zamiłowanie do spokoju i odosobnienia, nietolerancja polityczna, a nadewszystko obawa niedelikatnych zapytań, czynią mię bardzo niechętnym do odwiedzania wielkich miast, chęć ujrzienia Cię, Panie, i innych nielicznych przyjaciół, skłoniły mię do decyzji udania się do Filadelfii przed zamknięciem Kongresu. Proszę przypomnieć mię pamięci państwa Bache. Miałem przyjemność widzieć wczoraj oboje w ich drodze do N. Yorku; jakkolwiek byłem szczęśliwy z tego spotkania, byłem głęboko dotknięty znajdując pannę Bache w tak złym stanie zdrowia. Mam nadzieję, że lepsza pora roku przywróci jej zdrowie. Proszę przyjąć wyrazy mego szacunku i t. d

J. Niemcewicz.

(Notatka Jeffersona : odebr. 21 stycznia ²⁾)

Przerywamy w tym punkcie korespondencję Niemcewicza z Jeffersonem, dalsze bowiem listy obu nie mają bezpośredniego związku z traktowanym przez nas epizodem.

Przytoczone wyżej dokumenta pozwalają wyjaśnić niewątpliwie kwestyę, co do której pewien zamęt wniosła nader powierzchowna i bez żadnego przygotowania napisana broszura

Niejaki Evans, wnuk gen. White'a, otrzymał w r. 1883 (z powodu stulecia założenia Tow. Cyneymatów) polecenie od Tow. Historycznego w N. Yorku napisania pamiętnika o Kościuszcze. Ażeby ocenić doniosłość tego polecenia, powinniśmy ostrzedz, że towarzystwa historyczne w N. Yorku niezem nie są podobne do europejskich. Członkami ich nie są uczeni (prócz nielicznych wyjątków), lecz przeważnie ludzie zainteresowani w swoim rodowodzie (poszukujący „ancestry“), a największem uznaniem cieszą się ci, którzy mogą udowodnić swoje pochodzenie od wojowników Rewolucyi. Evans nie miał więc innych tytułów do napisania swego *Memoir of Kościuszko* prócz pochodzenia od White'a, a jedyną wartościową częścią jego książki są dwa listy Kościuszki do pani White, przedrukowane w niej (z błędami zresztą ³⁾). Poza tem treść książki stanowią znane epizody z wojny niekrytycznie

1) Podkreślamy te wiersze, na które wypadnie nam powołać się niżej.

2) Papiery Jeffersona. Ser. 2. Tom 63, fol. 17.

3) Oba przytoczone są w przekładzie u Korzoma (*Kościuszko*, biografia etc.).

powtórzone za podręcznikami, przedruki wydanych już listów Jeffersona do Kościuszki i rozmaite anegdoty. Między nimi znajduje się następujący wypadek, powtórzony nibyto ze słów babki (pani White), a który miał jakoby miejsce w jej domu.

„Na wiosnę r. 1798 otrzymał on (Kościuszko) paczkę listów. Czytanie jednego z nich wprawiło go w stan wielkiego podniecenia, tak iż wyskoczył z sofy swojej na środek pokoju. Do tego czasu nie mógł poruszać się bez obcej pomocy a i w tym wypadku zmuszony był zawołać służącego, aby go umieścił z powrotem na sofie. Nie wyjaśnił nikomu przyczyny tego podniecenia, lecz rzekł do Grła White'a: „Muszę wracać do Europy.“ Zrobiono odpowiednie przygotowania i Kościuszko opuścił dom dawnego kolegi w maju, zawiadamiając o swoim wyjeździe tylko dwóch lub trzech najbliższych przyjaciół¹⁾.

Nie czynimy zarzutu zasłużonemu historykowi naszemu, pierwszemu, który oparł biografię Kościuszki na dokumentach, oczyszczając ją z wielu, przeważnie niesmacznych legend, że wziął na seryo tę opowieść; niepodobieństwem jest bowiem unikać błędów temu, kto jest pionierem w pracy takiej. P. Korzon nie rozporządzając żadnymi dokumentami dla sprawdzenia opowieści Evansa, posunął jednak skrupulatność do tego stopnia iż pytał lekarzy o możliwość podobnego uzdrowienia i umieścił w swojej książce ich opinię.

Sądzymy, że dokumenta, które tu ogłosiliśmy, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że cała ta opowieść o cudownem uzdrowieniu jest taką samą bajką, jak i inne rzeczy, które Evans podaje na kredyt swojej babki²⁾.

¹⁾ Evans *Memoir of Kościuszko*. 1882, str. 25.

²⁾ Opowiada on mianowicie, że cały czas pobytu w Ameryce, prócz kilku dni spędzonych w Filadelfii, gdzie miał być honorowo przyjmowanym przez Waszyngtona (!Waszyngton nie był wówczas w urzędzie i mieszkał w Mount Vernon, dokąd przesłał Kościuszkę polecane sobie listy) i „większą część czasu spędzał półleżąc na sofie (reminisceneya portretu Cosway'a!), rysując lub malując farbami albo tuszem fantastyczne szkice, które po ukończeniu rzucał na podłogę, aby je podnosiła p. White, która rozdawała je przyjaciołom.“ Evans nie wiedział nawet, że Kościuszcze towarzyszył Niemcewicz. Podczas poszukiwań swych w Ameryce w r. 1897 i 98, autor pisał do Evansa, prosząc o wyjaśnienie niektórych wątpliwości, nasuniętych przeczytaniem jego broszury; lecz list zwrócono mu nierozpieczętowany. Prawdopodobnie Evans, który był już wiekowy, nie przyjmował w owym czasie żadnej korespondencji, a w parę miesięcy później wyczytał autor w dziennikach o jego śmierci.

Z przytoczonych ustępów dziennika Niemcewicza, zgodnych co do dat jak najściślej z umieszczonemi wyżej listami Kościuszki do Gates'a, wynika, że Kościuszko był dwukrotnie i na krótko w domu White'a, a mianowicie od 1 do 9 września, jadąc do Gates'a, i od 20 października do 27 listopada. Później zaś przez cały czas mieszkał w Filadelfii w towarzystwie Niemcewicza i Dąbrowskiego (służącego). Gdyby więc miało zajść coś podobnego do opisanego przez Evans'a epizodu, świadkami jego nie mogli być White'owie. Że zaś nie był nim Niemcewicz — o tem świadczy, prócz jego milczenia, zdziwienie, z jakim dowiedział się o postanowieniu wyjazdu. Widzieliśmy dalej, że w liście pisanym do Gates'a 22 lutego Kościuszko jeszcze projektuje wycieczkę do Saratogi i kupno gruntów, chociaż już chwieje się. Widocznem jest, że wiadomości o legionach, które czytał w pismach, nęciły go do Europy, lecz bodźca ostatecznego jeszcze nie miał. Co było tym bodźcem?

W brulionie mowy, (który znaleźliśmy w Paryżu) wygłoszonej w Tow. Przyjaciół Nauk z powodu śmierci Kościuszki, Niemcewicz nadmienia, że Kościuszko był powołany do Francji przez jednego z dyrektorów. Skłomni też jesteśmy uwierzyć temu, tak ze względu na przyjęcie urzędowe, które mu tam uczyniono, jak i na charakter Kościuszki, który każe przyjąć poważną i pozytywną pobudkę dla tak stanowczego kroku. Dyrektorem tym prawdopodobnie był Barras.

Zestawiając następnie szczegóły dotyczące uleczenia, widzimy najprzód, że musiało ono być stopniowe: częściowe bowiem przywrócenie władzy skonstatował już dr. Rush zaraz po przybyciu Kościuszki do Filadelfii, a przewidział i dalsze; następnie widzimy z podkreślonych przez nas ustępów listów Jeffersona i Niemcewicza, że wiadomość o jego chodzeniu po przyjeździe do Francji, jest dla nich zdumiewającą nowością. W korespondencji z Bajonny do „Moniteur'a," przez nas ogłoszonej¹⁾ nie widać, iżby Kościuszko pozbawiony był władzy chodzenia. Nasuwa się więc z koniecznością wniosek, iż podróż morską trwającą prawie dwa miesiące (od 5 maja do 28 czerwca) była okresem, a może i przyczyną zupełnego przywrócenia ruchu, co zgadza się i z terapeutycznemi własnościami powietrza morskiego.

Zanim zakończymy artykuł ten, winniśmy jeszcze czytelnikowi wyjaśnienie psychologiczne tak dziwnego postępowania Ko-

¹⁾ „Świat Kobiety“ № 15.

ścisuski względem człowieka, który ofiarował się towarzyszyć mu i pielęgnować w ciężkiej niemocy w jakiej wskutek ran maciejowickich zostawał i który niezawodnie był do niego szczerze przywiązany. Niema najmniejszej wątpliwości, że ani Kościuszkę o brak serca, ani Niemcewicza o jakiś namacalny powód do nieufności posądzić nie możemy. Wyjaśnienie więc może być tylko psychologiczne; spocząć winno na odmiennym charakterze obu.

Były to istotnie dwa charaktery biegunowo-przeciwnie. Kościuszką był urodzonym stoikiem; Niemcewicz — epikurejczykiem ducha. Kościuszką był człowiekiem niezłomnych przekonań, pełen poświęcenia dla obowiązku, gotowy wszystko dla niego uczynić, nie nie pragnący dla siebie, poważny i głęboki aż do skrytości. Niemcewicz był poetą — a więc naturą cheiwą wrażeń i łatwo się im poddającą, zdolną do czynów podniosłych pod wpływem uniesienia, gotowy na czyny obowiązku wtedy, gdy obowiązek w uśmiechniętej formie do niego przemawia, lecz skłonny do płacziwych żalów, ilekroć w surowej przedstawi się postaci.

Jako umysł wrażliwy i poetycki był także Niemcewicz człowiekiem o instynktach tłumu, skłonny uwielbiać to, co wielbią wszyscy, zmienny w swych sądach stosownie do usposobienia chwili. Kościuszką przeciwnie, miał temperament bohatera. Nie idąc za sądem ogółu, szukał głębszej, wewnętrznej wartości wypadków i ludzi, a za probierz przy ich ocenie służyły mu niezmiennie przez całe życie zasady.

Nie dziwnego, że przy takim usposobieniu i przy ciasnem pożyciu dłuższem nagromadzać się musiały pierwiastki wzajemnego niezadowolenia. Ujawnia się ono częściowo w dzienniku Niemcewicza, który jest bardzo powściągliwy w stosunku do Kościuski. Mówi o nim nader rzadko, a gdy mówi, nazywa go inicjałami, a czuć pewne ukryte niezadowolenie w tych krótkich i oziębłych odezwaniach. Prowadzi to nas do warunków, w których znaleźli się obaj w Ameryce.

Był to czas, kiedy wszystko, co przypominało Francję i rewolucję, źle widziane było przez stojące u steru stronnictwo federalistów. Za poprzedniej prezydentury Waszyngtona wydalony został poseł francuski Genet, jako przedstawiciel krańcowego demokracji; za obecnej, Adamsa — wydane zostało „Prawo przeciw cudzoziemcom i burzycielom,“ skierowane przeciw stronnictwu demokratycznemu w Ameryce, które miało zwyciężyć na najbliższych wyborach, a do którego należał wiceprezydent Związku — Jefferson.

Federaliści niemilem okiem widzieli entuzyazm tłumu dla Kościuszki, przyjaciela Jeffersona, zwolennika, jak i on, zasad rewolucyi, przyjaciela Francyi. Kościuszkę zaś zasady zbliżały do tego szermierza demokracji i wolności, oddalając od Waszyngtona i osób rządzących, których wyraźnie unikał. Przeciwnie, Niemcewicza pociągało to, co miało władzę, to co było przedmiotem uwielbień, jak Waszyngton, i przykro mu było, że stanowisko Kościuszki oddalało go od tych, tak interesujących go ludzi, gdy przeciwnie, pociąg, który okazywał Niemcewicz ku nim, i jego niechęć dla demokracji francuskiej, musiały obniżyć go w oczach Kościuszki.

Tak więc zaufanie znikło ze stosunków między nimi. Coraz mniej mogli się rozumieć, coraz w inną stronę zwracały się ich oczy. Dodać należy, że podejrzliwość, jaką otaczał rząd ówczesny wszystkich podejrzanych o demokrację, a Kościuszkę w szczególności, nakazywał mu wielką oględność w postępowaniu.

Gdy więc otrzymał Naczelnik wezwanie do objęcia kierownictwa nad legionami polskimi we Francyi, nie uznał za stosowne dać objaśnień Niemcewiczowi. Wyjechał, nie odkrywając mu tajemnicy i może samego tylko Jeffersona objaśniając o przyczynie nagłego wyjazdu, a swój szczerze demokratyczny nastrój ujawniając w testamencie, przekazującym majątek na wychowanie i wykupywanie z niewoli Murzynów.

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

SPRAWA REFORMY GMINY WIEJSKIEJ

w Galicyi.

(DWIE KONFERENCYE. LWÓW, 1904.)

Od chwili, kiedy prof. Kleczyński wydrukował swe cenne statystyczne studjum p. t. „Życie gminne w Galicyi“ i odstąpił w niem w całej pełni zanik, jeżeli nie zwyrodnienie, samorządu wiejskiego, wydawało się, że reforma nieuchronna wisi w powietrzu i że o poważnych zmianach w prawodawstwie gminnem usłyszymy lada chwilę. Upłynęło odtąd lat wiele, ujrzeliśmy kilka projektów, kilka rozpraw wskazujących liczne niedostatki, liczne wady życia i organizacyi gminnej wiejskiej w Galicyi, ale o przejściu od poważnej krytyki do istotnego prawodawczego czynu — było zawsze głucho, aż wreszcie w r. 1904 spotykamy się znowu z pracą krytyczną, która we wstępie nam zapowiada, że sprawa reformy gminnej, a właściwie reformy gminy wiejskiej w Galicyi, staje się coraz pilniejszą. Opinia publiczna nie ma jednak dotąd jasnych wskazań w jakim kierunku iść powinna uznana powszechnie za konieczną reforma, która, wznawiając sprawność administracyjną i gospodarczą gminy i rozszerzając zakres jej zadań, byłaby zarazem pożądaną ze względów narodowych i społecznych. Dowiadujemy się następnie z owej interesującej książki, której tytuł został podany na czele, że stronnictwo krakowskie ma gotowy swój projekt reformy gminnej, którego głównym postulatem jest stworzenie gminy okręgowej, że następnie ten projekt spotkał się z opozycją, z różnych stron pochodzącą i z różnych wynikającą pobudek. Tylko stronnictwa demokratyczne nie mają sformułowanego projektu, na któryby się bodaj w głównych zasadach godziły, nie mają nawet jasno sformułowanych poglądów na tę tak ważną sprawę.

Panuje w tej sprawie w kołach demokratycznych wielka rozbieżność zdań, bardziej jednak pozorna, niż istotna, wynikająca prawdopodobnie stąd, że sprawa nie była należycie, spokojnie i rzeczowo dyskutowaną.

W uznaniu konieczności wyjaśnienia i sformułowania ogólnych zasad reformy gminnej, odpowiadającej interesom narodowym i zgodnej z zasadami demokratycznymi, redakcja „Słowa Polskiego“ zaprosiła na naradę grono osób, teoretycznie lub praktycznie ze sprawami gminnymi obeznanych. Rezultat tych narad odpowiedział oczekiwaniom, pomimo bowiem różnicy poglądów w wielu szczegółowych kwestyach, zebrani zgodzili się ostatecznie na pewne, wspólnie uznane postulaty. Podejmujemy więc, oświadczając „Słowo Polskie,“ ogłoszenie drukiem szczegółowego sprawozdania z dwóch konferencyj w nadziei, że wydanie tych materiałów przyczynić się może, zwłaszcza w kołach inteligencji demokratycznej, do wyjaśnienia doniosłości sprawy reformy gminy wiejskiej i wyznaczenia kierunku, w którym ta reforma pójść powinna. Na zaproszenie „Słowa Polskiego“ przybyło 45 osób z różnych stron kraju i ze Lwowa, a między nimi kilku posłów sejmowych z klubu demokratycznego. Przewodniczył obradom i zagaił je red. Wasilewski, oświadczając, że jesteśmy ludźmi zasad, nie doktryn; w każdej swej działalności bierzemy za punkt wyjścia stosunki realne, więc i tu nie chodzi nam o narzucenie swoich zapatrywań, o propagandę doktryny, zależy nam raczej na wyjaśnieniu stanu rzeczy i na zebraniu danych do wniosku. Dla tego nie zapraszaliśmy szerokich kół; staraliśmy się uprosić ludzi, mających styczność z gminą, posiadających praktyczną lub teoretyczną znajomość stosunków wiejskich, aby się z nami wiedzą swoją podzielili.

Następny mówca (D-r Tarnowski) podziękował redakcyi „Słowa,“ że podnosi sprawy doniosłe i skonstatował zarazem to, iż wszyscy wiedzą, że potrzeba reformy gminnej pokutuje w Galicyi od tak dawna, jak dawna jest ustawa o samorządzie. Wielu ludzi kraj miłujących, widząc wady urządzeń podstawowych samorządu, czuło potrzebę zmiany i oddawało się studjom, wiele napisano artykułów, po wielokroć sprawa ta wchodziła do krajowej polityki, jednakowoż dotąd trudności nagromadzonych nikt nie zdołał zwyciężyć i jeżeli dzisiaj, chcąc zaradzić złomu, Redakcyja podejmuje tę sprawę, należy jej się za to uznanie. Pierwszy red. Popławski przeszedł do dyskusyi rzeczowej, zaznaczając, że w Galicyi z kwestyi gminnej zrobiono kwestyę polityczną, a nawet kwestyę partyjną, co sprawie gminnej najwięcej szkodzi, bo traktowanie jej rzeczowe jest bardzo trudnem. Gmina powinna być szkołą życia

publicznego. To jej zadanie pedagogiczne jest ważniejsze, niż jej zadanie administracyjne. Jeżeli zaś gmina ma być szkołą życia publicznego, to wypływa z tego logicznie, że 1-o gmina nie może być organizmem zbyt małym, nie może być jakimś związkim sąsiedzkim, w którym właściwe czynności życia sąsiedzkiego zbyt są uproszczone lub nie istnieją zgoła, 2-o gmina powinna przedstawiać pewną różnorodność składowych czynników, dla tego, że jedynie ich współzawodnictwo lub współdziałanie wytworzyć może interes publiczny; 3-o powinna mieć nie tylko środki dostateczne materialne dla urzeczywistnienia swych zadań zbiorowych, ale i odpowiednie siły intelektualne do kierowania jej pracą. Mówca wspomina o projekcie krakowskim gminy zbiorowej, nadmieniając, że jest jeszcze drugi projekt, będący właściwie hasłem połączenia z istniejącymi gminami sąsiednich obszarów dworskich. To hasło zwie mówca niejasnym i nasuwającym różne wątpliwości. Np. czy obszary dworskie mają zachować pewną samoistność, pewne przywileje, czy nie. Gdy się mówi o gminie zbiorowej, to mimowoli każdy przedstawia sobie gminę okręgową stronnictwa krakowskiego. Tymczasem gmina zbiorowa może mieć najrozmaitsze typy organizacji i może wcale nie odpowiadać typowi gminy okręgowej, który skryształizował się w projekcie stronnictwa krakowskiego. Dostyc wymienić gminę zbiorową w Królestwie Polskiem.

Następny mówca referent (Beck) na podstawie ograniczonej obserwacji gminy górskiej poświęca uwagę poruczonemu zakresowi działania gminy. Sytuacja, jego zdaniem, przedstawia się tak, że ogromna większość wydatków budżetu administracyjnego gminy, to koszta tego zakresu. Zakres ten obejmuje przeważnie sprawy wojskowe i egzekucje podatków. Pod ciężarami z tego tytułu spadającymi na gminę, rozumieć należy nie tylko wydatki w gotówce, ale przedewszystkiem t. zw. terminy członków zwierzchności gminnych w starostwie, mitrega czasu i zatrudnienia wójta w gminie w celach wojskowych i podatkowych. Są gminy, w których wójtowie 50 razy i więcej na rok muszą przybywać do starostwa czy do urzędu podatkowego w zupełnie błahych sprawach. Jednocześnie zaświadczenia wszyscy wójtowie, że poruczony zakres pochłania cały czas, że na resztę zajęć już głowy wójt nie ma. Rzeczy tak się mają, że dziś wójt jest sługą, wyższym policyjantem, ale nie tem, czem być powinien — opiekunem gminy, gospodarzem majątku publicznego, rozjemcą w sporach, ani wogóle tem, czem chciałoby go mieć ustawa. Administracja gminna jest nadmiernie obciążona wykonywaniem zleceń w zakresie poruczonemu, a władze państwowe zamało wchodzą w to, czy gmina może po-

dołać wymaganiom. Przytem naczelnicy gmin są lichy wynagradzani. Są gminy, w których pobierają 30 — 20 i 8 koron rocznej pensyi, a nie mają ani odrobiny poczucia obywatelskiego.

Licho płatny, narażony na wielką stratę czasu wójt, widząc, że podupada w gospodarstwie, wreszcie z wrodzonej chciwości, zaczyna oglądać się za ubocznymi dochodami. Czyni z siebie bardzo ważną figurę urzędową i łupi lud ze skóry przy każdej sposobności. Nawet wójcina każe sobie za darmo szyć koszule, ubranie jakiejś posiadaczce maszyny do szycia. Z wyborów wychodzi też najczęściej taki kandydat, co należy do zamożniejszej klasy albo taki co to potrafi w urzędzie się rozmówić, postawić się u panów i u władz, często wybierają wójtem kogoś dla tego jedynie, że przy drodze mieszka, że dogodnie zająć każdemu po paszport bydlęcy, po świadectwo ubóstwa i t. d. Wójt robi wszystko przeważnie pod przymusem władzy państwowej i samorządnej. Pierwsza może natychmiast egzekwować swoje żądania, druga przemawia w imię obowiązku, potrzeby, pożytku i godności samorządu a o ściągnięcie kar musi prosić pierwszą. Wójt też rozmaicie spełnia rozporządzenia obu władz, dając naturalnie pierwszeństwo poruczonemu zakresowi. W zarządzie majątkiem gminy panuje najogólniej zasada familijna, klasowa. Wójt z radnymi uważają, że dobro gminy i majątek gminny, zupełnie słusznie należy się przedewszystkiem im, zamożnym gazdom i kmieciom. Z kasy gminnej korzystają przeważnie oni, drzewo z gminnego lasu cechują przeważnie sobie i t. d.

Ustawa budowlana dla wsi przedstawia się bardzo dodatnio, ale w wykonaniu napotyka na wielkie trudności. Wykonanie jej, to ciągły przymus. Ustawa np. żąda kominów i wychodków; jest to niemożliwe nieraz, gdy po cegłę jechać trzeba ze trzy mile, a więc i komin drogo kosztuje, tymczasem „dym w izbie suszy i grzeje, a przy coraz większym braku opał i tą odrobiną ciepła człowiek się cieszy.“ Wykonanie tej ustawy ma ostatecznie w ręku wójt, a cóż począć, gdy tenże wójt, wczoraj jeszcze przed wyborami, głośno mówił, że ustawa ta, to pański wymysł, a sam ma także izbę bez komina. A wychodki? Trafilo się, że w czasie manewrów cesarskich zmuszono chłopów w kilku wsiach do zbudowania nowych wychodków, w jakiś czas potem pokazało się, że wychodki były pozamykane na kłódki, gdyż nakazano, aby tam było czysto, więc było zupełnie czysto, nawet w paru miejscach zrobiono z tego skład na ziemniaki. To samo jest z ustawą o licencyonowaniu buhajów, to samo z ustawą ogniową i t. d.

Lasy gminne są w Galicyi przeważnie niszczone bez oglądania się na jutro. W kontroli nad gospodarstwem leśnym jaskrawo występuje niedostateczność istnienia dwóch władz. Wydział Rady powiatowej ma obowiązek czuwania nad gospodarstwem leśnym w gminie. Nie mniej jednak nie może wydawać żadnych zarządzeń, gdyż opieka nad lasami wogóle przyznaną została władzom państwowym, aby lasy uchronić od trzebieży. Lud atoli potrafił zmylić czujność obu władz i lasy niszczeją. Jedno co powstrzymuje od zupełnej dewastacyi, to obawa przed brakiem opału. Gdy więksi właściciele naokoło lasy wycięli, wtedy gmina swój las szanuje.

Gospodarstwo wspólne na pastwiskach gminnych doznaje zupełnego bankructwa. Nawet w Krakowskiem, gdzie chłopci rozumieją znaczenie wspólnego pastwiska i chcą gospodarować na niem dobrze, po jakimś czasie przychodzą do przekonania, że to jest niemożliwe. Każdy kradnie z pastwiska co tylko może, t. j. darninę i glinę. Z pastwiska pozostają jedynie szerokie i głębokie doły i jamy. W pojęciach galicyjskiego ludu każdy członek gromady ma prawo własności do pewnej części majątku czy dobra gminnego. Gdy gospodarz nabywa majątek w innej gminie i tam otrzymuje przynależność, wtedy nie chce zwracać długu zaciągniętego w kasie przemysłowej, utrzymując: to moja część w majątku gminnym, więc ja sobie zabieram. Na podstawie takiego samego rozumowania zabierają darń z pastwiska, drzewo z lasu, nie chcą płacić isticzny, długu gminnego, zaledwie pod przymusem opłacając odsetki. Wykonywanie zadań własnego zakresu, to znaczy czuwanie nad bezpieczeństwem osób i ich mienna, staranie o zakładanie i utrzymanie dróg gminnych, mostów i placów, policya polowa, dozór nad przedmiotami żywności, nad targiem, miarą, wagą, policya zdrowia, nadzór nad obyczajnością publiczną, sprawy ubogich, policya ogniowa i budowlana, jednanie stron—wszystko to jest w ogromnej większości gmin rzeczą podrzędną. Co się robi, to tylko za inicjatywą i pod przymusem ze strony wydziału Rady powiatowej.

Gdzie wyjście z tego położenia? pyta mówca i daje na powyższe pytanie następującą odpowiedź. Pierwsze, najistotniejsze zadanie gminy stanowi samoobrona przeciwko naturalnym następstwom zgęszczenia ludzi. Z faktu zamieszkania wielu ludzi w blizkiem sąsiedztwie, może powstać chęć osiągnięcia dodatnich celów, tak np. gminy zakładają nieraz kościoły, szkoły, rzeźnie, piekarnie i t. p. Czy można sobie wyobrazić, jaką pracę zrzeszoną w gminie bez inteligencyi i jej kierownictwa? Tego właśnie pierwiastku brak jest w gminach galicyjskich. W razie połączenia gmin wiejskich

skich z obszarami dworskimi, niewątpliwie rzecz zmieniałaby się na lepsze. Trudniejby było tam, gdzie tych obszarów niema. Podobno właściciele obszarów dworskich są przeciwni przyłączeniu tych ostatnich do gminy, obawiając się, że wtedy ich chłopci zniszczą. Mówca sądzi, że obawy te są nieusprawiedliwione. Przyłączony do gminy obszar dworski ponosić będzie ciężar dodatku do podatków gminnych i chłopci, choć mniej, płaciliby ten podatek. Lecz obywatel ziemski, będąc członkiem gminy, może być łatwo wybrany do Rady gminnej; będąc raz w Radzie, może czuwać nad całością spraw, a więc i nad budżetem. Będąc w Radzie, w krótkim czasie uzyska tam wpływ bardzo znaczny. A niech się zdarzy jaka okoliczność, że gmina będzie w jakiej potrzebie, a radny-właściciel obszaru dopomoże gminie coś dla niej uzyskać, kupi sobie wdzięczność Rady i wpływ jego ugruntowany zostanie.

Połączenie gmin kilku w jedną zbiorową, daje podstawę do najlepszych nadziei. Łatwiej dla 5—10 gmin znaleźć jednego rozumnego człowieka, niż liczyć, że te dziesięć gmin znajdują same 10 ludzi o takich samych zaletach. Wójt może i w zbiorowej gminie robić różne ustępstwa i nielegalności swoim krewnym, ale tylko we własnej wsi, inne będą mu już obce! Jeden wójt na kilka wsi będzie miał więcej powagi, a więc i wpływu i znaczenia, niż dzisiejszy wójt sąsiad lub dlatego wybrany, że przy drodze mieszka. Najważniejszą przeszkodę stanowiłyby koszta utrzymania administracji w gminie zbiorowej. I wójt i pisarz musieliby otrzymywać większą płacę, niż to, co wynosi suma plac w dzisiejszych pojedynczych gminach, które weszły w skład jednej zbiorowej. Ale i dochody gmin, z powodu przyłączenia obszarów dworskich, zwiększyłyby się znacznie. Wszędzie na Zachodzie, gdzie rząd używa związku gminnego do celów ściśle państwowych, udziela ze swej strony temu związkowi pomocy do wykonania jego specjalnych zadań. Nic podobnego nie dzieje się w Galicyi. Gmina otrzymuje pomoc w postaci kontroli nad jej władzą wykonawczą, w postaci zasiłków na cele drogowe, obrony pożarnej, wykształcenie pisarzy, hodowlę bydła i t. d., ale to wszystko ze strony reprezentacji powiatowej. Od rządu nie otrzymuje nic, prócz poleceń i rozporządzeń. Zupełnie uprawnionem jest więc żądanie ze strony gmin o wyrównanie zasług. Podobnież otwarta jest kwestya opieki nad ubogimi. Dziś nędza w gminie danej nie jest winą gminy samej. Dziś np. taka Limanowa jest miasteczkiem, zgnębiałem wskutek przeprowadzenia kolei żelaznej. Zbliżenie do Nowego Sącza sprawiło, że miejscowa inteligencja zaopatruje się u lepszych rzemieślników w ubranie, obuwie, meble i sprzęty,

a chłopci wolą kupować tandetę wiedeńską. Z najbiedniejszych gmin znowu emigruje mnóstwo ludności na zarobek, wiele dziewczyn rodzi na emigracyi i oddaje dzieci do domu podrzutków. Stamtąd żądają od gminy, odebrania dzieci przynależności matki i zwrotu kosztów utrzymania. Dzieci trzeba odebrać i wychowywać na koszt gminy, skąd się wytwarza dla najbiedniejszych gmin największy ciężar. Zdaniem też mównicy państwo powinno wobec żywołowej przyczyny nędzy dopomóc gminom do opiekowania się ubogimi.

Następny mówca (pr. Bujak) mniema, że gmina okręgowa miałaby większą siłę i sprawność administracyjną, szybciej załatwiałaby polecenia władz wyższych i odrabiałaby kawałki i mogłaby wywierać większy nacisk na członków gminy, ale byłaby to robota i wpływ mechaniczny. Wyższość okręgowej gminy polegałaby głównie na tem, że gmina mogłaby daleko lepiej spełniać polecenia władzy wyższej. Aby zaś kulturalnie podnosiła ludność ta nowa gmina, tego na pewno twierdzić nie można, niektóre zadania byłyby przez tę nową gminę gorzej spełniane, niż przez dawną. Policya bezpieczeństwa musiałaby mieć agentów w każdej wsi, dlatego że nadzór z jednego miejsca byłby bardzo utrudniony, a zbyt wielu członków policya taka nie mogłaby posiadać. Następnie co do kwestyi dróg gmina zbiorowa w Galicyi nie miałaby co do robienia Policji budowlanej również gmina zbiorowa skuteczniejby wykonać nie mogła, aniżeli obecnie. Co do straży pożarnej, to zorganizowanie jednej straży pożarnej w obrębie gminy zbiorowej pomyśleć się nie da. Taka straż pożarna musi być w każdej wsi zorganizowana z osobna, bo w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że w jednej wsi byłby naczelnik, w drugiej strażacy, w trzeciej przyrzady. O lekarzach przy gminie trudnoby było pomyśleć, bo koszty takiego lekarza wyniosłyby 600—800 zł. reńsk rocznie. Co się zaś tycze oglądaczy zwłok i oglądaczy bydła, to ci są tak potrzebni w każdej wsi na miejscu, że ludność nie zgodziłaby się nigdy na zcentralizowanie tych urzędów w siedzibie gminy zbiorowej.

Następnie gmina taka nie miałaby znaczenia dla organizacyi kredytu wiejskiego w formie kas Raifeisenowskich, bo udzielanie kredytu w tych kasach polega na osobistej znajomości charakteru i stosunków majątkowych dłużników przez zarząd kasy, w gminie zaś, obejmującej kilka wsi, o tem mowy być nie może. Również trudno o takie korzystne dla ludności instytucye, jak ochronka lub żłobek. Zawsze mówi się i pisze, że gmina obecna jest słabą intelektualnie i ekonomicznie, trzeba ją więc w tych dwóch kierun-

kach zaopatrzyć i za środek na to uważa się gminę zbiorową. Mówca nie sądzi, aby tak było. Na wsi mamy trzy kategorie inteligencji: 1) nauczycieli ludowych, 2) duchowieństwo, 3) większych właścicieli ziemskich. Wszystkie trzy kategorie mają możność wpływania bardzo silnego na tok spraw gminnych, mogą nawet do Rady gminnej należeć. Wielkie się nadzieje pokłada w gminie zbiorowej, że potrafiłaby przyciągnąć ku sobie właścicieli dworskich. Sądzić jednak można, że administracji gmin zbiorowych nie ujęliby oni w swe ręce, bo zbytby to wiele zajmowało czasu i zbytby kępowało. Zresztą nie objawiali oni dotąd ochoty do zajmowania się sprawami gminnymi, gdy przeciwnie szlachta w Krakowie zajmuje się niemi, mimo, że ma dostęp do gminy utrudniony. Po macoszemu zajmują się oni od tylu lat samorządem powiatowym, który przecież w zupełności w ich rękach spoczywa. Stan ekonomiczny gminy dzisiejszej w Galicji jest odbiciem słabości ekonomicznej całego kraju. W ogóle na cele administracji gminy zbiorowej możnaby bez podnoszenia obecnych ciężarów, a za równomiernem obciążeniem obszarów dworskich, zebrać około 3000 koron. Kwota ta rozłoży się w ten sposób: pisarz będzie kosztował 1200—1600 koron, wójt, jeżeli gmina nie ma być opanowana w zupełności przez pisarza, jak to jest np. w Kr. Polskiem, otrzyma około 1000 koron a resztę niższa służba. A gdzie znów reszta działalności gminy? A gdzie koszty działalności gromady, której usunąć zupełnie niepodobna? Jednym słowem, trzeba, by dzisiejsze koszty administracji gminnej powiększyć co najmniej w dwójnasób, aby mózdz liczyć na jakąś wydatniejszą pracę kulturalną i gospodarczą w gminie zbiorowej. Są to bardzo silne argumenty przeciw gminie zbiorowej.

Ustawa gminna z r. 1866, zdaniem mówcy, nie jest złą, byleby została zmniejszona tak olbrzymią przestrzeź, jaką jest między brzmieniem ustawy a stanem kulturalnym ludności. Była przecież możność łączenia obszarów dworskich z gminami na podstawie specjalnych umów, co do ponoszenia ciężarów. Nikt w tym kierunku kroku nie zrobił, z wyjątkiem dóbr urekcyjnych w powiecie Żywieckim. Była możność łączenia gmin małych, jako zbyt słabych do wykonania poruczonego zakresu działania, w większe, atoli nie było ani śladu w tym kierunku. A trzeba by to koniecznie w okolicach Krakowa i na Powiślu, gdzie się głównie mieszczą liczne gminy, niżej 500 mieszkańców liczące. Mówca mniema, że wydziały powiatowe są głównie winne, że gospodarka gminna w Galicji licho się przedstawia. W powiatach bowiem brak ludzi wykształconych i chętnych do pracy. Wydziały powiatowe nie

zawsze są kierowane przez ludzi prawniczo wykształconych a do działalności publicznej w swym zakresie przygotowanych. Często są one tylko przytulkami dla ludzi nie mających innego zajęcia, którzy nie mogą dać ani wiedzy, ani zapału do pracy. Inna, bardzo ważna wada ustroju gminnego na wsi jest — brak tamże znajomości ustaw. Mogłyby na to poradzić objazdy i wskazówki praktycznie dokonywane. Większe jeszcze znaczenie mógłby mieć podręcznik dla zarządu gminnego wydany pod powagą Wydziału Krajowego. Wreszcie wielkim niedomaganiem dzisiejszej gminy mogłyby zaradzić okręgi pisarskie, jakie już teraz istnieją w Sokoliskiem. Praktycznie byłyby okręgi pisarskie tem samem, co gminy zbiorowe, tylko daleko łatwiejsze do przeprowadzenia i bez porównania tańsze. W końcu, zdaniem mówcy, obszary dworskie nie dadzą się usprawiedliwić społecznie ani prawnie. Jeżeli przedsiębiorstwa przemysłowe, leżące w obrębie gmin, muszą ponosić ciężary na rzecz gmin, to dłaczego część ziemi, leżąca tak samo w obrębie gminy, ma być wolną od tych ciężarów. Tytuł własności prywatnych nie powinien w dzisiejszych stosunkach nadawać tytułu osoby publicznej urzędu publicznego. Można jednak zrozumieć potrzebę zabezpieczenia powagi osoby wyższej kulturalnie wobec niższych i nadać im pewne przywileje osobiste.

Następny mówca (poseł Buynowski), zarzucając dotychczasowej dyskusyi, iż zesłała na zbyt drobiazgowę tory, oświadczył się za reformą, któraby uchyliła obszary dworskie i do gminy je wcieliła. W głosie następnym zauważono (red. Popławski), że w dzisiejszych warunkach należałoby przyznać głos wirylny właścicielom większych przedsiębiorstw handlowych lub przemysłowych, znajdujących się w obrębie gmin. Prawo do głosu wirylnego musi zależeć od pewnego dosyć wysokiego cenzusu majątkowego. Istnienie drobnych gmin jest niedorzecznością. Gdybyśmy przyjęli 2000 głów, jako nominalną cyfrę ludności gminy, to po przyłączeniu obszarów dworskich, dosyć znaczna liczba gmin dotychczasowych odpowiedziałaby tej normie. Ludność włościańska obawia się i poniekąd słusznie gminy okręgowej z mianowanym wójtem gminy, zastosowanej raczej do wymagań administracyi, niż do wymagań samorządu. Dzisiejsza gmina austryacka jest wytworem biurokracyi i nie tak długo istnieje, żeby lud się zżył z nią i uważał ją za nietykalną. Za dużo się mówi zwykle o konserwatyzmie chłopskim, jak gdyby lud nie był dostępny argumentom rozumu i interesu publicznego.

Jeden z mówców (p. Rawita Gawroński) zauważył, że gmina polska zawsze jest łatwiejszą do kierowania i do porozumienia się

z każdym obszarem dworskim, który jest również tejże samej narodowości. Tymczasem z gminą ruską dzieje się zupełnie inaczej. Są tu dwa wrogie sobie obozy. Gminy zachowują się zawsze wrogo wobec obszarów dworskich. Polityczna kontrola zostawia w tych gminach wiele do życzenia, rzucając gminę na lep najrozmaitszych agitacyj. Księża w gminach stają się zwykle przewodnikiem złego. Ustawa powinna taką ich rolę przewidzieć i jej zapobiedz, inaczej gmina zostanie ogniskiem nie pracy, tylko agitacji, jak się to dziś dzieje. Ostatecznie mówca przychodzi do następujących dezyderatów: Niech sobie gmina pozostanie taką, jaką jest obecnie, nie mniejszą, nie większą, jak jest dziś, a obszar dworski pozostanie jednostką zupełnie samodzielną. Ale niech mają prawo wszystkie inteligentne jednostki, zamieszkujące w gminie, należeć z ustawy do Rady gminnej. Wtenczas Rada gminna będzie miała żywioł inteligentny daleko większy i będzie mogła przeciwdziałać agitacji różnych księży i paraliżować niedołęstwo wójtów. Jedna osoba właściciela obszaru dworskiego w Radzie, będzie tylko kroplą w morzu. Inny z mówców zauważył znowu (red. Panek), że koniecznem jest: ograniczenie rozporządzeń, krepujących działalność gminy, ograniczenie nadzoru ze strony Rad powiatowych, a zwłaszcza starostwa, wprowadzenie kontroli i odpowiedzialności władzy gminnej przed ludnością gminy i wreszcie rozszerzenie udziału jej w sprawach gminnych. Mówca sądzi, że te ostatnie punkta możnaby osiągnąć przez zaprowadzenie zebrań gminnych. Przed takim zebraniem, przynajmniej raz w roku zwoływanem, powinna Rada i zwierzchność gminna składać sprawozdanie ze swych czynności i żądać za nie absolutoryum. Takiemu zebraniu gminnemu można też niektóre najważniejsze sprawy oddać pod ostateczną decyzję, np. co do rozporządzenia własnością gminną i przyjęcia budżetu. W ten sposób cała ludność gminy byłaby bezpośrednio wciągniętą w sprawy gminne, uczyłaby się w nich oryentować i rozumieć interes publiczny.

Następny mówca (Pierozżyński) oświadczył kategorycznie, iż należy się liczyć z faktem niezawodnym, że lud wiejski sprzeciwi się reformie, gdyż gminę dzisiejszą odziedziczył on z dziada pradiada, do tego dziedzictwa jest on przywiązany i nie da go sobie dobrowolnie odebrać. Dowodem tego liczne, do dziś istniejące małe gminy, które wolą płacić po sto kilkadziesiąt procent dodatków gminnych na własne istnienie a nie chcą dobrowolnie przyłączać się do drugiej gminy. Pod względem praktycznym zaś gmina okręgowa przysporzyłaby tylko nowe obciążenie ludności, nowe wybory i jeszcze jedną instancję, wreszcie przeciw gminom

okręgowym przemawia topograficzne położenie gmin pojedynczych. Weźmy cały szereg gmin górskich i na Podolu. Jakże złączyć gminy odległe od siebie nie raz na milę i więcej, a nadtto pozbawione między sobą jakiej takiej komunikacyi, w gminę okręgową. Należy sobie postawić pytanie: kto będzie wykonywał podobną ustawę? Odpowiedź krótka—ci sami ludzie, co dziś istnieją. Wykonują oni źle swe obowiązki, a tem samem i ustawę, gdyż niema ludzi wykwalifikowanych i są oni źle płatni. Wśród podobnych warunków o podobnej reformie mowy być nie może. Nie można bowiem zaczynać reformy od góry, jeśli sprężyna, t. j. pisarz gminny jest zły i nieodpowiedni i nie pomyślało się o tem, aby najpierw przygotować odpowiednich ludzi do należytego wykonywania ustaw. Istnieje jeszcze drugi pomysł łączenia gmin podług ilości mieszkańców lub nawet podług parafij. Pierwszy z tych projektów, ilość mieszkańców, ma te same wady i trudności, co gmina okręgowa; drugi projekt tworzenia gmin, podług parafij, byłby jeszcze bardziej niewykonalny zarówno ze względów podanych przy gminie okręgowej, jak i ze względów krzywdy, na jaką narażonąby była mniejszość, czy to obrządku rzymsko- czy grecko-katolickiego, jak wreszcie z uwagi, że parafie obejmują w Galicyi nie tylko kilka, ale i kilkanaście gmin samoistnych. Mówca twierdzi stanowczo, że łączenie gmin jest kwestyą palącą tylko w tych wypadkach, gdzie się ma do czynienia ze słabą gminą, położoną blisko drugiej, lub gdzie istnienie gminy wiejskiej wprost szkodzi bytowi i rozwojowi wsi, miasta lub miasteczka. Takie gminy powinny być, z urzędu zatem i wbrew ich woli, wcielone do silniejsze.

Dalszy mówca (Doerman) zauważył, że przyłączenie obszaru dworskiego do gminy zdaje się posiadać pod względem narodowym znaczenie dodatnie. Obszary bowiem znajdują się przeważnie w rękach polskich, a zastępcą dworu byłby zwykle Polakiem, przytem zaś człowiekiem inteligentnym. Książd ruski, który wszędzie na miejscu jest, a jest rozsądnikiem agitacyi wrogiej, miałby kogoś, z kimby się musiał liczyć, agitacya zaś zyskałaby przeciwwagę. Co się tyczy ekonomicznej strony, to zarzuty czynione projektowi gminy zbiorowej nie ze wszystkiem są usprawiedliwione. Dzisiaj gospodarka majątkiem gminy jest poniżej wszelkiej krytyki, przestarzała, ekstenzywna, prowadząca do uszczuplenia majątku narodowego. Gdyby zaś gminy zbiorowe powstały, to pożytek z połączenia majątków i dóbr gminnych, mógłby być tem większy, bo racjonalna gospodarka obszarów większych, zatem znacniejsza jednostka ekonomiczna, mogłaby być o wiele wydatniejsza. Wresz-

cie związki obszerniejsze gmin, nie narzucone z góry szablonem ustawy, oparte na pewnych lokalnych potrzebach, miałyby raczej bytu. Dowodzi tego poniekąd pewna ewolucya, dokonywająca się obecnie zupełnie samodzielnie. W powiecie Tarnopolskim potworzyły się związki gmin sąsiednich w rozmaitych specjalnych celach i tak np. istnieją w powiecie okręgi pożarne. Kilka gmin (6—8) razem tworzy okrąg pożarny. Jedną z nich jest siedzibą strażaka okręgowego, który jest ukwalifikowanym strażakiem. W razie pożaru wszystkie gminy wysyłają swoich strażaków i sikawki do ognia, gdzie komendę nad nimi obejmuje strażak okręgowy, a praktyka wykazuje, że w akcji ratunkowej daje to bardzo praktyczne rezultaty. Doświadczenie przeczy zatem wywodom d-ra Bujaka, wedle których zasada zbiorowości miałaby być dla pożarnictwa szkodliwą. Co do administracyi znowu, istnieją w kilku powiatach, np. w Tarnopolskim, Sokalskim, t. zw. okręgi pisarskie. Wreszcie organizacya kredytowa posługuje się pewną formą zbiorowości. Mianowicie kasy systemu Raiffeisena, obejmujące kilka wsi, zazwyczaj całą parafię, prosperują wówczas bardzo dobrze.

Streszczenie z drugiej konferencyi może być daleko krótszem, albowiem na pierwszej zarysowało się wyraźnie i dostatecznie przeciwieństwo poglądów na reformę gminy galicyjskiej. Otóż na drugiej konferencyi zauważył jeden z mówców (Pierożyński), iż kwestya wcielenia obszarów dworskich jest już w takim stadium, że wkrótce do skutku przyjść musi. Sprawa ta obejmuje coraz szersze kręgi ludności, przyzwyczajają nawet do niej tych, którzy zasadniczo są jej przeciwni, tak, że powoli kwestya ta sama, siłą faktu, pewnego dnia, na stosowny wniosek w Sejmie, przyjdzie z wielkim aplauzem i ostentacyjnie. Kwestya wcielenia obszarów dworskich jest jednak bardzo trudna do rozwiązania właśnie z tego powodu, że nie wiadomo właściwie, na jakiej podstawie i w jakim stosunku obszar dworski miałby obowiązek przyczyniać się do kosztów administracyi gminy, a nadto, co nie mniej bardzo ważne, jak w razie wcielenia obszaru dworskiego do gminy, unormować wykonywanie policyi na terytoryum obszaru dworskiego, na obejściu dworskiem. Wcielenia obszaru dworskiego do gminy chyba jedynie ze względu na polepszenie administracyi życzyłoby należało. Reprezentacya bowiem gminy zyskałaby w osobie choćby oficjalisty prywatnego, który coś więcej potrafi, który tę gminę do lepszej administracyi doprowadzić może. Ale są powiaty południowo-zachodnie (dobra arcyksięcia Albrechta), gdzie nie istnieją obszary dworskie od samego początku wejścia w życie ustawy gminnej. Otóż administracya w tych gminach jest taka

sama, jak i w innych. Oficyaliści tam zależni są od służbodawcy i dlatego obowiązani są czuwać nad tem, aby gmina niewprowadza takich wydatków do swego budżetu, któreby wymagały znacznego podwyższenia dodatków, zawsze się więc im sprzeciwia i widzimy ten skutek, że gminy są fatalnie administrowane, a przynajmniej nie odpowiadają swemu zadaniu.

Jeden z następnych mówców (Panek) zauważył, że interes narodowy wymaga tego w całej Galicyi, aby zmniejszyć przedział, jaki istnieje między dworem a wsią, przedział odsuwający obie strony od siebie i od wspólnej pracy. Szczególniej jest ta sprawa ważna, z punktu widzenia narodowego, w Galicyi wschodniej. Dwory są tu bowiem polskie, a te, uzyskawszy wpływ na sprawy gminne, będą mogły przeciwdziałać hajdamackim robotom czynników, na których łup dzisiaj gmina wiejska wydana została. Tym czynnikom trzeba przeciwstawić wpływ polski. Inteligentny przedstawiciel dworu będzie miał przewagę umysłową, a na przewagę materialną chłop jest wrażliwy. Niemniej ważnem jest i to, że mniejszość polska znajdzie w przedstawicielu dworu obrońcę swych interesów w gminie. Koszta, jakie z takiego połączenia wynikną, nie będą zbyt wielkie, a to, że się odda dwór pod panowanie chłopów, zwłaszcza ruskich, nie powinno przestraszać, bo zawsze przewaga dworu będzie tak wielką, iż raczej obawiać się trzeba, że dwór zawładnie gminą i będzie jej narzucał swoją wolę. Gmina przytem nie może nałożyć żadnego specjalnego podatku na dwór, a jeśli nałoży jaki podatek, to tak samo i na siebie, a wiadomo, że chłop do ponoszenia ciężarów publicznych nie bardzo jest skory. Względ administracyjny przemawia stanowczo za łączeniem gmin małych we większe jednostki. Poza punktem administracyjnym niema żadnego słusznego względu, któryby się łączeniu gmin sprzeciwiał, z wyjątkiem pewnych trudności przy przeprowadzeniu, lecz trudności napotyka się przy każdej zmianie. Połączenie więc 2—4 bardzo małych dzisiaj gmin w jedną większą, byłoby korzystną reformą gminy.

Następny mówca (Sawczyński) był także zdania, że rozdział gminy od dworu wydał złe owoce, albowiem tym sposobem usunęło to możność zatarcia dawnych antagonizmów, a stworzono z obszarów nowy zaród przeciwieństw i rozdwojeń. Z wcieleniem obszaru dworskiego do gminy odpadłaby ta ujemna strona terażniejszego stanu rzeczy, że w gminie niema ludzi i że skutkiem tego szwankuje niezmiernie wykonanie ustawy. Dzisiejszy rozwój agitacyi ruskiej, dzisiejsza nienawiść ruska do naszego społeczeństwa, do naszych rządów, w znacznej części zostały ułatwione

przez to, że się więksi właściciele dali z gminy wyrzucić, że z tego pola pracy, na którym najłatwiej zaskarbić sobie uznanie i wdzięczność interesowanych, dobrowolnie ustąpili i przez to ją stracili na rzecz tych elementów, które tam dziś rej wodzą. Prócz tego większy właściciel, pozbawiony możliwości pracy w gminie, na tem najbliższem polu zdobywania zasług obywatelskich, ograniczony do pracy jedynie w Radach powiatowych, do których winna prowadzić droga tylko przez zasługi w gminie, wszedł ten element naturalnym tokiem rzeczy na drogę zdobywania mandatów w powiecie często nie zasługą rzetelną, ale zabiegami, staraniami, a nie-raz i pieniędzmi. Co do gmin zbiorowych, mówca sądzi, że one jeszcze i z innych powodów nie są właściwą formą w Galicyi. Mówca odiera argument redaktora Popławskiego, który powołał się na Królestwo Polskie, że gminy zbiorowe przyjęły się tam z reformą Wielopolskiego bardzo łatwo. Pamiętać bowiem trzeba, że to nie były gminy, które przed tą reformą korzystały przez 40 lat z ustawy podobnej do ustawy galicyjskiej. Odebrać tym gminom rozmaite rzeczy, do których nawet nie przywiązywały wagi, znaczy wywołać w kraju krzyk i opór. W końcu muszę zwrócić uwagę na jeszcze jeden głos (dr. Bujak), w którym zaznaczono, że gdy tylko mowa o gminie zbiorowej, wszyscy mają na myśli projekt gminy zbiorowej okręgowej partji krakowskiej. Niestety, powiada mówca, nie mamy innego podkładu, mamy ten projekt, albo też gminę w Królestwie, którą również dobrze zna p. Popławski i której wielkie zalety uznaje, naturalnie w przyszłości, bo obecnie jest ona bez wartości.

Na tem kończę część sprawozdawczą i w następstwie pozwolę sobie uczynić kilka uwag, odnoszących się do treści poważnej oraz interesującej owych konferencyj, które miały na względzie od wielu lat palącą kwestyę reformy gminy wiejskiej w Galicyi. Kiedy ukazał się bogaty materiał statystyczny, oświetlający gminne stosunki w Galicyi, a przede wszystkim, gdy się ukazała praca prof. Kleczyńskiego p. t. „Życie gminne w Galicyi,“ zdawało się, że kwestya reformy gminy wiejskiej w Galicyi nie zejdzie na chwilę z porządku dziennego, dopóki w sposób dający nadzieję polepszenia stosunków, urzeczywistnioną nie zostanie. Pozostawiono jednak życie gminy wiejskiej w Galicyi naturalnemu rozwojowi w tem przekonaniu, że przymusowa reforma jest zbytęczą, albowiem społeczeństwo uświadomione o źródłach wszelkiego złego, samoistnie, choć częściowo, przeprowadzi pożądane zmiany i uczyni interwencyę prawodawcy zbytęczą. Jeszcze w dziesięć lat później ukazały się: Materiały do reformy gminnej w Galicyi, zesta-

wione także z polecenia Wydziału Krajowego przez d-ra Witolda Lewickiego (1888), z których się niezbitcie okazało, że życie gminne w Galicyi stoi mniej więcej na tem samym stanowisku, jak wówczas, gdy prof. Kleczyński pisał swoje cenne studyum, oraz że dzieło reformy pozostało w krainie projektów. Czy w przeciągu lat 18 ukazały się nowe materiały statystyczne, wydane z polecenia Wydziału Krajowego, o tem nie wiem napewno, ale przypuszczam, że gdyby się były ukazały, wywołałyby nowe projekta reformy gminy wiejskiej. Tymczasem po pracach Wrotnowskiego, prof. Kasparka reformie gminnej poświęconych, ukazał się jedynie w r. 1901 „Ogólny projekt ustroju gmin wiejskich i małowiejskich“ (B. W. B.). Sprawa więc paląca od r. 1865 i niezatłwiona, zdawała się mniej interesować społeczeństwo galicyjskie, niż dawniej i po części przybierać kształty mytycznego węzła gordyjskiego, o którego rozwiązanie, czy rozcięcie, nikt nie uważał za stosowne się starać. Podjęcie więc sprawy pierwszorzędnej dla Galicyi, a od kilkunastu lat jeżeli nie zapomnianej, to w każdym razie niedbanej, stanowi myśl szczęśliwie podjęta przez tych, którzy konferencyę urzeczywistnili i wydrukowali uwagi na niej wygłoszone.

W gronie konferencyjnym spotykamy się z ludźmi nauki i doświadczenia, zdobytego na urzędowych stanowiskach, pozwalających należycie zgłębić i zrozumieć życie gminne. W konferencyach nie spotykamy się z pustymi frazesami, zapożyczonymi od doktrynerów, biorących rozbrat z rzeczywistością a przedewszystkiem z życiem i doświadczeniem Galicyi. Wszystkim mówcom chodzi też przedewszystkiem o prawdę, o pożytek, o dobro Galicyi, a nie o frazes retoryczny, ani olśniewanie wyobraźni arcydoskonałą i dotychczas niebywałą reformą. Jeden z ostatnich mówców oświadczył, że na konferencyach „wszyscy godzimy się na niektóre sprawy, wszyscy jesteśmy przeciwnikami gminy okręgowej“ i t. d. z tem wszystkiem przyznać trzeba, że wśród głosów konferencyjnych spotykamy, wprost przeciwne poglądy, nie tylko na główne podstawy organizacyi gminnej, ale nawet i na zadania samorządu gminnego. Skąd płynie taka rozbieżność myśli, a skąd powstaje owo skrajnie przeciwne ocenianie faktów, na które wszyscy patrzą codziennie, począwszy od 1866 roku? Dlaczego np. gdy jednemu z mówców wydaje się łączenie gminy z obszarem dworskim koniecznym, a wpływ większego właściciela zbawiennym — drugiemu nasuwa owo łączenie liczne wątpliwości, a obecność i praca jednego lub kilku wreszcie większych właścicieli w gminie, rzeczą wprost bagatelną, która wielkiego wpływu na rozwój życia gmin-

nego mieć nie może. Zdaje się, że na ówe przeciwieństwa zdań i poglądów wpływał przeważnie brak dokładnych statystycznych danych z Galicji i Bukowiny, t. j. z tych krajów koronnych, które posiadały podobnie rozszczępioną organizację gminną. Naturalnie, że mowa być może tylko o statystycznych danych z ostatnich lat kilkunastu, w których odbywały się, choć rzadko, dobrowolne połączenia gmin z obszarami dworskimi. Właśnie w głosach mówców brak pewności: czy się takie połączenia odbywały, następnie, ile takich faktów znamiennych miało miejsce, a wreszcie, jak się rozwijał samorząd w takich gminach, nazywanych zbiorowemi. Gdy jeden mówca zapewnia, że w takich zbiorowych gminach nie mogłaby być zorganizowana straż pożarna, drugi przytacza nieliczne wprawdzie wypadki, w których właśnie w takich połączonych gminach straż pożarna funkcjonowała należycie. W innych znowu głosach spotykamy powątpiewanie: czy reformy w kierunku połączenia gmin mogłyby oddawać jakikolwiek pożytek w gminach górskich w stosunku do podgórskich i płaszczyżnianych i czy warto dla nielicznych wyjątków odrzucać reformę, któraby była zbawienna dla znacznej większości gmin wiejskich w Galicji.

Drugi niedostatek, który dostrzegać się daje u wszystkich, i to bez wyjątku, mówców, jest niedokładna, jeżeli nie błędna znajomość historii samorządu wiejskiego w Królestwie Polskiem, zwłaszcza od r. 1864. Dawniej wskazywałem, że prof. Kasperek, powołując się na stosunki w Królestwie Polskiem, zasadniczo się myli, co więcej, nawet Wrotnowski, który był świadkiem naocznym owych zmian w Królestwie Polskiem, niezawsze je należycie rozumiał, co można tłumaczyć chyba tem, że życie wioskowe nie wiele go zajmowało wśród jego zawodu prawniczego. Jeżeli u przytoczonych autorów uderzał brak gruntownej znajomości życia gminnego w Królestwie Polskiem i jeżeli powoływanie się na to życie w celu przekonania o potrzebie reform gminnych wiejskich w Galicji, nie zawsze można było nazwać szczęśliwem, to i wśród konferencyjnych mówców rzecz się miała nie o wiele lepiej. Przewszystkiem żaden z nich nie znał historii samorządu gminnego wiejskiego w Królestwie Polskiem, począwszy od r. 1864. Zarzut uczyniony mówcom konferencyjnym muszę natychmiast złagodzić tą uwagą, że zapoznanie się z ową historią było bardzo trudne, albowiem wówczas nie było jeszcze drugiego wydania pożytecznej pracy Konica p. t. „Samorząd gminny w Królestwie Polskiem,” a następnie i powyższa książka dawała jedynie całokształt samorządnej, administracyjnej działalności gminy wiejskiej, ale nie kre-

śliła jej historyi w znaczeniu nie tylko prawniczym, lecz i społecznym. Dla tego też spotykamy wśród konferencyj głosy, które razić muszą każdego, kto stykał się w chwili obecnej, czy też w przeszłości z życiem gminnym w Królestwie Polskiem, jak np. spostrzeżenia tego rodzaju, że gmina dotychczasowa w Królestwie nie jest warta, że może w przyszłości dopiero nabierze pewnej doniosłości; że całe życie gminne w Królestwie spoczywa w ręku pisarzy gminnych, którzy bezceremonialnie krepują rozwój samorządu gminnego; lub w końcu, że w Królestwie przyjęła się gmina zbiorowa Wielopolskiego, z której Galicya mogłaby do pewnego stopnia brać wzór do naśladowania. Co się tycze owej zbiorowej gminy Wielopolskiego w Królestwie Polskiem, to daremnie się trudziłem odszukaniem jej w rzeczywistości. Taka gmina bowiem nie istniała w Królestwie. W r. 1862 opracowano tylko ogólne zasady, które miały przewodniczyć przyszłej ustawie dla gmin wiejskich. W Lisickiego pracy, Wielopolskiemu poświęconej, znajdujemy tylko projekt do Ustawy gminnej (T. III, str. 440), który nie wszedł nigdy w życie, a w dodatku opierał się na odmiennych zasadach, aniżeli w r. 1862 istniejące urządzenia gminne oraz wprowadzone w r. 1864 do Ustawy gminnej. Na zarzuty uczynione gminie w Królestwie Polskiem (od r. 1864), że w przeszłości nie była warta i tylko w przyszłości może mieć pewne znaczenie, oraz, że w samorządzie gminnym Królestwa pisarze gminni samowolą krepowali życie gminne—odpowiadać nie będę. Mam bowiem nadzieję, że kilka uwag, które historyi samorządu gminnego w Królestwie poświęcę, będą dostatecznym wyjaśnieniem powyższych kwestyj.

Ponieważ ustawa o gminach wiejskich w Królestwie Polskiem z 1864 roku usunęła wszelki rozdział obszarów dworskich i gminnych, stwarzając na to miejsce jednolity organizm prawa publicznego, przeto ważnem i doniosłem są dla Galicyi następstwa, jakie w Królestwie powyższy stanowczy przepis prawodawczy wywołał. W Galicyi bowiem, pomimo że większość inteligencji stanowczo się przeciw rozdziałowi oświadczyła, istniał on i istnieje po dziś dzień, opierając się skutecznie dobrowolnemu zjednoczeniu. W przymusowem połączeniu upatrywano zawsze pewne niedogodności czy niebezpieczeństwa, a nie można powiedzieć, aby owa wyjątkowa trwożliwość była tylko udziałem austriackiego prawodawcy. W Prusach, gdzie już w r. 1867 uważano połączenie obszarów dworskich (Gutsbezirk) z gminnymi za pożądane, nie śniano wyrzec słowa „przymus“ i widziano w nim różne niedogodności. Przebieg zatem sprawy przymusowego zjednoczenia, jaki miał

miejsce w Królestwie Polskiem winien przedstawiać dla galicyjskiego społeczeństwa duży interes, albowiem z tego przebiegu będzie ono mogło wnosić, czy uzasadnione są liczne jego obawy i czarne przewidywania.

W chwili, kiedy w Królestwie Polskiem wprowadzono ustawę gminną z 1864 r., stosunek włościan do większych właścicieli był nieco podrażniony sprawą przeprowadzonego jednocześnie uwłaszczenia. Organizację gminy oparto na demokratycznej zasadzie „zebrań gminnych“ i wśród większości obywateli powstało podejrzenie, że za pośrednictwem owych zebrań będzie można zmajoryzować większych właścicieli, albowiem cała włościańska rzesza da się z łatwością prowadzić naczelnikom powiatu i komisarzom uwłaszczającym. W początkach też rozwoju życia gminnego większa własność trzymała się na uboczu. Na zebraniach gminnych bywano rzadko i z niechęcią, albowiem, jak wówczas mawiano, na co się zda jednemu albo kilku obywatelom pokazywać się całej niechętniej masie. Starać się o wybór na wójta uważali obywatele przede wszystkim za upokarzające dla siebie. Naczelnicy powiatu, razem z komisarzami uwłaszczającymi, mogli łatwo wyrzucić wpływ na korzyść swego kandydata, a następnie urząd wójta był w takiej zależności od naczelnika powiatu, że trudno się było narażać obywatelowi na przykrości i upokorzenia, które nań mogły spłynąć w każdej chwili: czy to w dobie wyborów, czy podczas urzędowania. A jednak i w tej smutnej dobie, która się ciągnęła od 1864 do 1875 r. ukazały się drobne, ale światlejsze promienie. Nie tylko, że powoli obywatele ziemscy zaczęli zjawiać się na zebraniach gminnych, ale i pozwalali się wybierać na urząd wójta gminy. Gdzie się tylko zjawili w jednym czy w drugim charakterze, wywierali wpływ magiczny na sprawy gminne i przywiązywali do siebie masy włościańskie. O jakimkolwiek majoryzowaniu większych właścicieli przez włościan nie było też mowy, poczynawszy od r. 1864 aż do 1875, t. j. w epoce najsmutniejszej. Zapewne, na drobne nieprzyjemności bywał czasami narażony większy właściciel i włościanie, podjudzani przez pisarzy gminnych, których się wójt po większej części obawiał, okazywali się dworowi niechętnymi, ale przyznać trzeba, że każdy rok przynosił zmianę stosunków na lepsze, budząc świadomość włościan oraz zrozumienie należyte samorządu gminnego. W ciągu pierwszej epoki samorządu w Królestwie Polskiem dały się uczuć włościanom niedogodności, płynące z sądów wójtowskich (z ławnikami), które były przeważnie w rękach ludzi ciemnych i wrażliwych na materialne korzyści. Właśnie, gdy sądy wójtowskie dokuczyły w dostatecznym

stopniu włościanom, Ukaz z 1875 roku odłączył od urzędu wójta wszelkie funkcje sądowe, odebrał mu ławników i stworzył odrębne a powiększone gminy sądowe, w których funkcjonował wybieralny sędzia gminny z ławnikami. Włościanie z głosami swojemi zwrócili się, rzecz można, instynktownie ku większym właścicielom i to nie tylko wtedy, gdy chodziło o urząd sędziego, ale i o skromniejszą godność ławnika. Nie pomogły zupełnie wpływy naczelników powiatów i komisarzy uwłaszczających; zawsze słyszano kategorię: szlachcie nie sprzeda sprawiedliwości za łyżkę barszczu i od niego się tylko można doczekać należytej opieki. Tym razem obywatele, nie będąc narażeni na dokuczliwą podległość naczelnikom powiatów, nie tylko przyjmowali, ale i starali się o wybór, a uwzględniając w sądzeniu spraw spadkowych miejscowe zwyczaje, czego nie potrafiły dawne sądy wójtowskie, zdobyli sobie wobec kraju i wobec masy włościańskiej pierwszorzędną zasługę. Sądy gminne z 1875 r. sprawiły, że zapomniano zupełnie o dawnym uprzywilejowanym stanowisku własności większej ziemskiej, a uważano jej reprezentantów za sąsiadów, za oświeconych opiekunów, do których można się było na pewno udać w każdej potrzebie. Nie dość na tem; w r. 1879 przybyła nowa wybieralna godność pełnomocnika gminy, która kontrolę nad gospodarstwem publicznym gminy uczyniła ściślejszą i sprawowaną przez inteligencję miejscową, reprezentowaną przez większą własność. Naturalnie, że i tam na urząd powoływano przeważnie obywateli, którzy go wykonywali bezpłatnie. Rzesza włościańska więc, począwszy od r. 1879, widziała większych właścicieli gorliwie się gminie wysługujących nie tylko na polu wymiaru sprawiedliwości, ale i w celu zaprowadzenia ładu i porządku w publicznym gospodarstwie gminy.

Wobec wzmagającego się udziału właścicieli większych w życiu gminnym, zmniejszyć się musiały ujemne wpływy, jakie się dawniej ukazywały pod postacią ciemnych wójtów, prowadzonych na pasku przez pisarzów gminnych, oddanych znowu ślepo naczelnikom powiatu. Wójt gminy radził się zwykle sędziego i pełnomocnika gminnego, a widząc w nich życzliwość i należyte zrozumienie spraw gminnych, stawał się niepodleglejszym i pewniejszym wobec naczelnika, a cóż dopiero wobec pisarza gminnego, wybory też na wójta i pisarza trafiały zwykle na lepszy materiał niż dawniej, t. j. w pierwszej epoce od 1864 — 1875 r., nie mówiąc już o tem, że właściciele więksi przyjmowali częściej wybór na wójta i przyczyniali się na tem stanowisku do rozwoju samorządu gminnego. W roku 1887 ukazała się praca Ludwika Górskiego p. t.:

„O znaczeniu i obowiązku większej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem.“ Praca ta, której wysoką doniosłość podnosiłem swego czasu, zaznaczyła w sposób kategoryczny, że najkardynalniejszym obowiązkiem większego właściciela jest branie czynnego udziału w samorządzie wiejskim i pracowanie nieustanne a wspólne w gminie nad dobrem lokalnem publicznem. Od chwili, kiedy się ukazała książka Ludwika Górskiego, upłynęło lat blisko dwadzieścia, które były bez żadnej przerwy postępem ku dobremu. Zasady, wypowiedziane przez Ludwika Górskiego, jeżeli mogły w swym czasie spotykać się z drobnymi wątpliwościami i niechęcią dawnych uprzywilejowanych, dworskich właścicieli, to obecnie nabrały doniosłości kodeksu obowiązków większych właścicieli względem gminy. Dziś, dzięki wspólnej codziennej pracy w gminie, niema tego, co w Galicyi, „Pan sobie, chłop sobie,“ albo „naj bude, jak buwało,“ ale zarówno wśród włościan, jak i wśród potomków uprzywilejowanych panów dworskich, panuje mocno ugruntowane przekonanie, że jedynie zgodą i pracą wspólną mogą stworzyć ów samorząd, który będzie szkołą dojrzałości i miłości dobra publicznego. Dopiero też, pracując razem w samorządzie gminnym, przekonali się wszyscy, że publiczny interes gminy jest prywatnym interesem każdego z obywateli gminnych i zgodnie z anglo-saksońską zasadą „public business is a privat business of everyman.“

Połączenie więc przymusowe obszarów gminnych z dworskimi w Królestwie Polskiem, pomimo że się odbyło pod niepomyślnymi auspicjami i zdawało się zapowiadać drogę Golgoty dla większych właścicieli, wywołało następstwa, zdaje się, wprost przez nikogo w r. 1864 nie przewidywane. Nie zapobiegły dobrowolnemu zbliżeniu włościan do większych właścicieli, ani chaotyczne zebrania gminne, zafukiwane długo przez władze administracyjne powiatowe, ani odstraszenia większych właścicieli od bywania na zebraniach, przyjmowania wyboru na wójtów i t. p. Przeistoczenie dawnego pana dworu w obywatela gminy i to obywatela świątłego, a przede wszystkim ofiarnego, odbyło się w ciągu czterdziestu lat najkompletniej i nawet strejki rolne z bieżącej doby nie zapobiegły temu, że to poczucie obywatelskie względem gminy rozwijać się będzie w Królestwie Polskiem w dalszym ciągu. Jakkolwiek więc zadania samorządu gminnego nie rozwinęły się w Królestwie ponad miarę i nie są w stanie zaimponować Galicyi, to jednak usposobienie większych właścicieli w Królestwie, którzy z zaparciem się, poświęceniem i ofiarnością pracują w gminie w jednym szeregu z włościanami, powimmo zwrócić uwagę społeczeń-

stwa galicyjskiego. Poczucie obywatelstwa gminnego, jakie się rozwinęło w pełny kwiat u właścicieli większych w Królestwie, zyskało sobie uznanie wśród rzeszy włościańskiej. Wszędzie obywatel ziemski traktowany jest przez włościan, jako opiekun, jako starszy i światlejszy brat, wreszcie jako sąsiad, któremu wyrządzają czasami sąsiedzkie usługi, nie chcąc brać za nie pieniężnego wynagrodzenia. Trudno się też dziwić owemu krzewiącemu się coraz gęściej i serdeczniej porozumieniu, bo włościanin coraz częściej się spotyka z dowodami ofiarnej opieki większych właścicieli. Kiedy gminy w Królestwie nie posiadają dotąd swoich lekarzy, właściciele więksi sprowadzają zwykle lekarzy do swych ludzi folwarcznych i pozwalają z nich korzystać, naturalnie tytułem darmym, włościanom. Przy zakładaniu sklepów spożywczych, gospód, w miejsce dawnych karczem, wreszcie czytelni ludowych, właściciele więksi odznaczali się ofiarnością i należytem zrozumieniem zadania, jakie dawniej okazywali w dziedzinie ludowego szkolnictwa. Wreszcie w ostatnich latach niektórzy więksi właściciele (hr. Jerzy Moszyński) otworzyli włościanom kredyt na odpowiednich warunkach, aby zapobiedz ujemnym skutkom przesileni rolnych. Nie można wątpić, iż ten godny naśladowania przykład argumentowany należyście w druku, znajdzie w spokojniejszych czasach liczne naśladownictwo. Wiekopomną więc zasługą gminnej ustawy z 1864 r. jest zjednoczenie społeczeństwa gminnego w jedną samorządną całość. Wprawdzie prawodawca zamierzał przez owo zjednoczenie osiągnąć inne cele, ale codzienne życie gminne, codzienna praca wspólna omyliły jego przewidywania i zawiodły jego rachubę. Połączenie też w gminie dworskich i gminnych obszarów pozostanie niezapomnianą zasługą ustawy z r. 1864, zasługą, która wynagrodziła sowiec społeczeństwo Królestwa za samowolę wyższych władz administracyjnych i za krępowanie samorządu gminnego na każdym kroku.

Gmina wiejska Galicyi znajdowała się, począwszy od r. 1866, w daleko lepszych warunkach, aniżeli taż gmina w Królestwie. Przedewszystkiem Rady gminne, w miejsce chaotycznych zebrań, obiecywały daleko zdrowszy rezultat i nadzór nad samorządem gminy, wykonywany przez organa wyższe samorządu i władze polityczne, złożone z krajowców, odmiennie przedstawiały obraz rozwoju, niż w Królestwie. Pozostał tylko w galicyjskiej ustawie jeden na pozór drobny szczegół, t. j. rozdział obszarów gminnych od dworskich. W dodatku rozdział ów pozostał nie jako kategoryczny przymus, ale jako tolerowana pozostałość po dawnych czasach, od której uwolnić się było można dobrowolnem połączeniem,

jakie też od czasu do czasu, zrzadka wprawdzie, widzieć się dawało. „Życie gminne w Galicji“ prof. Kleczyńskiego rzuciło ponure światło na następstwa powyższego rozdziału. Pokazało się, że pozbawiając gminę usług świątłych i zamożniejszych obywateli, skazuje się system reprezentacyjnego ustroju gminy na najzubożniejsze zwyrodnienie, na parodję samorządu, demoralizującą włościan. Zdawało się, że od czasu ukazania się pracy Kleczyńskiego, powinno było zapanować w Galicji powszechne potępienie rozdziału gminnych obszarów od dworskich, zwłaszcza, że już przedtem Adam Potocki nazwał ów rozdział najdotkliwszym wytworem systemu „divide et impera.“ Tymczasem na owych dwóch konferencyach, na których wygłoszono tyle rozumnych i praktycznych uwag, rozdział wspomniany nie spotkał się z tak niweczającą krytyką, jakby tego oczekiwać należało. Podobny objaw przypisując temu, że w danym momencie nie rozważono należycie stosunków w Królestwie Polskiem i że dawano wiarę logicznym przypuszczeniom, które w Królestwie od dawna okazały się zawodnemi. Rozpoczynam od wypowiedzenia wątpliwości co do tego, że połączenie gminy z obszarem okaże się zawodnem w gminach górskich, gdzie większych właścicieli niema i że na zmianę stosunków gminnych wpłynie niewiele ta okoliczność, że do nich należeć będzie jedna lub dwie jednostki światlejsze i zamożniejsze. W pierwszej kwestyi zdaje się istotnie tkwić względ praktyczny prawdziwej doniosłości. Gmina góraska często powiększaniu się przeciwstawia duże trudności naturalne; ale stanowi ona wyjątek, a podług wyjątków nie można przesądzać o gminie na płaszczyznach lub na podgórzach, gdzie gmina trafia na normalniejsze warunki rozwoju. Zresztą nawet, gdy mowa wyłącznie o gminach górskich w Galicji, stosowniejszeby było wystudyowanie gruntowne stosunków gminnych w Szwajcaryi i Tyrolu, ażeby z nich dowiedzieć się, o ile trudności komunikacyjne wpływają na niemożność powiększenia terytorjum gminy.

Drugi przypadek przedstawia się jednakże z punktu widzenia polityki administracyjnej nieco inaczej. Jeżeli się znajdzie w niewielkim procencie gmin wiejskich w Galicji brak obszarów dworskich, to względ powyższy, jako wyjątkowy, nie może bynajmniej wpływać na doniosłość samej zasady. Tam zaś, gdzie się znajduje, chociażby jeden „obszarnik“ w gminie, zapewnienie jego inteligencyi, sił materialnych i ofiarności dla sprawy ogólnej gminnej będzie wpływało dodatnio na rozwój samorządu gminnego wiejskiego. Niewątpliwie, że w tym razie znajdą się więksi właściciele, którzy żałując swej uprzywilejowanej odrębności, zacho-

wywać się będą biernie i niechętnie wobec gminy. Ale należy oczekiwać zmiany w stosunkowo krótkim czasie. Tak samo bowiem było i w Królestwie Polskiem, gdzie ową początkową niechęć podtrzymywała skwapliwie niższa administracya. Szybko jednak stopniały rozdzielające lody i więksi właściciele, jeżeli zajęli napowrót w gminie uprzywilejowane stanowisko, to jedynie w tem znaczeniu, że jako pierwsi obywatele powinni ponosić większe ciężary i pełnić liczniejsze usługi w gminie, z zasady, że: noblesse oblige, a nie dispense. Niewątpliwie też połączenie obszarów dworskich z gminami wywoła w Galicyi dobroczynne skutki, na które nie potrzeba będzie oczekiwać wieku lub półwiecza. We wzmianionych materyalnie i duchowo gminach, zadania samorządu, które dziś suchotniczy pędzą żywot, nie tylko rozwijać się, ale i mężnieć poczyna. Tam, gdzie braknie sił materyalnych na spełnienie pewnego zadania, przyjdzie w pomoc ofiarność większych właścicieli, jak to miewało miejsce w Królestwie Polskiem. Tam, gdzie brak sił intelektualnych gminie dla zajmowania pewnych urzędów gminnych, przyjdzie z pomocą właściciel większy, którego wpływ w Radzie gminnej będzie w krótkim czasie nieocenionej wartości. Wreszcie i zadania samorządu gminnego, które dzisiaj wydają się ludziom praktyki w Galicyi niemożliwe do urzeczywistnienia i do zorganizowania, przedstawiają się w innem świetle, gdy je wesprze swą pomocą większy właściciel i wykonanie zadania zechce wziąć w swe ręce. Ów jeden „obszarnik“ w gminie, który wywołał u niektórych mówców pewne lekceważenie, odda niewątpliwie samorządowi gminnemu w Galicyi nieobliczone zasługi przez to samo, że wywoła w społeczeństwie gminnem poczucie jedności, konieczność wspólnej pracy dla dobra publicznego, dla swej drobinej ojczyzny, która się styka prawie codziennie z jego domowem ogniskiem.

Pozostaje jeszcze jedno pytanie, a mianowicie: czy zachować dawny system dobrowolnego łączenia gmin z obszarami, czy też wyrzec to słowo twarde w państwie konstytucyjnem—przymus. W Prusach pomimo, że od dawna uznano pożyteczne skutki połączenia, dotychczas istnieją w niektórych prowincyach gminy obu typów. Być może, że państwo, a raczej rząd, posiada skuteczniejsze środki wpływania na łączenie się gmin z obszarami i że tym sposobem w krótszym czasie usunie się złe, jakie tkwi w tym gminnym rozdziale. W Galicyi wszakże na szybki rezultat dobrowolnego łączenia liczyć, jak się zdaje, niepodobna a gmina obecna, zanadto rozdrobniona i uboga w siły materyalne i duchowe, nie może służyć za zdrową podstawę rozwojowi samorządu gminnego.

Zresztą i we Francyi zrodziło się przekonanie, że drobne i ubogie gminy nie zdolne są do samorządu, a więc nic innego nie pozostaje, jak wyrzeczenie przez prawodawcę przymusu. Każda godzi-
na bowiem rozdzielonego życia gminnego w Galicyi powstrzymuje zbliżenie się wzajemne klas społecznych w gminie, a każda godzina pożycia wspólnego gminnego przyczyni się do zgody socyalnej i do rozwoju samorządu lokalnego.¹⁾

A. REMBOWSKI.

¹⁾ Niniejszy artykuł jest ostatnią pracą większych rozmiarów, dostarczoną redakcyi na kilka dni przed śmiercią ś. p. Rembowskiego.

O twórczości Wyspiańskiego.

III.

Dramaty greckie.

Utwory poezyi, będące owocem sztucznej kultury literackiej, nie wypływają siłą konieczności z ducha twórcy. Takimi są dramaty greckie Wyspiańskiego. Nie zrodził ich ani ból, ani uczucie wielkie, ani poruszenie fantazyi, napiętej pod nawałem wrażeń. To są studia wirtuozowskie, wynikłe z rozsmakowania się w kształtach literatury antycznej.

Wyspiański prznosił się chętnie w świat helleński, wchłaniał jego pierwotną tradycję. Splotła się ona silnie z obrazami i wrażeniami życia realnego. Nie jest poeta duszą odwróconą od świata rzeczywistego — jak to wyrzekł niesłusznie jeden z krytyków. Ale dla niego świat poezyi i królestwo legendy ma taką samą wagę, jak barwna gra i wrzawa znikomości codziennej. Po między światem zewnętrznym a jego duszą, unosi się jakby mgła tajemnicza, w której wrażenia życia i twory fantazyi plączą się razem, tworzą opary ogromne, to mroczne i ponure, to mistycznym blaskiem przepojone.

W dramatach greckich z początku naśladował częściowo ton, nastrój i wewnętrzną logikę tragedyi antycznej. Takim jest „Meleager” — tragedia jednoaktowa, napisana w latach 1894 — 1897, osnuta na legendzie arkadyjskiej. W chórach i objaśnieniach dotyczących się sceneryi dramatu, poeta wprowadził malowniczość piękną, dekoracyjną. Żywił to mało znany w technice starogreckiego dramatu, który się opierał głównie na efektach głosowych i śpiewnych, na szerokiej, wspaniałej retoryce. W „Meleagrze”

postacie mówią, poruszają się i grupują wśród wspaniałych ogrodów i tarasów akropolu w Kalydonie. W chwilach, gdy ludzie milczą, słysząc głosy i sznery przyrody, szum liści, śpiew słowika plusk fontanny w ogrodzie, rechotanie żab i szmer latających owadów. Słowami poeta rysuje sceny i obrazy pełne powagi i uroku.

Na tem tle pięknem wypukli się głównie antypatyczna postać Althei, matki Meleagra, złej, mściwej, zaciętej, pełnej przesądów, z duszą zatrutą przeciwnem naturze uczuciem nienawiści dla własnego syna. Poeta z zamiłowaniem maluje uczucia ostre, nielitościwe, bezwzględne, zapamiętałe. Dla tego zapewne zajął się tą figurą legendową i starał się wmyśleć w jej dziwną wyjątkową psychologię. Pomimo zarysów helleńskich, jego Althea przypomina raczej szorstkie, półdzikie postacie germańskie z „Nibelungów.“ Cięży na niej kłątwa za winy matki, która ją wydała na świat ze związku nieprawego i przeznaczyła na wieczne dziewictwo dla przebłagania bogini Artemidy. Meleager, syn jej dzielny, ukochał nienawistną dla matki dziewczę amazonek, Atalantę, która oszczepem zabiła dzika, niszczącego ziemię Kalydonu. Po łowach wywiązała się kłótnia; Meleager zabił dwu braci Althei, za to, że znieważyli jego umiłowaną dziewczę i godzili na jej życie. Matka ma w ręku straszny środek zemsty — główną tajemnicę, w której, wedle snu proroczego, zanknięta jest czarownice siła żywotna Meleagra. I oto tragicizm sztuki polega na tem, że Althea rzuca głównię w ognisko na ołtarzu. Poeta stara się wmyśleć w bieg uczuć matki, która z okiem zapalonem złością stoi nad ogniskiem, patrząc w płomień żrący drzewo zweglone. Sytuacya to przykra raczej, niż tragiczna. Matka, opętana niechęcią, godząca w życie syna, budzi odrazę, zamiast grozy. Poeta z pewnym wyrafinowaniem kreśli tę plątaninę uczuć zaciekłych. Czytelnikowi dzisiejszemu trudno jednak odczuć treść tej sceny i związek, jaki zachodzi pomiędzy dolą człowieka a kawałkiem zweglonego drewna. Spełnia się kłątwa przeznaczeń. Kara spada na Altheę i jej męża Cineusa, za to, że poślubił niewiastę skażoną przy urodzeniu, poświęconą bogom. Kazuistyka fatalizmu czysto grecka, dziś także ani przekonywa, ani trafia do duszy.

Skutki matczynej złości poeta przedstawił w jedynie pięknej scenie tragedyi, rozgrywającej się pomiędzy Meleagrem i Atalantą przy tlejącym resztkami żaru ołtarzu, wśród szumu smukłych cyprysów. Z początku młodzi pogrążają się w dyalektyce i refleksjach, przypominających czasami ton artykułów dziennikarskich. Dopiero w drugiej połowie sceny pięknie oddane są zamyslenia

subtelne dusz młodocianych w duchu dzisiejszej poezji przecuciowej. Potem przejmująco i silnie przemawia cierpienie miłości, która kona w męczarni. Po całym szeregu scen ponurych, przesiąkniętych zgrozą, po defiladzie trupów, po śmierci obojga kochanków, tragedia kończy się opowiadaniem o samobójstwie Althei, oszalałej z rozpacz.

Ma ten utwór piękne efekty plastyczne, sceny mocne pod względem teatralnym. Oparty na fatalizmie helleńskim, częściowo zbliża się do dzieł antycznych, oddaje chwilami dobrze ich ton i logikę pojęć moralnych. W stylu i formie poeta nie utrzymał całości jeduolite. Przeskakuje od prozy rozlewnej do luźnego wiersza rytmicznego lub rymowanego. Umyślnie nadał formie zmienność i falowanie, które mają taki powab dla czytelników dzisiejszych. Pod względem polotu, energii i piękności języka, niewątpliwie wyżej stoi osnuta na tem samym podaniu tragedia Faleńskiego „Althea“ zbudowana harmonijnie, szeroko, błyszcząca wirtuozowstwem i plastyką formy — znana jednak tylko małej liczbie literackich smakoszków. Tragedya Wyspiańskiego ma powagę legendową, ale jest dziełem sztucznem i chłodnem. W niektórych jej scenach czuć powiew atmosfery niezwykłej. Sprawia wrażenie *nastrój* nieznanym w dawnym dramacie greckim: harmonia dusz ludzkich z tchnieniem przyrody.

*

*

*

Silniej przemawia do czytelnika jednoaktowa tragedia „Protesilas i Laodamia“ wydana w r. 1899, będąca właściwie monologiem wdowiej rozpacz. Laodamia tęskni po mężu, bohaterze, poległym w wojnie trojańskiej, we śnie widzi jego postać na okręcie podczas walki. Na gorące jej proźby bóg Hermes sprowadza widmo małżonka, które rozwiewa się w jej objęciu. Przebolawszy wszystkie gorczyce samotności, tęsknoty, nudy, żalu, rozpacz, wszystkie cierpienia duszy, szamoczącej się w próżni, Laodamia zabija się. Cienie małżonków połączonych nikną we drzwiach grobowca.

Stojąc na gruncie pojęć staro-helleńskich, poeta nie starał się wiernie naśladować formy greckiej. Gorąco, niemal z histerycznym rozpędem, skreślił wymowę szalającej z bólu duszy Lao-

damii. Wprost mistrzowskie jest to stopniowanie uczuć boleści, która rośnie, wzmaga, szaleje i nabiera takiej gwałtowności, że dla bohaterki śmierć staje się „jedyną“ — życie dalsze niemożliwym. Podobnie, jak w klasycznej tragedyi, ludzka istota nie jest tu złożona, dusza nieprzemawia cała, wielostronna. Poeta gra na jednej strunie — ale wymowa cierpień indywidualnych jest żywą, gorączkową i przez to właśnie bardziej interesującą, aniżeli uczucia przedstawiane w tragedyi poprzedniej. Tęsknota Laodamii jest jednak materialną raczej, niż duchową. Góruje w niej szal i ból głodu zmysłów, streszczający się w okrzyku: „łożnica moja pusta!“

Dla tego zapewne na scenie krakowskiej w r. 1903 tragedia ta nie zrobiła wrażenia, nawet w wykonaniu pierwszorzędnych artystów, przy wystawie bardzo malowniczej, obmyślonej drobniawo przez poetę. Wydała się przeciągniętą, monotonna, chociaż w czytaniu podbija gorącym kolorytem uczuć i wielkim artyzmem formy. Aparat zewnętrzny pełen plastycznego bogactwa, scenerya urocza w guście obrazów Gérôme'a, czereda zjawisk, barwnie strojne alegorye, gromady boleśnie jęczących duchów, cała zewnętrzna oprawa — nie uratowała na scenie treści psychicznej, nie mającej dramatycznego pierwiastku.

Wyspiański, obmyślając wystawę sztuki, pojmował sceny fantastyczne w sposób dosadny, wyrazisty. Widma i cienie nierozpływały się we mgle przystonione gazą, lub oblane tajemniczym półświatłem. Łódź Charona z cieniami zmarłych płynęła na przodzie sceny, tuż przy rampie. W sennem widzeniu okręt wjeżdżał na scenę ciężki, plastyczny, pełny zbrojnego ludu.

Jest to jedna z głównych cech wyobraźni twórczej poety, tłumacząca także konstrukcję głównych jego dramatów. Świat duchów i majaki senne płaczą się z jawą, mają tę samą dynamikę wyrazu, co i sceny rzeczywiste. Zacierą się granica pomiędzy tem, co jest, a tem, co się wydaje, lub tem, co istnieje po za świadomością zmysłów. Obrazy senne zamieniają się na ruchome bryły, cienie płaczą się z ludźmi, przywidzenie mięsza się z prawdą, duch jest współtwórcą z życiem.

W obu dramatach greckich nastrój tragiczny jest, w stosunku do helleńskiej tradycyi, prawdziwym. Brak mu jednakże harmonijnego pogodzenia przeznaczeń i doli człowieczej z porządkiem świata. Człowiek szamocze się z koniecznością życia i losu. Namiętności silnie napięte łamią prawa przyrodzone i moralne, działają niszcząco. Pod wpływem tego konfliktu życie doczesne staje się męką, śmierć — wyzwoleniem. Ale po tryumfach tej śmierci,

władczyni potężnej, nieubłaganej, zostaje cisza grobów, może błąkanie się mdłych cieniów w Tartarze. Niema zwycięstwa idei, zasady moralnej, praw odwiecznych ładu, niema świtania lepszego jutra. Tragika Wyspiańskiego polega na zwycięstwie mocy losu, tajemniczej, złowrogiej i złośliwej. Jest majestatyczną, ponurą, beznadziejną.

IV.

„Lelewel“ — „Klątwa.“

Na tle przedzgonnych chwil powstania listopadowego osnuł Wyspiański swój pięcioaktowy dramat „Lelewel“, wystawiony na scenie krakowskiej w maju 1899 r., wkrótce potem ogłoszony drukiem. Żywiołowej strony ruchu narodowego nie odczuł i nie ujął poeta. Nie uwydatnił natury tej nawałnicy, która zerwała się bez widomej potrzeby i pochłonęła resztki politycznej samodzielności naszej. Nie uwydatnił tego znaczenia rewolucyi, która politycznie była fatalnym błędem—ale zarazem wylewem duchowej potrzeby narodu, rwącego się do pełnej samodzielności, do nowej roli dziejowej.

Tragizm rewolucyi listopadowej polegał na tem, że zapół narodowy nie mógł się wcielić w żadną genialną jednostkę, w duchowego przewodnika narodu, że siła ta, zważyła przez rozterkę wodzów, musiała się rozbić o twardą polityczną konieczność, o mur zwarty interesów mocarstw, które korzystały z rozćwiertowania dawnej Polski.

Z tego tragicznego konfliktu poeta pochwycił głównie drgnięcia i echa sporów wewnętrznych, które gubiły walkę narodową. Na posiedzeniu Rządu rewolucyjnego występuje ostre przeciwieństwo Lelewela z ks. Czartoryskim; scierają się nie tylko dwaj ludzie, głowy dwu stronnictw, ale dwa symbole przeciwbiegunowych dążeń polskich. Książę Czartoryski, szlachetny i gorący patriota, pomimo marzeń o koronie, chce prowadzić politykę praktyczną; Lelewel jest deklamatorem-idealistą. W płomiennych przemówieniach, rozwija myśl o wielkiem, duchowem poświęceniu narodu. Mieszka w nim „polska myśl, nie zwodnicza myśl o królestwie ducha, boska, tajemnicza rewolucyjność dążeń.“ Lelewel przemawia frazeologią, poczerpniętą trochę ze Słowackiego przemowy

„Do autora trzech psalmów.“ W marzycielskich porywach potrąca o mesyjaniczne tony. Wierzy on, że w wielkich chwilach,

gdy nad narodem ciemne rozległy się noce,
budzi się prorok-duch, co go powiedzie —
Ten sam że się zaplonie, jako słup ognisty,
i będzie przed szeregiem zwartym szedł na przedzie.
Temu Bóg odda dusz jedyńowładztwo!

Oczywiście jest to poetyczna dowolność. Lelewel był skrajnym demokratą, doktrynerem rewolucyi, w polityce nieudolnym, chwiejnym i pokrętnym, członkiem rządu i zarazem spiskowcem, klubistą. Jako profesor, miał polot ideowy, pomysły wzniosłe, uogólniał wypadki świata, porywał umysły młodzieży duchem patryotycznym. W dramacie przemawia jako mistyk-wizjoner, wyprzedzając takim nastrojem daną dziejową chwilę. Zewnętrznie biorąc, poeta trzymał się wiernie faktów opisanych w innym, ale niedość krytycznem dziele Stanisława Barzykowskiego: „Historia powstania Listopadowego“ (Poznań 1883 r.). Nie patrzył jednak Wyspiański na swego bohatera przez pryzmat opinii tego historyografa. Lelewel został przez Barzykowskiego scharakteryzowany z wielką niechęcią, jako działacz polityczny „bez wyższych usposobień, bez znajomości świata, bez woli i charakteru, bez głębszych obmyśleń, bez determinacyi, nieśmiały w przedsięwzięciu, niemocny w uczynkach, ideolog za marzeniem biegnący, a mający zarozumienie nieomyślności w polityce“ (T. I, str. 262). Barzykowski twierdzi, że udział Lelewela w Rządzie rewolucyjnym był nieszczęściem dla sprawy narodowej — chociaż tego nie popiera dość wymownie faktami, okazując, jako zachowawca, niechęć dla jednego z najczterwieńszych radykałów. Co prawda, politycznej roli Lelewela nikt inny także w różowem świetle nie ukazał, chociaż na emigracyi był postacią szanowaną, jako charakter czysty, wyraziciel niezłomny zasad demokratycznych. Wyspiański, wyrażając nieraz sympatyę w kierunku lewicy, ukazał postać bohatera dramatu z jednej głównie strony — jako płomiennego entuzyastę. Przyczyną niepowodzenia sprawy narodowej, według Lelewela, jest brak rewolucyjnego ducha w ludzie i rządzie. Chce on, by „wstały huczące orkany“, chce huraganu i ognia, w którym oczyścićby się złoto duszy narodowej. Dysputa członków rządu zamienia się na gwałtowne, historycznie prawdziwe zajście pomiędzy Lelewelem a ks. Czartoryskim, który, dotknięty zarzutem zdrady, spiskowania na rzecz swych monarchicznych ambicij, opuszcza posiedzenie. Akt pierwszy dramatu kończy się tą mocną,

dobrze odczuta sceną. W małej ilości słów wyładowuje się elektryczność uczuć silnie napiętych. Chwile milczenia odpowiadają kłębieniu się wewnętrznemu dusz. Węzeł dramatu zadzierzgnięty silnie. Zdawałoby się, że dalej toczyć się będzie walka dwu mocnych duchów. Zamiast czynów jednak, potem walczą i ścierają się słowa.

W następnych aktach rysuje się dobrze postać księcia, najbardziej wypukła w sztuce. Dowiódł w niej poeta, że miał w talencie swoim czynniki, które spotęgowane i rozwinięte, mogłyby stworzyć tak ważną dla każdego dramaturga umiejętność stwarzania żywych ludzi, widzianych przez pryzmat oka twórczego, ale pełnych, drgających prawdą wewnętrzną. Książę ma gest magnacki, powagę i rozum statysty, dumę rodu, którego dziedzicom śnią się w kolebce korony. Ma także gorące serce i z głębokiem współczuciem słucha od pół wieku „konających łkań Polski i jęczeń.“ Marzenie o koronie jest u niego szczyblem do wskrzeszenia dawnej wielkości ojczyzny. Namówiony przez Niemojowskiego, wraca na posiedzenie rządu rewolucyjnego. Tam zbliża się wielka chwila zgody i zbratania dwu dusz walczących sercem o wielkość narodu. Książę i Lelewel mają już sobie podać ręce, ale harmonię mącą krzyki tłumu i członków Tow. Patriotycznego, którzy wpadają na salę i chcą wykonać zamach na rząd. Jest to epizod fatalnych rozruchów dn. 15 sierpnia, które były wynikiem rozpacz i zwątpienia, objawem zamętu, jaki zapanał w Warszawie po bitwie Ostrołęckiej — jednym z konwulsyjnych drgnień upadającej sprawy.

Niepowodzenie na polu bitwy, nieudolność wodzów, słabość rządu narodowego, krzykactwo demagogów, rozjątrzenie tłumu, wszystko to razem skupiło się w orgiach ulicznych. Rozpacz bólu narodowego szukała nasycenia w krwawym samosądzie. W dramacie słyszyny tylko uboczne echa tej zawieruchy ulicznej. Trzymając się relacji Barzykowskiego przedstawił Wyspiański dwuznaczną rolę Lelewela, który skrył się w sali posiedzeń rządu za firankę przed tłumem swych politycznych przyjaciół, napadających rząd bezradny, nieprzygotowany i bezbronny. Zaskoczony ruchem, rząd postanawia się rozwiązać. Książę opuszcza salę, czyniąc gorzki wyrzut, z powodu tajnych knowań, Lelewelowi, który, porwany śpiewem marsylianki, wypada na ulicę. W akcie piątym spór generała Dębińskiego z Lelewelem, snującym marzenia prorocze, milknie na odgłos dalekiego huku armat rosyjskich. Dramat i rozterka ducha narodowego urywa się w zgrzycie ironiczno-bolesnym.

Szkoda że całość, ujęta z tego punktu widzenia, została rzucona szkicowo. Pomimo pięknych scen i ustępów, wygląda, jakby niedokształtowana. Postacie nie urobiły się dość plastycznie w umyśle poety. Lelewel po za rysami entuzjazmu rewolucyjnego i wylewaniu liryzmu nie posiada wyraźnej fizjonomii. Statysty i wojskowi na posiedzeniu rządu narodowego mówią barwnie, ale po literacku, nie mają zarysów żywych postaci. W jednej tylko scenie epizodowej, napisanej już po wystawieniu sztuki, toczy się żywa, pełna wdzięku, rozmowa młodej pary, która łączy się, ale nie może dojść do „sere zguby,“ zajęta troską o losy ojczyzny.

W całości znać borykanie się poetycznego fantasty z tematem konkretnym. Widać pewną trudność ujęcia treści, słowa się kłębią, tok myśli rwie się w podskokach i przeskokach, wikła się i płącze. Styl, jak zwykle u Wyspiańskiego, swoisty i oryginalny, ma nierówne, nerwowe falowanie. Kompozycja rzucona na oślep, nie posiada stężenia i stopniowania. Poeta lubi wkraczać *in medias res*, unika ekspozycji i wyjaśnień nawet takich, które wiążą się ściśle z artystycznym koścem utworu. Dla czytelnika, nieznającego bliżej dziejów powstania listopadowego, dramat ma wiele luk i niedomówień. Niedosć jasno rysuje się perspektywa chwili dziejowej. Niewyraźnym jest stosunek ruchu ulicznego do rządu narodowego, niemożna w akcie V-ym wyrozumieć, dlaczego generał Dębiński, który był gubernatorem miasta, uciera się z Lelewem, reprezentantem demagogii. Dla braku stężenia i dramatyczności „Lelewel“ nie wyszedł zwycięzko z próby scenicznej, chociaż krytyka niefachowa powitała go zrazu bardzo gorąco, niemal jako arcydzieło.

Tymczasem krytyka jednostronnie modernistyczna pomijała ten dramat potem z lekceważeniem, nie znajdując ponętnych dla siebie cech symbolizmu i wizjonerstwa. Niema istotnie „Lelewel“ siły wewnętrznej, która narzuca się, podbija i przykuwa. Jednakże są w tym dramacie szkicowym sceny piękne, chwile gorących porywów, panuje w nim jednolity nastrój poetyczny pełen trwożliwego niepokoju o losy ojczyzny. Głębia ideowa utworu polega na rozterce bujnego polskiego ducha, którego lotne porwy łamię rzeczywistość brutalna, nieubłagana. Wzloty marzeń o proroku i zbawcy narodu, zesłanym z nieba, przerywa luk armat. Ideały muszą milknąć wobec racyi stanu, uzbrojonej w siłę fizyczną. Chronią się w głębie dusz, aby trwać tam, jako marzenie nieziszczone.

W dramacie tym, lubo artystycznie dalekim od doskonałości, przemawia chwilami ból nad bólami, wiekowa męka narodu, który czuł siły i prawo do życia i dlatego wpadał czasem w rozpacz i zwątpienie, ale nie mógł się zdobyć na rezygnację.

*

*

*

W „Kłątwie“, tragedyi, wydanej w Krakowie r. 1899, poeta trafił na temat, zgodny z naturą swego umysłu. Czujna dusza przygląda się ciemnej zagadce losu. Czuje mistyczną głębię przeznaczeń człowieka, któremi rządzą moce zaziemskie, ciężące zło-wrogo nad życiem, karzące za pogwałcenie praw odwiecznych.

W „Kłątwie“ znajduje silny, poetyczny wyraz lęk duszy ludzkiej, która korzy się przed wyższym ła-dem świata. W epoce pierwotnej, gdy rodzą się normy etyczne, krepujące ludzkie barbarzyństwo, ład ten zjawia się czasem w majestacie błyskawic, do-sięga winy człowiecze chłostą, potępieniem. W samym pojęciu kłątwy, stworzonym przez etykę starego zakonu, tkwi nie tylko kara, ale zarazem poczucie grozy i nienawiści, wyłączonej grze-sznika z rodziny bliźnich.

W podaniu ludowem, które stanowi wątek tragedyi, wystę-puje konieczność ofiary. Ona może przebłagać zagniewane bó-stwo, sprowadzić pojednanie między grzechem robaka-człowieka a gniewem najwyższego sądu. Grzech wielki, zgorzienie, jest „kamieniem obrazy i skałą skandalu.“ Nieślubne pożycie księdza z młodą kobietą. Owocem grzechu życie dwojga dzieciątek. Gniewa się za to groźne bóstwo i natura. Spieka pali rolę, wa-rzy żywotne soki ziemiopłodne. Ziemia spękana, twarda jak ska-ła, nie daje karmi człowiekowi. Słońce dopieka nienawistnie skwarem. Atmosfera duszna, w której unosi się groźba pomsty i gniewu.

W okolicach Tarnowa urodziła się ta legenda. Prawdopo-dobnie jest ona śladem szczątkowym epoki, gdy władze kościelne starały się utrwalić celibat księży, wyplenić małżeństwo kleru. Idea ascezy kapłańskiej, zapoczątkowana w zaraniu chrześcijań-stwa przez Św. Pawła, stała się w XIII wieku narzędziem wzmo-cnienia sił kościoła w walce z państwem i władzą świecką. W Pol-sce celibat utrwalony został w r. 1285 na Synodzie w Łęczycy,

zwołanym przez arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Jakóba Świnkę. Surowe kary kościelne dosięgały duchownych żonatych, lub żyjących w konkubinacie. Grzechem było słuchoać mszy, odprawianych przez księży nieposłusznych temu zakazowi. Biskup miał prawo żony i konkubiny księże oraz ich dzieci skazać na niewolę lub chłostę, majątek ich skonfiskować na rzecz kościoła, a przeciwko księżom użyć najostroższych środków rygoru dyscypliny — jak o tem szczegółowo pisze H. Rittner w artykule „Celibat w Polsce,“ zamieszczonym w 1874 r. w „Przewodniku naukowym i literackim.“ W epoce reformacji surowość ta w kościele katolickim zwolniła pod wpływem nowatorskiego fermentu, o czem świadczy głośna sprawa Orzechowskiego, pełnego talentu warchoła w sutannie.

Dziśiaj, pomimo panującego w kościele zachodnim celibatu, sytuacja stanowiąca oś „kłątwy“ nie jest wcale tragiczną. Życie ściera ostre kąty rygoru kościelnego. Naturalne popędy, hamowane przez ascezę, znajdują łatwe ujście w tylu związkach potępianych formalnie, tolerowanych w praktyce. Gdyby dziśiaj kłątwa ścierała winnych, tak jak w dramacie Wyspiańskiego, tragedya losowa stałaby się prawie banalnością.

Inaczej wygląda ona w mrokach legendowej przeszłości, gdy jeszcze błąkały się wśród ludu resztki „dawnej wiary,“ którą w dramacie reprezentuje pustelnik w habitcie zakonu Ś-go Franciszka, pielęgnującego w średnich wiekach mistyczny i naiwny kult dla tajemnic przyrody. Pustelnik zjawia się jako wieszcz, tłómaczący przyczynę klęski żywiołowej, w której widzi karzącą rękę Bożą. Wobec księdza, który złamał ślub czystości, staje on, jako rzecznik i wyraziciel moralnego poczucia ludu. Żąda oczyszczenia przez ofiarę ognia, przez całopalenie płodów ziemi. Ksiądz sprzeciwia się praktykom „dawnej wiary“ — ale utracił moralny wpływ na swoją owczarnię.

Od pierwszych scen czuć tę atmosferę niechęci i nienawiści pomiędzy ludem a plebanią. Stosunek między księdzem a Młodą, jego oblubienicą, jest męczący. Oboje skrepowani, pełni troski, nie mówią do siebie. Ksiądz, ostry impetyk, wie dzie spory z gromadą. Młoda, gwałtowna i zrazu pewna swej przewagi na plebani, swarzy się z robotnikami, pracującymi w ogrodzie i ze służbą, która jej bryzga w oczy drwinkami, stawiając się hardo. Powaga moralna kapłaństwa złamana. Ksiądz musi ustąpić woli ludu, który go widocznie lekceważy. Rozjątrzony zgorszeniem, dotknięty klęską pomsty, lud pod wodzą sołtysa postanawia w duchu „dawnej wiary“ ułożyć ogromny stos ofiarny z kłód drewnianych i wszelakiego paliwa. Wtedy w Młodej zaczyna kiełkować myśl,

że może z niej „trzeba ofiary,“ bo skalana grzechem śmiertelnym jest przyczyną klęski.

Dramatyczność i tragizm utworu rosną z każdą chwilą. Gromadzą się ciężkie chmury, grożące burzą i piorunami. Z prawdą i artyzmem konflikt moralny przenosi poeta w głębie dusz ludzkich, zwłaszcza od chwili przybycia matki księdza, której słowa proste a wymowne, wstrząsają do głębi sumienie winnego. Prześliczne, pełne ekspresji, niepokoju i bólu, są sceny syna z matką i Młodą. Uczucia proste, silnie napięte, przemawiają tu w słowach pełnych powagi i dostojności. W kilku wyrazach, zamienionych między matką a synem, skupia się taka dramatyczność, pełna prostoty, że budzą one dreszcz w czytelniku. Matka, siwa gołąbka, z przerażeniem dowiaduje się o winie synowskiej. Pieści jego dziecięcy ze łzami głębokiego rozezulenia. W prostocie swojej twierdzi, że Bóg, który dał dzieci jej synowi, niechce „je rzucać w otchłanie,“ ale ksiądz, pod wpływem nowoobudzonej gorliwości sumienia, wypowiada surowy nakaz etyki kościelnej: „ktokolwiek na tej ziemi, przysięgi straszliwemi, ślubował Bogu swoją duszę, w czystości żywić nieskalanej, a potem śluby swoje łamie i boskiej łasce nędznie kłamie, Bóg *pomsty* zsyła nań katusze i jego dzieci i kochanie na zatraconych ogień wpędza: ...oto jest matko moja nędza!“

Stają mu w myśli księgi starych proroków, którzy, klnąc „spożyte zło występku,“ chcą, aby winny zginął. Ksiądz wyraża to przekonanie, że ofiara doczesna, męka ognia, może uchronić Młodą i jego dzieci od mąk w życiu przyszłym. Zasada ta przed paroma wiekami zapalała stosy czarownic i heretyków. Myśl tej okrutnej ekspiacji, podsłuchana przez Młodą, staje się iskrą rzucaną w duszę zrozpaczonej kobiety. Ubiera ona w biel swe dziecięciątka, żegna je w słowach nabrzmiałych bólem, kąpiących łzami, potem biegnie za plebanią na pole spełnić ofiarę całopalną.

Najśłodsze uczucia rodzinne, będące zwykle źródłem pociechy i szczęścia, zatrute przez grzech, stają się źródłem niedoli.

Przepiękną jest chwila, gdy, wiedząc swe dziatki na ofiarę, nieszczęsna kobieta żegna je łzami, żegna nędzę swego żywota, słońce i wesele życia, dążąc przez mękę ognia w „empirejskich bram podwoje.“ Jest to poetyczny wylew uczuć podniosłych, porryw duszy sięgającej w zaświaty, a zarazem skarga matki niosącej na ofiarę to, co ma najdroższego. Monolog ten stanowi klejnot poetycznej liryki. Poparty ekspresją gry i dykcji znakomitej artystki, mógłby wywrzeć na scenie wrażenie ogromne. Można spytać, skąd w tej prostej kobiecie z ludu bierze się taka wielkość

uczucia, ta żądza oglądania światłości niebiańskiej? Opierając się z początku na gruncie pojęć i uczuć realnych, ludowych, poeta wkroczył potem w sferę idealizacji, podniósł skalę duchową danej postaci niezmieniając jej natury. Włożył w jej usta wymowę nie tylko uczuć osobistych, ale cierpiącej ludzkiej duszy wogóle. Wtrąciwszy w ogień biedne dziecięcy, Młoda sama niema sił, by spłonąć. Z bólu i rozpaczyny wpada w obłęd, biegnie z żagwią pod plebanie, aby ją podpalić. Lud wzburzony dzieciobójstwem ściga szaloną i kamieniuje ją kawałkami spiekłej grudy. Ksiądz oszalały z rozpaczyny, ucieka ze wsi, pędząc na oślep przed siebie. Grom zdala bije, wieś staje w płomieniach, pustelnik woła do ludu: „Bijcie o ziem głową — Bóg mówi — Słowo!”

W burzy i piorunach przemawia ten Bóg, „którego oblicze błyskawicowe jest,” gniewne i mściwe. Nie jest to Bóg chrześcijański, ojciec miłosierny świata, ale raczej Jehowa, który wedle psalmisty objawia się we wstrząśnieniach ziemi, z „którego nozdrzy dym bucha i ogień pożerający.” Nie jest to nawet ten mądry, dobrotliwy Bóg z księgi Hioba, który nie karze znękanego rozpaczą człowieka za bluźnierswa, tylko upomina go, że niepowinien buntować się myślą, bo ona jest za słaba, żeby zgłębić i pojąć wyższy porządek świata. Nie jest wreszcie ten wspaniały, łagodny monarcha świata, który we „Faustcie” Göthe’go pozwala ze sobą dysputować wysłańcowi piekiel, szatanowi niższej rangi. Wyspiański zna tylko ponure oblicza Bóstwa, Losu i Przyrody. Jego tragedia kończy się wybuchem spotęgowanego lęku, natężeniem grozy, które dochodzi do granic okropności. To jest katastrofa raczej niż tragedia, bo namiętności i wola ludzka nie mają tu dość siły, aby borykać się z losem, ale padają pod brzemieniem kury, uległe wyższym potęgom. Z tego starcia wynika tryumf idei, a raczej bogobojnego szafu ascezy i czystości moralnej.

Pomimo drażliwego tematu, który dotąd zagroził tej tragedyi drogę na deski sceniczne, technie ona fanatyzmem etyki chrześcijańskiej, co każe deptać pokusy ciała dla zbawienia wiecznego. Całość odczuta mocno i szczerze.

Idąc za legendą, spojrział Wyspiański na temat ten z wyżyny ascetycznej, ukazał dusze ludzkie skrepowane lękiem, pełne zbożnej grozy, szamoczące się w poczuciu wielkiej winy. W budowie, tonie i układzie tragedyi poszedł śladem tragików greckich i artystycznie osiągnął rezultat świetny, ponieważ natura przedmiotu dała się ująć w zarysach antycznych. Nie znam utworu, w którymby przyswojenie formy starożytnej było szczęśliwiej spojone z rdzeniem rzeczy. Poeta kształtował figury dramatu w spo-

sób pół-klasycyzy, chwytął ich zarysy i mowę pod kątem głównego założenia utworu. Nie są to złożone, bogate, różnorodne figury Szekspirowskie, ale osobistości żywe, acz uproszczone, mające plastykę stylizowaną wyraziście, pół-posługowo. Szkoda, że w zakończeniu tragedyi nie był wiernym stylowi greckiemu, który usuwał brutalne widoki mordów. Mógł oszczędzić przy końcu sztuki widoku ociekłego krwią w konwulsjach przedzgonnych, ciała ukamienowanej kobiety. Wyspiański bywa nieubłagany i nie-miłosierny dla swych bohaterów, nie cofa się przed scenami i obrazami, które przechodzą granicę wytrzymałości naszej na wrażenia ponure.

Pod względem prostoty i powagi surowej, „Klątwa“ jest w naszej literaturze, a może i w literaturze dramatycznej całego świata, dziełem najbliższem tragedyi greckiej, a zarazem żywotnem, najmniej sztucznem, pomimo naśladowanej formy. Dzieje się to w znacznej części za sprawą stylu, stworzonego w sposób wprost zadziwiający, ze spływu mowy ludowej z językiem najdawniejszych zabytków literackich. Utworzył się z tego wiersz płynny, dziwnie poważny, swoisty, chwilami dźwięczący pełnią i powagą prastarych pieśni i chorałów, styl, który od jędrnej, uszlachetnionej mowy potocznej wznosi się naturalnie i stopniowo do wyżyn natchnienia. Styl łączący jasność i prostotę z patosem szlachetnym, nie szczudłowym, ani wysiłonym — styl surowy, ale jasny, nie splątany w gzygzakach, dźwięczący, jak metal szlachetny, który wypełnia wszystkie kształty i załamany poetycznej plastyki. Znaczenie języka utworu dobrze i wymownie określił p. Antoni Potocki w swem panegirycznym studyum o Wyspiańskim, wydanem w Krakowie r. 1902.

„Klątwa“ jest w swej harmonii i skończoności, jakby grupą, odlaną z brązu, w której kontury chwilami potrącają o rodzajowość, ale są modelowane szeroko, jędrnie i szlachetnie.

Można wskazać pewne skazy w plastyce i nieprawidłowości w wiązadłach utworu. Można się dziwić, dlaczego w tragedyi, opartej na tle chrześcijańsko-katolickiem, pojęcie Bóstwa jest takie groźne i złowrogie. Można twierdzić, że nawet zasadniczy temat tragedyi oraz jej idea, nie są typowe dla stosunków zachodniego kościoła. Można zapytać, dlaczego pustelnik w habitie franciszkanina wskrzesza tradycje wiary pogańskiej. Można zarzucić, że myśl pokuty ogniowej powstaje zbyt późno w duszy księdza, można się zżymać na przejaskrawienie okropności w scenach końcowych. Mimo to „Klątwa“ podbija nie tylko przekonującą wymową uczuć i plastyką figur, ale powagą i siłą nastro-

ju, imponuje artystycznem stopniowaniem w rozwoju osnowy, wspaniałą harmonią zarysów ogólnych. „Klątwa“ jest jednym z rzadkich dzieł poezyi, w których twórca osiąga w pełni zamierzony cel i wrażenie. Formalnie jest ona najdoskonalszą ze wszystkich dramatów Wyspiańskiego, okazuje niezwykłą zdolność konstrukcyjną twórcy, świadome, spokojne opanowanie danej artystycznej techniki.

Temat tragedyi należy do wiekuistych i nieprzedawnionych. To walka i szamotanie się przyrodnych popędów człowieka, żądzy życia, pragnienia rozkoszy z więzami praw etycznych. Walka pragnień doczesnych z moralnością, zwróconą ku celom zaziemskim, opartą na sankcyi powagi nadnaturalnej.

„Klątwa“ dla tego ma siłę wewnętrzną, oporną na działanie żrących odczynników analizy krytycznej. Zachowa ona swą żywotność wśród kapryśnego falowania mody literackiej, napływu nowych prądów, zalewających twory znikome i jednodniowe.

V.

R a p s o d y.

Po „Klątwie“ w rozwoju twórczości poety nastąpiła przerwa półtoraroczna. W r. 1901 wypoczęte skrzydła fantazyi zerwały się do lotu. Zwłaszcza w pierwszej połowie tego roku Wyspiański tworzy szybko, gorączkowo, puszczając wodze swej skłonności do wielkich majaków.

Rozkołysany wizjami „Króla ducha,“ pisze dwa rapsody: „Bolesław Śmiały“ i „Kazimierz Wielki,“ wskrzeszając narodową, zarazem i krakowską tradycyę Skalki i Wawelu. Współcześnie z rapsodami tworzy pokrewne im treścią kompozycyę witrażowe, które prawdopodobnie były potrąceniem dla wyobraźni poetycznej.

Ciasno mu było w spiżowo-kutych kształtach tragedyi, więc chwilowo wybrał formę epicką, jakby snując dalej wątek wielkiego poematu Słowackiego, wzięwszy od niego ton mistyczny i formę oktawy, którą rozluźniał i zmieniał chwilami. W obu rapsodach, tak jak u Słowackiego, przemawiają mary królewskie — ale każda z nich występuje odrębnie, nie są wcieleniami ani formami przepisowemi w ewolucyi jednej duchowej istoty.

Rapsod o Bolesławie rozpoczyna się od wyrażnie i artystycznie przedstawionej sceny wyklęcia królu. Przypominając po za

grobem chwilę zabójstwa biskupa w opisie poetycznie silnym a skupionym, król morderca nie kaja się. Jemu dał Bóg karzącą rękę na biskupa, który w chwili wzrostu państwa knuł zdradę, chciał mu wytrącić berło z ręki i zniewolił zniżyć purpurę monarszą na czerwień katowską. Mimo to nad trupem męczennika zawisła jakaś moc cudowna. Orły królewskie nie chciały szponami szarpać ciała, ale, rozpostarwszy skrzydła, broniły świętych włosów. Dreńczony wyrzutami sumienia, król opuszcza zamek wawelski, błądzi po kraju, żegna się z synem ukochanym, który go w drodze dopędził z drużyną. W scenach tych żal ojcowski drga rzewnie, wzruszająco. Potem król-tułacz walczy na Pomorzu, w przeczuciu wieszczem widzi śmierć drogiego syna, którego brat otrął zdradziecko — śmierć, przedstawioną w formie pięknej archaicznej ballady.

Sceny rapsodu zmieniają się potem, jak rojenia senne, jak obłoki które nasuwają się luźno jedno na drugie. Bolesław, jako duch, błądzi po śmierci w tatrzańskich turniach, szukając legendowych rycerzy Chrobrego, którzy w grocie górskiej zasnęli. Próżna gonitwa. Król, będący „żywych prawd wcieleniem,“ widział na jawie widma rycerzy; są one jednak niezdolne do czynu, jak każda senność. Ucieka więc od tego wojska mar, od tej legendy, która według poety uosabia martwość ducha. Po błędnej wędrówce sam czuje się skamieniałym rycerzem. Ma trwać wieczność całą w tym zapędzie „zamierzony z mieczem gotowym do cięcia.“ Głos archanielski zwiastuje mu, że kiedyś powołany będzie do wniebowzięcia, a wtedy sam Bóg rozkaże biskupowi przeżegnać go tą prawicą, która rzuciła klątwę. Spór pomiędzy królem a biskupem zostaje nierozsądzony. Poeta odsuwa go w przeszłość wiekową — przepowiada wyrok boży, który pojedna klętego z zamordowanym.

Ideowo przedstawia się ten rapsod mętnie. Poeta staje chwilami po stronie króla, który streszcza w sobie młodzieńczą siłę państwa i narodu. Epizody i ustępy posiadają dużo poetycznego czaru. W pieśni, którą nuca królowi rusalki na dnie rzeki, w malowniczym obrazowaniu uroczyska i bagna ze świętymi więzami czuć technienie legendy piastowskiej, która gwarzy o prastarych pogańskich dziwach. Artystycznie jednak całość jest rwana, językowo grudowata, zeszcpeczona czasem skazami formy wiersza. Ustępy końcowe, skupiające myślowy i poetyczny rezultat rapsodów, wywołują wrażenie chwiejne, niezdecydowane. Król, skamieniały z zamachem do cięcia, zastygł tak na wieki w tym pół-ruchu, jako obraz, nie jest wymownym, ani symbolicznie suggestywnym.

Niektóre momenty mają barwę lub plastykę niepowszednią, ale pomimo szerokiego epickiego stylu i nastroju pełnego legendowej powagi, całość jest rzucona, jakby z nieopatrzynym kaprysem — niedokształtowana.

*

*

*

W „Kazimierzu Wielkim“ wspaniale brzmią akordy wstępne. Z rozkopanego w 1869 r. grobu monarchy, który wzmacniał państwową siłę dawnej Polski, przemawia majestat mocy ducha, trwającej przez wieki. Duch Kazimierza błądzi po przestworzach ziemskich, śniąc o przyszłym życiu narodu „królewskim, błękitnym, pogodnym.“ Nagle słyszy jakiś głos, nakazujący mu, by wracał na dzień drugiego swego pogrzebu i śmierci drugiej. Znajduje się w czarnej pustce, czuje prochem i kośćmi, ale czuje, jakby istota żywa. Brak mu w grobowcu tchu, oczy toną w ciemności. Gdy światło wkradło się przez otwór wybity w pieczarze, płacze łzami wstydu, które ściekają po twarzy kościstej. Wzruszenia pośmiertne ducha łączą się, według zwyczaju poety, z ruchem materialnych szczątków. Nad otworem grobu stoi człowiek maleńki, jeden z tych, „co są aniołom podobni,“ z proroczym żarem w oku. Poeta z sympatją i czcią wskrzesza postać mistrza Matejki, każe mu przemawiać rzewną skargą pracownika znużonego wśród niedoli czasu — skargą, zakończoną szeptem modlitwy za szczęście ojczyzny.

I spojrzął duch królewski na rzeszę ludzi przy grobowcu, na tłum „w skromnych, czarnych ubiorach.“ Spojrzął w oblicza współczesnego pokolenia, które ma na czołach „światłość posłannicza,“ a w sercu poczucie „zawodów, męczeństw i klęsk pogromu.“ Odezuł w ich duszach skargę na bezpłodność, na brak wytkniętych celów żywota, na ciemnicę ducha ludu bezdomnego. Gdy kości króla, zebrane na nowo, spoczęły w trumnie sosnowej, z zapachem żywicy zawiął na niego czar. W oczach staje mu majak niespodziewany: w cudnej strofie wyśpiewana, wyśniona, święta pieśń szczęścia, które było niegdyś bogactwem narodu. Potem myślą ogarnia wawelską świątynię pamiątek, którą sam dźwigał i upiększał. Widzi u krut grobu cisnącą się ciżbę, czuje z niej twórczy dech wchodzący w próchno kości. Słyszy wołanie

narodu, który wskrzesza w nim marę dawnej wielkości. Zrozumiał wtedy duch Kazimierzowy, dlaczego rozkaz i jęk narodu wróciły go z zaziemskich regionów. Wyzwała się z pęt grobu, siadała na kamieniu pod wielką wieżą, tak jak człowiek żyjący, i ogląda korowód swego nowego pogrzebu.

Rytm rapsodu się zmienia, płyną strofy rozkołysane, jękiem dzwonów nabrzmiące. W przedziwnej melopei snują się obrazy pogrzebu, skapanego w blaskach słońca, przewijają się wieńce, proporce, płynie tłum barwny, chorągwiany, a nad nim „kołyszą się w górze pienia wróżebne.“ Te karty poeta ukwiecił wyjątkowym dźwiękiem, kojarząc słoneczną uroczystość z głęboką melancholią. Krakowiak z krwi i kości, odczuł powagę i piękno tych chwil uroczystych, w których wspomnienia żałobne w mieście pamiątek, były narodowi świętem otuchy i pokrzepienia.

Wskrzeszony modlitw cudem, duch Kazimierza uderzył wtedy krzykiem piersi spróchniałej, tak, że po całej Polsce rozległo się echo. Ale to nie krzyczy duch zmarłego króla, to krzyczy zatruta bólem narodu, ujarzmiona tradycją wawelową, dusza samego poety.

Jest to w poezji prawo powszechne, że twórca nadaje wywołanym przez siebie postaciom i marom, cechy własnego umysłu i wyobraźni, albo każe własnej duszy przemawiać głosem swych bohaterów. Prawo to da się wysledzić w dziełach pisarzy nawet bardzo przedmiotowych, którzy skrywają starannie swoje *ja* za wzorzystą tkaniną przedzy poetycznej. Więc nie dziwnego, że duch Kazimierza odzywa się głosem protestu i wypowiada stanowisko zaprzeczne samego wieszczą. Występują tu wyraźnie trzy zasadnicze motywy w poezji Wyspiańskiego, które potem rozwiną się pełniej i barwniej: 1) poeta oskarża naród o rozkochanie się w grobach i poddanie się pod jarzmo historyzmu; 2) powstaje na samozwańczą rolę wielkich romantyków, którzy narzucali rzeszom fałszywe wróżby; 3) potępia niemoc i rozbitcie ducha pokolenia współczesnego, potępia wodzów narodu, podsycających wrzenie i zamęt. Te myśli pojawiają się tu w kształcie słownym, formularnym, wypowiedane, jako bezpośredni wylew uczucia lęku i troski o przyszłość narodu.

Z tych ziarn ideowych w „Wyzwoleniu“ potem wyrasta cały splot barwnych obrazów i symbolów. Przyjrzymy się im potem, zadając pytanie, czy istotnie stanowisko zaprzeczne poety, wobec tradycyi historycznej i narodowej, może być uważane, jako moment twórczej myśli polskiej naszego czasu?

W rapsodzie o Kazimierzu, te myśli i przekonania skryształizowane, wyraźnie poparte są energicznym obrazem końcowym. Wobec gromady ludu, odbywającego Sejm jakiś „przy ołtarzu nagrobnym,” duch królewski staje się nagle „krwią i kością między żywymi.” Chwyta młot i miazdzy mówcę, który był rzecznikiem zamętu i rozpaczy. Naród obaczył się wolny duchem. Młot wielkości roztrzaskał to, co było rozłamem i niewolą. To symbol, a raczej postulat przyszłości. Rapsod kończy się wróżbą odnowienia wewnętrznej siły narodu przez moc niszczącą jego grzechy i błędy.

W przeciwieństwie do wspaniałej, ale szkieletowej postaci na witrażu, duch Kazimierza Wielkiego jest wstającą z grobu potęgą, która nawołuje do nowego życia. Od początku do końca poemat pełny jest obrazowości majestatycznej, mocno napiętego uczucia, imponuje ciężkością i rozmachem słowa. Układ mniej mętny, niż w rapsodzie poprzednim. Forma stroficzna chwilami się rozluźnia swobodnie, ustępując płynnej rytmice kolędowej.

Wrażenie rapsodu polega na tem, że poeta zestawił wskrzeszoną wielkość dziejową z niedolą i zamętem czasu naszego. To jeden ze zgrzytów bólu narodowego, artystyczna manifestacja siły, płynącej z cierpienia.

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

LUTER I ALBRECHT

PRZED SEKULARYZACJĄ PRUS

(Ku uczczeniu rocznicy rejowskiej, urywek z większej pracy).

Niespełna lat dwa trwająca ostatnia wojna Polski z Zakonem niemieckim, „wojna uboga w ważne wydarzenia, wielkich ludzi i czyny, a za to tem bogatsza w okrucieństwa i rabunki“ ¹⁾, zakończona czteroletniem zawieszeniem broni 7 kwietnia 1521 roku w Toruniu ²⁾, przekonała ostatecznie Albrechta, że przeżyty i zgnity Zakon ani marzyć może o samodzielnej wojnie z potężną bądź co bądź Polską Jagiellonów, a już tembardziej o tym ideale rycerzy zakonnych — odzyskaniu t. zw. Prus Królewskich z Warmią. Buta dumnego Hohenzollerna w płaszczu zakonnym, upór w wypełnieniu warunków wieczystego pokoju z 1466 r. i złożenia hołdu, doprowadziły do wojny, która okazała w całej nagości słabość tego „szpitala niemieckiej szlachty,“ jak wówczas w Niemczech nazywano Zakon, tego strupieszalego dziecka epoki zapалу religijnego, epoki wypraw krzyżowych. Przyprawiła o straszną nędzę cały kraj zakonny, o najzupełniejszą ruinę tak świetny niegdyś i pełny złota skarbiec krzyżacki, podniosła rozgoryczenie i zniechęcenie wśród poddanych Zakonu. Po paru tygodniach wyprawy, cały niemal kraj leżał u stóp zwycięskiego Jagiellona, wojska tego „dziekana i rozjemcy Europy“ zbliżały się już pod Królewiec, zajmawszy poprzednio cały szereg miast... katastrofa zupełna była bliską, bo

¹⁾ Voigt, J. „Gesch. Preussens“ Bd. IX, p. 634.

²⁾ Tekst odnośnego dokumentu u Dogiela Codex dipl. Pol., t. IV, p. 218—223.

i najemne wojska Albrechta buntować się poczęły. Wyratowała Krzyżaka niewytrwałość polska i łagodność Zygmunta, jak często, tak i tu niepotrzebna; wyratowało pośrednictwo cesarza i Ludwika, czesko-węgierskiego króla. Zawarto chwilowy rozejm. Dla Albrechta była to wielka wygrana. Zyskiwał bądź co bądź znaczny kawał czasu, bo lat cztery, by obmyśleć i przygotować się do przyszłych wypadków. Bo zawieszenie broni—to nie innego, tylko odłożenie sprawy. Nie zakończył jej, nie rozwiązywał wcale, zostawiał „status quo.“ W. mistrz zaraz też zaczął myśleć o nowych środkach i sposobach ubezpieczenia się i lepszego przygotowania do nowego aktu, który się po czterech latach miał rozegrać. A nie przeczuwał nawet takiego nadzwyczajnego końca, jaki zaszedł rzeczywiście. Tymczasem naokół napotykał na coraz nowe trudności, zawikłania, niechęci i to wśród własnych poddanych. Ani mistrzowie prowincjonalni (w Niemczech, Austrii, Inflantach), ani mieszkańcy Prus zakonnych nie chcieli słyszeć o nowej wojnie, o nowych podatkach i zasiłkach pieniężnych. Uchylali się, jak mogli i umieli, powoływali na statuta (austriacki mistrz), na nędzę kraju, na lokalne zawikłania. Niektóre niemieckie posiadłości krzyżackie „ballaie“ np. Utrecht były wręcz nieposłuszne. A skarb w. mistrza był pusty; wierzyciele, jak elektor brandeburski, Joachim, wołali gwałtownie o zwrot pożyczek. Wśród całej powodzi pomysłów, projektów, bardzo ciekawych i charakterystycznych dla Albrechta i będących dowodem bardzo ciężkiego i rozpaczliwego położenia Krzyżaków – wstąpienie Albrechta do służby francuskiej, cesarskiej, by walczyć z Turkami, Ludwika węgierskiego i zrzućenia habitu zakonnego i t. d.—wyłania się jeden, najważniejszy, dla nas decydujący i naprawdę zrealizowany. Jest nim wyjazd Albrechta do Niemiec, by tam wzbudzić uspijony zapal dla bratniego zakonu, by wyjednać u cesarza i panów niemieckich pomoc i ratunek dla tej straży germanizmu na północy ¹⁾.

Nie wiele nas tu interesuje, kto był autorem tego planu, tej podróży w. mistrza: czy sam w. mistrz ją powziął, jak mamy tego ślady jeszcze w 1521 r. ²⁾, czy też poddał mu ją ten awanturniczy,

¹⁾ Ob. o tem wszystkim Voigt'a *Gesch. Preussens* Bd. IX, str. 634—650 lub Joachim'a E. „Die Politik des letzten Hochmeisters“ Bd. III *Einführung* (w *Publicationen aus den preussischen Staatsarchiven* Bd. 61). Że taki cel miała mieć podróż Albrechta do Niemiec, stwierdza instrukcja poselska dla Klingenberg'a, posła do cara Wasyla Iwanowicza, w marcu 1522 u Joachima „Die Politik“ Bd. III № 50.

²⁾ Joachim o. c. *Einführung* p. 9.

ograniczony rycerz miśnieński Ditrich z Schönbergu, który długi czas wywierał ogromny a nieszczęśliwy wpływ na Albrechta, był jego najulubieńszym poufnikiem, twórcą całego szeregu najrozmaitszych a dziwacznych często projektów i pomysłów, potem do wszystkich książąt, królów, bo nawet do Anglii i Szkocyi, by pomocy dla Albrechta szukać, a bezskutecznie (te podróże Dytrycha mają miejsce przedewszystkiem w czasie po zawieszeniu broni a wyjazdem mistrza z Prus), słowem, który był „koszulą i władcą w. mistrza,” jak go nazywa jeden z współczesnych kronikarzy¹⁾, by potem ustąpić miejsca i wpływu również ciemnego charakteru Pawłowi Skalichowi. Dość, że Albrecht 10 kwietnia 1522 r. zaproszony przez Ludwika Jagiellończyka²⁾, wyjechał do Pragi przez Polskę³⁾, by 20 czy 21 września t. r. w towarzystwie arcyks. Ferdynanda stanąć w Norymberdze⁴⁾. Opuszczał swe dziedzictwo na czas długi, bo przeszło trzy lata, zostawiając za sobą rozgoryczenie i niechęć poddanych dla siebie, boć przecie owa kosztowna wojna, która prawie 175 tysięcy grzywien kosztowała⁵⁾, musiała i istotnie fatalnie odbiła na ekonomicznym stanie Prus.⁶⁾

Jeżeli się zważy cały rozwój dalszych wypadków, całą nie następstw, aż do wytworzenia królestwa pruskiego i potem rozbiórów Polski, to musi się uznać ten wyjazd Albrechtowski za wypadek epokowy. Prusy zakonne, Królewiec, nie miały już nigdy ujrzeć w. mistrza w swych murach... Biały płaszcz, znienawidzony przez poddanych, nie miał już więcej niepokoić szlachtę pruską. Nie przewidywał, nie przeczuwał tego nikt, sam w. mistrz nawet, opuszczający w orszaku 120 ludzi mury stolicy. A przecież już daleko i szeroko rozlegał się protest potężny wittenberskiego Augustyanina, który siedział w Wartburgu i nad przekładem Bi-

¹⁾ Grzegorz Spiess (Script. Rer. Prussic., t. V., p. 351), który w 1513 r. wstąpił do kancelaryi Albrechta i potem był jego kanclerzem. Jego kroniczka powstała po r. 1526. Oto jego słowa o Dytrychu: „des hoemeisters underhembd und herscher, auch alles des ordens unfall sampt seinen brudern Hansen und Antonien vor, in und nach dem Krieg und des hoemeisters abfall urhabe, anketzer, stieffter und wie Anthonius mermals beschuldigt worden, des Königs zu Polen verretter...“

²⁾ Tschackert: Urkundenbuch zur Reformationsgeschichte des Herzogthums Preussens, Bd. II, № 54.

³⁾ Zob. ib. № 55 (Itinerarium Albrechta, błędne w niektórych szczegółach).

⁴⁾ Deutsche Reichstagsacten, Jüngere Folge, Bd. III, p. 807, 808.

⁵⁾ Voigt: Gesch. Preussens IX, p. 634.

⁶⁾ Joachim, j. w. Einleitung, p. 29.

blii pracował. Przecież w niedalekiem Gdańsku przed paru jeszcze laty głosił „ewangelię“ w duchu Lutra — Jakób Knade. Czy w. mistrz słyszał już co o tej nowej nauce i potępionym przez kościół jej twórcy? Oczywiście. Nie napróżno jeździł po Europie Dytrych z Schönbergu; on też musiał mistrzowi o tem opowiedzieć. Ale były to tylko pogłoski, wieści pośrednie. Albrecht przedewszystkiem pomocy żebrac jechał u krewnych, u książąt niemieckich. A wrócił innym i na duszy i w ubiorze i w godności. Pamiętny to więc dzień w dziejach krzyżackich, dzień, w którym Królewiec żegnał swego mistrza. Pamiętny i wielki przez swoje niespodziane, nieobliczone następstwa.

*

*

*

Albrecht znalazł się w wielkim świecie. Na dzień 1 września 1522 r. zwołano do Norymbergi sejm Rzeszy. Na ten sejm jechał Albrecht w towarzystwie namiestnika i brata cesarskiego, Ferdynanda, arcybiskupa salzburskiego, biskupa passawskiego, ks. brunszwickiego i innych. Jechał prosić o pomoc, o ratunek dla siebie, dla Zakonu. Wpadł w wielki wir życia, potężny, oszołamiający. Norymberga żyła świetnie. Była niemal centrum ruchu Niemiec ówczesnych, stolicą centralnego rządu Rzeszy (Reichsregiment), ogniskiem i to oddawna już życia literackiego, artystycznego i handlowego, nie mówiąc o politycznem. Tu żył i działał Hans Sachs, tu kwitnęła oddawna t. zw. poezya „Meistersängerów“, tu tworzył i malował Albrecht Dürer i inni. Mieszczanństwo bogate dokonywało arcydzieł w wyrobach cechowych, snycerskich zwłaszcza i stolarskich, prowadziło rozległy i wielki handel. Norymberga była przecież jednym z sześciu miast cesarskich, była najlepszym typem, jednoczącym w sobie charakter mieszczańskiej i rodzimej kultury niemieckiej. A i nauka ścisła znalazła tu grunt podatny. Wybitny humanista, filolog i historyk Willibald Pirckheimer stał na jej czele, on i jego córka Charitus gromadzili koło siebie całe grono uczonych i humanistów niemieckich¹⁾. A i teraz

¹⁾ Por. choćby Geiger: Renaissance und Humanismus in Deutschland und Italien (w zbiorze Onckena).

ta świetna i droga pod względem życia codziennego Norymberga nie została głuchą na potężną, żywiolową falę reformacji. I ona rzuciła się w ten wir i wytworzyła cały szereg predykantów, głosicieli nowej, a więc ponętnej nauki. Lazarus Spengler, pisarz miejski, Dominicus Schleupner, Tomasz Venatorius, Karol Röss, a przede wszystkim Andrzej Osiander — to najznakomitsi z nich. Ludność Norymbergi brała też gorączkowy udział w ich kazaniach, cisnęła się na nie tak gwałtownie i licznie, że rada miejska postanowiła wzniesić nową kazalnicy w kościele św. Sebaldy, gdzie uczył Schleupner¹⁾. Prawda, że sejm Rzeszy ściągnął wielki napływ ludzi i ruch bardziej jeszcze spotęgował.

Sejm Rzeszy otwarto dopiero uroczystie 17 listopada²⁾, a już 24-go złożył Albrecht, który wśród członków sejmu zajął poczesne stanowisko pomiędzy biskupami Rzeszy³⁾, swoją supplikę o pomoc dla Zakonu niemieckiego⁴⁾. Sejm wydzielił ze siebie, jak i dzisiaj, po parlamentach, cały szereg wydziałów i komisji. Należał do niektórych i w. mistrz, jak np. do ściślejszego wydziału dla sprawy luterskiej, jednej z najważniejszych wśród zajęć sejmu⁵⁾. Był wydział osobny i dla sprawy przez Albrechta przedłożonej. Ale ten niewiele przyniósł mu korzyści, jak wogóle i cały sejm oczywiście odnośnie do pomocy dla Zakonu, chociaż zgromadzenie szlachty ujęło się za uciśnionym przez Polskę Zakonem i zwróciło do stanów, by sejm u Ludwika Jagiellończyka i Ferdynanda austriackiego wyjednał jakiś decydujący zjazd, któryby spór polsko-krzyżacki naprawdę zakończył: szlachta bowiem stanowczo stać będzie w obronie Krzyżaków. Odpowiedziano w połowie lutego 1523 r., że Albrecht winien wyszukać rozjemców i pokojową drogą cały spór zakończyć. Może mu w tym względzie i papież wiele dopomódz. Około najbliższych Zielonych Świąt mogłoby nastąpić, zdaniem sejmu, załatwienie tej sprawy; wskazał Albrechtowi także kogoby uważał za najodpowiedniejszego do tej rozjemczej misji (biskupi Freisingu i Passawy, Ludwik, ks. bawarski, Dr. Zoeh i Jan von Schwarzenberg), a przytem odmówił stanowczo wszelkiej pomocy zbrojnej, bo w obecnych warunkach jest to niemożliwe⁶⁾.

¹⁾ Deutsche Reichstagsacten j. w. p. 410/11 w uwadze (D. R. A.).

²⁾ Ibidem p. 216 i 283.

³⁾ Ib. p. 284.

⁴⁾ Ib. p. 290.

⁵⁾ Ib. p. 417 (uwaga).

⁶⁾ D. R. A. p. 735 i Joachim o. c. Bd III № 87.

Niewiele więc mistrz uzyskał, ale za to pod innym względem pobyt jego w Norymberdze miał wielkie znaczenie. Jak wspomnieliśmy, Albrecht przybył wcześniej do Norymbergi i bawił tu dłuższy czas, bo jeszcze w początkach maja 1523 r. z przerwami ¹⁾, jakkolwiek sejm w lutym się zakończył ²⁾. Miał więc Albrecht dosyć czasu zapoznać się ze stosunkami i wybitniejszymi osobistościami. I istotnie wszedł w bliższe stosunki między innymi z Elżbietą, żoną wypędzonego w 1523 r. Krystyna II, króla duńskiego, która odwiedzała Lutra w Wittenberdze, a teraz przebywając w Norymberdze publicznie przyjmowała komunie św. pod obu postaciami i zwolenniczką Lutra się nazywała ³⁾. Zapoznał się dalej z gorącym przyjacielem reformacyi, miejskim pisarzem Lazarusem Spengler'em, twórcą wielu pieśni religijnych w duchu Lutra ⁴⁾. Ale największy, najważniejszy wpływ wywarł na Albrechta słynny w dziejach reformacyi, radykał tak gorący, że z Lutrem popadł później w spór teologiczny — Andrzej Osiander z Gunzenhausen, główny wówczas kaznodzieja norymberski. Kazał on podówczas przy kościele św. Wawrzyńca z porywającą wymową, siłą i zapalem gromiąc papieństwo i zepsucie wśród duchowieństwa i świeckich, zaręczając, „że gdyby papież do swoich trzech koron, jeszcze czwartą na swoją skroń włożył, to nie trafiłby go od Słowa Bożego“ ⁵⁾, twierdząc, że Najśw. Marya Panna nie zachowała dziewictwa. Tłumy przysłuchiwały się jego gwałtownej wymowie, porywane przez niego i zjednywane dla nowej nauki. Przysłuchiwał się tym kazaniom z zajęciem i namiętnością Albrecht. Osiander był pierwszym siewcą, on rzucił pierwsze ziarno luteranizmu do duszy w. mistrza, przygotował grunt do sekularyzacyi Prus przez przemianę uczuć i pojęć religijnych u głowy Zakonu. Jego też nazywa Albrecht swoim „ojcem w Chrystusie“ i długie lata wdzięczność dla niego zachowuje, uwielbienie i cześć. On był dla niego tym „jedynym środkiem, przez który doszedł do prawdziwego, słusznego, boskiego poznania,“ jak sam w 1540 r. pisze do niego, on wyprowadził go z „ciemności papieństwa“ a w częstych rozmowach wzbudził zaufanie do mistrza re-

1) Tschackert Urkundenbuch Bd II № 55.

2) D. R. A. p. 736 sq.

3) Hase: Herzog Albrecht von Preussen und sein Hofprediger. Leipzig 1879 p. 11.

4) Rindfleisch J. Herzog Albrecht von Hohenzollern, Danzig 1880 p. 6 i inne dzieła.

5) Rindfleisch j. w.

formacyi, chęć poznania go bliżej. Był więc Osiander nader niebezpiecznym dla kościoła przez swój radykalizm i olbrzymi wpływ. Cóż więc dziwnego, że wysłany na sejm Rzeszy Chieregati jego uwięzienia przed innymi predykantami domagał się od stanów?

Bawił bowiem na sejmie jako nuncyusz papieski, Chieregati Francesco, biskup z Teramo (w Abruzzach). Wysłał go Hadryan VI, by tam wzywał stany niemieckie do wojny z Groźną Portą, do ratowania Węgier od zalewu Półksiężycą, by przeszkodził zagrożającemu wzrostowi reformacyi w Niemczech i zażądał od stanów wypełnienia edyktu wormackiego z 1521 r. przeciw Lutrowi i jego nauce. Z polecenia papieża wygłosił Chieregati mowę, jakiej z ust legata papieskiego nigdy jeszcze nie słyszały Norymberga, ani Niemcy całe. „My wiemy — mówi papież w swej instrukcyi dla legata — że w tej świętej stolicy od pewnego czasu wiele wstrętnych czynów dokonano: nadużycia w rzeczach świętych, przekroczenia w przepisach i że to wszystko w końcu do przewrotu doprowadziło. Cóż więc dziwnego, jeżeli choroba ogarnęła od głowy do członków, od papieży do innych niższych prałatów. My wszyscy (t. j. prałaci i duchowieństwo) odstąpiliśmy prawej drogi i nie ma już długo nikogo, co by czynił dobrze, ani jeden nawet. Przeto potrzeba, byśmy wszyscy oddali chwałę Bogu i poddali mu swego ducha i by widział każdy siebie, skąd spadł i lepiej się osądził, niż by chciał być osądzonym przez Boga w szaleństwach swoich.“ Sądził papież, że takie oskarżenie samego siebie, kościoła całego w jego członkach — wywrze dodatni wpływ, odwróci myśl od reformacyi, od buntu przeciw kościołowi rzymskiemu, który przyrzeka przez usta swej głowy zupełną poprawę i reformę, że powstrzyma gwałtowną falę odszczepieństwa, a stany zebrane na sejmie do walki z luteranizmem popchnie. Tymczasem było to, jak słusznie osądził jeden z uczonych niemieckich (Jerzy Winter), dolaniem oliwy do ognia. Słowa powyższe wywarły wręcz przeciwny skutek, a złączone z wywodami Osiandra i jemu podobnych utwierdziły tylko w nienawiści do Rzymu, do papieństwa, które rzeczywiście nie wiele musi wartać, skoro sam papież je potępia. Nie osiągnął też nic Chieregati. Nie powstrzymał fali, nie uzyskał uwięzienia predykantów od sejmu, który wręcz oświadczył, że wywoła to tylko większe jeszcze burze i wrzenie wśród wielbiącej swoich kaznodziei ludności: nie uzyskał egzekucyi karolowego edyktu przeciw Lutrowi z 1521 r., owszem jego zawieszenie.

Ale Chieregati miał i inne jeszcze specjalne misye i listy od papieża — między innymi osobistościami także i do Albrechta.

Miał z nim mówić o wojnie z Turkami i o sprawie zagrożonej przez reformację religii, jak o tem świadczą listy uwierzytelniające papieskie dla legata, a do mistrza adresowane. W jednym z nich uprzedza Hadryan VI Albrechta, że Chieregati ma z nim o ważnych rzeczach dotyczących Lutra i jego nauki konferować, bo papież słyszał, że mistrz odznacza się wielką gorliwością religijną. Legat zabrał się natychmiast do pracy i wypełnienia polecenia papieża. W parę dni bowiem zaledwie po przybyciu Albrechta do Norymbergi, już 27 września odbył z nim konferencyę, wzywając mistrza w imieniu papieża, by się przyczynił do uchwał dotyczących grozy tureckiej, a zarazem, by wraz z innymi książętami chrześcijańskimi pracował nad wypłenieniem i wyrwaniem „korzenia herezyi luterskiej. Albrecht za krótko bawił jeszcze w Norymberdze, nie miał jeszcze na tyle czasu, by się zapoznać z Osian-drem i jego wymowie pozwolić działać, mógł więc poniekąd szczerze całkiem odpowiedzieć legatowi, że nie zna dotąd tej nowej nauki, niemniej jednak przyrzeka mu swą pomoc tak w sprawie tureckiej, jak i przeciw Lutrowi, gdyby ten pisać i działać zaczął przeciw kościołowi. Widocznie papież niezbyt dowierzał szczerości zapewnień Albrechta, skoro legatowi swemu daje ponownie polecenie rozmówienia się z mistrzem i w liście z 30 listopada do Albrechta używał wspomnianych wyżej wyrażen o gorliwości jego religijnej, którym dr. E. Joachim ironiczny podkład przypisuje. Wtedy to zapewne otrzymał Chieregati ową słynną odpowiedź mistrza, która zwróciła na niego uwagę Lutra i była dalszym etapem na drodze luteranizacyi Albrechta. Dowiedział się o niej bowiem profesor wittenberski i on ją nam przekazał w swoim liście z 19 grudnia 1522 r. do przyjaciela swego Waclawa Link'a, z którym często podówczas korespondował. Odpowiedział mianowicie Albrecht, że chętnie kościołowi dopomagać będzie, ale wcale nie myśli źle o „ewangelii“ i sądzi, że to nie dobra dla kościoła pomoc palić księgi i potępiać prawdę¹⁾. To pierwszy sąd Albrechta o Lutrze, a ze strony tegoż już jawne przyznanie się do sympatyi dla nowej nauki. Dziwić już nas ten sąd w. mistrza nie bę-

1) Dr. Martin Luther's: Briefe, Sendschreiben und Bedenken... bearbeitet v. W. de Wette. Berlin 1826. Teil II № 444 p. 266: „Quod de responso principum ad legatum pontificium scribimus, factum est a magistro Prussie marchione Friderico (sic! zamiast Albrechta): hic enim dixerat sese Ecclesie libenter adiuturum, sed eum non esse modum Ecclesie invandae, damnare manifestam veritatem et libros exurere, diciturque non male de Evangelio sentire.“

dzie dla tego, że od września do grudnia miał już Albrecht dosyć czasu zapoznać się z luteranizmem za pośrednictwem radykalnego Osiandra i innych znajomości.

Ale fakta powyższe, owe konferencje z Chieregati'm, rzucają się w oczy i zastanawiają. Są one bardzo charakterystyczne. Pozwalają wysnuć wniosek, że już wtedy, gdy jeszcze obca mu była nowa nauka, był Albrecht w Rzymie u papieża podejrzany, nie uchodził za pewnego w wierze. Co na to wpłynęło, co wyrobiło tę podejrzliwość wyglądającą z listów papieskich? Oto pytanie, jakie się tutaj narzuca. Źródła, jakie mamy w ręku, nie dają niestety na to pytanie odpowiedzi jasnej i stanowczej, tylko hipotetycznie pozwalają nam odpowiedzieć¹⁾. Otóż sądząc, że niedalekim od prawdy będzie mój wniosek, że źródła tej podejrzliwości u Hadryana VI względem prawowierności Albrechta należy szukać w stosunkach mistrza z Dytrychem z Schönberga i jego braćmi, z których jeden, Mikołaj, napozór Dominikanin, był właśnie arcybiskupem kapnańskim i często w Rzymie przebywał. Jak wspomniano, Dytrych był największym przyjacielem i powiernikiem Albrechta, jeździł od lat kilku po całej prawie Europie w sprawach w. mistrza. Mogły więc bardzo łatwo przyjść skądś do papieża jakieś głucho wieści, które obudziły jego czujność i zwróciły uwagę. To byłoby źródło ogólnej natury, któremu trudno jest nam

¹⁾ Zaznaczyć wypada, że najważniejsze w tym względzie zbiory Tschackert'a i Joachima, na królewieckim archiwum oparte, są niewystarczające. Tschackert zajmuje się przedewszystkiem reformacją w Prusiech — Joachim natomiast tę ostatnią usuwa z całą świadomością na plan drugi, cały ciężar kładąc na politykę W. Mistrza. Ogłoszone przez nich dokumenta i materiały są *prawie* wyłącznie regestami, streszczeniami mniej lub więcej obszernemi danego listu czy dokumentu, a bardzo rzadko przytaczają je w całości — dotyczy to szczególnie Tschackert'a. Ten ostatni nie ogranicza się do archiwum królewieckiego, wciąga i inne zbiory, inne wydawnictwa (np. Tomiçiana nasze), nie ogranicza się dalej do aktów samych, ale podaje informacje z kronik o kronikach i innych współczesnych pomnikach historyczno-literackich, jak np. ulotnych broszurach polemiczno-teologicznych. Jego zbiór obejmuje więc więcej, niż zapowiada tytuł „Urkundenbuch,“ bo nie same „Urkunden“ się w nim znajdują. A przecież nie podaje wszystkiego. Można to twierdzić z wielkiem prawdopodobieństwem przez porównanie z wydawnictwem Joachima. Mniejsza już bowiem o to, że ten drukuje przedewszystkiem nowe materiały, bo to było rzeczą konieczną wobec odmiennego punktu wyjścia u obu wydawców, a przez to są oni wzajemnie niezbędnem uzupełnieniem dla historyka sekularyzacyi Prus. Ale materiał ogłoszony przez Joachima jest może tylko połową — trudno tu bowiem statystykę przeprowadzać — ogólnego

mudać jakieś realniejsze, konkretniejsze kształty, bliżej i jaśniej je oznaczyć: jakie to np. były pogłoski, od kogo pochodziły i t. d. Ale mamy drugie jeszcze źródło, wprawdzie także mało wymowne, ale za to wyraźniejsze, a również z osobą Dytrycha związane. Oto ten szlachcic miśnieński jeszcze jakoś we wrześniu 1521 r. poddał Albrechtowi myśl, by do Lutra zwrócił się o poradę i pomoc w sprawie reorganizacji Zakonu Krzyżackiego i jego statutu. Elektor saski, Fryderyk, opiekun i obrońca Lutra—przebywającego podówczas na zamku w Wartburgu—miał być w tej sprawie pośrednikiem¹⁾. Jest to pierwszy wypadek, w którym spotykamy się z imieniem Lutra w aktach Prus zakonnych dotyczących. Ten projekt, który jak dotąd projektem tylko pozostał, mógł także łatwo dojść do ucha papieskiego i owe uczucia wywołać.

Takie było przygotowanie się Albrechta, pierwszy akt jego luteranizacji. Dwa przyniósł on nam rezultaty: oto w. mistrz, zbliżył się i zapoznał z nauką Lutra, nabrał dla niej sympatii i zwrócił na siebie uwagę stolicy apostolskiej. To pierwszy skutek jego podróży do Niemiec. W roku następnym, 1523, rozpoczęcie się akt drugi.

W marcu 1523 r. wysłał Luter z Wittenbergii okólnik do „panów niemieckiego zakonu“ z własnej zupełnie inicjatywy. Już tytuł jego jest bardzo charakterystyczny: „An die Herrn deutsch

materyału znajdującego się w królewickim archiwum i który autor spożytkował w swoim wstępie (Einleitung). Dowodem tego są liczne przypiski (cytaty) w owym wstępie, ale niestety są one tego rodzaju, że nie pozwalają poznać naprawdę charakteru tych materyałów i zmuszają ograniczyć się do domysłów na podstawie tekstu samego wstępu. Dr. Joachim podaje bowiem tylko kto, do kogo, kiedy i skąd dany list pisze i sygnaturę archiwalną tegoż, a nie objaśnia wcale o jego treści. Wyjątkowo tylko robi jakąś uwagę. Dzięki też tej niefortunnej metodzie przypisków, możemy tylko przypuszczać, a nie twierdzić stanowczo, że Tschackert nie podał wszystkiego, że nie wydrukował listu czy aktu mającego znaczenie dla niego, *jako dla wydawcy dokumentów do historii reformacji w Prusiech*. Nie znamy więc np. listów prokurata Krzyżackiego dr. Buscha w Rzymie do w. mistrza z tych lat (1521—1522), a przynajmniej wszystkich, choć jak z Joachima widać, mieszczą się one w Królewcu. A czy w nich nie ma jakich wiadomości, skąd czerpał papież swą podejrliwość względem Albrechta w ostatnich miesiącach 1522? Mam wrażenie pewne na podstawie studyowania Joachima, że tak. A ponadto, czy i w Rzymie nie znalazłoby się jakichś informacyj w tej sprawie? To są więc powody, dla których musimy uznać, że źródła, jakie posiadamy w ręku, są niewystarczające.

1) Joachim l. c. № 26 p. 161.

Ordens, dass sie falsch Keuscheit meiden, und zur rechten ehelichen Keuscheit greifen Ermahnung.“ Wskazuje on cel pisma z 28 marca, wskazuje, że chodzi tu o instytucję klasztorów, których Luter był zawziętym wrogiem. Wzywa tu profesor wittenberski członków krzyżackiego zakonu, by porzucili swą regułę i celibat; argumentami z Pisma św., jak zwykle w takich razach, usiłuje udowodnić słuszność swoich wywodów. Ale i świeckie względy przemawiają za rozwiązaniem Zakonu. Jest bowiem nadzwyczajną rzeczą, by posiadać świecką władzę i miecz dzierżyć w dłoni, a być równocześnie mnichem; jak się to zgodza, uczy codzienne doświadczenie. Wielu z członków Zakonu żyje teraz niemoralnie i to właśnie dzięki celibatowi, bo szkodliwą jest taka przymuszona czystość. Zakon posiadając wielkie dobra, wielu poddanych, wogóle tworząc organizm państwowy, jest dla tych poddanych swoich nie tylko nieużyteczny, ale nawet niemiły im i nienawistny: zmienią się to, gdy za jego radą pójdzie, i Bogu miłszymi się staną jego członkowie i poddani, którzy z ogólnym poklaskiem i radością przyjmą taką zmianę. A wreszcie Zakon Krzyżacki przez swoje znaczenie i potęgę da inicjatywę, przykład piękny innym zakonom niemieckim, że pozbędą się tej „fałszywej czystości,” Luter wierzy więc, że rady jego nie będą bezskuteczne¹⁾.

Czy ten okólnik Lutera — pisze dr. Tschackert — doszedł do miejsca swego przeznaczenia i był tam czytany—nie wiadomo; ale że znał go Albrecht i czytał w Norymberdze, jest więcej niż prawdopodobnem²⁾. Jemu też przypisuje niemiecki uczony bezpośrednią inicjatywę nader ważnego postępu Albrechta, który był wielkim krokiem naprzód w zmianie pojęć religijnych w. mistrza. Nie próżnował bowiem pod tym względem potomek Hohenzollerna, który był właśnie przeszło sto lat temu burgrabią tej samej Norymbergii, a która tak ważną rolę odegrała w życiu siostrzeńca Zygmunta Starego. Charakterystyczny i wymowny tego dowód daje nam oświadczenie Albrechta w sprawie kazań i zakonników złożone na sejmie Rzeszy. Kaznodzieje winni — zdaniem Albrechta — unikać wszystkiego, co jest przeciw władzy skierowane i chrześcijan na złą drogę zaprowadzić może, a objaśniać ewangelię „nach bewährten Schriften und christlicher Auslegung,” a nie na „Auslegung“ (wykładzie) czterech nauczycieli kościoła: Hieronima,

¹⁾ Okólnika tego nie znam w oryginale; dłuższe jego streszczenie podał Köstlin: „Martin Luther,” Elberfeld 1875 Bd I p. 657.

²⁾ b. c. Bd I p. 23 (Einleitung).

Augustyna, Grzegorza i Ambrożego t. j. tych czterech komentatorów Pisma św. Pierwotnie uwzględniał Albrecht wykład tych teologów, ale później przeglądając brulion swego oświadczenia, przekreślił ich nazwiska i dopisał „nach christlicher Auslegung.“ Co się zaś tyczy mnichów, którzy opuścili klasztor i pobrali żony, to sądzi w. mistrz, że powinni uleść tylko karze duchownej t. j. utracie przywilejów, beneficjów, ale w żadnym razie świeckiej¹⁾. Równocześnie z tem oświadczeniem lub niedługo po nim, w dn. 14 czerwca 1523 r. spełnia Albrecht krok wielkiego znaczenia — jest to z jego strony pierwsze bezpośrednie jego porozumienie się z Lutrem, pierwszy jego list do niego. Oto w dniu tym wysłał Albrecht z Norymbergi do Lutra dworzanina swego, magistra Jana Oeden'a z Heibronu z listem uwierzytelniającym i instrukcją poselską. Albrecht prosi przez tego posła o radę w sprawach Zakonu. Zaklina go na wszystko, by milczał o tem poselstwie Oeden'a do grobu i spalił list uwierzytelniający dla Oeden'a, by nikt się nigdy o tem nie dowiedział. Posyła Lutrowi księgę statutów Zakonu Krzyżackiego, z prośbą, by je przejrzał, poprawił i swój sąd wydał; by go pouczył, jak duchowieństwo w państwie zakonem ma iść swojej poprawy, co robić, by się stało prawdziwie chrześcijańskim²⁾. Odpowiedzi Lutra na to poselstwo nie znamy, bo tekst jej zaginął, tylko jeden jedyny Szymon Grunau, współczesny kronikarz podaje o niej wiadomość. Otóż według niego uznać miał Luter statuta zakonne za dzieło prywaty, interesu osobistego „katów biednych ludzi,“ z których najuczciwszy jest gorszy od Turka. W początkach istnienia Zakonu trzymano się „ewangelii,“ a nie reguł, które później powstały. Dziś składa się dziesięć przysięg, a żadnej nie dotrzymuje. Uczeń niemieccy uważają Grunau'a, tego nieprzyjaciela reformacyi, za źródło mętne i potwarze, nie bardzo więc dowierzają jego relacyom. Ale z drugiej strony podnieść trzeba, że ten Dominikanin z Gdańska, korzystał z wielu dokumentów, listów i t. p. i na ich podstawie układał swą wielką kronikę. Przyznają mu to ci sami niemieccy uczeni, bardzo więc być może, że i w powyższej relacyi mieści się ziarno prawdy.

Przez to poselstwo Albrecht znowu posunął się naprzód i tym razem znacznie, bo wszedł już w bezpośredni kontakt z Lutrem,

¹⁾ Tschackert o. c. Bd II № 118.

²⁾ Tschackert j. w. № 113 i 114. Instrukcyi tej również nie znam z powodów powyżej podanych.

zawiązał z nim korespondencyę, która długo potem trwać będzie. Omawiając to poselstwo Oeden'a, dwie rzeczy podnieść należy.

W instrukcyi dla posła swojego na pierwszym miejscu kładzie w. mistrz prośbę do Lutra, by milczał o tem aż do grobu. Jest to dowodem wyraźnym, że w Albrechcie nie zaszła jeszcze najzupełniejsza zmiana, że bał się jeszcze ryzykować i stanowczo przekraczać Rubikonu. Dla Luteranizmu czuł sympatyę i pociąg wielki, ale co mu za korzyść przynieść może takie otwarte przyznanie się do buntu przeciw istniejącemu porządkowi lub na co go narazi? Była to jeszcze kwestya otwarta, wątpliwości poważne. Co na to powie cesarz Karol V, co powie papież, co Polska wreszcie i jego rodzony wuj Zygmunt? Cesarz, papież byli dotąd jego tarczą, jego opiekunami, oni bronili go i zasłaniali przed zupełną katastrofą, hamowali Polskę, wyjednali to zawieszenie broni, z którego Albrecht dotąd korzystał. Czy będą takimi obrońcami i nadal, gdy on, Albrecht, zrzuci płaszcz krzyżacki i wyznawcą Lutra się ogłosi? Oczywiście — nie. Odwróci się i jeden i drugi; przecież cesarz jest wrogiem Lutra, autorem edyktu przeciw niemu. Ba, nietylko odwrócą się i odmówią kategorycznie swej dotychczasowej moralnej pomocy i poparcia, ale potępią go wprost i przeciw niemu swe siły skierują może nawet i Zygmunta do walki z nim wzywać będą. A czujność papieska już przecie obudzona. A Polska i jej prawowierny monarcha czy nie skorzysta z tego i nie zdławi już w zupełności i nazawsze hydry krzyżackiej? Spór zaś z nią ciągle jeszcze nie załatwiony, stosunki takie, że bez pomocy i pieniężnej i orężnej o wojnie z Polską nie ma mowy. Pomoc zaś z Rzeszy byłaby bardzo niewystarczającą, gdyby cesarz stanowczo opuścił Zakon. A co on sam i poddani jego (Zakonowi) powiedzą na taki krok swego pana i zwierzchnika i jak go przyjmą? Czy wreszcie luteranizm ma przed sobą jaką przyszłość i możliwość zwycięstwa w walce z potężnym bądź co bądź kościołem i cesarzem? Wątpliwości więc poważnych było dużo i nie dziw, że Albrecht przestrzegwał ostrożności, lękał się zawczasem zrzucić maskę. A w dodatku on Lutra jeszcze nie znał; to co wiedział o nim, to były wiadomości od ludzi postronnych. Jeżeli się więc ma jakąś rzecz postanowić, trzeba ją wprzód zbadać dobrze, przypatrzeć się jej zblizka, czy warta ofiary. Stąd to poselstwo do Wittenbergi. Oeden grał tu rolę forpoczty, przedniej straży, która miała zbadać teren, przygotować dalszą akcyę. To jedno.

Luter miał przejrzeć księgę statutów zakonnych, poprawić, udzielić rady, jak pracować, by Zakon i duchowieństwo w Pru-

siech krzyżackich odzyskało zdrowie moralne — to był oficjalny cel tajnego poselstwa. Rzecz to nie nowa. Jeszcze w 1519 r. 6 listopada wysłał papież Leon X brewe do Albrechta, w którym wzywa go, by uskutecznił gruntowną reformę i poprawę obyczajów wśród członków Zakonu¹⁾. Teraz, w 1523 r. Hurdryan VI odnawia ten rozkaz poprzednika swego i wzywa powtórnie w. mistrza do pracy w tym kierunku. Albrecht o podobnej działalności myślał w istocie — wojna z Polską przeszkodziła w pracy, ale po niej wyszła znowu na wierzch. Jak wiemy, już w 1521 r. nosił się w. mistrz z podobnym planem, ale nie wiedział, jak do tego się zabrać i do kogo zwrócić. Dytrych z Schönbergu podsunął mu już wówczas Lutra, Albrecht niniejszem poselstwem wypełnia jego radę i do Lutra o pomoc się ucieka. Że wpłynął na to postanowienie obok ogólnych powodów, zmian zachodzących w duszy w. mistrza pod wpływem Osiandra, także i okólnik Lutra do członków Zakonu — rzecz niewątpliwa. A zważyć należy, że to co Luter pisał w tym okólniku i co według Grunau'a relacji miał odpowiedzieć Oeden'owi o zepsuciu wśród rycerzy krzyżackich, było najzupełniejszą prawdą. Krzyżacy ulegli wówczas najstraszniejszej zgniliźnie moralnej, najohydniejszemu nierządowi, byli już rozkładającym się trupem i pod względem państwowym także. A wieść o tym stanie rozchodziła się daleko, znaną była dobrze w Niemczech, zwróciła uwagę stolicy apostolskiej, która przez usta Leona X wzywa w. mistrza, by wszelkich sił i starań dołożył potrzebnych do uzdrowienia Zakonu.

Poselstwo Oedena, jakkolwiek nie było jeszcze zupełnem zerwaniem z przeszłością, było jednak w każdym razie czynem poważnym, silnem podrażnieniem podstaw, na których ta przeszłość się opierała. Albrecht zaczyna teraz myśleć nie tylko o sobie, ale i kraju swoim, o potrzebie przygotowania tam gruntu do dalszej działalności. Już 27 września 1523 r. usłyszał Królewiec pierwsze ewangelickie kazanie z ust towarzysza Lutra, Jana Briessmann'a, pierwszego reformatora Prus²⁾. Nie na własną rękę przybył tu Briessmann, ale na prośbę mistrza samego. Nie dość na tem. Wkrótce posyła Albrecht drugiego predykanta do Prus, Jana Amandusa, również dla głoszenia „czystego słowa Bożego“; 29 listopada 1523 r. wygłosił Amandus pierwsze swoje kazanie, nie w ka-

¹⁾ Volgt: Gesch. Preussens IX p. 685.

²⁾ Beler - Platner „Königsberger Chronik,“ z której wyciągi w „Acta Borussia.“

tedrze, jak Briessmann, ale w parafialnym kościele¹⁾. Ci dwaj — Briessman i Amandus, potem trzeci Paweł Speratus — są rzeczywistymi nauczycielami i twórcami reformacyi w Prusiech zakonnych; oni przygotowali grunt, zasiali pierwsze ziarno odszczepieństwa od kościoła rzymskiego, zjednali ludność dla nowej nauki. A na podatny trafili grunt. Ruch religijny przez nich poczęty szybko rosnąć począł i znalazł tak poważnych protektorów, jak Jerzy Polentz, biskup samlandzki, na czas nieobecności mistrza jego namiestnik, a później E. Queiss, biskup pomezaneński. Polentz w dniu Bożego Narodzenia wygłosił w katedrze królewieckiej kazanie w duchu nauki Lutra, a 28 stycznia 1524 wydał mandat dycieczalny, polecający lekturę dzieł wittenberskiego profesora i nakazujący dopełniać chrztu św. w języku niemieckim. Nie dziw, że wobec tak gorliwych kaznodziei luterskich, jak wspomniani, i tak potężnych protektorów jak Albrecht, który zainicjował rzecz samą przez wysłanie predykantów i biskupa Polentz'a, ruch reformacyjny wzrastał, zwiększało się koło jego wyznawców szybko, a w niedługim czasie przyszło nawet do zaburzeń, jak „szturm obrazów,“ i napady na kościoły i klasztory. Nie możemy tu wdawać się w opis rozwoju reformacyi w Prusiech krzyżackich, zaprowadziłoby nas to za daleko, jakkolwiek ciekawe to dzieje; zaznaczamy tylko, że Albrecht kierował zdaleka tym ruchem i baczna na niego miał uwagę, udzielał informacyj i wskazówek, a niejednokrotnie hamować musiał zbyt dużą gorliwość Polentz'a i jemu podobnych ze względu na kuryę papieską.

W tym samym czasie, w którym Amandus głosił swą naukę w Królewcu, Albrecht był gościem Lutra. Przybył do Wittenbergi 29 listopada 1523 r. wracając z Berlina do Norymbergi. Poraz pierwszy mieli się poznać ci dwaj ludzie, wzajemną ku sobie czujący sympatyę. W. mistrz nie był jedynym gościem niemieckiego reformatora. Bawił wówczas w Norymberdze słynny Melancton i Paweł Speratus, który głosił ewangelię w Iglawie na Morawach, zyskał tu sobie powszechną sympatyę, ale dekretem Ludwika Jagiellończyka został stąd wypędzony²⁾. W ich więc obecności odbyła się rozmowa. Wtedy to zapoznał się Albrecht ze Speratus'em i niedługo potem namówił go do misyi w Prusiech i zjednał dla

1) Ib. Bd II № 141 i Acta Borussia II p. 430, gdzie list Albrechta do rady m. Królewca z 4 marca 1524, w którym gorąco poleca Amandus'a, jako „uczzonego, doświadczonego i pismo św. znającego“ kaznodzieję.

2) Bliższe szczegóły o Speratus'ie zob. u Tschackert'a o. c. (Einleitung).

siebie. Speratus taką miał ufność do w. mistrza, że radził mieszkańcom Iglawy, by do niego zwrócili się o pomoc, jeżeli chcą, by do nich wrócił napowrót¹⁾. O rozmowie wzajemnej Lutra i Albrechta, sam Luter przechował nam wiadomości w liście swoim z 4 lipca 1524 r. do Jana Briessmann'a, bawiącego ciągle w państwie krzyżackim. Gdy więc Albrecht zapytał Lutra o regułę swojego Zakonu, odpowiedział mu Luter, by porzucił tę „głupią i pogardy godną“ regułę, rozwiązał Zakon, sam ożenił się i swoje państwo w świeckie księstwo zamienił. Podobnej rady udzielił mu Filip Melanchton. Mistrz roześmiał się, ale ani słowa nie odpowiedział. Mimo to wierzy Luter, że rada spodobała się jego gościowi, pragnąłby, by jak najprędzej wprowadził ją w czyn, a sądzi, że przyspieszyłoby akcyę, gdyby ludność pruska pierwsza w tym kierunku do mistrza się zwróciła i o to go prosiła. Udziela Luter w dalszym ciągu wskazówek Briessmannowi, jak ma się zabrać do tego, względnie wzywa go do podobnej agitacyi²⁾. Tak się odbyło pierwsze spotkanie Albrechta z Lutrem. Już 19 grudnia był w. mistrz w Norymberdze, a jest prawie pewnem, że na drugi dzień opuścił Wittenbergę.

Podróż Albrechta do Wittenbergi ma ogromne znaczenie. Jeżeli się porówna treść powyższego listu Lutra z dalszym rozwojem wypadków, to musimy podnieść ważność tej wizyty i przyjdziemy do przekonania, że nie kto inny tylko Luter sam był duszą zaszytych później zdarzeń. Cały jego program spełnił się bowiem dosłownie i w tem, co Albrechtowi radził i do czego wzywał Briessmann'a. W. mistrz zapewne nie miał dotąd żadnego określonego i jasnego planu działania, Luter dopiero wskazał mu drogę. „Nie odpowiedział nic“ na radę Lutra i Melanchtona, ale w tem milczeniu chyba wolno widzieć dowód, że zrobiła ona na nim wrażenie i w pamięci utkwiała. I w tem właśnie tkwi znaczenie tego wypadku. Teraz dopiero zobaczył Albrecht, że można pogodzić wszystko, a stosunki polityczne, jakie w 1524 r. zaczęły się układać: odnowiony antagonizm Karola V i Franciszka I, zbliżenie się Polski do Francyi, ułatwiły mu znacznie wykonanie rudy Lutra. Nie dziw więc, że podróż Albrechta poruszyła umysły

¹⁾ List Speratus'a do mieszkańców Iglawy 25 stycznia 1524 zob. Löwenthal „Chronik der Königl. Stadt Iglau“ herausgeg. v. C. d'Elwert Brünn 1861 p. 56—7. Do Iglawy Speratus nie wrócił, zajęty w Prusach, dla nich przez mistrza pozyskany. Przybył i rozpoczął swą pracę w 1524 r.

²⁾ De Wette (Listy Lutra) t. II p. 526—527.

w Europie, że wieść o niej rozeszła się ogromnie szybko i zaniepokojenie wzbudziła. Było to już bowiem ze strony w. mistrza jawne przyznanie się do sympatii dla reformacyi—przecież Luter żył ciągle pod klątwą papieską i banicyą cesarską, a do takiego człowieka się zbliżać, z nim pozostawać w stosunkach nie wolno było prawowiernemu chrześcijaninowi, wedle istniejących bowiem przepisów i pojęć ściągął on na siebie tę samą karę i jej prawne skutki. Była to więc rzecz poważna, niebezpieczeństwo, którego nie wolno było lekceważyć.

To też już 2 stycznia 1524 r. pisze o tem z wielką trwogą i zaniepokojeniem ks. saski Jerzy do brata mistrzowego Kazimierza, margr. brandenburskiego. Pisze tu prawowierny książę, jeden z sędziów rozjemczych w sporze polsko-krzyżackim, że dochoǳą wieści, iż regent pruski, biskup Polentz jest wielkim zwolennikiem Lutra i szerzy reformacyę, że i sam Albrecht ulegać się zdaje tej „lekkomyślności,“ bo odwiedzał Lutra w Wittenberdze i coś duzo z nim konferował. A boli go to i boi się, by w. mistrz nie uległ tej zarazie herezyi; boli go, bo to przyniosłoby wstyd całemu donowi brandenburskiemu, bo on, Jerzy, był jednym z głównych inicjatorów wprowadzenia Albrechta na godność w. mistrza. Boi się zaś, bo to oburzy stolicę apostolską i wielu z książąt, i całe położenie Zakonu stanie się rozpaczliwe, utrudni porozumienie się z Polską. Niechże więc Kazimierz ostrzeże brata i skutki takiego nieszczęsnego kroku wykaże ¹⁾. Wystąpiła i stolica Apostolska. Rozpoczęły się nawoływania, ostrzeżenia do Albrechta, coraz częstsze i groźniejsze, tak że w. mistrz musiał się związać jak wąż, odgrywać do czasu komedycę prawowierności, ale która wcale nie spotykała się z wiarą w kuryi. A od listopada 1523 r. siedział na stolicy Piotrowej nowy papież—Klemens VII, Giulio di Medici, prawa ręka Leona X i dotąd przyjaciel Krzyżaków. Temu to zapewne, tej mianowicie sympatyi dla Zakonu niemieckiego, należy przypisać, że popularny w Rzymie i we Włoszech jako kardynał, cały politycznemu życiu oddany, papież, nie przedsięwziął energicznych i stanowczych kroków przeciw Albrechtowi—prawda, że inne sprawy zbyt go zajmowały. Ale milczeniem odstępstwa w. mistrza nie puścił.

Już 11 marca 1524 r. pisze do w. mistrza brat jego Jan Albrecht, że papież ma go na oku i wie o wszystkim od Mikotaja Schönberga, arcybiskupa Kapui, wie mianowicie, że w Niemczech

¹⁾ Tschackert j. w. Bd. II, № 166.

książęta jakiś spisek układają przeciw kościołowi i on, Albrecht, jest jego głową i kierownikiem, on, który z urzędu swego winien być tarczą i obrońcą wiary. Dla tego też papież będzie zmuszony udzielić swej pomocy tym, u których znajdzie poparcie przeciw niebezpieczeństwu kościoła. Powinien się jak najprędzej usprawiedliwić i sprawę wyjaśnić¹⁾. Papież grozi więc tu wyraźnie, że opuści Albrechta i opieki mu odmówi w sporze z Polską i tej raczej Polsce udzieli; nie trudno się bowiem domyślić, że Zygmunta Starego miał na myśli Jan Albrecht, gdy to pisał w imieniu papieża. Charakterystyczną jest odpowiedź mistrza na ten list. Słusznie utrzymuje dr. Joachim, że pochodzi ona z kwietnia 1524 r., a nie jak Tschackert, że dopiero w listopadzie pisał ją w. mistrz. Nie wspomina w niej Albrecht ani słówkiem o Lutrze i jego nauce, bo i w liście brata nie było o tem wzmianki. Cały nacisk kładzie na ową „konspiracyę“ książąt przeciw kościołowi, której on ma być głową i tę pogłoskę zbija z całą energią i stanowczością: „nam et primum omnium incredibile ei (sc. mistrzowi) est, quod vel aliquis sit christianorum principum eius insaniae et perversitatis, qui contra ecclesiam Christi quid cogitet, conspiret aut moliat... Deinde non ignorat idem ill. princeps magnitudinem eius criminis, quo iniustissime arguitur, conspirationis scilicet, quo ut anteaquam ordinem susceperet semper carnis ita nunc quoque eam notam sibi inuri minime patietur. Perditissimorum namque hominum et patriae proditorum has esse notas non christianorum.“ Nie myślał nigdy o jakiejś walce z kościołem, o spiskach przeciw niemu i takimi słowy udowadnia swoją prawowierność: „meminisse autem se principem Romani Imperii, meminisse se Ordinis Teuthonicorum magnum magistrum, meminisse se christianum et eidem ecclesiae membrum, nunquam vero in animum induxisse, ut eius esse aut fieri filius velit, qui ab initio homicida et rixator fuit...“ a tu w Norymberdze pracował właśnie nad tem „utque pax et concordia in republica christiana erigatur et conservari possit.“²⁾ Bardzo znaczące światło rzuca to usprawiedliwienie się Albrechta na jego charakter i postępowanie; usprawiedliwienie poniekąd szczere, o ile chodzi o istnienie jakiejś konspiracyi, poniekąd obłudne i podstępne, gdy chwyta się pozoru i że

¹⁾ Joachim „Die Politik“ Bd. III № 161.

²⁾ Joachim j. w. № 170 i 184. Ten ostatni to list w. mistrza do brata margr. Jana Albrechta, w którym mu pisze wyraźnie, że na sejmie norymberskim (1523/4) oddał kardynałowi Campeggio piśmienne swoje usprawiedliwienie dla papieża.

się tak wyrażę, dosłowności zarzutu—a to tem bardziej, gdy zważymy, że przed paru miesiącami posłał Lutrowi pismo z całym szeregiem pytań, dotyczących zasadniczych kwestyj dogmatycznych, ale o tem niżej.

Nie uspokoiło ono bynajmniej papieża. Po Rzymie ciągle chodziły pogłoski o odstąpieniu w. mistrza, o tem, że zamierza wstąpić w związki małżeńskie i przyjąć nową ewangelię. Tenże sam Jan Albrecht uznał też za stosowne wezwać 12 września 1524 r. brata Kazimierza, by wpłynął na wspólnego brata—w. mistrza—i nakłonił go do przybycia tu do Rzymu. W liście owym wykazuje Jan Albrecht cały szereg korzyści, jakie spłyną na w. mistrza, gdy do Rzymu przybędzie. Oto utrzymanie w Rzymie jest tańsze niż gdzieindziej, będzie mógł tu czuwać nad interesami Zakonu i przeszkadzać „intrygom“ polskim w kuryi w sprawie sporu polsko-krzyżackiego, wreszcie wykazuje niezbitą swą prawomyślność, a stąd ustana wszelkie uwłaczające mu pogłoski. W dwa tygodnie później pisze do w. mistrza w dn. 27 września prokurator krzyżacki w Rzymie dr. Jerzy Busch, proboszcz z Fornheimu. Wzywa go podobnie jak jego brat Jan Albrecht, późniejszy biskup magdebursko-halberstadtzki, obecnie ciągle bawiący w Rzymie—tego to Jana Albrechta chciał koniecznie w r. 1522 papież mianować biskupem płockim po śmierci Erazma Ciołka, ale napotkał na gwałtowny opór i protesty ze strony Zygmunta Starego i po długich dopiero sporach ustąpił ¹⁾—by przybył koniecznie do Rzymu i te same powody podaje. Jest to, zdaniem prokuratora, rzecz konieczna i bardzo pożądana, bo coraz liczniejsze i groźniejsze dochodzą papieża pogłoski o postępowaniu Albrechta. Cały świat niemal krzyczy w Rzymie, że Albrecht stał się zwolennikiem Lutra i żenić się zamyśla, pisząc o tem z Polski, z Prus, z Gdańska, a zdaniem dr. Busch'a i legat papieski wiele złych wieści przysyła; donoszą, że w Prusiech krzyżackich zrabowano trzy klasztorzy za zezwoleniem jego (w. mistrza) i Polentz'a, a ten ostatni luterskie kazanie wygłosił. W dość ostrym tonie odpowiedział Albrecht prokuratorowi listem pisanym 30 listopada z Onolzbach. Zaprzecza kategorycznie i stanowczo pogłoskom, jakoby sprzyjał nauce Lutra, jako rozsiewanym przez jego nieprzyjaciół, zaręcza-

¹⁾ Bogaty do tego ciekawego sporu, który wytworzył dysharmonię między kuryą a Polską, materyał zawierają Tomiciama t. VI. A należy zaznaczyć, że Ciołek umarł „in curia“ i przypomnieć co do tego średniowieczny jeszcze rezerwat papieski.

jąc, że postępuje, jak przystoi chrześcijańskiemu księciu. Do Rzymu, co mu i brat radził, przybyć teraz nie może, ale spodziewa się, że stosunki z Polską zostaną wkrótce uregulowane, a wtedy przyjedzie do papieża i przedstawi mu się, jako chrześcijański, bogobojny (gottliebender) książę, a od tego (t. j. że takim będzie księciem) nie odwiedzie go ani Luter, ani żaden człowiek na ziemi. Co się tyczy kazania Polentz'a i niepokojów w Prusiech, to rzecz to biskupa i on niech sobie sam za to odpowiada, Albrecht bowiem nie może brać odpowiedzialności, bawiąc tak długo zdala od kraju. W podobny sposób odpowiedział trzy dni przedtem bratu Jana — Albertowi. Nie wiele więcej, prócz obietnic i zaprzeczeń, uzyskał od Albrechta kardynał Campeggio, legat papieski. Z polecenia Klemensa VII, kardynał, wysłany do Niemiec, Austrii i Węgier, miał Albrechta na oku i nękał upomnieniami. Przyciśnięty przez legata musiał Albrecht wysłać 8 listopada 1524 r. z Wiednia list Polentz'owi, wyrażający mu swoje wielkie niezadowolnienie z powodu wypadków, zaszłych w Prusiech, dotyczących religii. Ale do tego oficjalnego dołączył w. mistrz równocześnie tajną klauzulę, że ten potępiający działalność Polentz'a list — to tylko pozór, konieczność dla uspokojenia legata papieskiego i on go też na nim wymusił. Polentz nie potrzebuje się go obawiać i z tego listu sobie coś robić, może być pewnym opieki w. mistrza, a tylko przestać odpowiedź ze swej strony legatowi w myśl tego oficjalnego pisma. A był już w. mistrz zupełnym luteraninem i zdecydowanym przy nauce Lutera pozostać, jak tego dowodem choćby owa tajna klauzula, i zabierał się właśnie do ostatecznych rokowań z Polską. Oficjalne pismo do Polentz'a — to wszystko, co zyskał Campeggio. A właśnie nadszedł do niego nowy list papieża z 1 grudnia, rozgoryczonego na samlandzkiego biskupa-reformatora i jego edykt reformacyjny z 28 stycznia 1524 r., polecający legatowi, by zbuntowanego biskupa albo pozbawił godności albo do odwołania przymusił. Posłał Campeggio ten list Albrechtowi, ale uzyskał tylko tyle, że w. mistrz odpowiedział mu 24 stycznia 1525 r. z Budapesztu, iż zasmucony jest nieporządkami w Prusiech i weale ich nie pochwała, ale prosi, by papież wstrzymał się do jego powrotu tamże; a wtedy zaprowadzi tam taki porządek, będzie tak po chrześcijańsku rządził, że papież nie będzie mógł robić zarzutów. I oto wszystko. Wygląda ta odpowiedź na ukrytą złośliwość i ironię, gdy przypomnimy sobie, że w niecałe trzy miesiące potem składał Albrecht hołd na rynku krakowskim, jako świecki książę, do którego oczywiście papież nie mógł skutecznie się mieszać. Ostatnie echo tych niepokojów ku-

ryi rzymskiej, to list Busch'a z 8 kwietnia w wilię wili hołdu pruskiego pisany. Nie odzyskała więc stolica apostolska w. mistrza, nie uratowała go od wpływów reformacyi, Zakonu krzyżackiego od zupełnej zagłady, mimo zabiegów. Ale nie takich to zabiegów było tutaj potrzeba, bo i tym brakowało energii i stanowczości. Należało wyteńczyć wszystkie siły, należało wykonać ową groźbę, o jakiej pisał Jan Albrecht do brata, podać dłoń naprawdę życzliwą i z dobrą wiarą Polsce, a nie ograniczać się do słów tylko i listów, z których w. mistrz naprawdę nie wiele sobie robił i pozory jeno chował do czasu. Zakon się już uratować nie dał i w tej formie, jak dotąd, żyć nie mógł; papieństwo, które w ostatnich czasach nie grzeszyło bynajmniej zbyteczną a rzeczywistą życzliwością dla katolickiej Polski, nie chciało tego zrozumieć, a tak i Zakonu nie uratowało i kraj do niego należący dla kościoła straciło. Kto wie, czy stanowisko papieństwa względem Polski w pierwszej ćwierci XVI w. nie odegrało roli, nie wpłynęło na formę pokoju krakowskiego z 1525 r. Tak nazywają także sekularyzację Prus.

Więść o zbliżeniu się Albrechta do Lutry poruszyła wreszcie i Polskę. Jej stanowisko w tym względzie, to rzecz nieco ciemna w swych motywach. Jedyną bowiem o niej wiadomość zostawił nam Albrecht w rodzaju pamiętniczka przez siebie spisane, a wydrukowanego przez Fabera w 1821 r. O działalności Albrechta w Niemczech dowiedziano się na dworze polskim z ust Antoniego Rincon'a, posła króla francuskiego Franciszka I do Polski, który tu przybył w 1523 r. w celu bliższego porozumienia się z Zygmuntem w sprawie zawarcia polsko-francuskiego przymierza i po paru miesiącach pobytu w styczniu 1524 r. udał się do Węgier. Przymierze to zawarł Zygmunt rzeczywiście, wysławszy Hieronima Łaskiego, synowca prymasa do Francyi. Przymierze to, dzieło Łaskiego prymasa, skierowane było oczywiście przeciw Habsburgom. A jedno podnieść trzeba. Dytrych z Schönberga przebywał we Francyi nieraz tymi czasy i rokował z Franciszkiem I w sprawie Albrechta, który przez pewien czas snuł projekt wstąpienia do jego służby. Mógł więc król francuski mieć dobre informacje o w. mistrzu, którego przychyłność dla luteranizmu nie była zresztą, jak widzieliśmy, tajemnicą. A nadto, zaprzyjaźnienie się w. mistrza z Lutrem i jego nauką było niejako buntem przeciw prawowiernemu Karolowi V: w ten więc sposób przybywał w Albrechcie nowy dla Francyi sprzymierzeniec, którego Polska, sprzymierzona z Francją, nie powinna była odpychać. Leżało więc w interesie Franciszka uprzedzić o tem Zygmunta, uczynić go

przystępniejszym do zgody z Albrechtem, do którego ciągle żywił król żal i podejrzliwość. Ta kombinacya polityczna, to zbliżenie się do Francyi Zygmunta I, czyli inaczej mówiąc, wrogie stanowisko względem Habsburgów — to byłby drugi element, drugi czynnik w akcji sekularyzacyi Prus¹⁾. Ale to nie należy do nas.

Uwiadomiony więc o tem, wysyła dwór polski Achacego Czema, starostę stargardzkiego do Albrechta. W Norymberdze, w domu niejakiego Michała Rodena w nocy odbyła się tajemna rozmowa. Daty jej nie znamy, a zarówno Tschackert, jak Joachim wyznaczają jej letnie miesiące (lipiec—sierpień), nie mogą tylko zrozumieć, dlaczego dr. Joachim wyznacza jej rok 1523, gdy w pamiętniczku Albrechtowym wyraźnie 1524 rok jest podany? Czema przedstawił się jako wysłaniec biskupa poznańskiego Piotra Tomickiego i wojewody krakowskiego Krzysztofa Szydłowieckiego i prosił Albrechta o najzupełniejszą tajemnicę. W tem właśnie tkwi niejasność. Czy Tomicki i Szydłowiecki działali tu zupełnie na własną rękę, czy na polecenie króla? Z poglądów dr. Hirschberga na tę sprawę wynikać się zdaje, że miało to poselstwo charakter urzędowy. Oto — mówi Czema — doszło do wiadomości dzięki informacyom posła francuskiego, że w. mistrz zamierza wstąpić do służby francuskiej, a godność w. mistrza przelać na Eryka brunszwickiego. Wobec tego wysłannicy jego, Tomicki i Szydłowiecki, proszą Albrechta, aby miał wzgląd na Polskę i swego wuja i godność w. mistrza złożył w jego ręce, a on go za to wynagrodzi hojnie. Albrecht podziękował serdecznie za życzliwość dwóch polskich ministrów, przyrzekł wziąć pod uwagę ich radę i uprzedził, że dwóch jego krewnych — Jerzy, margrabia na Auspachu, brat w. mistrza i jego szwagier Fryderyk, ks. lignicki — przybędzie do króla porozumieć się z nim i zgodę przeprowadzić. W rozmowie z Czemą zaznaczył Albrecht swoje religijne uczucia: „Weil ich die göttliche Wahrheit nunmehr lesend gehöret, sein göttliches Wort, dass ich in diesem Stande mehr dem heil. Wort entgegen als angenehm: was Blutvergiessen ich in diesem meinem Stande, als der die Zeit in der Erkenntniß Gottes nicht gewesen, gethan, wisset ihr, als der es angesehen und dabey gewesen, am besten...“, jak niemniej i to, że w Polsce

¹⁾ Taki sąd i połączenie tych dwóch faktów podaje dr. Hirschberg w studyum „Przymierze Polski z Francją“ (Przew. nauk. i liter. 1881, w szczególności str. 1108); zob. także W. Zakrzewski „Rodzina Laskich w XVI w.“ I (Ateneum 1882).

o tej sympatyi dla luteranizmu wiedzą i że Czema w. mistrzowi to zakomunikował. Jest to bardzo charakterystyczne. Widoczna więc, że Albrecht nosił się już z podobnym zamiarem porozumienia się z Polską i że tych samych wyznaczał pośredników, którzy niedługo potem istotnie rokowania z Zygmuntem prowadzili. Albrecht miał, jak z tego wynika i co zresztą sam w tym memoryale potwierdził, pierwotnie zamiar rzec się wielkiego mistrzostwa na rzecz drugiego; rozmowa z Czemą zmieniła widocznie ten plan, a Albrecht wrócił do rady Lutra. Tak przecież było w 1525 r. jak powszechnie wiadomo. W każdym razie dwór polski, czy też tylko najwybitniejsi polscy dyplomaci—podkanclerzy i kanclerz—ułatwili Albrechtowi dzieło sekularyzacji Prus, zapewniając przez usta Czemy, że Zygmunt wynagrodzi siostrzeńcowi jego lojalność i wierność „krajami i ludźmi“ i pieniędzmi wreszcie. Poselstwo to wskazało Albrechtowi, że możliwem jest spełnienie zamierzonego przezeń dzieła przy Polsce i z jej pomocą. A można śmiało przypuszczać, że Albrecht w swoim memoryale podał tylko najważniejsze punkta rozmowy; że musiało tam być kwestyj omawianych więcej, że może nawet już wtedy ułożono plan dalszego działania. Wiadomo zaś, że Tomicki i Szydłowiecki głosowali gorąco za sekularyzacją Prus, gdy ta przyszła na stół dyplomatyczny, że Szydłowiecki był do śmierci przyjacielem Albrechta. W każdym razie podnieść należy, że pierwszy krok wyszedł od dworu polskiego, że Szydłowiecki i Tomicki pierwsi do Albrechta się zwrócili. I w tem leży znaczenie poselstwa Czemy.

Gdy tak najważniejsi i najbardziej zainteresowani przyszłości Zakonu krzyżackiego pukają w odpowiedni sposób i w myśl swoich interesów do Albrechta, on tymczasem nie cofa się z drogi, na którą był wkroczył. Owszem idzie ciągle naprzód, coraz bardziej usuwa się od kościoła rzymskiego.

W listopadzie 1523 r. bawil, jak widzieliśmy, u Lutra. Wiemy, że interesował się ogromnie kwestyami dogmatyczno-teologicznemi od czasu znajomości z Osiandrem, myślał o nich często i coraz nowe wątpliwości w nim się budziły. Wyrazem tego bardzo dobitnym, dowodem tych wątpliwości, których samo powstanie jest już wstąpieniem na drogę kościołowi wrogą, bo kościół zakazuje dyskusyi o dogmatach — jest list w. mistrza do Lutra, wkrótce po wizycie w Wittenberdze posłany, na który w styczniu czy lutym 1524 r. odpowiada Luter Albrechtowi. Postawił mu tutaj cały szereg pytań i domaga się na nie odpowiedzi—pytań zasadniczych, a które są charakterystycznym przyczynkiem do zmian wewnętrznych w duszy Albrechta powstających. Jest ich pięć:

1) Czy Chrystus zbudował swój kościół na Piotrze i jego następcach papieżach? 2) Czy papież ma władzę od Boga daną wydawać przepisy wbrew prawom boskim, których wykonywanie jest konieczne do zbawienia? 3) Czy papież lub sobór może zmieniać według upodobania przepisy boskie? 4) Czy papież może separować małżonków prawnie połączonych, bez zbrodni jednego z nich, i tak rozłączonych do innego związku małżeńskiego skłonić? 5) wreszcie czy papież może rozdzielić małżeństwo przez krewnych zawarte, wyjąwszy związków zakazanych prawem boskiem, bez obopólnej zgody pobranych? Na wszystkie te pytania odpowiada Luter przecząco, wykazując słuszność swego zaprzeczenia cytacjami z Pisma św. Najdłużej rozwodzi się nad pytaniem pierwszym, twierdząc, że kościół swój zbudował Bóg wyłącznie na Synu Swoim, Chrystusie. Ciekawym, nie tylko pod względem teologicznym, jest dalszy wywód Lutera na to pytanie, że ani św. Piotr, ani papież, nie mogą dać kościołowi wiary i tej zmieniać. Nie tylko papieżowi, ale nawet aniołom nie daną jest moc naruszać boskie przepisy wydawaniem innych (pytanie II); ani papież ani sobór nie mają żadnej innej władzy w rzeczach duchownych, jak tylko głosić słowo boże (pytanie III). Jak widać więc z tego, dwie kwestye teologiczne zajmowały głównie Albrechta: stanowisko papieżstwa w hierarchii kościelnej, stosunek jego do objawionej nauki, zakres władzy względem niej. Pytania to zasadnicze, jedno z najważniejszych w dogmatyce, w treści wiary katolickiej. I zaprzętały one już nieraz umysły, sprowadzały na manowce, były przedmiotem gorących sporów i gorszących wypadków. I nie tak dawno nawet: przypomnijmy sobie tylko ideę koncyliaryzmu, wielki ruch soborowy w XV w. Pamięć o nim musiała być jeszcze żywą, ruch soborowy pozostawić ziarna plenne. A i to zważyć warto, że w średniowiecznym ustroju politycznym papieżstwo i kościół zajmowały pierwszorzędne stanowisko, były niejako osią średniowiecza; samo więc rozważanie takiej kwestyi było reakcją, budzeniem się nowych myśli, nowych pojęć, które zburzyły stary porządek społeczno-państwowy, nowy gmach budowały na całkiem innych, wrogich nawet fundamentach. Poważne więc było pytanie, jakie Albrecht zadał Lutrowi. Drugą kwestyą był sakrament małżeństwa. Nie jest ona już tak zasadniczą, jak poprzednia, ale mimo to, choć w mniejszym stopniu, nie pozbawiona podkładu politycznego, a więc wyłącznie teologiczna. Ten polityczny podkład nadaje tu osobistość, która stawia to pytanie, okoliczności, w jakich się to dzieje, okoliczności tak ogólne, jak i przywiązanie do osób t. j. Albrechta i Lutera. Obaj zakonnicy, duchowni do celi-

batu obowiązani, i obaj w jednym roku w związku małżeńskie wstępują! Jakie snuł wtedy zamiary Albrecht, gdy się pytał o istotę małżeństwa? Czy nie zamyslał już wtedy spełnić radę Lutra przed paru miesiącami udzieloną i pojąć żonę?

Jeszcze tylko jeden wypadek mamy do zanotowania w stosunku Lutra i Albrechta przed sekularyzacją Prus. Oto 12 maja 1524 r. jest znowu w. mistrz w Wittenberdze u Lutra. Ale o tej powtórnej wizycie nie mamy już żadnych wiadomości, choć bardzo byłyby pożądane. Podnieść tylko trzeba, że dopiero po tej drugiej bytności Albrechta w Wittenberdze, opisuje Luter Briessmannowi, przebywającemu w Królewcu, pierwszą wizytę Albrechta i daje mu wówczas wzmiankowane poprzednio wskazówki. Odtąd, aż do powrotu Albrechta do Prus, nie pozostaje w. mistrz w żadnych stosunkach z wittenberskim reformatorem, nawet listownych.

Zajęty jest przedewszystkiem doprowadzeniem swych zamiarów do skutku, pojednania się i pogodzenia z Polską. Jeszcze przez pewien czas broni pozorów katolicyzmu w Prusiech, daje wskazówki, hamuje zbyteczną gorliwość Polentz'a. W listach jego do samlandzkiego biskupa znać wyraźnie tę podwójną grę, dwulicową politykę. W sereu już szczery luteranin, lęka się jeszcze papieżstwa; niepewność sytuacji, jak przyjmie jego krok Zygmunt i senat polski, przebija się jasno. Cieszy się więc z zapadu ludu do słuchania słowa bożego i poleca Polentz'owi korzystać z tego nastroju¹⁾, cieszy się zaś tem więcej, że lud stanie się teraz więcej chrześcijańskim i religijnym, bo za jego rządów mistrzowskich bardzo niewielu tu było prawdziwych chrześcijan²⁾. Posyłając Amandusa do Prus poleca go gorąco opiece biskupa i rady m. Królewca, pochlebne nader wystawiając im świadectwo. A z drugiej strony zaznacza silnie, że w działalności swojej w Niemczech powołuje się na Zakon niemiecki i dla niego niby pracuje i o ratunek zabiega, dlatego nie zgadza się na zniesienie ubioru zakonnego, co najwyżej członkowie zgromadzenia mogą zaniechać noszenia płaszczów ze względu na niechęć i drwiny ludności, ale muszą zachować dla odróżnienia krzyże; nakazuje, by wprawdzie mnichów, nie chcących reguły klasztornej przestrzegać, nie zmuszał do pozostania w klasztorze, ale też zbiegłym nie udzielał żadnej pomocy i pieniędzy nie dawał, bo to wywołać może podejrzenie,

¹⁾ Tschackert j. w. № 185.

²⁾ Ib. № 219 w liście do Jerzego Klingenberg'a, swojego dworzanina, często wysyłanego w poselstwach.

że się zakonnikom ułatwia opuszczenie klasztoru i sprzyja nowej nauce, jak również, by miejsce zbiegłego mnicha zastąpił kimś z łona Krzyżaków i strzegł gorliwie własności i majątku klasztorów, a zrabowane mienie klasztorowi jednemu w Królewcu restytuował. Msza św. na zamku w Królewcu, ma być, jak dotąd według zwyczaju, codziennie czytana, klasztory żeńskie otoczone opieką przed zniewagami. Ale wszystkie te polecenia i wskazówki, przeważnie z maja 1524 r. pochodzące (kwiecień—czerwiec), a które zdawałyby się świadczyć za prawowiernością Albrechta, nie przeszkadzały mu wcale w jednym z tych samych listów (z 15 maja) donosić Polentz'owi, że przyjął do swej służby dr. Speratus'a ¹⁾, owego kaznodzieję z Igławy, lub nazywać go „kochanym, wiernym i pobożnym“ (z 17 maja). W pierwszej połowie maja bawił Albrecht w Halli. W tym to czasie przyjął był do swej służby kilku predykantów luterskich, jak Dr. Speratus, Dr. Fr. Fischer, przyjaciel słynnego Hutten'a, znany Crotus Rubianus, współpracownik broszury „*Epistolae obscurorum virorum*,” dzieła radykalnego humanisty Ulricha Huttena. Przypomnijmy sobie wreszcie ów okólnik do Polentz'a z 8 listopada wyżej wspomniany, a przez legata wymuszony na Albrechcie i dodaną do niego potajemną klauzulę.

W tej więc podwójnej z konieczności grze obraca się Albrecht i im bliżej końca roku tego (1524), tem coraz pilniej pracuje nad dokończeniem dzieła. Niemało otuchy musiał mu dodać list z 18 grudnia, w którym mu donosi Kleofas Breuer, podskarbi krzyżacki, że poddani pruscy życzą sobie bardzo, by za zgodą Polski ogłosił się świeckim i dziedzicznym księciem. List ten był niewątpliwie dziełem Lutra, a raczej jego wskazówek, o jakich wspominaliśmy poprzednio w liście do Briessmann'a. Jakoż w styczniu 1525 r. Albrecht przebywa w Budzie i rozpoczyna ostatecznie rokowania naprzód z Ludwikiem Jagiellończykiem, a potem (w marcu) pośrednio i z Polską ²⁾, które doprowadzają do sekularyzacji Prus. Ten akt, ogromnej wagi i znaczenia nie tylko w dziejach Polski i Zakonu, ale w ogólnych dziejach XVI w., jako pierwszy dotąd podobny wypadek (sekularyzacji instytucji kościelnej), a tak rozmaicie oceniany przez historyków polskich i niemieckich — był wypełnieniem pierwszej części rady Lutra i Melanchtona z listopada 1523 r. W. mistrz zrzucił suknię duchowną, Zakon krzyż-

¹⁾ Tschackert j. w. № 215.

²⁾ Joachim l. c. № 207 i sq.

cki, jako instytucja polityczna przestał egzystować, a 10 kwietnia 1525 r. Albrecht wystąpiwszy poraz ostatni w stroju zakonnym obierał z rąk swego wuja lenno pruskie, jako pan świecki i dziedziczny. W roku następnym spełnił obecnie już księżę pruski i drugą połowę rady Lutra i w dn. 1 lipca 1526 r. odbył się w Królewcu uroczysty ślub Albrechta z Dorotą, księżniczką duńską, córką króla Fryderyka¹⁾. Poszedł tu za przykładem Polentz'a i Briessmann'a, którzy jeszcze w 1525 r. pobrali sobie żony, no, i Lutra wreszcie, który nie ograniczał się do rad w tym względzie, ale wierny swoim przekonaniom („źle być człowiekowi samemu“) 13 czerwca 1525 wstąpił w związki małżeńskie²⁾. Oczywiście ucieszony reformator niemiecki z postępów swojej nauki i wypełnienia rad, nie omieszkał złożyć Albrechtowi życzeń, by Bóg zgotował mu pomyślny koniec, a państwu jego szczęście³⁾.

DR. MARYAN GOYSKI.

1) Tschackert j. w. № 497 i 498.

2) Kottlin „Martin Luther.“ Bd I p. 768.

3) De Wette II p. 667.

GŁOWY GROTESKOWE

Leonarda da Vinci.

Gabriel d'Annunzio w swej „Odzie na śmierć Arcydziała“ (Wieczery Pańskiej) wieńczy Leonarda da Vinci takimi słowami:

„Ten, który zapowiedział, który odkrył
i który oświecił“

(Colui che annuncia, che rivela e che
inizia).

Nienasycony, łaknący wszystkich tajni, żądny osiąść świat cały od krańca do krańca i piękno jego nieuchwytnie a złudne i marę jego brzydoty — Leonardo głębią nadludzką i wielostronnością geniuszu analitycznego doszedł do ostatnich granic twórczości, odkrył rąbek zasłony, która ludzi od Niepoznawalnego przedziela. — Żeby zawładnąć Pięknem, wchłonąć je niejako, obecielać ją, uduchowia i syntetyzuje w ten sposób, że je aż czyni bezpłciowem, androgynicznem.

Duch Leonarda zakreślił koło bezmierne, wejrzał we wszystkie arkana i tajemnice natury, usiłował odkryć, zrozumieć i przeżyć wszystkie jej prace, wszelkie jej formacje i deformacje; a na jednym biegunie średnicy koła tego mistycznego unosi się wizya nieziemskiego, ezoterycznego Piękną, na drugim zasiadła ciężko Brzydota bezwzględna, tragiczna a prawdziwa.

Ten zwiastun, który wskrzosił Sfinksa-Kobietę w Giocondzie, zespoliwszy w niej *Kobiecość wieczną*, co magnetyzuje, przyciąga i zatrważa, a dał zagadkę, bytowa już, w Janie-Chrzecieliu; ten, który zdołał w głowie Chrystusa z *Wieczery* ześrodkować wszyst-

ko, co dusza ludzka od boskości wzięta i *logos* ewangeliczne ciałem uczynił; ten, który według słów Hegla uchwycił tajemnicę ze strony Piękna; ten malarz, zasłuchany w głosy i poszumy tajni pozgonnych, malarz metafizycznych idei i syntez—stworzył także wielką seryę szkiców, gdzie mścić się zdaje za piękno i myśl boską, zofiarowaną światu.

Mamy też dwie ostateczności w dziele jego geniuszu: „*La Belle et la Bête*.” Równomiernie ze sfinksowymi uśmiechami, spojrzieniami, utkwionemi w Wieczność, pejzażami zastygłymi o sennym, lunatycznym nastroju, pociągająca Leonarda patetyczność rozkładu materji, kiedy uroda, przez lata skażona i zryta, staje się ohydą, uśmiech—zmiętym grymasem; gdzie moc i piękno spojrzenia ustaje, znika, a pozostaje ślep, typiący łzawy i krwawy, obramowany żałobną siecią zmarszczek i już jakby bielmem niedalekiej śmierci zasłany.

Da Vinci obejmuje naturę potężnie, wszechstronnie, bierze ją jakby w swe objęcia olbrzyma, w oczy wsiąknąć ją pragnie, zamknąć ją usiłuje w czaszce swej ze wszystkimi jej zagadnieniami, niepochwytnościami i kryjówkami, stara się osiąść całą jej gamę: od najwyższego napięcia kreacyi, najgwałtowniejszych, najsilniejszych objawów żywiołu — aż do podmuchów, półcieni, lekkich poszeptów, drobnej muszelki, kielicha kwiecia polnego, słabego, pokornego listka; od najpiękniejszych, najszlachetniejszych tworów i typów — aż do kretynicznego zbydłocenia i brzydoty teratologicznej.

„*Rerum cognoscere causas* — mówi każdy szkic, plan, słowo Mistrza.

I właśnie owej chęci ogarnięcia i wycucia wszystkich manifestacyj życia, tej ciekawości, zazierającej wszędzie: w bezkresy niebios, w kotliny i uroczyska ziemi, w rzeki topiel wartką i w morza odměty, zakradającej się do tych dziedzin, które ludzkości wążkami wrzeciądzami niemocy zaparte i do których wążka furtka tylko geniuszom uchyla się zrzadka—przypisać należy całą tę poleć działalność twórczej Leonarda, gdzie typy brzydoty krzywią się śmiesznie, lub boleśnie, srogo lub dobrodusznie i stanowią karykatury najwyższego rzędu, te, które — niezależne od ewolucyj fizycznych rasy ludzkiej, pozostają nazawsze i piętnują zwierzęcość instynktów, niezmienną a odwieczną głupotę.

Prawo reakcji, rządzące światem moralnym, zaznaczyło się także na wielkiej Leonarda osobowości. Jako wyrzawsza prawa tego, mamy w twórczości jego i najsubtelniejszą krasę, i lubość zaziemskiej tajemnicy, i weielenie spiritualizmu najczystszonego — a tuż,

obok nich, jak gorzkie kwiaty cykuty, rozsiane te głowy i postaci, tragiczno-groteskowe, negacye jakoby Urody, ściągające nas z krainy najwyższego ideału do kałuży, w której się — niby w zwierciadle małpiem — maski małpie primatów, pyski spastych ludzi-wieprzów, twarze ogłupiałe o wyrazie takim, jakie mają tylko zagaste lica obłąkańców — odbijają.

Lanzi, historyograf Leonarda przytacza, jako gadkę jego ulubioną, słowa, raczej z ust jowialnego klechy z *Opactwa de Thélème* wyjęte, a niepodobne do tego maga i cudotwórcy:

„Winno się dojść do takiego napięcia komizmu, żeby nawet zmarli śmiać się musieli.“

Czy tu więc należy szukać źródła groteskowości tej kategorii głów Leonarda?

Nasamprzód zastanowić się trzeba, czy one doprawdy śmieszne? Stare one, skruszałe, posiepane łzami, stygmatem bólu lub głupoty naznaczone, lute czasami, okrutne i groźne, ale śmieszne — nigdy!

A potem, ten, co powiedział, że „*łzy z serca idą, a nie z mózgu*“, ten, który umiał wyrzec: „*Wielka miłość rodzi się z wielkiego zrozumienia rzeczy, a jeżeli rzeczy tej nie znasz, jeżeli jej nie rozumiesz — kochać jej nie jesteś w stanie*.“¹⁾ — drwić ze Sędziwości, biedy, nieszczęścia nie zechce.

Credo Mistrza i estetyka — to aliaż Prawdy i Piękna, i stąd płynie tendencya poszukiwania prawdy w pięknie i piękna w prawdzie, stąd obok wcieleń boskiej urody, młodości jasnej — owe homunkulusy, inkarnacye brzydoty starczej, bestyalności, niemocy, piodunowej troski, głupoty, niedoli. Bo świat z takich to wrogich sobie napozór, z takich to paradoksalnie pstrych pierwiastków się składa. Piękno jest tezą, Brzydota — antytezą.

I tu znów niech Mistrz mówi:

„*Il pittore dev'essere universale e solitario*“²⁾. Uniwersalny, więc zagrądnąć musi w „Jenseits von Schön“, samotny — więc wdrzeć się winien na wszelkie szczyty: tak Brzydota, jak i Piękna. A brzydota ma także swe szczyty wyniosłe.

Pociąga ona wieloforemnością swą i siłą ekspresyi wszystkie nieomal umysły twórcze, wrażliwe na uczucie, wyraz, charakter. I Leonarda też od wczesnej młodości pociągała upiorowa Szpe-

¹⁾ „*Traktat o Malarstwie*“ § 77 al. 2.

²⁾ *Ibidem*, § 50, 58; w następnych myśl ta jeszcze jest bardziej rozwinięta.

tota. Vasari ¹⁾, prawie że współczesny Vinci'emu, opowiada, że pierwszym samodzielnym utworem Leonarda, za dzieciennych prawie lat jeszcze, był rodzaj deski-krażka, coś niby tarcza pierwotna bardzo, na której wymalował potwora, ześrodkowującego w sobie grozy i szkarady wszystkich tworów obrzydłych i plugawych. Później Leonardo kilkakrotnie tworzył głowy kudłogade Meduz. Jedyna, jaka po nasze czasy się zachowała ²⁾ wskazuje, jak wielkie poczucie grozy i widziadłowej ohydy posiadał Leonardo.

Pojął on upiór-głowę tę nie jak banalne, klasyczne wyobrażenia wskazują, ale jako trupiolicę, strach skonu ziejącą, w mogilnym rozkładzie, plamami śmierci upstrzoną, oplataną matnią kłębiących się razem gadzin.

Vasari wspomina także ³⁾ o srebrnolitej lutni, na której grał Ludwikowi Sforzy pieśni swe pono przepiękne, mającej kształt czaszki jakiegoś apokaliptycznego rumaka.

Urok, jaki wywierała Brzydota na Leonardzie znać zresztą na całym dziele jego, w najcięższych utworach nawet: — tu głowa ⁴⁾, tam zakąt jakiś tragiczny, owdzie głąz mistyczną trwożę sieje. Nikt też tak, jak Leonardo, nie odczuł ponurej grozy skał, urwisk i pieczarowych otchłani.

Najsilniej wszakże stwierdza tendencję Mistrza ku brzydocie, umiłowanej i wypieszczonej, posuniętej do ostatecznych stopni natężenia, ta istna galerya Szpetoty, jaką tworzy masa cała studyów, szkiców głów starczych, okaleczonych, nabrzękłych, spęczniałych.

Zaden z teratologów Sztuki, oddając twarz ludzką, nie przywiódł szkarady jej do takiego poniżenia, nie wyłamał jej tak okrutnie i, pozbawiwszy myśli wszelkiej, sentymentu, urody, nie zagusił aż do żdźbła ostatniego tego, co ją stworzoną na podobieństwo boskie czyniło.

Postaci, tak napiętnowane, tracą cechę człowieczeństwa a obrazować się zdają raczej zmiany, jakim w tworzeniu się ludzkość ulegała, lub przeobrażenia, które zgrzybiała starość — wystanka za progiem stojącej śmierci — przynosi czasem ze sobą, kiedy bezlitosną swą ręką oblicze nasze ugniata w bryłę bezkształtną, sfaldowaną a smutną.

¹⁾ Patrz: Czwarty tom Vasari'ego.

²⁾ Posiada ją Muzeum *Uffici*.

³⁾ Vide: Czwarty tom Vasari'ego.

⁴⁾ Jak np. głowa Judasza w *Wieczerzy*; skały w *Janie-Chrzczycie*; pejzaże — we wszystkich prawie obrazach.

Leonardo da Vinci, jak anioł Zgonu, deformuje organ każdy, każdy rys, którego się tknie. Modeluje i rzeźbi czaszki, zwięzając je ostrosłupowo, lub wydymając w banię; opuszcza nosy, zwiesza je nad wargą, albo zadziera i ucina krótko, zostawiając tylko chrząstkę kościotrupa. Ogałając podnosi — czyni je długim o płaskiej, jednolitej, nieurozmaiconej linii, pełzającej ku ustom wązkiem, bezwargim, okrutnym. Wysadza na wierzch oczy żabie, lub je grzebie gdzieś głęboko pod bombiastem czołem. Zwiesza skórę podgardla, jak sakwy puste i stare. Zwyradnia usta, burzy ich piękno, znęcać się szczególnie nad niemi zdaje, może dlatego, że tam, jak i w oczach, ogniskuje się wyraz — bo jeśli oczy są zwierciadłem, usta lutnią są duszy. Rysuje je Leonardo, a raczej skalpelem wycina: zapadłe, zasuszone, zwiędłe, odsłaniające z pod warg nieprzymkniętych czarne szczyby, jeżące się kłami, wyszczerzonymi naprzód, lub opuchłe, przekrwione, mięsiste, ciężarem dolnej wargi osiadłe aż na podbródku. Rozdziawiają się czeluście, w które żer się wrzuca, paszcze te śliniace się i rozziwane po nad brodami wielkimi, gąbczastymi, brzuchatymi, wygiętymi w zużyty, znoszony pantofel, albo też — w innych typach — po nad nikłą szczęką wątlą, ludzi bez woli ni siły.

Na niektórych starezych twarzach widzisz smutek i ałunowy jakiś niesmak. Każda marszczka osędziła płakać się zdaje w licu — inne, przeciwnie, uśmiechnięte weselem szaleńców, boleśnieszem nad smutek, krzywią się bezmyślnem zdziecinnieniem.

Leonardo podkreśla brzydotę, którą, jak szumowiny, z całej biednej rasy ludzkiej zebrał, odzieniem dziwacznie skomponowanym, uczeskiem przedziwnym. Dostrzegłszy fizyognomię burleskową lub szpetną — stara się ją zapamiętać, przyswoić, wchłonąć i rzuca ją później jeszcze bardziej szpetną, jeszcze więcej burleskową na papier. Ale nigdy nie wychodzi po za granice, zakreślone prawdopodobieństwem, możliwością istnienia, naturą; trzyma jej się ściśle i dochodzi do istoty Brzydoty, jak w kreacyach powabnych i urodziwych doszedł do rdzenia Piękna.

I tu właśnie widać zasadniczą różnicę, jaka wyodrębnia Leonarda od innych twórców brzydoty. W dziełach swych groteskowych da Vinci nie daje ani koncepcyi trwogi religijno-metafizycznej, której upostaciowaniem były rzeźbione maskary gotyckie, lub hyperboliczne flamandzkie monstra, ani karykatur politycznych, dziś już z racyi aktualności ich w treści i symbolistyce niezrozumiałych, jak np. niektóre plansze Goi, albo *Songes drolatiques* Rabelais'go. Przyrównać głowy groteskowe Leonarda raczej można do masek japońskich: *kappa* (człowiek-żaba), *kitsue* (człowiek-lis),

sarou (małpa) i t. p., gdzie pęta potrzeb, pożądań i instynktów zwierzęcych wiążą człowieka z resztą stworzenia w sposób tak spoiisty, iż powinowactwo to na rysach znamienem piętnem się kładzie.

Zbudowane wspaniale, kreacye owe są godnymi odpowiednikami pięknych dzieł Leonarda, jako wyraz i faktura. I tu i tam — ta sama linia giętka, posłuszna najmniejszym zбочeniom, zahaczająca się o najdrobniejszy szczegół anatomiczny, oddająca najbardziej niepostrzegalne płaszczyzny w bryle postaci ludzkiej.

Głowy greteskowe Leonarda dadzą się podzielić na dwie główne grupy: tragiczne i żałośno-komiczne, i na kilka typów gatunkowych niejako. Nie należy przez to rozumieć, iż się jedne drugim upodobiąją. Stanowią one kilka kategorii okazów, powiązanych ze sobą w jedną jakoby rodzinę wspólną ekspresją lub znamieniem tak, jak ludzi tej samej rasy, podobnych instynktów, wspólnego kalectwa łączą: to samo pochodzenie, ten sam charakter, ta sama anormalność budowy. Mają one wspólne cechy charakterystyczne, ale różnią się indywidualnie, jak jeden garbus np. od drugiego się różni.

Głowa starcza o nosie, który czubkiem się kładzie na ustach, ostrym narysem przeciętych, o podbródku wielkim, mięsistym, pod którym czuć zuchwy bestyalne, o oku zapadłym ryby śniętej, obramowanem ociężałą powieką, łopusiastem uchu, o podgardlu sfaldowanem, ochlapłem — powtarza się najczęściej ¹⁾. To typ pośredni między Tartuffem a Harpagonem.

Inna grupa: twarz tłusta a obwisła i sflaczona, dolna warga wydatna, zmysłowa, łakoma; język gruby smakosza ukazuje się między szparami brakujących zębów — coś z Gorenflota, a coś ze spastej, lubieżnej baby starej. ²⁾

¹⁾ Do tej grupy zaliczyć można następujące głowy: głowę, podznaczoną № I w Albumie, wydanem w Paryżu przez E. Rouveyre'a (*Les Têtes grotesques de L. de Vinci*, reprodukcją głowy groteskowej ze Zbiorów Windsorzkiego Zamku), a noszącą № 60 (Katalogowy), jedną z głów z № II (№ katalogowy 8), głowę № III, № IV (№ katalogowy 22), № X, № XIII; do tejże kategorii należy jedna z głów starczych (bez numeru) ze zbioru *I Disegni di Leonardo da Vinci*, wydanego w Turynie (Torino, 1888, in folio) i w. i.

²⁾ Ibidem, №№ XVI, XVIII i jedna z głów w kompozycji, podznaczonyj № XXV, ze Zbiorów turyńskich rysunek, podznaczonyj № 98 i opatrzony podpisem L. da Vinci.

Typ, ¹⁾ który potem karykatura Romantyzmu powtarza w rozmaitych Hiroux, Robert Macaire i t. p.

Typ inny: wąły zarost, mądre oczodoły, usta w poważny kwas i przesył zaciśnięte, czaszka okrągła, omszała wąłym, rzadkim włosem suchotniczym, sępie spojrzenie a wyraz inkwizytora ²⁾.

Profil o podnosiu i podbródka olbrzymich w proporcjach twarzy; czoło nikle ginie wobec nadmiernego rozwinięcia dolnej jej części, nozdrza krótkiego, raptownie uciętego nosa, ściągnięte ku dołowi, usta wzdęte, wole martwą skórą zwisłe, wyraz ściśniętej głupoty i zmysłowości ³⁾.

Maska Danta ⁴⁾, zryta smutkiem, zrobaczała, zda się mólami pocięta; inna ⁵⁾ — rzymska, Trajana w karykaturze.

Zaznaczone tu pokrótce głowy kojarzą się w grona i klasy, a mają pozór familijny, wspólny; ileż wszelako fizyognomij oderwanych, niedających się podporządkować pod żadną z wymienionych rubryk, jak np. to oblicze skowyczące rozpaczliwie, wściekle, dziko, o oczach rozpalonych gniewem i nienawiścią, utkwionych z podełba we wroga niewidzialnego ⁶⁾; lub inne ⁷⁾ o śpiczastym, małym nosku a wielkiej brodzie, uśmiechnięte, rade czemuś, spoglądające ślepiem, wystrzelonem kędyś, w dal z ciekawością i żądzą.

Gdzie atoli prawda staje się okrucieństwem, ołówek się zmienia w rylec złowrogi i żłobi maskę człowieczą z całą bezwzględnością ślepią żywiołu i kazi ją — jak ospa, i wykoszlawia — jak konwulsye; gdzie resztki już nawet smutne piękna ludzkiego pierzchają, gdzie nie zostaje już nic, okrom bolesnej, przedzgonnej obrzydly — to w groteskowych głowach kobiecych ⁸⁾.

¹⁾ Jak np. w *Albumie Rouveyre'a* jedna z głów z № IV (kat. 36), № XIV (kat. 65), XV, XII (kat. 39) i w i.

²⁾ Np. № VII (kat. 20) *Alb. Rouveyre'a*, lub studjum z Muzuem *Uffizi* z datą 1478.

³⁾ №№ (Album Rouveyre'a) XVI, XX (N. kat. 29), XXII (kat. 31), XIII i w. i.

⁴⁾ № XXI (kat. 63) № XXIII (kat. 54), jedna z głów kompozycyi № XXV, ibidem.

⁵⁾ № XI (katalogu 9) w *Albumie Rouveyre'a* i ta np. z kolekeji Malcolm'a, nosząca tytuł: „Portret Rycerza“ (*British Museum*), № V (katal. 7) *Alb. Rouveyre'a*.

⁶⁾ № XVIII (kat. 62) *Alb. Rouveyre'a*.

⁷⁾ № XX (kat. 29) *Alb. Rouveyre'a*.

⁸⁾ Patrz np.: № VIII (kat. 59) *Alb. Rouveyre'a*, № IV (kat. 36) i w. i.

Tam Leonardo, który uczcił urok i cudność kobiety w Giocondzie i w niej stworzył dzieło o tak wielkiej mocy magicznego piękna, że tylko słowa Goete'go:

Das Unbeschreibliche,
Hier ist es gethan;
Das Ewig-Weibliche
Zieht uns hinan

komentarzem być mogą — spłodził Giocondy brzydoty, rozlazłe, galaretowate cielska, mogliwą ropą ociekłe.

Zaden z tych, co się nad urokiem kobiecym znęcali, ani Goya, ani Breughel, ni Bosch, ni snycerze średniowiecza—nie doszli do takiego superlatywu w szpetocie.

Te zalotne, ustrojone starszki Leonarda o ramionach obnażonych a rozmiękłych i uległych, o szyjach obrosłych tłuszczem, o żyłach i ścięgnach napiętych, jak cięciwy, o kośćcu, przegładającym tu i owdzie po przez żelatynowe ciało, o piersiach obwisłych, o liniach niepewnych, topniejących starczego rozkładu — gzią się, kokietują i wabiają; a zdają się one być graficznem wyrażeniem myśli, wypowiedzianej w *Traktacie Malarstwa*: „*cosa bella mortal passa.*“

Stworzone są one wszakże, jak i reszta głów groteskowych, nie gwoli jakiejś tezie moralnej, systemowi filozoficznemu, tendencyi jakowejś. Nie szukać w groteskowości Leonarda metafizyki, ni satyry. Karykaturalne postaci te,—to poprostu stwierdzenia i obserwacye genialnego fizyognomisty, śledzącego ze „szkiełkiem mędrcza“ a z poczuciem artysty przejścia i ewolucye formy: od Piękna do Brzydoty, od potęgi młodości do starczego niedołęstwa.

I tą właśnie drogą doszedł Leonardo da Vinci do niebywalego poznania natury we wszelkich jej objawach, kształtowaniach, kaprysach nawet; żadnym elementem nie pogardził, bo wszystkie one: i Uroda i Nieurodziwość, Sędziwość i rzeźki Wiek Młody, Zdrowie i cherlawa Niemoc z jednej macierzy-natury zrodzone.

Zarówno drogim mu był miękki, słodki, wabny a zdradliwy uśmiech Mony Lizy, jak i burleskowość grymasu starczego, miód Piękna, jak i Brzydoty gorycz.

ROZMAITOŚCI.

I.

Wystawa międzynarodowa w Medyolanie.

Można stwierdzić z zupełną szczerością, że wystawa międzynarodowa w Medyolanie miała dotąd rzeczywiste i duże powodzenie, powodzenie dobrze zasłużone, bo wszakże to pierwsza wystawa międzynarodowa we Włoszech zjednoczonych politycznie, pierwsza uroczystość pracy we wszystkich jej objawach: święto sztuki, przemysłu, rolnictwa i handlu.

Medyolan, uznany za moralną stolicę Włoch, urządza poraz trzeci w ciągu dwudziestu pięciu lat wystawę dla swoich współobywateli i dla cudzoziemców. Wystawa, projektowana z powodu przebicia Simplonu, miała być w pierwotnym pomysle tylko skromnym pokazem wszelkich sposobów przewożenia zarówno najdawniejszych, jak współczesnych. W wykonaniu jednak dodawano stopniowo coraz nowe oddziały i tym sposobem w chwili inauguracji, dokonanej w kwietniu roku bieżącego w obecności włoskiej rodziny panującej, ministrów, posłów, deputowanych, senatorów, publiczność znalazła się wobec wspaniałej wystawy, jakiej Włochy dotąd nie oglądały.

Wszystkie niemal narody świata reprezentowane są na tej wystawie, dorównywującej prawie swoim obszarem wystawie paryskiej z 1900 r. Ze względu na rozległość zajmowanego miejsca, podzielono ją na dwie części, połączone z sobą koleją elektryczną, która zachwycała króla rumuńskiego podczas jego odwiedzin.

Część pierwsza, położona w pobliżu starożytnego zamku książąt Sforzów (z których pochodziła królowa Bona), zajmuje cały prawie dawny park miejski. Tu właśnie znajdowały się cudowne pawilony sztuki zdobniczej włoskiej i węgierskiej, zniszczone pożarem 3 sierpnia. Pawilony te są dziś odbudowane, świadcząc o dzielności i ruchliwości przemysłu włoskiego i węgierskiego. Niedaleko od nowych pawilonów znajdują się: wielki i majestatyczny pałac koncertowy, który służył również na bale i konferencye; małe i pełne wdzięku pawilony sztuk pięknych (malarstwa, rzeźby i budownictwa) z pięciu przeszło tysiącami obrazów, posągów i t. d., ze wszystkim co najlepszego stworzył w ostatnich latach geniusz artystyczny Włoch. Wyznaczono też miejsce malarzom zagranicznym, ale nie znalazł się tam ani jeden malarz polski. A szkoda, bo malarstwo polskie byłoby się tu spotkało z wielką sympatyą. Kanada, Szwajcarya, Rosya, Holandya, Grecya, Hiszpania, Turcya, Japonia, Węgry — mają w parku własne pawilony lub oddziały. Kanada, Węgry i Rosya żywo zajmują zwiedzających różnaitością swoich twórców i odrębnością ich od naszej produkeyi.

Są nadto pawilony Przeworności i Wzajemności miasta Medyolanu, Towarzystwa Pokoju, Telegrafu Marconiego, pawilon Złotników, niesłychanego bogactwa, i Akwaryum dla ryb wód słodkich i morskich, wielce uczęszczane przez publiczność. Nader zajmującym pod względem historycznym jest wielki pawilon środków transportowych, urządony metodą retrospektywną, prawdziwe i kompletne muzeum, gdzie widzieć można powozy wszelkiego gatunku i wszystkich czasów: sanie, rydwany, lektyki, wozy, dyliżanse, karety galowe panującej rodziny Sabaudzkiej, Papieża i różnych innych sławnych rodzin włoskich.

Bramę tryumfalną wystawy stanowią dwa wejścia do tunelu simplońskiego przedziwnie naśladowane, w których kierunku ciągnie się 300 metrów galeryi, zawierającej maszyny i narzędzia, jakie służyły do przewiercenia góry. Dodać tu winienem, że ta imitacya tunelu budzi zachwyt wszystkich zwiedzających wystawę.

*

*

*

Druga część wystawy znajduje się na miejscu dawnego Placu Broni i zajmuje większą niż park przestrzeń. Tu mieszczą się

najobszerniejsze pawilony, jak np. Galerya Pracy (Galleria del Lavoro), gdzie śledzić można olbrzymie i szybkie postępy, jakie w ciągu ostatnich lat uczyniły Włochy we wszystkich gałęziach przemysłu, handlu i rolnictwa. Istne to objawienie, zaszczyt przynoszące Włochom. Pawilony Francyi, Anglii, Belgii, Austro-Węgier, Niemiec i Bulgaryi wymurzają się w różnych punktach, każdy w swoim odrębnym stylu, niby białe czarodziejskie pałace. Wszystkie te narody przedstawiły najlepsze swoje twory, najznakomitsze wynalazki przemysłowe, a Francya i Niemcy na pierwszy plan wysuwają się w tem współzawodnictwie. Bardzo ciekawie wygląda pawilon marokański; każdy kto go zwiedza, przypomina sobie epizod w Algéciras. Zwraca też uwagę pawilon rzeczypospolitych łacińskich Ameryki Południowej: Meksyku, Argentyny, Brazylii, Chili, Kolumbii, Ekwatora i t. d., oraz pawilon Czerwonego Krzyża. Dużo publiczności przyciąga pawilon samochodów, w którym Włochy pierwsze po Francyi zajmują miejsce.

Jest jeszcze olbrzymia galerya maszyn, galerya kolei żelaznych włoskich, francuskich, niemieckich, belgijskich, austriackich, szwajcarskich, węgierskich, angielskich, prawdziwy rynek wagonów wszelkiego rodzaju. Niemiejsze zajęcia budzą pawilony włoskiej marynarki, wojny i handlu. Do rzędu wystawców należą także: ministerjum spraw wewnętrznych i ministerjum skarbu, z oddziałem przedstawiającym włoskie wyroby tytoniowe. Tłumną frekwencyą cieszą się pawilony w wielkim stylu rolnictwa i przemysłu jedwabnego, gdzie Włochy występują ze swoją wyraźną przewagą, bo Medyolan wyprzedził Lugdun w tej produkcji.

Nie będę zajmował czytelnika wyszczególnianiem innych mniejszych pawilonów firm handlowych włoskich i cudzoziemskich, które różnaitością artystyczną swoich fizyognomij nadają całej wystawie wyraz zajmującego ożywienia.

Piękna bardzo reprodukeya dzielnicy Kairu, z autentycznymi Arabami; wioska nubijska ze swymi mieszkańcami hebanowej burwy; wieś cretryjska z ładnemi *ascari*, najwięcej gromadzą Włochów i cudzoziemców, zakochanych w egzotyzmie. Nie brakuje też zabaw, kawiarni, restauracyj, ani wreszcie koncertów wszelkich narodowości, których jest mnóstwo i gdzie słyhać wśród publiczności języki całego świata. Słusznie też mówią, że wystawa medyolańska podobna jest trochę do wieży Babel.

*

*

*

W bardzo oryginalnym pawilonie *Włochów za granicą* (Gli-Italiani all'Estero), otoczonym drzewami i kwieciami, mieści się mały oddział, poświęcony Polsce, w przysionku głównego wejścia. Kiedy Komitet wystawy z senatorem Mangili na czele postanowił rozszerzyć działły wystawy, wytworzył się natychmiast podkomitet i podał doskonałą myśl wybudowania pawilonu, przeznaczonego na twory handlowców i artystów włoskich, którzy znajdują się na obczyźnie i w koloniach włoskich w Afryce. Nie dość na tem: inicjatorowie zapragnęli przedstawić wielkość sztuki włoskiej w przeszłości i stąd powstał zbiór fotografii, reprodukujących pomniki wszelkiego rodzaju, kościoły, pałace, posągi, obrazy i t. d., wykonane przez artystów włoskich zagranicą od wieków średnich począwszy aż do roku 1850. Kolekcya ta, jakkolwiek zaniknęła w granicach rzeźby, malarstwa i budownictwa przedstawia się teraz wspaniale. Geniusz artystyczny Włoch jaśnieje w niej w całym blasku!

Polska zajmuje w zbiorze jedno z najważniejszych miejsc, a dzieła stamtąd pochodzące budzą w życzliwej publiczności żywe zainteresowanie zarówno pod historycznym, jak i artystycznym względem. W wielkich ramach, z napisem *Polonia*, wystawiono tam fotografie, zgromadzone ze wszystkich zakątków Polski. Świadczą one o umiłowaniu Polaków do sztuk pięknych, o węzłach bratnich, jakie łączyły zawsze Włochów i Polaków. Warszawę reprezentuje w zbiorze: posąg króla Zygmunta III-go, Klemensa Milusa z Bolonii; gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, pałac Paca, wzniesione przez budowniczego Henryka Marconiego; kościół Świętego Krzyża, dzieło inżyniera Bellottiego; kościół Kapucynów, zbudowany przez Augustyna Locci; pałac dawnej Komisji Skarbu, Antoniego Corazzego, znanego w Polsce twórcy innych także gmachów: jak Teatr Wielki, pałac Staszica, Bank Polski i t. d.

Bogaciej sztukę włoską przedstawia Kraków. Nadeszło stamtąd w reprodukcjach: grób króla Jana Olbrachta, dzieło Franciszka Muratora Italusa; Zamek, zbudowany w części przez Franciszka della Torre i Bartłomieja Borezzi w najczystszyim stylu Odrodzenia; wnętrze kościoła Ś-tjej Anny, przez Baltazara Fontanę, bardzo cenionego artystę, który pracował także w Austrii; cymboryum w kościele Panny Maryi przez rzeźbiarza Mossa, zwanego Padewczykiem. Ten sam artysta stworzył jeszcze Sukionnice, grób Piotra Boratyńskiego w Katedrze i grób biskupa Tomickiego, dzieła, które przekazały jego imię do potomności. Z twórów artysty Sante Guggi są groby Anny Jagiellonki i męża jej króla Stefana Batorego w kościele katedralnym, wielce wspaniale, przypominają-

jące nieco motywami zdobniczymi groby w klasztorze Kartuzów w Pawii; grób Władysława Jagiellończyka, Ciniego i Bereciego; grób Filipa Buonacorsi, zwanego Kalimachem i jeszcze kilka innych prac, jak np. kaplica zwana Zygmuntofską.

Poznań dał bardzo niewiele. Spotykamy w zbiorze: Ratusz, dzieło G. B. di Quadro; pomnik Adama Konarskiego, przez G. Canovesi; pomnik grobowy rodziny Górków w kościele katedralnym, przez tego samego Canovesiego, który widocznie pracował wiele w tem mieście. Obie fotografie przysłał Jego Ekscelencya Likowski, biskup poznański.

Lwów równie skąpo jest reprezentowany. Przedstawił mianowicie w reprodukcjach dom rodziny Alberti, wybudowany przez Piotra Ciasso (fotografia p. doktora Batowskiego), klasztor Benedyktynów, gmach wzniesiony przez architekta Paolo Dominici Romano, który budował również kościół Bernardynów; nadto kościół Wniebowzięcia Matki Boskiej i dom Korniaкта, który należał niegdyś do króla Jana III Sobieskiego, przez Piotra di Borbona, którego dzieł nie znają wcale Włochy.

Z Lublina nadesłano dwie tylko fotografie: gmach municipalny, przez budowniczego Merliniego i katedra (dostarczył je prof Łopaciński). Nadto figurują w kolekcyi: pałac króla Jana Sobieskiego w Wilanowie, dzieło budowniczego Bellottiego; pałac króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w Łazienkach, wybudowany przez architektów Merliniego i Fontanę (dar O. F. Tencajolego z Medyolanu); teatr i posągi z parku Łazienkowskiego, przez M. Rigi; portret Stanisława Augusta przez Marcelego Bacciarellego. Jest też kilka innych fotografii z obrazów tego malarza, między innymi: Zygmunt I nadający inwestyturę Prus Wschodnich Albertowi Brandeburskiemu i t. d. Nadmienimy wreszcie o reprodukcjach z portretów: króla Władysława IV, królowej Cecylii Renaty Austryackiej, malowanych przez Dolabellę (dar M. O. Tencajolego), i z wizerunków pięknej Maryi Ludwiki Gonzagi, dzieło artysty włoskiego (dar hr. Izydora Czosnowskiego); księżnej Teresy Lubomirskiej, przez Józefa Grassiego, i zakończmy wzmianką o dwóch obrazach Lampiego, oraz o modelu żelaznym ratusza poznańskiego na stole z drzewa dębowego, pochodzącym z *Museo Societatis Litterariae Posnaniensis*.

Zasługa doskonałego powodzenia tej kolekcji należy się kawalerowi Hektorowi Verga, dyrektorowi archiwów miejskich w Medyolanie, który wykazał w tej pracy godną wszelkiej pochwały dobrą wolę. Zapewne, że zbioru kompletnym nazwać nie można, brak jeszcze fotografii wielu pomników i mnóstwa obrazów, stworzonych w Polsce przez artystów włoskich, ale zdobycie tych reprodukcji trudnem jest z różnych powodów. Cieszyć się jednak wypada i z takiego wyniku, bo Polska, jak to już zaznaczyłem, zajmuje wybitne miejsce w zbiorze, który zwrócił uwagę Włochów i cudzoziemców, a zwłaszcza Polaków, rezydujących we Włoszech i zwiedzających licznie wystawę.

Hołd intelektualny, jaki sobie wzajemnie złożyły Włochy i Polska, przyczyni się do zacieśnienia węzłów przyjaźni, łączących od kilku wieków dwa wielkie bratnie narody.

OREST FERD. TENCAJOLI.

II.

Kongres socjalistów włoskich w Rzymie.

Pomimo jednej wspólnej nazwy, socjaliści włoscy dzielą się na trzy frakcyje, różniące się silnie między sobą w poglądach na taktykę i cele stronnictwa. Umiarkowaną frakcyję, prawicę partyi, stanowią „reformiści;“ godzą się oni z istniejącą we Włoszech formą rządu i dążą do poprawienia losu proletaryatu drogą stopniowych reform; oportunistom ich sięga tak daleko, że w swym programie parlamentarnym przewidują możliwość popierania burżuazyjnego rządu, zajmującego się polityką socyalną, wobec czego nie jest dziwnem, że wódz reformistów, deputowany Turati, miał już sobie kilkakrotnie proponowaną tekę ministeryalną; organami tej frakcyi są: „Critica Sociale,“ „Tempo“ i parę innych gazet. Radykalny odłam stronnictwa, skrajną lewicę, przedstawiają tak zwani teraz „syndykaliści,“ dawniej „rewolucyoniści;“ nie uznają oni reform pokojowych, lecz wierzą jedynie w skuteczność środków gwałtownych, jak bezrobocia i w ogóle rewolucya; za kierowników tej frakcyi można uważać Arturo Labriola, Enrico Leone, Walter'a Mocchi, a za organ „Divenire sociale.“ Pomiedzy reformistami i syndykalistami, jako centrum partyi, stoją „integraliści,“ t. j. dążący do utrzymania całości partyi, których program jest pośrednim

dwóch poprzednich; wodzem integralistów jest Enrico Ferri, redaktor „Avanti,” oficjalnego organu całego stronnictwa.

Liezbny skład stronnictwa nie jest wielkim i wzrost jego postępuje wolno; według ogłoszonego niedawno sprawozdania, w r. 1902 w całych Włoszech było 990 zorganizowanych związków socjalistycznych z 36,052 członkami; obecnie zaś stronnictwo liczy 1252 związków i 42,860 członków.

Na poprzednim kongresie w Bolonii, przed 2 $\frac{1}{2}$ laty, zarysowały się już wyraźnie różnice walczących między sobą w łonie stronnictwa kierunków: umiarkowanego i nieprzejednanego, przy czem obydwaj kierunki były reprezentowane prawie przez jednakową liczbę głosów. Od tego czasu różnice zaostrzyły się jeszcze bardziej; rewolucyoniści zmienili swą nazwę na syndykalistów i przyjęli za zasadę, że zorganizowane związki robotnicze (syndykaty) mają prawo, na własną rękę, prowadzić samodzielną akcyę na korzyść proletaryatu. Zgodnie z tą zasadą i wbrew wyraźnemu postanowieniu zarządu partyi, były urządzone tak liczne w ostatnich czasach we Włoszech bezrobocia, które, trzeba to zaznaczyć, nie przyczyniły się do wzmocnienia stronnictwa, lecz przeciwnie otworzyły oczy wielu robotnikom na szkodliwą działalność ich przewódców, odsunęły od socjalizmu lud wiejski i wogóle osłabiły w społeczeństwie sympatye dla doktryn socjalistycznych; dowodem jest fakt, że liczba członków zapisanych do związków socjalistycznych, zmniejszyła się z 45,800 w r. 1904 do 42,860 w chwili obecnej. Niepopularną też okazała się propaganda antymilitaryzmu, rozpoczęta przez syndykalistów, na wzór prowadzonej we Francyi przez Hervégo i jego zwolenników; nawet w szerszych kołach socjalistycznych nie znalazła ona poparcia; na ankietę, rozpisaną przez „Avanti,” otrzymane były odpowiedzi dla propagandy nieprzychylnie; tak np. profesor Loria wyraził się, że Włochy, pod groźbą śmierci, powinny utrzymywać swe siły zbrojne; zdaniem drugiego profesora, Coletti, słabe militarnie Włochy nie unikną wojny, owszem, prędzej ją wywołają i nakoniec znany publicysta włoski, Malugodi, nazwał propagandę tę po prostu: „fałszywą, niebezpieczną i brutalną.”

Przeciw podobnej, samodzielnej polityce syndykalistów występowały bardzo stanowczo organy prasy reformistów; w „Critica sociale” Turati niejednokrotnie zarzucał syndykalistom, że porwawszy się za zaśniedziałą i tępą broń bezroboci, częściowych i ogólnych, zamienili socjalną walkę klasową na szereg bezmyślnych, niezorganizowanych napaści na ludzkie społeczeństwo wogóle, że nadali tem socjalizmowi włoskiemu karykaturalne formy,

które ośmieszyły go tylko w oczach całego społeczeństwa, pozbawiły przyjaciół i poparcia mas ludowych; więcej nie mógłby powiedzieć i wróg socjalizmu.

W atmosferze ogólnego rozdrażnienia rozpoczął swe posiedzenia kongres Rzymski w. dn. 7-go października; na przewodniczącego wybrano deputowanego Costa i na samym wstępie postanowiono wyrazić sympatyę kongresu rewolucyonistom rosyjskim; następnie przystąpiono do obrad nad zadaniami i taktyką stronnictwa. Obrady trwały trzy dni i były dalszym ciągiem poprzednich sporów między przedstawicielami rozmaitych kierunków, przyczem dochodziło nawet do oddzielnych bójek i powszechnego zamętu na posiedzeniach. Charakterystycznym było to, że członkowie kongresu odmawiali sobie nawzajem prawa do nazwy socjalisty; Turati, nie uznając istnienia integralistów, jako osobnej frakcyi socjalistycznej, o syndykalistach wyrażał się, że nie są socyalistami, lecz anarchistami; natomiast syndykalisci żądali usunięcia reformistów ze stronnictwa, nazywając ich monarchistami; nieprzejednane ich doktrynerstwo wywołało trafną uwagę jednego z mówców, że syndykalisci zgodziliby się patrzeć na śmierć głodową robotników, aby tylko mieć przyjemność demonstrowania swych teoryj. Na ogół przeważały przemówienia umiarkowane; wypowiadano nawet zdanie, że socyalizm włoski nie był, nie jest i nie będzie nigdy marksizmem (Morgari); że stronnictwo socyalistyczne włoskie jest tylko stronnictwem robotniczem reform socyalnych (Turati); że monarchiczna forma rządu we Włoszech nie jest przeszkodą ani dla szerzenia socyalistycznych idej, ani dla polepszenia losu proletaryatu (Vergmanini) i t. d. Okazało się w toku obrad, że od czasu Bolońskiego kongresu, integralisci wzrosli znacznie w liczbę i zapożyczywszy dla swego programu od reformistów to, co ci mają stosunkowo radykalnego, a od syndykalistów, co ci mają stosunkowo umiarkowanego, stali się spójnią i przeważającą w stronnictwie siłą; bronią oni, jak się wyraził Ferri, reform od reformistów i syndykatów od syndykalistów.

Ostatecznie, każda z trzech frakcyj stronnictwa przedstawiła swój program, określający stosunek do rządu i dalszy sposób postępowania partyi. Przed głosowaniem reformisci oświadczyli, że przyłączają się do programu integralistów i ten został przyjęty większością 26,947 reprezentowanych na kongresie głosów; program syndykalistów pozyskał tylko 5,578 głosów. Przyjęty program nie jest zupełnie jasnym, gdyż miał on na celu pogodzić powstałe sprzeczności i niedopuszczyć do rozpadnięcia się stronni-

ctwa; wskazuje on przedewszystkiem na konieczność jedności w stronnictwie, aby usiłowania tegoż, skierowane ku polepszeniu warunków proletaryatu, mogły być skutecznemi; zaleca stronnictwu w swej działalności stosować się do istniejącej formy rządu i ustroju społecznego i posługiwać się środkami legalnemi, a do gwałtownych uciekać się tylko w tym razie, jeżeli organy rządowe paraliżować będą użycie środków legalnych; następnie potępia ogólne bezrobocie, jako szkodliwe i nie prowadzące do celu i na koniec zaznacza wrogie stanowisko stronnictwa względem militaryzmu i klerykalizmu.

Oczywistą jest rzeczą, że połączenie się integralistów i reformistów przechyliło na kongresie szalę zwycięstwa na stronę umiarkowanych żywiołów i faktem jest, że większość kongresu odrzuciła na przyszłość anarchistyczno-rewolucyjną metodę działania. Syndykaliści, t. j. przedstawiciele związków robotniczych, którzy we Włoszech, naodwrot jak w Niemczech, są dotychczas zwolennikami gwałtownych środków walki, przyjęli wyniki głosowania burzliwemi oznakami niezadowolenia; pozostali jednak w znacznej mniejszości i można się spodziewać, że rezultaty kongresu Rzymskiego przyczynią się do złagodzenia walki socyalnej we Włoszech i do wewnętrznego uspokojenia kraju.

M. Ł.

Włodzimierz Spasowicz.

Po czteroletnim pobycie w Warszawie, dokąd przeniósł się był z Petersburga w 1902 r., zmarł w naszym mieście w dn. 29 października r. b. Włodzimierz Spasowicz, uczony jurysta wielkiej miary, pisarz znakomity, człowiek nieposzlakowanej prawości, charakter z jednej sztuki. Działalność zmarłego była już w naszym piśmie przedmiotem obszernej analizy; śmierć wydobywa dziś z tego życia pracowitego i pełnego zasług na polu nauki i literatury syntezę, którą zajmie się w „Bibliotece“ powołane ku temu pióro. Tymczasem poprzestajemy na zanotowaniu suchych dat biograficznych, komu innemu zostawiając ich oświetlenie.

Urodzony w 1829 r. w Rzeczycy w gub. mińskiej, Spasowicz ukończył studia prawne w Petersburgu, poczem zajął katedrę prawa kryminalnego w tanczejszym uniwersytecie, gdzie wykładał aż do r. 1862, kiedy wybuchły zaburzenia studenckie, wskutek których usunął się z wszechnicy i poświęcił się adwokaturze. W charakterze obrońcy zastąpił wkrótce, jako mówca pierwszorzędny; obrony, zwłaszcza w pamiętany procesie Nieczajewa, zjednały mu europejski rozgłos. Niebawem też dał się poznać w studiach historycznych, pisanych po rosyjsku, jako gruntowny znawca dziejów Polski; czynnie współpracował w czasopiśmie „Słowo“; redagował też z Kostomarowem *Więstnik Jęwropy*, brał udział w wydaniu Ohryzki *Voluminów legum*, wydając nadto w języku rosyjskim mnóstwo prac z dziedziny prawnej. Podjąwszy wspólnie z Pypinem wydanie „Przeglądu historyi literatur słowiańskich,“ opracował do tego dzieła dzieje piśmiennictwa polskiego (przetłomaczone później na język polski przez S. Czarnowskiego i A. G. Bema). Krytykę literacką chętnie opierał na motywach społecznych, co Warszawa miała sposobność ocenić, słuchając rozgłoszonych nie-

gdyś odczytów Spasowicza o Wincentym Polu. Założywszy później w Warszawie miesięcznik *Ateneum*, który znacznym nakładem do r. 1901 podtrzymywał, jednocześnie prowadził w Petersburgu powstałe przy jego udziale pismo tygodniowe „Kraj,” gdzie był gorliwym współpracownikiem w dziale politycznym i literacko-krytycznym. „Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego, epizod z dziejów kwestyi rosyjsko-polskiej“ jest dziełem, krystalizującym poglądy Spasowicza na stosunek Polski do społeczeństwa i państwa rosyjskiego. Poglądy te wyznawał z nieugiętą konsekwencją, przeprowadzał je w teorii i praktyce; ukształtowały się one w duszy Polaka, ogarniętego atmosferą rosyjską, w ideę przewodnią, której pozostał wierny do ostatniego tchnienia. Idea miała wyznawców i wrogów, a głosiciel jej podzielał losy idei. Śmierć zabrała Spasowicza w późnym wieku, ale zawcześniej w stosunku do chwili, w której umierał, a której może sędzono wyrzec ostatnie słowo „dziejów kwestyi rosyjsko-polskiej.“

PIŚMIENNICTWO.

WACŁAW TOKARZ. *Ostatnie lata Hugona Kołłątaja (1794—1812).*

W przedmowie autor wyznaje, że okres życia Kołłątaja przedstawiony w jego pracy, ma niewątpliwie znaczenie drugorzędne dla jego biografii. W ciągu tych 18 niespełna ostatnich lat życia — przez 9 jest Kołłątaj zupełnie odcięty od kraju i społeczeństwa, znajdując się bądź w więzieniu austriackim, bądź też w Moskwie, a po za tem, czy to w czasie pobytu na Wołyniu, czy w Księstwie Warszawskim do tego stopnia nie bierze udziału w życiu publicznem, że ze wzmiankami o nim spotkać się dosyć trudno w literaturze pamiętnikarskiej, a nawet i korespondencyi współczesnej. Cała jego działalność w tym okresie redukuje się do rozmiarów bardzo skromnych. Występuje on w roli doradcy tych ludzi, którym warunki dały możność działania, pracuje naukowo, pisze broszury polityczne, a przede wszystkim memoryały, w których podaje rozliczne projekty, a głównie krytykuje ludzi stojących u władzy, przeciw którym do końca życia walczy i intryguje. Jego rola, jako doradcy, była często mało widoczną, tak że niejednokrotnie współcześni nie oceniali jej wcale. Publicystyka Kołłątajowska z tego czasu jest też robotą nie tyle działacza politycznego, ile malkontenta. Mamy tu naogół do czynienia z działalnością człowieka złamanego przeciwnościami, odsuniętego w pełni sił od wszelkiego współudziału w pracy publicznej.

Z tem wszystkim warto poznać Kołłątaja nawet w tym okresie zawodów i rozgoryczenia, miał bowiem w swej umysłowości pewne dane do spokojnego i trafnego ocenienia epoki Napoleońskiej, nie przywiązywał się on zbyt mocno do pewnych, stałych programów politycznych, miał więcej od innych zdolności do oceniania korzyści każdej sytuacji i żadnej z dróg pracy nie odrzu-

cał z góry, a zawsze miał coś do powiedzenia społeczeństwu. Jego jasna unysłowość nie uległa zmianie aż do końca życia; wydaje on ciągle prace publicystyczne pierwszorzędnej wartości, lub sądy, obserwacje i projekty godne zastanowienia. Schorowany, złamany pozostał on zawsze samym sobą i śmierć nawet zaskoczyła go przy robocie. Źródła, na których autor oparł swą pracę, są przeważnie rękopiśmienne. Znajdują się one w Bibliotece Jagiellońskiej, w zbiorach Akademii Umiejętności, w archiwum Andrzeja hr. Potockiego, w bibliotece ordynacyi Zamoyskich, Krasińskich, w zbiorach Dzieduszyckich i Czartoryskich, w archiwach austriackiego ministerjum spraw wewnętrznych, w Staats-Haus i Hof-Archiv w Wiedniu, w Rapersvylu i w Paryżu.

Nusamprzód przytoczył autor wszystko to, co Kołłątaj podał w obronie swojej przeszłości. Kołłątaj zaś mógł słusznie powołać się na prawdę, iż złorzeczenia i wyrzuty w nieszczęściu, przemieniają się na błogosławieństwa i uwielbienia w powodzeniu. Kołłątaju czyniono odpowiedzialnym za wszystko, co się działo w r. 1794. Tymczasem Śniadecki usprawiedliwiał go, twierdząc, że gdy Kołłątaj wystąpił na scenę rozpaczy ginącego narodu, gdzie wszystkie wysilenia rozumu bez nadzwyczajnego w sztuce wojennej talentu są próżne i daremne, musiał spotkać wyrok twardego przeznaczenia, skazujący go na pastwę zawziętości i zemsty. Wechodził tylko dzielnie do gwałtownych lekarstw ratunku, mylił się i zawodził, kiedy się prawie wszyscy mylili i zawodzili, i najwięcej za te pomyłki odpokutował. Najzacieklejsze zarzuty spotykały Kołłątaja ze strony Stanisława Augusta. Król posądzał Kołłątaja o spisek na życie Kościuszki i o zaprowadzenie assygnat w tym celu, aby mógł zagarnąć monetę brzęczącą, Kołłątaj nawzajem oskarżał Stanisława Augusta, że w r. 1767 zażądał od Repnina wywiezienia senatorów. Zerwanie stosunków z Kościuszką, Stanisławem Małachowskim, Stanisławem i Ignacym Potockimi przemawiało daleko silniej przeciw Kołłątajowi. Nawet Tomasz Ostrowski, chociaż pomagał Kołłątajowi w staraniach o odzyskanie majątku, nie obdarzał go dawnem zaufaniem. Linowski wreszcie wystąpił z broszurą, w której zamieścił wszystkie zarzuty przeciw Kołłątajowi. Pierwszą próbą rehabilitacyjną Kołłątaja była książka: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja“ i t. d. Wogóle przyznać trzeba, że jego stosunki z Targowicą i Bułhakowem, aczkolwiek spowodowane po części jego widokami osobistymi, nie były nawiązane bez zgody emigracyi, ani pozbawione względu na dobro ogólne kraju. Współcześni osądzili też Kołłątaja sprawiedliwiej, poznawszy po za maską

awanturnika, skłonnego do demagogii, warcholstwa i chciwości, wyższe zdolności i dane na męża stanu: niezrównany talent organizacyjny, zdolność do systematycznego, porządnego przeprowadzenia każdej pracy, którą mu powierzono, a przede wszystkim najrealistyczniejszą, najjaśniejszą wśród współczesnych umysłowość i wyjątkową znajomość swego społeczeństwa. Ale wyrozumiałe głosy Niemcewicza, Wodzickiego i Śniadeckiego były to sądy późniejsze, wypowiedziane przy spokojnem spojrzeniu w przeszłość, z zapanowaniem nad jej walkami, oskarżeniami i bólami, gdy Kołłątaj dawno był już zeszedł ze sceny dziejowej. Kołłątaj jednak pozostał pod wrażeniem, że własni rodacy wydali go w ręce władz austriackich, że jego uwięzienie przyjęto w pewnych kołach jaknajlepiej, a za czasów Księstwa nie powołano go do życia publicznego. Kołłątaj pod wpływem goryczy zawodu pisał swą obronę, a ta okoliczność skłaniać musi zawsze do wyrozumialszego jej traktowania.

Opuszczając Warszawę d. 4 listopada 1794 r., Kołłątaj zatrzymał się w Kozienicach. Z Kozienic wyjechał d. 4 listopada i pod przybranem nazwiskiem Jastrzebskiego udał się w Sandomierskie, gdzie w majątku Węgleńskiego znalazł bezpieczny przytułek. Kołłątaj wywoził z Warszawy jakąś ważną korespondencję, której poszukiwały władze rosyjskie, trzeba więc było ją przede wszystkim zabezpieczyć. Dość długo ukrywał się Kołłątaj w schronieniu Węgleńskiego, aż nagle rozeszła się wieść o jego uwięzieniu w Przemyślu. Rząd austriacki uwięził Kołłątaja na żądanie Rosyi. Już Suworow i Razumowski motywowali żądanie uwięzienia go tem, że jestto najniebezpieczniejszy z powstańców 1794 r. Kołłątaj też zaraz po uwięzieniu zwrócił się z prośbą do cesarza, aby go nie wydawał Rosyi. Władze austriackie skłonne były do łagodniejszego traktowania Kołłątaja, ale Thugut na powtarzające się żądania Rosyi, zalecał szczególną surowość. Rada nadworna wojenna podejrzewała Kołłątaja, że zeznania jego co do spalenia papierów wywiezionych z Warszawy są wykretem i nakazała rewizję u matki i brata jego oraz u Węgleńskiego w Chełmskiem. Z Przemyśla przewieziono Kołłątaja w grudniu 1794 r. do Ołomuńca. Na utrzymanie przeznaczono dla niego po 3 zł. dziennie, ale w d. 10 lutego 1795 r. przewieziono go razem z Ignacym Zajączkiem do twierdzy Josephstadtu, gdzie byli traktowani łagodniej. W twierdzy nudził się Kołłątaj kapi- talnie, pisywał też studia o podagrze, o widzeniach sennych, czytywał nudne romanse niemieckie, których mu dostarczali oficerowie załogi, lub jedyjni prócz nich posiadacze książek w twierdzy,

kucharz i piwowar, dopóki po licznych prośbach nie przystano mu z Ołomuńca Herodota, Tocydydesa i Diodora.

Zaraz po śmierci Katarzyny II wystosował Kołłątaj list do cesarza austriackiego, którego silny i pełen godności ton zwrócił uwagę arcyksięcia Karola, później jednego z najgorliwszych rzeczowników jego uwolnienia. Tymczasem w końcu kwietnia 1798 r. Bernadotte przedstawił Thugutowi notę domagającą się uwolnienia Kołłątaja z więzienia, który to krok miał dla uwięzionego jaknajgorsze następstwa. W lipcu bowiem 1798 r. przewieziono go z powrotem do Ołomuńca, umieszczono w kazamacie, gdzie światła słońca nie widział i w dodatku poddano go pod dozór bardzo ścisły. Wtedy to, w epoce bardzo dla niego męczącej, kasztelanowa Czetwertyńska, przejeżdżająca przez Ołomuniec, przypomniała mu, że ma teraz chyba czas do prześlągnięcia Boga za to, że kazał zabić jej męża. Ten drobny akt zemsty, chociaż prawdopodobnie nie doszedł do wiadomości uwięzionego, sprawił mu znacznie więcej przykrości, niż mogła przewidywać kasztelanowa. O fakcie tym doniesiono bowiem odrazu radzie wojennej i Thugutowi, który zażądał dochodzeń i powiększenia dozoru nad Kołłątajem. Jeszcze w r. 1798 rodzina więźnia wniosła podanie do cesarza, domagając się, aby, jeżeli popełnił zbrodnię polityczną, poddano go sądowi, a bez wyroku sądowego nie pozbawiano go majątku i godności. W odpowiedzi otrzymano reskrypt cesarski, stwierdzający, że Kołłątaj nie jest zatrzymany jako winny, ale pozostaje tylko pod najłaskawszą opieką rządu, a jeżeli nie może być uwolniony zaraz, to są tego przyczyny. Jego zaś posiadłości świeckie i beneficya zostały mu odjęte nie za karę, ale w myśl ogólnie obowiązujących przepisów.

Kołłątaja trzymano w kazamatkach Ołomunieckich przez cały kwartał. Gdy jednak zdrowie jego znacznie się pogorszyło, pozwolono mu na spacer, na wyjazdy za miasto i na korzystanie z bogatej biblioteki pojezuickiej. W r. 1801 Kołłątaj zawiązuje korespondencję z organizacją spiskową w Warszawie utworzoną, t. j. z tak zwanem wówczas Towarzystwem republikańców polskich. Horodyski w ich imieniu zaproponował mu ucieczkę z więzienia, Kołłątaj odpowiedział, że zrujnowane zdrowie czyni go niezdolnym do takiej imprezy. W tym czasie wnoszono do pierwszego konsula usilne instancje, aby wstawił się w Wiedniu za Kołłątajem, który miał się przenieść do Francji. Austria wymawiała się jednak tem, że nie może Kołłątaja wypuścić na wolność, dopóki na to nie pozwoli Rosya. Kołłątaj napisał także list do pierwszego konsula, ale tak złą francuszczyzną, że miano wątpli-

wości, czy go można doręczyć. W Ołomuńcu tymczasem nawiązał Kołłątaj stosunki z biskupem sufraganiem hr. Kolowrathem, który przychodził mu we wszystkim z pomocą w czasie ostatnich lat jego więzienia. W r. 1802 Razumowski z polecenia rządu rosyjskiego wniósł notę w sprawie uwolnienia Kołłątaja. Rząd austriacki jednak robił jakieś nadzwyczajne trudności, aby tylko przewlec sprawę. Ostatecznie Franciszek II w reskrypcie z 9 października 1802 r. polecił wypuścić Kołłątaja na wolność, ale równocześnie kazał mu raz na zawsze opuścić kraje dziedziczne swego domu. Odstawiono go niezwłocznie do komory pruskiej w Piltzel, nieokazując mu żadnej względności, chociaż Austria utrzymywała stale, że go więzi jedynie na życzenie Rosyi.

Do Warszawy przybył Kołłątaj 3-go grudnia 1802 r. Widok Warszawy, pisał Kołłątaj, wycisnął mi łzy i więcej uczulem smutku, niż gdy wjeżdżałem w granice Polski. Gubernator von Köhler uwolnił go od obowiązku meldowania się w formie wizyty i pozwolił mu dłużej zatrzymać się w mieście. W końcu i Fryderyk Wilhelm III odpowiedział na list Kołłątaja, wysłany do niego z Huty pod Częstochową, zaznaczając, że Polacy powinni wiedzieć, iż zapomniał już o r. 1794, że pozwala na jego dłuższy pobyt w Warszawie i prosi Boga, aby dał spokój i zdrowie na resztę życia Kołłątajowi. W Warszawie nieprzyjaciele zamanifestowali na wstępie niechęć do Kołłątaja. Właściciel zajazdu na Miodowej odmówił przyjęcia Kołłątaja, a w mieszkaniu Dmochowskiego, w którym się zatrzymał, wybito szyby. Dawni współpracownicy, z doby sejmu czteroletniego, jak St. Potocki, Małachowski, a nawet Ostrowski, przyjęli go oziębłe. Jedyńymi ludźmi, którzy go powitali z otwartymi rękami, byli republikanie polscy. W tych nowych sprzymierzeńcach musiało wiele rzeczy Kołłątaja razić, zwłaszcza ich „Kantyzm“, gdyż był on stanowczym przeciwnikiem filozofa królewieckiego i obawiał się rozpowszechnienia jego nauki w Polsce.

Z Dubna w r. 1803 napisał Kołłątaj do cesarza Aleksandra I, składając najgorętsze podziękowanie za uwolnienie go z więzienia i udzielenie gościnności. W tymże roku, w kościele Franciszkanów w Krzemieńcu, złożył przysięgę na wierność, wobec licznie zgromadzonego obywatelstwa, zdziwionego potrosze tym aktem. O powołaniu Kołłątaja do Petersburga nie było jednak wcale mowy i nawet zażądano od niego pewnych zapewnień, iż nie będzie brał udziału w życiu publicznem na Wołyniu. W r. 1804 pozostawał Kołłątaj pod skrytym dozorem i wtedy to pisał do Czackiego, iż przyjdzie mu chyba zamknąć się w jakim klaszto-

rze. Stosunki jego majątkowe na Wołyniu nie były tak złe. Wydawał 127 dukatów miesięcznie, ale co prawda pieniędzy dostarczała rodzina. W społeczeństwie tej dzielnicy był jakby odosobniony i tylko nieliczne grono szlachty oraz kilku profesorów z Łucka i Krzemieńca należało do jego zwolenników. Kołłątaj stwierdzał, że szlachta wołyńska naówczas była mocno zadowolona z rządów rosyjskich, które ją popierały kosztem chłopów. Niezadowolone było tylko duchowieństwo katolickie i unickie, mieszczaństwo oraz Żydzi. O obywatelstwie wołyńskim nie miał Kołłątaj wielkiego wyobrażenia, wysoko tylko stawiał Tadeusza Czackiego i generała Kniaziewicza, któremu radził powierzyć dowództwo w razie powstania. O Adamie Czartoryskim i Strojnowskim pisał on, iż największą mają stąd pociechę, że utrzymali całe prawie systema Komisji Edukacyjnej. Ponieważ ks. Adam działał w zmienionych warunkach, przeto Kołłątaj opracował nowy plan reorganizacyjny szkolnictwa, który najzupełniej aprobował Śniadecki. Kołłątaj pierwszy zaproponował, aby na mocy pełnomocnictwa Czackiego, stworzyć na kresach drugą Szkołę Główną w Krzemieńcu, a gdy Czacki zauważył, że nie jest to możliwe, podał drugi plan utworzenia w Krzemieńcu przynajmniej wszechnicze w miniaturze.

W r. 1805 stosunek Czackiego do Kołłątaja oziębia się, głównie z powodu w sekrecie przed Kołłątajem zaprowadzonego sądu uczniowskiego, który tenże uważał za pomysł dziwaczny, psujący dyscyplinę szkolną i wprawiający młodzież do pieniactwa. W r. 1806 Kołłątaj ciężko zaniemógł na podagrę i nie wstawał prawie z łóżka, wtedy właśnie rząd rosyjski kazał go przewieźć do Moskwy i to w chwili, gdy miał tylko 29 dukatów w kieszeni. Władze rosyjskie obchodziły się z nim jaknajgrzeczniej, otrzymał nawet pensję od rządu, wynoszącą 250 rb. miesięcznie. Bałaszew, ówczesny gubernator wojenny Petersburga, tytułował zawsze Kołłątaja hrabią. W Moskwie przebywał Kołłątaj od kwietnia 1807 r. do kwietnia, a może i początków maja 1808 r. Tam to opracował on memoriał o położeniu politycznem Rosyi dla marszałka Davout. W nim to zauważył, że Księstwo-Warszawskie jest solą w oku dla wszystkich Rosyan, że nie tylko o jego rozszerzeniu, ale i o jego istnieniu dłuższemu mowy być nie może. Wreszcie, w r. 1808, powracając z Moskwy, wstąpił Kołłątaj do Krzemieńca i usłyszał tam wyrzekania na konstytucję Księstwa Warszawskiego, zaprowadzającą zniesienie poddaństwa, na demokratyczny kodeks Napoleona i pobór powszechny do wojska.

Traktat Tylżycki sprawił na Kołłątaju wielkie wrażenie. Wkrótce potem napisał on memoryał p. t. „Uwagi nad położeniem Saksonii i Polski z nią zjednoczonej,“ przeznaczony dla króla saskiego, a napisany pod wpływem pierwszych wiadomości o dziele Tylżeckim. Jest to jedna z najciekawszych prac Kołłątaja. Nigdy nie było mu danem wypowiedzieć się tak szczerze i tak bezinteresownie do króla saskiego słowami wypowiedzianymi niegdyś przez Zygmunta, że najbezpieczniejszem dlań schronieniem jest pierś każdego Polaka. Zastanawia przedewszystkiem, jak Kołłątaj ze swego wygnania dobrze orientował się w sprawach krajowych, podnosząc energicznie plan uzyskania Śląska, będący planami wszystkich naszych polityków zaraz po Tylży. Fryderyk August stale bywał zniechęcany do Kołłątaja listami St. Potockiego do Brezy i systematycznie odsuwał republikanów polskich od wybitniejszych godności w Księstwie. W czerwcu 1808 r. Kołłątaj przybył do Warszawy. Davout razem z Serrą złożyli mu wizytę i namówili go, aby przygotował memoryał dla cesarza o stosunkach rosyjskich i aby pisywał do Davouta. Oprócz tego Kołłątaj wystosował list do Napoleona w sprawie indemnizacji od rządu austriackiego, ale na ten list nie odebrał żadnej odpowiedzi.

W r. 1809 wydał Kołłątaj książkę p. t. „Nil desperandum.“ Z każdego wiersza przebijają tu obawy o losy Księstwa Warsz., rzuconego między trzy mocarstwa, jak gdyby jabłko niezgody. Polityka francuska, zdaniem Kołłątaja, miała dla narodu polskiego wartość tak kapitalną, że o wyborze pomiędzy nią a polityką rosyjską mowy być nie mogło. Śniadecki nazywał tę książkę romansem czy też snem politycznym, ale swoją drogą broszura Kołłątajowska pozostanie jedynym pomnikiem — nadziei i obaw, złudzeń i zwątpień, jakie wstrząsały duszami polityków Księstwa. W r. 1809 Kołłątaj udał się do księcia Józefa z memoryałem, omawiającym braki dotychczasowej organizacji zarządu Galicji, ale doznał zawodu, gdyż ks. Józef nie chciał się nawet widzieć z nim. Wkrótce po nieudanej próbie krakowskiej napisał Kołłątaj do współki z generałem Zajączkiem memoryał p. t. „Notice sur l'état actuel de la Galicie,“ przeznaczony dla Napoleona, a dotyczący przedewszystkiem roli księcia Józefa w wypadkach r. 1809. Kołłątaj w tym memoryale oświadczył się za wice-królestwem, proponując, aby je król powierzył któremu ze swoich braci. Zdaniem jego, rada ministrów nie ma racji bytu, skoro nie może zmienić nic w robocie jednego ministra. Przeciw radzie ministrów oświadcza się Kołłątaj z powodu nieodpowiedzialności ciała zbiorowego. Prócz tego żądał on wprowadzenia do konstytucji

paragrafów o rejencji, zabezpieczających samodzielność Księstwa, o wychowaniu polskiem następcy tronu, stawiając wreszcie żądanie popularne naówczas, aby minister sekretarz stanu był zarazem ministrem spraw zagranicznych księstwa. W końcu żądał on poważnych zmian w składzie ministerjum Księstwa, znosząc ministerja sprawiedliwości i policyi, a zaprowadzając natomiast nowe ministerjum religii, oświecenia, pomocy i ratunku.

Co się tyczy kwestyi oświaty w Księstwie, to Kołłątaj radził powrót do tradycyi komisji edukacyjnej. Można pracować, jak twierdził, nad dalszem wydoskonaleniem ustaw Komisji, ale byłoby rzeczą haniebną one odrzucać. Jest to księga, jak niegdyś Xizistra, która przetrwała klęskę potopu. Został nam tylko jeden środek łączenia w jedną całość przez zasady edukacyi i komunikowanie sobie nawzajem pożytecznych wyobrażeń. Izba edukacyjna wyrosła z dozoru nad liceum warszawskiem i odstąpiła od zasad Komisji. Opozycya więc Kołłątaja przybrała charakter zasadniczy, oparła się na obronie dzieła Komisji. Izba edukacyjna za Księstwa była jedynie utrzymaniem pruskiego „status quo,” co do władz naczelnych szkolnictwa. Kołłątaj, dawny uczeń szkoły głównej (krakowskiej), pierwszy przytem jej reformator, chciał znowu wyprowadzić ją ze stanu nicości, w jaki wpadła po dymisji Niemców, oraz przywrócić jej dawną świetność, uczynić prawdziwem centrem oświaty dla całego Księstwa Warszawskiego. Przeciwno Kołłątajowi wystąpił stanowczo Stanisław Potocki, dowodząc, że już dawna organizacya Kołłątajowska, czyniąc szkołę główną ciałem administracyjnem i sądowniczem, oddając jej dozór nad całym szkolnictwem prowincyi, odsunęła ją od właściwego zadania — nauki, rzucając ją w wir ciągłych zajęć administracyjnych i obrad biurowych. Stąd mimo wszelkich usiłowań Komisji edukacyjnej, do końca istnienia Rzeczypospolitej, Rzeczpospolita przedstawiała smutny obraz walk partyjnych, intryg i zupełnego zaniedbania obowiązków naukowych. W lutym 1810 r. Towarzystwo Ksiąg Elementarnych stanowczo odrzuciło pracę Kołłątaja p. t. „Porządek fizyczno-moralny” i czyniono mu nawet trudności w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Wkrótce jednak Kołłątaj wszedł w bliższe stosunki z ministrem Senfftem i za jego pośrednictwem przywrócony został do łaski królewskiej. Pojechał więc osobiście do Dreznia, aby tam przeprowadzić swe reformy edukacyjne. W Dreźnie przyjęto Kołłątaja jaknajlepiej, ale nie mógł przeprowadzić stworzonego przez siebie stanu rzeczy w Krakowie.

Przedstawiono również w 1810 r. Kołłątajowi projekt konkordatu, prosząc go o opinię w tym względzie. Kołłątaj dostrzegł

od razu, że jest to sprawa drażliwa, która go może narazić zarówno Napoleonowi, jak i Fryderykowi Augustowi. Jego zdaniem, konkordat wymaga pierwszego nieodzownego warunku, wolności papieża, o której podówczas nie mogło być mowy. Duchowieństwu Księstwa w pomysłę konkordatu nie chodziło tyle o ugodę z Rzymem, ile o zrzucenie ze swego karku konstytucyi i kodeksu Napoleona. Sądził też, że do zaradzenia w pewnej części złemu, wystarczy decyzya samego króla i dobra wola duchowieństwa polskiego, które nie powinno mu robić żadnych trudności. Duchowieństwo występuje w Księstwie przeciw postanowieniom kodeksu Napoleona co do małżeństw cywilnych, ale niech król każe opisać biskupowi krakowskiemu, jak, co do tych spraw małżeństw i rozwodów, było za Austryaków, a przecież nie nastąpiło zerwania Rzymu z Austryą. Duchowieństwo Księstwa powinno zawsze pamiętać o tem, że nie społeczeństwo dla religii, ale religia istnieje dla społeczeństwa. Kołłątaj domaga się dla króla „placetum regium,” chce, aby korespondencya biskupów z Rzymem szła przez ministryum wyznań, aby wszystkie beneficya należały do kolacyi królewskiej. W szerokim wywodzie historycznym starał się Kołłątaj przekonać monarchę, że posiadłości duchowne w Polsce nie służyły tylko na utrzymanie kleru, ale na ogólne cele narodowe: kultury i dobroczynności. Był też za zachowaniem duchowieństwu ziemi, gdyż ta przywiązuje je do kraju.

W r. 1810 Fryderyk August przyjął Kołłątaja na audyencyi i przyrzekł zbadać sprawę powrótca mu majątku duchownego i świeckiego. W sprawach Księstwa ważniejszych uważano go i nadal za stałego radcę poufnego, nie dopuszczając go do niczego oficjalnie. W r. 1811 zaczynały już Kołłątaja opuszczać siły. Pracowitość nie opuszczała go ani na chwilę i śmierci czekał z zupełnym spokojem, uważając ją za największe dobrodziejstwo, jakie Opatrzność zapewniła żyjącym. W grobie, jak mawiał, odpocznie tylko, zwłaszcza, że sumienie cieszy go widokami dobrze odbytej przeszłości. Oświadczył w końcu, że w wierze, w której był zrodzony i wychowany, żył, i w niej pragnie umrzeć, że do utrzymania jej czystości przykładał się rzetelnie, że wszystkie w tej mierze dysputy i wątpliwości uważał za próżne, za szkodliwe w towarzyskiej spokojności, że wiara wreszcie nie była nigdy ciężarem dla jego rozumu i przed zgonem też dopełnił wszystkich obowiązków chrześcijanina. Po śmierci stworzyła się zaraz kampania za i przeciw Kołłątajowi. Dopiero w 1817 r. Badeni, na posiedzeniu Towarzystwa naukowego krakowskiego oddał należny hold jego pamięci.

Praca D-ra Tokarza odtworzyła nam postać Kołłątaja z epoki upadku, zgnębienia i rozgoryczenia, z której naprawdę nie miał się już nigdy w pełnem tego słowa znaczeniu podźwignąć. Literatura nasza nie odtworzyła znowu Kołłątaja z epoki młodzieńczej i męskiej, z której pozostały „Listy“ Anonima, jako wspaniałe dowody płomiennej miłości kraju i niezwykłego rozumu politycznego. Czytając dzieło D-ra Tokarza, uczułem rzetelny, szczery żal, że autor nie ogarnął całej postaci Kołłątaja i nie stworzył portretu historycznego, z któregośmy poznali działalność uczoną i polityczną całego Kołłątajowskiego żywota. Żal mój, że nie mamy całościowego, lecz, że się tak wyrażę, połowicznego tylko dzieła, wypływa stąd, że praca D-ra Tokarza napisana została z gruntownością wzorową i z wyzyskaniem bogatego materiału źródłowego, dotychczas spoczywającego w nieprzerwanym archiwalnym spokoju. Do historii Księstwa Warszawskiego, zwłaszcza od roku 1809, t. j. od chwili przyłączenia Galicyi, studjum D-ra Tokarza zawiera niezwykle duży interes. Sądy jego krytyczne zawsze spokojnie wyrozumowane, nie ujawniają żadnych podmiotowych uprzedzeń czy niechęci i przemawiają do nas przekonywająco i zdobywająco w imię prawdy i sprawiedliwości. Postać Kołłątaja z epoki upadku, tak, jak ją D-r Tokarz odtworzył, zdobywa nasz szacunek i wstrząsa nami do głębi z powodu twardej doli, jaką mu losy zgotowały. Widzimy przy Kołłątajowskiem łożu śmierci tę samą pracowitość i tę samą wysoką, wspaniałą inteligencję, któreśmy podziwiali w dobie jego wieku męskiego. Kołłątaj w epoce zgnębienia, zastanawiał głębokim zmysłem i rozumem politycznym z kolei: marszałka Davout, Napoleona, Fryderyka Augusta i wielu innych, tak samo, jak w epoce wielkiego sejmku zdumiewał wszystkich i podnosił serce całego narodu. Praca D-ra Tokarza rzuca wiele światła na stosunki porozbiorowe naszego kraju i zasługuje, jako studjum historyczne, na wysokie uznanie i wdzięczność.

A. R.

STANISŁAW CHEŁCHOWSKI. *Robnictwo w organizacji samorządu.* (Odczyt wygłoszony w sekcji rolnej 15 czerwca 1905 r.). Warszawa, 1906.

Autor zaznacza we wstępie, że pięć lat upływa od chwili, gdy zorganizowane Towarzystwa i Stowarzyszenia rolnicze rozpoczęły w Królestwie swą działalność. Na zasudzie więc pięciolet-

niego doświadczenia, zdolni jesteśmy odczuć i wskazać te wady, jakie tkwią w ich organizacyi i wskazać te strony życia rolniczego, których potrzeb Towarzystwa nigdy zaspokoić nie będą w stanie. Najpierw zaznaczyć należy, że Towarzystwa i Stowarzyszenia rolnicze nie są rzeczywistą reprezentacją interesów rolniczych narodu. Cenzus pieniężny łączy małą część ludności rolniczej. Stowarzyszenia i Towarzystwa rolnicze obejmowały w r. 1894 zaledwie 2835 rolników, a więc nie mieściły nawet połowy przedstawicieli większej własności. Z usług zaś kooperacyi rolniczej korzystało nie więcej, jak 1% ogółu rolniczego. Towarzystwa rolnicze obecne można jedynie uważać za reprezentacye interesów większej własności. Wprawdzie Towarzystwa starały się bezstronnie interesa większej własności reprezentować i to należy uważać za ważny zadatek na przyszłość, ale w każdym razie jest to nie-naturalna obrona i rzecznictwo interesów tych warstw, które przy zajmowaniu się ich losem, świecą nieobecnością i głosu nie zabierają. Mnóstwo spraw agrarnych pierwszorzędnego dla rolnictwa znaczenia, omawiane jest i rozstrzygane w sferach rządowych bez najmniejszego ze strony Towarzystw udziału. Towarzystwa korzystają tylko z prawa inicjatywy w kwestyach dotyczących ustawodawstwa agrarnego, a nie mają zabezpieczonego w rozległym znaczeniu i zrozumieniu prawa krytyki. Wskutek tego kompetencya ich nie jest dostatecznie wyzyskana, a ogół rolniczy nie wciągnięty w wir prac z tego zakresu, obojętnieje i niedostatecznie uświadamia się w najżywotniejszych dla rolnictwa sprawach.

W zakresie pracy pedagogiczno-dydaktycznej i techniczno-rolniczej, Towarzystwa są również niezdolne do podjęcia szerokiej akcyi, gdyż są zbyt ubogie. Budżet ich powstający z corocznie zbieranych składek nie przenosi 2000 — 6000 rb., z których lwią część pochłania administracya. Środki więc Towarzystw są tak skromne, że żadna poważniejsza i na dłuższy okres czasu obliczona praca nie może być przedsięwzięta nietylko wśród włościan, lecz nawet dla zaspokojenia większej własności. Skutkiem tego wytwarza się dodatkowa ofiarność, która nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb, jakie przez Towarzystwo załatwiane być powinny. Każde Towarzystwo załatwia swe zadania dorywczo i ułankowo, aby nie wyjść z obowiązków ciążących na instytucyach tego rodzaju. Praca Towarzystw rolniczych w innych krajach była daleko wdzięczniejszą i owocniejszą. Towarzystwa powyższe w innych krajach miały dłuższą historycę, a w dodatku ilościowo silniej rozwinięte mogły potrzeby rolnictwa lepiej zaspokajać. Wielkie Towarzystwo rolnicze angielskie funkcjonuje

od r. 1751. Turgot we Francji zakłada w r. 1761 podobne Towarzystwo, w r. 1769 powstaje w Danii Królewskie Towarzystwo rolnicze, a w latach między 1762—1780 budzą się do życia Towarzystwa rolnicze w Saksonii. W obecnej chwili kooperacja rolnicza najwięcej jest rozwinięta w Belgii. W r. 1900 liczone w Belgii 1) związków rolniczych 626, 2) stowarzyszeń do zakupów narzędzi, nasion i nawozów sztucznych 731, 3) spółek mleczarskich 459, 4) kas Raiffeisena 264, 5) stowarzyszeń wzajemnego ubezpieczenia bydła 641. Budżety centralnych Towarzystw dochodziły setek tysięcy rubli a ciała kierownicze mogły z pożytkiem szerszą akcyę rolniczą podejmować i prowadzić.

Doświadczenie życiowe wykazało, że dla rozstrzygnięcia spraw w zakres administracji agrarnej wchodzących, ani władze administracyjne państwowe (jak to ma miejsce we Francji i na Węgrzech), ani też instytucje ogólnie-autonomiczne nie wystarczają. Do prowadzenia tej gałęzi prawodawstwa i administracji agrarnej niezbędne są: fachowa znajomość rzeczy, duży zapas doświadczenia i znajomość miejscowych zwyczajów i warunków, możność wejścia w porozumienie i powołania do pomocy w wykonaniu istniejących stowarzyszeń zawodowych. Dlatego też władze państwowe i autonomiczne, widząc w rolnictwie podstawę bogactwa narodowego i chcąc mu przyjść z istotną pomocą, dążą do wytworzenia specjalnych organizacyj zawodowych rolniczych w postaci odrębnych, niezależnych, samorządnych agrarno-politycznych urzędów, lub też wyłaniają w organizaciji autonomicznej specjalne komisye i departamenty do zajmowania się sprawami rolniczymi. Anglia w r. 1862 wytworzyła specjalne organy rolnicze w postaci miejscowych Izb rolniczych, które oparte na samopomocy i dowolności należenia rolników, nie pobierają żadnych opłat stałych, jako dodatków do podatków. Izby zaś rolnicze prowincjonalne łączą się w jedną centralną. W Danii Towarzystwa rolnicze pobierają znaczne zasiłki od państwa. W Austrii Towarzystwa te korzystają z zapomóg rządowych i krajowych. W Niemczech sprawy rolnicze leżały oddawna w ręku stowarzyszeń. Ogarniając cały kraj nadzwyczajną ilością zrzeszeń zawodowych, instytucje te uprzystępniały należenie każdemu rolnikowi. Mimo całej organizaciji zawodowej, opartej na idei zrzeszenia i inicjatywie prywatnej, rolnicy niemieccy nie uważali, aby ich interesa były dostatecznie zabezpieczone. W skutek tego sejm pruski uchwalił w r. 1894 ustawę o izbach rolniczych, instytucjach korporacyjno-zawodowo-rolniczych, przedstawiających samoistną organizację samorządu rolniczego, pozbawioną charakteru agitacyjno-polity-

cznego. Izby rolnicze, nosząc charakter związków zawodowych przymusowych, są w istocie organami administracji agrarnej, zastępując Centralne Towarzystwa Rolnicze w ich pomnażanym zakresie działania. Za przykładem Prus uchwały Izby rolnicze niektóre państwa rolnicze. Inne zaś zorganizowały rady rolnicze, rady kultury rolniczej, które nietylko rolę doradczą, lecz również funkcje wykonawcze spełniają.

Izby rolnicze w Prusach obejmują w swej działalności prowincje i są zakładane, o ile zażąda tego sejm prowincjonalny. Członkowie izb obieralni są na lat 6, zmieniając się w połowie co lat 3. Zbierają się raz na rok, wybierają zarząd na lat 3, uchwalają budżet, zamykają i kontrolują rachunki oraz mają prawo otwierać w izbie specjalne oddziały. Izbie rolniczej służy prawo opodatkowania ludności rolniczej za pomocą dodatku do podatku gruntowego, nie przenoszącego $\frac{1}{2}\%$ dochodu kadastralnego. W razie potrzeby wyższego opodatkowania niezbędnym jest pozwolenie ministerjum rolnictwa. Izby rolnicze mają za zadanie zajmowanie się interesami rolnictwa, leśnictwa, do podniesienia których mogą dążyć wszelkimi środkami. Przedewszystkiem więc są reprezentacją urzędową lokalną interesów rolniczych, mogą występować z wnioskami w sprawach dotyczących rolnictwa, popierać je rzeczowym, faktycznym materiałem. Rząd ma obowiązek przedstawiać do opinii izb projekty prawodawcze przed wniesieniem ich do parlamentu. Z czynności jednak izb wyłączona jest agitacja. Prowadzą one pracę wychowawczą, pouczającą, informacyjną drogą: szkół, kursów, wykładów, wydawnictw. Dzięki dobrej organizacji izby wywierają dodatni wpływ na stosunki rolnicze, koncentrując wszystkie środki w kierunku pedagogicznym i podniesienia rolnictwa w kierunku ekonomicznym. Towarzystwa centralne, o ile nie było przeszkód natury politycznej, przeważnie łączyły się z izbami, wnosząc dużo elementu obywatelskiego, który do pracy specjalnej w wydziałach został zużytkowany. Izby rolnicze starają się wniknąć we wszystkie potrzeby rolników i zaspokoić je radą, wskazówkami i pomocą techniczną lub materialną. Dają inicjatywę do postępu w asocjacji i gospodarstwach pojedynczych rolników. Wpływ ich wzrasta corocznie i nawet początkowo nieczytelnie usposobieni rolnicy przekonywują się o ich użyteczności i potrzebie.

Sprawy rolnicze w Austrii dopiero od 30 lat, ze zmianą poglądów w rządzie i radzie państwa, znalazły gorętsze poparcie w organizacjach autonomicznych. W Galicyi sejm krajowy, w pierwszych latach swego istnienia, mało zajmował się admini-

stracyą rolniczą. Dopiero po 15 latach w r. 1876 uchwalono pierwszą ustawę rolniczą o ochronie własności polowej, a w r. 1878 kraj przejął na siebie utrzymanie szkoły rolniczej w Dublanach i w Czernichowie. W r. 1881 przyznano pierwsze subwencje dwóm Towarzystwom rolniczym: krakowskiemu i lwowskiemu. Od r. 1889 sejm zaczął traktować sprawy rolnicze ściślej i dokładniej, wnikając w potrzeby rolnictwa. Przytem sejm utworzył „stałą komisję krajową do spraw rolniczych,” jako fachowy organ doradczy wydziału krajowego we wszelkich czynnościach, mających na celu ochronę, tudzież prawidłowy rozwój wszelkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolnego, zwłaszcza zaś podnoszenie i szerzenie wiedzy rolniczej. Na dalszą działalność sejmu wpłynęła konferencya agrarna z r. 1897. Przeważny ciężar i obowiązek zajęcia się sprawami rolniczemi w Galicyi spada dotychczas na instytucję centralną, t. j. na departament 3-go wydziału krajowego. Mimo całej pracy w Centralnych Towarzystwach rolniczych, organach autonomicznych i korzystania z pomocy państwowej, z pożytkiem dla rolnictwa prowadzonych, działacze społeczno-rolni odczuwali i zaznaczali potrzebę wytworzenia zawodowej organizacyi, jako umięjętniejszej i skuteczniejszej w reprezentowaniu interesów rolnictwa. W r. 1878 krakowskie towarzystwo rolnicze uchwała projekt ustawy izby rolniczej, następnie przez sejm odrzucony. W r. 1879 kongres rolniczy w Wiedniu oświadczył się za tymże projektem. Należy też oczekiwać niezadługo wprowadzenia w Galicyi zawodowych organizacyj, które na ożywienie życia rolniczego i poprawę bytu warstw rolniczych stanowczo wpłynąć i oddziaływać winny.

Autonomia gospodarza w Rosyi oparta jest na ustawie o samorządzie ziemskim z r. 1864 i ustawie miejskiej z r. 1870, które uległy zmianom w kierunku większej ingerencyi władz państwowych kontrolujących, wyrażonej w ustawie z r. 1890. Zdawało się, że organizacye ziemskie w Rosyi wyzyskują należycie swą kompetencyę na korzyść rolnictwa. W rzeczywistości jednak przez 30 lat wszystkie inne sfery pracy społecznej rozwinęły się w gospodarce ziemskiej szerzej, ze szkodą dbałości o potrzeby rolnictwa. Jednostronny kierunek pracy w ziemstwach zwrócony ku zaspokojeniu potrzeb pedagogiczno-dydaktycznych i humanitarnych z pominięciem zadań dążących do zwiększenia produktywności kraju, trwałyby prawdopodobnie stale, gdyby następstwa głodowe w r. 1891—92 nie zwróciły uwagi na wadliwość rozwoju i nie wywarły wpływu na zwrot w kierunku gospodarki ziemskiej. Szybszy rozwój zajęcia sprawami rolniczemi w ziemstwach zada-

mowała t. zw. fiksacya poborów i budżetów ziemskich, na zasadzie której budżet może być zwiększony tylko o 3% rocznie. Przyczyn słabego rozwoju staruń ziemskich o potrzeby rolnictwa szukać należy w złej organizacyi tej sprawy, w gospodarce ziemskiej. Pozostawiona uznaniu niższych ogniw organizacyi, nie posiada władzy kierowniczej, o ile zaś ujmowały ją w swe ręce organizacye gubernialne, nie rozporządzały dobrymi drogami wykonawczemi. Dopiero później ziemstwa gubernialne z doradcami ciętami rolniczemi zajmują stanowisko kierownicze, ujednostajniają dążenia i program pracy w powiatowych ziemstwach, nadają jej jednolitość i ciągłość, zaopatrują w środki. Nie brakuje również usiłowań ku zespoleniu pracy rolniczej wszystkich ziemstw. Podejmowane jednak starania nie wyszły ze sfery informacyjno-doradczej. W r. 1891 zwołany został specjalny zjazd w Moskwie działaczy pomocy agronomicznej, który skupił najprzedniejsze siły z pośród działaczy ziemskich na polu rolnictwa. W obecnym momencie organizacya rolnicza ziemstw wychodzi już z fazy prób przygotowawczych i przybiera bardziej skonsolidowane kształty. W ostatnich czasach powstają organizacye centralne dla zakupu przedmiotów rolniczych dla kilku gubernij. Składy wogóle idą dobrze i opłacają się. Dostarczając narzędzi tańszych i wypróbowanych, popierają przedewszystkiem wyroby miejscowe.

Zwracając się do potrzeb rolniczych w Królestwie Polskiem, autor zaznaczył, że w naszym kraju wymaganem jest połączenie niższych organizacyj ziemskich w jedno ciało centralne. Powiaty są u nas nie tak wielkie, a jest ich tak znaczna liczba, że organizacya w każdym z nich zarządu i rady powiatowej ziemskiej, pocięgnęłaby znaczne wydatki na administracyę, które z większym pożytkiem na cele produkcyjne skierować można. Następnie wydatki na podniesienie rolnictwa łożone, muszą nosić podwójny charakter. Jedne, przeznaczone na instytucye dobra publicznego, a więc wychowanie zawodowe, stacye doświadczalne, pomoc społeczno-rolniczą, muszą być pokrywane z corocznych budżetów, jako wydatek społeczny. Po za tem jednak istnieje obszerniejszy dział tych potrzeb, które jako wyraz żądań jednostek lub aspiracyj, wymagają pomocy materialnej dla zwiększenia produktywności i intensywności pracy. Nieracjonalnem byłoby pokrywać je, jako mające charakter osobisty ze środków ogólnych. Jest jednak słuszną przyczyną żądania, aby kraj okazywał pomoc jednostkom i kooperacyom w niesieniu rady fachowej i korzystaniu ze środków materialnych dla lepszego wyzyskania warunków gospodarczych. Dla tego też niezbędnem jest, aby w kraju przy kie-

rolniczym organie samorządu ziemskiego funkcjonował bank dla rolnictwa i przemysłu rolnego. Fundusz zakładowy banku rolniczego ziemskiego powinien powstać z jednorazowych ofiar i corocznych procentowych odliczeń z budżetów ziemskich. Po za tem w banku powinny być lokowane wszelkie kapitały rezerwowe ze specjalnych przedsięwzięć przez samorząd ziemski zorganizowanych, a więc z wzajemnych ubezpieczeń od ognia i gradu, kas wsparć i t. d.

Prócz tego autor wykazuje, jak szerokie pole przedstawia się u nas dla działalności samorządu ziemskiego. W każdej sferze interesów rolniczych inicjatywa fachowa i pomoc organów samorządu może wywołać zmiany na lepsze. W każdym razie żywotność, jakiej objawy ludność rolnicza u nas składa, wskazuje, iż nie tyle inicjatywy, ile pomocy fachowej i materialnej udzielać nam potrzeba będzie. Przy racjonalnej obsłudze ta droga działania podniesie produktywność naszych warstw rolniczych i na podniesienie ich dobrobytu wpłynie. Nadmienić należy, że istnienie organizacyj zawodowych przymusowych, które wszystkie sfery rolnicze obejmują i podejmują pracę dla dobra ogółu rolniczego, nie wpływa na osłabienie działalności ciał kooperacyjnych, lecz je wzmacnia i do bicia w nich żywszego tętna pobudza. W teorii więc i w praktyce organizacya rolnicza w samorządzie gospodarskim i stowarzyszenia wzajemnie się uzupełniają i wzmacniają, nie wytwarzając sprzeczności i nie paraliżując się. Kooperacye podnosić powinny i uzasadniać potrzebę zajęcia się nowemi sprawami, dostarczać do nich materiału. Organizacya samorządna zaś oblecze je w realne kształty, a projektom nada żywotne formy. O ile w normalnych warunkach, ożywione chęcią wspólnego dobra gospodarka ziemsku i kooperacya mogą być uważane jako serce w organizmie i naczynia roznoszące krew ożywcza po całym ciele, o tyle w razie wypowiedzania sobie posłuszeństwa, tylko zaniedbanie interesów rolniczych spowodzić są zdolne, wzajemnie paraliżować się będą i zamiast pożytku rolnictwo na straty narażą. Zdaniem autora, to uregulowanie stosunków wzajemnych jest trudnem zadaniem, ale wykonalnem, a do tego w społeczeństwie naszym młodości kraju i dobra ogólnego nie brakuje. Spodziewać się więc należy, że pewnym i śmiałym okiem w przyszłość oczekiwanych urzędzeń ziemskich patrzeć możemy, a one, o ile ich organizacya na znajomości naszych warunków oparta będzie, oczekiwań naszych zawieść nie powinny.

W odczycie swym autor opracował przedmiot badany gruntownie i zastanowił się szczegółowo nad tem, w jakiej formie

i w jakim zakresie powinien on znaleźć zastosowanie w Królestwie Polskiem. Nietylko wykształcenie teoretyczne, ale i zmysł praktyczny widnieje z każdej stronicy jego rozprawy sprawie rolnictwa w organizacyi samorządu poświęconej. Ze względu też na szczególny interes, jaki sprawa powyższa dla ziemiaństwa przedstawia, rozprawa p. St. Chełchowskiego oddaje społeczeństwu naszemu rzetelną usługę.

A. R.

Kronika miesięczna.

Pierwszy rok konstytucyi. — Legalizacya sekty maryawitów. — Nasz ruch kulturalny: Towarzystwo wyższych kursów naukowych i Uniwersytet ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej.

Dnia 30 października minął rok od chwili, kiedy pamiętny Manifest Cesarski zwiastował ludom, podległym berłu rosyjskiemu, początek nowej ery.

Słowa, które padły z wysokości Tronu, brzmiały poważnie, niosąc z sobą zapowiedź gruntowych reform w dziedzinie rządów biurokratycznych. *Poddani* uzyskiwali *prawa obywatelskie*, oparte na zasadach rzeczywistej nietykalności osób, wolności sumienia, słowa, zebrań i stowarzyszeń. Samowola administracyi ustępowała miejsca stosunkom praworządnyim, zbliżonym do tych, jakie panują oddawna w Europie Zachodniej, Manifest Najwyższy ustalał bowiem zasadę, na której mocy „żadne prawo nie może uzyskać siły obowiązującej, bez zatwierdzenia go przez Dumę państwową,“ wobec czego wybrańcy narodu otrzymywali możność rzeczywistej kontroli nad prawnością postępowania władz rządowych.

Te prawa zasadnicze, stanowiące rdzeń wszelkich konstytucyj, powitane zostały wybuchem ogromnej radości na całym obszarze państwa, pogrążonego dotąd w mroku niewoli. Radość to była jednak krótkotrwała. Światło nie przyszło odrazu. Mrok nie ustąpił na jedno skinienie różdżki czarodziejskiej. Rozpoczęło się powolne i krwawe zmaganie się z sobą dwóch potęg — ustępującego porządku starego z porządkiem, opartym na nowych zasadach. Walący się ustrój biurokratyczny wytworzył w łonie rządu chaos i bezład, podobnie, jak ruch wolnościowy, skierowany przez agitacyę socyalistyczną na bezdroża, przybrał charakter ruchu nihilistycznego, tak swoistego kulturze rosyjskiej. Wybuchnęły jedno-

cznie dwie anarchie—u góry, w sferach rządowych i na dole—wśród proletaryatu. Zapełniły się więzienia, zaskrzypiały szubienice, wolność utonęła w potokach krwi, zamiast rządów konstytucyjnych, rozpoczęły się rządy wojskowe, zbliżone do dyktatury militarnej. Państwo zachwiało się w swoich posiadach, a społeczeństwo znalazło się w kleszczach, zaciskających się coraz silniej i tamujących swobodny oddech.

Taki stan rzeczy trwał przez cały rok ubiegły. Nie zmieniła go nawet Duma państwowa po 72 dniach istnienia, zakończonego słynną deklaracją wyborczą.

W kraju naszym, który siłą rzeczy musiał przeżywać wspólnie z Rosją wszystkie jej wstrząśnienia, rok ten odbił się bardzo niepomyślnie na całokształcie życia. Pograżył on nas również w odmęt anarchii, sprowadził na nas szereg klęsk, osłabił nas materialnie i pod niejednym względem wypaczył naszą myśl polityczną, uzależniając ją od ruchu rosyjskiego, który nie mógł i nie chciał liczyć się z odrębnością kulturalną Polski, mającej inne tradycje wolnościowe i dążenia odmienne. Nadto wszelkie represye, stosowane w Rosji, u nas stosowane były w formach daleko ostrzejszych i dla społeczeństwa uciążliwszych, bo więcej paraliżujących jego swobodę działania.

O tem wszystkim niejednokrotnie mieliśmy sposobność pisać na tem miejscu, omawiając wybitniejsze zdarzenia pierwszego roku „konstytucyjnego.“ Nie będziemy więc powtarzali rzeczy znanych, zwłaszcza, że bilans naszych klęsk i niedoborów jest aż nadto widoczny, aby nie rysował się w umyśle każdego obywatela, miłującego istotnie ojczyznę i szczerze pragnącego dla niej odrodzenia.

Zastanowić się raczej należy nad tem, czy i gdzie są nadzieje, pozwalające nam z otuchą patrzeć w przyszłość, zakrytą obecnie krwawemi oparami roku nieszczęść i niedoli.

Przedewszystkiem—rękojmią tych nadziei jest sam Manifest październikowy, który, mimo wszystko, istnieć nie przestał. Na jego mocy odwróciła się karta dziejów państwa i niema słusznych zasad do mniemania, że prawa, przez ten Manifest zapowiedziane, zostaną cofnięte. Nie weszły one w życie, nie sprowadziły błogich następstw, nie unormowały stosunków, jak tego po nich oczekiwano, ale w sile swej trwają, mimo obecnego zawieszenia wszelkich, wypływających z nich swobód.

To, co się stało, zaszło nie jako przypadek, ale dokonało się na podstawie konieczności dziejowej, która z nieubłaganą siłą dąży naprzód, ściera z oblicza ziemi kształty przeżyte i na ich miejsce wznosi budowle nowe.

Ustrój państwowy rosyjski przeżył się. Obaliła go nie wojna japońska, nie agitacja, prowadzona przez fanatyków tej lub innej partyi, nawet nie torysa rewolucyjna narodu, zrywającego się do nowego życia. Zgryzło go i przetrawiło samo życie, które jest potęgą, stojącą ponad wszystkim. Ono szuka dla siebie form właściwych i te formy znaleźć musi. Weiśnięte w ramy sztuczne i nieodpowiadające jego sile ekspansywnej — ramy te rozsądza i raz rozsądzwszy, nie powraca do nich, nie cofa się z drogi, na którą weszło.

Pomimo więc chwilowego tryumfu reakcyi, pomimo krwawego jej pochodu i żelaznych rękawic, któremi stara się zdusić nowe, kielkujące życie—zwycięstwo nie będzie po jej stronie.

Ostry paroksyzm minie i wówczas wyłoni się potrzeba zagwarantowania wszystkim ludom państwa tego, co gwarantował im Manifest Najwyższy.

Zresztą, jakkolwiek uprawnieni jesteśmy całkowicie do tego, aby pesymistycznie patrzeć na stosunki, panujące obecnie, to jednak zaprzeczyć się nie da, że nawet te okrucy wolności, jakie padły już na nasz grunt, wydały pewne owoce

Konstytucyi niema. Samowola biurokracyi istnieje po dawnemu, nietykalność osób i mieszkania jest fikcją, a przecież stosunki obecne ani dadzą się porównać z tem, co było przed 30 października roku ubiegłego.

Przedewszystkiem — wolność sumienia pozostała zdobyczą o tyle trwałą, że praca elementów reakcyjnych, zmierzających do jej ograniczenia i występujących np. u nas w lubelskiem i w siedleckiem pod sztandarem „uciskanego prawosławia,“ nie może liczyć na powodzenie. Tysiące unitów, sprawosławionych ukazami dawniejszymi, wróciło na łono kościoła katolickiego i faktu tego nie już nie cofnie. Dziesiątki i setki tysięcy ludzi odetchnęły swobodniej i uzyskały prawo wyznawania tej religii, jaką dyktuje im przekonanie wewnętrzne. Świeża legalizacja sekty maryawitów, acz z innych względów dla nas wprost niekorzystna, jest jednak dowodem, że ukaz o tolerancyi, mimo wszystko, wszedł w życie istotnie.

Drugą zdobyczą, z jakiej, bądź co bądź, w pewnej przynajmniej mierze korzystamy, jest ta względna swoboda prasy, jaką przyniosło z sobą zniesienie cenzury prewencyyjnej i skierowanie przestępstw prasowych do sądów, bezwarunkowo o wiele względniejszych i rozumniejszych od ołówka przeciętnego urzędnika, sprawującego do niedawna obowiązek uwłaczający kontrolera my-

śli i uczuć publicystów, służących swemu narodowi, zgodnie z powołaniem i przekonaniem o tej a nie innej prawdzie.

Dziś, nawet pod grozą stanu wojennego, obejmującego prawie całe państwo, prasa rosyjska przemawia tak, jak nie przemawiała przedtem, a i prasa polska, aczkolwiek w gorszym jest położeniu, niema już ust zakneblowanych tak mocno, jak to miała do niedawna. Chociaż więc nowe przepisy pozostawiają jeszcze wiele do życzenia i bynajmniej nie gwarantują nam istotnej wolności słowa, to jednak nie ulega wątpliwości, że wolność ta jest przed nami i że myśl publicystyczna nie wróci już do dawnego jarzma.

Równie głębokiej uległy zmianie stosunki, panujące w dziedzinie *niewoli* stowarzyszania się i urządzania jakichkolwiek zebrań. Nie otrzymaliśmy jeszcze wprawdzie w tym kierunku tej swobody, jaka wypływa z Manifestu, ale—jeżeli dawniej nie wolno nam było urządzić żadnego zebrania, a zawiązanie najzwyczajszego klubu towarzyskiego lub sportowego napotykało przeszkody nie do przewyciężenia, to obecnie—wyłom został już uczyniony i przynajmniej stowarzyszenia, mające na celu sprawy kulturalne, mogą powstawać i rozpoczynać swoją działalność.

Rok ubiegły przyniósł nam cały szereg takich stowarzyszeń, które są niewątpliwą zdobyczą naszego życia, że wymienimy *Macierz szkolną*, *Towarzystwo opieki nad zabytkami sztuki i kultury polskiej*, *Towarzystwo miłośników historii*, *Towarzystwo biblioteki publicznej*, *Towarzystwo opieki nad dziećmi*, *Towarzystwo wyższych kursów naukowych* i t. d.

Wszystkie te instytucje nawet pod brzemieniem stanu wojennego istnieją i dają ujście energii społecznej, rwącej się do czynu.

Na podstawie Manifestu październikowego dokonano się też u nas zorganizowanie partyj i stronnictw, a życie polityczne, którego nurty dawniej płynęły pod ziemią i trudne były do ujęcia dla tych, co stali poza obrębem konspiracji, poniekąd ujawniło się i przybrało formy, dostępne dla obserwacji przedmiotowej.

Wybory, przez które już raz przeszliśmy na wiosnę, a przez które niebawem przejdziemy ponownie, dały nam obraz wzajemnego ustosunkowania się naszych stronnictw, zaznajomiły z ich siłą i z ich słabością, pozwoliły zorientować się w kierunku tej linii, po której pójdzie rozwój polityczny i społeczny narodu, sprowadzonego przed laty 75-ciu, to znaczy od chwili rozwiązania ostatniego Sejmu Królestwa Kongresowego, z drogi normalnego życia.

Przez ten rok chaosu i anarchii, nauczyliśmy się wiele, poznaliśmy wiele braków, wiele błędów i ran, otwartych na naszym organizmie zbiorowym. Zobaczyliśmy przedewszystkiem, że niewola i transfuzya mimowiedna kultury obcej, idącej ze wschodu, nie przeszły bez śladu, że zamąciły one w wielu umysłach sąd trzeźwy, dotyczący spraw na wskroś polskich, że uczyniły z nas społeczeństwo rozbite i zatimizowane, pozbawione poczucia wspólności interesów i wydające najdroższe sobie rzeczy na łup bezmyślnego barbarzyństwa.

Wszystko to są korzyści niewątpliwe, te korzyści, jakie przyniósł nam z sobą pierwszy, stłumiony przez reakcyę, powiew nowego życia.

Byłoby więc niesprawiedliwością wielką, gdybyśmy nie zwrócili na to uwagi i zastanawiając się jedynie nad klęskami, jakie sprowadził na kraj nasz i naród ciężki poród ery konstytucyjnej w Rosyi, przeoczyli całkowicie te drgnienia dodatnie, jakie zanotował samopiszzący barometr życia, przeciwstawiającego się obu przemocom—biurokratycznej i proletaryacko-nihilistycznej, obu terrorom—białemu i czerwonemu.

Nie wynika jednak z tego, abyśmy godzili się z łatwością na taki stan rzeczy i nie pochylali raczej ze smutkiem głowy nad nieszczęściami, których widownią była i jest Polska od dn. 30 października roku ubiegłego aż po dzień dzisiejszy. Przeciwnie. Wobec jednak pesymizmu, jaki ogarnął i ogarnia coraz szersze koła, wobec upadku nadziei w pewnych kołach, uważaliśmy za konieczne oświetlić drugą stronę kwestyi i wskazać na to, co do nadziei uprawnia.

Dzieje uczą nas, że wielkie reformy polityczne i społeczne nie dokonywały się nigdy odrazu, że zawsze towarzyszyły im wstrząśnienia nieprzewidziane i nie dające się obliczyć z góry, że równocześnie z wolnością występowała na scenę reakcyja—jej tłumicielka, ale że zawsze zwyciężyło to, co więcej odpowiadało życiu, co było samorzutniejszym jego wytworem.

Cywilizacya zna jeden tylko ruch—ruch naprzód. Koła jej obracają się u jednych narodów szybko, u innych powoli, u jednych grzęzną w błocie, u innych w krwi, ale obracają się zawsze i nieustannie. Zwycięski pochód postępu z zachodu ku wschodowi nie ulega wątpliwości. Państwo rosyjskie, które przez wieki sztucznie hodowało u siebie zabytki wschodniego bizantyzmu, znalazło się w przededniu zmian radykalnych w swoim ustroju wewnętrznym i—zmiany te dokonać się muszą. Rosya będzie, bo musi być państwem cywilizowanym w rozumieniu współcze-

snem. Tego wymaga od niej życie i czas. A w takim razie i nasz stosunek do tego kolosu mocarstwowego z dawnego, opar- tego na zaborze i przemocy, przekształcić się może w zgoła inny. Nie nastąpiło to z wczoraj na dziś, nie nastąpi z dziś na jutro, ale *nastąpić może*.

Dla tego też w rocznicę Manifestu konstytucyjnego, acz nie wprowadzonego w życie, nie wahamy się wyrazić słów nadziei.

To, co się dokonało już w idei, dokonać się musi i w życiu. Wolność obywatelska zbliża się do nas i niesie nam z sobą zapowiedź istotnego odrodzenia. Wyrwajmy więc na placówkach i śmiało spoglądajmy przed siebie.

*

*

*

Wspomnieliśmy powyżej o legalizacji sekty maryawitów. Przez taką legalizację należy rozumieć przyznanie maryawityzmo- wi praw, jakie państwo przyznaje religiom wogóle, a więc prawa tworzenia gmin kościelnych, prawa swobodnego wyznawania swej nauki, sprawowania kultu według przyjętych zwyczajów, zakłada- nia domów modlitwy, odprawiania w nich nabożeństw, wyboru i utrzymywania osób duchownych i t. d.

Rozpatrzywszy się w tem wszystkim bliżej, dojdziemy łat- two do wniosku, że mamy tu do czynienia z faktem dla naszego życia doniosłym.

Prasa polska dotychczas faktu tego nie podkreśliła należycie. Przeciwnie. O ile w początkach ruchu maryawickiego podniosła wielką wrzawę i nie szczędziła zapadu w kierunku zdarcia osłon z tajemnic maryawityzmu, o tyle w następstwie, kiedy te osłony już opadły, zapomniła niemal całkowicie o tym fermentie religij- nym, jaki w społeczeństwie naszym rozpoczął się w ostatnich lat- tach. Tymczasem ferment ten bynajmniej nie osłabł. Z chwilą zaś legalizacji nabierze on niewątpliwie nowych sił i wypowie się w nowych starciach sekciarzy z prawowiemnymi.

Przeciw samej legalizacji nie mieć nie można. Powierzcho- wnio przynajmniej, nie sięgając do pobudek politycznych, jakimi mógł się kierować Petersburg w załatwieniu tej sprawy, jest ona faktem dodatnim. Ale--rzecz to wiadoma, że nawet i fakty do-

datnie—mają swoje strony odwrotne. Na tę więc stronę odwrotną „ulegalizowanego maryawityzmu“ chcemy tu zwrócić uwagę.

Już samo powstanie maryawityzmu było dowodem, że organizacja kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce nie jest organizacją wolną od wewnętrznego fermentu. Jak i kiedy ferment ten zdołał do niej przeniknąć—tego na razie nie poruszamy, gdyż sumienne rozważenie tej sprawy wymagałoby bardzo gruntownego i obszernego studyum. Dość, że maryawityzm powstał i rozwinął się, jako objaw tego fermentu.

Nie jest to sekta, wytworzona samorzutnie przez jakieś aspiracje tajemne i głębokie, nurtujące duszę religijnego wieśniaka polskiego, który, jak tego uczy doświadczenie długich wieków, nawet w stosunku swym do Boga był zawsze realistycznie usposobionym i szczególnych skłonności do mistycyzmu nie objawiał. Nie. Maryawityzm, jak o tem pisaliśmy niegdyś, wyłonił się z mrzonki sfanatyzowanego kapucyna, przekształcił się następnie w unyśle zhysteryzowanej dewotki w jakiś dziwoląg religijny i przez sprytnych, a odrywających się od kościoła prawowiernego księży, został wyzyskany dla celów, do niedawna im tylko jednym wiadomych. Oni to — ci księża — zamysławający dziś weale niedwuznacznie o budowaniu nowego kościoła, niezależnego od Rzymu, stworzyli właściwą sektę i pociągnęli ku niej ciemny, nie zdający sobie sprawy z kierunku drogi, na którą go wprowadzają, lud wiejski i małomiejski. Kapłani-maryawici wiedzieli dobrze, że ten lud da im dopiero *siłę*, że da on im ten substrat, na którym będą się mogli oprzeć i wówczas dopiero wystąpią do jawnej walki z władzą swoją.

Wszystko to stało się. Siew wydał owoce. Kraj był widownią doraźnego wybuchu fanatyzmu, o napięciu bardzo wysokiem. Leszno, Stryków, Sobótka, Błonie zapisały się w dziejach ostatniego roku, jak zapisali się i moralni sprawcy i prowodyrowie tego ruchu religijnego, noszący obecnie „riasy“ z szerokimi rękawami, *ojcowie* Cyryl i Metody.

Obecnie mamy do czynienia z faktem już dokonany. Mocna i spoista budowa kościoła rzymsko-katolickiego u nas została rozsadzona. Pierwszy klin został wbity. Obok tego kościoła powstaje sekta, oddzielająca się od niego, szukająca własnych dla siebie dróg.

Dotąd była ona tylko dyskredytowana. Z ambon padały słowa o odszczepieństwie, katolicy prawowierni czuli, że sekta jest nowotworem nielegalnym. Dziś warunki się zmieniają. Stosunek ludu do sekty łatwo też może uleść zmianie, zwłaszcza, że ma-

ryawieci znaleźli sobie najlepszą drogę do *realnej* duszy chłopskiej— w postaci pozornej *bezinteresowności*. Wieśniak, który jest ubogi i niechętnie wydaje grosz nawet na Mszę św., będzie odtąd widział w maryawityzmie kościół, dający swoim wyznawcom opiekę duchową i zaspakajający ich potrzeby religijne *za darmo* i nie spostrzeże się, że *opłata* zostanie od niego ściągnięta w inny sposób, pod postacią dobrowolnych ofiar i składek na cele kultu.

Chwila dzisiejsza jest chwilą ze wszech miar ciekawą i—niebezpieczną. Powiew rewolucyi przeszedł przez cały kraj i niema dziś okolicy, w której nie pozostawiłby po sobie takich lub innych śladów. Wiele sił, drzemiących dotąd w duszy ludu, obudziło się. Wśród tych sił są dodatnie i są ujemne.

Żyjemy w epoce, kiedy ruchy masowe dadzą się rozbudzić łatwo, bo psychika zbiorowa skłonna jest do przyjęcia i poddania się hasłom wszelkiego fermentu. Takich nastrojów zbiorowości ludzkiej nie można mieć na zawołanie. Trzeba na nie wieki nieraz czekać.

Otóż niewątpliwą jest rzeczą, że twórcy maryawityzmu i jego przewodnicy obecni zdają sobie z tego sprawę. Mając ręce rozwiązane, mając za sobą sunkeyę prawa, a więc i przyznaną rucyę istnienia, będą się starali rozpuścić zagony po całym kraju i jednać owce dla nowego kościoła z gorliwością jeszcze większą, niż jednali dotąd.

Zbyt dalecy jesteśmy w tej chwili od przypuszczenia, że duchowieństwo nasze naporu tej fali nie potrafi odeprzeć. Zastanawiając się jednak nad możliwością ruchu religijnego na szerszą skalę, nie możemy taić, że ze stanowiska narodowego byłby on dla nas obecnie ruchem niepożądanym, ruchem wprost bardzo szkodliwym.

Przypuszczalnie J. E. ks. Arcybiskup Metropolita warszawski wyda w tym względzie podwładnemu sobie klerowi odpowiednią instrukcyę—dla tego nie uważamy siebie za powołanych do wypowiedziania tu wskazówek i pouczeń. Zaznaczamy tylko fakt, który, zdaniem naszym, zarysował się poważnie na horyzoncie chwili obecnej.

*

*

*

Do najświeższych naszych zdobyczy kulturalnych należą dwie instytucje ogromnego znaczenia dla rozwoju oświaty w kraju. Jedną z nich jest Towarzystwo wyższych kursów naukowych, drugą — Uniwersytet ludowy, powołany do istnienia, jako specjalne Koło Polskiej Macierzy Szkolnej.

O wyższych kursach naukowych już pisaliśmy na tem miejscu w chwili, kiedy ta myśl zaczęła przybierać kształty rzeczywiste. Zaznaczyliśmy wówczas, że wobec zamknięcia uniwersytetu warszawskiego, stworzenie tego wolnego ogniska nauki narzuca się w danej chwili, jako konieczność, społeczeństwu, posiadającemu dość sił żywotnych na to, aby się nie pozwolić zepchnąć z dróg rozwoju. Dziś więc możemy tylko zaznaczyć, że ówczesne nadzieje i przewidywania nasze były słuszne. Dzięki ludziom dobrej woli instytucja zorganizowała się szybko, dobrze i oto w miesiącu ubiegłym rozpoczęła już swoją działalność.

Po raz pierwszy od wielu lat na katedrach zabrzmiał język wykładowy polski, język ze wszech miar powołany do tego, aby mógł służyć nauce i prawdzie, której ta nauka poszukuje. Po raz pierwszy od lat wielu przed słuchaczami Polakami stanęli profesorowie Polacy, aby nieść im światło, wolne od jakichkolwiek zabarwień narzuconych.

Zgrzyty, tak często odzywające się w uniwersytecie „urzędowym,” rosyjskim, który wśród grona swoich „sił naukowych” posiadał takich „bojowników idei,” jak profesorowie Amalickij, Filewicz i Kułakowski, do dziś dnia występujący jeszcze pod przyłbicami i bez przyłbic w obronie idei rusyfikacyjnej, która nie tylko w społeczeństwie rosyjskim, ale nawet w samem ministerjum oświaty zaczyna już tracić grunt pod nogami — zgrzyty te umilkły.

W pięknym pałacu Kazimierowskim, gdzie od czasu przemianowania Szkoły Głównej na uniwersytet, warsztaty pracy naukowej zamienione zostały na kuźnię polityczną, gdzie przez ciąg trzydziestu kilku lat nie tylko dla nauki polskiej, ale dla nauki wogóle nie uczyniono nic, gdzie panowała atmosfera, jakiej nie zna żadna uczelnia wyższa w Europie — zaległa teraz cisza.

Na dziedzińcu porasta trawa. Młodzież, która opuściła te mury, rozsypała się po świecie i w trudnych warunkach walczy o swoją przyszłość, wyczekując rozwiązania palącej kwestyi od przyszłej Dumy.

Nie wszyscy jednak mogli wyjechać i nie wszyscy mogą czekać. Dla tych właśnie Towarzystwo kursów naukowych otworzyło podwoje swoich sal wykładowych. I zaroilo się w tych salach

od młodzięży płci obojej. Szczególnie młodzież żeńska, oddawna żądna światła, a niedopuszczana dotąd do uniwersytetu, napłynęła obficie na wykłady z zakresu wszystkich niemal nauk.

Gorliwość i zapał są tak wielkie, że, jak twierdzą niektórzy, zachodzi nawet obawa, czy studia, rozpoczynane tak gorączkowo, nie będą na razie chaotyczne. Długo bowiem tamowany przystęp do wiedzy wytworzył głód, nie liczący się z siłami. Apetyty słuchaczy są tak wielkie, że pragnęłyby one odrazu posiadać wszystko i skutek tego zapisują się jednocześnie na wykłady, nie mające z sobą nic wspólnego. Ekonomia polityczna, historia, literatura obok biologii, chemii, antropologii—to naraz zawiele.

Przy dzisiejszej specjalizacji nauk, przy rozległości każdej dziedziny poszczególnej, w studiach konieczna jest pewna planowość, pewien z góry zakreślony porządek, pewne stopniowanie w przechodzeniu od rzeczy jednych do drugich.

W uniwersytetach nad metodą i porządkiem studiów czuwają z jednej strony programy poszczególnych wydziałów, z drugiej — sami profesorowie, którzy, z dziekanem wydziału na czele, nie szczędzą uczniom początkującym rad i wskazówek. W programach wymieniane są przedmioty *główne*, obowiązujące każdego i przedmioty drugorzędne, nadobowiązkowe. Nadto są tam t. zw. *collegia publica*, mające charakter ogólniejszy i dostępne dla wszystkich. Profesorowie zaś poza obrębem wykładów pracują jeszcze razem z uczniami w t. zw. *seminaryach* i tam zaprawiają chętniejszych do samodzielnej, metodycznej pracy w zakresie danej specjalności. W ten sposób praca ma swoje określone łożysko, swój prąd zasadniczy.

Naturalnie, takiej organizacji nie można wymagać od stawiającego pierwsze dopiero kroki Towarzystwa kursów naukowych. I tam jednak powinna być odrazu zwrócona uwaga na to, aby zapał i ochota słuchaczy nie szły na marne, to znaczy, aby studia, nieumiejętnie pokierowane, nie zniechęcały do samej nauki, aby przeciążenie i rozpierzchnięcie się na strony, nie sprowadzały z drogi właściwej.

Poruszamy tę sprawę, bo poruszano ją już w naszych dziennikach. Czynniny to jednak przez życzliwość dla kursów i przez pragnienie, aby pożytek, jaki osiągnie z nich ucząca się młodzież, był jaknajwiększy. Trzymając się zaś zasady, że każde studia naukowe muszą być *celowe*, że nie idzie w nich o chwytanie luźnych wiadomości z rozmaitych dziedzin, ale o przygotowanie umysłu do pracy samodzielnej, badawczej i konstrukcyjnej w jednej dziedzinie obranej — nie możemy patrzeć obojętnie na zazna-

czający się pośród słuchaczy prąd dyletantyzmu naukowego, z którym społeczeństwo nasze powinno i musi zerwać jaknajrychlej.

Nie wątpimy też, że zarząd Kursów, stojąc na tem samym stanowisku dołoży starań, aby zapewnić słuchaczom, a zwłaszcza słuchaczkom, nie tylko wolną naukę, ale także i pewien niezbędny *kierunek*, bez którego ta nauka zamiast płynąć nurtem, pogłębiającym się nieustannie, łatwo może się stać szeroko a płytko rozlaną wodą. Wiadomo tymczasem, że wszelkie cenniejsze perły i rzadsze muszle kryją się w głębinach.

Tyle o kursach naukowych.

Przechodzimy teraz do drugiej instytucji, przeznaczonej dla warstw szerokich, upośledzonych dotąd, odgradzonych od świata zdobyczy naukowych murem niedostatecznego przygotowania.

Chcemy mówić o pierwszym w naszej dzielnicy Uniwersytecie ludowym, założonym przez Polską Macierz Szkolną.

Historja uniwersytetów ludowych (University extension) dobrze jest znana. W Szwecyi, Norwegii, Danii, w Anglii, we Francyi, w Niemczech, wszędzie mają już one swoje dzieje. Nawet w Galicyi założony w r. 1898 Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, aczkolwiek szedł na manowce, dzięki zagospodarowaniu się w nim żywiołów socjalistycznych, czyniących z nauki narzędzie agitacji politycznej, a z sali wykładowej — arenę popisów krasomówczych dla wysłanników partyjnych — nawet ten uniwersytet, powtarzamy, nie jest bez zasługi dla sprawy rozwoju kulturalnego warstw robotniczych i ludowych.

U nas tylko dotychczasowe warunki nie pozwalały nawet marzyć o takiej instytucji, mimo, że Warszawa oddawna była już ogniskiem, w którym istnienie powszechnych wykładów uniwersyteckich narzucało się opinii społecznej, jako konieczność. I kto wie? Gdyby światło mogło być rozniecane wcześniej i łatwiej, gdyby ręce nasze nie były tak skrepowane, a warunki istnienia nie tak zabójcze—być może, czasy obecne nie byłyby dla nas czasami tak smutnymi. Robotnik światlejszy nie szedłby może tak łatwo na lep agitacji zgubnej dla niego samego i dla kraju, hasła anarchistyczne nie byłyby przez niego utożsamiane z hasłami rewolucyjnymi, a doba obecna nie zapisałaby się tak krwawo w życiu zbiorowem i w sumieniach jednostek poszczególnych.

Z tem większą jednak uwagą, dziś, kiedy powstał u nas pierwszy Uniwersytet ludowy, zwracamy się ku niemu i pytamy, co nam przyniesie?

Firma Polskiej Macierzy Szkolnej naturalnie jest w tym względzie rękojmnią wystarczającą. Zapewnia ona mianowicie, że

Uniwersytet będzie tem, czem być powinien, to znaczy instytucją *ponadpartyjną*, niezależną od innych prądów politycznych chwili, poświęconą jedynie szeroko pojętym zadaniom oświatowym.

Jak się z tych zadań instytucya wywiąże — o tem będziemy sądzili w przyszłości, na razie dzielimy się z czytelnikami tem, że praca została już rozpoczęta, że Uniwersytet ludowy już działa.

Wykłady rozpoczęte w nim zostały dn. 15 października, są więc obecnie w pełnym biegu.

Z liczby zapisanych około 1,800 osób stawilo się na urządzane przez Sekcyę egzaminacyjną w różnych punktach miasta egzaminy i zostało zakwalifikowanych do odpowiednich kompletów 1495 osób, jak na początek — liczba dość znaczna.

Ogółem utworzono 102 komplety, a z tego: 42 komplety języka polskiego i literatury, 33 arytmetyki, algebry i geometryi, 10 historii Polski w połączeniu z powszechną, 5 geografii, 4 ryśunków, 2 nauk społecznych (gospodarstwo społeczne i prawodawstwo), 2 przyrody (fizyka i chemia), 2 nauk technicznych (mechanika i elektrotechnika), 1 anatomii w połączeniu z fizyologią i higieną i 1 rachunkowości handlowej.

Ogólny kierunek pedagogiczny, polegający na opracowywaniu programów, dobieraniu prelegentów i kontroli pedagogicznej nad wykładami, spoczywa w rękach *sekcji pedagogicznej*, która rozpada się na podsekcye, stosownie do wykładanych przedmiotów.

Wykłady w kompletach odbywają się w dni powszednie, pomiędzy 7½ a 9½ wieczorem i w niedziele, pomiędzy 1 a 5½ po południu, w 27 lokalach, przeważnie szkolnych, bezinteresownie przez właścicieli szkół użyzonych.

Stroną administracyjną urządzania wykładów kieruje odpowiednia sekcyja, która powołała z grona członków koła opiekunów, czuwających nad oddzielnymi uczelniami, ci zaś mają do pomocy w każdym komplecie gospodarza, wybieranego z pośród słuchaczy.

Każdy słuchacz zaopatrzony został w matrykulę, dającą mu prawo wstępu na odpowiednie wykłady, na odczyty, przez Uniwersytet urządzane, oraz do czytelni i wypożyczalni książek, znajdujących się w lokalu biura Uniwersytetu ludowego.

Czytelnia i wypożyczalnia mają na celu ułatwianie słuchaczom korzystania z czasopism codziennych i tygodniowych, oraz utrwalenie wykładów za pomocą odpowiedniej lektury. Wypożyczalnia liczy obecnie przeszło 1000 dzieł różnej treści. Niewystarczająca to ilość, to też Sekcyja czytelniiana usilnie dążyć musi do

skompletowania posiadanej biblioteki, zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym.

Jednocześnie, chcąc obok nauki zapewnić słuchaczom przyjemną i nauczającą rozrywkę, Koło urządza w ich gronie chóry, przedstawienia amatorskie, wspólne wycieczki, zwiedzanie muzeów i wystaw i w tym celu powołano nawet specjalną sekcję, wyłącznie temu poświęconą.

Oprócz wykładów, wygłaszane będą bezpłatne popularne odczyty na tematy ogólniejsze.

Wszystkie te prace, podjęte na dość szeroką skalę, pociągną za sobą wydatki znaczne.

I tak przewidywana suma na rok bieżący wynosi około 6,000 rb., czego ani opłata od słuchaczy, pobierana w stosunku 10 groszy za wykład, ani skłádki członków Koła, liczącego obecnie 150 osób, pokryć nie mogą. Potrzeba tu więc stałej i zorganizowanej pomocy społecznej.

Pomoc ta równolegle w trzech powinna iść kierunkach. Przede wszystkim Koło Uniwersytetu ludowego musi liczyć dziesięćkroć tylu członków, ilu ich liczy obecnie, a wtedy przy niewielkiej nawet opłacie fundusze Koła wzrosną i umożliwią mu rozszerzenie swej działalności nie tylko na Warszawę, ale i na pobliskie miasta prowincjonalne, jak Grodzisk, Skierniewice, Łowicz, gdzie w dni świąteczne mogłyby się doskonale odbywać wykłady prelegentów, przybywających na kilka godzin z Warszawy.

Powtórę w społeczeństwie powinien się przyjąć zwyczaj przekazywania Uniwersytetowi ludowemu drobnych chociaż legatów pieniężnych, czy to w postaci ofiar jednorazowych, czy w postaci zapisów testamentowych.

Pod tym względem u nas panuje pewne nieporozumienie. Utańło się mianowicie, że opinia publiczna oczekuje takich zapisów zazwyczaj od ludzi bogatych, cała natomiast zamożna część narodu w opinii tej jest jakby wolna od tego rodzaju ofiar. Tymczasem w Czechach np. jest inaczej. Tam każdy poczuwa się do obowiązku legowania jakiejś niewielkiej kwoty ze swego niewielkiego majątku na rzecz instytucyj narodowych i nie wstydy się zapisać w testamencie skromnej kwoty 50 lub 100 koron *Maticy* czeskiej. Z tych drobnych legatów tworzą się jednak sumy przerastające owe wielkie zapisy, na które u nas niejedna instytucja czeka na próżno dziesiątki lat. Gdyby więc ten zwyczaj przyjął się i u nas — Uniwersytet ludowy miałby nigdy nie wysychające źródło dochodów.

Trzeciego wreszcie rodzaju pomocą jest pomoc w naturze— w książkach i w materyałach naukowych, które nieraz zamknięte w prywatnej bibliotece leżą bez użytku, a ofiarowane P. M. S. mogłyby wzbogacić bibliotekę Uniwersytetu ludowego.

Instytucya, w której się będzie kształcił lud polski, która otworzy nowe światy przed umysłem robotnika, a z czasem i przed umysłem wieśniaka, nie może być obojętna dla czującego i myślącego ogółu.

Ogół ten musi zdawać sobie sprawę z tego, że obok potrzeb kulturalnych wyższego rzędu, obok ofiar, łożonych na zakładanie muzeów, pracowni naukowych, akademii umiejętności, przybytków sztuki i t. d. istnieją potrzeby mniejsze, a o wiele pilniejsze.

Narody bogate i oświecone mogą z całą swobodą myśleć o wyższych piętach gmachu swojej kultury, o nadbudowach i ornamentacyi. Narody tak ubogie i tak w rozwoju swoim cofnięte, jak nasz, za swój najpierwszy obowiązek muszą uważać noszenie i składanie drobnych cegieł pod budowę tego, co dopiero wspólnym trudem wszystkich ramion i wspólnem ukochaniem serc wszystkich stanie powoli, wzniesie się stopniowo i stopniowo dosięgnie tych wyżyn, jakich sięga gdzieindziej.

Zapewne dumą naszą byłoby, abyśmy już dziś mogli dorównać innym, ale obowiązkiem naszym jest skupiać się obecnie w pracy przy zakładaniu fundamentów. Dobra szkoła elementarna, szkoła na wskroś polska, chowająca dzieci w duchu narodowym, dobra szkoła średnia i dobry uniwersytet ludowy, dostępny dla szerokich, łaknących światła mas i masy te prowadzący ku ideałom obywatelskim—oto nasz program na dzień dzisiejszy, program, od którego wykonania zależy przyszłość narodu.

Walka z ciemnotą, walka z anarchią, walka z temi pierwiastkami rozkładowemi, jakie w duszy polskiej wyhodowała długoletnia niewola, musi się odbywać pod jednym tylko sztandarem, na którym wypisane jest hasło jednakowo popularne wśród wszystkich partyj i stronnictw, hasło oświaty, rzucającej dobre ziarna w umyśle, siejącej prawdę i miłość tam, gdzie dotąd fałsz i obłuda, kłamstwo i nienawiść tak łatwo miały przystęp.

Dusza ludu polskiego jest jak pole porastające chwastami. Będzie ono polem rodzajnem i rozzłoci się „zbożem rozmaitem,” jeżeli wyrwiemy z niej te chwasty i uprawimy ją starannie.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Akademia Umiejętności w Krakowie wydała tom XI-ty SPRAWOZDAŃ z CZYNNOŚCI POSIEDZEŃ pod redakcją sekretarza generalnego, Bolesława Ulanowskiego, ze współdziałaniem sekretarza wydziału. Tom ten zawiera w zeszycie pierwszym:

(Styczeń). Bibliografia. I. J. Tretiak: O nieznanym pamiątniku Mikołaja Malinowskiego, jako ważnym przyczynku do historii prześladowania Filaretów w Wilnie; — II. Fr. Bujak: W sprawie kartografii historycznej; — L. Sternbach: Rerum Slavicarum fontes Byzantini; — K. Potkański: Studya nad XIV w., zajęcie Wielkopolski przez Łokietka; — III. T. Browicz: Topografia dróg żółciowych śródzrazikowych w normalnej wątrobie ludzkiej; — E. Janeczowski: Species generis Ribes, II subg. Ribesia et Coreosma; — St. Niementowski: Oksychinakrydyna i florechiny; — L. Marchlewski i A. Korczyński: O składzie korzeni *Datisca cannabina*; — G. Gittelmacher-Wilenko: O hippokoprosterynach; — J. Siemiradzki: Fauna warstw paleozoicznych Podola; — P. Łoziński: O budowie histologicznej serca u małży; — B. Sabat: Wpływ promieni radu na przewodnictwo elektryczne elektrolitów; — A. Wrzosek: Znaczenie dróg oddechowych, jako wrót zakażenia w warunkach prawidłowych.

W Zesz. 2, luty. Bibliografia. I. J. Kallenbach: Nieznane artykuły A. Mickiewicza w Tribune des peuples; — J. Rozwadowski: Słownik narzecza cygańskiego w Zakopanem; — W. Klinger: Ambrozja i Styks, a woda żywa i marta; — II. Fr. Piekosiński: Polska w w. XVI pod względem rozsiadlenia się szlachty; — M. Rostworowski: Prawno-administracyjna strona budżetów Król. Kongresowego 1816—1830; — III. H. Zapałowicz: Krytyczny przegląd roślinności Galicji; — St. Niementowski: O azoacetanilidzie; — J. Brzeziński: *Myxomonas betae*, pasorzyt buraka; — W. Friedberg: Zagłębie mioceńskie Rzeszowa, cz. II; — W. Żłobicki: Pomiar napięcia powierzchniowego metodą małych baniek.

W Zesz. 3, marzec. Nekrologia. Bibliografia. I. J. Rozwadowski: Krytyczne uwagi o praojczyźnie Słowian (studya nad nazwami wód słowiańskich,

cz. II); — T. Sinko: Studya Nazianzenica I. De collationis apud Gregorium Nazianzenum usu et de Terrae et Maris contentione quadam Pseudo-Gregoria-na; — A. Brückner: Projekt ustalenia pisowni polskiej; — II. Stanisław Krzyżanowski: Przyczynki do literatury politycznej XV wieku; — Fr. Papée: Metryka Koronna w Warszawskim Archiwum głównem i jej znaczenie dla historyi XV wieku; — Józef Siemieński: Organizacya sejmiku ziemi Dobrzyńskiej; — Ł. Czubek: Pisma polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia; — III. M. Radwańska: Przednie serce limfatyczne żaby; — M. Smoluchowski: O średniej drodze cząsteczek gazu i o związku jej z teorią dyfuzyi; — B. Namysłowski: Wielopostaciowość *Colletotrichum Janczewskii*.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD HISTORYCZNYMI PAMIĄTKAMI I ZABYTKAMI SZTUKI I KULTURY POLSKIEJ W WARSZAWIE. Dnia 27 października w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie Towarzystwa. Przybyło na zebranie osób 81. Po zagajeniu zebrania przez jednego z głównych inicjatorów Towarzystwa, mec. Wł. Powichrowskiego, zaproszono na przewodniczącego p. Adama Bonieckiego, który ze swej strony powołał pp. Al. Kraushara, ks. rektora Kakowskiego, Eug. Phulla i Br. Pruszyńskiego, a na sekretarza mec. Powichrowskiego.

Po gorącym przemówieniu o potrzebie Towarzystwa poświęconego konserwacyi zabytków w kraju tutejszym i o zasługach organizatorów, przewodniczący dał głos p. Powichrowskiemu, który dał następujące sprawozdanie z dotychczasowych organizacyjnych czynności Towarzystwa:

Po przedwstępnych, prywatnych naradach, omawiających potrzebę i konieczność jaknajrychlejszego założenia Towarzystwa konserwacyi naszych narodowych pamiątek, prawie rok temu, bo w dniu 4 listopada 1905 r., odbyło się pierwsze posiedzenie, obradujące nad szkicem ustawy. Ustawa została wypracowana, nie przedstawiano jej jednak do legalizacyi w oczekiwaniu zmiany procedury prawnej, dawniej wielce utrudnionej. Dopiero po ogłoszeniu nowego prawa dn. 8 czerwca r. b. zwołane zostało zgromadzenie dla podpisania ustawy, a 28 czerwca r. b. ustawa nasza została zatwierdzoną przez komisję gubernialną warszawską i wniesioną do rejestru stowarzyszeń i związków pod № 8.

Czas feryj letnich obrócono na pozyskanie członków dla naszego Towarzystwa. Organizatorowie z przyjemnością zaznaczają, iż powstanie naszego Towarzystwa przyjęte zostało we wszystkich dzielnicach Polski z gorącą sympatją i uznaniem, a życzenia powodzenia ze wszech stron towarzyszyły naszym pracom organizacyjnym. Na skutek poroższyłanych zaproszeń zapisało się w biurze tymczasowem Towarzystwa 163 członków; gdy jednak wielu przyszłych członków-korespondentów Towarzystwa, którzy szczególnie okazują zainteresowanie się naszą instytucją, dotychczas nie przysłało wykazów pozyskanych członków, można się spodziewać, iż liczba członków w obecnej chwili wynosi co najmniej paręset. Z powyższej liczby 163 członków, na członków założycieli, z wkładem jednorazowym co najmniej 100-u rubli zapisało się osób 14, na członków-protektorów osób 46, na członków zwyczajnych osób 66.

Prócz tego zapisało się na członków Towarzystwa, bez ściślejszego określenia do jakiej kategorii życzą sobie być zaliczeni, osób 37. Fundusze, wpłacone już przez członków Towarzystwa, wynoszą rb. 1132, zadeklarowano funduszy na sumę rb. 1044;—ogółem wpłacono i zadeklarowano rb. 2176.

Organizatorowie uważają za swój smutny obowiązek wspomnieć o ciężkiej stracie, jakie nasze, choć jeszcze niezorganizowane, Towarzystwo poniosło przez śmierć zasłużonych naszych historyków ś. p. Aleksandra Rembowskiiego i Hieronima Łopacińskiego, którzy z całą gotowością przyrzekli swój czas i pracę poświęcać Towarzystwu. Nielitościwa śmierć niedozwolila im spełnić swych obietnic, za które, choć niespełnione, winniśmy wyrazić im naszą wdzięczność: wzywamy Panów do uczczenia ich przez powstanie.

Niezależnie od sumy rb. 2176, która wyobraża obecny majątek Towarzystwa, pospieszyło kilku członków z darami na rzecz Towarzystwa w formie dzieł przez siebie wydanych, objętych oddzielnym spisem, a nadto otrzymało Towarzystwo nader szacowny dar, mianowicie muzeum wykopalisk i różnego rodzaju starożytności, ofiarowane przez pana Antoniego Barszczewskiego, kilkumorgowego gospodarza z Drohiczyna, gub. Grodzieńskiej. Za to obywatelskie serce, okazane przez włościanina polskiego naszej narodowej instytucji, składamy panu Barszczewskiemu serdeczne podziękowanie i tuszymy sobie, że i Szanowne Zgromadzenie uczucia nasze podzieli.

Dar ten, ofiarowany przez biednego, w pocie czoła pracującego rolnika, to piękny zadatek naszej jedności i solidarności narodowej. W pracy publicznej iść razem wszyscy, ramię przy ramieniu, winniśmy — ku wspólnemu, wzniosłemu i szlachetnemu celowi odrodzenia ojczyzny.

Instytucya nasza ma zajęć skromną w tej pracy placówkę: *konserwacyi zabytków przeszłości*. Pięknemi słowy umiłowanie przeszłości wyraził, jeden z trójcy poetów, Krasiński: „*Przeszłość im dalsza, tem urodziesza; im urodziesza, tem od serc ludzkich kochańsza*.” Instytucya nasza powstaje właśnie na gruncie głębokiego umiłowania przeszłości, jej pomników i zabytków. Milezące ruiny i zwaliska zameczysk, grobowce w zbrojach zakutych rycerzy, mroczne świątynie średniowieczne—mają dla naszych serc niewypowiedziany urok: płynię z nich, jakby wiekuista pieśń tryumfu, radości i sławy narodowej, lub jęk bólu i rozpacz. To też, jak czuła matka troskliwie pielęgnuje swą dźwiatwę, by ją zachować w zdrowiu moralnem i fizykiem, i dzieci byłyby niewdzięczne, gdyby jej nieodpłaciły wzajemną miłością i sercem, tak i my niebylibyśmy godnymi synami tej naszej Matki, Ojczystej ziemi, gdybyśmy nie uszanowali jej pamiątek, jej sztuki i kultury. Zachowywanie naszych narodowych pomników, zabytków sztuki i kultury, tak prahistorycznych, jako też i nowszej epoki, zabezpieczenie od zagłady i zniszczenia, zinwentaryzowanie ich, by naród wiedział, jakie skarby posiada, mimo zmiennych kolei losu i spustoszeń, jakim ojczyzna nasza ulegała, możliwe gromadzenie zabytków sztuki i kultury, aby w przyszłości w Warszawie, w tem sercu naszej ojczyzny, otwarte było na użytek publiczny Muzeum Narodowe, naukowe opracowanie pomników historycznych i zabytków, jako przyczynek do dziejów naszego życia politycznego, kulturalnego i cywilizacyjnego — stanowić będzie naszą

pracę twórczą, kulturalną, którą najlepiej i najskuteczniej przysłużymy się sprawie publicznej.

Do pracy tej wzywamy wszystkich bez różnicy płci, wieku i poglądów politycznych i ośmielamy się twierdzić, że nikt nie może i niema prawa wyłączać się od współdziałania w Towarzystwie i jego pracach. Ustawa, pisana w duchu pozyskania dla Towarzystwa najszerszych kręgów społecznych, oznacza minimum składki członkowskiej (rubla), dzięki czemu przystąpienie do Towarzystwa jest możliwem dla każdego bez względu na jego położenie majątkowe. Każdy członek Towarzystwa od dnia dzisiejszego, jako dający ostatecznego ukonstytuowania się naszego, nieogłupując się na zarząd, powinien rozciągać opiekę nad pamiątkami historycznymi, zapobiegać w miarę możliwości, aby im się jakakolwiek szkoda i krzywda nie działa, sygnalizować zarządowi niebezpieczeństwo, grożące historycznym pamiątkom i zabytkom, propagować w społeczeństwie idee, cele i zadania Towarzystwa i dopiero przy takim zespoleniu moralnem i łączności duchowej członków Towarzystwa z jego zarządem, cele i zadania Towarzystwa mogą być osiągnięte. Dlatego założyciele proszą Was usilnie, Szanowni Panowie, abyście, przez uiszczenie składki członkowskiej i wybór na dzisiejszem zgromadzeniu członków zarządu, nie uważali swych obowiązków, jako członków naszego Towarzystwa, za spełnione, abyście tym sposobem nie zwalali na barki zarządu całej pracy, który pomimo najszerszej chęci nie podolalby ogromowi pracy, lecz wybierając członków zarządu miejcie to na myśli, że wybieracie tylko kierowników, a pracownikami Wy sami jesteście i za owoeną działalność tej instytucji będziecie Wy moralnie przed społeczeństwem odpowiadać. W tym względzie organizatorowie zwracają się przedewszystkiem do Panów członków Towarzystwa, na prowincyi zamieszkanych, którzy, grupując się koło członków korespondentów w miejscowe kółka, wielkie usługi na polu pielęgnowania naszych pomników i zabytków kultury naszej oddać mogą.

W końcu organizatorowie uważają za obowiązek usprawiedliwić się, dlaczego wzywamy Was, Panowie, do pracy i powołujemy do życia Instytucję w tak ciężkich, jak obecne, warunkach? dlaczego nie odłożyliśmy otwarcia tej Instytucji do lepszych czasów?... Na to odpowiedź bardzo prosta... Dopóki trwała epoka, w której, jak obrazowo Słowacki mówi: „ciemność była moim towarzyszem i ciemność była moim krajem...“ gdy ciężki ucisk biurokratyczny skrępował i obezwładnił nas do wszelkiej akcyi publicznej, wtedy widok zapadających się w gruzy naszych wspaniałych zameczysk, baszt, pomników naszej wielkiej przeszłości, zatracanie i marnowanie się naszych narodowych, najdroższych pamiątek, przejmowało nas bólem bezmiernym i zgrozą, lecz skrępowani niewolnicy nie na to poradzić nie mogliśmy. Obecnie, po tyloletnim ucisku, ukazał się nam rąbek lepszej przyszłości i gdy okowy nieco zelzały i daną nam jest możność pracy kulturalnej, to dalsze wyczekiwanie byłoby grzechem przeciwko naszej godności i honorowi narodowemu, byłibyśmy karłami wielkich przodków, wyrodnymi ich synami! Oto pobudki, które kierowały założycielami i dodały im śmiałości odwołać się do pracy i ofiarności społeczeństwa, znajdującego się w tak ciężkich i trudnych

warunkach ekonomicznych i moralnych, a mimo to zniewolonego tyle naraz ponosić ofiar dla pracy społecznej, jaka zawrzała na wszystkich kierunkach i na wszystkich polach oświaty, kultury i bytu ekonomicznego. Kraj wybaczył organizatorom tę śmiałość, skupiły się w Towarzystwie siły naukowe i fachowe do wspólnej pracy, są i fundusze, które z każdym dniem wzrastać będą, dlatego Sz. Panowie zdążajmy wytrwale ku urzeczywistnieniu naszych ideałów, a zagrzani przykładem kniecia polskiego i nauką, jaką z jego daru wysnuć powinniśmy, pracujmy wytrwale dla tej nawskroś narodowej Instytucji, której Sz. Panowie, wybierając zarząd dajecie życie i powołujecie ją do realnej, a skutecznej pracy ku odrodzeniu Ojczyzny...

Po tej przemowie, nastąpił wybór dziewięciu członków zarządu Towarzystwa. Wybrani zostali: pp. Tadeusz Korzon i Zygmunt Gloger (po 81 gł.), Erazm Majewski (78 gł.), Włodz. Powichrowski (74 gł.), Aleksander Kraushar, Józef Dziekoński i Władysław Marconi (po 73 gł.), Franciszek Pułaski (64 gł.), hr. Adam Krasieński (63 gł.), Pius Weloński (60 gł.), Konstanty Wojciechowski (54 gł.), Kazimierz Broniewski (53 gł.), Adolf Jełowicki (47 gł.), Antoni Strzałecki (46 gł.) i Andrzej Rotwand (36 gł.).

Od tej chwili Towarzystwo zaczyna funkcjonować i należy przypuszczać, że poparte życzliwością społeczeństwa, rozwijać się będzie stale, wypełniając tak ważną pracę naukową i kulturalną.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

ARDANT GABRYELA: Papięże i lud. („Papes et Paysant“) Przech... Nowe wydanie poprzedzone listem jego eminencyi Kardynała Rampolli, sekretarza stanu jego świętobliwości Leona XIII. Warszawa, 1906. Nakład. księg. M. Szepepkowskiego. 8-o, form. podł., str. 98.

FISCHER KAROL JÓZEF, biskup tyt. malleński, sufragan przemyski: Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego. Tom II, obejmujący czas od pierwszej niedzieli postu do Zielonych Świątek włącznie. Przemysł, 1906. Nakład. A. Juszyńskiego. 8-o, str. 482.

JEŻ MATEUSZ, Ks.: Nauki wiary katolickiej. Podręcznik dla szkół średnich. Część I. Wydanie drugie. Kraków, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 135.

JEVONS STANLEY W.: Logika, objaśniona figurami i pytaniami. Przetłómaczył z upoważnienia rodziny autora Henryk Wernic. Wydanie trzecie. Warszawa, 1907. Bibl. Naukowa. 8-o, str. 182.

LEMAŃSKI JAN: Książnica polska. Tom 3. Nowenna czyli dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu. Warszawa-Lwów, 1906. Druk Piotra Laskauera i Sp.

LUBECKI KAZIMIERZ, DR.: Matka Boska w cywilizacji polskiej. Lwów, 1905. Nakład. księg. polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 16.

MORAWSKI MARYAN, KS. T. J.: Celowość w naturze. Studium przyrodniczo-filozoficzne. Wydanie czwarte, niezmienione. Kraków, 1906. Nakład. redakcyi „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 322.

TENŻE: Wieczory nad Lemanem. Wydanie czwarte niezmienione. Kraków. 8-o, str. 363.

SCHANZ PAWEŁ, DR.: Apologia chrześcijaństwa. Przekład Walerego Gostomskiego. Z trzeciego wydania niemieckiego. Część II-ga. Bóg i objawienie. Tom II. Warszawa, 1906. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 211 + od 113 do 128.

STRASZEWSKI M., DR. PROF.: Wykłady psychologii. Kraków, 1906.

SYGAŃSKI JAN, KS. T. J.: Monografia obrazu M. B. Pocieszenia... w kościele lwowskim O. O. Jezuitów. Lwów, 1906.

ZADANIA dzisiejsze... katolicyzmu w Polsce. Ankieta „Przeglądu Powszechnego.“ Kraków, 1906. Nakład. redakcyi „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, form. duży, str. XVI + 30 + 531.

H I S T O R Y A.

ASKENAZY SZYMON: Książę Józef Poniatowski, 1763 — 1813. Wydanie skrócone przez W. St. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 51.

BELFORT-BAX E.: Historia rewolucyi francuskiej. Przełożył z 3-go wyd. angielskiego A. T. Warszawa, 1906. Tom 7 Biblioteki społecznej. Skład główny w księg. Powszechnej. 8-o, str. 132.

BERG MIKOŁAJ, PROF.: Zapiski o polskich spiskach i powstaniach. Przekład z rosyjskiego. Cz. III. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. Nr. 448. 8-o, str. 115.

BUKOWIECKA Z.: Mała historia Polski. Kraków, 1906. 8-o, str. 150.

DEBIŃSKI LUDWIK: Portrety i sylwetki z dziewiętnastego stulecia. Z ilustracyami. Ser. II. T. I. Spółka Wyd. Polska, Kraków, 1906. 8-o, str. 319.

DEMIŃSKI BRONISŁAW: Albert Sorel. Kraków, 1906. Skład głów. w księgarni G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 29.

DZIERŻANOWSKA MARYA: Dzieje ojezyste. Podręcznik do nauki na klasę I i II. Warszawa, 1906. Nakład. J. Fiszer. 8-o, str. 188.

GUMPLOWICZ LUDWIK: Z okazji „Szkiców“ Tadeusza Wojciechowskiego. Odbitka z „Przeglądu Historycznego.“ Warszawa, 1906. Skład głów. w księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 32.

KOPPE WIKTOR: Wspomnienia z ostatnich lat Rzeczypospolitej krakowskiej. Wydał Stanisław Estreicher. Kraków, 1906. Nakład. Tow. Miłośników historyi i zabytku Krakowa. Bibl. krakowska Nr. 31. 8-o, str. XXI + 158.

KORZON TADEUSZ: Historia nowoczesna (1788—1805). Przez... Zeszyt I. Warszawa, 1906. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XII + 256.

TENŻE: Kościuszko. Biografia z dokumentów wysnuta. Dopełnienie przy wydaniu drugim. Kraków, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. LXXXVI.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Nowe przyczynki do dziejów życia i spraw Olbrachta Łaskiego, wojewody sieradzkiego (1533—1605). Kraków, 1906. 8-o, str. 129.

LUNIŃSKI ERNEST: Księżna Tarakanowa. Opowiadanie na tle dziejów polsko-rosyjskich. Z ilustracyami i faksymiliami. Lwów, 1907. Polskie Tow. Nakładowe. 8-o, str. 366.

MUZEUM NARODOWE polskie w Rapperswilu. Z licznymi ilustracyami. Kraków, 1906. Nakład. Dyrekeyi Muzeum. 8-o, str. 108.

NIEDERSTETTER: Terroryzm Paskiewicza. Relacya Niederstettera, gen. konsula ruskiego w Warszawie z 20 września 1831 r. Wydał dr. Adolf Stern. Kraków, 1906. 8-o, str. 26.

NITMAN KAROL J., DR.: Tadeusz Kościuszko i jego sławna bitwa pod Raclawicami. Opowiedział... Wydawnictwo ludowe; rok XXV, książeczka IV. Lwów, 1906. Wyd. 2. Nakładem Komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. 8-o, str. 64.

PLAGE KAROL: Monety bite dla prowincyj polskich przez Austryę i Prusy, oraz monety wolnego miasta Gdańska, Księstwa Warszawskiego i w obłążeniu Zamościa. Kraków, 1906. 4-o, str. 39 + VIII.

ROCZNIKI Towarzystwa Naukowego w Toruniu, r. XI. Toruń, 1906. Nakładem Tow. Nauk. 8-o, str. 265.

— Rok XII, str. 129—466.

ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XXIII, ogólnego zbioru, tom 48. Kraków, 1906. Nakład. Akad. Umiej. 8-o, str. 322.

ZIELONKA JASTRZĘBIEC LUDWIK: Wspomnienia z Syberyi od roku 1863—1869. Kraków, 1906. Spółka wydawn. Polska. 8-o, str. 320.

HISTORIA LITERATURY.

BOBIN ROMUALD A.: O „Panu Tadeuszu“ Adama Mickiewicza. Spostrzeżenia i uwagi z dołążeniem szczegółowej treści i charakterystyki osób dla młodzieży szkół średnich. Lwów, 1905. Nakład. księg. Köhlera. 16-o, str. 99.

BRZOWOSKI STANISŁAW: Teodor Dostojewski. Z mroków duszy rosyjskiej. Lwów, 1906. Nakład. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 120.

HAHN WIKTOR: Literatura dramatyczna w Polsce XVI wieku. Lwów, 1906. Nakł. Tow. dla popierania nauki polskiej. 8-o, str. 133.

KOSSOWSKI STANISŁ.: Brodzińskiego Homaczenia pieśni ludowych. Przyczynęk do dziejów zajęcia się twórczością ludową w literaturze polskiej. Lwów, 1906. Nakł. Tow. przyw. gimn. żeńskiego. 8-o, str. 45.

PRZEWÓSKA MARYA CZESŁAWA (HELIA): Eliza Orzeszkowa. Trzeci tysięcy. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 100.

TARNOWSKI ST: Przemówienie przy otwarciu zjazdu naukowego im. Mikołaja Reja w Krakowie, dnia 1 lipca 1906 r. Kraków, 1906. Nakł. autora. Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 16.

WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki. Pod redakcyą Ign. Chrzanowskiego, Henryka Galla, Stanisława Krzemińskiego. Tom I. Wypisy № 1—142. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XVIII+480.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY, DR.: Zagadnienia społeczne w powieści polskiej w XVIII i początkach XIX w. Lwów, 1906.

F I L O L O G I A.

ARCHIV für slavische Philologie unter Mitwirkung . . . herausgegeben von V. Jugić, str. 128—138. Brückner, Geschichte der russischen Literatur, angez. v. Alexius Wesseloſky, str. 139—142. Brückner, Über Nikolaus Rej, Kritische Studien, angez. v. W. Nehring, str. 142—145. T. Grabowski: Literarische Studien, angez. v. D. Prohaska, str. 145—150.

KRÓLIŃSKI KAZIMIERZ: Pisownia polska. Na podstawie podręcznika prof. A. Kryńskiego, tudzież uchwał komisji językowej Ak Um. i zjazdu Rejowskiego, zebrał . . . Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta. 8-o, str. 38.

MALECKI ANTONI. Gramatyka języka polskiego szkolna, wyd. dziesiąte. Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 286.

P R A W O.

DUBIEŃSKI AL.: Głównszczyzna w Statucie litewskim trzecim. Napisał . . . Studya nad historią prawa polskiego, wydawane pod redakcyą Oswalda Balzera, t. II, zes. 3. Lwów, 1906. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 78.

ZOLL FRYDERYK (STARSZY), PROF. UNIW. JAG. Pandekta czyli nauka rzymskiego prawa prywatnego. T. I. Część ogólna w połączeniu z historią źródeł prawa rzymskiego. Wydanie drugie poprawione. Kraków, 1906. Nakł. Sp. Wydawn. Polskiej. 8-o, format duży, str. X+534.

S Z T U K A.

BIEGAS BOLESŁAW: Album. Paris, 1906. Louis Theuveny. Warszawa, księg. Naukowa. 8-o, str. 77.

KOZICKI WŁADYSŁAW, DR.: Św. Sebastyan. Studium porównawcze z dziejów sztuki włoskiej (24 ilustracyj w tekście). Kraków, 1906. 8-o, str. 138.

MICHAŁ LITYŃSKI: Rys dziejów Sztuki Starożytnej. Lwów, 1906. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. 105.

SPRAWOZDANIA Komisji do badań Historii Sztuki w Polsce. Tom VII, zesz. IV. Kraków, 1906. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej Polskiej. 8-o.

SPRAWOZDANIE dyrekcji Muzeum Narod. w Krakowie za r. 1905. Nakł. Muz. Nar. 8-o, format duży, str. 33.

— grona e.-k. konserwatorów i korespondentów Galicyi wschodniej. Teksta tom III styczeń, kwiecień 1906. Lwów, 1906. 8-o, str. 5.

— wydawnictwa wydziału towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury za r. 1905. Kraków, 1906. Nakł. Towarzystwa. 8-o.

TAINÉ HIPOLIT: O Ideale w sztuce, z dzieła „Philosophie de l'art”, cz. V, streścił Stanisław Brzozowski. Warszawa, 1906. Wyd. M. Areta. Książki dla wszystkich № 311. 16-o, str. 106.

ŻMIĘGRODZKI MICHAŁ, DR.: Historia sztuki w Polsce. Najkrótszy zarys. Wykłady na kursach im. Baranieckiego w r. 1905/6. Kraków, 1906.

N A U K I P R Z Y R O D N I C Z E.

ATLAS GEOLOGICZNY GALICYI: Tekst do zeszytu dziewiętnastego. Oprac. dr. Wilhelm Friedberg (z 5 rycinami). Kraków, 1906. Nakł. Akademii Um., Sp. Wyd. Pol. 8-o, str. 37.

MICZYŃSKI JÓZEF: Gospodarka przyrody. Wstępne wiadomości z kosmografii, fizyki, chemii i geologii. Dla młodzieży rolniczej ułożył . . . Nowy Sącz, 1906. Nakł. J. K. Jakubowskiego. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 176.

ZAPALOWICZ HUGO: Krytyczny przegląd roślinności Galicyi. T. I. Kraków, 1906. Nakł. Ak. Umiej. Spółka Wyd. Polska. 8-o, format duży, str. VIII + 296.

SPRAWOZDANIE Komisji fizyograficznej, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu rok 1904, oraz materiały do fizyografii krajowej t. 38 (z 1 ryciną w tekście i 6 tablicami w osobnym zeszycie). Kraków, 1906. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, format duży, str. XXVI + 83 + 196 + 27.

M E D Y C Y N A.

DOMAŃSKI STANISŁAW, DR. PROF. UNIW. JAGIELL.: O gruźlicy. Lwów, 1906. Nakł. Macierzy Polskiej. Skł. głów. w księg. G. Gebethnera i Sp. w Krakowie. 8-o, str. 91.

DROBA STAN., DR. I KUCERA PAWEŁ, DR.: Badania epidemii zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych w Galicyi w r. 1906. Opracowali dr. S. D., docent pryw. bakter. Uniw. Jag. w Krakowie i dr. P. K., doc. pryw. anatomii patol. uniw. we Lwowie. Kraków, 1906. 8-o, str. 125, tablic 5 i mapy 2.

SANATORYUM d-ra Maryana Hawranka w Zakopanem pod kierownictwem d-ra Brzezińskiego. Zakopane, 1906. Nakł. Sanatorium. 8-o, str. 8.

P O W I E Ś C. — P O E Z Y A.

D'ANNUNZIO GABRIELE: Niewinny. Lwów, 1906. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 346.

BIEGAS BOLESŁAW: Owczarek. Lechit. Dwa obrazy dramatyczne, przez ... Warszawa, 1906. Skład głów. w księg. Naukowej. 4-o, str. 104.

BLIZIŃSKI J.: Pan Damazy, komedia konkursowa w 4-ch aktach. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 62.

COURTELIN JERZY: Spokój domowy, komedia w 1 akcie. Przekład Maryi Finklówny. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 26.

CZERBAK ADAM: Sokoły. Poemat dramatyczny w 1 akcie. Nowy-Sącz, 1905. 8-o, str. 105.

GORCZYŃSKI BOLESŁAW: Policzek (Fragment dramatyczny) w jednej odsłonie. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. 16-o, str. 39.

HAJOTA: Śni mi się... Uśmiech. Psinka. Żyje. 30 września. Sen panny Joanny. Nowele. Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 262.

JELEŃSKA E.: Obrączka. Powieść. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 284.

KIERKEGAARD SØREN. Dziennik uwodziciela. Przetłóżył z duńskiego Stanisław Lack. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. 8-o, str. 208.

LANGE ANTONI. Rozmyślania. Kraków, 1906. Nakł. Wacława Wiedigera. 8-o, str. 132 + 2 nl. 4.

LISTY, które go nie doszły. Przekład Jadwigi Miczyńskiej. Wydanie drugie. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 228.

MAETERLINCK MAURYCY: Siostra Beatrix w 3 aktach. Z francuskiego przetłóżył Jan Kasprowiez. Lwów, 1907. Nakł. Tow. Wydawn. 4-o, str. 52.

NOWIŃSKI JÓZEFAT: Ku bytowi. Lwów, 1906. Skł. głów. w księg. H. Altenberga. 8-o, str. 65.

PRAŻMOWSKA TERESA: Na wyraj. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. Nakład i druk St. Niemiry, Plac Warecki 4, Lwów, Księgarnia Narodowa. Tom I str. 320, tom II str. 290.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Ragnarök. Powieść współczesna. Warszawa, 1906. Jan Fiszer. Lwów, Księgarnia Narodowa. 8-o, str. 373.

SIENKIEWICZ HENRYK: Nowele. 2 tomy, wydanie poularne. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, t. I str. 308, t. II 314.

SŁOŃCZEWSKA KAROLINA: Studentki, powieść współczesna. Kraków, 1906. Nakł. A. Koziańskiego. 8-o, str. 200.

ZAPOLSKA GABRYELA: Menażerya ludzka. Lwów, 1907. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. 8-o, str. 253.

— Rajski ptak. Powieść w trzech częściach. Warszawa, 1907. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 448.

ZBIERZCHOWSKI HENRYK: Baśnie (Poezye. Serya II). Lwów, 1906. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, skł. gł. E. Wende i Sp. 8-o, str. 132.

ZDZIECHOWSKI KAZIMIERZ: Przemiany. Powieść, tom I i II. Warszawa, 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 346 i 347.

ŻULAWSKI JERZY: Eros i Psyche. Wydanie trzecie. Z portretem autora. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 267.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BRYL JAN: Archeologia w szkole. Na podstawie praktyki szkolnej. Spisał... Kraków, 1906. Nakład. Dyrek. pryw. wyższ. gimnazjum im. król. Jadwigi w Krakowie. 8-o, str. 34.

GALLE HENRYK: Wypisy polskie na klasę 1-szą. Zebrał i ułożył... z 39-ma obrazkami. Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. 8-o, str. 328.

LAGOWSKI FLORYAN: Wypisy polskie na klasę II-gą szkół średnich. Ułożył... Wydanie drugie. Warszawa, 1906. Nakładem M. Arcta. 8-o, str. 408.

NUSBAUM JÓZEF, DR.: Wiadomości z zoologii do klas niższych szkół średnich. Napisał... prof. uniw. we Lwowie ze współudziałem dr. Tadeusza Wiśniowskiego, prof. gimn. VI we Lwowie. Wydanie drugie, z licznymi rysunkami w tekście i ośmiu tablicami. Lwów, 1906. Nakład. K. S. Jakubowskiego. 8-o, str. IV+204.

OSTERLOFF WALDEMAR: Kurs metodyczny nauki języka niemieckiego dla szkół handlowych i przemysłowych. Uzupełnienie do stopnia IV, V i IV. Warszawa—Łódź, 1906. Nakład. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 318.

POPLIŃSKIEGO gramatyka łacińska. Dla użytku szkół gmin. przerobił i poprawił dr. A. Dygus, prof. gimn. Wydanie dziesiąte. Poznań, 1906. Nakład. Józefa Jolowicza. 8-o, str. 271.

POTOCKI ANTONI: Wychowawcze zadanie ogółu. Szkolnictwo francuskie od 1870 do 1895. Rok dziecięcy. Lwów, 1907. Nakład. Tow. Wydawniczego. 8-o, str. 202.

SPORZYŃSKI KSAWERY: Fizyka do użytku szkół średnich z uwzględnieniem handlowych i technicznych, według Karstena i Kleibera. Opracował... Warszawa, 1906. Nakład M. Arcta. 8-o, str. 433.

SPRAWOZDANIE dwunaste... Wydziału szkolnego zarządzającego uzupełniającymi szkołami przemysłowemi. Lwów, 1906. Nakład, wydz. szkolnego.

— Z działalności towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Krakowie za r. 1905. Kraków, 1906. Nakład. Tow. Szkoły lud. 4-o, str. XXXI+80.

STRZESZYŃSKI ST.: Historia starożytna. Jako repetytorium przedegzaminowe. Streścił... Nakład. autora. 8-o, str. 16.

TENŻE: Dzieje wieków średnich. Repetytorium przedegzaminowe. Zestawił synchronistycznie... Duży arkusz.

TENŻE: Dzieje nowożytne. Repetytorium przedegzaminowe. Zestawił synchronistycznie... Duży arkusz. Nakład. autora.

P U B L I C Y S T Y K A.

B. A. J.: Powszechne głosowanie. Bezpośrednie prawodawstwo ludowe. Kraków, 1905. Nakład. drukarni Narodowej. 8-o, str. 32.

BOUDOIN DE CORTENAY J.: Autonomia Polski. Odczyt wygłoszony w sali Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie 9 lipca 1906 r. Kraków, 1907. Nakład. Krak. Oddziału Uniw. Ludowego. 8-o, str. 39.

HLASKO STANISŁAW: Partye polskie wobec „Dumy“ 1906. Petersburg, 1906. Nakład. „Księgarni Polskiej.“ 8-o, str. 111.

JEZIERSKI J.: Sprawa agrarna w Królestwie Polskiem. Napisał... Warszawa, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 40+XVI.

KAUTSKY KAROL: Kwestya rolna w Rosyi. Przełożył S. Posner. Warszawa, 1906. Nakład. księg. Naukowej. 8-o, str. 45.

KOŃCINIŃSKI KONSTANTY: Prawa narodowe Polaków w państwie pruskiem. Podręcznik dla ludu polskiego. Zebrał... Poznań, 1906. Nakład. autora. 8-o, str. 29.

LEDNICKI ALEKSANDER, poseł do dumy państwowej: Mowy polityczne. Kraków, 1906. Nakład. redukcji „Świata słowiańskiego.“ Spółka Wydawnicza Polska. 8-o, str. 103.

LIMANOWSKI BOLESŁAW: Naród i państwo. Studium socyologiczne. Kraków, 1906. 8-o, str. 99.

POSNER S: Demokratyzacya Finlandyi. Warszawa, 1907. Skład głów. w księg. Naukowej. Biblioteka społeczna.

RZYMSKI TEODOR DR.: W sprawie katolickiej organizacyi społecznej. Kilka uwag na czasie. Kraków, 1906. Odbitka z ankiety „Przeglądu Po-wszechnego.“ 8-o, str. 33.

TOŁSTOJ LEON HR.: Do działaczy politycznych. Przekład Kazimierza Juliana. Kraków, 1906. 8-o, str. 31.

WYSŁOUCH ANTONI MARYA O. KAPUCYN. W sprawie wiecu księży w Warszawie. Kraków, 1906. 16-o, str. 16.



LITWA

w przededniu wielkiej wojny 1812 r.

Po trzecim, zupełnym rozbiорze Polski, martwa cisza zaległa Litwę, zagaśło zdeptane brutalną przemocą wszelkie życie publiczne, a umilkła też waśń partyjna. Z obu potężnych, zwalczających się wzajem stronnictw—nie pozostało śladu. Huragan wypadków zniósł z widowni dziejowej głównych aktorów, tak z jednej, jak z drugiej strony, tak konstytucjonalistów 3 maja, jak i Targowiczan. Kossakowscy, Massalski dali głowę w dniach kwietniowych i majowych Wilna i Warszawy. Z patriotów, co nie padło w walkach kościuszkowskich lub nie uwięziono w twierdzach Petersburskich, albo na dalekiem zesłaniu, wyparte z kraju, tułało się na emigracyi. W kraju pozostały pionki, lub masy bierne, których wypadki minione nie potrafiły wyrwać z uśpienia. Świeciły, co prawda, jeszcze blaskiem próchna w Grodnie resztki świetnego dawniej dworu królewskiego, ale przestaniała je groźna sylwetka prokonsula Repnina, w charakterze generał-gubernatora, sprawującego obecnie rządu nad Litwą. To też pozyskanie jego względów stało się obecnie przedmiotem usilnych a poniżających zabiegów obywateli świeżo wcielonych gubernij. Chodziło przede wszystkim o odzyskanie skonfiskowanych dóbr, wypieranie się swego udziału w powstaniu i usprawiedliwianie się ze swego postępowania. Inni znowu domagali się nagrody, podnosząc swe zasługi podczas Targowicy i Sejmu Grodzieńskiego ¹⁾. Straszny

¹⁾ „Sborn. Ist. Obszcz., XVI, Bumagi Repnina;“ oraz „Sobranije Ukazow i praw. raspor. Jekateryny II, po Siewiero-Zapadn. kraje.“

przewrót, jaki zaszedł w stosunkach politycznych, nie wstrząsnął głębiej społeczeństwem, nie wyrwał szerokich mas szlacheckich ze stanu indyferentyzmu i partykularyzmu zaściankowego, w jakim były pogrążone. Chciano przedewszystkiem najrychlejszego zakończenia owej sytuacji przejściowej, w jakiej znajdowały się te prowincye. Zresztą przystosowano się do nowych warunków dość prędko. Podawnemu szlachta zajęta była drobnemi swemi sprawami, pieniactwem, które się teraz z zanikiem życia publicznego jeszcze wzmogło, pozatem znalazła dla siebie obfite źródło sporów i dochodów w t. zw. eksdywizjach fortun znaczniejszych, jakie podówczas zdarzały się często; skupowano też za bezcen majątki donataryuszów rosyjskich, z jakich niektórzy tacy donataryusze chętnie się wyzbywali. Nie było, co prawda, tutaj, na Litwie właściwej, tego utracyuszowstwa i bezmyślnej bałagulszczyzny, jakie podówczas miały miejsce w prowincyach południowych, a których opisy przekazane zostały w relacyach pamiętnikarzy owoczesnych. Wpływała na to, zdaje się, jednak i ta między innymi okoliczność, że Litwa była krajem biednym, obecnie spustoszoną przez wojnę i pobyt znacznych sił rosyjskich, oraz że nie było tutaj podówczas magnackich rezydencyj, które na południu przeważnie nadawały tak „szeroki“ ton życiu obywatelstwa. Wielkie dwory opustoszały, dziedzice przymusowo czy dobrowolnie znajdowali się poza krajem.

Z dawnych urzędzeń polskich najmniejszym zmianom uległo sądownictwo: zachowano Statut Litowski; w pewnej mierze obieralność sądów; utrzymano dawniejsze konstytucye sejmowe, z wyjątkiem Uchwał obu ostatnich sejmów, jako rewolucyjnych; utrzymano dawne podatki polskie w guberniach litewskich, podwyższając je nieco. To było niemal wszystko, co pozostało z dawnych instytucyj b. Rzplitej. Reszta uległa asymilacji, prowadzonej dość konsekwentnie przez Repnina, a poniekąd—rzecz godna uwagi—wbrew opinii najwybitniejszego podówczas męża stanu rosyjskiego, hr. Bezborodki, który występował, jako stanowczy przeciwnik podobnej polityki ¹⁾. Katarzyna II poszła jednak za zdaniem Repnina i udzieliła mu najszerszych pełnomocnictw w obrębie general-gubernatorstwa Litewskiego, obejmującego teraźniejsze gub.: Wileńską, Kowieńską, Grodzieńską i jeden powiat Mińskiej. Jednakowoż rozpoczęte tutaj dzieło konsekwentnej niwelacji z Cesarstwem zostało, jeżeli nie powstrzymane, to przynajmniej

¹⁾ Bezborodko do Repnina 25 list. 1794. „Sbor. Istor. Obszez.“ XVI, 60.

w pewnej mierze zwolnione skutkiem śmierci Katarzyny. „Z wstąpieniem Pawła na tron — pisze ks. Adam Czartoryski — powiał duch nowy w zarządzie administracyjnym. W prowincjach generał-gubernatorowie, gubernatorowie cywilni i inni urzędnicy stali się uważniejszymi w pełnieniu swych obowiązków, zmienili sposób obejścia się z podwładnymi i strzegli się nadużyć.“ Zmiana ta dawała się odczuwać i w prowincjach polskich. Przywrócono na Białej Rusi zniesiony tam przez Katarzynę Statut Litewski. Pozwolono szlachcie co 3 lata odbywać sejmiki dla obioru marszałków i urzędników sądowych. Repnina, który popadł w niełaskę u cesarza Pawła, zastąpił Bułhakow. Wreszcie, i co najważniejsze, pierwszą czynnością Pawła było, jak wiadomo, uwolnienie więźniów polskich, trzymanych w twierdzach petersburskich, wśród których znajdowali się: Kościuszko, Niemcewicz, Ignacy Potocki, Mostowski, Kiliński, Wawrzecki i inni. Amnestya, wydana 29 lutego 1796 r. i zezwalająca zesłanym wrócić do kraju, nie dotyczyła jednak emigrantów, których los pozostał bez zmiany. Przyznano niektóre ulgi pod względem finansowym oraz względem wybierania rekruta w prowincjach litewskich. Wszystko to były przecie ulgi ułankowe, a nadzwyczaj niepewne, wobec zniemnego, gwałtownego charakteru cesarza Pawła. Dopiero po wstąpieniu na tron Aleksandra I, los Polaków uległ głębszej zmianie. Powszechna amnestya umożliwiła powrót do kraju emigrantom, wśród których byli: Prozor, Ogiński, Giedroyć i inni. Wielu emigrantom zwrócono dobra. Najważniejszą atoli zdobyczą było powierzenie ks. Adamowi Czartoryskiemu kuratoryi Wileńskiej, a tem samem oparcie wychowania publicznego na zasadach czysto narodowych na całej tej przestrzeni kraju. Pomyślnie skutki tego zwrotu niebawem dały się odczuwać. Z powrotem emigrantów ożywiło się życie publiczne na Litwie, wzrosło zainteresowanie sprawami społecznymi, sejmiki ożywiły się znacznie, przy wyborach, w szczególności na marszałków gubernialnych, prowadzono gorąco walki wyborcze. Życie umysłowe zaczęło się budzić z letargu, potężny impuls w tym kierunku dawała przekształcona obecnie na Uniwersytet dawna Szkoła Główna Wileńska, a następnie drugie wielkie ognisko światła, założone w Krzemieńcu przez Czackiego.

Śród takich polepszonych warunków, nadeszły wielkie komplikacje polityki zagranicznej pod postacią walki Aleksandra z Napoleonem, związanej bezpośrednio ze sprawą polską. Z inicjatywy Czartoryskiego powstała myśl uprzedzenia Napoleona przez Rosyę w podniesieniu tej sprawy. W ten sposób powstał głośny plan puławski 1805 r., zmierzający do odbudowania Polski

pod berłem Aleksandra. Po rozchwianiu się tego planu, został on nanowo podjęty już na gruncie czysto litewskim w następnym 1806 r. W tym celu, przez listy okólne ks. Czartoryskiego, miano do Wilna zaprosić wszystkich 8-iu marszałków gubernialnych, oraz najwybitniejszych obywateli litewskich i oczekiwać przybycia jadącego do armii cesarza Aleksandra ¹⁾. Ks. Czartoryski otoczony szlachtą miał spotkać Cesarza i złożyć adres dziękczynny, podpisany tutaj przez zgromadzonych reprezentantów gubernij; na podstawie zaś tego adresu Litwinów, miało niezwłocznie nastąpić ze strony cesarza ogłoszenie się królem polskim w Wilnie. Projekt ten, nieuskuteczniiony i w 1806 r., został znów poruszony wiosną 1807 r., kiedy z polecenia Aleksandra, Czartoryski wezwał do głównej kwatery cesarskiej w Taurogach Wawrzeckiego i generała Kniaziewicza ²⁾. Tutaj proponował Aleksander Kniaziewiczowi objęcie dowództwa nad armią polską, którą zamierza utworzyć celem odbudowania Królestwa Polskiego. Stanowcza odmowa Kniaziewicza, motywowana niemożnością walczenia przeciw braciom w szeregach Napoleona, wpłynęła na ostateczne odrzucenie tego projektu. Wobec doznanych tylokrotnych zawodów ze strony Aleksandra, przedstawiciele Litwy zwrócili się jeszcze w ciągu tegoż 1807 r. do Napoleona. Mianowicie, latem t. r., podczas rokowań tylżyckich, w usprawiedliwionej obawie zupełnego pominięcia Litwy, stawiała się w Tylży przed Napoleonem tajemna deputacya litewska, którą składali Sierakowski i Plater, z propozycją wywołania powstania na Litwie, w razie poparcia go przez Napoleona. Brutalnie odprawiona przez szefa sztabu Berthiera, porozumiewała się następnie z sekretarzem stanu Marettem, ale również bezskutecznie ³⁾. Pokój Tylżycki położył kres wszelkim nadziejom Litwy; mnóstwo rodzin, których synowie po-

¹⁾ Papiery St. Niemcewicza, arch. Czartoryskich, № 5231.

²⁾ List ks. Czartoryskiego do gen. Kniaziewicza: „Z rozkazu J. C. Mości powinien jestem zgłosić się do J. W. Pana i zaprosić go, abyś natychmiast po odebraniu niniejszego mojego listu, nie omieszkał do Taurogów zjechać, w najkrótszym, ile być może, czasie. Że z tej podróży dla J. W. Pana żadnej nie wypadnie nieprzyjemności, w tym go zupełnie upewniam. Dodam jeszcze, że dobro naszych współziomków jest przyczyną zawołania J. W. Pana. Mam zlecenie zarekomendować J. W. Panu, aby list mój i powód wyjazdu J. W. P. został dla wszystkich w okolicy tajemnicą. W nadziei zobaczenia się z JWP. mam honor z prawdziwym i powinnym zostawać poważaniem.“ Arch. Czartoryskich, № 5458.

³⁾ Por. „Russ. Star. CIX, 244.“

śpieszyli do szeregów Napoleońskich, zostało skompromitowanych; ciężkie przygnębienie i apatya ogarnęły społeczeństwo litewskie. Wypadło wyrzec się obiecujących planów odnowicielskich, jakie doniedawna jeszcze snuto. Zresztą, niezawisłe od strony politycznej, samo wewnętrzne położenie społeczno-gospodarcze na Litwie uległo w tym czasie znacznemu pogorszeniu.

W ciągu ostatnich lat wojennych, 1805—1807 r., Litwa była wystawiona na nieustanne przemarsze wojsk rosyjskich oraz stała się miejscem pobytu tutaj wielkich armij, skoncentrowanych na zachodniej granicy. Przemarsze te, połączone z nadużyciami i gwałtami komend wojskowych, zabieraniem ludzi i koni z uprzężą do transportów, znacznymi rekwizycjami furażu i żywności, za które niemożna było doczekać się wynagrodzenia, wszystko to w wysokim stopniu podkopywało dobrobyt mieszkańców. Trzyletni nieurodzaj, spowodowany w znacznym stopniu złą uprawą roli skutkiem braku rąk do pracy, spowodził głód i choroby epidemiczne, które zmniejszyły o $\frac{1}{5}$ ogół niezbyt licznej ludności litewskiej. Rolnictwo znalazło się po r. 1807, skutkiem włączenia Rosyi do t. zw. blokady kontynentalnej, w opłakanych warunkach, a stanowiło ono jedyne bogactwo Litwy ¹⁾. Wpłynęły na to zarówno kilkoletni nieurodzaj, jak niemożność zbytu po pokoju Tylżyckim produktów rolniczych do Anglii, co niebawem spowodowało na Litwie dotkliwy brak gotówki. Ta ostatnia okoliczność pogarszaną była nadto przez krytyczny stan, w jakim znajdowały się podówczas finanse rosyjskie, oraz przez środki specjalne, przedsięwzięte w guberniach zachodnich ze strony rządu, systematycznie ogalające Litwę z pieniędzy metalicznych. Podatki w tych guberniach pobierano wyłącznie w srebrze, t. j. w blisko pięciokrotnym stosunku, gdyż według ówczesnego kursu za 100 rubli asygnacyjnych liczono 22 ruble srebrem. Wynikało z tego, że Litwa, w porównaniu z innymi guberniami, płaciła w podatkach prawie 5 razy więcej ²⁾. Wojny, prowadzone w ciągu tych i następnych jeszcze lat niemal bez przerwy, już po pacyfikacji tylżyckiej, na rozmaitych kresach Cesarstwa, czy to od strony szwedzkiej, tureckiej, czy perskiej, wymagały znacznych zasobów gotowizny.

¹⁾ Memoriał Józefa Mostowskiego dla ks. Adama Czartoryskiego, 10 stycznia 1808, Arch. Czartor., № 5503.

²⁾ „Wiadomość o stanie finansów w Departamentach Litewskich, sporządzona przez komitet skarbowy w r. 1812.“ Archiwum Prozora, Bibl. Jagiellońska, ms. № 5802.

Skutkiem tego od r. 1807 poczęto wywozić znaczne sumy w srebrze i złocie z Izb Skarbowych Grodzieńskiej i Wileńskiej do armii znajdującej się w Prusach; następnie znów w r. 1808, podczas wojny tureckiej, wszystkie wpływy, pobrane przez rząd w guberniach polskich w złocie i srebrze, wysyłano niezwłocznie do Jass i Mołdawii. Dla zaradzenia niedostatkowi gotowizny w kasach państwowych, Izby Skarbowe otrzymały tajne zlecenia, ażeby asygnaty, ile tylko można, wymieniać na złotą monetę. Niezawisłe od tej dyspozycyi ogólnej, wice-gubernator grodzieński Andrejewskij otrzymał w 1809 — 1810 r. od ministra finansów specjalne zlecenie forsownej wymiany asygnat na złotą i srebrną monetę po wszystkich miastach i miasteczkach swojej gubernii, Izdom zaś Skarbowym dano rozkaz, aby na każde żądanie Andrejewskiego dostarczały mu asygnat. Operacya ta uwieńczoną została pomyślnym skutkiem: na kontraktach Mińskich i Kijowskich ogromne sumy w gotowiznie zostały wykupione, a za skuteczną posługę w tym względzie otrzymał Andrejewskij dwa starostwa na 12 lat bez opłaty kwarty, znajdujące się w gub. Wileńskiej. Wyciągając w ten sposób z gubernij polskich wiele milionów gotowizny, rząd nie prawie w tych guberniach nie wydatkował w brzęczącej monecie, gdyż wbrew wyraźnym Ukazom Katarzyny II i Pawła I, zapewniającym przynajmniej wypłatę pensyj dożywotnich w złocie lub srebrze, od r. 1809 wypłacano i te, podobnie jak wszystkie inne pensye, w asygnatach podług miejscowego kursu. A w r. 1812, wbrew wyraźnemu brzmieniu Ustawy Uniwersyteckiej, zmuszono Uniwersytet Wileński do przyjęcia czteromiesięcznej należności częścią w asygnatach, mimo energicznego protestu ze strony kuratora, ks. Czartoryskiego. Brak gotowizny powodował fizyczną niemożność uiszczenia się obywateli litewskich z ciężarów publicznych, które kazano im opłacać w srebrze. Administracya miejscowa kładła to na karb buntowniczego usposobienia Polaków, ukrywających rzekomo swe kapitały w oczekiwaniu rychłego wkroczenia Francuzów. Przedsięwzięto też surowe środki do wyegzekwowania zaległości podatkowych i z tego tytułu w drodze sekwestru pobrano nawet wiele majątków w skarbową opiekę.

Pod względem prawno-administracyjnym panował podówczas w prowincjach zachodnich kompletny chaos. Nominalnie pozostawiono te prowincye przy dawnych prawach polskich, Statucie Litewskim, w rzeczywistości jednak wprowadzono równolegle wiele norm ogólnych prawa rosyjskiego, oraz mnóstwo Ukazów specjalnych, wydanych dla dzielnicy rozbiorowej kolejno przez Ka-

tarzynę, Pawła i Aleksandra, częstokroć sprzecznych i niejasnych, co w związku z całym szeregiem nowych urzędów i ustaw lokalnych treści administracyjnej, wytwarzało istny labirynt, gdzie błąkała się ludność, a natomiast najwygodniej rozlokowała się nowa rosyjska biurokracja miejscowa, znajdując dla siebie obfite źródło nielegalnych zysków ¹⁾. Plątaninę w sądownictwie znakomicie powiększała okoliczność, że pozostało mnóstwo nierozstrzygniętych procesów jeszcze z czasów rządu polskiego, ogromnie zawiąłanych, toczących się od wielu lat, a których końca nie było widać ²⁾. Zagmatwane te sprawy stały się prawdziwym ciężarem dla sądownictwa; starano się wszelkimi sposobami odwlec je z jednej kadencji do następnej. Stwierdzić należy, że i sądownictwo ówczesne nie stało na wysokości zadania; wpływała na to obieralność urzędów sądowych, dzięki czemu zajmowały je nieraz jednostki bez najmniejszej kwalifikacji, jakiej oczywiście w ciągu trzechletniego urzędowania niepodobna było nabyć w dostatecznej mierze. Z drugiej strony, Uniwersytet Wileński nie zdążył jeszcze wychować grona uzdolnionych i wykwalifikowanych sędziów-prawników. Brak wyższego trybunału apelacyjnego w prowincjach Zachodnich dotkliwie dał się odczuwać obywatelom litewskim. Sprawy powyżej szacunku 500 rubli asygnacyjnych, więc stosunkowo wcale jeszcze drobne, szły na ostateczne rozstrzygnięcie do Senatu w Petersburgu, co pociągało za sobą znaczne koszty i stratę czasu. W Petersburgu zaś, jak rychło przekonano się z codziennej praktyki, sprawy częstokroć rozstrzygała nie słuszność akcji, lecz umiejętność pozyskania sobie, za pomocą brzęczącego argumentu, decydujących w tym względzie osobistości w kancelaryach senatorskich. Ta okoliczność spowodowała powstanie w Petersburgu licznej klasy specjalnych plenipotentów, trudniących się popieraniem spraw z gubernij polskich. Nie wymagano od tych „chodatajów“ ani kwalifikacyj prawniczych, ani sumienności szczególnej, wystarczał pewnego rodzaju spryt towarzyski i stosunki kancelaryjne. Przy takich warunkach, wobec tej nieznannej dotychczas, a kosztownej i długiej procedury — (każdą sprawę odtań można było przeciągać conajmniej przez pięć lat) — przy zamiłowaniu szlachty litewskiej do pieniactwa, spory sądowe prowadziły coraz częściej do zupełnej ruiny dość znacznych fortun. Wprawdzie, wkrótce po przyłączeniu pro-

¹⁾ Askenazy. Wczasy historyczne, II, 274.

²⁾ Memoriał J. Mostowskiego z r. 1808.

wincyj litewskich, przyrzekano ze strony rządu utworzenie dla nich w Wilnie wyższego Trybunału apelacyjnego. Sprawa ta jednak poszła w odwłokę i nie miała być nigdy urzeczywistnioną, mimo natarczywych domagań się i przełożeń w memoryałach, podawanych niejednokrotnie w tym przedmiocie przez mieszkańców Litwy do władz miejscowych, a nawet do samego monarchy. Do pogorszenia stosunków sądowniczych na Litwie przyczyniło się też niepomalu ustanowienie niektórych nowych urzędów czysto rosyjskich, a całkowicie zbytecznych, z kompetencją zgoła nieokreśloną, jak np. prokuratorów w guberniach, a strażnych w powiatach. Urzędnicy ci, powszechnie znienawidzeni, stali się prawdziwą plagą całego kraju. Pod pozorem obrony interesów państwa, wtrącali się do każdej sprawy, aby ją zawikłać jeszcze bardziej i wyciągnąć stąd dla siebie zyski osobiste. Specyalnością tych dygnitarzy lokalno-sądowych, uprawianą przez nich *con amore*, były denuncyacje wszelkiego rodzaju, skierowane zarówno przeciw osobom prywatnym, jak nawet i urzędnikom, nie wyłączając gubernatorów. Wogóle wypada stwierdzić, że cała ówczesna administracya rosyjska na Litwie nie odpowiadała bynajmniej swemu zadaniu. Policya, nieliczna i sprzedajna, nie była w stanie nawet jako tako zapewnić bezpieczeństwa publicznego; w znacznej części gubernij litewskich zaczęły mnożyć się liczne bardzo wypadki rozbojów i kradzieży w stosunku zastraszającym, nieznanym za poprzednich rządów polskich. Nieustanne przemarsze wojsk, wojny prowadzone na pograniczu, napełniły Litwę mnóstwem zbiegłych żołnierzy i innych włóczęgów; głód powszechny i niedostatek, panujący od lat kilku, zwiększył jeszcze ich liczbę i zuchwałość, to też wypadki napadów zbrojnych na dwory stały się dość powszedniem zjawiskiem, a dotychczas zupełnie nieznanym na Litwie. Policya była wobec tych ekscesów do tego stopnia bezczynna, że obywatelstwu nie pozostało nic innego, jak pomyśleć o zabezpieczeniu życia na własną rękę. Tak Tomasz Wawrzecki zorganizował w powiecie Brachawskim rodzaj obywatelskiej milicyi zbrojnej, która uchroniła ten powiat od wybryków, jakie gdzieindziej miały miejsce. Zresztą, pod innymi jeszcze względami ówczesna administracya rosyjska na Litwie przedstawiała się nader niekorzystnie. Nawet Karamzin, którego w żaden sposób o stronniczość niemożna było podejrzewać, pisał podówczas, że jeżeli można jednym słowem określić, co się dzieje w Rosyi, słowem tym będzie: „kradną;“ i w rzeczy samej kradzież i łapownictwo było zorganizowane na najszerszych zasadach na ca-

łym obszarze Rosyi owoczesnej ¹⁾. Cóż dopiero mówić o Litwie, gdzie skład urzędników był daleko gorszy, niż w guberniach wewnętrznych, a gdzie dla ludności miejscowej trudniejsza i dalsza była droga skargowa. Jedyne postrach na urzędników nieuczciwych i gnębielskich stanowiły podówczas t. zw. rewizye senatorskie z Petersburga; a tego środka niepodobna było doczekać się w guberniach polskich, z wyjątkiem dwukrotnych rewizyj senatorskich w gubernii Wołyńskiej, które położyły tam przynajmniej kres rządowi osławionego Komburleja. Litwa właściwa natomiast nie mogła otrzymać podobnego zadośćuczynienia względem swoich niemiłosiernych satrapów. Jedyne Czartoryski czynił częstokroć odpowiednie przełożenia Aleksandrowi I, lecz w okresie 1807 — 1812 wpływ ks. Adama znacznie osłabł, a i dłuższa nieobecność jego w kraju wpłynęła na to, że dochodziły go tylko dalekie echa gwałtów i nadużyć popełnianych na miejscu. W ten sposób działalność takich Brusilowych, Bennigsenów, Ertelów — uchodziła prawie zawsze bezkarnie. Do wyjątków niezmiernie rzadkich zaliczyć wypada Rinskaho-Korsakowa, który podczas dwukrotnej bytności w Wilnie w charakterze wojennego gubernatora, potrafił zyskać sobie zaufanie mieszkańców i zasłużyć na ich wdzięczność.

W guberniach rusko-litewskich pozostawiono Polakom sejmiki szlacheckie dla obioru marszałków i sędziów. Sejmiki te, gubernialne i powiatowe, odbywały się co trzy lata. Wszyscy urzędnicy, wybrani na sejmiku, musieli być zatwierdzeni przez gubernatora w powiatach, a gubernialni przez ministerjum. Urzędy te, w szczególności marszałków gubernialnych, posiadały podówczas niemałe znaczenie, to też bywały przedmiotem burzliwych walk wyborczych. Zająścia, jakie miały miejsce na wyborach w gub. Podolskiej i Wileńskiej w r. 1809, pociągnęły za sobą wydanie dodatkowych przepisów względem wyborów w guberniach polskich ²⁾. Odtąd w zgromadzeniach szlacheckich mogła brać udział tylko szlachta, władająca pewnym określonym majątkiem, posiadająca pewną ilość dusz poddanych, lub mająca stopień naukowy, albo stopień oberoficerski w służbie wojskowej, albo rangę kolegijskiego registratora w służbie cywilnej. Obranymi na urzędy gubernialne lub marszałkowskie mogły być tylko osoby posiadające po nad 20 dusz; mniej zamożni mogli zajmować tylko urzędy powiatowe.

¹⁾ Por. szczegóły u Dubrowina, R. Star. XCVIII, str. 58.

²⁾ Pełny Zbiór praw i rozp. rządow. XXX, № 23513.

Szlachta, chcąc obejść to ograniczenie, zapisywała odtąd synów swoich, jako praktykantów kancelaryjnych w rozmaitych juryzdykcyach, kiedy w rzeczywistości obowiązki ich pełnili zwykli kanceliści; trwało to póty, póki nie doczekano się upragnionego tytułu „koleżskiego registratora,“ otwierającego im wstęp na zgromadzenia szlacheckie i do tak upragnionych urzędów. Wołała więcjsza część szlachty tę drogę, aniżeli wysiłkiem umysłowym zdobywać stopnie naukowe na Uniwersytecie Wileńskim. Co się tyczy samego regulaminu sejmików, to nominalnie miały się one odbywać podług dawnych praw polskich. W rzeczywistości atoli było zupełnie inaczej. W prawodawstwie polskim, jak wiadomo, nie było, aż do Sejmu Czteroletniego, żadnego formalnego regulaminu sejmikowego. Tymczasem Rosya pozostawiła Polakom niektóre dawne prawa, z wyłączeniem właśnie uchwał dwóch ostatnich sejmów, a na gubernie polskie nie rozciągnięto punktu 64 Dyplomatu cesarzowej Katarzyny o przywilejach szlachty; wobec tego gubernie te były pozbawione jakiegokolwiek organizacji zgromadzeń szlacheckich, nie przyjęto w całości formy rosyjskiej, ani wyjednano dla siebie osobnej. Zwykle sejmiki odbywały się w tym porządku, że przed każdym z nich marszałkowie gubernialni układali dla swojej gubernii specjalne prawidła, powołując się na różne pojedyncze Ukazy i nawet na niektóre punkta dyplomatu szlacheckiego, i wyjednywali następnie od gubernatorów zatwierdzenie tych prawideł. Nazywało się to sejmikowaniem „podług praw polskich,“ co oczywiście wśród podobnych warunków niebardzo odpowiadało rzeczywistości ¹⁾. W późniejszych latach, mianowicie w r. 1810, zarządzeniem zostało, aby dla większego porządku tych zebrań, obierać powiatowych urzędników w powiatach; zaś na sejmiki gubernialne dokonywać specjalnych wyborów przez 10 delegowanych z każdego powiatu, zamiast, jak dotychczas, przez całą szlachtę, mającą prawo głosu ²⁾.

Najdotkliwiej jednak dawały się odczuwać mieszkańcom gubernij zachodnich i najwięcej wywoływały z ich strony utyskiwań nadużycia w stosowaniu powinności rekruckiej, połączonej ze znacznymi kosztami transportu rekrutów do miast gubernialnych, oraz z niesłychanemi zdzierstwami ze strony urzędników komisyj wojskowych. Nieprzyjętych rekrutów należało zastępować przez

¹⁾ Kontrym. O urzędach i rangach w gub. pol. Arch. Czartor., 5457.

²⁾ Reskrypt cesarza Aleksandra do Sulistrowskiego 6 paździer. 1810 r.; do ks. Lubeckiego 24 grud. 1811 r.; por. Kur. Lit., 1812 r. № 13.

innych, co wymagało nowych znacznych kosztów; to też, chcąc uniknąć tego, obywatele byli zmuszeni okupywać się członkom komisji. Panowała w tym względzie stale już określona taksa: tak więc inspektorowi lekarskiemu płacono od głowy rekruckiej po 3 ruble, dalej trzeba było opłacić się urzędnikowi wojskowemu, delegowanemu do poboru, oraz cywilnemu, wyznaczonemu do tej czynności od władzy gubernialnej, podoficerowi inwalidów, który dokonywał pomiaru rekruta, wreszcie faktorom, ułatwiającym łapówki¹⁾. Prócz tego, obywatel, czy gmina, dostarczająca rekrutów, winna była złożyć pewną kwotę na ubranie i utrzymanie rekrutów. Wypada jednak zarazem stwierdzić z drugiej strony, że obywatelstwo starało się o oddawanie do wojska ludzi najgorszej konduity, których chciano pozbyć się ze wsi. Że to istotnie miało miejsce na Litwie, a nawet, niestety, bardzo często, mamy na to pozytywne świadectwa w aktach Rządu Tymczasowego Litewskiego z r. 1812, które zgodnie stwierdzają, że obywatele, za przykładem lat minionych, usiłowali do pułków podówczas formowanych, dostawiać, jako rekrutów, bądź słabych i kalek, bądź dezertersów z wojska rosyjskiego i włóczęgów wszelkiego rodzaju²⁾. Aby położyć kres podobnym nadużyciom, zaleconem zostało, stosownie do przełożeń w tym względzie szlachty litewskiej, od roku 1811 przyjmować rekrutów jedynie w miastach gubernialnych w komisjach *ad hoc* ustanowionych. Narażało to, co prawda, na koszt transportowania do oddalonej częstokroć „gubernii“, chrońnię jednak mieszkańców od zdzierstw, jakie miały miejsce w komisjach powiatowych. To też „Kuryer Litewski“ w tymże 1811 r. stwierdzał, że oddawna pobór rekrutów nie odbył się w takim porządku, tak prędko i z „ukontentowaniem“ powszechnem³⁾. Ilość rekrutów, dostarczanych podówczas, wahała się pomiędzy 3 do 5 z każdych 500 dusz (męskich), zdarzało się jednak, że pobór był dokonywany parę razy do roku, a w r. 1812 w niektórych guberniach odbył się trzykrotnie. W r. 1813 podczas poboru w sierpniu brano z każdych 500 dusz 9 rekrutów; są to cyfry wprost straszne, zważywszy rzadkość zaludnienia na Litwie, zwłaszcza po stratach spowodowanych przez rok wojny 1812; pobór zaś od-

1) Bućkiewicz. „Kwestya Włościańska na Litwie w XIX stuleciu“, ms. Akad. Umiejętności w Krakowie, № 1203.

2) Archiwum w Szczorsach Hr. Chreptowicza-Butenjewu, Papiery Rządu Tymczasowego: Siła zbrojna, t. V, ms. 126.

3) „Kuryer Litewski“ 1811, 93.

bywał się na podstawie rewizyi dusz z 1811 r., licząc przeto dziwiącego rekruta, należałoby faktycznie znacznie powiększyć.

Co się tyczy samego społeczeństwa litewskiego, to po pokoju Tylżyckim zapanowała w niem znowu apatya, połączona z pewnego rodzaju niechęcią względem Księstwa Warszawskiego. Było to zarówno rezultatem zawodu, jakiego doznali wszyscy mieszkańcy dzielnicy rosyjskiej po zawarciu pokoju, jak niektórych instytucyj i urzędów Księstwa, jako to: konskrypcyi, wprowadzenia kodeksu Napoleona, a w szczególności uwolnienia włościan. Szeroko też rozpowszechniano na Litwie tendencyjne wieści o niedostatku powszechnym, panującym w Księstwie i niepomiernych ciężarach publicznych, jakie ponosili tunecczni mieszkańcy. W każdym razie entuzjazm dla Napoleona, jaki żywiono na Litwie przed r. 1807, znacznie obecnie osłabł. Nie bez wpływu na to pozostała akcyja, jaką w r. 1806 byli podejmowali ks. Adam Czartoryski z Niemcewiczem, Chomińskim i innymi. Akcyja ta, opierająca wszystkie widoki na Aleksandrze i nacechowana skrajną antynapoleońską tendencyją, jakkolwiek nie ogarnęła szerszych kół ziemiaństwa, w każdym razie, zważywszy poważną i wpływową inicjatywę, skąd wyszła, musiała oddziaływać w pewnej mierze na podkopanie tych wielkich nadziei, jakie pokładano w Napoleonie, w szczególności po zawodzie wywołanym przez dzieło Tylżyckie. Wkrótce jednak wypadki miały pchnąć opinię w innym kierunku.

Wojna r. 1809 i świetne w niej tryumfy oręża polskiego wywołały wielkie poruszenie umysłów we wszystkich dzielnicach dawnej Polski. Ferment ten objawił się najsilniej w prowincjach południowych, graniczących z wschodnio-galicyskim teatrem wojny. Młodzież na ochotnika przechodziła granicę i tłumnie wstępowała do szeregów armii Księstwa. To spowodowało nowy szereg udręczeń i represyj wszelkiego rodzaju ze strony rządu rosyjskiego. Kłamliwe raporty gubernatorów o przygotowującym się jakoby wybuchu powstania w zaborze rosyjskim, wywołały kilka Ukazów, grożących sekwestrem i konfiskatą dóbr osobom, wydalającym się bez pozwolenia władz za granicę. Ukazy do Senatu z dnia 24 sierpnia, 5 października i 17 grudnia 1809 r. ¹⁾ zapowiadały konfiskatę majątków osób, które przeszły za kordon, a ich samych, w razie pojmania, miano karać niezwłocznie z całą surowością prawa. Dopiero w Ukazie z dn. 17 grudnia wyzna-

¹⁾ Zbiór komp. pr. i rozp. rządow., t. XXX, № № 23806, 23893 i 24035.

czono 6-io miesięczny termin powrotu osobom, które znajdowały się zagranicą przed wydaniem tego Ukazu. Rozporządzenia te rządowe dały powód do licznych prześladowań, częstokroć zgoła niesłusznych. Miejscowa biurokracja, w której prym trzymał Komburlej, znalazła dla siebie obfite żniwo do wszelakich znęcań się i gwałtów, będących w znacznej sprzeczności zarówno z przywilejem szlachty rosyjskiej służenia w obcym państwie, jako też z prawami przysługującymi Polakom na pograniczu, jako *sujets mixtes*, a uroczyście gwarantowanym im nieco wcześniej przez Aleksandra. Na tę okoliczność nie omieszkał też zwrócić uwagi cesarza ks. Czartoryski, komunikując Aleksandrowi liczne skargi, otrzymywane od rodaków. W rozmowach poufnych, odbytych z Czartoryskim w Petersburgu w 1809 i 1810 r.,¹⁾ cesarz próbował usprawiedliwić swoje postępowanie względem Polaków, lecz w końcu naciskany przez ks. Adama uznał, że polityka jego względem Polaków była błędna i przyrzekł cofnąć w najbliższej przyszłości te zarządzenia. Powiększenie w r. 1809 prawie w dwójnasób Księstwa Warszawskiego musiało nasuwać Aleksandrowi poważne obawy co do jego polskich prowincyj w razie wojny z Francją; przykład zaś zachowania się Galicji w r. 1809 musiał dawać wiele do myślenia. Ta okoliczność nie tylko wpłynęła na oświadczoną Czartoryskiemu przez Aleksandra gotowość udzielania pewnych ulg w zakresie zarządzonych środków represyjnych, lecz budziła w cesarzu myśl nawrotu do dawniej uznanych planów pozyskania sobie Polaków przez obietnice regeneracyjne. W rozmowach z Czartoryskim cesarz zwierzył się nieco z tych planów, mianowicie oświadczył, że widząc narazie niemożliwość skupienia wszystkich ziem polskich pod swoim berłem, chciałby przynajmniej nadać odrębną organizację ziemiom polskim w jego państwie, i zapytywał, czy mógłby liczyć wówczas na poparcie Polaków, domagał się zarazem wskazania najskuteczniejszych środków po temu. Zaskoczony niespodzianie tem pytaniem, Czartoryski zaznaczył, że jedynym środkiem pozyskania ufności Polaków jest odbudowanie ich Ojczyzny i złączenie w jedną całość jej rozdartych części. Wszystkie inne środki będą tylko paliatywami, które, nie uleczając choroby radykalnie, mogą tylko przynieść pewną folgę i umożliwić czasowi okazanie swego zbawienego wpływu. Dlatego radzi unikać wszystkiego, co może dra-

¹⁾ Rozmowy miało z Cesarzem 12 listopada 1809 r., 26 grudnia 1809 r., 5 kwietnia 1810, Mazade, II, 207 — 234.

źnić niepotrzebnie Polaków, a zatem należy uszanować raz przyznane ich prawa i mienie i nie cofać okazanych wcześniej dobrodziejstw. Tu wyliczał ks. Adam szereg środków, które, zdaniem jego, mogłyby służyć temu celowi, jako to: zaniechanie sekwestrów i konfiskat, powszechna amnestya, nietykalność funduszów edukacyjnych i oddanie zarządu nad nimi specjalnej magistraturze, znajdującej się pod kontrolą ministerjum oświaty. Dalej uznawał za konieczne zrównanie gubernij polskich z centralnymi w pobieraniu podatków, oraz ustanowienie dla nich Wyższego Trybunału Apelacyjnego, któryby rozpatrywał w ostatniej instancji wszelkie sprawy na podstawie praw miejscowych i w języku polskim. Ten ostatni środek, dodawał Czartoryski, można byłoby uważać za wypływający z chęci monarchy ustanowienia w tych guberniach specjalnego Departamentu Senatu. Środki te byłyby próbne i przygotowawcze do tych przekształceń, jakie cesarz zamierza przeprowadzić później. Uchylił się zarazem Czartoryski od odpowiedzi, na postawione przez Aleksandra pytanie, co do projektowanej odrębnej organizacyi Litwy przez utworzenie W. Ks. Litewskiego, uważając siebie za niekompetentnego do decydowania o tak skomplikowanej materii, stwierdzał jednak, że wykonanie tych projektów spotkałoby się z wielu trudnościami, tembardziej, że zamiary cesarza nie są pod tym względem zupełnie jasne i stanowcze. Zapytywał także, czy zechce cesarz postawić na czele administracyi litewskiej urzędników Polaków, utworzyć odrębne wojsko polskie, oraz poruczyć kierownictwo sprawami litewskimi, jak to ma miejsce obecnie dla Finlandyi, oddzielnej Kancelaryi stanu w Petersburgu, w ten sposób, aby gubernie litewskie nie podlegały bezpośrednio Senatowi i ministrom Cesarstwa. Dalej zapytywał, czy cesarz ma na widoku w dalszej przyszłości, połączywszy wszystkie części Polski z Księstwem Warszawskim, utworzyć z nich jedno Królestwo Polskie i ogłosić się królem polskim, oraz nadać temu Królestwu konstytucyę, zabezpieczającą samoistny rząd, prawa i przywileje narodu polskiego. Dodał wreszcie, że, zdaniem jego, pora sposobna do urzeczywistnienia tych projektów minęła, tem bardziej, że zbliżają się wypadki stanowcze, które w ten czy w inny sposób rozstrzygną ostatecznie sprawę Polski ¹⁾. Z całego toku tej rozmowy widać, że ks. Adam, nauczony już smutnymi doświadczeniami

¹⁾ List z 2 kwietnia, wręczony osobiście cesarzowi 10 kwietnia 1810 r. „Ruskaja Starina“, CXI, 238.

z lat 1805 i 1806 wątpił o szczerości obecnych wynurzeń cesarza i niechciał angażować się w tak niepewnych i niejasnych przedsięwzięciach, tembardziej, że zdawał sobie dokładnie sprawę, iż chodziło tutaj jedynie o zaszachowanie Napoleona i rozdziwienie umysłów Polaków w chwili stanowczej, jaka zdawała się nadciągać. Nie chciał przykładem swoim zachęcać rodaków do stawiania drugiego ołtarza, na którym poświęcaliby krew swą, mienie i uniesienia. Wobec rezerwy, okazanej przez Czartoryskiego, Aleksander zaczął rozglądać się za jakinś innym wybitnym Polakiem, któryby został posłuszniejszym w jego rękach narzędziem. Traf zdarzył, że przybył podówczas do Petersburga były podskarbi, Michał Ogiński, opatrzony pełnomocnictwami licznie zebranej w Wilnie litewskiej szlachty, dla złożenia u stóp monarchy pewnych dezyderatów lokalnych. Uprzejmie przyjęty przez cesarza, Ogiński wnet pomyślał o odegraniu wybitnej roli politycznej i zajęciu poniekąd dawnego stanowiska Czartoryskiego. Względy, okazane mu przez cesarza, godność senatora i tajnego radcy, jaką został obdarzony, a nadewszystko daleko idące a mgliste obietnice, w których Aleksander był prawdziwym mistrzem, zawróciły zupełnie głowę b. podskarbiemu. Niebawem powrócił z Petersburga na Litwę, głosząc wszędzie o najlepszych intencjach polskich cesarza, których świeżo dał dowód przez urzeczywistnienie w Ukazie 6 października 1811 r. ¹⁾ większości ich życzeń, złożonych w memoryale cesarzowi. Do najważniejszych ulg przyznanych tym Ukazem zaliczyć wypada obietnicę zrównania gub. Wileńskiej z innemi guberniami pod względem pobierania podatków oraz wydania w najbliższym czasie urzędzenia, dotyczącego powszechnego rozgraniczenia gub. Wileńskiej. Sprawy te były wagi pierwszorzędnej dla mieszkańców Litwy, zmniejszonoby w ten sposób ciężar podatkowy, jaki zupełnie niesprawiedliwie ponosiła Litwa, oraz przez uregulowanie stosunków granicznych znakomicie zmniejszonoby ilość procesów i zatargów granicznych. Ukaz ten mieścił również przepisy, dotyczące zgromadzeń szlacheckich; odtąd w guberniach sejmiki miały się składać z delegatów poszczególnych powiatów i obierać jedynie urzędników gubernialnych. Wreszcie pozwolono przy poborze wojskowym wykupywać się od rekruta za cenę 1000 rubli asygnacyjnych zamiast 500 rubli srebrem, jak było dotychczas; zapewniony został również wolny wywóz zboża na wszystkie strony granicy lądowej. Takie były koncesye uzyskane w Petersburgu przez Ogiń-

¹⁾ „Kuryer Litewski,” 1811, № 38.

skiego, które uczyniły głośnem jego imię i zyskały mu zachowanie i popularność wśród rodaków.

Wiść o tych łaskach doszła ks. Adama Czartoryskiego, bawiącego podówczas w Wilnie. Dziękował on ¹⁾ za nie cesarzowi, stwierdzając powszechną radość z ich powodu, zwracał jednak uwagę na liczne nadużycia, jakich dopuszczają się urzędnicy na Litwie, którzy niepotrzebnie drażnią opinię publiczną i mogą zrujnować przez to wszystkie dalsze projekty cesarza, dotyczące Litwy i Polski. Aleksander w rzeczy samej nosił się wtedy z planami daleko szerszemi, aniżeli mógłby przypuszczać Czartoryski, a które w znacznej mierze obliczone były na skaptowanie sobie Polski. Przemysliwał on mianowicie w owej właśnie chwili o raptownem uderzeniu na nieprzygotowanego zupełnie Napoleona, zagarnięciu Księstwa Warszawskiego i ogłoszeniu się królem polskim; w ten sposób, zyskując sobie sympatyę i poparcie Polaków, spodziewał się zaskoczyć i pokonać Napoleona. Odpisując Czartoryskiemu, odkrył mu powyższy swój plan zaczepny i polecił zbadanie w tym kierunku umysłów osób wpływowych w Księstwie, a przedewszystkiem ks. Poniatowskiego ²⁾. Misya ks. Adama do Warszawy, wobec stanowczej odmowy ks. Józefa, spełzła na niczem; Aleksander musiał wyrzec się swego planu, dla którego konieczną, najpierwszą szansę powodzenia stanowiłby akces wojska polskiego Księstwa Warszawskiego. Zarazem od tej chwili, na miejsce chybionej ofensywy rosyjskiej, szykowanej na bieżący rok 1811, zapowiedziała się ofensywa francuska na rok przyszły 1812 ³⁾. Zarazem wyradzała się obawa, aby Napoleon do tej swojej ofensywy nie zechciał w całkiem podobny sposób pozyskać sobie Litwy i obrócić ją przeciw cesarzowi rosyjskiemu, jak Aleksander był zamierzał uczynić z Księstwem Warszawskiem przeciw cesarzowi Francuzów. Zaś przykład Galicyi w czasie minionej wojny francusko-austryackiej 1809 r. nasuwał poważne obawy co do zachowania się prowincyj litewskich na wypadek przyszłej wojny francusko-rosyjskiej. To też tembardziej głównem usiłowaniem Aleksandra stało się odtąd pozyskanie sobie sympatyj i utrzymanie w lojalności Polaków znajdujących się pod jego berłem.

¹⁾ Ks. Adam do Aleksandra, z Wilna, 12 czerwca 1810. Mazade, II, 234.

²⁾ Cesarz do Czart., 25 grud. 1810. Mazade, II, 248. Instrukcyi: „Ruska-ja Staryna“ CXI, 454. Odpowiedź Czart. 18 (30) stycznia 1811. Mazade, II, 255.

³⁾ Askenazy. Ks. Józef Poniatowski; Przyczyny wielkiej wojny 1812 r.; Dwa stulecia.

Nastrój umysłów na Litwie nie był podówczas bynajmniej przychylny rządowi rosyjskiemu. Represye wszelkiego rodzaju, jako to: konfiskaty, sekwestry dóbr, stosowane tutaj od r. 1809, wywołały rozgoryczenie tem większe, że postępowanie władz lokalnych było zupełnie samowolne, i że całkowicie spokojne zachowanie się ludności nietylko nie usprawiedliwiała stosowania tutaj podobnych ucisków, lecz nawet nie dostarczało do nich pozoru. System kontynentalny, brak gotówki powszechny, ciężkie przesilenie ekonomiczne, jakiemu ulegało całe państwo, wszystko to zwiększało jeszcze niezadowolenie, ogumniające szerokie masy społeczeństwa. Coraz częściej zwracano oczy na zachód, oczekując stamtąd wybawienia z nieznośnego położenia, w jakim się znajdowano. Sympatye Napoleońskie, przygasłe nieco po pokoju Tyliczym, na widok okrojenia Księstwa Warszawskiego, odżyły wraz z pokojem Schoenbruńskim na widok znacznego zwiększenia terytorjum Księstwa przez część Galicyi. Spodziewano się, że w razie wojny z Napoleonem, która zdawała się być nieuniknioną i niechybnie zwycięską dla Francyi, Litwa, złączona z Księstwem, utworzy Królestwo Polskie. Nadzieje te podsycaly wiadomości, dochodzące z Księstwa, o wielkich zbrojeniach tam przedsięwziętych. „Kuryer litewski,“ jedyny oficjalny informator prasowy Litwinów w sprawach politycznych, donosił ¹⁾, że wojsko Księstwa będzie podniesione do 100,000, że Poniatowski zostanie vice-królem. Nie brakło i bezpośrednich stosunków z Księstwem, czy to przez częste wycieczki obywateli litewskich do Księstwa, czy przez Żydów, którzy bywali chętnymi pośrednikami w dostarczaniu korespondencyi wszelakiej, wydawnictw i broszur z za kordonu. W ten sposób rozpowszechniła się broszura Kołłątaja, podnosząc zwątpiały duch w społeczeństwie i ufność do Napoleona. Emigracya młodzieży litewskiej do wojsk Księstwa nie ustawała, owszem, zwiększała się. Wielu magnatów, jak: ks. Dominik Radziwiłł, Pac, ks. Aleksander Sapieha, przenosiło się na stały pobyt do Warszawy, rzucając dobra swe na pastwę sekwestrów, ufni, że w niedalekiej przyszłości powrócą tutaj ze zwycięskimi wojskami Napoleona. „Znanem jest — pisze współczesny świadek, Rosyanin — jakim gorącym patriotyzmem pałała wtedy Litwa, przewyższając może nawet w tym względzie Polaków. Dla niej Napoleon był pół-bogiem, ideałem potęgi ziemskiej, zesłanym z nieba dla odbudowania Polski, połączonej z Litwą ²⁾.“

1) „Kuryer Litewski,“ 1812, № 60.

2) „Russkaja Staryna,“ Dubrowin, CXII, 23.

Takie mniej więcej było usposobienie umysłów w pewnej przynajmniej części społeczeństwa w zaborze rosyjskim, kiedy w kwietniu 1811 r. ruchliwy i ambitny Michał Ogiński znów pośpieszył z Paryża do Petersburga z zamiarem odegrania wybitnej roli politycznej w najbliższej przyszłości. Widziane po drodze przygotowania wojenne, rozmowy niektóre, słyszane przez niego w Paryżu i Dreźnie, gdzie spotkał Kołłątaja, przekonały go o bliskim wybuchu wojny; postanowił zakomunikować wszystkie swoje informacye i spostrzeżenia cesarzowi Aleksandrowi i skłonić go do uprzedzenia zamiarów Napoleona przez zajęcie Księstwa i połączenie się z wojskiem pruskim. Można byłoby, zdaniem Ogińskiego, skutecznie to z łatwością, gdyby cesarz ogłosił się królem polskim, przez co miałby na zawołanie 12 milionów Polaków, pełnych poświęcenia i zapału dla wskrzesiciela swej Ojczyzny. Wyobrażał sobie Ogiński dość naiwnie, że przywozi do Petersburga nowe wiadomości i nową ideę, choć oczywiście nie absolutnie nowego nie miał do powiedzenia Aleksandrowi, ani jako informator, ani jako projektowicz; mógł mu co najwyżej być przydatnym, jako dogodnie narzędzie dla utrzymywania społeczeństwa polskiego na Litwie w połowicznych na Rosyę nadziejach, a tem samem w pożądanym dla Rosyi stanie rozdwojenia i niezdecydowania. Nie zdając sobie zgoła sprawy z tej istotnej swojej roli, Ogiński z całym zapałem wynurzył się ze swemi pomysłami przed cesarzem na pierwszym posłuchaniu, jakie otrzymał 28 kwietnia. Było to właśnie w chwili, kiedy Aleksander odebrał pismo od ks. Czartoryskiego z wiadomością o zupełnem niepowodzeniu jego misyi warszawskiej; wysłuchał, mimo to, z tem większą cierpliwością wielkiego planu Ogińskiego, który był poniekąd kopią jego własnego z przed paru miesięcy, obecnie z żalem zaniechanego. Nie zdradził się z tem ani słowem, zaznaczył tylko, że uważa chwilę obecną za nieodpowiednią do podobnych eksperymentów, upewnił go wreszcie, że jedynym celem jego będzie odtąd zapewnić szczęście swoim poddanym polskim i wyraził życzenie, aby Ogiński w tym względzie przedstawił swoje projekty¹⁾.

Ogiński nie omieszkiał skorzystać z tego upoważnienia i 27 maja złożył cesarzowi obszerny memoriał²⁾, składający się z dwu części. W pierwszej rozwodził się autor obszernie, że Napoleon nie ma na celu istnienia niepodległej Polski, mimo to jednak zrę-

¹⁾ Mémoires de Michel Ogiński, III, 43.

²⁾ Ibid., III, 47 — 70.

cznem postępowaniem ludzi Polaków, którzy całkowicie są obecnie pod jego urokiem. Sądził jednak Ogiński, że gdyby rząd rosyjski zmienił dotychczasowy sposób postępowania z Polakami, w takim razie i w Księstwie zasłaby stanowcza zmiana w uczuciach względem Napoleona. Mieszkańcy Księstwa, niepewni losów przyszłych, udręczeni podatkami, rekwizycjami, konskrypcją, porównywając swoje położenie z położeniem rodaków w zaborze rosyjskim, którym pozostawiono ich dawne prawa, nadano odrębną organizację, zgodną z warunkami miejscowymi i charakterem mieszkańców, pod osłoną tak potężnego mocarstwa, jak Rosya, bezwarunkowo odczuliby całą różnicę postępowania z nimi obu rządów i dołożyliby wszelkich usiłowań, aby znaleźć się pod berłem Aleksandra. W tym celu radził Ogiński niezwłocznie utworzyć z 8 gubernij tak zwanych Polskich (Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohilewskiej, Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej) odrębny okrąg pod nazwą Wielkiego Księstwa Litewskiego z Wielką Księżną Katarzyną, jako Namiestnikiem. Środek ten, zdaniem jego, wywoła powszechny entuzjazm Polaków dla Aleksandra i położy kres wszelkim wpływom Napoleońskim na Litwie. Dalej domagał się przywrócenia Statutowi Litewskiemu całej mocy działania z modyfikacjami, jakich będą wymagały okoliczności obecne; utworzenia w Wilnie Senatu czy Trybunału bezapelacyjnego; wreszcie nalegał na konieczność zrównania gubernij Litewskich z innymi co do podatków i sposobu ich pobierania.

Cesarz, po wysłuchaniu tego memoriału, skierował Ogińskiego do Sperańskiego, który podówczas stał u szczytu swej potęgi i miał poruczone sobie od cesarza zawiadywanie sprawami fińskimi i polskimi.

Sprawa polska była parokrotnie omawiana w memoriałach Sperańskiego, złożonych cesarzowi w latach 1810 — 1811 ¹⁾. Sperański podkreślił w nich niezwykłą doniosłość dla Rosyi zagadnień polskich, będących dla niej piętą Achillesa, a komplikujących się jeszcze bardziej przez ich charakter międzynarodowy. Przewidywał z powodu małżeństwa Napoleona zwrot stanowczy w jego polityce dotychczasowej względem Rosyi, a w związku z tem poruszenie przez niego sprawy polskiej. Dwie hipotezy nasuwały się mu w tym kierunku: albo oddanie Księstwa Warszawskiego

¹⁾ Memoriał Sperańskiego z sierpnia 1810, „Ruskaja Starina,” CIV, 435, oraz z 11 marca 1811 u Dubrowina „Ruskaja Starina,” CVIII, 257.

Prusom, co byłoby łatwiejsze i mniej niebezpieczne dla Rosyi; albo utworzenie Królestwa Polskiego przez przyłączenie do Księstwa Śląska i innych prowincyj polskich w zaborze pruskim, co spowodowałoby zupełny upadek Prus, a ze strony Austrii wywołałoby obawy o Galicyę oraz spowodziłoby natychmiastowy wybuch powstania na Litwie i na Rusi. Wobec tego należy zawczasu ułożyć stały plan postępowania polityki rosyjskiej względem Polaków, znajdujących się pod panowaniem Aleksandra. Należy ich przywiązać do Rosyi i w ten sposób zapewnić sobie ich lojalność. W tym celu należy natychmiast zabrać się w przyłączonych od Polski guberniach do przeprowadzania reform, które, pod pozorem zwykłych zmian w wewnętrznej administracyi celem jej ulepszenia i przystosowania do miejscowych warunków, nie powinny wzbudzać żadnych podejrzeń w gabinetach zagranicznych. Cel istotny tego przedsięwzięcia winien być utrzymany w tajemnicy i może być tylko z konieczności odsłonięty. Bacznie należy śledzić postępowanie Napoleona i zastosowywać do tego własne. Mianowicie trzeba uważać, czy Napoleon zechce tylko powiększyć Księstwo Warszawskie, czy też przywróci Polskę. W tych okolicznościach należy chwycić się względem Polski środków stanowczych, które mogą być oparte na dwóch potężnych uczuciach: nadziei otrzymania wszystkiego i obawie, że wszystko może być stracone. Oczywiście, że tych uczuć Francya nie może silniej podniecić, niż Rosya. W przeciwnym razie, gdyby niebezpieczeństwo nie zagrażało, należy natychmiast zastosować względem tych gubernij szereg środków przedwstępnych. Za jeden z takich uważał przedewszystkiem utworzenie w Wilnie Komisji Doradczej, której celem byłoby pozyskać zaufanie lepszych jednostek i dać Polakom nadzieję, że lojalnością mogą polepszyć swój los o wiele pewniej i łatwiej, niż powstaniem. Gdyby zachodziła trudność w utworzeniu podobnej komisji, należy natychmiast, o ile można, zadośćuczynić wszelkim życzeniom Litwinów; ponieważ zaś pomiędzy ich prośbami znajdują się kwestye, których na pierwszy rzut oka niepodobna rozstrzygnąć, należy pod pozorem rozpatrzenia tych właśnie kwestyj utworzyć w Wilnie komitet i członków jego skłonić do poczynienia poufnych wynurzeń. Przedewszystkiem jednak należy wzmocnić w tych guberniach policyę, mianować lepszych gubernatorów, wypracować dla nich lepsze instrukcye. Również uważa za konieczne skoncentrowanie tutaj, w Petersburgu, wszystkich gałęzi tajnej policyi z tamtych gubernij, jako to: gubernatorów, dyrektorów poczt i rozmaitych urzędników, wysyłanych tam ze specjalnemi poruczeniami. W kilka miesięcy potem

zwracał ponownie uwagę cesarza na doniosłość spraw polskich, które, w razie przywrócenia Polski, mogą nasunąć poważne komplikacje. Przewidywał, że skoro Napoleon obieca Polakom przywrócenie ich Ojczyzny, natychmiast wybuchnie powstanie w prowincjach rusko-litewskich, gdyż te będą liczyły na poparcie Napoleona, a wtedy każde ustępstwo, uczynione przez Rosyę celem odwrócenia wojny, podnieci tylkouchwałstwo Francyi. Stąd wynika, że jeśli żądania rosyjskie co do utrzymania status quo obecnego w Księstwie zostaną odrzucone, należy dać poznać Francyi, że Rosya gotowa jest do walki, oraz że zmienia swój system polityczny. Na Polskę liczyć niepodobna, wojna jaka w niej wybuchnie, będzie nosiła wszelkie cechy podnieconego patriotyzmu, co jest zupełnie naturalne, ponieważ Polakom będzie chodziło o byt ich Ojczyzny. Natomiast należy baczną zwrócić uwagę na 8 gubernij zachodnich; z dwojga złego lepiej mieć wojnę, niż stracić dobrowolnie te prowincye, a zatem należy już obecnie sposobić się energicznie do walki. Treść istotna tych przygotowań polega na dokładnem wyjaśnieniu sobie, czego mogą oczekiwać zachodnie prowincye w nowym ukształtowaniu się stosunków? Wolności i odbudowania Polski. Rosya może im ofiarować i jedno i drugie, nikt nie da im tego taniej i na trwalszych podstawach. Tyle Sperański, do którego obecnie skierował cesarz Ogińskiego z jego memoriałem. Widzimy, że myśl utworzenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, którą podnosił Ogiński w swoim piśmie złożonem cesarzowi, była już oddawna z odmiennych punktów wyjścia szczegółowo roztrząsana i przez samego cesarza i przez jego zaufanego doradcę.

Sperański w d. 11 (23) czerwca przedstawił swoje uwagi nad powyższym memoriałem Ogińskiego¹⁾. Zaznaczał z góry, że elaborat Ogińskiego nie może w niczem zmodyfikować poprzednich zapatrywań cesarza na tę sprawę, radził, nie idąc dalej, utworzyć w Petersburgu Komitet z przedstawicieli 8 gubernij po jednym z każdej, pod prezydencją Zawadowskiego, lubianego przez Polaków, pod pozorem skarg Polaków na nierównomierność opodatkowania tych gubernij z centralnemi, w rzeczywistości zaś dla opracowania reform, które zamierza się przeprowadzić na Litwie. Ta ostrożność, zdaniem Sperańskiego, była konieczna ze względu na zagraniczne gabinety i na opinię rosyjską, która, będąc już wzbu-

1) „Sbornik istor. materialow iz Kancel. J. Imp. Wielichestwa,” I, 215-217.

rzoną przez autonomię nadaną Finlandyi, widziałyby w utworzeniu tego Komitetu zamach na całość Rosyi. Należy do czasu, nim się Komitet zbierze, prace przygotowawcze w tym kierunku powierzyć znajdującym się obecnie w Petersburgu Polakom, jako to: Ogińskiemu, Platerowi, Strojnowskiemu, ks. Lubomirskiemu i ks. Lubeckiemu, aby w ten sposób ugruntować najprędzej ich nadzieje oraz, jak się wyrażał: „dać ich troskliwości pożyteczne zajęcie,“ czyli, innymi słowy, odwrócić ich uwagę od widoków, idących od Napoleona i Księstwa Warszawskiego i tym sposobem zneutralizować energię społeczeństwa litewsko-polskiego. W tem też tkwiła w tej chwili istotna intencya Aleksandra. Radził też Sperański, aby dla uniknięcia rozgłosu i otrzymania lepszego składu tego Komitetu cesarz sam zamianował przedstawicieli z każdej gubernii, przyczem zdaje się, że wybór można dobry uczynić, zasięgnąwszy od Potockiego Seweryna i Ogińskiego listy projektowanych kandydatów do tego Komitetu. Aleksander zresztą narazie nie uczynił nic w tym kierunku; przy spotkaniu z Ogińskim prawił mu komplementy z właściwym sobie mistrzostwem w ujmowaniu ludzi, słowem—stosował swoją zwykłą taktykę, polegającą, zdaniem historyka rosyjskiego (Szyldera), na tem, że częstował każdego ulubioną jego potrawą, ukrywając przytem istotne swe zamiary i dopiero w ostatniej chwili czyniąc zwrot nagły a niespodziewany. W ten sposób wszelkie plany budowane na charakterze Aleksandra, a tembardziej na jego półśłówkach i wynurzeniach, obracały się wniwecz, o czem kolejno mieli się przekonać ludzie tak rozmaici, a na swój sposób niepospolici, jak: Czartoryski, Napoleon, Sperański, Capo d'Istria, a tembardziej słaba głowa Ogińskiego.

Skoro jednak w tem miejscu tyle wypada nam mówić o Ogińskim, warto na chwilę bliżej przyjrzeć się postaci byłego podskarbiego, a obecnie gwałtem narzucającego się na pośrednika w tak śliskich, a skomplikowanych wówczas stosunkach polsko-rosyjskich. Michał Kleofas Ogiński, synowiec wielkiego hetmana litewskiego, urodził się w r. 1765. Niepozabawiony¹⁾ zdolności i pewnej rzutkości, której dawał dowody w swem tak bogatym w zdarzenia i zmiany dziwnie życiu, świetnie wykształcony, gorący patriota, ale niestały, zarozumiały aż do samochwalstwa, łatwowie-

¹⁾ Nielubowicz, Przyjaciel ludu 1844, № 1, 2, 3. Czartoryski do cesarza 23/4 czerwca 1812. Rusk. Staryna CXII, 32.

ny, bardzo często powodowany w swych czynach i wystąpieniach pobudkami natury najbardziej prywatnej, posiadał niepohamowaną skłonność do interesów pieniężnych, co odbiło się niejednokrotnie fatalnie na jego karierze politycznej, która rozpoczęła w charakterze posła Rzpltej w Hadze, związanego ściśle ze stronnictwem patryotycznym, a mimo to składającego przysięgę na wierność Katarzynie w ręce ambasadora rosyjskiego w Hadze, zaprowadziła go do Targowicy, od której otrzymuje podskarbiostwo litewskie. Z wybuchem powstania, po nieudanej ucieczce za granicę, zagrożony szubienicą, staje pod chorągwiami Kościuszki, walczy, uchodzi z rozbitkami na emigrację, tam czynny w jej przedsięwzięciach i zabiegach dyplomatycznych, jako agent w Konstantynopolu, z wstąpieniem na tron Aleksandra wraca do kraju. Zniechęcony do życia publicznego usuwa się w wiejskie zacisze, zajęty twórczością muzyczną i uregulowaniem swych nader zawikłanych interesów ogromnej, lecz obciążonej mocno długami fortuny. W swych kłopotach finansowych doznaje pomocy ze strony Aleksandra, oczarowany jego osobą i sposobem bycia, przekształca się z dawnego, zapalonego patryoty i emigranta, ufającego w pomoc Francji dla Polski, w rosyjskiego senatora i tajnego radcę, a zapalonego wielbiela Aleksandra, w nim jedynie upatrującego nadzieje Polski. Niechęć do Napoleona, czysto osobista, przenosił na dzieło jego, Księstwo Warszawskie, i wszelkie urzędy tam zaprowadzone, chciał mu przeciwstawić odbudowane przez Aleksandra Wielkie Księstwo Litewskie z urządzeniami zbliżonemi do dawnych polskich. Łatwowierny, pozornie dobrze w świecie otarty, lecz naprawdę nieświadomy zupełnie rzeczywistych stosunków, wpływów, intryg, panujących podówczas na dworze petersburskim, zamierzał działać ręką w rękę bezpośrednio z cesarzem, nie znając zupełnie charakteru Aleksandra, a opierając się na tak chwiejnych podstawach, jak fama powszechna o życzliwych zamiarach jego względem Polski, oraz wspaniałomyślnym charakterze monarchy. Czuł poniekąd może i sam kruchość tych podstaw, ostrzegany zresztą w tym względzie przez Kołłątają, ale to go nie powstrzymało, ani nawet do ostrożności nie skłoniło. Sądził, że czułością, serdecznością i zupełnem wylaniem podbije „najchytrzejszego z Greków bizantyjskich,“ jak Aleksandra po niewczasie zdefiniował Napoleon. Aleksander, głęboki znawca ludzi, niewątpliwie odrazu poznał się na Ogińskim, a w dodatku miał w ręku dosadną jego charakterystykę, skrośloną przez ks. Czartoryskiego; trafnie też uznał cesarz w panu Michale doskonałe narzędzie do tej kokieteryjnej gry, jaką w ówczesnej kry-

tycznej dla siebie chwili zamierzał prowadzić względem Polaków wogóle, a Litwinów w szczególności.

Nie otrzymując żadnej zgoła odpowiedzi na swój memoriał złożony w maju, a rzekomo aprobowany podówczas przez cesarza, Ogiński we wrześniu zawiadomił o swoim wyjeździe na Litwę. Aleksander znów pożegnał go czułym, wiele mówiącym napozór, a naprawdę nie mówiącym frazesem: „Powiedz swoim ziomkom, że zajmuję się ich losem, że chciałbym móżdż poprawić go, że może przedstawić się wkrótce sposobność, kiedy będę mógł dać im tego dowody, że liczę na ich przywiązanie i że proszę o zupełne zaufanie.“ Na wątpliwości wyrażone co do stałości tych zamiarów cesarza, ostatni odparł z żywością: „...Jakto w niepewności?! Jedno z dwojga powinno nastąpić: bądź to w razie wojny utworzę Królestwo Polskie, połączone z cesarstwem, jak Węgry i Czechy z Austryą; bądź, jeżeli wojna nie nastąpi, wprowadzę w wykonanie nasz wielki projekt co do Litwy.“ Na Litwie rozpoczął Ogiński żywą agitację, głosząc o wielkich zamiarach Aleksandra. Chodziło o pozyskanie przede wszystkim wpływowych i wybitnych osób. W Szawłach porozumiewał się z Ludwikiem Platerem, który o tem spotkaniu niezwłocznie doniósł ks. Adamowi. ¹⁾ Ogiński nalegał, aby niezwłocznie zabrać się do zredagowania projektu Ukazu, jaki miał poprzedzać nową organizację Litwy. Do punktów, wyrażonych w memoriale Ogińskiego z maja, Plater proponował tak ważne, jak używanie języka polskiego w *załatwianiu wszelkich spraw w 8 guberniach* i obsadzanie wszelkich urzędów wyłącznie Litwinami, utworzenie kancelaryi litewskiej w Petersburgu, na wzór istniejącej finlandzkiej, oraz rady stanu i ministrów w Księstwie, wreszcie wydzielenie funduszków edukacyjnych z oddzielnych gałęzi dochodów publicznych. Na podstawie tych uwag Platera, za wspólnem porozumieniem się z Ogińskim, zredagowany został ów projekt Ukazu, który Ogiński zabrał z sobą do Petersburga dla przedstawienia cesarzowi.

Przed wyjazdem wynurzył się był Ogiński przed Platerem ze swoich widoków i nadziei. Mówił o komitecie litewskim, który na wyraźne życzenie cesarza ma się zebrać wkrótce w Peters-

¹⁾ Plater do ks. Adama 25 paźdz. 1811. Rps. Ar. Czartoryskich № 5511: „Je l'ai trouvé (Ogińskiego) décidé et très décidé de pousser la chose, mais désirant savoir Votre avis et souhaitant Votre appui. Je profitai de cette disposition pour l'engager à ne rien faire avant que de Vous avoir consulté. Il s'opposa à cette modification, craignant tout d'un retard d'exécution.“

burgu (nawiasem mówiąc, ten pomysł komitetu był już dawniej projektowany, w r. 1806 i 1807 przez Stanisława Ursyna Niemcewicza w memoriałach jego złożonych ks. Adamowi w r. 1806 i samemu cesarzowi w r. 1807). Komitet ten, stosownie do projektu Niemcewicza, miał się składać z senatorów Polaków, znajdujących się w Petersburgu, oraz delegowanych po jednym z każdej gubernii. Tak samo miało być obecnie. Pod prezydencją Zawadowskiego mieli go składać Sperański, ks. Czartoryski, o ile się zgodzi, Ogiński, Seweryn Potocki oraz deputowani z 8 gubernij, na których proponował Ogiński z gub. Wileńskiej Wawrzeckiego, z Grodzieńskiej księcia Lubeckiego, z Mińskiej Giecewicza, z Mohyłowskiej Szadurskiego, z Witebskiej Ludwika Platera, z Wołynia senatora Strojnowskiego, z Podola Czackiego i z Ukrainy Adama Rzewuskiego. Plater proponował, aby zamiast Giecewicza powołać Karola Prozora byłego oboźnego, a na miejsce Szadurskiego ks. Kazimierza Lubomirskiego osobiście znanego cesarzowi.¹⁾ Skoroby zaś obecność Szadurskiego w komitecie rzeczonym była konieczna, proponował go na swoje miejsce. Ogiński komunikował mu, że projektowano mianować namiestnikiem W. Ks. Litewskiego księcia Oldenburskiego, ale Wielka Księżna Katarzyna jest temu przeciwna, utrzymując, że małżonek jej nie jest odpowiedni na to stanowisko. Myślano także o księciu Wirtemberskim, gubernatorze Białej Rusi. Ogiński, niewiadomo o ile szczerze, proponował nawet ks. Czartoryskiego. Nie miano pewności, czy ks. Adam zechciałby brać udział w całej robocie; gdyby się zgodził, ofiarowanoby mu bądź namiestnictwo, bądź też sekretaryat stanu i kierownictwo kancelaryi litewskiej w Petersburgu; w takim razie Ogiński, który też kandydował do tego stanowiska, zostałby członkiem rady litewskiej. Cztery ministerya miały być rozdane w ten sposób: spraw wewnętrznych Sewerynowi Potockiemu lub ks. Czartoryskiemu, wówczas Potocki zostałby senatorem, co byłoby lepsze dla sprawy; sprawiedliwości Wawrzeckiemu, skarb Czackiemu i ministeryum wojny Kniaziewiczowi, ks. generałowi Ziem Podolskich, gdyby się zgodził, miano ofiarować godność wielkiego marszałka lub wielkiego kanclerza. Senat z łutwością można będzie skompletować, wobec tego próżność wielu zostanie zaspokojona nominacją na kasztolanów i wojewodów. Ogiński twierdził, że cesarz poruczył mu sporządzić

¹⁾ Plater do ks. Adama 25 paździer. 1811 r. Rps. ar. Czartoryskich 5511.

listę urzędników litewskich i prosił w tym względzie o pomoc Platera i Wawrzeckiego.

Armia litewska składałaby się z 30 tysięcy i zostawałaby pod dowództwem namiestnika, pod nim zaś faktycznie dowodziłby Kniaziewicz w charakterze pierwszego generała dywizyi. Na generałów dywizyi proponowano Kniaziewicza, Sierakowskiego, Wyszkowskiego, Giedroycia, Łażnińskiego i Giżyckiego; generałami brygad jazdy zostaliby w takim razie ks. Eustachy Sanguszko, Karwicki, Kołyszko, Kossakowski brygadyer wreszcie Pągowski; generałami brygad piechoty chciano mieć Niesiołowskiego, Stefana Grabowskiego, Kropińskiego, Wawrzeckiego brygadiera, Seweryna Rzewuskiego, nakoniec Paca. Początkowo armia liczyłaby mniej, ponieważ składałaby się wyłącznie z kontyngensu tegorocznego rekrutów. Pierwszym warunkiem istnienia tej armii będzie, że armia litewska nie będzie brała udziału w wojnie z Polakami Księstwa Warszawskiego. Jak widzimy, nadzieje polityków litewskich szły dość daleko.

Chodziło przedewszystkiem o pozyskanie do tej akcji Czartoryskiego, Kniaziewicza, Czackiego, którzyby nadali swoim udziałem sankcją moralną całej tej robocie i pociągnęliby za sobą wahający się ogół; zdawano sobie doskonale sprawę, że bez nich cała ta akcja spełzałaby na niczem. Wiemy, że stosunki pomiędzy Czartoryskim a Ogińskim nie należały do nazbyt przyjaznych; żywili oni ku sobie wzajemną niechęć, płynącą może poniekąd, przynajmniej ze strony Ogińskiego, z rywalizacji o wpływ i zaufanie u Aleksandra. Wspominaliśmy, jak surowo, chociaż zupełnie słusznie, oceniał Czartoryski charakter i działalność Ogińskiego. To też Ogiński poruczył Platerowi zwrócenie się do ks. Adama i wybadanie go ostrożnie, co do tych planów. W razie akceptowania tego planu, ks. Adam miał od siebie skłonić do tego Kniaziewicza i Czackiego. Na odjeździe Ogiński poruczył Platerowi dalsze rozwinięcie punktów, zawartych w pomienionym projekcie Ukazu. Plater, doskonały pracownik, któremu niebawem po kilku ledwo latach, poruczony będzie udział w robotach redakcyjnych nad projektami konstytucyi Królestwa Polskiego, niezwłocznie zabrał się do pracy i już 10 grudnia przybył do Wilna z gotowym projektem Ustawy rządowej. W Wilnie spotkał się z Wawrzeckim, któremu zakomunikował wszystko słyszane od Ogińskiego. Wawrzecki zgodził się na wszystko, sądził tylko, że lepiej byłoby może, aby ten komitet zebrał się w Wilnie, niż w Petersburgu. Pracę Platera opatrzył swemi uwagami, które wydały się Platerowi bardzo słuszne i wpłynęły na zmodyfiko-

wanie niektórych ustępów; z tego wyłonił się projekt Ustawy Rządowej Wielkiego Księstwa Litewskiego, który niezwłocznie został przesłany Ogińskiemu do Petersburga. W pracy swojej, wyznaje Plater, powodował się dwoma względami, primo—żeby ta Ustawa konstytucyjna dała Litwinom te same prawa i korzyści, jakie mają obywatele Księstwa Warszawskiego, secundo—starał się, ile można, zachować dawne nazwy polskie, bądź to w urzędach, bądź przez podział terytoryalny.

Ogiński, rozstawszy się z Platerem, udał się do Petersburga, gdzie w drugiej połowie października złożył swój projekt Ukazu cesarzowi. W piśmie, dołączonem do projektu,¹⁾ pisał, że odczytanie nowej organizacyi senatu petersburskiego i informacye zebrane co do urzędzeń finlandzkich skłoniły go do poczynienia pewnych zmian w projekcie, nie naruszając jego podstaw; tak więc, zamiast mianowania namiestnikiem kogoś z rodziny cesarskiej, można byłoby wyznaczyć zwykłego generał-gubernatora. Będzie to jedynie środkiem administracyi wewnętrznej i nie może nasunąć żadnych obaw gabinetom zagranicznym. Monarcha nie uczyniłby nic więcej nadto, co uczynionem zostało dla Finlandyi, a uszczęśliwiłby przez to miliony mieszkańców, pozyskał ich przywiązanie i znakomicie pomnożył swe siły bojowe. Na razie nie otrzymał Ogiński żadnej odpowiedzi od cesarza ani na swoje pismo, ani na projekt. Dopiero w listopadzie po złożeniu przez Ogińskiego adresu dziękczynnego szlachty wileńskiej za przyznane jej zeszłego roku ulgi finansowe, a podpisanego przez wszystkich marszałków z gubernialnym Sulistrowskim na czele, ukazał się reskrypt cesarski na imię senatora Ogińskiego;²⁾ było to pierwsze pismo polskie podpisane przez cesarza Aleksandra.

W listopadzie również dowiedział się Ogiński, że cesarz poruczył generałowi Arnifeltowi i baronowi Rosenkampfowi opracowanie Ustawy konstytucyjnej dla Litwy, a prawie równocześnie hr. Witt i ks. Kazimierz Lubomirski otrzymali polecenie ułożenia projektu organizacyi armii w 8 guberniach polskich, połączonych z cesarstwem. Ostatni projekt miał być przesłany do oceny Ogińskiemu, który winien był przedstawić swoje uwagi w tym względzie oraz złożyć cesarzowi ostateczny szkic projektu. Zarazem polecił Aleksander Arnifeltowi porozumiewać się z Ogińskim nad najskuteczniejszymi środkami celem możliwie najprędszego utwo-

¹⁾ Ogiński do Aleksandra, 22 octobre 1811. Mémoires III, 77.

²⁾ Mémoires, Ogiński, t. III, 82; reskrypt wydany 9 grudnia 1811.

zenia w prowincjach litewskich wojska polskiego, w szczególności co do uformowania w tych guberniach licznej jazdy. Podczas rozinowy w końcu listopada, jaką prowadził z Ogińskim, zaznaczył cesarz kilkakrotnie, że wobec oczekiwanego rychłego zerwania z Napoleonem, należy skierować wszystkie usiłowania do wzmocnienia sił bojowych; skutkiem tego wypadnie na razie odłożyć na później projektowaną organizację W. Ks. Litewskiego; żądał zatem pozytywnych informacyj co do zasobów, jakie możnaby wydobyć z prowincyj polskich. Słowa te zgnębiły Ogińskiego: widział ruinę wszystkich swoich nadziei; mimo to jednak ufny ciągle w szlachetne zamiary cesarza zabrał się do nowej pisaniiny i już 1 grudnia wykończył nowy memoriał dla cesarza.

W tym nowym memoriale ¹⁾ Ogiński wychodził z założenia, że tworzenie odrębnej armii litewskiej, bez nadania temu krajowi nowej organizacyi, która by znacznie polepszyła los Polaków w zaborze rosyjskim, jest w warunkach obecnych zgoła nieodpowiednie; mogłoby ono być jedynie następstwem kardynalnych zmian reformatorskich, jakie tym prowincjom uprzednio zostałyby zapewnione. Polacy gubernij rusko-litewskich — pisał — obecnie ponoszą już nietylko te same ciężary, co inni poddani cesarstwa, lecz prócz tego są wystawieni na przykrości związane z konsystencyą w rzeczonych guberniach zachodnich wyjątkowo wielkiej masy wojska i na szykany wszelkiego rodzaju ze strony administracyi cywilnej. Nic nie zrobiono dla pozyskania sobie szlachty, która jest właściwym reprezentantem narodu i, jako taka, może jedynie skutecznie poprzeć usiłowania monarchy. Dalej wywodził Ogiński, że obecnie wobec wiszącej groźby wojny, wobec tego, że Napoleon niezawodnie podniesie teraz sprawę polską, wszelkie plany, dotyczące odrębnej organizacyi samego tylko Księstwa Litewskiego będą tylko półśrodkiem, nie czyniącym wcale takiego wrażenia, jakie wywołałyby parę lat, nawet rok temu. Należy zatem — wnioskował — uprzedzając Napoleona, niezwłocznie utworzyć Królestwo Polskie z tych 8 gubernij, ogłosić się królem polskim i w uroczystym manifestie obiecać temu królestwu przywrócenie konstytucyi 3 maja i przyłączenie w razie pomyślnej wojny Księstwa Warszawskiego i Galicyi. Wysłuchawszy powyższego memoriału, Aleksander po swojemu łaskawie a ogólnikowo oświadczył Ogińskiemu, że odbudowanie całej Polski przy Rosyi, a zatem i przyjęcie tytułu króla polskiego odpowiada w zasadzie wła-

¹⁾ Ogiński, Mémoires, III, 92.

snym jego życzeniom, że jednakowoż w obecnej niewyjaśnionej konjunkturze należy wstrzymać się jeszcze z tak ważnym krokiem i oczekiwać dalszego rozwoju wypadków, które, jak sądzi z otrzymanych wiadomości, nie doprowadzą jeszcze do rychłej katastrofy wojennej. W każdym razie prosił, aby Ogiński wskazał mu osoby, którym mógłby poruczyć wygotowanie planu organizacyi 8-iu gubernij, ponieważ projekt Arnfelta nie zadawałnia go. Ogiński zapewnia w swoich pamiętnikach, że było dlań rzeczą nader trudną w obecności cesarza nagle wskazać odpowiednich kandydatów. Skądinąd wszakże wiemy, że lista osób, do takiego komitetu proponowanych, była przez niego daleko wcześniej przygotowana: wszak już w czerwcu r. 1811 pokazywał ją Sperańskiemu, a we wrześniu Platerowi, któremu również pokazywał tę listę, jako już aprobowaną przez cesarza. Szczegół ten zasługuje z tego względu na uwagę, że świadczy między innymi o stopniu wiarygodności zredagowanego znacznie później dzieła pamiętnikarskiego Ogińskiego, zarówno pod względem szczegółów osobisto-rzeczowych, jakoteż zwłaszcza pod względem dat i kolejności wypadków. Proponując owych kandydatów, złożył Ogiński projekt Ustawy Rządowej, nad którym od dłuższego czasu, bez upoważnienia cesarza, pracował łącznie z Ludwikiem Platerem i ks. Ksawerym Lubeckim. Był to ów projekt, wygotowany przez Platera, o którym powyżej była mowa, poprawiony następnie przez Ogińskiego i Lubeckiego. Cesarz przyjął ten projekt, obiecał w najprędszym czasie powołać delegatów do komitetu, szczególnie jednak zalecił Ogińskiemu mieć na uwadze kwestyę włościańską: „Ta najbardziej pożyteczna klasa społeczeństwa — odezwał się — była częstokroć traktowana przez Was (Polaków), jak Heloci.“ Ogiński odparł, że ta sprawa była również przedmiotem obrad, lecz nie została rozstrzygniętą ostatecznie, ponieważ zachodzi trudność, w jaki sposób dadzą się pogodzić prawa właścicieli z istotnem dobrem włościan. Na dowód, że sprawą włościańską pilnie się zajmowano, odczytał cesarzowi list ks. Lubeckiego świeżo otrzymany, w którym ten poddawał ostrej krytyce projekt uwłaszczenia włościan, proponowany przez Arnfelta w jego projekcie ustawy konstytucyjnej, a będący naśladowaniem wzorów szwedzkich; Lubecki pragnął, aby kwestya ta została rozwiązana w duchu ustawy 3 maja, drogą stopniowych przeobrażeń z zachowaniem właścicielowi przynależnych praw właścicieli, oraz aby rozstrzygnięcie tej kwestyi było powierzono komitetowi, składającemu się z mieszkańców kraju, zalecał wreszcie w postępowaniu wielką ostrożność.

Audyencya rzeczona miała miejsce 27 stycznia 1812 roku. „Odtąd—pisze Ogiński w pamiętnikach¹⁾—nie było więcej mowy o projektach autonomii Litwy, cesarz wydawał się bardzo zajęty, a ja nie dawałem mu do zrozumienia, ile tem wszystkim byłem zmartwiony.“ Burza wojenna zbliżała się raptownie; w kwietniu wyjechał Aleksander do Wilna, zalecając Ogińskiemu, który wtedy właśnie zapadł na zdrowiu, aby po wyzdrowieniu niezwłocznie przybył za nim do stolicy Litwy.

Wypada na tem miejscu sprostować pogłoski, tułające się po pamiętnikach rozmaitych (Ostrowski, Niemcewicz) o faktycznem istnieniu jakiegoś oficjalnego komitetu politycznego do spraw litewskich przed wojną 1812 r. Nie posiadamy żadnych urzędowych danych stwierdzających powołanie rzeczonego komitetu; zresztą Ogiński, pisząc apologię swego zaślepienia względem Aleksandra w swoich pamiętnikach, nie omieszkaby skonstatować wyraźnie podobnego faktu, dającego przynajmniej jakąkolwiek realną podstawę jego ówczesnym złudzeniom; tymczasem nie znajdujemy u niego ani jednej pozytywnej o tem wzmianki. Były tylko oddalone projekty, którym tak chętnie lubił się oddawać Aleksander, z drugiej strony była czysto prywatna robota kilku magnatów, bawiących podówczas w Petersburgu, jak Ogińskiego, ks. Lubeckiego, ks. Lubomirskiego. Zachodzi tu prawdopodobnie pomyłka w utożsamianiu tego nieistniejącego komitetu z komitetem rzeczywistym, utworzonym nieco później, w maju, z obywateli litewskich Wawrzeckiego, Sulistrowskiego, Lubeckiego, Platera do repartyeyi żywności dla wojsk rosyjskich.

Co się tyczy wspomnianego projektu konstytucyjnego, opracowanego przez Platera, Ogińskiego i Lubeckiego, powstał on, jak zaznaczyliśmy, z rozwinięcia punktów, zawartych w projekcie Ukazu, złożonego jeszcze w październiku 1811 r. przez Ogińskiego cesarzowi. Projekt ten składał się z 11 punktów; Wielkie Księstwo Litewskie miało być utworzone z 8 gubernij: Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohiłowskiej, Podolskiej, Wołyńskiej i Kijowskiej, oraz z 2 obwodów: Białostockiego i Tarnopolskiego. Zarząd nad Księstwem miał być poruczony Namiestnikowi, rezydującemu w Wilnie; na utrzymanie jego dworu, któremu chciano zapewnić okazłość, a nawet świątynię, wydzieloną zostałyby część dóbr rządowych. W Petersburgu, przy cesarzu, miała znajdować się Kancelarya Litewska z Sekretarzem Stanu na czele

1) Mémoires, Ogiński, III, 121.

dla kierownictwa wszelkimi sprawami litewskimi. Zarząd wewnętrzny chciano powierzyć Radzie Administracyjnej, pod przewodnictwem Namiestnika cesarskiego, Rada miała się składać z kilku wydziałów, utworzonych z dyrektora naczelnego i kilku radców. Wszyscy członkowie tej Rady byłiby mianowani wprost przez cesarza. Miał zostać wydany oddzielny Regulamin generalny administracji dla Księstwa Litewskiego, przepisujący szczegółową organizację wszystkich gałęzi zarządu lokalnego w zakresie podziału terytoryalnego Księstwa, rozkładu podatków, administracji funduszków koronnych, utrzymywania wojska i kontyngensu rekrutów, policyi, poczt i komunikacji, wymiaru sprawiedliwości, spraw oświaty, rolnictwa i przemysłu, jakoteż obejmujący ścisły wywód obowiązków i instrukcyj dla władz ustanowionych. Regulamin ten miał być zredagowany przez Komitet, pracujący pod okiem cesarza. Statut Litewski miał pozostać prawem cywilnym W. Ks. Litewskiego; wszystkie sprawy cywilne i kryminalne miał sądzić Najwyższy Trybunał, zasiadający w Wilnie. Urzędy publiczne miały być dostępne wyłącznie dla obywateli osiadłych i mających własność w Księstwie. Językowi polskiemu winna była zostać przywróconą moc obowiązująca w ekspedycyi wszystkich spraw Księstwa. Wreszcie fundusze edukacyjne miały być na zawsze oddzielone od innych gałęzi dochodów publicznych.

Aleksander posłał powyższy projekt Ogińskiego wraz z drugim projektem konstytucyi Księstwa Litewskiego, opracowanym przez Arnfelta, do oceny ks. Adamowi Czartoryskiemu. Czartoryski odniósł się krytycznie do obu projektów i poradził wypracować na ich podstawie projekt pośredni, radząc do tej pracy powołać ludzi rozumnych, dobrze myślących, cieszących się zaufaniem rodaków, nie zaś takich przygodnych działaczy, jak Ogiński, „którego samo imię, wysunięte na czele tej roboty, może natchnąć nieufnością co do powodzenia i trwałości podobnego przedsięwzięcia; oskarżają go bowiem powszechnie o lekkomyślność, której nie raz dał dowody“¹⁾. Projekt Ogińskiego przesłał ks. Adam ze swej strony do oceny Linowskiemu do Warszawy. Opinia Linowskiego jest nadzwyczaj ciekawa a nader surowa. Nazywa on projekt konstytucyi litewskiej osobliwym amalgamatem wszystkich wad konstytucyi 3 maja, oraz wszystkich błędów konstytucyi Księstwa Warszawskiego. Namiestnik Wielkiego Księstwa będzie figurą malowaną, rządzić wszystkiem będzie Minister Sekretarz Stanu,

¹⁾ Ks. Adam do cesarza 4 czerwca 1812 r. „Rusk. St.“ CXII, 32.

minister sprawiedliwości będzie jeszcze bardziej śmiesznie potężny od naszego (Łubieńskiego), mając wpływ pośredni i bezpośredni na wykonywanie sprawiedliwości. Mnóstwo urzędników, którzy byłiby tylko ciężarem niepotrzebnym krajowi. Niema ani słowa, co do organizacyi armii—żadnej gwarancyi, co do jej przeznaczenia i użycia. Linia demarkacyjna pomiędzy szlachtą a innymi klasami, niegodna 19 stulecia, która zatamowałaby nazawsze postępy cywilizacyi w tym kraju i zgotowałaby straszliwą rewolucyę dla naszych potomków. Słowem, zdaniem Linowskiego, jest to produkt nadzwyczajnego ubóstwa, i Rosyanie powinni by przyjąć go bez wahania, jako rzecz może bardzo popularną, lecz nie mogącą nic zgoła dać narodowi, który powinien dążyć do odzyskania wcześniej czy później swej niepodległości. Niepodobna nie zgodzić się z tą surową, acz słuszną, krytyką elaboratu Ogińskiego i spółki. Uderza tu wzmianka o ministrze sprawiedliwości; była ona odbiciem obaw powszechnie żywionych za Księstwa Warszawskiego, aby ta władza nie wywierała zbyt potężnego nacisku na sądownictwo: pamięć Tyzenhauza, trzęsącego trybunałami, była jeszcze dość świeża w pamięci ogółu¹⁾; zaś warszawski minister sprawiedliwości, Feliks Łubieński, nie cieszył się popularnością. Naogół, sądząc z Ukazu, rzeczywiście wiele spraw najważniejszych, jak kompetencya władzy monarszej, sejm i władza prawodawcza, samorząd wiejski i miejski, wojsko narodowe i t. d. zostały pominięte milczeniem. W takim stanie Ustawa rządowa Wielkiego Księstwa Litewskiego zadawałaby co najwyżej oligarchiczne pragnienia magnateryi litewskiej. Nie wprowadzała zasadniczych zmian w dotychczasowym zarządzie Litwą z tą różnicą jedynie—niewątpliwie kapitalną, mezmiernie dodatnią i ważną pod względem narodowym, lecz niewystarczającą, bo niewyczerpującą wszystkich wymagań interesu narodowego w danej przełomowej chwili dziejowej—że urzędnicy Rosyanie byłiby zastąpieni przez Polaków, oraz że przywróconoby dawne tytuły i urzędy polskie. Jako taka nie mogła iść w porównanie nawet z oktrojowaną przez Napoleona konstytucyą Księstwa Warszawskiego, i było bardziej niż wątpliwe, aby mieszkańcy Księstwa zechcieli zamienić swoją Ustawę rzeczywistą na tak poronione dzieło, jakim była projektowana Ustawa rządowa W. Ks. Litewskiego.

Co się tyczy w szczególności projektowanego utworzenia armii litewskiej, której plan i organizacyę poruczono opracować ks.

¹⁾ Tokarz: „Ostatnie lata Hugona Kollhataja,” II, 95.

Kazimierzowi Lubomirskiemu i hr. Wittowi, w papierach ks. Adama przechował się projekt organizacyi armii litewskiej w 8 guberniach z roku 1811¹⁾). Jest to, jak widać ze wstępu, tylko szkic ogólny pracy, prowadzonej od dłuższego czasu, a obejmującej wszystkie szczegóły, związane z tą sprawą. Autor oświadcza, że pragnąłby oprzeć organizacyę armii litewskiej na zasadach czysto narodowych, wskrzeszając ile można dawne formy polskie, przez co chciano przeciwstawić Litwę sfrancuziałemu Księstwu Warszawskiemu. Z organizacyą faktyczną armii litewskiej należy nieco się wstrzymać i przystąpić do niej dopiero w kilka miesięcy po nadaniu Litwie konstytucyi 3 maja, ażeby Polacy, doznawszy całej różnicy postępowania względem nich Aleksandra i Napoleona, sami uczuli potrzebę uzbrojenia się w obronie nadawcy przywróconej konstytucyi. Armia litewska powinna stanowić część składową armii rosyjskiej, zachowując jednak odrębne umundurowanie i komendę polską. Kodeks karny wojskowy dla wojska litewskiego będzie zastosowany do charakteru narodowego i możliwie zbliżony do kodeksu wojskowego Księstwa Warszawskiego. Stopa żołdu będzie ta sama, co w całej armii rosyjskiej. Wojsko litewskie składać się będzie z pułków regularnych i milicyi. Wojsko regularne litewskie miało zostać doprowadzone do 100,000 ludzi; początkowo jednak miało liczyć daleko mniej. Unkając niedogodności, związanych z tworzeniem nowych pułków, miano pułki dotychczasowe rosyjskie, liczące w sobie najwięcej żołnierzy Polaków, nazwać polskimi i kompletować następnie tylko polskim rekrutem. Pułki te dostaną później odrębne umundurowanie, i oficerowie Rosyanie zastępowani stopniowo będą przez Polaków. Skoro ilość ostatnich będzie dostateczna, wprowadzoną zostanie polska komenda. Tym sposobem stworzonoby armię narodową polską, nie dezorganizując ogólnopauństwowęj. Również Polakom dawanooby stanowiska naczelników dywizyj i brygad. Zupełnie nową formacyą byłby jedynie korpus pieszej i konnej gwardyi litewskiej. Ilość pułków polskich będzie ściśle zastosowana do ilości Polaków w armii rosyjskiej. Na początek ma być utworzonych 6 pułków pieszych: 4 liniowe i 2 strzelców; w ten sposób, że z 72

¹⁾ Są to właściwie dwa projekty; jeden obszerniejszy: „Résumé des principes sur lesquels l'armée Nationale du Royaume de Lithuanie doit être formée“, i drugi skrócony: „Premier Aperçu sur le mode d'Organisation d'une armée Nationale Polonoise dans les huit gouvernemens.“ Arch. Czartor. rps. 5241.

pułków należy wybrać po jednej kompanii z 160 ludzi ze wszystkimi oficerami i podoficerami Polakami, znajdującymi się w tym pułku. Będą to doskonałe kadry do sformowania owych 6 pułków, które już po 4 miesiącach będą w zupełności gotowe, złożone z wyćwiczonego żołnierza. Polskich pułków pieszych ma być ogółem 40, ale to dopiero z czasem, pod sam koniec czynnego skompletowania wojska litewskiego do 100,000 ludzi. Co się tyczy kawalerii, to armia litewska ma liczyć 12 pułków ułańskich; w liczbę ich wejdzie 5 pułków już istniejących, z których każdy dostarczy 4 szwadrony dla utworzenia 7 nowych regimentów. Nadto 10 obecnych pułków huzarskich dostarczą każdy po jednym szwadronie, złożonym z oficerów i żołnierzy Polaków w tym pułku będących, a 24 obecne pułki dragonów dostarczą po $\frac{1}{2}$ szwadrona. Wszystko to razem da siłę 42 szwadronów jazdy polsko-litewskiej, dostatecznej dla utworzenia 7 nowych pułków ułańskich. Pułki te zostaną później dokompletowane przez szlachtę czynszową o 8 szwadronów, która będzie stanowiła szwadrony wyborowe tych pułków, pobierając wyższą płacę, przy odniemnem umundurowaniu, pod nazwą towarzyszków, nie podlegających kurze cielesnej. Szwadrony te mają być tworzone wyłącznie z ochotników i dopiero po ogłoszeniu Królestwa Polskiego.

Drugą część składową wojska narodowego miała stanowić milicya dwóch rodzajów: milicya pierwszego rzędu ze szlachty, oraz drugiego rzędu z mieszczan i włościan. Pierwsza ma się składać z czynnej i rezerwowej: do czynnej będzie należała szlachta w wieku od 18 do 24, podzielona na szwadrony i pułki, zbierana corocznie na 6 tygodniowe ćwiczenia. Każdy szlachcic, należący do niej, ma stanąć na miejsce ćwiczeń konno z konnym pachołkiem, wyekwipowanym jego kosztem w przepisany uniformie. W czasie pokoju, prócz tych 6 tygodniowych ćwiczeń, milicya ta nie będzie obciążona żadnymi obowiązkami, nie będzie również używana poza granicami kraju, będzie czynna tylko w razie najścia nieprzyjaciół. Pierwszy szereg tworzyć miała szlachta, drugi przyprowadzeni przez nią pachołkowie. Czas służby wynosić miał lat 4, poczem na lat 6 przechodzić się miało do milicyi rezerwowej, złożonej z całej szlachty, niemogącej być umieszczonej w milicyi czynnej. Rezerwa będzie powoływana tylko raz na rok celem ćwiczeń i sprawdzania etatów; przeznaczona jedynie do kompletowania milicyi czynnej, nie będzie obowiązana do ekwipowania się własnym kosztem, chyba tylko w razie wprowadzenia czynnej milicyi na linię bojową. Ogół milicyi czynnej obliczano na 36 pułków po 550 ludzi każdy, co dałoby razem około 20 ty-

sięcy jazdy. Miano nadzieję, że zarządzenie to przywróciłoby szlachcie jej dawnego ducha wojennego.

Mieszczañstwo tworzyłoby Obronę Narodową czyli milicję drugiego rzędu, przeznaczoną do odbywania służby garnizonowej w znaczniejszych miastach i miasteczkach. Obrona Narodowa ma być również dwustopniową. Pierwszy stopień stanowiłaby milicja piesza, złożona z włościan i mieszczan od 20 do 30 lat, podzielona na kompanie i bataliony, pełniąca służbę garnizonową, konwojową i transportową; liczyłaby 20,000 ludzi. Druga składałaby się z wszystkich mieszkańców od 25 do 50 lat w każdym mieście i miasteczku; pod nieobecność wojsk pełniłaby w miarę potrzeby służbę bezpieczeństwa, a w czasie wojny byłaby uzbrajana w całości, jako pospolite ruszenie.

Już z powyższych szczegółów łatwo zauważyć liczne wady tego projektu. Przemierzano zupełnie formację artylerji i inżynierji, wychodząc z założenia, że armia rosyjska ma podostatkiem tej broni. Chciano wskrzesić formy dawne, które już za czasów Rzplitej uważano za przeżyte, usiłowano przywrócić w armii dawne przywileje stanowe. Przy poborze rekrutów chciano zastosować system kastowy, zamierzano utworzyć kolonie wojskowo-rolnicze; do tego ostatniego projektu przykładano podówczas wielką wagę w sferach wojskowych, gorąco popierał tę myśl cesarz Aleksander. Co najważniejsze jednak, to drażliwa strona moralno-polityczna tego projektu, który liczył się z możliwością wojny domowej wojsk polsko-litewskich przeciw polsko-warszawskim, czy to w razie wkroczenia wojsk Napoleona na Litwę, czy w samostnej inwazji lub łącznie z armią rosyjską na Księstwo. Projekt ten jest z tego jeszcze powodu godzien uwagi, że niektóre myśli w nim wyrażone, zostały urzeczywistnione w lat kilka potem przy tworzeniu korpusu litewskiego.

Plany te i projekty, dotyczące przyszłych losów Litwy, nie mogły ująć uwagi społeczeństwa rosyjskiego. Jeżeli prawa przyznane niedawno W. Ks. Finlandzkiemu, w szczególności zaś przyłączenie do niego gubernii Wyborskiej, od stu lat prawie już należącej do Rosji, wywołały pewne niezadowolenie w społeczeństwie rosyjskiem (Czyczagow, Strogonow¹⁾), jeżeli obwiniano Speruńskiego, że chce rozczłonkować Rosyę, i zgola niesłusznie widziano w nim sprawcę autonomii Finlandyi, to cóż mówić o niezadowo-

¹⁾ Czyczagow do Woroncowa, archiw. Woroncowa, XX, 178; — Strogonow do ks. Adama, 22 marca 1812 r., archiw. Czartor. rps. 5449.

leniu, jakie w szerokich kołach wywołałyby podobna organizacya Litwy. Widzianoby w tem zamach na całość i nietykalność Rosyi, uważano bowiem w szerokich kołach zabrane prowincye polskie za zdawien dawna rosyjskie. Wyrazicielem opinii tych sfer był Karamzin ¹⁾, który nieomieszkał w tym względzie przedłożyć swoich uwag cesarzowi. Szlachta rosyjska przyjęłaby to z wielkiem niezadowoleniem, podobnie, jak później utworzenie Królestwa Polskiego; nie mogłaby się pogodzić z tem wyróżnieniem okazaniem obcoplemieńcom. Jak w sprawie finlandzkiej oskarżano głównie Sperańskiego, tutaj upatrywano głównego sprawcę w Armfelcie, posiadającym podówczas całe zaufanie Aleksandra. Nie może być kwestyi, że cała liczna biurokracya rosyjska uczuła się przez utworzenie W. Ks. Litewskiego poważnie zagrożoną w podstawach swego bytu; wszak prowincye zabrane były ciągle dotąd tem Eldorado dla olbrzymiej masy urzędników, zaczynając od gubernatorów a kończąc na isprawnikach, gdzie w krótkim stosunkowo czasie i stosunkowo bezkarnie mogli dorabiać się wcale pokaźnych fortun. Nawet Sperański, uważany narówni z Koczubejem i Zawadowskim przez polityków litewskich za sprzyjającego tym projektom, ostrzegawczo, a nawet wręcz nieprzychylnie, wskazywał cesarzowi na bardziej skomplikowany charakter zagadnień polskich, w porównaniu z finlandzkimi. Strogonowa, szlachetnego skądinąd i życzliwego Polakom człowieka, wprost przerażała myśl utworzenia W. Ks. Litewskiego: widział w tem tysiączne niebezpieczeństwa zarówno dla potęgi rosyjskiej, jak i dla dobra samych Polaków ²⁾. Najbardziej przestraszała go myśl, że wszystkie węzły, dotychczas łączące te prowincye z Cesarstwem, po utworzeniu W. Ks. Litewskiego czy Królestwa Polskiego, zostaną zerwane, oprócz istnienia wspólnego monarchy, dźwigającego te dwie całkiem odrębne korony. W stosunku do ogólnego ukształtowania się wewnętrznego Rosyi, ze szczególnem uwzględnieniem Litwy, Strogonow występował jako stanowczy przeciwnik federalizmu i z tego stanowiska wrogo patrzył na całą robotę Ogińskiego i towarzyszków. Również niepoehlebny sąd o ówczesnych politykach litewskich znajdujemy w liście Nowosilcowa ³⁾.

¹⁾ „Ruskaja Starina“, CXII, 16.

²⁾ Strogonow do ks. Adama, z d. 22 marca 1812 r. Rps. archiw. ks. Czartoryskich, 5449.

³⁾ Nowosilcow do Czartoryskiego, 9 listopada 1812 r., archiw. Czart., 5462: „Plusieurs d'entre eux sans nom, sans crédit, n'agissent que par des

Zdaniem jego większość ich są to ludzie, kierowani prywatą, idący na noże jedni przeciwko drugim, a co najgorsze, ciemni zarówno względem swego celu, jak i sposobów jego osiągnięcia. Jedni życzą sobie konstytucyi 3 maja, inni żądają nowej w rodzaju opracowanej przez Armfelta.

Napoleon był zawczasu powiadomiony o wyż wyłuszczonych planach litewskich, poruszanych podówczas w Petersburgu. Współczesne raporty ¹⁾ agentów francuskich, przysyłane do Paryża przez marszałka Davouta i rezydenta francuskiego w Warszawie Bignona, są przepełnione alarmującymi, a często zgoła bajecznymi w tym względzie wieściami. Donoszono o konstytucyi, jakoby faktycznie już nadanej przez Aleksandra prowincjom polsko-litewskim, o dokonaniem już jakoby utworzeniu W. Ks. Litewskiego z przywróconą ustawą 3 maja, o sformowaniu armii litewskiej, której dowództwo mieli objąć Wawrzecki i Niesiołowski, oraz o oczekiwanym przybyciu Aleksandra to do Wilna, to do Białegostoku, to wreszcie na Żmujdź do Zubowa, i o rychłem ogłoszeniu się jego królem polskim, lub wreszcie o tworzącej się konfederacyi generalnej z Ogińskim i Wawrzeckim na czele. We wszystkich tych wieściach oczywiście było mało prawdy faktycznej; były one jednak echem możliwych działań petersburskich Ogińskiego i kompanii. W każdym razie Napoleon odtąd musiał zwrócić szczególniejszą uwagę na Litwę i zależy mu musiało wielce na tem, aby mieć stamtąd informacye dokładne, nietyle względem tancecznych robót pseudo-politycznych, ile zwłaszcza względem obrotów wojsk rosyjskich na Litwie. Służba informacyjna w tym zakresie poleconą została Bignonowi w Warszawie, który ze swej strony postarał się o odpowiednią pomoc. Pomagał mu mianowicie w dostarczaniu wszelakich informacyj z Litwy głównie ks. Aleksander Sapięha, którego obszerna korespondencya ²⁾ w tym względzie z Bignonem świadczy o rozmiarach, jakie przybrała ta robota wywiadowcza. Roilo się podówczas na Litwie od agentów polsko-francuskich, którzy pod przybranymi nazwiskami przedostawali się

petits motifs d'intérêt particulier, et ce qui est pis, c'est qu'ils sont tous à couteaux tirés, les uns avec les autres et qu'ils ne s'entendent pas plus sur le but que sur les moyens. Les uns veulent la Constitution du 3 may, les autres en font faire une toute neuve, qui sera probablement de la façon de Rosenkampf."

¹⁾ Margueron, II, 395, 397, III, 12, 32, 74, 110, 132, 484.

²⁾ „Ruskaja Starina," CXII, 24.

tutaj z Księstwa¹⁾. W Smoleńsku, Mińsku, Mohylowie i innych miastach pojawiali się podówczas szpiedzy w wielkiej ilości pod postacią wędrownych akrobatów, nauczycieli, artystów, muzykantów, lekarzy i mnichów wędrownych, w gubernii Mińskiej zjawiało się wielu geometrów, zajmujących się sporządzaniem planów okolicznych miejscowości²⁾. Skutkiem tego minister wojny zarządził, aby osób, przybyłych z Księstwa Warszawskiego, nie dopuszczano do oglądania fortec oraz zdejmowania z nich planów, w razie zaś, gdyby jakieś osoby narodowości polskiej, francuskiej lub żydowskiej dopytywały się o ilości i stanie wojsk, winny być natychmiast aresztowane³⁾. Raporty współczesne urzędowe władz rosyjskich przepełnione są wiadomościami o rozmaitych osobnikach, podejrzanych o szpiegostwo; nie pomagały najostrożniejsze zarządzenia, przy licho funkcjonującej policji osobnikom tym udawało się zawsze ominąć czujność władz⁴⁾. Poza tą kategorią szpiegów wojskowych, raporty rosyjskie notują, jako agentów politycznych, przybyłych z Księstwa: Franciszka Potockiego, adjutanta marszałka Davouta, bawiącego w r. 1812 dłuższy czas w Wilnie i porozumiewającego się tam z wybitniejszymi obywatelami, dalej wymieniają Szydłowskiego, brygadiera, i Łabuńskiego, brata kanonika wileńskiego⁵⁾. Wszyscy oni, podług urzędowych raportów, starali się agitować na korzyść Napoleona, głosząc o rychłym przywróceniu przez Napoleona Królestwa Polskiego⁶⁾. Była to, jak gdyby reakcja przeciw prowadzonej przez Ogińskiego i towarzyszków robocie projektowo-ugodowej.

Robota tych projektowiczów, tak bezpłodna, jak widzieliśmy, w ubiegłym r. 1811, obecnie w 1812 r., w miarę zbliżania się wojny, znowu się ożywiła i zaczęła silniej oddziaływać na społeczeństwo litewskie. Dotychczas nie przykładano wielkiej wagi do zabiegów Ogińskiego; dopiero uzyskane przezeń ważne ulgi praktyczne, dotyczące gubernii Wileńskiej, a wkrótce potem rozciągnięte na gubernię Grodzieńską, podniosły imię jego w opinii współrodaków. Reskrypt cesarski na imię senatora Ogińskiego rozślawił go po wszystkich prowincjach polskiego zaboru rosyjskiego; zaczęto głośno mówić o jego osobistych konferencyach z cesarzem i planach,

¹⁾ Listy Bignona do ks. Sapiehy, arch. Czart., rps. 3763.

²⁾ Dubrowin. Ruskaja żiżń w naczale XIX wieku „Ruskaja Staryna,” CXII, 24.

³⁾ Raport barona Rosena z Wilna, 12 lutego 1812 r., *ibid.* 26.

⁴⁾ „Ruskaja Staryna,” CXII, 26, raport Rosena.

które na nich były poruszane. W ślad za tem nastąpił reskrypt na imię ks. Druckiego-Lubeckiego 24 grudnia 1811 r. ¹⁾, stwierdzający dokonane już zadośćuczynienie niektórym żądaniom Litwinów i zapowiadający rychłe rozstrzygnięcie pozostałych ich dezyderatów. Ulgi, przyznane podówczas guberniom zachodnim, były stosunkowo znaczne. Ukazem ²⁾ 17 listopada 1811 r. pozwolono w guberniach zachodnich wnosić podatki zbożem, a ukazem z dnia 18 grudnia 1811 r. ³⁾ zrównano gubernie litewskie i Obwód Białostocki z innymi guberniami cesarstwa, kasując wszystkie dawne podatki polskie dotychczas tu istniejące, wprowadzając natomiast podatek poduszny; tą drogą wszystkie opłaty i podatki, pobierane tutaj dotychczas w srebrze, miały się opłacać od 1812 r. asygnatami Banku Państwa podług normy ogólnej. Było to udogodnienie dla Litwy wynędzniałej, a w dodatku w 1811 r. nawiedzonej nieurodzajem. To też pochwałam na cześć delegatów Litwy nie było końca; podnoszono pod niebiosa ich cnoty, zasługi i poświęcenie obywatelskie. W Grodnie na sejmiku w styczniu 1812 roku pułkownik Lachnicki podnosił zasługi Ogińskiego, którego szlachetnych i gorliwych starań najcelniejszym stał się przedmiotem los Litwy, oraz domagał się, aby w dzienniku Zgromadzenia Szlacheckiego zapisać mu wdzięczność i podziękowanie, przesłać mu to do Petersburga z prośbą, aby po oddaleniu się ks. Lubeckiego z Petersburga raczył przyjąć mandat delegata gubernii Grodzieńskiej⁴⁾. Ogiński ze swej strony rozwinął ruchliwą akcyę. Pod koniec 1811 r. zwołał on do Mińska zjazd najwybitniejszych obywateli litewskich, jak Prozora, Chreptowicza Adama, Wawrzeckiego, Sołtana, Białopiotrowicza, Rzewuskiego, Tyzenhousa i wielu innych. Zjazd, o którym wiemy tyle tylko, że pojednali się na nim dawniejsi Targowiczanie ze zwolennikami ustawy majowej, nie powziął zdaje się żadnej stanowczej decyzji; oglądano się na nieobecnego ks. Czartoryskiego⁵⁾. Udało się Ogińskiemu w tym czasie wciągnąć do swej akcyi marszałków gubernialnych: wileńskiego, Sulistrowskiego, Lubeckiego świeżo obranego grodzieńskim i Rokickiego mińskiego, co ze względu na ówczesne znaczenie tej

¹⁾ „Kuryer Litewski,” z r. 1812, № 13.

²⁾ Zbiór kompletny praw i rozporządzeń rząd. № 24875.

³⁾ Zbiór komp. p. i rozp. rząd. № 24913.

⁴⁾ Głos pułkownika Lachnickiego delegowanego powiatu grodzieńskiego, 17 stycznia 1812 r., druk współczesny.

⁵⁾ Dębicki, Puławy, II, 127; Margueron, II, 395.

godności i wielki wpływ rzeczonych osób wśród szlachty, było nabytkiem bardzo pożądanym. Usilnie starano się neutralizować akcyę przeciwną, rozwijaną wówczas przez Bignona i Sapiehę, podkopać zaufanie do gwiazdy napoleońskiej, jakie od strony Warszawy wpajane było ogółowi polskiemu na Litwie, przypomniano zawód tyłżycki, wystawiano nędzę panującą w Księstwie, ucisk podatkowy, konskrypcye, straszono kodeksem napoleońskim i instytucjami nienarodowemi, narzuconemi Księstwu, przede-wszystkiem zaś straszono uwolnieniem i uwłaszczeniem włościan, czego, pewna przynajmniej część magnateryi i szlachty na Litwie, a zwłaszcza na Rusi, mocno się obawiała. Te obawy miały niejednokrotnie zaznaczyć się za krótkotrwałych rządów Komisyi rządowej W. Ks. Litewskiego w 1812 r., a musiały być silnie rozpowszechnione, jeśli wypadło używać tak dobitnych argumentów, celem rozproszenia ich, jak to następnie starał się uczynić w świetnej mowie Aleksander Linowski podczas uroczystego posłuchania, danego deputacyi litewskiej, na radzie konfederacyi generalnej.

Do agitacyi politycznej na rzecz Aleksandra wciągnięto nawet kobiety. Pani Zofia Potocka, wdowa po Szczęsnym, w licznym otoczeniu swego dworu w r. 1811 odbyła podróż większą po ziemiach Podola, Ukrainy i Wołynia, propagując wszędzie idee antynapoleońskie i zalecając powierzenie losów narodowych w ręce łaskawego cesarza Rosyi. Piękna pani Naryszkinowa, urodzona Czetwertyńska, znana powszechnie z przyjaźni żywionej dla niej przez Aleksandra, opuściła na kilka miesięcy Petersburg, i otoczona tłumem wielbicieli, odwiedziła w tym samym celu prowincye południowe. Panie owe usilnie starały się nakłonić młodzież możniejszą do wstępowania w szeregi rosyjskie, wystawiając szczególną predylekcyę cesarza do Polaków, której dały już oddawna namacalne dowody, gdyby nie to, że okoliczności obecne i wzgląd na Napoleona stoją temu dotąd na przeszkodzie ¹⁾.

Mimo wszystkich tych usiłowań, entuzjazmu, jaki spodziewano się wywołać dla Aleksandra i idei polsko-rosyjskiej, nie rozpalono nigdzie. Poza nieliczną górką magnateryi litewskiej, ogromna większość wierzyła w Napoleona; gwiazda jego, jak mniemano, ciągle podnosząca się, choć naprawdę już chyląca się do swego zachodu, pociągnęła za sobą naród. Starodawne sympatyje dla Francyi, odnowione z nią na tyłu polach bitew, brater-

¹⁾ Margueron, III, 484: Exposé, donné par un officier venu de la Wołhynie, le 21 décembre 1811.

stwo broni, powinowactwo cywilizacyjne, przedewszystkiem zaś widok realnych zdobyczy narodowych Księstwa Warszawskiego: wszystko to razem wywierało ciśnienie tak silne, jakiego doraźna agitacya przeciwna, przeważyc nie była w stanie¹⁾. Były całe, a liczne i wpływowe, rodziny średnioszlacheckie, jak Prozorów, Giedroyciów, Sołtanów i innych, które uchodziły za bezwarunkowych stronników Napoleona, widziały w nim jednym dźwignię przyszłości Polski. Nie brakowało wśród nich uczestników Sejmu Czteroletniego i insurekcyi Kościuszkowskiej, weteranów służby publicznej, do których łatwo trafiały echa wielkich nadziei narodowych, żywionych w Warszawie. Do nich też zwracano się stamtąd z wymownym apelem; do nich odwoływał się stary Wybicki, starając się natchnąć ich tą ufnością, jaką sam żywił do Napoleona „lekarza chorób i cierpień wspólnych im wszystkim“²⁾. Młodsza generacya, gorętszego temperamentu, zapatrywała się na przykłady takie, jak ks. Dominika Radziwiła, Paca, Tyszkiewicza Tadeusza, służących w wojsku Księstwa, albo Matuszewicza, Aleksandra Chodkiewicza, ks. Aleksandra Sapieli, odgrywających tam wybitną rolę polityczną. Z drugiej znów strony stwierdzić należy, że wczesna emigracya, a stąd nieobecność tych świątłych i patryotycznych czynników na Litwie, o tyle niepomysłnie odbiła się na stanie opinii litewskiej, że na miejscu zostawiła pole otwarte dwuznacznej działalności Ogińskiego i towarzyszków, ludzi, którym nie-

1) Br. Zaleski—Karol Kniaziewicz, Roczn. T. H. L., 1866, I, 49.

2) „Uzucia moje nie mają języka, ani pióra. Najszanowniejszy mój Przyjaciel żyje i o mnie pamięta. Westchnąłem na widok jego ręki i dziei i noc napróżno szukałem Go uściskać. Prawda, lat przeszło 60 liczę, jednakże dla mojej pociechy, powiadam sobie, nie umrę, pokąd go nie obaczę, nie uściskam. Szanuj tylko dni życia swego, bądź spokojny, niech oddala roztropność przyczyny choroby, która go zwykła męczyć. Alboż się znajdzie lekarz i lekarstwo, które cierpieniom Jego koniec przyniosą. O gdyby ręka przyjaciela najwierniejszego mogła mu go przystawić. Czynie więc będę wszystko, jak znajomec jego choroby, mogłem mu donieść od najslawniejszych lekarzy zdania. Prośba więc moja cała, nie oddawaj się najszanowniejszy z ludzi rozpacy. Cierp bóle i paroksyzmy z męstwem i cierpliwością, w ufności, że jest przyjaciel, który mu, co tylko być może po ludzku, ulgę przyniesie zechce. Wszakże mu wiadomo, jak i moja choroba zdala się być nieuleczoną, przecież zdrowszy jak nigdy zostaje—opowie mu to oddawca listu, z którym rozmawiając, przypuszczałem słodką iluzję, że mówię z moim najdroższym, najszanowniejszym do grobu, do ostatniego tchu Przyjaciela.“ List senatora Wybickiego do Prozora b. Oboźnego, bez daty, Arch. Prozora, Bibl. Jagiel., 5802.

podobna odmówić dobrej znajomości spraw krajowych i sporej dozy rzutkości, ale którzy niedość wysoko pojmowali powagę sprawy wszechnarodowej. Pozatem psychika wielkich mas szlacheckich na Litwie i Rusi była raczej bierna w stosunku do aktualnych zagadnień politycznych. Ta okoliczność w połączeniu z uczuciem rozdwojenia, jakie bądźco bądź wywołała akcyja petersburska w przeciwstawieniu do warszawskiej, tłómaczy poniekąd, że usiłowania litewskie w r. 1812 cechuje taki brak ofiarności obywatelskiej większej miary i że wydały one, w stosunku do ogromnych wymagań chwili, tak śmiesznie małe rezultaty.

W każdym razie jednak można było już wówczas, w przeddzień wybuchu wojny, mieć pewność, że mowy być nie może o tem, aby Litwini zbrojnie poparli projekty cesarza Aleksandra; mimo całej apatyji większości, mimo chęci utrzymania *status quo*, mimo gorączkowych usiłowań z Petersburga inspirowanych, łatwo można było przewidzieć, że z chwilą wkroczenia wojsk Napoleona na Litwę i rzucenia hasła odbudowania Polski, wszystko oświadczy się za nim. Zdawał sobie z tego sprawę cesarz Aleksander; to też w ostatniej chwili, przystępując już do nadchodzących działań wojennych, raz jeszcze zmienił swoje względem Polaków postępowanie, mianowicie, od środków kaptujących przeszedł wprost do środków prezerwatywnych administracyjno-wojskowej natury.

Reskryptem cesarskim z dn. 21 marca do ministra policyi szczególnie nadzór został rozciągnięty nad guberniami pogranicznymi: „Okoliczności chwili obecnej — głosił reskrypt — wymagają szczególnej bacności na sposób myślenia obywateli ziemskich i innych klas ludności pogranicznej. Skutkiem czego zaleca się gubernatorom cywilnym wymienionych gub. mieć ścisły dżózór nad postępowaniem mieszkańców oraz natychmiast przesłać ministrowi policyi spis osób niepewnych z podziałem na 2 kategorye: do pierwszej zaliczeni być mają wątpliwi, do drugiej całkiem podejrzani; w tem wszystkim zaleca się postępować z ostrożnością i rozważnością¹⁾. Pierwszy pośpieszył z raportem Komburlej Wołyński; donosił on, że najbardziej buntowniczo są usposobione gubernie Podolska, Mińska i Litewska, dla utrzymania w spokoju ludności uważał za konieczne rozszerzenie władzy gubernatorów, pozostawiając im, w razie jakowych niepokojuw, moc działania stosownie do okoliczności, oraz asygnowania nadzwyczajnej sumy pieniężnej dla zjednania zaufania ludności i pomocy z jej strony w wykry-

1) „Ruskaja Staryna,“ CXII, 227.

waniu politycznych przestępstw. Łatwo odgadnąć, że istotnym przeznaczeniem tych pieniędzy miała zostać kieszeń nienasyconego Komburleja. Przychylając się do tego wniosku, Komitet ministrów 27 kwietnia postanowił w drodze nadzwyczajnej udzielić w guberniach pogranicznych do rozporządzenia gubernatorom sumę 10 tysięcy rubli oraz zalecił dla powściągnięcia buntowniczego usposobienia ludności używać wszelkich środków, jakich okoliczności będą wymagały. Raporty innych gubernatorów mniej więcej zgadzały się pod tym względem, że tymczasowo panuje w prowincjach zachodnich spokój, ale z chwilą ustąpienia wojsk rosyjskich wszystko zwróci się tutaj przeciw Rosyi. Gubernator litewski pisał 13 kwietnia, że większość szlachty wileńskiej jest wrogo usposobiona względem rządu, a i reszta jest chwiejna i niepewna. Gubernatorowie stwierdzali jednomyślnie, że tylko ludność żydowska okazuje przywiązanie do Rosyi, że w obawie najścia nieprzyjaciół gminy żydowskie zarządziły post i modły o powodzenie rosyjskiego oręża.

Tymczasem 26 kwietnia cesarz Aleksander, uroczyście witany przez liczne tłumy ludności, wjechał w bramy stolicy Gedymina. O wjeździe tym monarchy do Wilna tak świetnym pisał górnołotnie „Kuryer Litewski“: „Najwyższe i najpożądańsze oczekiwanie nasze spełniło się w dniu dzisiejszym. O godzinie w pół do 3-ej z południa ujrzeliśmy w murach naszych ukochanego Monarchę. Stokrotny wystrzał z dział i uderzenie w dzwony obwieściło ten szczęśliwy wypadek“¹⁾. Cesarz, otoczony świetnym orszakiem generałów i adjutantów, wjeżdżał konno z przedmieścia Antokolskiego. Cudny łańcuch wzgórz, ciągnący się wzdłuż gościńca, okryty był mnóstwem ludu różnego stanu. Spotkany na przedmieściu przez obywateli miejskich z magistratem na czele, jechał cesarz dalej, mijając uszykowane cechy rzemieślnicze z rozwiniętymi sztandarami, lud izraelski w staroświeckich nawpół wschodnich strojach, poprzedzany przez rabinów, niosących przykazania moźżeszowe i ofiarowujących cesarzowi chleb i sól na srebrnej tacy, wreszcie przed Katedrą oczekujące go licznie zebrane duchowieństwo z kapitułą na czele. Tu się zatrzymał cesarz dla ucałowania Krzyża Świętego i ruszył dalej do pałacu generał-gubernatora przy dźwiękach muzyki wojskowej i hucznych okrzykach ludu: „Niech żyje Imperator!“ W pałacu wreszcie był powitany przez władze z gubernatorem, szlachtę z marszałkiem Sulistrowskim i uniwer-

¹⁾ „Kuryer Litewski,“ 1812, № 34.

sytet z rektorem Śniadeckim na czele. Nie przypuszczano jeszcze podówczas w Wilnie, choć wiadano o napięciu stosunków francusko-rosyjskich, że wojna tak rychło wybuchnie i że po dwóch zaledwo miesiącach wypadnie w tem samem mieście witać Napoleona.

Z pobytu Aleksandra w Wilnie wysnuwano za granicą Litwy najfantastyczniejsze wnioski i hipotezy. W Warszawie mówiono, jako o rzeczy pewnej, o ogłoszeniu się Aleksandra królem polskim, o tworzeniu przez niego konfederacyi i t. p. ¹⁾ Sam nawet ks. Adam, któremu więcej, niż komukolwiek były w tym względzie wiadome zamiary Aleksandra, ulegał tymże złudzeniom; w jednym z listów ówczesnych do przyjaciela pisze on między innemi: „Mówią, że W. Ks. Michał mianowany jest W. Księciem Litewskim i że na jego imię przysięgi i podpisy zbierają. Jest to dobry znak, że Moskwa już chce sama ustanawiać odrębnego mocarza w swoich dotąd prowincjach, ja w tem widzę podobieństwo szczęśliwych na przyszłość skutków i pierwszy krok uczyniony do szczęśliwego da Bóg pokoju, bo wiele zyskalibyśmy, żeby przyszło negocyować tylko o osobie, która zasiądzie na naszym tronie, a nie już o rozdziale zupełnym i niepodległości tronu“ ²⁾.

W Wilnie tymczasem zgoła nie myślano o podobnych aktach realnych, odbywały się tam świetne bale, urządzone na cześć cesarza, na których Aleksander rozwijał pełnię swych zalet towarzyskich, czarując niemi serca Litwinów i Litwinek, licznie zebranych podówczas w Wilnie. Zebrano marszałków gubernialnych z 3 litewskich gubernij. Sulistrowski z Lubeckim dostali ordery Św. Amy I klasy; kilku młodych magnatów otrzymało klucze szambelańskie i ordery, niektóre panie z towarzystwa litewskiego mianowano damami dworu ³⁾. To było wszystko. „Wszystko głucho, bo wszystko się waży i dojrzewa, daj Boże, żeby się nie przestało,“ pisał bezimien-ny korespondent wileński do Puław pod d. 23 kwietnia ⁴⁾. O wiel-

¹⁾ L'Empereur Alexandre arrivé à Vilna a assemblé osoby, o których już wiedzieliśmy pour former une espèce de Confédération. Ces messieurs ont demandé qu'il fût venir le Prince Adam, mais l'Empereur a répondu: „Le prince Adam m'a donné mille et mille preuves de son dévouement et de son zèle. C'est à moi à lui témoigner ma reconnaissance en ne pas l'appelant à présent.“ Z listu majora Orłowskiego przysyłającego tę wiadomość od jenu. Roźnieckiego. Arch. Czartor. 5476.

²⁾ Ks. Adam do Kropińskiego 9 lipca 1812 r., arch. ks. Czartoryskich, 5535.

³⁾ „Kuryer Litewski,“ 1-12, № 37 i następne.

⁴⁾ Dębicki, Puławy, II, 147.

kich planach, snutyh przez cesarza łącznie z Ogińskim podczas r. 1811 i w początkach 1812, nie było mowy obecnie; są wprawdzie pewne wskazówki, że myśl poruszenia sprawy polskiej nie opuszczała jeszcze i wówczas Aleksandra; wtedy to mianowicie polecił on hr. de Maistre napisanie manifestu o wskrzeszeniu Królestwa Polskiego w maju 1812 r.¹⁾ W oświadczeniach jednak swoich, czynionych wobec zebranych tutaj Litwinów, a oczekujących z niecierpliwością kroków stanowczyh, cesarz nie poruszał zupełnie tych spraw. Później jeszcze, podczas ostatnich godzin swej bytności w Wilnie, wyraził przybyłemu dopiero wówczas Ogińskiemu żal, że z powodu braku czasu był zniewolony zrzec się kilku projektów swoich względem Litwy, nie powiedział jednak, na czym miały one polegać. W źródłach rosyjskich²⁾ są wzmianki, że na zaniechanie planów litewskich Aleksandra, wpłynęły wrogie przedstawienia i wpływy W. Ks. Konstantego i Szyszkowa. Mogły zresztą oddziaływać też na to wpływy innych przytomnych wówczas doradców cesarza, a w szczególności przybyłego wtedy do Wilna barona Steina, gorącego przeciwnika myśli odbudowania pod berłem Aleksandra Polski. Ale koniec końcem wielkich wpływów nie było potrzeba, skoro nie było naprawdę odpowiedniej decyzji ze strony samego cesarza.

W parę dni po przybyciu do Wilna, Aleksander przyjął deputacyę obywateli wiejskich z ks. Lubeckim i Sulistrowskim na czele; deputacya przybyła z wynurzeniem uczuć wiernopoddańczyh oraz oświadczyła gotowość dostarczenia wojskom rosyjskim wszystkiego, czego one potrzebować będą, całkiem bezinteresownie. Cesarz podziękował w kilku słowach polskich, przyrzekł zamianować z pomiędzy Litwinów komitet, któryby się zajął repartycyą żywności. Podobny komitet był utworzony poprzednio, podczas wojny 1807 r., przez magnatów prowincyj południowych i poczynił wtedy całkiem bezpłatnie milionowe dostawy dla armii rosyjskiej. Komitet terażniejszy, do którego weszli: Wawrzecki, Plater Ludwik, oraz marszałkowie gubernialni: miński Rokicki, wileński Sulistrowski i grodzieński ks. Lubecki, miał obowiązek niezwłocznie zająć się wszelkimi dostarczeniami do armii w tych 3 guberniach,

¹⁾ De Maistre do króla sardyńskiego, 27 mai (8 juin) 1812: „L'Empereur m'a demandé le plan d'un édit pour le rétablissement du royaume de Pologne et d'un manifeste pour l'annoncer: je l'ai fait. Je ne vois pas cependant que pour le moment il faille s'attendre à aucun résultat.”

²⁾ Popow, z epoki wojny 1812 r., „Ruskij Archiw,” 1892, I, 148.

z pominięciem zupełnem urzędników intendentury, osławionych ze swoich nadużyć. Członkowie tego komitetu wzięli się z zapalem godnym lepszej sprawy i w bardzo krótkim czasie, mimo zeszłorocznego głodu, powszechnego niedostatku pieniędzy i braku upręży, potrafili zgromadzić znaczne zapasy żywności i furażu. Ta gorliwość usłużna, a raczej karygodna lekkomyślność w wyzbywaniu się produktów w przededniu wojny, wydać się musi tembardziej uderzającą, że armia rosyjska wcale nie potrzebowała podobnej ofiarności, mając oddawna doskonale zaopatrzone olbrzymie magazyny zapasowe. Z drugiej zaś strony ta źle unieszczo-
na hojność, objawiona podówczas przez Litwinów, miała się wkrótce bardzo boleśnie pomścić z chwilą wkroczenia półmilionowej armii napoleońskiej, kiedy nowe dostarczenia stały się nieodbitą koniecznością. Rządowi rosyjskiemu w ten sposób niewątpliwie dogodzone, i to nietylko w znaczeniu pozytywnem, gdyż, jak się rzekło, mógł on przy swoich pełnych magazynach obejść się bez dostarczeń darmych litewskich, ile w znaczeniu negatywnem, gdyż ułatwiono już z góry w ten sposób ogołocenie i ogłodzenie jak największe kraju, oddanego wkraczającemu nieprzyjacielowi. Wystarczało albowiem tylko spalić nagromadzone w kilku punktach zasoby całego kraju, aby uniemożliwić lub przynajmniej znakomicie utrudnić utrzymanie się armii nieprzyjacielskiej w wypróżnionych guberniach. Że taki, a nie inny cel miano na względzie, świadczy okoliczność, że kiedy wojska Napoleona przeszły już Niemen i armia rosyjska była w pełnym odwrocie, nie przestawano jeszcze wybierać od obywateli należnej żywności; to też aż do samej prawie chwili zajęcia¹⁾ Wilna przez Francuzów, magazyny rosyjskie były napełniane i dopiero w ostatniej chwili zostały podpalone przez kozaków.

Na wypadek cofnięcia się wojsk rosyjskich z Litwy w głąb Rosyi, wydano cały szereg tajnych instrukcyj do gubernatorów względem postępowania ich w tej okoliczności. Mianowicie, zaleconem zostało²⁾ przy pierwszym zbliżeniu się nieprzyjaciela wywozić do miejsc bezpiecznych, a w każdym poszczególnym razie wskazanych, kasy rządowe, oraz część archiwów z rozmaitych urzędów, w szczególności wszystko, co mogłoby dać jakoweś informacje

¹⁾ „Wiadomość o stanie finansów,“ Arch. Prozora, T. V, Bibl. Jagiel., ms. 5802.

²⁾ „Siekretnaja pierepiska słonimskawo Isprawnika za 1812,“ ms. Bibl. Publ. Wil., № 176.

o kraju, jako to: plany, mapy, lustracye o liczbie dusz z lat 1795, 1800, 1811, taryfy podatkowe, inwentarze dóbr rządowych i pojezuickich i t. d., słowem wszystkie te wiadomości, na których podstawie nieprzyjaciel mógłby nakazywać dostarczenia; nadto w szczególnej pieczy należy mieć akta komisyj do poboru rekrutów i wszelkie informacye, dotyczące powinności wojskowej. Przepisano zawczasu najściślejszą tajemnicę, bez zwrócenia najmniejszej uwagi mieszkańców. Równocześnie wszyscy urzędnicy przy pierwszym zbliżeniu się nieprzyjaciół winni opuścić miasto i skierować się do wyznaczonych poprzednio miejscowości, nie wyłączając nawet niższych urzędników kancelaryjnych. Dla urzędników gubernii Grodzieńskiej wyznaczono, jako punkt zborny, Psków.

Rzeczą jest ze wszech miar godną uwagi, że Komitet, zajmujący się dostawami żywności dla wojska, a przynajmniej większość jego członków, najwidoczniej nie przypuszczał zgoła możliwości dobrowolnego opuszczenia Litwy przez Rosyan i pracował z ogromną energią, wynikającą oczywiście z przypuszczenia, że Litwa będzie dopiero punktem wyjścia wielkiej akcji zaczepnej Aleksandra, t. j. opierał się na przypuszczeniu, odpowiadajacem wprawdzie dawniejszym zamierzeniom cesarza, lecz w obecnej chwili wręcz przeciwnem rzeczywistości. Najwidoczniej ze strony rządu starano się podtrzymywać podobne złudzenie. W rzeczy samej Komitet w samym Wilnie w magazynach tamiecznych nagromadził żywności i furazu na jeden miesiąc dla 8 dywizyj piechoty i 4 jazdy ¹⁾. Wszystko to padło pastwą płomieni z chwilą ustąpienia Rosyan z Wilna. Świadczy to nader niepochlebnie o przenikliwości ówczesnych działaczy litewskich, jak: Wawrzecki, Lubecki, Sulistrowski i inni, na których też, pomimo ich dobrych chęci, spada niemała część odpowiedzialności za pewne przynajmniej ujemne warunki kampanii 1812 r., z uwagi zarówno na оголоzenie Litwy ze wszelkich zasobów, jakoteż i na rozdzielenie opinii miejscowej.

Dnia 24 czerwca odbył się w uroczym Zakrecie, pod Wilnem, wspaniały bal, który miał zostać poniekąd historycznym. Podczas tego balu otrzymał Aleksander doniesienie o przeprawie Napoleona przez Niemen; zataił jednak tę wieść doniosłą, nie chcąc mącić powszechnego wesela, panującego na zabawie. Trudno opisać zamieszanie, jakie ogarnęło nazajutrz Wilno; dwór, dygnitarze i urzędnicy rosyjscy, jako też część „towarzystwa“ polskiego,

¹⁾ „Siekretmija pierepiska słonimskawo Isprawnika,“ ms. Bibl. Publ. Wileń. № 176.

związanego z dworem rosyjskim, śpieszyli jak najrychlej opuścić miasto. Zamęt trwał kilka dni; 26 w nocy Aleksander opuścił Wilno; wyjeżdżając, rozkazał osobom, składającym Komitet do repartycyi żywności, udać się do Petersburga i oczekiwać tam dalszych rozkazów. W ten sposób usuwano z kraju ludzi, których talenty, wpływ i dokładna znajomość stosunków krajowych mogły stać się cennym nabytkiem dla rządu, ustanowionego na Litwie przez Napoleona. Położenie zaś, w jakim znaleźli się w Petersburgu ci przymusowi zakładnicy, nie należało zgoła do przyjemnych. Przemocą usunięci z kraju, zawiedzeni w swoich nadziejach, pokładanych w Aleksandrze, potępieni, jako zdrajcy, przez Napoleona, musieli w męczącej bezczynności spoglądać na patryotyczne wysiłki narodu, powołanego do broni przez Konfederacyę Generalną. Opuszczając Wilno, byli świadkami, jak owoce ich prac i poświęceń, ogromne magazyny z żywnością, stawały się pastwą płomieni. Zdawać mogli podówczas sobie sprawę, jak niezaszczytą, koniec końcem, odegrali rolę.

Już w nocy z 27 na 28 czerwca 1812 r. ostatnie oddziały armii rosyjskiej opuściły Wilno. „Nie było prawie nikogo z mieszkańców—opisuje te chwile świadek naoczny ¹⁾—któryby zmrużył oko tej nocy. Nie było wprawdzie żadnych hałasów na ulicy, ale właśnie wśród nocy ponury szczełk broni, tentent koni i głuchy turkot ciężkich armat po kamieniach bruku toczących się i kiedy-niekiedy dający się słyszeć przytłumiony głos dowódcy: miały w sobie coś przenikającego (grozą) dla spokojnych mieszkańców, którzy przy zgaszonym świetle i zamkniętych oknach przysłuchywali się temu wszystkiemu, korzystając tylko z blasku gwiazd i księżyca. Nad rankiem zwolnił nieco przechód wojska, a po siódmej rano była nawet chwila zupełnej ciszy. Lecz o ósmej ostatnia tylna straż armii rosyjskiej pod dowództwem księcia Szachowskiego zaczęła ustępować przez miasto na Antokol. Szli naprzód strzelcy piesi, a raczej biegli klusem, żeby nie być zaskoczonymi od nieprzyjaciela w tych ciasnych ulicach. Potem następowała konna artylerya z kilkunastu dział lekkich złożona, nakoniec zamykała oddział jazda huzarów i czerwonych kozaków gwardyi, z których każdy trzymał w ręku pistolet z odwiedzionym kurkiem i pod nim zwieszoną na temblaku wydobytą z pochew szablę. Oddział ten był właśnie pierwszym, co się stał z Francuzami na drodze między Rykontami a Wilnem. Pochód taki trwał

1) Michał Baliński, „Wilno w r. 1812,“ ms. Bibl. Jagiell., № 3037.

zaledwo pół godziny i potem zrobiło się zupełnie głucho i pusto na ulicach. Żywego ducha nie było widać nigdzie, wszyscy czuli, że w tak stanowczej chwili niebezpiecznie byłoby zamieszać się między tych, którzy co moment mogli z sobą przyjść do walki. Część ludności nie śmiała wychylić się z domów, a młodszy i odważniejsi byli już na Pohulance, aby zobaczyć Napoleona, a obok nich i rodaków swoich. Ale za miastem wkrótce potem, bo o 9-ej rano, ukazał się widok, przerażający mieszkańców Śnipiszek: kozacy zapalili wielkie magazyny zboża przygotowanego dla wojska rosyjskiego oraz Zielony most obwiązany już dniem pierwszej słomą i oblany smołą. Gęste dymy rozległego pożaru rozwinęły się czarnymi kłębami od ostatnich domów Śnipiszek aż do wzgórków Kalwaryi.

Stan ciszy i odretwienia jakiegoś trwał blisko godzinę. Wtem o 10 rano dwóch kozaków z białymi kołnierzami sadziło kłusem z Biskupiej ulicy przez Świętojańską ku Zamkowej. Byli to właśnie jedni z tych, którzy podpalili most Zielony, a nie znając dobrze miasta, zbłąkali się, nie wiedząc, jak się stamtąd dostać na Antokol za całą armią. Nagle powstały krzyki około Kardynalii, i kozacy cwałem zwrócili się do ulicy Biskupiej. Dwóch strzelców konnych francuskich popędziło za nimi i pod samym pałacem wzięło ich w niewolę, bo już odwrót na Antokol był przecięty przez ułanów polskich Pułgowskiego i strzelców konnych francuskich.“

O 12-ej w południe, poprzedzany przez ułanów polskich pod dowództwem potomka dawnych wojewodów wileńskich, wjechał Napoleon do Wilna, witany tysięcznymi okrzykami ludu: „Niech żyje wielki Napoleon!“

Tegoż dnia na Sejmie nadzwyczajnym w Warszawie proklamowano uroczyste przywrócenie Królestwa Polskiego i połączenie Narodu Polskiego w jedno napowrót ciało w całkowitych obrębach dawnej Rzeczypospolitej, w niepodzielnem zjednoczeniu Korony i Litwy¹⁾.

JANUSZ IWASZKIEWICZ.

1) Bliższe przypisy i dowody ogł. będą w większej pracy autora o „Litwie w 1812 r.“ która ukaże się jako T. IX Monografii w zakresie dziejów nowożytnych, wyd. przez prof. Szym. Askenazego.

NIEZNANY DZIENNIK PODRÓŻY

do Ziemi świętej

J. Słowackiego.

Między pamiątkami po twórcy Chorału, troskliwie przechowanymi przez syna jego, Romana Ujejskiego, znajduje się dzienniczek podróży, który z autografem wiersza: „Smutno mi Boże“ i fragmentem „Króla Ducha,“ ofiarował Słowacki swemu ulubionemu uczniowi, na pamiątkę. Na podstawie tej nieznanej badaczom spuścizny Juliusza, przy pomocy jego Listów i Pamiętników¹⁾ pragnę odtworzyć jedną kartę z życia poety, pełną rzewnych wspomnień.

Od dawna było pragnieniem Słowackiego, który wiary, zaszczeplonej w dzieciństwie, nigdy nie zatracił zupełnie, poznać miejsca zroszone krwią męczeńską Chrystusa, uświęcone nauką, co jak rosa niebieska używiła spiekły ugor bezdomnych i wydziedziczonych. Donosząc matce z przystani morskiej z Otranto (w Kalabrii), dnia 26 sierpnia 1836 r. że wybiera się w „pobożną wędrówkę przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem,“ puszczał się Słowacki w daleką i uciążliwą drogę, w „świat nieznamy, pełny niebezpieczeństw.“ Poetę-melancholika, co „rozpaczy pokłonem bił przed Bogiem,“ wyгнаł smutek, pędziło „serce pełne łez i boleści,“ szu-

¹⁾ Porównaj Wrażenia z podróży J. Słowackiego na wschód. Bibl. Warsz. 1891 IV. 336 L. Meyet J. Słowacki, Bibl. Warsz. 1893 II. 182. F. Hörsiek. Życie J. Słowackiego, Kraków, 1897. T. II, str. 268. A. Małeckii, J. Słowacki, wyd. B. Gubrynowicz, Lwów, 1901. T. II, str. 81.

kające w „ognistych wzruszeniach“ ukojenia. *Podróż do ziemi św.*, odślaniająca rąbek bezbrzeżnie smutnej duszy poety, tłumaczy przyczynę wyjazdu. Kroczący przez życie, jak przez pustynię, uciekał przed własną myślą w świat nowy, w nadziei, że mu tam „lepiej będzie.“

Zwiedziwszy Grecyę, zbliżał się do celu swych marzeń. Dopływając dnia 19 października 1836 do Aleksandryi, na widok zachodu słońca we wschodniej purpurze, na cichej fali morza śródziemnego, napisał wspaniały hymn: „Smutno mi Boże,“ którego pierwszy rzut — dotychczas nieznany — opiewał jak następuje:

DO MATKI MOJEJ¹⁾.

*Na morzu śródziemnym, 19. octobr. (1836 *)*

Matko moja! Twe dziecko, noszone na rękę,
Widziało zachód słońca, na który proroki
Patrzali pełni luteń Dawidowych dźwięku.
Widziałem roztopione w promieniach obłoki
Wielką tęczę kolorów i krąg słońca biały,
Rzucający po niebie wielkie światła strzały.
I w myśli mojej było jedno czucia mgwienie,
Rozprysnione na wieczność, jak słońca promienie.
Niech będzie życie pełne chwil takich, a prześnięć
I zbudzę się u Boga, nie wiedząc, że byłem
(W innym świecie . . . i że mnie obudził za wcześnie)
Zbudzony — ani spytam, dla czego tak wcześnie.

I wieczność mi się w tem słońcu przyśniła,
Jako orłowi, co ku niemu lata,
Myśląc, że będzie tam orłów mogiła
Lub gniazdo dzieci . . . *)

*) Taki był pierwotny napis wiersza, zmieniony w drugiej redakcyi (ogłoszonej w podobiznie w wyd. Dzieł Słowackiego, Lwów, 1894 III) na „Hymn o zachodzie słońca na morzu.“ W Tygodniku literackim Woykowskiego z 6 maja 1839, gdzie go poraz pierwszy wydrukowano, ma tytuł „Hymn.“

*) W autografie tego wiersza (włas. A. Małeckiego) w drugiej redakcyi: „D. 20. paździer. dopływając do Aleksandryi 1836.“ W Tygodn. liter. (III redakcyja 1839). „Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandryą.“

*) Oba ustępy przekreślone w autografie. Po nich poczyna się właściwy „Hymn.“

Smutno mi Boże — Dla mnie na zachodzie
 Rozlałeś blasków tęczę ¹⁾ promienistą,
 Przedemną widzę w szafrowej wodzie ²⁾
 Gwiazdę ognistą . . .
 Lecz chcesz niebo ozłocić i morze, ³⁾
 Smutno mi Boże . . .

Jak puste kłosa z podniesioną ⁴⁾ głową
 próżen i dosytu
 Stoję rozkoszy (tego świata próżny),
 Ale dla ludzi
 (A dla mych bliźnich ⁵⁾ mam twarz jednakową:
 Ciszę błękitu —
 Ale przed Tobą głębi serca otworzę:
 Smutno mi Boże . . .

(Jak dziecko płacze za matką)
 matki odejściem się żali
 Jako za (matką odchodzącą z domu ⁶⁾
 Mała
 Płacze) dziecina . . . tak ja, płaczu bliski,
 Patrząc za słońcem ⁷⁾, co mi rzuca z fali
 Ostatnie błyski . . .
 Choć wiem, że jutro załśni ⁸⁾ nowe zorze,
 Smutno mi Boże . . .

Wczoraj ⁹⁾ na wielkiem morzu obłąkany,
 Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,

¹⁾ Poprawiono w drugiej redakcyi na „tęczę blasków.“

²⁾ Przedemną *gasisz w lazurowej* wodzie. Epitet: „szafirowy“ przyjęty i przekreślony w drugiej redakcyi.

³⁾ W drugiej redakcyi: „Chcesz tak niebo ozłocić i morze,“ poprawiono ostatecznie: „Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze.“

⁴⁾ Przez omyłkę napisał poeta w drugiej redakcyi „z pochyloną“ i przekreśliwszy przywrócił także „z podniesioną.“

⁵⁾ W drugiej redakcyi: „Dla obcych ludzi.“ Słowa wzięte w nawias przekreślił poeta, a dopisał u góry wyrazy, zostawione na tem samym miejscu.

⁶⁾ Poprawka drugiej redakcyi: Jako na matki *odejście* się żali.

⁷⁾ Patrząc na słońce (II red.).

⁸⁾ Popraw. II red. „błyśnie.“

⁹⁾ *Dzisiaj* (II red.).

*Widziałem w szarem¹⁾ powietrzu bociany,
 Spięte szeregiem . . .²⁾
 Żem je znał (kiedyś³⁾ dzieckiem⁴⁾ na polskim ugorze,
 Smutno mi Boże . . .*

*Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
 (Żem się z grobami więcej niż w ojczystym
 Bawił domu . . .)
 Żem nie znał prawie ojczystego domu⁴⁾ . . .
 Żem był jak człowiek, co się (przeciw⁵⁾ w drodze trudzi
 Przy blaskach gromu . . .
 Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
 Smutno mi Boże . . .*

*Ty będziesz widział moje białe kości
 (Na każdym polu . . . gdzie je wiatr rozsypie)
 W straż nie oddane kolumnowym czołom,
 Alem jest jako człowiek co zazdrości
 Mogił (prochom) popiołom —
 Więc, że mi błędne gdzieś gotujesz⁶⁾ łożę⁷⁾
 Smutno mi Boże . . .*

*Kazano⁸⁾ w kraju niewinnej dziecinie
 Modlić się za mnie codziennie, a ja przecie
 (Błądząc samotny . . . i mój okręt)
 Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
 Płynąc po świecie . . .
 Że ta modlitwa⁹⁾ dziecka nic nie może,
 Smutno mi Boże . . .*

1) *Spotkałem lotnie w powietrzu* (II red.).

2) *Długim szeregiem* (II red.).

3) W drugiej redakcyi przywrócił poeta przekreślony wyraz „kiedyś” zamiast „dzieckiem.”

4) W drugiej red. *Żem nie znał prawie rodzinnego domu*. W druku: „*Żem prawie nie znał rodzinnego domu*.” Czy ta przestawka (od pierwotnej składni słabsza) nie jest omyłką druku?

5) Poprawka II red. na „pielgrzym” zaczęty zwrot „przeciw” (fali) przekreślony.

6) „*Więc że nieznane gotujesz mi łożę*” (II red.). „*Więc, że mieć będę nie-spokojne łożę*” (III red.).

7) W II red. „*Mówiono*” przewrócił także pierwotne brzmienie: *kazano*.

8) *Więc że modlitwa* (II red.).

(*Więc niech się przecie i żałośna skarga
 Roztopi w tęczy olbrzymiej zachodu,
 I niech ją wichry z chmurami rozstarga*)
*(Że na to słońce, rozlane ogromnie
 W tęczy szafirze i w złotym błękicie,
 Nowi śmiertelni sto lat będą po mnie
 Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
 Patrzeć w zachwycie — ¹⁾
 Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
 Anieli twoi w słońcu ²⁾ rozpostarli,
 Patrzący marli —
 Nim się przed blasków wiecznością ³⁾ ukorzę,
 Smutno mi Boże . . .*

Podróż po Egipcie miała się ku końcowi. Odbywszy 1 stycznia 1837 ostatni dzień kwarantanny w El-Arish, wyjechał nazajutrz do Gazy, leżącej na drodze z Kairu do Jerozolimy. Puścił się przez pustynię z dwoma służącymi w towarzystwie beduinów, niesiony jakby w lektyce przez wielbłąda, który szedł wolno, pasąc się „wonnym tamaryntem.“ Życie stepowe, rozstaczało przed poetą swoje czarujące wdzięki. Brodzące w piaskach afrykańskich nęci „ziemia zieleniejąca się,“ podziwia kwiaty w „rodzaju hiacyntów,“ przypatruje się sztukom derwiszy, zawiązuje rozmowę z Francuzami, odbywającymi podróż do Palestyny,—wreszcie dnia 4 stycznia 1837 przyjeżdża do Gazy, pierwszego większego miasta w Palestynie. Wrażenia tej podróży notował jeszcze w Pamiętniku, będącym dziś własnością L. Meyeta (zobacz Listy Słowackiego. Lwów, 1899 II. 41). Za przybyciem do Ziemi św. zapisuje w osobnym Dzienniczku, ołówkiem, dziś mocno startym. *Noty podróży w Palestynie i Syryi*, zaczynając je właśnie od przyjazdu do Gazy dnia 4 stycznia 1837.

Gaza, niegdyś stolica Filistynów, odwiecznego wroga Żydów, dziś miasteczko należące do paszalicu d'Acree, uderza poetę swoim charakterem wschodnim. Domy rozrzucone, jakby „w ogrodzie“ palm, oliw, granatów — ponad niemi trzyma straż oświecony minaret. Poeta przypomina sobie odpowiednie miejsce z Tassa Je-

¹⁾ Dwukrotnie rozpoczynał poeta tę ostatnią zwrotkę, ale pierwsze te rzuty przekreślił.

²⁾ W drugiej redakcyi „w niebie.“

³⁾ Zmieniono w drugiej redakcyi na „Twoją wiecznością“ i także przekreślił no i dopisano u góry: „moją nicością.“

rozolimy wyzwolonej (w przekładzie P. Kochanowskiego): „miasto na samej granicy Judei, na brzegu morskim, blisko piaszczystej pustyni...“ Rozgościł się w gospodzie, zwanej khanem. Jedyne te miejsca odpoczynku na wschodzie, służące dla obrony karawany lub dla bezpieczeństwa pielgrzymów, bywają bardzo niewytworne. Ściany z kamieni przewiewa wiatr, a dachem z gałęzi drzew lub suchego chróstu zacieka deszcz; wewnątrz bez posadzki, pełne kurzu lub błota. W podobnej „stancyjce tureckiej,“ w takim „khanie,“ rozbił swoje namioty nasz poeta. „Walterscot—powiada żartobliwie — z tej stancyjki utworzyłyby romans.“

Gdy po dwu dniach pobytu w Gązie wyjechał z tego miasta, a w drodze, wzdłuż wybrzeża filistyńskiego wypadło w chacie wiejskiej przenocować, ucieszył się, znalazłszy w izdebce gniazdo z jaskółką.

Nazajutrz trzeba było przebywając w deszcz wezbrane rzeki, dusić się w dymie podczas noclegu u Szecha.—Dało to sposobność Słowackiemu poznania zapust moślemistów. Wskutek niestałości kalendarza muzułmańskiego uroczystość ta, zwana powszechnie Bajranem, przypadła w styczniu. Po odprawieniu obrządków religijnych, z końcem postnego miesiąca Ramazanu — stąd nazwa święta ramazan — muzułmanie zabawiają się wesoło, składając sobie wzajem podarunki. „Chłopki z plackami od chat do chat przechodzą — starcy z kawafami mięsa — wszyscy robią dary jedni drugim.“ Przypomina to pocię zabawy paryskie w „dni juletowe,“ obchodzone w rocznicę zburzenia Bastyli (14 lipca 1789).

Przebywszy pola, okryte „ranunkami ognistego koloru“ (kwiatami jaskru), stanął 8 stycznia 1837 w Jaffie, będącej niejako bramą Jerozolimy. Do miasta, którego podnóże obmywają spienione fale morza, uchodził pod wonnem sklepieniem palm i cedrów, po ziemi zabieleną kwiatem drzew pomarańczowych. Z łona tego oceanu pachnących drzew i kwiatów, co okalają miasto półmilowym pierścieniem, wznosi się tarasami, jakby wschodami, Jaffa, zwana dlatego „miastem wschodów.“ Odosobniona, u brzegu wielkiej pustyni Egiptu, czyni na pocię „smutne“ wrażenie. W pobliżu portu znajduje się okazały klasztor O. O. Franciszkanów, właśnie na krótko przed przybyciem Słowackiego odrestaurowany. Od wieków opiekował się zakon św. Franciszka z Asyżu pielgrzymami do ziemi św., podejmował ich gościnnie lub oprowadzał po miejscach św. Przebywali tu czasowo syn króla mieszczańskiego Ludwika Filipa, znanego z rewolucyi lipcowej (1830 r.) i zwycięski Ibrahim pasza, co w tym właśnie czasie (1834) zajął dla Mehmet Alego Palestynę. I Słowacki zajeżdżał do hos-

pitium tego klasztoru, gdzie cały dzień (8 stycznia 1837) zabawił; oglądał tu „stancję“ dla królewicza francuskiego, i dowiedział się o „wizycie Ibrahima u księży“ Franciszkanów. Z tarasu klasztoru, leżącego nad samym brzegiem morza, podziwiał wspaniały widok na przestwór pieniającego się morza. U stóp jego ścieliły się klonby śnieżystych kwiatów, uginały drzewa z owocami złotymi, miasto portowe jaśniało w całym uroku wiosny, która tu wiecznie panuje. Stał u progu marzeń — poznał pierwszy gród, z którego od wieków tysiące pielgrzymów chrześcijańskich wylądowuje do Ziemi św.

Z zamieszkałych w Jaffie Europejczyków, zwracał uwagę powszechną wicekonsul francuski Damiani. Odbywający współcześnie ze Słowackim podróż do Ziemi św. Lamartine (*Voyage en Orient*. Bruksela 1836) i ks. Ign. Hołowiński (*Pielgrzymka do ziemi św.*, Wilno 1842) chwałą niezwykłą uprzejmość konsula w stosunkach z podróżnymi, nie tają jednak jego dziwactw, które ujawniły się nawet w ubiorze. Z pochodzenia Włoch, sercem Francuz, przez długie lata zamieszkania na Wschodzie stawszy się na pół Arabem, rozśmieszał cudackim strojem. Nosił kaftan niebieski, podbity gronostajami, przewiązany pasem karmazynowym; bez obuwia, z ogromnym trójkończastym kapeluszem (mocno wytartym), branowanym frędzlą, z dwiema kokardami po bokach, jedną francuską, drugą austriacką, na znak, że był konsulem obu mocarstw: Francji i Austrii. Słowacki wspomina o „wizycie“ oddanej staruszkowi, osiadłemu tu z rodziną, i o „ofiarowaniu“ pocie „kwiatków.“

Pobyt w Jaffie, wskutek tego, że zabawił „dzień cały w klasztorze“ Franciszkanów, zajął Słowackiemu dwa dni. Dopiero 10 stycznia puszcza się w drogę do Jerozolimy, położonej o 12 mil naszych od Jaffy. Jechało się podówczas wierzchem. Wynajmuje więc koni „po 10 piastrow za dzień drogi, a po 5 za dzień stania“ i wyrusza z towarzyszanami.

Po trzech godzinach drogi, odbytej konno, zobaczył wynurzającą się z łona ogrodów Ramlę (po arabsku: piasek), kwitnące niegdyś za krzyżowców miasto, wskutek napływu pielgrzymów, zdążających tędy do Jerozolimy, które dziś ruinami wieź tylko chyba przypominało dawną sławę. Z zabytków tego najznacniejszego niegdyś po Jerozolimie miasta Palestyny, utkwiała w pamięci Słowackiego wspaniała wieża (w stylu gotyckim) kościoła rycerzy krzyżowych. W r. 1266 zdobyli muzułmanie miasto, a mieszkańców w pień wycięli — wówczas to prawdopodobnie i „kawalerowie św. Jana“ zostali „wyrznięci od Turków,“ a Ramla nie wróciła już do da-

wnej świetności. W miasteczku tem arabskiem znajduje się klasztor Bernardynów (na wschodzie zwanych Franciszkanami), mimo pozoru twierdzy posiadający bardzo wygodną i gościnną gospodę z licznymi celami, gdzie każdemu podróżnemu zajechać wolno o każdej godzinie. Klasztor ten z ładnym ogródkiem w dziedzińcu zwiedził Słowacki. a patrząc na wspaniałą palmę, podnoszącą swój wachlarz na szczyt wysokiego tarasu, przypomniał sobie może Chateaubrianda, który tę palmę podziwiał.

Zabawiwszy z powodu deszczu dzień cały w Ramli, wyruszył Juliusz dnia 12 stycznia 1837 konno do Jerozolimy, oddalonej około ośmiu godzin. Droga do stolicy Palestyny ścieli się po wonnej i kwiecistej dolinie sarańskiej, objętej jakby ramami pasmem szarych gór. Przejeżdżając przez tę rozległą „równinę, na wstępie gór jerozolimskich“ zatrzymał się poeta przy osadzie zwanej „wioską dobrego złodzieja“ *El latrun*, od nawróconego na krzyżu łotra Dyzmy, mającego tam — wedle podania — swoje mieszkanie. Mijając tu kilka lepierek, ukleconych z ruin jakiegoś zamku, przejeżdżał do wioski Kulomi „łożem potoku“ Terebintowego, który na lato wysycha, a przywodzi na pamięć potyczkę pastuszka Dawida z olbrzymem. Stąd posuwał się dalej w górę po utrudzającej drodze, pustej i jałowej jak cała ta ziemia Judei, niegdyś mlekiem i miodem płynąca. Po stromych urwiskach, ponad przepaście, piął się na koniu z „góry na górę coraz dzikszą,“ wdzierał się z jednego kamienia na drugi. Wśród nagich skał i jarów zauważył wystające tu i ówdzie w cieniu doliny drzewa oliwne i wznoszące się na ponurej pustyni, zasianej skałami, „wioski z kamieni.“ Na wierzchołku skały widniały sterczące zwaliska warowni, omajonej bladą zielenią drzew. Miał to być zamek i grób Makabeuszów, wielkich obrońców wiary i swobód ojczy- stych, bohaterów historii żydowskiej. Cała ziemia judzka, okalająca stolicę ziemi św. przedstawiała się oczom przyszedłego twórcy Zadżumionych, jak kraina przekleństwa. Gdzie spojrzął, spotykał głazy i rumowiska na tle natury, tchnącej trwogą majestatu, sterczały ruiny gmachów, niby świadkowie niepowrotnie minionej chwały. Przożywał w nocy tę puszcę kamienistą, będącą propilejami do miasta pustyni skalnej. Im bliższym był murów św. grodu, tem bliżej kamienie się skupiały, jakby w olbrzymią paszczę, gotową pochłonąć pielgrzyma. Gdy się przedzierał przez ostatnie wąwozy, nagle rozstały się skały z obu stron, a przed oczyma poety ukazały się kopuły i minarety, w wieńcu skalistych gór. Nasz stęskniony pielgrzym z towarzyszem Zenonem Brzozowskim stanął u celu swej podróży — wprost murów Jerozolimy.

Tak, to ona wychylała się z łona pustyni, na czarnem tle góry oliwnej, przy bladym świetle księżyca, co „pod drzwiami miasta, jak krzyżak“ wartował. Pierwszy widok świętego miasta uderzył naszego pielgrzyma ogromem i strukturą murów z wieżami, których naliczono 66. Zapisał sobie przedewszystkiem kilka bram z feralnej liczby 13. Od zachodu, przy zamku Dawidowym, pod wysoką wieżą, bramę Jaffską, przez którą wiedzie droga do tego miasta; od północy bramę damasceńską, najpiękniejszą, wiążącą łukiem głębokiego sklepienia dwie wielkie wieże; bramę Heroda, zwaną po arabsku Bab ez Suhur, t. j. bramę kwiatów; ze strony wschodniej bramę św. Stefana w stylu arabskim, opodal miejsca ukamienowania tego pierwszego męczennika i bramę złotą, nad doliną Józefatową, przez którą Zbawiciel wchodził w tryumfie do Jerozolimy, zupełnie przez mośleminów zamurowaną. Podług notatki Słowackiego miała ta brama prowadzić do meczetu Omara; w topograficznych opisach Jerozolimy, wiedzie doń brama Maryi, na południu miasta, w części zamurowana, z furtką przez którą przechodzi się do owej świętej zagrody; na południu (nie „na zachodzie“) wznosi się brama Syonu, przez którą wchodzi się na sam szczyt góry syońskiej.

Stanąwszy u bram miasta, dnia 12 stycznia (w listach do matki podał poeta przez omyłkę datę dnia następnego) zastali je zamknięte, zaczęli więc pukać do bramy — ale nadaremnie. Noc rozpostarła swoje czarne skrzydła — w mieście panowała „cisza grobowa.“ W niepewności, „czy firmany otrzymają wejście — czy trzeba będzie na polu nocować,“ czekano przez dwie godziny pod bramą. Wreszcie otworzono ją, — zajeżdżają do klasztoru O. O. Franciszkanów, którzy ofiarują im gościnnie cele swego hospicium.

Właśnie zajechał tam Aleksander Spitznagel, wicekonsul mieszkający w Jaffie, a spieszący na górę Synaj. Spotkanie z nim zapisuje poeta lakonicznie w Dzienniku, pod dniem 12 stycznia, w tych oto słowach: „Oleś — przyjaźń młodych lat — nie poznał mnie! 13 stycznia. Z rana Oleś wyjeżdża — jego: Do zobaczenia!“ W liście do matki z 19 lutego 1837 — a więc pisany w miesiącu z okładem po owym wypadku, opowiada zgodnie z tą notatką widzenie się z Olesiem: „Spitznagel, słysząc głos cudzoziemców, schodzi na dół. Biorę go za ramiona, obracam ku sobie, mówię mu: „Oleś!“ Nie poznaje mnie. Pytam go po kilka razy: „Jak to? Czy mnie nie znasz? ...“ Odpowiada mi po trzykroć: „Niech pan daruje, ale prawdziwie nie przypominam sobie ...“ Nakoniec musiałem ze ściśnionem sercem wymówić moje imię i nazwisko... Jeżeli mi była przykrą ta chwila (z powodu chłodnego przywita-

nia), to jeszcze przykrzejsze pożegnanie jego nazajutrz, bo go ani na pół dnia zatrzymać nie mogłem... Przyszedł do mnie i wzięwszy za rękę, powiedział: Do zobaczenia! Oddawszy mu uściskanie, z dosyć gorzkim uśmiechem odpowiedziałem, że jeżeli odjeżdża, to już zapewne nie do zobaczenia się żegnać się trzeba... Cały ten dzień było mi smutno.“

Spędziwszy—jak zapisał w Dzienniku podróży — „cały dzień (13 stycznia) w celi“ klasztornej, gotował się na zwiedzenie grobu Chrystusa. Już na widok świętego grodu budziły się w duszy poety roje wspomnień, szło płaczące serce po najdroższych śladach Zbawiciela. Ciszą i żałobą witała poetę stolica Judei, ongi wesele wszystkiej ziemi, dziś nie pozostał z niej kamień na kamieniu. Z niewypowiedzianem uczuciem zbliżał się do tej widowni tajemnic bożych, do kolebki kościoła, owej matki ludów chrześcijańskich. Ale na wspomnienie grobu świętego wyrwało się z serca przepelnionego głębokie westchnienie—do ocz się cisnęły łzy rozrzewnienia... „Jutro — zapisuje poeta pod dniem 13 stycznia—mam noc przepędzić u grobu.—Tak mam rozigrane nerwy, że co chwila łzy mi się rzucają z oczu.“ A wyrazy te powtarza niemal dosłownie we wspomnianym liście do matki.

Nareszcie nastąpiła 14 stycznia noc, którą przepędzić miał u najświętszego grobu. Oto jak zapisuje poeta w swym Dzienniku „na gorąco“ ową doniosłą chwilę, która wywarła na nim tak „mocne wrażenie na zawsze“: „Noc u grobu w kościele. O godzinie 8 jestem sam.—Kłęczę, czołem na marmurze oparty czytam ewangelię.“ W wspomnianym liście do matki rozszerza tę zapiskę: „O godzinie 8 wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu.—Miałem biblię, którą czytałem do 11-tej w nocy.“ W tym czasie (w Dzienniku „o 11-tej“, w liście do matki „o pół do dwunastej“) „mąż i żona wchodzą do grobu, modlą się i całują mnie w rękę.“ Młoda ta para małżonków uczyniła ślub odmawiania tu pacierzy w nocy. Złożywszy po modlitwie pocałunek na kamieniu zbliżyli się oboje do poety i w przekonaniu, że mają przed sobą kapłana, ucałowali mu z uszanowaniem rękę. „Tak byłem zmieszany, — dodaje Słowacki — że nie wiedziałem, jak się znaleźć. Wyszli, zostałem sam.“

Kościół zmartwychwstania Pańskiego, w którym mieści się grób Chrystusa, należy do Turków. Ci mając sobie powierzoną straż, otwierają bramę kościoła na czas krótki; kto chce się dłużej modlić, nie wychodzi zeń na głos wołającego muzułmanina, który nie wypędza pielgrzymów, ale nie wychodzących zamyka.

Słowacki, mimo wezwania naganiaczy, pozwolił się tu na noc zamknąć, aby pomodlić się w samotności przy grobie Odkupiciela.

Grób Pański, najświętsze w tym kościele miejsce, składa się z dwu części. Pierwsza, to kaplica Anioła z cząstką kamienia, którym miał być grób przywalony, druga część, w której spoczywało ciało Chrystusa, ma kształt groty, a u sklepienia jej zauważył Juliusz 43 lamp. Tyle ich jest w istocie, katolicy bowiem, Grecy i Ormianie mają po 13 lamp, a koptowie czyli chrześcijanie egipscy 4 lampy (razem 43). Każde z tych wyznań ma tu swoją kaplicę. Wyróżniają się zaś: kaplica grecka z ikonostasem, carskimi wrotami, nad którymi wznosi się „orzeł rosyjski,“ symbol opieki na kościele greckim i mała kapliczka koptów, którą poeta nazywa „klatką.“ Kościół bowiem, w którym się znajduje grób Zbawiciela, należy do czterech wyznań, t. j. do łacinników, greków, ormian i koptów, współzawodniczących ze sobą nie zawsze w godziwy sposób, jakby na urągowisko zasady miłości społecznej, głoszonej przez ukrzyżowanego za nią mistrza. Wszystkie te wyznania odprawiają nabożeństwa swe w nocy, co na Słowackim silnie zrobiło wrażenie, opisane w Dzienniku podróży. O północy na głos dzwonu, gdy zapłoną świece w kaplicach „zaczynają się śpiewy różnych wiar, jak ptaki zbudzone po gniazdach.“ Najpierw Franciszkanie w kaplicy Naj. Panny odśpiewują jutrznię, godzinki, litanie i inne modlitwy do godziny drugiej w nocy. Po północy rozpoczynają swe nabożeństwo Grecy, za nimi idą ormianie wśród brzęku kadzielnic wokoło grobu św. Po godzinie czwartej zaczynają się msze katolickie, ciche i śpiewane. „Kopt, mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego grób święty, odprawiał również modlitwę. O godzinie drugiej miał mszę na intencję Polski ks. jezuita Maksymilian RyHo, znany misyonarz, a poeta „klęcząc na tem miejscu, gdzie — wedle słów Ewangelii — Anioł biały powiedział Magdalenie: „Nie ma go tu, zmartwychwstał,“—słuchał „całej mszy z głębokiem uczuciem.“ O tem—jak utrzymują niektórzy, żeby służył do mszy, nie wspomina Słowacki ani w Dzienniku, ani w Listach. Wróciwszy o trzeciej w nocy do gospody w klasztorze, znużony kładzie się do łóżka i „śpi nad rankiem jak dziecko po płaczu...“

Uroczystość miejsca, widok grobu Chrystusa i wielkiej doniosłości wypadek, który ten grób przywodzi w pamięci, poważny nastrój nabożeństwa, zostawiły w duszy poety głębokie, wstrząsające wrażenie. Żywa, gorąca modlitwa w samotności, zmówiona na grobie Pańskim, była jakby koroną jego pobożnej pielgrzymki. Tu otrzymał „numaszczenie święte.“ Uczucia religijne, zaszczo-

pione w dzieciństwie, lekturą oziębione, odżyły w duszy na nowo. Nauki Chrystusa, będącej dlań religią serca i wyobraźni, wichura życia nie rozproszyła do tego stopnia, aby serce poety, na widok grobu, będącego mogiłą dawnej, a kolebką nowej cywilizacji, nie doznało uroczystego wstrząśnienia. Wspomnienie dzieciństwa, długie lata smutku i krótkie chwile radości, cisnęły się i kłębiły w wezbranej duszy, która nie szukając słów, objawiła się w strumieniu łez, w drzeniu ust, dotykających się kamienia grobu. Podczas mszy św., kiedy kapłan powtarzał słowa proroka Jeremiasza, wypowiedziane nad upadkiem Syonu: „Dziedzictwo nasze obróciło się do cudzych, sierotami zostaliśmy — za szyje gnano nas...“ wspomniął autor „Kordyana“ o drugiej Jerozolimie, którą chłocze także za grzechy prawica Pańska... Nie zapomniał też o tej, która mu była matką, przyjaciółką, kochanką. — Modląc się za jej pomyślność, zrosił gorącemi łzami marmurową tablicę, pokrywającą grobowiec Chrystusa.

Nazajutrz, t. j. dnia 15 stycznia zwiedził Słowacki Górę oliwną, wznoszącą się nad rzeką Cedron, o kwadrans drogi od świętego miasta. Nazywa ją „górami Oliwetu“, podług „Jerozolimy wyzwolonej“ Torquata Tassa, którą w przekładzie Piotra Kochanowskiego z zamiłowaniem odczytywał. Przypominam znane miejsce:

Do Oliwetu prosto ciągnął góry,
Co od Oliwy dostała przezwisko...

Wstępując na tę górę, najmilszą Chrystusowi, bo „samotną“, miał po prawej ręce groby proroków, wycięte w skale groty, w których złożone być miały popioły proroków żydowskich, niewiadomych z nazwiska. Nie bez wzruszenia oglądał Józefatową dolinę, wyżłobioną między dwoma wzgórzami, z których jedno dźwiga Jerozolimę, drugie szczyt góry Oliwnej. Cały ten parów, przedziurawiony grobowemi piwnicami, istny ul śmierci, przemawiał żywo do melancholika, którego dusza pławiła się przez całe życie w bezbrzeżnym smutku. W pieczarach, ciągnących się tu pod ziemią w różnych kierunkach, znajdują się z kamienia kute groby. W samej głębi tej doliny łez, służącej za przybytek wiecznego odpoczynku, zauważył Słowacki grób, mający kształt podziemnej groty przypisywany królowi Józefatowi, z wierzchu ozdobiony piękną płaskorzeźbą kwiatową, i opodal wznoszący się grób Absalona, niegodnego syna Dawida, z jednego kamienia w skale wykuty, ozdobiony płaskimi półkolumnami, nad którymi biegł szlak płaskorzeźby. Ten ostatni grób przypominający złote serce króla-

pasterza, zamyka miasto umarłych, zlewające się dziś z miastem żywych w jedną harmonijną całość. Gdzieby leżał, ów „kamień przemienienia,“ który umieszcza Dzienniczek Słowackiego tuż obok grobów Józefata i Absalona, nie umiem powiedzieć, może tu zaszła jakaś omyłka, gdyż cud przemienienia spełnił się na górze Tabor, a nie na górze Oliwnej. Czy też miał tu poeta na myśli kamień, którym był przywalony grób Chrystusa. Część tego kamienia znajduje się — jak wiadomo — w kaplicy Anioła (w grobie Pańskim), druga część w t. zw. domu Kaifasza, na północ od Wieczernika. Może też przez zapomnienie nazwał tak miejsce wniebowstąpienia Pańskiego na górze Oliwnej, gdzie w kapliczce z kopułką pokazują na kamieniu ślad stopy Chrystusowej. Umyślnie zaznaczyłem tę wątpliwość, podrzędnej zresztą wagi, aby wykazać z jaką dokładną znajomością topografii ziemi św. przystępować należy do objaśnienia „Not podróży“ Słowackiego, rzucanych na papier z lakonicznością, przypominającą stenograficzną zwięzłość.

Zstępując na samo dno tego gniazda boleści, gdzie odbyć się ma sąd ostateczny, zbliżył się Słowacki do grobu Najśw. Panny, do miejsca błęgiego uśpienia Niepokalanej, z którego, wedle pobożnej tradycyi, wniebowzięta została przez aniołów. Przez małuczkie drzewczki mógł być, w pół się schylając, wejść do groty, aby obejrzeć w żywej skale wycięty grobowiec, białym okryty marmurem. Tu miały leżeć najczystsze zwłoki Dziewicy. Opoдал tego grobu spostrzegł niskim murem z kamieni obwiedzione „drzewa oliwne.“

W odstępach kilkudziesięciu kroków zasadzone okrywały one cieniem swym pole boleści. Pnie tych drzew poorane starością, schylały długie konary, niby zgięte lat brzemieniem, a olbrzymie ich korzenie służyły pielgrzymom za miejsce odpoczynku. Tęsknie przechodził poeta wpośród tych drzew boleści, niemych świadków cierpień duszy, miotanej niewymownym smutkiem. „Z pod oliw Chrystusa — są słowa Juliusza — wziąłem ziemi na moje martwe oczy.“ Przebywając drożyną górę oliwną, zbliżył się do t. zw. miejsca płaczu Jezusa, skąd przed oczyma poety roztaczał się czarujący widok na Jerozolimę. Ewangielia św. Łukasza podaje, że Mistrz obejrzawszy z tego miejsca miasto, płakał nad niem, przepowiadając stolicy Judzkiej grom kary bożej: „I na ziemię cię obalą, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dla tego iżeś nie poznała czasu nawiedzenia twego.“ Zwrócony twarzą ku Jerozolimie spoglądał poeta na „dzikie, nieplodne góry,“ nadające temu miastu „straszliwą fizyonomię.“ U stóp jego leżał Cedron

z grobowemi pomnikami, w oddali ścieliło się wśród zieleni pole Jerychońskie, przetrzięte niby szeroką taśmą nurtami świętej rzeki Jordanu.

Zwiedzając górę oliwną zatrzymał się Słowacki na miejscu, gdzie niegdyś stał wspaniały kościół wniebowstąpienia Pańskiego, z którego tylko gruzy zostały; kościół ten przez Persów zburzony, a następnie przez chrześcijan odbudowany spalili na nowo Turcy. Na miejscu jego wznosi się kapliczka, w której odprawia mszę kilka wyznań. Mają tu bowiem swoje ołtarze katolicy, ormianie, grecy, kopci i syryjczycy. Trafnie zauważył Słowacki rozdział tych wyznań religijnych, tutaj jawniejszy i może boleśniejszy niż gdzieindziej. Pielgrzymi katolicy narzekają, że wyznawcy kościoła greckiego, zostającego pod protektoratem Rosyi, której orzeł dwugłowy widniał w kaplicy, pochopniejsi są do kłótni, a nawet bójek z wyznawcami kościoła rzymsko-katolickiego, co dało sposobność Słowackiemu do zapisania wiadomości o „nadużyciach Greków.“ Może duchowni tego obrządku starając się zepchnąć swych współzawodników z ich stanowiska, aby przemocą zdobyć pierwszeństwo swemu wyznaniu, dopuszczali się pewnych nadużyć.

Z Jeruzolimy udał się Słowacki dnia 16-go stycznia 1837 r. bitym gościńcem do Betleemu, małej miłościny, o milę odległej od św. grodu. Zbliżał się do kolebki Zbawiciela, przebywając rozległą dolinę pasterską u stóp wioski Bastur położoną. Jest to pole ogrodzone w około murem, ożywione zielenią bujnych drzew. Na owej cichej dolinie, na której Anioł Pański czuwającym nocą pasterzom zwiastował narodzenie najświętszego dzieciątka, spostrzegł poeta wieśniaka orzącego rolę i „chłopców z gołębiami,“ a obrazek ten podnosił wrażenie sielskiego pokoju i prostoty, któremi tehnie to cudowne miejsce. Po smutnych wspomnieniach męki Zbawiciela w mieście czerniącem się—wśród obnażonych skał—jak grób olbrzymi, znużona myśl poety odpoczęła na sielance betleemskiej. Na widok łanów zboża i rozkosznych sadów wciskała się do duszy poety niewymowna słodycz. Od skał i pustyni odbijał ten skromny zakątek ziemi, pełen wesoleści i prostoty patryarchalnej rozrzewniając serce poety wspomnieniem „wesolej nowiny.“ Zwiedzającego to gniazdo psalmisty i kolebkę przyszłego pasterza świata uderzyła przedewszystkiem „grota pasterzy“ (Deir el Rauat), w której nocować mieli pastuszkowie, gdy ich obudził śpiew aniołów. Do takich kamiennych pieczar po dziś dzień zapędzają w Judei bydło na nocleg, stajenki te bywają zarazem mieszkaniem bezdomnych. W takiej grocie

narodził się Jezus. „Dawne nazwiska“ tych miejsc jak „pole Booza,“ Bejt Sahur (= wieś pasterzy) i t. p. popierają tradycję o pasterzach, pierwszych świadkach narodzenia Pańskiego.

Bawiąc w bazylice, jednym z najstarszych domów bożych, wystawionym na pamiątkę przyjścia na świat Zbawiciela, a zdobnym we wspaniałą „kolumnadę“ marmurową (w dwa szeregi), zstąpił Juliusz do podziemnej kaplicy pod wielkim ołtarzem, aby obejrzeć wyłożoną marmurami pieczarę, gdzie stał wykuty w skale żłobek, miejsce narodzenia Pana. „Wysłuchał mszy odprawionej na nim za kuzynkę“ (Polskę) przez ks. Rybę, a sanktuarya te „napełniły serce poety jakąś prostotą i świętością.“ Wychodząc ze świętej grotty, zostawał pod wrażeniem wspomnień z lat dziecięcych, przenosił się myślą na ojczyzną ziemię, przypominał sobie prastare pieśni śpiewane przez lud w święto Bożego Narodzenia, jak owa: „Anioł pasterzom mówił,“ lub tym podobne kolendy, nucone przez czeladź w piekarni babuni.

Przy żłobku Chrystusowym mają swój grób pierwsi męczennicy wiary—niewinne dzieci zamordowane przez Heroda, „Wielkiego“ króla Judy, za którego rządów narodził się Pan Jezus. Na miejscu, krwią niewinątek uświęconem, a z kolebką Pańską związanem, stawały żywo przed oczyma jasełka pacholąt wiejskich, które „na Boże Narodzenie przedstawiają dzień wielki,“ odzywały się w duszy poety wspomnienia wertepu Krzemienieckiego czyli naszej szopki z nieodzownym Herodem, potworem w ludzkiej postaci. Z osób, które poznał w Betleemie, wyróżnia Słowacki „przełożonego klasztoru,“ nie wymieniając jego nazwiska w Dzienniku podróży; utkwily mu też w pamięci „różne roboty z perłowej macicy,“ wyrzynane na konsze perłowej obrazów świętych, modelików Grobu Pańskiego, grotty Narodzenia i t. p. wyroby betleemskie, stanowiące do dziś, jedną z gałęzi przemysłu tych okolic. Przechadzając się po górze betleemskiej, spotykał wśród rozkosznych winnic, okrągłe, wybiegające w górę wieże, niegdyś twierdze obronne przeciw napadom Beduinów, przemienione dziś na mieszkania spokojnych obywateli miasteczka. Z klasztoru przypatrywał się na pochyłościach latoroślom winnym, pełzającym po wieżach z kamieni, a widok tych murów, sterczących z pośród winnic, przypominał wieżycę w Pieśni nad pieśniami Salomona.

Po kilkugodzinnej jeździe wierzchem, przez strome i nagie skały, stanął Słowacki dnia 17 stycznia 1837 w klasztorze świętego Saby, położonym w tak zwanym „jarze płaczu.“ Słynna ta pustelnia, wisząca nad przepaścią Cedronu, wyżłobiona w skale

i jakby z nią zrosła, była laurą (stąd ruska ławra) to jest zbiorem cel pustelniczych, obok siebie lub nad sobą tarasowo leżących. Od wieków służyła ona za schronisko anachoretów, którzy zupełnie odcięci od świata, w umartwieniu ciała i ducha podniesieniu, pędzili tu życie jakby żywcem pogrzebani. Ojcem ich i wzorem był święty Saba, pustelnik żyjący w 6-tym wieku po Chrystusie. Wybrawszy za miejsce zamieszkania jedną z jaskiń, gdzie wedle podania, lew miał pierwiej swoje siedlisko, otworzył tu niezliczonej rzeszy eremitów podwoje do upragnionego raju. W otoczeniu klasztoru pokazują grotty — tu i ówdzie obmurowane — zajmowane niegdyś przez najwyższych dygnitarzy, a dziś odwiedzane przez bydło. Miejsca te — zdaje się — ma na myśli Słowacki wymieniając w Dzienniku „trzody w grotach i światełka.“

Zwiedzając jedną z tych pieczar, zwaną grota św. Saby, zapamiętał sobie legendę do niej przywiązaną. Oto święty pustelnik wracając pewnego wieczora, spostrzega w grocie lwa (Słowacki zapisał w Dzienniku swym „tygrysa.“) Nie uląkł się króla zwierząt, lecz odprawiał dalej nabożeństwo, dopiero lew sennego za suknię wyciągnął z jaskini. Gdy zaś wracającego do grotty pustelnika chciał się lew ponownie pozbyć, odezwał się doń św. Saba: Jest tu przecie miejsce dla nas obydwóch.

Przy grocie św. Saby znajduje się na pobliskim tarasie ogródek. Cudem wystrzeliła tu zielonowłosa, rozkoszna palma z dzikiej, obnażonej skały, jakby na świadectwo, że z grobu wykwitła życie. Słowacki podziwiał „cudowne“ to drzewo, sadzone ręką św. Saby. Na przeciwnej stronie wielkiej laury, w kamiennej, w skale wydrążonej kaplicy, oglądał poeta za krutą żelazną stosy trupich głów i piszczeli — miały to być „kościotrupy“ zakonników, pomordowanych przez niewiernych. Laura ta bowiem wystawioną była na częste napady Arabów, którzy długo trzymali ją w oblężeniu, w końcu „wódz Arabów zwyciężony“ został. „Opowiadania dawnych dziejów,“ tego monasteru znaczone są krwią i męczeństwem świętobliwych mężów, którzy mordowani odradzali się na nowo.

Spędziwszy w tem romantycznem ustroniu „noc nad przepaścią,“ klasztor bowiem św. Saby leży w pobliżu dzikiego łożyska, nasłuchawszy się śpiewów zakonników, wybrał się „z całą kawalkadą konną“ dnia następnego (18 stycznia) nad „morze martwe.“ Wycieczka ta brzegiem świętej rzeki Jordanu, rwącym nurtem dobiegającej do morza, nasuwała na pamięć pamiętne przejście ludu Izraela z Egiptu do ziemi obiecanej i chrzest Zbawiciela. Brnąc na koniu przez najbujniejszą vegetację, po przez

zwodnicze bagna, zachwycał się okolicą. „Pyszny jest dzikością widok martwego morza — pisze do matki — zwłaszcza, że będąc tam, cała kawalkada nasza konna wjechała na trzęsawiska i konie zapadły z nami w ziemię aż po głowę... Widok to był dla mnie, który wyrwawszy mego konia, postawiłem go dęba przednimi nogami na krzaku, przypominający ustęp z biblii, gdzie pisze o pożarciu przez ziemię całego wojska. Towarzyszący nam Arab na pysznym koniu, walcząc z zapadającą się głębią prawdziwie był podobny do jakiego dawnego bałwochwalskiego króla.“ Na potwierdzenie opowiadania o tej rycerskiej przygodzie mamy lakoniczną notatkę w Dzienniczku Słowackiego w tych słowach: „Jordan — koń pada — bagno, w którym się konie prawie topią.“

Morze martwe budzi w nim podziw. Wskutek przesylenia solą i tym podobnymi składnikami, nie żyją w tem morzu ryby, nawet płazy. Rozkołysane wichrem, wydaje głosy, podobne do jęku rozpaczy błagających o ratunek Sodomy i Gomory. Zdaje ci się, jakgdyby powietrze brzmiało jeszcze gniewem Bożym, który ogniem siarczystym, spadłym z nieba, ukarał tu grzeszne miasta.

Przez puste i jałowe pola, solą przesycone, podążał poeta z towarzyszymi do Jerycha, oddalonego o dwie godziny konnej jazdy. Jerycho w piśmie św. zwane miastem palm, „zrujnowane głosem trąby wodza boskiego,“ i na nowo cudownym sposobem odbudowane, jest dziś lichą „wioszczyką“ arabską, składającą się z kilku nędznych chat, ogrodzonych kolczastym chróstem. Uwagę poety zwróciły chałupy wykopane w ziemi, ogrodzone w około płótem z ciemnych krzaków, pokryte trzcina, o ścianach „przezroczystych,“ bez okien i drzwi. Zaciągnął też do Dzienniczka „róże z Jerycha,“ o których cuda prawie zwykli pielgrzymowie. Kwiat ten wyginał tu zupełnie, sprowadzają go aż z Egiptu i pielęgnują w klasztorze św. Salwatora. Opowiadają, że zakonnicy tamtejsi zasadziwszy różę, tak ją starannie przechowują, że po kilkudziesięciu latach zanurzona w wodę, zatrzymuje swój naturalny kolor i zapach. Bawiąc przez dzień 18 stycznia w Jerycho, zauważył „na wzgórzu dzieci grające w wilka,“ opodał szczekanie psów — a te odgłosy życia wiejskiego przypominały mu mile strony rodzinne na Wołyniu. Miasto, strojne niegdyś w modrą szatę palm, wabiło oko poety nie samym „ogrodem figowym,“ ale także postacią „posągowych kobiet“ i ich poważnym strojem.

Dnia 19 stycznia 1837 r. wracał z tej wycieczki do Jeruzalem. Po godzinie drogi ujrzał na pochyłości góry Betanię (w ję-

zyku arabskim: dom daktylów). W uroczej oazie tej, położonej w okolicy opoczystej, bawił Chrystus Pan, po trudach dnia, udając się na spoczynek do umiłowanej przez się rodziny Łazarza. Po prawej stronie drogi, wiodącej z Jerycha do Jerozolimy, zobaczył poeta grób wyciosany z czworogramnych głazów, w którym spoczywać mają zwłoki Łazarza. Dojeżdżając do stolicy Palestyny, obejrzał ponownie górę oliwną, na której znieważony mistrz dotknął się po raz ostatni ziemi. Po przybyciu do Jerozolimy zatrzymał się tu przez dzień cały (19 stycznia 1837). Zwiedzając ponownie pamiątki stolicy ziemi św., poznał „dwóch Anglików i Niemców,” tudzież Bernardyna Fra (braciszka) Michała z Nazaretu, o którym wspomina ks. Ign. Hołowiński w Pielgrzymce do ziemi św. (Wilno 1843, III. 170), że oprowadzał go po Samaryi.

Po przebyciu posępnej Judei i wesołej Galilei, zawitał do bujnej Samaryi, trzeciej i ostatniej dzielnicy Palestyny. Podróż z Jerozolimy do Samaryi odbył w ostatnim dziesiątku stycznia. Po czterech godzinach jazdy konnej ze stolicy przybył do ubogiej wioszczyny El-Biri, niegdyś wielkiego miasta Berry, „gdzie Najśw. Panna spostrzegła się, że Chrystus (wówczas 12-letnie pachole) został w Jerozolimie.“ Szczegół ten zapisuje Słowacki zgodnie z ewangelistą (Łukasz II 42). Gdy zjeżdżał z pochyłości tej góry na dolinę do obfitego źródła, od którego wieś ta wywodzi swą nazwę (Ber oznacza źródło), padł mu koń, zniewolony więc był piechotą podążyć do pobliskiej wioski. Nie wymienia jej po imieniu w Dzienniku podróży, ale jestto zapewne Betel (Bejtin), gdzie podług pisma św. starego zakonu — miał Jakób ujrzeć drabinę z wstępującymi po niej aniołami. Z tego miejsca rozciąga się wspaniały krajobraz na dolinę Jerychońską i górę Oliwną. Okolicę tę podziwiał twórca hymnu „Smutno mi Boże“ przy „zachodzie słońca.“

Drogą wśród gajów oliwnych i cichych chat, rwąc po drodze kwiaty, zbliżał się do granic Samaryi. Zapisuje więc w Dzienniku kilka drobnych szczegółów z obrazów przyrody, które mu żywiej utkwily w pamięci, jak „drzewa cicho odpoczywające“ pod wieczór, lub ów widok „zimny i wiosny, jaki przedstawia Palestyna o tej porze, kiedy zima nie ustąpiła jeszcze, a wiosna już w pochodzie. Zatrzymał dłużej wzrok swój na kobietach, które przychodziły do studni po wodę z glinianemi dzbankami w kształcie urn starożytnych, a wypełniwszy je, stawiały na głowie i z ciężarem tym wracały do domu, jak za czasów biblijnych. Dnia 22 stycznia zajechał na nocleg do Napluzy (nazwa ta powstała z przekręcenia Neapolis). Owinięta blado-zieloną wstęgą

sądów oliwnych, uderzyła poetę „pięknością okolicy,“ widokiem bujnej doliny, w uściskach dwu lesistych wzgórz, zwanych w piśmie św. górą przekleństwa (Hebal) i błogosławieństwa (Garizim). W owym czasie ucierpiało miasto od trzęsienia ziemi, a Słowacki zauważył, że nawet „khars“ czyli dom gościnny „zawalony od trzęsienia ziemi.“ Napluzza czyli „dawne Sychem,“ przywiodła mu na pamięć Samarytan, i odpowiednio o nich miejsce w piśmie św. Była to sekta odszczepieńcza, znieawidzona przez Żydów. Samarytanie, uznawający tylko pięcioksiąg, przechowali jeszcze niektóre starodawne zwyczaje, jak np. ofiarę jaguiąt na górze Garizim. Patrząc na tę górę „skąd Jezus klął“ i zapisując o tem wiadomość w Pamiętniku podróży (włas. L. Meyeta) miał poeta na myśli owe przekleństwo rzucone przez następcę Mojżesza na tych z Izraela, co budowali bałwany ze złota i im się kłaniali. Chrystus nie gardził Samarytanami, których unikali Żydzi jak zapowietrzonych, jak świadczy przypowieść o miłosiernym Samarytanie, a prostej, choć grzesznej Samarytance przy studni, odśłaniał posłannictwo Ducha św. Po dwugodzinnej drodze z Napluzzy zbliżył się Słowacki do wsi Sebastie, czyli „dawnej Samaryi,“ stolicy królestwa izraelskiego. Charakter „pejsażu“ koło Sebasty, to jeden z „najpiękniejszych.“ Od zieleni ogrodów odbijają „łąki całe żółte od kwiatów“— jak pisze Słowacki w Dzienniku podróży — a lepianki Arabów zdobią „ruiny“ świątyń, z których pozostało jeszcze kilkadziesiąt kolumn.

Z tej powalonej o ziemię rywalki Jerozolimy, podążał dalej na północ przez gaje oliwne i smukłe palmy, oceniające źródła, i zatrzymał się pono w Samur, „wiosce — jak się wyraża — w której nie można znaleźć khanu,“ czyli domu gościnnego. Wreszcie dotarł do ostatniego punktu Samaryi, do wioski Dżenin, czyli Ginei, leżącej już na granicy Galilei. Po „noclegu u Turka“ wyruszył przez „wielką równinę“ Ezdrelonu. Ogromna ta płaszczyzna sarańska najpiękniejsza w Palestynie, rozkładała się u stóp poety. W dole ścieliły się wsie i gaje oliwne, z rzadka rozrzucone. Od północy wznosił się Tabor, olbrzym gór galilejskich, strojny w zielony płaszcz drzew, zachwycający majestatem, od zachodu wyzierał z głębi proroczy Karmel, wieniec Palestyny — widok zanymkało morze Śródziemne. Z wyżyn tych zjeżdżał do rozkosznej doliny Nazaretu, mającej w sobie coś cichego i potulnego. Zabawił dzień cały (24 stycznia 1837) w świętem miasteczku rozłożonem amfiteatralnie w uroczej dolinie i umajonem wstęgą zielonych ogrodów. Pod wrażeniem błogiego pokoju i wesela, jakie budził ten „kwiat“ Galilei „szukał twarzy Rafaelowskiej w gaju oliwnym,“ nastrojał

się do uczucia Matki Zbawiciela, której serce nieprzeszyte jeszcze sztyletem boleści, napawało się tu radością na widok ukochanego dziecka. Z licznych obrazów Zwiastowania, którymi obwieszono są ściany Jej mieszkania w klasztorze O. O. Bernardynów w Nazarecie, rozczulił poetę obrazek Matki Boskiej, zawieszony nad celą z napisem: „Oby serce moje do Ciebie mogło należeć.“ Przypomnił sobie matkę najdroższą, która zawsze „pierwsze miejsce w sercu“ jego zajmowała, do której to wielkie serce poety niepodzielnie należało...

Dnia 26 stycznia 1837 wyruszył z Nazaretu nad „Jezioro Genezaretańskie.“ Droga wiodła „ładną doliną“ w „góry“ unajone drzewami. Zatrzymał się w „świeżo umarłej Tyberyadzie.“ „W mieście—pisze w liście do matki—ledwo trochę żywych ludzi, a wszyscy kogoś płaczą. Nie znalazłszy między ruinami miejsca na łóżko, nocowałem na murawie pod gołym niebem, a kiedy się obudziłem i odkryłem głowę, widziałem księżyc późno wschodzący nad Jeziorem Genezaretańskim.“ Tyberyada, zbudowana przez Heroda Antypasa na cześć cesarza Tyberiusza—stąd jej nazwa—była po zburzeniu Jerozolimy i rozprószeniu po całej ziemi Żydów, ogniskiem literatury i resztek państwowego bytu Izraela pod rządem patryarchy. Stąd do czasów Słowackiego przeważała ta ludność żydowska, która też podczas trzęsienia ziemi najwięcej ucierpiała. Na krótko bowiem przed przybyciem tu Słowackiego z towarzyszem, nawiedziło to miasto straszne trzęsienie ziemi, o którym pisze Słowacki, że zastało ich „pod namiotem, na piasku.“ Katastrofa ta pochłonęła setki ofiar w ludziach, zginęło 500 osób. Słowacki liczy „400 Żydów, 35 chrześcijan, 70 muzułmanów.“ Ocało „ledwo trochę żywych ludzi.“ Po okropnych scenach, zapanowała grobowa „cisza.“ Pozostali „wszyscy kogoś płaczą.“ Oto „ojciec nie może odszukać syna,“ kilkaset domów było jako bezkształtne kupy gruzów. Nie mając gdzie głowy położyć w mieście, bo „domu jednego całego nie zostało,“ rozłożył się pod namiotem i tu zjadł obiad. Jadąc brzegiem morza galilejskiego, przyglądał się jego spokojnym i czystym kryształom, a do duszy poety cisnęły się wspomnienia najpiękniejszych miejsc Ewangelii. Po tem gładkiem zwierciadle wód chadzał Chrystus, jak my po ziemi, z ponad tych fal pouczał jak z katedry, zgromadzony na brzegu lud, tu gdy powstała burza, rozkazał wiatrom uciszyć się. U brzegów tego jeziora po raz pierwszy zapoznali się ubodzy prostaczkowie z nauką wlewającą balsam pociechy w serca nieszczęśliwych i cierpiących. Wiara tego, co sam nie miał gdzie skłonić głowy, ocierała milionom łzy niedoli i napa-

wała weselem, zapowiadając wśród biednych i cierpiących najobfitszy połów. Jadąc brzegiem tych cichych fal, ścielących się u stóp skał, postawionych na straży tajemniczego jeziora, przywodził sobie na pamięć przywiązane do tego miejsca podania z Ewangelii. A więc przedewszystkiem przypowieść o rozmnożeniu ryb i chlebów. Żywo w pamięci poety stanęły słowa z Ewangelii o P. Jezusie chodzącym po falach wzburzonego morza i wołającym do zatrwożonych i nieufnych apostołów: „Miejcie ufność.“ (Mateusz XIV. 23). Woda tego jeziora obfitego w różnego rodzaju ryby, tak jest przezroczysta, że poeta na jej dnie zobaczyć mógł drobne muszki. O sto kroków od jeziora, pod czarną skałą, biją siarczane źródła, zwane Emaus t. j. łaźnią. Są to cieplice stygnące przez całą noc, zanim staną się zdolne do kąpeli. To „źródło gorącej wody“ zwiedził Słowacki. Dziś na tem miejscu znajdują się dwa zakłady kąpielowe (Ibrahima i Solimana) odwiedzane przeważnie przez reumatyków.

W podróży po ziemi św. zdarzało się nieraz, że przebywając góry i wąwozy—gdzie nie ma ani hotelów, ani klasztorów z gościnnymi celami, ani nawet nędznych khanów—sypiał pod namiotem lub pod cieniem drzew oliwnych. I obecnie, przed wyjazdem z Tyberyady, „zniszczonej trzęsieniem ziemi,“ przebył noc pod gołem niebem: „następnego zaś dnia (27 stycznia 1837), gdy jechał nad Jeziorem Genezaret drogą przykrą i trudną, po przez „góry dzikie“ i nagie skały z wapienia, trupią białością straszne, kiedy nad świętą rzeką Jordanu wypadło przenocować, a „khan zrzucony“ nie dawał schronienia, było jak pisze w „Dzienniku“— „drzewo oliwne naszym namiotem.“ Te i tym podobne drzewa np. figi *sicomore*, osłaniające cieniem swych rozłożystych konarów kilkadziesiąt ludzi i tyleż wielbłądów lub koni, znajdują się zazwyczaj opodal khanu i służą za nocleg podróżnym.

Podróż po ziemi św. miała się ku końcowi. W dniach 28-9 stycznia 1837 przebywał Słowacki przez doliny i wsie rozrzucone, obszerne płaszczyny, z rzadka zasiane dębami lub drzewami oliwnymi, przez bagna podobne do pińskich—w ogóle drogą dość jednostajną—i stanął dnia 30 stycznia 1837 w Damasku, najpiękniejszym mieście Syrii, o którym powiadają, że „pachnie rajem.“ Miasto to jako „podobne do Kairu“ mniej zajęło poeetę, podziwiał tylko jego „piękne okolice.“ Przebywszy śnieżne góry Antilibanonu, zwiedził ruiny Balbeku i Palmiry, najwspanialsze zabytki syryjskiego Heliopolu i przejechał szczęśliwie konno góry Libanu, którego śniegi „dalekiemi napełniły go wspomnieniami.“

Zjechawszy w lutym 1837 do „kraju, w którym najpiękniejsza wiosna,“ zachwyca się Syryą: „Jedne drzewa nie straciły zieloności, drugie się w nią teraz ubierają. Migdały prószą kwiatem, słońce pyszne — słowem jest to prawdziwa ziemia obiecana. Nie wyruszę z niej — dodaje w liście do matki — aż za dwa miesiące.“ Na ostatnie dni podróży syryjskiej, po rozłączeniu się z Zenonem Brzozowskim, który „do Konstantynopola ziemią konie kupione prowadził,“ przypada pobyt Juliusza na Libanie w klasztorze Maronitów zwanych po syryjsku: Spoczynek umarłych t. j. za życia pogrzebanych. Bawił tu przez półtora miesiąca i przepędził święta Wielkanocne, wypowiadawszy się ze wszystkich grzechów swego życia.“ Jak owa modlitwa u grobu Chrystusa, kiedy to „z wielką rozpaczą rzucił się na kamień“ i gorącemi łzami go zlewał, tak ta spowiedź w cichym klasztorze, podczas której „rozplakał się jak dziecko,“ zostawiły w sercu, jak łza czystem, „mocne wrażenie na zawsze.“ Pod koniec podróży w Palestynie i Syryi, obejmując rzutem oka całą tę wędrówkę po Ziemi Świętej, czuł się „spokojniejszym“ i bardziej „ufnym“ w Opatrzność boską. Modlitwie poety, aby mu Chrystus „kiedyś dał ciszę i spokojność,“ stało się zadość. Wysłuchał też prośby jego, dzieckiem zanesione o „poetyczne życie.“ Podróż ta „nappełniła“ wyobraźnię jego „najpoetyczniejszemi wrażeniami,“ zawdzięczał jej „najpoetyczniejsze godziny życia“ swego. Peten zachwytu dziękował Bogu, że mu pozwolił tak „piękniemi obrazami karmić wyobraźnię.“ Odbierały one smutkowi, głównemu pierwiastkowi charakteru i twórczości Juliusza, żądło goryczy, zamieniając je na „słodką melancholię.“

Owoce tego stanu duszy był Anhelli, o którym powiedzieć by można, że ma coś z Chrystusowej postaci i jego pełne ewangelicznej prostoty oblicze. Myśl przewodnia poematu, że smutek i cierpienie mają siłę odradzającą, była dzieckiem tego podniesienia ducha, jakie czerpał poeta z krynicy wrażeń, stąpając po ziemi, zroszonej krwią męki Pańskiej. Że ta najczystsza perła twórczości Juliusza powstała w Syryi, w klasztorze katolików ormiańskich na górze Betchazban, tego dowodzi następująca wzmianka ks. Ign. Hołowińskiego w Pielgrzymce do ziemi św. (Wilno 1842 T. II, str. 210) „Ks. generał i zakonnicy tego klasztoru rozpowiadali mnie, że p. Eugeniusz (tak!) Słowacki przepędził kilka miesięcy (w istocie tylko 45 dni) w tym klasztorze i tu pisał swój poemat Anhoła (sic!). Nie można zarzucić naszemu poecie wyboru miejsca natchnienia, bo z góry Betchazban rozwija się widok na różne wertepy skał i jarów, pokrytych wioskami, klaszto-

rani albo zielenią ogrodów, z drugiej strony, przy zatoce Dziuny, błyszczy nieograniczona płaszczyzna morza.“ Świadcstwo to ks. Hołowińskiego, który dzieła Słowackiego ani nawet imienia jego nie znał, nabiera tem większej wagi, że pisał to w r. 1839, t. j. w dwa lata po podróży Słowackiego po ziemi świętej, kiedy tradycja pobytu poety i powstania jego utworu była jeszcze w żywej pamięci zakonników. Z nowej więc strony nabierają dowody Hoesiaka i Meyeta, odnoszących genezę „Anhellego“ do klasztoru libańskiego, przekonywującej pewności. Poemat ten rezygnacyi chrześcijańskiej, powstał pod wpływem pisma św. Odczytywaniem słowa Bożego na miejscu, gdzie się żywe rozlegało, pojął poeta jego moc i poezję. Od dawna wywierala nań Ewangelia głębsze wrażenie, ale teraz dopiero przerzucając jej żywe karty w Palestynie, przejął się nią na prawdę. Wrażenia lektury świętej tak przepełniły serce poety, że zostawiły jemu na całe życie niezatarte wspomnienia. Zasiew, rzucony w duszę poety, dojrzał też niebawem w wspaniały owoc twórczości, który na drodze jego udoskonalenia i moralnego rozwoju stanowi jeden z najważniejszych etapów. Wpływ pisma św., które tak silnie wdrożyło się w umysł poety znać w licznych jego z tej doby utworach, że tu wymienię tylko Anhellego, którego opowiadanie, styl, formę, całą strukturę przenika duch ewangeliczny.

Nie mniej świetnym, lubo niedokończonym płodem tej pobożnej wędrówki Juliusza jest poemat zatytułowany: „Podróż do Ziemi Św. z Neapolu,“ napisany 1837 r. (nie 1836, jak podano w późniejszym wydaniu Pism J. Słowackiego) a będący komórką zarodkową „Beniowskiego.“ Podróż ta była wogóle w życiu Słowackiego doniosłym wypadkiem. W serce samotnika, którego wszystkie dni życia powleczone były smutkiem, wlewała balsam pociechy bożej. Wspomnienia jej rozpędzały tęsknicę z czoła melancholika. Przebiegając najdalsze zakątki błogosławionej ziemi, nieraz o głodzie i chłodzie — hartował wolę, obserwując obyczaje i przyglądając się pomnikom Wschodu, a porównyując je z krajem ojczystym, odnosił ogromny pożytek. Z podróży tej zachwycał żywszych, gorętszych kolorów do zamglonego obrazu, za jakie całe swe życie uważał. Wyobraźnia, jak słusznie powiada Lamartine w swej Podróży na Wschód, na którą się powołuje Słowacki, ma także swoje potrzeby i namiętności, domagające się zaspokojenia. Dla wyobraźni twórcy „Zadżumionych,“ chorującego na głód wrażeń, była ta podróż po ziemi obiecanej manną duchową. Lotna, a gibka fantazya poety, tak łatwo i szybko przejmująca się wrażeniami miejsc i chwili, przewdziewała na się bar-

wy ognistej purpury owych „anemonów, do których Chrystus równał“ szkarłatą króla Salomona, nabierała błękitów nieba wschodniego i oświeciła skroń poety aureolą najszczytniejszej poezyi. Ziemia uświęcona stopami Chrystusa, którą znał tylko z obrazków, ów kraj umarły, ożywił się i ocieplął w jego duszy. U lamp grobu Zbawiciela zapaliły się w niej przyćmione szarugą życia, uczucia wiary. Wypowiadawszy się z grzechów całego żywota— stał się odtąd naprawdę wierzącym. Na widok leżących w gruzach pomników chwały, po których duch przeszłości kładł niepamięci pieczęć, staje się „głęboko pokornym i cichym.“ On, dumny na polach Maratonu, ukorzył się u stóp Gólgoty, wobec majestatu śmierci Zbawiciela. Na tem miejscu zrozumiał doniosłe znaczenie nauki Chrystusowej, co z początku drobna jak ziarnko maku, urosła w drzewo ocieniające świat cały, co nieustraszona przetrwała wieki, choć tyle pokoleń przeleciało w otchłań wieczności. Ale stawszy się religijnym, nie był ślepym na wady hierarchii kościelnej, które biczem ironii chłostał w „Podróży do Ziemi Św.“ Odczuwając całą poezję klasztorów, oceniając ich niepożyte zasługi, wyrzucał zakonnikom ciemnotę i próżniactwo. Na grobie Chrystusowym nie zapomniał o Niej, modlił się o Jej zmartwychwstanie, i nie tajem mu było, jak wielkich trzeba będzie trudów, aby „odwalić grobowy kamień, pełny naszych cierpień rytych.“ Słuchając na Ziemi Św. o „zmartwychwstaniu Syonu,“ marzył o wskrzeszeniu „trąpionej boleśniej Jerozolimy ojczystej...“

Na zakończenie podaję po raz pierwszy z Dziennika podróży Słowackiego w paleograficznej wierności odpis jednej karty (21 × 13), z obu stron gęsto zapisanej ołówkiem, a — jak wskazują złoczone jej brzegi — wydartej z raptularza, którym poeta nasz posługiwał się w podróży.

Noty podróży w Palestynie i Syrii ¹⁾.

1837 r.

1 stycznia. Gaza w ogrodach — Włoch instruktor włościan (?) ²⁾ — jestem jak na pensji w klasztorze Florenckim —

¹⁾ U góry dopisał K. Ujejski: Autograf J. Słowackiego.

²⁾ Autograf Dziennika przepisał własnoręcznie K. Ujejski na trzech stronicach listowego papieru, i w tym odpisie opiewa ten nieczytelny wyraz: włościan.

Stancya w khanie ¹⁾ — Walterskot z tej stancyjki utworzyłyby romans — Minaret oświecony — Tafo —

6. Wyjazd — deszcz — nocleg w małej wiosce — jaskółka ma w naszym pokoju gniazdo.

7. Deszcz — nocleg u Szecha w dymie — Koniec romazanu — wszyscy robią dary jedni drugim — chłopki z plackami od chat do chat przechodzą — starce ²⁾ z kawałami mięsa — przebywanie rzek rozlanych.

8. Pola okryte ranunkułami ³⁾ czerwonymi — położenie smutne Jaffy — ogrody — zabawy Ramazanu do paryskich dni Julietowych ⁴⁾ podobne — Przyjazd do klasztoru — morze — wizyta u Pana Domijani, konsula francuskiego — ofiarowanie kwiatków — Chcę jechać ⁵⁾ dzień cały w klasztorze — łóżka, stancya dla syna króla Francyi — Ibrahim z wizytą u xięży — godziny koni po 10 p. ⁶⁾ za dzień drogi, a po 5 za dzień stania —

10. Wyjeżdżam z Jaffy do Rhamle — wieża kawalerów St. Jana, wyrznięci od Turków — klasztor — ogród w dziedzińcu — dzień 11 bawię w Rh[ame] dla deszczu.

12. Równina — na wstępie gór Jerozolimskich wioska Dobrego złodzieja ⁷⁾ — góry — jedzie się łożem potoku — oliwy — z góry na górę coraz dzikszą — wioski z kamieni pitoresque ⁸⁾ — zameczek Machabeuszów — Noc — Jerozolima — pod drzwiami miasta jak krzyżak xiężyc — Oleś — przyjaźń młodych lat — nie poznał mnie!

13. Z rana Oleś wyjeżdża — jego do zobaczenia — cały dzień w celi — jutro mam noc przepędzić u grobu — tak mam rozigrane nerwy, że co chwila łzy mi się rzucają z oczu.

14. Noc u grobu w kościele — o godzinie 8 sam jestem — kłęczę, czołem na marmurze oparty, czytam ewangelię — o 11-iej ⁹⁾ mąż i żona wchodzą do grobu, modlą się i całują mnie w rękę. —

¹⁾ W odpisie Ujejskiego: „w Rhame.“

²⁾ Ujejski odczytał: „stłudze.“

³⁾ „Rununkułami“ u Ujejskiego.

⁴⁾ Ujejski czyta: „Juliowych.“

⁵⁾ Miejsce nieczytelne wskutek zatarcia pis. ołówk.

⁶⁾ Miejsce nieodeczytane. Prawdopodobnie „po 10 p(iastrów) dziennie.“

Oba miejsca w odpisie Ujejskiego wykropkowane.

⁷⁾ K. Ujejski: „Równiny na wstępie gór Jerozolimskich. — Wioska dobrego złodzieja.“

⁸⁾ Wyraz ten francuski wykropkował Ujejski w odpisie jako nieczytelny.

⁹⁾ W odpisie Ujejskiego: „o 12-tej.“

o 12 dzwon — zaczynają się śpiewy różnych wiar, jak ptaki zbudzone po gniazdach — Kopta klatka ¹⁾ — O god. 2 msza za Polskę. — Śpię nad rankiem jak dziecko po płaczu.

15. Na górze Oliwetu — grób proroków — Józefata i Absalona ²⁾ — ich płaskorzeźby — kamień przemienienia — grób Maryi — drzewa oliwne Chrystusa — widok Jerozolimy — spalenie kościoła — nadużycia Greków — Walki — orzeł Rossyjski — lamp 43. —

16. W Betlehem — grotą pasterzy — pole — chłopcy z gołębiami — dawne nazwiska — kościół — żłób — Dzieci, które na Boże narodzenie przedstawiają dzień wielki. Heród — przełożony klasztoru — Różne roboty z perłowej macicy — Wieże po winnicach.

17. Monaster Św. Saby — grotą, skąd tygrysa ³⁾ wypędził — palma cudowna — kościotrupi — noc nad przepaścią — śpiewy, opowiadanie dawnych dziejów — wódz arabów zwyciężony — trzody w grotach i światelka.

18. Morze martwe — Jordan — Koń pada — bagno, w którym się konie prawie topią — Jericho — chaty przezroczyście z cierni — róże Jericha — dzieci na wzgórzu grające w wilka — psy — ogród figowy — ubiór posągów kobiet —

19. Powrót do Jeruzalem przez Betaniję, gdzie grób Łazarza — góra oliwna — dzień w Jerozolimie — Dwóch Anglików i Niemców — Fra Michele ⁴⁾. —

21. z Jerozolimy — Birra, gdzie N. P. spostrzegła się, że Chrystus został w Jerozolimie — koń pada — piechotę dochodzę do bliskiej wioski — bukiet rwany po drodze — zachód słońca — zima i wiosna — drzewa cicho odpoczywające — ptaszek — kobiety biorą wodę ⁵⁾.

22. Nocleg w Naplonzie — Khan zavalony od trzęsienia ziemi — piękność okolic — samarytanie 170 ⁶⁾. — ofiary ich — mówią, że czczą złote cielce — biblja —

¹⁾ „Pleban“ u Ujejskiego.

²⁾ K. Ujejski: „Abrahama.“

³⁾ W opisie Ujejskiego: „tygryse.“

⁴⁾ Kopia K. Ujejskiego: „Michale.“

⁵⁾ Tu następuje w autografie, pod datą „22“ (stycznia 1837) ustęp przekreślony: „Przyjazd do Sabasty. Najpiękniejszy pejzaż. Ruiny łąki całe żółte od kwiatów.“ Co umieścił poeta pod datą 23-go stycznia w nieco zmienionej formie.

⁶⁾ Stronica ewangelii, wyd. ?.

23. Przejazd koło Sebasty — pejzaż — wioska, w której nie można znaleźć khanu — Dżanina — nocleg u Turka —

24. Wielka równina do przebycia — góra Thabor na prawo — Karmel na lewo — Nazareth — trzęsienie ziemi — Obrazek N. P. nad celą z napisem: *Oby serce moje do ciebie mogło tylko należeć* — Dzień w Nazarecie — szukam twarzy Rafaelskiej w gaju oliwnym —

26. Droga ładną doliną — góry — jezioro genezaretaińskie — Tyberyada zniszczona trzęsieniem ziemi — cisza — ojciec nie może syna odszukać — 400 żydów, 35 chrześcian, 70 mużulmanów zginęło — obiad pod namiotem — jezioro — miejsce, gdzie Chrystus ryby mnożył — gdzie St. P[iotr] chodził po wodzie — muszle — źródło wody gorącej — nocleg pod gołym niebem.

27. Droga nad jeziorem — góry dzikie, białe, skaliste — wieczorem nocleg nad Jordanem — khan zrujnowany — drzewo oliwne naszym namiotem. —

28. Droga równinami, gdzie dęby rzadkie ¹⁾ i oliwy — podobieństwo do Pińskiego bagna — nocleg w Antalii ²⁾.

29. Droga wciąż ³⁾ jednostajna — khan wyrysowany — kawki

30. Przybycie do Damasku. —

PROF. DR. HENRYK BIEGELEISEN.

¹⁾ W odpisie K. Ujejskiego czytamy: „dęby wielkie.“

²⁾ Wyraz nieczytelny w autografie: „Antolii,“ „Antokii,“ lub „Antalii.“ K. Ujejski odczytał: „w Antalii.“

³⁾ Słowo „wciąż“ bardzo niewyraźne, w odpisie K. Ujejskiego miejsce wykropkowane.

Ruch umysłowy w Niemczech.

„Bezskutecznie przebrzmiały przed 20-tu laty słuszne żądania, domagające się dopuszczenia sztuki w zakres wykształcenia ogólnego w Niemczech.“ Temi słowy zagaja znany esteta i krytyk, dyrektor hamburskiej galeryi obrazów, profesor Alfred Lichtwark, ostatnie dzieło swoje: „Niemiec przyszłości.“ Dzieło to zasługuje ze wszech miar na specjalną uwagę, zawiera bowiem jasno i z głęboką znajomością przedmiotu sformułowane życzenia, dążenia i poniekąd nawet cele tej części narodu niemieckiego, która snadź zmierza do rządu dusz i której wpływ wznaga się z dnia na dzień. Pojąć życzenia, nadzieje i zamiary wybrańców narodu, znaczy dotrzeć do źródlisk, skąd dusza narodowa czerpie swe soki życiowe i swą siłę twórczą. Poznanie to musi być dla nas rzeczą pożądaną, gdyż przedewszystkiem właśnie w wyższej kulturze narodu niemieckiego, z którym nieustannie potykać się nam trzeba, leży owa przewaga, która mogłaby z czasem łąco szaleć na niekorzyść naszą przechylić.

Dzieła Lichtwarka są dziełmi potrzeb dnia. Odczyty z dziedziny sztuki, przedmowy do katalogów wystawowych, prelekye w stowarzyszeniach naukowych i artystycznych, mowy na zjazdach, sprawozdania, przeglądy, studia specjalne, wchodzące w zakres jego działalności, — wszystkie te tak różnorodne pobudki stwarzają w końcu całość jednolitą, którą autor w formie książkowej podaje. Niezwykle wyrazista, samodzielna osobistość jego potrafi wielorakie i częstokroć na pozór bardzo oddalone od siebie dziedziny przeniknąć, zjednoczyć, ująć w rany jednolitego światopoglądu.

W podobny sposób powstało również ostatnie dzieło Lichtwarka: „Niemiec przyszłości.“ Budzące się w społeczeństwie

niemieckiem na początku XX stulecia zainteresowanie szerszych kół sprawami dotyczącymi reformy wychowawczej i pierwsze rezultaty ruchu tego, osiągnięte na zjeździe Drezdeńskim (1901 r.) i Weimarskim (1903), są główną osią dzieła, w którym autor, naszkiecowawszy w ogólnych zarysach stan obecny umysłowości niemieckiej, stara się obliczyć wszelkie odśrodkowe i dośrodkowe siły prądów dnia. Jednocześnie wzrok jego utkwiony w dale przyszłości, szuka na mglistym widnokręgu pragnień nowych światów; nie po to jednakże, aby przyjście ich jedynie skonstatować (na to syn ten północnych Niemiec zbyt wiele posiada zmysłu praktycznego i energii czynu); przyszłość staje się dlań manometrem do mierzenia sił twórczych terażniejszości, koniecznych dla spełnienia pewnej, z góry określonej, pracy kulturalnej.

W XVIII-em stuleciu głównymi potęgami cywilizacyjnymi w życiu społeczeństwa niemieckiego były: dwory niezliczonych udzielnych państw i państewek, kościoły, uniwersytet i cechy rzemieślnicze. Najwięcej wzrosła w ciągu XIX stulecia władza uniwersytetów, które się stały głównymi przybytkami wiedzy, tej wszechpotężnej Pani wieku racjonalizmu. Równocześnie jednakże powstały nowe potęgi. Żadna z nich, ani partye polityczne, ani organizacya czwartego stanu, ani ruch kobiecy, ani nawet zwycięskie dziennikarstwo nie zajmują do dziś dnia jednak tego stanowiska, co szkoła i armia. Uniwersytet, szkoła i armia cieszą się dziś największym wpływem w Niemczech i nadają umysłowości niemieckiej charakterystyczne zabarwienie. Przedstawicielami tych trzech potęg są: profesor, nauczyciel i oficer, trzy typy wysoce znamienne.

Przed dwudziestu mniej więcej jeszcze laty zajmował profesor w życiu i powieści niemieckiej miejsce najprzedniejsze obok władców i arystokratów. Przedstawiano go chętnie, jako uosobienie zewnętrznych i wewnętrznych doskonałości. Ku końcowi XIX stulecia w powieści wystąpili na pierwszy plan: oficer i artysta; w życiu: technik, przemysłowiec i kupiec. Profesor nie potrafił utrzymać się na swem wyłącznym stanowisku. Przyczyny tej ewolucyi stara się Lichtwark wyjaśnić w wyżej wymienionem dziele. Średniowieczna iście niedostępność uniwersytetu względem naukowo niezakwalifikowanych; kastowość, niechęć i pogarda dla wszystkiego, co nie jest nauką ścisłą; zupełne zobojętnienie względem potrzeb życiowych, stały się powodem, że profesor coraz bardziej począł tracić łącznik z życiem narodowym, a nagromadzone bajeczne zdobycze wiedzy fachowej, jak zaklęte królowne, napróżno czekały w pyle mrocznych i bogutych księgo-

zbiorów na wyzwalaający pocałunek życia. Wszak niedawno jeszcze profesor uniwersytetu w Niemczech, piszący lub wykładający dostępnie i językiem pięknym, uważany był w kołach uniwersyteckich za lekkoducha, a wszelką próbę przełamania muru chińskiego kastowości i zwrócenia się do szerszych warstw narodu piętnowano, jako herezyę. Tej niedostępności kół naukowych zawdzięcza np. społeczeństwo niemieckie ową oplakaną obojętność swej plutokracji względem spraw dotyczących kultury i wiedzy. W Niemczech, powiada Lichtwark bardzo słusznie, można być bardzo bogatym i przytem bardzo mało wykształconym i mało dbającym o potrzeby duchowe człowiekiem, a mimo to cieszyć się ogólnym szacunkiem, co w Ameryce lub Anglii, gdzie bogactwo nakłada pewne obowiązki kulturalne, byłoby niepodobieństwem. Nigdy jeszcze nie istniała tak mało kulturalna, wpływowa warstwa społeczna, jak współczesna plutokracja niemiecka, która pod względem swych umysłowych potrzeb pozostaje daleko poza średnią, ba! nawet poza niższą klasą narodu. Późno dopiero błęd ten w kołach uniwersyteckich spostrzeżono. Dziś profesor uniwersytetu, zstępujący z wyżyn niedostępnych swej katedry na ziemię i niosący własnoręcznie światło wiedzy pomiędzy lud, lub zdobywający na konkursie lawntenisowym pierwszą nagrodę, nie jest rzadkością. Ruch estetyczno-etyczny, ogarniający coraz szersze koła inteligencji niemieckiej, wtargnął również do warownych fortec wiedzy fachowej. Czy jednakże profesor zdoła odzyskać swą dawną popularność—nie da się dziś jeszcze z pewnością orzec.

Największem uznaniem w społeczeństwie niemieckim cieszy się w naszych czasach oficer. Doniosłość jego wpływu da się łatwo dowieść, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że przez ogólną powinność wojskową w Niemczech wszystkie warstwy społeczne podlegają mu na pewien czas bezpośrednio, nie wciągając w rachubę innych, wielorakich wpływów pośrednich militaryzmu na szkołę, wychowanie, życie towarzyskie i publiczne. Lichtwark widzi w oficerze niemieckim najbardziej udoskonalony i rasowy typ nacyonalny, godny, jako typ uszlachetnionego europejczyka, zająć miejsce obok typu angielskiego gentleman'a. Nawet monarchowie europejscy, powiada, są w mundurze niczem innym, tylko uosobieniem niemieckiego oficera, a po cywilnemu—angielskiego gentleman'a. Uogólnienie to wydaje mi się nie dość uzasadnione. Weźmy np. szlachcica polskiego. Typ ten pod względem swej rasowości nie ustępuje w niczem obu powyżej wymienionym. Może być, że pod wpływem różnorodnych mniej pomyślnych warunków, o których tutaj wspominać nie potrzebuje, szla-

chcieć polski utracił część swej dawnej sprężystości, mimo to zaprzeczyć niepodobna, że właśnie w naszym stanie szlacheckim, będącym wynikiem odwiecznej kultury rycerskiej, do dziś dnia drżemą siły kulturalne pierwszorzędnej dla nas wartości.

Oficer niemiecki jest dziś niewątpliwie najbardziej charakterystycznym typem nowożytnego Niemca. Udoskonalając się pod naciskiem wielostronnych wymagań fizycznych i duchowych, posiada on, jako produkt niezwykle surowego doboru, silne cechy indywidualne, udzielające się stopniowo całemu narodowi od książąt panujących do klasy robotniczej, co już Nietzsche przed 20-tu laty zaznaczył. A jakaż różnica pomiędzy owym zaledwie rozpoczynającym się rozkwitem militaryzmu niemieckiego, a dzisiejszym stanem rzeczy! Obecnie, badając stosunki niemieckie, skonstatować musimy, że dobrze nam znany, sympatyczny nawet niegdyś typ Niemca-liberała, nie zupełnie co prawda wolnego od pewnej krótkowzroczności fachowej i służalczości względem wszystkiego, co obce, coraz bardziej zaczyna zanikać, pod podwójnym naciskiem wzrastającej pewności nacyjalnej, buty pangermańskiej i iście krzyżackich instynktów legnących się w gniazdkach militaryzmu. Kto wie, co z tego wyniknie, o ile takie przeciwdziałające, łagodniejsze potęgi cywilizacyjne, jak wiedza, sztuka, handel i przemysł, nie staną tej ewolucyi na przeszkodzie. Bądź co bądź, z coraz silniejszym zaostrzaniem się kontrastów i antagonizmów w dzisiejszem społeczeństwie niemieckiem na razie rachować się musimy.

Obok armii, rozwinęła się w ciągu XIX stulecia do imponującej potęgi szkoła niemiecka. Wszystkie jej funkcje od gimnazjum do szkoły ludowej wchodzi tutaj w rachubę. Mimo to rezultaty, wywołane przez niemiecki system szkolny, nie są bardzo pomyślne. Jak wielu innych i Lichtwark fakt ten stwierdzić musi. Krytyka jego ostra jest, ale słuszna i rzeczowa. Ciasne antagonizmy klastowe były i są na przeszkodzie organizacyi sił naukowych. Pomiedzy wyższymi nauczycielami np. zaledwie może filolodzy, wykładający języki starożytne i nowożytne, posiadają wspólne cele. Wobec takich rozdzwięków szkoła niemiecka nie jest w stanie dać jednolitego wykształcenia. Staje się natomiast aglomeratem tylko najróżnorodniejszych przedmiotów, które wchodzi w zakres planu szkolnego, ponieważ uznane zostały przez ministerium oświaty za niezbędne. Brak jej owej siły twórczej, formującej charaktery, która winna być naczelnym środkiem wychowawczym, gdyż nie wiedza, fach, plan szkolny są celem ostatecznym wykształcenia, ale przedewszystkiem hodowla dusz. Te-

go zahypnotyzowana, zapatrzona na swoje pensum szkoła niemiecka, dotychczas urzeczywistnić nie potrafiła. Rezultaty jej systemu są opłakane. Czyż owa zadziwiająca niechęć i obojętność najszerszych warstw narodu niemieckiego względem swych dóbr duchowych, względem najdroższego klejnotu, mowy ojczystej, nie są jej dziełem? Czyż np. taki fakt, że od czasu, gdy zaczęto w szkole śpiewać pieśni ludowe, lud zaprzestał je śpiewać w domu, nie jest wystarczającym dowodem nieudolności szkolnej? Niemiecki system szkolny przesyca i zniechęca, zamiast budzić głód. Przeciwno tym brakom podniosły się w ostatnich czasach w społeczeństwie niemieckiem wielorakie protesty. W literaturze beletrystycznej najbardziej trafnie sformułowane oskarżenia zawierają takie powieści, jak „Freund Hein“ Emila Straussa lub „Unter dem Rad“ Hermmana Hessego.¹⁾ Pomiędzy dziełami fachowemi zaś utwory: Ludwika Gurlitta „Der Deutsche und seine Schule,“ Artura Bonusa „Vom Kulturwert der deutschen Schule,“ Pilz'a „Bewusstes Deutschtum,“ D-ra Teobalda Ziegler'a „Allgemeine Pädagogik.“

Przez długi czas szersze warstwy publiczności niemieckiej z niepojętą obojętnością trzymały się zdala od wszelkich debatów na temat reformy szkolnej. „Mamy towarzystwa opieki nad zwierzętami w każdej wsi niemal, pisze Lichtwark, ale kto słyszał o stowarzyszeniu rodziców, mającem na celu wywarcie wpływu na dzisiejszy zgubny system szkolny?“ Dopiero ruch reformatorski, powstały w łonie samej szkoły, wśród lepszych jej członków, cierpiących zarówno z młodzieżą pod zabójczym naciskiem bezdusznego systemu, skierował kwestyę szkolną w Niemczech na bardziej obiecujące tory. Bezpośrednim wynikiem tego ruchu były zjazdy w Dreźnie (w r. 1901, Zjazd poświęcony sztukom plastycznym i ich wpływowi na system wychowawczy), w Weimarze (w r. 1903, Zjazd poświęcony językowi niemieckiemu i poezyi niemieckiej) i w Hamburgu (w r. 1905, Zjazd poświęcony muzyce i gimnastyce), w których, poza przedstawicielami władz, brali udział członkowie ciał pedagogicznych, artyści, poeci, profesoria uniwersytetu, literaci.²⁾

¹⁾ Na oba dzieła w tegorocznym zeszycie lutowym „Biblioteki“ zwrócić uwagę.

²⁾ Sprawozdania z tych zjazdów „Kunsterziehungstage,“ jak je w Niemczech nazwano, wyszły w nakładzie „Blätter für die Erziehung“ w Friedrichshagenie pod Berlinem.

Na razie do konkluzyj ostatecznych zjazdu te jeszcze nie doprowadziły. Zdania, w jaki sposób należałoby zapobiedz dotkliwym brakom szkolnym, są jeszcze podzielone, ale bądź co bądź sprawa szkolna pełniętą została na nowe tory, gdzie prędzej czy później znajdzie rozwiązanie.

Niezmiernie ciekawe są wywody Lichtwarka dotyczące tej kwestyi, zwłaszcza w dwójnasób ciekawe, wobec polityki szkolnej rządu niemieckiego stosowanej względem ludności polskiej.

„Systemowi naszemu wychowawczemu brak przedewszystkiem silnych podstaw nacyonalnych, pisze Lichtwark. Życie intelektualne współczesnej inteligencji niemieckiej jest najlepszym dowodem braku wszelkiego związku z przodującymi umysłami przeszłości bądź to w dziedzinie polityki, sztuki, literatury, bądź wiedzy... Dla dalszego pomyślnego rozwoju naszej narodowości żądany przedewszystkiem od naszego systemu wychowawczego, aby potrafił we wszystkich klasach społeczeństwa obudzić miłość dla języka ojczystego, ojczystej sztuki i literatury. W niej bowiem leży nieoceniona potęga, jednocząca wszystkie stany narodu. Gdybyśmy system ten wychowawczy mogli zdobyć dla wszystkich stanów, narodowa kultura klasyczna byłaby tylko kwestyą czasu...”

Konieczność zreformowania stanu nauczycielskiego uważa Lichtwark za pierwszą, zasadniczą reformę systemu wychowawczego. I rzeczywiście, wszelkie usiłowania polepszenia obecnego stanu spełznąć muszą na niczem, jeżeli nie znajdą w nauczycielu podatnego narzędzia. Wszelka reforma szkolna zależna jest przedewszystkiem od niego. Najlepszy plan nauk nie jest w stanie zastąpić jego osobistego wpływu, a najgorszy wpływu tego nie zdoła zupełnie unicestwić. W jego sile twórczej leży cała siła systemu. „Ale dopiero wtedy dotychczasowe braki, które nas niepełniają nieufnością względem szkoły, pisze Lichtwark, mogą być usunięte, jeżeli zaczniemy pojmować nauczyciela, jako artystę i damy mu możność działania, jako artysta...” Przez te słowa rozumie Lichtwark przedewszystkiem konieczność przezwyciężenia systemu, szukającego w nauczycielu jedynie narzędzia do przelewania w mózgi młodzieży pewnej szematycznie z góry określonej dozy wiedzy. Nauczyciel winien, jak artysta, dawać nie ułamki, mające jedynie fachowo-teoretyczne znaczenie, ale harmonijną całość, pełną doniosłości życiowej. Stosownie do tego plan szkolny, zamiast być zawitym systemem na przegródki podzielonej wiedzy, powinien tworzyć jedną wielką całość. Historia, geografia, poezya, matematyka, muzyka, gimnastyka, nauki przyrodnicze,

nauka rysunków, taniec, sport i wszystkie najróżnorodniejsze przedmioty planu szkolnego przyszłości służyć muszą jednemu celowi — harmonijnemu rozwojowi sił twórczych i kształtowaniu charakteru. Wszystkie muszą się łączyć i wspierać, tworząc atmosferę, w której najlepiej i najswobodniej dojrzewać może młodzież. Pozatem przejście z życia do szkoły i ze szkoły do życia powinno być mniej raptowne, niż dotychczas. I szkoła musi się stać życiem, aby jako siła twórcza współdziałać z życiem. Dla czego np. tak mało zwracano dotychczas uwagi na cały ten zasób wiedzy praktycznej, który dziecko do szkoły przynosi? Pogłębienie, utrwalenie, zaokrąglenie tej wiedzy powinny być pierwszym zadaniem szkoły. Weźmy np. naukę języka ojczystego, przytacza słusznie Lichtwark: dziecko przychodzi do szkoły z dość poważnym zasobem wiedzy — potrafi się już wysłowić, a co najważniejsza wysłowić się oryginalnie. Mowa jego, odznaczająca się cechami twórczymi, daje nam dowód pracy duchowej. Po kilku miesiącach pracy szkolnej, która zamiast starać się zdolności te dalej rozwijać, rozpoczyna z istic morderczą obojętnością czynność wtlączania niezrozumiałej, zawilej i szarej teoryi gramatycznej w młode mózgi, dziecko już zupełnie zatraciło styczność z żywym słowem, obrazowość i dosadność wysłowienia i kleci bojaźliwie szematyczne, nieudolne, a co najgorsza nienaturalne zdania, nie mające nic wspólnego z jego życiem wewnętrznym, które pod naciskiem takiego systemu szkolnego zaczyna też stopniowo ubożać i wypaczać się. Jeden z najpierwszych estetów i najgłębszych znawców języka niemieckiego, Jakób Grimm, protestuje nawet stanowczo przeciw wykładaniu w szkole gramatyki, i nie bez pewnej słuszności, gdyż trudno doprawdy wyliczyć wszystkie ofiary składane corocznie w szkole niemieckiej na ołtarzu molocha-ortografii na przykład.

Zagadnienia te bardziej niż kiedykolwiek zajmują dziś w Niemczech umysły poważniejsze, a pomyślnie ich rozwiązanie staje się coraz bardziej kwestyą palącą. Pomimo zupełnie odmiennych warunków szkolnych przypuszczam, że ruch pedagogiczny w Niemczech wzbudzić powinien u nas żywe zainteresowanie, szczególnie pedagogzy nasi powinni by zwrócić nań specjalną uwagę.

Praca profesora Lichtwarka posiada znaczenie doniosłe. Jako dyrektor galeryi obrazów musiał naturalnie ograniczyć czynność swoją do działalności w dziedzinie i przez dziedzinę sztuki, ale wpływ jego sięga daleko poza obręb tego, cośmy zwykli dotychczas przez dziedzinę sztuki rozumieć. Muzea stają się ku

końcowi XIX stulecia nową potęgą wychowawczą w życiu duchowem narodów europejskich. Stopniowe powstawanie, rozwój i działalność tych nowych przybytków sztuki różnemi idzie drogami. We Francyi np. centralne znaczenie Paryża, skupiającego wszystkie siły duchowe narodu francuskiego, nadaje temu rozwojowi kierunek zgoła inny, niż decentralizacya niemiecka. Jak wiadomo, oddawna już rolę centrów cywilizacyi odgrywało w Niemczech kilkanaście większych i mniejszych miast równocześnie, z których każde starało się, o ile możności, zdobyć dla siebie znaczenie „małego Paryża.“ W średnich wiekach i w czasach reformacyi centrami takimi były: Kolonia, Moguncya, Ulm, Augsburg, Norymberga, miasta o charakterze i kulturze mieszczańskiej. Następnie wystąpiły na pierwszy plan niezliczone rezydencye udzielnych państw i państewek, które się na gruzach cesarstwa niemieckiego rozsiały. Wówczas to powstały owe specjalnie niemieckie miasta, znane dziś pod nazwą „Kunststädte“ (dosłownie nie da się przetłumaczyć; znaczy: miasta uprawiające sztukę), jak np. Stuttgart, Karlsruhe, Düsseldorf, Mannheim, Casel, Weimar i w. in., które obok małych miasteczek, posiadających swoje słynne uniwersytety (t. zw. Universitätsstädte), jak np. Jena, Getynga, Heidelberg, Marburg—grały i do dziś dnia grają pewną rolę w rozstrzelonem i różnobarwnem życiu umysłowem Niemiec. Podobną decentralizacyę, co prawda z innych zupełnie powodów, przedstawiają dziś ziemie polskie z takimi centrami, jak Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań, Wilno, Kijów. Odrodzenie i wyzwolenie się trzeciego stanu i nowa kultura mieszczańska wieku XIX powiększyły jeszcze w Niemczech ową decentralizacyę. Obok rezydencyj udzielnych państw powstają wielkie, bogate środowiska przemysłu i handlu o zupełnie odrębnej fizyognomii cywilizacyjnej; takie miasta, jak Lipsk, Kolonia, Hamburg, Wrocław, Frankfurt nad Menem, Magdeburg i t. p. Wzrost tych miast, szczególnie od wojny francusko-niemieckiej 1870—71 roku przybiera wprost imponujące rozmiary. Dziś liczą Niemcy 41 centrów wielkomiejskich i zajmują pod tym względem najpierwsze miejsce pośród państw europejskich.

Wszystkie te środowiska niemieckie starają się dziś odgrywać, każde na własną rękę, pewną rolę cywilizacyjną, w najgorszym razie ściśle lokalną. Obok książęcych i królewskich galerij obrazów i skarbców powstają, kierujące się zgoła innymi względami, galerie miejskie, muzea kunsztu i przemysłu, przyrodnicze, historyczne i etnologiczne zbiory. Instytucye te, których nie brak dziś w mniejszych nawet miasteczkach niemieckich, przedstawiają

bardzo poważne potęgi wychowawcze, gdyż będąc z natury demokratyczne, t. j. bezpłatne i dostępne dla wszystkich warstw narodu, wywierają wpływ bardzo rozległy. Dlatego też muzea słusznie stoją dziś w życiu umysłowym narodu niemieckiego obok uniwersytetów i akademij. Do nich przedewszystkiem należy organizacja sił, będących poza obrębem działalności fachowej, a leżących dotychczas odłogiem. One to, jako popularyzatorki sztuki, są w znacznej mierze powołane do szerzenia ogólnego wykształcenia i stwarzania jednolitej kultury. A kierownicy ich, dyrektorzy muzeów, przedstawiają dziś nowy, ważny typ pracowników społecznych. Jak wieloraka i doniosła praca ich być może, pokazuje działalność profesora Lichtwarka.

Pomijając nie wchodzące w zakres mego studjum zasługi Lichtwarka, jako idealnego kierownika muzeum, zabiegliwie dbającego o wzrost i powodzenie powierzonej sobie instytucji, zwróćmy uwagę na jego działalność wychowawczą, przedewszystkiem więc na jego stosunek do różnych postaci dyletantyzmu. Dyletantyzm bowiem, odpowiednio zorganizowany, będący pod rozumnym, kompetentnym kierownictwem, jest pierwszorzędą potęgą cywilizacyjną, której lekceważyć nie wolno. Stwarza on jakoby drużynę wierną, popierającą umysły twórcze w ich uciążliwej walce z obojętnością wielkich mas. Pod kierownictwem Lichtwarka powstały w Hamburgu takie stowarzyszenia, jak „Towarzystwo hamburskich miłośników sztuki“, „Stowarzyszenie do popierania fotografii amatorskiej“, „Stowarzyszenie nauczycieli, mające na celu pielegnowanie kultury artystycznej.“ Wszystkie te stowarzyszenia spełniają funkcje, wychodzące daleko poza obręb działalności zwykłych „Kunstvereinów.“ W interesującym dziele swoim „Drogi i cele dyletantyzmu“ kreśli Lichtwark w ogólnych zarysach działalność tych stowarzyszeń i wskazuje godne uwagi perspektywy. Jakież rezultaty dałyby się pod tym względem osiągnąć w naszym społeczeństwie, posiadającym tak pokaźny zastęp inteligentnych dyletantów! Staje mi w pamięci imponujący obraz wystawy fotograficznej, którą przed kilku laty miałem sposobność widzieć w Warszawie. Czyż nie dałoby się i u nas z pracy tak wysoce utalentowanych dyletantów wyciągnąć korzyści wychowawczych? Dzieła takie, jak „Z pola pracy dyletantyzmu“ (Vom Arbeitsfelde des Dilletantismus), „Znaczenie fotografii amatorskiej“ (Die Bedeutung der Amateurphotographie), „Bukiet marktowski i Bukiet kwiatów“ (Maquartbouquet und Blumenstrauss), „Kult kwiatów i Kwiaty dzikie“ (Blumenkultus—Wilde Blunon), dające sposobność bliższego zapoznania się z działalnością Licht-

warka na tem polu, posłużyłby mogły za drogowskazy dla pragnących informacyj.

Na tej wielorakiej działalności organizacyjnej muzea dzisiaj—jednakże nie porzestają. Zwrócono pozatem uwagę na młodzież, starając się przygotować w niej bardziej jeszcze podatny materiał dla swoich celów wychowawczych. Klasyczne przykłady tej pracy znajdujemy znów w pismach i działalności Lichtwarka. Dziełko jego „Uebungen in Betrachtung von Kunstwerken“ (Ćwiczenia przygotowujące do zastanawiania się nad dziełami sztuki) zasługuje, jako praca o niezwykłych zaletach pedagogicznych, na jak najszersze rozpowszechnienie i powinno być koniecznie znaleźć tłumacza polskiego. Z drugiej znów strony w myśl planów wychowawczych Lichtwarka, związane stowarzyszenie nauczycieli, mające na celu pielęgnowanie kultury artystycznej i będące w ciągłej styczności z muzeami, nieocenione już przyniosło korzyści dla szkoły. Członkowie tego stowarzyszenia tworzą dziś zwartą drużynę, wywierającą wpływ ożywczy na serca uczącej się młodzieży. Kto wie, czy znamienne słowa Diderota, który dawno jeszcze przed Ruskinem powiedział, że naród, uprawiający od lat młodocianych z równą pilnością, jak umiejętność pisanja i czytania, rysunki i malarstwo, stać się musi w ciągu mniej więcej 50-ciu lat najbogatszym narodem na świecie—nie zostaną pod wpływem muzeów niemieckich, a na czele muzeów hamburskich, urzeczywistnione. Żaden z rządów europejskich sprawą tą dotychczas na seryo się nie zajął. Zasługa poruszenia jej i przeprowadzenia w czyn przypada wyłącznie młodemu zorganizowanemu dyletantyzmowi i jego kierownikom: muzeom. Tutaj to widzimy po raz pierwszy jeden z wielorakich wpływów, jakie żywa sztuka wywrzeć potrafi na szkołę. Wyłączenie jej ze szkoły było i jest błędem zasadniczym starego systemu pedagogicznego, który musimy porzucić, jeżeli chcemy, aby szkoła znów, jak niegdyś, hodowała zdrowe, harmonijne, pełne energii życiowych i optymizmu twórczego umysły. Zbyt długo hodowaliśmy wyłącznie jednostronnej pracy rozumowej w szkole. Czas, aby etyczne i estetyczne cele zajęły w systemie wychowawczym miejsce, które im się z natury rzeczy należy. A co reforma taka dla kultury narodu i jego sił życiowych znaczy, można sobie wystawić, sumując np. olbrzymie zasoby energii twórczej nagromadzone w dziełach sztuki. Energia ta przeniesiona w czyn—jakież to perspektywy dla przyszłości! Kto dziś zawsze jeszcze uważa sztukę za zbytek, ten widocznie pojęcia niema, jakie źródła materialnego dobroby-

tu stwarza wyższa kultura estetyczna. Historia nowożytnego zdobnictwa tysiące dowodów na to złożyłaby mogła.

Głównym celem wszelkiej pracy pedagogicznej powinno być pobudzenie sił twórczych narodu do najwyższego napięcia. Profesor Lichtwark myśl tę zamyka w następujących znamienych słowach:

„Ochrony przed zniweczeniem dać nam zewnętrzne urządzenia narodowe i sojusze polityczne nie mogą. Burza jednej nocy może je obalić. Ale nikt nas nie zwycięży, jeżeli każdy z nas nauczy się o każdej porze dnia, przy każdej pracy, wszędzie, gdzie go przedsiębiorczość i los postawią, rozwijać cały zasób swej energii twórczej i woli.“

Szkoła, która taki cel sobie postawi i zdoła przeprowadzić, będzie niezawodnie w stanie podnieść poziom kulturalny całego narodu.

Sumując wszystkie siły i energie cywilizacyjne dzisiejszych Niemiec, musimy dojść do przekonania, że ogromne ich napięcie terażniejsze jest rzeczywiście w stanie stworzenia imponującej i jednolitej kultury niemieckiej, będącej w stanie odegrać w dziejach cywilizacji wszechświatowej rolę znamieną. W przededniu tej epoki stoimy dziś prawdopodobnie. Obowiązkiem naszym jest patrzeć, uczyć się i udoskonalać naszą broń duchową. Zespolenie się wszystkich warstw narodu potrzebne będzie na to. Przykład muzeów niemieckich posłużyć nam może za dowód, że odpowiednie najbardziej harmonijne wychowanie młodych pokoleń powinno być troską naczelną nie tylko ciał pedagogicznych, ale wszystkich stanów i że szkoła dziś nie może być tylko owym więziennym gmachem, okolonym murem przestarzałych praktyk, ale sięgać musi daleko poza obręb swych ściśle formalnych granic w głąb życia i czerpać zeń pełnemi rękoma. Na to jednakże potrzeba nie tylko reformy sił pedagogicznych, ale przede wszystkim gotowości całego narodu. Niechaj olbrzymie, niezorganizowane i nieużyte dotychczas energie twórczo, drzemające w naszej inteligencji, arystokracji i plutokracji, w naszym świecie kobiecym zostaną tylko obudzone, niechaj zamiast bezmyślnego, wprost samobójczego trwonięcia ich w bezpłodnym życiu salonowo-towarzyskiem, jaknajwiększa ilość jednostek świadomie je skieruje ku celom wyższym, a niewątpliwie i nam uda się stworzenie szkoły poza szkołą, która byłaby w stanie uzupełniać braki i naprawiać wady systemu jednostronnego, który zamiast rozwoju charakterów i wzmacniania energii twórczych jest jedynie mozolnym trenowaniem mózgow i humulcem wszelkiego prawdziwego

postępu. Należałoby i u nas zwrócić uwagę na drogi i cele dyktantyzmu i na takie ogniska wiedzy, jak muzea, które u nas z przyczyn niezależnych od naszej woli znajdują się zaledwie w pierwszej fazie swego rozwoju, na zbiory prywatne i biblioteki, do których dostęp, jeżeli wogóle o istnieniu ich wiemy, ogromnie jest utrudniony, na zupełne osamotnienie wszelkich dążeń wychowawczych, które, będąc pozbawione wszelkich podstaw materialnych, mogą dopasować się jedynie do bardziej niż skromnych wymagań ogółu.

Ostatni rozdział dzieła swego „Niemiec przyszłości“ poświęca Lichtwark ocenie działalności profesora Justusa Brinkman'a, dyrektora hamburskiego muzeum sztuki. Może w jednym z późniejszych naszych sprawozdań zdarzy się sposobność zapoznania czytelników „Biblioteki“ z tym znakomitym organizatorem, cieszącym się słuszną sławą ogólnoeuropejską, organizatorem, w którym Niemcy posiadają jednego z najdzielniejszych przodowników dzisiejszego ruchu wychowawczego.

*

*

*

Jako inny przykład, w jaki sposób olbrzymi materiał, który nam dostarczyć może celowo zorganizowana praca, zużyty być powinien dla potrzeb wychowawczych, zasługuje na uwagę wydawnictwo Eugeniusza Diederichs'a w Jenie, który w roku bieżącym obchodzi dziesięciolecie swego niezwykle czynnego i owocnego istnienia.

O wydawnictwie tem wspominałem już pobieżnie w tegorocznym zeszycie lutowym „Biblioteki“, szkicując fizyognomie najwybitniejszych współczesnych nakładów niemieckich i ich stanowisko względem współczesnego piśmiennictwa.

Dotychczas zwykli byliśmy w nakładzie księgarskim oceniać jedynie działalność ilościową. Ile wybitnych nazwisk, dzieł i t. d. dany nakład posiada, jakie talenta wprowadził na arenę literatury i conajwyżej, jakie gałęzie wiedzy jako specjalność swoją uprawia. Nakład prowadzony według innych zasad, zasad idealnych, będących poza obrębem „Geszeftu“, jest rzeczą tak niebywałą, że większość, słysząc o tem, miałaby prawo wzruszyć niedowierzająco ramionami i zapytać, jakim cudem nakład taki mógł

przez dziesięć lat istnieć i rozwijać się. Tajemnicę tę tłumaczy nam wyjątkowe zaparcie się i niestrudzona energia kierownika całego przedsięwzięcia. Co prawda znaczna część okazałego majątku jego bezpowrotnie snadź została w przedsięwzięciu tem pograżona, bo publiczność niemiecka w opieszałości swej i obojętności, w kwestyach dotyczących spraw intelektualnych, ani o włos nie różni się od innych „publiczności“. Ale nawet w razie, gdyby działalność Diederichs'a przedwcześnie przerwana została, niezwykle rezultaty zdobyte w ciągu 10-cioletniego istnienia nakładu, pozostaną jako bogaty zbiornik energii cywilizacyjnych i wychowawczych, z których kultura niemiecka czerpać będzie mogła długo poważne korzyści.

Nakład Eugeniusza Diederichsa powstał w roku 1896 we Florencyi. „Właściwem miejscem jego urodzenia, pisze Eugeniusz Diederichs w przedmowie do niezwykle interesującego katalogu swego, jest świątynia Malatesty w Rimini, ów przybytek sztuki, gdzie światopogląd humanistyczny znalazł w dekoratywnej sztuce wnętrza najbardziej może trafny wyraz dla idei chrześcijańskiej, podniesionej do kultu piękna i miłości, a w niszach ścian zewnętrznych tej świątyni grupują się poważne szeregi sarkofagów, przechowujących prochy uczonych, którzy byli przedstawicielami tego światopoglądu.“ Związek pomiędzy owym światem minionej wielkości a myślą, która zabłysła pierwszym przebłytnym twórczym w duszy północnego gościa, zwiedzającego groby wielkiej przeszłości, sięga głębiej niżby się może na pierwszy rzut oka wydawało. Noszący bowiem godło Donatella nakład Diederichsa chce być również świątynią, w której myśl nowa ma być podniesiona do wysokości kultu, a nisze zdobić mają urny pełne żywej mądrości. Z całą świadomością toczy Diederichs walkę tę o nową kulturę niemiecką. Wszystkie publikacje jego nakładu świadczą o tem. Publikacje te dadzą się podzielić na dwanaście grup specjalnych, taż samą myślą przewodnią połączonych. Warto przypatrzeć się im bliżej. Obok dzieł i publikacyj z dziedziny kultury greckiej i rzymskiej (renesansu), widzimy najprzedniejsze utwory mistyki niemieckiej i niemieckiego humanizmu, monografie dotyczące przeszłości narodowej i dzieła z klasycznego okresu literatury niemieckiej. Olbrzymią tę dziedzinę wiedzy stara się nakład zużytkować jako materiał do planowanej budowy kulturalnej. Samo wyliczenie powyższych sześciu grup daje nam wskazówkę, że chodzi tu przedewszystkiem o rozbudzenie i skoncentrowanie sił zawartych w dziejach i dziełach przeszłości nationalnej.

W następnych sześciu grupach, poświęconych bezpośrednio przyszłości, zawarte są dzieła z dziedziny nowożytnej filozofii, ruchu etyczno-religijnego, socjalnego, utwory dotyczące kultury artystycznej i literatury pięknej.

U źródeł bogatych kultury greckiej, która i dziś jeszcze posiada dla nas nieprzebrane skarby życiowe, jak to ostatnio na przykładzie Fryderyka Nietzschego mieliśmy sposobność się przekonać, czerpie Diederichs najprzedniejsze skarby; w renesansowej kulturze romańskiej szuka przedewszystkiem łączników pomiędzy światem romańskim i germańskim. Oparwszy się na analogiach tych dwóch najważniejszych rozkwitów kultury europejskiej, zwraca się do przeszłości nacyonalnej, starając się skupić, udostępnić z niej wszystko, co dla niemieckiej kultury przyszłości mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Cały ten dobytek przeszłości podany jest w formie, dającej możność wniknięcia w ducha najbardziej nawet oddalonych początków, na czem polega główna zasługa tych publikacyj dla niemieckiej kultury przyszłości. Najlepszym bowiem miernikiem terażniejszości jest przeszłość, a budując tylko na fundamentach przeszłości gmachy nasze wznosić możemy. Niema kultury, któraby sama z siebie powstała, każda była dotychczas rezultatem odwiecznych zdobyczy i zabiegów — przodków. Jeden psalm Kochanowskiego np. więcej nam ze skarbnicy ducha polskiego objawi, niż dwa tuziny współczesnych powieści „z tendencjami.“

Nowoczesne publikacye, które nam Diederichs podaje, tworzą również imponującą całość. Filozofia nowożytna łączy się w nich ze światopoglądem opartym na najnowszych zdobyciach nauk ścisłych, z współczesnemi tendencjami religijno-etycznemi, estetycznemi i socyalnemi. Dzieła te mogłby każdy Niemiec żywcem, tak jak stoją w katalogu, umieścić w szafach swego księgozbioru, a trudno byłoby o bardziej obmyślany i kompletniejszy dobór. Nieoceniona to zasługa nakładu, że nie tylko dla ludzi fachu, ale dla każdego samouka otwiera szeroko podwoje do skarbcza kultury, dając mu przytom do rąk kłębek Ariadny, wskazujący drogę do celu. Jakież perspektywy otwiera dla każdego szukającego oświaty, tego rodzaju systematyczne ugrupowanie materiału! Jeżeli uprzytomnimy sobie, że biblioteki prywatne są po większej części dziećmi przypadku, że powstają i rosną z łaski przypadku i co najwyżej robią wrażenie śpichrzów, w których jedynie przegródki mają pozór systemu — to będziemy musieli przyznać, że już sama działalność Diederichsa, jako organizatora rozstrzelonych sił duchowych narodu, jest czynem ogromnej donio-

słości. Któż z nas, korzystając poraz pierwszy z pozwolenia wyszukania sobie odpowiedniej lektury, nie stał z bijącym sercem przed półkami biblioteki domowej, a jak niewielu znalazło urzeczywistnienie swoich oczekiwań. Pogarda dla pisanego słowa, która się kryje poza chętnie cytowaną sentencją „cieszymy się z życia, nie z książek“ jest dzieckiem tej zawiedzionej nadziei, która drżącą dłoń wyciągała po skarby, a zamiast nich kamienie i chwasty pochwyć tylko mogła. A przecież książka powinna być skoncentrowanem życiem. Książki takie rzeczywiście istnieją. Dostarcza nam ich obficie przeszłość własna i cudza, dostarcza teraźniejszość z cichych pracowni, o których zgiełk dnia i mody zazwyczaj nie wie. Rzadko jednakże spotykamy się z nimi w naszych księgozbiorach. Tem większą wartość posiada znajomość źródła, z którego dzieła takie można czerpać.

Przypatrzmy się bliżej działalności nakładu Eugeniusza Diederichs'a.

Nowe wydanie najprzedniejszych dzieł filozoficznych Platona w artystycznym przekładzie znanego estety i krytyka Rudolfa Kassnera, daje szerszym kołom publiczności niemieckiej sposobność bliższego zapoznania się z tym wielkim myślicielem starożytności, w którym kultura epicka najwspanialszego dosięga rozkwitu. Wydanie to, wolne od wszelkiego balastu filologicznej uczoności, daje każdemu możność samodzielnych studyów bez konieczności znużających i fachowych dociekań. „Boski“ Plato, którego filozofia wywarła znamienity wpływ na kształtujące się młode chrześcijaństwo, jest i dla dzisiejszych pokoleń jeszcze temtem interesującym i pouczającym. „Uczta,“ „Faidros,“ „Jon,“ „Lysis,“ „Charmides“ i „Państwo,“ to po większej części kulminacyjne dzieła twórczości Platona, otwierają cały szereg publikacyj ze świata starożytnej Grecji. Od czasów Schleiermachera, t. j. od stu lat przeszło jest to pierwsza próba udostępnienia szerszej publiczności niemieckiej w ogólnie zrozumiałym przekładzie świata idei Platona. Na uwagę zasługują pozatem przekłady na niemiecki dzieł Plotina, tego może najbardziej uniwersalnego i głębokiego myśliciela starożytności, w którym nauki Platona, Arystotelesa i stoików jednoczą się w jeden system filozoficzny¹⁾ rozmyślań etycznych szlachetnego Epikteta i pamiętnika bohater-skiego i genialnego władcy, polityka, poety i myśliciela Marka

¹⁾ Nieocenione zasługi zdobył sobie, jako komentator tego filozofa, zmarły przed niedawnem myśliciel niemiecki von Hartmann.

Aureliusza, które tworzą dopiero cząstkę planowanych przekładów z oryginałów greckich i łacińskich. Przekłady te odznaczają się swoją dostępnością. Wszystko przestarzałe, zbyt ciche, mające tylko doniosłość filologiczną zostało bezwzględnie usunięte. Wyrazistość na tem zyskuje, a ogólne zarysy nie tracą, jeżeli tłumacz posiada dostateczną dozę zmysłu krytycznego. Tylko w ten sposób można było, nie popularyzując, udostępnić dla szerszych kół dzieła, posiadające zbyt wiele zalet, aby bez szkody dla cywilizacji zniknąć w niedostępnej ciszy bibliotek fachowych. Przekłady z oryginałów okalają jakby rany misterne, krytyczne dzieła nowożytnych uczonych, uprawiających kulturę starożytną, jako to: Henryka Gomperza „Poglądy życiowe greckich filozofów i ich ideał wolności osobistej,” Karola Joëla „Mistycyzm i romantyzm w świecie myśli greckiej” i Waltera Patera, profesora uniwersytetu oksfordzkiego i subtelnego znawcy kultury starożytnej, „Studia o Grecyi,” „Plato i Platonizm.” Rys to znamienny dla całej działalności Diederichsa. Strawę duchową, którą podaje, tak udostępnia, że jak najszersze koła mogą z niej korzystać.

Pomiędzy publikacjami Diederichsa z czasów rozkwitu kultury romańskiej wyróżniają się szczególnie utwory mające bądź pośrednio, bądź bezpośrednio styczność z późniejszym renesansem niemieckim. Ciężka ta cokolwiek perspektywa może jedynie ze względów popularno-wychowawczych wytrzymać krytykę. Założenie jednakże, z którego wychodzi Diederichs, jest wprost fałszywe. Opierając się na niezupełnie zgodnych z prawdą teoriach rasowych Gobineau, pragnie, jak wielu zresztą dzisiejszych uczonych i artystów, widzieć w romańskiej kulturze renesansowej dzieło rasy germańskiej, której krew jakoby pobudziła i odmłodziła łacińskie i celtyckie narody. Do ważnej tej kwestyi w dalszym ciągu mego sprawozdania jeszcze powrócę. Na razie chodziło mi tylko o zaznaczenie jej. Do publikacyj z dziedziny kultury romańskiej należą przedewszystkiem dzieła Giordana Bruna (5 tomów), wydane przez Ludwika Kühlenbecka. W Giordano Brunie myśl ludzka podnosi się do nowego punktu kulminacyjnego. Stosunek jego do mistyki nadaje mu to znaczenie i stawia go, jako człowieka, ponad ideał grecki „o pięknym i dobrym mężu” (ὁ καλὸς καὶ ἀγαθὸς). Giordano Bruno, ów typ indywidualisty w kulturze renesansowej (uomo singolare, uomo unico), w którym rzeczywiście krew romańska i germańska się krzyżuje, jest zarazem typowym przedstawicielem nowego światopoglądu. Wybitne miejsce obok dzieł Giordana Bruna zajmują przekłady prac literackich Leonarda da Vinci, poety, myśliciela i malarza zarazem, który jako dru-

gi typ nowożytny, typ getowsko-wszechstronnego człowieka renesansu (*uomo universale*) zasługuje na uwagę. Z dzieł Leonarda da Vinci wydał Diederichs w tłumaczeniu niemieckim słynny „Traktat o malarstwie“ i „Wybór rękopisów,“ drukowanych dotychczas jedynie w trudno dostępnych i kosztownych wydaniach faksymiliowych. I te publikacje uzupełniają i komentują według metody Diederichsa prace krytyczne w rodzaju „Renesansu“ Waltera Patera, studjum biograficzno-filozoficznego Ottona Borngräbera o Giordanie Brunie z przedmową Ernesta Haeckela i w. i.

Z dziedziny mistyki niemieckiej wydaje Diederichs najprężniejsze dzieła przeszłości: kazania mistrza Ekehartta, dzieła Taulera, Susego, Jakóba Boehme'go, Jana Amosa Komeniusza, Anioła Szlązaka. Niemiecka mistyka, jako najbardziej może oryginalny owoc na drzewie przeszłości niemieckiej, posiada dla przyszłej kultury niemieckiej znaczenie pierwszorzędne, czego dowodem są na przykład tendencje i idee owej grupy myślicieli i artystów współczesnych, znanych pod nazwiskiem *friedrichshagen*czyków, o których w dalszym ciągu będzie mowa. Wybór pism teologicznych Swedenborga, tego najpotężniejszego mistyka, który pomimo swego pochodzenia szwedzkiego, zaliczony być może do mistyków germańskich—tworzy przejście od przeszłości do teraźniejszości.

Publikacje drezdeńskie z czasów niemieckiego humanizmu, będącego właściwie epoką niemieckiego odrodzenia, nie są jeszcze zbyt liczne. Wybór dzieł Erazma Roterdańskiego i innych humanistów, mający się wkrótce pojawić, dotychczas jeszcze nie wyszedł. Wielką zasługę zdobył sobie zato nakład wydaniem dzieł Teofrasta Paracelsa, tego pierwszego niemieckiego „*uomo universale*,“ filozofa, lekarza i przyrodnika zarazem. Oba dzieła naczelne Paracelsa „*Księga Paragramum*“ i „*Volumen Paramirum*,“ oraz obszernie dzieło krytyczne d-ra Franciszka Strunca „*Theophrastus Paracelsus, sein Leben, seine Persönlichkeit*,“ pierwsza wyczerpująca praca tego rodzaju o tym oryginalnym, tak mało znanym myślicielu, dają możliwość wniknięcia w świat jego myśli. Wyśmienite jest również, jako komentarz, dzieło Ernesta Borkowskiego: „*Z czasów Humanizmu*,“ zawierające szereg wyrazistych charakterystyk takich postaci, jak Adalbert Dürer, Hans Sachs, Willibad Pirckheimer, Riemenscheider, obaj Holbeinowie, Erazm Roterdański, Hutten, Celtis, Eobanus Hessus, Maksymilian I-szy.

Okres od reformacji do romantyzmu ujęty został pomiędzy innymi w 12-tu artystycznych monografiach, wydanych przez d-ra Steinhausena, znanego historyka i profesora uniwersytetu w Jenie. Przepysznie ilustrowane monografie te przedstawiają historię sta-

nów od zamierzonych początków germańskich do końca 18-go stulecia. Przed oczyma czytelnika przesuwiają się postacie niemieckiego kupca, lekarza, sędziego, chłopca, uczonego, rzemieślnika, nauczyciela, komedyanta, duchownego, Żyda, a wraz z nimi powstaje w niezwykle wyrazistych zarysach obraz przeszłości. Mamy sposobność obserwowania nie tylko ludzi różnych epok, ale i socyalnych warunków ich bytu. Niezwykle bogaty materiał ilustracyjny, stanowiący ważne dopełnienie treści, mozolnie został zebrany z różnorodnych zbiorów i muzeów, posiadających stare sztychy i drzeworyty, z ilustracyj książkowych 15-go i 16-go stulecia. Pożądaną i ważną rzeczą byłyby podobnego rodzaju wydawnictwa z naszej przeszłości.

Pomijając cały szereg mniej dla nas ważnych publikacyj historycznych i artystycznych z czasów do-romantycznych i z czasów romantyzmu, muszę zwrócić uwagę na interesujący cykl utworów, wychodzących pod tytułem „Erzieher zur deutschen Bildung.“ Filozoficzne, etyczne i estetyczne idee Herdera, Schlegla, Fichte'go, Szyllera, Hamana, Pestalozziego, Winkelmana, Fryderyka Schleiermachera, Görres'a, Runge'go, Jakóba Grimma składają się na całość jednolitą i doniosłą, będącą wyrazem dążności nakładu do obudzenia znów w narodzie niemieckim tendencji do bardziej uniwersalnej kultury nacyonalnej, która w ciągu XIX wieku coraz bardziej zanikać poczęła, ustępując miejsca jednostronnemu, fachowemu wyształceniu, tak że „naród myślicieli“ dziś conajwyżej „narodem fachowców“ nazwany być może. Na uwagę miłośników literatury zasługują pozatem wydania kompletne dzieł Novalisa, tego najbardziej oryginalnego poety romantyka, Hoerderlina, którego uważać należy za poprzednika Nietzschego w dziedzinie liryki i antologia utworów lirycznych z czasów niemieckiego romantyzmu „Die Blaue Blume“ (Niebieski kwiat). O antologii tej pisze Maeterlinck z zachwytem: „Niebieski kwiat“ jest najcudniejszem i najniezbędniejszem dziełem, jakie znam. Należałoby nazwać go antologią par excellence. Małe te poezycy wielkich romantyków są może najprawdziwszą poezją literatury wszechświatowej. Dla mnie przynajmniej.“

Łącznikiem pomiędzy światem romantyzmu a terażniejszością są takie dzieła, jak „Światopogląd niemieckiego romantyzmu“ Maryi Joachimi lub praca Karola Joëla prof. uniwersytetu bazylojskiego: „Nietzsche und die Romantik.“ Dzieło Maryi Joachimi jest interesującą obroną romantyzmu, opartą na podstawach filozofii Novalisa i Schlegla.

Dążności reformatorskie nakładu, wchodzące w zakres nowoczesnych objawów życia umysłowego w Niemczech, są bardzo różnorodne. Przedewszystkiem chodzi mu o walkę przeciwko wszelkim objawom zgrzybiałości. Walkę tę prowadzi na polu filozofii, nauk przyrodniczych, etyki i estetyki.

Na czele publikacyj filozoficznych stoją dzieła filozoficzne Maeterlincka wyszłe w przekładzie niemieckim von Oppeln-Bronikowskiego. Pozatem zasługują na wzmiankę dzieła niemieckich uczonych Leopolda Zieglera, Gomperz'a, Kithlenbecka, szczególnie dzieło Leopolda Zieglera „Das Wesen der Kultur“ (Istota kultury). Od czasów pierwszych prac filozoficznych młodego Nietzschego jest to prawdopodobnie pierwsze dzieło o tak wysokim idealnym polocie. Specyjalną grupę tworzy w nakładzie Diederichsa t. zw. „Friedrichshagener Kreis.“ Pod nazwą tą powstało w Friedrichshagen pod Berlinem Koło myślicieli i poetów, pragnących zjednoczyć wiedzę i sztukę, nadać postępowi artystyczny wyraz. Wysoki idealizm i subtelny panteizm są znamiennymi cechami ich twórczości, która wspiera się na potężnych fundamentach filozofii Fechnera. W sprawozdaniu mojem w zeszycie lipcowym 1905 r., pisząc o twórczości Wilhelma Boelschego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tej grupy, poświęciłem poglądom friedrichshageńczyków i filozofii Fechnera rozdział specjalny. Znaczenie friedrichshageńczyków dla nas polega przedewszystkiem na ich zaletach wychowawczych, na ich optymizmie twórczym, którego tak bardzo brak naszej twórczości i naszym poglądom życiowym. Najpłytsze nawet formy pesymizmu przyjmują się u nas łatwiej i znajdują prędkiej wielbicieli i zwolenników, niż najbardziej chociażby uzasadniony optymizm. Optymistyczny światopogląd jest u nas rzadkością. Robimy wrażenie roślin wyhodowanych bez słońca, co szczególnie na każdego, po dłuższej niebytności powracającego do kraju, wywiera wpływ bardzo przygnębiający. Warunki bytu naszego przyczyniają się naturalnie do tego ponurego nastroju ogólnego, ale właśnie w poddawaniu się melancholii i pesymizmowi leży jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw dla nas. Jasne, pełne optymizmu twórczego i wiary w życie dzieła friedrichshageńczyków nadają się znakomicie do przeciwdziałania tej chorobie społecznej. Szczególnie dzieła Wilhelma Boelschego i Willy Pastora będą nieprzebraną kopalnią wiedzy i źródłem światła dla naszych czytelników. Bruno Wille i Mathieu Schwann prawdopodobnie mniej znajdą zwolenników. Mathieu Schwann zanadto jest dla naszego gustu mdły, Bruno Wille zanadto zawily. Zato pisma braci Hart, pomimo swej częstokroć nużącej rozwlekłości,

zawierają sporo godnego uwagi. Najwybitniejsze miejsce obok Boelschego zajmuje Willy Pastor. Dzieła jego: „Lebensgeschichte der Erde“ (Życiorys ziemi), historia metamorfoz ziemskich i „Erde in der Zeit des Menschen“ (Ziemia w okresie istnienia człowieka), próba oparcia historii cywilizacyi na podstawie nauk przyrodniczych, zasługują na specjalną uwagę.

W „Życiorysie ziemi“ spotykamy się poraz pierwszy z poważną polemiką przeciwko darwinistycznej teorii walki o byt. Teorya walki o byt i hipoteza astronomiczna, że przestrzeń pomiędzy ciałami niebieskimi jest lodowatym oceanem eteru, a ewolucya ciał niebieskich procesem zastygania, są jakby dwa całuny, przyśmiewające kirem swym jasność naszych zwycięstw naukowych. W. Pastor zdziera te całuny jeden po drugim.

Myśl przewodnia jego wywodów zamknięta jest w następujących słowach: „Wszystko, co na ziemi działamy, działa ziemia przez nas.“ Rozpatrując działalność wszystkich epok na ziemi, zwrócić musimy uwagę na ich znaczenie geologiczne. Rezultatem widowym każdej było ostatecznie wywarcie pewnych przemian na powierzchni ziemi. Pod tym względem przedstawiają się nam gatunki, jako zdolność ziemi, a przemiany tych gatunków, jako praca twórcza ziemi. „Dlaczego, pyta słusznie Pastor, na słońcu przyczyną ma być słońce, a na ziemi — człowiek?“

Ważne, nowe odkrycia naukowe dostarczają mu materiału do sformułowania ścisłej odpowiedzi na powyższe pytanie. Przede wszystkim zasługuje na uwagę iście Kopernikowe odkrycie profesora Ottona von Schroen w Neapolu, że krystalizacya jest objawem życia organicznego. Nie miejsce tu rozszerzać się nad tem odkryciem, które dziś już stoi na podstawach naukowo stwierdzonych. Teorya o żyjących kryształach wypełnia istniejącą dotychczas przepaść pomiędzy światem organicznym i t. zw. „anorganicznym“, przepaść, która pod wpływem badań naukowych coraz bardziej się zwężała, a dziś wcale już nie istnieje. Kamienie, kryształy, pokłady geologiczne są takimiż funkcjami siły ziemskiej, jak rośliny, zwierzęta i człowiek. Wszystko bowiem na ziemi łączy się w jednym ogólnem dążeniu, pracując nad jej udoskonaleniem. Ziemia o własnych siłach, a nie zimna dłoń owego bujecznego lodowatego oceanu pomiędzy ciałami niebieskimi, stworzyła swoją skorupę, sama z siebie wulkanicznymi siłami swemi, swemi lodowcami, obiegiem wód swoich wygładzać poczęła popękaną jej powierzchnię, która prawdopodobnie z czasem (tak przynajmniej część dzisiejszych astronomów utrzymuje) przyjmie harmonijną piękność gładkiej powierzchni Marsa, sama z siebie

(przez rośliny swoje) stworzyła atmosferę swoją, która dała jej dopiero możliwość obrotu wkoło własnej osi (księżyc, nie posiadający jeszcze własnej atmosfery, obrotu tego niema), sama z siebie utkała płaszcz swój z kryształów, granitów, czarnego węgla, białej kredy i falujących, mieniących się oceanów. Wszystkie te tak różnorodne objawy jej siły, emancypacja twórców ziemskich z pod wpływu ciepła słonecznego, rosnąca temperatura ich krwi, człowiek, owe małe słońce, promieniujące ciepło i pomagające siły ziemskie w ogniska ciepła i jasności przetwarzać, wędrówki narodów, jak epoki lodowe, przesuwanie się dreszczem twórczym po powierzchni świata, państwa w swej pracy cywilizacyjnej, wiedza, czytająca w księdze bytu i zdobywająca władzę nad ukrytymi siłami przyrody—wszystko zmierza do jednego jedyne go celu:—ciągłego doskonalenia się, a byt nasz, wbrew dreszczom śmierci, tragediom zaników i zwyrodnień, jest w końcu nieskończonym crescendem światła, ciepła i mocy. Połowa prawie dzieła Pastora poświęcona jest polemice przeciw ewolucyjnym teoryom Ernesta Haeckela. Bardzo trafna jest np. krytyka systemu badań naukowych Haeckela, który, ograniczając się na dość hipotetycznej jeszcze genealogii gatunków, pozostawia na uboczu daleko ważniejszą historię ewolucji. Celem bowiem badań dzisiejszych nie powinna być wyłącznie możliwość poznania „ex ungue leonem,” jak to darwiniści z Haeckelem na czele czynią, ale daleko, daleko więcej, mianowicie: „ex ungue regionem.” Dla interesujących się i obeznanym z naukami przyrodzonymi i ta druga, bardziej specjalna połowa dzieła Pastora, będzie pouczającą lekturą.

Wadliwe i częstokroć wprost fałszywe są natomiast wywody autora na polu historycznym. Życzenie zastosowania swej teorii jedności wszystkich funkcji ziemi do dziejów ludzkich, popycha go częstokroć do przedwczesnych nie zupełnie ścisłych wniosków. Historia zbyt jeszcze daleka dziś jest od ścisłości i doskonałości nauk przyrodniczych, zbyt długo zajmowała się sprawami zakulisowymi, kroniką skandaliczną narodów, wojnami, biografiami monarchów, ażeby mózgi już dzisiaj dostarczyć sporo użytecznego materiału dla badacza. Z dotychczasowych jej zdobyczy gmachu wiedzy budować jeszcze nie można. Zupełnie krusze np. są dotychczasowe fundamenty teorii rasowych, na których Pastor wspiera swój gmach. Hipoteza jego, dotycząca roli, którą rasa germańska, jakoby w dziejach świata odgrywa, przypuszczenie, że siła tej rasy byłaby wystarczająca do zasymilowania wszystkich narodów całego świata i że w tem zgermanizowaniu świata leżeć ma linia postępu, są bardzo dowolne i graniczą nawet czasami ze

śmiesznością. Fałszywe to założenie przyczynia się w znacznej mierze do obniżenia wartości drugiego, równie interesującego dzieła Pastora „Die Erde in der Zeit des Menschen,“ w którym pomimo grubych omyłek, pomimo widma imperyalizmu niemieckiego, nie brak ustępów interesujących. Imperyalizm niemiecki jest znaną cechą naszych czasów, zaczynającą już nawet wywierać wpływ na bezstronną dotychczas wiedzę niemiecką. Podobnym duchem przesiąknięte są, niestety, również publikacye nakładu Diederichsa, dotyczące rasowych i socyalnych zagadnień.

Pod względem naukowym stanowisko takie nie da się dziś już usprawiedliwić, szczególnie po ostatniem wystąpieniu Jana Finot, który w swem znakomitem dziele „Przesady rasowe,“ obala nieubłagane bożyszcza szowinizmu germańskiego. Dzieło Jana Finot wyszło w języku francuskim. Pomiędzy innemi zwraca się autor przeciw znanemu pismu Gobineau „Essai de l'inégalité des races humaines,“ udowadniając na każdym kroku niemal szarlataneryę jego. Wywody Finota nie spotkają się zapewne w Niemczech z aprobatą ze strony tych uczonych, którzy widzą dziś w Germańczyku jedyne czyste uszlachetniony typ pra-europejczyka i w przeświadczeniu tem gotowi są poświęcić losy wszystkich innych narodów owemu „szlachetnemu“ gatunkowi, pod pozorem naturalnie idei doboru. „Szlachetny“ ten gatunek bierze Finot pod bardzo ostrą lupę ścisłych-badań i tak się z nim rozprawia, że w końcu nie wiele pozostaje z całego napęczniałego kolosu germańskiego. Szereg szkieleatów nie różniący się strukturą swoją wiele od innych szkieleatów. W rozdziale „Ewangelia nierówności i jej prorok“ daje Finot teoryom Gobineau ostateczną odprawę, wskazując nam równocześnie drogę, która Ryszarda Wagnera, „tego genialnego muzyka i jednostronnego filozofa,“ zawiodła do kuchni dyabelskiej Gobineau. Najgłębsza i najtrafniejsza definicya filozofii Wagnera została co prawda już sformułowana przez Fryderyka Nietzschego w „Der Fall Wagner“ i w późniejszej przedmowie do „Narodzin tragedyi.“ Jan Finot tłómaczy nam w jaki sposób za pośrednictwem Wagnera idee Gobineau zdobyły sobie popularność w głowach niemieckich „myślicieli.“ Na zasadzie niedostatecznie zbadanych teoryj rasowych zdekretowano—do rozpowszechnienia tego przesądu przyczynił się w znacznej mierze osławiony H. S. Chamberlain swojemi „Podstawami XIX stulecia“ — że nadające dzisiejszym antagonizmom nacjonalistycznym specjalnego zabarwienia rasowo zaciętości są „najpiękniejszym“ objawem nieuniknionej walki o byt. W Anglii krwiożercze teorye H. S. Chamberlaina nie znalazły odgłosu, ponieważ na polu rasowych

teoryj, które leżą prawie zupełnie odłogiem, pracują jedynie uczeni, natomiast w Niemczech teorye te z niezwykłą szybkością się przyjęły. We wstępie i w pierwszym rozdziale dzieła swego stwarza Finot fundamentalną podstawę naukową badań rasowych, na której potem z niewzruszoną pewnością wznosi gmach swoich poglądów. Przez wszystkie labirynty prawej i nieprawej wiedzy prowadzą go jego badania tam, gdzie nieprzekupna prawda dzierży swe promienne berło. Ażebymóźdz mu wszędzie dotrzymać kroku, trzeba posiadać spory zasób wiedzy specjalnej, to jednakże, co Finot o przesądach rasowych i wpływie, jaki na życie publiczne dni dzisiejszych wywierają pisze, dostępne jest i zrozumiałe nawet dla niespecjalistów i zasługuje w zupełności na to, ażebym przeszło w ciało i krew całej ludzkości europejskiej.

„Spędźmy najprzód marę wrogości rasowych, a zrozumiemy dopiero, co to jest ojczyzna w n a j b a r d z i e j l u d z k i e m tego słowa znaczeniu. Jakżeż nędznie wyglądają dzisiejsze socyalne i polityczne doktryny oparte na systemie krwi.“

Słowa to godne uwagi.

Pomijając dzieła treści religijno-etycznej, wychodzące w nakładzie Diederichsa, a mające dla nas, jako utwory, powstałe na gruncie protestanckim, znaczenie drugorzędne, poświęcić należy słów kilka zabiegom Diederichsa na polu artystycznej kultury. Usiłowania zjednoczenia życia i sztuki doprowadziły tutaj do bardzo pomyślnych rezultatów. Nakład, wychodząc ze słusznego założenia, że kultura estetyczna wykwitnąć może jedynie na gruncie ogólnej, stara się wywrzeć wpływ na całą powierzchnię życia współczesnego. Walka, która prowadzi przeciw odrętwiałości sztuki, jest zarazem walką o zdobycie światopoglądu. W dziedzinie sztuk plastycznych i malarstwa podjęli się jej Mutheriusz, Obrist, Lotaryusz Kunowski, Kassner, do tegoż celu dąży ciesząc się dziś szczególnem uznaniem Schultze-Naumburg, który w swych popularnych pismach estetycznych dotyka wszystkich niemal dziedzin współczesnego życia w Niemczech, wykazując braki i torując nowe drogi. Ubiór (szczególnie wadliwość ubioru kobiecego, patrz ciekawe dzieło jego „Die Kultur des Weiblichen Körpers als Grundlage der Frauenkleidung“), urządzenie mieszkań, architektura, ogrody, budowa i upiększanie miast—nie nie uchodzi jego uwadze. Wszędzie stara się dopomóc zdrowej, naturalnej piękności do zwycięstwa nad beczelową brzydota ciasno-uitylitarnej, krótkowzrocznej szarzyzny. Na polu muzyki zasługują wychodzące w nakładzie Diederichsa publikacje Ryszarda Batki na uwagę. Na polu sztuki dramatycznej znakomite dzieło Piotra Behrensa „Go-

dy życia i sztuki," starające się podnieść teatr do wysokości przybytku kultury, i ciekawa praca Maksa Martersteiga „Aktor.“ Do grupy tej zaliczyć wypada również przekład niemiecki traktatu Izadory Duncan „O tańcu przyszłości.“

Obok tych wielorakich dzieł, mających przeważnie znaczenie wychowawcze, pielęgnuje nakład Diederichsa również literaturę piękną, której jednakże dotychczas nie był w stanie zbyt wiele miejsca wyznaczyć. Poprawne przekłady dzieł z literatury cudzoziemskiej przeważają na razie produkcją niemiecką. Stosunek ten wydaje mi się jednakże fazą przejściową tylko.

Jako jeden dowód więcej wszechstronności nakładu Diederichsa zasługują na uwagę dążenia jego do nadania książkom swoim stylowej szaty zewnętrznej. I pod tym względem należy wpływ jego nazwać wychowawczym. W jego to nakładzie wydrukowano pierwszą książkę czcionkami Behrensa. Diederichs był również pierwszym nakładcą, mającym odwagę przez lata popierać młode tendencje artystyczne w dziedzinie zdobnictwa książkowego.

Działalność 10-cio letnia nakładu Diederichsa odgrywa jednym słowem w życiu duchowym Niemiec tę rolę, której oficjalne instytucje wiedzy i kultury dotychczas wziąć na siebie nie chciały. Jak niektóre dzisiejsze muzea w Niemczech zaczynają poza obrębem szkoły i akademii wywierać wpływ znamienity i ożywczy na życie artystyczne narodu, tak i nakład ten zdaje się być powołany do ważnej misji kulturalnej.

Dla nas przykłady powyższe są ciekawą i pouczającą ilustracją, w jaki sposób zdrowe instynkty narodowe potrafią przezwyciężać zapory, stojące na przeszkodzie ich rozwojowi i o własnej sile stwarzać nowe organy potrzebne do życia, jeżeli stare służby swej zadawałniająco spełniać nie umieją.

JAN KACZKOWSKI.

O PORTRECIE.

Kilkakrotnie na tem miejscu występowałem przeciw nadużyciom estetycznym, popełnianym w imię symbolizmu, czy też w imię innych, równie szczytnych haseł, ale nie mogę się powstrzymać, ażeby raz jeszcze nie powrócić do tej sprawy, która mi się wydaje na czasie, ze względu na konieczność ustalenia wśród ogółu zachwianych nieco przez pewne bajeczne opowieści, pojęć. Jak już niegdyś mówiłem, do najpospolitszych należy bajka, opowiadana czasem tendencyjnie i zgoła nie bezinteresownie, że dobry portret może być niepodobny do swego modelu, że nawet nie powinien być podobny, gdyż jest to zaleta, uznawana jedynie przez ciemne tłumy, przez najmniej uświadomione warstwy społeczne; dla tego też wymagania w tym kierunku dowodzą złego smaku. Logicznie zatem wypada, że ludzie ze smakiem wytworniejszym, chcąc się portretować, każą sobie raczej zrobić jakiś wizerunek fantastyczny, niż dokładną podobiznę, która jest tylko, jak się pogardliwie mówi, obiektywną kopią natury.

„Niewątpliwie — czytam w pewnem piśmie — szerokie masy zawsze uwielbiały w portrecie przedewszystkiem podobieństwo, a następnie grubą plastykę, czyli złudzenie rzeczywistości. Są to wszakże zalety, bez których, jak wiadomo, dobry portret może się doskonale obejść.“

Mówił już coś podobnego Ruskin, który, pomimo kolosalnych zasług około podniesienia zamiłowania do sztuki—nie tylko w Anglii, gdyż i u nas odbiła się głośnie ochem jego namiętna propaganda—w wywodach swoich estetycznych posuwał się często do absurdu, jak to wykazywał mu niejednokrotnie J. M. Robertson. Otóż Ruskin, wojując zaciekle z pospolitemi upodobaniami tłumu,

drwił z tych ordynarnie podobnych portretów, na których pana swego poznają nie tylko domownicy, lokaj, kucharka, pomywaczka, ale i kot własny.

Wprowadzając tedy wniosek bezpośredni z persiflacyi słynnego humanisty i estetyka, uznanego powszechnie, estetycy *in partibus infidelium* przyszli do przeświadczenia, że dopiero należyście dostojnem dziełem sztuki będzie wizerunek, w którym osoby portretowanej „i pies“ nawet nie pozna.

Nieporozumienie całe tkwi w tem, jak mniemaniu, że pomieszano pojęcia obrazu i portretu, gdyż niewątpliwie zdarza się, że wizerunek, w którym nader dokładnie uchwycono czyjeś rysy, bywa zupełnie lichem dziełem sztuki, pod względem czysto malarskim i na odwrót, obraz ani trochę nie przypominający modelu, wedle którego był malowany, posiadać może wysokie zalety artystyczne i zasługiwać na uznanie najwybredniejszej krytyki estetycznej. Czyli, inaczej mówiąc, dobry portret może być lichym obrazem, gdyż, dajmy na to, jest twardo modelowany i ciężki w kolorycie; ale wizerunek nie przypominający dokładnie osoby, którą ma wyobrażać, żadną miarą dobrym portretem nie jest, pomimo choćby najwspanialszych zalet malarskich, a raczej nie jest portretem wcale, ponieważ nie odpowiada pojęciom, jakie łączą się z tego rodzaju utworami — ponieważ nie odpowiada przeznaczeniu swemu.

Przeznaczeniem portretu jest plastyczne utrwalenie rysów osoby portretowanej w dziele sztuki malarskiej lub rzeźbiarskiej, dążeniem więc sztuk tych w danym zakresie powinno być osiągnięcie możliwie najdokładniejszego przypomnienia owych rysów, czyli uchwycenia doskonałego podobieństwa osoby.

Jest to sprawa tak jasna i oczywista, że nie wymaga, zda się, bardziej wyczerpujących dowodzeń i uzasadnień. Istotnie pisząc powyższe twierdzenia, mam wrażenie, że powtarzam prawdę pana *Pulessy*, że przedsięwzięłem pracę przekonania współczesników swoich, że w dzień słońce świeci, a w nocy bywa ciemno. A jednak łowiąc idee błąkające się z ust do ust na naszych wystawach wśród artystów i miłośników sztuki, wśród krytyków i estetyków na szpaltach pism peryodycznych, przyszedłem do przekonania, że przedsięwzięcie moje nie będzie zupełnie płonne, że stawiając szczerze i otwarcie określenie tego działu twórczości artystycznej z własnego punktu widzenia, ośmielę do szczerzych wynurzeń tych wszystkich, którym narzucone z zewnątrz, a górno i nieprzystępne hasła, kazały ukrywać się wstydliwie ze zdaniem osobistem, trzymając ich w stanie wahań i niepewności.

Szczerłość taka może nawet przynieść pewne korzyści praktyczne dla rozwoju sztuki.

Postaram się określić rolę portretu, jaką wedle moich poglądów, zajmuje on w dziedzinie plastyki.

*

*

*

Spotkałem kiedyś na wystawie pewnego ziemianina, który wzięwszy mnie pod pachę, przyprowadził przed świeżo zawieszony na ścianie obraz, przedstawiający tegoż męczyznę o ceglastej cerze i piernikowym zarostcie.

— Co pan myślisz o tem płótnie?

— No, zamaszyste, śmiałe, dużo werwy.

— Ale to ma być portret.

— Czyj?

— Mój, do kroćset — mruknął.

— Ach, tak?

— Nie poznałeś pan?

— Przyznaję, nie poznałem.

— Widzi pan — zaczął w tonie bardzo minorowym ów ziemianin — widzi pan, to jest sprawa bardzo smutna. Przyjechałem do Warszawy, żeby sobie portret obstałować. Jeden z najsztudniejszych estetyków naszych skierował mnie do tego właśnie malarza, jako najmodniejszego, najbardziej poszukiwanego. Ale cóż — portret niepodobny. Nie pozwolili mi o tem mówić. Podobieństwo, to rzecz drugorzędna, obojętna, niepotrzebna, to poprostu ustępstwo dla hołoty. Przedewszystkiem indywidualność artysty, która się w obrazie wyraziła — wszystko inne to furda. „Umrzesz, powiadają mi, czy tak czy owak — portret zostanie. Czy nie wszystko jedno będzie dla twoich dzieci, wnuków, czy prawnuków, żeś miał twarz nieco dłuższą i foremniejszą, policzki mniej wydęte, włosy nie tak zupełnie piernikowego koloru — skoro obraz sam przez się jest arcydziełem.“

— Może to i racya — ciągnął dalej żałośnie. — Może ja się na tem nie znam. Sztuka jest wieczna, a człowiek znikomy. *Vanitas vanitatis*. Mniejsza już o dzieci i o wnuki, ale tu chodziło o co innego: chciałem mianowicie żonie, z którąśmy się tak niedawno pobrali, a która wyjechała na kilka tygodni zagranicę,

zrobić przyjemną niespodziankę po powrocie. Już wyobrażałem sobie, jaki to wspaniały wywoła efekt, kiedy wejdzie do salonu i nagle ujrzy na ścianie, jak żywego... A jeżeli zapyta, jak pan: Czyj to portret? Efekt chybiony stanowczo.

Ściśle biorąc, mógłby się artysta nie liczyć z obliczeniami filistra na wywołanie podobnego efektu, ale, malując portret, winien w nim być dać to, czego od dobrego portretu nieodzownie wymagać należy, to jest, jak wyżej powiedziałem, dokładne przypomnienie osoby portretowanej. W przeciwnym razie utwór w stosunku do założenia swego jest chybiony i tem samem nie może być uważany za dzieło doskonałe – za arcydzieło.

Zapewne, często pewne względne zalety malowidła samego, mogą, biorąc rzecz z punktu widzenia bezinteresownie artystycznego, okupić brak tego kardynalnego warunku sztuki portretowania; sprawa ta jednak wymaga bardzo ścisłych i wyczerpujących omówień, ażeby, przez zbyt pochopne uogólnienia, nie zaprowadziła nas na manowce wykrętnej dyalektyki. Zdarza się naprzykład, że artysta z osoby pozującej mu do portretu, korzysta w ten sposób, iż na tle jej rysów indywidualnych rozstrzuwa własną koncepcję, fantazyjuje je, zmienia dowolnie i dociąga do jakiejś własnej wizyi, która rodzi mu się w wyobraźni przez skojarzenie kształtów i barw widzianych w rzeczywistości, w danej chwili, w modelu pozującym z odpowiednimi kształtami i barwami, zachowanymi w pamięci przez wybór szczególniejszego umiłowania, które też stanowią jego ideał estetyczny.

Zjawisko to obserwowałem na pewnym młodym malarzu, pracującym obok mnie w akademii, który, niezależnie od urody i natury modelki, tworzył prześliczne, pełne zawsze jakiejś anielskiej słodyczy główki niewieście. Starał się on wprowadzić naśladować indywidualne linie owalu twarzy, wykrój ust, formę nosa, czoła, brody, szukał właściwego koloru cery, włosów, oczu, nie mniej przecież w namalowanym przez siebie wizerunku, podług zupełnie niepięknej nawet kobiety, dawał coś z klasycznego wdzięku nimfy na monecie syrakuzauńskiej.

Było to oczywiście zgodne z najistotniejszą treścią jego organizacyi artystycznej i malując w ten sposób robił to zapewne intuicyjnie bez z góry powziętego planu, ulegając jedynie jakimś nakazom wewnętrznym, które mu wytknęły taką a nie inną drogę zewnętrznego wypowiedzenia się. Rzeczy te, sądzone jako portrety, nie wytrzymały krytyki, ale jako obrazy, uznawszy wdzięk niewieści, który autor czuł wyjątkowo intensywnie, posiadały niezaprzeczenie wysoką wartość estetyczną.

Malurz ten miał talent wybitny w pewnym zakresie, ale portrecistą nie był bynajmniej. To, co ceniono w jego utworach, należało do zupełnie innego rzędu, niezmiernie różnorodnych w manifestowaniu się indywidualności artystycznych, zjawisk.

Tego właśnie szczególniejszego rodzaju talentem ze znanych artystów naszych wyróżnia się bardzo znamiennie p. Franciszek Żmurko, który przecież nie rości sobie pretensyi do zasług na polu malarstwa portretowego. Unosi go zawsze tak wyjątkowo rozwinięte poczucie dekoracyjności i pięknych form, że modele swoje dociąga do jakiegoś własnego kanonu estetycznego ze szkodą prawdy w oddaniu rysów indywidualnych. Brak jednak tej prawdy przestaje być wadą a staje się, jak w obecnym wypadku, zaletą, z chwilą, kiedy podobieństwo jest rzeczą zupełnie obojętną, a całkowity interes artystyczny leży w ujęciu owego wdzięku, w czem artysta jest niezrównany, a czemu zawdzięcza swoją, bardzo rozległą już dzisiaj, sławę europejską.

Cenimy tedy obrazy za pewien sposób malarzkiego ujęcia przedmiotu, za oryginalność kompozycyi, za dobrą technikę, za soczystość kolorytu lub poprawność rysunku, wreszcie poprostu za zręczne, smaczne pędzlowanie, ale o wartości portretu decyduje podobieństwo, owo uderzające podobieństwo, które zdobywają tylko artyści, wyposażeni szczególniejszym, zupełnie odrębnym darem. Dar ten ostatecznie stanowi o niezbitym fakcie istnienia tak zwanych „portrecistów urodzonych“ w przeciwstawieniu do tych wszystkich malarzy, którzy przyzwyczajwszy się do sumiennego studyowania natury w jej najrozmaitszych przejawach, dają mniej lub bardziej dokładną kopię głowy ludzkiej, jak mniej lub więcej prawdziwe odbicie nieba o zachodzie, lub kawałek dobrze naśladowanej draperyi.

Sprawę tę postaram się bliżej omówić, tymczasem parę słów o jednym jeszcze nadużyciu.

*

*

*

Doprawdy, czasami zdaje mi się, że mam w głowie ćwieka pod postacią manii wybijania ćwieków symbolicznych z głów współczesnych krytyków i estetyków, którzy symbolizm uznali za wszechwładny i jedyny czynnik przejawów artystycznych od

początku świata. Namietność moja w zbijaniu podobnych wykładów wygląda może na chorobliwą nadezłość, ale istotnie trudno zachować równowagę, jeżeli w piśmie, przeznaczonem dla mas najszerszych, które nie wdroszyły się jeszcze do należytego sceptycyzmu wobec drukowanego słowa, czyta się, co następuje:

„Idea portretu jest bardzo stara. Jest to poprostu myśl o przedłużeniu istnienia, troska o nieśmiertelność... Pierwszy portret był wielkim uogólnieniem; nie ściśłą podobizną, lecz symbolem. Był to odrębny znak, który pozostawiła po sobie wybitna jednostka. Takim był staroegipski monolit, piramida, nosząca jedno potężne imię, akwadukt – wszelka budowla.“

Że idea portretu jest bardzo stara, o to nie ma się co sprzeczać, ale że nie wyrażał jej monolit (?) a zwłaszcza piramida egipska, najlepszym tego dowodem jest to, że w piramidach właśnie znajdowano portrety istotne, to jest wizerunki osób, którym monument był poświęcony, wyrażone bez żadnej symboliczności w sposób możliwie najbliższy prawdy rzeczzywistej.

Były to naturalistyczne kopie ludzi żywych, o ile oczywiście uniejętność ówczesnych artystów na to pozwalała; nie ulega jednak wątpliwości, że właśnie w epoce piramid, to jest za czasów starego państwa, kiedy sztuka egipcyan znaczyła pierwsze swe kroki na polu grzebalnem Memfis, cechowały ją szczere dążenia realistyczne i dopiero w następnych epokach zaczęła się konwencjonalizować, prawdopodobnie, jak to wykazuje Herbert Spencer, pod naciskiem wymagań rytualnych, to jest kiedy, jako zawód, przeszła w ręce kasty kapłańskiej. W początkowych jednak próbach tej najdawniejszej twórczości artystycznej wyczuwa się, przy pewnej naturalnie naiwności i surowości technicznej, uświłowienie bezpośredniego naśladowania zjawisk świata zewnętrznego. Co się tycze sztuki portretowania, to, wedle świadectw archeologów, stała ona na wysokim stopniu rozwoju, a przede wszystkim właśnie z powodu szczerości i dokładności w wynajdywaniu rysów indywidualnych i jakoby na wielu wizerunkach z najwcześniejszej epoki, można z rysów tych rozpoznać daną osobę, portretowaną kilkakrotnie w różnym wieku. Były to dowód ogromnie jaskrawo odczutej charakterystyki osobniczej, w co zresztą łatwo uwierzyć, wnosząc choćby ze znajdującego się w Luwrze paryskim tak zwanego „pisurza“ i kilku innych bardziej znanych zabytków, gdzie zaznacza się ściśła, obiektywna obserwacya i bezpośredniość wyrazu plastycznego.

W muzeum Gizehu przechowuje się posąg, przedstawiający mężczyznę w całej postaci, z charakterystycznym ubraniem głowy.

Posąg ten jest niewątpliwie portretem, a powszechnie uważają go za wizerunek króla Chefrena. Jeżeli tak jest istotnie, to znowu znana piramida, nosząca imię tego faraona, nie jest jego portretem, gdyż oczywiście niepodobna przypuścić, ażeby dwie rzeczy zupełnie różne co do formy, oznaczały jedno pojęcie, tak wyraźnie już wtedy określone.

Rozpowszechniony w starożytności zwyczaj stawiania grobowców zrodził się pierwotnie prawdopodobnie z potrzeby zabezpieczenia zwłok przed żarłocznością hien i szakali. Na miejsce, gdzie pogrzebano zmarłego, zwalano ciężkie głazy, ażeby utrudnić dzikim drapieżnikom rozkopanie mogiły. Oczywiście im osobistość zmarłego wyższe stanowisko zajmowała wśród otoczenia, tem lepiej starano się grób jej zabezpieczyć, tem wyższe wznoszono stopy kamienne, lub sypano kopce z ziemi. Tak powstał tumulus, takie też jest niezawodne pochodzenie menhirów, dolmenów, kromleków i ostatecznie owych charakterystycznych grobowców królewskich w Egipcie.

Piramidę, jako grobowiec dla siebie, według zapewnień Herodota stawiał sam król w ciągu całego swego życia. Wielkość jej miała być wyrazem wielkości panowania. Według podań tegoż Herodota, Cheops, który zbudował ową najwyższą, znaną pod jego nazwiskiem, piramidę, dziś we wiosce Gizech, miał dla osiągnięcia tego celu uciskać w najwyższym stopniu poddanych, odbierać ich, dręczyć, wyzyskiwać najokrutniej, a nawet frymarchczyć własną córką, sprzedawać ją przechodniom, ażeby zdobyć środki na opłacenie panów architektów.

Wprawdzie legenda o wszystkich okropnościach Cheopsa, spełnianych na tle, jakbyśmy to dziś powiedzieli, ostrej megalomanii, została podobno przez uczonych obalona, nie mniej przecież idea jej, zrodzona w umysłach ludzi dawnych, bliżej stojących tej epoki, doskonale maluje znaczenie symboliczne monumentów, których jedynym atrybutem była olbrzymiość, które też symbolizują, jeżeli nie istotną wielkość władzy faraonów egipskich, to przynajmniej ich wielkie ambicje osobiste, ale żadną miarą nie mogą być poczytane za jakieś uogólnienia portretowe. Tem mniej odnosi się to do wiaduktów i wszelkich innych budowli, jak chce tego nasz estetyk.

Po za tem portret w sztuce starego Egiptu ściśle związany jest z kultem zmarłych. Odgrywa on rolę pośrednika między mumią zamkniętą w sarkofagu, a życiem zewnętrznym, to też nie spełniałby swej roli należycie, jeżeliby nie odtwarzał najwierniej rysów nieboszczyka. Podobieństwo było zatem koniecznością nu-

rzuconą artyście z zewnątrz, przez wymagania ściśle określonej natury, jak narzuconą koniecznością było uchwycenie podobieństwa w portrecie, którym ów ziemianin, jak to opowiedziałem, chciał zrobić niespodziankę swojej żonie. Obydwa artyści z tak różnych epok odpowiedzą dopiero całkowicie swemu artystycznemu zadaniu, jeżeli potrafią zastosować się do tej nieodzownej konieczności.

Podobieństwo jest istotnym atrybutem portretu i bez przymiotu tego absolutnie pomyśleć się on nie da.

Nie tu nie pomogą symbole, uogólnienia i znaki umówione.

Wogóle wpływ symbolizmu niewątpliwie przy pewnych formach ogólnej kultury nader przemocny, po wsze czasy na właściwy rozwój twórczości artystycznej oddziaływał otamowawczo i wstrzymując ją nieraz na długie wieki w normalnym pochodzie ewolucyjnym, skazywał na martwość tudzież bezpłodne błędzenie w zaczarowanym kole form, z których dusza uleciała bezpowrotnie. Realne kształty, uchwycone niegdyś samorzutnie przez pierwotnego artystę konwencyjonalizowały się z czasem, uogólniały, upraszczały w formie do niepoznania, stawały figurą kabalistyczną, znakiem runicznym, hieroglifem, gmerkiem, herbem, totemem, kobongiem. Tą drogą pan Kazimierz Mokłowski, autor bardzo poważnego dzieła pod tytułem „Sztuka ludowa w Polsce,“ tłumaczył powstanie, na przykład, sfastyki. Miało to być w zasadzie przedstawieniem człowieka na koniu, które w szeregu przeobrażeń przechodzi ostatecznie w znak powszechnie znany, a rozmaicie wykładany w symbolistyce różnych ludów.

Wyjaśnienie jednakże znaczenia symbolów stanowi raczej zadanie pewnej gałęzi archeologii, nie zaś nauki o sztuce. Co się tyczy pierwotnych portretów, to ściśle wyobrażenie indywidualnych rysów człowieka przedstawia trudności, których początkujący artysta pokonać nie był w stanie. Istotnie, o ile w najdawniejszych rysunkach troglodytów, przedziwnych próbach najpierwotniejszej twórczości artystycznej, odkrytych niedawno w jaskiniach dordońskich, jako też w pracach rzeźbiarskich i malarzkich dzisiejszych ludów myśliwskich, spotyka się doskonałe, pełne charakteru, wyrazu, a nawet ruchu, wizerunki zwierząt, o tyle nie znaleziono ani jednego zadawalającego wyobrażenia twarzy ludzkiej. Etnografowie jednak zaobserwowali, że wśród dzikich ludów, gdzie tego wymaga kult religijny, ażeby stawiano podobizny zmarłych na grobach, artysta, w braku odpowiednich środków i umiejętności do zrobienia dokładnego portretu przez powtórzenie, czy też skopiowanie rysów nieboszczyka, radzi sobie

w ten sposób, że powtarza na wyróżzonym przez siebie bałwanie te przynajmniej szczegóły zewnętrznej charakterystyki, które dla jego niedołęznej sztuki są dostępne. Imituje mianowicie najstarszanniej w barwie i kształcie te znaki plemienne i osobnicze, które, jako strój i ozdoby, odróżniały zmarłego za życia od innych ludzi. Chodzi mu o możliwe zbliżenie się do podobieństwa, o owe *simulacrum*, wszędzie jednakowo rozumiane.

*

*

*

Mówiłem o „portrecistach urodzonych“ i podobieństwie „uderzającym.“

Rzeczywiście zdarza się, że biust naprędcie wynodelowany, czy też pobieżnie naszkicowany rysunek głowy, często błędny, niedociągnięty w ustosunkowaniu ogólnych proporcyj, fałszywy w ujęciu zasadniczego kształtu wielu szczegółów, narzuca się przecież z taką siłą przypomnieniem danej osoby, że stajemy przed dziełem takim olśnieni, wzruszeni, jakby od silnego wstrząśnienia zewnętrznego.

Jesteśmy poprostu uderzeni zdumiewającym podobieństwem.

Zjawisko to, stwierdzone powszechnie, tłómaczy się tem, że pewni artyści posiadając szczególniejszy dar w tym zakresie, byli władni dać najistotniejszą treść indywidualności pewnego człowieka, że użyję wyrażenia symbolicznego — sportretować duszę jego. W podobnym wypadku pod pojęciem duszy rozumieć musimy całokształt cech zewnętrznych, stanowiących właściwy charakter fizyognomii, gdyż tylko cechy te, określone rysami pewnych kształtów, możliwe są do wyrażenia w dziele plastycznym. Są one jednak zarazem wymownymi znakami wewnętrznej treści człowieka, są konkretnym wykładnikiem jego psychiki, jego usposobienia duchowego, skłonności, temperamentu, charakteru.

Zrozumienie tych znaków, czy też intuicyjne ich odczucie, jest właściwością „urodzonych“ portrecistów.

Jak po znoonej pracy myślowej pozostaje brózdami poradłone czoło, jak suma długich doświadczeń życiowych kładzie się mglistą zasłoną na ongi jasnych oczach, jak gorzkie zawody wygną bolesnym skrzywieniem usta, tak wogóle ślady przeżyć wszelkiego rodzaju znaczą się niezatarcie na twarzy człowieka,

która jest niby tablica zapisana hieroglifami losu. Znaczą się nadto na niej nabyte zalety i przywary, cnoty i grzechy, fatalistycznie przekazane obciążenia dziedziczne—całe historye pokoleń dawnych, tudzież wiele rzeczy zupełnie tajemniczych i nienazwanych. Nie mamy przecież klucza do odcyfrowania tych znaków kabalistycznych. Próby poczynione przez fizyognomistów w celu określenia niektórych rysów znamienych, odpowiadających pewnym typom psychicznym, nie dały rezultatów zadawalających. Taki sam los spotkał, jak wiadomo, frenologię. Dla tego też twarz ludzka, jest zawsze księgą ciekawą, nigdy nie przeczytaną do końca i pozostanie ona wieczyście niewyczerpanem źródłem wynalazczości dla intuicji artystycznej.

Co prawda, wiele osób, nawet obdarzonych skąd inąd talentem malarskim, wszystkich tych rzeczy nie odczuwa, poprostu, powiedziecby można, nie widzi i dla tego nie wierzy w możliwość wyrażenia podobieństwa po za dokładnem skopiowaniem rysów indywidualnych w najdrobniejszych szczegółach, tak jak to czyni aparat fotograficzny. Jest to do pewnego stopnia upośledzenie, jak wogóle w dziedzinie sensacyj zmysłowych spotyka się osobniki, których niezdolność w danym zakresie dochodzi do granic zupełnego idiotyzmu. Jak wiadomo, bywają ludzie dotknięci wyraźnem zбочeniem na punkcie odczuwania węchowego, inni dotyk mają nader słabo rozwinięty, inni jeszcze nie umieją słyszeć lub widzieć. Z drugiej strony nadzwyczajna wrażliwość i przenikliwość postrzegania wyraża się najbardziej stanowczo przez ogromnie dosadne ujęcie rysu indywidualnego w uproszczeniach, do czego dochodzą w swych utworach niektórzy artyści. Umieją oni z mnóstwa szczegółów drugorzędnych, przypadkowych i obojętnych wybrać jedynie konieczne, najważniejsze i w kilku kreskach wyrazić najdokładniejszą podobiznę człowieka. Uproszczenia takie idą nieraz niezmiernie daleko i są one właściwością przedewszystkiem karykaturzystów. Takiemu Caran d'Ache'owi, jednemu z najświetniejszych w dobie dzisiejszych artystów tej kategorii, wystarczy nieraz umieścić w kółku trzy cztery kropki, jakąś kreskę i przecinek, ażeby kółko takie przypominało głowę danej osobistości, głośniejszą i dobitniejszą, niż sumienna kopia tej samej głowy, ujętej z całą dokładnością, jako bryła o pewnych określonych wymiarach, proporcjach, o pewnem znamienem załamaniu się płaszczyzn i linii — silniejszą i wymowniej, niż „udane“ zdjęcie w najpierwszorzędnym zakładzie fotograficznym.

Muszę się tu jednak zastrzedz, co rozumiem pod słowem karykatura, gdyż z pojęciem tem najniestuszniej powszechnie iden-

tyfikują koniecznie jakąś przesadę i potworne wykoszlawienie kształtu. Karykatura jest właściwie tylko charakteryzowaniem *à outrance*, jak to określił Robert de la Sizeranne.

Zapewne, wypaczenie kształtu naturalnego, przesada w zaznaczeniu proporcji, wszelkie złośliwe podkreślenia, cała ta okropna teratologia, na jaką się tylko fantazja ludzka zdobyć może, a na co pozwalają sobie artyści gwoli silniejszego zaznaczenia danych stron charakteru—jest jednym ze środków, ale nie jedynym i koniecznym. Karykatura w ewolucyjnym swym pochodzie przeżyła już to stadyum w przeszłości, a dzisiejsi artyści potrafią „charakteryzować“ ogromnie dobitnie bez uciekania się do urągających logice wykoszlawień. Od czasów Hogartha i Gavarniego zrozumiano, że karykaturzysta nie obniżając siły wyrazu swych ironicznych koncepcyj, może utrzymać się w granicach najnaturalniejszego przedstawienia kształtów rzeczywistych przedmiotu. Słynni też karykaturzyści dzisiejsi, jak: Forain, Willete, Gibson, Tenniel, Leech, Schlittgen i inni nie pozwalają sobie na najmniejszą szarżę, a rysując figury współczesne w najdoskonalszych proporcjach wypowiadają przeciw całej myśli swoją z należytą siłą i temperamentem.

Czasami wprawdzie, w portrecie zwłaszcza, umyślna potworność, tendencyjne wykoszlawienie form sprawia, że portret przez to właśnie staje się uderzająco podobny. Jest to wynikiem przenikliwości artysty, który umiał tak podpatrzeć i podkreślić w karykaturze te mianowicie rysy charakterystyczne, ażeby wywołać równie narzucające się przypomnienie danej osoby.

Analizując tedy istotę talentu portrecisty urodzonego, można chyba zgodzić się, iż powinien on, prócz wielu innych, zawierać w sobie i te pierwiastki, które stanowią o talencie karykaturzysty, to jest przede wszystkim przenikliwość w odgadywaniu najznamienniejszych rysów indywidualnych i zdolność syntetycznego ich ujęcia. Oczywiście kardynalna różnica polega na tem, że pierwszy zdolności tych nie wyzyska w tendencyjach zaprawionych złośliwością, ironią, lub drwinami, co stanowi przymiot i zadanie artystyczne drugiego.

Dzisiejsi karykaturzyści-syntetycy, jak wspomniany wyżej Caran d'Ache, jak Sem, Ibels, Nicholson, Capiello, często istotnie kilku dotknięciami pędzla, jednym zręcznie rzuconym kleksem, odtwarzają wyborne podobizny znanych i poznawanych powszechnie osób. Ludzie ci, mocą swych szczególniejszych w tym kierunku usposobień i odpowiedniego wyrobienia, dochodzą do wprost zdumiewających, wprost nieprawdopodobnych uproszczeń. Zresztą wynajdywane przez nich znaki na wyrażenie jakiejś popularnej

osobistości ze świata politycznego, artystycznego lub naukowego—znaki, pozornie proste, niby hieroglif egipskiego skryby, stają się własnością ogółu i każde dziecko według ich wzorów z najwyższą łatwością powtórzyć może portret Bismarka, Wilhelma, Prezydenta Carnota, Grevy'ego i kilka innych bardziej szczęśliwych kreacyi w tym kierunku.

Jeżeli zatem kleksy jakieś, kształtem tak bardzo dalekie od rzeczy, które mają przypominać, jak na przykład nos, oczy i usta w postaci czterech kropek, ogólnie wzięte, wywołują przecież wizerunek osoby tej a nie innej, to dowód oczywisty, że wrażenie podobieństwa leży po za sferą realistycznego przedstawienia bryły, ale nie po za realistycznym przedstawieniem osoby. Leży ono w syntetycznym ujęciu pewnych charakterystycznych stron modelu, istniejących w rzeczywistości, dla których artysta odnajduje swoje własne formy uzmysłowienia.

Takim jest wszelki szkic najogólniejszy. Jeżeli zatem w dalszym ciągu malarz lub rzeźbiarz, wykończając portret zbliża się do pełnego plastycznego przedstawienia, przez wprowadzenie pozostałych szczegółów, to jeszcze w szczegółach tych uczyni odpowiedni wybór, ażeby, stosownie do tkwiącej w wyobraźni syntezy, odpowiednio najważniejsze podkreślić i uwypuklić. Odczuwszy, czy wyrozumiawszy głębiej charakter zasadniczy pewnej osobistości, wytwarza on w sobie niby wzór jej doskonałego portretu, niejako ideał, do którego w czasie całej roboty świadomie dąży. Pielęgnując w wyobraźni dokładnie, żywe wspomnienie ostatecznie zdecydowanej syntezy, nie jest już bynajmniej niepokojony przejściowemi zmianami, jakim model chwilowo podlega.

Wobec tego może model, zmęczony pozowaniem przez długie godziny, nudzić się niemiłosiernie, kręcić na fotelu, krzywić, poziewać, a wreszcie usnąć na dobre, przez co niewątpliwie ogromnie traci na wyrazie, nie mniej przecież artysta, pomimo, iż ma przed sobą nader prozaicznie drzemiącego pana, z wargą odętą lub rozchylonemi niemądrze ustami, tworzy, dajmy na to, natchnionego poetę, dumnego władcę, mówcę pełnego zapału, zadumanego głęboko myśliciela, gdyż widzi ciągle syntezę wrażenia zasadniczego. Studyując bryłę na tym nudzącym się w danej chwili panu w szczegółach kształtu, barwy i światłocienia, portretuje jednak człowieka żywego, tak jak go poznał, w najpełniejszym wyrazie jego istoty.

Tak właśnie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powstaje dobry portret, to jest podobny, żywy, plastyczny i pełen charakteru, taki tylko bowiem za dobry uważany być może. Nie

mniej przecież jest on mimo wszystko tak pogardliwie przez pewnych estetyków zwany realistyczną kopią natury. Zważywszy jednak dokładniej okoliczności i rzeczowo zbadawszy warunki powstawania tego rodzaju kopii, wypadnie, że pogarda owa nie jest bynajmniej uzasadniona.

Portret zatem, biorąc najogólniej, jest wynikiem indywidualnej czynności wyborczej, specjalnie w tym kierunku uzdolnionego artysty—czynności, która najściślej mówiąc, jest właśnie istotą wszelkiej twórczości artystycznej. Jeżeli do nieodzownych, wyżej określonych przedmiotów dodamy jeszcze zalety czysto malarzkie, jak poprawny rysunek, koloryt harmonijny i soczysty, miękkie modelowanie, tudzież pewien wdzięk i dekoracyjność, w skomponowaniu całości, to staje się on bezwzględnie wysokiem dziełem sztuki. Płonne są zatem obawy tych wszystkich, którzy wobec rozpowszechnienia się fotografii, zapowiadają rychły a całkowity upadek tego działu sztuki, lub wróżą mu jakieś radykalne, daleko idące przeobrażenia.

Jakkolwiek rzeczywiście z powodu ogromnych ułatwień, jakie przynoszą coraz to bardziej zdumiewające wynalazki fotograficzne w sprawie otrzymywania konterfektów drogiej i mniej drogiej nam osób, portreciarstwo, jako przemysł, upada niewątpliwie, jako specjalna gałąź twórczości artystycznej jednak pozostanie na zawsze tem, czem było przed wiekami, w chwili najwyższego swego rozwoju.

Zapewne, wobec niestęchanie szybkiego postępu techniki reprodukcyjnej, wobec istotnie bardzo pięknych odbić fotograficznych, jak dajmy na to doskonałe pod względem głębokości tonu pigmenty, lub smaczne i eleganckie karty albumowe na papierze bromo-srebrnym, zapotrzebowanie na portrety „ręczne“ znacznie się zmniejszyło. Nie powtórzy się już zapewne to, co działo się przy końcu wieku XVIII, kiedy formalna mania portretowania się, grasująca epidemicznie wśród wielkich i małych świata tego, wytworzyła całe zastępy wyrobników, którzy, włączając się od dworu do dworu, ofiarowywali swoje talenty i umiejętności na usługi jaśnie wielmożnych, wielmożnych i zwykłych mościpanów, pragnących rysy swego oblicza przekazać potomności. Ale dziś piękny portret Pochwałskiego lub Lenca, czy Whistlera lub Sergenta, jest zarówno dostojnem dziełem sztuki, jak były niem przed kilku laty portrety Horowitza, Lenbacha, Bonnata, jak dawniej jeszcze Rodakowskiego i Ingesa, jak przed stu laty Lawrence'u, Gainsborough'a, Reynolds'a i pani Vigée Le Brun, jak przed dwustu kilkudziesięciu Velasqueza, Rembrandta i Van Dycka, jak da-

wniej jeszcze Leonarda da Vinci, jak Cranachów, Holbeinów, Van Halsów, Dürerów, Memmlingów, Van Eycków i tych wszystkich, którzy zapisali się niezatartemi zgłoskami w dziejach sztuki, jako kopieści tej natury, której na imię człowiek.

*

*

*

Myślę, że w ten sposób oświetlona idea portretu pozbawia go znaczenia symbolu i czyni czemś bardzo bezpośrednim. Dla tego też bezwątpienia pospolite wymaganie podobieństwa nie może ubliżać dziełu sztuki, ani obrażać szanującego się artysty. Ale z drugiej strony, mówię to na zasadzie licznych obserwacji, stawiając sprawę tak kanciasto, narażam artystów na pewne kolizye z niewyrobioną artystycznie publicznością. Otóż w tym razie niedozwone jest małe zastrzeżenie.

W doskonale podobnym portrecie, jak drwił Ruskin, kot nawet pozna pana swego, ale jakimi drogami podobieństwo to się osiąga, to wiedzą dopiero utalentowani i specjalnie wyrobieni w swym zawodzie portreciści. Tymczasem bardzo niewiele portretujących się pań i panów odmawia sobie przyjemności dawania artystom wskazówek, jakoby niezawodnie prowadzących do celu. Niewątpliwie zdarza się, że pewne uwagi mogą nawet być bardzo trafne, najczęściej jednak pochodzą z grubej nieznajomości rzeczy, a wskazania są wprost niewykonalne. Upośledzenie w zakresie umiejętności widzenia, o czem wyżej wspominałem, dochodzi czasami do granic nieprawdopodobnych. Znałem jegomościa, który absolutnie nie rozumiał skrótów perspektywicznych. Otóż pan ten, jakkolwiek przyznawał, iż zupełnie jest podobny na portrecie malowanym przez jednego ze zdolniejszych naszych artystów, miał przecież pretensye, że nie zrobiono mu drugiego ucha. Nie pomagały dowodzenia, że w głowie zwróconej w trzech czwartych drugiego ucha widzieć niepodobna. Jegomość prowadził malarza do lustra i pokazywał mu dwoje uszu... jak wół. Oczywiście jest to przykład niezmiernie krańcowy, choć oparty na najzupełniej autentycznym wydarzeniu. Dzieją się jednak rzeczy na ziemi, wobec których stajemy zdumieni, onieśmieleni i bezradni, jak wobec zjawisk nadprzyrodzonych. Tysiące innych przykładów mniej jaskrawych, jak wymagania rozjaśnienia policzków w cieniu i t. p.,

możnaby przytoczyć na dowód, że wskazówki podobne są zbyteczne.

Drugim źródłem nieporozumień bywa zbytne podobieństwo portretu.

Osoba znająca siebie z fotografii, do której pozowała z ustami „w ciup“ i z „przyjemnym wyrazem twarzy,“ miewa pretensye, jeżeli tego nie odnajdzie w portrecie, zrobionym przez szczerego artystę. Winne tu jest bezwzględne zaufanie do podobieństwa fotograficznego, co jest bardzo rozpowszechnione, a jednocześnie bardzo zawodne, pomimo niezaprzeczonego obiektywizmu aparatu.

T. JAROSZYŃSKI.

Dwa poselstwa w r. 1654.¹⁾

W czasie traktatów pod Żwańcem han zaproponował królowi wspólną wyprawę na Moskwę, która wojnę Polsce groziła. Zaręczał, że Kozacy wezmą w tej wyprawie udział, bo iść muszą tam, gdzie im rozkaże.

Król i senatorowie przyjęli tę propozycję i postanowili niezwłocznie wyprawić posła do cesarza tureckiego, celem odnowienia przymierza, pomimo że Porta przyjęła Kozaków w poddaństwo. Pragnęli komu innemu sprawić zabawkę wojenną, a sobie odpoczynek.

Gdyby się powiodło obrócić Kozaków na Moskwę, Rzplta mogłaby uspokoić i odzyskać Ukrainę, a przy wojennem szczęściu rozszerzyć znacznie swoje granice. Gdyby zaś Chmielnicki nie chciał ruszyć na Moskwę i w ten sposób rozerwał ligę z Tatarami, Turcyja sprzymierzona z królem odmówiłaby mu pomocy.

¹⁾ Źródła: Ekspedycya legacyi, Bieganowskiemu dana, we Lwowie, 11 stycznia 1654, z listami króla do sultana, wezyra i kajmakana, z listami kanclerza do wezyra i kajmakana, oraz z instrukcją dla posła. Rps. Ossol. № 227, k. 1–3. — Instrukcya oddrukowana w Amb. Grabowskiego, Oj. Spom. I. 91, z datą 11 stycznia, znajduje się także w Rpisie Bibl. Dzieduszyckich we Lwowie: Teki Godlewskiego, VI. 29, z mylną datą 2 stycznia 1654.

List Bieganowskiego do króla 31 marca 1654. Teki Narusz. ad. an.

List Bieg. do kanclerza kor. b. d. (5 kwietnia) Rpis w zbiorach Aleks. Czołowskiego: Pomniki hist. p. 519–520.

Relucya Bieg. z Konstantynopola 12 kwietnia 1654—po włosku. Rpis. Ossol. № 530, str. 1.

Kopia listu Miastkowskiego (?), sekretarza legationis, do podkomorzego lwowskiego z Konstantynopola, 18 kwietnia 1654. Teki Narusz. ad. an.—Prawdopodobnie Aleksander Miastkowski, syn Wojciecha, podkomorzego lwow.

Pojawienie się posła polskiego w Konstantynopolu było dowodem, że król porzucił plan wojny z Turcyą i że liga, którą zawarł w zeszłym roku z hospodarami i z Rakoczym, nie grozi niebezpieczeństwem. Porta, zawikłana w ciężką wojnę z Wenecyą, pożyła spokoju. Ale czy zechce porzucić kozaków, których za swoich poddanych uważała, czy zechce zawrzeć trwałe przy mierze z Rzpltą—to zależało od stosunków i od zręczności posła.

Mianowany wielkim posłem do Turcyi Mikołaj Grzymała Bieganowski, chorąży lwowski, był jednym z tych mało nam dotąd znanych typów szlacheckich, którymi stała Rzeczpospolita.

Czujny, obrotny i nieustraszony, łączył ze wszystkimi zaletami starego, doświadczonego żołnierza przymiot, nie tyle rzadki u nas, ile zawsze nie dosyć ceniony: zdrowy rozum—źrenicę spraw publicznych i prywatnych, rękojmię wszelkiego powodzenia.

Większą część życia spędził w obozie, jako pisarz, strażnik polny, pułkownik, oboźny...¹⁾ Pod Beresteczkiem i Żwańcem regimentem cudzoziemskim dowodził.

Poznał się na nim hetman Koniecpolski, który go do poselstw zagranicznych używał. Po gorzyńskiej potrzebie wysłał młodego człowieka do elektora brandenburskiego w sprawie hiberny, po Ochmatowskiej w r. 1644 po raz wtóry do Konstantynopola. Wrócił do króla Władysława IV z czauszem tureckim, proszącym o potwierdzenie pokoju.²⁾

Na sejmach, sejmikach i komisjach wojskowych, w boju i w czasie pokoju, męstwem i zdrową radą ojczyznę ratował. A taką miał bystrość w interesach i zawziętą naturę mazurską,

który posłował do sułtana Ibrahim, a może Łukasz, podstoli czy podsędek lwowski, bo Miastkowscy niezmani.

Posłuchanie dane Bieganowskiemu. List do kanclerza kor. b. d. (25 kwietnia). Amb. Grab. Oj. Spom. I. 96.

Bieganowski do króla z Konstantynopola 26 kwietnia 1654. Rpis. Ossol. № 189 p. 697.

Bieganowski do Rakoczego z Konstantynopola 28 kwietnia 1654. Szilágyi Aleks.: Transsylvania et Bellum Boreo Orientale. I. p. 317.

Starowolski: Dwór cesarza tureckiego.

Monarchia Turecka, opisana przez Rikota, sekretarza posła angielskiego (na podstawie informacyi Woj. Bobowskiego, który 19 lat na dworze Otomańskim bawił), tłómaczom i drukowana w Słucku 1678.—Hammer V.

¹⁾ Później kasztelan podlaski, a wreszcie kasztelan kamieniecki, mostowski i janowski starosta.

²⁾ Memoriale Albr. Radziwiłła, luty 1644.—Za tę usługę 10,000 zł. otrzymał.

taki przytem umysł spokojny, że każdą przeszkodę z największą łatwością usunąć potrafił, każdą trudność pracowitością pokonał i w każdej sprawie korzyść dla Rzpltej i pożytek dla siebie wynalazł. Oszczędny i gospodarny, nie tylko się sam wykupił z dwuletniej niewoli tatarskiej (po porażce korsuńskiej), ale znaczny zebrał majątek, z którego klasztory i kościoły fundował, ubogich poddanych wspierał, szpitalom i zakomnikom wiele świadczył. „Ten dzień — mawiał — u mnie szczęśliwy, w którym żebrakom Chrystusowym co dobrego uczynię.“

Ciasną miał kieszeń na niepotrzebne wydatki, a czezą paradą się brzydził. Senatorskiej godności, z wielkimi kosztami połączonej, przyjąć nie chciał, a w testamencie zarządził pogrzeb ubogi, bez mów pochwalnych i bez nagrobka.¹⁾

Dowodem jego wartości była gotowość, z jaką się podjął legacyi tureckiej w roku 1653,²⁾ kiedy Porta stała stanowczo po stronie Chmielnickiego, a stanowisko posła było nie tylko trudne, ale i niebezpieczne na tym dworze, gdzie trudno było przewidzieć, na jaki humor trafi i co go spotkać może; gdzie przed brutalną zniewagą nie chroniło żadne prawo ani uświęcony obyczaj, żadne tytuły i godności, ani wspaniałość wystąpienia, jeśli sama osobistość nie budziła respektu. Ale nikt nie obrazi rozumnego człowieka, na którego czole napisano „kto po moją głowę przychodzi, swoją mi przynosi.“

Na razie wyprawa poselstwa została wstrzymana, z powodu wojny w Multanach i Wołoszczyźnie, w której Rzplta brała udział. Dopiero 11 stycznia 1654 r. we Lwowie odebrał ekspedycję. W listach uwierzytelniających do sułtana i wielkiego wezyra, pisał król, że wysyła w charakterze wielkiego posła swego ukochanego, poufałego dworzanina, zręcznego i sumiennego człowieka, dobrze już Porcie znanego z wielokrotnie odbytych legacyj.³⁾

¹⁾ Zyciorys Biegunowskiego, wyjęty z mowy pogrzebowej p. t.: „Herkules polski, Mik. Biegunowski, przy funeralnym akcie w kościele lwowskim OO. Reformatów, 1674, 21 sierpnia, reprezentowany, przez X. Konstantego Przysiałowskiego.“ W Krakowie u Szedla.

²⁾ Biegunovius ad portas Ottomanicam sine procrastinatione expeditus ante festa Paschalia... ex aerario publico pecunia numerata. Temberski p. 227 (4 aprilis 1653).

³⁾ Hammer (V. 593) twierdzi, że posłował poprzednio dwa razy: najprzód przywiózł list hetmana Koniecpolskiego, donoszący o zwycięstwie pod Ochmatowem; następnie przybył z życzeniami po wstąpieniu na tron Mohammeda IV w r. 1649. Ale takiego poselstwa w r. 1649 nie było.

Wyruszył ze Lwowa w końcu stycznia¹⁾ z niemałym taborem wozów, z jedną chorągwią służyłych i karnych ludzi, nie strojnych, ale uczciwie uzbrojonych i odzianych. Zabrał ze sobą kilkoro paniąt, którzy z korzyścią dla Rzpłtej podróż tę z nim odbyć mogli, a z nimi—najzdolniejszego oficera, młodego pułkownika Jana Sobieskiego,²⁾ starostę jaworowskiego, chcąc mu dać sposobność poznania dworu cesarskiego i zbadania tajemnic potęgi tureckiej. Wynajął kupców, którzy mu towary gdańskie w Turcyi a tureckie w Polsce i w Gdańsku sprzedawać mieli, i przywiózł pieniądze z legacyi,³⁾ na której inni substancye swoje tracili, bo powróciwszy, zaraz kościół i klasztor dla Reformatów we Lwowie (dziś św. Kazimierza—Siostr Miłosierdzia) budować zaczął,⁴⁾ gdzie leży pochowany.⁵⁾ Fundował trzy klasztory dla tych zakonników, tak pożytecznych i potrzebnych dla duszpasterstwa na Rusi.

W Jassach dłuższy czas zatrzymać się musiał, aby przyśpieszyć wysyłkę posiłków wojennych i zebrać informacje o osobi-

¹⁾ P. Bieganowski do Turek w poselstwie wyjechał, z którym kilka paniąt wyjechało i p. Sobieski, starosta Jaworowski. Jan Atel Majer do Rektora Akademii Krak. ze Lwowa, 30 stycznia 1654. Ks. Pam. Michałowskiego p. 721.

²⁾ Zdaje się, że Sobieski zdecydował się dopiero w ostatniej chwili wyjechać z Bieganowskim. „Wojna do Moskwy pewna, zaczęła droga do Turek rozwlekła się, a zwłaszcza JMP. staroście Jaworowskiemu, człeku zacnemu i najwyższemu pułkownikowi przed p. Bieganowskim czapkować, co by musiało być.“ Andrzej Żółkiewski do ks. w-dy krakowskiego ze Lwowa 7 stycznia 1654. Rpis. Ossol. № 1848, k. 59.—Kluczycki str. 132.

³⁾ Bieganowski pecuniam pro legatione datam non absumpsit ob parcas impensas atque mercaturas, quas tractavit in itinere. Temberski p. 287.

⁴⁾ W kruchoie kościoła czytamy napis: Quisquis ades, benedicito Deum, ad cuius gloriam eiusque gloriosae Matris Virginis Mariae et Seraphici patriarchae Francisci honorem hanc sacram aedem ope manu munificentia posuit Nicolaus Bieganowski vexilifer districtus Leopoliensis cum sua coniuge Ursula de Krosnów u. d. 1656.

⁵⁾ W kościele Siostr miłosierdzia, po prawej stronie od wejścia, znajduje się nagrobek Bieganowskiego, marmurowa tablica z napisem, że umarł w r. 1664, mając lat 73. Nad tą tablicą, według opisu Zinera z r. 1827 (Rps. bibl. Pawlikowskiego № 118), znajdował się portret Bieganowskiego w zbroi, a pod napisem herb Grzymała. Portretu obecnie niema, herb umieszczono nad tablicą grobową żony Bieganowskiego, Urszuli Krosnowskiej (zmarłej w r. 1698 w 78 roku życia), herb zaś Urszuli umieszczono nad tablicą Bieganowskiego.

stościach wpływowych w Stambule, o agentach i protektorach hospodara, z których pomocy miał korzystać.

Tu dowiedział się o zdradzie Chmielnickiego i o poddaniu Ukrainy carowi.¹⁾ Hospodar był przekonany, że hetman kozacki działa w porozumieniu z hanem i pragnie Lupulą osadzić na tronie wołoskim. Spodziewając się z pomocą Bieganowskiego wzmocnić swoje stanowisko i pozyskać zaufanie ministrów ottomańskich,²⁾ służył mu na wyścigi: wysłał natychmiast posiłki do obozu hetmana kor.,³⁾ a do Chmielnickiego wyprawił posła na przespziegi z doniesieniem, że i on, hospodar, gotów poddać się carowi.

Postępek Chmielnickiego ułatwiał zadanie Bieganowskiemu, ale zarazem przynaglał do pośpiechu. Jechał z Sylistryi bez odpoczynku, ale dla niewymownie złej drogi i niezwyuczajnych śniegów na Bałkanach, dopiero 29 marca stanął w stolicy.

Jako curiosum donosił królowi, że mu dano czystą i wygo-

¹⁾ Hospodar pisał do króla z Jassy 22 lutego 1658, że 18 lutego odebrał wiadomość, jako kozacy w Ruszkowie nad Dniestrem przysięgali carowi, a Moskale dla odebrania hołdu po różnych miastach się rozjechali. Archiw. gl. War. Essenciale Tatar. № 28. — Że Bieganowski dowiedział się w Jassach o poddaniu Ukrainy carowi, świadczy ostatni ustęp listu jego, pisanego do króla zaraz po przybyciu do Carogrodu.

²⁾ G. Giustiniani do senatu weneckiego z Wiednia, 28 marca 1658. Hormuzaki Documente Vol. IX., part. I, p. 51. — Doniesienie Reningera, jakoby król żądał zmiany w paktach z Portą, mianowicie punktów 4, 6, 8, 9, dotyczących Wołoszczyzny (aby Tatarom nie pozwalano osiedlać się w Wołoszczyźnie i w Budziakach, aby wydawać rozbójników, aby gospodarowie zostawali w stosunkach przyjaźni i usłużności z Rzpltą, aby poddani króla mieli wolny handel i splaw na Dniestrze do Akermanu) stoi w sprzeczności z instrukcją Bieganowskiego: „Pilnie przestrzec na posel, żeby pakta, które będzie odbierał od Porty, wedle dawnych pakt były napisane i żeby ostry warunek uczyniła Porta, aby więcej Tatarowie kozakom nie pomagali.“ Zmiany, o których donosi Reninger (Hormuzaki Fragmente zur Geschichte der Rumaenen, III, ad. an. 1655), były prawdopodobnie życzeniem hospodara, które posel przyjął ad considerandum.

³⁾ Hospodar do hetmana Potockiego (Jassy, 25 lutego 1654). Donosi, że posyła 1300 ludzi i więcej przyśle, gdy z Krymu pomyślną odpowiedź odbierze. Essenciale Tatar. № 29. — Tenże do hetmana (Jassy, 17 marca 1654). Donosi, że posyła 1200 ludzi, a gdy mądejdą chorągwie węgierskie, zaraz je wyprawi. Tamże № 33. — Tenże do hetmana (Jassy b. d. 1654). Życzy szczęściu i donosi, że chorągwie wołoskie już 16-go ruszyły, aby się połączyć z wojswodem brachawskim. Tamże № 58.

dną gospodę i że przez kilka następnych dni śnieg walił w Konstantynopolu.

Pierwszego kwietnia miał pierwszą audyencyę u wielkiego wezyra.

Mohammed Derwisz pasza, „rządca porządku świata, kolumna gmachu panowania,“ objął rządy w r. 1653, zobowiązawszy się wyprawić flotę do Kandyi, w zakład czego głowę swoją postawił, głowę wielką, siwą, z sępiem czołem, ze spłowiałemi oczami i olbrzymiemi wąsami, które mu na lędźwie spadały. Pragnął za każdą cenę pokoju, aby skończyć wojnę z Wenecyą, a był w największych łaskach u wszechwładnej walidy, matki sułtana i w poszanowaniu całego dworu. Człowiek czystych rąk, wielki pan i znakomity gospodarz w dobrach swoich na Węgrzech.

Przyjął posła „bardzo mile,“ punktów legacyjnych uważnie wysłuchał i obiecał w jaknajkrótszym czasie wyjednać dostęp do cesarza.

Ceremoniał audyencyi u wezyra, a nadowszystko u cesarza, był upokarzający. Turcy chcieli poniżeniem chrześcijańskich posłów okazać przewagę swoją nad całym światem. Bieganowski wiedział, że kto do cudzego domu przychodzi, temi drzwiami wchodzić powinien, jakie się znajdują, a jeśli wejście przykryte, to się bez koniecznej potrzeby nie wchodzi. Znał ceremoniał turecki i pragnął się doń zastosować, ale starał się unikać szykan, na jakie posłowie chrześcijańscy narażeni byli ze strony zuchwałych dworzan cesarskich. Wszędzie udany pośpiech i lekceważenie. Trudno było nadrabiać powagę, trudno się było skarżyć, gdy w gburowaty sposób wkładali kaftany, kiedy wzięwszy posła pod rękę z błyskawiczną szybkością prowadzili go, a raczej nieśli, przed oblicze cesarza, ciągnęli za rękawy, zanim złożył ukłon, i za kark wzięwszy, schylali jego głowę, że prawie ziemi dotykał, a potem podniósłszy go, ciągnęli tyłem, nie odwracając się i uderzali nim o ścianę audyencyonalnego pokoju.

Młody, stary, wspaniały, pokorny, cesarski, królewski poseł... wszystko jedno. „Św... czy biała czy czarna, zawsze św...“ Służba chciała się przypodobać młodemu władcy, który nienawidził chrześcijan. W 12 roku swego życia napisał wiersz z przekleństwami na wyznawców Chrystusa.¹⁾

Ale przezorny poseł mógł unikać tego wszystkiego, a nawet rozluźnić ceremoniał, jeśli się zawczasu porozumiał z reis

1) Kochowski: Commentarii p. 4. Wiadomość tę przyniesiono prawdopodobnie w r. 1654.

efendim (ministrem spraw zagranicznych) i mistrzem ceremonii, jeśli wiedział, gdzie i co komu obiecać. Bieganowski, jak wspomniano, miał ciasną kieszeń, ale nie żałował, gdzie była potrzeba.

Audyencya u cesarza nie miała wpływu na przebieg poselstwa, budzi jednak ciekawość z powodu obecności Sobieskiego. Chciałoby się iść śladem wrażeń, jakich mógł doznać, stanąwszy przed obliczem potęgi, którą miał później obalić.

Młody pułkownik wyjechał do Konstantynopola — jak twierdzi Kochowski — przebrany i pod obcem nazwiskiem, ale został poznany i z trudnością udało się go wydobyć z matni tureckiej.¹⁾

Nie znajdujemy żadnej wzmianki o tem w relacyach poselstwa. Maskarada taka byłaby z ujmą powagi posła i Rzpłtej, która z obowiązku uwiadamiiała Portę o składzie poselstwa — byłaby niepotrzebną zabawką, bo we Lwowie wszyscy wiedzieli, że wyjechał,²⁾ a na dyskrecyę kupców, służby i orszaku poselstwa spuszczać się było trudno. Być może, że zwiedzając miejsca dla cudzoziemców i chrześcijan niedostępne, występował incognito, ale urzędownie przyjmowany był — jak świadczy relacya sekretarza poselstwa — pod własnem nazwiskiem.

Wspaniały ten 26-letni młodzieniec, jakby z innej zstąpił planety, przejmował podziwem, a niepohamowaną, lwią pewnością siebie ubezwładniał ludzi. Syn wiosny, żywy jak iskra, świeży jak wiatr poranny — ogniste zjawisko kapane w słońcu, drgające słońcem, z płomiennym wzrokiem, co mu całą twarz zasłaniał... Z czoła biło dostojęństwo, oczy potęgą władzy gorzały; grzecznością i hojnością promieniał. Każdy ruch, wdzięczny giest, uprzejme słowo, spojrzenie było rozkazem nęcącym do posłuchu.

Na dworze tureckim wiedziiano, że to był syn kasztelana krakowskiego, spadkobierca sławnego Żółkiewskiego, Daniłowiczów, Sobieskich, jeden z najbogatszych panów Rzpłtej, którego babka 200,000 talarów za głowę męża swego Porcie zapłaciła. Przybycie jego mogło obudzić podejrzenia, ale sądząc ze zwyczajów innych dworów europejskich, te nadzwyczajne względy ze strony sułtana, o których kilkakrotnie wspomina Bieganowski, przypisać można obecności młodego możnowładcy. Wszzechwła-

¹⁾ *Tum quo securius iret rediretque, ore et habitu dissimulato, alium se non qui esset, dici sustinuit... nec diu latere poterat sub alieni nominis involucro... suspicionem mox metum inieceret Barbaris... Sobiescio tamen retentantibus Turcis & nassa illa evolui nimis arduum fuit.* VI, 409.

²⁾ Ateł Majer ze Lwowa 31 stycznia 1654. Księga pam. Michal. 721.

dnia wówczas matka sułtana, 26-letnia Tarhan walida, wysłała na przyjęcie poselstwa szwagra swego, dowódcę spahów Petak-paszę, a jego sprawozdanie, jak się pokazało, obudziło jej ciekawość—tem silniejszą, jeśli była niegdyś poddanką Rzpltej i pochodziła z województwa ruskiego.¹⁾

5 kwietnia w sam dzień Wielkiejnocy, z brzaskiem dnia, wpadło kilkudziesięciu czauszów przed kwatere poselstwa. Przywieśli 10 koni cesarskich i prowadzili posła przez ulice, gdzie wonne zioła dla odświeżenia powietrza palono, do pałacu cesarskiego, do wielkiego seraju.

W pierwszym podwórzu, obok starożytnej chrzcielnicy, kazono im zejść z koni, a posłowi wybrać 12 towarzyszków dla powitania cesarza.

Ruszyli przez drugą bramę do pałacu Dywanu, gdzie ich czekał w. wezyr z ośmiu wezyrami i starszozny nie mało. Tam zaraz trzy okrągłe stoły wniesiono. Siadł do pierwszego w. wezyr z posłem, z Mustafą wezyrem i Amurat paszą, kapitanem morza. Starosta Jaworowski, wojewodzie smoleński i sekretarz legacyi Miaskowski, usiedli z innymi panami tureckimi przy stole po prawej ręce. Wniesiono 18 potraw na wielkich, porcelanowych pułmiskach. Na gankach przed Dywanem 120 ludzi poselskich goszczono.

Przez cały czas tego wczesnego, dobrą godzinę trwającego, śniadania, cesarzowa matka z cesarzem przypatrywali się gościom swoim przez żaluzye okna, umieszczonego w sklepionej sali Dywanu. Gdy odeszli na górne pokoje, podniósł się w. wezyr, a dwaj marszałkowie ze srebrnymi laskami powiedli posła przez galerye na trzecie podwórze. Staęli pod gankiem obok cesarskich pokoi, gdzie zaraz dworzanie dwanaście kaftanów, ze złotogłowiu z różnemi figurami ptaków i innych zwierząt, na nich włożyli, na co cesarz z matką z górnego okna poglądał.

Dokoła podwórza wznosiły się wspaniałe gmachy z gankami, pod którymi stało jakie 6000 zbrojnych ludzi: janczarów, czorbaszów, spahów, czauszów, w porządku i wielkiem milczeniu, jak-

1) Tullis Miglio F. 6. nazywa ją: sultana Arse nativa della Rossia rossa subdita dei Polachi, fu giovinetta pressa dai Tatars e transportata a Constantinopoli, resto schiava d'un tal Kör Suleiman bassa, quale per la sua bellezza, stimandola degno presente per un monarca Ottomano l'invio al Seraglio dove l'anno 1682, 2 di Gennaio, versa la mezza notte partori il vivente G. 5. — Hammer VI, 222. — Kochowski (Comentarii p. 3) pisze, że była czerkieską z Kolehidy.

by nikogo nie było. Słysząc było szmer wodotrysków i świergot latającego ptastwa.

Pokazywano im mieszkanie kobiet po drugiej stronie podwórza, wieżycowe pokoje z kryształu górskiego, skarbiec pod sypialnią cesarza, pełny sztab złotych i kul ze złota ulanych, bibliotekę, w której leżało 120 ksiąg Konstantyna W. w srebro i drogie kamienie oprawnych, po dwa lockie długich, pisanych złotymi literami...

Wreszcie pojawił się wielki wezyr cały w purpurze. Szedł do cesarza oddawać polskie upominki i przygotować go na przyjęcie poselstwa.

Na dany znak wprowadzono Bieganowskiego wraz z tłumaczem do wielkiej sali, pełnej dworzan i białych rzezańców strojnych nad przepych, a stamtąd galeryą do loggetty, gdzie stał olbrzymi rzeźnic z dobytym mieczem. Wszędzie posadzki pokryte kosztownym haftem jedwabnym i zapach wonny przenikający.

Znalazł się wreszcie na środku cesarskiego pokoju, na aksamitnym, karmazynowym kobiercu, haftowanym złotem ciągnionem i drobnymi perłami—pod olbrzymią gałką złotą, osadzoną w drogie kamienie, z której, niby dach namiotu, szły długie sznury perł urykańskich, bardzo wielkich. Złożywszy obowiązkowy ukłon, cofnął się do ściany.

Dwunastoletni Mohammed IV „cień Boga, rozdawca wszystkich koron na świecie,“ siedział na wezglówiu cudownie bogatem, od dyamentów ledwo, że nie zgorzał. Nie można go było zrazu dobrze widzieć w słońcu szczęścia i potęgi ottomańskiej.¹⁾ Mała kreaturka, z twarzą ubieloną, brwi farbowane, oczy wielkie, pod jednym okiem gęste bielidło z powodu blizny, którą mu zadał ojciec, kiedy w gniewie rzucił niemowlę do studni.

Przypatrywał się, jak wprowadzano pojedynkiem towarzyszków posła, w pierwszym rzędzie Jana Sobieskiego i po raz pierwszy skrzyżowały się spojrzenia tych dwóch wielkich zapaśników w przyszłości.

Tymczasem Bieganowski ustami tłumacza winszował młodemu władcy panowania w długie i szczęśliwe wieki. Oświadczał,

¹⁾ Nie można go było dobrze widzieć. Mała kreaturka—píše sekretarz poselstwa—lał mu 31. karłowaty...

Sultan Mohammed IV ur. 7 stycznia 1642, wstąpił na tron w sierpniu 1648. Mam przed sobą portret 10-letniego cesarza w rycinie P. Aubryego. Inny portret tego sultana w 26 roku życia jest fantazyjny.

że król, przykładem przodków swoich, pragnie z nim w dawnej i nierozzerwanej braterskiej zostawać przyjaźni, chce być przyjacielem jego przyjacielowi, wrogiem jego nieprzyjaciół, obiecując sobie po cesarzu, że wzajemnie dotrzyma statecznej przyjaźni. Ponieważ jednak w niektórych punktach dawne pakta naruszone zostały, prosił poseł o osobną audyencyę do traktowania spraw sobie zleconych — poczem punkta legacyjne wraz z listem uwierzytelniającym oddał wielkiemu wezyrowi. Ten pochylając głowę, słowami: można już odejść, odemnie będziesz miał odprawę — pożegnał posła.

Wracali z seraju wśród okrzyków tłumów; paszowie, wdychając z podziwienia, wieszowali im takiego przyjęcia.

„I mogę powiedzieć bez żadnej przechwałki — pisał do króla — że byłem przyjęty z niezwykłymi honorami, bo niema zwyczaju posyłać posłom konie cesarskie, a co niesłychane, przypuszczono 12 osób do audyencyi.“

Ale, przybywszy do gospody, musiał dobrze zapłacić za te ceremonie masztalerzom cesarskim, czauszom, muzykantom i tym co jeść nosili, co pić podawali, co przy unywaniu rąk służyli, co izbę zamykali i tym, co do cesarza prowadzili... Trwała ta procesya do wieczora.

Nazajutrz otrzymał niepokojącą wiadomość, że do Porty zdążył poseł moskiewski morzem, a lądem poseł kozacki z tatarskim; że car i Chmielnicki żądają, aby han stawał po ich stronie, a Tatarzyn posyła swój konsens na to. Tak połączeni obiecują sultanowi oddać w posiadanie obszar Rzptej, jak daleko zechce, i gotowi są przedłożyć wystarczające dowody, że ta liga ich niegrozi Porcie żadnem niebezpieczeństwem, gdyż wojna z Polską nie jest religijną wojną, a przytem chcą dać zapewnienie pod przysięgą, że ani jedna czajka kozacka z Donu i Dniepru nie pojawi się na Czarnem morzu.

Wiść ta rozpuszczona niewątpliwie przez posłańca Chmielnickiego, Markowa¹⁾, okazała się fałszywą. Sygnalizowano jedynie przybycie posłów kozackich.

Następne 10 dni zeszyły na przygotowaniach do traktatów z w. wezyrem. Nie posiadamy kopii punktów legacyjnych, podanych wezyrowi zaraz na pierwszej audyencyi, ale niewątpliwie zredagowane były w duchu instrukcyi. Instrukcyja polecała Biegunowskiemu odnowić przymierze z Turcyą „na podstawie dawnych

¹⁾ „Akty Już. i Zap. Rosii,“ X, № 12, str. 577.

paktów, zawartych za panowania Zygmunta III i Władysława IV bez najmniejszej zmiany, czego miał pilnie przestrzegać.“ W dodatku miał żądać osobnego artykułu, że Tatarzy więcej Kozakom pomagać nie będą.

Zlecono mu ponadto zwrócić uwagę Porty na niebezpieczeństwa, grożące ze strony Chmielnickiego, „który raz cesarza tureckiego szuka, drugi raz moskiewskiego, aby tylko każdego na rzeczy trzymał, a wzmocniony do Moskwy się przyłączył, ażeby przez potęgę złączonej greckiej wiary mógł potem przez praktyki Wołochy i Multany osiąść. Jakoż cara moskiewskiego postowie, kiedy się za nim przyczyniali, to deklarowali, że on za wiarę grecką wojuje. Skąd łatwo osądzić, że gdyby ruskie państwa, wołoskie, multauńskie, a przytem przyległe, które są pod cesarzem tureckim, a grecką wiarę wyznają, miały być pod jego posłuszeństwem, pociągnęłyby Grecyę, Macedonię, Serbską i Bułgarską ziemię, przezcooby Patryarcha wzmocnił swoją grandezę.“

Ten ostatni punkt instrukcyi, wobec zaszłych wypadków na Ukrainie, musiał być zmieniony. Bieganowski uwiadomił wezyra, że Chmielnicki poddał się carowi i podniósł wojnę religijną, grożącą niebezpieczeństwem Turcyi i na tej podstawie zażądał na własną rękę, bo o suplemnencie instrukcyi w relacyach swoich nie wspomina¹⁾; aby sułtan nakazał hanowi pomagać Polsce przeciw Kozakom i Moskwie, którą, zajmwszy Ukrainę, tem samem wojnę z Rzptą rozpoczęła.

Na poczynione punkta w. wezyr nie mógł dać odpowiedzi, nie zasięgnąwszy opinii ministra spraw zewnętrznych (Reis Efendiego) i najwyższej władzy duchownej, ponieważ tu i o sprawę religii chodziło.

Musiał więc Bieganowski zabiegać i targować się w kancelaryi reis efendiego, w ekspedycie fermanów i w archiwum państwa (beglik kalami), a przedewszystkiem u wielkiego muftiego, u zastępcy muftiego do spraw politycznych (szeichul-islam), u przedstawiciela spraw duchownych przy Porcie (telehissdzi) i u dyrektora kancelaryi wyroków muftiego (fetwa emini). „Tes-

¹⁾ Bucziński („O Bog. Chmielnickom,“ str. 188), powołując się na Pol. Kor. Metr. (Znosz. Pol. z Turcyą, sw. 20, pod r. 1651) pisze, że poseł, na podstawie odebranej w Warszawie instrukcyi, przedstawiał Porcie, że Ch. sprzedał Ukrainę Moskwie i przysięgł carowi posłuszeństwo — ale niewiadomo, czy Bucziński miał przed sobą relacyę poselstwa, czy też instrukcyę daną postłowi.

te“ w. muftiego było niezbędne przy zawieraniu pokoju, a dekretem jego (fetwa) ani wezyr, ani cesarz sprzeciwić się nie mogli¹⁾.

Starał się z pomocą innych posłów chrześcijańskich uprzedzić kozackich i moskiewskich posłów, którymi mu grożono i zapożyczyl się, żeby ująć ministrów, zanimby Moskale i Kozacy więcej ofiarowali²⁾, bo przekupiony Muzułmanin, dawszy raz słowo, za żadną cenę nie służył stronie przeciwnej.

Dzięki jego zabiegliwości na audyencyi u wezyra (15 kwietnia) załatwione zostały wszystkie punkta pomyślnie. Ale kiedy zażądał emirów do hana, aby szedł z królem na Moskwę, wezyr, udając zdziwienie, zapytał:

— Skądże mu ta powinność?

— Powinien, bo za to żołd wziął...

— A jakżeście się rozeszli pod Żwańcem?

— Tak, że się ofiarował iść na Moskwę.

— Macie na to pismo?

— Nie mamy, bośmy zakład obopólny miasto pisma dali. Jeżeli o tem wątpisz, ja głowę moją w zakład daję, jeśli się nie okaże, że han nie tylko pod Żwańcem, ale dawno obiecywał iść na Moskwę.

— Dobrze. Każę napisać do hana w tej sprawie, a ty się nie kwap tak bardzo.

Niema powodów wątpić, że wezyr kazał napisać do hana, ale to pewna, że się nie dowiadywał, jak się z królem rozszedł, ani czy ma ochotę ruszyć z nim razem na Moskwę, bo miał przed przybyciem Bieganowskiego dokładną relacyę o traktatach żwaniueckich i posłał przed dwoma tygodniami hanowi przez Solimanagę emir sułtański na wojnę z carem³⁾: natomiast poczuwał się

¹⁾ Kanclerz do muftiego 16 lut. 1655: dziękuje w imieniu króla, iż ra dził sułtanowi pokój i pomagał Biegunowskiemu. Teki Narusz. od 1655 № 210.

²⁾ Relacya Bieganowskiego z 12 kwietnia.

³⁾ „Poseł tatarski spotkał się ze mną już ze Stambułu powracając do Krymu. Czynił relacye tranzakeyi żwaniueckiej... To poselstwo bardzo Turkom posmakowało... szablę i kaftan hanowi posłano, a na wiosnę gotować mu się do wojny kazano, niewiudomo dokąd. Toż i paszy Sylistryi surowie demandatum, aby ineunte vere był gotów na wojnę. Dlatego też przez całą drogę potykałem wojennych ludzi, z różnych stron ciągnących ku Sylistryi, nie wiedzieć, quo fine...“ Bieganowski do króla 31 marca 1654 r. — Natomiast poseł tatarski powiedział 7 maja otwarcie Wyhowskiemu, że sułtan posłał hanowi szablę i kaftan nie na kogo innego, tylko przeciw Moskwie. „Akty Jużn. i Zap. Rosii,“ X, № 12.

do obowiązku zasięgnąć z wiarogodnego źródła informacji, czy hetman kozacki poddał się rzeczywiście Moskwie. Na goślośnych zapewnieniach hospodara i Bieganowskiego polegać nie mógł, podejrzewał je raczej, dowiedziawszy się o przybyciu posłów kozackich, których nie wiedział, jak przyjąć.

Musiał zatem Bieganowski uzbroić się w cierpliwość i czekać powrotu gońca tureckiego z Krymu.

„Nam tu już cudownie tęskno i mieszkam naszym—pisze sekretarz poselstwa — lubo nam pan poseł udziela w potrzebie żywności i obroków. Gdyby nie to, nie jedenby już z próżnym mieszkciem zostawał. Drożyzna, jaka pod słońcem być nie może większa. Bo śmieie rzekę, że w całym Stambule tyle mięsa nie znajdzie, ile w miasteczku którem polskiem na targu, i czeludź nasza nie mięsem, ale sałatą żyje albo ziemię pospolitę. Z morza nie nie dochodzi, z przyczyny wojny, ryby bardzo drogie. P. posła przecież nie najgorzej traktują. Dostaje dziennie jałowicę, trzy barany, wina 200 ok, 300 asprów i 45 korey owsa, że się przecie przyzwoicie wyżywić może... Wezora kupiono mi słomy dla koni za 9 złotych tyle, ile może być w czasie sejmu w Warszawie za jeden złoty, a zgoła u nas za dobrych czasów za 6 groszy. Jeśli nas dłużej zatrzymają, tedy się w niwecz pobracamy. Na dobytek dyabeł przyniósł posłów kozackich. Postawiono ich blisko nas z wielkim naszym dysgustem, ale obiecano to odmienić dla okazji lub zwady.“

Bieganowski skarżył się, że Porta posłów kozackich przyjmuje. Kuffany na nich wezyr włożyć kazał bogate, z czerwonego sukna srebrem podbite, na dwóch posłów, adamaszkowe czerwone na dwóch sekretarzy, a ze sukna czerwonego na resztę dziesięciu towarzyszków. Ofiarowali poddaństwo, prosili o opiekę i obiecywali 40,000 talarów rocznego haraczu, ale po skończonej wojnie i jeśli im cesarz odda Podole¹⁾. —

Tymczasem 20 kwietnia, zatem w cztery dni po ostatniej audyencyi u w. wezyra, przybiegł czausz z radośną nowiną, że poseł otrzyma nazajutrz odprawę u cesarza.

Co skłoniło Derwisz paszę do tak nagłej decyzji?

— Własnoręczne listy cara i Chmielnickiego do hospodara wołoskiego, które tenże posłał do Konstantynopola na ręce Bieganowskiego, z uwiadomieniem, że także same listy wysłane zostały do hospodara multańskiego i do Rakoczego.

¹⁾ Reninger (u Hammera V. 595).

Car wyrażał zdziwienie, że od hospodara dotychczas żadnego pisma nie odebrał. „My zaś donosimy ci—pisał—że w tym roku dla prześladowania prawosławnej wiary, Bohdan Chmielnicki i wojsko zaporoskie pod naszą carską ręką wszystką Małą Ruś poddali. A ty Stefanie, wojewodo ziemi wołoskiej, będąc z nami jednej prawosławnej wiary, nie dotąd nie pisałeś. Teraz my, posławszy do Kijowa kniazia Kurakina, żądamy od ciebie, abyś się z wojewodami naszymi pobliskimi we wszystkim znosił, królowi polskiemu nie pomagał i o zamysłach jego nam, bojarom naszym i B. Chmielnickiemu oznajmiał, jeżeli pragniesz na łaskę i miłość naszą zasłużyć. Żądamy przytem, abyś posła naszego do ziemi multańskiej odprawił, a za powrotem tegoż, na pisanie nasze i na ustną relacyę tegoż posła, Hawryła Chwedorowicza, dał dostateczną odpowiedź“¹⁾.

Chmielnicki pisał do obu hospodarów i do Rakoczego, wzywając ich w imię prawosławnej wiary do związku z Moskwą i poddania się carowi²⁾.

¹⁾ Kopia listu cara Aleksego do Stefana hospodara b. d. Teki Narusz. ad. an. 1651. Gabryel Fedorowicz Samarin, posłaniec carski, przybył do Jass z powyższym listem na Wielkanoc (26 marca st. kal., 5 kwiecień nowy) i odjechał z takimże samym listem do hospodara multańskiego Macieja (w czetwerg na Świętłej niedzieli—„Akty Jużn. i Zap. Rosii,“ X, № 12), który go kazał zawrócić (The Emperor of Moscow had send an Ambassador to him, and he (Matthi) immediately sent to turn him back saying „Do not let me see his face...“ The Travels of Macarius I, 146). Hospodar Stefan doniósł natychmiast o tym liście królowi, sułtanowi, hanowi i Rakoczemu („Akty Jużn. i Zap. Rosii“ X, № 12). Han otrzymał kopię tego listu przed 29 kwietnia (Tamże). Do króla pisał hospodar 30 marca (st. kal.) z uwiadomieniem, że Hawryło Fedorowicz przybył do Jass i udał się z tem samym do hospodara Matwieja (Archiw. głów. War., Essenciale Tatar., № 35). Hetmanowi Potockiemu posłał dn. 9 kwiet. kopię listu carskiego, dodając, że Bieganowskiemu polecił, aby list Chmielnickiego pokazał wezyrowi (Tamże, № 37). I kancelarzowi posłał 15 kwietnia kopię listu carskiego z doniesieniem, że oryginał wraz z listem Chmielnickiego posłał Biegunowskiemu (Tamże, № 38). — Jeżeli więc do króla pisał 30 marca (st. kal.), można przypuścić, iż tegoż dnia wysłał gońca do Carogrodu, do Bieganowskiego i do wezyra.

²⁾ Nie znamy treści listów Chmielnickiego do hospodarów, ale z listu króla do Rakoczego można się domyśleć, co pisał. Rakoczy kopię listu Chmielnickiego i swoją odpowiedź posłał królowi (z Foragus 7 kwietnia 1651 r. — Archiw. gł. War. Essenciale I Węgr. № 29) z doniesieniem, że Chm. wysłał posłów do niego i skonfederowanych książąt. Król odpisał: „... ut vellit (Chmielnicki) etiam amicorum viciorum a nobis alienare animos. Qua vero

Listy te rozwiały wszelkie podejrzenia i wątpliwości w. wezyna i przyspieszyły odprawę.

Ruszyli tedy 21 kwietnia o świcie, konno, do morza, bo cesarz w rozkoszonym ogrodzie, w pałacu Daud paszy, ongi uduszonego, rezydował; a potem na kaikach dokoła całej floty wojennej, którą im pokazać chciało. Wysiadłszy na ląd do wielkiej sali i przywdziawszy 12 kaftanów ze złotogłowa, szli brzegiem bystrej wody, wśród drzew cienistych i kwiatów, na plac bardzo przestronny, gdzie kilkuset ludzi kołem stało: bostandziów i myśliwców różnych z psami, sokołami, rarogami... a koni 45 tak kosztownie ubranych, jakich kiedy oko widziało.

Cesarz na wysokiej altanie siedział, za nim wezyr i kislaraga i kilkunastu dworzan. Od poręcza na ziemię spuszczone sztukę bardzo wielką, haftowaną bogato, na której kłaniali się cesarzowi. Ten zaś nie przez wezyna, jak zwyczajnie, ale sam przemówił¹⁾.

„Słysz, terdzimanie²⁾, powiedz posłowi, żem uczynił wszystko, o cokolwiek prosił i nadto jeszcze więcej, i dałem emiry do hana, aby króla i królestwa waszego bynajmniej nie najeżdżał, i owszem, jak będziecie potrzebowali, aby wam pomagał, jak bywało za świętobliwych przodków moich.“

Dziękował poseł i prośbę o wydanie niektórych jeńców podał, którą cesarz zaraz czytać począł, potem wezyrowi oddał.

Odprawiono ich, wśród radosnych okrzyków, morzem i lądem do koła miasta³⁾, mimo gospody posłów kozackich, „którzy z jadu ledwie żywi na te honory, jakie nas spotykały.“

Nazajutrz Dorwisz pasza przy odprawie długo z Bieganowskim rozmawiał, zaręczając, że noga tatarska więcej w Polsce nie stanie, a jeśli zajdzie potrzeba, han wojska swoje z królem prze-

Gracci hominis astutia in suae religionis societatem omnes compellat... responsum III. Vrae pro re sapienter accomodatam. Speramus similia facturos omnes principes.“ Z listu hospodara moldawskiego widać — pisze król dalej — że list cara doszedł już do Porty, która będzie miała dowód, jak jej poddanych pod pokrywką religii buntują.“ (Król do Rakoczego, Teki Narusz. ad. an. 1654 b. d. — Szilagyí Aleks. Transsylvania et Bellum Boreo Orientale I, p. 324, podaje datę tego listu: 3 maja 1654.)

¹⁾ „Gazette de France“ (Warszawa, 30 maja 1654 r.) p. 649 pisze, że cesarz dla uczczenia posła sam przemawiał.

²⁾ Dievani Humajum terdzimani = tłumacz Porty.

³⁾ Zwiedzali moszczę sułtany Tarchan Chadidsze, którą walida budować kazala wraz z grobowcem, gdzie leży z synem i całym potomstwem.

ciw Moskwie połączy, co mu już surowo przykazano. „Zresztą wasza to rzecz, aby go do siebie przynęcić, przyczem miejcie osobliwszy wzgląd na wielkiego człowieka a brata mego Sefer Kazy Agę.“ W końcu wręczając Bieganowskiemu worek z zielonego jedwabiu z listami, rzekł: „Będziesz wdzięcznym gościem u króla, kiedy te listy przeczyta, bo w nich wszystko zebrane z dawnych paktów, a nadto więcej jeszcze, niżeliś pragnał¹⁾. Potrzebuje jednak cesarz, żeby tu prędko był drugi poseł, a obaczycie, że nie będziecie szkodowali. Jeno niech przywiezie psy, brytany, ptaki i strzelby młodemu panu, bo się w tem kocha.“ Potem sorbetem częstował i każdemu z osobna, głowę schylając, życzył szczęśliwej drogi.

¹⁾ Many oryginal listu w. wezyra do króla (Rpis. Czartor. № 609, p. 46). Zawiera niewątpliwie to samo, co list sułtana—ale czeka na tłumacza. Many i tłumaczenie listu sułtana i wezyra (Rpis. Czartor. № 612, p. 18 i 19), ale tłumaczenie to, a raczej streszczenie, widocznie niedokładne i wadliwe—z datą: pierwszego miesiąca Dgemalzielagher 1064 (t. j. w czerwcu 1653). Sułtan Mehemmet (!) donosi królowi w odpowiedzi na list oddany przez Mikołaja Jabanuszki, że wpływem swoim uspokoił Ordę nieprzyjazzną Polsce z powodu niepłacenia przez kilka lat kontrybucyi hanowi i Tatarom budziackim. Żąda, aby król składał kontrybucyę co rok w Kamieńcu, a on, sułtan, wyda rozkaz, aby han odstąpił wrogów królewskich i asystował Polsce, gdyby była molestowaną przez nieprzyjaciół.

W Rpisie Ossol. № 1453, p. 262 znajdują się „Punkta listu cesarza tureckiego do króla“ z datą 13 czerwca (t. r. że były w tym dniu królowi oddane). Sułtan życzy królowi, aby Bóg prowadził szczęśliwie sprawy Rptej; donosi, że Bieganowskiego dobrze przyjął i udurował; pisze, że han skarżył się, że mu się ze strony króla dosyć nie dzieje; żąda, aby kozacy na podstawie dawnych paktów czajek nie spuszczały i donosi, że dano rozkaz hanowi, aby słowa dotrzymał, upominki zaś aby weześnie oddawane bywały „a tak, niech się nie trwoży serce wasze, gdyż słowa dotrzymam.“

Najobszerniejszą treść listu sułtana podaje Albrecht Radziwiłł: ...lectae fuerunt litterae translatae in polonicam linguam a Turca missae, et a Bassa/Silistriensi, quas Bieganovius attulit, in quibus continebatur, non aliam fuisse causam coniunctionis Tartarorum cum Kosacis, nisi ob denegata, solita stipendia. Nunc gaudere quod pax coauevit sub Kamenecio et optare, ut Rex satisficiat promisso, ipso vero patentes serias misit ad Chanum, ut non tantum abstineret ab incursione Regni, imo ut stet a partibus Regniis contra Kosacos. Caesar servare se pacta cum Regno promittit si legatus mitteretur a Rege. A Vesiro in eundem sensum litterae. Radziwiłł, Memoriale 18 Julii 1654. — Niemal to samo podaje Kopia listu od cesarza do króla 1654 r., którą znalazł Bucziński („O B. Chmielnickom“ str. 189) w Pol. Kor. Metr.

3 maja wyjechał Bieganowski z powrotem na Multany i Siedmiogród¹⁾, spodziewając się „za tą pracowitą kosztowną legacją dobrego jakiego wakansu.“ Stary żołnierz przymawiał się z prostotą swemu królowi, nie szukał instancyi po sejmikach, ani po dworach możnowładców i nie ustawał w gorliwej służbie, chociaż go wakanse minęły.

Jaskólski u Islamgiraja²⁾.

W czasie pobytu Bieganowskiego w Konstantynopolu, posłował w Krymie Maryusz Stanisław Jaskólski, strażnik wojskowy³⁾, żołnierz doświadczonego męstwa, z obyczajami i polityką tatarską obeznany.

Miał wyjechać z Warszawy w połowie stycznia, gwoli ugrontowania pokoju żwanickiego i rozerwania przyjaźni tatarsko-kozackiej, ale nie było pieniędzy. Kiedy jednak w czasie sejmu na

¹⁾ M. Anczowski sekr. król. do w-dy krak. ze Lwowa 5 czerwca 1654. Rpis. Ossol., № 1048, k. 61.

²⁾ Źródła: Ekspedycya legacji Jaskólskiego do hana, dana 20 lutego 1654 r., obejmuje: kredens króla do hana, list króla do podskarbiego hańskiego, list kanclerza do wezyra, oraz instrukcyę dla posła (Rpis. Ossol., № 227, k. 5). Instrukcya odrukowana w Pam. Kijow. III, III, 59. Do instrukcyi dołączono, jako załącznik, uniwersał Chmielnickiego do wojska zap. z 17 stycznia 1654 r., aby się sposobili do obrony, bo on z królem pokoju nie zawierał i aby bili Lachów, gdy nastąpią, bo car w obronie wiary pomagać im będzie.

Relcya poselstwa Jaskólskiego w liście do kanclerza kor. z Bachezyseraju 2 maja 1654 r. Amb. Grabowski, Oj. Spom., I, 131.

List Jaskólskiego do w-dy kijowskiego, hetmana pol., z cedulą, 4 maja 1654 r. Jerlicz, I, 156.

List Jaskólskiego do St. Lanckorońskiego, w-dy ruskiego, z Bachezyseraju 2 maja 1654 r. Pamięt. Kijow., III, 67—list Jaskólskiego do tegoż samego z 2-go maja, aby syna swego w Krymie na usługach Rpej będącego wyzwolił i aby namawiał hetmana, iżby tenże wysłał do hana z prośbą o posiłki. Archiw. gł. War., Essenciale Tatar., № 42.

List Jaskólskiego do Koniuszego Kor. (2 maja) z cedulą. Rpis. Ossol., № 189, str. 705.

³⁾ Później kasztelan sunocki. Za Jana III kasztelan kijowski, a w końcu w-da czernihowski.

deszła wiadomość o pewnej wojnie z Moskwą, wysłano go natychmiast — bez pieniędzy, z obietnicami... Otrzymał ekspedycję 20 lutego, którą suplementowano w następnych dniach, po odebraniu wiadomości, że Chmielnicki poddał się carowi.

Przybywszy na miejsce, otrzymał zaraz nazajutrz, 8 kwietnia, audiencyę u wielkiego wezyra.

Sefer Kazy Aga, wszechwładny kierownik Ordy, wielki człowiek w świecie muzułmańskim—jak go nazwał wezyr w. turecki—zajęty był przygotowaniami do wielkiej wojny z Moskwą, którą han wspólnie z Rzętą i z Chmielnickim prowadzić zamierzał.

Projekt tej wspólnej wojny powstał w głowie kanclerza Ossolińskiego—jeśli nie w czasie traktatów zborowskich, jak Moskałe podejrzewali, to w następnym roku 1650, w czasie poselstwa Puszki—i został z zapałem w Bachczyseraju przyjęty. Chodziło ni mniej ni więcej, tylko o rozbiór Moskwy... Chmielnicki oświadczył swoją gotowość.

„W lecie, czy w zimie—pisał han do króla—jak będzie wola wasza, my gotowi na konie siadać. To wielka rzecz! Nadzieja w Bogu, siła państw i królestw nabyć możecie. Kozacy, wasi poddani, ochotnie wam służyć i przodować będą, bo się bez naszej woli nigdzie ruszyć nie mogą. My się kontentować będziemy, podbiwszy tych, co jednej z nami wiary, a sprawili Bóg, ile chrześcijańskiego państwa dostaniemy, przy was zostanie; jako tylko będziecie chcieli, niem rządzić będziecie. Nadzieja w Bogu, że się w naszym słowie zdrada nie znajdzie, a jeśli u was jacy senatorowie nie szczerzy, wiedźcie, że to nieprzyjaciele wasi i Pan Bóg ich znacznie pokarze.“

Zlecił przytem han ustnie powiedzieć królowi, że się będzie kontentował carstwem Kazańskim i Astrachańskim—gdyby zaś król poniechał wojny z Moskalami, to on Tatarów nie wstrzyma i będzie zmuszony razem z Kozakami podnieść wojnę na Rzętą¹⁾.

Car w obawie przed tą wojną potwierdził pokój wieczysty, ale raz rzucona myśl nie opuszczała hana. Nęciła go bogata Moskwa; zniszczone ziemie ruskie dostarczały coraz mniej jasyru i zdobyczy: wojna kozacka była mu już nie na rękę, sojusz z Polską coraz więcej pożądanym.

¹⁾ Michałowski Ks. Pam. № 186, 176, 177, 180. Rpis. Ossol., № 221, str. 51 i 61: List hana do króla z 4 kwietnia i list wezyra do kanclerza z 5 kwietnia 1650 r.—Memoriale lipiec 1650 r.—Kubala: Szkice hist. Poselstwo Puszki.

Szedł pod Żwaniec z wyraźnym zamiarem pogodzenia się z królem¹⁾ i odnowienia dawnych układów. Chmielnickiemu kazał złożyć przysięgę, że będzie wiernym przyjacielem jego przyjaciół, a wrogiem jego wrogów²⁾ i mimo próśb hetmana kozackiego, aby się do obozu polskiego nie zbliżał, zawarł pod Żwaniec z królem przyjaźń i braterstwo na podstawie punktów Zborowskich: aby każdy był przyjacielem przyjaciół a wrogiem wrogów drugiego; poczem kazał oświadczyć Chmielnickiemu, że zawarłszy zgodę z królem, z wiosną wyruszy wraz z wojskiem zaporoskim na Moskwę³⁾.

Kiedy Jaskólski przybył do Krymu, przygotowania do tej wojny były w pełnym toku. Soliman Aga, kija (podkomorzy) hański, którego Bieganowski spotkał w drodze, przyniósł emir sułtański, szablę i kaftan na tą wyprawę.

Wysłano posłańców do Tatarów kazańskich i astrachańskich, poddanych carowi, aby byli gotowi do powstania za nastąpieniem Ordy⁴⁾. Murzowie nogajscy, koczujący po obu stronach Dniepru, 5 do 10 mil od Czehryna, zaprzyjaźnieni z Kozakami, przeszli Dniepr i mówili posłom kozackim, że idą na Moskwę⁵⁾. Inni ku Islangródkowi wyprowadzili się ze wszystkim⁶⁾. Oczakowscy, perekopcy i białogrodzcy dostali rozkaz przejścia Dniepru⁷⁾. Posła polskiego oczekiwano z niecierpliwością⁸⁾.

Wielki wezyr, ujrzawszy Jaskólskiego, który mu wręczył listy kanclerza i hetmana, zapytał po zwyczajnych ceremoniach: co się w Polsce dzieje?

Gdy usłyszał, że Chmielnicki poddał całą Ukrainę carowi, i sam wiernego poddaństwa złożył przysięgę — osłupiał.

¹⁾ Tu mnie na Rusi zastaniesz, zimować umyśliłem i trwać będę, póki się z królem nie spróbuję dobrze albo nie pojednam — mówił han posłowi, którego wysłał do Rakoczezo. Konfesata Tochtomys-agi. Rpis. Ossol. № 1463, str. 100. Konfesaty innych Tatarów tożsamo mówią. Tamże.

²⁾ Relacya Streszniewa 31 grudnia (st. kal.) 1653 r. Akty Jużn. i Zap. Rosii, X, 130.

³⁾ Tamże, 115.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Tamże. № 6 i 12.

⁶⁾ Tamże. № 11.

⁷⁾ Tamże. № 14.

⁸⁾ Gospodar do kanclerza z Jass 2 kwietnia 1654: że han oczekuje z wielką ochotą strażnika, który 14 kwietnia (stary kal.) stanie na miejscu. Arch. gł. War., Essenciale tatar. № 36.

— Skąd macie takie wiadomości? — ofuknął.

— Mamy je od szpiegów i języków a nawet od postronnych narodów.

— No tak? . . . jeżeli to uczynił, tedy już z nim koniec będzie — i pobiegł z tą wiadomością do hana.

Cała wyprawa przepadła. Zawrzało, jak w ulu w pałacu; zwołano zaraz przedniejszych murzów na naradę.

Zdrajca! haniebnie ich wywiódł w pole. Niedawno temu przysłał posłów swoich z bezczelnem żądaniem ponowienia przysięgi, i chcąc uprzedzić możliwe donosy, kazał powiedzieć hanowi, że między kozakami rozeszła się wieść, jakoby Moskale Ukrainą zawładnąć mieli . . .

Można było przewidzieć, że Tatarzy nie prędko się zdecydują w obec tak zmienionych stosunków — ale że będą chcieli wyzyskać do ostatniego źdźbła Rzptą, w przekonaniu, że jest zależną od ich pomocy.

Zaraz następnego dnia, kiedy wezwano Jaskólskiego do hana, nie przyprowadzono dlań bachmata. Nie chciał iść, dopóki mu han swego konia nie przyśle.

— Powiedzcie mu — odrzekł wezyr — że nasza wiara nie pozwala, abyśmy konia po niego posyłać mieli.

— I moja także nie pozwala swego dosiadać, bo chudy, a do tego godzien majestat JK.M. takowego od hana poszanowania.

Dano mu konia, na którym wśród zbiegowiska ludu jechał pod górę na zamek i przebywszy most i olbrzymią bramę wjazdową, stanął na kamiennem podwórzu, gdzie po lewej stronie meczet, przy nim z okrągłą kopułą grobowiec hanów, na prawo brama, prowadząca do pałacu. Tu nowe posyłki i targi.

Wezyr żądał, aby poseł, wchodząc do Izby Złocistej, zaraz czapkę zrzucił, szybkim biegiem przypadł do hana i kraj jego szaty ucałował.

Jaskólski kazał mu powiedzieć, że gotów poselstwa zaniechać, a tego nie uczyni.

Przyszło zapytanie, jak zamyśla hana powitać?

— Polskim zwyczajem, w pół izby przyszedłszy, zdejmę czapkę, a han aby mi dał rękę do pocałowania.

Prowadzono go tedy przez bramę na drugie podwórze do pałacu o dwu piętach w ogrodzie, a raczej w ogrodach, pełnych kwiecica, woni i wody, płynącej po marmurowych taflach — w ustro-

ni zacisznej, osłoniętej górami. Wszystkie pokoje i Złocista Izba w półświecie.

Siedział han przy wielu murzach i agach; ohotnie rękę do pocałowania podał, nieco z miejsca swego powstawszy.

Po tej ceremonii wrócił poseł ku drzwiom, włożył na głowę czapkę i pozdrawiając w imieniu króla, zdejmował ją przy tytułach królewskich, a wdziewał na wspomnienie hana; poczem list królewski do rąk wezyra oddał. Ale kiedy na czas czytania propozycyi królewskiej zażądał stołka dla siebie - han nagle rzucił się na wezgielowie, machnął ręką i zaraz wezyr zawołał: Teraz jedź WM. na wezas, a gdy list przeczytamy, później się rozmówimy.

Nazajutrz wezwał go do siebie kończyć przerwana audyencyę. Wymawiał hana, że wezora był podpity... kazał sobie przedłożyć żądania królewskie, robił przy każdym punkcie uwagi.

Na pierwszy punkt z deklaracją przyjaźni ze strony króla nie na razie nie odpowiedział, tylko podziękował. Zato przy drugim punkcie, gdzie były skargi na Chmielnickiego, a pośrednio na hana i ordeę, która po traktatach żwanieckich rozpuściła zagony — wybuchnął: Jakaż z wami przyjaźń trzymać? Wyście pyszni i niesłowni... Na trzeci punkt upominający się o więźniów obiecanych królowi i po paktach żwanieckich wziętych, odpowiedział: Szkoda o tem mówić, co szablą wzięte.

Po tym punkcie przystąpił strażnik do relacyi, jako się Chmielnicki z Ukrainą Moskwie poddał i jak Moskwa Kijów zajęła. Słuchał uważnie i rzekł: Jeśli to prawda, że Moskale wam wzięli jaki zamek, a Chmielnicki poddał się Moskwie, gotowimy ich z wami wojować. Ale kiedy poseł wystąpił z żądaniem pomocy i przeciw Moskwie i przeciw Kozakom, odpowiedział: Jesteśmy sługami Bożymi, co nam Bóg i namiestnicy jego rozkażą, to wszystko uczynimy, o ile nam upominki będą oddane. Jaskólski podziękował za tę deklaracyę, zapewniał, że upominki na czas będą gotowe i prosił wezyra, aby popierał sprawy Rptej, obiecując mu imieniem króla ośm tysięcy talarów. Podskarbiemu obiecał 6000, a Butyr-adze 1000. „Przyjęli chętnie, chwając mądrość królewską, bo oni taką rozrywkę, kiedy im kto co da, bardzo lubią.“

„Podano kawę, jagnię w cukrze, ciasta smażone, wyzinę suchą, pomagramaty, miseczkę krochmału, figi i cukru kilka kawułek, a w ostatku przyjacielsko rozmawiając ze sobą o różnych naszych wojnach, godzin ze dwie strawiliśmy.“

Był to wywiad obustronny o sprawach i ludziach wojennych, w czasie którego strażnik potrafił zdobyć zaufanie i przychyłność

w. wezyra. Był wymowny i śmiały, znał Tatarów i cały przebieg wojny kozackiej. Zabranym wraz z Bieganowskim w niewolę tatarską pod Korsuniem, jako sługa i dowódca chorągwi hetmana Mikołaja Potockiego, wykupił się, aby złożyć królowi raport o klęsce, a zarazem przedłożyć rady hetmana o dalszem prowadzeniu wojny; poczem wrócił do ordy na wywiady. Pod Beresteczkiem dowodził przednią strażą, a w r. 1653 wysłany z obozu do Rakoczego i hospodara Stefana, brał udział w oblężeniu Suczawy ¹⁾.

Nazajutrz po tej audyencji obesał han sołtanów, murzów, agów i bejów, aby na radę zjechali. Radzili przez trzy tygodnie.

Tymczasem przybyli posłowie kałmuccy z sojuszem przeciw Moskwie - i od Czerkiesów, do których posłał han, aby z nim byli na wojnę gotowi. Przyjechał poseł węgierski z wielkimi upominkami od Rakoczego, oświadczając przyjaźń i gotowość ruszenia z wojskiem, gdzie han rozkaże, prosił jednak, aby stał przy królu. Hospodar Stefan przysłał kopię znanego listu carskiego prosząc, aby han pomocy Kozakom nie dawał ²⁾. 19 kwietnia pojawili się posłowie moskiewscy Tymofiej Chołyński i poddiaczy Fomin, obiecując zaraz „każnę“, byle han na króla wyruszył. Zasadzono ich w żydowskim gródku, aby się z nikim nie stykali ³⁾ „niedobrze ich tu traktują, jeść im nie dają, już szyki marinurkowe sprzedają.“ Wreszcie 29 kwietnia pojawił się z wileżą pokorą, poseł kozacki Semen Sawicz, ale „srodze szpotną miał audyencyę. Za każdym słowem: nie tam synu źrebięcia, łzesz chłopie, taki a taki synu...“ ⁴⁾. Przerażony wściekłością murzów poglądał na hana i na wezyra, jak wół na rzeźnika.

¹⁾ Kochowski i Michałowski Ks. Pam. — Za Beresteczko nagrodzony nadaniem kilku wsi, za legacye tatarskie otrzymał Stubno i kilka innych wsi z dochodem 8000 zł. W r. 1656 przyprowadził z Krymu 6000 Tatarów na pomoc Rptej.

²⁾ Relacya kozackiego posła do Krymu 7 maja 1654. Akty Jużn. i Zap. Rossii X. № 12.

³⁾ Tamże № 14.

⁴⁾ Wyhowski opowiadał posłowi carskiemu, że han ze starszyzną pytali Sawicza, dlaczego Chmielnicki odstąpił króla i poddał się carowi, a Sawicz odpowiedział: Dla tego, że car prawosławny, a król słowa nie dotrzymuje... Han mówił: car zabrał Smoleńsk i inne grody, a do kozackich grodów wojewodów posłał, a wyście ich przyjęli bez naszej wiadomości. Sawicz odrzekł, że tylko w Kijowie są wojewodowie carscy... Poselstwo Perfiliewa 1654. Akty Jużn. i Zap. Rossii № 12. Ta relacya Wyhowskiego stoi w sprzeczności z listem Chmielnickiego do hana.

Czytano publicznie list Chmielnickiego, który wywołał oburzenie nawet wśród przyjaciół kozackich.

„Cośmy pisali o ponowieniu przysięgi między Kozakami a Tatarami — pisał hetman do bana—to się stało nie po mej woli, ale po woli całego wojska z tego powodu, że do tej pory nie mamy przywilejów od króla na Zborowską ugodę, przeciwnie, zamiast pokoju, wojna. Do tego niektórzy z wojska WCM. wyrzadzili nam mnogie krzywdy, poczem w wojsku naszym powstała wątpliwość. Teraz jednak, kiedyśmy zostali upewnieni o nieodmiennej życzliwości WCM. i o wiecznej, nierozzerwanej przyjaźni, to my WCM. błogosławiąc, oświadczamy, że na wiek wieków w niczem nie naruszymy naszej przysięgi, a po nas przestrzecząc jej będzie potomstwo nasze, którą przysięgę, Boga wszechmogącego biorąc na świadka, my obecnie ponawiamy, pragnąc jej wiernie dochować, chybaży jaka, broń Boże, znaczna niemilość ku nam okazała się od WCM. za podejściem nieprzyjacielskiem. Bóg widzi, że tego nie pragniemy, a przedewszystkiem prosim uniżenie: jeśli by kto na nas potwarze rzucił, nie dawać wiary. Wrogi nasze kłamliwie nas obmawiają, a sami pod nami kopią jany. My ubezpieczeni zawartym pokojem, czekali przywilejów królewskich na Zborowską ugodę, a zamiast pokoju zjawił się Potocki z polskiem wojskiem, z Węgrami i Wołochami... Dochodzi nas wieść, że jeszcze większe zbierają siły, a Radziwiłł zbliża się do Lubecza i Łojowa. Zatem pokornie prosim WCM. o pomoc na podstawie wiecznej przysięgi. My będziemy obowiązani zasłużyć za to naszą wzajemną usługą przeciw każdemu nieprzyjacielowi. Co zaś do Moskwy, żeśmy z nią weszli w przyjaźń, tośmy uczynili tak za radą WCM., kiedy Polacy ze wszech stron na nas ścigali wrogów. Dlaczego i my to samo z nimi uczynić nie mamy? Lepiejże nam mieć druhów od strony Smoleńska i innych grodów królewskich. Co zaś nasi posłannicy nadmienili przed WCM., jakoby Moskwa nami zawładnąć miała, to taka u nas w te czasy wieść się rozeszła, ale teraz już o tem niema mowy. Gdyby się coś nowego z tej strony stało, nie zaniedbamy uwiadomić o tem WCM. . . .“¹⁾

¹⁾ Kopia listu Chmielnickiego do bana. Polska kor. Metr. Snosz. Pol. z Maloros. sw. I pod r. 1654. Buciuński (str. 186) podaje ten list z datą 15 kwietnia. List ten podany został w całości przez Kostomarowa (w Wiestniku Europy 1878 str. 812) z datą 16 kwietnia 1654. — Teżże treści list napisał Chmielnicki do Sefer Kazyugi. Kopia tego listu w Rpisie Ossol. № 189, str. 709, ale bez daty.

Po odczytaniu listu postanowiono na radzie tatarskiej wojnę z Kozakami, jeżeli Moskwy nieodstąpią.

Odprawiono z Sawiczem posłańca hańskiego Ałkasa Kegito z listem do Chmielnickiego:

Hetmanie — pisał han — my ci dotrzymujemy przysięgi, luboś ty ją złamał z tej pierwszej przyczyny, żeś nie tylko z postronnymi pany, ale i z królem, panem twoim, bez naszego pozwolenia miał zawierać traktatów, a teraz mamy od ciebie samego wiadomość, żeś z naszym „duszmanem“ zawziął przyjaźń, królewskie onemu miasta podałeś... Jeżeli tedy naszym być chcesz, jako z dawna, przyjacielem, żądamy tego, abyś zarazem Moskwie przysięgę złamał, królowi, panu swemu, wierne poddaństwo i posłuszeństwo wieczne oddał, nam swoją przysięgę ponowił, na znak przyjaźni tych bojarów moskiewskich, którzy są na Ukrainie, do nas odesłał, a natychmiast z królem, panem twoim i z nami szedł Moskwę wojować. A gdy tego nie uczynicie, my z jednej strony a z drugiej Polacy na was nastąpimy i za Bożą pomocą uprzątawwszy was, z Polakami na Moskwę pójdziemy . . .¹⁾

W tymże czasie przyszła do skutku ostateczna umowa z Jaskólskim w obecności wielu murzów.

— Przyszli do nas, mówił wezyr, Kozacy z przyjaźnią, powiadając, że się dlatego do Moskwy udali, iż do nich ani posłów ani pisania król nie posłał. Trzeba było z tą wojną z nimi zatrzymać się, a wyście ich zaczepili.

— Jeślimy ich zaczepili, to nie z naszej przyczyny, ale z ich przyczyny, bo się carowi poddali, Ukrainę oddali, w której Moskwa, tak po miastach królewskich, jako szlacheckich, urzędy swoje stanowi i intraty bierze. Kiedy kto co komu odbierze, jako swego nie bronić? Że król ani pisania, ani posłów do Chmielnickiego nie posłał, dziwię się, że się za to ujmujecie. Podobniejsza była, aby się chłop panu swemu pokłonił. Widzi mi się, że han do swoich buntowników listów nie pisał.

— Powiadają kozacy, że do was Antona posła posłali, a wyście go zatrzymali.

— Rok temu, jak się to działo, ale teraz po paktach kamienieckich żadnego nie posłali.

¹⁾ Kopia listu hana do Chmielnickiego bez końca i bez daty. Rpis Ossol. № 189, str. 710.

— Widzimy, że kozacy szalberze, ale przecie wysłamy do nich posła naszego, aby uczynili królowi pokorę, Ukrainę oddali i z nami wspólnie na Moskwę poszli. Jeśli tego nie uczynią, zaraz z wami szablę na nich obrócimy.

— Blisko tam orda budziacka i nahajska, we trzech dniach będziecie mieli 30,000. Tego nam jednak potrzeba, abyście nam wieczne braterstwo przysięgli, gdyż i my wam je przysiędz gotowi, a jeśli nam Bóg da zwycięstwo, żeby nam ordy nasze przywrócone były.

— JKM. deklaruje, że dla tego z wami tą wojnę bierze, abyście się krwi sołtanów i przodków swoich zemścili i ordy swoje odzyskali, a JKM. aby przy ziemi i miastach został.

Co do ord smaczna im była ta odpowiedź, ale co do miast, zaraz odskoczyli...

— Zgrzeszyliśmy przeciw Panu Bogu, iż o takich rzeczach, które są w jego ręku, mówimy. Kiedy nam Bóg da szczęście, wtedy z pokorą o tem mówić będziemy... Ale—jeśli by kozacy nie chcieli odstąpić Moskwy, w którą stronę chcielibyście uderzyć?

— Kiedyś z Warszawy wyjeżdżał, to była wola JKM., abyście nam 12,000 wojska dali, a han JCM. żeby ze wszystką ordą w państwa moskiewskie poszedł.

— Trzeba wprzód kozaków zgnieść, a dopiero Moskwę. Zawsze z drogi, żeby się nie zakłóć, należy uprzętnąć ciernie. Jak tylko odpowiedź przyjdzie od Kozaków, że Moskwy nie odstąpią, dwunastego dnia, za daniem znaku od was, w 100,000 ordy stawimy się pod Korsuniem. Ale czem wojsko żyć będzie?

— Tem, czem przy Chmielnickim żyło. Żołnierz znajdzie sobie chleb.

Punkta tej doniosłej na przyszłość ugody z ordą mieszczą się w liście Islangiraja do króla, przesłanym przez Soliman agę, podkomorzego hańskiego. Ten odprawiony wraz z Jaskólskim do Warszawy, miał odebrać przysięgę od króla i senatorów i złożyć dodatkową od hana deklarację¹⁾. Prócz pisma hańskiego, wiózł pakę listów do ministrów²⁾ i panów polskich, oraz podarunki w ha-

¹⁾ Jaskólski do koniuszego—cedula. Rpis Ossol. № 189 str. 705.

²⁾ Listy hana do króla, do kanclerza i do hetmana b. d. Rpis Czartor. № 612, p. 91—94. List Subhanguzy agi, podskarbiego hana, do kanclerza 12 maja 1654 (posyła na znak braterstwa Rostkowskiego) Teki Narusz.—List Syrymbeja z Syrym murzami do kanclerza 7 maja 1654 z oświadczeniem przyjaźni przeciw każdemu nieprzyjacielowi, posyłając w podarunku bachmata. Teki Narusz.

chmatach i jeńcach na wolność puszczonej¹⁾. „Wielu murzów do różnych panów polskich dla zbratania się listy z upominkami posłało, między innymi i żona wezyra do królowej“²⁾.

„Przybył tu poseł wasz—pisze han do króla—z doniesieniem, że się kozacy Zaporoscy Moskwie poddali i ziemie wasze oddali. Bogiem się świadczym, że się to stało bez naszej wiedzy i pozwolenia, ponieważ pokoju zawartego pod Kamieńcem za łaską Bożą nie myślimy rozrywać. Teraz dla większej pewności posłaliśmy do kozaków, aby Moskwy odstąpili, wam byli we wszystkim posłuszni i z nami na wojnę szli, a według dawniejszej umowy, aby kozak był kozakiem a poddany poddanym. A jeśliby tego uczynić nie chcieli, dopieroż wzięwszy Boga na pomoc, tak my, jako i wy, ze wszystką potęgą na nich obrócimy. Ponieważ teraz wojska naszego żądacie, gotowi są Białogrodzcy Tatarzy, 40,000 ludzi, ci opornych poskromią; także krymcom i nahajskim ordom, które niedaleko kozaków koczują, każemy ruszać w pole. Tylko wiadomość dajcie, a wojsko nasze za 4 lub 5 dni z pomocą Bożą połączy się z wami, a w razie potrzeby, tedy i my w 100,000 ordy staniemy. Donosimy wam także, że w obecności posła waszego, przywieźli posłowie moskiewscy list następującej treści: „W porozumieniu z ościemnymi monarchami postanowiliśmy ruszyć na króla i wyprowadziliśmy wielkie wojska, a ponieważ od dziadów i pradziadów z wami w przyjaźni żyjemy i corok dajemy upominki, spodziewamy się, że z nami pojedziecie, ufając Bogu, że Królestwo Polskie niewątpliwie ujarznimy.“ Taki list zaś nam napełnił i chociaż z Moskwą tyle lat w przyjaźni żyliśmy, odmówiliśmy jej pomocy, i więcej sobie ceniąc przyjaźń waszą, wzajemność naszą przez Solimanagę oświadczamy. To sprawa nie mała jest i Moskwa potężne państwo. Wy z tantej strony, my z tej strony, jako on zaczepi państwo wasze, z pomocą Bożą starajmy się, abyśmy jego państwo posiadli. Ponieważ jednak zdarzyć się może, że Moskwa i kozacy, dowiedziawszy o ścisłej przyjaźni naszej, do nóg wam upadną i szukać zechcą zgody, przeto zapobiegając, abyście nas więcej nie odstąpili i przyjaźnią naszą nie pogardzili, przedewszystkiem wy bracie nasz wraz z se-

1) „IMP. Strażnik daje znać przed sobą, że han królowi na znak braterstwa daruje p. pisarza polnego Bałabana i wszystkich więźniów od Korsuńskiej, których z sobą prowadzi.“ M. Anczowski do Wdy Krak. ze Lwowa 5 marca 1659. Rpis Ossol. № 1848 k. 61.

2) Cedula listu Jaskólskiego do Komiusznego. Rpis Ossol. № 189 str. 705.

natorami królestwa waszego przysięgniecie w obecności posła naszego na Ewangelię, że nas nie opuścicie i na Moskwę z potęgą ruszycie, a tak utwierdziwszy wzajemną przysięgą przyjaźń naszą, opowiedzcie posłowi waszemu, jeśli czego od nas żądacie, odprawiając go jak najspieszniej, ponieważ oczekujemy waszej deklaracyi. Wreszcie Mechetmurze, wysłanego po odebranie pieniędzy, przysyłajcie i często przez posłów waszych w sprawach wojennych z nami się porozumiewajcie ¹⁾).

LUDWIK KUBALA

¹⁾ Oryginał w Rpisie Czartor. № 609 p. 35. Tłumaczenie tego listu (Rpis Czartor. № 612 p. 17) bez wartości z napisem: Sellamet Gherei han do Jana Kazimierza w czerwcu 1653 (!)—Dokładniej w Rpisie Ossol. № 227 k. 7.—Porównaj: Temberskiego Roczniki p. 285.

OGNISKO polskich protestantów na Bukowinie.

Za panowania króla Augusta III w Polsce utworzyli sobie prześladowani wówczas dysydenci polscy, mianowicie protestanci, schronisko na kresach Rzeczypospolitej nad Dniestrem, którego dzieje zawierają ciekawe szczegóły. Dysydenci wzięli się do dzieła bardzo sprytnie, uciekając się poniekąd do podstępny, gdyż utworzyli sobie schronisko pod pozorem fabryki sukna, do której założenia spowodowali Stanisława hr. Poniatowskiego, kasztelana krakowskiego, a ojca późniejszego króla Stanisława Augusta, jego generalny komisarz i zarządca rozległych jego dóbr nad Dniestrem podpułkownik Oettykier i zostający w służbie kasztelana krakowskiego major Königsfeld, obydwaj protestanci.

Najprzód podniósł kasztelan pod wpływem Oettykiera i Königsfelda wieś swoją Zaleszczyki nad Dniestrem położoną nad samą granicą turecką, względnie nad granicą gospodarstwa mołdawskiego, do rzędu miasta, a w r. 1750 rozpoczął także Oettykier budowę fabryki sukna na wielkie rozmiary wraz z domami mieszkalnymi dla robotników, których począł równocześnie wraz z rozmaitymi rękodzielnikami sprowadzać w znacznej liczbie z Saksonii, a głównie z Prus, mianowicie z Elbląga. Przewóz tych niemieckich wychodźców do Polski, którzy byli wyłącznie ewangelickiego wyznania, szedł na koszt hr. Poniatowskiego przez Warszawę. Gdy przychodźcy niemieccy przybyli na miejsce, domy dla nich budowane nie były jeszcze skończone, osadzono ich tymczasowo w pobliskiej wsi Lataczu. Oettykier, opierając się wrzekomo na

żądaniu robotników, udał się do biskupa katolickiego w Kamieńcu Podolskim, do którego dyecezyi należały Zaleszczyki, z prośbą, o pozwolenie zbudowania w nowej osadzie miejskiej kościoła ewangelickiego. Biskup kamieniecki odrzucił prośbę, nie pozwalając budowy kościoła ewangelickiego, a wskutek tego istnienie fabryki zostało zagrożone, gdyż sprowadzeni robotnicy niemieccy, zapewne w porozumieniu z Oetykierem i Königsfeldem, oświadczyli, że bez duszpasterstwa i szkoły nie pozostaną w Zaleszczykach. Wytworzyło się zatem przykre i trudne położenie dla przedsiębiorstwa fabrycznego, a ponieważ zrobiono już bardzo wielkie wkłady, przeto kasztelan krakowski był zniewolony użyć swoich wpływów u wyższej władzy duchownej w celu cofnięcia zakazu biskupiego. Atoli prąd przeciw dysydyntom był w Polsce wówczas tak silny, iż kasztelan nie mógł wyjednać pozwolenia, zatem trzeba było koniecznie znaleźć inne wyjście z fatalnej sytuacji. Pomysłowy Oettykier znalazł je. Oto skłonił on kasztelana ¹⁾ do udania się z prośbą do Porty Otomańskiej, by ta udzieliła pozwolenie do zbudowania kościoła protestanckiego na swoim terytorjum, mianowicie na drugim brzegu Dniestru we wsi Prelipcze, po mołdawsku Kepeoszenie, położonej naprzeciw Zaleszczyk. Jakoż kasztelan uczynił to w r. 1756 za pośrednictwem duńskiego i szwedzkiego poselstwa przy Wysokiej Porcie w Konstantynopolu, skąd niebawem nadeszła odpowiedź, iż należy wprzód zwrócić się z tą sprawą do pierwszej instancji, mianowicie do hospodara mołdawskiego, księcia Mołdawii, podlegającego zwierzchnictwu sułtana tureckiego. Wskutek tego wzniesiono prośbę do ówczesnego księcia panującego w Mołdawii, Jana Teodora Kalimacha (1752 — 1761) o zezwolenie na założenie protestanckiej kolonii na terytorjum tureckiem naprzeciw Zaleszczyk z kościołem protestanckim i szkołą. Książę-hospodar poparł prośbę w Porcie Otomańskiej, a po otrzymaniu upoważnienia ze strony swego zwierzchnictwa, wydał następujące *postanowienie książęce*, nazwane „*testamentem*“ w urzędowym języku mołdawskim i równocześnie w drugim egzemplarzu po niemiecku, który to egzemplarz wręczył założycielom kolonii do przechowania.

„*Testament*“ brzmi w wiernym przekładzie z niemieckiego, jak następuje:

¹⁾ Szczegóły o tem znajdują się w dziele byłego superintendenta we Lwowie: „Hist.-statist. Beytrag zum deutschen Colonialwesen nebst einer kurzen Beschreibung der deutschen Colonien in Galizien.“ Brünn, 1812.

„My, książę Jan, z łaski Bożej księstwa mołdawskiego gospodarz oznajmiamy i podajemy wszem wobec i każdemu z osobna do wiadomości, że na podstawie władzy udzielonej nam przez Boga wydajemy w czasie naszego panowania; z wolą cesarza, jako naszego zwierzchnika, rozkaz wszystkim wysokim dostojnikom, by wzięli dla zaludnienia księstwa wszystkich obcych i niemieckich ewangelickich wychodźców, jako też cudzoziemców w swoją opiekę, z tem, że gospodarze, posiadający żonę i dzieci, jako też służbę, nie mają wpłacać ćwierćrocznie więcej do książęcego skarbu, jak dwa i pół talara z lwem (*Löwenthaler*), od czego ludzie nieżonaci mają być uwolnieni, jednak pod warunkiem, iż kolonia nie śmie ludzi wołoskich przyjmować pod swoją opiekę, a jeśli chłopci z Polski przybyliby tutaj, to muszą oni, co do podatku, ugodzić się osobno ze starostą.

Niemieccy koloniści płacą rocznie za owcę 3 *pary* czyli 11 *grl* i od uła pszczoł 4 *pary* albo 15 *grl*, kto dzierżawi („*arendiert*“) polskie musi także płacić, tylko NB nie śmia się między tem znajdować wołoskie owce i ule pszczelne, gdyż tym sposobem działałoby się krzywdą skarbowi książęcemu, kto atoli dopuści się tego, staje się karygodny. Od wołów i krów, koni i klaczy, zarówno młodych, jak starych nie wolno pobierać ani *kańca* („*Kaniec*“), ani *wakarynu* („*Wakaryn*“); jeśli jednak te zwierzęta sprzedawane będą za granicą, wtedy należy brać od nich taką samą opłatę, jaką uiszczają kupcy.

Jeden z kolonii, który wybrany będzie *kapitanem* (wójtem), wolny jest od opłaty ochronnej („*Schutzgeld*“) i jemu daje się wolność i pełnomocnictwo załatwiać wszystkie sprawy prawne, jako też sądzić, a w tem nie śmie mu żaden senator, wielki lub mały, ani przeszkadzać, ani szkodzić lub też mieszać się między nich. *Criminalia* lub karę śmierci zatrzymuje książę dla siebie. Gdy Wołoch ma spór z kolonistą, ma się naprzód zgłosić do kapitana kolonistów, *salva appellacione* do starosty, jeśli mu wyrok („*Sentenz*“) nie spodoba się, wtedy ma apelować do księcia, ponieważ starosta nie może kolonii zmusić do wykonania wyroku, natomiast wyrok księcia niema być przez nikogo, jak tylko przez kapitana kolonii wykonany. W wypadkach wymuszania opłat, jeśli Wołochy żądaliby tego od kolonistów, wielkich lub małych, trzeba tamtych złapać, postać do Jass, a wtedy książę każe spełnić na nich karę śmierci.

W ich wyznaniu ewangelickiem nikt niema im przeszkadzać lub też mieszać się między nich. Wolno im odprawiać swoją służbę Bożą podług swoich przykazań i zwyczajów, a w tym celu

mogą koloniści podług swej woli budować sobie kościoły i ustanawiać i trzymać sobie swoich duchownych oraz potrzebną służbę kościelną i nauczyciela szkolnego. Jeśliby się kto poważył i wystąpił z rozkazem, że w miastach lub wsiach koloniści mają dostarczać koni pocztowych, to oznajmiamy, że koloniści nie są do tego obowiązani, gdyż zwalniamy ich od tego ciężaru i nie równamy ich z Wołochami, ponieważ nie są oni poddani, a dlatego dajemy im wolność dla zaznaczenia tego i dla odróżnienia.

Ten przywilej i *testament* ma być u kapitana kolonii przechowywany, by go mógł pokazać każdemu, ktoby się w czemkolwiek sprzeciwiał przywilejowi nadanemu kolonii. *Testament* ten ma być święcie przestrzegany, z uwagi, iż ci koloniści przybyli z tak dalekich i obcych krajów, każdy atoli, który przybywa i który przybędzie w przyszłości, ma być wolny przez trzy miesiące od podatku, potem zaś ma uiszczać do skarbu to, co powyżej przypisujemy. A gdy ich wiele tysięcy osiadzie na naszych ziemiach, to wszyscy mają zażywać tej sprawiedliwości, a ze względu, iż zowią się cudzoziemcami, należy im okazywać cześć szczególną; jak powiedzieliśmy, nie śmiają oni przyjmować Wołochów między siebie. Gdyż, jeśliby Wołoch pozostawał w służbie u kolonisty, to musi on uiszczyć podatek do wsi, do której należy.

Przywileju nikt nie śmie łamać, lecz ma tenże trwać wiecznie. Rozkazujemy zatem na podstawie naszej książęcej władzy wszem i każdemu wielkiemu i małemu, panom i sługom kraju naszego, na jakimkolwiekby oni znajdowali się stanowisku, żaden z nich nie śmie się sprzeciwiać naszemu niniejszemu rozkazowi, jak równie nie wolno nikomu z czemkolwiek włazić w drogę kolonistom, natomiast nakazujemy pozostawiać całą kolonię w spokoju i pokoju ze względu na ten *testament*, jako też niewolno nikomu w przyszłości tego listu wolnościowego („*Freyheitsbrief*“) łamać, lecz owszem należy go polepszać i utwierdzać („*confirmieren*“). Koloniści mogą się osiedlać w naszym kraju, gdzie się im spodoba, to jest w całej Wołoszy, jednak należy im wprzód zawrzeć umowę z dziedzicem podług zwyczaju i obyczaju krajowego. Przytem niema być nic nowego ani wymyślane, ani też na nich zwalone, gdyż taka jest nasza wola i taki nasz rozkaz.“

Z osnowy przywileju książęcego widać, że w nim nie chodzi o założenie jednej kolonii ze względu na fabrykę sukna w Zaleszczykach, lecz o kolonizację na większe rozmiary, skoro jest wyraźnie mowa w tem orędziu o wielu tysiącach. Z tego można wysnuć dalszy wniosek, iż ci, którzy ją zapoczątkowali, równie od razu podjęli przedsiębiorstwo z wszelkimi pozorami większej,

niż zwyczajnej w takich razach doniosłości, rzecz politycznego znaczenia, ze względu na istniejące co do dysydentów stosunki w Polsce.

Ciekawą byłoby rzeczą stwierdzić, czy kasztelan krakowski świadomie popierał dążności protestanckie Oettykiera lub czy tylko przez zręczne machinacje tego działacza dał się użyć za narzędzie dla jego celów wyznaniowych. Pod tym względem brak pewnych danych, z uwagi jednak, iż całe to przedsięwzięcie połączone było z ogromnymi kosztami i wielkimi trudami, zdawałoby się mogło, iż protestanci znaleźli w nim potężnego sprzymierzeńca i protektora, świadomie działającego pod osłoną fabryki sukna.

Po wydaniu „*testamentu*“ przez hospodara mołdawskiego zakupił Oettykier w Kiperszestach, obecnej wsi bukowińskiej Prelipcze, grunta od właściciela tejże, bojara Manoli dla budowania domów dla kolonistów, jako też kościoła ewangelickiego i szkoły, udzielając równocześnie „negocyantowi“ Döringowi z Elbląga pełnomocnictwo do sprowadzenia osadników niemieckich, których tenże sprowadził w stosunkowo bardzo krótkim czasie. Transporty kolonistów szły również, jak do Zaleszczyk, przez Warszawę i na koszt przedsięwzięcia.

Okoliczność, że do Kiperszest, od czasu utworzenia tam kolonii, nazwanych Filipce, z czego zrobiła się dzisiejsza nazwa Prelipcze, sprowadzono nowych osadników niemieckich: rolników i rękodzielników, dowodzi najlepiej, że przy tem przedsięwzięciu nie chodziło tylko o zbudowanie kościoła protestanckiego dla robotników zaleszczyckiej fabryki sukna, lecz że założyciele osady daleko ważniejsze mieli cele na oku. Jakoż inne znamienne okoliczności, o których poniżej szczegółowiej mówić będziemy, wskazują, że twórcom osady w Filipcach czyli w Prelipczu, chodziło o utworzenie na krańcach Rzeczypospolitej na obcym terytorjum, gdzie protestanci używali najzupełniejszej swobody, nie tylko schroniska dla prześladowanych, lecz zarazem ogniska bezpiecznego, z którego łatwo mogli oddziaływać na swoje sprawy w Polsce.

Osadnicy, przybywszy na miejsce, otrzymali obszerne domy z zabudowaniami gospodarskimi, pieniądze potrzebne na początek, bydło, narzędzia rolnicze, zaś rękodzielnicy kapitał obrotowy, przybory i naczynia od hr. Poniatowskiego, który też wszystkich uwolnił na wieczne czasy od wszelkich podatków i opłat, jako też od wszelkiego poddaństwa, udzielając zarazem zupełną wolność do zawierania związków małżeńskich i całkowitą wolność religijną i obrządkową.

Kolonia miała zatem wszelkie dane do rozwoju.

Tymczasem, jak pisze Bredetzky, osiedliło się tam „dużo niepowołanych,“ którzy „nieznali się zarówno na rolnictwie, jako też na rzemiosłach“ i „spowodowali w kolonii tylko zamieszanie,“ co jej „szkodziło.“ W r. 1760 przysłała wielka zaraza na bydło, w następnym roku znowu zupełny nieurodzaj, co razem przyniosło wielką szkodę. „Założyciel dał nowe zaliczki.“

Następny gospodarz mołdawski, Iwan Grzegorz, zatwierdził przywilej swego poprzednika, dany osadzie filipeckiej w wyrazach bardzo przychylnych i pochlebnych dla kolonistów. W dokumencie, wystawionym przez siebie, zowie osadników „Niemcami z okręgu wrocławskiego.“ Obowiązuje ich do płacenia dziesięciny od pszczoł i nierogacizny, za 10 sztuk świń 1 guldena, a za każdą owcę 3 „potruki“ (zapewne: półtoraki = 1½ krajcarowi). Podlegają, jak dawniej, tylko sądownictwu swego „kapitana,“ z wyjątkiem sądownictwa karnego, które należy do „dywanu“ książęcego. Iwan Grzegorz nie długo jednak panował. Następca jego, Jan Jerzy Kalimach, zatwierdził również przywileje kolonii. Dokument ten nosi datę 9 czerwca 1867 roku, a w nim jest, jako „kapelan“ kolonii wymieniony Daniel Christiani.

Przywileje gospodarów mołdawskich mają się znajdować w archiwum gminy miasta Zaleszczyk.

Z dziejów kolonii wiadomo jeszcze, że w r. 1759 powołano tamże na kaznodzieję pastora Teege z Królewca, z czego osadnicy w Filipcach i rzemieślnicy w Zaleszczykach byli zadowoleni. Atoli Teege, któremu na ziemi tureckiej znać się nie podobało, opuścił nagle gminę wyznaniową, która, podług układu zawartego, musiała mu płacić wydatki powrotu.

Na jego miejsce sprowadzono nowego kaznodzieję, Jana Jakóba Scheidemantla z Sachsen-Gotha, równocześnie z „rektorem“ Schultzem. Zmiany te spowodowały wielkie wydatki dla gminy, które pokryto zaliczką otrzymaną znowu od Oettykiera.

Wydatki gminy musiały być ogromne — zapewne prócz na swoje jeszcze i na inne cele — skoro gmina wysyła pod kierownictwem majora Königsfelda Scheidemantla i pewnego „von“ Marschalla, jako swoich wysłanników do zbierania składek na rzecz gminy wyznaniowej w Filipcach. Wysłannicy objeżdżają Polskę, Śląsk i Prusy. Składki płyną bardzo hojnie. W krótkim czasie uzbierali w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Toruniu i Elblągu przeszło 15,000 guldenów reńskich.

Nie dość jednak na tem. Scheidemantel i Marschall udają się do Holandyi i Anglii dla zebrania wrzekomo kapitału, z którego odsetek mogłyby potrzeby gminy filipeckiej być pokryte.

Dla zbierania składek w Holandyi i Anglii, w ostatniej, jak zobaczymy pod auspicjami samego króla, znaczenie kolonii na pograniczu polsko-tureckiem samo, jeŝliby ze zbieraniem składek nie był połączony inny ogólny i ważniejszy cel, stanowczo by nie starczyło. Z tego można śmiało wysnuć wniosek, że wysłannicy filipeccy w Polsce, Prusach a szczególnie w Holandyi i Anglii, zbierali na ogólne cele protestantów w Polsce pod firmą Filipiec, jako ogniska ruchu wyznaniowego.

Wynika to z osnowy poniżej przytoczonej, pełnomocnictwa, jakie król angielski udzielił wymienionym wysłannikom do zbierania składek między protestantami w Europie.

Bredetzky, który pełnomocnictwo króla angielskiego przytacza podług uwierzytelnionego przekładu na język niemiecki w dosłownem brzmieniu, donosi, że wysłanników filipeckich wszędzie dobrze przyjmowano, że ich nawet przyjęto w Anglii na dworze a „Scheidemantel musiał w gabinecie królowej angielskiej wygłosić kazanie.“

Osnowa pełnomocnictwa króla angielskiego brzmi:

„Dan na dworze w St. James 20 lipca 1763.

Jego królewska Mość wysłuchawszy najpokorniejszej proŝby protestanckiej kolonii w *Phillippe* na tureckiej Mołdawii przez usta jej wysłanników, Jana Jakóba Scheidemantela, pastora wyznania luteranckiego i Karola Krystyna *von* Marschalla i innych, złożonej w swoim i wymienionej kolonii imieniu, która *składając się pierwotnie z protestanckich Polaków i Węgrów*, którzy schronili się do *Phillippe* nad Dniestrem z pogranicznych krajów, gdzie ich z powodu ich religii prześladowają, obecnie powiększyła się, przyjmując do swego grona niemieckie protestanckie rodziny, zmuszone z powodu ostatniej zgubnej wojny opuścić swe siedziby. Książę Jan Grzegorz, gospodar Mołdawyi i rząd jego za upoważnieniem ze strony zwierzchnego Pana nadali tym kolonistom i ich potomkom przywileje, które zupełnie ubezpieczają ich obywatelską i religijną wolność, a nadto zawierają pozwolenie, iż nadane im ziemie dzierżyć mogą, jako swą własność, i na wieki wznosić według swego upodobania kościóły i szkoły, przytem zaś uwalniają ich całkowicie od duchownego sądownictwa kościoła greckiego, który zaprowadzony jest tam, jako kościół krajowy.

Z uwagi, że prócz stale w kolonii mieszkających protestantów znaczna liczba innych na Podolu, Czerwonej Rusi i na Ukrainie osiadłych protestantów przybywa do ich zboru, mimo podróży wynoszących przeszło 150 mil angielskich; że inni oddają do ko-

lonii swe dzieci, ażeby je przez to uwolnić i ochronić od chytrych napaści papieżkich popleczników i żeby im wpoić nawskróś naszą świętą wiarę; z uwagi, że przez rozwój tej kolonii otwierają się drzwi do rozszerzania czystej religii w tanych okolicach, skąd ona od wielu upłynionych lat była wygnaną i prawdopodobnie teraz także jest wygnaną; z uwagi, że przez tę kolonię wiara nasza zyska silną podstawę i będzie się rozszerzała nawet między Turkami i wyznawcami kościoła greckiego; z uwagi, iż takie są następstwa, których po tem przedsięwzięciu racjonalnie można się spodziewać, skoro kolonia otrzyma w najuroczystszy sposób duchowną dotacyę,—więc mają nadzieję, że dozna ona opieki i poparcia ze strony każdego protestanckiego państwa.

Ponieważ jednak kolonia, znajdujaca się jeszcze w stanie dziecięcym nie może zbyć potrzebnych środków do wznoszenia gmachów kościelnych i do stworzenia pewnej podstawy bytu dla swego pastora i nauczyciela, co podług umiarkowanego obliczenia wynosi najmniej sumę 2500 funtów, to zaiste sprawa jej zasługuje na współczucie, tem bardziej, iż niedostatek kolonii wzrasta dziennie a suplikanci zupełnie nie mają możności zebrać między sobą lub w Niemczech, które przez szereg lat były widownią wojny, sumy potrzebnej dla osiągnięcia celu ostatecznego, powyżej wyłuszczonego — dlatego suplikanci ufni z doświadczenia w łaskę i szlachetność Jego Królewskiej Mości przy takich sprawach dotyczących pokrzywdzonych obcych protestantów, wśród takich samych współczucia godnych okoliczności, przedłożyli najpokorniej stan swojej sprawy przed majestat Jego królewskiej Mości, by w swoim książęcem współczuciu i względności dla pokrzywdzonych protestantów raczyła w ogóle zechcieć rozporządzić, by sporządzono pismo uwierzytelniające posłów kolonii na podstawie listu królewskiego, zaopatrzone w pieczęć Wielkiej Brytanii do zbierania datków dobroczynnych w zamiarze powyżej określonym; zatem Jego królewska Mość, uwzględniając i mając na uwadze nieszczęśliwe położenie proszących, raczy najhaskawiej, przejęta z tego powodu miłosierdziem, rozkazać, tak jak przy tem rozkazano („so wie es hiebey befohlen ist“), by wysoce poważany pan Wielki kanclerz Wielkiej Brytanii, wystosował i rozesał otwarte listy z wielką pieczęcią, podług przyjętego zwyczaju, upoważniające do zbierania darów dobroczynnych u osób dobrze myślących dla wsparcia proszących w myśl prośby wymienionej pisemnej suplikacyi.

L. S.

Scharpes

Że to niemieckie tłumaczenie królewskiego *Conclusi* na tajnej radzie, dotyczącego sprawy kolekty dla *Phillipinów*, zgadza się zupełnie z angielskim oryginałem, poświadcza to:

Heinrich Bulgenton
niemiecki nadworny kaznodzieja
w *St. James, w Londynie*

To samo poświadcza:

Joh. Reich. Pittius
kaznodzieja przy kościele
w *Savoy.*“

Bredetzky nie podaje, gdzie się znajdowało orędzie króla angielskiego, z którego zrobił odpis. Jako ewangelicki superintendent lwowski mógł on je znaleźć albo w archiwum gminnym zaleszczyckiem lub też w archiwach kościelnych protestanckich. Bądź co bądź przypuszczenie, że dokument przytoczony przez siebie poprostu zmyślił, jest stanowczo wyłączone ze względu na jego wierzytelność autorską we wszystkich innych rzeczach, o których pisał, jako też w ogóle ze względu na poważne stanowisko naukowe, jakie zajmuje w piśmiennictwie austriackiem swojego czasu,—z czego wynika niewątpliwie, że podany przekład niemiecki dokumentu istniał, albo też i obecnie w jakim przechowku istnieje, a to wystarcza zupełnie, cokolwiekby kto mógł myśleć o oryginale angielskim, jako dowód, że kolonia w Filipcach, a także fabryka sukna w Zaleszczykach, tworzyły nie tylko schronisko dla prześladowanych protestantów, lecz były zarazem ogniskiem ich ruchu wyznaniowego i propagandy protestanckiej; pewną bowiem rzeczą jest, iż wysłannicy filipeccy na podstawie tego dokumentu zbierali składowki w Anglii, Holandyi i w Niemczech, i że w tym dokumencie dla wydatności składek uchylili zasłonę, pokrywającą dla zrozumienia tego oportunistu właściwe znaczenie niewinnie na pozór wyglądającej kolonii w Filipcach i połączonej z nią fabryki sukna w Zaleszczykach. Doniosłość tego przedsięwzięcia ukazuje się w tym dokumencie w całej pełni, jak w zwierciadle, a najważniejszą przy tem jest okoliczność, że dokument ten, czemkolwiekby on był, nawet gdyby był apokryfem, stanowi w każdym razie zeznanie czynników najbardziej powołanych, czem właściwie kolonia w mowie będąca była, jest określeniem jej istoty i dążności przez jej własnych kierowników.

Za prawdziwością oryginału angielskiego przemawia ogromnie pogmatwana stylizacya przekładu niemieckiego, z czego wy-

nika, że tłumacz nie był zbyt biegły w języku niemieckim, następnie też nie można lekceważyć podpisów uwierzytelniających wierność przekładu.

Z dokumentu angielskiego dowiadujemy się, że kolonia składała się najprzód z protestantów polskich i węgierskich, którzy znaleźli w niej, wobec prześladowań, bezpieczne schronisko, że następnie osada powiększyła się protestanckimi rodzinami z Niemiec, które „z powodu zgubnej wojny“ musiały opuszczać rodzinne siedziby i że do kolonii przybywali do zboru „inni na Podolu, Czerwonej Rusi i na Ukrainie osiadli protestanci“ i że „znowu inni oddawali swe dzieci“ do wyznaniowej szkoły filipieckiej chroniąc się „od chytrej napaści popleczników papieżkich.“ Kolonia, jak z treści dalszej dokumentu wynika, była powołaną do szerzenia „czystej religii“ w tamtych okolicach, zatem zajmowała się prozelicką propagandą religijną, do czego przynajmniej król angielski przywiązywał nie małą wagę, skoro sądził, że „wiara nasza zyska realną podstawę i będzie się szerzyła nawet między Turkami i wyznawcami greckiego kościoła,“ zasługując na opiekę i poparcie każdego protestanckiego państwa.

Znaczenie osady nad Dniestrem dla ruchu protestanckiego w Polsce określają powyższe odgłosy własnego zeznania jasno i dobitnie.

Z dalszego toku przedstawienia rzeczy przez wymienionego autora niemieckiego dowiadujemy się, że składki powiodły się bardzo dobrze, jednak dziwnym sposobem ostateczny ich wynik, z powodu wielkich kosztów podróży wysłanników gminy filipieckiej, okazał się nikły. Ci nie przeczekali nawet końca składek w Anglii, oddając ich dalsze zbieranie komisarzowi Amatingowi Wilhelmowi de Dausina.

Niepokoje i rozruchy w Polsce, towarzyszące wyborowi króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, wpłynęły równie, obok kłopotów pieniężnych, na upadek kolonii w Filipcach. Partyzanci konfederacji, zawiązanych przez Radziwiłła, Lubomirskiego, Rzewuskiego i Potockich, stojących po stronie kandydatury saskiej, mianowicie syna Augusta III przeciwko Poniatowskiemu, sprowadziły na dobra Poniatowskich nad Dniestrem napady, szczególnie z pobliskich posiadłości Potockich, przyczem nie mało ucierpiały Zaleszczyki, jak również Filipo, dokąd konfederaci sięgnęli do gniazda innowierczego.

Później, gdy na tronie zasiadł Stanisław August i po zawiązaniu się konfederacji radomskiej, nadzwyczajny Sejm zwołany do

Warszawy r. 1767 wrócił dysydemtom wszelkie ich dawne prawa; kolonia w Filipcach straciła rację bytu.

Jakoż nowy król wyposażył Zaleszczyki wielkimi przywilejami i wolnością religijną. W r. 1766 otrzymał Oettykier rozkaz, żeby starał się wszelkim sposobom ściągnąć rzemieślników z Filipiec do Zaleszczyk, gdzie utworzono ewangelicką gminę wyznaniową. Pastor zaleszczycki otrzymał dyplomem królewskim tytuł królewskiego audytora i w uniformie objeżdżał kraj aż po Lwów. Uniform służył mu za rodzaj *passpartout* królewskiego.

Pastor Scheidemantel opuścił Filipce tymczasem przenosząc się do Warszawy, dokąd go tamtejsze poselstwo duńskie powołało na swego kuznodzieję. Na jego miejsce przybył pastor Daniel Gotfryd Lachmann, lecz ten osiadł już nie w Filipcach, lecz w Zaleszczykach.

W r. 1766 pozostawało w Filipcach już tylko cztery niemieckie rodziny protestanckie, które w niedługim czasie, równie, jak wiele innych, przeniosły się do Zaleszczyk, tak że tamtejsza kolonia ulotniła się, isticie jak kamfora, a ślad jej widomy w dzisiejszej wsi bukowińskiej Prelipczu stanowi kościół protestancki — stojący bez użytku.

W samych Zaleszczykach istnieje pastorał ewangelicki, do którego należy cała okolica w dalekim okręgu. Istnieją też między mieszczanami nieliczne szczątki dawnych kolonistów niemieckich wyznania ewangelickiego. Opowiadał o nich podpisanemu poseł Chamiec, który przed laty był w Zaleszczykach starostą. Noszą oni nazwiska niemieckie i uważają się za Niemców. Gdy p. Chamiec objął był tam urządowanie, owi mieszcianie przedstawiając mu się, rozmawiali z nim po niemiecku. Fabryki sukna nie ma nawet śladów w Zaleszczykach. Prawdopodobnie zniszczyli ją partyzanci sascy lub konfederaci barsecy, którzy tamte strony napadali kilkakrotnie.

Nie mając sposobności przejrzenia archiwum gminnego, jako też archiwum kościoła protestanckiego w Zaleszczykach, zniewolony jestem poprzestać na powyższym niedokładnym opisie dziejów ogniska polskich protestantów na kresach Rzeczypospolitej polskiej naddniestrowskiej, wskazując jeno przyszłemu dziejopisowi dysydemtów drogę, gdzie należy czynić poszukiwania dla zupełnego wyświecenia przyczynku niniejszego.

PIŚMIENNICTWO.

KAZIMIERZ RUDNICKI. *Biskup Kajetan Sołtyk, 1715—1788*. Monografie z zakresu dziejów nowożytnych, wydawca Szymon Askenazy. Warszawa, 1906.

W przedmowie wydawca (prof. Askenazy) zaznacza, że postać biskupa Sołtyka posiada pod względem dziejowym znaczenie przede wszystkim symboliczne. Symbolizuje ona akt, niemający wtedy jeszcze precedensu, a sam będący precedensem całego szeregu czynów, które miały złamać państwo i ujarzmić kościół polski. Ta jedna okoliczność zdawała się wystarczać do uzasadnienia niniejszej, pierwszej umiejętniej biografii Sołtyka. Nie ulega wątpliwości, że sama indywidualność ludzka i polityczna biskupa nie dorastała pod wieloma względami wysokości wcielonego w nim dziejowego symbolu. Nie zbywało mu na zdolnościach, ale przyrodzone dary połowicznie tylko rozwinąć się mogły, gdyż brakło im należytej podstawy w jego jednostronnej kulturze duchowej, brakło statecznej równowagi charakteru. Ani jako człowiek, ani jako statysta nie potrafił on wyzwolić się od wielu znieprawiających defektów życia publicznego czasów swoich. To też musi być oceniany nie pod kątem widzenia absolutnego, lecz porównawczego kryterium historycznego, mierzony łokciem swojej epoki. Klątwa zapamiętałości religijnej była powodem, że Sołtyk, wbrew własnym, lepszym skłonnościom serca i głowy, nie raz względem współobywateli różnowierców nie ludzka, fanatyczna i ciemną okazywał twardość i w walce o prawa kościoła narodowego wybiegał po za granice istotnych interesów narodowych.

Jakiegokolwiek bądź były ujemne rysy w Sołtyku, zawsze to go wyróżnia i wywyższa, że w dobie uległości i hańby, on jeden z najpierwszych chciał cierpieć za swój kraj i wiarę. Wyodrę-

bnia się on jaskrawo od fatalnego pocztu zwyrodniałych dostojników duchownych, wypełniających smutne dzieje polskie XVIII stulecia, występujących się inowierczym sąsiadom, takich, jak Lipski, Młodziejowski, Podoski, Ostrowski, Poniatowski, Siestrzencewicz i inni. Trzeba było wtedy zdrowego, mocnego przykładu w wyższym interesie kraju i kościoła, trzeba było ofiary czystej, wydajnej, uderzającej wyobraźnię i sumienie narodu. Uczynił ją z siebie biskup krakowski, a tem samem przełamał zgubną inercyę wybujałego dokoła znikczemnienia. W tem niespożyta wartość dziejowa Sołtyka, w tym charakterze pozostał on miłym narodowej pamięci i trwałe miejsce w niej sobie zaskarbił. Autor monografii niniejszej, powiada w końcu prof. Askenazy, starał się odtworzyć życiorys Sołtyka z możliwą dokładnością i obiektywizmem. Nie przemilczał, nie ukrył niczego, co w dokumentach znalazł i sprawdził. W swoich poszukiwaniach archiwalnych, wędrując wszędy śladami biskupa, skrzętnie zbadał archiwa kapitułne w Gnieźnie, Żytomierzu, Krakowie. Spożytkował również zbiory rękopiśmienne archiwów Czartoryskich i Potockich oraz bibliotek: Jagiellońskiej, Ossolińskich, Baworowskich i Pawlikowskich we Lwowie, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie. Korzystał nadto z niektórych dokumentów archiwum państwowego w Dreźnie i Watykańskiego w Rzymie. Nie wszystkie kwestye sporne, z losami Sołtyka związane, udało się wyświecić z pożądaną jasnością, na podstawie tak obfitego materiału. Niektóre, małoważne zagadnienia wypadnie dalszym pozostawić poszukiwaniom, ale w każdym razie za dogodny punkt wyjścia służyć będzie solidna praca niniejsza.

Autor rozpoczął swą pracę od wywodu wygasłego dziś rodu Sołtyków, który nastęrcza liczne wątpliwości. Istnieje wersya o rdzennie polskiem pochodzeniu rodu tego, lecz brak jej cech prawdopodobieństwa. Z herbu Sołtyków można wnosić, iż przybyli oni do Polski z krajów obcych, zapewne z W. Księstwa Moskiewskiego. Prawie pewnem jest, że zawierucha czasów samozwańczych rzuciła do Polski jakiegoś Sołtykova, jednego z rosyjskich zwolenników dynastyi Wazów i że od niego wywodzi się ród Sołtyków. W dokumentach urzędowych po raz pierwszy występuje nazwisko Sołtyk w r. 1634. Władysław IV w obozie pod Smoleńskiem „na okolicy Bogdanowej“ nadaje kilka wsi Pawłowi Sołtykowi za dotrzymanie wiary królowi i Rzpltej. Kajetan, przyszedłszy biskup krakowski, urodził się w r. 1715, pierwszą młodość spędził na dworze prymasa Potockiego, którego matka była Soł-

tykówna z domu. W latach 1735—1737 spotykamy Sołtyka w Rzymie, gdzie przebywając na studiach teologicznych, zwracał uwagę zdolnościami i bystrością umysłu. W r. 1736 prymas nadał mu kanonię gnieźnieńską, a w r. 1740 wydelegowany został przez kapitułę gnieźnieńską na trybunał koronny, gdzie objął godność wiceprezydenta. Rok 1742 przyniósł Sołtykowi nowe prace i nowe zaszczyty. Objął on mianowicie żmudną rewizję stanu dóbr kapitulnych Łęgonice a wkrótce otrzymał kanonię krakowską. W r. 1743 stryj Kajetana, Maciej, przybrał go sobie na koadyutora z prawem sukcesyi probostwa gnieźnieńskiego. Następne lata bawił Sołtyk przy boku kardynała Lipskiego, towarzysząc mu w r. 1744 do Grodna na sejm. W r. 1746, po śmierci Lipskiego, zjawił się Sołtyk, jako egzekutor ostatniej woli zmarłego biskupa z testamentem jego w Krakowie i na posiedzeniu kapituły przedstawiał go jej do rozpatrzenia i aprobacji.

W r. 1748 kapituła gnieźnieńska zwróciła się do Sołtyka z prośbą, aby postarał się w Warszawie o załatwienie sprawy, jaką miała z dyssydentami, z powodu odnowienia przez nich zboru w Chojnicach. Sołtyk okazał tu wiele oględności, tłumacząc kapitule, że przy całej swej gorliwości religijnej i chęci zadośćuczynienia jej prośbom, musi brać pod uwagę traktaty oliwski i welawski, pozwalające wyraźnie dyssydentom na naprawę istniejących zborów. W tymże roku Ożga przybrał sobie Sołtyka za koadyutora z prawem następstwa na biskupstwo kijowskie. Sołtyk jednak nie miał zamiaru pozostawać długo na stanowisku koadyutora ubogiej i nieuporządkowanej dyecezyi, to też w r. 1754 po śmierci Czapskiego, począł się starać o biskupstwo kujawskie, ale Brühl pozbył go czezemi komplementami. W r. 1756 zmarł Ożga i Sołtyk w tymże roku został biskupem kijowskim i czernihowskim. Obdarzony jednocześnie prawem probostwem miechowskim i orderem orła białego, zrzekł się kanonii krakowskiej i gnieźnieńskiej.

W r. 1758 udał się Sołtyk do Warszawy na sejm. Rozstrzygnąć się miała na tym sejmie sprawa obsadzenia księstwa Kurlandzkiego, osieroczonego od chwili zesłania Birona. Na radzie senatu zabierał głos i Sołtyk. Porównał on Augusta III z Augustem rzymskim i wyraził przekonanie, iż jedynie przymioty osobiste króla „Polskę od ćwierć wieku pielęgnują szczęśliwością.“ W sprawie kurlandzkiej dowodził Sołtyk, jak wszyscy stronnicy dworu, że Biron właściwie za księcia uważany być nie może, gdyż ani się stawił osobiście, według wymagań prawa po inwestyturę, ani przysięgi stanom kurlandzkim nie złożył. Jedynie

też królewicza Karola uważał za zdolnego do rządów królestw, nie tylko księstw. Wogóle na tym sejmie przemawiał Sołtyk, jako zdecydowany stronnik partyi królewskiej. To też gdy zmarł Andrzej Załuski, biskup krakowski, już w trzy dni po jego śmierci zjawił się przed kapitułą Gorzeński, kanonik, z listem królewskim, rekomendującym na osierocone biskupstwo Sołtyka, którego też niezwłocznie na biskupstwo wybrano.

Prawie cały rok 1759 przebywał Sołtyk zdala od Krakowa, wglądając mimo to pilnie w sprawy duchowne dyecezyi. W tymże czasie zaszło kilka faktów rzucających światło na ówczesny stosunek Sołtyka do dyssydentów. Według utartego obyczaju, akatolicy obowiązani byli do towarzyszenia procesyi w dzień Bożego Ciała. Starali się oni od tego uchylić i rzeczywiście magistrat dał im pożądanę zwolnienie. Sołtyk wysłał do rajców krakowskich pismo, ganiące surowo ich małą gorliwość w wierze. Jeszcze surowiej postąpił sobie Sołtyk z luteranami, proszącymi o pozwolenie posyłania po swego predykanta do Cieszyna lub Pszczyny dla dysponowania na śmierć chorych oraz o niezmuszanie przy małżeństwach mieszanych strony akatolickie do przyjęcia katolicyzmu. Również odmówił Sołtyk akatolikom zezwolenia na pogrzeby z dzwonieniem i śpiewami, oraz na sprowadzanie nauczycieli do dzieci. I dla Żydów biskup nie był względny, a nawet bywał wielitościwym, ale gdy który z nich przyjął chrzest, wtedy Sołtyk usilnie starał się zabezpieczyć byt nawróconego. W pół roku jednak po surowem zgromieniu magistratu krakowskiego, pisze Sołtyk do Mniszcha, że uwalnia akatolików od asystowania na procesyi Bożego Ciała. Publicznie im tylko nie potwierdził tego, ale obiecał na absentowanie się patrzeć przez szparę. Jednem słowem, nie był Sołtyk jakimś wyjątkowo zaciekłym fanatykiem, ani na punkcie religii, ani zachowania przywilejów kleru. Pozory zachowywał, bo tego wymagało stanowisko, ale pod pozorami kryło się przywiązanie głębokie do dynastyi saskiej, a często, jak w sprawie kurlandzkiej, zdrowa myśl i zrozumienie spraw Rzpltej.

W r. 1759, gdy jezuitci otworzyli Akademię we Lwowie i z tego powodu przyszło do scysyi z Akademią krakowską, Sołtyk, jako kanclerz tej ostatniej, stał po jej stronie, odwołując Augusta od wydania jezuitom przywileju, a następnie namawiając go do odwołania nadania. W r. 1761 w radzie senatu wytoczone zostało pytanie: jakim sposobem zapobiedz rozchodzeniu się złej monety po kraju? Sołtyk był zdania, że należy zwołać sejm nadzwyczajny, zaś jako środek tymczasowy, obostrzyć nadzór. Soł-

tyk objawiał gotowość do ofiar pieniężnych na rzecz króla i dowiódł, że nie był paniczem lubiącym rozkosz i pieniądze jedynie. Redukcyą monety przyprawiła go o stratę do 200,000 zł. dochodzącą, a jednak w liście do duchowieństwa, obwieszczając o niej, zawiadamiał, że krok ten chwalić i naśladować umyśliliśmy. W początkach r. 1762 uwagę Sołtyka pochłonęły szersze sprawy polityczne z powodu śmierci cesarzowej Elżbiety, protektorki ks. Karola i wogóle domu saskiego. Obok donioślejszych spraw występowały i drobniejsze, jak np. zatarg Sołtyka z posłem neapolitańskim Calabritto o tytuł Altesse, którego ten nie chciał dać biskupowi, pomimo przyznania mu tego tytułu przez posłów austriackiego, rosyjskiego i innych.

Kiedy cesarzowa Katarzyna objęła osobiście władzę i zażądała usunięcia królewicza Karola z Kurlandyi, Sołtyk na radzie senatu oświadczył, iż należy utrzymać księcia Karola na tronie na tych samych zasadach, które posłużyły do nadania mu księstwa, Birona zaś, jako burzyciela spokoju publicznego, pozwać przed sąd relacyjny. Jak wiadomo, rady powyższe nie na wiele się zdały. Gdy w r. 1763 zmarł August III, Sołtyk głosił, że monarcha ten był królującym przykładem, świata ozdobą, zaszczytem narodu ludzkiego, tronów i majestatów chwałą i t. d. i t. d. Rola, jaką Sołtyk odegrywał aż do sejmu konwokacyjnego, redukuje się do minimum. Był on zupełnie odosobniony. Przed sejmikami Sołtyk wydał w Kielcach „Proces o szczęśliwy sukces sejmu konwokacyi i elekcyi,“ konstatując w swej odezwie, iż Rzeczpospolita chyli się ku upadkowi. Wstawiliśmy się, powiada biskup, z nierządu, staliśmy się śmiechem i igrzyskiem sąsiadów. Oziębła ojczyzny miłość, prywatnych zysków ściganie—wzięło górę, rozwiążność zwyczajów wprowadzona, wolność, ten nijszaczowniejszy klejnot, przez złe użycie ohydza nas, stając się instrumentem bezprawia, gwałtów, słabszych od mocniejszych uciemnienia, przeszkodą wszystkim najzbawiennejszym ojczyzny ratowaniu środkom. Bóg mógł nas stworzyć bez nas, zbawić zaś nas nie może bez nas, przeto obudźmy się sami, darujmy sobie zobopólnie wszystkie urazy, weźmy się wspólnie za ręce. Podnosił wreszcie Sołtyk, że zło wszelkie z nas pochodzi, a wszelkiemu dobremu ułożeniu przeszkoda z niedochodzenia sejmów; przypominał, iż temu wszelkiemi sposobami zabiegać należy. Jak jednak zabiegać—nie podał żadnego konkretnego sposobu. W procesie tym ujawnia się dobra wiara i wola Sołtyka. Widział niebezpieczeństwo grożące krajowi i starał się je oddalić. Nie zgadzał się jednakże na reformy gruntowne, jakie chcieli przeprowadzić Czar-

toryscy i można mu zarzucić, że widząc nadużywania wolności, nie wystąpił nigdy z propozycją radykalnego wyłączenia anarchii.

Na sejmie konwokacyjnym rozwinął Sołtyk w Warszawie gorączkową działalność, aby zdekompletować sejm. O ile dotychczas biskup trzymał się w rezerwie, o tyle od chwili rozpoczęcia sejmku z właściwą sobie impetycznością wysunął się na czoło, wstępując na drogę, która go miała zaprowadzić aż do Kaługi. Tu jest przełom sprawiony widokiem obcej siły zbrojnej, użytej przez Czartoryskich. Nowe to stanowisko nie przeszkadzało Sołtykowi podtrzymywać stosunków z posłami obcych państw. Ale te uprzejme na zewnątrz stosunki nie łudziły Czartoryskich, widzących w Sołtyku silnego przeciwnika. Wkrótce też biskup nieskończenie był sekowany przez Kayserlinga, Carolatha oraz wojewodę ruskiego i kanclerza litewskiego. Czyniąc zadość obowiązkom senatora, Sołtyk postanowił udać się na sejm elekcyjny. Wiadome już były biskupowi zalecenia dworów wiedeńskiego i berlińskiego. Biskup namowom nie uległ, z represaliami walczył jak mógł, ale w końcu uczynił reces od manifestu, co król bardzo wdzięcznie przyjął.

Początkowo stosunek biskupa do nowego króla opierał się na samych grzecznościach. Stanisław August grywał z nim w pikietę, zapraszał go na assamble, lecz od spraw politycznych trzymał zdala. Pierwszą czynnością natury publicznej, do której król obligował Sołtyka, było położenie swego nazwiska pod listem do wezyna, w którym było wyrażone, iż jak Porta życzyła, abyśmy Piasta obrali, tak się stało i że ci, co na elekcji nie znajdowali się, przystąpili i że jesteśmy kontenci. Po sejmie koronacyjnym powrócił Sołtyk do swej dyecezyi i zrezygnował na razie ze wszelkiej działalności politycznej. Odsunął się od dworu, chociaż nie opierał się jego ewentualnym poleceniom. Stanisław August oszczędzał też miłość własną biskupa. W r. 1765 pragnąc podnieść z upadku akademię krakowską, porучzył król uprzednią wizytację Sołtykowi. Przed sejmem z r. 1766, Repnin zapowiedział Sołtykowi, że jeżeli się będzie sprzeciwiał cesarzowej w kwestyi dyssydenckiej, to dozna wkrótce bardzo przykrych następstw. Sołtyk nie przestraszył się groźby, lecz zaszachował zęcnie Repnina przez Orłowa, ale w końcu cała ta sprawa nie skończyła się pomyślnie dla niego. Na sejmie r. 1766 Sołtyk nie dał się pozyskać stronnictwu królewskiemu i występował w tonie bardzo dla króla nieprzychylnym. Opozycja na tym sejmie wraz z Sołtykiem w połączeniu z Rosją, udaremniła wprawdzie cały program reform i utrzymała w całej sile liberum veto, ale nie wynagrodzi-

ła swego sojusznika równouprawieniem dyssydentów. Sołtyk mniemał, że Repnin odwołanym zostanie, tymczasem cesarzowa, aprobując jego działalność, postanowiła odwołać się do ostatecznych środków. Król był w porozumieniu z Repninem i tenże w Radomiu przedsiębrał środki do zorganizowania konfederacyi dyssydentów. Sołtyk nie przestawał śmiało występować przeciwko Repninowi, który go uważał za poważnego przeciwnika. Repnin miał nawet osobistą rozmowę z biskupem, która, gdy przeszła na kwestyę dyssydencką, wywołała ze strony Sołtyka zapewnienie, że dyssydenci zyskali urzędy i godności siłą i prawa żadnego za sobą nie mają. Repnin mu jednak przerwał, zapewniając, że prawa polskie zna, jak „Pater noster“ i nie potrzebuje, by mu je wykładano i objaśniano. Wówczas biskup podniósł gwałty wojsk rosyjskich, sprzeczne z deklaracją cesarską, zaznaczając w końcu, że jeśli nie chcemy znosić samowładnych zachceń naszego króla, to tembardziej nie możemy poddawać się despotyzmowi obcej władczyni. Na te słowa porwał się gniewnie Repnin i radził biskupowi, by zebrawszy odpowiednią armię, pośpieszył wypowiedzieć wojnę cesarskiej. Sołtyk odrzekł, że nigdy mu do głowy nie przychodziły równie dziwne i nierozsądne myśli, że przeciwnie, pragnął zawsze protekcyi i opieki cesarskiej, zarówno dla siebie, jak i dla całego narodu. Wreszcie prosił posła o możliwość częstszego widywania się z nim, tak że powstająca burza szczęśliwie zażegnana została.

Sołtyk jednak w sprawie dyssydenckiej nie ustąpił ani na krok. Za zgodą uprzednią Panina, zajął Kreczetnikow wszystkie wsi biskupie, a gdy wystąpienia Sołtyka w senacie nie uległy zmianie, zaaresztowano go i wywieziono bezwzględnie na Pragę razem z Załuskim i dwoma Rzewuskimi. W Wilnie przebywali więźniowie dłuższy czas i tam to udało się Sołtykowi za pośrednictwem dworzanina Kownackiego oblatować w aktach ziemskich grodzieńskich manifest, przygotowany, jak się zdaje, przed aresztowaniem. Wkrótce przewieziono więźniów do Smoleńska, a dopiero w końcu 1768 r. postanowione zostało przewiezienie więźniów do Kaługi. Charakterystycznym jest, że w początkach pobytu w Kałudze wszczęły się między biskupami kłótnie. Przyczyną ich była różnica poglądów politycznych. Sołtyk utrzymywał, że tylko pod panowaniem króla z domu saskiego Polska może osiągnąć szczęście, czemu Załuski znowu zaprzeczał. W październiku 1772 r. król zwrócił się do cesarskiej z prośbą o uwolnienie wywiezionych. 6 stycznia 1773 r. cesarzowa wysłała do

Kaługi własnoręcznie podpisany rozkaz odstawienia więźniów do najbliższej polskiej granicy.

W lutym r. 1773 powrócił Sołtyk do Warszawy witany owa-
cyjnie przez tłumy ludu, które wraz z nuncyuszem wyległy na
Pragę. Klemens XIV dowiedziawszy się o zmianie w losie bi-
skupa, wysłał doń breve z wyrażeniem swej radości z powodu
szczęśliwego powrotu. Stackelberg starał się Sołtyka zatrzymać
w Warszawie i podtrzymując w nim nadzieję wynagrodzenia
strat majątkowych, chciał zeń uczynić stronnika Rosyi. Po po-
wrocie do Krakowa, zaczął Sołtyk prowadzić życie huczne, wy-
dawać bale, obiady, urządzać koncerty. Trwało to jednak nie
długo. Już w początkach 1774 r. popadł w rodzaj melancholii,
zauknął się w swoim pałacu, nie opuszczając go zupełnie i nie
przyjmując nikogo, nawet najbliższych krewnych. W początkach
1775 r., ulegając widocznie wpływom dworskim, zaprosił do obję-
cia koadyutoryi biskupstwa krakowskiego ówczesnego biskupa
płockiego ks. Michała Poniatowskiego. Od tej chwili o Sołtyku
głucho zupełnie w Polsce. Dopiero po kilku latach miał się na
chwilę przypomnieć szerszemu ogółowi.

W r. 1781 między Chrzanowskim, proboszczem parafii 4-go
Floryana w Krakowie, a kanonikiem Hugonem Kołłątajem wy-
nikło ostre starcie, którego epilog rozegrał się przed sądem bisku-
pa. Sołtyk skazał Kołłątaja na miesięczny areszt w seminarjum
zankowem. Skazany zwrócił się do komisji edukacyjnej i zło-
żył jej rezolucyę uznającą go za pierwszego emeryta Akademii,
przez co zakwestyonował podległość swą jurysdykcyi biskupiej.
Biskup zapytał Akademię, jak się ona zapatruje na powyższy spór
a gdy Akademia odpowiedziała w myśl biskupa, Sołtyk odebrał
Kołłątajowi wszystkie beneficya i kanonię krakowską. Sprawa
Kołłątajowska przybrała jednak obrót pomyślniejszy dla skazane-
go. W r. 1782 Sołtyk zaczął ujawniać znaczną rozrzutność i wcho-
dzić w nieporozumienia z kapitułą, która ze smutkiem czyniła mu
przychylne reprezentacye. Po łagodnym wstępie kapituła została
zmuszona do gwałtowniejszych aktów, które się skończyły na za-
trzymaniu biskupa w jednej izbie. Załarg biskupa z kapitułą
był przedmiotem poważnej dyskusyi w Radzie nieustającej i zmu-
sił króla do wysłania na miejsce komisarzy, którzy wyrazili
przekonanie, że Sołtyk przyszedł do tego stopnia obłąkania umy-
słu, że ani majątkiem swym, ani dyecezyą rządzić nie może.
Wkrótce potem przybyli do Krakowa kuratorowie, a biskupa prze-
wieziono do Kielc. W lipcu 1788 r. Sołtyk zachorował nagle,
przywołany ksiądz dał konającemu absolucyę i wołał nań, aby

nieprzyjaciołom darował. „Z całego serca“—odpowiedział biskup i kapeli kazał grać pieśni nabożne, a obecnym udzielił jeszcze błogosławieństwa.

Monografia, poświęcona Sołtykowi, jest studjum poważnem, opartem na obszernym materiale źródłowym, który wyzyskany został w umięjętny i gruntowny sposób. Tło historyczne, które autor dał obrazowi Sołtyka, rzuca dużo światła na całą epokę i jest zarówno pouczającym, jak i interesującym. W przedmowie scharakteryzował prof. Askenazy wybornie postać Sołtyka, jako symboliczną, a autor w monografii biskupowi poświęconej, dowiódł nieprzeparcie, że historia Polski nie pozbawi nigdy biskupa tego symbolicznego znaczenia.

A. R.

ERNEST ŁUNIŃSKI. *Księżna Tarakanowa*. Opowiadanie na tle dziejów polsko-rosyjskich. Z ilustracyami i faksymilami. 1907. Polskie Towarzystwo nakładowe we Lwowie.

Książka Łunińskiego o osobistości zwanej „Księżną Tarakanow“ jest rezultatem mozolnych i wytrwałych poszukiwań, które, zdaniem naszym, zgoła się nie opłaciły. Awantura, gdyż tak jedynie nazwać można wystąpienie Tarakanowej, nie posiada właściwie żadnego znaczenia historycznego. Dla monografii ściśle naukowej przedmiot ten odpowiednim nie jest, księżna bowiem jako postać dziejowa nie stanowi żadnej wybitnej indywidualności historycznej, żadnego też głębszego waloru nie przedstawia jej działalność polityczna. Jest to niezwykle, ale nie wyjątkowy typ awanturnicy, jakich cały szereg wydała druga połowa XVIII stulecia. Różne Casanowy de Seingalt, Cagliostri, księżęta Denasów *e tutti quanti* — to jej bracia rodzeni. Wszyscy oni, krócej lub dłużej, z mniejszem lub większem powodzeniem, skupiali na sobie uwagę rządów i głów ukoronowanych. Wszyscy żyli oszustwem i szantażem, celem ich była jedna i ta sama chęć zysku i sławy.

Ludzie tego rodzaju jedynie przygodnie interesować mogą badacza epoki, który, malując tło dziejowe, nie może ominąć figur trzecioplanowych, zwłaszcza, jeśli uwypuklają się jaskrawo, rażąco.

Nie sądzimy przeto, aby wielkie studjum historyczne o „Księżnie Tarakanow“, w myśl szczerých zresztą niewątpliwie intencyj autora, służyć mogło użytecznie naszemu dorobkowi naukowemu. Temat sensacyjny, zakrawający na bajkę z tysiąca i je-

dnej nocy, niejednokrotnie zapładniał wyobraźnię powieściopisarzy; i należało pozostawić go nadal w dziedzinie romansu. Jak romans bowiem skandaliczny snuje się pasmo żywota „Księżny Tarakanow.“

W r. 1772 zamieszkała w hotelu warszawskim pana Peltier, przy ulicy de Seine w Paryżu, młoda o niezwykłej urodzie kobieta. Pochodzenie jej nikomu znanem nie było. Podawała się nasamprzód za pannę Franck, następnie za p. Schöll, Tremouille, Aly Emmettée, kaukaską księżniczkę Wołdomir, dalej za „panią Azowa,“ Betti z Obersteinu, hr. Pinneberg, hr. Zielińską, wreszcie, w epoce najgłośniejszej swego awanturniczego życia, za Elżbietę, wielką księżniczkę rosyjską, spadkobierczynią dziedzictwa Piotra Wielkiego.

Przeszłość jej pozostała zakrytą kartą. Nie wiemy jakiej była narodowości, religii, jakie właściwie nosiła nazwisko. W swych listach i zeznaniach przerzucała się z jednej opowieści fantastycznej do drugiej bardziej jeszcze dziwacznej, zawsze jednak obfitującej w obrazy barwne, szczegóły nieprawdopodobne, wprost jakby czerpane z baśni czarodziejskich. Opowiadała więc, że jest wnuczką szacha perskiego Nadira, a jej wschodni rodowód zawierać miał tyle nadzwyczajności i przygód niezwykłych, że trudno doprawdy napotkać coś bardziej fantastycznego nawet w baśniach Szeharazady. Stosownie jednak do okoliczności piękna nieznanajoma przybierała najrozmaitsze tytuły, aby nimi nęcić wielbicieli, zyskiwać coraz większe koła przyjaciół i opiekunów. Policya rzymska uważała egzotyczną damę za Polkę znakomitego rodu, ks. Piotr Dołgorukow nazywa ją w swych pamiętnikach polską Żydówką, arystokracya rzymska — córką sułtana, podawano ją wreszcie za dziecko norymberskiego piekarza lub restauratora z Pragi czeskiej.

W tym labiryncie najprzeróżniejszych wersji i dociekań trudno się zorientować, są jednak niektóre świadectwa, że domniemana carówna była z pochodzenia Niemką.

Nas dzieje tej wyjątkowej bądź co bądź kobiety obchodzić mogą o tyle bardziej, że losy jej splotły się z ruchem barskim w osobach niektórych tegoż działaczy.

Księżna Wołdomir przybyła do Paryża, mając już za sobą przeszłość dość awanturniczą. Niebawem pozawierała liczne znajomości, między innymi z hetmanem wielkim litewskim, Michałem Ogińskim. Artysta przeczulony, muzyk, malarz i poeta, niefortunny wojak i słaba głowa polityczna, przebywał Ogiński w stolicy Francji, ostrożnie badając konstelację polityczną i niby po-

pierając w Wersalu interesy dogasającego ruchu barskiego. Stosunek hetmana do „pani Azowa“ był nader oględny i nie wyszedł po za sferę romansowych wynurzeń. Przedsiębiorcza awanturnica znalazła jednak wkrótce gorliwszego amanta w osobie Filipa Ferdynanda, hrabiego Limburg-Stirum.

Był to również typ *sui generis* awanturnika, procesującego się z królem pruskim, roszczonego nieskończone pretensye do kilku tronów książęcych; na zamku jego w Neuses we Frankonii, gdzie też niebawem zamieszkała piękna Aly Emettée, panował olśniewający przepych i obowiązywała dworska etykieta. Hr. Limburg-Stirum, pan „Fryzyi północnej i Wugryi,“ pomimo swych czterdziestu dwu lat, gorącym zapadał afektem ku domniemanej księżniczce wschodniej.

Eleganckie maniere i niezwykle pociągająca uroda księżnej Wołdomir sprawiły silne wrażenie na umyśle władcy Obersteinu i Limburga. Egzotyczna piękność usidliła Ferdynanda Filipa do tego stopnia, że postanowił się z nią ożenić. Otoczenie i rodzina księcia za kategorięczny jednak warunek do zawarcia małżeństwa postawiła okazanie dokumentów stwierdzających pochodzenie przyszłej władczyni Obersteinu. O to było jednak najtrudniej. Gmatwając się w trudnem położeniu, księżna Wołdomir z właściwym sobie sprytem i przebiegłością zmieniła taktykę i, korzystając z nadarzającej się szczęśliwie okoliczności, oświadczyła, że jest prawowitą spadkobierczynią korony rosyjskiej, córką cesarzowej Elżbiety.

Było to w r. 1773. Przed paru zaledwie miesiącami podniesiona przez Pugaczewa żagiew buntu rozszalała się w groźny pożar.

Niedoszła pani na Limburg-Stirum postanowiła sytuację w Rosyi wyzyskać na swą korzyść.

W tym czasie nawiązywały się właśnie stosunki pomiędzy awanturnicą a księciem Radziwiłłem „Panie Kochanku.“

Pan na Nieświeżu i Ołyce, magnat i dziwak jakich mało, książę Radziwiłł, jako działacz polityczny, był postacią bierną, maryonetką poruszaną przez innych, człowiekiem bez zmysłu dyplomatycznego i szczerych zdolności politycznych. Urodził się Radziwiłłem i najbogatszym panem Rzplitej, nic więcej. Obecnie barszczanin-emigrant i zacięty wróg Stanisława Augusta, którego pogardliwie „ekonomczukiem“ nazywał, siedział zagranicą, „jako najpierwsza część ozdoby“ konfederackiej, próżno poszukując protektorów dla sprawy barskiej.

Nie wiemy za czyjemi pośrednictwem i gdzie nastąpiło zaznajomienie księcia „Panie Kochanku“ z domniemaną córą cesarzowej Elżbiety, dość, że wystąpienie samozwanki powitał wojewoda wileński z zapalem. Godząc w monarsze prawa Katarzyny II, otwierała przed nim rzekoma spadkobierczyni tronu petersburskiego szerokie horyzonty, różowe nadzieje na podtrzymanie gasnącego ruchu barskiego, na unicestwienie pierwszego rozbioru.

W ostatnich dniach maja przybywa księżna „Elżbieta wszechrosyjska“ na umówione spotkanie z wojewodą do Wenecyi. Niebawem nawiązała liczne stosunki z miejscową kolonią polską i oficerami francuskimi, którzy wybierali się właśnie z Radziwiłłem do Konstantynopola na pomoc walczącym przeciw Rosyi Turkom. Obecność w ich gronie prawowitej, jak sądzili, następczyni cesarzowej Elżbiety mogła jedynie dodać ekspedycyi uroku.

Po parotygodniowym pobycie w Wenecyi udano się w dalszą drogę do Raguzu.

Domniemana carówna występowała w swej nowej roli znakomicie, w czem dopomagali jej sojusznicy, na każdym kroku znaczący dynastyczne pochodzenie przyszłej „suwereny.“

Należało wreszcie przystąpić do czynu, energicznie wszezać starania w celu objęcia tronu Romanowych.

Naprzód samozwanka zamierzyła pozyskać flotę rosyjską, stojącą na kotwicy w Liworno, następnie wystąpić z manifestem, w którym obwieści swe prawa, dalej pójdzie przebojem, by stanąć na czele swego narodu. 24 sierpnia 1774 r. napisała list do sułtana, dopraszając się jego opieki, jednocześnie zaś starała się nawiązać stosunki z dowódcą eskadry rosyjskiej, Aleksym Orłowem-Czesmeńskim.

Tymczasem stosunki awanturnicy z wojewodą wileńskim zwolna lecz stale się pogarszały. Książę „Panie Kochanku“ ostygł nagle w zapalach, zatrzymał się być może przed własną odpowiedzialnością, może niedowierzał pretendentce, dość, że dążył do pokrzyżowania jej planów. Skonfiskował nawet list do sułtana z 24 sierpnia, nic o tem samozwance nie wspomniawszy. Chude finanse księcia wojewody nie wystarczały na utrzymanie wystawnego dworu carówny w Raguzie, po wyczerpaniu przeto ostatnich źródeł Radziwił dręczony podejrzeniami co do osobistości egzotycznej księżny, pozostawił ją losom, sam zaś wyjechał na Lido.

Samozwanka pozostała z rozkochanym w niej do szaleństwa Domańskim, niedawnym towarzyszem księcia „Panie Kochanku.“

Przy pomocy Domańskiego księżna pozbywa się licznych wierzycieli i w cztery dni po wyjeździe wojewody opuszcza Ra-

guzę, udając się do Rzymu, aby ponowną tam rozwinąć działalność w celu utworzenia sobie drogi do tronu.

Nawiązuje stosunki z Watykanem za pośrednictwem kardynała Albaniego, z ministrem-rezydentem polskim markizem d'Antici—starania jej jednak pozostają bez skutku. Wówczas, gdy rwały się już rozpaczne wysiłki carówny i pretendencka jej rola dobiegała do schyłku, zjawia się nieoczekiwana a podstępna pomoc w ambitnych planach księżny w osobie Aleksego Orłowa-Czesmeńskiego.

Był to typ „wremieńszczyka“—ulubieńca, jakich nie mało wysunęła epoka panowania Katarzyny II. W człowieku tym zjednoczyły się rozsądek i przenikliwość, nieustraszona odwaga, ufność w siebie i zuchwałość, brak wszelkich skrupułów sumienia, marnotrawstwo i pogarda opinii ogółu. Są w jego życiu czyny dodatnie i takie, od których mróz po skórze przechodzi. Spiskowiec i mąż stanu, ignorant umysłowy, gotów do burdy na kułak, hulaka i dworzanin, a z czasem zaimprovizowany admirał. Przystöjny, kształtny, czarował dorodną postawą i ujmującym obejściem...

Orłow postanowił wciągnąć carównę w zasadzkę. W tym celu za pośrednictwem swego wysłannika, majora Christenecka, sprowadził ją do Pizy. „Ostatnią z Romanowów,“ występującą obecnie pod nazwiskiem hrabiny Zielińskiej, przyjęto z czcią niepospolitą, należną głowom-ukoronowanym. Zamieszkała w pałacu wynajętym przez Orłowa. Admirał składał codziennie hrabinie wizyty, obwoził wraz z świtą po mieście, otaczał szczególną grzesznością nieodstępno Domańskiego.

Pewnego dnia zaproponowano hr. Zielińskiej przejażdżkę okrętem do Liworno dla przypatrzenia się ćwiczeniom morskim. Po obiedzie u konsula angielskiego wybrano się na okręt admirałski „Izydor.“ Nastąpiły uroczyste salwy armatnie, carównę witają holdowniczo bandera św. Andrzeja. Wtem o godzinie szóstej Orłow nieznacznie się oddalił, poczem do cudzoziemców przystąpił kapitan gwardyi i oświadczył, że utracili wolność.

Rozpacz oszukanej nie miała granic, nie jednak nie pomogły skargi i wyrzekania. Zaledwie eskadra oddaliła się od tokańskich brzegów, wysłany został raport Orłowa do Katarzyny II o uwięzieniu samozwanki. Po dziesięciodniowej podróży, w czasie której nieszczęsna kobieta przechodziła najokropniejsze katusze, zarzucono kotwicę w Kronsztadzie. Niedośzłą monarchinię osadzono w twierdzy św. Piotra i Pawła. Rozpoczęto śledztwo pod kierunkiem księcia Aleksandra Golicyna. Domniemaną

córka Elżbiety nie odstąpiła od poprzedniego sposobu postępowania, snując w dalszym ciągu nieprawdopodobne i fantastyczne legendy, gmatwając i wikłając całą sprawę.

Wreszcie Katarzyna II, znieczepiwniona długotrwałem śledztwem, ujęła kierownictwo badania w swoje ręce. Tymczasem uwięziona z dnia na dzień gasła w twierdzy. Życie uciekało z ciała wynędzniałego, pozbawionego należytej opieki. Zarodki suchot rozwijały się gwałtownie. „Traktują mię, jak ostatnią na świecie!“ — pisała do Golicyna. Apelowała w słowach bolesnej skargi do cesarzowej, błagała o litość dla „sieroty prześladowanej przez los twardy,“ uważając się za „niewinną ofiarę interesów i polityki drugih.“

Odpowiedzi nie było. Jedenastego grudnia prosiła o duchownego prawosławnego obrządku. Zdawałoby się mogło, że teraz na łożu śmiertelnem odkryje tajemnicę pochodzenia.

Nie wiedziała jednak nic ani o rodzicach, ani miejscu urodzenia, podobno chrzczoną była według przepisów cerkwi prawosławnej, tak przynajmniej zapewniały osoby, które ją do dziewiątego roku życia w Kielu wychowywały. Twierdziła, że nigdy nie szerzyła fałszywych wieści. Nieznana ręka podsuwała testamenty i manifesty, których odpisy posłała Orłowowi na swoją zgubę. Przysięgła uroczyście, że spisku żadnego nie knuła i współników nie miała. 15 grudnia 1775 r. nieszczęsna samozwanka zakończyła życie. Ta, przed której urodą i dostojnością pochylały się głowy książąt i padały na kolana rzesze wielbicieli — spoczęła w zimnej mogile więziennej.

Streściliśmy pokrótce zajmujące opowiadanie Łunińskiego. Życie księżny Tarakanow, której takie miano dała właściwie dopiero późniejsza ludowa i historyograficzna legenda, gdyż samozwanka nigdy sama tak się nie nazywała — znaleźmy już wprawdzie z dawniejszych prac Brewerna („Die vorgebliche Tochter der Kaiserin Elisabeth Petrowna,“ Berlin, 1867), Bilbassowa wreszcie z licznych artykułów rozproszonych w rosyjskich czasopismach oraz relacyj pamiętnikarskich. Praca jednak Łunińskiego przynosi sporą wiązkę ciekawych szczegółów skrzętnie zebranych w archiwach rządowych petersburskich, moskiewskich i wiedeńskich. Wiele listów w dosłownem brzmieniu daje autor w obszernych aneksach. Książkę zdobią liczne ilustracye i facsimilia. Opowiadanie o „Księżnie Tarakanow“ czyta się z wielkiem zajęciem, styl autora wprawdzie barwny i potoczny, nieco może jednak wyszukany w porównaniach, i co gorzej, zeszepecony rusycyzmami i prowincjonalizmami w rodzaju: „zakluczyć,“ zamiast „uwię-

zić;“ „skazka“ zam. „baśń;“ „przywołskie“ zam. „nadwożańskie;“ „on cały do mnie przymknie“ zam. „przystanie, połączy się;“ „wykorzystać“ zam. „wyzyskać;“ „uwolnić z pod gniotu“ zam. „z jarzyna;“ „imperatryca“ zam. „cesarzowa“ i in.

H. MOŚCICKI.

KRZYWICKI LUDWIK. *Zmudz starożytna. Dawni Żmudzini i ich warownie.*
Warszawa, 1906. Nakładem Księgarni Naukowej. 8-o, kt.
nb. 2, str. II, 89 i IV.

Przedziwnie mile uderza oko na samym wstępie otwarte przyznanie się p. Krzywickiego, że im dłużej bada piłkalnie żmudzkie, tem mniej wie o nich, kiedy fakty zaprzeczyły przypuszczeniom, jakim hołdował w początkach swoich badań. Na takie przyznanie się wielu zabrakłoby odwagi lub też ambicya nie dopuściłaby do niego. Tak samo na pochwałę zasługuje drugie oświadczenie autora, w którym zaznajamia czytelnika przez jakie gęszcze wypadło mu przedzierać się, zanim zdołał oswobodzić się od wpływu ludowych opowieści i ułożył linie wytyczne badania, któremu rok rocznie zaledwo parę tygodni mógł poświęcić. Nie czując siły do odtworzenia całej zamierzchłej przeszłości, owioniętej mrokiem wieków, postanowił autor uprzytomnić sobie bodaj dotychczasowe rezultaty i wywołać niemi zainteresowanie wśród osób, zamieszkałych na Litwie, które mogłyby dać mu pomoc w dalszej pracy, bądź prostemi informacyami, bądź dokładnymi pomiarami uroczysk, bądź też zbiorami legend ludowych o piłkalniach.

Istotnie bogatą kopalnię dla badaczy przedstawia ziemia żmudzka. Gdziekolwiek spojrzeć—z pod pokostu kultury wyziera paucizna prastarych dni, choć, jak wszędzie zresztą, ginie z dniem każdym budownictwo ludowe, nazwy uroczysk zacierają się, podania o nich głuchną. Postęp czasu dokonał dzieła zniszczenia na całej linii.

Lud żmudzki zachował pamięć o pochodzeniu grodzisk czyli piłkalni. A liczy się ich na tysiące. Sądząc z podań, jakie o nich krążą, możnaby przypuszczać, że sypanki, przynajmniej niektóre, służyły za miejsca kultu, do czego tem więcej uprawnia czość, jaką lud otacza te pomniki, tak, że niekiedy góra przybierała charakter świąty. Tradycya ludowa żmudzka jest wielką księgą, jeszcze nieodeczytaną, a za pomocą nazw uroczysk można odtwo-

rzyć dawną organizację wojenną i religijną, bo przy zastosowaniu ścisłości i krytycznej miary można oddzielić kult gór od piłkalni.

Opowieści gminne nie powiedzą nam niczego o pochodzeniu piłkalni, mówiąc o wojnach szwedzkich, litewskich, ba, nawet o kampanii francuskiej. Należy przeto szukać odpowiedzi wśród samychże pomników. Sypanki dadzą podzielić się na dwie zgoła odmiennie kategorye: jedną—obozów otoczonych wałem lub kilku wałami równoległymi, drugą — prawidłowych gór, posiadających kształty siodła. Każda z nich jest wytworem innych zasad strategicznych i dostosowana do odmiennych sposobów walki. Niektóre obozy czynią wrażenie szańców z epoki późniejszej, kiedy posługiwano się bronią palną, różniąc się strukturą od prastarych warowni, które, jak wskazują dokumenty historyczne, oglądały zastępy krzyżowych rycerzy. Ale oprócz dwu typów zasadniczych, t. j. sypanek pogańskich i szańców późniejszych, istnieje mnóstwo innych, które, poczynając się u jednego ogniwa, zwolna przez kształty pośrednie przechodzą do drugiego. Tutaj zaliczyć należy przedewszystkiem sypanki zrujnowane wiekami. Istnieje jeszcze jeden rodzaj sypanek, zwany „uszpile,“ należących niewątpliwie do czasów zamierzonych.

Prastare piłkalnie, zwane w kronikach krzyżackich „castra“ lub „propugnacula,“ były warowniami, z których pograniczne posiadały stałą załogę, mieszkającą obok. Słowem—były one pierwotnie częścią osady, a przynajmniej zdarzało się to bardzo często. W pobliżu osady znajdowały się ementarzyska, będące miejscami kultu, co autor udowodnił szczegółowymi opisami kilkunastu piłkalni. Że piłkalnie stanowiły ważne punkty obronne, o tem świadczą niejednokrotnie zakusy Krzyżaków celem zajęcia ich i owładnięcia nimi. Nie ulega wątpliwości, że częste najazdy krzyżackie i rycerzy mieczowych zmuszały ludność żmudzka do coraz usilniejszego wzmocnienia posterunków obronnych i utrzymywania w nich stałych załóg, oraz pomnażania grodzisk. Piłkalnie jednak powstały w czasach grubo wyprzedzających napady krzyżackie i przedstawiają pierwszą próbę w sprawie stałego osiedlenia się szczepu żmudzkiego i tworzenia ognisk życia społecznego. Kto zna bagna torfiaste na Żmudzi, dla tego jasne, że osadnictwo musiało zacząć się od nizin i dopiero z biegiem czasu wdzierało się na zalesione wyniosłości, że właśnie na sypankach wznosiły się pierwsze osady. Ich rozmieszczenie nie tylko odsłania obronny ustrój dawnej Litwy, ale też pozostaje w najściślejszym związku z owemi „terrae,“ na jakie rozpadały się szczepy

łotewskie, polskie i litewskie. Grodziska te były sypane i rosły w miarę wkładu pracy ludzkiej, o czem nietrudno przekonać się z przedmiotów, odnajdywanych przy rozkopywaniu piłkalni.

Jakkolwiek praca omawiana nie doprowadziła p. Krzywickiego do jakichś ogólnych wniosków, bo na nie zawcześnie, jest ona pierwszą u nas, wyczerpującą cały dotychczasowy materiał i dającą nowe rezultaty, wreszcie rozjaśniającą wiele ciemnych szczegółów, dotyczących się piłkalni osłoniętych tajemnicą.

DR. ST. ZDZIARSKI.

J. D. *Słowo o Adamie Asnyku*. Odczyt niewygłoszony. Warszawa-Kraków, 1906. Nakład i druk W. L. Anczyca i S-ki w Krakowie.

„Po śmierci kochać mnie będziesz, ty chłodna, mileżąca rzeszo!“ Te słowa Asnyka położył autor w nagłówku swojej pracy, aby zapytać następnie, czy „on, który całe życie walczył z chłodem i zmateryalizowaniem swojej epoki, doczekał się po zgonie tej czi i hołdu, z jakimi klęknięć powinniśmy przed „cienia jego przezroczą białością.“

Niestety — odpowiedź nie może być twierdząca. Asnyk nie umarł wprawdzie w pamięci współczesnych i jako poeta zawsze żyć będzie w duszy swojego narodu, ale do należnego mu hołdu i czi — daleko jeszcze. Z tem większem uznaniem witamy też głos bezimiennego autora, który zbożnie pochylił się nad puścizną duchową poety i z entuzjazmem opowiedział nam o tym, „który zamknął w sobie całą myśl ostatnich dziesiątków lat zeszłego stulecia aż do najwyższych jej szczytów.“

Praca, napisana była, nie jako rozprawa krytyczna, ale jako odczyt, który, prawdopodobnie, nie mógł być w swoim czasie wygłoszony z powodów... cenzuralnych. Nie możemy też przykładać do niej tej miary, jaką przykładu się do rzeczy ściśle naukowych, nie możemy pytać i zastanawiać się nad tem, co p. J. D. przynosi nam nowego, w czem jego pogląd na Asnyka różni się od poglądów, wypowiedzianych dotychczas i już ustalonych. Natomiast interesuje nas sposób wykonania, interesuje forma, w jakiej wypowiedział się autor, który zamierzał i chciał trafić do szerszego ogółu.

Praca ma charakter popularny, utrzymana jest jednak na tej wysokości, jakiej temat wymagał. Pisana gładko, doskonałą polszczyzną, omawiająca umiejętnie wszystkie kierunki twórczości

Asnyka, tak chętnie uciekającego w dziedzinę filozofii od zgrzytów chwili, nie pozbawiona polotu w zetknięciu ze sprawami, które są drogie dla czującego serca, a nadewszystko pełna gorącej miłości dla poety—zjawia się ona, jako doskonały podręcznik do wykładu o twórczości Asnyka, jako niewielka, tania książeczka, która trafić powinna wszędzie i zanieść wszędzie wiarę w to, że „błyśnie dzień, w którym duch ludzki na nowo ożywi zeschnięty życia pień girlandą kwiecia różową.“

Tego rodzaju monografie są zawsze pożądane, a dziś zwłaszcza, kiedy ruch na polu oświaty budzi się i rozrasta tak szybko, są wprost konieczne, za ich pośrednictwem bowiem można najłatwiej zaznajomić ogół z wytycznymi myśli narodowej.

Tę myśl ujęli najtrafniej i najgłębiej wyrazili w dziełach swoich wielcy nasi pisarze, zwłaszcza, wielcy poeci. O wielu z nich nie mogliśmy dotąd mówić tak, jak mówić należało i jak po raz pierwszy mówi o Asnyku w Warszawie książeczka p. J. D. Niech że więc będzie to początek całego szeregu podobnych opracowań, podobnych portretów duchowych ludzi na tle ich czasu.

Z. D.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI. *To co nie przemija.* Warszawa, 1906. Jan Fiszer.

Włodzimierz Perzyński wszedł do literatury niedawno, ale wszedł odrazu z fizioognomią artystyczną o tyle wyraźną, że każdy, kto wziął do ręki pierwszy, niewielki tomik jego wierszy, wiedział z kim ma do czynienia. Przed społeczeństwem stanął poeta—jeszcze jeden z tego szeregu, któremu w ostatnim dziesięcioleciu tyle nowych przybyło ogniw, poeta o niewątpliwym talencie, syn nieodrodny czasu, który go wydał, dziecko tego fermentu duchowego, który był przedślannikiem doby obecnej. Gorycz i melancholia, przesyt i nuda łączyły się u niego w jeden akord z wybujałą zmysłowością, z gorącym pragnieniem pełnego, bujnego życia. Ironia, granicząca z sarkazmem, chłostała czasem to życie bezlitośnie, ale nie mąciła nigdy czystego źródła poczciwości. Sztuka była dla Perzyńskiego świątynią, u której progu przykładał, zasłuchany w cudowną melodyę nieśmiertelnego piękna.

Ten kult zbożny dawał też rękojmię, że młody poeta pójdzie drogą szczerego, prawego artyzmu.

I poszedł.

Widzieliśmy go na scenie i nie obniżyliśmy swojego o nim pojęcia. Spotykamy się z nim teraz, jako z autorem omawianych nowel i otrzymujemy zapewnienie, że służba, rozpoczęta pod sztandarami sztuki, trwa w dalszym ciągu.

Znów stoi przed nami poeta. Nie to, że książka jego pisana jest prozą, że tematy, zaczerpnięte są z życia realnego, że są między nimi takie, które lepiej było pominąć, żeby się uchronić od zbrukania, żeby nie wpaść w cynizm. Poezja zwyciężyła. Nawet tam, gdzie autor w przystępie jakiegoś złośliwego upodobania chciał ją poniżyć, podniosła się i odcisnęła swoje piętno na kartach książki.

Czuć ją też wyraźnie wszędzie i czytelnik wrażliwy odnajdzie ją łatwo. Raz przemawiać ona do niego będzie pięknem obrazem, to znów tajemniczem a cudownem drgnieniem duszy ludzkiej, kiedyindziej tęsknotą. I nadewszystko tą ostatnią, bo kiedy się zamknie książkę, panięci uczepi się jedna postać, którą autor pochwycił gdzieś na obczyźnie, a w którą tełnął całą tęsknotę, jaka wypełniała wówczas jego własną duszę. Ta postać — to *Pani Czajkowska*, wdowa po lekarzu polskim, grająca w szynku florenckim kankana... A potem — kiedy już świt rozbiela niebo, gwiazdy gasną, a ptaki zaczynają ćwierkać, pani Czajkowska czuwa:

„U stóp jej śpi miasto: laurowe ogrody, białe pomniki, pełne skarbów starożytnych kościoły i pałace, w hotelach śpią ludzie, którzy się tu z całego świata pozjeżdżali, aby te cuda oglądać, a ona, patrząc na różowiącą wschód nieba zorzę włoskiego słońca, bije się po głowie wychudłemi, bezsilnemi rękami, ażeby tylko ten ból straszny przygłuszyć, płacze i śni jej się — kilka wycieńczonych, mizernych sosen, żółty piasek i odrapane domki, do których żydowskie rodziny z Warszawy zjechały na letnie mieszkanie...“

Najpiękniejsza to bezwarunkowo nowela z 18 drobiazgów, jakie złożyły się na książkę. Może najbardziej Perzyński był w niej sobą i może najbardziej wykazał w niej wszystkie znamiona swojego talentu.

Dla tego też uważałem za konieczne zwrócić na nią uwagę bliższą.

Po za tem znajduje się w tomiku szereg opowiadań rozmaitych, układających się razem w mozaikę różnorodną, świadczącą o bogatej obserwacji autora i o jego nawskroś artystycznym stosunku do przedmiotów opisywanych.

Perzyński kocha wszystkich swoich ludzi, wszystkie swoje typy, nie tylko wówczas, kiedy się pochyła nad ich nieszczęściem, kiedy radby przygarnąć i ochronić od zepsucia „Dzieci uliczne“, ale i wtedy, kiedy ironizuje, kiedy się śmieje ze słabości filistrów i piętnuje ich „czyny obywatelskie.“

Zagadnień wielkich, niepokojących duszę i umysł, autor nie porusza. Wycieczek w dziedzinę wysubtelnionej psychologii unika, trzyma się życia szarego, zwykłego, przeciętnego, ale umie na nie patrzeć i umie z niego wykrzesać tę iskrę poezji, która stanowi to, co *nie przemija*.

W opowiadaniu zwięzły, prosty i zajmujący, posługuje się Perzyński językiem dobrym, czystym, chwilami pięknym i pełnym połotu.

Z. D.

Kronika miesięczna.

Przed wyborami. „Komitet centralny“ i zjednoczenie narodowe. — Polskie Towarzystwo prawnicze. — Sprawa oderwania Rusi chełmskiej od Królestwa Polskiego. — Biuro informacyjne dla emigrantów Żydów.

Kończymy rok pod znakiem zbliżających się wyborów do nowej Dumy.

Prasa stwierdziła niemal jednogłośnie, że zainteresowanie się społeczeństwa wyborami tym razem jest znacznie słabsze, niż było na wiosnę. Istotnie, do chwili, w której to piszemy, w zbiorowym życiu naszym nie zaznaczyło się jeszcze niczem to ożywienie, jakie powinno towarzyszyć okresowi, w którym odbywa się przygotowanie do kampanii wyborczej. Czy jednak należy to położyć na karb zubożenia i rozczarowania społeczeństwa — o tem możnaby jeszcze dyskutować.

Co do nas, nie zdaje nam się, żeby to zubożenie i rozczarowanie (których istnieniu wszakże w pewnym stopniu zaprzeczać nie myślimy) były posunięte aż tak daleko, żeby pod ich wpływem wybory przybrały charakter akcji ospalej i beznamiennej. Przeciwnie, wszystkie namiętności partyjne, z którymi mieliśmy do czynienia poprzednio, niewątpliwie wystąpią z tą samą siłą, co i dawniej, a może nawet z jeszcze większą, nie tylko bowiem nie wpłynęło na ich załagodzenie, ale stosunki wzajemne między stronnictwami zaostrzyły się, nadto jest już dziś rzeczą pewną, że te frakcje lewicy skrajnej, które poprzednio zgrupowały się pod hasłem bojkotu Dumy, obecnie częściowo przynajmniej wezmą udział w wyborach. Tak przynajmniej postanowiła Socjalna Demokracja Kr. Polskiego i Litwy i „Proletaryat.“ Jedynie P. P. S. trzyma się jeszcze na uboczu, ale i tu nie można

być pewnym, czy w ostatniej chwili nie przyłączy się ona do bloku lewicy, o ile blok ten dojdzie do skutku.

Wszystko to zapowiada więc walkę raczej ostrzejszą i zacieklejszą od tej, jaka rozegrała się na wiosnę. Jeżeli zaś istotnie dotąd symptomów tej walki nie widać, to dzieje się to wskutek tego, że społeczeństwo oczekuje od biorących udział w wyborach stronnictw, wyraźnych i jasno sformułowanych haseł, które dotychczas nie padły.

Ogromna większość narodu stoi poza stronnictwami, jest bezpartyjną i nie uznaje tych różnic taktycznych i programowych, jakie dzielą poszczególne partie. Ta większość pragnie też od dawna koncentracji lub kompromisu chwilowego, umożliwiającego łączne działanie wszystkich. Tymczasem dotąd nie doszło ani do koncentracji, ani nawet do kompromisu.

Dyskusya, jaka toczyła się na ten temat przed kilku miesiącami, nie doprowadziła do rezultatów pożądaných. Sprawa porozumienia wzajemnego nie posunęła się wcale naprzód. Dopiero głęboko patryotyczny list Sienkiewicza, ogłoszony pod dewizą: „Hej ramię do ramienia!“ podziałał elektryzująco na niektóre odłamy obozu narodowego i pobudził je nanowo do działania. Aczkolwiek i tu jeszcze zgody nie było i nie brakło głosów, które zarzucały Sienkiewiczowi „ciasny nacjonalizm.“ Nie wdając się tutaj w spór, który dla każdego, kto zna działalność Sienkiewicza, opartą na najczystszy i najszlachetniejszy patryotyzmie, a wolną od jakichkolwiek doktryn, jest sporem bezprzedmiotowym, zaznaczymy jedynie, że list, o którym mowa, zaważył niewątpliwie na szali politycznej wszystkich stronnictw.

Do pewnego też stopnia za skutek tego listu uważać należy najświeższą enuncyacyę Demokracji Narodowej, która na łamach *Gazety Polskiej*, będącej od niedawna urzędowym organem tego stronnictwa, oświadczyła, że ufa, iż wkrótce „nastąpi zjednoczenie żywiołów narodowych i że żywioły te wyłonią z siebie w krótkim czasie Komitet Centralny.“

I to właśnie stanowić będzie moment zasadniczy w całej oczekującej nas akcji wyborczej.

Spółczeństwo, które doskonale zdawało sobie sprawę z tego, że największym błędem wyborów poprzednich był brak porozumienia wzajemnego pomiędzy stronnictwami, brak owego Centralnego Komitetu wyborczego, który jest niezbędną organizacyą obywatelską i, jak uczy doświadczenie Galicyi i Poznańskiego, jedynem zabezpieczeniem interesów narodowych od szkód, jakie im wyrządzić może zaciekłość i nietolerancya partyjna — to spo-

łeczeństwo oczekuje dzisiaj z niecierpliwością na rezultat obrad i pertraktacyj, prowadzonych przez stronnictwa poszczególne.

Jesteśmy też pewni, że z chwilą, kiedy rozlegną się wyraźnie hasła zjednoczenia narodowego, obojętność dla wyborów zniknie odrazu, a poczucie obowiązku obywatelskiego poprowadzi zwarte szeregi do urn, z których wyjść mają przedstawiciele narodu, powołani do obrony jego interesów w obliczu Dumy rosyjskiej.

To zjednoczenie narodowe, na które z takim upragnieniem czeka dzisiaj społeczeństwo polskie, potrzebne mu jest nie tylko na czas wyborów, ale — i to w większym może jeszcze stopniu — do wytworzenia tej atmosfery, jaka towarzyszyć powinna rozpoczętym pracom kulturalnym.

Jak pisaliśmy w zeszłym miesiącu, te prace kulturalne są jedynym pocieszającym objawem w dobie, która tyle smutków i ciężkich doświadczeń przyniosła nam z sobą. W tej dziedzinie twórcze siły przeciwstawiają się anarchii i nieładowi, w tej dziedzinie życie uderza tętnem, wróżącym odrodzenie. A przecież do tego, żeby można było powiedzieć, że tętno to jest zdrowe i zgodne z zasadniczym pulsem duszy zbiorowej narodu — brak jeszcze także porozumienia, brak łączności w działaniu. Jaskrawe na to światło rzuca nieprzejednany stosunek kół t. zw. postępowych do instytucji *Macierzy Szkolnej* i współzawodniczenie z nią na polu oświaty. Rzecz naturalna, że przez to osłabia się tylko powaga i siła instytucji, która z natury swojej musi i powinna być jedną i „bezpartyjną.“ Tymczasem na tym punkcie panuje u nas ciągła podejrzliwość, najzupełniej nieuzasadniona, a wyrastająca na podłożu tych zaostzonych stosunków partyjnych, które w każdym człowieku odmiennych przekonań każą upatrywać nieprzejednanego wroga.

Taki stan rzeczy wytwarza tylko rozbieżność sił społecznych, które, skupione razem, mogłyby zdziałać o wiele więcej.

Po co np. obok koła Uniwersytetu ludowego *Macierzy Szkolnej* ma istnieć Uniwersytet powszechny, posiadający ten sam zakres działania i te same cele?

Niezgoda jest wogóle jakby hasłem chwili. Łamie ona nie tylko szeregi narodowe, ale w większym jeszcze stopniu zaznacza się wśród żywiołów usposobionych radykalnie i skłaniających się ku socjalizmowi. Nie dotykając już nieprzyjaznego stosunku, jaki istnieje pomiędzy socjalistami wszystkich zabarwień a lewicą burżuazyjną, trudno pominąć tu milezeniem fakt rozłam, jaki nastąpił w jednej z najczynniejszych na gruncie naszym partyj

socjalistycznych — w P. P. S. Świadczy to o coraz głębszych różnicach, jakie zarysowują się w poglądach na chwilę obecną, a zwłaszcza w poglądach na sprawy narodowe.

P. P. S. akcentowała dotychczas dość silnie to, że interesy polskie nie są dla niej obojętne. Dopiero słowa, wypowiedziane przez przedstawiciela tej partji na Zjeździe w Mannheimie, ujawniły, że sprawa przedstawia się nieco inaczej, obecny zaś rozłam dokonał się właśnie na tle rozdzwiewku, jaki powstał pomiędzy „starymi,” usposobionymi bardziej narodowo, a „młodymi,” stojącymi na platformie międzynarodowej i chętnie idącymi pod komendę „rewolucyi“ rosyjskiej.

W ten sposób rozpada się organizacya, której największą siłą była karność i spoistość jej szeregów.

Jeżeli teraz dodamy do tego liczne, a jaskrawe fakty delatorstwa, na którego podstawie odbywają się aresztowania w ostatnich czasach bardzo częste — to otrzymany obraz zupełnego rozkładu, jaki nastąpił w łonie socjalizmu bojującego.

I tak oczywiście stać się musiało. To, co było oparte na fałszu i obłudzie, na wykrzywionych i spaczonych ideach, co posługiwało się hasłami demagogicznymi i nie wahało się prowadzić ludzi naiwnych, ciemnych i sfanatyzowanych ku obłąkaniu, zbrodni i nędzy — musiało w końcu zatruć się swoim własnym jadem.

Partye socjalistyczne po 30 października r. z. rozpoczęły werbunek „towarzyszów“ bez żadnego wyboru, nawet wśród mętów społecznych. Rzecz naturalna więc, że tego rodzaju „towarzysze“ podejmują się obecnie chętnie roli płatnych szpiegów i donosicieli, wydających policyi zarówno istotnie winnych, jak i niewinniejsze ofiary swojej i cudzej ślepoty.

Nie dziw, że wobec tego otrzeźwienie warstw robotniczych szybkim krokiem zaczyna postępować naprzód. Dowodzi tego wymownie popularność, jaką zdobył sobie w ostatnich czasach Narodowy Związek robotniczy, oraz tempo, w jakim zaczyna się u nas rozwijać ruch chrześcijańsko-socyalny. Ten ostatni, o ile zostanie dobrze poprowadzony, zdaje się, że będzie miał wśród naszych sfer robotniczych duże powodzenie i że byt swój utrwali na długo w kraju.

To wszystko pozwala przypuszczać, że dobiegający końca rok przynosi nam z sobą jakby zapowiedź przesilenia. Oczywiście, nie można jeszcze niczego przewidzieć. Mogą przyjść nowe powikłania i nowe wstrząśnienia. To pewna jednak, że społeczeństwo polskie we wszystkich swoich warstwach zdobyło już doświadczenie takie, że uchroni je ono od większych błędów.

Błędy te są nieuniknione, bo polityki, któraby wolna była od nich zupełnie, niema. Idzie jednak o to, aby ze strony narodu nie było kroków nieświadomych, aby w narodzie tym nie panowały siły żywiołowe i nie rządziły odruchy.

W ciągu dwóch lat ubiegłych byliśmy, niestety, świadkami zupełnego oszołomienia, wywołanego nagłym zachwianiem się wszelkich wartości i wstrząśnieniem całego ustroju państwowego i społecznego. Dziś jednak to, co jest właściwą rewolucją, a co należy więcej do świata idei, niż do życia realnego, już się odbyło. Następuje raczej okres stopniowego wcielenia w życie tego, co wyszło z rewolucyi zwycięzko i co nosi w sobie zadatki lepszej przyszłości. A tu czynnikami decydującymi są: rozum, rozwaga i wyteżona praca. One tylko mogą wprowadzić życie w takie łożyska, w których nawet sprzeczne sobie prądy będą mogły się pogodzić i brzegów nie zarywać. Zrozumienie tego w narodzie naszym zaczyna się już uwidoczniać. To, co reprezentowało w nim tylko rozkład, już straciło, lub traci ostatecznie kredyt moralny, zyskuje go zaś wszystko, co przynosi z sobą program działania pozytywnego, co zmierza do utrwalania i umocnienia się na placówkach zdobytych i co śmiałą wyciąga rękę po zdobycze nowe, nie fantastyczne, ale do osiągnięcia możliwe. Liczenie się z warunkami realnymi i umiejętne wyzyskanie tych warunków na korzyść całego narodu — oto hasło, pod którem zaczynają się skupiać wszystkie zdrowe siły polityczne i moralne w Polsce, zdążające ku dniom lepszym i jaśniejszym. Nie są one jeszcze blisko, ale są niewątpliwie przed nami.

*

*

*

Grono prawników polskich powzięło w ostatnich czasach myśl założenia Polskiego Towarzystwa prawniczego, rozciągającego swoją działalność na kraj cały.

Towarzystwo takie ma przed sobą liczne i wielorakie zadania, a jeżeli nie powstało ono dotąd, to nie jest to winą naszych prawników, ale wynikiem tych specyficznych warunków, które nie pozwalały na żaden krok naprzód, które zabijały wszelką inicjatywę, paraliżowały wszelki czyn. Rząd nie uznawał zupełnie prawników *polskich*, gdyby więc polacy chcieli zawiązać Towar-

rzystwo prawnicze, to nietylko musieliby do niego dopuścić wszystkich sędziów-rosyan, ale zgodzić się na prowadzenie obrad w języku rosyjskim, w tym języku korespondować i ogłaszać wydawnictwa. Rzecz naturalna, że takie Towarzystwo nie byłoby wcale Towarzystwem prawniczym polskim i że nikogo nie nęciła myśl pracy naukowej w takiej atmosferze.

Dziś jednak, kiedy warunki zmieniły się o tyle, że Towarzystwo prawnicze *rzeczywiście polskie*, grupujące prawników-polaków, powstać może, przystąpiono do jego założenia.

Jest więc rzeczą niemal pewną, że w niedługim czasie powstanie w Warszawie ognisko polskiej myśli prawniczej, która w ten sposób może odżyje i do dawnego powróci blasku. Nie możemy bowiem się łudzić. Nauka prawa, która niegdyś kwitła u nas, w ostatnich lat dziesiątkach bardzo podupadła. Złożyły się na to dwie przyczyny—rusyfikacya sądownictwa i przemianowanie Szkoły Głównej na uniwersytet rosyjski.

Romułd Hube, Walenty Dutkiewicz, Stanisław Budziński, Władysław Holewiński — to ostatnie nazwiska, jakie zapisały się u nas trwale na kartach nauki prawa, nazwiska takie, z którymi jeszcze po dziś dzień liczyć się musi każdy prawnik polski. Po nich zaczęło się powolne obumieranie prawa, jako nauki. Czysto rzemieślnicze traktowanie zawodu wzięło górę. Prace naukowe, zwłaszcza z dziedziny teorii prawa prywatnego i publicznego, były rzadkością. Ten i ów podejmował je dla honoru, ale nie budziły one nawet zajęcia w szerszych kołach prawników, przechodziły bez śladu.

I nie mogło być inaczej. Szkołą, z której wychodzili przeważnie prawnicy polscy, był uniwersytat warszawski, uniwersytet jedyne w swoim rodzaju, stojący pod względem organizacyi studjów naukowych nieskończenie niżej nawet od uniwersytetów w Petersburgu, w Moskwie, w Charkowie i w Kazaniu.

Jak to nieraz mieliśmy już sposobność zaznaczyć, w uniwersytecie tym nie było wcale atmosfery naukowej. Młody prawnik nie miał tam sposobności ani zbliżyć się do nauki, ani zaznajomić się z jej metodami. Zimna, policyjno-urzędnicza apatya profesorów dla najżywotniejszych zagadnień wiedzy, zasklepienie się ich bądź w ciasnej rutynie, bądź w polityce rusyfikacyjnej, która wypowiadała się w tendencyjnym oświeclaniu faktów, w czem tak celował zwłaszcza nieboszczyk prof. Simonenko, wykładający statystykę i ekonomię polityczną, wreszcie wsteczniectwo naukowe, nie liczące się wcale z nowszemi zdobyczami—panowały tam niepodzielnie.

Wszystko to nie mogło wpłynąć dodatnio na studentów i zachęcić ich do studyów poważniejszych. Idąc za wzorem i przykładem profesorów, poprzestawali oni na „litografowanych kursach“, których przeczytanie wystarczało w zupełności do otrzymania stopnia dostatecznego na egzaminie. Mało kto brał poważniejszą książkę do ręki i sięgał do źródeł naukowych.

Wprawdzie potem praca zawodowa zmuszała niejednego do gruntowniejszych studyów samodzielnych, ale na te studia brakło już wówczas czasu.

W ten sposób stopniowo, z biegiem lat, poziom wiedzy prawniczej obniżył się naprzód wśród samych prawników, a potem, co za tem idzie, i wśród całego społeczeństwa. W tem społeczeństwie spadł on, jeżeli tak można powiedzieć, *poniżej zera*.

Zasada *juris ignorantia nocet* nigdzie może i nigdy nie odbiła się tak na całokształcie interesów kraju, jak u nas.

Brak życia politycznego i publicznego z jednej strony, a z drugiej — nieprzebrany las przepisów i cyrkularzy, stojących po za prawem, a jako prawo aplikowanych, wytworzył u nas wśród szerszych warstw zupełną nieznamość najbardziej podstawowych zasad prawa i doprowadził nas do tego, że przeciętny mieszkaniec Królestwa nie dochodził praw swoich, nawet w wypadkach jaskrawego ich pogwałcenia. Na tym gruncie rozrastała się też swobodnie bezprzykładna samowola administracyi, wobec której niejednokrotnie opadały nawet ręce prawnikom zawodowym.

O prawie nikt nie myślał i nikt się na niem nie opierał, bo każdy miał to przekonanie, że bezprawie zawsze będzie tryumfowało.

W takim stosunku do „prawa“ zastał nas Manifest z dn. 30 października r. z., zapowiadający przywrócenie prawu należnej mu mocy w całym państwie, a więc i u nas.

Karta dziejowa odwróciła się. Życie wezbrało i wystąpiło z brzegów, w jakie wtłoczono je sztucznie. Społeczeństwo spostrzegło, że odtąd znajomość praw, przedewszystkiem obywatelskich i publicznych, a potem wszelkich innych, jest dla niego koniecznością. Opinia zwróciła się więc ku prawnikom, oczekując od nich światła na nowe drogi, pełne jeszcze mroku i mgieł przedświtowych. I sprawiedliwość nakazuje przyznać, że w pierwszym okresie „konstytucyi“ prawnicy nasi pracowali w tempie wzmożonem, nie szczędząc rad, wskazówek i opieki swojej nikomu.

Adwokatura polska dawno nie miała karty tak świetnej, jak w ciągu ostatnich dwóch lat.

Pomimo to daleko jednak jeszcze do spełnienia wszystkich tych zadań, jakie „nowe czasy“ wkładają na barki prawników polskich i być może dopiero Towarzystwo Prawnicze przyczyni się do stopniowego zaspokojenia zarówno potrzeb nauki, jak i potrzeb społeczeństwa w tej dziedzinie.

Jako instytucja naukowa, Towarzystwo musi przedewszystkiem skupić wszystkie rozproszone dzisiaj prawnicze siły naukowe polskie i podnieść naukę prawa do tej wyżyny, na jakiej stać ona powinna.

W tym względzie godnym dla nas wzorem do naśladowania jest Galicya, która posiada pierwszorzędne prawnicze siły naukowe polskie, nie tylko w gronie profesorów obydwóch uniwersytetów tantejszych, ale i po za obrębem uniwersytetów. W okresie, w którym u nas nauka upadała, tam właśnie krzepiła się ona i wzmacniała, mając odpowiednie do tego warunki. Prawnicy polscy w Galicyi wydali z pośród siebie nie tylko specjalistów w rozmaitych gałęziach własnej nauki, ale i pierwszorzędnych historyków, jak Franciszek Piekosiński, Oswald Balzer, obrońca Morskiego Oka i Władysław Abraham. Ci sami prawnicy dostarczyli też sił wybitnych reprezentacyi polskiej w Wiedniu, jak ministrowie: Dumajewski, Biliński i Piętak, jak posłowie: Starzyński, Głabiński i wielu innych. A wszystko to stało się dzięki istnieniu odpowiednich ognisk naukowych w kraju.

Warszawa, pozbawiona dotąd tego zasadniczego ogniska nauki, jakim jest uniwersytet, posiadający odpowiednie środki i pomoce naukowe, musi je zdobywać drogą wysiłków na innem polu. Prawnicy polscy, zakładający Towarzystwo, powinni więc zdawać sobie dokładną sprawę z tego, że stosunek ich do nauki musi być innym i o wiele poważniejszym, aniżeli to bywa zazwyczaj w tego rodzaju Towarzystwach, gdyż na razie będzie to *jedyny* przytułek polskiej nauki prawa, wygnanej z uniwersytetu takiego, jakim on był do ostatniej chwili swego istnienia. I kto wie, czy na Towarzystwo prawnicze nie spada już dziś obowiązek przygotowania odpowiednich sił naukowych dla przyszłego uniwersytetu polskiego w Warszawie, niezależnie od tego, czy będzie to uniwersytet rządowy, czy prywatny. Nadmiaru tych sił nie mamy i jeżeli nie byłoby żadnego kłopotu w obsadzeniu przez Polaków katedr na innych wydziałach, to zawahalibyśmy się wskazać dzisiaj odpowiednich ludzi do zajęcia wszystkich katedr na wydziale prawnym. Zapewne, kilka z nich możnaby powierzyć odrazu przedstawicielom dzisiejszej naszej palestry, ale niewątpliwie znalazłyby się też braki. Zapelnąć je więc zawczasu, zachę-

cać młodych prawników do studyów w dziedzinach najbardziej zaniedbanych, wysłać ich nawet kosztem Towarzystwa za granicę dla wyspecjalizowania się—oto jedno z wdzięcznych zadań, jakie prawnicy polscy mają przed sobą w tej chwili do spełnienia.

Po za obudzeniem ruchu naukowego i pogłębieniem wiedzy fachowej w całym zawodzie, spada na nich także obowiązek oddziaływania na całe społeczeństwo.

Uczynić to należy drogą dwojaką: 1-o przez urządzenie publicznych wykładów z dziedziny prawa, 2-o, przez ujęcie steru wszelkich wydawnictw popularnych, poruszających kwestye prawne.

Co do odczytów—to rzecz dziwna. Odbywają się one u nas z zakresu wszystkich niemal nauk, tylko nie w zakresie *nauki obywatelskiej*. Prawnicy nasi nieraz stawali na katedrze, aby mówić o literaturze, o kobietach w poezyi polskiej, o wszystkim, tylko nie o zagadnieniach prawnych, mimo, że tyle nastreczały one tematów ciekawych, że wymieniny najnowsze prądy w dziedzinie nauki o państwie, całą filozofię prawa karnego, karę śmierci, naukę o więzieniach i t. p. Wszystko to leży odłogiem, szerszemu ogółowi zupełnie jest nie znane, bo nikt nie rozbudził w niem zainteresowania do tych rzeczy, nikt nie wziął na siebie roli informatora i przewodnika. Dla uzdolnionych prelegentów są więc one prawdziwą kopalnią niezwykle zajmujących i nauczających lekcyj, z zastrzeżeniem jednak, że te lekcye wygłaszane będą wyłącznie przez prawników.

To samo zastrzeżenie dotyczy także i wszelkich popularnych wydawnictw prawnych. Potrzeba ich jest bardzo wielka, a piśmiennictwo nasze jest w nie ubogie. Polskie Towarzystwo Prawnicze powinno tedy zwrócić na to uwagę od samego początku i przystąpić do zakrojonego szerzej i obmyślanego wszechstronnie wydawnictwa tanich, przystępnie opracowanych podręczników i monografij teoretycznych i praktycznych.

Sprawy tej nie można powierzyć księgarzom, którzy, jak tego nauczyło doświadczenie dwóch lat ostatnich, większą uwagę zwracają na sensacyę, niż na istotną wartość naukową i pożytek wydanej książki. Dzięki temu w okresie pokonstytucyjnym przyswojono językowi polskiemu cały szereg książek w czerwonych okładkach, nieudolnie tłómaczonych i—dalekich od obiektywizmu naukowego. W ten sposób pewne koła prowadzą u nas agitacyę pod osłoną nauki, a tego dla zachowania godności samej nauki być nie powinno.

Konieczną więc jest rzeczą, aby nad tego rodzaju wydawnictwami czuwała instytucya, dająca zupełną rękojmię społe-

czeństwu, że wszystko, co ukaże się pod jej firmą, będzie naprawdę pożyteczne. Instytucją taką z natury rzeczy powinno być Polskie Towarzystwo prawnicze.

Nie dotykamy tu innych spraw, które wiązałyby się jeszcze bezpośrednio lub pośrednio z działalnością T-wa, będącego dopiero w stanie zawiązkowym, zaznaczamy tylko, że witamy je, jako niezwykle potrzebną i cenną dla naszego rozwoju instytucję. *Ut felix, faustum, fortunatumque sit . . .*

*

*

*

„Prawdziwi rosyanie,“ których w granicach Królestwa Polskiego jest może znacznie więcej, niż w samej Rosyi, lubią od czasu do czasu występować w obronie „uciśnionego prawosławia“ i praw ludności rosyjskiej w kraju „Przywiślańskim.“

W ostatnich czasach zaznaczyły się dwa takie ich wystąpienia. Jedno z nich domagało się „proporcjonalnej reprezentacyi“ w Dumie, przyczem proporcjonalność ta wyglądała więcej, niż zabawnie, drugie—dotyczy wznowionej obecnie kwestyi wyłączenia z Królestwa *Rusi Chełmskiej*, to znaczy tych powiatów ziemi siedleckiej i lubelskiej, w których, wrzekomo, przeważa ludność prawosławna. Powiaty te, zdaniem pomysłowych inicjatorów, powinny być wcielone do gub. wołyńskiej i grodzieńskiej.

Nie jest to sprawa nowa. Działacze rosyjscy w naszym kraju jeszcze za czasów Hurki, poruszali ją już niejednokrotnie, chociaż nie było wówczas mowy o „uciśnieniu prawosławia.“ Fatalny apetyt na tę część naszego kraju, apetyt, podsycany przez uczonych *tej miary*, co słymy prof. Filewicz, trwa w wielu już pokoleniach „ludzi rosyjskich“ i co pewien czas z nową budzi się siłą. Nigdy jednak nie wystąpił on tak gwałtownie, jak w okresie „pokonstytucyjnym,“ kiedy z jednej strony ukaz tolerancyjny odrazu ujawnił całą słabość „dobrowolnego przyłączenia się Unitów,“ z drugiej — zjawiła się możność otwartej agitacyi wśród ciemnych mas włościaństwa. Agitacya ta, rozwinięta na szeroką skalę przez duchowieństwo prawosławne i niższej rangi, a przez to samo już większej gorliwości urzędników, posunięta została tak daleko, że zebrano nawet garść podpisów od włościan, pragnących „oderwać się“ od Królestwa. Jaka jest autentyczna ilość

tych podpisów—nie wiemy, dość, że na ich podstawie Petersburg zajął się sprawą *uciskanej Rusi Chełmskiej* i nadał jej tok urzędowy.

W tym celu niedawno odbyły się w Petersburgu specjalne narady nad projektem podziału Królestwa Polskiego. W naradach tych wzięli udział generał-gubernatorowie warszawski, wileński i kijowski.

Przy omawianiu sprawy okazało się przedewszystkiem, że według danych urzędowych, które jak dawniej nie odznaczały się nigdy wiarygodną ścisłością, tak i obecnie dalekie są zapewne od tej ścisłości—gub. lubelska posiada obecnie 21.3%, a siedlecka tylko 12% prawosławnych. Jeżeli jednak zaufamy nawet tym danym, a odliczymy od nich tylko ludność napływową, to znaczy urzędników i wojskowych, których ilość zmniejszy się znacznie z chwilą zaprowadzenia autonomii, to ów stosunek procentowy wypadnie obniżyć przynajmniej o kilka na sto. W rzeczywistości więc nie może być mowy o przewadze nawet ludności rusińskiej, nie już *rosyjskiej*, nad ludnością polską, katolicką, od wieków na tych ziemiach osiadłą.

Ale — nie idzie nam o uzasadnienie polskości tych ziem, bo co do tego nawet władze rządowe żadnych chyba wątpliwości nie mają.

Poruszyć jednak należy zasadę prawną, na jakiej te władze, ulegając roszczeniom fantastycznym nie obeznanych z istotnym stanem rzeczy „prawdziwych rosyjan“ w naszym kraju, dochodzą do tego, żeby zaprzętać sobie czas rozpatrywaniem tego rodzaju projektów.

Zasada ta jest zgoła niezrozumiała. Ziemie polskie zostały przyłączone do Rosyi na podstawie wiadomych traktatów, których nikt jeszcze nie przemazał. Noszą one od kongresu wiedeńskiego urzędowe miano *Królestwa Polskiego* i obejmują pewien kompleks terytoryalny, którego naruszenie nie może być zależne od tych lub innych widoków administracyi miejscowej i centralnej, gdyż o ile w obrębie Królestwa administracya rosyjska, korzystając ze swoich praw zwierzchniczych, w obecnych warunkach może dokonywać nowych podziałów kraju na jednostki administracyjne, i jak stworzyła z dawnych województw i departamentów gubernie, a z ziem, powiaty, tak samo może obecnie zmieniać konfiguracyę tych powiatów—o tyle uszczuplanie granic kraju przekracza zupełnie jej kompetencyę.

Z prawami historycznymi i z traktatami międzynarodowemi może się nie liczyć prasa szowinistyczna, mogą się nie liczyć

drobni urzędnicy, którzy pojęcia o nich nie mają, ale rząd liczyć się musi. Dla czego więc rząd ulega tego rodzaju fantazjom politycznym i to uleganie swoje posuwa tak daleko, że aż zwołuje specjalną naradę w Petersburgu do rozstrzygnięcia sprawy, która rozstrzygnięta jest oddawna i inaczej postawiona być nie może?

Gdyby naradę taką zwołał prof. Filewicz, lub inny jaki działacz, dowodzący „rdzemej rosyjskości“ całego Królestwa Polskiego — wszystko byłoby w porządku i nie moglibyśmy mieć nic przeciwko tego rodzaju zabawce politycznej. Ale jeżeli ta sama polityka znajduje dostęp do rządu centralnego i jeżeli ten rząd sankcjonuje swoją powagą tego rodzaju projekty, to jak na to patrzeć ma naród polski, któremu manifest październikowy zagwarantował na równi z innymi ludami państwa *poszanowanie prawa*?

Bez Dumi Państwowej, bez przedstawicielstwa w niej Polaków, tego rodzaju sprawy, gdyby nawet miały za sobą jakąkolwiek dozę słuszności, nie mogą być rozpatrywane, gdyż nietylko prawa zasadnicze wchodzą tu w grę, ale cały zakres stosunków prawno-prywatnych, na których oparta jest organizacja życia społecznego i ekonomicznego, stosunków, które wyodrębniają Królestwo Polskie od Cesarstwa rosyjskiego tak dalece, że bez udziału ludności tego Królestwa i bez dobrowolnej jej zgody na to, nie można poważnie *mówić* o oddzieleniu całej połaci kraju, a cóż dopiero o wykonaniu tak fantastycznego projektu . . .

Jaki więc był cel i charakter istotny narady petersburskiej? Chyba zwołano ją dla otworzenia oczu i uświadomienia „prawdziwych Rosyan.“

*

*

*

Ukazała się w Warszawie odezwa w sprawie założenia biura informacyjnego dla emigrantów Żydów.

Jest to sprawa zbyt ważna i zbyt obchodząca cały ogół polski, aby nie zwrócić na nią bliższej uwagi.

„Z całą świadomością stanu ekonomicznego naszego kraju — mówią inicjatorowie biura — przystępujemy do utworzenia nowej instytucji społecznej. W tych czasach wzmożonych potrzeb społecznych, tem pilniej i skrzętniej wpatrzeć się musimy w tętno czasu i jego wymagań. Nowoutworzona placówka, która powstaje

w formie towarzystwa, zajmującego się sprawami emigracyi, stanowi jedną z najbardziej palących kwestyj doby obecnej, pod każdym względem anormalnej.“

Dalej następuje uzasadnienie tej anormalności, malujące w sposób jaskrawy położenie proletaryatu żydowskiego, który po krwawych pogromach, jakich widownią był cały szereg miast w obrębie imperium rosyjskiego, rzucił się ku masowej emigracyi.

W ostatnim roku — mówi odezwa — emigrowało z Rosyi ćwierć miliona żydów. Cyfra wprost nieprawdopodobna, a ruch wcale nie słabnie. Przytem trzeba zaznaczyć, że wedle cyfr biur emigracyjnych amerykańskich są oni między emigrantami wszystkich krajów najbiedniejsi. Czy wolno więc nam pozostawić te rzesze nędzarzy najbiedniejszych bez opieki, bez wskazówek, na los szczęścia i niedoli? Czyż trzeba tu długo dowodzić, że niezbędnem jest dla emigrantów poznanie warunków ich przyszłego bytu, oraz tych, jakie są wymagalne, aby się bez przeszkód ze strony rządów dostać mogli do krajów, do których dążą. Poza-tem niemniej ważnem jest, by emigranci, w większości nędzarze, którzy wyprzedali się z ostatniej chudoby, w jaknajtańszy sposób mogli się dostać na miejsce przeznaczenia. Jeżeli się nad tem wszystkiem zastanowimy i przyjrzymy się aspirantom do emigracyi, którzy o tem najmniejszego nie mają pojęcia i skazani są na korzystanie z surogatów informacji, jakie przygotowują dla nich rzesze wyzyskiwaczy, opłacanych przez zarządy różnych towarzystw żeglugi, lub inne hyeny, żyjące z obdzierania i okradania trupów, to przed naszymi oczami roztoczy się obraz straszny i tragiczny. Ludność, zmuszona do emigracyi, to przeważnie proletaryat najbiedniejszy, to ludzie bezdomni, bez dachu nad głową, zawieszani w przestrzeni między niebem a ziemią, odepchnięci zarówno przez tych, którzy ich wpuszczają niechęcią, jak i przez tych, których dopiero co opuścili.

Z pośród emigrantów żydowskich w Rosyi tysiące odbywają daremne wędrówki kosztem zdrowia i ostatniego grosza, by temi samymi okrętami, które ich przywiozły — powrócić dla tego tylko, że nie znały przepisów, jakie np. Ameryka wydała dla emigrantów i bez których spełnienia żaden emigrant na ląd nie jest wpuszczony. Życie takiego biedaka, często obciążonego rodziną, skazanego teraz na powrót do Europy, jest zupełnie zmarnowane. Wyzuty z ostatniego mienia po stracie tej deski zbawienia, którą mu przyświecała nadzieją lepszej przyszłości w wymarzonym kraju, do którego kosztem tylu ofiar się wybrał, traci teraz wszelką energię i jest skazany na wieczną tułaczkę, jako włóczęgu

bezdolny, a jeżeli to są bezsilni starcy, słabe kobiety lub nieletnie dzieci, to nędza takich rodzin opisać się nie da i pomoc społeczna nieraz, z powodu tych wyjątkowych warunków, jest uniemożliwiona.

Wobec tego stanu rzeczy — kończy odezwa — nie dziw, że wprowadzany w czyn utworzenie Warszawskiego biura informacyj dla emigrantów. Biuro warszawskie będzie w kontakcie z wszystkimi takimi biurami, istniejącymi w Rosyi i zagranicą, w miastach granicznych i portowych, oraz możliwie z miejscowościami, do których emigracja się kieruje. Biuro prócz informacji najściślejszej, zaopatrzy emigrantów w książki popularne o krajach i słowniki języków obcych tych krajów, dokąd emigranci dążyć będą, oraz w certyfikaty, polecające do biur takich samych, znajdujących się po drodze.

Nie wyczerpawszy jednak wszystkich funkcyj, które biuro warszawskie spełniać może i powinno, wspomnieć należy o stosunku jego z filiami, które założy w granicznych punktach Królestwa, jak w Sosnowcu, Częstochowie, Kaliszu, Aleksandrowie i Mławie.

Określając bliżej stosunek zasadniczy biura do emigracji, odezwa podkreśla, że biuro nie będzie dawało emigrantom żadnych zasiłków pieniężnych, a to z dwóch względów, raz dla tego, że nie chce zachęcać ludzi do emigracji, którą uważa za zło konieczne, ale nie za uzdrowienie społeczeństwa, powtóre, że w biednym i wyczerpanym kraju w tej chwili byłoby niepodobieństwem zdobyć fundusz na cel taki.

Poruszona tu została kwestya, jak powiedzieliśmy wyżej, obchodząca cały ogół polski.

Sprawa wychodźstwa żydów nie była dla nas nigdy obojętna, tem większe zaś budzić musi zajęcie dzisiaj, kiedy prądy asymilacyjne znacznie osłabły i widocznie dążą do zupełnego zaniku. Nie możemy tego przeczczać. Już ruch syonistyczny otworzył nam oczy na kwestyę żydowską, która przez szereg lat uchodziła, jakby za rozwiązana. Separatystyczne dążenia Żydów wyszły jednak na jaw z całą siłą dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy pod wpływem prądów wolnościowych obudził się nacjonalizm żydowski w formach zupełnie niespodziewanych. Dzisiaj nie można już mieć żadnych co do niego złudzeń. Będzie on wzrastał i rozwijał się stale i spotkać się musi z natury rzeczy z silnym odporem ze strony społeczeństwa polskiego. Zachodzą nawet poważne obawy co do tego, że w kraju naszym, w którym dotychczas nie było objawów antysemityzmu we właściwym znaczeniu,

teraz powstanie ruch antysemicki. Nie będzie to zjawiskiem pożądanem, ale będzie zjawiskiem naturalnem, bo współżycie nasze z Żydami staje się coraz trudniejsze i ani nasza kultura, ani hasła humanitarne, które wyznajemy, nie zdołają powstrzymać budzącego się ruchu. Rozumieją to już dzisiaj inteligentni przedstawiciele żydostwa polskiego i prawdopodobnie z ich właśnie inicjatywy powstaje biuro informacyjne dla Żydów emigrantów.

Nie należymy do zwolenników bezwzględnych emigracji, zwłaszcza zaoceanowej, uważamy ją tak samo, jak inicjatorowie biura, za *zło konieczne*, ale wydaje nam się, że właśnie to *zło konieczne* jest dziś jedynym punktem wyjścia zarówno dla Żydów, jak i dla społeczeństwa polskiego. Emigracja w tym wypadku będzie bowiem tą kląpą bezpieczeństwa, która uchroni kraj od głębszych wstrząśnień i od niekulturalnej walki, jaka pomiędzy dwoma żywiołami sprzeczными sobie zasadniczo z rasy, z temperamentu i z dążeń politycznych, powstać może.

Statystyka wykazuje, że stosunek procentowy ludności żydowskiej do polskiej w miastach jest już dzisiaj taki, że zgodne współżycie Żydów z Polakami w ramach nowego ustroju samorządowego, mogłoby nastąpić tylko i jedynie na podstawach szerokiego programu asymilacyjnego. Tymczasem program ten prowadzący mas żydowskich potępiają i odrzucają — jedni w imię hasła syońskich, inni w imię hasła socjalistycznych. Usposobiona asymilacyjnie mniejszość, jest mniejszością tak znaczną, że wpływ jej na ukształtowanie się stosunków będzie żaden. Nie ulega zatem wątpliwości, że pomiędzy ludnością żydowską a polską wynikną z czasem przeciwieństwa, jakich dotychczas nie było. Zapowiedzią tego jest już obecne stanowisko, jakie zajęli Żydzi w wyborach wiosennych i jakie prawdopodobnie zajmą jeszcze niejednokrotnie, zwłaszcza w walce o mandaty do rad miejskich. Separatyzm będzie wzrastał, nieprzyjaźń będzie się pogłębiała.

Nie jest to pożądane dla kraju i dla tego w jednakowym stopniu rozumni Polacy i rozumni Żydzi powinni zawczasu zastanawiać się nad tą kwestyą i dążyć do załagodzenia tych ostrych jej stron, jakie już dziś zarysowywać się muszą w wyobraźni każdego człowieka, myślącego politycznie.

W interesie narodu polskiego i w interesie ludu żydowskiego leży przedewszystkiem normalniejszy rozkład ludności żydowskiej w obrębie państwa rosyjskiego. Zniesienie linii osiedlenia i praw ograniczających doraźnie sprowadzą skutek pomyślny — nie ulega bowiem wątpliwości, że wówczas kilkaset tysięcy Żydów z Królestwa i drugich kilkaset z Wołynia i Litwy osiadłoby w Rosyi

środkowej. Nie będzie to jednak rozwiązaniem kwestyi, zwłaszcza, że niema jeszcze żadnej pewności co do tego w jakich granicach rząd nada równouprawnienie Żydom i kiedy to równouprawnienie wprowadzi w czyn.

Poważną więc sprawą jest unormowanie stałego odpływu nadmiaru ludności żydowskiej, nie tylko na dzisiaj, ale i na przyszłość.

Emigracya, umiejętnie pokierowana, otoczona rzeczywistą opieką społeczeństwa, niezależna od sporadycznych wybuchów strachu panicznego, nie powodowana, jak obecnie pogromami barbarzyńskimi, ale oparta na zrozumieniu wywołujących ją głębszych czynników natury ekonomicznej i politycznej, może w tym względzie oddać ogromne usługi.

W wypowiedzeniu się za tą emigracją powodujemy się wyłącznie i jedynie interesami kraju, który mając nadmiar ludności żydowskiej, musi myśleć o tem, aby w dobie zaostrzenia się stosunków narodowościowych, uniknąć wszystkiego co może te stosunki zaognić. Zatrzymani w swoim rozwoju kulturalnym, musimy wyteżać teraz wszystkie siły, aby iść naprzód, aby kraj nasz nie był nigdy widownią takich zapasów, jakie niszczą siły wewnętrzne, wyczerpują energię i cofają narody kulturalnie. Za taki czynnik rozkładowy w naszym życiu uważalibyśmy wybuch i rozszerzenie się ruchu antysemitckiego, który w stanie potencjalnym już tkwi w niektórych odłamach naszego społeczeństwa. Zapobiedz temu, aby się ta energia nagromadzona mogła kiedykolwiek swobodnie wyładować, stanowi jeden z najpierwszych obowiązków tych, co kierują masami. I dla tego przedewszystkiem prasa polska i żydowska powinny tę sprawę omawiać zupełnie szczerze, od gruntownego bowiem jej oświetlenia zależy gruntowny sąd o rzeczach, które ani dla jednej, ani dla drugiej strony nie są obojętne.

Biuro emigracyjne, uczyniło też bardzo dobrze, publikując i rozpowszechniając szerzej swoją odezwę. W Polsce nie powinna ona przejść bez śladu, ale wywołać poważną dyskusję na temat „zła koniecznego,“ które może się okazać dobrą i zbawienną akcją zapobiegawczą i uzdrawiającą.

NASZE STRATY.

W chwili największego napięcia walki o język polski przy wykładzie religii w szkołach poznańskich, zmarł nagle w dn. 24 listopada r. b. ks. arcybiskup Floryan Stablewski.

Działalność jego, jako najwyższego dostojnika kościoła katolickiego i obrońcy polskości w dzielnicy, która zmagą się z naporem fali germańskiej, była tak wielostronna i taką posiadała doniosłość polityczną, że należyta jej ocena może być dokonana tylko w ramach specjalnego studyum, uwzględniającego całokształt życia polskiego w zaborze pruskim. Odkładając też na później dokładną charakterystykę postaci zmarłego arcybiskupa, poprzestajemy na razie na przytoczeniu najważniejszych dat z jego życia, pełnego zasług.

Ks. arcybiskup Floryan Stablewski urodził się w r. 1841 w zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Nauki gimnazyjalne odbywał w Trzemesznie, poczem wstąpił do seminarjum duchownego w Poznaniu, skąd przeniósł się na wydział teologiczny do Monachium, gdzie też uzyskał stopień naukowy d-ra Ś-tej Teologii. W r. 1866 przyszedł prymas Polski zajął skromne stanowisko wikaryusza w Śremie. Jednocześnie wykładał religię i język hebrajski w tamtejszem gimnazjum.

W r. 1873 z powodu odmowy wykładu religii w języku niemieckim, usunięty został od tych obowiązków, poczem otrzymał probostwo we Wrześni. Z tego stanowiska wola narodu powołała go w r. 1876 do sejmu pruskiego, gdzie zajął krzesło poselskie z gorącą chęcią służenia sprawie ojczystej. Obowiązki te pełnił przez lat 15.

W r. 1880 ks. poseł Stablewski mianowany został tajnym szambelanem Ojca Świętego, w r. 1889 protonotaryuszem apostolskim, wreszcie w r. 1891 zajął opróżnioną po arcybiskupie Dinderze stolicę gnieźnieńsko-poznańską. Na tem trudnem, niesłychanie ciężkiem i odpowiedzialnem stanowisku przebył lat 15, zjednaawszy sobie, zwłaszcza pod koniec życia, po pozbyciu się wszelkich złudzeń politycznych, które przez pewien czas, pod wpływem panujących prądów „ugodowych,” zaćmiły jego sąd o niektórych sprawach—hold i uznaniu współczesnych. Ostatnią, widomą oznaką czci, jaka otaczała arcybiskupa, było złożenie mu przez Księstwo Poznańskie gorącego podziękowania za słynny okólnik w sprawie nauki religii, oraz zbiorowy adres biskupów ga-

licyjskich. Śmierć jego wywarła przygnębiające wrażenie w całej Polsce, a sprawa obsadzenia wakującej po nim stolicy arcybiskupiej stała się pierwszorzędną sprawą polityczną chwili obecnej, nie ulega bowiem wątpliwości, że rząd pruski pragnie widzieć na tem stanowisku—Niemca.

*

*

*

Jednocześnie niemal zmarł w Krakowie ś. p. Julian Klaczko, znakomity publicysta i krytyk estetyczny i literacki.

Była to postać ze wszech miar wybitna, zasługująca również na głębsze i wielostronne oświetlenie, co też postarany się niebawem uczynić.

Ś. p. Julian (Judel) Klaczko pochodził z rodziny żydowskiej. Urodził się w Wilnie, w r. 1825, czyli w epoce, w której Żydzi litewscy pozostawali jeszcze całkowicie pod wpływem kultury polskiej.

Młody Judel, już jako kilkunastoletni chłopiec, zwrócił na siebie uwagę niezwyklej zdolnościami. Jego po polsku i po hebrajsku pisane wiersze zjednały mu szybko rozgłos, co też pełnęło go na drogę poważnych studyów. Studya te odbywał Klaczko w uniwersytecie Królewieckim, a po ich ukończeniu, porwany ruchem lat czterdziestych, służył sprawie polskiej, jako agent dyplomatyczny. Zmusiło go to w następstwie do emigracyi. Osiadłszy na stałe w Paryżu, Klaczko zbliżył się tam do hotelu Lambert, a zawiązawszy stałe stosunki ze stronnictwem Czartoryskich, był współredaktorem „Wiadomości polskich.“ Tam ukazały się też najświetniejsze jego artykuły publicystyczne, odznaczające się zwłaszcza formą, posuniętą do prawdziwej maestryi. Jednocześnie zdobył sobie Klaczko imię w piśmiennictwie francuskim, zamieszczając w *Revue des deux mondes* niepospolite artykuły, a że przedtem już pisywał także po niemiecku, więc jednocześnie wszedł do trzech literatur, w każdej z nich pozostawiając trwałe po sobie ślady.

Powołany w r. 1870 przez austryackiego ministra spraw zagranicznych, Beusta, przez czas jakiś brał Klaczko udział w polityce czynnej, poczem był także posłem do Sejmu Galicyjskiego i do Rady Państwa (1873). Rychło jednak powrócił do Paryża, aby tam oddać się całkowicie umiłowanym studyom estetycznym („Wieczory florenckie,“ „Juliusz II“). Dopiero w r. 1888, na przełomie wieku męzkiego z wiekiem starczym, ulegając namowom jednego z najbliższych swoich przyjaciół, Stanisława hr. Tarnowskiego, osiadł na stałe w Krakowie.

Zmarł dn. 25 listopada r. b., dobiegłszy 81 lat życia.

*

*

*

Również w Krakowie zmarł dn. 27 listopada r. b. jeden z najwybitniejszych współczesnych prawników-historyków polskich, ś. p. Franciszek Ksawery Pakosz-Piekosiński, profesor Uniwersytetu i członek Akademii Umiejętności w Krakowie.

Piekosiński urodził się w r. 1844 w Wiercanach w pow. tarnowskim i w Tarnowie ukończył gimnazjum. Studya uniwersyteckie odbywał w Krakowie na wydziale prawnym, który ukończył ze stopniem doktorskim. Zajmując się prawem polskim i jego historią, Piekosiński z konieczności musiał zaznajomić się bliżej z archiwami krajowemi i to rozbudziło w nim takie zamiłowanie do historii wogóle, iż kierunek prawno-historyczny obrał sobie za specjalność, a potem w zupełności przerzucił się na pole dociekań historycznych. Interesowały go szczególnie dwie rzeczy—numizmatyka i heraldyka, pozostająca w związku z jego hipotezami o pochodzeniu szlachty polskiej.

Poczet dzieł naukowych Piekosińskiego, które zjednały mu trwałe imię w nauce współczesnej, jest bardzo długi. Do najcenniejszych należą następujące: „Moneta i stopa mennicza w Polsce w 14 i 15 wieku,“ „Wiadomości o wykopalisku krakowskiem monet Kazimierza Wielkiego,“ „Społeczeństwo polskie w wiekach średnich,“ „Sądy wyższe prawa niemieckiego w Polsce,“ „Lany polskie w wiekach średnich,“ „O dynastycznem szlachty polskiej pochodzeniu,“ „Obrona hipotezy majazdu, jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego,“ „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiej“ i w. innych.

Niemaló też zasługi położył prof. Piekosiński, jako wydawca nowych, nieznanych źródeł historycznych. Pod jego redakcją wyszły mianowicie „Pomniki dziejowe wieków średnich: Kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiej, Kodeks dyplomatyczny Małopolski, Prawa, przywileje i statuty miasta Krakowa, oraz Najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa od r. 1300 do 1400.“

Wszystko to świadczy o niezmordowanej pracy uczonego. Praca ta nadszarpała też przedwczesnie organizm człowieka, który poza nauką nic nie widział i oddany jej całkowicie, życie spędził wśród ksiąg i rękopisów. Jego hipotezy naukowe w swoim czasie uczyniły imię profesora krakowskiego rozgłosnem. Nie ostaly się one wprowadzić pod ostrym skalpelem krytyki, która zarzucała im zbytnią fantastyczność, ale wniosły do nauki niejedno zapatrywanie nowe i świeże, oparte na umiejętnem wyzyskaniu źródeł. Nauka polska poniosła też przez śmierć ś. p. Piekosińskiego stratę dotkliwą, bo ubył jej jeden z tych, co ją popychali naprzód.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Dnia 26 października b. r. odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki pod przewodnictwem prof. d-ra *Maryana Sokolowskiego*.

Przewodniczący poświęcił na wstępie gorące wspomnienie jednemu z najczynniejszych współpracowników Komisji historii sztuki, niedżałowanej pamięci Hieronimowi Łopacińskiemu, który zmarł w sierpniu b. r. w Lublinie z powodu następstw nieszczęśliwego wypadku. Śmierć zabrała zdrowego i młodego jeszcze człowieka, który życie swoje oddał w ofierze na usługi nauki. Ś. p. prof. Hieronim Łopaciński był z zawodu sławistą, mając jednak umysł bystry i niezwykle żywy, interesował się także innymi dziedzinami wiedzy, zwłaszcza historią sztuki, którą wzbogacił kilkoma cennymi rozprawami. Praca jego i komunikaty, ogłaszane w Sprawozdaniach Komisji, a zawsze na archiwalnym materiale oparte, odznaczały się sumiennością i erudycją. W zmarłym traci Komisya dzielnego i pełnego zapалу współpracownika.

Następnie prof. d-r M. Sokolowski zapoznał Komisję z nowymi i nader interesującymi rezultatami, do których doszedł p. *Czekierski*, badając kosztem Komisji zabytki sztuki na Mazowszu. Pan Czekierski zbadał i opisał w tym roku kościoły w Łomży, Szczepankowie, Wiźnie, Niedźwiadnej, Broku i Pułtusk. Są to piękne gotyckie budowle, na których znać silny wpływ krzyżackiej architektury. P. Czekierski zwraca baczną uwagę także i na zabytki przemysłu artystycznego. W Pułtusk znalazł piękny gotycki pacyfikal i przepyszne kielichy i herny, które mają dużą wartość artystyczną, a w Szczepankowie romański krzyż emaliowany, pochodzący z oprawy ewangeliarza. Referat ilustrowany był doskonałemi fotografiami, wykonanemi przez p. Stefana Zaborowskiego. Z kolei p. *Nikodem Pajzderski* referował o kościele na Zdzieżu pod Borkiem w Ks. Poznańskim. Budowę rozpoczęto w 1635 r. dzięki ofiarności Stanisława Przyjemskiego a poświęcono ją w 1655 r., choć w zupełności ukończoną nie była. Architekt włoski, nieznanym. Architektura z tego względu

ciekawa, że wykazuje ślady studyów nad budownictwem średniowiecznym północy w epoce baroku. Piękne dekoracye stylowe wnętrza pochodzą z różnych epok, począwszy od baroka aż do empire i są prawdziwą ozdobą kościoła, jak również sprzęty stolarskie, które chlubnie świadczą o wysokim poziomie artystycznym naszego rzemiosła w 1710 r. Kościół ten był licznie odwiedzany przez pielgrzymki z całej Polski i nosił z tej przyczyny miano: „Częstochowy wielkopolskiej.“ W dyskusyi nad referatem p. Pajzderskiego zabierali głos prof. dr. J. hr. Mycielski i prof. dr. M. Sokołowski.

P. *Franciszek Klein* podał wiadomość o dwóch architektach — na podstawie rękopisu z XVI w., znajdującego się w archiwum klasztoru kalwaryjskiego, — którzy budowali kościół Ś-go Piotra w Krakowie. Pierwszy z nich, Jan Maria Bernardoni, Jezuita, robił plany kościoła i klasztoru w Kalwaryi Zebrzydowskiej. Drugi, Paweł Baudarth, objął po Bernardonim kierownictwo fabryki kalwaryjskiej i krakowskiej. Jest to osobistość ciekawa, gdyż obok architektury i zdobnictwa, uprawiał jeszcze... dentystykę.

Wreszcie prof. dr. *Wiktor Czermak* wyjaśnił znaczenie historyczne dwóch obrazów z XVII w., których fotografie nadesłał Komisji prof. Linniczenko z Odessy. Obydwa te obrazy, pochodzące z zamku Mniszechów w Wiśniowcu, nie mają wartości artystycznej; jeden z nich przedstawia nadanie tytułu hrabiowskiego rodzinie Mniszechów, rzekomo jeszcze przez ces. Karola V, a drugi jest satyrą na Rplą polską à propos rokoszu.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA. Nowa... uniwersalna r. XX, s. II, zesz. 390. I. Dębicki: Portrety i sylwetki z XIX w., ser. II, t. II; — St. Dobrzycki: Z dziejów literatury polskiej; — A. Krzyżanowski: Pasierby, powieść.

Zeszyt 391. I. Dębicki: Portrety i sylwetki z XIX w., ser. II, t. II; — St. Dobrzycki: Z dziejów literatury polskiej; — A. Krzyżanowski: Pasierby; — Fr. Coppée: Dobrze cierpienie. Nowele.

— CZASOPISMO PRAWNICZE I EKONOMICZNE. Organ wydziału prawa i administracyi Uniw. Jag. oraz Tow. prawniczego i ekonomicznego w Krakowie. Naczelný redaktor: dr. Fr. Ksawery Fierich, prof. Uniw. Jag. Kraków, nakł. Tow. prawn. i ekonom., 1906, zeszyt I. M. Rostworowski: Prawno-administracyjna strona budżetów Królestwa Kongresowego (1816—1830); — Krytyki i sprawozdania: I. Skarbowość, przez d-ra Jerzego Michalskiego; — II. Administracya, przez tegoż i M. R.; — III. Prawo cywilne, przez Dawida Silbigera; — IV. Filozofia prawa, przez Makarewicza; — V. Prawo karne, przez tegoż; — Polemika.

— Eos. Rocznik XII, zeszyt I. Morawski C.: De Propertii Tibuli Ovidii sermone observationes aliquod; — Sinko Th.: De Homero Aegyptio; — Tenże: O rękopisach mów św. Grzegorza z Nazyanu w paryskiej Bibliothéque Nationale; — Schneider St.: Prastare bóstwa greckie *Βασίλεια* i *Βασίλειος*; — Blatt G.: Z dziejów badań gramatycznych; — Miodoński A.: Ad Cullinnum

Geminianensen;—Γρασιως B.: 'Αναστασια;—Miscellanea, recenzye, sprawozdania, zapiski.

— KOSMOS. Zeszyt III. Protokół XXXV walnego Zgromadzenia Tow. im. Kopernika;—St. Tołoczko: Rzut oka na powstanie i rozwój elektrochemii współczesnej;—H. Głusiorowski: Ślady glacyalne na Czarnohorze, z mapką i 3 tabl.;—B. Dybowski: Żęby zwierząt ssących, cz. III z 12 rysunkami;—Hryniewicz Br., Mieczński K., Raciborski M.: Nasze piśmiennictwo botaniczne w r. 1904;—Sprawozdania z literatury przyrodniczej podali: J. Dziędzieliewicz, J. Młodowska, J. Bury, M. Konopacki, J. Hirscher, M. Łomnicki, J. Nowak, W. Rogala, K. Ciesielski i S. Opolski;—Zjazd górników polskich. (Ogłoszenia).

— KRONIKA DYECZEZYI PRZEMYSKIEL. Pismo dyeczezyalne, zesz. 1—4, 1906, Przemysł, druk. „Udziałowa.“

— KRYTYKA r. VIII, zesz. VIII—IX. Sierpień, Wrzesień, 1906, (f): Z wakacyi;—Edw. Leszczyński: Gdy w mogiłę zanikną ciemną;—W. F.: Czterdziestolecie Elizy Orzeszkowej;—Dr. Józefa Kodisowa: Filozofia nowo-krytyczna;—Tad. Dąbrowski: Juliusza Słowackiego „Samuel Zborowski;“—Andrzej Strug: Zmora;—Dr. Wl. Gumplowicz: Socjalizm a kwestya polska;—T. Miciński: Książ Potiomkin, dramat;—Bazyli: Obrona filistra;—Międzynarodowa ankietta w sprawie polskiej (głosy pp. d-ra Fr. Drtiny, prof. uniw. w Pradze; Anatola Leroy-Beaulieu, czł. ak. franc.; Cezara Loňbroso, prof. uniw. w Turynie; A. Meilleta, czł. akad. franc.; d-ra Alfreda Nossiga, literata w Berlinie; Edm. Piccarda, senatora w Brukseli; d-ra C. Trylowskiego, prezesa tow. „Narodna Wola“ w Kołymii);—K. Romin (R. Minkiewicz): O pełni życia i o komunie duchowej;—Przegląd prasy polskiej i obcej;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— LUD. Organ Tow. ludoznawczego pod redakcyą Józefa Kallenbacha, t. XII, zesz. II. J. Leciejowski dr.: Antoni Kalina, wspomnienie pośmiertne;—Władysław Hiekel: Malowanki ludowe w powiślu dąbrowskiem;—Stanisław Czaja: Zapusty, z ryciną;—Stanisław Maykowski: Lud w poezyi M. Konopnickiej;—Dr. W. Bruchnalski: Emilia Platerówna, jako folklorystka;—Krytyka i sprawozdania przez d-ra M. Janika i M. Tretera;—Sprawy Towarzystwa;—Polemika.

— MUZEUM POLSKIE. Zeszyt V. Julian Pągaczewski: Thorwaldsen, z ryciną w tekście; tablice: Thorwaldsen, Chrystus;—Tenże: Pomnik Włodzimierza Potockiego;—Tenże: Pomnik Józefy Dunin-Borkowskiej;—Hans Pleidenwurf (?): Chrystus między uczonymi. Kielich z daru Stanisława Ligęzy.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Wrzesień, Październik. Ignacy Stein: Porównania i przenośnie (dok.);—Zapytania i odpowiedzi;—Roztrząsania (jeszcze o zapoznać = niem. verkennen, przez H. Lichtebauma);—Pokłosie (M. Straszewskiego: Filozofia św. Augustyna, przez Ad. Mahrburga);—Z językoznawstwa obcego (dok.), przez Mikołaja Rudnickiego;—Rozmaitości (Gazeta Polska w obronie języka ojezystego);—Od Redakcyi.

— PRZEGLĄD POLSKI. Zeszyt II. Sierpień. Ks. Fr. Starowiejski: Z dziejów stolicy św. za pontyfikatu Piusa VIII, 1829—1830;—Żaby, komedya Ary

stofimesa, z greckiego oryg. przetłómaczył Edmund Cięglewicz; — A. E. Bali-
cki: Żywoć starego żołnierza, karta twórczości Teofila Lenartowicza; — Dr. B.
Dembński: Przed Wielkim sejmem; — Sprawy krajowe XLII; — Dr. Stan. Tom-
kowiec: Restauracya Zamku na Wawelu; — Kronika literacka; — Muzyka w Kra-
kowie, przez W. Noskowskiego; — Przegląd polityczny, przez „*“; — Stanisław
Tarnowski: Roman hr. Michałowski, wspomnienie pośmiertne.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Zeszyt 9. Wrzesień. Ks. Albert Candamin
T. J.: Kwestye egzegetyczne w ostatnich dziesięciu latach; — Ks. Wł. Szczepań-
ski: W Arabii skalistej; — M. Paciorekiewicz: Bossuet i Fenelon; — Ks. J. Urban
T. J.: Statystyka katolicyzmu w państwie rosyjskiem, dok; — T. Wodzicka:
Z twórczości francuskiego pastora; — Przegląd piśmiennictwa, przez Maryana
Bartynowskiego, ks. Wiktora Wieckiego T. J., ks. d-ra A. Pechnika, ks. Erne-
sta Metzla T. J., M. Harsdorf, E. M. T. J., d-r. A. B., T. W.; — Sprawozdanie
z ruchu religijnego, naukowego i społecznego, przez ks. Wiktora Wieckiego
i d-ra Zyg. Gargasa.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Zeszyt VIII. Sierpień. Dr.
Bronisław Łoziński: Prawne i moralne horoskopy socjalizmu, dok.; — Podróże
królewicza polskiego, wyd. Al. Kraushar; — Fr. Rawita-Gawroński: Poselstwo
Bieniewskiego od śmierci Chmielnickiego do umowy Hadziackiej; — Dr. T.
Troskołowski: Andrzej Radwan Zebrzydowski; — Listy Kazimierza Brodzińskiego
do stryjecznej siostry, Szezęsnej, wydał Al. Łucki; — Pamiętnik Napoleona
Sierawskiego, dok.

— RODZINA I SZKOŁA. Lipiec i Sierpień. Odezwa do P. T. pp. nauczy-
cieli seminaryów nauczycielskich; — Antoni Potocki: Wychowawcze zadania
ogółu; — Z. Morawski: Prądy obyczajowe przeszłe i terażniejsze; — Mik. Hara-
szkiewicz: Widokówki; — A. Kowalski: Kłamstwo; — P. Klimczak: Z tragedyi
duszy dziecka, I. Policzek; — Edw. Pawłowski: Czy język niemiecki ma być
w naszych seminaryach nauczycielskich obowiązkowym czy nadobowiązkowym
przedmiotem nauki? — Z. Morawski: W sprawie kwalifikacyj nauczycieli głów-
nych seminaryów nauczycielskich; — M. Dubaj: Pauzy i ich znaczenie w szko-
le; — E. Pawłowski: Uwagi o artykule p. Askaniewicza „W sprawie reformy
seminaryów nauczycielskich“; — Wojciech Mączka: Nauka dopełniająca w na-
szych szkołach ludowych; — E. Pawłowski: Najwyższa, dozwolona liczba uczniów
w jednej klasie oraz klasy równorzędne w naszych seminaryach nauczyciel-
skich; — Katochizm ulepszone; — Z. Morawski: Z rozmyślań o szarej godzinie,
I. Delikatność; — Dr. W. Markstein: O słabościach infekcyjnych; — Choroby ócz
Meningitis; — M. H.: Kronika naukowa; — Z piśmiennictwa; — Rozmaitości.

W dodatku „Wiedza i praca.“ Z. Morawski: Wprowadzenie najważniej-
szych naszych roślin pokarmowych; — J. Czarnecki: Jubileusz brzeżański; — T. M.
Rafiński: Przegląd ważniejszych wypraw w celu badania morza; — Rozmaito-
ści; — Ogłoszenia.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI, t. II. Wrzesień. A. Grzymała-Siedlecki: Rozwój
teoryj rewolucyjnych w Rosyi w XIX w.; — Jaroslav Goll; — St. Wronski: Ko-
respondencya z Petersburga; — Fr. Morawski: Niemieckie nerwy; — Przegląd pra-
sy słowiańskiej; — Recenzye i sprawozdania; — Bibliografja rosyjska; — Kronika.

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE pod redakcją d-ra Feliksa Kopery. Inwentarz wielkorządów krakowskich, wydał K. Marcinkowski (c. d.);—Zieliński J. i Gustaw: Dadler Sebastian;—Dr. Feliks Kopera: Materyały do inwentaryzacji zabytków sztuki i kultury w Polsce (c. d.);—A. Czerwiński: Nieznany ort koronny z 1618 i dukat gdański z 1627 r.;—M. Gumowski: Wykopalisko monet w Goślinie;—Walery Kostrzębski: O denarach Słowian, zwanych Wendyjskimi (c. d.);—Nowy medal (na cześć Władysława Bartynowskiego).

— ZEITSCHRIFT der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen... herausg. von Dr. Rodger Prümers. Der Bromberger Staatsvertrag zwischen dem Kurfürsten Friedrich Wilhelm von Brandenburg und dem Könige Johann Kasimir von Polen im Jahre 1657. Vom Oberlehrer Dr. Friedrich Koch in Bromberg: Visitationen der evangelischen Kirche in Lissa durch den Bischof von Posen. Von Teodor Wilhelm Bickerich zu Lissa: Der Feldzug Friedrich Barbarossas gegen Polen (1157) in der Darstellung der deutschen, böhmischen und polnischen Quellen. Von Seminar-director Hans Braune zu Schwerin a. W.: Die Geschichte der evang. Gemeinde zu Meseritz bis zu dem Verluste ihres Gotteshauses 1604. Von Lic. Dr. Teodor Wotschke zu Santomischel: Die letzten städtischen Privilegien de non tolerandis Judaeis in der Provinz Posen. Von Dr. Manfred Laubert zu Posen.

— EKONOMISTA. Tom II, zesz. III. Dr. E. Bujak: Historia stosunków gospodarczych (wykład wstępny wypowiedziany 15 listopada 1905 roku w Uniwersytecie Jagiellońskim);—C. Łagiewski: Kredyt krótkoterminowy dla rolników;—Z. Grotowski: Rozwój instytucyj dobroczynnych w Warszawie (c. d.);—J. Kucharzewski: Socjalizm prawniczy;—Kronika ekonomiczna;—Ruch cen i kursów;—Kronika współdzieleza;—Rozbiory i sprawozdania;—Przegląd czasopism;—Bibliografia.

— KRYTYKA. Październik (f). Et tu Austria?—Wł. Orkan: Sąd Boży. Krwawy strumień. Na rozstaju (poezye);—A. Śliwiński: Nowele i powieści;—T. Miciński: Książ Patiomkin (dramat);—L. Eminowicz: Poezye;—Andrzej Strug: Zmora;—Dr. Wł. Gumpłowicz: Socjalizm a kwestya polska;—Międzynarodowa ankieta w sprawie polskiej (głosy pp. G. N. Barnes, członka Izby gmin w Londynie, Tankreda Canonico, wiceprezydenta senatu w Rzymie, Wł. Kusznira, redaktora pisma „Ukrainische Rundschau“ w Wiedniu, Edw. R. Pease, sekretarza „Tow. fabianów“ w Londynie);—Z miesiąca;—Sprawozdanie naukowe i literackie.

— MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ. Październik. Po walnem zgromadzeniu;—M. C.: Lwów i powiat lwowski;—P. Moss: O potrzebie pielęgnowania pieśni narodowych;—D. M. O.: Szkolnictwo na Śląsku austr.;—J. P.: Uniwersytet ludowy w Warszawie;—Bartosz: Tematy do pogadanek. Opusty od podatku gruntowego z powodu szkód element.;—Kronika;—Kalendarz rocznic narodowych;—Dział sprawozdawczy T. S. L.

— MUZEUM. Wrzesień. Nasza szkoła średnia, krytyka jej podstaw i konieczność reformy;—Jordan H., Dr.: Warsztat dla uczniów szkół średnich w Krakowie;—Lomnicki J.: O potrzebie zmiany w planie i sposobie nauki hi-

stoyri naturalnej w naszej szkole średniej; — Oceny i sprawozdania; — Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Sprawy Tow. naucz. szkół wyższych.

— NOWE TORY. Wrzesień. A. Szyćówna: Historia nauczania języka polskiego; — J. Moszczeńska: Nauczanie zdolnych dzieci; — M. Hertzberżanka: Znaczenie atmosfery rodzinnej w wychowaniu dzieci; — Z. Nagorski: Wolna szkoła; — R. S.: W sprawie planów szkolnych; — St. Sempołowska: Wczoraj i jutro w wychowaniu; — J. Moszczeńska: Ze zjazdu nauczycieli w Monachium; — Kwestyonaryusz w sprawie pracy kobiet na polu pedagogicznem (z powodu jubileuszu Elży Orzeszkowej); — Polemika; — Z literatury; — Książki nadesłane od Redakeyi; — Ogłoszenia.

— OGNISKO. Sierpień. Na jasnej górze; — W. Załęski: Kwestya robotnicza i socyalizm; — S. Zdziarski: Z Tatr. Wiersz o Janickowym kochaniu; — J. Mitropolski: Chunchuzi; — Żydzi w wojsku polskim, nowela; — W. Gąsiorowski: Berko Josielowicz; — B. Kutylowski: Hymn finlandzki, wiersz; — Specjaliści od dzikich zwierząt; — A. Czechow: Bezbronna istota, nowela; — Or-Ot: Pieśń o dziejach naszych; — M. T.: Owady jako pokarm; — Musiałkowa: Wspomnienie przez dr. Ant. Myszyńską; — Pogrzebanie żywcem; — K. Niedzielski: Mój nowy lek nasenny; — E. Żmijewska: Sprawy kobiece. — Rozmaitości.

— PAMIĘTNIK LITERACKI, zeszyt II. St. Dobrzycki: Przyroda w literaturze polskiej w epoce Odrodzenia (dok.); — M. Scheibler: Ze studyów nad dawnym dramatem Niemiec i Polski (dok.); — B. Pochmarski: Rok 1832 w życiu ciu i twórczości Juliusza Słowackiego; — Fr. Krótek: Tekst pełny pieśni „Marya panna szlachetna;“ — L. Biernacki: Motyw „Romea i Julii“ Szekspira w dyalogu jezuickim w roku 1730; — T. Dąbrowski: Dwie notatki do „Samuela Zborowskiego“ J. Słowackiego; — Recenzye i sprawozdania, przez L. Janowskiego, L. M. Działę, St. Wasylewskiego, K. Jareckiego, J. Magierę; — Bibliografia czasopism polskich za r. 1904, przez St. Wasylewskiego

— PRZEGLĄD POLSKI. Październik. Franciszek Morawski: Sen hakatysty; — Dr. Ludwik Borutyński: Kozacy i Watykan, kartka z dziejów dyplomacyi kozackiej za Stefana Batorego; — Blanka Halicka: Śnieg; — Żaby Arystofanesa (dokończ.), tłum. E. Cigglewicz; — Teresa z Potockich Wodzicka: Hr. Fiedor Gołowkin i jego pamiętniki (dok.); — Kronika literacka; — Teatr krak., przez D-ra Józefa Flaclia; — Przegląd polityczny, przez „*“.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Październik. M. Handelsman: Litkup, z powodu książki P. Dąbkowskiego „Litkup;“ — M. Rosenberg: Bractwa górnicze w pruskim projekeie rządowym; — Dr. A. Jendl: Areszt śledezy w toku dochodzeń przygotowawczych; — Zapiski literackie; — Kronika; — Część praktyczna: Praktyka cywilno-sądowa, przez W. Lobosa, — e, T. Bordołego i A. Dolnickiego; — Praktyka administracyjna, przez D-ra Z. Gargasa; — Dodatek: Zbiór ogłoszeń firmowych trybunałów handlowych № 10.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Październik. F. A.: Anarchia w Kongresówce; — N. M.: Ze spraw agrarnych na Ukrainie; — Dr. St. Zdziarski: Słowianie mace-

dońscy; — Program słowieńskiego patrioty; — A. Grzymala Siedlecki: Rozwój teoryj rewolucyjnych w Rosyi w XIX w.; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Recenzye i sprawozdania z książek; — Kronika.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BRZEZIŃSKI J., PROF.: O stosunku kościoła do państwa we Francyi w świetle dokumentów Białej księgi Stolicy świętej. Kraków, 1906. 8-o, str. 106.

CIESZKOWSKI AUGUST: Ojciec nasz. Tom IV. Druga prośba „Przyjdź Królestwo Twoje.“ Poznań, 1906. Wydanie pośmiertne. 4-o, str. 242.

JOUGAN A., KS. DR.: Liturgika katolicka czyli wykład obrzędów Kościoła katolickiego dla szkół średnich, seminaryów nauczycielskich i szkół wydziałowych. Wydanie trzecie, skrócone, z 60 ilustracyami w tekście. Lwów, 1906. Nakł. autora. 3-o, str. 118.

KOBYLECKI STANISŁAW, KS. T. J.: Metafizyka w psychologii. Odczyt miany staraniem Koła filozoficznego U. U. J. w Krakowie, d. 5 marca 1906 r. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 17.

KURNATOWSKI JERZY: Dobro i zło. Studya etyczne. Lwów, 1906. Nakł. Maniszewskiego i Meinharta. 8-o, str. 250.

SZPADERSKI JÓZEF, KS.: Homilie i nauki niedzielne do użytku plebanów i kaznodziejów przez ... b. profesora b. Akademii duchownej rz. kat. w Warszawie. Kraków, 1907. Wydanie wznowione. 8-o, t. I str. XIV + 307, t. II str. 343, t. III str. 255, t. IV str. 261.

HISTORIA I NAUKI POMOCNICZE.

D'ABANCOURT DE FRANQUEVILLE HELENA: Katalog zabytków XVIII w. Muzeum Narodowego w Krakowie. Opracowała i historycznymi objaśnieniami opatrzyła ... Kraków, 1906. 16-o, str. XV + 224.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom IX. Zeszyt VIII. Od Karpowic do Karwosiecy. Warszawa, 1906. 4-o, str. od 281 do 320.

CZYŃSKI JAN: Cesarzewicz Konstanty i Joanna Grudzińska. Gródek Jagielloński, 1906. Nakład J. Czajńskiego, 8-o, str. 336.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą. Przyczynki do historii południowego Pomorza. Poznań, 1906. Nakład. autora. 16-o, str. 117.

KRONIKA DYECEZYI PRZEMYSKIEJ r. VI, wrzesień i październik, 1906. Zesz. 5. Przemyśl, 1906. 8-o, str. 247—296.

PAMIĘTNIK anegdotyczny z czasów Stanisława Augusta. Warszawa, 1906. Bibl. Dz. Wyb. № 453, 454. 8-o, t. II str. 119, t. III, 119.

PISARZEWSKA STANISŁAWA: Zarys dziejów Polski. Od najdawniejszych do ostatnich czasów. Z 9-ciu mapami w tekście. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 164.

PRZYBYŚLAWSKI W.: Repertorium zabytków przedhistorycznych na obszarze szesnastu powiatów Galicyi wschodniej. Z siedmiu tablicami i 12 ilustracyami w tekście. Zestawił . . . Lwów, 1906. Wyd. grona c. k. konserwatorów. 8-o, str. 77+V.

SERAPHIM ERNEST: Geschichte von Livland. 8-o, str. XI+194.

SIERAWSKI NAPOLEON: Pamiętnik . . . oficera konnego pułku gwardyi za czasów W. Ks. Konstantego. Z przedmową Prof. Dr. Stanisława Smolki. Lwów, 1907. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, str. XII+332.

WALISZEWSKI K.: Les origines de la Russie moderne. La crise révolutionnaire (1584—1614). Paris, 1906. 8-o, str. IV+507.

ZABOROWSKI S.: Pénétration des Slaves, la transformation céphalique en Bohême et sur la Vistule (Cours d'ethnographie).

HISTORIA LITERATURY.

G. B.: Irydyon Zygmunta Krasieńskiego. Objął . . . Tarnopol, 1906. Nakł. księg. S. Komoniewskiego. Skł. gł. H. Altenberg we Lwowie. 16-o, str. 32.

GÓRNICKI ŁUKASZ: Cztery listy. Wydał dr. A. M. Kurpiel. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Um. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 83—87.

HAHN WIKTOR, DR.: Bibliografia filologii klasycznej w Polsce, za lata 1899 i 1900. Zestawił . . . (Odbitka z VIII rocznika „Eos“). Lwów, 1902. Nakł. Tow. filologicznego. 8-o, str. 28.

KOŁŁATAJ H., KS.: Raport z wizytacyi Akademii krakowskiej, odbytej w r. 1777. Wydał Jan Leniek. Kraków, 1906. Nakł. Akad. Um. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 78.

KREZEK: Tekst pełny pieśni „Marya, panno szlachetna.“ Odnalazł, wydał i omówił krytycznie dr. Franciszek Krezek. Lwów, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 32.

C. K. UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI w Krakowie. Skład Uniwersytetu w półroczu zimowem. Rok szkolny 1906/7. Kraków, 1906. Nakład Senatu akadem. 8-o, str. 47.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY, DR.: Zwizgły podręcznik historyi literatury polskiej. Wydanie drugie, przerobione. Napisał . . . prof. gimn. VI we Lwowie. Nakł. księg. Stanisława Köhlera. 8-o, str. IX+204.

P R A W O.

RITTNER EDWARD, DR.: Prawo kościelne katolickie, tom I. Wydanie trzecie, przejrzone i poprawione. Lwów, 1907. Nakł. Samuela Bodeka. 8-o, str. VIII+380.

IV ZJAZD PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH: Referaty. Kraków, 1906. Nakł. Komitetu zjazdu. 8-o.

EKONOMIA POLITYCZNA.—NAUKI SPOŁECZNE.

ALBUM przemysłu i handlu Wielkopolski, Prus i Śląska. Zeszyt I. Poznań, 1906. 8-o, str. nbl. 24.

FAGUOT F.: Związki zawodowe w Anglii. Zarys historyczny (1799—1902). Przekład H. L. Warszawa, 1906. Księg. Naukowa. Bibl. Prawno-Społeczna. Zeszyt 3. 8-o, str. 120.

GRABSKI WŁADYSŁAW: Stosunki służbowo-rolnicze rolne w Królestwie Polskiem. Opracowanie materiału zawartego w odpowiedziach na wywiad, zebranych w 1903—1904 roku przez Delegacyę Służbową przy Sekcyi Rolnej przez . . . Warszawa, 1906. Z udziałem kasy im. J. Mianowskiego. Skład główny w księg. Gebethlera i Wolffa. 4-o, str. 99.

HERYNG ZYGMUNT: Gawędy ekonomiczne. Wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Warszawa, 1906. Nakł. księg. Powszechnej. 8-o, str. 141.

TOMASZEWSKI WŁADYSŁAW: Polskie spółki parcelacyjne w W. Księstwie Poznańskiem, Prusach Zach. i na Górnym Śląsku. Poznań, 1906. 8-o, str. 8 i 1 tablica.

— Rozwój polskich spółek zarobkowych i gospodarczych w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, Prusach Zach. i na Górnym Śląsku. Poznań, 1906. 8-o, str. 16.

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE o stosunkach krajowych, wydawane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą prof. dr. T. Pilata. Lwów, 1905. Tom. XX. Zeszyt II. 4-o, str. 51+31.

— Zeszyt III. 8-o, str. 118+73.

— Tom XXI. Zeszyt I. Lwów, 1906. 4-o, str. 33.

G E O L O G I A.

ATLAS geologiczny (Galicyi, tekst i mapa). Zeszyt XIX. Sambor (słup IX, pas. 6). Opracował dr. Wilhelm Friedberg. Kraków 1906. Nakł. Akad. Um. Spółka Wyd. Pol.

FRIEDBERG WILHELM, DR.: Zarys geologii. Z licznymi rycinami i mapką geologiczną dra. Tadeusza Wiśniowskiego. Lwów, 1906. Nakł. K. S. Jakubowskiego. 8-o, str. 80.

SIEMIRADZKI J., DR.: Die obere Kreide in Polen. Verhandlungen der k. k. geologischen Reichsanstalt, 1906. № 2.

WIŚNIEWSKI TADEUSZ: O faunie łupków spaskich i wieku piaskowca bryłowego (z¹ tablicą). Kraków, 1906. Nakł. Ak. Um. Spółka Wyd. Polska. 8-o, str. 30.

P O W I E Ś C. — P O E Z Y A.

KASPROWICZ JAN: Kizak dzikiej róży. Poezye. Wydanie drugie, zmienione. Lwów, 1906. Nakł. Tow. wydawn. 8-o, str. 256.

KORDOLENS: Powieść. Dramat współczesny w pięciu aktach. Lwów, 1907. H. Altenberg. 8-o, str. 117.

LANGE ANTONI: Rozmyślania. Kraków, 1906. Nakł. Wacława Wiedegera. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 133.

MIEKOWSKI Z.: Piotr i Asan. Powieść historyczna z dziejów Słowian bałkańskich. Z XII-go wieku. Warszawa, 1906. Księg. Polska. 8-o, str. 224.

MOLIER J.: Mieszczanin-szlachec. Komedia w czterech aktach. Przekład Franciszka Kowalskiego. Opracował prof. Bolesław Kielski. Brody, 1906. Nakład Feliksa Westa. 8-o, str. 118.

PRZYBYSZEWski ST.: Erdensöne. Roman. Berlin. 1905. 8-o, str. 219.

— Śnieg. Dramat w 4-eh aktach. Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 130.

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFIA: Księżę. Powieść. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 298.

SIENKIEWICZ HENRYK: Gesammelte Werke. Graz. Styria (około 69 zes.) I. u 2. 8-o, str. V i 1 — 192.

SIEROSZEWSKI W.: Die jakutischen Küsten des nördlichen Eismeer, deutsch von Traugott Pech. Leipzig, 1906. 8-o, str. 155—166.

SYROKOMLA WŁADYSŁAW: Wybór pism. Opracował dla użytku szkolnego Tadeusz Pini. Tomik I. Liryki i drobne gawędy. Brody, 1906. Nakł. księg. Feliksa Westa. 8-o, str. 89.

TETMAJER PRZERWA-KAZIMIERZ: Melancholie. Deutsch v. I. v. Immen-dorf Neue.

TOLSTOJ LEON: Wielki grzech. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1906. Nakł. Z. z Ch. O. Skł. gł. w księg. Borkowskiego. 8-o, str. 31.

ŻEROMSKI ST.: In Schutt und Asche. Historischer Roman aus der Napoleonszeit. 8-o, str. 445 i 506.

PEDAGOGIA. — PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

EGLI I. J. DR.: Geografia w zakresie szkół średnich. Spolszczył i uzupełnił S. Łaganowski. Część III. Europa. Z 70 rysunkami. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 115.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA. Tom VII, zeszyt V. Warszawa, 1906. 8-o, str. od 329 — 408, od Met. do Myt.

FEGLER ST.: Kurs metodyczny języka niemieckiego dla użytku szkolnego. (Kurs 1-szy). Warszawa, 1906. Nakł. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 110.

JESKE AUGUST: Systematyczny kurs nauk. Geografia. Kurs elementarny. Wydanie nowe do użytku szkolnego zastosował Ignacy Dzierżyński. Część I. Wiadomości ogólne i geografia fizyczna. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 110.

JĘDRZEJOWSKI JAN K.: Polsko-łaciński słowniczek frazeologiczny i synonimiczny dla klas wyższych. Podług książki Meisnera-Stegmanna ułożył ... prof. gmin. Fr. Józefa we Lwowie. Lwów, 1906. Nakład Tow. nauczycieli szkół wyższych. 8-o, str. 221.

JÓZEFOWICZ LEŁIWA FELIKS, KS.: Egzorty i przemówienia przygodne do młodzieży szkolnej. Napisał ... profesor i katecheta c. k. II gimnazjum we Lwowie. Wydanie drugie. Lwów, 1907. 8-o, str. VII + 219 + III.

KEY ELLEN: Stulecie Dziecka. Przekład Izy Moszezeńskiej. Wydanie drugie uzupełnione. Warszawa, 1907. Nakład Księgarni Naukowej. 8-o, str. XVII + 270.

KRANZ IGNACY: Trygonometria kulista w zadaniach. Wydanie drugie. Kraków, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 16.

KRASNOWOLSKI ANTONI: Ćwiczenia do nauki języka łacińskiego opracował ... Część III na klasę piątą. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. System kurs nauk. 8-o, str. 164.

MIKUŁSKI ANTONI: Niemieckie ćwiczenia stylistyczne w klasie I, II i III szkół wydziałowych. Lwów, 1906. Nakł. Tow. Pedagogicznego. 8-o, str. 44.

NIEWIADOMSKA CECYLIA: Drugi rok gramatyki. Klasa I. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 71.

— Trzeci rok gramatyki. Klasa II. Warszawa, 1906. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 96.

PODRĘCZNIK DLA OCHRONEK, podług niemieckich i francuskich źródeł opracowany do użytku wychowawczyń i matek chrześcijańskich. Wydanie drugie. Poznań, 1906. 8-o, str. 269.

RUDNICKA A. i DĄBROWSKI L.: Geografia kurs I. Geografia fizyczna z 128 rysunkami. Warszawa, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 201.

SAMOLEWICZ ZYGMUNT, DR.: Gramatyka języka łacińskiego. Część II. Składnia, opracował Tomasz Sołtyśik. Wydanie ósme. Lwów, 1906. Nakł. Tow. nauczycieli szkół wyższych. 8-o, str. 235.

SZKOŁA wzorowa... średnia dla Polski. Nakł. autora. 8-o, str. 43.

THOMAS STANISŁAW: Krótka teoria arytmetyki. Ułamki. Książka ucznia. Napisał... Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 69.

URBAŃSKI EUGENIUSZ: Repetitorium gramatyki języka łacińskiego na kl. czwartą i wyższe gimnazjum. Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta. 8-o, str. 35.

WZORY POEZYI I PROZY do użytku szkół średnich. Wydał Franciszek Próchnicki. Wydanie trzecie. Lwów, 1906. Nakł. Towarzystwa naucz. szkół wyższych. Skł. gł. w Warszawie E. Wende i Sp. 8-o, str. VII+496.

P U B L I C Y S T Y K A.

KAUTSKY K.: Kwestya narodowościowa w Rosyi. Wydawnictwo „Przyszłość.“ Serya I № 1. Warszawa, 1906. Skład głów. w Księgarni Powszechnej. 8-o, str. 22.

W PRZEDEDNIU nowych wyborów. Ziemianin do ziemian i włościan polskich. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 30.

STRONNICTWA. Nasze... polityczne I. Ludowcy, ich historia, zasady i dążności. Nakł. wyd. „Wieńca i Pszczółki“ 8-o, str. 52.



PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Samorząd ziemski i gmina wiejska w Królestwie Polskiem,—
przez Józefa Jeziorańskiego.

SAMORZĄD ZIEMSKI I GMINA WIEJSKA w Królestwie Polskiem.

I. S a m o r z ą d.

Władze Królestwa Polskiego złożyły obecnie w Komitecie Ministrów projekt samorządu ziemskiego wraz z organizacją gmin. Prezes Ministrów oświadczył, iż do rozpatrzenia projektu uważa za niezbędne wezwać kilka osób z pośród polskiego społeczeństwa. Ciekawą więc jest i niezbędną rzeczą z projektem tym się zapoznać. Przedstawiony został również projekt samorządu miejskiego, lecz o tym mówić nie zamierzam.

Jeszcze w kwietniu zeszłego 1905 roku, Komitet Ministrów zalecił przystąpić niezwłocznie do sporządzenia projektu samorządu dla Królestwa Polskiego na zasadach obowiązujących w Rosyi, ze zmianami odpowiedniami do warunków krajowych, oraz z zastrzeżeniem, że w razie zmiany Ustaw samorządowych w Cesarstwie i nowa nasza Ustawa ulegnie również zmianie.

Skutkiem tego, z ranienia Jenerał-Gubernatora kilka osób otrzymało w końcu kwietnia r. z. zaproszenie do narad nad samorządem. Wkrótce potem nadesłano im do zastanowienia się szereg pytań, przedmiotu tego dotyczących. Zaproszeni członkowie Komisji Samorządowej ziemskiej, po odbyciu we własnem kole

kilku narad, umyślili zasięgnąć zdania ludzi najbardziej rzeczy świadomych, a wysłuchawszy zdania wezwanego przez siebie szerszego grona, sformułowali poglądy swoje w tej sprawie.

Lecz zanim zdołali wystąpić z niemi do władz, w przeddzień urzędowego zebrania otrzymali zawiadomienie, że posiedzeniu na jakiś czas odroczone,—w drodze zaś prywatnej dowiedzieli się, że władze miejscowe zamierzyły wygotować własny projekt.

Jakoż, w samej rzeczy projekt samorządu ziemskiego, wraz z projektem organizacyi gmin, sporządzone zostały przez władze warszawskie i doręczone członkom Komisji Samorządowej pod dniem 13 października r. z. wraz z zaproszeniem na posiedzenie urzędowe. Lecz gdy utworzona na krótki czas przedtem Komisya do Samorządu miejskiego powstała z wyboru korporacyj miejskich, przeto też i członkowie Komisji do Samorządu ziemskiego zwrócili się do władzy o przeformowanie komisji ziemskiej na zasadzie wyboru jej członków przez Towarzystwa Rolnicze oraz inne korporacye ekonomiczne, co też spełnione zostało. Lecz strejk kolejowy i pocztowy zwołaniu Komisji przeszkodził, a następnie władza ani razu nie zaprosiła jej na narady.

Komisya ze swojej strony sporządziła krytykę nadesłanego sobie projektu Ustawy, lecz z tą do władzy nie wystąpiła.

Obecny projekt jest, jak i zeszłoroczny, powtórzeniem Ustawy samorządowej Cesarstwa z roku 1890, z niektórymi bardzo doniosłymi zmianami. Jest też po największej części powtórzeniem projektu zeszłorocznego władz miejscowych.

Każda ustawa samorządowa składa się:

1-o. Z oznaczenia zakresu spraw przekazanych do załatwienia samorządowi.

2-o. Z podziału kraju na jednostki samorządowe terytoryalne.

3-o. Z ordynacyi wyborczej do władz samorządowych.

4-o. Z organizacyi każdej z osobna władzy samorządowej.

5-o. Z zaprowadzenia stosunku pomiędzy samorządem a administracyą.

6-o. Z kwestyi unormowania dochodów i wydatków.

Samorząd, funkcyjonyjący w rdzennych guberniach Rosyi Europejskiej, wziął początek w Cesarstwie przez ustawę z r. 1864, która zaprowadziła powiatowe i gubernialne zebrania, czyli rady samorządowe, pochodzące z wyboru właścicieli ziemskich, ludności miejskiej i gmin włościańskich, oraz zarządy powiatowe i gubernialne, wybierane przez rady samorządowe powiatowe i gubernialne z własnego grona. Zakres działalności przyznany ziemstwu obejmował główne czynności lokalne gospodarstwa

publicznego. Wpływ władz administracyjnych zapewniony był w ten sposób, że każde postanowienie rady ziemskiej przysyłało się gubernatorowi i w braku opozycji z jego strony uprawomocniało się w terminie siedmiodniowym.

Pewien jednak szereg spraw nie mógł być wykonany bez wyraźnego zatwierdzenia gubernatora, inny znów szereg potrzebował zatwierdzenia ministra. W razie zakwestyonowania jakiegokolwiek postanowienia ziemstwa przez gubernatora lub ministra, szło ono pod powtórny decyzję rad ziemskich (§ 94—97), a w razie opozycji gubernatora lub ministra przeciw powtórnej uchwale ziemstwa, różnicę zdań rozstrzygał Senat.

W danych warunkach ustawa z r. 1864 była liberalna, z czem wzmagająca się na siłach z postępem czasu biurokracya nie chciała się pogodzić, a wydana skutkiem tego ustawa z r. 1890 była znacznem zwężeniem Ustawy pierwotnej z roku 1864 pod dwoma względami, naprzód:

Co do ordynacyi wyborczej, która na czoło ziemstw wysunęła jaskrawo szlachtę z upośledzeniem innych stanów a następnie:

Co do stosunków z administracją, które urządzono w ten sposób, że te stały się ciągle, nieustanne i drobiazgowo, dając administracyi zapewnioną z góry przewagę.

Imo zasadnicze strony są w ustawach z r. 1890 i 1864 prawie jednakowe.

Obecny projekt władz miejscowych powtarza *zakres spraw przekazanych* ziemstwom z ustawy z r. 1864 i 1890 z niektórymi poniżej wskazanymi zmianami; a mianowicie do samorządu ma należeć:

1. Zawiadywanie podatkami i ciężarami ziemskimi.
2. Zarządzanie majątkami ziemstwa.
3. Zawiadywanie zabezpieczeniem wyżywienia ludności.
4. Utrzymanie w porządku dróg powierzonych ziemstwu, starania o ulepszenie komunikacyi.
5. Urządzenie i utrzymanie poczty ziemskiej.
6. Zarządzanie wzajemnem ubezpieczeniem ziemskiem.
7. Zabiegi o zapobieżenie i gaszenie pożarów, starania o lepsze *ze względu na zabezpieczenie od ognia* zabudowania wsi i miasteczek.

Wyrazów kursywem drukowanych w ustawie z r. 1890 niema, i są w nowym projekcie dodane.

8. Zawiadywanie zakładami ziemskimi, leczniczymi i dobroczynnymi, opiekowanie się ubogimi, nieuleczalnie chorymi i wryantami, również jak opuszczonymi i kalekami.

9. Udział w zabiegach dotyczących ochrony zdrowia ludności, zapobiegania i usuwania epizootyi, starania o dostarczenie ludności pomocy lekarskiej i zabiegi o zabezpieczenie zdrowotności publicznej.

10. Starania o rozwinięcie środków oświaty ludowej, tudzież prawem określony udział w zawiadywaniu szkołami oraz innymi zakładami naukowymi, utrzymywanymi kosztem ziemstwa.

11. Popieranie miejscowego rolnictwa, handlu i przemysłu, starania o zabezpieczenie pól i łąk od uszkodzeń i niszczenia przez robactwo i zwierzęta.

12. Zaspakajanie potrzeb zarządu cywilnego i wojskowego, odpowiednio do prawnych, co do tego obowiązków ziemstwa.

13. Przedstawianie władzom wyższym, za pośrednictwem władzy gubernialnej, wiadomości i wniosków w przedmiotach dotyczących potrzeb i korzyści gospodarczych miejscowych, dostarczanie, na żądanie władz wyższych i gubernatorów, wiadomości, ściągających się do gospodarstwa samorządowego.

W prawie z r. 1890 niema mowy o dostarczaniu władzy administracyjnej przez ziemstwa wiadomości o gospodarstwie samorządowym. W każdym razie nie jest to nowy zakres działania ziemstwa, tylko nowy dlań obowiązek.

14. Sprawy przekazane ziemstwom na mocy specjalnych ustaw.

W osobnej uwadze projekt warszawski odracza objęcie wzajemnego ubezpieczenia w zawiadywanie samorządu, aż do czasu wydania w tym przedmiocie szczegółowych przepisów. Porządek posilkowania się przez samorząd funduszem zasobowym ubezpieczenia wzajemnego ma być przepisany przez ministrów.

Zastanawiając się nad *zakresem działalności samorządu*, wskazanym w Ustawie z r. 1890, bardzo zbliżonym do zaprojektowanego obecnie i powyżej przytoczonego, rzeczoznawcy, zaproszeni z pośród polskiego społeczeństwa do porad, przyszli do przekonania, iż wobec warunków, w jakich znajduje się kraj i społeczeństwo, powiększyć należy zakres praw i obowiązku samorządu ziemskiego u nas. Do uwag, jakie uczynili, považam się dołączyć i własne, wywołane osnową rozbieranego projektu. Zdaniem naszym, do atrybucyi samorządu ziemskiego w Królestwie Polskiem należałoby zaliczyć:

1. Zaopiekowanie się ludnością udającą się za granicę na zarobek.

Według wiadomości dostarczonych przez warszawski Komitet statystyczny, wyszło na roboty za granicę:

W roku 1890	19836	mieszkańców	Król. Pol.
" 1900	118175	" "	" "
" 1901	139796	" "	" "

Przez znaczny zarobek, bo wynoszący na jednego robotnika 65 rubli rocznie, tłómaczy się przyrost szybki czasowego wychodźstwa. Byłoby niesprawiedliwością i uciskiem tamować je ludowi. Gdy jednak dochodzą wieści, że ludność udająca się na obczyznę bywa częstokroć wyzyskiwaną lub poniewieraną, należy dopilnować, aby ludność ta, rzecz można bezbronna, znalazła należyty punkt oparcia i opieki.

2. Pośredniczenie w dostarczaniu pracy, ze względu na to, że porozumiewanie się ziemstw pomiędzy sobą, bardzo będzie dla ludności pożyteczne, kierując ją w te miejsca, gdzie praca jej potrzebną jest i poszukiwaną, o czem robotnik niezasobny, szukający chleba, bez pomocy i wskazówek w żaden sposób wywiedziećby się nie mógł, i z tego powodu praca mogłaby pozostać bez robotnika, a robotnik bez pracy.

3. Zaprowadzenie pośrednictwa na wypadek nieporozumień pomiędzy pracodawcami a pracownikami.

4. Należałoby powiedzieć przy komunikacjach o możliwości budowy i utrzymania kolejek żelaznych, zwłaszcza podjazdowych, gdyż prawo mówi tylko o szosach.

5. Obok poczty wiejskiej dodać należy „zakładanie i utrzymanie telegrafów i telefonów ziemskich,“ jako mogących oddawać wielkie usługi przez przyspieszenie porozumiewania się w sprawach przemysłu rolnego i handlu produktami rolnictwa, w kwestyach chorób epidemicznych, epizootyi i w ogóle w zaspakajaniu potrzeb publicznych, nieznoszących zwłoki.

6. Ograniczenie starań o zabudowanie wsi jedynie tylko do względów bezpieczeństwa od ognia, jak to uczyniono w projektowanej Ustawie, należy uznać za niewłaściwe; z innych bowiem względów, np. zdrowotnych, ziemstwo będzie miało również dobrą podstawę do wdania się w tę sprawę. Tak np. budowa domów mieszkalnych nad kałużą, powinna być wzbroniona. Należy powiedzieć wprost: „starań o lepsze zabudowanie wsi.“

7. Dodać należy opiekę nad dziećmi, niekoniecznie sierotami, a to z powodu, iż dzieci te pozostawiane pod względem przepędzania czasu własnemu przemysłowi, wdrażają się w nieposzanowanie cudzej osobistości i własności, co ze wszechmiar szkodliwie wpływa na dalszy przebieg ich uspołecznienia i wkłada na szkołę gminną zadania wychowawcze, którym ta sprostać nie może. Nadto zdurza się też często, iż rodzice, wychodząc na robotę, po-

zostawiają w domu dzieci samotne i zamykają je w izbie na kłódkę. Bywa to przyczyną częstych kalectw, oparzeń, pożarów i t. p. Opieka umiejętna, w duchu macierzyńskim, nad dziećmi klasy robotniczej, wyrywanie ich z bezczynności znieprawiającej, a zwrócenie umysłów w kierunku społecznego dobra, jest jednym z najpiękniejszych zadań społecznych.

8. Dodać należy pierwszorzędną sprawę współudziału w ubezpieczeniu robotniczem, oraz przytułków dla kalek i starców, ażeby zapobiedz nędzy, zmniejszyć liczbę nieszczęśliwych i położyć tamę włóczęgostwu, przynoszącemu społeczeństwu dotkliwie szkody.

9. Zastrzeżony być winien udział bezpośredni ziemstwa we wszelkich sprawach weterynaryjnych. Samorząd ziemski bowiem, należycie urządzony, przedstawi się jako jeden z najmocniejszych środków podniesienia krajowego dobrobytu przez roztoczenie opieki nad całokształtem gospodarstw rolnych. Tak też jest rozumiany w Niemczech i do tego chcą go doprowadzić w Rosyi. Piecza nad inwentarzem żywym, zwłaszcza w kraju, którego rolnictwo zmuszonym jest czerpać zasoby z hodowli, a do tej pieczy należą też wszelkie zabiegi weterynaryjne.

10. Pod względem szkolnictwa, pożądanem jest usunięcie ograniczenia, mieszczącego się w projekcie ustawy (§ 12 p. 10) w wyrazach: „prawem określony udział w zawiadywaniu szkołami“ i zastąpienie go wyrazami: „starania o rozwój środków kształcenia ludu.“ Doświadczenie przekonywa bowiem aż nadto dowodnie, że prawo pod względem szkolnictwa rządzi się najczęściej względami politycznemi, które, będąc z natury swojej zmienne, nie pozwalają oprzeć sprawy nauczania na wyłącznym gruncie moralności i publicznego dobra, zachowującym zawsze pełne znaczenie uspołeczniające i broniące od wywrotu, bez względu na sztandar polityczny danej chwili. Powierzenie sprawy elementarnego nauczania ziemstwu, jaknajmocniej zainteresowanemu w zachowaniu publicznego ładu i porządku, będzie dla bezpieczeństwa i stałego postępu państwa jedną z najmocniejszych gwarancyj.

11. Wprowadzić należy do ustawy pominięte w niej starania o zaprowadzenie zakładów kredytowych. Chodzi tu, chociaż nie wyłącznie, jednakże głównie, o drobną własność ziemską i wogóle o potrzeby ludu.

a) Jednym z najistotniejszych sposobów załatwienia kwestyi agrarnej jest możność dana ludności wiejskiej do rozprzestrzenienia własnym kosztem swojej posiadłości gruntowej, do czego nadaje się w pierwszym rzędzie spożytkowanie siły kredytowej, jaką posiada własność włościańska, bardzo ceniona jako indywidualna

i niezależna. Ażebym niezależność tę, niezmiernie sprzyjającą postępom gospodarczym, w zupełności osiągnąć, wypada zająć się staraniami o zniesienie szachownic i wogóle wszelkich zależności jednego obszaru gruntowego od drugiego, gdyż wszelka zależność odbiera możność zastosowania do gruntów tych zabiegów gospodarczych, jakie w danym momencie i miejscu byłyby najwłaściwsze.

b) Obok tego kredytu krótkoterminowego pożytecznem będzie popieranie kas Raiffeisenowskich.

c) Do starań kredytowych należeć też będzie zakładanie hipotek włościańskich, jako wprowadzających jawność i ścisłą prawność do stosunków gruntowych włościańskich, a stąd ułatwiających wszelkie tranzakcyje, zwłaszcza kredytowe.

d) Z drugiej strony pod tą samą pozycją projektu (§ 2 p. 11) mieści się obrona pól i łąk od szkodników. A przecież i lasy ze względu na łatwo zakradające się do nich zniszczenie przez parazyty, szybko rozprzestrzeniające się po okolicy, powinny być przedmiotem szczególnej pieczy.

e) Pomiędzy czynnikami zniszczenia wymieniono tylko owaady i zwierzęta, a pominięto defraudantów i rabusiów polnych, leśnych, również, jak obronę pól od zachwaszczenia.

f) Dodać też należy, prawo zakładania i utrzymywania lub subwencyonowania stacyj doświadczalnych, ułatwiania lub popierania poszukiwań ciał kopalnych, niezbędnych dla przemysłu i rolnictwa, jak np. kainitu, soli; i wogóle:

g) Udzielanie poparcia sprawom krajowego przemysłu, rolnictwa i handlu.

12. Zamieszczono w projekcie obowiązkowe zwracanie się do gubernatorów o pośrednictwo przy przedstawieniu ze strony ziemstwa do wyższej władzy państwowej wniosków o potrzebach gubernij. Ponieważ jednak dla zapobieżenia nieporozumieniom i zająciom pomiędzy gubernatorem a ziemstwem, projektuje się jeden na kraj cały Urząd do spraw ziemskich Królestwa Polskiego, niema przeto wystarczającej przyczyny do tego, aby na inny sposób dawać powód do ścierania się ziemstw z gubernatorami, jakiego zamierzono uniknąć. Dlatego też, trzymając się wiernie zasadniczej myśli, wypada przedstawienia ziemstw o potrzebach gubernii zwracać z ziemstw gubernialnych wprost do Urzędu krajowego do spraw Samorządu Ziemskiego. Wtedy Urząd, zawiadamiając gubernatora o podanem żądaniu, będzie mógł jednocześnie przytoczyć mu równoległe żądania innych ziemstw krajowych. Również wiadomości o sprawach ziemskich powinny być dostarczane gubernatorom za pośrednictwem Urzędu rzeczzonego, przez

co, jako opatrzone sankcją najwyższej władzy krajowej, i będąc na szerszym materiale statystycznym oparte, staną się dla gubernatorów tem szacowniejsze, a w niczem praw gubernatorskich nie uszczuplające.

13. Żądać należy, aby ziemstwo miało prawo utrzymywania wiejskiej policyi bezpieczeństwa, oraz stróżów polowych i leśnych.

Anarchia, która się do kraju zakradła i w nim rozpanoszyła, wymaga stanowczego wytopienia. Bez policyi bezpieczeństwa, doskonale znającej miejscowe stosunki, zapobieżenie przestępstwom nie da się osiągnąć, a ono to jest głównym warunkiem uspokojenia kraju. Stróże polowi i leśni konieczni są wobec intensywności gospodarstw, na których każda szkoda odbija się stokrotnie.

Zamieszczona w projekcie zapowiedź, iż zarząd sprawami ubezpieczenia wzajemnego pozostanie do czasu samodzielny i do ziemstw nieprzyłączony, odracza na czas nieokreślony przejęcie przez ziemstwo jednej z najżywoźniejszych gałęzi gospodarstwa krajowego, bez zaprzeczenia jemu przynależnej. Brak wiadomości technicznych w kraju nie może być do tego przyczyną, gdyż Towarzystwa Wzajemne: „Snop“ i „Ceres“, Towarzystwo akcyjne Warszawskie i filie wszystkich akcyjnych rosyjskich Towarzystw są wybornie prowadzone siłami miejscowemi. Ubezpieczenie budowl i jest czynnością tak dawno w kraju praktykowaną, iż bez najmniejszego niebezpieczeństwa można ją wprost powierzyć ziemstwom bez odroczeń, które zaprowadzając tymczasowość, uczyniłyby prawidłową organizację ziemstwa, wprost niemożliwą, gdy tymczasem w razie potrzeby, łatwo będzie urządzić centralną instytucję asekuracyjną ziemską.

W uchwałach Komitetu Ministrów z d. 12 grudnia 1904 r. i 6 czerwca 1905 r., które uzyskały Najwyższą sankcję, zapowiedziano rozszerzenie kompetencyi ziemstw. Tymczasem projekt władz warszawskich nie tylko w niczem kompetencyi tej nie rozszerza, ale ją wprost zwięża (w kwestyach zabudowania wsi i ubezpieczenia), i nakładając nowy *obowiązek* zawiadamiania administracyi o gospodarstwie samorządowem, mieści go pomiędzy atrybucyami ziemstwa, co dowodzi czysto formalistycznego załatwienia przedmiotu. Żądanie zatem z naszej strony rozszerzenia kompetencyi, jako wcale przez projekt niezaspokojone, ma prawny grunt pod sobą.

Równolegle z zakresem działań zjawia się dla nas, jako kapitalna sprawa językowa, gdyż w niej się mieści rdzeń kierunku samorządowego i zadatek równouprawnienia. Pod tym względem projekt władz warszawskich „dozwala“ prowadzenia rozpraw i ko-

respondencyi po polsku, z wyjątkiem władz administracyjnych oraz osób zgłaszających się po rosyjsku, z którymi w tymże języku korespondować trzeba, lecz zaleca prowadzenie protokółów i ksiąg rachunkowych w języku urzędowym, z możliwością umieszczenia równoległego tekstu polskiego.

Redagowanie ksiąg buchalteryjnych oraz innych pism najważniejszych w języku rosyjskim żadną istotną potrzebą usprawiedliwić się nie da, a niezmiernie utrudni ziemstwom prowadzenie interesów, i przyczyni niepotrzebnych i nieprodukcyjnych kosztów. Bo gdyby nawet księgi rachunkowe ziemstw miały być przez administrację sprawdzane, to sprawiedliwiej jest i roztropiej, aby rewident obeznany był z językiem polskim, aniżeli, aby jedynie dla dogodności kilku rewidentów, setki pracowników w tak licznych ziemstwach, miały prowadzić wszystkie księgi nietylko po polsku, ale też obok tego po rosyjsku.

Urzędowym językiem ziemstwa powinien być polski, lecz liczyć się należy z istniejącymi stosunkami. Z tych względów komisya rzeczoznawców dała wyraz poglądom swoim w tej sprawie w słowach następujących: „Korespondencya Instytucyj ziemskich z władzami rządowymi prowadzi się w języku urzędowym, w którym też składają się w tłumaczeniu załączniki. Pozostała korespondencya, rozprawy ustne, biurowość i rachunkowość, prowadzą się w języku polskim, jako właściwym większej części ludności miejscowej. Tam, gdzie obok ludności polskiej znajduje się w większości inna jeszcze ludność miejscowa z językiem własnym, język ten będzie równouprawniony w ziemstwach powiatowych i gminnych, w tych zaś miejscowościach, gdzie inna jaka tutejsza narodowość znajduje się w mniejszości, język jej dopuszczalnym będzie w użyciu w rozprawach i korespondencyach w ziemstwach gminnych i powiatowych.“

Pod względem *podziału kraju na jednostki samorządowe terytorjalne*, projekt władz warszawskich, oprócz urządzenia ziemstw gubernialnych i powiatowych zgodnie z podziałem administracyjnym kraju, jak to czyni ustawa rosyjska z r. 1890, przyjmuje nadto gminę za jednostkę samorządową. Jest to inowacya gorąco i słusznie upragniona przez społeczeństwo rosyjskie, domagające się zaprowadzenia tak zwanej drobnej jednostki ziemskiej, mającej sięgnąć w głąb ludu, i dać mu bezpośredni udział w samorządzie, co uzyskało już w zasadzie sankcyę władzy Najwyższej. Spożytkowano więc w projekcie to, że u nas drobna jednostka ziemska już istnieje w kształcie gminy. Projekt warszawski nie utożsamia jej jednak bynajmniej pod względem budowy władz

i zakresu czynności z atrybucjami i właściwościami ziemstw powiatowych i gubernialnych, i objął gminę oddzielną ustawą, o której osobno pomówimy.

Z góry oświadczyć jednak trzeba, iż zaprojektowane połączenie gminy z ziemstwem jest raczej mechaniczne niż organiczne, i wymaga stanowczego odłączenia czynności policyjno-administracyjnych, należących do władz rządowych, od społeczno-ekonomicznych, należących do ziemstwa. Miarą dobroci organizacji będzie to, aby się te dwie władze nigdy ze sobą nie spotykały. Inaczej włączenie gminy do samorządu ziemskiego pozostanie cczą formą tylko. Nadto niektóre komisye powołane w państwie w r. 1902 pod przewodnictwem ministra Wittego do naprawy stosunków rolniczych i agrarnych, podniosły sprawę zaprowadzenia ziemstw krajowych, obejmujących całe dzielnice, dla skuteczniejszego i szybszego załatwiania spraw pilnych, oraz projektowania zmian wywołanych jednakową potrzebą kilku gubernij ościennych.

Komisya nasza inowację tę uznała za niezbędną. Spotkała ona dalekie odbicie w zaprojektowaniu przez władze miejscowe: „Urzędu krajowego do spraw samorządowych ziemskich i miejskich,“ którego myśl pierwotna współrzędnie i w łonie komisji naszej była powzięta, a to niezależnie od ziemstwa centralnego. Lecz zaprowadzenie tego Urzędu, złożonego w połowie z wyższych urzędników, a w połowie z delegowanych od samorządu, nie odpowie zadaniom połączenia i skoordynowania pracy ziemstw terytorjalnych, do czego zmierzałaby Instytucya samorządowa centralna, lecz tylko przyczyni się do starć z władzami administracyjnymi.

Co się tyczy instytucji samorządowej centralnej, której w projekcie brak, na dowód jej potrzeby i użyteczności, można przytoczyć organizację Wydziału Krajowego w Galicyi, w której uważne rozpatrzenie się już służy za najmocniejszy w tym kierunku argument, gdyż w instytucji tej mieści się podstawa i koron samorządu Galicyi.

Ze swej strony komisya nasza, mając na względzie kosztowność utrzymania 84 ziemstw powiatowych, umyśliła je łączyć po dwa i po trzy w jedno ziemstwo, a zapytane o zdanie, staraniem p. Stanisława Chełchowskiego, towarzystwa rolnicze chętnie się do tego poglądu przychyliły. Zdanie to, zakomunikowane władzom, nie zostało jednak w projekcie rządowym uwzględnione. Tymczasem utrzymanie 84 ziemstw powiatowych będzie bardzo kosztowne i zniechęci ludność, która nie zdąży jeszcze poczuć do-

brodziejstw samorządu, a już ciężko dotknięta będzie przechodzącym siły wydatkiem.

Komisye z r. 1902 uskarżały się na to, że ziemstwa gubernialne przywłaszczają sobie atrybucye ziemstw powiatowych, i czynią je zupełnie zbytecznymi. To też znaczna część Komisji naszej powodowana i temi i oszczędnościowymi względami mniemała, że ziemstwa gubernialne są zbyteczne, i poza połączeniem ziemstwami dwu i trójpowiatowemi wystarczy dla prowadzenia spraw — instytucya samorządowa centralna. Samo już to, iż uniknęłoby się przez to styczności i starć bezpośrednich pomiędzy gubernatorem a ziemstwem, byłoby korzyścią niepowszednią. Druga zaś część Komisji, pragnąc również założenia instytucji centralnej, i uznając jej niezbędność, sądziła, iż jeżeli uzyskanie jej okaże się na razie niemożliwem, to może łatwiejszem będzie wyjednanie peryodycznych zjazdów delegatów ziemstw gubernialnych, co niektórym przynajmniej, najbardziej palącym potrzebom ujednostajnienia zabiegów i starań, mogłoby uczynić zadość, a jako najwyższa instancya apelacyjna w samorządzie Królestwa, mogłoby w braku instytucji samorządowej centralnej przynieść znaczny pożytek. Wobec projektowanych przez władze warszawskie 84-ch ziemstw, Komisya samorządowa obmyśliła zmniejszenie ich liczby mniej więcej do 40-tu, co lekko licząc, dałoby oszczędności przeszło milion rubli rocznie.

Ordynacya wyborcza stanowi jeden z najslabszych punktów ustawy z r. 1890, gdyż nadzwyczajnie faworyzuje szlachtę z uszczerbkiem dla innych klas społecznych, wybory zaś gromad wiejskich poddaje wielkiej zależności od administracyi. Projektowana ustawa idzie pod względem demokratycznym znacznie dalej, nie tylko niż prawo z r. 1890, ale nawet niż pierwotne prawo o samorządzie z roku 1864, albowiem całe wybory do władz samorządowych powierza zebraniom gminnym oraz radom (Dunom) miejskim.

Zebranie gminne nosić jednak będzie według projektu gminy, cokolwiek inny charakter niż obecnie.

Mianowicie, ma się ono składać na przyszłość ze wszystkich *urzędników gminnych*, z *wyborców* powołanych przez gromady wioskowe, oraz z *osób mających prawo bezpośredniego udziału* w zebraniu.

Wyborcy, t. j. uczestnicy Zebrań, mają mieć 25 lat skończonych i posiadać w obrębie gminy przynajmniej 6 morgów gruntu, lub nieruchomość wartującą 600 rubli, albo też ponosić z innych tytułów opłaty ziemskie, odpowiadające obciążeniu samorządowemu osady sześciomorgowej. Wybierają ich *wszyscy* uczestnicy gro-

mad wioskowych *po jednym na dziesięciu uczestników*. Prawo *bezpośredniego* udziału w zebraniu, ma przysługiwać właścicielom powyżej 60 morgów gruntu, lub nieruchomości wartującej 6000 rubli, albo też osobom ponoszącym odpowiednią opłatę ziemską. W razach wyjątkowych cenzus gruntowy dla Zebrania Gminnego może być obniżony do połowy.

Tak ukonstytuowane zebranie dokonywa wyborów do rad ziemskich powiatowych, przyczem żadnego osobnego cenzusu dla wybieralności Radnych w projekcie nie zamieszczono.

Jako wskazówkę do zastanowienia zaznaczyć należy:

że ilość osad włościańskich, powyżej 6-u m., wynosi w naszym kraju 621,475

co da wyborców 62,147¹⁾

ilość folwarków powyżej 100 m., według wiadomości Tow. Kred. Ziemsk. 9,222

co da wyborców 9,222

przy niewielkiej ilości posiadłości od 60—100 m., daje to stosunek głosów drobnej do wielkiej własności 62 : 9,2 t. j. mniej więcej $6\frac{3}{4} : 1$.

Z miast wybierać mają radnych rady miejskie (dumy)

Wyborów do ziemstw gubernialnych dokonywają ziemstwa powiatowe z liczby swych członków. Rady miejskie warszawska i łódzka zrównane są z ziemstwami powiatowemi, i wybierają z liczby swoich członków radnych do Ziemstw gubernialnych.

Liczbę radnych powiatowych określa projekt mniej więcej po jednym na 3000 mieszkańców, co daje około 40 na powiat; liczbę radnych gubernialnych oznaczono mniej więcej po jednym na 30,000 mieszkańców, co daje np. na gubernię lubelską, według ścisłego obliczenia, 43 radnych.

Przysięga radnych ma być składana w kościołach w obec władzy.

Przewodniczącego i członków zarządów ziemskich (upraw) wybierają rady ziemskie, nietylko z pośród radnych, ale wogóle z pośród osób mających prawo głosu na zebraniach wyborczych: gminnych i miejskich.

Zastępcę przewodniczącego w zarządzie ziemskim mianuje rada ziemska.

¹⁾ Jest to ilość przybliżona, gdyż wybór może paść również na osoby nie będące właścicielami gruntu, z drugiej zaś strony liczba wyborców, biorących udział w Zebraniach gminnych, będzie znacznie większa, mieszcząc w sobie mieszkańców nierolników.

Kuratorów dla szkół utrzymywanych wspólnym kosztem ziemstw i miast mianuje połączone zebranie rady ziemskiej i powiatowej z dumą miejską. Upoważnienie do takich zebrań daje gubernator, a w Warszawie generał-gubernator.

Dla zarządzania oddzielnymi gałęziami gospodarstwa i administracyi, rada ziemska wybiera, na wniosek zarządu, delegowanych z pośród radnych, oraz osób mających prawo głosu na zgromadzeniach wyborczych. Dla zarządzania dobrami ziemskimi i spełniania czynności, wymagających specjalnego przygotowania, mogą zarządy ziemskie przyjmować obce osoby.

Do postanowień z r. 1890 projekt dodaje przepis, że zezwolenie na połączenie urzędów ziemskich z urzędowaniem w Ministerjum Spraw Wewnętrznych zależy od Ministra.

Według § 118 prawa z r. 1890 prezesa i członków zarządów ziemskich rząd zatwierdza w urzędowaniu. Przepis ten w projekcie rozpatrywany pominięto.

Prezes i członkowie zarządów ziemskich uważają się za pozostających na służbie rządowej.

Według ustawy samorządowej 1890 r. jeżeli gubernator na zasadzie przedstawionego sobie operatu wyborczego uznał wybory za nieprawidłowe, sprawa idzie do decyzji urzędu gubernialnego do spraw ziemskich. W projekcie obecnym urzędy gubernialne zastąpiono ogólnym krajowym, który decyduje o ważności wyborów, i jeżeli uzna je za nieprawidłowe—zarządza nowe wybory.

Gdyby zebrania gminne i miejskie wybrały mniejszą liczbę radnych, niż według rozpisania przeznaczono, to *według obecnego projektu* gubernator wydaje rozporządzenie o ponownem zwołaniu zebrań gminnych i miejskich, a gdyby i po dodatkowych wyborach liczba radnych okazała się mniejszą od $\frac{2}{3}$ ustanowionej ilości, minister może prolongować na 3 lata urzędowanie poprzednich radnych, albo też mianuje na ten termin ze swego ramienia, przewodniczącego i członków zarządu ziemskiego powiatowego. Przepis ten figuruje zarówno w projekcie, jak i w ustawie z r. 1890.

Różnica jest ta jedynie, iż według ustawy z roku 1890 wybory dodatkowe mogły mieć miejsce w tym tylko wypadku, gdy na pierwszych wyborach wybrano mniej niż $\frac{2}{3}$ należytej liczby radnych.

Zresztą, w przeciwieństwie do wyborów z r. 1890, opartych na cenzusie stanowym i wysokiej stopie majątkowej, w obecnym projekcie figurują wybory, oparte na bezstanowości i niskiej stopie majątkowej wyborców. Odpowiednio do tak radykalnej zmiany usunięto nie liczące z nią przepisy 1890 r.

Zatem *wyборы do rad ziemskich* powiatowych dokonywają się według projektu w zebraniach gminnych, które różnić się mają znacznie od dotychczasowych. Różnice polegają: na włączeniu do zebrań oprócz właścicieli ziemskich, ludności aczkolwiek nieposiadającej gruntu, jednakże dorównywiającej cenzusowi majątkowemu rolników; na podniesieniu stopy majątkowej członków Zebrania z 3-eh do 6-ciu morgów; a co najważniejsza, na uczestniczeniu w zebraniu ludności poniżej 60 morgów posiadającej, nie bezpośrednio, ale przez jednego przedstawiciela od każdego 10 prawyborców, t. j. mieszkańców gminy, opłacających jakikolwiek podatek ziemski. Wszyscy, posiadający powyżej 60-ciu morgów gruntu, lub odpowiedni majątek, uczestniczą w Zebraniu gminnym bezpośrednio.

W porównaniu z wyborami do ziemstw rosyjskich według prawa z roku 1890, jest to ogromny postęp w kierunku demokratycznym; w porównaniu zaś z głosowaniem powszechnem i bezpośrednio, wybory te, jako pośrednie, nie odpowiadają ideałowi demokratycznemu. W porównaniu z wyborami dotychczasowymi naszej gminy, pozbawiają one bezpośredniego głosu wielu dotychczasowych uczestników zebrań, przez co są antidemokratyczne, natomiast jednak wprowadzają do zebrań (wprawdzie przez przedstawicieli) masę ludności nierolniczej, dzisiaj głosu w gminie pozbawionej, przez co są postępowem w kierunku demokratycznym. Tym, którzy sądzą, że wybory do instytucyj kulturalno-gospodarczych rządzić się powinny innymi warunkami, niż wybory do ciał politycznych, projektowany systemat wyborczy wyda się bardzo ryzykowny, jako mogący wydać ziemstwa zbyt słabo popierające kulturę i wszelkiemu postępowi obce lub przeciwnie. Tym zaś, którzy sądzą, że czteroprzymiotnikowe wybory wszędzie i zawsze zapanować powinny, zaco fanem zdawać się będzie głosowanie, od którego usunięto całą część ludności nieopłacającą podatku ziemskiego, i w którym zaprowadzono wybór pośredni. Rzecz można, że dopóki nie poznaliśmy praktycznie istoty i treści samorządu, jaki nam przysługiwać będzie, i dopóki kierunek, jaki ludność nada wyborom, nie będzie nam znany i wypróbowany, dopóty wszystko co powiemy w tej materji, będzie krytyką teoretyczną. Według projektu ustawy, rezultat wyborów zależy od ludu. Możliwym jest, że lud, rozumiejąc doniosłość gospodarzów ziemstwa, zasilic je będzie w pierwiastki kulturalne. Jeżeli jednak stanie się inaczej, to ani w czynnem, ani w biernem prawie wyborczem ustawa nie daje przeciwwagi. — Jest więc losowa. Tymczasem, jednym z najgłówniejszych zadań kultury, jest rozszerzenie do-

brodziejstw uspołecznienia i dobrobytu na niższe warstwy społeczne. Zatomowanie zatem kultury w samorządzie byłoby w wysokim stopniu antydemokratyczne. Dla tego też wielce pożądaną jest przynajmniej gwarancya, aby z prawa wybieralności do rad powiatowych korzystali jedynie umiejący czytać i pisać po polsku.

Prócz tego, zarzucić należy układowi wyborów, że pozwalają jedynie na wybór osób mających prawo głosu w zebraniu dokonywującym wyboru, przez co wielce kępują wyborców, i wadliwi są w tym jeszcze szczegóły, iż zupełnie zbytecznie wymagają *cen-zusu wyborczego* od opiekuna, występującego w zastępstwie pupila pełnoletniego, lecz mającego mniej niż 25 lat wieku.

W Art. 42 projekt ustanawia dla radnych w Ziemstwach zwrot kosztów urzędowania, wtedy gdy według ustaw rosyjskich urzędowanie rzeczzone ma być bezpłatne. Inowacya ta, w zestawieniu z zasadą wyborów wcale nie gwarantującą samorządowi ziemskiemu kulturalności osób wybranych od zarządu, zachęcać będzie osobistości najmniej kulturalne do ubiegania się o urzędy, a na jej korzyść to tylko powiedzieć można, iż umożliwi urzędowanie najmniej zamożnym. Lecz nie można uważać za dowiedzione, iż dobrze jest, aby sprawami majątkowemi ogółu, zarządzały osoby bez majątku, tracą one bowiem zupełnie doniosłą pobudkę osobistego interesu.

§Zastrzeżone dla rządu prawo mianowania prezesa i członków zarządu ziemskiego powiatowego, w razie jeżeli ludność nie wybierze wystarczającej ilości radnych, nie powinno wcale wchodzić w wykonanie, w razie ogólnego uchylenia się kraju od wyborów. W razie bowiem, jeżeli ludność znajdzie, że przyznany jej samorząd wcale nie odpowiada zachodzącym potrzebom, to wprowadzanie go wbrew jej woli byłoby wprost szkodliwe. Samorząd bowiem nie jest obowiązkiem ludności, jak to utrzymują w wyjaśnieniach swoich władze warszawskie, ale jest jej prawem. Jeżeli ludność Królestwa nie znajdzie dla siebie odpowiednią formę, w jakiej przyznane będzie to prawo i do wyborów się nie stawi, to narzucanie z góry zarządów powiatowych wbrew życzeniom ludności, doprowadzić może tylko do rozdrażnień i rozgoryczenia, i stworzy nowy ferment, bez najmniejszej skądinąd korzyści. Jeżeli zaś chodzi o pojedyncze wypadki uchylenia się od wyborów, to należy obmyśleć dla nich inne środki zapobiegawcze, ile podobna jak najmniej drażliwe.

Organizacya władz samorządowych według ustaw rosyjskich polega na utworzeniu z każdej jednostki samorządowej, czy powiatowej, czy gubernialnej, rady i zarządu.

Zadaniem *rad* jest wydawanie rozporządzeń, nadzór nad organami wykonawczymi i decyzja w sprawach należących według brzmienia prawa do zakresu rady. *Zarząd* prowadzi w gospodarstwie ziemskim sprawy bieżące, zwołuje w granicach przewidzianych ustawą radę ziemską, zbiera dla niej wiadomości, układa kosztorysy, pilnuje wpływu opłat, rewiduje podwładnych urzędników i składa sprawozdania radzie. Atrybucye te w obecnym projekcie powtórzono.

Zauważyć należy, iż pod względem powoływania *na przewodniczących radom ziemskim, projekt obecny domaga się zatwierdzenia przez rząd jednego z dwóch kandydatów przedstawionych przez radę ziemską.*

W Rosyi według prawa z r. 1890, jako też 1864-go, przewodniczą radom marszałkowie szlachty.

Prawa rosyjskie, jakie u nas pod tym względem obowiązują, władzę przewodniczącemu przyznają ogromną, i dają mu możność usunięcia z zebrania osób postronnych, skoro to uzna za właściwe. Tymczasem według projektu, *jeżeli rząd nie zatwierdzi żadnego z wybranych przez radę kandydatów i toż samo stanie się z powtórnyim wyborem rady czy tych, czy innych osób, wtedy rząd mianować ma przewodniczącego.*

Nadzwyczaj przykry jest ten przepis, z niego wynika bowiem niebezpieczeństwo odrzucania kandydatów rady i wprowadzania do rad przewodniczących, którzy znajdując się w kolizyi z jej kompletem, sprowadzą zamęt i bezład wewnętrzny. Jeżeli owocem samorządu ma być zahagodzenie zadawnionych niechęci, to nie należy fermentu waśni wprowadzać do samorządu z góry.

Stosunki z administracją stanowią wogóle jedną z najcięższych stron ustawy z r. 1890.

Podług ustawy z r. 1864 gubernator ma prawo wstrzymać wykonanie wszelkiej uchwały rady ziemskiej przeciwnej prawu, lub też ogólnym korzyściom państwowym. Każda uchwała ziemstwa powinna być przesłana niezwłocznie gubernatorowi i w braku opozycyi z jego strony uprawomocnia się w terminie siedmiodniowym. Uchwałę niezapowaną gubernator zwraca z uwagami swemi radzie ziemskiej gubernialnej do powtórniego rozpatrzenia. Jeżeli zaś nie zgodzi się on również z powtórnią uchwałą rady ziemskiej, przedstawia sprawę do rozstrzygnięcia Senatowi. Zupełnie tak samo postępuje minister w sprawach samorządu, pozostawionych według ustawy do jego decyzyi.

Ustawa z r. 1890 wprowadziła zasadę, że gubernator ma prawo zaoponować w przeciągu dni *czternastu* (§ 86) przeciw tym

uchwałom ziemstwa: 1) które są niezgodne z prawem, albo, 2) nie odpowiadają ogólnym państwowym korzyściom i potrzebom, lub też jawnie szkodzą interesom ludności. Opozycja w sprawach 1-ej kategorii kończyła się apelacją do Senatu, jak według prawa z r. 1864. W sprawach 2-ej kategorii kwestya szła ostatecznie do ministra, a ten oddawał ją do decyzji Rady Państwa lub Komitetu Ministrów, według rodzaju sprawy.

Zjawiała się więc zupełnie nowa i z natury swojej nieokreślona kategoria uchwał samorządu, które nie dochodzą do wykonania jedynie tylko z powodu osobistych zapatrywań wyższych organów rządowych. Przeciw temu nowemu ograniczeniu samorządu, dającemu pole samowoli administracyjnej, jaknajmocniej protestowało społeczeństwo rosyjskie.

Lecz tego niedość jeszcze.—Ustawa z r. 1890 zaraz na wstępie powołała do życia w każdej z osobna gubernii nowy organ, pod nazwą Urzędu gubernialnego do spraw ziemskich i miejskich, do którego w pierwszej instancji przychodzą pod rozpoznanie sprawy pomiędzy administracją a samorządem. W Urzędzie tym, pod prezydencją gubernatora, licząc z nim razem, zasiada czterech członków administracji; przedstawiciele samorządu zasiada również czterech, a mianowicie: marszałek szlachty, prezydent miasta gubernialnego, prezes zarządu gubernialnego, oraz jeden z Członków Rady gubernialnej, lub jej Zarządu, zatwierdzony przez ministra. Z zasady więc administracja, z powodu prezydencji gubernatora, już ma przewagę nad samorządem. Lecz co gorsza, jeżeli sprawa dotyczy jakiegokolwiek władzy rządowej, nie mającej przedstawiciela w Urzędzie, o którym mowa, na sesję przywołuje się z prawem głosu, miejscowego naczelnika władzy rzeczzonej. Tym sposobem w urzędzie do spraw ziemskich, służącym za pierwszą instancję apelacyjną, administracja ma większość zapewnioną.

Gdyby zaś pomimo tego Urząd do spraw ziemskich przyznał słuszość samorządowi, a gubernator nie uznał za właściwe zatwierdzić uchwały Urzędu, wówczas wstrzymuje wykonanie i przedstawia niezwłocznie sprawę ministrowi, który albo nakazuje gubernatorowi wykonanie uchwały, albo oddaje ją do rozstrzygnięcia Senatu.

Projekt władz warszawskich, który obecnie rozpatrujemy, różni się korzystnie pod temi dwoma względami od prawa z r. 1890. Mianowicie powraca do zasad 1864 roku pod względem opozycji gubernatora i pomija opozycję opartą na nieodpowiedniości uchwały ziemskiej ogólnym korzyściom i potrzebom państwa, oraz na jej

szkodliwości dla interesu mieszkańców, które to dwie podstawy do opozycji były powodem do tylu skarg na ustawę z roku 1890. Co się zaś tyczy urzędów do spraw ziemskich, to zamiast dziesięciu urzędów gubernialnych, ustanawia jeden centralny w Warszawie, do którego wszyscy gubernatorowie będą musieli się zwracać ze swemi opozycjami przeciw uchwałom ziemstwa.

Prezydujący tego centralnego urzędu ma być mianowany przez Najjaśniejszego Pana; do składu zaś Urzędu należą z ramienia rządu, oprócz prezesa:

2. Prezes Dyr. Głównej Towarz. Kredytow. Ziemskiego.
3. Prokurator Warszawskiej Izby Sądowej.
4. Dyrektor Kancelaryi Warszawskiego General-Gubernat.
5. Prezes Prokuratoryi.
6. Starszy członek urzędu do spraw ziemskich.
7. Starszy członek urzędu do spraw miejskich.

Z ramienia społeczeństwa:

Prezydent miasta Warszawy, oraz:

albo 7 członków rad gubernialnych ziemskich, albo też 7 członków wybranych przez zgromadzenie gubernialne pełnomocników rad miejskich, a to odpowiednio do spraw toczących się w Urzędzie.

Do zasiadania w Urzędzie centralnym do spraw ziemskich i miejskich rady gubernialne ziemskie z jednej strony, z drugiej zaś zgromadzenie pełnomocników rad miejskich, wybierają z pośród siebie po 10 delegowanych.

Nadto, ile razy do wyjaśnienia sprawy potrzeba wezwać przedstawiciela jakiejś władzy, tyle razy daje mu się prawo głosu, przez co przedstawiciele rządu uzyskują oczywistą większość nad społecznymi.

Jak widzimy, do urzędu centralnego do spraw ziemskich i miejskich należeć będą z ramienia administracji: Prezydujący i dwaj członkowie stali: jeden do spraw ziemskich, drugi do miejskich; w projekcie wyznaczono dla tych urzędników pensye roczne:

dla Prezesa 10,000 rubli, dla Członków stałych po 5,500 rb., nadto dla 4 Referentów po 4,000 rubli. Wszystko to na koszt samorządu.

Zaprowadzając jeden centralny Urząd krajowy w miejsce 10 gubernialnych, jakich wymagałaby Ustawa z r. 1890, co jest znaczną zmianą na lepsze, projektowana Ustawa wprowadza jednak inną, nową instancję. Mianowicie general-gubernatorowi przedstawiają się wszystkie uchwały centralnego Urzędu. Te z nich, z którymi się nie zgadza, ma prawo przesłać do ministra, a jeżeli ten zgadza się w zdaniu z general-gubernatorem, sprawa idzie na

rozstrzygnięcie do Senatu. W przeciwnym razie uchwała centralnego urzędu idzie do wykonania.

Nowa ta instancja przysporzy zwłoki i trudności, a tego dąłoby się z wielką korzyścią uniknąć przez powierzenie prezydencyi w urzędzie ziemskim generał-gubernatorowi lub jego zastępcy.

Prócz tego projektowany urząd krajowy do spraw ziemskich i miejskich zagraża bezwarunkową przewagą czynników administracyjnych nad społecznymi. Ustawowa gwarancja bezstronności powinna polegać na tem, aby przedstawiciele poszczególnych władz, wezwani do urzędu jako rzeczoznawcy, nie korzystali ze *stanowczego głosu, tylko z doradczego*; tego wymaga wprost słuszność, bo władza, występująca przed urzędem do spraw ziemskich w interesie własnym, nie powinna być sędzią, skoro jest stroną. Najwyżej zatwierdzone uchwały komitetu ministrów z d. 12 grudnia 1904 r., oraz 9 czerwca 1905 r. przyrzekają samorządowi większą samodzielność. Jednym z kapitalnych warunków tej samodzielności byłoby bezstronne stanowisko urzędu, rozpatrującego spory pomiędzy administracją a samorządem.

Wreszcie zaprojektowana organizacja Urzędu zjednałaby sobie w kraju chętne przyjęcie i uznanie, gdyby stali członkowie jego mianowani zostali z pośród polskiego społeczeństwa. Byłoby to pierwszy znaczący krok ku równouprawnieniu polskiej ludności pod względem udziału w zajmowaniu urzędów administracyjnych, rozpoczęcie zaś naprawy od sfery samorządowej byłoby najwłaściwsze.

Pod względem punktów styecznych, prowadzących do ściernia się administracji z samorządem, w Ustawie z r. 1864 z ogólnej liczby 120 artykułów, 21 mówi o gubernatorze lub ministrze. W ustawie z r. 1890 już 70 artykułów ze 138 poświęconych zostało stosunkowi gubernatora lub ministra do ziemstwa. Jeżeli zważyć, że pozostałe artykuły zajmują się głównie wyborami i organizacją władz, to przekonamy się, że według Ustawy z r. 1890 w przebiegu spraw ziemskich samorządowych zetknięcie z administracją rządową zachodzi nieodbiśnie na każdym kroku. W obecnie projektowanej ustawie, o wdaniu się w sprawę gubernatora, generał-gubernatora, ministra, lub rządu, wzmiankuje się w 51 z ogólnej liczby 119 artykułów. Czyni to 43 procent z ogółu, kiedy w roku 1890 wynosiło 51 procent. Różnica to tak dobrze, jak żadna.

Bardzo niedogodny i na zwłoki działający jest przepis § 73 projektu, że gubernator ma termin *dwuniesięczny* dla wstrzymania w wykonaniu uchwał ziemstwa. Według § 86 ustawy z r. 1890

gubernatorowi służy termin *dwutygodniowy*, a przedłużenie tegoż do *dwoch miesięcy*, w kraju, gdzie życie bieży tak wartkim pędem, jest wprost przeciwne warunkom rzeczywistości. Sprzeczne też jest to postanowienie z § 75 ustawy, podług którego gubernatorowi, dla odwołania się do centralnego urzędu, służy termin tylko *jednomiesięczny*, tak, że narzuca się przypuszczenie, iż w § 73 *dwumiesięczny* termin opozycji wstawiono przez niedopatrzienie, zamiast dwutygodniowego, czego zresztą dowodzi motyw projektu do art. 73-go, utrzymujący, że odpowiada on dosłownie artykułowi 86-mu ustawy 1890 r.

Byłoby nużącym i bezcelowem przytaczać wszystkie artykuły, w których bezpośrednia styczność pomiędzy ziemstwem a gubernatorem może i powinna być zastąpiona przez styczność obu tych władz z centralnym Urzędem do spraw ziemskich. Tradycja 40 lat przeżytych nie stanowi przyjaznego gruntu dla wzbudzenia pomiędzy administracją a ludnością tego stopnia wzajemnego zaufania, który w takich stosunkach byłby pożądanym, a nawet niezbędnym. Pośredniczenie pomiędzy administracją a samorządem, spełniane przez najwyższych w kraju urzędników, wspólnie z delegatami samorządu, może sprowadzić bardzo dodatnie skutki, czyniąc samorząd istotnym zadatkiem społecznego ładu i porządku.

Według ustaw z r. 1864, 1890, oraz ustawy nowo projektowanej, sposób działania instytucyj ziemskich *pod względem unormowania dochodów i wydatków* określają rozmaite ustawy cesarstwa. Z tych, projekt obecny na podobieństwo ustaw poprzednich, wymienia przepisy: o podatku ziemskim (księga 2 tomu 4-go Zbioru Praw Cesarstwa), o komunikacyach, budowlane, wyżywienia ludności i służby zdrowia, oraz o wzajemnem ubezpieczeniu ziemskim, i prawa o podatkach i ciężarach.

Etaty i budżety sporządzone przez zarządy ziemskie, po zatwierdzeniu przez rady powiatowe i gubernialne, przedstawiają się gubernatorowi, oraz prezesowi izby skarbowej. W razie opozycji gubernatora, sprawa przechodzi do Centralnego Urzędu do spraw ziemskich, którego decyzja jest ostateczną, o ile generał-gubernator nie wystąpi z opozycją do Ministra, który w razie zgodzenia się ze zdaniem generał-gubernatora przenosi ją do Senatu.

Według ustawy z r. 1864 kapitały ziemskie przechowywane były w kasach własnych, lub w osobnych skrzyniach w Kasach Skarbowych. Od roku 1890 kapitały ziemstwa przechowują się w miejscowych kasach skarbowych, lub też w Banku Państwa i jego filiach. Środki bieżące przechowują się i rozehodują w kasach skarbowych. Minister ustanawia wysokość zasiłku coroczne-

go, jaki ziemstwo wypłacać ma kasie skarbowej. Przepis ten żywcem w obecnym projekcie powtórzono.

Dla Rosyi wydano w dniu 25 czerwca 1900 r. ustawę o granicach opodatkowania, czyli o nieprzekraczaniu pewnej wysokości opłat wymaganych od ludności na rzecz ziemstwa. Za podstawę przyjęto cyfry zupełnie przypadkowe z r. 1900. Według ustawy tegoż roku wolno przekroczyć ziemstwu budżet ówczesny najwyżej o 3 procent, co częstokroć nie wystarcza. W projekcie obecnym ustawę tę, powszechnie przez społeczeństwo rosyjskie potępianą, zupełnie pominięto.

Bliższych ani ściślejszych wskazówek co do wysokości potrzeb i środków ich zaspokajania ani w obecnym projekcie, ani w poprzednich ustawach niema.

Kończąc sprawozdanie z projektu nowej ustawy, przytoczyć winieniem jeszcze kilka przepisów, w których różni się ona od ustawy z 1890 r.

Według ustawy tej ziemstwa powiatowe przedstawiają gubernialnym wnioski o przedsięwzięcie u rządu starań w przedmiotach, ściągających się do korzyści i potrzeb miejscowych.

Według obecnego projektu wnioski Rady powiatowej przedstawiają się wprost gubernatorowi, który wraz z uwagami swemi przedstawia je do generał-gubernatora. Zatem ziemstwo gubernialne będzie przytem pominięte.

W ustawie z r. 1890 jest mowa w § 58 o możności zrzeczenia się przyjęcia urzędu przez osobę wybraną na radnego. W obecnym zaś projekcie ze szczególnym naciskiem wyrzeczono zasadę, że obywatele kraju mają obowiązek przyjmować wybór na radnych i na sprawujących interesy ziemstwa. Uchylający się od spełniania tych obowiązków ma być karany pozbawieniem prawa do reprezentowania i zarządzania sprawami ziemskimi na przeciąg lat 3 — 6 i pociągnięciem do opłaty podatków ziemskich o $\frac{1}{8}$ lub $\frac{1}{4}$ podwyższonych. Podobny przepis, ale bez zagrożenia karami, istnieje w ustawie naszego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, lecz, o ile wiadomo, nigdy nie był stosowany. Tłómaczyło się to przypuszczalną trudnością znalezienia odpowiednich kandydatów w stowarzyszeniu zarządzającym przez dłużników, kapitałami wierzycieli.

W ustawie z r. 1864 uczyniono zastrzeżenie, że gdyby ziemstwo nie zajęło się spełnieniem czynności dlań obowiązujących, to gubernator, wobec bezskuteczności wezwań, wykonywa czynność na koszt ziemstwa z upoważnienia ministra. Ustawa w r. 1890 w zupełności pominięła ten przepis, lecz projekt obecny wznowił

go na bardzo szerokiej i aktualnej podstawie, przewidując nawet, w jaki sposób fundusze na cel powyższy ze skarbu awansowane, mają być na koszt ziemstwa oprocentowane.

Nadzwyczaj znaczącem i ważnem jest zastrzeżenie obowiązkowego przyjęcia urzędowania przez obywateli wybranych na radnych, oraz bardzo konkretnie wyrażone przewidywanie wykonywania czynności ziemstwa przez organa rządowe.

Obie te inowacye wynikają z zasady ogólnej, wyrzeczonej w motywach, że samorząd w ogólności jest *decentralizacją* władzy rządowej, i ludność *obowiązana* jest przyjąć na siebie tę część władzy, jaką nań przelewa rząd.

Ze zdaniem tem zgodzić się niepodobna. Tak jak podział władzy na prawodawczą, sądową i administracyjną, nie jest *decentralizacją*, tylko *deferencyacją* władzy, zupełnie tak samo podział władzy na centralną i lokalną jest sprawą *deferencyacji*. Wszystko to, co nie dotyczy bezpośrednio bezpieczeństwa na wewnątrz i na zewnątrz, jest według Taine'a przyrodzonym prawem ludności, i doskonale to wyraziła Najwyższa władza, zatwierdzając w uchwałach Komitetu Ministrów rozszerzenie kompetencji i powiększenie samodzielności samorządu, gdy tymczasem nowa teoria obowiązkowości, podana przez władze warszawskie, idzie w kierunku wprost przeciwnym, z niej bowiem nie wypływa samodzielność, ale większa niż kiedykolwiek zależność.

Wreszcie ustawa z r. 1864 wyrzekła ogólną zasadę: „Instytucye ziemskie w zakresie spraw im powierzonych działają samodzielnie.“ Zasada ta i w teoryi i w praktycznym jej rozwinięciu pominiętą została zarówno w ustawie z r. 1890, jako też w projekcie obecnym.

Drogocennym skarbem dla ludności jest możność zarządzania własnymi sprawami przez własnych wybrańców. Jak powiedział Piotr Górski w swem znakomitem dziele o samorządzie gminnym: „linia demarkacyjna pomiędzy cywilizowanym a barbarzyńskim światem oddzieliłaby zarazem ludy i państwa, które się zdobyły na zawiązki ustroju gminnego, od tych, które go w sobie nie wyrobiły. Chociażby państwo posiadało u szczytu największe wolności, to jednak cecha ogółu mieszkańców wypadnie nizko, jak dla niedorośliwych dla publicznego życia i cywilizacji, jeżeli ogół ten odsunięty jest od zarządów lokalnych.“ Takie stanowisko samorządu bynajmniej nie licuje z pojęciem, że samorząd, jako owoc decentralizacji, żyje życiem zapożyczonem od władzy centralnej. Dla dobra ogółu trzeba, aby obie władze, centralna i lokalna, pracowały zgodnie, ale i samodzielnie.

W motywach do ustawy władze warszawskie powołują się na rozszerzenie kompetencji i samodzielności samorządu, zgodnie z Najwyżej zatwierdzonemi uchwałami Komitetu ministrów. Jeżeli te zasady nie znalazły żadnego zastosowania w projektowanej ustawie, to samo uznanie ze strony władz warszawskich, iż się w niej znaleźć powinny, nie pozbawione jest poważnego znaczenia.

Jeżeli bowiem sfery miarodajne zechcą powiększyć miarę samodzielności samorządu Królestwa, dobrze jest, że władze miejscowe, z góry uznając słuszność i stosowność tej zasady, na przeszkodzie stawać jej zapewne nie będą.

II. G m i n a.

Należyte urządzenie u nas gminy wiejskiej stanowi, z powodu niezbędnych w niem ulepszeń, jedną z pierwszorzędných krajowych potrzeb. Niezależnie od tego poważnem jest zadaniem włączenie gminy do ustroju samorządowego, na które tem baczniejszą trzeba zwrócić uwagę, że względnie do obowiązujących w Cesarstwie ustaw ziemskich, stanowi ono inowację. Załatwienie obu tych zadań władze warszawskie objęły w projekcie swym jedną ustawą, i współrzędnie też rozpatrywać je musimy.

Przedewszystkiem więc pod urządzenia gminy wiejskiej wciągnięto małe miasteczka, następnie zaś charakter uczestników gminy i gromady nadano wszystkim mieszkańcom gminy opłacającym składki ziemskie. W organizacyi zebrań gminnych zaprojektowano wielkie zmiany. Te polegają na uczestniczeniu w nich *przedstawicieli* ogółu mieszkańców, opłacających składki na samorząd, zamiast dotychczasowego *bezpośredniego* w nich udziału samych tylko właścicieli ziemskich. Obok tego właściciele powyżej sześćdziesięciu morgów gruntu, lub innych odpowiednich majątków, mają brać udział bezpośredni w zebraniach. Cenzus dla przedstawiciela oznaczono na 6 morgów ziemi, lub odpowiedni majątek. Celem tych zmian jest zapobieżenie zbyt tłumnym zebraniom. Zauważyć należy jednak, iż chociaż zwięzłe zebrania ogólne istotnie mogły przynieść pożytek, to za niezbędne uważać należy po za tem jeszcze dorocznie walne zebrania wszystkich mieszkańców gminy, opłacających podatki ziemskie i przynajmniej od sześciu miesięcy w gminie zamieszkałych, dla wysłuchania sprawozdania i zatwierdzenia lub przyjęcia wydatków przez zwięzłe zebrania uchwalonych, a to, aby uszczupleniem praw nie zrażać ludności.

Niezależnie od tego urzędzenia, pożądanem byłoby utworzenie rad gminnych, urzędujących pod prezydencją wójta, a zastępujących go w jego czynnościach gospodarczych.

Każdy z Członków Rady powinien zawiadywać jednym z wydziałów gospodarczych: jeden szkolnictwem, drugi drogami, trzeci ochronami i przytułkami i t. p., przyczem jakkolwiek uchwały powzięte kolegialnie będą obowiązujące, to wójtowi przysługiwać będzie zawsze zwierzchni w wykonaniu nadzór i kierunek.

Nowością jest w projekcie, że każda z władz rządowych (art. 21) ma prawo brać udział przez swego przedstawiciela w zebraniach gminnych. Protestować należałoby przeciw temu urządzeniu, jako uchylającemu samodzielności gminnej, gdyby dotyczyć miało władz rządowych, niemających w gminie swych posiadłości.

Projekt *uchyla* zabronienie duchownym i sędziom pokoju udziału w zebraniach gminnych, lecz *powtarza* je względem policyi, a *wprowadza* na nowo względem członków prokuratury.

Pożytecznem jest przyjęcie w projekcie upoważnienie Zebrań gminnych do wyboru Komisji rewizyjnych i oddzielnych delegacyj.

Z pomiędzy atrybucyj zebrań gminnych z r. 1864 *pominięto* pieczęć o środki opiekuńcze i urządzenia szkółek, rozporządzanie majątkiem nieruchomym wspólnym, wybór pełnomocników do interesów gromadzkich, oraz wyrzeczenie w przypadkach, w których potrzeba zgodzenia się całej gminy; natomiast *wprowadzono*: oznaczenie pensyi urzędników wybieralnych, oraz zamianę powinności naturalnych na pieniężne.

Pomiędzy czynnościami zebrań gminnych zamieszczono dostarczanie radom powiatowym ziemskim wiadomości i wniosków dotyczących sfery samorządowej, oraz spraw powierzonych zebraniu gminnemu, a nadto przedstawianie im do wyjednania projektów, dotyczących potrzeb i melioracyi gmin.

Wszystkie uchwały zebrania gminnego przedstawiają się Naczelnikowi powiatu, który w terminie trzydniowym przedstawia je wraz ze swym wnioskiem gubernatorowi. Temu służy do opozycyi termin miesięczny, poczem uchwała zaoponowana przebywa te same rozliczne szczeble apelacyjne, jakim podlegają uchwały Ziemstw powiatowych i gubernialnych.

Oprócz zebrań gminnych i gromadzkich projekt obecny zaprowadza jeszcze rady *gruntowe* dla zawiadywania sprawami urzędzeń agrarnych i podatkowych u współuczestników tej samej tabeli likwidacyjnej, lub współnabywców ziemi z pomocą banku włościańskiego. Ani atrybucyj, ani celów tych zebrań Ustawa

bliżej nie wyłuszcza, co winna była uczynić, skoro z pośród czynności zebrań gromadzkich pomija segregację wspólnych z folwarkiem pastwisk, i umowy o zamianę służebności, które figurowały w art. 104 prawa z r. 1864. Pomija również dawną atrybucję gromad, podawania prośb o sprawiedliwszy rozdział podatków. W razie uzupełnienia tych braków, zamiast oddzielnych rad gruntowych dość byłoby wyłaniać z Zebrań gromadzkich rady osób interesowanych, z mocą decyzji we własnych sprawach.

Bardzo sporne pojęcie obowiązkowego spełniania przez ludność funkcji samorządowych znalazło w projekcie swój wyraz w karze 3-ch rubli za niestawiennictwo członka na zebranie gminne (§ 32), oraz karze 1 rubla za niestawiennictwo członka na zebraniu gromadzkim (§ 63). Gdy jednak zebranie gminne jest prawomocne przy komplecie $\frac{2}{3}$ członków, możliwem byłoby zatem odbyć posiedzenie legalne, i przytem ściągnąć od $\frac{1}{3}$ Zebrania po trzy ruble kary od osoby. Dyskrecjonalną władzę do sprawowania tak wygórowanego prawa złożono w ręce samego tylko wójta. Tym sposobem zamiast tępić samowolę, daje się do niej podnieść.

Wogóle projekt obecny zamiast miarkować wójta w samowoli, jeszcze go bardziej do niej zachęca i upoważnia. Pominięto dobroczynny przepis, że w ważniejszych sprawach wójt powinien porozumiewać się z sołtysami (§ 26 — 1864 r.). Natomiast, jeżeli według prawa z roku 1864 wójt mógł dokonywać rozkładu ciężarów skarbowych i gminnych tylko razem z ławnikami i sołtysami i pod wspólną ich odpowiedzialnością (art. 16 z r. 1864), teraz upoważniony zostaje do tego sam jeden, z obowiązkiem tylko zawiadomienia Zarządu Ziemskiego powiatowego (art. 35). Jeżeli dawniej według art. 94 wolno było wójtowi nakładać na sołtysów i pisarzy gminnych kary pieniężne, pod warunkiem, że w ciągu dni siedmiu doniesie o tem, z objaśnieniem przyczyn, naczelnikowi powiatu, to obecnie w art. 122 projektu, o obowiązku tym niema wzmianki. Poprzednia, oburzająca, a sprzeczna z elementarnym pojęciem prawa, prerogatywa wójta do nakładania na mieszkańców kar pieniężnych i aresztu (§ 27), powtórzona została w projektowanym prawie w art. 45 z podwojeniem nawet kary pieniężnej, pozwalając organowi administracyi wykonywać władzę sądową.

Toż samo prawo karania przyznano w art. 79 projektu sołtysom, z tem obostrzeniem, że stosować je mogą nietylko na zebraniach gromadzkich, ale wszędzie, gdzie urzędują.

Wszystkie te, wręcz sprzeczne z pojęciem nowoczesnego prawodawstwa, postanowienia—powinny być wprost uchylone. Jeżeli

bowiem gmina ma być, nie z pozoru, lecz z treści, włączona do ziemstwa, to Zarząd Ziemski powiatowy, a nie wójt, powinien mieć prawo uskutecznienia rozdziału ciężarów, w razie, jeżeli uchyla się zebranie gminne, karę zaś za naruszenie spokojności potrafi wymierzyć sąd.

Do obowiązków wójta dodano dopilnowanie praw serwitutowych, regulacyi szachownic i pomoc do robót geometrycznych, ochronę zdrowia i walkę z epidemią.

Pisarza gminnego, według art. 77 prawa z roku 1864, już to wybierało zebranie gminne, już przyjmowany był w drodze najmu przez wójta, w porozumieniu z ławnikami i sołtysami. Obecnie, według art. 108 projektu, pisarza i jego pomocników po prostu mianuje wójt.

Nowy cenzus dla wójta wymaga umiejętności czytania, pisania i mówienia... po rosyjsku! o języku zaś polskim ustawa przemilcza i to w kraju polskim, w bezpośredniej styczności z ludem.

Co do języka w gminie to wprawdzie wójt ma prawo korespondować z podwładnemi mu osobami, czyli z ludnością gminną, po polsku; b) lecz najboleśniejsem jest, że pod względem rachunkowości i kontroli nakazane jest w § 53 prowadzenie ksiąg i protokołów po rosyjsku, z możliwością umieszczenia równoległego tekstu polskiego. Nader ważnem jest prawo, nadane gubernatorom w §§ 94 i 103, do mianowania z własnego ramienia wójta, a według artykułu 98—sołtysa, w razie niezatwierdzenia żadnego z przedstawionych przez zebranie gminne lub gromadzkie kandydatów, gdy tymczasem art. 73 prawa z r. 1864 nakazywał uciekać się w takim razie do potrójnych wyborów, i nie przewidywał mianowania z urzędu. Jest to do najwyższego stopnia niepożądanem, aby ten sam urzędnik mógł odrzucać kandydata przedstawionego przez ludność i mianować w to miejsce urzędnika podług swego upodobania, bo moc upodobania może mieć sprawiedliwość sądu, i znowu sędzia i strona kollidują w tej samej osobie. Fikcyja prawodawcza, że wysoki dygnitarz administracyjny jest niedostępny dla namiętności ludzkich, nie może być poważnie broniona. W każdym razie w tych wypadkach powinny być zainteresowane wyższe stopnie samorządowe, aby uniknąć przymusu administracyjnego względem ludności, który, o ile nie jest niezbędny, ma działanie bardzo demoralizujące, wznęcając nienawiść do władzy.

Najgłówniejszy zarzut przeciw obecnej Ustawie mieści się w tem, że zbyt słabo wiąże gminę z Ziemstwem powiatowem. Przejdźmy pokrótce ściągające się do tego przepisy:

W art. 115, jako zasadę, wyrzeczono, że bezpośredni dozór nad wykonaniem gminnego społecznego zarządu i dopilnowanie ścisłego wykonania prawa przez zebrania i urzędy gminne, powierza się Zarządom ziemskim.

Według art. 44 wójt obowiązany jest wykonywać polecenia władz ziemskich. Dalej mówią o ziemstwach w Ustawie gminnej następujące główne przepisy:

W artykule 47. W razie nieobecności wójta i jego pomocnika i zastępców, Zarząd ziemski powiatowy powołuje jednego z sołtysów do zastępowania wójta.

W artykule 48. W razie, jeżeli wójt i władza rządowa zażądają od Zebrania gminnego, aby wybrało pomocnika dla wójta, a Zebranie temu odmówi, sprawa przenosi się do Rady powiatowej. Zarząd ziemski powiatowy może również zażądać od Rady upoważnienia do wzmocnienia kompletu oficyalistów gminnych.

W art. 117. Gubernator, dowiadując się o nieporządkach w gminie, zaleca właściwemu Zarządowi powiatowemu zająć się usunięciem nieporządku i pociągnięciem winnych do odpowiedzialności. Zarząd zawiadamia o rezultacie.

Jest to stosunek z Ziemstwem bardzo drażliwy, gdy tymczasem dość byłoby zawiadomić Ziemstwo.

Jeżeli gubernator nie zgadza się z działalnością Zarządu, odwołuje się do Centralnego Urzędu do spraw ziemskich i miejskich.

Z powodów szczególnie ważnych gubernator może własną władzą oddalić wójta od urzędowania. Tu nie zaszkodziłoby wyjaśnienie, że dotyczyć to może jedynie spraw administracyjno-policyjnych.

W art. 118 — 119. Skargi osób i korporacyj prywatnych na urzędników gminnych przedstawiają się Zarządowi ziemskiemu powiatowemu. Jeżeli zaś ten nie zaspokoi żądań, to służy skarga do gubernatora w terminie dwutygodniowym, a gubernator, o ile się nie zgodzi ze zdaniem Zarządu, przesyła sprawę wraz ze swym wnioskiem do Centralnego urzędu dla spraw ziemskich i miejskich.

W Art. 120. Za mniej ważne wykroczenia w urzędowaniu Zarząd powiatowy Ziemski wymierza kary do pięciu rubli, lub siedmiu dni aresztu na urzędników gminnych.

W Art. 123. Za większe przestępstwa i wykroczenia w służbie urzędników służby publicznej, Zarząd powiatowy ziemski oddaje ich pod sąd. Tu również potrzebne jest objaśnienie, że wykroczenia i przestępstwa, o jakich mowa, ściągają się wyłącznie do sfery gospodarczo-społecznej, gdyż inaczej gmina fułszywie

zrozumięby mogła znaczenie samorządu, i dualizm władz znaćby jej pojęcia.

Wogóle przepisy te niedostatecznie charakteryzują samorządową naturę gmin. Należałoby dążyć do połączenia organicznego z wyższemi szczeblami samorządu, które przy ciągłym mieszaniu się administracyi do spraw gminnych, a nie do samych tylko czynności policyjnych wójta lub sołtysów, jest prawie niemożliwe.

Instancye apelacyjne w projektowanej ustawie gminnej po nad miarę liczne, nie pozwalają oczekiwać rychłego zakończenia jakiegokolwiek sporu. Tak np. według Art. 80, w razie pogwałcenia czyichś praw cywilnych przez czynności Zebrania gminnego lub gromadzkiego służy pokrzywdzonemu droga sądowa. Według Art. 83 sprawa dotycząca zwaleni uchwał gromadzkich ulega władzy Rządu Gubernialnego, który pod prezydencją gubernatora rozpatrzy ją w I-iej instancyi, drugą zaś stanowi Urząd do Spraw Ziemskich. Według Art. 84 z żądaniem uchylenia uchwały Zebrania gromadzkiego należy zwracać się do Naczelnika Powiatu, który w razie uznanej przez siebie potrzeby uchylenia uchwały, przedstawia to Rządowi gubernialnemu. W art. 86 skargi na nieprawność uchwał gminnych podają się gubernatorowi, który niektóre sprawy przedstawia na zatwierdzenie ministra, a niektóre przedstawia do uznania Urzędu do Spraw Ziemskich.

Na postanowienia tego Urzędu interesowani mający spór już to z gminą, już z gromadą, mają trzymiesięczny termin skargi, która z Urzędu Ziemskiego przechodzi do ministra spraw wewnętrznych, a ten ze swoim wnioskiem składa ją senatowi. Tym sposobem naczelnik powiatu, gubernator, Rząd gubernialny, Urząd do spraw ziemskich, minister i senat czynią razem sześć instancyj. W tym labiryncie trudno się zorientować. Jednakże pewnem jest i niezawodnem, że mnożenie instancyj dalekiem jest od zapewnienia ściślejszego wymiaru sprawiedliwości, i że apelacye co do uchwał gromadzkich nierównie właściwiej byłoby kierować kanałem Ziemskim samorządowym niż administracyjnym, skoro kompetencya gromady leży całkowicie w zakresie samorządu.

Porównanie projektowanej Ustawy z organizacją gminną z r. 1864 jest niezmiernie utrudnione przez zupełną odmiennosć redakcyi. Też same pojęcia oddane są innemi wyrazami. Mnóstwo szczegółów z prawa z r. 1864 zniknęło, a już to na ich miejsce, już zupełnie od nich niezależnie zjawilo się mnóstwo nowych, i wogóle dawne nawet przepisy w nowem otoczeniu odmiennego nabrały znaczenia. Oprócz przepisów, o usunięciu których poprzednio tu była mowa, pominięto następujące szczegóły z r. 1864-go.

Według art. 78—1864 r. gubernator mógł własną władzą oddalić z urzędu wójta, a Naczelnik powiatu—sołtysa. Obecnie oddalić może wójta Urząd Centralny Ziemski, gubernator zaś może tylko wójta w urzędowaniu zawiesić.

Według art. 84 z r. 1864, urzędnicy gminni mieli bardzo wielkie prerogatywy, np. wójt—mógł zwolnić krewnego od powinności wojskowej. Według obecnego projektu służy im tylko zwolnienie od powinności naturalnych, inne zaś ulgi zniesiono.

Według art. 16 z r. 1864, Zebranie gminne obowiązane było mieć w swojej pieczy „środki opiekuńcze,“ oraz urządzenie szkółek gminnych. W projekcie obowiązki te u gmin pominięto, a natomiast w § 69 przelano je na barki Zebrań gromadzkich. Pominięto również z § 16-go (1864) wybór pełnomocników do interesów gminy i znowu prawo to udzielono w punkcie 11-ym § 69-go gromadom. Poprzedni, niczem nie tamowany, udział kobiet w Zebraniach gromadzkich, ograniczono jedynie do porad nad opodatkowaniem i kontrolą kasową. Znacznie rozszerzono atrybucye sołtysów i ze szczególną starannością opracowano apelację od uchwał gromadzkich, nie wiążąc bynajmniej gromady z samorządem ziemskim. Z tych wszystkich przepisów odbiera się wrażenie, że projektodawcy chcieli gminę z jej organizacją związać z samorządem, gromadę zaś, obok znacznego powiększenia jej atrybucyj, pozostawić pod wyłączną pieczęą administracyi. Gdyby tak być miało, byłby to najszkodliwszy ze szkodliwych zamiarów, jako wnoszący rozdwojenie do najważniejszych, bo podstawowych urzędów ludowych.

Pośród innych atrybucyj zebrań gromadzkich wyróżnia się kilka, zastanawiających dążnością swą do zaprowadzenia solidarnej odpowiedzialności mieszkańców za zobowiązania, (punkt 13 § 69-go), co jest wręcz sprzecznem z interesem ludu. Ani gmina, ani gromada nie powinny grać roli kooperatywy, bo solidarna odpowiedzialność, bez selekcyi uczestników, prowadzi stanowczo do wyzyskiwania słabszych przez silniejszych, dobór zaś uczestników nie jest rzeczą gromady, tylko kooperatywy. Rozkład opłat dla ziemstwa powierzono w projekcie, według wyraźnego brzmienia punktu 4-go § 69, gromadom; przy gminach niema o tem mowy.

Nader ważnem jest *uchylenie* ograniczenia wyrażonego w artykule 66 z r. 1864, że na urzędy gminne, od wyborów zależące,znaczane być nie mogą osoby niechrześcijańskiego wyznania. Wobec podciągnięcia mniejszych miasteczek pod działanie projektowanej ustawy, oraz zasad wyborczych projektu, znaczy to, że prawdopodobnie urzędy wybieralne w miasteczkach tych sprawo-

wać będą żydzi. Tem bardziej przeto żądać należy od kandydatów na urzędy wybieralne w gminie—umiejętności mówienia, czytania i pisania po polsku. Inaczej ogromnej większości ludności kraju stanie się krzywda.

Wogóle najprostszym byłoby przeprowadzić w Ustawie pojęcie, że pod względem gospodarczo-społecznym gmina jest filią, ale i początkiem Ziemstwa powiatowego.

JÓZEF JEZIORAŃSKI.

Od redakcyi „**PRACY.**“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materiałów, informacji i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacji.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1906.

FILOZOFIA.

	<i>Str.</i>
EPIKUREIZM I ALTRUIZM, — przez <i>Henryka Struwego</i>	209

HISTORIA.

SOKOLNICKI I KRUKOWIECKI, — przez <i>Aleksandra Kraushara</i>	103
POBYT KOŚCIUSZKI I NIEMCEWICZA W AMERYCE, — przez <i>Władysława M. Kozłowskiego</i>	241
LUTER I ALBRECHT, — przez <i>D-ra Maryana Goyskiego</i>	327
LITWA W PRZEDEDNIU WIELKIEJ WOJNY r. 1812, — przez <i>Janusza Łoaszkiewicza</i>	417
DWA POSELSTWA w r. 1654, — przez <i>Ludwika Kubalę</i>	532
OGNISKO POLSKICH PROTESTANTÓW NA BUKOWINIE, — przez <i>G. Smólskiego</i>	559

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

PROBLEMAT AGRARNY, — przez <i>Wł. Studnickiego</i>	1
SPRAWA REFORMY GMINY WIEJSKIEJ W GALICYI, — przez <i>A. Rembowskięgo</i>	285

LITERATURA.

PAMIĘTNIK, — przez <i>Mariomę</i>	28
---------------------------------------------	----

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	<i>Str.</i>
AKTUALNOŚĆ CZY SZTUKA, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	83
FELICYAN ROPS, — przez <i>Jana Topassa</i>	133
PSALMODYA POLSKA, — przez <i>D-ra Stanisława Turowskiego</i>	146
O TWÓRCZOŚCI WYSPIAŃSKIEGO, — przez <i>Józefa Kotarbińskiego</i>	309
GŁOWY GROTESKOWE LEONARDA DA VINCI, — przez <i>Jana Topassa</i>	354
NIEZNANY DZIENNIK PODRÓŻY DO ZIEMI ŚWIĘTEJ JULIUSZA SŁOWACKIEGO, — przez <i>prof. d-ra Henryka Biegeleisena</i>	466
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	493
O PORTRECIE, — przez <i>Tadeusza Jaroszyńskiego</i>	517

NAUKI PRZYRODNICZE.

CIAŁA PROMIENIOTWÓRCZE I ROZPAD ATOMÓW, — przez <i>Stanisława Kramsztyka</i>	66
----------------------------------------------------------------------------------------	----

R O Z M A I T O Ś C I .

ZJAZD NIEMIECKICH SOCYALISTÓW W MANNHEIMIE	166
WYSTAWA MIĘDZYJARODOWA W MEDYOLANIE, — przez <i>Orestę Ferd. Tenczajęgo</i>	362
KONGRES SOCYALISTÓW WŁOSKICH W RZYMIE, — przez <i>M. Ł.</i>	367

WSPOMNIENIA POSMIERTNE.

JAN GADOMSKI, — przez <i>Z. D.</i>	160
WŁODZIMIERZ SPASOWICZ	371
NASZE STRATY: Arcybiskup Stabilewski, Julian Klaczko i Piekosiński Franciszek Ksawery, — przez <i>Z. D.</i>	606

K R Y T Y K A .

DR. STANISŁAW KUTRZEBA, docent uniwersytetu Jagiellońskiego: Historia ustroju Polski w zarysie, — przez <i>A. R.</i>	173
FRANCISZEK MORAWSKI: Z Zachodnich kresów, — przez <i>P.</i>	177
JAN LEMAŃSKI: Nowenna czyli Dziewięćdziesiąt dziewięć dytyrambów o szczęściu, — przez <i>Z. D.</i>	180
WACŁAW TOKARZ: Ostatnie lata Hugona Kollataja, — przez <i>A. R.</i>	373
STANISŁAW CHELCHOWSKI: Rolnictwo w organizacyi samorządu, — przez <i>A. R.</i>	382
KAZIMIERZ RUDNICKE: Biskup Kajetan Sołtyk, 1715 — 1788. Monografie z zakresu dziejów nowożytnych, — przez <i>A. R.</i>	570

	<i>Str.</i>
ERNEST LUNIŃSKI: Księżna Tarakanowa. Opowiadanie na tle dziejów polsko-rosyjskich, — przez <i>H. Mościckiego</i>	578
KRZYWICKI LUDWIK: Żmudz starożytna. Dawni Żmudzini i ich warownie, — przez <i>dra St. Zdziańskiego</i>	584
J. D.: Słowo o Adamie Asnyku. Odczyt niewyglaszony, — przez <i>Z. D.</i>	586
WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI: To co nie przemija, — <i>Z. D.</i>	587

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

Pogrom Siedlecki. — Wzrost anarchii. — Porozumienie stronnictw. — Kultura naszych miast. — Towarzystwo opieki nad pamiątkami historycznymi i zabytkami sztuki polskiej. — Biblioteka publiczna	182
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

LISTOPAD:

Pierwszy rok konstyтуeyi. — Legalizacya maryawitów. — Nasz ruch kulturalny: Towarzystwo wyższych kursów naukowych i Uniwersytet ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej	390
-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

GRUDZIEŃ:

Przedwyborami. — „Komitet centralny“ i zjednoczenie narodowe. — Polskie Towarzystwo prawnicze. — Sprawa oderwania Rusi Chełmskiej od Królestwa Polskiego. — Biuro informacyjne dla emigrantów Żydów	590
---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

PAŹDZIERNIK	196
LISTOPAD	404
GRUDZIEŃ	609

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIU LISTOPADOWYM (№ 10): Samorząd ziemski i gmina wiejska w Królestwie Polskiem, — przez <i>Józefa Jeziorańskiego</i>	1
-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---





